BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
KUL V-251/55
1889 t3

ME335


SEMINARJUM
Hist. Liter. Polskiej

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

1889.

TOM III.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM LV.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO
ulica Królewska, N. 29.

1889.

Дозволено Цензурою
Варшава, 23 Августа 1889 года.



V-251

SPIS RZECZY.

1. RZECZY SPOŁECZNE I SPÓŁCZESNE.

2. NAUKI PRZYRODNICZE.

3. LITERATURA.

4. BELETRYSTYKA.

5. HISTORYA.

6. GEOGRAFIA I ETNOGRAFIA.

7. SZTUKI PIĘKNE.

8. ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.



WIOSNA.

OBRAZKI MALOWANE W SŁOŃCU.

W salach dworca krakowskiego było ludno i gwarno. Tragarze znosili kufry i pakunki, na twarzach tłoczących się ludzi uderzało zaniepokojenie i gorączkowa niecierpliwość. Rozkazy, pożegnania, ostatnie przypomnienia, wypowiadane krótko, nerwowo, krzyżowały się nieustannie.

Przed okienkiem kasy, na którém umieszczono na białéj tablicy napis: „Do Lwowa", tłoczyła się garstka ludzi. Bracia nasi mojżeszowego wyznania, w energii ruchów i błyskawicach wzroku, zdradzali lękliwą obawę spóźnienia się, połączoną z chęcią natychmiastowego kupna biletów.

Zapał ich mitygował policyant, stojący tuż przy kasie.

— Ratuj mnie pan — zawołała młoda dziewczyna, prasowana przez czterech synów Izraela o żółtych brodach.

— Co to, nie wolno kupować biletu—zaprotestował jeden z żydów, wyciągając rękę, aby się uchwycić okienka kasy.

— Powiadam, rozstąpić się — powtorzył stróż bezpieczeństwa i tak zręcznie zamanewrował, że dziewczyna znalazła się przy okienku.

Ze strony Izraela wyszedł protest. Jeden z nich wspomniał o gwałcie.

Reprezentant siły i władzy przyjął protest z ironicznym uśmiechem litości, zmienionym w pewien zachwyt, gdy przed nim stanęła uwolniona z pod prasy dziewczyna, pokazując w ręku kupiony bilet, a z po za różowych ust, białe równe zęby.

— A teraz którędy? — spytała. — Przejeżdżałam już raz, ale jakoś sobie zapomniałam.

Stróż prawa podprowadził ją do trzeciéj klasy, wskazując na szklane drzwi.

— A proszę wracać — odezwał się wesoło, salutując.

— Za tydzień! Do widzenia — dodała, odwracając się od drzwi.

Młodzieniec w kasku, z półksiężycową blachą pod szyją, podkręcił w górę wąsa, dziewczę znikło za szklanemi drzwiami.

Na peronie był wielki ruch. Ludzie przebiegali od wagonu do wagonu, wołali na konduktorów, tłoczyli się, wchodzili i wychodzili, żegnali się, całowali, śmiali i płakali.

Porwana wirem dziewczyna, biegała z jednego końca pociągu na drugi powtarzając.

— Do Słotwiny, do Słotwiny!

Nikt jéj nie odpowiadał, nikt się nią nie zajmował.

Gromadka dzieci Izraela szwargocąc, szła żywo na sam koniec pociągu. Dziewczę pobiegło za nimi.

— Do Słotwiny—zawołała żałośnie, wystraszona.

— Do Słotwiny? tu, tu — wskazał ręką na otwarte drzwi pustego wagonu, oderwany od gromadki żydek.

Dziewczyna postawiła na ławce wagonu koszyk i chwytając się żelaznych prętów, wsiadła. Odetchnęła całą piersią i rozśmiała się. Już jéj nie odjadą, nie spóźni się, zajedzie na czas... Usiadła, ocierając pot z czoła chusteczką.

Radość i szczęście promieniało jéj z twarzy, nie mogła usiedzieć, wstała, przechadzając się zwolna po pustym wagonie.

Do drzwi zbliżył się hamownik z czerwoną chorągiewką i niebieską czapką na głowie.

Dziewczę, aby się upewnić, zapytało:

— Czy w dobrém miejscu usiadłam?

— Kiedy panienka stoi.

Rozśmieli się oboje.

— Wszystko jedno, ale czy dobrze?

— A dokąd?

— Do Słotwiny.

— Doskonale.

— Dziękuje.

— Czy do saméj Słotwiny?

— Daléj, będzie jeszcze z półtory mili w góry.

Konduktor biegnąc, zamykał wagony, trzaskając drzwiami.

Dziewczyna wystraszona odskoczyła. W téj chwili rozległ się odgłos dzwonka.

— Gotów! — powtórzono trzy razy. Wązka siatka, oddzielająca wagony od publiczności, spuszczała się ku dołowi. Wagon szarpnięto tak silnie, że dziewczyna, nie mogąc się utrzymać na nogach, usiadła. Koła zaczęły się obracać, pociąg zwolna cicho poruszał się. Wyjechał z dworca. Na ulicy przed baryerą, czekała gromadka ludzi.

Dziewczyna z nadmiaru szczęścia i wesołości, zaczęła ręką żegnać się z gromadką. Młodzi ludzie odpowiadali na jéj ukłony.

— Nie martwcie się, wrócę za tydzień, jak mnie tu żywą widzicie — szeptała, patrząc na przesuwające się przed jéj oczami ulice, wozy wyładowane i krzyżujących się ludzi.

Pociąg coraz szybciéj pomykał, domy przesuwały się coraz prędzéj, odkrywając czerwone baszty i mury zamku.

Zadudniło, spojrzała na dół: wody rzeki spienione, żółte, szybko płynęły.

— Wisła! jaka ci wielka. Zobaczę ja cię niedługo.

Pociąg wjechał na równinę, po prawéj stronie domy Pogórza, po lewéj, jak okiem sięgnąć, rozciągała się zielona płaszczyzna błonia, urozmaicona rozrzuconemi po niéj kwitnącemi o wąziutkich listkach wierzbami.

Otworzyła okno, wychyliła się, wciągając w płuca całą siłą świeże powietrze.

Wiosenna woń podziałała na nią. Jak koń, kiedy na step powróci, rozwarła chrapy... Wspomnienia niedalekiego dzieciństwa i pierwszych brzasków młodości cisnęły się do jéj mózgu, same nie wiedząc dla czego.

— Boże, Boże — szeptała, nie umiejąc inaczéj określić swych wrażeń i uczuć. Patrzała, wytężając wzrok, aż póki nie spoczął daleko na szarzejących chatach o białych ścianach i ciemnych dachach.

— U nas tak samo — zawołała.

Tymczasem pociąg zwalniał i stanął na Podgórzu.

Dziewczę zwróciło się w stronę dworca, patrząc z ciekawością na przypływ i odpływ podróżnych, na naczelnika w czerwonéj czapce, posługaczy w niebieskich bluzach i młodego telegrafistę, r o b i ą c e g o o k o do wszystkich kobiét. Gdy przyszła koléj na nią, rozśmiała się głośno.

Telegrafista wyprostowany, poszedł daléj, nie oglądając się z obawy skompromitowania swéj powagi.

Niedaleko dziewczęcia stał hamownik, z nieodstępną czerwoną chorągiewką.

Nie mając z kim, zaczęła szczérzyć ząbki do czterdziestoletniego hamownika, chcąc sobie zapewnić jego protekcyą i pomoc

Pociąg ruszył daléj. Za Bierzanowem i Podłężem wyskoczyły granatowe góry, o wielkich, białych płatach śniegu, wyglądające ponuro.

— Może i w naszych górach jeszcze śnieg, pomyślała, lecz nie wierzyła.

— Bochnia!

W Bochni była na jarmarku. Matka sprzedała krowę, dali co sama chciała. Bawiła się, tańcowała przy muzyce, ochota wielka, kawalerów moc. Działo się to łońskiego roku, jakoś na św. Stanisław. Wprost z jarmarku poszła z matką do Szczepanowa na odpust.

Wspomnienia serce jéj rozrywały, niecierpliwość szarpała nerwy, a tu jak na złość pociąg stał w miejscu.

Dla ochłodzenia, zaczęła się wachlować chusteczką.

— Panience gorąco—odezwał się hamownik, przystając.

— Z niecierpliwości—odpowiedziała rezolutnie.—Mógłby pan machnąć parę razy chorągiewką, pojechalibyśmy zaraz.

Hamownik się roześmiał.

— Albożby mnie usłuchali?

— Spróbujcie.

— A służba? Dadzą sygnał, ja macham, że wszystko dobrze, i jazda.

— Jazda, jazda — zawołała, wychylając się.

— Cicho — zaprotestował konduktor—spódnice tu nie rządzą.

— To niech surduty nie bałamucą a jadą.—Zaśmiała się.

— Pilno panience — dodał hamownik.

— A pewno, wysiedziałam się w Krakowie calusieński rok. Dziś jarmark w Brzesku, matusia i cała wieś na jarmarku, a tu stój i stój.

— Gotów — zawołał konduktor.

Hamownik machnął chorągiewką, skoczył na deskę wagonu, pociąg ruszył.

Dziewczyna, stojąc w oknie, patrzała rozpromieniona. Ta sama szeroka droga, obsadzona topolami, po której prowadziła krowę. Matusia ją poganiała. Ta sama kita czarnego dymu z czerwonego komina młyna parowego. Wtedy widziała ją z drogi, dziś z okna wagonu. Nic się nie zmieniło.

Pociąg wpadł w środek sosnowego lasku, przecinając go na połowę. Na czerwoném tle igieł sosnowych wiły się wydeptane ścieżki.

Tędy wracała z Bochni, idąc na odpust do Szczepanowa, matusia za nią, a obok niéj garść wesołych parobków. Płótnianki z czerwonemi obszywkami nieśli przewieszone przez ramiona czapki baranie i kapelusze na bakier, białe koszule, pozawiązy-

wane czerwonemi wstążkami... Jakie to były wesołe gadania, a co śmiechu. Mój Boże!...

Pociąg wysunął się z lasku. Na wykarczowanéj polance dwóch gospodarzy siało owies, trzeci włóczył parą mierzynów.

Wysunęła głowę, witając ile jéj sił starczyło:

— Szczęść Boże!

Siewacze widocznie usłyszeli, przystanęli i zdejmując czapki z głowy, dziękowali.

Uradowane dziéwcze, pełne wesołości, powiéwało chusteczką, siewacze odpowiadali jéj czapkami.

— Pewno sobie myślą, że to jaka kuma, przyjacielstwo, ciekawi okrutnie.

Pociąg tymczasem minął polanę i znowu zanurzył się w las.

Po chwili lokomotywa przeraźliwie zaczęła świstać. Dziewczę gorączkowo odchylając przykrywkę koszyka, zaczęło przeglądać swoje rzeczy. Chustkę popielatą w zielone kwiaty, spódnicę nową, kaftanik, dwie koszule, pończochy, chusteczkę i pierniki, prezenta dla matusi i wiejskich dzieci.

Przekonawszy się, że wszystko jest na swojém miejscu, poprawiła chusteczkę na głowie, pochwyciła koszyk, czekając niecierpliwie. Lokomotywa jeszcze raz świsnęła, pociąg wjechał w ogrodzenie, należące do stacyi, mijając szeregi wagonów i żółte budynki.

Dziewczę do połowy wychyliło się przez otwarte okno.

Hamownik stał na stopniach wagonu.

— Pewno kochanek czeka, bo widzę, że panienka radaby ze skóry wyskoczyć.

— Dwóch — zawołała — otwiérajcie.

— A rozkaz? Będzie wszystko na czas, sprzykrzy się i kochanek.

— Wam same rozkazy i głupstwa w głowie.

Budynek o szwajcarskiéj werendzie, wypełniony ciemną masą ludzi, wyłonił się z po za drzew.

— Słotwina — zawołał konduktor — dwie minuty. Kto do Słotwiny?

— Ja, ja — wołała, nie mogąc z niecierpliwości i strachu, tchu w piersiach złapać. Zaczęła bić z całéj siły ręką o framugę okna.

— Zaraz, zaraz — mówił wolno hamownik — nie uciekną.

— Właśnie, że uciekną.

— I jarmark nie ucieknie. A jeżeli ich dwóch, to będą mieli jeszcze dość czasu pobić się i pogodzić.

Otworzył, dziewczyna wyskoczyła. Mało co nie upadła, hamownik ją podtrzymał.

Biegła żywo, prześcigając żydów i mieszczan.

Odbiérający bilety był jéj znajomy.

— Dzień dobry.

— Panna Marysia wraca do nas.

— Nie na długo. Cóż jarmark duży.

— A Bóg tam wié. Człek na uwięzi, jak pies na łańcuchu.

Dziewczyna nie słuchała więcéj, przebiegła przez sień, stanęła we drzwiach, spojrzała dokoła oryentując się jak sarna, zanim skok stanowczy zrobi.

Wielką drogą pomykali obładowani towarami ludzie ze Szczurowy i Rysia.

Pobiegła za nimi.

— Jarmark musi być walny, kiedy aż Rysiowianie ze statkami ciągną. — Paliło ją pod stopami, rada była dobiedz jak najprędzéj, w jednéj chwili, w jedném mgnieniu oka.

Słońce walcząc z białemi zwojami chmur i wiosenną mgłą, pokonywało je powoli. Wypływając na szafiry nieba, zaczęło grzać rozkosznie. Trawa stała się zieleńszą, pęczki drzew obok drogi zdawało się, że w oczach pękają. Ludzkie twarze rumieniły się radością, zdobiły uśmiechem.

Wiosna oczarowała świat cały.

Zaprzęgnięty wózek w jednego konia, wracał pusty ze stacyi do miasta. Konik szedł truchcika, chłopak siedzący na koźle rozglądał się wśród ludzi.

— Maryś, to ty?

Dziewczyna stanęła.

— Kubuś — zawołała radośnie.

Chłopak zatrzymał konia.

— To chyba już nie Maryś, ale panna Marysia.

— Żadna panna, mów mi jak dawniéj. Ja cię także nie będę nazywać panem, chociaż masz bluzkę na grzbiecie, a kapelusz na głowie.

— Prawda — zawołał chłopak i rozśmiał się.

— Duży jarmark? — spytała.

— Siarczysty, takiego nie pamiętam.

Dziewczynę niecierpliwość rzuciła naprzód.

— Maryś siadaj, podwiozę cię do pierwszych domów.

Dziewcze wskoczyło na wózek.

— Jedź, jedź: matki nie widziałam cały rok. Czy ino są na jarmarku?

— Coby nie byli. Cały świat dziś na jarmarku.

— Tak mnie pali, że mało ze skóry nie wyskoczę.

Chłopak się zaśmiał.

— Nie dziwota, Kraków mieścisko wielgie, pono ani początku ani końca.

— Wielgie — powtórzyła — pola nie ujrzysz

— I jakże tam ludziska mogą wyżyć?

— Muszą i basta. Cóż tam w Okocimie, żyją, zdrowi?

— A coby im brakowało. Wojtek Bodura z Kaśką Kasprzycką dał na zapowiedzi.

— Ja to pierwsza przepowiedziałam.

— Coby nie.

— A Józek?

— Jóżek, pono na Marysię czeka.

— Gadaj głupi, gadaj.

Chłopak konia zatrzymał.

— Teraz Maryś wysiądź, bo jakby stary zobaczył, skląłby mnie okrutnie.

— Bóg ci zapłać, mój chłopaku, zobaczymy się przecie. Przyjdź do Lejby na piwo. A czy trzoda na tém samém miejscu stoi?

— A gdzieżby się podziała?

Dziewczyna zniknęła w tłumie, chłopak krzycząc z drogi, wolno noga za nogą jechał.

— Nie sposób, żeby matusia przez zimę nie uchowała paru prosiaków. Musi z niemi tu być. Przeciskała się wśród gromady ludzi, do miejsca, gdzie trzoda stała.

Nie omyliła się. Na wzgórzu spostrzegła matusię, trzymającą na powrozie dwa wyciągnięte ze zmęczenia na piasku prosiaki.

W téj chwili dobijali targu o karmnika. Hałas był wielki, matusia zapatrzona, wsłuchiwała się.

— Ośmdziesiąt pięć i pięć szóstek, kobiéto, nie dam więcéj, żebym tu padł na miejscu. Bierzcie pókim dobry...—Rzeźnik chwycił za rękę gospodynię, wyprostował jéj dłoń i uderzył swoją dłonią silnie...

W téj chwili dziewczyna dopadła do matki, chwytając ją za rękę.

— Jezus Marya!

— Matusiu.

— Maryś.

— Dziecko, zkądże ty tu, jak, po co?

— Zkąd? z Krakowa. Jak? koleją. Po co? nawiedzić was, odpocząć se, nacieszyć się.

— A niechże cię!... Urosłaś, wyładniałaś, ciała ci przybyło o połowę. Bogu niech będą dzięki. Dobrześ zrobiła, żeś przyleciała; a służba?

— Państwo moje pojechało do Warszawy, a ja tu.

— A niechże cię!... Cieszę się okrutnie.

— A jak ja! Myślę se: dziś jarmark w Brzesku, matusia są z prosiakami—i lecę.

Zaczęły się całować.

— Cóż tam u was?

— Nic; chwała Bogu, nic nowego,—odpowiedziała matka.

— Tatuś?

— Na flisie, jak tylko lody puściły. Gruntu mało, trza radzić jak można.

— A we wsi?

— Różności, jak między ludźmi. Dopiero to będzie uciechy, jak cię zobaczą.

Dziewczyna się roześmiała z radości.

— Wiele dają za prosiaki?

— Nic jeszcze nie dają, moje dziecko; pies się o nie nie spytał.

— Dajcie no powrózek, może moja ręka będzie szczęśliwsza.

— A bierz go, bierz.

Dała jéj powrózek a odebrała koszyk.

Dziewcze szarpnęło nim, prosiaki odpowiedziały kwikiem i to ją ucieszyło i rozweseliło.

— Ludzie—zawołała—a chodźcie kupować moje prosiaki.

— Cicho,—szepnęła jéj matka,—pomyślą, że chcesz się ich pozbyć.

— Bo prawda, chcę,—odpowiedziała, i na krakowską modę zaczęła wołać:—Ludzie chodźcie patrzéć co za prosiaki, tłuste jak kluski.

Na wołania kupcy nie przyszli, lecz za to zbiegli się znajomi witać dziewczynę.

— Maryś! Maryś!?..

Co było radości. Dziewcze rozpływało się w uciesze.

Starsze gospodynie całowała w ręce, lecz za to młodsze dziewczęta, „dziopy“, ją całowały po rękach.

— Marysia wyszła ci już na miejską pannę, a jaka ci biała, krew z mlékiem. A jaką ma ci figurę, jakie pończochy ho—ho!

Matka topniała od radości.

Gromadka ludzi zbiła się koło nich, kupcy myśleli, że się dobijają o prosiaki.

— Wiele za nie?—spytał rosły w surducie mieszczanin.

— Dwanaście papierków, odpowiedziała.

Matka ją trąciła łokciem w bok, na znak, że przesadziła.

— Ośm.

— Żebyście tak zdrowi byli,—odparła.—Gospodarz daje dziesięć—wskazała na obok stojącego kuma matki.

— Bo prawda,—poświadczył.

— I ja dam dziesięć i dwie szóstek.

— Nawet pół jedynasta nie będzie.

— A wieleż?

— Jedenaście papierków, ostatnie słowo.

— Dziesięć i sześć szóstek, bo nie mam czasu. Mów panienka: tak albo nie.

— Bierzcie i to tylko dla was.

— Dla czegóż dla mnie?—spytał zalotnie.

— Boście młodzi i ładni.

Gromadka w śmiéch. Pogłaskany kupiec odpowiedział.

— Żeby nie panienka, tobym na prosiaki i nie popatrzał.

— Umié dziewczyna sprzedawać,—mówili ludzie.— Kobiéta nie dostałaby więcéj jak ośm.

Dziewczyna z dumą oddała matce pieniądze.

Wśród gwarliwych rozmów i igraszek gromadka zniknęła w otwartych wrotach zajezdnego domu.

— Panna z wielgiego miasta wróciła, to niech się teraz wkupi do wsiowych ludzi,—odezwał się jeden z mądrali, mrużąc na znak podejścia lewe oko.

— Hej proszę garniec piwa i szklanki tu,—odpowiedziała na przymówkę dziewczyna.

Postawiony na stole dzban piwa i sześć szklanek zrobiło głębokie wrażenie. Maryś nie żałowała, częstując kto się tylko ze znajomych nawinął.

Przywieziony prezent z Krakowa dla matki przez córkę zjednał jéj serca wszystkich.

Posadziła matkę na ławie, zdjęła jéj z głowy starą chustkę schowała ją do koszyka, a nową zawdziała, zawiązując po krakowsku.

Nawet sama karczmarka z za szynkwasu dziwowała się.

Tak przystrojoną wyprowadziła z zajazdu na boży świat.

Przechodziły przez rynek troszkę dumne.

Co która kuma zobaczyła kobiétę w nowéj chustce, chwaliła

i chustkę i córkę, co przecież nie zapomniała w wielgiém mieście o matce a chociaż się przeinaczyła na pannę, przyleciała i garnie się do ludzi i wsi.

Drogą obok wielkiego browaru, a późniéj zaraz ścieżkami szły wciąż pod górę. Dziewczyna, odzwyczajona od gór, stawała i odwracała się, chwytając w płuca powietrze.

Przed jéj oczami ciągnęła się panorama, obejmując płat ziemi aż po Wisłę. Z miasteczka dolatywał gwar podobny do roju pszczół. Za dworcem kolei ciągnęła się sino niebieskawa równina, podzielona ciemnemi pasami lasów. Wielka przestrzeń niedościgła okiem, nad jéj głową świergot skowronków, pod stopami zielona trawka, obok niéj brzozy ze złotemi listkami i wierzby, na miedzach stare grusze obsypane białym kwiatem, a w górze słońce grzejące rozkosznie...

— Chodź, chodź Maryś,—nalegała matka.

— Niechże się nacieszę tym bożym światem,—odparła wzruszona. W tym Krakowie same ino kamienice, mury i mury, kamienie, błoto—i ta garść drzew na plantach.

— Wiosna, moje dziecko, wszystko się raduje, ptastwo, wszelaka gadzina, drzewa i ludzie.

— I ja się raduję. Leciałabym sama nie wiem gdzie, serce mi drży, całowałabym, ściskała kogo niebądź—wszystkich...

— Ej ty zbytnico.

— Cały świat.

Dana, dana dana
Ziemio ty kochana!

Ha—ha—ha!...

Echo jéj odpowiedziało, kukułka zaczęła kukać, jaskółki nad jéj głową przelatywały, ciepły wietrzyk z południa chłodził jéj rozpaloną twarz... Rzuciła się do matki, ujęła ją w pół i podniosła.

— Zberezisz, zberezisz jak nasza cielisia.

— A bom to nie cielisia? Ona gdy wyrwie się ze stajni, a ja z tych wściekłych murów.

— Statkuj, bo ludzie idą,—zawołała matka oglądając się.

— Niech idą, będę z niemi igrać, zberezić, bawić się, śmiać, tańcowałabym na murawie w rosie całą noc.

Wymówiła „rosę“, przypomniała sobie jéj chłód przyjemny: dawniéj parzył z zimna jéj stopy. Usiadła na trawie, zdejmując gwałtownie trzewiki i pończochy.

Gromadka nadciągała, białe jéj nogi i białe łydki powabnie się rysowały na zielonym trawniku.

— Panna miejska i boso?—dziwowali się ludzie.

— A bom to nie gospodarska córka, — zawołała wesoło. — Moja matusia boso, mój tatuś boso, a ja mam w atłasach chodzić?

Zerwała się, białe nogi wyglądały ponętnie z po za krótkiéj spódniczki.

— A jak mi leciutko, przyjemnie, stąpam jak po dywanie. Ażeby muzyka zagrała, jakbym się puściła drobnego!...

Gospodarze i gospodynie w śmiéch. Niestety, nie było ani jednego parobka.

Od kościoła i szkoły droga słała się równo brzegiem wyniosłości. Po prawéj stronie ciągnęły się chaty, po lewéj zieleniejące pola i odsłonięty widok na cały świat.

Dziewczę spoważniało, patrząc na zamknięty kościół i szkołę. Wspomnienia młodości tłoczyły się do jéj mózgu i serca. Jedne spychały drugie, nie miała czasu ich porządkować w osobne obrazy.

Wieś była prawie pusta, wszystko co żyło na jarmarku.

— Jakoś smutno,—szepnęła dziewczyna do matki.

— Zaroi się tu wieczorem. Nie bój się, będziesz miéć dosyć wesołości.

Chata Biedroniów była usunięta nieco wgłąb, o jakie pół stajania od drogi. W ogródku rosło parę śliw, jedna jabłonka, a na środku dziedzińca grusza, cała w bieli jak panna na wesele.

— Matko Boska, jak tu pięknie, jak milusio,—zawołała dziewczyna, pomykając naprzód.

Dopadła do stajenki, otworzyła drzwi, wbiegła do środka.

— Maryś,—zawołała przestraszona matka... Lecz już było zapóźno. Półroczna cielisia wypadła i zaczęła biegać po podwórku jak szalona. Maryś za nią.

— I cóżeś zrobiła? bydlątko się jeszcze zapali i tyle będzie naszego.

Maryś się śmiała szczęśliwa.

— Matusiu, zastąpcie mu od wrotek. A teraz gnajcie ją na mnie...

Cielisia trzy razy raz po razu fiknęła tylnemi nogami i pędem z podniesionym ogonem w górę wleciała do stajni.

— Nie zbytnica to, taka jak ty?

— Bo i młoda taka jak ja.

— Karmię ci ją czém mogę. Od gęby sobie odejmuję, a w nią pcham.

— To tak samo jak mnie.

— I obie was kocham,—dodała kobieta.

— Jak własne, matusiu. Bo téż my obie matusine,

Nikogo w obejściu nie było. Chłopak poprowadził krowy na powrózku na paszę. Gospodyni pod progiem znalazła klucz, otworzyła drzwi, weszły do izby.

— Matusiu, rozpalmy ogień na kominie. Ognia na kominie nie widziałam jak rok długi.

— A przy czémżeś gotowała?

— Przy węglach pod blachą. Śmierdzą okrutnie, płomienia nie ujrzysz, a war od nich leci jak w piekle.

— Jak w piekle?

— Niezawodnie,—obejrzała się po izbie. Czysto u matusi, ubogo, ale jakoś przecie miło.

Matka przyniosła z zapiecka kilka drewek i ułożyła je na kominie. Maryś zaczęła podpalać, z początku dmuchać, potém fartuszkiem ogień rozniecać.

— Ogieniaszek złocisty, święty. A jak to furczy, pryska, iskry rzuca.

— Nacieszże się nim.

— Wszystkiém się cieszę. I takam kontenta, że żyję, że patrzę na ten boży świat i na tę wiosenkę naszą. A jeżeli umrę, matusiu, nie chowajcie mnie w Krakowie, tylko weźcie i tu między swemi zagrzebcie.

— Głupia; tobie o śmierci gadać, samo zdrowie. Głodnaś, to ci się zwiduje.

— A może z uciechy sama nie wiem co plotę.

— Wodybyś oto ze studni przyniosła. Klusek uwarzę.

— Lecę. Ho, ho, dawno już k u l (1) nie miałam na sobie. Matko Boska, ratujże mnie.

„Jechał Jasio konie poić
Zosia wodę brała“...

Rozlegało się po całém obejściu, odbijając echem w brzezince bielejącéj na wzgórzu.

— A teraz się matusiu umyję, uczeszę, przyoblekę, wystroję, abym pachniała młodością, zdrowiem i chłopców ciągnęła.

— Trzeba, przecie kto zajrzy, rówieśnice twoje. Po wsi się migiem rozleci, żeś wróciła.

Matka się nie omyliła. Wieczorem zaroiły się czerwone i niebieskie spódnice przed chatą.

— Maryś witaj, jak się masz, daj ci Boże szczęście, a jakeś to urosła, a jaka walna z niéj dziewucha...

Dużo było śmiéchu, a więcéj jeszcze wesołości i uciechy. Marysia każdą z rówieśnic pocałowała w usta i uściskała za rękę.

---

(1) K u l e—drewniane nosze do dźwigania w konewkach wody.

Zasiadły gdzie która mogła, na skrzynkach, ławie, i jedna przez drugą zaczęły opowiadać całoroczne dzieje wioski. Potém jedna drugą zaczęły prześladować parobkami, kłócić się i śmiać.

Maryś śmiała się najgłośniéj. Matka przyniosła na poczęstunek słodkiéj i kukiełkę kupioną na jarmarku, postawiła na stole.

Powoli, białe słońce zmieniając się w ognistą kulę, nurzało się na skłonie widnokręgu w fioletowéj pomroce, a z za gór wychodził srebrny miesiączek, jako wązki sierp. Gwiazdy mdławo, jedna po drugiéj, zaledwo migotały; w brzezinie słowik się odezwał. Dziewczęta wyległy z chaty na dziedziniec i ująwszy się za ręce, dwoma szeregami poszły drogą wsi ku kościołowi.

Gwar rozlegał się dokoła, przerywany wykrzyknikami wielkiéj ochoty. Gwary i wykrzykniki niosła rosa daleko.

Zwabieni śmiechem parobcy wychodzili z chat, stawali przy wrotkach, zbijali się w małe gromadki, nieznacznie a zgrabnie zaczepiając dziewczęta.

Odpowiedzi były wesołe i zabawne. Maryś réj wodziła. Żadnemu nie ustąpiła i żadnemu nie darowała.

— Józek, Józek,—przebiegł szmer w szeregach dziewcząt.

Na szarawém tle wieczoru ukazał się młody, zgrabny chłopak, jakby z bronzu odlany. Czarny meszek okrywał mu górną wargę, czarne oczy melancholijnie patrzały, a smagła twarz dziwnie i dobrze odbijała od białych twarzy rówienników i płowych ich włosów. Ubrany w granatowéj kurtce i niebieskich obcisłych spodniach, wyglądał jak malowany.

— Józek—powtarzano uroczyście.

Maryś przypomniała sobie żarty chłopaka który ją wiózł, buchnęły na nią ognie. Szczęściem, że żadna z dziewcząt ich nie dojrzała.

— Cóż wam tak Józek wlazł w głowy — spytała,—gdy już dobrze ochłodła.

— Walny chłopak, najładniejszy na okolicę, do wszystkiego sposobny a jaki przychlebny.

— Przylepka chłopak i już,—zawyrokowała krótko a stanowczo jedna z nich.

— I jaki,—przyświadczały.

Przylepka-chłopak nie zwracał uwagi na dziewczyny, i nie zajmował się niemi, siadł sobie na kołowrocie, wyjął drewnianą fujarkę z zanadrza i grać zaczął rzewnie i tęskno. Rosa niosła głos do brzezinki, a z brzezinki odrzucało go echem.

Dziewczęta postawały, słuchając zapatrzone w chłopaka. Muzyka rzewna, piskliwa, oddziaływała na ich nerwy tak silnie, że aż dreszcze przebiegały po ich ciałach. Chciały, aby przestał, a ruszyć się z miejsca nie mogły.

Maryś była dwa razy w teatrze krakowskim, widziała i słyszała, jak gdy muzyka przestała grać, to państwo i różny naród z wielkiéj uciechy klaskał w ręce. Namówiła dziewczęta, aby to samo zrobiły.

Wszystkie razem z podniesionemi do oklasków dłońmi słuchając, czekały.

Chłopak skończył.

Pierwsza Maryś, za nią wszystkie zaczęły bić w dłonie, śmiać się, uciekać.

Chłopak nie rozumiał znaczenia oklasków. Był pewny, że dziewczęta robią to ze swywoli, aby go ino zaczepiać. Nie zwracał na nie uwagi. Namyślał się coby zagrać, nową melodyą układał w głowie.

Dziewczęta przystanęły, zbiły się w gromadkę i naradzać zaczęły, szeptać i z cicha chichotać.

Rozstąpiły się, ze środka wyszła Maryś, szła wprost do chłopca, dziewczęta za nią.

— Józek, jak się masz,—odezwała się drżącym nieco głosem.

— Dobry wieczór,—odpowiedział Józek, uchylając kapelusza.

Dziewcze wyciągnęło do niego rękę.

— Nie poznajesz mnie.

— Maryś,—zawołał wesoło.—Jakże miałem poznać? przebrana za miejską pannę, a we wsi mówiono, że w Krakowie służy.

— Nie mogłam to wrócić?

— Na jarmarku nie byłem, zkądże miałem wiedzieć?

Dziewczęta otoczyły Marysię i Józka.

— Jakże ci się powodzi?..

— Chwalić Pana Boga, nieźle, — odpowiedział łagodnie, — a wam w wielgiém mieście?

— Nie mów mi „wy“, kiedy ja ci mówię „ty“.

— Kiéj nie śmiem. Panna z miasta...

— Takam jak inne. A że mam suknią, to wszystkie w Krakowie w sukniach chodzą.

— Zawsze,—dorzucił chłopak,—i taka ci biała, czyściutka aż pachnie, w kryzie i w stążce u warkocza.

— Nie przychlebny,—szepnęła jedna z dziewczyn Marysi.

— A to ci chłopak pochlebia,—zawołała Maryś.

— Ej co mam schlebiać, mówi się to, co się widzi.

— Zagraj skocznego, zatańczymy.

— Na piszczałce nie idzie.

— Spróbuj.

Spróbował, dziewczęta pochwytały się w pół, lecz chłopak przestał.

— Nie idzie,—rzekł. Poszedł kawałek daléj, siadł na urwisku naprzeciw widniejącéj zdala brzezinki i zaczął wygrywać rzewną melodyą, nasłuchując głosu lecącego po rosie.

— Chłopak jak malowanie i przychlebca,—oświadczyła Maryś. Rówieśnice jéj potakiwały.

Poszły daléj, chłopak grał tęskno i rzewnie. Rosa roznosiła granie po świecie, brzezinka odpowiadała, dziewczyny słuchały, idąc wolno, cicho po twardéj drodze.

Chłopak raptem urwał, dziewczyny jakby na komendę zawróciły, lecz chociaż przyspieszały kroku nie dopędziły chłopaka, zniknął w opłotkach wiodących do chaty.

Nadzieja zobaczenia raz jeszcze ładnego chłopca zawiodła, wesołość się wyczerpała, zmęczenie je opanowywało, sen zaczął mroczyć, odprowadziły Marysię do chaty i rozbiegły się po wsi.

Matka już spała. Miarowe oddychanie rozlegało się tajemniczo wśród ciszy. Dziewczyna zabrała z łóżka przeznaczoną dla niéj poduszkę, znalazła przy świetle księżyca płachtę, okryła się, położyła na stole i powtarzając w duchu:

— Wszyscy mi mówią, żem biała, i chłopak powiedział, chociaż przy księżycu trudno ujrzéć... Słyszał od drugich przychlebca... Usnęła.

Spała twardo, jak sypia zmęczona młodość.

We śnie zdawało jéj się, że piszczałka rzewnie zawodzi. Zbudziła się, przatarła oczy, zaczęła nasłuchiwać. Odgłos piszczałki zbliżał się, akompaniowało mu stąpanie koni po twardéj drodze. Zsunęła się ze stołu na ziemię, zarzuciła chusteczkę na głowę, chustkę na ramiona, otworzyła okno—wyjrzała.

Józek szedł naprzód, za nim posuwała się para spętanych mierzynów.

— Jóżeś to wstał?—odezwała się wesoło dziewczyna.

Chłopak stanął, konie się również zatrzymały.

— Wielki czas, słonko tylko co nie wyjrzy z za gór. Konie trzeba paść i do roboty. Ale że Maryś już wstałaś?

— Zbudziłeś mnie graniem.

— To i dobrze, bo kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Rozśmieli się oboje.

— Bardzo zimna rosa,—spytała dziewczyna.

— Parzy,—odpowiedział.

W białéj spódnicy i koszuli, okryta popielatą chustką z zielone kwiaty, w chusteczce na głowie,—wybiegła.

— Jak rozpalone żelazo,—zawołała, stąpając bosemi nogami po murawie. Rosa pod jéj stopami szeleściała.

— Delikatne to nogi na taką rosę i na takie zimno.

— Jakie,—spytała udając, że nie dosłyszała.

— Pańskie, delikatne, bielusie, wychuchane w trzewikach.

— Przychlebco, gdzieżeś się to nauczył?

— Prawdę mówię: spojrzyj tylko sama.

Dziewczyna spojrzała i zarumieniła się.

— Zczerwienieją ci one niedługo. Józek będziesz dziś wieczór grał?

— Pogoda—dla czego nie?

Konie zniecierpliwione staniem wysunęły się naprzód. Chłopak pogonił za niemi.

— Do widzenia—wołała dziewczyna.

— Do widzenia — odpowiedział, obejrzał się i pobiegł naprzód.

Dziewczyna zapomniała o zimnéj rosie stojąc zapatrzona w zgrabnego chłopca.

— Przychlebca — zawołała, podniosła nogę, spojrzała. Była biała, wydelikacona, zaśmiała się wesoło.—Bo pewno,—szepnęła,—że żadna dziewczyna z całéj wsi nie ma takich nóg.

Chłopak znikł; tentent koni ustał, świergot ptaków podnosił się dokoła niéj gwałtownie i przeraźliwie. Podnóże wzgórza, a z niém wielką kotlinę wypełniła niebieskawa mgła, jak nieprzejrzane wzrokiem morze. Od wschodu, z po za szczytów gór, robiło się jasno i przezroczysto, gwiazdy jedna za drugą bladły i gasły. U wierzchołka jednéj z gór ukazał się różowy pasek, za nim wyjrzał złotawy promień, za chwilę cały snop rzucił się na ziemię i czerwono złote słońce wypłynęło. Od promieni jego mgła, jak gdyby wystraszona, zaczęła się kłębić, rozstępować, czołgać po ziemi i powoli znikać... Przed oczami dziewczyny ukazywały się zielone pola, budynki wielkiego browaru, wieże kościoła i czerwone dachy zabudowań kolei. Wszystko to wynurzało się jak z topieli, żyło—dzwonek z wieży kościoła zaczął dzwonić na Anioł-Pański.

Dziewczyna nie rozumiejąc piękności, patrzała oniemiała i onieśmielona.

— Matko Boska, szeptała w zachwycie, jakie ci to dziwne i jakie cudowne.

— Z zimna zaczęła zębami dzwonić, nogi jéj zdrętwiały, jak kłody, uciekła do izby.

Matka już wstała, Maryś wsunęła się do jéj łóżka pod pierzynę i twardo zasnęła.

— Dziecko ja idę,—usłyszała głos matki nad sobą.

— A gdzie?—zerwała się, siadając na łóżku.

— Do Matusa sadzić ziemniaki na odrobek. Zorał nam łońskiego roku pod żyto.

— A ja, samabym miała zostać?

— Odwykłaś od chłopskiéj roboty.

— Zobaczymy, tylko dajcie co zjeść. Głodnam jak młody wilk. I ja się przecie muszę nacieszyć rolą, ludźmi, całym światem, nim się w tych murach zagrzebię.

Umyła się, w warkocze wplotła szkarłatne wstążki, włożyła biały kaftanik obszyty kryzą, spódnicę żółtawą w różowawe kwiaty, i boso, pochwyciwszy motykę i koszyk, stanęła przed matką.

— Cóż się tak wystroiłaś jak do kościoła?

— Do pracy jak do modlitwy, matusiu. A nuż się jakiemu chłopcu spodobam?...

— Ej te łajdaki patrzą ino na grosz. Tyś biédna.

— Niech ino się któremu „pod ziobra" wpakuję, to już mnie i pazurami nie wydrze.

— Ty, ty zbytnico, to i probuj;—pogłaskała ją po twarzy, pociągnęła ku sobie i pocałowała.

Wyszły, słońce mknęło w górę, południowy wietrzyk łagodnie szemrał wśród gałązek brzóz i wierzb rosnących przy drodze.

Nie uszły dwóch stai, gdy Józek z końmi do zagrody wracał. Spojrzał na dziewczynę i oczu nie mógł oderwać. Biały obszyty kryzą kaftanik, białe bose nogi i żółta spódnica podziałały na chłopca.

Dziewczyna przechodząc, pozdrowiła go i z po za jasnéj chusteczki okrywającéj jéj głowę, tak spojrzała na chłopca, że aż ognie oblały mu twarz.

Nie zatrzymując się, poszła daléj. Chłopak patrzał chwilę za nią, śmignął batem i odjechał.

— A toś dopiero modre swe ślépki w niego wlepiła.

— Po krakowsku—odpowiedziała tryumfująco.

— A jemu, mało co na wierzch nie wyłaziły.

— Widziałam.

— Żebyś tego zmogła, byłabyś se panią.

— Jak Bóg da, matusiu. O państwie nie myślę, ale chłopak jak malowany.

— Ciężko... Przychlebia się każdéj, za każdą ślépiami wodzi, a o żadnéj nie myśli.

— Bo jeszcze na swoję nie natrafił.

Dziewczęta na drodze czekały na Marysię. Oglądały jej kaftanik, dziwowały kryzie. Wszystko co żyło, biegło do Matusa. Ma-

tus bogacz, ma cztéry konie, ludziom orze i sieje, to i samemi odrobkami opędza się jak rok długi.

Wozy z ziemniakami czekały. Na polu zaroiło się od ludzi.

— Cóżto miejskie panny przychodzą na robotę—odezwał się gospodarz, patrząc na Marysię.—Może w rękawiczkach?!..

— A niechby—zawołała dziewczyna wesoło, — byleby tylko robota szła.. Niech ja będę miejska, ale jeżeli mnie tu która wsiowa prześcignie, dam kwartę słodkiéj.

— Słyszycie dziewuchy—zawołał Matus.

— A jak nie—dodała Maryś,—to wy postawicie kwartę.

— Postawię, jak do południa zasadzimy ziemniaki.

— Chodźby do wieczora!

— Niech będzie.

— Dziewczęta héj do roboty,—komenderowała Maryś.—Jedne będą rzędy robić, drugie sadzić, a trzecie nosić ziemniaki. Kasia, Jaguś, Helka, Hanka marsz za mną do rzędów. Gospodynie niech sadzą. U nas tak po krakowsku: kiedy robota, to aż się w niebie śmieją.

— Maryś, toś ty może gdzie pod Krakowem za polowego służyła—spytał Matus, a odwracając się do gospodyń dodał.—Życie kipi w téj dziewczynie.

Pochwała bogacza Matusa dużo znaczyła. Matka Marysi rosła w dumie i uznaniu gospodyń.

— Szkoda, że mam wydanego syna—dodał ciszéj, gdy dziewczyny robiące rzędy posunęły się naprzód.

— Nie drwilibyście se—odparła, udając zagniewaną matka.

— Jak mi Bóg miły, nie drwinkuję. Taka dziewczyna rozraduje ojca, matkę, chłopa, służbę, całe obejście, robota pali się jéj w rękach, szczęście przynosi, gdzie się ino ruszy. A moja synowa siedzi kiéj ten mruk, n i e k o n t e n t a ze wszystkiego choćbyś ją miodem smarował.

Posypały się żale na mruków, co to ani do Boga, ani do ludzi, a dziewczęta na zagonach mknąc naprzód, śpiewały, jak te ptaki, jedna przed drugą.

Na południe przyniesiono misy, na jednéj tarte ziemniaki ze słoniną, na drugiéj maślankę i pszenne kluski.

Bogacz nie żałował. Dobrze żywił swą czeladź i robotników. Miał z czego, to téż przy jadle dobry humor tryskał wesołością.

Nigdy Marysi obiad tak nie smakował, chociaż w Krakowie z pańskiego stołu jadała.

Po obiedzie rozciągnęła się na murawie, matka głowę jéj od słońca chusteczką zasłoniła, dziewczęta układły się obok niéj. Mło-

dość i zmęczenie objęły je twardym snem. Starsze kobiety gwarzyły z Matusem o gospodarstwie i domowych kłopotach.

Maryś wygrała zakład, nie dała się żadnéj wyprzedzić, ziemniaki przed samym wieczorem zasadzone. Matus posłał po słodką. Skrzepiła ich. Marysię nieprzyzwyczajoną do ciężkiéj pracy okrutnie rozbierało. Gospodarz podziękował jéj za przodownictwo i komenderówkę.

Dziewczyny gromadą wśród wrzawy i śpiewów ruszyły naprzód, za niemi gospodynie. Motyki niosły, jak broń na ramionach, uderzając żelazem jedne o drugie, śmiały się cuda wyprawiając. Maryś pierwsza na czele hulała bez upamiętania.

Późno wieczorem z po za gór wypłynął blady miesiączek, rzucając na świat czary, rozwieszał na dolinach srebne mgły. Od brzezinki zawodził słowik, a od kościoła szły niewyraźne, rozpływające się na rosie tory piszczałki.

W otwartém oknie siedziała Maryś. Na drodze ukazały się cienie dwóch dziewczyn, przyzywając Marysię do siebie.

Uradowana przybiegła do nich.

— Józek gra—chodźmy!

— Pomyśli jeszcze sobie, że do niego léziemy, że go zaczepiamy.

— Tylko przelecimy,—prosiły się dziewczęta.

— I nie zatrzymamy się.

— Chyba, żeby nam drogę zastąpił.

— Nie zastąpi—oswiadczyła stanowczo Maryś.

— To chodźmy. Ujęły się za ręce i pobiegły, kąpiąc się w srebrném świetle księżyca.

Na wrotkach obejścia swego, oparłszy nogi o szeroki przełaz siedział Józek, wygrywając różności na drewnianéj piszczałce. Dziewczęta przesunęły się obok niego, jak cienie.

— Dobry wieczór — odezwał się, odejmując piszczałkę od ust.

Przeleciały i gdyby nie to, że ziemia pod ich stopami zcicha jęczała, możnaby je było wziąść za duchy.

Józek daléj wygrywał i czekał.

— Może wrócą?.. Wczoraj mnie sama zaczépiła, świtaniem wyszła z izby, teraz ucieka,—myślał o Marysi. Wesoły śmiech dziewczyny, białe jéj zęby, spojrzenie wyzywające, delikatne nogi i opięty kaftanik z kryzą wryły mu się w pamięć. Czekał, zawodził na piszczałce, nie wracały...

Kury odpiały północek—nie wracały.

Dziewczyny dopadły do kościoła, przebiegając napowrót drożyną po za stodołami. Patrzały na chłopca, widziały jak się oglądał i śmiały się pocichu.

Nazajutrz była niedziela. Maryś w białych jak mleko pończochach, w trzewikach krakowskich o wysokich obcasach, perkalowéj, jasnéj, wyprasowanéj sukience i białéj w złote kwiaty wełnianéj chusteczce na głowie, poszła do kościoła.

Na cmentarzu stali gromadkami gospodarze, parobcy i gospodynie. Dziewczęta wybiegły do wystrojonéj dziewczyny, biorąc ją między siebie. Zaledwo mogła się obejrzéć, spojrzéć ogniście na Józka, uśmiechnąć się do niego i powitać zalotném kiwnięciem głowy.

Chłopak spłonął, jak czerwone wyłogi jego sukmanki, i skłonił się kapeluszem.

Uderzono we dzwony, drzwi kościoła rozwarły się na ścieżaj, gromada po starszeństwie wchodziła; na czele dziewczyn Marysia. Gdy stanęła na wysokim progu obejrzała się szybko, rzuciła wzrokiem na Józka raz jeszcze i już spokojna, pewna siebie, modliła się na książce, klęcząc w gronie rówieśniczek.

Wznosiła oczy ku wielkiemu ołtarzowi, pierwsza na widok kielicha podniesionego w górę, korzyła się, wzdychała głośno i głową dotykała kamiennéj posadzki. W mieście tego nie robiła, lecz w swoim własnym kościele, z rozkoszą przypomniała sobie niedawną przeszłość. Chciała również przekonać ludzi, że chociaż wyszła na pannę z miasta, nie zhardziała wobec Pana Boga.

Po nabożeństwie, gdy cała parafia zgromadziła się przed kościołem, Maryś zaczęła się żegnać. Gospodynie całowała w ręce. Gospodarzom się pokłoniła, do parobków wyszczerzyła białe zęby, z po za wiśniowych warg.

Gdy się zbliżyła do rówieśnic.

— Odprowadzimy cię,—zawołały.

— Dziewczęta, aleź ja w nocy jadę,—ostrzegała.

— Choćby po północku—odpowiedziały,—pójdziemy z tobą.

— I cóż tak prędko?—zagadnął ją Matus.

— Państwo jutro o dziesiątéj wracają. Trzeba pokoje posprzątać, kawę ugotować, na obiad zastawić, roboty huk aż głowa pęka. Cztery pokoje wyfroterować, wody i węgla przynieść na drugie piętro, po mięso skoczyć.

Gospodynie pełne podziwu—szeptały między sobą.

— Jedna dziewczyna tyle ma na głowie?!..

— Walna i już!...—zdecydowały.

— Maryś, myślałem, że zostaniesz do okopania ziemniaków?—przemówił znów Matus.

Maryś się zaśmiała na samę myśl tak wielkiego niepodobieństwa.

— No to przynajmniéj wracaj na żniwa, będziesz u mnie przodownicą. Sprawię wieńczyny, wyhulasz się.

Dziewczyna nie wiedziała co powiedziéć. Odpowiedzi szukała oczyma dokoła i nie znalazła. Józek z parobkami wyszedł na gościniec przyglądać się dworskim koniom.

Przez resztę dnia Maryś była czegoś markotna. Chodziła jak senna. Przed wieczorem pobiegła do brzezinki narwać przylaszczków i stokrotek na drogę.

Po powrocie do domu siadła na ławie, układając bukiet do samego wieczora.

— A gadajże co, nalegała matka...

— Cóż, kiedy jestem jakaś półgłupia i sama już nie wiem jaka. Skołowaciałam na piękne...

Po zejściu księżyca przyszły rówieśnice a z niemi i kilku parobków. Zrobiło się w izbie gwarno i wesoło. Maryś odzyskała przytomność; układała gorączkowo rzeczy do koszyka, bukiet, garnuszek masła, placek świąteczny i garstkę orzechów — podarunki przyjaciołek.

— Chodźmy, chodźmy—nalegała,—drogi kawał i Bóg wié co się może przytrafić, a przysięgłam pani, że wrócę.

— Chodźmy.

Wysypało się z izby co żyło, drzwi matka zamknęła na kłódkę.

Otoczona dziewczętami szła Maryś, za niemi parobcy, śmiejąc się i żartując głośno. Przyłączyło się z drogi jeszcze kilku a z nimi Józek, Maryś nie dostrzegła w gromadzie chłopca, a oglądać się jéj i dopytywać nie wypadało.

Szli żywo na dół wijącą się drogą wśród zasianych zbóż. W dolinie świeciły złotawe światełka, a daléj obok dworca kolei niebieskie i zielone gwiazdy, rzucały dziwnie tajemnicze blaski.

Parobcy baraszkowali, dziewczyny się śmiały, Maryś zgnębiona szła naprzód, jak gdyby uciec chciała. Czasami coś ją chwytało za piersi, tamowało oddech, żal wypełniał serce, przystawała. Nie skarżyła się, lecz była czegoś zła na siebie, dziewczętom zazdrościła wesołości.

Przeszli przez puste miasteczko. Odgłos ich kroków odbijał się od ścian domów. Nie śmieli mówić głośno i śmiać się, pustka ulic, oblanych światłem księżyca, smutno ich usposobiła.

Na dworcu kolejowym zastali ruch, kasę otwartą, dzwonki grały, żydzi szwargotali zawzięcie, gromadka ludzi czekała na boku, gotowa do wsiadania.

Zaledwo Maryś kupiła bilet, głos dzwonka przeraził zgromadzonych. Wszystko co żyło, ruszyło ku nadjeżdżającemu pociągowi. Za nimi Maryś.

Maszyna z dwoma ognistemi ślepiami leciała naprzód, sycząc, buchając dymem i parą.

Dziewczę zaczęło się żegnać z matką i rówieśnicami. Zwróciło się do parobków. Z boku stał Józek.

— To i ty jesteś—zawołała wesoło—i nie odezwałeś się.

— Taki to mruk—odparł jeden z nich.

Józek się zbliżył, ujął rękę dziewczyny i poniósł do ust.

— Jedźcie z Bogiem.

— Dziękuję — szepnęła Maryś cicho, choć jéj serce skakało z radości.

Pocałunek ten zrobił na gromadce wrażenie.

— Wsiadać—zawołał konduktor.

— Wracajże do nas—mówiły dziewuchy. Józek potakująco wstrząsnął głową.

Usiadła—zatrzaśnięto za nią drzwi wagonu. Dziewczyna stanęła w oknie.

— A napiszże, moja dziopo,—prosiła się matka.

— Kiedy nie umiem.

— A mało to umié ludzi w Krakowie?

— Gotów!!

Pociąg się szarpnął, łańcuchy zabrzęczały i wolno zaczął się poruszać.

Parobcy krzyknęli: hurra!—dziewczęta cienko zawołały.

— Wracaj Maryś, kiéj tylko będziesz módz...

Józek żegnał dziewczynę kapeluszem.

Pociąg minął zielone latarnie, niknąc w ciemnym lesie.

Dreszcz przeszedł dziewczynę, sama w pustym wagonie w nocy, czuła się opuszczoną, sierotą. Serce jéj się rwało do matusi, rówieśnic, wioski, gospodarstwa. Wiosna mimowiednie ciągnęła ją swemi urokami.

Józek przyszedł za nią do saméj Słotwiny, pocałował ją w rękę. Czuła do téj chwili dotknięcie jego ust. Kłaniał się, patrzał w nią jak w obraz. Chłopak śliczny, spokojny, delikatny, jedynak, ośm morgów po matusi, para koni, dobytek... A czarne ślepka, a białe zęby i zgrabność wiele warte?.. Tego i nie zliczyć! A zazdrość ludzka, przecież i ta coś znaczy.

— Chłopak jak każdy, szczerzy zęby, i już—pomyślała—a ty biédna dziewczyna, służąca za cztery papierki na miesiąc i na starość morga gruntu. Na wspomnienie służby niemy żal spadł jéj kamieniem na serce. Zamrużyła oczy, Józek stał przed nią, całował ją w rękę, mówił jéj „panno“, kłaniał się kapeluszem i za drugimi powtarzał:—„wracaj“!...

Przeciągły świst zatrząsł nią, zerwała się na równe nogi, pochwyciła koszyk, była pewna, że wraca, otworzyła okno...

— Bochnia!

Zimno przeszło ją po kościach. Bochnia, tuż za nią Kraków... Świtało, z gór wyciągały jedna za drugą chmury, wiatr chłodny przeciągał. Ludzie i świat cały wyglądał jak zaspany. Mgła poszła w górę, ziemia wyglądała smutno i pusto, łąki ciemne, żywéj na nich duszy, ani jednego bydlęcia... Inne tu było życie, gdy do swoich jechała. Natura harmonizowała ze stanem jéj duszy. Objęła rękami głowę, ściskając ją z całych sił.

— Niech będzie co chce — powtarzała — trzeba robić, tu czy tam, wszystko jedno. Praca ta sama.

Rozumowaniem tém starała się zagłuszyć żal i tęsknotę gwałtem cisnącą się do jéj serca.

W Krakowie oprzytomniała. Pochwyciła koszyk, wyskoczyła z wagonu. W sieni przy oddaniu biletów zobaczyła tego samego stróża bezpieczeństwa. Zasalutował i wyciągnął do niéj rękę na przywitanie, uścisnęli się.

— Zdrowo panienka wraca?

— A coby mi brakowało — odpowiedziała wesoło.

— Jakże na imię.

— Maryanna.

— A gdzie mieszka?

— Daleko na końcu miasta.

— Zaszedłbym, choćby na koniec świata.

— Taki pan mocny? Pani zakazała przyjmować kawalerów.

— Więc gdzież?

— Co niedzielę po nieszporach w Sukiennicach spaceruję.

— Zobaczymy się.

— Do widzenia.

Zdobycie odrazu kawalera i jeszcze policyanta, co może wyjść na woźnego, naprawiło humor dziewczynie. Biegła do domu ożywiona. W kamienicy obleciała wszystkie kuchnie, witając się z koleżankami.

Dużo było opowiadań, dużo śmiéchu i wrzawy.

Maryś z lekka napomknęła o Józku, lecz miejskie panny wyśmiały wiejskiego chłopaka, gapia i niezdarę. Choćby miał wąsiki jak jedwab, usta jak wiśnie, a oczy jak węgiel, to zawsze będzie chłopem, i cóż z tego?

Maryś była również chłopką i nie miała się za nic gorszego od córek praczek, stróżów, straganiarek, a nawet woźnych. Nie odzywała się jednak, nie chcąc zbyt energicznie bronić Józka.

Otworzyła okna mieszkania swych państwa, podłogi wyfroterowała, meble wytrzepała, kurze starła, rozpaliła pod blachą, nastawiła wody na rosół i czekała. Jakoś jéj ciasno było w małéj kuchence, na małym, zamkniętym murami dziedzińcu. Brakło jéj powietrza do oddechu, a obszernego widnokręgu dla wzroku. Brakowało jéj słońca, swobody, żartów i śmiechów.

— Co tam teraz robią matka, rówieśnice, chłopcy, Józek?.... Uczuła dotknięcie ust jego na ręku.

Dzwonek u drzwi zadźwięczał. Zerwała się, otworzyła.

Weszła pani, pan poszedł prosto z kolei do biura.

Pani dobra, łagodna, serdecznie przywitała dziewczynę.

Wniesiono kufry. Maryś chcąc zabić nurtującą w niéj tęsknotę, rzuciła się gorączkowo do pracy.

Niespokojna i rozdrażniona, otwierała co rano okno, wybiegała na ulicę. Lecz cóż, z okna widziała ścianę sąsiedniego domu, na ulicy rzędy kamienic, zaledwie w górze kawałek niebieskiego nieba.

— Matko Boska — szeptała; ze złości i rozpaczy chwytała się za włosy i zatargała z całych sił. Ból ją uspokajał, przyprowadzając do równowagi. Wracała do kuchni i chociaż słyszała na dziedzińcu i w bramie śmiechy koleżanek z kamienicy, nie wybiegała jak dawniéj i nie dokazywała z niemi jak dawniéj.

Przyszła niedziela. Po południu wystrojona świątecznie pobiegła do kościoła, a po nieszporach jak zawsze do Sukiennic.

Wielka hala o ciemno szarawym tonie, roiła się służącemi i reprezentantami armii niższych stopni, trzech broni. Najobfitszego kontyngensu dostarczyła piechota i chociaż nie dawała tonu, przeważała liczbą.

Gwar ożywionych rozmów, salutujący znajomi wojskowi, powitania przyjaciółek, koncepta ich kochanków, odurzyły i rozweseliły dziewczynę. Śmiała się i bawiła z drugiemi. Wesołość wypełniła halę.

Za chwilę zjawił się pan freiter o jednéj gwiazdce. A pan freiter znaczy tyle co pół kaprala. Żołnierze salutowali przed nim. On się im skłonił niedbale, zasalutował przed Marysią i wyciągnął do niéj na powitanie rękę.

— Serwus — rzekł tonem protekcyonalno poufałym.

— Serwus — odpowiedziała Maryś, wyciągając również do uścisku rękę.

— Cóż tak panna Maryanna wysiedziała się na téj sakramenckiéj wsi? Myślałem, że mnie szlak trafi ze złości. Na egzecyrce

szymfowałem na gemainów okrutnie, a wszystko bez pannę Maryannę.

— Przepraszam pana freitra — odpowiedziała Marysia—ale ja nie chcę, żeby pan freiter szymfował na moją wieś od sakramenckich.

Pan freiter się zaśmiał,

— A może panna Maryanna zadurzyła się w jakim mudziu. Dałbym ja mu przy befelu.

Na Marysię buchnęły ognie.

— W mojéj wsi — odpowiedziała ostro — niema mudziów.

— To pewno sakramenckie potwory.

— Ładniejsi od pana freitra.

Pan freiter uczuł się upokorzonym w swéj urodzie, a jeszcze więcéj w swéj godności, lecz zmiarkował, że ładnéj dziewczyny drażnić nie należy.

— Ja tak żartował — odezwał się łagodniejszym tonem—tylko panna Maryanna wróciła zła i gniéwa się o byle jaki szpas. Chodźmy na przeprosiny na Mały Rynek do Berberowskiego. Szklaneczka herbaty posmakuje pannie Maryannie.

Marysia dała się uprosić, lecz idąc oglądała się, czy nie zobaczy „policyana", a to dla tego, że freiter w przekonaniu „panien" krakowskich, nie umywał się do „policyana", który po wysłużeniu lat, może woźnym zostać.

— Gdybym go zobaczyła — myślała oglądając się — pokazałabym ci freitrze, co to mojego Józka nazywać mudziem i sakramencką potworą.

Policyanta nie było i Maryś rada nie rada, musiała iść z freitrem do Berberowskiego na herbatę.

W trzech sklepionych, odymionych izbach, na ławach za stołami, obitemi szarą blachą, siedzieli żołnierze ze służącemi, wyrobnicy świątecznie przybrani z żonami, terminatorzy, lokaje bez służby... Towarzystwo rozweselało się herbatą z arakiem, paleniem cygar i papierosów, a przedewszystkiem wesołą rozmową. Starsi panowie osieroceni z towarzystwa dam, drzémali po kątach.

Wszedł pan freiter z Marysią. Żołnierze powstali jak na komendę i salutowali. Freiter rad był z tego zaszczytu wobec dziewczyny.

— Niech tu przyjdzie stu cywilów, choćby to byli grafy, czy się który z żołnierzy ruszy — szepnął do Marysi.

Dziewczyna skinieniem głowy poświadczyła, lecz nie powiedziała ani słowa. Dawniéj połowę honorów odbieranych przez pana freitra przyjęłaby na swoje barki, dziś była na wszystko obo-

jętną. Herbatę piła jakby z musu, na koncepta pana freitra odpowiadała pół-uśmiechem. Myśli jéj błąkały się po wiosce rodzinnéj, plątały między kościołem a Brzezinką, zawadzając o chatę Józka.

— Pannę Maryannę coś ukąsiło — zawołał freiter gniewnie.

Siedzący niedaleko żołnierze i ich przyjaciółki, uznali za konieczne śmiać się głośno z konceptu pana freitra.

Dziewczyna nie znosiła szyderstwa, zbladła, przymrużyła oczy i zapytała spokojnie:

— Bez co miało mnie coś kąsać?

— Bez to — odparł pan freiter — że dawniéj pannę Maryannę słychać było w całéj kawiarni. Śmiała się, szpasowała, brykała jak to ciele urwane z powrozu.

Tu sam pan freiter się zaśmiał, żołnierze z przyjaciółkami zawtórowali mu basem.

Marysia zacisnęła zęby z gniewu i oburzenia, lecz milczała ponuro.

Pan freiter pociągnął parę łyków herbaty, popatrzał na dziewczynę, zatrząsł nią lekko i zawołał.

— I długo jeszcze panna Maryanna będzie siedziéć zaspana, jak gęś na jajach.

Z tego dowcipu pana freitra, towarzystwo w połowie całéj sali zaśmiało się tak serdecznie i głośno, że dziewczyna zerwała się, jak gdyby naprawdę ukąszona.

— Szukajże sobie nie gęsi, nie cielęcia i nie ukąszonéj— krzyknęła.—Za herbatę sześć centów proszę — zawołała na usługującego chłopaka, zapłaciła i nie oglądając się wyszła.

Pan freiter został upokorzony wobec żołnierzy. Kochanka „publicznie“ go porzuciła, traktowała przez ty i zapłaciła za swoję herbatę.

— Gdyby nie to, że jestem freitrem i że niedziela, tobym cię tak sprał.

— Bo prawda panie freiter — przyświadczyli żołnierze, — ona niczego więcéj nie warta.

Dziewczyna wybiegła na rynek, z rynku na planty i tam dopiéro odetchnęła.

— Tu-tu, mam tego dobrego— biła się palcem po szyi. — Freitry, kaprale, żołnierze, kamienice, żydzi, cały Kraków.— Szła prędko, płomienie występowały na jéj twarz.—Dureń—zawołała—że ci przylepili po gwiazdce, to już byś chciał ludźmi poniewierać? Poniewiéraj swoimi żołnierzami. Mudzio ten myśli, że je wielgi pan, a przed miesiącem był taki gemain jak inni. Czekaj, ja ci pokażę, ja cię nauczę. — Trzęsła się z gniewu i oburzenia.

Z plant skręciła na ulicę Dytla. Biegła nią, chcąc się wydostać za miasto, w pola, na wielką przestrzeń, zieloność. Ciekawa była o ile zboża podrosły, jak ptaki świergocą, drzewa kwitną.

Spojrzała przed siebie. Po nad domami wysoko wznosił się zielony wał po którym mknął pociąg. Zazdrościła gromadce ludzi, wyglądających z okien wagonu, czuła się jak w więzieniu zamknięta.

Biegła coraz prędzéj, aby przecie raz wydobyć się z tych murów na szeroki świat.

Dopadła do wielkiéj murowanéj bramy, przecinającéj zielony wał. Ucieszona szła żywo, pewna, że już się dostanie w obsiane pola. Rząd kamienic zastąpił jéj drogę. Zaklęła siarczyście i biegła daléj.

Dotarła nad brzeg Wisły, odetchnęła całą piersią, chłodny wiatr chłodził jéj rozpaloną twarz. Świeża wiosenna zieloność sprowadziła uśmiech zadowolenia na jéj usta. Spojrzała na lewo, przed nią stały czerwone mury rzezalni miejskiéj. Dosyć miała murów, zasłaniały jéj obszary. Biegła póki ich nie minęła, póki jéj wzrok, płynąc po zielonych falach zbóż, nie zatrzymał się na ciemno niebieskawéj ścianie lasów.

— Nareszcie—zawołała — te wściekłe kamienice poszły sobie precz odemnie. Ażebyście przepadły ze wszystkiemi freitrami, gemajnami i z Berberowskim. Żebym mogła, tobym was zburzyła, coby kamień na kamieniu nie został.

W nadrzecznéj wklęsłości drzémała wiklina. Wśród niéj wiła się tajemniczo ścieżka. Dziewczyna pociągnięta urokiem, zbiegła po niéj na dół, ginąc wśród lasu delikatnych żółtych pręcików i wąziutkich świeżych listków. U stóp wklęsłości płynęła rzeka, jęcząc falami i szumiąc smutno wiatrem. Dziewcze usiadło nad brzegiem i zamyśliła się o swéj doli. A raczéj nic nie myślała, tęskniąc za przeszłością, a rwąc się do nieznanéj przyszłości.

— Pocałował mnie, może dla moich białych nóg, kaftanika z kryzą i gładkiéj gęby...—zawołała zburzona. I znowu powoli kołysana jękiem rzeki i szumem wiatru, zapadła w stan rozkosznego odrętwienia.

Za wikliną i Krakowem zachodziło słońce, czerwieniąc wody rzeki i na przeciwległym brzegu stare grube topole i starsze od nich dęby. W wiklinie odezwały się słowiki, naprzód jeden, za nim drugi, dziesiąty—cała kapela. Zbudzona śpiewem dziewczyna oprzytomniała, zerwała się, patrząc na zarumienioną rzekę i gorejące po drugiéj stronie drzewa.

— Czas już wracać, okrutny czas — służba... Gdybym była w chacie u matki, przynajmniéj niedzielę miałabym swoją. A tu...— zaklęła.

— Przyrzekłam, że wrócę na szóstą, pewno juz ósma odbiła. Będzie piekło, mają być goście. Kto samowar nastawi, kto przyniesie co potrzeba.. Będzie piekło; a niech sobie będzie, boję się, czy co? Służby w Krakowie nie zabraknie. A niech przepadną wszystkie, to się i tak nie ulęknę. Mimo to szła coraz prędzéj. Minęła wielką bramę, przecinającą wał kolei... w mieście płonęły zapalone lampy.

Nikogo nie widząc, cała czerwono-granatowa, wpadła do kamienicy w któréj służyła i po schodach do kuchni.

Na podłodze stał samowar, nad nim pochylony stróż dmuchał z całych sił. Sprowadzona służąca z drugiego piętra ustawiała filiżanki do herbaty. Przez uchylone drzwi wlatywały odgłosy wesołéj zabawy.

Weszła pani, spojrzała surowo na Marysię, dziewczyna obrażona odwróciła się.

— Najęłam stróża na twój koszt, Anusia z litości nademną pomaga mi.

Dziewczę nic nie wiedząc co ze sobą zrobić, zaczęła powoli zdejmować i składać chustkę

Pani zwróciła się do Anusi.

— Jak tylko samowar będzie gotów, proszę cię moje dziecko przynieś go do pokoju.

— Dziękuj Bogu, że się na tém skończyło — odezwała się Anusia.—Moja pani chybaby mnie zbiła.

— Bo prawda — poparł Anusię stróż — dziękować Bogu, pani dobra.

— Cóż to, nawet w niedzielę człowiek ma być niewolnikiem!

— Służba, wolność traci — rzekł stróż i tak mocno dmuchnął we wnętrze samowaru, że aż z boków jego buchnęła para. — Gotów—dodał uroczyście, nasadził czapkę na głowę i wyszedł.

— Nieś samowar, a ja za tobą filiżanki.

Maryś pochwyciła samowar, Anusia tacę z filiżankami.

Sprawa została załagodzoną, lecz usposobienie Marysi zmieniało się z każdym prawie dniem. Z wesołéj, uśmiechniętéj, chętnéj do pracy, zrobiła się opryskliwą, złą, roztargnioną.

Nie wychodziła prawie z kuchni, lecz téż w niéj nic nie robiła. Zamyślona, zapominała o wszystkiém i wszystko jéj leciało z rąk. Wytłukła połowę szklanek. Wobecności swéj pani odtrąciła uszko od filiżanki.

— Tego ci już nie przebaczę— zawołała oburzona pani — filiżankę musisz odkupić.

— Kiedy tak, to niech wiem za co — i filiżankę z całéj siły rzuciła o podłogę.

Skorupy rozprysły się na wszystkie strony.

— Pakuj rzeczy nędznico—krzyknęła pani. Poszła do pokoju, za chwilę wróciła, kładąc na stół srebrne guldeny.

— Oto twoje zasługi. Za filiżankę i sześć szklanek, odtrącam guldena, Żeby cię tu za pięć minut nie było.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała. Po odejściu pani zgarnęła pieniądze, cicho je licząc. Było dziewięć sztuk, zaważyły jéj w ręku, zaciężyły w kieszeni. Rzeczy schowała do kuferka, pierzynę związała prześcieradłem. Zarzuciła na siebie chusteczkę na głowę, chustkę na ramiona, wybiegła na miasto.

— Dziesięć sztuk srebra wystarczy i jeszcze piątkę do domu przywiozę. Bóg ją natchnął, że mnie wygnała, bo inaczéj zwaryowałabym w tych wściekłych murach.

Dziś wieczór wyjeżdżam, w nocy będę w Słotwinie, a świtaniem w domu. Drgnęła cała i podskoczyła z radości. Co zrobić teraz, gdzie się obrócić? Pobiegła na drugie piętro do Anusi.

— Stara mnie wygnała — szepnęła.

— Za co? — pytała wystraszona dziewczyna.

— Rozbiłam filiżankę u jéj nóg, na drobne kawałeczki.

— Ej ty waryacie, ciebie coś ukąsiło.

Maryś przypomniała sobie freitra.

— Nie mów mi o ukąszeniu, bo ucieknę od ciebie. Idź poproś pani, aby ci pozwoliła wyjść ze mną na półgodzinki. Polecimy na Sienną po stroje.

Anusia dostała pozwolenie. Radząc o ostatnim wypadku, szły żywo przez ulicę, zatrzymując się mimowiednie przed restauracyą pod „Nową pocztą".

— Wstąpmy na kiełbaski i kufelek piwa — zapronowała Maryś.—Dziś prócz filiżanki herbaty nic w ustach nie miałam.

Anusia więcéj z ochoty na piwo i nadziei zobaczenia młodzieży, przyjęła zaproszenie.

— Wiész, twoja stara to anioł — rzekła, upijając piwo i strzelając oczyma na grającego w bilard młodego listonosza.

— Niezła, ale ci za to taka dumna, tak dmie, harda, gęby do człowieka nie otworzy, broniła się Maryś.

— Wolę taką, jak taką co od rana do nocy gęby nie zamknie, burmistrzuje i burmistrzuje.

— Niech będzie jaka chce, kontenta jestem, że mnie wygnała, i basta. Dziś jadę do matki na wieś, w pole na własny zagon. Wolę najcięższą robotę, jak piec się w kuchni, gdzie powietrza złapać nie można. Kończ piwo i lećmy.

Anusia wychylając kufel, raz jeszcze przeszyła wzrokiem listonosza, lecz napróżno. Wywnioskowała, że jest żonatym, wsunęła rękę pod ramię Marysi, i z wielką elegancyą opuściły salę jadalną.

Przyjaciółki minęły Mały Rynek, zagłębiając się w wązką, średniowieczną uliczkę Sienną. Maryś kupiła „ostrego", czarny w różowe kwiaty na gorset, moc wstążek do warkoczy, spódnicę wiejską i fartuszek biały.

— Cóż to, myślisz się przebrać?...

— Brzydka będzie ze mnie dziewucha? — Maryś ujęła się pod boki.

— *Fein* — odpowiedziała za Anusię poważnie żydówka.

— Koszula biała, czarny z różowém gorset, wstążki u warkoczy.

— *Fein* — powtórzyła żydówka.

— A ja ci powiem, Maryś, że ty jesteś głupia.

— A ja ci powiem, żeś ty głupia, rozumiesz.

— Ja się nie schłopię.

— Ale za to na starość zdziadziejesz.

— Zobaczymy — odparła urażona dziewczyna.

— Jeszcze ci gdzie na odpuście centa dam do miłosierdzia Pańskiego.

— Gdybym nawet była dziadówką, to do chamów ręki nie wyciągnę.

— Tylko do smyków i łajdaczek.

— Milcz — krzyknęła Anusia.

— Ty sama milcz, żołnierska kochanico.

— Mam świadka żydówkę; zobaczysz, ja cię nauczę, chłopska duszo.

— Ja nic nie słyszałam — wołała żydówka.

Anusia złorzecząc i odgrażając się, wyleciała ze sklepu.

Plac boju został przy Marysi.

— Chłopska duszo — powtarzała żydówka, przedrzeźniając Anusię. — A ja powiem panience, że teraz chłopom najlepiéj na świecie. A cóż to brakuje gospodyni na wsi? Pani w swojéj chałupie.

— Bo prawda — poświadczyła Maryś, sapiąc z gniewu.

— Dziewusze na wsi potrzebne korale, a jeszcze takiéj białéj jak panienka.

— Alboż mnie to stać na korale, moja pani Mośkowo.

— Po co prawdziwe? Mam takie, że nikt nie pozna.—Wyjęła pudełko, rozkładając sznury przed dziewczyną.

Marysi się oczy zaśmiały.

Po długich targach, trzy sznury zostały zawieszone na szyi dziewczęcia, a półtora srebra przeszło do kieszeni żydówki.

Dziewczyna zostawiła kupione rzeczy w sklepie, wyszła na ulicę i nie wiedziała, co z sobą zrobić. Dawniéj nigdy nie miała czasu, zawsze się jéj śpieszyło, dziś uczuła się raptownie obcą w mieście. Zaczęło się jéj przykrzyć i coraz więcéj w sercu palić, rada była uciec z miasta w téj chwili. Coś ją niepokoiło i upokarzało.

Wyszła na rynek, spojrzała na Sukiennice i zawstydziła się, jak mogła co tydzień latać tam i baraszkować z żołnierzami. Dreszcz ją przeszedł, odwróciła głowę i zaczęła uciekać.

Drzwi do kościoła panny Maryi były otwarte, weszła podziękować Bogu, że ją z niewoli wybawił. Służbę i Kraków w swém przekonaniu uważała za największą na świecie niewolę.

Kościół był pusty, ona jedna w nim. Przygniatał ją swoim ogromem. Bóg w tym kościele wydawał się jéj tak wielkim i potężnym, że bała się obejmować go myślą. Inaczéj wyobrażała sobie Boga u siebie na wsi, w małym drewnianym kościołku. Zdjęta strachem i zgrozą wyszła.

— Dopiéro naprawdę pomodlę się na wsi w niedzielę—pocieszała się.

Obeszła rynek do około, przypominając sobie, co w którym sklepie kupowała.

Zmęczona i wyczerpana, znudzona, odwiedziła Berberowskiego, wypiła szklaneczkę herbaty z arakiem i oparłszy głowę o ścianę, drzémała.

Śniły się jéj cudowności, zamiast koni, parobcy ciągnęli ją pod górę z Brzeska do Okocima a Józek nimi powoził.

Obudziła się, szczęściem dla niéj już się zmierzchało. Wprost ze sklepu pobiegła do warsztatu stolarskiego, wywołała dwóch znajomych terminatorów i uprosiła ich, aby kufer jéj zanieśli na koléj, gdyż sama musi wziąść pierzynę.

Zawstydzona i nieśmiała po cichu wsunęła się do pokoju pani.

— Przepraszam — rzekła wzruszona. — Pani dla mnie była bardzo dobra, tylko ja nie wiem co się ze mną dzieje.—Pocałowała panią w rękę.

— Moja Marysiu, ty chora jesteś. Odpocznij sobie u matki i wracaj. Wyjęła z portmonetki zakwestyonowanego papierka i dała jéj.

Dziewczyna z wdzięczności miała łzy w oczach.

Terminatorzy pochwycili kufer i polecieli naprzód, za nimi z pierzyną na plecach Marysia.

Na dworcu wypili w trójkę piwa i na pożegnanie pocałowali pannę Maryannę w rękę.

Dziewczyna odetchnęła całą piersią, została sama i nic oprócz przestrzeni nie dzieliło jéj z wioską.

O dziesiątéj w nocy kupiła bilet, rzeczy wyprawiła, siadła do wagonu, pociąg ruszył... Zajęczało, to był znak, że przejeżdża Wisłę, mija granicę miasta, ostatnią zaporę i jest już na bożym świecie.

W Słotwinie, zdyszana dopadła stacyi.

— Kubuś — wołała z całych sił.

— Jestem — jednokonny wózek zajechał.

— Pomóżże mi rzeczy zabrać, stoją koło pociągu, jest i pierzyna.

Kuferek postawiono w tyle, na pierzynie siadła, wózek potoczył się raźno.

Minęli Brzesko, jadąc pod gorę stępo. Kubuś drzémał, Maryś nie odzywała się. Cisza w naturze, wyiskrzone gwiazdy na ciemném niebie, ciepło— Boży świat nie objęty okiem, radość rozsadzająca piersi dziewczęcia, wszystko razem rozrzewniało ją.

— Matko Boska, jakaś Ty dobra — szeptała, składając ręce.

Otwartą bramką zajechali cicho przed chatę, tylko łańcuchy naszelników brzęczały. Maryś pochwyciła pierzynę, rozwarła drzwi.

— Matusiu jestem!... — zawołała.

Kobiéta się zerwała, rzuciły się w objęcia.

— Ze wszystkiém?

— Ze wszystkiém.

— A niechże ci Bóg da zdrowie.

— Jest przyodziéwy pełen kufer, pierzyna i jeszcze coś grosza na żniwa.

— A niechże ci Bóg da zdrowie. I już nie wrócisz do miasta?

— Nigdy — zawołała dziewczyna, wznosząc ręce w górę.

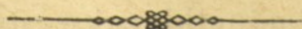
Kubuś, odebrawszy należność za drogę, odjechał.

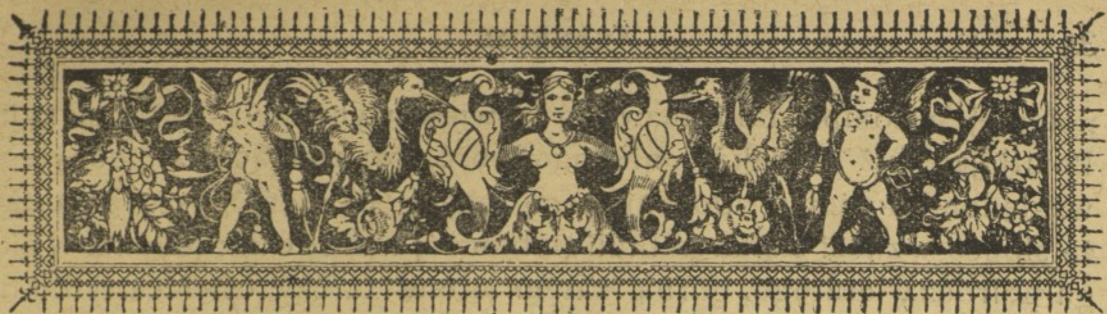
— A teraz spać, bo się na nogach nie mogę utrzymać. Rzuciła się na matczyne łóżko.

— Taka ci jestem uradowana... matusiu, żeby to tak w niebie... Zasnęła.

Braciejowa, dnia 1-go maja 1889 roku.

Sewer.





CZAS.

V.

Najdawniejszy przyrząd do mierzenia czasu stanowią oczywiście zegary słoneczne, u nas kompasami zwane. Gdy bowiem bieg dzienny słońca następstwo godzin nam znaczy, trzeba było tylko ruch ten przenieść na przesuwanie się cienia, rzucanego przez pręt w ziemi utkwiony, by obserwacyi większą nadać dokładność. Wynalazek zegarów słonecznych przypisywano filozofom szkoły jońskiéj, następcom Talesa, Anaksymandrowi i Anaksymenesowi, z szóstego wieku przed Chr., niewątpliwie wszakże znane one były dawniejszym znacznie astronomom Chaldei i Egiptu. W pierwotnéj swéj formie był to zresztą zapewne tylko słup lub filar, pionowo na płaszczyźnie pozioméj wzniesiony, który oznaczał południe w chwili, gdy cień jego stawał się najkrótszym: jest-to sławny gnomon astronomów starożytnych, budowany troskliwie i w skromnym swym zakresie wciąż doskonalony, zanim ustąpił wobec przyrządów astronomii dzisiejszéj.

Aby wszakże zegar słoneczny zbudować, nie dosyć jest wbić pręt pionowy w ziemię i zatoczony dokoła niego okrąg na równe podzielić części, słońce bowiem wraz z całém niebem nie bieży dokoła linii pionowéj, ale obraca się dokoła osi, która w różnych punktach ziemi rozmaicie jest do poziomu pochyloną. Z najmniejszym tedy zachodem urządzićbyśmy mogli zegar słoneczny, ustawiając pręt ten czyli gnomon w kierunku osi świata, tj. zwracając go ku gwieździe biegunowéj; u nas pręt ten pochylonym by był do poziomu pod kątem 52°, a cień jego, przy zmienném położeniu słońca, na tarczy do pręta prostopadłéj co godzina obiegałby drogi równe; tarcza ta ułożonąby więc była w płaszczyźnie do równika rów-

nonegłéj, a kompas taki nazwano równikowym czyli równonocnym. Pomijając już wszakże niedogodność, wynikającą z pochyłego względem poziomu ułożenia tego zegara, pamiętać jeszcze należy, że słońce wznosi się na półkuli północnéj nad równik jedynie w ciągu półrocza letniego, górną zatém stronę tarczy oświeca tylko od końca marca do końca września, przez drugie zaś półrocze promienie jego padają na dolną jéj stronę, którą tedy podobnie jak górną zaopatrzyć należy w podziały, aby pręt, i ku dołowi wydłużony, mógł cieniem swym godziny w półroczu zimowém wskazywać.

By niedogodności tych uniknąć, korzystniéj jest tarczę kompasu umieszczać poziomo lub pionowo; w tym razie jednak odstępy kresek wskazujących godziny nie będą już równe, a konstrukcya takiego zegara słonecznego wymaga pewnych metod geometrycznych. Dla tego téż urządzanie kompasów stanowiło niegdyś ważną sprawę astronomii praktycznéj, a na rozwiązywanie nastręczających się tu zagadnień nie skąpiono pilności. Pomimo to wszakże zegar słoneczny być może bardzo niedostatecznym jedynie przyrządem. Nie mówiąc już o tém, że daje on czas prawdziwy, a nie średni, którym się posługiwać musimy, że godziny wskazywać może tylko za dnia i przy niebie pogodném, to nadto niepodobna jeszcze oznaczyć na nim dokładnych i drobnych podziałów. Trzebaby konstrukcyi niezwykle starannéj i wielkich wymiarów tarczy, aby odczytywać na niéj dokładnie minuty. Udoskonalenie zegarów mechanicznych odebrało kompasom wszelkie znaczenie praktyczne, z chluby astronomów stały się one jedynie ozdobą parków, zanim wreszcie z motywu tego skorzystali ogrodnicy, by w wielkie cyfry, z kwiatów różnobarwnych ułożone, trawniki swe ozdobić.

Również odległą przeszłość i koniec podobnież niesławny miały i zegary wodne czyli klepsydry. W najprostszéj formie były to dwa naczynia, stożkowatéj zwykle postaci, zbiegające się zwężonemi swemi końcami, gdzie przez szczupły otwór woda z naczynia górnego przepływała do dolnego. Wymiary przyrządu tak być mogą dobrane, że czas przepływu wody wynosi godzinę, kwadrans lub kilka minut tylko, a po przelaniu się wody do naczynia dolnego klepsydrę trzeba tylko odwrócić, by tenże sam przebieg znów się powtórzył. W tak prostém urządzeniu mogła wprawdzie klepsydra oznaczać upływ godziny, ale nie mogła służyć do wskazywania jéj części, woda bowiem nie z jednakową płynie wciąż szybkością. W miarę jak jéj ubywa, jak pod coraz słabszém pozostaje ciśnieniem, prędkość wypływu maleje; w równych przeto odstępach czasu woda w naczyniu dolném o niejednakowe wznosi się wysokości. Przy uwzględnieniu praw wypływu cieczy, które zresztą dopiero

Torricelli wykazał, można wprawdzie osiągnąć znaczną dokładność zegarów wodnych, budowa ich wszakże byłaby wtedy zbyt zawiłą. Można także przez stosowne doprowadzanie wody utrzymywać ją w naczyniu górném wciąż na jednym poziomie, a wtedy w równych czasach do naczynia dolnego przelewać się będą równe ilości wody; jeżeli więc naczynie to ma postać walcową, to umieszczony w niém pływak w jednakich odstępach czasu wysuwałby się w górę o jednakowe wysokości i za pośrednictwem połączonéj z nim wskazówki wskazywałby bieg czasu.

Można też do tego celu skorzystać z energii wypływającéj cieczy, czyli z pracy, jaką wykonywać jest w możności. Jeżeli mianowicie strumień wypływający z pełnego wciąż naczynia uderza koło na osi osadzone, to pod naciskiem takim koło przechodzi w obrót jednostajny, który uregulować można tak, aby się dokonywał w ciągu godziny albo minuty. Zegary takie budowano rzeczywiście, a różne ich formy pod nazwą *horologium aquaticum*, *horologium hydraulicum* itd., opisuje słynny jezuita Kircher w wieku siedemnastym. Przy wszelkich wszakże podobnych urządzeniach nie można by na czas dosyć długi zapewnić zegarom wodnym biegu statecznego, niszczą go bowiem różne okoliczności uboczne, jak nieuniknione wstrząśnienia naczynia, zanieczyszczenie wody lub bezustanna zmienność temperatury.

Dziś więc zegary wodne pozostały w historycznćm tylko wspomnieniu. Ostatnią rolę naukową odegrały chyba na usługach Galileusza, gdy przy doświadczeniach swych nad spadkiem ciał potrzebował oznaczać krótkie odstępy czasu. Zachował on wszakże tę ostrożność, że woda wązkim bardzo otworem wypływała z naczynia znacznych wymiarów; wtedy przez krótki czas wypływu poziom wody w naczyniu wyraźnym zmianom nie ulegał, odważone przeto ilości cieczy wypływającéj z dostatecznćm przybliżeniem miarę czasu dawały. Metoda ta zresztą i dziś jeszcze może być przydatną, gdy idzie o oznaczenie stosunku dwu niewielkich odstępów czasu; wodę w tym razie korzystnie zastąpić może rtęć.

Podobnež usługi, jak klepsydry wodne, oddawały i klepsydry piaskiem suchym wypełnione; sądzono nawet, że piasek przesypuje się wciąż jednostajnie, bez względu na wysokość, do jakiéj jest usypany. Dla tego nadano zbiegającym ze sobą naczyniom postać rur walcowych, a urządzona na nich podziałka pozwalała z niejaką dokładnością oznaczać jednakie odstępy czasu.

Wraz z kompasami i klepsydra poszła w zapomnienie. Gdy niedyś mówcy greccy według niéj długość swych mów oznaczali, dziś chyba klepsydra trzyminutowa służy do pilnowania się przy go-

towaniu jajek. Możnaby powiedziéć, że na zabawkę wyszła, gdyby z niéj nie zrobiono ponurego symbolu śmierci, zkąd nawet owe złowieszcze kartki, co rogi ulic obok obwieszczeń teatralnych pokrywają, przejęły u nas nazwę tych dawnych czasomierzy.

W braku zresztą prawdziwych zegarów musiano sobie radzić i innemi prostemi środkami mierzenia czasu, niewiele jednak o nich wiemy. Przytoczyć chyba można ocenę godzin z przebiegu płonięcia świecy walcowéj, która w równych odstępach czasu o jednakie opala się długości, przyczém odpowiedni materyał wybuchowy w oznaczonych punktach w świecę wprowadzony służyć może do sygnalizowania oznaczonych momentów. Szczątkowym zabytkiem tego mierzenia czasu są jeszcze świeczki przy licytacyach sądowych używane.

VI.

Do jakiéj epoki odnieść należy początek dzisiejszych naszych zegarów, polegających na połączeniu kół i kółek, wprawianych w ruch działaniem spadającego ciężaru lub rozwijającéj się sprężyny—trudno powiedziéć; w każdym razie w wieku czternastym mechaniczne takie czyli kółkowe zegary posiadały już pewien stopień dokładności.

Pomysł zastosowania spadku ciężaru czyli wagi do wprawiania w ruch mechanizmu zegarowego jest rzeczywiście bardzo prosty i dawno mógł się nasunąć; ciężar bowiem zawieszony na wale, dokoła swéj osi ruchomym, wprawia go spadkiem swym w obrót, a zarazem i osadzone na nim koło zębate, którego ruch przenosi się na kółka dalsze i na wskazówki. Zadanie to nie przedstawiałoby więc trudności, gdyby bieg wagi dokonywał się jednostajnie; wiemy wszakże, że spada ona biegiem przyśpieszonym, wał zatém i cały połączony z nim mechanizm obracałby się coraz prędzéj, a zegar wskazywałby godziny coraz krótsze. Trudność polegała przeto jedynie na obmyśleniu środków ujednostajnienia tego ruchu. Radzono sobie bądź przez zmianę momentu bezwładności obracającéj się bryły, bądź przez zwiększanie oporu, jaki przy ruchu swym przezwyciężać musiała, co do pewnego stopnia pozwalało utrzymywać ruch jednostajny, ani dokładnie wszakże ani na długo. W r. 1364 urządził Henryk von Wyk na gmachu parlamentu w Paryżu zegar bijący godziny, a odtąd zegary wieżowe zaczęły się mnożyć w Europie; zdaje się jednak, że zegary poruszane spadkiem wagi znane już były we Włoszech w wieku trzynastym, a są może wyna-

lazkiem arabskim, w r. 1232 bowiem miał Saladyn przesłać cesarzowi Fryderykowi II zegar, który oceniano na 5000 dukatów. Zaczęto się niemi nawet w miejsce zegarów wodnych posługiwać przy obserwacyach astronomicznych, wymagały wszakże codziennéj regulacyi i ulegały częstemu zakłóceniu. Wszystkie stare środki mechaniczne okazywały się niedostateczne do ujednostajnienia biegu zegarów, trzeba było szukać dróg nowych, a tę pomoc pożądaną przyniosło wreszcie wahadło.

Tu znowu do Galileusza zwrócić się nam wypada.

Od niepamiętnych czasów bujał się ciężarek na sznurku, a ruch ten powszedni nikogo nie zastanawiał, na drobne bowiem spostrzeżenia umysł genialny tylko uwagę zwrócić potrafi, a umiejętne z nich korzystanie twórczość naukową stanowi. W katedrze pizańskiéj rozbujał się świecznik kościelny na długim zwieszający sznurze,—było to w r. 1583, a ruch ten obserwował Galileusz, dziewiętnastoletni wówczas student medycyny, którego samodzielność i zdolność spostrzegawcza wyrywały się po za zaklęte nieruchomością średniowieczną szranki fizyki arystotelesowéj. Obszerne z początku łuki przez świecznik zataczane zwolna malały, a młody obserwator dostrzegał, że pomimo to każde wachnięcie dokonywało się w czasie jednakim; licząc więc uderzenia swego tętna wykrył, że rzeczywiście trwanie wachnięcia od obszerności jego nie zależy, byleby długość wahadła pozostawała niezmienną: zarówno rozległe jak i drobne wahania dokonywają się w czasie jednakim. Taki był początek naszéj znajomości wahadła, tego przyrządu prostego, któremu w dalszym rozwoju nauki przypaść miała rola tak wybitna.

Zrozumiano też bezzwłocznie, że izochronizm ten wahadła, równoczesność jego wahnięć, czyni zeń pożądany czasomierz, i już sam Galileusz, a późniéj Riccioli, Grimaldi, Mersenne, Kircher, Heweliusz posługiwali się niém przy dostrzeżeniach astronomicznych i doświadczeniach fizycznych. Wahadło wszakże przedstawiało tę niedogodność, że nie zaznaczało czasu upłynionego, a niepotrącane na nowo rychło się uspakajało. Galileusz już przeto wpadł na pomysł połączenia wahadła z odpowiednim mechanizmem wskazówkowym, o czém w r. 1636 pisał do Laurensa Reaala, gubernatora Niderlandów; gdy wszakże przerwała się korespondencya ze stanami Holandyi, prowadzona w przedmiocie ściślejszéj metody oznaczania długości geograficznéj, nie słyszano już o czasomierzach Galileusza.

We dwadzieścia dopiéro lat późniéj zadanie to podjął Huyghens, który obok Galileusza i Newtona uzupełnia trójcę twórców

mechaniki nowożytnéj. Zamiast jednak urządzenie zegaru naginać do wahadła, zwrócił się on do dawnych zegarów wagowych i do nich zastosował wahadło, które równoczesnością swych wahań jednostajny im bieg zapewniło. W r. 1657 uzyskał Huyghens od stanów generalnych Holandyi patent na swoje zegary wahadłowe i opisał je w rozprawie „*Horologium*“, ogłoszonéj 1658 r.

Jak zwykle wszakże, nie obyło się i tu bez sporów o pierwszeństwo wynalazku. Galileusz już nie żył od lat szesnastu, ale uczeń jego i biograf, Viviani, starał się wykazać prawa swego mistrza do tego pierwszeństwa w przedstawieniu złożoném księciu toskańskiemu, Leopoldowi, w r. 1659. Viviani utrzymywał, że Galileusz od r. 1641 pracował nad udoskonaleniem swego czasomierza, że zamierzał właśnie nie używać wahadła do poruszania tego mechanizmu, ale przeciwnie, mechanizm utrzymywać w ruchu za pomocą wagi, a wahadło tak z niém połączyć, aby przez działanie mechanizmu w ustawicznym utrzymywało się ruchu.

Ponieważ w r. 1640 Galileusz zaniewidział zupełnie i sam robót tych prowadzić nie mógł, wykonanie powyższego planu poruczył synowi swemu, Wincentemu, który wszakże zajął się niém dopiéro w kwietniu r. 1649, ale zmarł w ciągu tegoż samego roku i rozpoczętéj roboty nie dokończył. Viviani podał nawet rysunek tego zegara, a z pozostałości po Wincentym sprzedanym być miał „*un oriuolo non finito di ferro col pendulo, prima invenzione del Galileo*“. Według tych danych przyjąć można, że Galileusz rzeczywiście obmyślił plan zbudowania zegara wahadłowego, ale z tego też wypływa, że otoczenie jego doniosłości pomysłu tego nie oceniło, inaczéj bowiem Viviani nie czekałby ze swém ogłoszeniem na pracę Huyghensa, któremu tedy bezspornie przypada chwała wynalazcy naszych dzisiejszych zegarów wahadłowych.

Oprócz Galileusza wszakże jest inny jeszcze współzawodnik Huyghensa, a mianowicie Jost Bürgi, którego Wolf w swéj historyi astronomii uważa za prawdopodobnego wynalazcę zegarów wahadłowych już około r. 1580. Wolf przytacza kilka dosyć chwiejnych dowodów na poparcie swego przypuszczenia, między innemi stary zegar wahadłowy, przechowywany w skarbcu wiedeńskim i uważany za dzieło Bürgiego. Podobnyż zegar znajduje się i w obserwatoryum w Cassel, gdzie Bürgi, zmarły 1632 r., ostatnie lata życia swego przepędził. Zegar ten wszakże wyrestaurowanym był w r. 1676 i wtedy dopiéro zapewne opatrzony został w wahadło. Krytyka też historyczna odparła nieuzasadnione przypuszczenia Wolfa, témbardziéj, że przypisując Bürgiemu wynalazek zegarów wahadłowych około r. 1580, należałoby mu przyznać i odkrycie zasady równoczesności wahnięć.

Nad dalszém udoskonaleniem zegarów pracował przedewszystkiem sam Huyghens, którego większe dzieło „*Horologium oscilatorium*“ (1673) szczególnie jest ważne, ze względu na przeprowadzone w niém badania teoretyczne nad wahadłem i wiążącemi się z niém innemi kwestyami mechaniki. Jakkolwiek w zasadzie ogólne urządzenie Huyghensa przetrwało dotąd, szczegółowe zmiany i ulepszenia oddzielnych części zegarów wprowadzały się i wprowadzają bezustannie, najważniejsze zaś znaczenie mają zmiany obmyślone przez Clementa (1680), Grahama (1675—1751) i Harrisona (1693—1776).

Nie zapuszczając się zresztą w szczegółowy opis budowy zegara, winniśmy jednak przytoczyć główne zasady tego mechanizmu. Ciężar czyli waga, zawieszona na wale wprawia w obrót wraz z tym wałem i obsadzone na nim koło zębate, które powoduje ruch dalszych kół przyrządu. Byłby to, jak wiemy, ruch przyśpieszony, ale wahadło przerywa go w jednakich odstępach czasu, a tém samém ujednostajnia go i reguluje. Pośrednikiem zaś między wahadłem a właściwym przyrządem zegarowym jest wychwyt czyli kotwica, tak z wahadłem związana, że wraz z niém się kołysze, zahaczając kolejno o zęby koła na wale osadzonego.

Wahadło samo przez się długo służyćby nie mogło, z powodu bowiem tarcia na osi, na któréj jest zawieszone, i z powodu oporu powietrza, rychłoby ruch swój wstrzymało, gdyby uderzenia wychwytu o zęby koła na wale osadzonego nie nadawały mu wciąż nowego impulsu. Waga więc opadająca stanowi siłę poruszającą dla całego systemu kół, a za pośrednictwem wychwytu podtrzymuje i kołysania wahadła; z drugiéj strony wahadło, za pośrednictwem tegoż wychwytu, stanowi regulator dla szybkości spadku wagi.

Szybkość wszakże kołysań wahadła zależy od jego długości; wahadło krótkie kołysze się szybciéj, długie wolniéj, na bieg zatém zegara wpływa temperatura, któréj wzrost powoduje wydłużenie wahadła. Zaradzić temu szkodliwemu oddziaływaniu temperatury próbował w r. 1715 Graham przez użycie wahadeł z drzewa, które się od ciepła słabiéj, aniżeli metale, rozszerza; gdy jednak sprowadzało to inne niedogodności, zamierzył osiągnąć niezmienną, czyli niezależną od temperatury długość wahadła przez stosowną kombinacyę kilku metali. Tego rodzaju kompensator wykończył wszakże dopiéro Harrison, Graham zaś znalazł również szczęśliwe rozwiązanie, złączywszy z prętem wahadła naczynie napełnione rtęcią. Te dwa rodzaje kompensatorów są dotąd najpowszechniéj używane.

Nadmienić również należy, że własność izochronizmu posiada wahadło zwykłe do pewnego tylko stopnia; skoro łuki przez nie

przebiegane wykraczają po za pewną granicę, czas wahnięcia staje się już nieco dłuższy. Doskonale izochroniczném jest tylko wahadło cykloidalne, to jest wahadło, którego ciężarek przebiega nie po łuku kołowym, ale po innéj linii krzywéj, zwanéj cykloidą; w zegarze zatém, opatrzonym w wahadło tego rodzaju, nie potrzebaby się troszczyć, aby jednakowemu zawsze ulegało impulsowi. Rzeczywiście Huyghens wskazał już sposób takiego zawieszania wahadła, aby ono przebiegało drogę cykloidalną, a w czasach późniejszych do pomysłu tego nieraz wracano, z powodu wszakże trudności technicznych, z jakiemi urządzenie to jest połączone, nie weszło ono w użycie.

VII.

Drugą kategoryę czasomierzy, stanowią zegarki; zdrobniała nazwa nie odpowiada tu zmniejszonym tylko wymiarom, ale odmiennemu urządzeniu. W miejsce opadającéj wagi ruch mechanizmu wywołuje sprężyna, która, wyprowadzona ze stanu swéj równowagi przez nakręcenie zegarka, usiłuje do stanu tego wrócić, czém powoduje ruch połączonych z nią kółek.

Ruch ten wszakże, ciągłem rozkręcaniem się sprężyny utrzymywany, zachodziłby również coraz prędzéj; każda bowiem siła statecznie działająca, jakby przez coraz sumujące się impulsy, ruch przyśpieszony wywołuje. Potrzeba i tu zatém regulatora, któryby w jednakich odstępach czasu ciągłość tego ruchu przerywał, a regulatorem tym i tu jest wahadło. Nie wahadło zwykłe wprawdzie, kołyszące się pod działaniem siły ciężkości, niemniéj jednak kombinacya, która również ruchy wahadłowe wykonywa. Jest to bowiem małe, na osi osadzone kółko, opatrzone w bardzo cienką i spiralnie zwiniętą sprężynkę, zwaną włosem; skręty tego włosa, ze stanu równowagi usunięte, rozszerzają się i ściągają, przenosząc ruch ten na połączone z niemi kółko, które ztąd kręci się wciąż na prawo i na lewo. Balansyer ten zatém, działaniem sprężystości w ruchu utrzymywany, odegrywa zupełnie rolę wahadła i ze sprężyną poruszającą tak jest systemem wychwytów związany, że ciągłość jéj działania wciąż przerywa, sam zaś doznaje bezustannych popędów, które zapewniają jednostajność jego kołysań.

Aż dotąd zatém zupełną znajdujemy analogię w budowie zegarów wagowych i sprężynowych, w tych ostatnich wszakże nieuniknioną jest większa zawiłość. Siła bowiem ciężkości, przyciąganie ziemi, jednako zawsze na opadającą wagę działa, skąd bieg jéj jest jednostajnie przyśpieszony; ze sprężyną inaczéj się dzieje:

przez skręcenie wzbudzona w niéj sprężystość w miarę jéj rozwijania się słabnie, wywiéra ona przeto na mechanizm zegara ciśnienie coraz mniejsze i powodowałaby ruch niejednostajnie, przyśpieszony. Konieczne jest tu zatém urządzenie dodatkowe, któreby usuwało wpływ ciągłego słabnięcia siły poruszającéj; potrzeba pośrednika między sprężyną poruszającą a balansyerem. Pośrednikiem takim jest ślimak. Jestto stożek mosiężny, zwężający się ku górze, po którym wije się równia pochyła, ślimakowato skręcona, jak droga na górę wiodąca; gdy sprężyna rozkręca się i tém samém wprawia w obrót bęben, w którym się mieści, wtedy zarazem działa i na ślimak za pośrednictwem łańcucha, który się zwija dokoła coraz szerszych jego skrętów. Z początku więc działa na skręty niewielkie, następnie na coraz rozleglejsze, które, jakby coraz dłuższe ramiona drążka, coraz mniejszéj do obrotu wymagają siły. W ten sposób wynagradza się ciągły ubytek siły poruszającéj.

Aby otrzymać zegarki mniéj wypukłe, postarano się o wyrugowanie ślimaka i zastąpienie go innemi sposobami; zastosowano więc sprężyny niejednostajnéj grubości i szérokości, tak aby w miarę ubytku sprężystości coraz dzielniejsze części na widownię występowały, ale i przy użyciu jednostajnéj sprężyny zaradziły temu stosowne systemy wychwytów.

Jak na wahadło zegarów wagowych, tak też wpływa ciepło i na balansyery zegarków, a nawet silniéj jeszcze; nietylko bowiem wzrost temperatury działa na sprężystość drgającego włosa, ale zarazem powiększa i średnicę kółka, w którém jest on osadzony. I tu zatém, jak przy wahadłach zwykłych, trzeba było wprowadzić kompensancyę, która zresztą na podobnych mniéj więcéj zasadach polega.

Zegary sprężynowe pojawiły się w początkach wieku szesnastego, a jako ich wynalazcę wymieniają Piotra Hele z Norymbergi; wynalazca ślimaka jest nieznany. Wprowadzenie sprężyny spiralnéj czyli włosa zawdzięczamy, podobnie jak zastosowanie wahadła do zegarów wagowych, Huyghensowi, a pierwszy zegarek kieszonkowy wedle jego wskazówek wyrobił zegarmistrz Turet w Paryżu 1674 r. I ten wszakże wynalazek dał również powód do zaciętego sporu, z roszczeniem bowiem do pierwszeństwa wystąpił namiętnie Robert Hooke, sławny sekretarz towarzystwa królewskiego w Londynie. Według własnego oświadczenia powziął on już w r. 1658 pomysł użycia sprężyny stalowéj, jako regulatora do zegarków, a następnie traktował z kilku uczonymi o wyjednanie na wynalazek ten patentu; zanim jednak zdołał pierwszy swój zegarek wykończyć, co nastąpiło w r. 1676, Huyghens skorzystał

z jego pomysłu, o którym miał się dowiedziéć od jednego z członków towarzystwa królewskiego. O ile uzasadnioném jest to wystąpienie, trudno powiedziéć; Hooke bowiem, człowiek niewątpliwie rozległéj nauki i wysokich zdolności, cechował się przedewszystkiem charakterem kłótliwym i ambicyą niesłychaną: wszystko wiedział, sobie przypisywał pierwszeństwo wszystkich niemal współczesnych mu odkryć i wynalazków, Newtona nawet oskarżał o plagiat w odkryciu praw ciążenia powszechnego.

Huyghens wykazał nadto pożytek, jaki przynieść mogą podobne zegary przenośne przy oznaczaniu długości geograficznéj, zwłaszcza na morzu, a z tego względu parlament angielski wyznaczył nagrodę 20,000 funtów za takie udoskonalenie tych zegarów, aby przy ich pomocy można było długość geograficzną oznaczać z błędem nieprzechodzącym pół stopnia. Połowę téj znacznéj nagrody osiągnął znany nam już Harrison dopiéro w r. 1764, gdy, wprowadziwszy kompensacyę i inne ulepszenia, dostarczył admiralicyi brytańskiéj chronometr, przedstawiający pożądaną ścisłość, a od owego czasu sztuka wyrabiania dokładnych chronometrów tak się rozwinęła, że, zdaje się, doszła już do granicy dla biegłości człowieka dostepnéj.

Dobry zegar nie powinien rzeczywiście dawać błędu większego nad pół sekundy na dobę, czyli przekraczającego drobny ułamek $\frac{1}{172800}$, a tanie nawet zegarki błądzą zaledwie o dwie lub trzy minuty na tydzień, dokładność ich zatém wynosi $\frac{3}{10000}$. Wyborne chronometry dochodzą ścisłości $\frac{1}{432000}$, w ciągu doby bowiem dają różnicę, nie przechodzącą piątéj części sekundy. Aby podobną osiągnąć ścisłość przy ocenie długości lub masy, trzeba przyrządów wyjątkowéj dokładności przy szczególnéj baczności i wprawie; przy zwykłém mierzeniu i ważeniu popełniamy błędy wielokrotnie większe. Długość, masa i czas stanowią, jak zaznaczyliśmy wyżéj, wielkości zasadnicze, do których sprowadzają się wszelkie pomiary, ale czas mierzymy z najznaczniejszą dokładnością i największą łatwością. Jestto wielkość, która nas widocznie najbliżéj dotyczy, niewielu bowiem tylko dźwiga przy sobie łokieć, a nikt prawie nie zabiéra ze sobą wagi i gwichtów; z zegarkiem tylko nie rozstajemy się nigdy, jest on najbliższym towarzyszem naszym i doradcą wiernym. Posiadanie zegarka jest marzeniem chłopca i stanowi nagrodę jego pilności; czeladnik z terminatora wyzwolony chlubi się nim wobec towarzyszy, jako dowodem swéj

rządności, a skromny, srebrny zegarek studenta ileż to razy od głodu i chłodu ratuje swego właściciela. Pozór życia mający mechanizm zegarka budzi podziw dziecka, ale też — rzecz dziwna zaiste — z całego zastępu przyrządów, którym nas postęp techniki obdarzył, jest on najmniéj może znany, a mechanika i fizyka szkolna nie zadają sobie nawet trudu, by wyjaśnić tę gmatwaninę kół i kółek, co przecież istotny ich tryumf stanowią.

VIII.

Unormowanie stosunków w wielkich ogniskach działalności ludzkiéj wywołało potrzebę zaprowadzenia dokładnéj obsługi czasu, polegającéj na tém, aby wszystkie zegary miejskie jednaki czas wskazywały. Obecnie, gdy telegraf elektryczny w jednéj chwili roznosi wieści w najodleglejsze okolice ziemi, urządzenie takie trudności nie przedstawia; w saméj też rzeczy rozsyłanie godziny albo regulowanie zegarów stanowi poniekąd rodzaj telegrafii. Jeden bowiem zegar normalny wywołuje ruch wskazówek na setkach tarcz zegarowych, po całém mieście rozrzuconych, a cel ten osiągnąć się daje w ten sposób, że zegar normalny w oznaczonych odstępach czasu, co minuta zwykle, zamyka automatycznie prąd elektryczny, który, rozbiegając się po drutach, wzbudza elektomagnesy i powoduje tém na połączonych z niemi tarczach przeskok skazówki minutowéj o jedną kreskę podziałki. System ten wszakże nie jest wolny od niedogodności, druty bowiem w miastach łatwo uszkodzeniu ulegać mogą, a niekiedy i elektryczność atmosferyczna przeszkadza należytéj działalności prądu galwanicznego. Dla tego też korzystniejszém okazało się pozostawienie zegarów niezależnych, które tylko co godzina albo i raz na dobę za pośrednictwem prądu elektrycznego doprowadzają się do zupełnéj zgody z zegarem normalnym.

Ze szczególną zwłaszcza starannością system przesyłania godziny rozwinięty jest w Stanach Zjednoczonych, stanowi to nawet jedno z głównych zadań obserwatoryum waszyngtońskiego. Godzina z Waszyngtonu przesyła się codziennie do głównych portów atlantyckich. Poczynając od trzech minut przed południem aż do chwili południa przesyła się czas co sekunda, a na każdéj stacyi elektromagnes, wzbudzony prądem nadsyłanym, odtwarza każde uderzenie chronometru, znajdującego się w sali obserwatoryum stołecznego; w kilku zaś miastach w chwili południa, pod wpływem prądu, spadają w widocznych punktach osadzone kule. Prąd również poprawia, w południe, trzysta lub czterysta zegarów rozrzu-

conych* po szkołach, ministeryach i zakładach publicznych Waszyngtonu. W podobnyż sposób obserwatoryum w Neufchatel przesyła codziennie godzinę do głównych ognisk fabrykacyi zegarów w Szwajcaryi.

Przy usługach wszakże, jakie nam elektryczność na wszelkich polach oddaje, byłoby dziwném, gdyby li tylko w roli pośrednika przy mierzeniu czasu występować mogła. Rzeczywiście też posiadamy i prawdziwe zegary elektryczne, zegary zatém, gdzie elektryczność jest sama motorem i zastępuje działanie wagi lub sprężyny. Wobec jednakże doskonałości zegarów mechanicznych, zegary elektryczne donioślejszego znaczenia zdobyć nie mogą, a lubo w pewnych szczególnych przypadkach użyteczne, stanowią wogóle przyrządy ciekawości raczéj, aniżeli istotnego pożytku praktycznego.

IX.

Jakkolwiek nikłym ciągiem czasu wydaje się nam sekunda, przy wielu badaniach naukowych a nawet i w celach praktycznych zachodzi potrzeba ujmowania drobnych jéj części, setnych, tysiącznych. Na zegarze zwyczajnym sekundy dzielić nie można, chociaż bowiem wszystkie wachnięcia są między sobą izochroniczne, każde oddzielnie wszakże ma przebieg wcale niejednostajny; trzebaby więc radzić sobie użyciem wahadła krótkiego, którego ruchy dokonywają się bardzo szybko, jak to ma miejsce w znanych taktomiarach muzycznych, gdzie nawet przesuwanie ciężarka pozwala wahadło takie dowolnie skracać i wydłużać, a tém samém szybkość jego kołysań zmieniać. Gdy wszakże idzie o czasy bardzo drobne, wahadła musiałyby być nader krótkie, a jak łatwo pojąć, różne względy kładą rychło kres zbytniemu jego skracaniu.

Trzeba więc było szukać metod innych, a chociaż przyrządy do celu tego służące są często bardzo zawiłe, polegają w ogólności na prostych zasadach. Wyobraźmy sobie walec uczerniony sadzą i który za pomocą mechanizmu zegarowego obraca się, dajmy, raz na sekundę; pręcik, dotykający tego walca ściera przy obrocie sadzę i kreśli na nim linię, stosowne zaś urządzenie pozwala pręcikiem tym tak manewrować, że w żądanéj chwili może on być do walca zbliżanym lub od niego oddalanym. W ciągu całego obrotu pręcik oczywiście opisze na walcu pełny okrąg, przez dziesiątą zatem lub setną część sekundy nakreśli tylko dziesiątą lub setną część okręgu, z długości tedy linii na walcu wypisanéj odczytujemy długość czasu obserwacyi. Przez zwiększenie wymiarów walca

i przez podwyższenie szybkości jego obrotu mamy nieograniczoną prawie drogę ujmowania by najdrobniejszych cząstek czasu, idzie więc o to tylko, aby pręcik dokładnie zaznaczał początek i koniec obserwowanego zjawiska, a do należytego posłuszeństwa znaglamy go dobrze za pośrednictwem prądu galwanicznego.

Chronoskop tego rodzaju jest najczęściéj używany, nie brak wszakże przyrządów, polegających i na odmiennych zasadach. Metody doświadczalne tak dalece się rozwinęły, a na usługi mają narzędzia tak doskonałe i tak starannie wyrobione, że nauka podjąć zdoła badania, które niezbyt dawno mrzonkami tylko wydawać się mogły. Szybkość światła, którą poznano z obserwacyi astronomicznych, jest tak wielka, że wydawało się niemożebném, by ją potrafiono drogą doświadczalną ująć; a wszakże już przed kilku dziesiątkami lat Fizeau i Foucault obmyślili metody, które dozwoliły zadanie to szczęśliwie rozwiązać, chociaż milę geograficzną światło przebiega w czasie krótszym nad jednę czterdziesto-tysiączną część sekundy. Wheatstone, późniéj Casin i Lucas, dochodzili, jak długo trwa przebieg iskry elektrycznéj, a doświadczenia wykazały im ledwie stutysiączne i milionowe części sekundy. Wiadomo, że są ciała, posiadające zdolność fosforescencyi czyli świecenia po poprzedniém wystawieniu ich na światło: Becquerel okazał, że własność ta zgoła nie jest rzadką i przypada przeważnéj ilości ciał, trwa jednak tak krótko, że uchodzi zwykłym dostrzeżeniom, w wielu bowiem razach nie przenosi trzechsetnéj części sekundy.

Podobneż badania napotykamy obecnie już nietylko w fizyce, ale i w innych dziedzinach wiedzy przyrodniczéj. Chemik wyczytuje czas przebiegu procesów chemicznych i oznacza szybkość rozchodzenia się fal, przez eksplozyę wzbudzonych. Artylerzysta wykrywa szybkość biegu kuli armatniéj lub czas, przez jaki w lufie bawi, a fizyolog ocenia czas, jaki upływa, zanim wrażenie na zmysł wywarte do mózgu dobiega.

Po przykłady czasów tak drobnych, sięgnąć możemy i do fotografii. Aby uchwycić szczegóły na powierzchni słońca występujące, trzeba było jak najbardziéj zredukować czas wystawienia płyty fotograficznéj, inaczéj bowiem, pod bezpośredniem działaniem promieni słonecznych, ulega ona tylko jednostajnemu sczernieniu; głośny astronom francuski, Janssen, zdołał aparat swój tak urządzić, że czas ten zeszedł do $\frac{1}{3000}$ części sekundy, a w ten sposób odfotografował nietylko plamy słoneczne, ale i szczegóły budowy fotosfery, czyli najgłębszéj warstwy słońca, dostrzeżeniom naszym jesz-

cze dostępnéj. — Fuzya fotograficzna Mareya, za pomocą któréj badacz ten ruchów zwierzęcych, chwyta obrazy konia w biegu lub ptaka w locie, daje dwanaście obrazów na sekundę, czas zaś wystawienia płyty wynosi ledwie $\frac{1}{720}$ sekundy, a Muybridge podaje nawet, że do ujęcia obrazu zwierzęcia w biegu starczyła mu dwutysiączna część sekundy.

A wreszcie, gdy chwila jest już tak niewypowiedzianie drobną, że doświadczenie bezpośrednie żadną miarą ująćby jéj nie zdołało, nastręczają się drogi pośrednie, teoretycznie uzasadnione i niewątpliwe. Światło podobnie jak głos jest objawem drgania; ale gdy struna brzmiąca wydaje na sekundę 16 do 70000 drgań, ciało świeci wtedy dopiéro, gdy cząstki jego dokonywają na sekundę 400 do 800 trylionów drgań. Drganie zatém, które wzbudza w nas poczucie czerwieni, trwa ledwie $\frac{1}{400,000,000,000,000}$, wrażenia zaś fioletu doznajemy, gdy drganie wynosi tylko $\frac{1}{800,000,000,000,000}$ część sekundy. Ułamki tak drobne wydają się fantastyczne, odcyfrowane wszakże zostały z rzetelnością niekłamaną; podobnéj pewności nie znajdziemy już na nieszczęście, gdy od tych chwilek nikłych zwrócimy się do okresów olbrzymich, odnoszących się do czasu istnienia i rozwoju naszéj bryły ziemskiéj.

X.

Więcéj, aniżeli jakakolwiek inna gałęź wiedzy przyrodniczéj, wpływowi legend biblijnych uległa geologia; jakkolwiek bowiem przez dni z powieści hebrajskiéj o stworzeniu świata rozumiéć zaczęto długie okresy, to wszakże na tle tém wyrosła teorya przewrotów czyli katastrof w dziejach rozwoju ziemi. Poglądom tym początek dał mianowicie Cuvier, gdy w szczątkach istot niegdyś na ziemi żyjących poznał dokumenty do odczytania jéj dziejów posłużyć mogące. Widząc, że badane przezeń skamieniałości dawnych istot kręgowych niepodobne są do istot dzisiejszych, a nadto, że i szczątki w różnych piętrach ziemi zagrzebane są różne jedne od drugich, podzielił cały bieg dziejów ziemi jakby na odrębne okresy, odgraniczone między sobą stanowczo potężnemi katastrofami, których groza całą powierzchnią globu naszego wstrząsała, sprowadzając zgubę wszystkiego na niéj życia. Każdy okres dziejów ziemi posiadał właściwy sobie świat organiczny, a po każdéj jego zagładzie nowy znów akt stworzenia nowe istoty do ży-

cia powoływał; wyjątkowo chyba tylko wytrwały jakiś gatunek zdołał ujść zniszczeniu i śród przeobrażonéj przyrody byt swój utrzymał. W teoryi téj przeto oddzielne okresy mają znaczenie dawnych dni biblijnych, ale dnie te, w ciągu których przemijały długie szeregi całych pokoleń istot żyjących, urastać już musiały w długie ciągi czasu, w całe setki tysięcy i miliony lat.

Hipoteza przewrotów takich ustąpić wszakże musiała, skoro Lyell wykazał, że cały ogół przeobrażeń, jakim ziemia w stopniowym swym rozwoju ulega, wyjaśnić się daje na podstawie dotąd jeszcze zachodzących objawów i sił obecnie jeszcze występujących; przeobrażenia zatém, jakie dokonywały się na powierzchni globu naszego, nie odbywały się przez nagłe i powszechne przewroty, ale były następstwem zmian powolnych i drobnych, które nie przerywały zgoła ciągłości życia organicznego. Rzecz jasna, że wobec tych nowych poglądów na historyę ziemi rozsunąć się jeszcze musiał obszar czasu, potrzebnego do wytworzenia jéj skorupy, trzeba już bowiem było całych setek milionów lat, aby przez sumowanie zmian tak nikłych i niedostrzegalnych, jakie się i za naszych czasów dokonywają, wyjaśnić rozwinięcie się potężnych pokładów i ich przeobrażanie, powstawanie i zagładę pasm górskich. Czas stał się sprzymierzeńcem geologa, jako czynnik dowolny, jako jedyna zmienna niezależna, którą w spekulacyach swoich dowolnie mógł rozporządzać, A zaiste, rachunek geologów nieledwie skromnym okazać się musiał, gdy wystąpiła i teorya descedencyi, wyprowadzająca wszystek świat dzisiejszy istot żyjących ze wspólnego początku również drogą stopniowych i nieznacznych tylko przeobrażeń, i biologia bowiem, tak samo jak geologia, na odparcie nastręczających się w teoryi rozwoju istot trudności za każdym razem działanie czasu na pomoc powołać może.

Długością okresów istnienia ziemi geologia rzeczywiście rozporządzać może dowolnie, nie posiadamy bowiem zgoła sposobów, któreby nam chronologię ziemi z przybliżoną choćby dokładnością odczytać dozwoliły. Przyjrzyjmy się jednak środkom, któremi zadanie to zaatakować przynajmniéj probowano.

W duchu dzisiejszych poglądów swoich, że przyczyny powodujące przeobrażenia skorupy ziemskiéj działały zawsze z jednakiém natężeniem, wnioskuje geologia o przeszłości z tego, co się dzieje obecnie. Do takiego zaś wnioskowania nadaje się najdogodniéj narastanie pokładów osadowych.

Wielkie rzeki, przy corocznych swych wylewach, pozostawiają zawsze na obszarach zajmowanych przez wezbrane wody pewien osad; powolne narastanie takich napływów zauważono już dawno,

a następnie zapragnięto obliczyć czas, jakiego rzeki do ich wytworzenia potrzebują. Jako taki utwór napływowy słynie oddawna delta nilowa. I dziś jeszcze Nil wylewa jak w czasach starożytnych, i dziś jeszcze pozostawia swój muł użyzniający, skutkiem czego pola zalewane w górę narastają.

Delta nilowa ma postać trójkąta, o powierzchni około 400 mil kw., którego wierzchołek przypada obok Kairu, w pobliżu piramid i dawnego Memfisu, podstawa zaś długim łukiem opiéra się o morze. Przybór Nilu ma miejsce w połowie czerwca, a to w następstwie wzbierania dopływów jego, przerzynających Abisynię; skutkiem tego przyboru Egipt dolny ulega zalewom, które wytworzyły deltę. Naukowe badania delty nilowéj datują się od czasu pamiętnéj wyprawy Bonapartego 1798, w któréj uczestniczył zastęp uczonych. Pod warstwą mułu napotkał Girard gruboziarnisty piasek morski; na tym więc pokładzie składał Nil muł swój w ciągu wieków i wypełnił dawną zatokę morską, któréj ostatnie ślady występują jeszcze w lagunach. Gdyby Nil corocznie osadzał warstwę wyraźną, możnaby łatwo z ilości warstew takich odczytać liczbę lat i ciąg czasu oznaczyć; delta nilowa wszakże nie okazuje uwarstwowania wyraźnego, dla odczytania tedy czasu odwołać się musiał Girard do dawnych wodoskazów, które służyły do zaznaczania wysokości przyborów. Dno rzeki podnosi się według tegoż samego prawa, któremu ulega podnoszenie się czyli narost delty; jeżeli więc wodoskaz pozostaje przez czas długi nienaruszonym, dojść musi wreszcie do tego, że wskazywany przezeń najwyższy stan wód wznosić się musi znacznie po nad najwyższy stan wód w czasach dawniejszych.

Girard zbadał tedy dwa takie wodoskazy, jeden pod Kairem, zbudowany czy raczéj odbudowany przez kalifów w połowie wieku dziewiątego, i drugi daleko dawniejszy, obok Elefantyny, opisany przez Strabona. Na obu wodoskazach wykryto znaki, dające wysokości dawnych przyborów, a przez zestawienie ich z przyborami obecnemi wyczytał Girard, że dno Nilu w ciągu stulecia podnosi się o 0,126 metra; w tymże samym stosunku zachodzi przeto i przyrost delty w kierunku pionowym, a ztąd, zmierzywszy wysokość nasypów, okalających stare pomniki, wniósł Girard, że czas zabudowania Teb przypada na rok 2960 przed Chr., założenia zaś pomników luksorskich na rok 1400 przed Chr.

W czasach późniejszych rozkopywano deltę w różnych miejscach, wiercono w niéj otwory świdrowe. W r. 1854 znaleziono pod Heliopolis w głębokości 60 stóp ang. skorupy naczyń z gliny palonéj, stąd Karol Lyell, przyjmując, że grunt w ciągu stulecia na-

rasta tam o sześć cali, obliczył wiek tych skorup na lat 12000. Podobneż odłamki znaleziono prawie w samym wierzchołku delty w głębokości 72 stóp ang.; gdy tu przyrost stuletni oceniono tylko na dwa cale i trzy linie, trzeba było skorupom tym przypisać starość 30000 lat.

Na podstawie tedy tak wątłych dowodów chciano utrzymywać, że przed dwunastu i trzydziestu tysiącami lat żył tam już człowiek i dosięgnął tego stopnia kultury, który się cechuje sztuką wyrabiania naczyń glinianych. Zwrócono wszakże późniéj uwagę, że w Egipcie wykopywano zawsze studnie i kanały do znacznéj głębokości; szczątki przeto naczyń, rozrzucone po ziemi, łatwo dostawać się mogły do takich dołów, zwłaszcza, że drogi wiodły wzdłuż kanałów, a podróżni zabierali ze sobą dzbanki do wody; wydobywane zatém z ziemi skorupki nie upoważniają bynajmniéj do wniosków istotnego znaczenia.

W okolicach Kairu pokład spoczywający na podłożu piaszczystém posiada 8 metrów grubości; ponieważ według Girarda wysokość narostu gruntu wynosi w ciągu stulecia 0,126 metra, czyli 1,26 m. na tysiącolecie, wypływa stąd, że utworzenie całéj delty, licząc od jéj wierzchołka pod Kairem, trwało lat 6350. — Kjerulf w inny znów sposób czas ten oblicza. Powierzchnia delty nilowéj, jak przytoczyliśmy wyżéj, wynosi około 400 mil kw., co czyni 264960 milionów stóp kw.; jeżeli głębokość jéj ocenimy na 10 metrów czyli 31,8 stóp ang., to objętość całéj delty okazuje się równą 8,425,728 milionom stóp sześc. Z drugiéj strony ilość części stałych, jaka z Nilu w czasie wezbrania w ciągu sekundy opada, wynosi 130,9 stóp sześć, co na rok czyni 2064 milionów stóp sześć; wszystka przeto masa, stanowiąca deltę nilową, zniesioną być mogła w ciągu 8,425,728 : 2064=4082 lat. Rezultat tego rachunku niewiele wprawdzie od poprzedniego odstępuje, widzimy jednak łatwo na jak wątłych podstawach oba polegają. Bardzo dobitnie streszcza zarzuty, jakieby tu stawiać można było, Maks Eyth, naczelny inżynier w Egipcie za Halima-paszy: „Fellah, który brzeg swojéj łąki tamą otacza, może w ciągu jednego roku dorzucić kilka tysięcy lat do mozolnych obliczeń uczonych europejskich“.

Bardziéj jeszcze uderzający przykład takich trudności przedstawia nam inna delta, która także była przedmiotem wielu badań, mianowicie delta olbrzymiéj Missisipi, która z materyału doprowadzanego jéj przez ogromne dopływy buduje deltę przy swém ujściu do zatoki meksykańskiéj. Przyjmując rozległość téj delty na 13600 mil kw. ang., głębokość na $^1/_{10}$ mili ang., a ilość mułu sprowadzanego przez rzekę w ciągu roku na 3,702,758,400 stóp sześc.

ang., obliczył Lyell wiek téj delty na lat 67000, a w słynném swém dziele „o starożytności człowieka“ zaokrąglił go do 100000 lat. Ponieważ nadto pod Natchez, w górze doliny Mississipi, w pokładach dawniejszych aniżeli napływy delty, napotkano kości ludzkie, skłania się Lyell do wniosku, że człowiek w Ameryce północnéj żył już przed stu tysiącami lat, współcześnie z wygasłym mastodontem. Na podstawie danych nieco odmiennych okres tworzenia się delty Mississipi przedłuża Karol Vogt do 126000 lat.

Błyskotliwym tym wszakże liczbom przeczą rachunki o wiele skromniejsze, przeprowadzone przez inżynierów Humphreya i Abbota, którzy w latach 1851—61 zajmowali się opracowywaniem planu ochrony wybrzeży od niszczących je zalewów. Poznali oni przedewszystkiém, że grubość pokładów napływowych, przyjmowana dawniéj na $1/_{10}$ mili ang. czyli 528 stóp, w saméj rzeczy wynosi średnio 20 do 40 stóp zaledwie; ocenili daléj, że objętość mułu czyni $\frac{1}{2000}$ objętości wody, któréj rzeka unosi rocznie 20 trylionów stóp sześc., a z tych danych wywnioskowali, że dla wypełnienia całéj delty starczyło 2460 lat. Uderzająca sprzeczność tych obliczeń wystarcza do wykazania, że napływy rzeczne są to chronometry zbyt niepewne, by z nich czasy dziejów ziemi odczytywać można było. Tém trudniéj nadawaćby się mogły do tego osady morskie, które pod wpływém mnóstwa różnorodnych czynników znacznéj ulegać mogą w biegu wieków zmienności. Wszelkie zatém usiłowania, dążące do oznaczenia czasu z grubości pokładów geologicznych, uważać trzeba za daremne.

Inna metoda dochodzenia długości najnowszych przynajmniéj okresów geologicznych posługuje się drogą niejako wręcz przeciwną; zamiast obliczać przeciąg czasu potrzebny do utworzenia pewnego pokładu, stara się ona oznaczyć szereg lat, konieczny do jego zniszczenia. Szczególnie téż zwracano pod tym względem uwagę na działanie wodospadów.

Najwięcéj znany przykład przedstawia wodospad Niagary. Rzeka Niagara, sprowadzając wody z jeziora Erie do niżéj położonego jeziora Ontario, rzuca się z wysokości 54 metrów do głębokiego parowu, który sama sobie wyżłobić miała. Ściana skalista, obok któréj woda spada, składa się w górnéj swéj części z grubego pokładu twardego wapienia, pod którym spoczywają łatwo niszczące się warstwy marglu i gliny łupkowéj, a niżéj jeszcze piaskowiec stanowiący dno parowu. Potężny rzut wody spłukuje margiel i glinę, podmywając pokład wapienia, który, pozbawiony w ten sposób podparcia, załamuje się i opada bryłami w przepaść. Wodospad za-

tém cofa się wstecz ku jezioru Erie, a w dalekiéj przyszłości, gdy spód parowu dobiegnie dna tego jeziora, ulegnie zupełnéj zagładzie.

Z danych, zebranych od osadników, którzy okolicę tę zajęli przed kilkudziesięciu laty, okazuje się, że w ciągu roku wodospad cofa się mniéj więcéj o trzecią część metra. Ponieważ zaś długość dotąd wyżłobionego jaru wynosi około 10 kilometrów, na dokonanie téj pracy przeto Niagara, znowu według rachunku Lyella, potrzebowała około 36.000 lat. Niedawno wszakże zmarły geolog norwegski Kjerulf, który wogóle nie godzi się z obliczeniami prowadzącemi do liczb tak wielkich, nie ufa także i chronometrowi Niagary, znajduje bowiem dowody, że rzeka toczyła niegdyś znaczniejsze ilości wody, a tém samém powodować mogła szybsze niszczenie, katastrofa zaś, wywołana trzęsieniem ziemi, w jednéj chwili sprowadzić mogła zagładę, na jaką w warunkach normalnych trzebaby było kilku tysiącoleci.

W ogólności jednak geologowie, chociaż za ścisłością obliczeń takich nie obstają, widzą w nich dowód, jak olbrzymiego czasu dla ujawnienia swych działań wymagają erozye, których skutki należą do najnowszych okresów dziejów ziemi. Okazują to w szczególności rachunki, przeprowadzone przez Heima nad erozyą w obszarze szwajcarskiéj rzeki Reuss, uchodzącéj do jeziora Czterech Kantonów. Przez zestawienie ilości materyału, jaką rzeka corocznie do ujścia swego unosi, z obszarem przez rzekę wymulonym, którego wymiary ocenić można ze śladów dawnych ograniczeń doliny, oblicza wspomniony geolog, że na dokonanie całéj téj roboty, czyli na wyżłobienie doliny, potrzebowała rzeka 1151 tysiącoleci.

Za również długiemi, albo i dłuższemi jeszcze okresami przemawiają i inne objawy geologiczne, których rezultaty na powierzchni ziemi dostrzegamy. Wielkie wulkany nie wytworzyły się skutkiem pojedyńczego wybuchu, ale są następstwem długiego szeregu następujących po sobie wybuchów; jeżeli zaś dla zbudowania góry, jak Etna, trzeba było niezliczonych chyba wybuchów, cóż sądzić można o olbrzymich wulkanach hawajskich, wznoszących się od dna morskiego na 10000 metrów w górę i utworzonych przeważnie z cieńkich warstw zeszklonéj lawy, rozlanych jedne nad drugiemi. Pod działaniem znów wód i powietrza wulkany ulegają stopniowéj zagładzie, pozostawiając w swych szczątkach i ruinach wymownych świadków téj roboty niszczącéj, która zapewne ciągnąć się musiała dłużéj, aniżeli pierwotne narastanie wulkanu do olbrzymich wymiarów. Tak samo zresztą i całe pasma gór, według pojęć obecnie w geologii panujących, są następstwem powolnego mar-

szczenia się, fałdowania skorupy ziemskiéj, i tak samo są na pożerającą je walkę z czynnikami zewnętrznemi wystawione; według Heima, szczyty Alp centralnych wznosiły się dawniéj o tysiąc albo dwa tysiące może metrów wyżéj aniżeli za czasów naszych, a cały ich ogrom dzisiejszy jest już połową tylko masy pierwotnie wzniesionéj. Jakżeż długie miliony lat oznaczyć musi geologia na stopniowe wytwarzanie się takich potężnych pasm górskich, a potém na ich ścieranie i niszczenie.

Wszystkie te wszakże chronometry ziemi nie mogą posłużyć do dokładnego, a choćby i przybliżonego tylko odczytania czasu, jakikolwiek bowiem objaw za podstawę obliczeń przyjmiemy, wszędzie nastręczają się sprzeczności podobne, jakie wiedzieliśmy na przykładach wyżéj przytoczonych. Odkąd Svedenborg złożył królowi szwedzkiemu powinszowanie, że panuje nad krajem, który się kosztem morza powiększa, starano się wykryć skalę tego podnoszenia się lądu; ale gdy badacze jedni wnosili ztąd, że ruch ten od półmiliona lat zachodzi, widzą tu inni ślady działalności sięgającéj wstecz ledwie o dwa dziesiątki tysiącoleci.

Do powyższych czysto geologicznych metod rachuby czasu w dziejach ziemi przybyła jeszcze świeżo metoda, którąby nazwać można astronomiczno-geologiczną, powołuje ona bowiem na pomoc wielkie okresy astronomiczne, na których znaczenie zwrócił uwagę szczególniéj Adhémar.

W punkcie przysłonecznym swéj drogi, czyli poprostu najbliżéj słońca, znajduje się obecnie ziemia w tym czasie, gdy na półkuli północnéj panuje zima, a na południowéj lato; zkąd wypada, że półrocze zimowe trwa dla półkuli północnéj nieco krócéj aniżeli letnie, gdy dla półkuli południowéj stosunek jest przeciwny. Korzystne to wszakże położenie półkuli północnéj nie jest niezmienne, punkt bowiem przysłoneczny przesuwa się po ekliptyce i na jéj obieżenie potrzebuje około 21000 lat; po upływie zatém połowy tego okresu, za lat 10500, półkula południowa doznawać będzie przyjaźniejszych warunków klimatycznych, a po dalszych 10500 latach korzyść ta przejdzie znów na rzecz półkuli północnéj. Poglądy Adhémara rozwinęli głównie Croll i Schmick; pierwszy za następstwo tych okresów astronomicznych uważa przedewszystkiém peryodyczną zmianę temperatury na obu półkulach, drugi zaś kładzie nacisk na to, że ztąd zachodzi kolejne gromadzenie się wód koło jednego lub drugiego bieguna, zaczém idą kolejne zmiany klimatu.

Objawy te posłużyły do wyjaśnienia owego zagadkowego zniżenia temperatury w pewnéj epoce istnienia ziemi, którą nazwano

okresem lodowym. W takim razie jednak okres lodowy nie obejmował całéj naraz ziemi, ale przypadał naprzemian na półkuli północnéj lub południowéj i powtarzać się musiał za każdym obiegiem punktu przysłonecznego, mniéj więcéj zatém co lat 21000. Według tych zatém poglądów okres lodowy jest zjawiskiem peryodycznėm, powtarzającém się statecznie w dziejach ziemi, a każda półkula przechodzić już musiała cały szereg takich okresów lodowych. Otóż, chociaż peryodyczność okresów lodowych jest domysłem bardzo wątpliwym, probowano już zastosować te okresy do celów chronologii ziemi, Mayer - Eymar, mianowicie, przyjmując, że w tworzeniu się skorupy ziemskiéj rozróżnić należy piętra, odpowiadające okresom obiegu punktu przysłonecznego, obejmujące zatém po 21000 lat dziejów ziemi, naliczył od początku epoki trzeciorzędowéj takich piętr piętnaście, skąd tedy wynika, że od początku téj doby geologicznéj do czasów naszych upłynęło około 315000 lat. Blytt wszakże, opierając się na innych dostrzeżeniach i rozumowaniach, podobnemi piętrami, a tém samém i tysiącoleciami, szafuje daleko obficiéj. W pewnym mianowicie profilu utworów trzeciorzędowych, odsłoniętym przy budowie kolei pod Méry-sur-Oise, dojrzał on szereg warstw, odpowiadający 47 obiegom punktu przysłonecznego; w systemacie zaś Mayera temuż samemu układowi warstw odpowiadają dwa tylko piętra, dwa obiegi punktu przysłonecznego. Znaczy to innemi słowy, że jeden i tenże sam ustęp dziejów ziemi według jednego z tych badaczy trwać miał ledwie 42000, według drugiego milion lat z górą.

Tak uderzająca sprzeczność dowodzi zapewne dostatecznie, że i tego chronometru geologia odczytać nie może, albo téż że odwoływanie się do niego jest nieuzasadnione i niewłaściwe.

XI.

Niepomyślne te próby odcyfrowania wieku ziemi nie przeszkadzają geologom rozpościerać dziejów naszéj planety na tle nieokreślonego i dowolnie długiego przeciągu czasu; w ostatnich wszakże czasach nasunęła się wątpliwość, czy w spekulacyach tyczących się dziejów ziemi możemy tak dowolnie rozporządzać nieograniczonością czasu. Jeden z najznakomitszych mianowicie fizyków dzisiejszych, William Thomson, opierając się na argumentach porządku fizyczno-astronomicznego, kładzie poważne swe *veto* przeciw téj dowolności, wykazując, że od wytworzenia się skorupy ziemskiéj, a przynajmniéj od chwili, gdy stała się ona zdolną do przy-

jęcia istot żyjących, upłynęło nie więcéj nad dziesięć, lub co najwyżéj piętnaście milionów lat.

Pierwszy swój dowód czerpie fizyk angielski z objawów ciepła wewnętrznego naszéj planety, o którém świadczy przyrost temperatury, jaki napotykamy w miarę zagłębiania się w ziemię (1). Skoro zaś wnętrze ziemi posiada temperaturę wyższą, ciepło przepływać ztamtąd musi bezustannie ku zimniejszéj jéj powierzchni, zkąd rozchodzi się w przestrzeń światową; ziemia przeto i obecnie jeszcze traci ciepło w pewnym stosunku, który oznaczyć i obliczyć można. W takim razie, na podstawie znanych praw fizycznych, można też z teraźniejszego rozkładu temperatury wywnioskować, jak ciepło rozłożone było w ziemi przed stu tysiącami lub przed milionem lat, tak samo, jakbyśmy na podstawie obliczeń matematycznych przepowiedzieć mogli, jaki będzie rozkład ciepła w przyszłości. Przeprowadzone dotąd badania wskazują, że temperatura ku wnętrzu ziemi wzrasta przecięciowo o $1^{\circ}F$ na każde 100 stóp ang., a na podstawie téj, drogą wyżéj wskazaną, doszedł Thomson, że przed dziesięciu mniéj więcéj milionami lat ziemia właśnie co skrzepła, albo też poczynała krzepnąć, i że następnie, po upływie niewielu stosunkowo tysięcy lat zakrzepła powierzchnia ziemi tak dalece już zastygła, że w niektórych przynajmniéj miejscach była już przydatną na siedlisko istot żyjących, jakie obecnie znamy. Temperatura bowiem powierzchni, w niektórych przynajmniéj okolicach, nie przenosiła już tego stanu ciepła, jaki teraz zwierzęta i rośliny znoszą łatwo w stronach zwrotnikowych, przyrost zaś temperatury w głąb' ziemi mógł wtedy wynosić 1° na każde sześć lub dziesięć cali, coby nie przeszkadzało utrzymywaniu się życia roślin. W przeszłości odleglejszéj, jak uczy tenże sam rachunek, powierzchnia ziemi musiała być ciekłą i rozżarzoną do silnéj białości, zgoła nieprzydatną do utrzymywania życia jakichkolwiekbądź istot. Wynika z tego zatém, że najniższe nawet organizmy nie mogły się ukazać na ziemi przed dziesięciu lub co najwyżéj przed piętnastu milionami lat.

Drugi swój argument opiera Thomson na spostrzeżeniu, że obrót dzienny się zwalnia, co innemi słowy znaczy, że długość doby wzrasta. Zdumiewający i niespodziany dla nas ten objaw wyczytano w ruchach księżyca; przez zestawienie, mianowicie, dawnych jego zaćmień z obserwacyami nowszemi poznano, że ruch naszego satelity stopniowo się przyśpiesza, chociaż przyrost ten szybkości jest drobny, wynosi bowiem tylko 12″ na stulecie. Spostrzeże-

(1) Ob. „Zagadka wnętrza ziemi“, „Ateneum“ z r. 1888, t. I. str. 426 i nast.

nie to wywołało długą dyskusyę astronomiczną i matematyczną, z któréj się wreszcie okazało, że na karb ruchu samego księżyca przypada część tylko tego przyśpieszenia, reszta jest następstwem zmniejszania szybkości obrotu ziemi. Skoro bowiem szybkość ta maleje w ciągu wieków, czyli skoro wzrasta długość dnia, która stanowi jednostkę czasu, czas przez nas liczony ciągle opóźniać się musi; księżyc więc bieży pozornie coraz prędzéj, gdy w saméj rzeczy to ziemia coraz powolniéj wiruje. Zwalnianie szybkości obrotu ziemi jest zresztą bardzo nieznaczne, wynosi bowiem, wedle rachunków Adamsa, godzinę ledwie na 16000 lat, fakt ten jednak obecnie zaprzeczeniu już ulegać nie może.

Przyczyną tego powolnego zmniejszania się szybkości obrotu ziemi jest działanie przypływów morskich. Pod wpływem przyciągania księżyca i słońca woda oceanu wznosi się i rozlewa kolejno w różnych punktach globu, jakby przyciąganiem tém powstrzymywana, ziemia przeto ustawicznie wiruje wewnątrz téj masy ciekłéj; sprowadza to bezustanne tarcie, opór ciągły, który osłabia energię obrotu ziemi dokoła jéj osi. Dopóki więc przypływy i odpływy morza istniéć będą, szybkość obrotu ziemi ustawicznie zmniejszać się musi.

Wypływa stąd tedy daléj, że w przeszłości ziemia wirować musiała prędzéj. Dajmy, że od czasu zakrzepnięcia powierzchni ziemi upłynęło lat tysiąc milionów; w takim razie rachunek uczy, że planeta nasza wirować wtedy musiała co najmniéj dwa razy prędzéj aniżeli obecnie, czyli że doba trwała wówczas 12 tylko a nie 24 godzin. W takim jednak razie nastręcza się nam inna niemożebność. Wiadomo bowiem, że następstwem osiowego obrotu ziemi jest jéj podbiegunowe spłaszczenie; przy ruchu tedy dwa razy szybszym wzbudzałaby się na równiku siła odśrodkowa czterokrotnie większa, a stąd i spłaszczenie ziemi musiałoby być o wiele znaczniejszém, aniżeli jest obecnie.

Skoro zaś ziemia tak słabe tylko posiada spłaszczenie, w czasie przeto, gdy powierzchnia jéj zakrzepła, wirować ona musiała z prędkością niewiele tylko większą niż obecnie; a że, daléj, szybkość obrotu ustawicznie maleje, epoka skrzepnięcia bryły ziemskiéj przypadać mogła stosunkowo niezbyt dawno, na podstawie zaś rachunku swego wykazuje Thomson, że mogło to miéć miejsce przed dziesięciu milionami lat niespełna.

Wnioski swoje wypowiada fizyk angielski ze wszelką stanowczością, nie zwróciły one wszakże uwagi geologów i na ich poglądy nie oddziałały. Dzieje rozwoju ziemi, podobnie jak i rozwoju żyjących na niéj istot, obywają się dotąd bez chronologii, czas jest

w nich czynnikiem nieokreślonym, którego pod istotny rachunek nie biorą. Ale jak legendy odnoszące się do pierwotnego bytu człowieka wtedy dopiero w poważną historyę rodu ludzkiego przechodzą, gdy mogą się na chronologii oprzéć, tak samo i geologia zdobyć winna środki, któreby jéj pozwoliły dokładniéj mierzyć rozległe obszary jéj czasów.

XII.

Jeżeli tyle szkopułów napotykamy przy rachubie czasów minionych, to trudności jeżą się więcéj jeszcze, gdy od przeszłości wzrok ku przyszłości odwrócimy, by odgadnąć, jak długo jeszcze ziemską naszą bryłę darzyć będzie słońce dostatecznym zasobem ciepła i światła, by życie na niéj istniéć i utrzymywać się mogło. I tu jednak wydobyła nauka niejakie wskazówki, by na nich domysły swe oprzéć, a w kwestyi téj pójdziemy znowu za Thomsonem, który poglądy swe w téj kwestyi wypowiedział przed kilku laty w odczycie publicznym.

Rozsyłając na wszystkie strony przestrzeni promienie ciepła swego, traci słońce bezustannie olbrzymie zasoby energii. Z przeprowadzonych niegdyś przez Pouilleta badań nad natężeniem promieniowania słonecznego oceniono, że ciepło przez słońce w ciągu każdéj sekundy wysyłane odpowiada pracy, wyrażającéj się przez niezmierną liczbę 476 sekstylionów (476 z 21 zerami) koni parowych, a proces ten trwa w tymże samym stosunku od kilku albo i wielu milionów lat. Jakże zdołamy proces ten wytłómaczyć?

Na podstawie przeprowadzonych dotąd badań naukowych wiemy w ogólności, że słońce składa się z masy ognisto-płynnéj, która ulegać musi stopniowemu oziębianiu, choćby może otrzymywała niekiedy drobny dopływ nowéj energii przez przypadkowo spadające meteory. W ogólności znaną jest teorya Helmholtza, mająca za sobą znaczny stopień ścisłości naukowéj i przy pomocy któréj objawy bytu słońca śledzić można aż do czasów przedhistorycznych. Teorya ta da się treściwie w następujący sposób przedstawić.

W pewnym czasie, który przypada w przeszłości już prawie niedościgłéj, wytworzyło się ciepło słoneczne przez skupienie części materyi, przyciągniętych ku sobie z przestrzeni światowéj pod wpływem działania siły ciężkości; części te materyi przez swe złączenie utworzyły masę dzisiejszego układu słonecznego. Żar potężny téj masy, jaki powstał przez wzajemne uderzenia tych części, zmniejszał się przez stopniowe oziębianie, a w skutek tego masa mogła się ściągać i objętość swą zmniejszać.

Teorya Helmholtza opiera się niezbędnie na przypuszczeniu, że masa słoneczna pozostaje dotąd w stanie płynnym, gdyż ciało stałe, choćby do najwyższéj jasności rozżarzone, musiałoby po krótkim czasie utracić żar swój na powierzchni i przybrać powłokę ciemną. Powierzchnia bowiem tego ciała stałego otrzymywaćby mogła ciepło z warstw głębszych jedynie przez przewodnictwo, a dopływ taki nie wynagradzałby ubytku, powodowanego stygnięciem powierzchni. Przy masie płynnéj, natomiast, substancya zewnętrznych warstw słońca, która ciepło wysyła, gęstniejąc przy stygnięciu, musi się cofać ku wnętrzu, podczas gdy gorętsza substancya płynna pędzona jest z wnętrza i wydostaje się na powierzchnię. Straszliwe to prądowanie, utrzymujące się bezustannie w olbrzymiéj, ognisto płynnéj masie słonecznéj, stanowi podstawę dzisiejszéj fizyki słońca, która się coraz więcéj rozwija przy pomocy badań spektralnych.

Aby powziąć dokładniejsze wyobrażenie o ilości ciepła, jaka bezustannie doprowadzana jest do powierzchni słońca i w przestrzeń wysyłana, należy wyżéj podaną, olbrzymią liczbę 476×10^{21} koni parowych podzielić przez wielkość powierzchni słońca $6{,}1 \times 10^{18}$ metrów kwadratowych, a wypadający stąd iloraz 78000 koni parowych daje nam wielkość promieniowania słonecznego w ciągu sekundy z każdego metra kwadratowego, wyrażoną w jednostkach mechanicznych.

Wyobraźmy sobie ośm machin parowych, każdą o sile 10000 koni, któreby nakładem wszystkiéj swéj pracy wprawiały w ruch koło łopatkowe, umieszczone w cieczy zapełniającéj koryto o przecięciu jednego metra kwadratowego: metr kwadratowy cieczy, w tak niesłychany sposób wzburzonéj, wysyłałby też samę ilość ciepła, co każdy metr kwadratowy powierzchni słońca.

Natężenie to promieniowania słonecznego pozwala obliczyć, że idące za tém ściąganie się promienia słonecznego wynosi około 35 metrów rocznie, co w ciągu dwu tysięcy lat czyni dziesięciotysiączną część jego długości. Jeżeli więc promieniowanie słońca jest obecnie takiém samém, jakiém było przed 200.000 lat, to promień słoneczny musiał być podówczas o jednę odsetkę większy.

Jeżeli zaś działalność słoneczna w takiém samém, jak obecnie, natężeniu promieniowania utrzymywać się ma jeszcze przez dwadzieścia milionów lat, to promień słoneczny zmniejszyłby się przeszło o połowę. Dodać wszakże należy, że w takim razie gęstość słońca byłaby wtedy jedenaście razy większą od gęstości wody, czyli wyrównałaby gęstości ołowiu, nie mogłoby przeto już zachodzić prawidłowe zagęszczenie, jak to ma miejsce co do gazów.

Należy więc przyjąć, że w przyszłości ilość ciepła wysyłanego przez słońce zmniejszy się nader znacznie, zwłaszcza przy zmniejszeniu powierzchni promieniującéj.

Wskazana tu ocena promieniowania słonecznego polega, jak powiedzieliśmy, na dawniejszych obserwacyach Pouilleta. Dokładniejsze pomiary natężenia tego promieniowania przeprowadził niedawno Langley na górze Whitney w Kalifornii, w wysokości około 15000 stóp ang. nad poziomem morza. Na podstawie tych obliczeń przyjąć należy, że ciepło wysyłane w ciągu sekundy przez jeden metr kwadratowy jego powierzchni wyraża się przez 133000 koni parowych, zamiast podanéj wyżéj liczby 78000, co znaczy powiększenie w stosunku 1 : 1,7. Skoro zaś słońce przez promieniowanie traci więcéj ciepła, aniżeli w powyższych obliczeniach przyjmowano, przeto téż i otrzymane z rachunków tych długości czasów skrócić należy w stosunku 1 : 1,7. Zamiast więc obliczonych wyżéj dwudziestu milionów lat, wypada, że promieniowanie słońca, niezbędne do utrzymania życia na ziemi, trwać może jeszcze przez dwanaście milionów lat tylko. Uwzględniając zaś inne jeszcze okoliczności, a zwłaszcza to, że wnętrze słońca posiadać może gęstość większą, i że promieniowanie w czasach ubiegłych odbywać się mogło z żywością odmienną, przypisuje Thomson słońcu nie więcéj nad jakie dwadzieścia milionów lat działalności w czasach ubiegłych i pięć do sześciu milionów lat w przyszłości.

Cokolwiekbyśmy o ścisłości obliczeń tych trzymali, nie może to uwłaczać bynajmniéj saméj ich zasadzie. Zanim zaś, w miarę oziębiania słońca, zamrze przyroda ziemska, o wiele wcześniéj zapewne ród ludzki znajdzie kres bytu swego; a wtedy téż dopiero uleczą się choroby jego i rany ukoją, bo nad medykamenty wszelkie, nad żelazo i nad ogień, czas najdzielniejszym jest lekarzem.

Stanisław Kramsztyk.





JAN COLINS I JEGO NASTĘPCY.

I.

Krótki życiorys Jana Colinsa. — Napoleonista. — Badania jego nad przyczynami pauperyzmu. — Projekt stowarzyszenia przyjaciół ludzkości. — Nadzieja pokładana w Napoleonie III. — Dzieła Colinsa.

Filiacya myśli, rodowód pomysłów — stanowi jednę z ciekawych i bardzo pouczających stronic księgi życia umysłowego ludzkości, chociaż niezawodnie należy do tych, które z wielką trudnością dają się odczytywać. Widzimy, że w jednym z krajów europejskich powstaje pewien pomysł i wywoławszy gwar i zajęcie wielkie, następnie uchodzi gdzieś w głębiny, i umysłowość narodu przestaje się nim interesować. Mijają lata, i oto wśród innego narodu i wśród innych okoliczności, pojawia się podobny do poprzedniego pomysł. Zajmują się nim ludzie. I spostrzegamy, że i w pierwotnéj jego ojczyźnie znowu się wznoszą i wysoko piętrzą fale duchowe, unosząc na swym grzbiecie ów dawny a — jak się zdawało — porzucony ostatecznie pomysł. Czy się wynurzył z zapomnienia dawny, czy też późniejszy wzburzył na nowo uspokojoną już powierzchnię? Pytania te nasuwają się same, gdy rozważymy historyą kwestyi u p a ń s t w o w i e n i a czyli raczéj u n a r o d o w i e n i a z i e m i. Czy jest ona przypomnieniem z dawniéjszych czasów? Czy powstała naraz w wielu umysłach? Czy też przypisać ją raczéj temu, który w naszém stuleciu zastanawiał się nad tym przedmiotem nietylko najwcześniéj, ale z wielką systematycznością i gruntownością? Mówię o Janie Colinsie, wielce cenionym przez belgijskich socyalistów pisarzu, ale mało rozgłośnym, albowiem nie olśniewał świetnością stylu, a więcéj komentował innych, aniżeli sam od siebie mówił, a z tego powodu nużył czytelnika swemi rozwlekłemi dziełami.

Jan Wilhelm Cezar Hipolit Colins urodził się 24 grudnia 1783 r. w Brukseli. Ojciec jego, baron, stary szlachcic wyprowadzał swoję genealogią aż od Karola Śmiałego. Jan pobiérał pierwszą naukę od księdza, przyjaciela swego ojca. Kiedy miał lat 17, posłano go do Paryża, do szkoły politechniczněj—Belgia należała wówczas do Francyi. W Paryżu młodego chłopca olśniła sława wojenna, którą armia francuska zdobywała na polach europejskich, i bez długiego namysłu, zaciągnął się on do huzarów. W wojsku był dobrym kolegą i dzielnym żołnierzem; raz nie przyjął nawet nagrody, albowiem — jak powiadał — wielu godniejszych od niego jéj nie otrzymało; w r. 1815 w bitwie pod Fleurus, jako adjutant jenerała Excelmanns'a, wykonał na czele jazdy świetny atak do pozycyi mocno obsadzonéj na moście nad Sambrą, przyczém zabrał nieprzyjacielowi 6 dział.

Colins stał się gorącym i szczerym napoleonistą. W r. 1815 nawoływał on do walki zawziętéj w obronie cesarza, do walki na śmierć i życie przeciwko najazdowi. Jeden z jego wyznawców, Fryderyk Borde, podaje ciekawy szczegół z bitwy pod Waterloo. Colins był 18 czerwca wraz z korpusem Grouchy w Wavres. Kiedy posłyszano kanonadę pod Waterloo, zrobił on rekonesans i przekonał się, że można było, przeszedłszy most Saint-Etienne, dać pomoc Napoleonowi. Pośpieszył więc coprędzéj do jenerała Excelmans'a i prosił go, by ten natychmiast dał wojsku rozkaz do marszu.

— Nie można — odrzekł jenerał— Grouchy nie pozwala.

— Jakto nie pozwala?! — wykrzyknął Colins — a więc wymów mu posłuszeństwo i każ go aresztować, jenerale!

Podobnąż radę dawał Excelmans'owi, kiedy rozeszła się pogłoska o kapitulacyi Paryża.

— Jenerale — zawołał — trzeba rozstrzelać zdrajców Fouché'go i Taleyrand'a i uwięzić deputowanych antipatryotów, a potém wywieśmy chorągiew czerwoną, ogłośmy ojczyznę w niebezpieczeństwie i umrzyjmy z bronią w rękach, albo ocalmy Francyą!

Kiedy ogłoszono detronizacyą Napoleona, Colins był naczelnikiem szwadronu. Podał się natychmiast do dymisyi. Chcąc go zatrzymać w armii, obiecywano mu awans, ale miał on odrzec na to: „nigdym jeszcze nie przewracał kaftana".

Opuściwszy służbę wojskową, udał się do Belgii a następnie do Ameryki. Tam zajmował się naukami przyrodniczemi i techniką: jak opowiadają — studyował głównie marynarkę podwodną i balony, chcąc je użyć za narzędzie oswobodzenia więźnia wyspy Św. Heleny. Zresztą Colins poprzednio już okazywał skłonność do pracy naukowéj. W r. 1811, stojąc z pułkiem w Alfort, uczęszczał

na wykłady szkoły weterynaryjnéj i otrzymał pierwszą nagrodę z rolnictwa. W r. 1818, kiedy znajdował się z wojskiem pod Lipskiem, otrzymał za swoję pracę od cesarskiéj akademii rolniczéj medal złoty, a w 1814 r. był powołany na jéj członka. W Ameryce rychło pozyskał także uznanie: w r. 1818 akademia nauk przyrodniczych w Filadelfii, mianowała go swoim członkiem. W następnych latach widzimy go na wyspie Kubie, gdzie się zajmował rolnictwem i praktyką lekarską. „Najpiękniejsze moje lata — powiadał późniéj — przepędziłem na Kubie, albowiem zajmowałem się leczeniem ubogich“.

Kiedy w r. 1830 wybuchła rewulucya w Paryżu, Colins wrócił do Francyi z zamiarem agitowania na korzyść syna Napoleona. Prawdopodobnie, nie znajdując poparcia, nie mógł w tym kierunku rozwinąć swéj czynności; przynajmniéj, nic nie wiemy o niéj. Wiadomo tylko, że osiadłszy w Paryżu, żył bardzo skromnie, prawie ubogo, czytał dużo, chodził niemal na wszystkie wykłady uniwersyteckie, przestawał przeważnie z robotnikami i dzielił się z nimi, nietylko myślami i poglądami, ale także i szczupłym swym dochodem. „Wielu z was mnie zna, a że życie moje pełne jest poświęcenia się, to łatwo sprawdzić możecie“, — pisał w r. 1848 do robotników w memoryale o urządzeniu własności. Gotowości swéj do poświęcania się omal nie przypłacił życiem w strasznych dniach czerwcowych.

Za czasów rzeczypospolitéj r. 1848 i 1849, Colins zajmował się czynnie propagandą swoich poglądów. Przedstawił on parlamentowi robotniczemu, obradującemu pod prezydencyą Ludwika Blanc'a, projekt p. t. *Association universelle des Amis de l'humanité, du droit dominant la force, de la paix, du bien-être genéral, pour l'abolition du prolétariat et des révolutions* (Stowarzyszenie powszechne przyjaciół ludzkości, prawa przed siłą, pokoju, dobrobytu ogólnego, w celu usunięcia proletaryatu i położenia końca rewolucyom). *La Tribune des Peuples*, wychodząca nakładem Ksawerego Branickiego pod redakcyą Adama Mickiewicza, ogłosiła w maju 1840 r. w swych łamach ten projekt. Taż sama *Tribune* wydrukowała we wrześniu drugi artykuł Colinsa p. t. *Socialisme rationel*, w którym autor przedstawiał korzyść, potrzebę i możność utworzenia powszechnego stowarzyszenia proletaryuszów, w celu zniweczenia pauperyzmu i położenia końca rewolucyom. Proletaryuszów dzielił on na ekonomicznych i „moralnych“, zaliczając do ostatniéj kategoryi tych wszystkich ludzi, którzy popierali sprawę proletaryatu. „Po roku 48 — pisał on — każdego, który popiérał sprawę szlachty, nazywano a r y s t o k r a t ą, chociażby to był chłop pośledni; tego zaś,

który popiérał sprawę burżuazyi nazywano d e m o k r a t ą, chociażby był szlachcicem, jak Montmorency lub Mirabeau" (1). To samo daje się zastosować i do sprawy proletaryuszów. Zdaniem Colinsa, należało nawet przeważnie rachować na proletaryuszów moralnych, zwłaszcza na księży, jako tych, co z zasady poświęcać się powinni. Proletaryusze ekonomiczni, nie będąc samodzielnymi, potrzebują kierownictwa proletaryatu moralnego. „Są oni r z e c z a m i, nie o s o b a m i. To też zdolni być tylko narzędziem rewolucyi" (2). Na socyalistów ówczesnych także nie rachował, albowiem każdy z nich — zdaniem autora — uważał tylko własną teoryą za jedynie zbawienie przynoszącą. „Jak słońce rozprasza mgłę, tak stowarzyszenie powszechne — mawiał — zmiecie wszystkie socyalizmy".

Wkrótce jednak Colins przekonał się, że nie można rachować na duchowieństwo, które z opozycyi przeciwko ruchowi rewolucyjnemu stało się jeszcze więcéj teokratycznémi, aniżeli poprzednie, prawdziwie ultramontańskie. Znowu więc, z wejściem na tron Napoleona III, ożyła w nim dawna wiara w wielką misyą dynastyi napoleonowskiéj. Zdawało mu się, że autokrata tylko, silny i światły, zdolen byłby przeprowadzić radykalne reformy ekonomiczne i zaprowadzić w szkołach racyonalne nauczanie. Nie miało się jednak spełnić jego *pium desiderium*.

Obie rozprawki, drukowane w dzienniku Mickiewicza, wyszły oddzielnie. Zawiérają one zwięźle i logicznie napisany całkowity system Colinsa. Następne dzieła jego rozwałkowywały tylko — można powiedziéć — ich treść. Tytuły tych dzieł są następujące:

Qu'est-ce que la science sociale? (1851—1854), 4 tomy;

L'économie politique, source des revolutions et des utopies prétendues socialistes (1856), 3 tomy;

Sociéte nouvelle, sa nécessité (1857), 2 tomy;

De la souveraineté, 2 tomy;

Science sociale, 5 tomów;

De la justice dans la science hors l'Eglise et hors la Révolution (1861), 3 tomy.

Ostatnie dzieło, napisane z powodu dzieła Proudhona p. t. O s p r a w i e d l i w o ś c i w r e w o l u c y i i k o ś c i e l e, jest krytyką poglądów tego autora, któremu głównie zarzuca, że szuka sprawiedliwości nie tam, gdzie należy, albowiem szukać jéj trzeba w wiedzy.

---

(1) La Tribune des Peuples. N. 93, 1849 r. — (2) *L. c.* N. 107.

Wydawcą dzieł Colinsa był jego uczeń, Szwajcar Hugentobler. Oprócz powyższych dzieł, wyszło jeszcze parę broszur i zostało sporo rękopismów, które jego wyznawcy ogłaszają częściowo obecnie.

Colins umarł w Paryżu 12 listopadą 1859 r.

II.

Porządek i anarchia. — Antropomorfizm i pauperyzm materyalny. — Z wzrostem oświaty rozpoczyna się krytyka: naprzód antropomorfizmu, następnie rządu, wreszcie porządku społecznego. — Nowe społeczeństwo: jego podstawa materyalna i moralna. — Prawda negatywna i pozytywna. — Metafizyka Colinsa. — Wspólne cechy z Proudhonem: kwestya narodowości i anarchii. — Uznanie dla Leroux i Pascala — Przyszły ustrój: dzierżawy, dochody społeczne, wychowanie i nauczanie publiczne. — Zarobki, rodzina, opieka nad nieszczęśliwymi. — Nowy porządek nie może się zamknąć w jedném jakiém państwie.

Podobnie jak Saint-Simon, Colins wychodzi także z założenia, że p o r z ą d e k jest podstawą, warunkiem niezbędnym życia społecznego. Najgorszy porządek jest jeszcze lepszy od nieporządku, który jest tak dolegliwy, że społeczeństwo woli najuciążliwszy despotyzm, byle wydobyć się tylko mogło ze stanu anarchicznego. Utrzymać porządek można albo siłą, albo rozumem. Tylko oparty na rozumie, na wiedzy, porządek jest trwały i niewzruszony. Porządek, który opiera się na sile, czyli na przewadze materyalnéj jednych nad drugimi, zawsze jest słaby i, ażeby mógł się utrzymać, potrzebuje pewnej podstawy, któraby dawała mu sankcyą i stosowała pewien porządek moralny. Podstawę taką moralną przedstawia religia, która właściwie jest spólnością przekonań tak o dobrém jak o złém. Spólność taką może dać albo wiara, albo rozum. W czasach niedojrzałości umysłowéj, ciemnoty powszechnéj, może wytworzyć ją tylko wiara. Pozostaje wówczas antropomorfizm tj. hipoteza bogów albo Boga. W miarę jednak dojrzewania umysłów, ludzie zaczynają rozumować tj. filozofować i przekonywają się o niedorzeczności antropomorfizmu. To prowadzi ich do panteizmu, czyli zamaskowanego materyalizmu, a następnie do odrzucenia wszelkiej powagi, czyli wszelkiej sankcyi prawa i obowiązku, tj. do anarchii moralnéj i społecznéj, któréj wynikiem ostatecznym i koniecznym musi być rozprzężenie społeczne, ś m i e r ć s p o ł e c z n a. Ażeby zapobiedz temu, ażeby powstrzymać szerzenie się anarchii, trzeba było nie dopuścić szerzenia się rozumowania, trzeba było okiełznać, spętać umysły, trzeba było ugruntować c i e m n o t ę s p o ł e c z n ą, p a u p e r y z m m o r a l n y. Prawodawca więc związał mniejszość rozumującą interesem, który

skłania ją do podtrzymywania religii przesądnéj w masach i do tajenia tych prawd, których ogólna znajomość uczyniłaby istniejący porządek niemożliwym: oddał mniejszości całą ziemię i płynące z niéj bogactwa, większość zaś skazał na pauperyzm materyalny, który zmusza ją do ciężkiej pracy i nie daje jéj swobodnego czasu ani na kształcenie się, ani na rozumowanie, który słowem, utrzymuje ją w ciągłéj ciemnocie. Prawdopodobnie Prawa Platona, w których ten określa rolę prawodawcy, nasunęły Colinsowi myśl podobnego objaśnienia organizacyi własności ziemskiéj. Jest ono jednak historycznie mylne. Dzisiaj wiemy, że pierwotna forma własności ziemskiéj miała charakter spólnościowy, gromadzki, gminny, należała do ogółu, nie zaś do pewnych tylko jednostek, tworzących mniejszość.

Ustrój, oparty na antropomorfizmie i własności prywatnéj, był w czasach ciemnoty umysłowéj sprawiedliwy, dopóki można było tłumić myślenie, albowiem tylko w ten sposób dawał się utrzymać porządek społeczny. Kiedy jednak umysłowość ludzka dojrzała wpłynęła ona na wzrost bogactwa, które znowu ze swojéj strony przyczyniało się do rozwoju umysłowego: liczba więc rozumujących powiększała się, wiara słabła, i nastąpił drugi okres w życiu ludzkości, w którym panuje jeszcze ciemnota, ale w którym staje się niemożliwém tłumienie myśli i przeszkadzanie badaniu krytycznemu. Rozpoczyna więc krytyka swoje działanie rozkładowe. Zwraca się ona przedewszystkiém ku religii. Hypoteza antropomorfizmu jako niedorzeczna nie wytrzymuje krytyki, i myśl stacza się do panteizmu, czyli materyalizmu tj. do zaprzeczenia wszelkiéj religii, albowiem co może być łącznikiem spólnym pomiędzy materyalistami? Chyba nicość. Następnie krytyka zwraca się ku rządówi i ku instytucyom politycznym. Wykrywa, że wszystkie rządy są złe i niesprawiedliwe, albowiem opierają się na sile, któréj jedyną sankcyą daje kat. Rozpoczyna się więc zmiana nieustanna rządów, odbywają się nieustanne rewolucye polityczne. Wreszcie krytyka zwraca się ku porządkowi społecznemu tj. ku własności, albowiem „porządek społeczny jest jeno organizacyą własności“ (1). Krytyka więc wykazuje pauperyzm materyalny większości, wyzyskiwanie jéj przez mniejszość, nieracyonalne podstawy samego ustroju, w którym pauperyzm rośnie równorzędnie z bogactwem Odtąd istniejący ustrój społeczny nie daje się usprawiedliwić, albowiem nie tylko że nie podtrzymuje porządku, ale nadto staje się sam nieustanną przyczyną nieporządku. Wszystko więc wskazuje, że nowe społeczeństwo jest koniecznem.

(1) Colins. Société Nouvelle. Sa Nécessité. Paris. 1857. t. I, str. 200.

„Społeczeństwo nowe polega: 1) na podstawie moralnéj, niedającéj się przez rozum zaprzeczyć i niweczącéj w ten sposób pauperyzm moralny, czyniący absolutnie koniecznym pauperyzm materyalny; oraz 2) na podstawie materyalnéj, któréj konieczném następstwem jest zniweczenie pauperyzmu materyalnego. Podstawą tą jest przejście ziemi na własność kolektywną, spólną“ (1). Samo jednak przejście ziemi na własność spólną nie ugruntuje nowego społeczeństwa. Przeciwnie, zniweczenie pauperyzmu materyalnego, bez równoczesnego zniweczenia pauperyzmu moralnego, przyczyni się tylko do powiększenia anarchii. Nowy porządek materyalny potrzebuje także sankcyi moralnéj, którą da religia, oparta na rozumie, wiedzy, poznaniu prawdy, poznaniu jednak prawdy nie negatywnéj, lecz pozytywnéj, na społeczném, a nie indywidualném poznaniu téj prawdy. Saint-Simon szukał sankcyi także u wiedzy, ale szukał wiedzy pozytywnéj tam, gdzie jéj niema, u przedstawicieli dzisiejszéj nauki. Tymczasem posiadają oni tylko prawdę negatywną, która wykazuje to, co nie ma podstawy racyonalnéj, ale rzeczywistéj, racyonalnéj podstawy nie wskazuje. Jest ona jednak ważną podnietą, olbrzymią pobudką. „Nic niema tak zapalnego jak prawda negatywna. Jest to jéj jedyna zasługa. Pożar, który ona roznieca, sam jest w stanie tylko dać uczuć potrzebę prawdy pozytywnéj“ (2). Poznaje się tu prawda pozytywna bezpośrednio, przez dedukcyą; przez indukcyą można dojść jeno do prawdopodobieństwa, nigdy zaś do prawdy. „Indukcya, mącierz zdań, jest jedynie możliwém kryteryum w epoce ciemnoty, ponieważ dedukcya należy wyłącznie do epoki wiedzy, do epoki prawdy niezaprzeczalnie wykazanéj“ (3).

Jakaż to jest prawda pozytywna? „Prawda jest wieczna—rozumuje Colins—albo jéj niema. Prawda wieczna może należéć tylko do całostek wiecznych, całostki bowiem czasowe są tylko całostkami pozornemi. Całostki wieczne są koniecznie niemateryalne, całostki materyalne bowiem są tylko całostkami pozornemi. Jeżeli istnieje w nas istota niematerylna, to ona koniecznie być musi istotą czującą, czuciem, ponieważ rozumowanie jest tylko stosunkiem do wrażliwości, do duszy. A więc prawda, j e ż e l i i s t n i e j e, może być tylko istotą czującą, duszą, czuciem, uznaną całostką, niematerylną, wieczną“ (4).

Taki jest punkt wyjścia metafizyki Colins'a, którą tu przedstawię w krótkiém streszczeniu. Istnieją—zdaniem naszego autora—dwa światy zupełnie oddzielne: świat materyalny czyli raczéj ma-

(1) *L. c.* I. 49. — (2) *L. c.* I. 280. — (3) *L. c.* II. 220. — (4) *L. c.* I. 157.

terya, w któréj panuje konieczność, i świat duchowy czyli dusze, które są zupełnie wolne. Materya ulega ciągłym zmianom, przeobrażaniu się, przeistaczaniu. Dusze są niezmienne, wieczne. Wcielają się one w twory materyalne, dopiéro kiedy te dojdą do pewnéj doskonałości, kiedy wykształcą się w nich organy, przez które mogą one objawiać swą czynność. Ludzkie tylko istoty mają dusze. Świat więc widoczny rozpada się na dwa światy: materyalny i ludzki. Jeno ludzie mają czucie, albowiem czucie może być tylko świadome. „Czuć, w moralnym stosunku, jest to znać, a znać jest to rozumować. C z u ć, w czasie, w stosunku fizycznym, znaczy także rozumować. Wrażenie otrzymane jest to rozumowanie" (1). Zwierzęta nie mają czucia: ich czucie jest tylko pozorne. Twierdzenie to, przypominające zdanie Kartezyusza o automatyczności zwierząt, stara się zwęzić dziedzinę czucia, kiedy tymczasem przeciwnie badania naukowe z ostatnich czasów ogromnie ją rozszerzyły. Niektórzy przypuszczają nawet, że atomy mają czucie.

Przyjąwszy teoryą wiecznie istniejących dusz, Colins przyjmuje także metampsychozę i lubo oświadcza się wrogiem mistycyzmu, mówi jednak o pokucie dusz i odkupieniu grzechów.

Colins, jakkolwiek walczył z meteryalizmem Proudhona, stawiącym siłę przed prawem, sam w dwóch kwestyach zajął bardzo zbliżone do niego stanowisko i negował odrębność narodową i uznawał konieczność anarchii.

Zdaniem Colinsa, socyalizm racyonalny musi zniweczyć narodowości. Jedyną bowiem—mniema on—podstawą pojęcia ojczyzny, odrębności narodowéj jest religia. Dopóki są różne religie, dopóty są różne narodowości. Prawda atoli jest jedna, więc i religia w przyszłości może być tylko jedna, a wówczas narody połączą się w jedną ludzkość. Utożsamianie jednak religii z narodowością, jakie widzimy w twierdzeniu Colinsa, nie daje się uzasadnić. Przecież pod skrzydłem jedności kościoła katolickiego, większa część dzisiejszych narodów europejskich wykształciła właściwe sobie cechy odrębności. Hiszpanie, Włosi, Francuzi, Belgowie—pomimo jedności swéj religijnéj—nie przestają być odrębnemi narodami. Niemcy katolicy i Niemcy protestanci, pomimo swéj różnicy religijnéj, uznają wszakże swoję spólność narodową. Bezwątpienia, że różnica religijna przyczynia się do podtrzymania niechęci i nienawiści narodowych. Spólność jednak religijna pomiędzy Włochami i Węgrami z jednéj strony, a Niemcami austryackimi z drugiéj, nie przeszkodziła rozwinięciu się strasznéj nienawiści jednych do drugich

---

(1) *L. c.* I. 463.

Tymczasem Szwajcarya i Stany-Zjednoczone w północnéj Ameryce świadczą, że różnoreligijne ludy mogą żyć w zgodnych i życzliwych pomiędzy sobą stosunkach. Z tego wszystkiego, co Colins mówi, widać, że nie chodzi mu o odrębność narodową, ale raczéj o odrębność państwową. „Drugim stopniem—powiada—ostatnim stopniem, ostatnią fazą porządku, porządku realnego względnie do prawdy, jest zniweczenie narodowości, o ile są one samorządne (*autonomes*); tak samo jak zniweczenie rodzin, o ile te były samorządne, przedstawiało pierwszą możliwą fazę porządku społecznego" (1). Porównanie narodowości do rodzin właśnie—powiedziałbym—przemawia za utrzymaniem samorządu narodowego. Niepodległość rodzin wcale nie jest mniejszą w porządku narodowym, aniżeli ta, jaka była w porządku rodowym. Przeciwnie. Zdaje się, że Colins, który wcale nie był zwolennikiem nieczułego na cierpienia narodowe kosmopolityzmu, pomieszał dwie rzeczy, które niekoniecznie powinny łączyć się z sobą: samorząd i odgraniczanie się trwożliwe i samolubne narodów od siebie. Granice strzeżone przez celników, przeszkadzające braterskiéj solidarności ludów, nie są wszakże konieczne do utrzymania samorządu narodowego. Gminny samorząd przecież nie przeszkadza łączności narodowéj.

Dla Proudhona anarchia była celem, dla Colinsa jest ona tylko środkiem, środkiem koniecznym, niezbędnym, bez którego ludzkość nie osiągnie jedynie rzeczywistego porządku, mogącego jéj zapewnić stateczność i szczęście. Nowe społeczeństwo j e s t n i e m o ż l i w e, d o p ó k i n i e s t a n i e s i ę n i e z b ę d n é m. „A co może uczynić je niezbędném? Co może j e d y n i e uczynić je niezbędném? Nadmiar złego, zrządzony przez anarchią" (2). Jedyne lekarstwo na przesądy, głupotę i próżność zawiera się „w anarchii, doprowadzonéj do możliwie ostatecznego stopnia" (3). „A więc, anarchio—woła—rozwijaj się coraz bardziéj, albowiem dzięki tobie tylko społeczeństwo pozna prawdę!" (4) I anarchia—zdaniem jego—staje się coraz powszechniejszą i straszniejszą. „Rewolucya i anarchia jest to jedna i ta sama rzecz pod dwoma różnemi nazwami. Ktokolwiek jest rewolucyonistą, jest także anarchistą, a ktokolwiek jest anarchistą, jest także rewolucyonistą, czy wié o tém, czy nie wié" (5). Takimi anarchistami i rewolucyonistami są przedewszystkiém ci, co się uważają za obrońców obecnego porządku. Takim anarchistą był Guizot, ponieważ nauczał, że m o r a l n o ś ć j e s t n i e z a l e ż n a o d r e l i g i i; takim anarchistą był Thiers,

---

(1) *L. c.* II. 94. — (2) *L. c.* I. 55. — (3) *L. c.* II. 51. — (4) *L. c.* II. 318. — (5) *L. c.* II. 1.

ponieważ twierdził, że niepodobna zniweczyć pauperyzmu materyalnego; takim anarchistą był także Say, ponieważ dowodził, że w dzisiejszym ustroju oszczędności bogatych robią się kosztem ubogich, i że wpośród najzamożniejszego nawet narodu pewna część ludzkości musi corocznie umierać dla niemożności zaspokojenia swych potrzeb.

Ze wszystkich socyalistów—zdaniem Colinsa—Piotr Leroux, wysoko ceniony przez naszego Mickiewicza, najwięcéj zbliżył się do prawdy, ale i on nie zrozumiał jéj jeszcze. Z dawniejszych myślicieli Colins miał szczególne poważanie dla Pascala, który—nawiasem mówiąc—drogą rozumowania doszedł do przekonania, że równość majątkowa mogłaby być jedynie sprawiedliwą podstawą ustroju społecznego.

Jakże przedstawiać się będzie ustrój społeczno-ekonomiczny, skoro ziemia przestanie być własnością prywatną, a stanie się własnością publiczną, narodową, gromadzką, kolektywną?

W nowym ustroju będą istniały zarówno wielkie jak małe folwarki, zależnie od tego, jakiego rodzaju jest gleba, jak gęsta jest ludność, czy przemysł jest możliwy w danéj okolicy itd. Folwarki te wypuszczać się będą w dzierżawę. Kontrakty dzierżawne mają być dożywotnie, jeżeli jedna rodzina obejmuje folwark; mają mieć moc prawną na lat trzydzieści, jeżeli uprawa rolnicza odbywa się przez stowarzyszenie rodzin. Organizacya społeczna popierać będzie zarówno jednę jak i drugą formę dzierżawienia. Umowy dzierżawne mogą być jednak rozwiązane, jeżeli dzierżawcy uważają je za niekorzystne, „albowiem wówczas interes publiczny i interesy prywatne niezbędnie utożsamiają się, a więc zawsze trzeba zważać na sprawiedliwy interes osób prywatnych i dawać mu pierwszeństwo“ (1). Płaca dzierżawna stanowić będzie główną podstawę finansową przyszłego ustroju. W r. 1849 dochód z ziemi we Francyi wynosi 1700 milionów. „Oto, już dosyć ładny budżet dochodu—powiada autor—i ta jedna gałąź dochodu społecznego może być powiększona cztery razy, skoro rolnictwo, wytwór i spożycie dojdą do swego *maximum*“ (2). Drugim ważnym dochodem publicznym będzie spadkowy. Ponieważ spadkobierstwo boczne beztestamentowe w nowym ustroju zniesione zostanie, więc do skarbu publicznego wpływać będzie wszelki spadek *ab intestato* w braku spadkobiercy w prostéj linii. Nadto wszelkie spadki testamentowe płacić będą 25%. Podług wszelkiego więc prawdopodobieństwa, dochody: dzierżawny i spadkowy wystarczą na opędzenie potrzeb pu-

(1) La Tribune des peuples. N. 74. — (2) L. N. 70.

blicznych, i społeczeństwo nie będzie miało potrzeby nakładać innych podatków. Należy nawet przypuszczać, że zasobność skarbu publicznego pozwoli obniżyć stopę procentową kredytu dla osób prywatnych. A w każdym razie stanie się możliwém uczynić wychowanie i nauczanie równém dla wszystkich, albowiem mówić o równości obywatelskiéj a pozostawiać wychowanie i nauczanie na los szczęścia, jest to bawić się w utopią najgorszego gatunku. „Chciéć zaś, ażeby równość wychowania i nauczania mogła istniéć poza obrębem wychowania i nauczania, udzielanego społecznie wszystkim bez różnicy wraz z mieszkaniem, pożywieniem, odzieniem, utrzymaniem itd., jest także utopią podobnego rodzaju" (1).

Skoro wszyscy otrzymywać będą równe wychowanie i nauczanie; skoro troska o dzieci, starsze od dwóch lat, spadająca dzisiaj ogromnym ciężarem na rodziców, odpadnie; skoro kredyt stanie się przystępniejszy i tańszy; wówczas wszyscy mniéj będą potrzebowali pracować, a pomimo to zarobki podniosą się do możliwego *maximum*. Przeludnienia Colins nie przypuszcza. Mając lżejsze warunki życia, każdy będzie mógł miéć rodzinę. Jest to konieczném, ponieważ rodzina, czyli raczéj małżeństwo stanowi warunek niezbędny i główny szczęścia ludzkiego. Ze szczęścia rodzin składa się szczęście społeczne, a bez niego nowy porządek nie zdołałby się utrzymać. „A jeżeli nieszczęście lub szaleństwo dotkną kogo, wówczas społeczeństwo jako powszechna asekuracya wzajemna zaopiekuje się nim albo w jego nieszczęściu, albo w jego szaleństwie, ponieważ od chwili jak niewiedza społeczna przestanie istniéć, od chwili jak zostanie dowiedzione, że działać sprzecznie z tém, co nakazuje poświęcenie dla braci, jest to działać przeciwko własnemu interesowi, od téj chwili przestaną istniéć na kuli ziemskiéj źli ludzie, a będą tylko bezrozumni nieszczęśliwi, godni wszelkiego politowania społecznego (3).

Porządek jednak taki nie może istniéć długo w jakimkolwiekbądź oddzielném państwie, dopóki dokoła niego panować będzie porządek dzisiejszy. Przypuśćmy—powiada Colins—że mamy Eldorado francuskie. „W Eldorado tém niema nikogo wyzyskiwanego. A wiecie, co czyni towary taniemi, ze względu na zawartą w nich pracę. Wyzyskiwanie mas. Ze węlędu więc na pracę, towary we Francyi podniosą się w cenie w dwójnasób, w trójnasób. Macież moc oddzielić się od całego świata? Jesteścież w siłach przeszkodzić przemycaniu? Wkrótce wasi robotnicy, tj. cały ogół, pozostaną bez pracy, i z przyzwolenia powszechnego Eldorado wasze zostanie odesłane do utopii" (3). Wniosek to jednak za pośpieszny.

---

(1) *L. c.* N. 71. — (2) *L. c.* N. 71. — (3) Soc. Nouv. II. Str. 100 i 101.

III.

Ludwik de Potter. — Pogląd jego na katolicyzm. Występuje jako dzielny bojownik praw narodowych. — Udział jego w wypadkach r. 1830. — Republikanizm doprowadza go do socyalizmu.—Wielki wpływ jego na ludność robotniczą w Belgii. — Nowsi przedstawiciele socyalizmu racyonalnego. — Poulin. — Zarzuty czynione przezeń komunizmowi. — Mniema, że światła mniejszość urzeczywistni prawdę społeczną. — Jego wielkie dzieło.

Nazwisko Ludwika de Pottera ściśle się łączy z historyą Belgii. Był on jednym z najgłówniejszych sprawców oderwania się Belgii od Holandyi i utworzenia samodzielnego państwa belgijskiego. Jego Wspomnienia (*Souvenirs personneles*), wydane w dwóch tomach w r. 1840, są ważném źródłem historyczném do téj epoki.

Ludwik de Potter (1786 — 1859) pochodził z bogatego domu. Po ukończeniu studyów uniwersyteckich, z powodu słabości zdrowia wyjechał do Włoch i tam korzystając z bibliotek, zajmował się historyą kościelną. Od r. 1816 pojawił się w tym przedmiocie cały szereg jego dzieł opracowanych źródłowo. Za streszczenie tych wszystkich prac, można uważać jego Historyą chrześciaństwa, która pojawiła się w Paryżu w sześciu tomach w r. 1836 i 1837. Dzieje kościelne doprowadziły go do przekonania, że misya społeczno-religijna katolicyzmu i wogóle chrześciaństwa, już się skończyła. „Katolicyzm — pisał on do kardynała - arcybiskupa mechlińskiego — olbrzymie oddał usługi społeczeństwu: żyło się pod jednością społeczną, którą on stworzył, o wiele szczęśliwiéj, aniżeli dzisiaj pod tchnieniem zwątpienia, które rozprzęga i demoralizuje wszystko. Lecz krytyka obaliła jego panowanie. Rozpada się on w proch, i społeczeństwo pod nim upada. Nie pragnąłem końca katolicyzmu. Skonstatowałem jeno fakt. Nie żałuję wreszcie tego, co się stało, albowiem musiało się stać, ponieważ coś innego ma zająć opróżnione przezeń miejsce“. De Potter miał na myśli socyalizm.

Wróciwszy z Włoch, de Potter, któremu bogactwo i nauka otwierały wpływ na sprawy społeczne, z zapałem rzucił się w wir życia politycznego. Z przekonań był wówczas liberałem i republikaninem i walczył ze stronnictwem katolickiém i z arystokracyą. Wszedłszy w r. 1828 do redakcyi *Courrier des Pays-Bas*, najważniejszego organu stronnictwa liberalnego, zajął odrazu wybitne w niém stanowisko. Skoro jednak spostrzegł, że rozdwojenie pomiędzy Belgami wzmacnia rząd holenderski, został jednym z gorliwszych promotorów unii katolików i liberałów, tj. przymierza ich do wspól-

néj walki. Skazany wkrótce na 18 miesięcy więzienia, stał się wyrocznią całego narodu, wszystkich jego stronnictw. Okazał się on znakomitym organizatorem. Podług jego planu, zawiązały się po całym kraju stowarzyszenia konstytucyjne, w celu zbierania podpisów na petycyach z zażaleniami narodu. Stowarzyszenia te jawne koncentrowały się w tajnym komitecie kierującym. Cała prasa, bez różnicy opinii, szła pod jednym wówczas sztandarem. Było to także zasługą de Pottera. Z więzienia kierował on całym ruchem. Walka tymczasem zaogniała się. Rząd ogłosił nowe obostrzone rozporządzenia królewskie i dał dymisyą wszystkim urzędnikom, którzy nie chcieli ich podpisać. De Potter, który w tym czasie opuścił więzienie, otworzył, posyłając 100 zł., narodową subskrybcyą dla urzędników dymisyonowanych i w *Courrier des Pays-Bas* opracował dokładny plan konfederacyi przeciwrządowéj. Wytoczono więc mu nowy proces i skazano 30 kwietnia 1830 r. na ośm lat wygnania. De Potter odwołał się od tego wyroku, lecz apelacyi jego nie przyjęto. Wyjeżdżając do Paryża, napisał do króla list, w którym przepowiedział bliską rewolucyą.

Kiedy 25 sierpnia wybuchła w Bruksellі rewolucya, rozpoczęła się ona od okrzyków: „Niech żyje de Potter! precz z van Maanen'em!" (1). Rząd tymczasowy rewolucyjny powołał de Pottera do swego składu i złożył przewodnictwo w jego ręce. Wygnaniec wracał z tryumfem do kraju. Wszędzie witały go tłumy ludu i wyprzęgłszy konie, same ciągnęły powóz. Wszedłszy do rządu, de Potter usilnie pracował nad tém, aby w Belgii została ogłoszona rzeczpospolita. Skoro więc kongres olbrzymią większością głosów (174 przeciw 13) oświadczył się za monarchią konstytucyjną, usunął się on od spraw publicznych i wyjechał do Paryża, gdzie był współpracownikiem pism republikańskich i gdzie ostatecznie sformułował swoje przekonania społeczne. Wówczas poznał się osobiście z Colinsem, który wywarł na niego wpływ wielki.

Jak Stefana Cabeta, jak Ludwika Blanc'a, tak samo de Pottera, republikanizm doprowadził do socyalizmu. Rzeczpospolita — zdaniem jego — to ustrój, w którym wszyscy powinni czuć się dobrze. Ażeby mogła powstać taka rzeczpospolita, nie wystarczy sam przewrot polityczny, konieczną jest jeszcze rewolucya społeczna. Wolność polityczna jest środkiem, lecz nie daje ona materyalnych warunków, któreby zapewniały szczęście powszechne. Taką jest główna myśl wydanéj w Paryżu broszury w 1831 r., p. t. *De la Révolution à faire d'après l'expérience des Révolutions avortées*. W r. 1838

---

(1) Van Maanen był ministrem sprawiedliwości.

de Potter wrócił do Belgii, gdzie ze szczególną gorliwością zajmował się badaniami społecznemi. Owocem téj pracy były dwa tomy Studyów społecznych (1841—1843), w których do stanowczego przyszedł przekonania, że ziemia jako główne źródło bogactwa społecznego, nie może należéć do jednostek, ale powinna być własnością społeczną, wspólną, kolektywną.

Zostawszy socyalistą, de Potter zmienił poczęści i swoje poglądy polityczne: zobojętniał dla téj lub owéj formy rządu, a natomiast ze względów ekonomicznych stał się zwolennikiem unii Belgii z Holandyą, opartéj na zupełnéj samodzielności obu krajów.

Ku końcowi życia zajmował się gorliwie propagowaniem socyalizmu racyonalnego: w r. 1850 wydał „Katechizm socyalny“, w 1854 „Katechizm racyonalny“, w 1859 „Słownik racyonalny“. I propaganda ta nie pozostała bezowocną. Cezar de Paepe, który odrzuciwszy metafizykę Colinsa i de Pottera, przyjął pod pewnym względem ich poglądy historyczne i ekonomiczne, powiada, że w okręgu górniczym, zwanym Borinage, napotkał wielu wykształconych robotników, którzy z przekonaniem głębokiém wyznawali zasady socyalizmu racyonalnego (1).

Od połowy siódmego dziesiątka lat, socyalizm racyonalny posiada własny organ, który wychodzi w Paryżu p. t. *La Philosophie de l'Avenir*, pod naczelną redakcyą Fryderyka Borde'a. Jednym z najgorliwszych spółpracowników tego pisma jest Agaton de Potter, syn Ludwika. Pomiędzy licznemi dziełami, napisał on dobry rozbiór książki Proudhona o wojnie i pokoju. Do gorliwych także propagatorów socyalizmu racyonalnego, należy Szwajcar Hugentobler, który jednak powprowadzał nowe dodatki, niektóre dobre, a niektóre niewłaściwe. Pomiędzy robotnikami paryskimi gorliwym wyznawcą nauki Colinsa był Piotr Vinçard, synowiec saint-simonisty Vinçard'a, znany z dokładnego swego studyum statystycznego o proletaryacie francuskim. W *Revue Socialiste*, wydawanym w Paryżu przez Malona, dali się poznać dwaj wyznawcy Colinsa: Delaporte i Pignon. Ciekawą jest rzeczą, że pomiędzy wyznawcami zasad Colinsa sporo jest lekarzy: wpływa na to może ta okoliczność, że Agaton de Potter jest także lekarzem.

Jeden z wyznawców Colinsa, P. Poulin, wszedłszy na drogę krytyczną, doszedł do wniosku, że sankcya pozagrobowa (*ultra-vitale*) jest złudzeniem, gdyby nawet wykazała niemateryalność

---

(1) Jarhbuch für Sozialwissenschaft und Sozialpolitik. Erster Jahrgang. Zweite Hälfte. 1880. Die soziale Wissenschaft nach Colins und de Potter—von dr. C. de Paepe. str. 37.

duszy; ale pouczony i objaśniony — jak sam powiada — przez Agatona de Pottera i Hugentoblera, nawrócił się do dawnego zapatrywania. Z socyalizmem ekonomicznym stało się także coś podobnego. Badając krytycznie sposoby załatwienia kwestyi społeczno-ekonomicznéj, wskazał Poulin na trudności, jakie pociąga za sobą zachowane przez Colinsa spadkobierstwo w linii prostéj. Krytyka jego dalsza doprowadza do tego mniemania, że ustrój komunistyczny najłatwiéj usunąłby te trudności i autor z pewnym zapałem odpiéra wszystkie zarzuty, czynione komunizmowi. Zwłaszcza znakomitym jest ustęp, w którym bardzo logicznie zwalcza Proudhona. Zdawałoby się po tém wszystkiem, że sam Poulin jest komunistą z przekonania. Gdzież tam! Chciał on tylko pokazać zwolennikom komunizmu, że zna doskonale wszystkie argumenty, które można przytoczyć na jego korzyść. „Mniemaliśmy — powiada — że to najlepszy środek do uleczenia z utopii i ostatecznego pozyskania dla socyalizmu racyonalnego pewnych rozgorączkowanych umysłów, oszołomionych niedorzecznym radykalizmem, jak i my sami byliśmy nim przez długi czas oszołomieni“ (1).

Cóż w przekonaniu Poulin'a przemawia przeciwko komunizmowi? Najprzód, usuwając wszelkie złe, niweczy on swobodę woli, albowiem nie pozostawia się wyboru pomiędzy złem i dobrem. Tam, gdzie istnieje doskonałość, niemożliwa jest cnota, albowiem nie ma powodu do występku, niemożliwy więc jest także porządek moralny. Argument — powiédzmy—dziwny. Powtóre, społeczeństwo nie jest jakąś istotą, jest tylko zbiorem jednostek. Podporządkowywać wszystko interesom społecznym, byłoby gwałcić interesy indywidualne. Nie podporządkowywać należy jedne interesy drugim, lecz je pogodzić. Właśnie to czyni socyalizm racyonalny. Przytém ustrój komunistyczny nie zapewni jeszcze szczęścia powszechnego, albowiem zawsze istnieć będzie nierówność usposobienia do szczęścia. Po trzecie, równość absolutna w położeniu ludzkiém nie jest możliwa. Żądać można jeno równości wobec społeczeństwa, którą zapewni równość wychowania i nauki, tudzież społeczna pomoc materyalna, dawana każdemu, skoro po ukończeniu szkół rozpoczyna jaki zawód. Ustrój ten należy uważać za doskonały, inaczéj bowiem pozostawilibyśmy drzwi otwarte dla rewolucyi i nieustannéj anarchii. Postęp dalszy możliwy jest tylko w warunkach fizycznych i w przemyśle: w nowym ustroju rozwiąże on wielki problemat przemiany pracy.

Poulin różni się jednak w tém od Colins'a, że nie uważa za konieczne dla urzeczywistnienia prawdy społecznéj, aby prawda

(1) Religion et socialisme — par P. Poulin. Paris. 1867. str. 321.

religijna została poprzednio **społecznie** przyjętą. Podług niego, wystarczy, jeżeli światła mniejszość ją zrozumie. Właśnie mniejszość bogata, któréj interesom obecny stan rzeczy najwięcéj zagraża, zrozumie wreszcie, że porządek da się ocalić jedynie przez reformę socyalną. „A więc w wasze ręce, uprzywilejowani mieniem, składamy sprawę socyalizmu. Wam to być pierwszymi jéj promotorami. I jeżeli nasamprzód liczymy na wasz własny interes, ażeby otworzyć wam oczy, to wiemy, że skoro rzeczywiście otworzycie je, przestanie on być jedyną waszą pobudką. Wówczas miłość ludzkości ożywi wasze usiłowania, i szczęśliwsi od młodego bogacza z Pisma Świętego, zapewnicie sobie skarb w życiu przyszłém, nie potrzebując w tém życiu poświęcać waszego wielkiego majątku" (1).

Poulin napisał wielkie dzieło p. n. *Noveau Dieu, noveau monde*, w którém przedstawia integralne, spólnościowe i równościowe stowarzyszenie, jako podstawę ustroju społecznego i łączy w niém na gruncie teoryi Colinsa falansteryanizm furyerowski z mutualizmem proudhonowskim.

IV.

Sprawa unarodowienia ziemi w Anglii. — Tamtejsze stosunki własności ziemskiéj. — Zdanie o tym przedmiocie Henryka George'a.—Spencer.—Teorya renty gruntowéj Dawida Ricardo i wniosek Jana Stuarta Milla. — Liga reformy narodowéj. — Liga ziemi i pracy. — Dzieła Wallace'a i George'a. — Upowszechnienie się w Anglii zasady unarodowienia ziemi.—Stosunki agrarne w Irlandyi.— Michał Davitt.—Henryk George. — Stronnictwo agrarne w Stanach-Zjednoczonych Ameryki. — Unarodowienie ziemi w Niemczech.—Teodor Stamm.—Michał Flürschheim. —Niemiecka liga ziemi. — Ferdynand Maurice. — Dwustronny charakter tego ruchu agrarnego.

W Anglii sprawa unarodowienia ziemi posunęła się tak daleko, że podług wszelkiego prawdopodobieństwa przyjdzie tam wkrótce na porządek dzienny; przemawiają za tém ekonomiczne warunki tamtejsze i silna, zorganizowana w téj sprawie agitacya. Nigdzie ziemia nie skoncentrowała się w tak niewielu rękach, jak w Anglii. Przeszło $^4/_5$ ziemi uprawnéj należy do 2341 właścicieli (2). Biorąc w rachubę same olbrzymie posiadłości, stosunek wypada jeszcze gorszy. W broszurze wydanéj w r. 1874, Karol Bradlaugh powiada, że połowa Anglii i trzy ćwierci Szkocyi, należą do 160

---

(1) *L. c.* 325. — (2) Financial reform almanach z 1879 r., podaje następujące cyfry: wszystkich właścicieli ziemskich — 1173124, powierzchnia ziemi przez nich posiadana wynosi 2367584889 arów; z tego należy 921931341 do 421 właścicieli, 1445653848 zaś do 1900 właścicieli.

rodzin. Przytém wielcy właściciele ziemscy przeważnie nie zajmują się rolnictwem, lecz wydzierżawiają swe ziemie. Stosunek zaś dzierżawców, szczególnie uboższych, i czynszowników do landlordów jest ogromnie przykry: są oni w takiéj zależności ekonomicznéj, moralnéj i politycznéj, że przypomina ona nieraz stosunki poddańcze. „Państwo — powiada Wallace — uznając nieograniczone prawo własności ziemskiéj osobistéj, wypuściło z rąk swoich władzę... i stworzyło potężniejszych od siebie królików". Jeżeli rolnictwo przynosi mniejsze od oczekiwanych korzyści, wielcy właściciele ziemscy, nie troszcząc się wcale o los ludności z uprawy roli żyjącéj, zamieniają rolę na pastwiska, na parki, lub zwierzyńce. Zwłaszcza przybrało to ogromne rozmiary w Irlandyi i górnéj Szkocyi, gdzie ekonomiczne powody z politycznemi się połączyły. W Irlandyi w ciągu lat czterech (1849—1852), wypędzono z uprawianéj roli przeszło milion ludności, co spowodowało wielką jéj śmiertelność. W górnéj Szkocyi od 1831 do 1852 r. obszar ziem uprawnych zmniejszono o półtora milionów akrów. Dochody wielkich właścicieli ziemskich są niepomiernie wysokie. Podług obliczenia Fawcett'a, skapitalizowana renta ziemska wynosi około stu milionów fr. Ponieważ oprócz wymienionéj liczby (2341) właścicieli ziemskich, reszta sama zajmuje się uprawą roli, więc bez wielkiéj pomyłki, wskazaną sumę renty, można podzielić przez liczbę owych szczęśliwych właścicieli, tak że w przecięciu na każdego za to, że nie pracuje, przypada po 40000 fr. Wartość pieniężna, renty gruntowéj, bez żadnego przyczynienia się właścicieli ziemskich, wciąż wzrasta, kiedy tymczasem wskutek coraz większéj konkurencyi dzierżawców, praca rolnika opłaca się coraz gorzéj. Z jednéj więc strony bogactwo coraz mocniéj koncentruje się, z drugiéj zaś nędza proletaryatu rolniczego rośnie. Podług obliczenia Wallace'a, przeszło szósta część ludności najbogatszego w świecie kraju albo znajduje się już w strasznéj nędzy, albo jest bardzo jéj blisko.

Henryk George obrazowo uogólnia powyższe spostrzeżenia. „Dzisiaj — powiada on — w Wielkiéj Brytanii prawo narodu, jako całości, na ziemię o wiele mniéj ma uznania niż w czasach feudalnych. Daleko mniejsza część narodu posiada ziemię, i posiadanie to o wiele jest absolutniejsze. Niegdyś tak rozległe i tak wielce przyczyniające się do niepodległości i utrzymania niższych klas ziemie gminne, dzisiaj, oprócz małéj reszty niemających wartości gruntów, ogrodzone dokoła znajdują się w posiadaniu prywatném; wielkie dobra kościelne, właściwie dla celów ogólnych wspólny majątek, zostały odebrane od kościoła dla wzbogacenia osób pojedyńczych; powinności wojskowe, ciążące na dobrach lennych,

zostały zniesione, i koszta utrzymania instytucyi wojskowych, tudzież odsetki olbrzymiego długu, nagromadzonego przez wojny, spadły brzemieniem swojém na cały naród w postaci podatków, opłacanych od tego co niezbędne i przyjemne jest w życiu. Dobra koronne przeszły po większéj części w posiadanie prywatne, a robotnik brytański utrzymanie rodziny królewskiéj i koszta ślubne wszystkich młodych jéj książąt musi opłacać w cenie swéj szklanki piwa i swéj fajki tytoniu. Angielscy wolni rolnicy, odważne pokolenie, które odniosło zwycięstwa pod Crecy, Poitiers, Azincourt, wygaśli jak mastodonty. Szkoccy członkowie klanu, których prawo na ziemię w ojczystych górach było również niezaprzeczone jak i prawo ich naczelników, zostali wygnani, ażeby dać miejsce dla stad owiec i jeleni, należących do potomków owych naczelników klanu. Prawo rodowe Irlandczyka do ziemi, zamieniło się w wypowiadaną dowolnie dzierżawę. Trzydzieści tysięcy ludzi ma moc prawną wypędzać całą ludność z pięciu szóstych części wysp brytańskich, a olbrzymia większość narodu brytańskiego nie ma żadnego prawa na ziemię ojczystą, oprócz tego, że może chodzić po ulicach i jeździć kolejami żelaznemi. Do nich dadzą się dobrze zastosować wyrazy jednego z trybunów ludu rzymskiego: Rzymianie—mówił Tyberyusz Grach — was nazywają panami świata, a wy niemacie prawa na piędź waszéj ziemi. Dzikie zwierzęta mają swe pieczary, wojownicy zaś Italii mają tylko wodę i powietrze!"

Sprawa unarodowienia ziemi nie jest rzeczą nową w Anglii: sięga ona końca XVIII stul. Spotykamy ją w programie polityczno-społecznym Spence'a, którego wyznawcy zorganizowali w Londynie Towarzystwo filantropów i w 1787 r. prowadzili już dosyć czynną agitacyę w sprawie unarodowienia ziemi.

Myśl unarodowienia ziemi znalazła ważny argument w teoryi renty gruntowéj, którą w końcu XVIII stul. wyłożył Anderson, a którą znakomity ekonomista, Dawid Ricardo, szczegółowo i logicznie rozwinął na początku bieżącego stulecia. W opłacie, którą dzierżawca składa właścicielowi ziemskiemu, wyróżnił on dochód właściciela od włożonego w ziemię kapitału i właściwą rentę, którą dzierżawca płaci właścicielowi za to, że ten ma prawo do ziemi. Do wytworzenia téj renty właściciel nic a nic nie przyczynia się: jest ona następstwem rozwoju i pracy całego społeczeństwa. Skoro więc tak, to dla czego mają pobiérać ją właściciele, nie zaś całe społeczeństwo, którego jest ona dziełem? „Zbogacają się oni, rzec można — powiada Jan Stuart Mill — mimowoli, drzémiąc, nie pracując, nic nie ryzykując, nie oszczędzając. Jakież prawo, na mo-

cy zasad ogólnych sprawiedliwości społecznéj, mogą mieć oni do takiego bogacenia się? Czy byłoby dla nich krzywdą, jeśliby społeczeństwo zachowało sobie prawo opodatkowania wzrastających samych przez się dochodów takich, w takim stopniu, w jakim wymagają tego potrzeby krajowe?" (1).

Naturalną więc było rzeczą, że w ruchu rewolucyjnym r. 1848 sprawa unarodowienia ziemi znowu się wynurzyła w świadomości ludowéj. Liga reformy narodowéj, zawiązana w tym roku w Londynie, przyjmując w całości czertystowską „Kartę ludową", żądała nadto, ażeby państwo stopniowo dążyło do obalenia monopolu gruntowego, górniczego i rybołówczego, wykupując od właścicieli ziemię, kopalnie i prawo na rybołówstwo.

Dzisiejszy ruch w Anglii w sprawie unarodowienia ziemi datuje się od października 1869 r. w którym to czasie zawiązała się Liga ziemi i pracy, wypisując unarodowienie ziemi na czele swego programu. Pomiędzy członkami komitetu téj ligi widzimy także delegatów angielskich, którzy brali rok przedtém (we wrześniu 1868) udział w kongresie brukselskim Towarzystwa Międzynarodowego. Przypominam tę okoliczność dla tego, że na owym kongresie przyjęto wniosek o upaństwowieniu czyli unarodowieniu ziemi, postawiony i broniony przez czciciela Colinsa, Cezarego de Paepe. W ten sposób propaganda Colinsa spotkała się z tradycyjną propagandą angielską.

Bardzo wiele przyczyniły się do upowszechnienia zasady unarodowienia ziemi dwa dzieła: *Landnationalisation, its necessity and its aims* (Unarodowienie ziemi, jego konieczność i zadania) i *Progress and Poverty* (Postęp i ubóstwo) Henryka George'a. Zwłaszcza to ostatnie dzieło (2) miało olbrzymie powodzenie, w krótkim czasie w saméj Anglii było 10 wydań. Oba dzieła, sprzedawane po bajecznie taniéj cenie, rozeszły się w ogromnéj liczbie egzemplarzy. George z większą od Colinsa dokładnością sprowadził całą kwestyą socyalną do sposobu posiadania ziemi. Podług niego, istnienie kapitalizmu nie jest możliwe bez stałego gruntu, a tym stałym gruntem właśnie jest ziemia. Posiadanie ziemi jest najpotężniejszym środkiem kapitalizowania. Wszelki wzrost ludności, wiedzy, rolnictwa, przemysłu, handlu, komunikacyi powiększa rentę gruntową, Zyski z kapitału nie rosną w takim jak ona stosunku. Co do płacy zarobkowéj; to ta zmniejsza się, w miarę jak przystęp do ziemi sta-

---

(1) Zasady ekonomii politycznéj — napisał John Stuart Mill. Tłómaczyli R. P. i B. Tom drugi. Petersburg 1860. Str. 380 i 381. — (2) Wyszło w tłómaczeniu polskiém w Poznaniu p. t. Postęp i Nędza.

je się trudniejszy. Chcąc więc podciąć korzenie kapitalizmowi, trzeba uczynić ziemię wspólną własnością. „Nie proponuję jednak — powiada George — ani wykupu, ani konfiskaty własności ziemskiéj: pierwszy środek byłby niesłuszny, drugi bezpożyteczny“. Ażeby pozbawić własność ziemską zdolności wyzysku, ażeby otworzyć ludowi pracującemu szeroki przystęp do roli, ażeby zniweczyć pauperyzm, wystarczy postanowić, że renta gruntowa ma być dochodem całego państwa, czyli narodu. Wówczas ceny ziemi spadłyby ogromnie, a olbrzymi dochód z renty gruntowéj uczyniłby nietylko możliwém obniżenie wszelkich innych podatków, ale dałby możność państwu rozszerzyć i podnieść oświatę publiczną do wysokiego stopnia. Ludność pracująca zaś, mając łatwiejszy przystęp do ziemi i posiadając wyższy stopień oświaty i nauki, nie dałaby się w takim stopniu, jak dzisiaj wyzyskiwać. George, rodem Amerykanin, dla skuteczniejszego poparcia swych zasad, przyjeżdżał do Anglii i tam na mityngach obszernie i wymownie rozwijał swoję teoryą. Znakomity przyrodoznawca, Alfred Russel Wallace, uważa unarodowienie renty gruntowéj także za rzecz godziwą, pożyteczną i konieczną, ale mniema, że chcąc usunąć złe skutki monopolu gruntowego własności prywatnéj, trzeba jeszcze koniecznie zapewnić całkowity dochód z ziemi temu, co ją uprawia. W tym celu żąda, ażeby obliczywszy dochód, jaki mają dzierżawcy i czynszownicy z pracy własnéj, ułatwić im wykupienie ziemi, odpowiednio do skapitalizowanego tego dochodu; co do renty gruntowéj, to państwo powinno ją wykupić. W ten sposób państwo zostanie rzeczywistym właścicielem ziemi, nabywcy zaś oddzielnych gruntów staną się nieograniczonymi co do czasu, ale ograniczonymi co do praw dzierżawcami: nie wolno im będzie poddzierżawiać swych gruntów i obciążać ich długami. Każdy przytém dorosły obywatel państwa ma prawo na niewielki kawałek gruntu, który państwo obowiązane mu jest wyznaczyć. Skoro jednak w jakikolwiekbądź sposób pozbędzie się tego gruntu, nie ma prawa żądać wyznaczenia nowego.

Dzisiaj unarodowienie ziemi weszło — można powiedzieć — w program wszystkich związków robotniczych, ludowych i radykalnych w Anglii. Federacya demokratyczna, zawiązana w r. 1883, w manifeście swoim, do którego redakcyi należał także jeden z dzisiejszych przewódców socyalistycznych, Hyndmann, pomiędzy innemi żądaniami stawia także unarodowienie ziemi. „Jesteśmy obcy we własnym kraju — powiada manifest — 30000 ludzi zawładnęło ziemią, kiedy tymczasem powinna być ona własnością 30 milionów“. Żądanie to ludowe zdobywa uznanie pierwszorzędnych myślicieli

i mężów stanu. Herbert Spencer, który oświadczył się wrogo przeciwko zastosowaniu zasad socyalistycznych w przemyśle, uważa unarodowienie ziemi za możliwe i zgodne z wyższym stopniem cywilizacyi (1). Gladstone i Chamberlain przyznają słuszność saméj zasadzie, uważają tylko, że pośpieszne jéj przeprowadzenie mogłoby sprowadzić ważne zamieszania ekonomiczne i polityczne.

Stosunki agrarne w Irlandyi są o wiele gorsze—jak wiadomo—aniżeli w innych krajach Wielkiéj Brytanii. Cała ziemia w tym kraju należy do 9000 właścicieli tylko, tak że średnio przypada na każdego po 2139 akrów (112 włók): lecz ten przeciętny stosunek, nie odpowiada rzeczywistości, albowiem połowa ziemi znajduje się w rękach 744 osób, a z liczby tych właścicieli —293 posiada trzecią część rolnéj Irlandyi. Wielcy ci właściciele ziemscy, prawie wszyscy angielskiego pochodzenia, nie zajmują się sami w dobrach swoich gospodarstwem, lecz ziemie swoje wydzierżawiają i najczęściéj mieszkają po za granicami kraju. Dzierżawców liczy się w Irlandyi przeszło 600000, a z nich większa połowa siedzi na tak drobnych gospodarstwach, że ledwie wyżyć jest w stanie. Znowu dzierżawcy bogatsi, zamiast płacy pieniężnéj, zwykle wyznaczają najemnym robotnikom rolnym małe kawałki gruntu, na których ci sadzą kartofle. Nadto taka dowolność panowała w naznaczaniu opłaty dzierżawnéj i w wyrzucaniu fermerów, że parlament ujrzał się zmuszony do prawodawczego uregulowania stosunków agrarnych. Pierwsza interwencya prawodawcza nastąpiła w r. 1860, lecz nie przyniosła prawie żadnéj korzyści ubogim dzierżawcom. Ważniejszém o wiele było prawo, w r. 1870 przeprowadzone przez Gladstone'a, lecz i ono nie mogło naprawić rozpaczliwego położenia rolników irlandzkich. Przekonał się o tém sam Gladstone i po upartéj walce, przeprowadził w parlamencie nowy bil agrarny z dnia 7 kwietnia 1881 r., na mocy którego ustalono dzierżawę, uchwalając, że wysokość płacy dzierżawnéj ma być stanowiona z urzędu, i że przy usunięciu dzierżawcy, właściciel ziemski obowiązany jest zapłacić mu wynagrodzenie, które także z urzędu ma być oznaczane.

Bile agrarne Gladstone'a były spowodowane strasznem wrzeniem, które zapanowało na całéj wyspie zielonego Erinu pod hasłem: „Ziemia irlandzka powinna należéć do Irlandczyków!“ Głównym kierownikiem tego ruchu był Michał Davitt, zahartowany więzieniem i wygnaniem w długoletniéj walce z rządem angielskim.

---

(1) Principes de Sociologie par Herbert Spencer — traduit de l'anglais par M. E. Cazelles. Tome Troisième. Paris. 1883. str. 738, 739 i 742.

Jest on tego przekonania, że jedynie unarodowienie ziemi da możność wydźwignięcia ludności rolniczéj Irlandyi z rozpaczliwego położenia. Dzięki jego to głównie usiłowaniom, stanęła w październiku 1879 r. Liga ziemska (*Land League*), i on to zdobył dla niéj w Stanach-Zjednoczonych potężną pomoc, tak w środkach pieniężnych, jak w tamtejszéj organizacyi irlandzkiéj, do utworzenia któréj sam osobiście wiele się przyczynił. Kiedy następnie Liga ziemska przez rząd angielski rozwiązana została, powstała na jéj miejscu Liga Narodowa, domagająca się własnego narodowego parlamentu. Landlordowie irlandzcy i angielscy z taką zawziętością opierają się przywróceniu samoistnego ciała prawodawczego w Irlandyi dla tego, że są przekonani, iż jednym z pierwszych jego czynów będzie ogłoszenie ziemi irlandzkiéj własnością narodową.

Propagandę unarodowienia ziemi w Stanach-Zjednoczonych Ameryki rozpoczął Henryk George, wykształcony pod wpływem Davitte'a, podczas jego pobytu w Ameryce. Wyszedł on z szeregów ludowych; do piętnastu lat posługiwał na okręcie jako majtek, późniéj został towarzyszem sztuki drukarskiéj, daléj awansował na dziennikarza. Od 1871 r. zaczął propagować unarodowienie ziemi. Wydane przezeń w r. 1879 dzieło: P o s t ę p i u b ó s t w o uczyniło go popularnym: miało ono 28 wydań w Stanach-Zjednoczonych. Dzięki poparciu Irlandczyków, Patricka Forda, redaktora dziennika *Irish World*, i Mac Glynna, stał się on przewódcą ruchliwéj ludności irlandzkiéj, stanowiącéj jądro armii stronnictwa agrarnego w Stanach-Zjednoczonych.

Stronnictwo agrarne w Stanach-Zjednoczonych przedstawiało i jeszcze dotąd przedstawia dwa obozy, niewiele mające z sobą wspólnego: *Greenbackers* chcą ograniczenia wielkiéj własności ziemskiéj, tudzież reformy finansowéj, znoszącéj pieniądze metaliczne, a natomiast zaprowadzającéj asygnaty państwowe z kursem stałym; *Grangers* zaś domagają się ograniczenia monopolu kompanii kolejowych i zaprowadzenia stałéj i taniéj taksy transportowéj. Prawie wszyscy drobni rolnicy należą do tych obozów. Henryk George postanowił więc połączyć oba te obozy w jedno wielkie reformatorsko-rolnicze stronnictwo pod ogólnym sztandarem unarodowienia ziemi. Udało mu się istotnie pozyskać w obu obozach sporo zwolenników, nazywanych powszechnie r e f o r m a t o r a m i p o d a t k u (*Tax reformers*). Chodzi im o to, ażeby wszystkie dotychczasowe podatki zamienić na jeden podatek ziemski, zabierający na rzecz skarbu rentę gruntową. Zdaniem George'a, będzie to miało nieobrachowane korzyści. A więc nasamprzód, potężnie wzbogaci skarb narodowy, co pozwoli wykupić z rąk

prywatnych telegrafy i koleje żelazne, pomnożyć liczbę szkół, pozakładać liczne biblioteki i muzea, wesprzéć instytucye, ochraniające robotnika w chwilach jego nieszczęścia. Powtóre, cena ziemi obniży się, a więc łatwiéj ją nabywać będzie można. Obszary ziemi nieuprawnéj, bezleśnéj i niezabudowanéj nie będą miały prawie żadnéj ceny, więc je prawie zadarmo brać będzie można. Wreszcie po trzecie, przemysł niekrępowany żadnymi podatkami, z nową potęgą rozwijać się pocznie.

Książka Henryka George'a, przetłómaczona przez Gütschowa na język niemiecki (*Fortschritt und Armuth*), doznała w Niemczech wielkiego powodzenia. Znalazła tam grunt dostatecznie już przygotowany. „Średnia ludność rolnicza—pisze baron Thüngen z Frankonii w liście otwartym do Bismarcka — zaczyna znikać; bogaci kapitaliści tanio nabywają wielkie *latifundia*, które zamieniają na pastwiska: włościanin staje się tém, czém był przed dwustu laty, zwykłym pasterzem. Część ludności wiejskiéj emigruje..." Teorya renty miała w Niemczech gruntownego badacza, który w jeszcze wyższym stopniu wykazał jéj charakter społeczny, aniżeli to uczynił Ricardo. Był nim Rodbertus von Jagetzow, wielki właściciel ziemski i były pruski minister handlu w r. 1848. Wreszcie zasada unarodowienia ziemi, miała w Niemczech już od r. 1870 gorliwego propagatora.

Doktór medycyny, Teodor Stamm, pisząc swe dzieło o zniweczeniu chorób (*Krankheitsvernichtung*), zauważył, że najważniejszą przyczyną szerzenia się chorób zaraźliwych jest zanadto wielkie skupianie się ludności w pewnych miejscowościach. Skupianie się zaś owo pochodzi przeważnie z tego powodu, że własność prywatna ziemi, przeszkadza ludności rozszerzać się tak, jakby tego było można się spodziéwać, jak tego wymaga jéj interes. Uzupełniając więc swoje dzieło, ogłosił on w r. 1870 rozprawę p. t. *Die Erlösung der darbenden Menschheit* (Wybawienie w niedostatku żyjącéj ludzkości), w któréj proponował stopniowe nabywanie gruntów prywatnych przez państwo. Myśl ta zajęła tak mocno jego umysł, że poświęcił się cały jéj propagandzie i w celu jéj popierania, założył 10 kwietnia 1874 r. w Berlinie *Verein für Humanismus*.

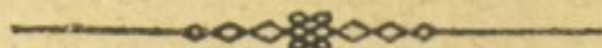
Na tak przygotowanym gruncie dzieło George'a sprawiło wielkie wrażenie. Szczególnie zapalił się do nowéj myśli Michał Flürschheim, dyrektor fabryki, zatrudniającéj przeszło 500 robotników, w Haggenau w Badeńskiém. Opiérając się na wywodach George'a, napisał on sporą książkę p. t. *Auf friedlichem Wege* (Na drodze pokojowéj), która spopularyzowała w Niemczech sprawę una-

rodowienia ziemi. Drugie bardzo tanie wydanie téj książki wyszło w r. 1884 w Baden-Baden. Niedawno pojawiło się trzecie wydanie. Autor proponuje, ażeby państwo wykupiło ziemie za pomocą emisyi listów zastawnych i przyjęcia na siebie wszystkich długów hypotecznych, i mniema, że operacya ta z powszechném zadowoleniem da się szybko uskutecznić. Flürschheima bardzo gorliwie poparł von Hellsdorf Baumersrode, właściciel dóbr rozległych i autor dzieł: „*Die Verstaatlichung von Grund und Boden oder Schutzzölle in der Landwirtschaft*" (Upaństwowienie gruntu i ziemi albo cła ochronne w rolnictwie) i „*Das recht auf Arbeit und die Landfrage*" (Prawo do pracy i kwestya ziemska).

Ażeby nadać agitacyi w sprawie unarodowienia ziemi szersze rozmiary, zwolennicy reformy w tym kierunku, zgromadziwszy się w Berlinie 6 czerwca 1886 r., założyli *die deutsche Landliga* (Niemiecką ligę ziemi), i mianowali honorowym jéj prezesem d-ra Teodora Stamma, łącząc w ten sposób nowszy ekonomiczny kierunek z poprzednim filantropijnym. Liga ma własny organ p. t. *Land,* a nadto rozporządza pomocą 17 rozmaitych innych pism. Propaganda jéj dąży obecnie przedewszystkiém ku temu, ażeby nadać państwu monopol udzielania pożyczek na hypotekę, a to w celu ażeby w ten sposób państwo mogło się stać powoli rzeczywistym właścicielem, pobiérającym rentę gruntową z majątków zastawionych.

Propagandę unarodowienia ziemi we Francyi prowadzi Ferdynand Maurice, redaktor dziennika *La terre aux paysans* (Ziemia dla włościan) i autor dziełka: *La réforme agraire et la misère en France* (Reforma rolna i nędza we Francyi).

Mówiłem tu tylko o unarodowieniu ziemi, które ogranicza się na zniesieniu monopolu prywatnego własności ziemskiéj, lecz gospodarstwu rolnemu pozostawia jego dawny charakter indywidualny. W tym ruchu agrarnym, tak samo jak w ruchu spółdzielczym, widzimy pewne zbliżenie się ekonomistów i socyalistów. Ułatwi to niezawodnie przeprowadzenie nowéj reformy, a ta usunie jednę z najważniejszych przeszkód do dalszéj ewolucyi ustroju produkcyi rolniczéj. *B. L.*





Z „WOJTKA SKIBY."

Z PIEŚNI PIERWSZEJ.

Pierwsze lata Wojtka.

. . . .

. . . .

Toż i mój Wójtek—takie bowiem imię
Dano mu na chrzcie w pamięć apostoła,
Co, choć snem wiecznym w świętém Gnieźnie drzymie,
Z srebrną infułą u bladego czoła,
Duchem, gdzie chłopska chata i stodoła,
Wnika wesołym, pierwszém słonkiem grzeje,
Pierwsze bociany na topole woła,
Pierwszém się okiem wolnych stawów śmieje
I nowe budzi życie i nowe nadzieje—

Toż i mój Wojtek od najrańszéj doby
Musiał uczuwać, jak biéda nienackiem
Twarde dla niego gotowała żłoby;
Nikt się nie myślał pieścić z nim, jak z cackiem;
Gardziel, gdy płakał, zatykano plackiem,
Który matula upiekła w popiele;
A kiedy chory, w lekarstwie prostackiem
Daléj po radę: gotowano ziele,
Lub czary jakie babsko zwiędłą wargą miele.

Bo skąd rodzicom, choć jak wosk tak mięcy,
Jakieś niezwykłe robić tam zachody,
I skąd się troszczyć zbyt o los dziecięcy,
Kiedy od świtu, gdy zapłonie, młody,
Na cichém niebie skrą srebrnéj urody,
Aż do późnego wieczoru, co skarby
Rzuca ostatnie w bezdenną głąb wody,

Trzeba pracować, że się ciało w garby
Przegina, że blademi lśnią się twarze farby.

Wprawdzie swą chatę mieli, i w oborze
Krowę-staruchę i kawałek ziemi,
Gdzie żyto w cichym szumi rozhoworze
Lub drży pszenica kłosy złocistemi,
Że człek, melodyi tych dźwięki sennemi
Ujęty, chciałby sam się zmienić w żyto,
Lub kłos pszenicy i tak szumiéć z niemi,
W zamian za pieśń swą mając słodkie myto:
Te wieńce, które z rosy perłowéj uwito.

Lecz by utrzymać tę po ojcach schedę,
Co kilka korcy dawała omłotu;
By coś dorobić na starość, na biedę,
I aby dzieci rzucić bez kłopotu,
Gdy przyjdą czasy smutnego odlotu:
Trzeba, dopóki starczy świeżość życia,
I sił nie szczędzić i nie szczędzić potu,
Co z swego źródła, ze swego ukrycia
Rzęsistą spływa kroplą słońcu do wypicia.

Więc *on*, gdy własne obrobił zagony,
Na co zbyt wiele nie poświęcał czasu,
Szedł za zarobkiem w te i w owe strony:
Rankiem, napiwszy żuru się lub kwasu,
Daléj z siekierą do pańskiego lasu;
Albo „na morgi", skoro przyjdą żniwa,
Z kosą, dzień cały, jak wół, bez popasu;
A kiedy wieczór innych do snu wzywa,
On swoje ścina żyto i w snopki związywa.

To znów jesienią do bliskiéj cukrowni
Z kobiałką w ręku, okryty kireją;
A tak się pracą rozpala, jak głowni
Kawał płomiennéj, i zysku nadzieją;
Za nic, choć czasem ludzie się pośmieją:
„Ej! wy Bartoszu, zapewne folwarki
Myślicie posieść; folwarki nie grzeją;
Łyżką rosołu i kieliszkiem starki,
Gdy w zimny grób was wpędzi ta praca bez miarki.

Ani was w karczmie, ani was w mieścinie;
Zawsze zdaleka, jak jaki zaklęty;
A przecież życie nie na to nam płynie,
Aby zaświerzbiéć nie miały nas pięty;
Trochę pohulać, mój ty Boże święty!
Trochę się rozgrzać, wszak to nie zaszkodzi;
Gdy człek domiesza pieprzu albo mięty,
Czuje, że krew mu bije jakoś młodziéj,
Że jakiś nowy duch się w starém cielsku rodzi".

„Ha! kto ma na to, niech sobie pohula!
Ja-ć tam nie stary, więc téż i bez wódki
Jakoś mi ciepło! a pierzyn do Szmula
Nie myślę zanieść, aby zalać smutki;
Skrzynkę zamykam zawsze na trzy kłódki,
Aby pokusa nie brała człowieka
Szastać tém ździebłkiem grosiwa; czas krótki,
A chłopak rośnie, starość niedaleka,
Pójść żebrać? kto wie, jaki los nas jeszcze czeka".

Zresztą i Bartosz nie był od zabawy
I nie przeklinał na skrzypce i tany:
Lubił sam czasem zakasać rękawy
I podjąć skrzydła niebieskiéj sukmany
I „okrągłego!", gdy sąsiad kochany
Żenił synala albo chrzcił córunię...
Wtenczas, gdy grajek rzępolił pijany,
Rzucał talarka: „Héj! na jednéj strunie!
A graj-że mi od ucha, szubrawcze! kołtunie!.."

Lecz ucztowanie takie nazbyt rzadkie,
Ledwie raz na rok. Trudno, chłopskie drogi
Nie są tak kwietne i nie są tak gładkie,
Jak je gotują innym dobre bogi.
Kogo ujęła raz w swój uścisk srogi
Ta nędzna dola, ten, choć znajdzie chwilę
Słodkiego wczasu, rzuca wnet stan błogi
I w trud powraca i w codziennym pyle
Znów kroczy bez wytchnienia ku smutnéj mogile.

Wszak tu i rozkosz, jak się często zdarza,
Łatwiéj popycha w przepaściste ścieki:
Naturę ludzką kałużą znieważa,

Zamiast oczyszczać srebrzystemi rzeki;
Gdy zakosztuje chłop jéj raz na leki,
Na zapomnienie biedy i niedoli,
Ileż potrzeba sił mu, by na wieki
Nie wpaść w tę otchłań, i, że serce boli,
Że troska piecze, kończyć w karczmisku z „mankolji.“

Bartłomiéj Skiba, chociaż miękką duszę
I choć miał serce, jak mówią, na dłoni,
Nie wmawiał w siebie: „Dyć, kłopot przyprószę,
Człek, choćby pragnął, trudno się obroni,“
Tylko za pracą uczciwą w pogoni
Szukał lekarstwa na nędzę i troski—
Tak, że gadano: „on za parę koni
Starczy w robocie, z niego chłop śród wioski
Najlepszy—widać, nad nim oko łaski boskiéj“.

Ale i *ona*, matka bohatera
Nieromantycznéj téj mojéj powieści,
Co jest prawdziwa i taka jest szczera,
Jak owa iskra, co się w sercu mieści
Zwyczajnéj chłopki i raz w żar boleści
To znowu w radość jasną się rozpala
I całą duszę choć na chwilę pieści,
Że cała dusza, jak jeziorna fala,
Drży, szumiąc, i w złociste blaski się skrysztala—

I ona dzieli zwykłą dolę męża,
Tak jak przystało prostaczéj kobiecie,
Któréj się rzadziéj czepia śliskość węża,
Niż na tym wielkim, na tym pustym świecie,
Gdzie na swą rękę jedno z stadła plecie
Ze ziół trujących duszne marzeń wieńce,
A drugie złoto swoje rzuca w śmiecie
I czystość serca i wstydu rumieńce:
Oboje smutnéj hańby i przesytu jeńce.

Gdy on na pańskie albo do fabryki,
I ona z łóżka, nim się zmierzch rozwieje;
Drzazgi w kominku roznieca w płomyki,
W glinianym garnku trochę strawy zgrzeje
Dla niego w drogę; a kiedy wysieje
Całą garść blasków na zagony świata

Olbrzymia zorza, dźwięcznym głosem pieje
„W i t a j j u t r z e n k o“ i kąty zamiata
I w dzień tak swoję pracę jak w różaniec wplata.

To trza naprawić mężowską koszulę,
To do jeziorka, by wyprać pieluchy,
Kaczętom „r z ę s y“ nawybierać w mule,
To znowu w pole po karm' dla staruchy:
Ściąć trochę trawy i narwać łopuchy;
Czasem w ogrodzie pokręcić się trzeba,
Tutaj coś skopać, tam zlać zagon suchy,
A nawet w żarnach na bochenek chleba
Garść szrótu umléć z żyta, które dały nieba.

Nieraz za orkę albo za furmanki
Do gospodarza trza pójść na odrobki,
Więc dziecko w płachtę, w rękę sierp i dzbanki,
I tak odbiérać, grabić, wiązać snopki,
Że aż pot ciecze z czoła biednéj chłopki...
A Wojtuś w bruździe płacze, aż z płachciska,
Kręcąc się, gołe pokazuje stopki.
Nic to... dopadnie, w piąstkę kromkę wciska
I znów powrósło w rękę, sierp albo grabiska.

Często do miasta, pod sąsiadki bokiem
Pozostawiwszy na łasce dzieciaka,
Z osełką masła lub z marchwi tłomokiem
To z jajek mędlem, jeśli jaka taka
Świeci pogoda, pędzi lotem ptaka;
Często, gdy nagła potrzeb, nawet w słotę;
Wszakże to życie jest, jak płaszcz żebraka,
Wszędzie ma dziury, daje wciąż robotę:
To soli trza, to nici, neslu na kapotę.

Więc się nie dziwcie, że w téj, moi drodzy,
Codziennych zajęć strasznéj zawierusze,
Nie mają czasu ludziska ubodzy,
Ażeby chuchać na swych malców dusze.
Przeto tak rosną, jak na polu grusze—
Nikt ich nie pieści, chyba słonko żywe,
Co je w kwieciste przyodziewa prósze:
Jak rade wtedy, jak wtedy szczęśliwe!
Płonieją i drżą całe w akordy senliwe.

Zresztą, przyznaję, abyście przypadkiem
O fałsz nie chcieli oskarżać poety,
Że w zmrok was tuli, choć sam słońca świadkiem,
Że nazbyt wiele ciemnych farb z palety
Nabiéra swojéj i tak wam, niestety!
Maluje życie tylko z smutnéj strony,
Kryjąc umyślnie rozkoszne podniety—
Zresztą przyznaję: i tutaj złocony
Poigrał czasem promyk wokół drzew korony.

Zwłaszcza, gdy „tata“ umiał już i „nana“
I „papu“ cienkim szczebiotać językiem,
Ojciec wieczorem brał go na kolana,
Huśtał i szeptał: „jestem twym konikiem“—
A Wojtuś z śmiechem i dziecięcym krzykiem
Rwał się do góry, chwytał go za szyję
I „wio! wio!“ śmigał nad głową biczykiem,
Aż mu w oczęta, jasne jak lilije,
Znużenie swemi wargi ciepłemi się wpije.

Wtedy go matuś kładzie w kolebinę
I nachyloną twarz do niego tuli
I „śpij, mój złoty! skarby me jedyne!
Luli, mój synku! mój najdroższy, luli“
I tak się z sennym pieści i tak czuli
I tak mu nuci: „o mój mocny Boże!“
Aż w sen się kleją i oczy matuli,
Aż nad kołyską i ją trud przemoże,
By zbudzić, zanim jeszcze spłoną złote zorze.

Kiedy podrastał mój bohater mały,
Już-ci mu przyszło zaprządz się do woza
Zwyczajnéj pracy: z rana, wpółospały,
W pole na sporym kawale powroza
Prowadził krówsko, tam, gdzie szumi łoza,
Gdzie się tatarak we wądolcu chwieje;
Lub na kraj lasu, kędy tomentoza
Rozwitym kwiatem z zarośli się śmieje
I rani drobne palce, że aż krew się leje...

To na przyrowki i na te przydroża,
Gdzie ot! w słoneczku tak się złocą mlecze,
Jak ona w duszy myśl o szczęściu hoża,

Z swą się staruchą pomalutku wlecze.
A kiedy słońce nazbyt w główkę piecze,
Popuszcza krowę, siada pod topolą
Albo pod żytem, nim je kosa zsiecze,
Kraśne paznogcie obrywa kąkolom,
Lub słucha, jak szum leci gdzieś za bożą wolą...

Nieraz z podziwu aż otwiéra usta,
Tak go ogarnia ciężki szelest kłosów;
I okolica przed chwileczką pusta,
Dźwiękiem nieznanych wypełnia się głosów;
Zkąd one płyną? czy z jasnych niebiosów,
Na których białe pasą się owieczki,
Ba! dużo bielsze, niż one ze wrzosów
Młode jagniaki gospodarza Sieczki —
Z pewnością mają wszystkie u karków dzwoneczki...

Kiedy pod wieczór wróci do chałupy,
Bydlę przywiąże na noc do koryta,
Gdy mu podłoży liści ze dwie kupy.
Tak się matusi zaraz cwałem pyta,
„Przez co się dzieje, że wéj! one żyta
Jak zaczną szumiéć“, powiada, „to z niemi,
Niby tam jaka kapela ukryta,
Gra coś na niebie i na całéj ziemi
Téż buczy“—tak jéj mówi z oczy świecącemi...

A matuś na to uśmiechnie się szczerze
I ciekawemu tłómaczy chłopczynie,
Że to Pan Jezus otwarł złote dźwierze
Hen! tam u góry, w niebieskiéj krainie;
Że to anioły tak grają, aż płynie
Dźwięk ten na ziemię, gwoli chwały bożéj
I gwoli dusz tych, co w jednéj godzinie
Tysiącem śpieszą ku wieczystéj zorzy,
Rzucając nędzne ciało, co się w grób położy.

Gdy główka spocznie na poduszce w kratki,
Gdy się pierzynką przykryje cycową,
Tak one dusze i anioły matki
Naraz mu skrzydłem trzepocą nad głową,
Wszystkie bieluśkie, jakby je kto w nową
Przybrał koszulkę, niby w jego własną,

Którą mu z wolą kupiła ojcową
Matuś na targu ze wstążeczką krasną:
Ba! wyrósł z téj dawniejszéj—już mu téż za ciasną!

Wręcz mu się widzi, że izbę caluśką
Wypełnia ciche bożych duchów granie,
Lecz jeszcze milsze, niż wczoraj, gdy z „muśką"
Tak się wsłuchiwał przy tym żytnim łanie;
Toć na postronka nie zważa targanie,
Gdy gdzieś w lucernę ciągnie go starucha,
Że wszystkie prośby tam na nic i łkanie—
Tylko spokojnie tak słucha i słucha
I sam się bodaj zmienia w niebieskiego ducha.

Nieraz na polu, gdy skulony marzy
Na jakiéj ścieżce, zarosłéj krwawnikiem
I oną trawą, co w wietrze się waży
W tę i w tę stronę, upstrzona bezlikiem
Jaskrów złocistych; albo nad strumykiem,
Co przez sitowie sączy i rogoże,
Gdy sobie siędzie, za „pasikonikiem"
Goniąc oczyma, słodki sen go zmoże,
A wtedy źle się dzieje, ratuj, Panie Boże!...

Wtedy postronek z ręki mu wypada,
Bydlak niecnota pędzi w cudzą szkodę,
Nie zważa na nic: z żyta kłos objada,
Że aż mu rośnie brzuch w prawdziwą kłodę;
Wtedy to sąsiad, jak to mówią, wodę
Czuje na wargach ze złości i leci,
Aby nauczyć niebożątko młode
Trochę rozumu — trzeba chować dzieci:
Tak bije, aż się w oczach Wojtkowi zaświeci.

Lecz chłopaczysko, zbudzony z marzenia
Tak bezlitośnie, mrugnie okiem prawem,
Coś się otrząśnie, poprawi odzienia
I łzy obetrze podartym rękawem;
Spojrzy na żyto, co w świetle złotawem
Mieni się całe, i za krówskiem daléj;
Choćby mu pewnie biegła krew upławem,
Téżby nie było inaczéj; ze stali
Wzdyć nie był, lecz się jednak przed nikim nie żali.

Nie robił tego z jakiejś tam zasady
   Filozoficznéj, za wielkim był na to
Jeszcze smarkaczem; jeszcze nie znał rady,
   Którą podawał zapaleńcom Kato,
   Że gdy się spotkasz choć z największą stratą,
Znoś ją spokojnie; rezygnacja wzniosła,
   Która za trudy darzy cię zapłatą
W złocistém niebie, zmieniając cię w posła
Ewangelicznéj prawdy, w kwiat w nim nie wyrosła.

Poprostu z téj się nie skarżył przyczyny,
   Że nie miał przed kim; matka, by się wrzaskiem
Dzieciaka zająć, nie miała godziny
   Wolnego czasu, a zresztą niesnaskiem
   Nie chce się z starym poróżnić Karaskiem:
Nieraz jéj tłómok zabierze do miasta;
   Tatuś bo jeszcze poprawiłby paskiem,
Lub do kościoła, choć się malec szasta,
Nie zabrałby: „siedź w domu“, rzekłby, „no i basta!“

Zaś do kościoła, gdy przyjdzie niedziela,
   Lub jakie święto wioszczynę odświeży,
Wojtuś jak iskra: uszczknie trochę ziela
   Za kapelusik, w lusterku się zmierzy,
   Czy mu kołnierzyk jako-tako leży;
Podciągnie spodni, czuprynę przygładzi,
   Potartą masłem niesłoném; z odzieży—
Sukmanki ciemnéj — strzepnie kurz i sadzi,
Aż „starzy“ się uśmiechną, strojnisiowi radzi.

I w domu bożym zachować się umie;
   Gdzie tego potrza, przyklęknie przykładnie —
Anoć zgorszenia w tym pobożnym tłumie
   Niby nie daje; tylko kiedy wpadnie
   Proboszcz z ambony na ludek, że kradnie,
Że cudzołoży, zabija — choć o tem
   Nikt tu nie słyszał — że pokusa zdradnie,
Zdobna w jedwabie i oblana złotem,
Otwiéra piekło cicho, nie z głośnym łoskotem;

Kiedy ta mądra oracya księdza
   Korne prostaczki w straszny ryk poruszy
I z serc skruszonych szatany wypędza,

Których zbyt wiele ponoć w chłopskiéj duszy:
Kiedy się kapłan tak od gniewu puszy,
Co świętym ogniem zléwa dwa księżyce
I kark grubawy, aż po same uszy —
To Wojtusiowi jakoś się źrenice
Nie świécą, łzy, jak groszek, nie cieką na lice.

Toć nie dziwota: nazbyt młody jeszcze,
Aby słów pańskich mógł przeniknąć głębie
I uczuł w sobie one silne dreszcze,
Że człek się trzęsie, jak ów liść na dębie,
Albo jak wróbel, gdy szpony jastrzębie
Ujrzy za sobą śród szlaków powietrznych,
Napróżno patrząc, czy w jakie nadzrębie
Nie wciśnie szyi do schronień bezpiecznych,
Miast dać ją, Bóg wié za co, do szpon krwawosiecznych.

Natomiast komża, bielutka jak mleko,
I wstęga jasna, co po komży spływa;
One zapachy, co z kadzideł cieką
I tak się kłębią jakby jaka grzywa;
Organ, co z jękiem i lękiem wygrywa
Na chwałę bożą te pieśni prostacze,
Aż siedmioraki miecz serce przeszywa,
Że serce bodaj łzy krwawemi płacze
Na żal biédnego ludu, na ludu rozpacze—

Nawet słów obcych niezwyczajne tony,
Które naprzemian z starym organistą
Śpiéwa księżulek, do ludu zwrócony,
Czasem w Wojtusia płyną duszę czystą,
Aż jego oczy biorą barwę szklistą,
A one wargi, co przed chwilą drżały,
Strojne w koralu prześwieżość ognistą,
Są, jako róży kielich skamieniały:
Zaklęły w nich zdrowaśkę łacińskie hejnały...

Wróciwszy do dom, już-ci zaraz duchem,
Ledwie że gębę po obiedzie zmyje,
Nakrywa plecy matczynym fartuchem
I pas ojcowy przewiesza przez szyję,
I po dziadusiu, co dawno nie żyje,
Wziąwszy „Nowennę“, częstochowską księgę,

Wręcz po „łacińsku“ śpiewa litanije,
Że znać wyśpiewa całą płuc potęgę,
Prawdziwie, jak ksiądz, strojny w ornat i we wstęgę.

Ztąd też rodzice, patrząc na synalka,
Śmieją się w duszy, jakby złotu radzi:
„Wiész ty“, powiada stary, „wiész, Rózalka,
Ku chwale bożéj być tak nie zawadzi;
Pamięta, mówią, Bóg o swéj czeladzi,
Znać, że chłopaka ku temu już stworzył;
Toć na majątek człek się tam nie sadzi,
Lecz gdyby kupkę nie wielką też złożył,
Sam Bóg wié, jakiéj jeszcze pociechy-by dożył...

„Ta, umiész czytać, daj se trochę znoju
I weź Wojtusia, choćby tak na próbę—
Ja bo do tego nie mam już spokoju;
Może i pisać—me ręce za grube;
Poucz, niech wyjdzie rodzinie na chlubę;
Jak pójdzie dobrze, toć człek jeszcze zdrowy;
A zresztą dałbym całą nawet hubę,
Byle coś było... dyć, i ksiądz z Olchowy
Z biédnego ponoć stanu—téż-ci pasał krowy“...

Tak sobie nieraz przekładają „starzy“,
Siedząc w izdebce lub wracając z pola...
Bartosz już naprzód w głowie sobie waży,
Jaka to szczęsna będzie kiedyś dola,
Gdy tak z ambony... anoć boża wola
Niby we wszystkiém... Panie, broń od pychy...
Lecz jak to ładnie... tsia! niech pójdzie rola,
Niech pójdzie chata!.. człowiek umrze cichy,
Gdy ujrzy, że syn wyszedł nie na żadne śmiéchy!

I matuś na to zaraz jak na lato,
Do cnéj roboty zabierze się skora;
Gdy przyjdzie z pola, poskromi się z chatą,
Zajrzy, czy w dobrym porządku obora—
Jak tam wypadnie: z południa, z wieczora
Daje chłopczynie „alamentarz“ w rękę
I nachylona, z głoskami się pora
I „a-a, be-be“, śpiewną pocznie mękę,
I Wojtuś „a-a, be-be“ powtarza piosenkę.

Wnet się matczyne skończyły zasoby,
Wojtuś już przeszedł elementarz cały,
Więc znowu stary rzecze jednéj doby:
„Pewnie-ć, kobieto, ten *gieszeft* za mały,
Trzeba coś więcéj; z folwarku słyszały
Téż o Wojtusiu panienki; „godzinę“,
Mówią, téż rade-by chłopczysku dały...
Nie chcemy darmo... masła osełczynę—
Lub czasem coś się zrobi—toć przecie nie zginę“...

I tak na dalszą szedł Wosio naukę
Choć nie do dworu, jednak dworu blisko:
Gorzelniczanki ponoć znały sztukę,
O jakiéj żadne nie marzy chłopisko;
Były „we szkołach“, widziały ognisko,
W którém się prostak na mędrca przetopi,
Jak na stal świetną zwykłe żelazisko;
Przytém, mówili chłopi i nie-chłopi,
Obyczaj u nich święty, zła nikt nie wytropi....

. . . .

. . . .

Jan Kasprowicz.





PRACA I ODPOCZYNEK.

W pierwszéj połowie maja r. b. donosiły dzienniki o wielkiéj zmowie robotników w niemieckich kopalniach węgla, mianowicie w Westfalii. Pisano o 90—100 tysiącach świętujących, a raczéj próżnujących ludzi. Że zaś próżnując, niemniéj jeść trzeba, robotnicy innych krajów, jak np. Belgii, Anglii ratowali braci niemieckich zasiłkami. Taktyka nie nowa w naszém stuleciu, dawniéj nieznana, chyba w zawiązkach chrześciaństwa; ale wówczas oczywiście pod wpływem pobudek religijnych. Zmowa górników-węglarzy niemieckich stanowi tylko jeden z epizodów walki prowadzonéj między kapitałem a pracą i przybrała odrazu charakter groźny głównie dla tego, że brak węgla wstrzymałby cały niemal ruch przemysłowy i komunikacyjny: musiałyby stanąć wszystkie motory poruszane parą. Grozę położenia zrozumiał rząd prusko-niemiecki; posłano parę batalionów wojska do miejsc najbardziéj zaniepokojonych. Ale samą siłą materyalną takich spraw rozwiązać niepodobna: pomyślano o zgodzie i w tym celu wezwano do Berlina deputacye od przemysłowców i robotników. Do obu deputacyi przemawiał sam cesarz niemiecki. Przemysłowcom powiedział, że powinni wejść w słuszne żądania robotników; tym zaś ostatnim zalecił umiarkowanie i postawił na widoku potężną armią. Przemowa nieco poskutkowała. Zaraz potém czytaliśmy doniesienie z Berlina téj treści: „Przebywający tu obecnie delegaci kopalni westfalskich ułożyli podstawy zgody z robotnikami, mianowicie, że robota dzienna w kopalniach będzie odtąd wynosiła tylko ośm godzin; roboty ponad tę normę mogą być żądane jedynie po uprzedniéj umowie zawartéj z robotnikami; płaca dzienna zostaje znacznie podwyższona“. Delegaci robotników zapewniali, że im nietyle chodzi o podwyżkę płacy, ile raczéj o s k r ó c e n i e d n i a r o b o c z e g o.

W chwili, gdy to piszemy, dzienniki doniosły, że znaczna część robotników wróciła do pracy. Niebezpieczeństwo zostało na chwilę zażegnane.

Nad inną, ale w związku z rozważanym przedmiotem sprawą obradował parlament niemiecki w latach 1877, 78, 82, 83 i 85. Chodziło o odpoczynek niedzielny. Pomimo, że ordynacya rzemieślnicza cesarstwa Niemieckiego wyraźnie mówi, iż „do pracy w niedziele i święta robotników zobowiązywać niewolno, z wyjątkiém takich robót, które zwłoki lub przerwy nie dozwalają"; jednakże we wszystkich niemal gałęziach pracy przemysłowéj dzieje się inaczéj. Ponawiane z tego powodu w parlamencie interpelacye kończyły się zwykle odkładaniem do jutra; nareszcie w r. 1885 rozmaite frakcye parlamentarne sformułowały następujące wnioski. Centrum: Należy wezwać rząd, ażeby złożył projekt do prawa, któreby zakazywało roboty w niedziele i święta, z wyjątkiem ściśle określonych a niedających się przerywać robót; ograniczenie roboty dzieci i kobiet po fabrykach; oznaczenie maksymalnego czasu pracy dla dorosłych robotników. Inny wniosek, deputowanego Lohrena, żądał zakazania w niedziele i święta oraz w nocy, roboty kobiet. Pastor Stöcker i konserwatyści domagali się, ażeby wprzód inspektorowie fabryczni złożyli sprawozdanie: gdzie, w jakich gałęziach pracy, i ile dziennie godzin robotnicy pracują. Narodowo-liberalni również uczynili wniosek, ażeby urzędy związkowe zebrały wiadomości o pracy w niedziele i święta, jak niemniéj o pracy dzieci i kobiet w nocy. Socyaliści podali wniosek sformułowany bardziéj szczegółowo, a zawierający takie punkta: uregulowanie pracy więźniów; oznaczenie maksymalnego czasu pracy we dnie do 10 godzin, a tam, gdzie się pracuje bez przerwy dniem i nocą, do 8 godzin dziennie; zakaz pracy dzieci; zakaz pracy w niedziele i święta (z pewnemi wyjątkami); ograniczenie targu w niedziele do 5 co najwyżéj godzin; zakaz pracy nocnéj, z wyjątkiem robót nie dających się ze względów technicznych przerywać a także i w komunikacyi; zakaz pracy nocnéj kobiet i młodzieży; wydanie przepisów co do dnia wypłaty zarobków, co do truck-systemu, książeczek robocizny, terminu wypowiadania pracy itd. Wnioski przekazano komisyi z 28 posłów złożonéj.

Rozprawy nad temi wnioskami ciągnęły się w komisyi długo, ale najdłużéj, bo przez 19 posiedzeń (początek r. 1885) nad punktem dotyczącym pracy niedzielnéj. Nareszcie książę Bismarck rozesłał do rządów związkowych wezwanie z jednobrzmiącym schematem, ażeby dostarczyły wiadomości o pracy niedzielnéj w rozmaitych gałęziach przemysłu. Nadto, okólnik żądał wyrażenia opinii

co do tego, jakie następstwa pociągnąłby za sobą zakaz pracy w niedziele tak dla przemysłowców, jak i dla robotników. Na początku 1886 r. nadesłano do ministeryum spraw wewnętrznych przeszło 30,000 odpowiedzi. Uporządkowany ten materyał ogłoszono drukiem w 3 olbrzymich tomach i rozdano posłom sejmowym. Dotychczas nie czytaliśmy, ażeby parlament powziął jakie stanowcze uchwały, obowiązujące całe państwo, co do odpoczynku w niedziele i święta. Z nadesłanych wiadomości okazało się, że prawie we wszystkich gałęziach przemysłu Niemcy w niedziele krócéj lub dłużéj pracują, a przemysłowcy tém się zasłaniają, iż gdyby zaprzestano pracy w niedziele, zabije ich produkcya angielska i amerykańska. A znów Ameryka i Anglia, gdzie niedziela jest do przesady szanowana, skarżą się na Niemców, że swoją tańszą produkcyą podrywają ich przemysł (1).

Na początku roku bieżącego doniosły dzienniki, że rząd szwajcarski wystąpił do państw europejskich z propozycyą odbycia wspólnéj narady w sprawie robotniczéj i że otrzymał przychylne odpowiedzi. Narada ma obejmować następujące przedmioty: Zabronienie pracy w niedziele i święta, określenie *minimum* wieku małoletnich robotników fabrycznych, oznaczenie długości dnia roboczego dla małoletnich, zakaz przyjmowania małoletnich i kobiet do fabryk zdrowiu szkodliwych, ograniczenie pracy nocnéj małoletnich i kobiét, obmyślenie środków egzekucyjnych dla mających zapaść postanowień. Narada zapowiedziana jest na wrzesień r. b. Widzimy tu krok naprzód do urzeczywistnienia dążeń humanitarnych, wprowadzenie sprawy na grunt międzynarodowy. Póki bowiem jedno państwo przedsiębierze środki prawodawcze, zmierzające do ukrócenia swawoli kapitału, pozostają one bez skutku: kapitał ściągnie ręce do pracy z innych krajów i powoła się na wolność pracy, któréj droższym jest żołądek niż odpoczynek.

U nas stosunki, pod względem pracy i odpoczynku, nie są lepsze, niż na Zachodzie. Wprawdzie brak nam ścisłych wiadomości statystycznych; ale i to, co przypadkowo z dzienników dochodzi uszu publiczności, lub co każdy mógł zauważyć w swojéj okolicy, bądź w najbliższém otoczeniu, świadczy, iż kapitał wszędzie kieruje się jedną zasadą: byle więcéj zyskać. Od czasu ustanowienia rządowych inspektorów fabrycznych, wychodzą na jaw fakta, wcale niepocieszające. W początkach roku bieżącego, czytaliśmy w dziennikach, że w Łodzi, w przędzalni Maurycego Baumgartena,

(1) Streszczenie wspomnianych 3 tomów mieści książka niemiecka *Die Sonntags-Arbeit* (1888).

nieletni robotnicy pracowali po 15 godzin dziennie zamiast 8-miu Kapitalistę pociągnięto do odpowiedzialności sądowéj. U Rozalii Feinkindowéj w warszawskiéj fabryce wszywek, nieletni pracowali po 11 godzin dziennie. Za to nadużycie oddano właścicielkę fabryki pod sąd. Innych, podobnych faktów, o których coraz częściéj donoszą dzienniki krajowe, nie przytaczamy; jesteśmy też prawie pewni, że po magazynach modniarskich, fabrykach, warsztatach, po domach prywatnych wśród służby, na drogach żelaznych, w kopalniach, wszędzie, gdzie chodzi o jaknajwiększy „profit" z rąk najemnych, nadużycie pracy i brak odpoczynku, innemi słowy pompowanie zysku odbywa się nie gorzéj, niż u bardziéj rozwiniętych pod względem przemysłowym naszych sąsiadów. Wprawdzie zarzucamy sobie i nie bez słuszności lenistwo, budzi w nas zazdrość materyalna pomyślność innych narodów; przypisujemy ją trwalszéj i umiejętniejszéj ich pracy; chcielibyśmy takąż pracą dźwignąć siebie z ruiny. Wszystko to bardzo pięknie; ale zapominamy, że sprawa ma i drugą, ciemną stronę. Na Zachodzie już ludzie otworzyli oczy na ujemne następstwa nadmiernéj pracy, objawiające się nadprodukcyą i przesileniami, zwyrodnieniem całych pokoleń, niezdolnością do służby wojskowéj, wielką śmiertelnością klasy pracującéj i coraz grubszém jéj dziczeniem. Dlatego między innemi reformami społecznemi, za najnaglejszą uważają określenie powszechném prawem normalnego dnia roboczego (10 do 8 godzin dziennie) i zakazanie pracy w niedziele i święta......

Przytoczone wyżéj projekta do praw, mających bronić klasy pracującéj od przeciążenia robotą; zbierane drogą urzędową wiadomości o pracy niedzielnéj; przykłady nadużyć odnośnie pracy małoletnich, kobiet, oraz pracy nocnéj, zdają się wymagać z jednéj strony choćby pobieżnego uzasadnienia potrzeby odpoczynku, a z drugiéj potrzeby wdania się prawodawcy w uregulowanie stosunków nienormalnych.

Dowodzić teoretycznie potrzeby odpoczynku dla człowieka pracującego, może byłoby rzeczą zbyteczną, tak potrzeba owa jest widoczną i konieczną; niemniéj jednak rozważający tę sprawę, powołują się na względy fizyologiczne i etyczne. Praca jest większym lub mniejszym wysiłkiem systemu mięśniowego i nerwowego w celu osiągnięcia jakiegoś rezultatu. Siła mięśni i nerwów wyczerpuje się po dokonaniu pewnéj pracy; potrzeba stratę powetować pokarmem i odpoczynkiem, ażeby machina daléj mogła działać. Temu już dzisiaj chyba nikt nie zaprzeczy; chodzi tylko o ilość tego odpoczynku......

Niemniéj ważny jest wzgląd etyczny. Człowiek nie jest tylko machiną do wyrabiania pudretów i profitu dla tych, którzy rąk

jego najęli; ma on uczucia, może nie tak delikatne, jak bohaterowie romansów, ale niezawodnie prawdziwsze. Serce i umysł robotnika potrzebują tak samo, jak innych ludzi, odpowiedniéj strawy. Jestże on w możności po kilkunastu godzinach zmudnéj, a nieraz wstrętnéj pracy, przeczytać książkę lub dziennik? Wyczerpanie zapasu siły mięśniowéj, pociąga za sobą przytępienie wrażliwości nerwów i mózgu. W takim stanie człowiek przedewszystkiém potrzebuje snu i wypoczynku: mało go obchodzi: co mówił Crispi z Bismarkiem podczas obecnego zjazdu berlińskiego, albo czy, i kiedy przyjedzie do Warszawy „Fryne" Siemiradzkiego. Ażeby go takie lub podobne tematy mogły obchodzić, musi rozkurczyć swoje członki, wyprostować ciało, pokrzepić je pokarmem; przypomniéć sobie, że jest człowiekiem. Otóż na to nie ma czasu.

Przypuszczając, że się wszyscy zgadzają na potrzebę odpoczynku dla ludu pracującego, zachodzi pytanie, jaka ilość tego odpoczynku jest konieczna, ażeby robotnik i fizycznie i moralnie mógł jaknajdłużéj być czynnym; innemi słowy, chodzi o uregulowanie prawem powszechném normalnego dnia roboczego. Jeżeli zaś mówimy o prawie powszechném, to oczywiście mogłoby to nastąpić tylko przez najwyższe organa prawodawcze, a témsamém przypuszczamy interwencyą państwa. Otóż, pod tym względem panują zarówno wśród teoretyków jak i mężów stanu, nieprzejednane różnice. Jedni powołując się na zasadę wolności pracy i robotnika, na osławione *laisser faire,* przeciwni są wszelkiemu mieszaniu się prawodawcy w umowę o pracę między przedsiębiorcą a robotnikiem. Zostawić stronom zupełną swobodę co do czasu pracy i wysokości zarobku. Chce najmujący ręce swoje pracować 18 godzin na dobę? wolno mu się zobowiązać. Chce pracować w nocy, posłać do fabryki dzieci nieletnie, czy pełnoletnie? wolno mu, bo przecież jest wolnym człowiekiem i może sobą rozporządzać, jak mu się podoba. Z pozoru, nic sprawiedliwszego nad taki system. To wszakże zadziwia, że z téj sprawiedliwości i wolności wyszła rażąca niesprawiedliwość i niewola ludu pracującego. Skutki zasady i systemu rozwijają się w naszych oczach, a nie są one, o ile przewidywać wolno, ostateczne.

Te to właśnie skutki skłoniły innych teoretyków i mężów stanu do głoszenia i wprowadzania w życie wprost przeciwnéj zasady, mianowicie, że państwo ma prawo a témsamém i obowiązek wejrzenia w umowę o pracę, między przedsiębiorcą a robotnikiem, że zatém powinno czuwać nad dotrzymaniem umowy przez obie strony, nad warunkami kontraktu, a więc i nad ilością czasu roboczego, nad zdrowiem i obyczajami pracujących. Ztąd w naszym wieku

szereg praw, wydanych w rozmaitych państwach, na rzecz klasy roboczéj, co przeciwnicy mianują socyalizmem państwowym i widzą w tych środkach nietylko stopniowe konfiskowanie wolności indywidualnéj, lecz oraz niebezpieczny prejudykat dla pożądliwości proletaryatu.

Przyjrzyjmy się chwilę spornym poglądom.

Zostawić rzeczy naturalnemu biegowi; wolność umowy, nawet wtenczas, gdy do nadużyć prowadzi, bezpieczniejszą i sprawiedliwszą jest zasadą od mieszania się państwa: tak brzmi hasło jednéj strony. Ogólnie biorąc, zasada może być dobra; ale stosowana do najmującego swoje ręce robotnika jest szyderstwem. Co bowiem znaczy wolność przyjęcia roboty lub nieprzyjęcia, gdy żołądek pusty, koszula na grzbiecie w strzępkach, a żona i dzieci słaniają się z wycieńczenia? Trzeba przyjąć warunki najtwardsze, choćby 15 godzin na dobę i płacę, która może wystarczy, a może nie wystarczy na zatkanie gęby rodzinie. To nie jest wolność, to się nazywa mus; a im pracownik szlachetniejszy, im sumienniéj rozumie swoje obowiązki jako mąż i ojciec, tém bardziéj okaże się skłonnym do przyjęcia najcięższych warunków, byle dzień przeżyć.

Strona, o któréj mówimy, szkoła tak zwana manchesterska, inaczéj ekonomiści i statyści wulgarni boją się przedewszystkiém o wolność; wdanie się państwa w regulowanie takich stosunków ekonomicznych, jak normalny dzień roboczy lub wysokość płacy za pracę najemną, grozi, zdaniem ich, poderwaniem wszystkich swobód obywatelskich. Zechcecie może niedługo, żeby się państwo wdawało w to, co mamy jadać, jak się ubierać i bawić. Oznaczycie dzisiaj prawem normalny dzień roboczy na 8—10 godzin; a jutro lub za rok zażądają od was nowego prawa, redukującego czas roboczy do 4 godzin. Apetyt rośnie w miarę jedzenia. Zredukowanie dnia roboczego, choćby na 10 godzin, znaczy zredukowanie produkcyi, zawrócenie społeczeństwa do nędzy, a tém samém podkopanie państwa, które w naszych czasach wymaga ogromnych nakładów, a tych mu zubożony naród nie zdoła dostarczyć.

Na to odpowiadają przeciwnicy, że doświadczenie obaw tych i przewidywań nie potwierdziło. Kiedy bowiem w Anglii na początku bieżącego wieku rozpoczęła się agitacya za wprowadzeniem 10 godzinnego dnia roboczego, wszystkie wyliczone zarzuty podnoszono; a gdy parlament pod naciskiem opinii ujrzał się w konieczności uchwalenia prawa o dniu normalnym, powstał istny sąd ostateczny. Pierwsze z tak zwanych praw fabrycznych, uchwalone w 1837 orzekało, iż dzieci nie mające lat 9 nie mogą wcale być najmowane do fabryk; nie majace lat 13 mogą najwięcéj 8 godzin dziennie pra-

cować, nie mające lat 18, najwyżéj 12 godzin. Prawo z 1847 dla młodzieży niżéj lat 18 i dla kobiet ograniczyło dzień roboczy do 10 godzin. Jakie przeszkody wykonaniu tych praw stawiali przedsiębiorcy, można się doczytać w ówczesnych książkach i dziennikach. Ustanowieni inspektorowie fabryczni nie zawsze zdołali zapobiedz obchodzeniu prawa i wybiegom przemysłowców; sądy nawet odmawiały nieraz swojego poparcia skarżącym. Nareszcie powoli wszystko się ustatkowało, a komisya królewska zdając sprawę z dokonanéj rewizyi w r. 1876, stwierdzała korzystną zmianę w stosunkach robotniczych dzięki przeprowadzeniu praw fabrycznych. Zapracowywanie się robotników, szwankowanie z tego powodu na zdrowiu należały odtąd do wyjątków; produkcya się nie zmniejszyła dzięki nowym wynalazkom technicznym, a sami przemysłowcy uznawali zbawienność prawnych ograniczeń.

Za przykładem Anglii poszły inne przemysłowe państwa europejskie z wyjątkiem Belgii. Szwajcarya prawem fabryczném z roku 1877 określiła dzień roboczy na 11 godzin, z których godzina powinna być wolna dla spożycia obiadu. Znikąd nie donoszono o złych następstwach tych prawnych ograniczeń; ani produkcya się nie zmniejszyła, ani przemysłowcy z tego powodu nie podupadali. Doświadczenie tedy pokazało, iż możliwe i pożądane jest w pewnych razach wdanie się prawodawcy, tj. państwa, w uregulowaniu pracy i odpoczynku.

Również co do zakazu pracy w niedzielę (z wyjątkiem prac nieodzownych) obawiają się, naturalnie przedsiębiorcy, skutków ztąd najzgubniejszych, głównie zmniejszenia produkcyi a témsamém niemożności konkurowania z zagranicą i zdemoralizowania ludu roboczego. Kiedy w Niemczech rozprawiano nad tym przedmiotem, ks. Bismarck odzywał się w parlamencie, że zakaz pracy w niedziele znaczyłby tyle, co pozbawianie robotnika $^1/_7$ zarobku i zmniejszenie produkcyi także o $^1/_7$, że zatém takiego stanu ani robotnicy, ani przemysł wytrzymać by nie mogli. Był tedy kanclerz niemiecki z początku przeciwny wdawaniu się państwa do téj sprawy; potém jednak przystał na śledztwo i zbieranie wiadomości co do pracy niedzielnéj. Zebrane wiadomości, o których wyżéj mówiono, pomimo tuszowania przez interesowanych, zawierają moc wypadków świadczących o nadużyciach ze strony pracodawców co do wyciskania, oczywiście zawsze dobrowolnego, roboty niedzielnéj i muszą otworzyć oczy prawodawcy na skrzywiony stosunek między kapitałem a pracą. Rzeczy w istocie doszły do dziwnego przewrotu w pojęciach. Kiedy podczas wędrówki przez pustynią Żyd zbierał drewka w sabat dla ugotowania pokarmu, ukamienowa-

no go jako gwałciciela dnia świątecznego; dzisiaj deputowani, a razem przemysłowcy długo rozprawiają o tém, czy niedzielę świętować; wszystko zaś w imię indywidualnéj swobody. Jeżeli człowiekowi wolno się upić, dlaczegoby mu nie miało być wolno pracować kiedy chce, dniem, czy nocą, w niedzielę, czy w dzień powszedni? Ani słowa; tylko, że on nie sam będzie pracował, ale w dzisiejszym systemie produkcyi ekonomicznéj i pracy skombinowanéj, muszą z nim pracować nietylko wół i osioł, lecz setki i tysiące bliźnich. Prawda, że najlepiéj bywa strzeżony, kto sam siebie pilnuje, a jednak prawo zabrania wydawać trucizny bez przepisu lekarskiego. Więc nie zawsze bywa prawdą, że każdy człowiek jest najlepszym sędzią własnego interesu; przeciwnie, takich ludzi jest wszędzie, stosunkowo do reszty mieszkańców, bardzo niewielu. Dlatego opieka państwa i prawa są konieczne dla najliczniejszéj warstwy społecznéj co do uregulowania czasu pracy.

Najzabawniejsze są obawy o zdemoralizowanie ludu roboczego w razie ustanowienia normalnego dnia pracy i odpoczynku w niedzielę. Kto się bliżéj stykał z ludem roboczym wiejskim i miejskim, to jest z rzeczywistymi pracownikami, nie z hultajami, jakich wszystkie warstwy liczą sporą garstkę, ten przyzna, że moralność ich wcale nie jest niższą od moralności fryzowanych Katonów. Statystyka kryminalna także mówi na stronę niedyplomowanych i ciężko pracujących ludzi.

Niewątpliwie, idealizować téj klasy ludzi niepodobna; są między nimi tacy i owacy, jak we wszystkich stanach, co jednakże nie przeszkadza tym stanom i mniéj pracować i niedzielę świętować, także nie koniecznie w kościele i przy domowém ognisku. Ale dlatego téż, że nie idealizujemy sobie robotnika i ani chłopskiéj religii, ani chłopskiéj filozofii nie uważamy za zaszczyt umysłowości ludzkiéj: możnaby pragnąć, ażeby dzienny najmita miał trochę wolnego czasu na życie rodzinne, na zabawę, na przeczytanie książki lub dziennika, żeby on téż korzystał nieco z téj cywilizacyi, dla któréj pracą swoją przez całe wieki kładzie fundamenta.

K.





LISTY CZESKIE.

XV.

Zasłużony historyk francuski, Leon de Poncins, w gruntowném dziele swojém „*Les cahiers de 89*“ (Paryż, 1866), przeprowadził przy końcu książki nader trafny podział żywiołów, tworzących w państwie nowoczesném tak zwane życie publiczne. Pisał to w 1866 r., więc za czasów drugiego cesarstwa, a mówił wyraźnie i wyłącznie o Francyi i o stosunkach francuskich; ale ponieważ rozwój wszystkich społeczeństw europejskich, poszedł mniéj więcéj jednakowemi drogami, a zatém i życie publiczne wszystkich państw europejskich, również podobne przedstawia objawy, przeto i pogląd Leona de Poncins ma nietylko francuskie ale i ogólniejsze, rzec można europejskie znaczenie.

Historyk ten pisze:

„Idea wolności politycznéj wydaje mi się dziś wyłączną właściwością trzech kategoryj indywiduów. Pierwsza obejmuje wszystkich ludzi ze zdrową głową, ze zdrowém sercem, pragnących wolności nietylko dla siebie, ale i dla innych, rozumiejących wolność jedynie w połączeniu z tém wszystkiem, co jest prawdziwe, piękne i dobre, uznających panowanie wolności politycznéj za możliwe w takim tylko razie, jeżeli się do niéj dążyć będzie za pomocą podwyższenia poziomu moralności publicznéj, wyszlachetnienia indywidualnéj godności człowieka i wykształcenia poczucia obowiązków publicznych u ludzi, którzy pod temi tylko warunkami gotowi są dla wolności ponosić ofiary i którzy w takiéj wolności widzą lepszą przyszłość nowożytnych społeczeństw. Pocieszam się myślą, że ta kategorya jest dość liczna; ale za pewnik nie należy tego ze zbytnią łatwością uznawać, nadzwyczaj bowiem trudno jest odróżnić w każdym danym wypadku tę kategoryą od drugiéj.

„Drugą kategoryą stanowią wszyscy ambicyusze, wyzyskujący dla własnéj tylko korzyści wolność polityczną, bez prawdziwéj dla niéj miłości i używający téj wolności za narzędzie, za pomocą którego eksploatują na swój użytek wypadki bieżące i idee danéj chwili. Ta kategorya tak zwanych bojowników wolności najdonośniéj zawsze głos podnosi, ci ludzie ogłaszają się sami za wyłącznie uprzywilejowanych apostołów postępu i zwykle na tych, którzy wywalczyli sobie wybitne w życiu publiczném stanowisko z nierównie większą napadają gwałtownością, aniżeli na rzeczywiste nadużycia, a naród łudzą ostentacyjném wywieszaniem sztandaru, który jest właściwie tylko płaszczykiem, osłaniającym ich szarlatanizm. Na wszystko, cokolwiek im w drodze stoi, rzucają gwałtownem słowem cień podejrzenia. A jeżeli napadnięci w ten sposób uważają odpiéranie każdego z tych słów za rzecz uchybiającą swéj godności, ulegają natychmiastowemu wystawieniu pod pręgierzem publicznym, jako zostający pod zarzutem. Trwa to dopóty, dopóki „bojownikowi wolności“ korzystne jakieś uposażenie ust nareszcie nie zatka. Gdy taki człowiek dostanie urząd, chce na swojém stanowisku rządzić samowładnie, bawić się w pana i jest wtedy zwykle stronnikiem środków najenergiczniejszych. Takie przeobrażenia służą tylko do tego, żeby usprawiedliwić tych, którzy utrzymują, że idea wolności osobistéj jest czystym wymysłem wyobraźni, środkiem do pięcia się coraz wyżéj, aby tylko osobistéj ambicyi uczynić zadość. Czy ta klasa ludzi jest istotnie liczna? Niech na to opinia publiczna sama znajdzie sobie odpowiedź.

„Trzecią kategoryą składają wszyscy zawistni i zazdrośni, którzy więcéj myślą o zniżeniu do siebie wszystkiego, co wyżéj od nich stoi, aniżeli o wzniesieniu się na wyższe poziomy. Dla téj klasy ludzi wolność polityczna jest tylko maczugą, którą nienawiść ofiary swoje zabija. Należą do niéj w części zapalone głowy, które utworzyły sobie własną teoryą o społecznem udoskonaleniu świata; często jawni nicponie, którzy tylko chcą niszczyć, jedynie dla zadowolenia najpospolitszych swoich żądz i skłonności. Według ich poglądu, ludzkość wtedy dopiéro będzie prawdziwie wolną, kiedy jéj żadne nie będą krępować obowiązki, kiedy wszelka władza, jakbądźby się nazywała, zostanie z ludzkich stosunków usuniętą. Precz z rządem, z władzami, z monarchą, z ojcem rodziny, z kapłanem, z Bogiem; precz z prawem, z moralnością, z religią — oto ich *credo*. Zamiast państwa, zupełna anarchia; zamiast kościoła, kompletna bezreligijność; zamiast rodziny, wolna miłość, oto ich ideał szczęśliwéj dla społeczeństw przyszłości. Ta trzecia kategorya jest, jak mniemam, nie tak liczną ani nie tak silną

w swym szkodliwym kierunku, ażeby usprawiedliwiać mogła ogólne pod tym względem obawy; ale niemniéj istnieje i stanowi istotnie najwyższe dla społeczności europejskiéj niebezpieczeństwo, które polega na tém, że wszystkie nieczyste i złe żywioły społeczne podają się za szermierzy idei wolności politycznéj, że szumowiny i męty skupiają się około sztandaru postępu politycznego" (1).

Leon de Poncins, jak już wspominałem, pisał tę trafną i charakterystyczną ocenę życia stronnictw politycznych francuskich w 1866 r. i jest zapewne sam o tém głęboko przekonany, że słowa jego wybornie zastosować się dadzą i do Francyi republikańskiéj w 1889 r.; ja zaś, który w tych listach czeskich zobowiązałem się przedstawić rozwój specyalnie czeskich stosunków, a zatém mam mówić i o czeskich stronnictwach politycznych, mogę tylko dodać, że w tym obrazie odbijają się i nasze stosunki, z tém tylko nadmienieniem, że trzecia kategorya tak zwanych bojowników wolności, stosownie do danych stosunków, skromnie i w ukryciu się rozwija— ale niemniéj przeto egzystuje. Dwie pierwsze kategorye mają również swoich przedstawicieli, a uwaga Poncina, że reprezentantów tych dwóch klas nie zawsze rozróżnić można, stosuje się i do nas.

Charakterystyczny pogląd Poncina przypomniał mi się ze szczególną żywością, kiedy usłyszałem, że tworzy się u nas tak zwane „trzecie stronnictwo polityczne". Żaden rozsądny człowiek nie może o tém wątpić, że u nas jestto właściwie wielki zbytek, ale ponieważ Niemcy, mniéj jeszcze w Czechach liczni, dzielą się także na kilka stronnictw politycznych, więc oczywiście nie mogliśmy zostać po za nimi: mamy tedy i my również trzecie stronnictwo polityczne. Wprawdzie jest u nas sporo ludzi i to nie najgorszych patryotów, którzy uważają zawsze rozdział dawnego zwartego stronnictwa narodowo czeskiego, czyli ściśléj mówiąc, rozpadnięcie się niezbyt licznego narodu czeskiego na staro- i młodoczechów, za klęskę narodową, a nawet lepsi, rozważniejsi patryoci nie porzucili nigdy całkowicie myśli połączenia na nowo tych dwóch odłamów w jedno wielkie i spójne stronnictwo narodowe; ale za to inni widzą w jedności tylko nudną jednostajność i groźny zastój życia publicznego, w rozdziale natomiast dobroczynną rozmaitość, w rozterkach stronniczych ruchliwe życie, a nawet w zawziętości, odświeżający bodziec do energiczniejszego wytężenia sił.

Jestto rzecz upodobania i możnaby się w tym razie zadowolnić aforyzmem: *de gustibus non est disputandum*, gdyby tu nie chodziło

---

(1) Powyższe ustępy z dzieła Poncins'a wolno przełożyłem i tu i owdzie myśl autora obszerniéj nieco tłómaczę; sądzę jednak, że idei jego zupełnie wierny pozostałem.

o losy i przyszłość całego narodu. Co do téj przyszłości narodu czeskiego, czyli wyraźniéj mówiąc, co do zupełnego zabezpieczenia mu zdobytego stanowiska i dalszego rozwoju narodowéj indywidualności, muszę, jako przedmiotowy sprawozdawca, bez ogródki powiedziéć, iż nie sądzę, żeby ta przyszłość była wyniesiona po nad wszelkie wątpliwości i żeby zupełnie była pewna. Jeden rzut oka na etnograficzną mapę Europy, na ogólne stosunki europejskie, dostateczny będzie dla każdego bezstronnego badacza. Terytoryum narodu czeskiego podobne jest do półwyspu, wysuniętego w głąb rozległych dzierżaw sąsiedniego narodu niemieckiego; znajduje się więc u nas dość ludzi, wypowiadających zdanie, że ten półwysep dla tego oprzéć się nie zdoła i nie oprze się coraz potężniéj bijącym weń falom germańskiego morza. Tymczasowo, królestwo czeskie należy jeszcze do cesarstwa austryackiego i co do tego wśród rozważnych patryotów żadna nie istnieje wątpliwość, iż naród czeski tylko w monarchii austryackiéj cieszyć się może narodową indywidualnością, życiem narodowém. Ale tu właśnie dążności narodowe Czechów natrafiają na uzasadnioną sprzeczność, bo ogólna europejska dążność tworzenia, gdzie tylko można, wielkich terytoryów państwowych, na podstawie narodowości panującéj, staje wrogo wobec czeskich życzeń narodowych. Kiedy głoszona i popiérana przez Napoleona III zasada narodowości, jako podstawa ustroju nowożytnych państw europejskich, znalazła praktyczne zastosowanie i gdy wskutek tego Austrya została wykluczoną z rzeszy niemieckiéj, usiłowano téż i w Austryi wziąć wedle możności w rachunek tę zasadę, a ponieważ niemożliwością było ukształtować państwo, jako jednolity, oparty na narodowości organizm, więc powstało konieczne *pis-aller*, dualizm, tj. madziarska i austryacka (nikt nie mógł i nie chciał powiedziéć: niemiecka) połowa państwa, obok których niebawem Galicya musiała stanąć na odrębném stanowisku. Nazwy: Przedlitawii i Zalitawii, były charakterystyczną ilustracyą tylko specyalnie austryackich stosunków i państwowych nowotworów. Litawa jest małą rzeczką, która istotnie na krótkiéj przestrzeni oddawna tworzy granicę między arcyksięstwem austryackiém a królestwem węgierskiém. Te dwie nazwy nie były nigdy urzędownie użyte, a jednak ogólnie je stosowano do rozpołowionéj od r. 1867 monarchii austryackiéj i do dziś dnia nie wyszły z użycia. W Zalitawii, Madziary mieli, według pierwotnego pomysłu, stanowić narodowość panującą, w Przedlitawii — Niemcy. Wspomniałem już, że Galicya, *consensu omnium* otrzymać musiała odrębne stanowisko i dodam tylko pokrótce, że i w tak zwanéj Zalitawii, Kroaci i Serbowie w królestwie kroackiém

i w Sławonii mają pretensyą do podobnego stanowiska, które prawie już zdobyli; zajmę się zaś wyłącznie Przedlitawią i określeniem pozycyi, jaką w niéj naród czeski zajmuje.

Co do nowego ukształtowania konstytucyjnéj Austryi, okresla je urzędowna nazwa: Austro-Węgry; Austryą reprezentuje „austryacka rada państwa“, Węgry „węgierski sejm państwa“. Całe państwo przedstawiają delegacye austryacka i węgierska, tworzące dwie izby, w których rozpatrywane są sprawy wspólne: wspólna armia i wspólna polityka zagraniczna.

Austryacka rada państwa obejmuje następujące kraje: Czechy, Morawię, arcyksięstwa austryackie, Tyrol i Vorarlberg, Styryą, Karyntyą, Krainę, Istryą, Dalmacyą i Galicyą; Bośnia i Hercogowina, jako kraje tylko annektowane, o których ostatecznèm wcieleniu do rzeszy austryackich krajów koronnych, areopag europejski nie orzekł jeszcze stanowczo, rządzone są przez cesarko-królewski bośniacki zarząd krajowy i nie posiadają dotychczas żadnéj reprezentacyi parlamentarnéj.

Niemcy, głoszący zawsze, jakkolwiek bez żadnego dziejowego uzasadnienia: „my założyliśmy cesarstwo austryackie, musimy więc pozostać panami w zbudowanym przez siebie domu, musimy być panującym w Austryi narodem“,—ze względu na istniejące stosunki ograniczyli swoje pretensye do przewagi narodowéj w Przedlitawii. Byliby zatém zupełnie gotowi zgodzić się tymczasowo, z dwuczęściowéj Austryi zrobić trzy a nawet cztero-częściową, tj. Galicyi dać odrębne stanowisko z autonomiczną reprezentacyą kraju, czyli innemi słowy, wydzielić zupełnie Galicyą z austryackiéj rady państwa, Dalmacyą zaś z Istryą a nawet na wszelki wypadek całą Słowenską Krainę z Bośnią i Hercegowiną ukształtować na czwartą, obdarzoną samorządem część monarchii austryackiéj, aby tylko miéć stanowczą większość w tém co wtedy pozostanie, tj. w ściślejszéj Przedlitawii, która w takim razie obejmowałaby: Czechy, Morawią, Tyrol i Varorlberg, Austryą, Styryą i Karyntyą.

Z takiemi planami i możliwościami trzeba się rachować, chcąc przedmiotowo odpowiedziéć na pytanie: jak dalece stanowisko narodowe i rozwój narodowości zabezpieczone są dla Czechów; a w takim razie, nie unosząc się żadnemi narodowemi uprzedzeniami, należy zdać sobie sprawę z dwóch następujących kwestyi.

Gdyby Galicyi, czyli Polakom i Rusinom zaproponowano i zapewniono zupełny samorząd krajowy, z sejmem galicyjskim, czy téż galicyjską radą państwa,—mniejsza o nazwę, z reprezentacyą w delegacyach wspólnych, czy Galicya odrzuciłaby taką propozycyą z miłości dla narodu czeskiego?

A powtóre, gdyby Słoweńcom w Krainie i Istryi przedstawiono widoki stanowienia pospołu z Dalmatami, Bośniakami i Hercogowińcami autonomicznéj, prawie zupełnie słowiańskiéj, jakbądź zresztą nazywającéj się dzielnicy monarchii austryackiéj, z reprezentacyą wyłącznie krajową, w któréj rozwój ich narodowéj indywidualności, tak dotąd hamowany, byłby im zapewniony, czy nie chwyciliby się tego obiema rękami, byle tylko wyjść z dotychczasowych niepewnych i krytycznych stosunków? I ktoby im to na seryo mógł mieć za złe, gdyby nawet zapomnieli w takim razie o wszystkiém, co ich czescy, współplemienni bracia zrobili dla nich w dotychczasowéj austryackiéj radzie państwa?

Sądzę, że odpowiedź na te dwa pytania nie jest trudna i muszę tylko powtórzyć, że my Czesi musimy liczyć się z takiemi możliwościami.

Przypuśćmy więc, że przyszła „wiedeńska rada państwa“ (nazwę ją tak tymczasowo) obejmuje tylko: Czechią, Morawią, Austryą, Styryą, Karyntyę, Tyrol i Vorarlberg, w takim wypadku—rzecz jasna,—Niemcy będą mieć w radzie państwa stanowczą większość. Przy nich Słowianie w Czechii i na Morawach mogą stanowić co najwyżéj czwartą część członków takiego, nowoukształtowanego ciała prawodawczego; Niemcy korzystaliby więc z zapewnionéj im zupełnie większości dwóch trzecich i byliby władni wprowadzać wszelkie możliwe zmiany do konstytucyi a więc i do ustroju królestwa czeskiego.

Że wskazane tu nowe ukształtowanie monarchii austryackiéj nie należy bynajmniéj do dziedziny niemożliwości i że nie stanie mu na przeszkodzie wzgląd na „piękne oczy“ narodu czeskiego—tego daléj dowodzić nie potrzeba. Gdyby jednak przyszło do skutku, nastręcza się z konieczności pytanie: która z istniejących wtedy czterech części monarchii austryackiéj będzie miała szczególny interes w podtrzymaniu rozwoju narodu czeskiego? Jeżeli zechcemy odpowiedzieć sobie na to pytanie bez wszelkich uprzedzeń narodowych, więc bez jakichbądź zbytecznych złudzeń,—w takim razie odpowiedź zamknie się w jednèm słowie: ż a d n a! Madziary, we własnym, dobrze zrozumianym interesie, którego treścią musi być zabezpieczenie Węgrom przewagi narodowéj, mogą tylko pragnąć, żeby naród czeski znikął zupełnie z powierzchni ziemi; bo dla Madziarów istnienie Czechów jest oczywistą przeszkodą, a ich pomyślny rozwój narodowy niemałém niebezpieczeństwem, ile że w takim razie żywioł słowiański w północnych Węgrzech, który w interesie madziarskim powinienby być zmadziaryzowany wzmacnia się i zyskuje spotęgowaną siłę oporu.

Polacy i Rusini w autonomicznéj Galicyi nie mają się czego spodziewać po rozwoju narodu czeskiego ani téż nie potrzebują się obawiać jego zesłabnięcia—a gdyby nawet Czesi mieli zupełnie przestać istenieć, to Polacy i Rusini zostaną zawsze tém, czém są obecnie.

Południowi Słowianie w Austryi, zgrupowani w autonomicznéj południowéj „Slawii", mieliby chyba jeszcze mniejszy interes w utrzymaniu narodu czeskiego, aniżeli Polacy i Rusini.

Zostaliby więc jeszcze Niemcy w téj okrojonéj według ich życzenia i interesu Przedlitawii czy też Niemieckiéj-Austryi (bo tak może dla lepszego określenia zmienionéj sytuacyi nazwanoby tę część monarchii austryackiéj)—a ci nie daliby długo czekać na jasną, bynajmniéj w bawełną nie obwiniętą odpowiedź—gdyby szło o praktyczne powyższéj kwestyi rozwiązanie. Kiedy zaś myślę o niemieckiéj odpowiedzi, mam przed oczyma duszy nowe niemieckie państwo w całéj jego wielkości i potędze i wynikłe przy narodzinach tego państwa nowe konstelacye europejskie, którym dobrze przyjrzéć się trzeba, żeby wiedziéć, jakie dla nich właściwie może miéć znaczenie byt i pomyślny rozwój narodu czeskiego i czego ten naród od nich spodziewać się, czyli właściwiéj mówiąc, obawiać się może.

Jeszcze przed 50 laty egzystencya narodu czeskiego była dla całéj Europy kwestyą przebrzmiałą. Czesi jako Husyci dali się we znaki w XV wieku całému światu katolickiemu, postanowiono więc ten niewygodny i nieliczny zresztą naród wpisać na etat wymarcia. Po wojnie 30-letniéj zostało w Czechach zaledwie 800.000 mieszkańców, mniemano więc, że rzecz załatwi się sama z siebie i że zadanie, jakie sobie pod tym względem postawiła Austrya, absolutnie wtedy rządzona, nie będzie wymagało żadnego wysiłku. Wiadomo powszechnie, że w końcu przeszłego stulecia uczony Dobrowski zaliczył był już język czeski do rzędu umarłych a przynajmniéj wymierających, a kiedy w XIX wieku znaleźli się ludzie piszący poezye czeskie a nawet małe czeskie książki, Austrya ówczesna tak się tém mało niepokoiła jak dzisiejsza Francya, gdy ktoś w Bretanii oddaje się niepohamowanéj namiętności pisania poezyi lub opowiadania w języku celtyckim, albo gdy na drugim krańcu rzeczypospolitéj francuskiéj u podnóża Pyryneów drukuje się coś w narzeczu baskijskiém. Nikt we Francyi nie myśli przytém o zmartwychwstaniu celtyckiego czy baskijskiego narodu do państwowego życia Francyi—a prawie tak samo miała się rzecz i u nas w Czechach przed 1848 r.

Od r. 1848 datuje się, jak wiadomo, polityczne odrodzenie narodu czeskiego. Sposób w jaki się to stało nie może nie obudzić zajęcia czytelnika—żeby zaś jasno rzecz przedstawić, uciec się muszę do własnych pamiętników, bo odegrałem przytém główną rolę. Przedewszystkiém jednak należy tu przypomniéć że w Czechach, jeszcze w początku marca 1848, całe życie publiczne było zupełnie niemieckie. W urzędach nie znano innego języka służbowego, prócz niemieckiego; we wszystkich szkołach niemiecki był językiem wykładowym, z wyjątkiem szkółek wiejskich, wtedy jeszcze w małéj liczbie istniejących. Jedyném miejscem, w którém słyszało się publicznie język czeski, był kościół; tam, szczególniéj po wsiach z czeską ludnością, księża kazali po czesku. W miastach już to się nie zdarzało, nawet w saméj Pradze czeskie kazania były rzadkością. Dla tego téż, w dziejach odrodzenia i utrzymania czeskiéj narodowości, duchowieństwo odgrywa bardzo ważną rolę, któréj lekceważyć nie można. I o teatrze muszę tu również wspomniéć. W niedziele, w popołudniowéj porze, dawano w niemieckim teatrze krajowym przedstawienia czeskie przed publicznością złożoną po większéj części z niższych klas ludności. Za charakterystyczną ilustracyę tego stanu rzeczy niechaj posłuży okoliczność, że czescy rodzice z klasy urzędniczéj lub mieszczańskiéj zalecali wtedy dzieciom, z któremi w domu mówili po czesku, żeby publicznie na ulicy inaczéj jak po niemiecku nie mówiły. Wszystko to trzeba wiedziéć, żeby zrozumiéć to, co daléj nastąpi.

W r. 1848 byłem pedagogiem w domu księcia Jana Lobkowica. W r. 1846 przepędziłem pół roku w Paryżu, po powrocie zaś stamtąd objąłem u księcia obowiązki. Należałem wtedy do bardzo szczupłéj liczby (między Czechami byłem stanowczo jedynym) znających dokładniéj francuskie, szczególniéj paryskie stosunki. Gdy więc w pierwszych dniach marca, za pośrednictwem gazety augsburskiéj nadeszły do Pragi pierwsze wiadomości o rewolucyi lutowéj w Paryżu, znajomi, rzecz naturalna, zwracali się do mnie, pragnąc miéć wyjaśnienia tych niespodzianych wypadków, i tak przyszło to jakoś samo z siebie, że odczytywałem wiadomości gazety augsburskiéj, objaśniając je w miarę potrzeby, najprzód małemu kółku znajomych, zgromadzonemu około stołu w kawiarni „Pod królewską Łazienką“, w pobliżu starego mostu kamiennego. Koło moich słuchaczów rozszerzało się jednak codzień, a 8 marca 1848 r. stałem już w rogu jednéj z sal kawiarni na krześle, a tłumnie cisnące się audytoryum wypełniało cały pokój. Ruch rewolucyjny, przekroczył już granice Francyi, i doszedł już do krajów nadreńskich, do Badenu, a gazeta augsburska przynosiła wiadomości

o zgromadzeniach ludowych w miastach niemieckich, gdzie wydawano uchwały o zgodnych z duchem czasu reformach. Wszystko to naturalnie zostało u nas odczytane; do tego dodawałem już wtedy krótkie uwagi, że podobne reformy były by i w Austryi pożądanemi. Nadzór policyjny nad życiem publiczném był podówczas w Pradze wykonywany w sposób nader surowy, rzec nawet można, samowolny; spoglądałem więc podczas odczytywania bardzo często na znajdujące się naprzeciwko mnie drzwi wchodowe, spodziewając się, że naszemu zebraniu, bądź co bądź niedozwolonemu i sprzeciwiającemu się przepisom tego nadzoru, wejście policyantów nagły kres położy. Ale organa rządowe były wtedy w całéj środkowéj Europie, jak gdyby sparaliżowane wypadkami paryskiemi, i dla tego czuły się zgoła niezdolne do energicznego wystąpienia przeciw rewolucyjnemu ruchowi, udzielającemu się wszędzie z Francyi. Zresztą w Pradze panowała jeszcze 8 i 9 marca zupełna spokojność, chociaż obiegała już w te dni pogłoska, że i w Pradze ma się odbyć zgromadzenie ludowe. Kiedy 10 marca po południu skończyłem moje zwykłe czytanie, nie znany mi dotychczas Niemiec, nazwiskiem Ruppert, nauczyciel prywatny, wziął mię na stronę jeszcze w kawiarni i prosił, żebym wieczorem o godzinie 8-éj znalazł się w pewném miejscu, skąd mię zabierze: idzie bowiem o przygotowywane na następny dzień zgromadzenia ludowego. O naznaczonéj godzinie stawiłem się na wskazane miejsce, na rogu mało uczęszczanéj ulicy, i zostałem przez Rupperta wprowadzony na podwórze podrzędnego hotelu, a stamtąd do małego niepozornego pokoiku od tyłu, w którym znalazłem sporo po części znajomych mi osób. Zgromadzeni tam goście, byli to sami Czesi; Ruppert tylko należał do narodowości niemieckiéj i przez wzgląd na tego jedynego Niemca, prowadzono rozprawy po niemiecku. Znajdowałem się na zebraniu tajnego związku „*Repeal*“, nazwanego tak od irlandzkich stowarzyszeń, na których czele stał podówczas O'Connel. Powiedziano mi, że na 11-go marca, w niedzielę, zwołane jest zgromadzenie ludowe, które ma się odbyć w sali łazienek S-go Wacława na Nowém-mieście i że na tém zgromadzeniu musi wystąpić mówca; zaproponowano mi więc, a raczéj zażądano odemnie, żebym wziął na siebie rolę tego mówcy. Rozumié się samo przez się, że o pozwoleniu władzy na takie zgromadzenie mowy być nie mogło; otrzymać je bowiem, było prawie niepodobieństwem. Przyrzekłem mimo to stawić się na oznaczoną godzinę, dodałem jednak, że działać będę wedle własnego rozumienia rzeczy.

Nazajutrz, w pamiętny dzień 11 marca 1848 r., przed południem już krążyła w całéj Pradze wiadomość, prywatnie szerzona

(wychodziły wtedy w Pradze tylko urzędowe dzienniki, które naturalnie nic o tém nie wspomniały), że wieczorem o 6-éj godzinie w sali łazienek Św. Wacława, odbędzie się zgromadzenie ludowe i że dr. Gabler wystąpi tam jako mówca. Znajomi panowie przychodzili do mnie w ciągu rana z zapytaniem, czy prawdziwą jest wiadomość, krążąca o mnie po mieście, i ostrzegali mnie, żebym się niepotrzebnie nie kompromitował. Nie zważając na to, udałem się już o wpół do szóstéj wieczorem na miejsce schadzki. Na wszystkich prowadzących tam ulicach panowała zupełna spokojność, nie widać było nigdzie żadnego szczególnego ruchu. Wielki plac Karola na górnéj Małéj Stronie, nazywany wtedy jeszcze rynkiem-bydlęcym, w którego blizkości znajdowały się łazienki Św. Wacława, był prawie pusty. Ani śladu policyi. Na ulicy prowadzącéj od placu do łazienek, gdzie obecnie stoi gmach czeskiéj techniki, były wtedy koszary piechoty. Przez rozwarte na oścież wrota tych koszar, mogłem widziéć na wielkiém podwórzu, stojącą całą załogę w pełnym rynsztunku i jakby zupełnie do wymarszu gotową.

W ogrodzie łazienek znalazłem 6 czy 7 zupełnie mi nieznanych osób. Spodziewałem się, że wejście do ogrodu zatamowane będzie przez policyą i w takim razie byłbym naturalnie powrócił do domu. Wkrótce jednak dowiedziałem się, że policya poprzestała na zakazie otworzenia sali, która téż była zamknięta; ale wejście do ogrodu stało jak zwykle otworem, a w pobliżu, ani nigdzie zresztą nie widziałem ani jednego policyanta.

Postanowiłem czekać co daléj będzie. Wybiła 6-ta godzina. Pojedyńcze osoby przychodziły i rozglądały się również jak ja w ogrodzie, tworząc małe grupy. Wreszcie wszczął się jakiś ruch. Mówiono, że kilku mieszczan przyszło i traktuje z gospodarzem o otwarcie sali. Rokowania doprowadziły ostatecznie do tego, że salę otworzono, ale pod warunkiem, że wchodzić tam będą tylko mieszczanie lub wogóle przyzwoici ludzie w dojrzałych latach; młodzież a szczególniéj ludzie z niższych klas mieli być wykluczeni. Ponieważ krążyła także pogłoska, że i robotnicy z przedmieść fabrycznych mają wziąć udział w tém zgromadzeniu ludowém, postanowiono przeto nie dopuścić tych robotników do tak nazwanego wówczas „zebrania mieszczan“. Robotnicy jednak nie przyszli. Salę więc otworzono, a mieszczanie, którzy traktowali byli z gospodarzem, stanęli u wejścia i wpuszczali lub odprawiali z kwitkiem, według własnego widzimisię. Ja byłem jednym z pierwszych w sali, która napełniała się bardzo wolno. Ponieważ było

ciemno, zapalono lampy. Stałem przy oknie i ręce w tył *à la Napoleon* założywszy, patrzyłem w ogród, W tém poczułem, że mi ktoś wciska w palce papier, który też mechanicznie ująłem. Jakkolwiek obejrzałem się szybko, nie mogłem rozpoznać osoby, która mi papier wcisnęła. Myślałem właśnie nad przemową do zgromadzenia; otrzymawszy tak tajemniczo ów arkusz, wyczytałem w nim punkta petycyi do jego cesarskiéj mości. Były to, jak się późniéj przekonałem, punkta pierwszéj petycyi, zawiezionéj do Wiednia 19 marca 1848 r. i doręczonéj cesarzowi przez pierwszą deputacyą mieszczan; jeden tylko punkt (zdaje mi się, że 13) był tam wsunięty, a brzmiał krótko: „O r g a n i z a c y a p r a c y". Postanowiłem natychmiast, po mojéj przemowie do zgromadzenia, odczytać te punkta petycyi, z wypuszczeniem 13-go i zalecić ich przyjęcie. Tymczasowo włożyłem arkusz do kieszeni i pozostałem przy oknie w téj saméj pozycyi. Długo to nie trwało i wkrótce miałem już w ręku drugi papier, który tą samą drogą dostał się do mnie jak pierwszy, tak, że osoby podającéj dostrzedz nie zdołałem. Ten drugi papier był dosłowną kopią pierwszego. Ludzie, z którymi miałem do czynienia, byli oczywiście bardzo przezorni i dbali o własne osobiste bezpieczeństwo: co się ze mną stać mogło, o to nikt się nie troszczył. Ale to tylko szczegół; główna okoliczność, o którą tu chodzi, polegała na tém, że oba podane mi dokumenty napisane były w języku niemieckim, z czego widocznie wnosić należy, że członkowie tajnego stowarzyszenia uważali za rzecz zupełnie naturalną, iż ja na publiczném zebraniu w Pradze, inaczéj jak po niemiecku nie będę mógł przemawiać. Otóż wyznaję otwarcie, że ci panowie zgoła nie mylili się w swojém przypuszczeniu: b y ł b y m m ó w i ł p o n i e m i e c k u 11 m a r c a 1848 r.; dodam nawet, że gdybym był mówił 11 marca 1848 i mówił po niemiecku, sprawy w Pradze byłyby zupełnie inny wzięły obrót. N a j d z i w n i e j s z é m w t y m p a m i ę t n y m d n i u 11 m a r c a j e s t w ł a ś n i e t o, ż e s z c z ę ś l i w y m t r a f e m p i e r w s z e s w o b o d n e s ł o w o w C z e c h i i w y m ó w i o n e z o s t a ł o p o c z e s k u. Że ta okoliczność wywarła cudowny prawdziwie wpływ na nasze życie narodowe i na nasze interesa narodowe tego bliżéj nie potrzebuję już dowodzić. Krótko tylko powiem, że Praga, jeszcze w dniu 11 marca 1848 zupełnie niemiecka w całém swojém życiu publicznén, zmieniła się już nazajutrz pamiętnéj niedzieli 12 marca, jak za dotknięciem czarodziejskiéj różczki, na miasto czeskie. To samo stało się we wszystkich miastach królestwa czeskiego. C z e s i s t a n ę l i n a c z e l e n o w e g o r u c h u p o l i t y c z n e g o. I warto zaiste wiedziéć, jakim to się stało sposobem.

Stałem więc 11 marca w pokoju przyległym do wolno zapełniającéj się sali z dwiema niemieckiemi petycyami w kieszeni i z niemiecką przemową w głowie. Kiedy w sali dość już było zgromadzonych, skierowałem kroki ku trybunie, czyli jaśniéj mówiąc, ku estradzie orkiestrowéj na sali tanecznej, którą trzeba było spożytkować jako trybunę. Do tego podwyższenia prowadzą z zewnątrz wązkie schodki. Gdy miałem już wchodzić na schodki, zauważyłem, że kilka innych osób szło tam z tym samym zamiarem. Poznałem głośnego już wtedy obrońcę dążeń narodowych, dr. Prawosława Trojana, obecnie jeszcze członka austryackiéj rady państwa i usłyszałem, jak ten mówił po czesku: *Faster bude mluviti prvni a přečte to česky, ja pak to wyložim německy*" (Faster najprzód będzie mówić i przeczyta to po czesku, ja potém wyjaśnię po niemiecku). Błyskawicą mignęła mi przez głowę myśl, że będzie to dla nas nierównie lepszém od mojéj niemieckiéj przemowy; zostawiłem więc spokojnie owe dwa niemieckie arkusze w kieszeni i niewypowiedzianą niemiecką mowę w głowie i poprzestałem na skromnéj roli słuchacza. Od tego czasu myślę sobie często, że dobrze jest niekiedy nie śpieszyć się zbytecznie i nie być gadatliwym.

Szczęśliwy zatém przypadek, jak czytelnik z tego widzi, postawił nas Czechów w 1848 r., na czele dążenia ku swobodzie i wytworzył nam niespodzianie w monarchii austryackiéj pozycyą, którą bez tego trafu musielibyśmy byli ciężko i mozolnie wywalczać.

Chcąc jednak to, co daléj nastąpi przedmiotowo ocenić, nie należy zapominać, że Czechia, wraz z innemi, tak zwanemi niemieckiemi krajami koronnemi Austryi, należała jeszcze do Związku niemieckiego, że Austrya, jako panująca w tym Związku potęga, z konieczności uważać musiała germanizacyą Czech za całkującą zasadę swojéj wewnętrznéj polityki, że wreszcie w opinii publicznéj całéj Europy, Czechia oddawna uchodziła za kraj niemiecki. To téż narodowe ocknienie się ludu czeskiego natrafiło wszędzie na słabą sympatyą, przygotowawczy parlament frankfurcki zażądał odrazu od Czechów, wypływających niespodzianie z fali wypadków bieżących, ażeby wybrali reprezentacyą do parlamentu niemieckiego, a rząd wiedeński, który przy pierwszém natarciu nie stawił żadnego zasadniczego oporu pretensyom narodowym Czechów, był owszem zatém, w interesie swojéj polityki niemieckiéj, żeby Czesi istotnie wyborów tych dokonali. Pierwszy polityczny przywódca narodu czeskiego, nasz niezapomniany i tyle zasłużony w walce o polityczne stanowisko Czech, Palacky, który wtedy otrzymał zaproszenie do wzięcia udziału w rokowaniach parlamentu frankfurckiego, podał w swojéj odmównéj odpowiedzi zasady poli-

tyki narodowéj Czechów. Ta polityka narodowa wywołała zasadniczy rozdział obu mieszkających w królestwie czeskiém narodowości: Niemcy udali się do Frankfurtu, Czesi tylko do Wiednia. W ten sposób zaakcentował się polityczny antagonizm, dzielący już wtedy oba narody i następnie jeszcze zaostrzony wypadkami późniejszemi. Z tego okazuje się, że obudzenie się Czechów w 1848 r. do politycznego życia na dwie strony odrazu nieprzyjemnie oddziałać musiało: nie licowało ani z niemiecką polityką Austryi, która nie mogła wyrzec się tradycyjnéj dążności do przewagi w Związku niemieckim, ani jeszcze bardziéj z ujawniającym się już wtedy w całych Niemczech ruchem wielko-germańskim. Istnienie narodu czeskiego było, że tak rzekę, nieprzyjemną we wszystkich kierunkach przeszkodą, którąby najchętniéj z drogi usunięto. Gdy więc w 1851 roku zniesiono znów w Austryi konstytucyą i gdy przywrócony został w Wiedniu rząd absolutny, poszły też w zapomnienie i wszystkie zrobione Czechom w 1848 r. ustępstwa a natomiast nastąpiło formalne prześladowanie wszystkich stronników i obrońców narodowych dążności czeskich. Do r. 1848 nie liczono się zgoła w Wiedniu z istnieniem narodu czeskiego i nie chciano się też nadal z niém rachować. W myśl takiego zapatrywania i konstytucya Schmerlinga z 26 lutego 1861 r. była tak wykombinowana, żeby udział Czechów w życiu polityczném zneutralizować, czyli innemi słowy, zrobić go nieszkodliwym. Kiedy ta konstytucya weszła w życie, z obozu niemieckiego wybiegło wraz hasło: „sztuczna czeszczyzna", które odrązu scharakteryzowało cały byt narodu czeskiego, jako coś w rzeczywistości niéistniejącego, w następstwie czego i wszystkie tak zwane prawa narodowe przybrały pozór czegoś, co nietylko nie zasługiwało na uwzględnienie ze strony rządu austryackiego, ale owszem powinno było wyrodzić stanowczy opór, potrzebny, jak mówiono, do utrwalenia istniejących stosunków, wobec jakiejś sztucznéj chimery. Stąd pochodziły wszystkie akta przemocy rządu austryackiego względem dążności narodowych w Czechach, nie zaniechane nawet po fatalnym 1866 roku.

Wypadki 1866 r. wykluczyły Austryę stanowczo ze Związku niemieckiego, wskutek czego przewaga Prus w ściślejszym północno-niemieckim Związku formalnie została uznaną. Austrya skazana była na wyrzeczenie się polityki niemieckiéj i na prowadzenie własnéj, austryackiéj, z którą konstytucya Schmerlinga w zupełnéj znalazła się sprzeczności. Gabinet Hohenwart'a, powołany został w 1871 r. do zainaugurowania takiéj polityki a głównym jéj punktem miało być: zapewnienie wydatniejszéj pozycyi królestwa czeskiego w monarchii austryackiéj i ważniejszego stanowiska

politycznego w tém królestwie lekceważonemu dotychczas i prześladowanemu narodowi czeskiemu. Zapowiedziano uroczyście koronacyą cesarza austryackiego na króla czeskiego i reformę ordynacyi krajowéj w Czechach, polegającą na tém, że większość liczebna ludności czeskiéj miała się też odbić w większości konstytucyjnéj reprezentacyi krajów; ale jedno i drugie, dzięki wpływowi Berlina, spełzło na niczém, ministeryum zaś Hohenwartha po 9-cio miesięcznéj egzystencyi musiało ustąpić z widowni, nie przeprowadziwszy projektowanego, zasadniczego przekształcenia polityki austryackiéj. Po krótkotrwałéj jutrzence lepszéj przyszłości, znalazł się znowu naród czeski wobec wrogich sobie niemieckich rządów w Wiedniu, a era tak zwanego mieszczańskiego gabinetu Auersperga-Lassera, stała się nowym rozdziałem w dziejach cierpień tego ludu, na tak ciężkie wystawionego próby. Chwycono się rozpaczliwego środka polityczněj abstynencyi i wtedy wszyscy, obdarzeni rozsądkiem praktycznym i nie zaślepieni narodową zarozumiałością, przekonali się oczywiście jak bezwładnym okazał się i słabym liczebnie naród czeski do téj prawdziwie rozpaczliwéj akcyi politycznéj. Kiedy taka abstynencya polityczna ogranicza się do tego, że się nie bierze żadnego udziału w pracach przedstawicielskich korporacyi, to rzecz prosta, że wtedy inni, w danym wypadku polityczni przeciwnicy, dają krajowi prawa, uchwalają podatki, a w takim razie ten musi słuchać i płacić, kto się sam własnowolnie skazał na milczenie. Tak, gdyby się wtedy miało siłę i odwagę nie słuchać i nie płacić i gdyby się mogło to wszystko w rzeczywistości przeprowadzić — byłoby zupełnie co innego. To téż abstynencya polityczna ma wtedy tylko istotne znaczenie i prawdziwą skuteczność, kiedy można powiedzieć: „stanowicie sobie prawa, my im się nie poddamy! Rozpisujcie podatki, my ich nie będziemy płacić! Wzywajcie rekrutów, my do szeregów nie staniemy!“ Kiedy można to wszystko nietylko powiedzieć, ale i zrobić, wtedy istotnie abstynencya polityczna nie jest dziecinną zabawką. Ale w Czechii było to poprostu niemożliwém i dla tego każdy rozważny członek naszego narodu musi skromnie przyznać, że Czesi nie są w życiu polityczném Austryi tak potężnym czynnikiem, jak to twierdzi wielu niedoświadczonych krzykaczy, i że sam opór bez dostatecznéj siły musi zawsze doprowadzić tylko do uroczystego stwierdzenia słabości i bezwładności.

Tak zwana polityczna abstynencya narodu czeskiego nie miała téż żadnych doniosłych następstw. Przedstawiciele czescy znaleźli się znowu przed 1879 rokiem w sejmie czeskim a w 1879 r. wrócili do austryackiéj rady państwa.

W tym roku poprawiła się stanowczo sytuacya—przynajmniéj nastąpiło pewne polepszenie na korzyść narodu czeskiego. Hrabia Taafe utworzył nowy gabinet, który przyrzekł być sprawiedliwym dla wszystkich ludów austryackich—a więc i dla czeskiego narodu. W mowie tronowéj, którą otwarto austryacką radę państwa usłyszeliśmy, że monarchia austryacka będzie schronieniem i ostoją dla praw wszystkich składających ją narodów. Hrabia Taafe pragnął znów mieć całkowitą austryacką radę państwa, traktował więc z przedstawicielami narodu czeskiego chcąc ich skłonić do wyrzeczenia się abstynencyi politycznej i do wejścia do rady państwa. Ponieważ przekonano się w Czechii o bezużyteczności abstynencyi, przeto rokowania odniosły pożądany skutek. Stosunek Austryi do Prus, czyli ściślej mówiąc, do Niemiec, zmienił się też przez ten czas zupełnie. Nowe państwo niemieckie potrzebowało dla własnego bezpieczeństwa ściślejszego z Austryą sojuszu, który też istotnie zawarty został w 1879 r. a naczéj z góry narzucony przez Bismarcka w tym celu do Wiednia przybyłego. Tajemne punkta tego austryacko-niemieckiego przymierza nie są jeszcze znane i na długo zapewne pozostaną nieznanemi, dopóty przynajmniéj dopóki trwać będzie sam sojusz; ale można, nie chybiając zbytecznie, przypuścić, że w tych punktach zawierać się muszą wszelkie układy dotyczące wewnętrznéj polityki monarchii austryackiéj. Ponieważ w ciągu 10 lat już trwającéj ery Taafego nie było jeszcze najlżejszéj urzędowéj wzmianki o koronowaniu się cesarza austryackiego na króla czeskiego, wolno mniemać, że ta koronacya dziś, podobnie jak w 1871 r. nie jest pożądaną. Daléj, ponieważ za gabinetu Taafego rząd wiedeński nie występuje już tak wrogo względem Czechów, lecz spełnia nawet niektóre pragnienia narodowe, przeto możnaby prawie przypuścić, że w 1879 r. Bismarck powiedział w téj kwestyi: „co się tyczy Czechów, rób kochany Taafe to, co będziesz musiał koniecznie zrobić—zresztą jakoś to tam pójdzie sobie“.

Stoimy więc dziś stanowczo lepiéj niż przed 10 laty. Gdy jednak chodzi o zapewnienie przyszłości narodowego życia Czechów, o któréj mam mówić, chcąc dojść do przedmiotowéj oceny doniosłości nowotworzącego się „trzeciego stronnictwa politycznego“, muszę pokrótce zastanowić się nad całą europejską konstelacyą.

I tu znów mniemam, że odpowiedź na jedno krótkie pytanie rzuci na całą sprawę właściwe światło. Pytanie to brzmi:

Które z państw europejskich ma stanowczo interes w utrzymaniu Czechii, jako narodowéj indywidualności. Odpowiadając na to pytanie, mogę zupełnie na boku zostawić Portugalię, Hiszpanię, Turcyę, Szwecyę z Norwegią a nawet Włochy i Szwajcaryę. Zosta-

ją więc tylko: Francya, Niemcy, Anglia, Rossya i zresztą Dania. O Hollandyi i Belgii mogę również nie wspominać.

Francya, która do 1881 r. nic o nas nie wiedziała, okazuje nam teraz, jakkolwiek nieurzędownie, nieco współczucia. Francuzi demonstrują się obecnie ze swoją sympatyą wszędzie, gdzie tylko wietrzą sposobność wystąpienia przeciwko Niemcom. Ponieważ znowu Niemcy uważają Francuzów za swoich tradycyjnych wrogów, marzących tylko o odwecie i zemście, francuskie zatém sympatye nie na wiele nam się przydadzą, dla wytworzenia jakiegoś możliwie przyjaznego *modus vivendi* z naszymi niemieckimi współziomkami. Czy możemy istotnie powiedzieć, że naród czeski stanowi silny czynnik w kombinacyach francuskiéj polityki zagranicznéj? Zdaje mi się, że nie. Czy Francuzi zgodzili by się na to, gdyby im dziś Niemcy powiedzieli: „No weźcie sobie swoją Alzacyę i Lotaryngię—my za to weźmiemy Czechy?"—Sądzę, że tak.

Niemcy. Cesarstwo niemieckie musi z czasem stać się jeszcze większém—w przeciwnym razie zmniejszy się. Wiedzą o tém bardzo dobrze w Berlinie. Idea wielkoniemiecka ma teraz najskuteczniejsze poparcie, najgorliwszą propagandę w stowarzyszeniu niemieckich wolnomularzy; urzędownie, rzecz prosta, nie mówi się o niéj. Wolno-mularze niemieccy kierują ruchem niemiecko-narodowym Austryi w taki sposób, że my Czesi nie możemy mieć najlżejszéj wątpliwości co do ich zdania o potrzebie naszego narodowego bytu. Czechia leży naturalnie w sferze mających się urzeczywistnić niemieckich zdobyczy narodowych i w téj Czechii tak potrzebnéj do zaokrąglenia państwa niemieckiego naród czeski jest dla idei wielkoniemieckiéj jedynie czarnym punktem, który zetrzéć należy. Niemiekie zatem cesarstwo i naród niemiecki nie ma żadnego interesu (że daléj się nie posunę) w utrzymania narodu czeskiego i w rozwoju życia narodowego Czechów. Przeciwnie!

Anglia. Szekspir, czy też inaczéj zwany autor „Baśni zimowéj", każe wprawdzie królowi czeskiemu płynąć z morskiéj przystani w Czechii do Sycylii; ale wobec praktycznych Anglików XIX wieku nam Czechom niewiele to korzyści przyniesie; sądzę, że żaden Czech, choćby najżywszą był obdarzony wyobraźnią — nie spodziewa się, żeby Anglia przysłała statek wojenny do owego portu czeskiego w obronie naszéj zagrożonéj egzystencyi narodowéj.

Rosya jest obecnie pod względem terytoryalnych obszarów największém państwem na kuli ziemskiéj. Potęga jéj rozciąga się na dwie części świata. Kwestya, gdzie ma ważniejsze interesa, w Azyi czy w Europie, nie jest jeszcze rozstrzygnięta. Rosya jest państwem słowiańskiém, ale panslawizm, którego się tak w Europie

obawiają, jest tam reprezentowany tylko przez prywatne towarzystwo. Bądź co bądź Rosya jest państwem przychylném dla Słowian; i dla takiego jednak mocarstwą mogą się nastręczać wypadki i ogólne polityczne konstelacye, w których kwestya bytu jakiegoś drobnego narodu słowiańskiego wielkim ciężarem na szali przezornie kombinującéj polityki nie zaważy. Zresztą my Czesi jesteśmy narodem katolickim i dla prawdziwego Rosyanina zbyt żądnym tak zwanéj zachodnio-eurupejskiéj kultury. Dla naszéj miłości nie narazi Rosya ważnych interesów politycznych.

Mam że mówić jeszcze o D a n i i? Kiedy dwóm ludziom, nie mogącym sobie wspólnie pomódz, grozi jednakie niebezpieczeństwo zatonięcia w coraz groźniéj napływającéj fali, wtedy jeden na drugiego patrzy z pewném zajęciem, czy jeszcze się nie pogrążył; ale ta naturalna sympatya platoniczna nie zmniejszy niebezpieczeństwa ani dla jednego ani dla drugiego.

A teraz, po tym europejskim przeglądzie, który nas nie może zachęcić do schlebiania zachciankom narodowego szowinizmu, zwrócimy wzrok na własny dom—a wtedy będziemy musieli powiedzieć: „tak, tylko w tym domu, w domu austryackim żyć może nawet Czech i znaleźć schronienie dla swéj egzystencyi narodowéj: tylko w tym domu może się oddać nadziei na pomyślny rozwój swéj narodowéj indywidualności. Z tego przeświadczenia wynika, jako niecofniona konieczność natury, że naród czeski, w swoim własnym dobrze zrozumianym interesie, musi zrobić wszystko, co posłużyć może do utrwalenia siły tego domu, do zabezpieczenia dalszéj jego egzystencyi. Nie my stworzyliśmy obecny stan rzeczy w Europie, ale nie powinniśmy sobie wyobrażać, że my go zmienimy. Cała Europa stoi pod bronią, nawet otoczona morzem Anglia myśli o dość poważném wzmocnieniu swojéj floty. Wiadomo powszechnie kto jest właściwym twórcą tego nienormalnego stanu; zbytecznem byłoby rozwodzić się nad tém w filozoficznych rozmyślaniach—bo przez to nie zmieni się ani na jotę sytuacya nienormalna. W Europie idzie dziś siła przed prawem, *la force prime le droit*, jak mówią Francuzi, i w tym razie obojętną jest rzeczą czy taki stan ma jakieś podobieństwo ze średnowiecznem prawem pięści, czy też jest on istotnym postępem na polu prawdziwie europejskiéj albo prawdziwie ludzkiéj cywilizacyi — w życiu politycznem trzeba brać rzeczy tak jak są. Austrya nie może zostać w tyle wśród ogólnego wyścigu wszystkich państw europejskich do jednego celu, do postawienia zbrojności na najwyższym stopniu rozwoju pod względem siły, jakości broni i taktycznego wydoskonalenia, jeżeli nie chce narazić się na niebezpieczeństwo uchodzenia w wielkim europejskim koncercie

militarnym, za czynnik małoważny, który jako taki, na bok byłby odsunięty. Ilekroć więc chodzi w Radzie państwa (jak to obecnie się zdarzyło) o przyjęcie nowego prawa wojskowego, w któróm mają być wzięte w rachubę wymagania dzisiejszych czasów, cóż mają czynić reprezentanci narodu czeskiego we własnym interesie i w interesie monarchii austryackiéj, która jest owym jedynym domem, gdzie naród czeski bezpiecznie żyć może? Czy są tu dwie drogi do uwzględnienia tych interesów? Jabym powiedział po prostu: „na wzmocnienie siły zbrojnéj w Austryi w dzisiejszych okolicznościach, oddać ostatnią koszulę, ostatni grosz—i dziej się wola Boża!“ Ale w austryackiéj radzie państwa zasiada teraz obok większości tak zwanych staro-czechów, mających na czele wypróbowanego przywódcę d-ra Riegera, ośmiu młodo-czechów pod niewyprobowanym kierunkiem d-ra Edwarda Gregra, i specyalny interes stronnictwa idzie przez to przed ogólnym narodowym. Staroczesi głosowali naturalnie za nowém prawem wojskowém z wszelkiemi zastrzeżeniami i ze słusznóm zaakcentowaniém wielkiéj ofiary, którą naród nasz ponosi dla całego państwa z uwagi na nieprzepartą konieczność. Dr. Gregr wygłosił również w swoim własnym interesie stronniczym piękną mowę o téj nieprzepartéj konieczności i o ofiarności narodu czeskiego dla dobra państwa, tak że każdy musiał wnosić, że i młodo-czesi będą w rezultacie głosować za prawem wojskowém. Tymczasem na naradzie tych ostatnich rozważono przezornie interes stronnictwa i młodo-czesi wotowali ostatecznie przeciwko prawu wojskowemu. Dla czego? Bo mieli na widoku przyszłe wybory do sejmu, które miały się odbyć w czerwcu 1889 r. i przy których mogliby wobec swoich wyborców odegrać rolę grzecznych dzieci, przemawiając w te słowa: „Nie my przysporzyliśmy wam tych ciężarów, to ci brzydcy staro-czesi, których nie powinniście wybierać na waszych przedstawicieli“. Jestto tylko drobna tymczasem illustracya życia naszych politycznych stronnictw, do którego teraz przejść zamierzam.

Antagonizm między tak zwanemi staro- i młodo-czechami jest dobrze znany czytelnikom tych listów. Jeżeli teraz znów o nim wspominam, to czynię to przedewszystkiém ze względu na tak trafnie przez Leona Poncins scharakteryzowanych „bojowników wolności“ we Francyi i dodam tylko uwagę, że owe trzy kategorye dziejopisa francuskiego wybornie stosują się do wszystkich tych mężów, a może nawet do kobiet, którzy się zajmują sprawami publicznemi i wogóle odgrywają w życiu publicznóm jakąś rolę.

Nie będę bynajmniéj twierdził, że wszyscy staro-czesi należą do pierwszéj kategoryi, bo u nas, podobnie jak we Francyi, nie tak

łatwo jest, w każdym danym wypadku, pierwszą od drugiéj odróżnić. Ale, jakkolwiek niechętnie zwykle wymieniam nazwiska, muszę tu wyraźnie powiedzieć, że dr. Rieger jest stanowczo szlachetnym pierwszéj kategoryi przedstawicielem. Dr. Rieger nigdy dla siebie nie pracował, lecz zawsze wszystkie siły swoje i cały czas dla narodu i dla kraju poświęcał. Nie zdobył sobie żadnych godności, jakkolwiek często były mu ofiarowane, ani bogactw, choć mu je za czasów gryndersk iego matactwa gwałtem narzucano; gdy zaś mówię „narzucano", winienem dodać, dla usunięcia wszelkich nieporozumień, że dr. Rieger konsekwentnie zawsze odrzucał wszelkie podobne ponętne propozycye. Słowem dr. Rieger nie użył nigdy swojéj działalności w życiu publicznem w celu zyskania czegoś dla siebie i zawsze poprzestawał na gorliwéj, niezmordowanéj obronie interesów swego narodu i swego kraju, a nawet w ciągu długiego przebiegu swéj publicznéj działalności, walcząc za te interesa, znaczne ponosił ofiary z własnego prywatnego majątku, który mu zawsze zapewniał niezależne stanowisko. Można rozmaicie oceniać publiczną działalność dr. Riegera i jego wyniki—ale ubiegania się o zaszczyty ani samolubstwa nikt mu nie zarzuci. A jednak mimo że dr. Rieger całe życie swoje strawił na usługach narodu, że zasługi jego położone około dobra kraju są niezaprzeczone, że należy do najszlachetniejszych reprezententów narodu, jeżeli już nie nazwiemy go ze wszystkich najszlachetniejszym, był przez młodoczechów systematycznie spotwarzanym i podawanym w podejrzenie jako wróg i krzywdziciel tego narodu; porzucano go już nawet, nieraz między politycznych trupów, ażeby nad rzekomym grobem przeciwnika kilkakrotnie z szyderczemi okrzykami wykonać dziki huroński taniec rozkiełznanéj namiętności stronniczéj, ku wielkiéj uciesze naszych wrogów narodowych.

Naród jest wielkim tylko przez wielkich ludzi, sławnym tylko przez sławę znakomitych mężów; ale nasz naród jest niestety przeniknięty barbarzyńskiém tchnieniem demokratycznéj żądzy niwelacyjnéj, która, ilekroć ktokolwiek dźwignie się ponad średnią miarę płaskiéj nicości, rzuca się na śmiałego z krzykiem: „strąćmy go z jego wysokości, zdepczmy go w błocie!" Uważa się to może za obudzenie prawdziwego ducha husyckiego—tylko zapomina się przytém, ze husyci mieli na czele Żyżkę i Prokopa Wielkiego. Młodoczesi lubią powoływać się na czasy husyckie, naturalnie z zastosowaném do dzisiejszéj doby pominięciem religijnego fanatyzmu; być bardzo może, iż doprowadzą do tego, że naród czeski stanie się niezbyt przyjemnym nietylko dla Austryi, ale dla bardzo dziś konserwatywnych Niemiec, co bynajmniéj nie polepszy naszych wido-

ków na jakąś bezpieczną przyszłość; w każdym razie młodo-czesi gorliwie nad tém pracują, żeby w narodzie czeskim żadne nie zjawiały się znakomitości. Ktokolwiek bądź na polu publicznéj działalności dokona czegoś wybitnego, ten może być pewny, że natychmiast padnie strzał z wielkiego działa „Narodnich listów", nabitego pedejrzeniami i oszczerstwami najgrubszego kalibru. Taką ofiarą niwelacyjnéj żądzy młodoczechów jest obecnie dr. Mattus. Doktór praw, Karol Mattuš, burmistrz w Mladéj Boleslavie, poseł na sejmie i w radzie państwa, jest niewątpliwie wydatną znakomitością parlamentarną w austryackiéj radzie państwa. W 1884 r. objął on tam za hrabiego Henryka Clam - Martinica, który nagle zachorował, czynności sprawozdawcy głównego do kwestyi budżetowéj. Nasi sprzymierzeńcy i przyjaciele w radzie państwa, Polacy, oczekiwali wtedy, prawie z trwogą, czy ten mały niepozorny jegomość, z niezbyt dźwięcznym głosem, będzie wstanie podołać podjętemu zadaniu bez uszczerbku dla parlamentarnego znaczenia zjednoczonéj prawicy. Ale dr. Mattuš przeszedł wszelkie oczekiwania i jest od tego czasu ogólnie aprobowanym sprawozdawcą do budżetu. Mowy jego są prawdziwemi perłami parlamentarnéj swady i stanowią często pełne doniosłości programy naszéj polityki narodowéj. Słowem dla każdego poczytalnego człowieka, dr. Mattuš należy do pierwszorzędnych wielkości parlamentarnych i jest znakomitym człowiekiem, którym naród czeski, nie mający do zbytku wielkich ludzi, chełpić się tylko może. Jakże tedy poczynają sobie z tym człowiekiem młodo-czesi, najprzód w swoim politycznym organie „Narodni listy" a powtóre w piśmie humorystycznem „Šipy", założoném *ad hoc*, tj. w celu poniżenia i wyszydzenia dra Riegera i innych jemu podobnych znakomitości. Dr. Mattuš nie jest tam ganiony za to, że to lub owo mógł był powiedziéć lepiéj, albo za to, że tego lub owego nie powinien był mówić. O! nie,—tak tanim kosztem nie pozwalają „Narodni listy" wykręcić się temu, kto się odważa bez ich pozwolenia, nie stojąc pod ich egidą, tak sobie, ni stąd i zowąd zrobić coś porządnego. Dr. Mattuš napiętnowany jest uroczyście jako zdrajca narodu czeskiego, jako jeden z najsromotniejszych złoczyńców. „Šipy" znowu we wszelkich możliwych karykaturach wydają dra Riegera na pastwę publicznego szyderstwa a z dr. Mattušem dzieje się nie wiele lepiéj.

Namiętności stronnicze nie znają w polityce żadnych względów przyzwoitości, żadnych zasad moralności; osławianie, obelgi, podejrzenia i oszczerstwa są ulubioną ich bronią. Jeżeli nie można przeciwnika w błocie podeptać, trzeba go przynajmniéj błotem obryzgać. A co na to wszystko mówi tak zwana opinia publiczna?

Vox populi, vox dei, głosi stare *dictum*, którego autor musiał widocznie żyć w czasach idylicznéj niewinności—dziś, chybaby nikt takiego aforyzmu nie wymyślił. Opinia publiczna,—to dziwna osoba, szczególne często miewająca kaprysy. Konsekwencya nie jest, jak sądzę, jéj przeważającym przymiotem, raczéj zmienność stosownie do pogody, bo przecież płaszczem z téj strony trzeba się osłonić, z któréj wiatr wieje. I kto właściwie stanowi opinią publiczną?—ci po większéj części, którzy sami własnego nie mają zdania. A jednak! któżby dziś nie miał zdania o polityce zewnętrznéj i wewnętrznéj, o sytuacyi,—jak to się zwykle mówi, nareszcie o tém jak mają postępować posłowie? Wszakże to wszystko można miéć codzień drukowane za parę grajcarów—więc jakżeby nie miało być opinii publicznéj? Tym sposobem moglibyśmy łatwo zapędzić się w mniemaniu, że u nas wykształcenie polityczne stało się już ogólném, bo kto téż nie ma tu pretensyi do sądu w rzeczach wyższéj i najwyższéj polityki państwowéj? i to do jakiego sądu!—nic bardziéj stanowczego, kategorycznego wyobrazić sobie nie można—taki sąd nie znosi żadnéj opozycyi. Nauczyciele naszych szkół ludowych są to sami politycy z powołania, którzy właściwie mogliby w swojéj szkole uczyć takich ludzi jak Rieger i Mattuš, gdyby ci ludzie chcieli się czegoś porządnego nauczyć, a potém działać jak się należy. Co się tycze nauczycielek w szkołach ludowych, te również muszą korzystać z praw człowieka i nie mogą dać się wyprzedzić swoim męskim towarzyszom. Posiadamy nauczycielki, które na samo nazwisko Riegera, czują się w obowiązku korzystać z niewinnéj prerogatywy osłabionych nerwów, tak dalece są przekonane o swéj umysłowéj wyższości nad tym tak zwanym przywódcą narodu czeskiego. Potém idą studenci, czyli ściśléj mówiąc, młodzież szkolna, bo wysoka polityka będzie u nas wkrótce uprawianą już w ochronkach dla małych dzieci. Że studenci naszych wyższych zakładów naukowych mają zupełną kompetencyą do rozstrzygania wszystkich kwestyi politycznych w chwili bieżącéj, temu nikt nie może zaprzeczyć, kto ich nie chce obrazić—a i gimnaziści na dowód swéj dojrzałości politycznéj dzielą się już na staro i młodoczechów. Szkoły miejskie i ludowe muszą również być użyte do rozpowszechnienia politycznego ukształcenia—o tém pamiętają już młodoczescy nauczyciele. Zwierzchni kierunek téj politycznéj kultury narodu czeskiego, centralną władzę, że tak powiem, tego specyalnego fachu oświaty publicznéj dzierżą „Narodni listy“, organ polityczny młodo-czechów. W téj propagandzie *verae fidei politicae*, hasłem pod którém rozwija się działalność, jest: „kto nie z nami, ten przeciw nam“! z czego wynika, że wszyscy ci, którzy się dobro-

wolnie téj komendzie nie poddają, są albo zmuszani do uległości systematyczném prześladowaniem, albo, przy pomocy równie konsekwentéj potwarzy, muszą się stać nieszkodliwemi. Nie jest-to zresztą żadną specyalnie czeską właściwością w tych naszych, nowszych czasach, że organa stronnictw służą jedynie za środek do popierania interesów koteryjnych, w których zwykle kwestya osób na pierwszy plan występuje; podobnie i u nas antagonizm między staro a młodoczechami, zatruwający całe nasze życie polityczne, jest jedynie kwestyą osób. Gdyby chciano rzeczywiście i poważnie traktować tylko rzeczowe interesa, usunięcie tego zgubnego dla wszystkich antagonizmu, byłoby bardzo łatwe, bo owe rzeczowe interesa narodu czeskiego dadzą się określić tak zwięźle i ogólnie zrozumiale, że i zgoda pod tym względem mogłaby być osiągnięta i wyniknąć, że tak powiem, z siłą naturalnéj konieczności. Ale kiedy przychodzą w rachunek osobiste aspiracye jako pierwszędne motywa, kiedy kategoryczne: *ôte toi de là, que je m'y mette*! główną odgrywa rolę, wtedy o jedności mowy być nie może, a tak niestety mają się rzeczy w tym wypadku. Mówiono już nie jednokrotnie, że młodoczesi jeżdżą na jednym wózku z naszymi narodowymi wrogami, z Niemcami i że obrabiają ich interesa z całą gotowością. Wzmiankowana powyżéj okoliczność nadaje téj anormalności pewne prawdopodobieństwo. Niemcy głoszą zawsze swoję duchową wyższość i na tém twierdzeniu opierają pretensyą do politycznéj przewagi w życiu państwowém. Jeżeli „Narodni listy" gotowe są zawsze wszelkiemi środkami obniżać w opinii publicznéj wszystkich tych, którzy zdolni są odgrywać w życiu publiczném narodu czeskiego wybitną rolę kierowniczą, jeżeli postawiły sobie za główny cel swojéj działalności, przedstawiać ludzi téj miary, co dr. Rieger i dr. Mattuš, któremi cały naród czeski może i powinien się chlubić, jako chorujące na wielkość nieudolności, jako figurantów bez charakteru i bez talentu, zasługujących jedynie na publiczne szyderstwo „Šipów"—to można wpaść na myśl, że ci panowie w gruncie rzeczy obrabiają interesa naszych narodowych wrogów, którzy téż nic innego nie twierdzą, tylko że naród czeski nie ma ludzi wybitnych pod względem zdolności i umysłowego ukształcenia. W rezultacie młodo-czesi należą do drugiéj z pomiędzy trzech, określonych przez Poncina, kategoryi, co bynajmniéj nie znaczy, żeby tu, ak wszędzie nie dała się zastosować zasada: *Nulla regula sine exceptione!*

I wobec tego wszystkiego wytwarza się trzecie stronnictwo polityczne! Ludziom, prawdziwie rozsądnym, nasuwa się tu zaraz uwaga: „posiadając dwie partye, posiadamy właściwie więcéj ani-

żeli nam potrzeba. *Omne nimium nocet.* Dajcie więc pokój z tą okrutną zabawką!" Ale wielką politykę uprawia dziś wielu poprostu jak sport, a sportsmeni pragną też naturalnie mieć swoje przyjemności. Dla czegóż więc nie mieć i trzeciego stronnictwa, skoro już dwa istnieją? dla czego trzecie nie ma być właśnie drugiém, a potém jaki jest powód, żeby nie było czwartego i piątego i tak daléj *con grazia... ad infinitum*, a właściwie *ad absurdum*, dopókiby nareszcie nie nastąpił zwrot i ostateczna naprawa szkód w życiu publiczném poniesionych. Niemcy w Czechach, mniéj od nas liczni, cieszą się istnieniem pięciu partyi publicznych i są przytém, mimo uszczuplenia i tak niezbyt sutych dyet sejmowych, dobréj myśli i różowego humoru. Mogłbym tu jednak, nie mając zamiaru obrażenia moich współziomków powiedzieć: *Quod licet Jovi, non licet bovi*, a skoro już wymknęło mi się to przysłowie, to pozwolę sobie uzasadnić je dla wszystkich, którzyby w tém coś gorszącego znaléść chcieli. Niemcy w Czechii żyją dziś w tém radosném oczekiwaniu, że prędzéj czy późniéj należéć będą do wielkiego państwa niemieckiego i nie potrzebują obawiać się ani trochę, żeby im późniéj w Berlinie odpłacono za wszystkie polityczne koziołki, wywracane wskutek tego radosnego oczekiwania. Mogą więc Niemcy w Czechii pozwolić sobie bezpiecznie zbytku wszelakiego kuglarstwa politycznego — wcielenie ich do państwa niemieckiego powetuje to wszystko. Gdyby zatém wszyscy teraz nałożyli na głowę czapki jakobińskie, to im późniéj pruskie pikelhauby nie gorzéj pasować będą i przyjmie ich mimo to wielki naród niemiecki, do którego i tak dziś się już zaliczają.

Zupełnie inaczéj rzecz się ma z Czechami. Jesteśmy małym narodkiem, nie zaś wielkim narodem. Nie będziemy stanowić nigdy mocarstwa europejskiego, ani nie odegramy rozstrzygającéj roli w polityce enropejskiéj. Jesteśmy raczéj na niwie téj polityki rośliną nagle wyrosłą, a w rodzinie narodów europejskich dzieckiem niespodzianie odrodzoném, dzieckiem małém przy innych zmężniałych młodzianach. My musimy dopiéro dorastać, żeby przyzwoicie wyglądać] przy innych członkach rodziny, mamy więc wszelkie powody do starania się o to, żeby ta rodzina, widząc nasze przystojne zachowanie się, zniewalającą obyczajność, nie uważała naszego odrodzenia za niemiłe, opłakane wydarzenie familijne. Nie posiadamy w tém rodzinném kółku narodów europejskich, żadnych zdeklarowanych przyjaciół, ani poplecznikćw; odrodzenia naszego nie oczekiwano z radością; przyszło ono nawet temu i owemu nie na rękę i wiemy o tém najlepiéj, że dziecko nie było przez nikogo pieszczone, choć go otwarcie nikt podrzutkiem nie nazwał.

Dobrze to czasem bywa, jeżeli takie dziecko jedynie własną siłą żywotną rozwinie się do zupełnéj samoistności i zdobędzie ludzką indywidualność, — nie jest przynajmniéj rozpieszczoném. Tylko w takim razie nie powinno przedstawiać się samo jako *enfant gâté*, lecz musi baczyć, żeby nie wydało się niegrzeczném, lub nieprzyzwoitém zachowaniem się nie obudziło zgorszenia i gniewu. Skromność musi mieć takie dziecko przedewszystkiém na względzie.

Jeżeli więc znajdują się u nas ludzie, którzy mówią: „wszystko co robią Niemcy, możemy i powinniśmy robić, żeby dowieść, że nie jesteśmy niższym narodem!" — to zdaje mi się, że takie poglądy są niesłuszne, nie odpowiadają bowiem naszemu stanowisku w rodzinie narodów europejskich. Zapewne, gdybyśmy za plecami posiadali państwo czeskie z 40 milionami mieszkańców, podobne zapatrywania mogłyby mieć swoję podstawę; ale ponieważ tak nie jest, przeto takie poglądy są nietylko niesłuszne, ale i szkodliwe; sądzę, że czytelnikowi tych listów, stojącemu zdala od naszych stosunków a zatém zupełnie pod tym względem nieuprzedzonemu, daléj tego dowodzić nie potrzebuję.

Jakże zatém mamy sobie w obecnych stosunkach poczynać, chcąc popiérać według możności nasze interesa narodowe i zabezpieczyć sobie przyszłość, jako narodowi?—przedewszystkiém starać się działać zgodnie, dla osiągnięcia tego celu. Siły nasze nie są tak wielkie, ażebyśmy, w dążeniu do tego celu, nie potrzebowali się obawiać ich rozproszenia. Powtóre powinniśmy wystrzegać się bardzo szowinizmu narodowego, wszelkich niepotrzebnych pretensyi i zbytecznego zarozumienia. Te przywary nie jednają sympatyi wielkiemu narodowi — mały narodek okrywają poprostu śmiesznością. Szukać w swarach i niesnaskach udowodnienia życia politycznego, jest wogóle niesłusznem, a u nas wprost niedorzecznem. Jeżeli się sami będziemy szarpali, ułatwimy tylko naszym wrogom zupełne nasze usunięcie ze szranków politycznych — dość im będzie uprzątnąć tylko krwawe strzępy, które po nas zostaną. Tylko prawdziwa, uczciwa poważna praca na wszystkich polach ludzkiéj działalności, w parze z niezmordowaną pilnością, może nam dopomódz do zdobycia stanowiska wśród narodów europejskich, którebyśmy chętnie, jak sądzę, przyjęli. Same krzyki i dzikie wodzenia się za łby, husyckie kuglarstwo i radykalne arlekinady, nie zbliżą nas do tego celu. Zgody politycznéj nam potrzeba i usunięcia na bok wszelkich interesów osobistych, wszelkich samolubnych zachcianek. Niestety! wiem, że to *pium desiderium!*

Ponieważ nam potrzeba zgody i jedności politycznéj, mamy przeto trzecie stronnictwo polityczne. Ta trzecia partya zamierza

właśnie z całą powagą urzeczywistnić taką zgodę, głosi bowiem: „nie ma żadnych staro-czechów ani młodo-czechów — jest tylko trzecie stronnictwo!“ Bierze ochota uważać to za lichy koncept, a jednak, tak jest.

Kiedy mam mówić o téj trzeciéj partyi, przychodzi mi na myśl mimowolnie początek podręcznika katechizmowego, którego musiałem się uczyć napamięć w pierwszéj klasie gimnazyum. Ten początek mogę dziś jeszcze dosłownie przytoczyć, a brzmi on jak następuje: „Podziwu godne i rozmaite są rzeczy, które naokoło widzimy i zmysłami ogarniamy“.

Kiedy w r. 1848 utworzyła się w każdéj miejscowości Czechii, nawet w najdrobniejszéj wioseczce gwardya narodowa, w któréj zawsze prawie każdy chciał być oficerem; wtedy ktoś dowcipny wpadł na sprytny pomysł przemówienia w te słowa do zgromadzonych gwardzistów: „Wiecie co? my jesteśmy wszyscy oficerami i wybiéramy sobie tylko szeregowców!“ W nowéj trzeciéj partyi, która ma uszczęśliwić naród czeski, dzieje się coś podobnego: w téj chwili są tylko oficerowie — szeregowców dopiéro się szuka lub werbuje. Trzecie stronnictwo posiada tymczasowo samych przywódców politycznych; właściwa partya tworzy się obecnie—i zobaczymy zaraz w jaki sposób się tworzy.

Czytelnicy przypominają sobie zapewne, że przed kilku laty wybuchł u nas spór literacki o autentyczność najdawniejszych pomników naszéj literatury narodowéj: rękopisów królodworskiego i zielonohorskiego. Oba zawiérają poezye, pierwszy epickie i liryczne, drugi wyłącznie epickie, tylko we fragmentach. Ponieważ te poematy dostarczają oczywistych dowodów, że naród czeski uprawiał już w 12 wieku zupełnie ukształtowaną poezyą narodową, a więc stał w tym czasie na jednakowym z Niemcami poziomie cywilizacyi, naturalną jest przeto rzeczą, że Niemcy, którzy uważają swoję od dawien dawna datującą wyższość umysłową nad wszystkiemi Słowianami, a zatem i nad Czechami, za tytuł prawny, uzasadniający ich pretensye do hegemonii w państwie austryackiém, byli zawsze skłonni do podawania w wątpliwość autentyczności tych pomników literatury naszéj. Nie należy tu zapominać pełnéj znaczenia okoliczności, że napaści Niemców na autentyczność tych rękopisów, nastąpiły dopiéro po 1848 r., a zatém po politycznem odrodzeniu narodu czeskiego, przed tym zaś rokiem autentyczność pomników uznana była przez znakomitych uczonych niemieckich i doskonałych znawców tych rzeczy. Okoliczność powyższa wyjaśnia się tém, że do 1848 r. nie istniała między Czechami a Niemcami żadna polityczna rywalizacya lub niechęć, że Niemcy nie

mieli jeszcze wtedy żadnego interesu w akcentowaniu swojéj umysłowéj wyższości i że wśród ówczesnych Niemców panował sympatyczny prąd ogólno-humanitarny, rodzaj kosmopolityzmu, ogarniającego miłością całą ludzkość, o którym wiadomo, że go książę Bismarck najuroczyściéj wyszydził, ażeby zapewnić, jaknajwiększy rozwój narodowemu egoizmowi, potrzebnemu do planów księcia kanclerza. Po 1848 r. kiedy i naród czeski pozwolił sobie wierzyć w to, że nowe słońce politycznéj wolności dla niego również wejdzie i zaświta, kiedy i ten naród zapragnął postawić swoje żądania co do samoistnego bytu w życiu politycznéni, wtedy naturalnie wyszło z obozu niemieckiego hasło, ażeby temu narodowi dowieść, że nic go nie upoważnia do takich pretensyi, i że szczególniéj cała jego przeszłość nie była tego rodzaju, aby mu w teraźniejszości zapewnić mogła godną poważania egzystencyą.

Wtedy nastąpiła w szóstym dziesiątku bieżącego stulecia pierwsza, systymatycznie uorganizowana i dobrze skombinowana napaść Niemców na owe stare pomniki literatury. Napaść ta miała swój sens i była zreczną, w interesie bowiem Niemców leży dowieść, że naród czeski nie ma w życiu narodów europejskich żadnego znaczenia cywilizacyjnego i że jestto poprostu narodowe matactwo i jawne oszukaństwo, kiedy taki narodek rości pretensyą do równie dawnéj jak Niemcy literatury narodowéj, a nawet jeszcze starszéj. Gdy więc Niemcy przedsięwzięli dowieść, że oba rękopisy są poprostu marnemi fabrykatami nowożytnych fałszerzy, którzy tym sposobem chcieli pochlebić próżności narodowéj, to uczynili to we własnym, dobrze zrozumianym interesie, który nagląco wymagał wtrącenia podobnych pretensyi w dziedzinę absolutnéj nicości. Niemcy zatém spełnili, że tak powiem, obowiązek narodowy, napadając na autentyczność tych dawnych rękopisów.

Napaść ich odparli podówczas Czesi zjednoczonemi siłami. Przed kilku laty ponowiła się ona, jak wiadomo, i to już nie z niemieckiego lecz z czeskiego obozu. Zrobili to profesorowie nowo otwartego uniwersytetu.

Nie będę tu powtarzał wszystkiego, co już powiedziałem o tym nowym literackim sporze o autentyczność rzeczonych pomników poezyi, zaznaczę tylko krótko dotychczasowy wynik sporu, bo w téj chwili chodzi przedewszystkiém o wytworzenie się i właściwą podstawę trzeciéj partyi politycznéj.

Co się tyczy saméj sprawy, to jest istotnéj kwestyi spornéj, jako takiéj, mogę tylko stwierdzić, że bynajmniéj nie jest rozstrzygniętą. Napastnicy utrzymują wprawdzie, że dowiedli nieprawdziwości obu rękopisów i podrobienia takowych w bieżącém stuleciu

ale obrońcy z równą siłą twierdzą, że tak nie jest. Utrzymywać, że się odniosło zwycięstwo, kiedy rzekomo zwyciężony nie ma najmniejszéj ochoty przyznać że go pokonano, nie jest prawdziwém zwycięstwem, ani właściwém zakończeniem walki. Wszelkie wysiłki panów profesorów naszéj narodowéj wszechnicy, dokonane z nagromadzeniem wszelkich możliwych środków erudycyjnych, nie przekonały nas dotąd.

Niemcy natomiast przekonani zostali temi bardzo dla nich pożądanemi usiłowaniami, że mieli słuszność dowodząc, nieautentyczności najstarszych „rzekomo" pomników czeskiéj poezyi narodowéj. Jestto w każdym razie stanowczy i niewątpliwy wynik sporu literackiego, prowadzonego przez Czechów.

Drugim równie stanowczym, równie niewątpliwym wynikiem téj literackiéj jeszcze nieskończonéj walki jest fakt, że professorowie narodowéj wszechnicy czeskiéj rozdzielili się szczęśliwie w skutku tego sporu na dwa wrogo naprzeciw siebie stojące obozy. Czy taki rozdział ma być uważany wobec interesów narodowych jako szczęście lub téż jako klęska? — rozwodzić się tu nie będę; zauważę tylko, że widocznie napastnicy na autentyczność starych poezyi sądzą, iż takim rozdziałem kolegium profesorskiego na dwie nieprzyjacielskie partye udowodnili swego uzdolnienia do skupienia całego narodu czeskiego pod sztandar trzeciéj partyi politycznéj, wszyscy bowiem młodzi profesorowie, którzy przy napaściach na autentyczność rękopisów najgłośniéj się wsławili, tworzą korpus oficerski tego nowego stronnictwa. Wodzem ich zarówno w dotychczasowych utarczkach literackich, jak w przewidywanych poważniejszych walkach, jest p. Tomasz Masaryk, profesor filozofii uniwersytetu czeskiego.

Profesor Masaryk ma nadto pretensyą być reformatorem społeczeństwa. O wyższości i przysługującém mu w skutku niéj wszechwładztwie swego rozumu jest głęboko przekonany. Profesor Masaryk dążąc za polotem swoich idei, unosi się wysoko ponad drobne zachcianki, przyrośnietego do ojczystéj gleby, i żyjącego w ciasnocie interesów narodowych patryotyzmu, jest nawet przypadkowo tylko profesorem uniwersytetu czeskiego, ponieważ dziś jeszcze niestety, zajmowanie jakiegoś stanowiska społecznego, należy do potrzeb życiowych! Dokąd zamierza zaprowadzić naród czeski w politycznym kierunku — tego jeszcze temu narodowi nie objawił; w każdym rezie komenda będzie „za mną!"

Właściwe stronnictwo, jak już wspomniałem, nie jest jeszcze uorganizowane, ale będzie naturalnie (każdy to odgadnie) składać się ze studentów czeskiego uniwersytetu. Ci mają być, nowo-cze-

skim trybem użyci, a raczéj nadużyci do prowadzenia potrzebnéj propagandy politycznéj. Wtedy, skoro skupi się nowa armia zbawienia, zobaczymy dokąd pomaszeruje. Jeżeli uda się nowéj, tymczasem więcéj w idei niż w rzeczywistości istniejącéj trzeciéj partyi: po pierwsze, stać się prawdziwém stronnictwem politycznem; powtóre, wchłonąć w siebie dwa już egzystujące, w takim razie nie poskąpimy jéj zasłużonego uznania. Tymczasem wolno jeszcze obawiać się, żeby tak zwana „trzecia partya", nie pozostała czasem jeneralnym sztabem bez armii. Do nieistniejącego jeszcze stronnictwa nie będę stosował kategoryi Poncin'a, ani też zamierzam przedwcześnie rozstrzygać, czy egzystujący obecnie sztab jeneralny należy stanowczo do drugiéj. *Qui vivra verra*!

Kiedy sobie wspomnę, że w poprzednich moich wywodach skreśliłem niezbyt zachęcający obraz naszych obecnych stosunków stronniczych, nasuwa mi się mimowoli myśl, że czytelnik tych listów mógłby mię uważać za dotkniętego pesymizmem malkontenta, a ponieważ tak bynajmniéj nie jest, przeto postaram się złagodzić w zakończeniu listu wrażenia, jakie część jego dotychczasowa wywrzéć mogła.

Nie jestem bynajmniéj zdania, że wszystko u nas źle idzie i nie należę wcale do rzędu tych, którzy zrozpaczyli o przyszłości narodu czeskiego, a jeżeli mówię otwarcie i bez ogródki o niepożądanych u nas stosunkach, to jedynie w chęci usunięcia tego zła z drogi, żeby nam się lepiéj działo aniżeli teraz.

Przedewszystkiém muszę zaznaczyć, że opinia publiczna, mimo wszelkie usiłowania młodoczeskie, nie jest jeszcze tak spaczona, jakby to wnosić można było z tego, co przedtém powiedziałem. W inteligentnéj części naszego narodu żyje jeszcze zdrowy rozsądek, a nie ma znowu powodu przypuszczać, żeby losy tego narodu miały się dostać w ręce jego nie poczytalnéj, nie inteligentnéj części, o czém zaświadczyć może 10 grudnia 1888 r. dzień, który w rocznikach narodu czeskiego powinien być naznaczony jako *dies faustus*.

W téj pamiętnéj dacie święcił nasz naród 70-ą rocznicę urodzin d-ra Riegera w sposób, który wobec świata całego głośno i wyraźnie stwierdził, że cała inteligencya czeska uznaje tego człowieka za swego wypróbowanego kierownika.

Już 9 grudnia, w niedzielę, odbyło się w sali „Měšt'anskiéj besedy" ogólne zgromadzenie „Jednoty občanů pražskych", na którém dyrektor czeskiéj akademii handlowéj, członek sejmu i rady państwa, Emanuel Tonner, w dzielnéj mowie wypowiedzianéj wśród oznak ogólnego zadowolenia, streścił jędrnemi rysami zasługi d-ra Riegera około politycznego odrodzenia narodu czeskiego i okre-

ślił stanowisko, jakie ten mąż zajął w życiu publiczném narodu. Mówca stwierdził, że „cały naród“ przygotowuje się do uroczystego obchodzenia jutrzejszego dnia, z wyjątkiem osobistości—dodał dowcipnie—przekonanych, że to dr. Rieger ich raczéj winien honorować, aniżeli oni jego,—pretensya za którą ci ludzie powinni właściwie prosić o przebaczenie, bo tego rodzaju objawy przedstawiają tylko światu naród czeski w złém świetle. Mógł był jeszcze dodać: że szanując swoich wielkich ludzi, naród szanuje sam siebie.

Wieczorem tegoż dnia było uroczyste przedstawienie w teatrze narodowym, na którém przybrana odświętnie publiczność nie szczędziła serdecznych owacyi obecnemu w loży z całą swoją rodziną dr. Riegerowi.

W dzień właściwéj uroczystości 10 grudnia, już o 9-téj z rana przybyła do mieszkania jubilata deputacya, ofiarując mu dar od narodu, który razem z tém, co późniéj wpłynęło, wyniósł wogóle sumę 120.000 fl. O 10-téj rano udał się dr. Rieger do staromiejskiego ratusza, gdzie w wielkiéj sali zgromadzeni byli nader licznie, w celu złożenia powinszowań, delegowani od wszystkich korporacyi, stolicy, od przedstawicielstw okręgów i miast. Radca rządowy i były profesor uniwersytetu W. W. Tomek miał tam mowę, na którą dr. Rieger w dłuższém przemówieniu odpowiedział. Porywający zapał ogarnął zgromadzenie, kiedy dr. Rieger odezwał się na zakończenie w te słowa: „Bądźcie wszędzie w waszych stowarzyszeniach i korporacyach, tłómaczami mego szczerego podziękowania i powiedzcie wszędzie: „Rieger był zawsze uczciwym sługą swego narodu, jest nim jeszcze i będzie aż do ostatniego tchnienia“! Powszechne entuzyastyczne oznaki zadowolenia, które burzą wybuchnęły przy tych słowach, były aż nadto wyraźną odpowiedzią na wszystkie marne wysiłki zaciekłych młodo-czechów, żeby możliwie obniżyć doniosłość obchodu a nawet przeszkodzić mu, o ile by się dało. Używam tu rozmyślnie wyrażenia „zaciekłych młodo-czechów“, wiadomo bowiem, że i młodo-czesi wzięli udział w ogólnéj uroczystości. Zakończenie jubileuszu stanowiła, 10-wieczorem uczta w wielkiéj sali gmachu na wyspie Zofii. Przygotowano się na 200 osób, ale musiano w końcu zrobić miejsce dla 340 uczestników i odprawić z niczém wielu, którzy się późniéj zgłosili. Z licznych wypowiedzianych tam mów podam tu tylko pierwszą, wygłoszoną przez najwyższego marszałka krajowego, księcia Jerzego Lobkowica. Książe przemawiał naturalnie po czesku i powiedział co następuje.

„Panowie! Zgromadziliśmy się tu dzisiaj w celu uczczenia człowieka, który całe długie życie poświęcił uświetnieniu swéj ojczyzny, odrodzeniu swego narodu, (*Ogólne oklaski*), który obec-

nie może z radością rzucić okiem wstecz na swoje minione lata, (*oklaski*). Bo to, o czém marzył w młodości, widzi w podeszłym wieku w zupełności urzeczywistnione (*oklaski*). Naród jego zrobił w ciągu tego czasu niesłychane stosunkowo postępy, (*ogólne oklaski*), a przy porównaniu obecnego stanu tego narodu, ze stanem w jakim się znajdował za młodych lat człowieka, któremu dziś cześć składamy, każdy bestronny sędzia musi przyznać, że ten naród zasługuje na podziw zarówno przyjaciela jak wroga (*oklaski*). My zaś, panowie, będziemy o tém pamiętali, że ten podziwu godny rozwój naszego narodu przypadł na epokę rządów monarchy, który opiekuńczą dłoń rozpostarł nad wszystkiemi swemi ludami, nie zapomnimy o tém, że nasz najmiłościwszy cesarz i król, wszystkie narody swego potężnego państwa jednakową ogarnia miłością (*ogólne oklaski*) i że naród nasz nietylko własnéj sile, lecz i temu monarsze ma do zawdzięczenia rozwój, do którego już doszedł; będzie więc, moi panowie, nietylko rzeczą przyzwoitości, ale i wyrazem dynastycznéj wierności, którą Czesi zawsze poszczycić się mogli (*oklaski*), jeżeli pierwszy toast w dniu dzisiejszym wzniosę za zdrowie jego cesarskiéj mości, najmiłościwszego naszego cesarza i króla, Franciszka Józefa I-go. Niech żyje!“ (*entuzyastyczny poklask, ogólnie* „Slava! Slava!“ muzyka gra hymn narodowy austryacki).

Oprócz wielkiéj ilości powinszowań od pojedyńczych osobistości i adresów od różnych stowarzyszeń i korporacyi, otrzymał dr. Rieger w tym dniu 838 telegramów, prawie ze wszystkich krajów świata.

To podniosłe uczczenie niezaprzeczonych zasług człowieka, prawdziwie u swego narodu i w swoim kraju zasłużonego, wywarło wstrząsające wrażenie nawet na zaciekłych młodoczechów. Wobec podobnych manifestacyi, nie uchodzi jakoś lżyć daléj i rysować płaskie karykatury. Nastąpiło więc pod tym względem po 10 grudnia 1888 r. pewne zawieszenie broni, które jednak bardzo długo nie trwało. Kot łapać myszy nie przestaje; dr. Rieger może być najuczciwszym sługą swego narodu, aż do ostatniego tchnienia, a swoją drogą nie znajdzie u młodoczechów zmiłowania ani przebaczenia za to, że stał się bez ich pozwolenia najlepszym wśród najlepszych swego narodu. Młodo-czesi długo jeszcze nie darują tego dr. Riegerowi, że okrzyczana ich potęga i rozgłoszony wszędzie wpływ na opinią publiczną zachwiały się po 10 grudnia 1888 r. nawet w pojęciu władz. Na podstawie tego, co wtedy wiadomém było dyrekcyi policyi i namiestnictwu o nastroju i zachowaniu się młodoczeskich sfer kierujących, władze były przekonane, że naród czeski nie ścierpi tego uroczystego jubileuszu dr. Riegera, jako po-

litycznego przywódcy, że wszędzie uroczyście zaprotestuje przeciwko wszelkiemu podobnemu uczczeniu, tego „rzekomego“ sterownika, że wysiłki w tym kierunku staro-czechów odparte zostaną potężnemi młodo-czeskiemi przeciw-demonstracyami, słowem, że cała uroczystość w ratuszu, w teatrze narodowym i na wyspie Zofii, doprowadzi tylko do zgiełkliwych zbiegowisk, do ulicznych skandalów, a może nawet do krwawych bijatyk. Władze były widocznie zdumione, że nic podobnego się nie stało, że przeciwnie, wszystko miało taki podniosły, entuzyastyczny nastrój, jak gdyby młodo-czesi zgoła na świecie nie istnieli. To téż znaczenie ich upadło w oczach najwyższych władz krajowych, czego młodo-czesi jeszcze przeboléć nie zdołali.

Wobec naszych narodowych przeciwników, Niemców, stoimy dobrze, co znaczy: dość mocno. Pod względem znaczenia w życiu państwowém, zyskaliśmy stanowczo trochę gruntu pod stopami. W kwestyi narodowego pojednania i ostatecznego usunięcia opłakanéj rozterki narodowościowéj, dużo jeszcze niestety pozostaje do zrobienia i niewiele téż obecnie powiem o nowéj w ostatnich czasach z naszéj strony podjętéj propozycyi pojednawczéj. Kiedyś, późniéj, może jeszcze do tego powrócę; dziś powiem krótko, że Niemcy zawsze nie chcą się z nami porozumiéć i trzymają się ciągle téj taktyki, że dość im będzie stać w Czechii na boku i pozwolić nam Czechom we wszystkiém samoistnie działać, żeby wszystkie nasze dążenia narodowe, całe może życie narodowe doprowadzone zostało *ad absurdum*. I pod tym względem muszę stwierdzić fakt bardzo dla nas pomyślny, że Niemcy prawie już przyszli do przekonania, iż ta ich chytrze obmyślana taktyka narodowa jest właściwie lichą taktyką.

Nie chcieliśmy w Pradze dwóch uniwersytetów, ani dwóch szkół politechnicznych, żądaliśmy tylko podziału jednego uniwersytetu i jednéj szkoły politechnicznéj na dwa równouprawnione kollegia profesorskie, jedno czeskie, drugie niemieckie. Niemcy wmusili w nas formalnie samoistną wszechnicę czeską i samoistną czeską szkołę politechniczną, sądząc, że naród czeski okryje się tylko śmiesznością w oczach całego cywilizowanego świata, rozpocząwszy sam pracę na tém polu nowéj dotąd dla siebie działalności umysłowéj. Uważali oni swój uniwersytet niemiecki, jako stary niemiecki dąb, czeski zaś, jako pasorzytną roślinę, która radaby wić się w górę około silnego dębu, żeby też módz powiedziéć: „patrzcie jak jestem wysoko, jak pięknie i pomyślnie rosnę!“ Dokazali więc, że rzekoma pnąca roślina oderwana została od dębu i myśleli sobie przytém: „zobaczymy teraz jak będzie wysoko rosła!“

Aż tu mniemana pnąca roślina, stała się silném drzewém, tęższém i wyższém od niemieckiego dębu, od którego ją chytrze oderwano, sądząc, że przy ziemi odrazu wyniszczeje.

Coś zupełnie podobnego dzieje się z czeskim teatrem narodowym. Gdzie są czasy, kiedy Niemcy mówili z pogardliwém wzruszeniem ramion: „W téj nowéj, ładnéj świątyni muz, będziemy musieli wkrótce sami grać i to niedługo nastąpi!“ Tymczasem nasz czeski teatr narodowy prześcignął już teatr niemiecki w Pradze, sami Niemcy to przyznają.

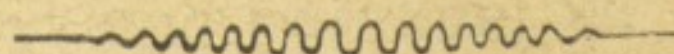
Następnie reprezentacya gminna. Niemcy sądzili, że należy całą administracyą gminną zostawić Czechom i nie mięszać się do tego zgoła, wtedy pokaże się wkrótce, że Czesi zupełnie nie są zdolni do téj gospodarki ani do przyzwoitych rządów. I tu omylili się zupełnie a abstynencya ich do tego tylko doprowadziła, że sami utracili wszelkie znaczenie w życiu publiczném stolicy Czechii, jak gdyby ich zupełnie nie było. A administracya gminna? — téj dobrze się przytém dzieje — uznają to sami Niemcy z pochwałą. Pomagają nam do zdobycia upragnionego znaczenia, zmuszając do wytężenia wszystkich sił w służbie około spraw publicznych.

Wreszcie sejm. Z sejmu również wystąpili Niemcy zupełnie niepotrzebnie i trzymają się polityki abstynencyi, która nam samym niegdyś tak na niewiele się przydała. Niemcy wprawdzie myślą: *Si duo faciunt idem non est idem*, i mają do pewnego stopnia słuszność. Ale sejm czeski funkcyonuje już całe dwa lata bez Niemców, a armia rzeszy niemieckiéj nie uruchomiła się dotąd w celu wprowadzenia tryumfalnie do sejmu czeskiego „przy biciu w bębny, z brzękiem i szczękiem“ Niemców, którzy stamtąd byli wystąpili. Całą reprezentacyą kraju obsługują sami czescy posłowie, i Niemcy nie mogą znaleźć nawet dostatecznego powodu do nieukontentowania.

Wszystko zatém, jak widzi czytelnik, idzie nam dość dobrze i nie mam żadnego powodu zarażać się pessymizmem.

Pokój między narodowościami jest zawsze w Czechii *pium desiderium*, ale o tém mówić będę w przyszłym liście i mam nadzieję, że coś pomyślniejszego doniosę.

Dr. Gabler.





SZLAKIEM NARODÓW.(*)

Burza szaleje nad światem, deszcz smaga grubemi zimnemi biczami gromadkę nagich słabych istot, chroniących się pod gałęźmi rozłożystego drzewa. Ulewa wzmaga się co chwila; wytwarza wezbrane potoki wód deszczowych, które szukając sobie ujścia, po drodze, podmulają pień drzewa, to schronienie człowieka przez naturę wzniesione, i grunt z pod nóg jego usuwają.

O świcie znów spokój nad światem zapanował. Człowiek rozpala ognisko, aby jego ożywczym promieniem pokrzepić siebie i swoję gromadkę, zgnębioną w walce z groźném zjawiskiem. Przemokła ziemia, gwałtowny wicher, który nagle sie zerwał, zdmuchując ogień, niweczą wszelkie usiłowania człowieka.

Po téj dotkliwéj, przez samę matkę przyrodę udzielonéj nauce, człowiek przychodzi do wniosku, że fizycznéj sile, siłę twórczości przeciwstawić należy. Z chwilą więc ustalenia się pogody, człowiek gromadzi gałęzie drzew, liście olbrzymich paproci, trzcinę i, z pomocą gliny, jako spajającego cementu, wytwarza sztuczne płaskowzgórze, które w przyszłości ochroni go od niszczących wpływów atmosferycznych.

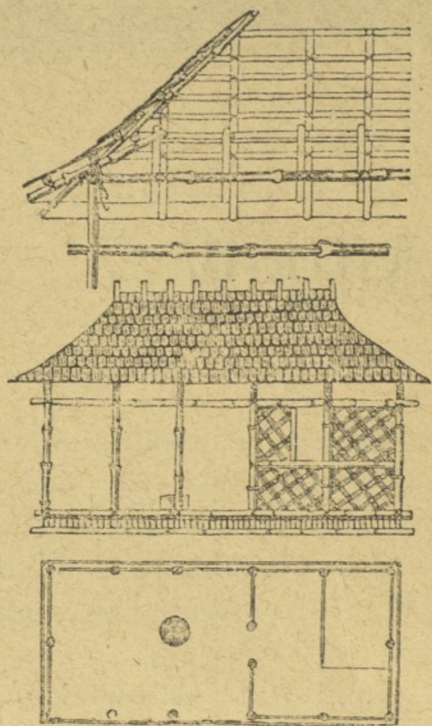
Na przygotowanéj w ten sposób podstawie, wbija pierwszy samorodny budowniczy cztery drewniane słupy i na nich wznosi pokrycie. Pomiędzy zaś temi czterema podporami rozciąga z łyka i sitowia sporządzoną tkaninę, którą z udoskonaleniem techniki zastępuje wzorzystemi matami.

W tak zbudowanéj p r a - p r a - c h a c i e pozostaje tylko w jéj środku wzniecić ognisko, przy którém zgromadzona rodzina używa słodkiego wywczasu po trudach łowieckiego życia.

(*) Artykuł niniejszy ma związek z tą częścią tegorocznéj wystawy paryskiéj w któréj można widziéć budowle mieszkalne w ich historycznym rozwoju.

(Przyp. red.)

Przykładem takiéj pierwotnéj, do dziś zakonserwowanéj budowli jest chata Karaibów (porówn. rys. 1).


Rys. 1.

Od tego czasu, każda budowla, drogą naturalną konstrukcyi powstała, zarówno u barbarzyńskich Karaibów, jak u ucywilizowanych Hellenów, a nawet w naszych czasach, składa się z czterech składowych pierwiastków: podmurowania zagrody, dachu i ogniska, które prócz materyalnego, ma wyższe moralne w historyi siedziby ludzkiéj znaczenie.

Jedną z najdawniejszych sztuk technicznych jest koszykarstwo. Nie ma plemienia, choćby na najniższym szczeblu cywilizacyi będącego, któreby nie znało sztuki splatania zagród i ścian z łyka, sitowia, trzciny i t. p. materyałów surowych. Najdawniejsze też ornamenta, których próby etnografia i historya nam przekazały, są wynikiem naturalnéj techniki wyplatania mat, służących do budowy ścian i ochronnych zagród. Z drugiéj zaś strony im głębiéj pamięcią sięgniemy do historyi siedziby ludzkiéj, tém wyraźniéj rzucają się w oczy części składowe pierwotnéj chaty przedhistorycznéj.

Od téj, pomroką wieków zasłoniętéj chwili, któréj odległości żaden historyk dotąd nie zmierzył, upływają lat tysiące, nim na olbrzymiéj płaszczyznie, poprzecinanéj głębokiemi brózdami Yong-ce-Kiangu, Hoang-ho i Si-kiangu, cywilizacya w całéj pełni zakwitła.

Rok 2698 przed naszą erą, jest stanowczym dla państwa Środkowego. W tym bowiem czasie Chiny doszły do najwyższego stopnia umysłowego i cywilizacyjnego rozwoju. Już w owym czasie, kulisty, na biegunach spłaszczony kształt ziemi, nie był dla Chińczyków tajemnicą, jak również znany był im użytek igły magnesowéj; lanie zaś metalów i sztuka tkania wspaniałych materyi jedwabnych, doprowadzona do stopnia artyzmu; fabrykacyi naczyń porcelanowych, dziś jeszcze sewrskie zakłady dorównać nie mogą.

Siły jednak społeczne, jak roślina, która zbyt szybko na wiosnę wybuja, w tém stadyum rozwoju zatrzymane, nie rozwinęły się daléj. Takie *status-quo* społeczne do dziś zachowane zostało.

Odtąd Chińczycy tęskném okiem spoglądają w dawno minioną przeszłość, panowania cesarza Jao, i pragną zakonserwować wszystkie cechy złotego wieku panowania dynastyi Hia. Pałac ostatniego potomka téj dynastyi, cesarza Yu, stał się typowym wzorem tego rodzaju budowli; żywa reminiscencya pierwotnéj chaty przedhistorycznéj. Wszystkie składowe części téj budowli żywo przypominają genezę pierwotnego budownictwa. Lekka strzecha słomiana, która zbiegiem czasu zaklęsła i mchem się pokryła, reprodukowana w chińskim dachu, a zielona dachówka ma przypominać pleśń: symbol konserwatyzmu. Pierwotne płaskowzgórze z gliny, gałęzi drzew i trzciny zlepione, zastąpiono kamiennem podmurowaniem. W domach chińskich w całéj więc pierwotnéj prostocie zachowana została budowa przedhistoryczna.

Europejczycy w swych sądach o Chińczykach i dziełach ich sztuki nie znajdują granic pochwały lub nagany. Jedni wielbią chińską mądrość polityczną, wytworny smak artystyczny, inni znów co niedorzeczne chińszczyzną nazywają.

Żaden z objawów piękna nie jest mniéj znany, nad architekturę chińską. W niéj przedewszystkiém uderza nadzwyczajna oryginalność, wolna od wszelkiego naśladownictwa.

Po bliższém przypatrzeniu się dziełom architektów chińskich, uważny badacz przedewszystkiém spostrzeże pierwotne pochodzenie i przeznaczenie organów budowlanych. Podobnie jak w chacie naszych przedhistorycznych przodków, szkielet budowy składa się ze słupów pionowych, pomiędzy któremi wsunięto ruchomą ścianę, jest reminiscencyą owych pierwotnych zagród z łyka i sitowia.

Zapewne nie ma trudniéjszéj dla historyka i estetyka kwestyi, nad wyjaśnienie genezy kształtów, powstałych nie z wrodzonego człowiekowi poczucia piękna, ale pod wpływem tradycyjnych przesądów. Takiém właśnie, nadzwyczaj trudném zadaniem jest wyjaśnienie istoty architektury chińskiéj, dla któréj niewzruszonym są kanonem przesądy tradycyą uświęcone.

W budowlach chińskich, jak już wiadomo, zachowana została w pierwotnéj formie konstrukcya przedhistorycznéj budowli. Przez usunięcie parawanów, pomiędzy słupy budowli zasuniętych, dom może być każdéj chwili przemieniony na przezroczystą altanę.

Wszystko więc w tych budowlach jest racyonalne, zgodne z zasadami rozumowanéj konstrukcyi. Wiązanie dachowe, które zazwyczaj w naszéj współczesnéj architekturze, ma tylko utylitarne przeznaczenie, dla oka wewnątrz budowli ukryte, tu jest widoczne.

Dwie wymienione cechy charakterystyczne architektury chińskiéj: widoczna konstrukcya i ruchomość ścian, są dowodem, że chińscy architekci racyonalnie pojmują swe zadanie.

Pod tym téż względem architektura chińska w zasadzie swéj konstrukcyi bardzo jest podobna do średniowiecznéj, ostrołukowéj architektury, któréj racyonalizm, dążność do uczynienia konstrukcyi jawną dla oka, dochodzi do parodoksu. Daléj, podobnie jak w architekturze gotyckiéj, tak samo w chińskiéj, ściana jest tylko zasłoną, która bynajmniéj nie spełnia funkcyi podpierania pokrycia, dachu, budowli. Wprawdzie, ściana w budowli gotyckiéj nie jest ruchomą, ale téż w XII wieku, znikając prawie zupełnie, zastąpioną zostaje szklanym witrażem, który już z natury rzeczy, może tylko funkcyę zasłony spełniać.

Umysł, logika chińczyka jest zbiorem wszelkich antytez. Obok racyonalizmu, który, jakeśmy to widzieli, mógłby ze scholastycyzmem średniowiecznym o lepsze walczyć, przesądy, formułki, wstecznictwo, któremi Chińczyk kieruje się w sprawach rodzinnego i społecznego życia, pozostawiły głębokie i charakterystyczne ślady w sztuce budownictwa.

W Chinach istnieją na wszystko przepisy. Logika artystycznéj fantazyi przepełniona tysiącznemi formułkami, które wydają kształty będące źwierciadłem nie estetycznych instynktów, ale niezgłębionéj w swéj niedorzeczności teologii chińskiéj i foliałów, zawierających nieskończoność administracyjnych przepisów. Według nich np. cegieł pokrytych szkliwém wolno użyć tylko do budowy świątyń i cesarskich pałaców, białego marmuru do podmurowań monarszych rezydencyi, nigdy jednak do budowy ścian.

Materyał na mury obwodowe dobrany odpowiednio do klasy urzędowéj właściciela posesyi. Dla najniższéj klasy, przeznacza prawo mury sklecone z wapienia i gliny; ściany z przezroczystéj cegły i tynkowane zaprawą wapienną lub z palonéj cegły wieńczone kamiennym gzémsem są oznaką dygnitarskiéj siedziby. Pałace cesarskie okolone murem z cegły, pokryte purpurowym tynkiem, uwieńczone polewaną żółtą lub zieloną dachówką. Kolumny budowli rządowych muszą być koniecznie drewniane.

Główna część budowli, cel jéj właściwy, dach, mający najbardziéj utylitarne przeznaczenie: ochronienia od wpływów atmosferycznych, wbrew wrodzonéj Chińczykom praktyczności i racyonalności, także podlega despotyzmowi tradycyi. Wszystkim znany jest ekscentryczny, wklęsły kształt dachów chińskich, kształt nic nie mający wspólnego ani z praktyczném, ani z estetycznem przeznaczeniem téj części budowli. Kontrast pomiędzy racyonalizmem

w konstrukcyi budowli a ekscentrycznością dachu jest uderzający. Z jednéj strony racyonalizm budowy ścian i szkieletu, z drugiéj zaś brak wszelkiéj logiki w ukształtowaniu dachu. W gruncie jednak rzeczy, zasada tak w kształtowaniu całéj budowli, jak i dachu jest jedna. Zarówno bowiem ruchome ściany, jak wklęsłość dachu jest reminiscencyą owego złotego wieku cywilizacyi chińskiéj. Wklęsłość dachu ma wyrażać starożytność strzechy, która pod wpływem czasu zapadła się i w tym stanie zakonserwowana i reprodukowana została w nowo wzniesionych budowlach.

Chińczycy przyozdabiają swe budowle, szczególniéj bramy tryumfalne, belkami w postaci smoków, co należy tłómaczyć pojęciami religijnemi, według których ukazanie się smoka jest przepowiednią szczęśliwych wydarzeń. Pod strzechą więc, takim symbolem zaopatrzoną, musi zakwitnąć szczęście i błogie dostatki.

Strychulec administracyjny niweluje wysokości domów mieszkalnych. Policya budowlana chce, aby zwykłe domy mieszkalne nie przerastały pewnéj wysokości. Ksiądz le Comte, misyonarz francuski, który w przeszłym wieku czas dłuższy przebywał w Chinach, wspomina o domu, który został zrównany z ziemią, a właściciel jego, mandaryn, na grzywny skazany za przekroczenie wyżéj wymienionego przepisu.

Przekroczywszy progi takiéj średnio wziętéj siedziby, wchodzimy na przebiegający wzdłuż całą budowlę kurytarz, po którego obu stronach znajdują się oddzielne apartamenty, składające się: z saloniku, pokoju sypialnego i gabinetu. Przy każdém z tych mieszkań znajduje się oddzielny dziedzińczyk z sadzawką, studnią i sztuczną skałą po środku. Tu i owdzie wyrastają krzewy bambusowe, z których na piedestale wzniesiony, wynurza się wazon z rośliną *lien-hoa* (rodzaj naszych tulipanów).

Komnata, do któréj z dziedzińca wchodzimy, jest salonem, przestrzenią ogrodzoną tylko trzema ścianami, czwarta bowiem, jest tylko matą, z trzciny splecioną, ruchomą, w miarę potrzeby podnoszoną lub opuszczaną zasłoną. Wnętrze tego pokoiku wyklejone różnobarwnemi wzorzystemi obiciami papierowemi, które są iście chińskim wynalazkiem. Zamiast zaś obrazów, pozawieszane na ścianach płachty atłasu, na których wypisane dystychy, zdania moralne, przysłowia i aforyzmy znakomitych filozofów; są to płaty chińskiéj mądrości.

Pomiędzy innemi czytamy:

„Ośm tysięcy lat trzeba, aby zrobić wiosnę.

„Dziewięćdziesiąt tysięcy lat trzeba, aby zrobić milę. (?)

„Para herbaty tworzy obłok, który czaruje.

„Kropelka mała, maleńki wiaterek, porusza na jodle liście (1), (2).

Umeblowanie téj komnaty składają krzesła, taburety i stoły wyrobione z drzewa różanego, hebanu, drzewa pociągniętego różnobarwnym lakierem, którego fabrykacya dotąd jest dla europejczyków tajemnicą. W rogach komnaty ustawione gierydony, podtrzymujące płaskie naczynia, na których stosy cytryn i innych wonnych owoców napełniają powietrze odurzającym zapachem. Z wazonów wyrastają koralowe gałęzie. Globusy zaś szklane, napełnione wodą, w których pluskają się złociste rybki. Na stoliczkach poustawiane maleńkie modele krajobrazów, wytworzone z odłamków skał, mchów, lilii wodnych, które wyrastają z wody, otoczonéj zielonéj barwy kamyczkami.

W zamożniejszych domach, pospolity minerał użyty do tych cacek, do tych modelów fantazyjnych nie istniejących w naturze krajobrazów, zastąpiony kością słoniową, kryształem górskim, bursztynem, drogiemi kamieniami i perłami.

Cena tych cacek dochodzi nieraz do poważnéj sumy tysiąca, taelów (około 6000 fr.). Miarą, według któréj Chińczycy oznaczają cenę tych sprzętów, nie jest artystyczna ale archeologiczna wartość. Im sprzęt starszy, tém w pojęciu Chińczyka doskonalszy. Co stare to już musi być doskonałe — powszechnie przyjęte hasło społeczeństw konserwatywnych.

Skoro noc zapadnie, wszystkie te sprzęty oblewa magiczne światło przedzierające się z po za różnobarwnych latarni papierowych, zwieszających się z pułapu na jedwabnych sznurach. Magiczny widok, jaki ztąd powstaje, wyobrażą sobie łatwo nasze e u r o p e j s k i e c h i n k i, które przystrajają swe buduary na wzór salonów pekińskich. Na pierwszém piętrze, w t. zw. *lieu* znajduje się wielka izba przeznaczona dla gości. W miarę potrzeby przestrzeń ta może być podzielona na mniejsze zapomocą parawanów, których każdy dom ma wielkie zapasy.

Chińczyk nie lubi życia towarzyskiego, odosobnia się za pomocą parawanów, których ojczyzną są Chiny. W tak drobnym na pozór szczególe, jakim jest parawan, odźwierciedla się skłonność synów państwa Środkowego do odosobnienia. Widoczne téż one w całym układzie domu, w korytarzu dzielącym go na dwie połowy, w mieszkaniach, każde oddzielnym dziedzińczykiem zaopatrzonych. Taki układ domu widzimy, w inném nowożytném, niekoń-

---

(1) Może to odpowiada naszemu „z małéj iskierki wielki pożar bywa".

(2) Chambers. Edifices, str. 18. Paryż 1776.

czenie wyżéj kulturą stojącém społeczeństwie, skłonném jednak do separatyzmu. Anglik zajmuje sam dla siebie dom cały; domy paryskie są istnemi falansteryami.

Dom Chińczyka wznosi się wśród sztucznie utworzonego krajobrazu, którego model widzieliśmy w chińskim salonie.

Kręte, ustawicznie zmieniające kierunek ścieżki, wiodą do wciąż nowych, nieoczekiwanych widoków. Ze sztucznych skał, jakby w powietrzu zawieszonych, gwałtownym biegiem spada szumiąca kaskada. Obok niéj i nad nią wyrastają tu i owdzie nie istniejące w naturze rośliny. Wszystko to rysuje się na niebywałém w naturze tle z najdziwaczniéj zestawionych barw i kształtów.

Umysłowość i ustrój społeczny jest fermentacyą najrozmaitszych kontrastów. Wszędzie jednak widoczne jest usiłowanie przechowania dawnéj, mytycznéj, pomroką wieków zasłoniętéj przeszłości złotego wieku, do którego tęsknota Chińczyka ukoić się nie może. Formułą wszystkich ideałów i aspiracyi Chińczyka — odwieczne: *status-quo*!

* * *

Podążając szlakiem narodów, kierując się w téj wędrówce chronologicznym drogowskazem, przybywamy do kraju ciągnącego się wązkim pasem po obu brzegach rzeki, któréj kraj ten cywilizacyą swą zawdzięcza.

Gdyby nie peryodycznie deszcze podzwrotnikowe, które szukają sobie ujścia do morza, Nil a z nim Egipt-by nie istniał. „Człowiek zjawił się wtedy, kiedy kraj sam sobie mógł wystarczyć, tj. gdy powolne gromadzenie się iłu zmieniło pustynię w urodzajną glebę“ (1). Wylew jednak cudotwórczéj rzeki przynosił nie tylko materyalny dobrobyt mieszkańcom nad nią zamieszkałym, ale miał stokroć większe, bo cywilizacyjne znaczenie. Peryodyczne, niemal z matematyczną ścisłością powtarzające się, wylewy regulowały pulsa społeczne, według praw matematycznych, które wszystkie objawy życia duchowego przeniknęły. Szczęśliwa ta kraina, według Diodora Sycylijskiego, jest kolebką rodu ludzkiego. Dopiero w dolinie Nilu, człowiek mając możność przewidywania naprzód czasu i działałania zjawisk przyrody, odpowiednie dla siebie mógł z nich wyciągnąć korzyści. Położenie zaś topograficzne Egiptu, oddzielonego oceanem i pustynią od nieucywilizowanych plemion, dało możność korzystania z darów, które sama przyroda zesłała mieszkańcom.

Jedną z największych osobliwości tego kraju: zupełny brak deszczów, wpłynął bezpośrednio na ukształtowanie się i ustalenie

(1) Mariette, Itinéraire de la Haute Égypte.

w ciągu całych wieków istnienia państwa egipskiego, kształtów architektonicznych. Ogólnym takim kształtem, ustalonym w egipskiéj architekturze, jest piramida pełna lub też ścięta, co tylko w bezdeszczowym kraju jest możliwe.

Obok téj materyalnéj natury, klimatycznéj przyczyny, pierwsza estetyczna szkoła, jaką jest otaczająca przyroda, działając na reprodukcyjną wyobraźnię Egipcyanina, zostawiła głębokie charakterystyczne ślady w jego pomysłach architektonicznych. Linie krajobrazu, któremi od lat dziecięcych Egipcyanin karmił wyobraźnię swoją, powtórzone są w dziełach architektury egipskiéj. W krajobrazie oko nigdzie nie napotka rozmaitości kształtów, gwałtownych przejść linii, ani kontrastowych widoków, właściwych okolicom górskim. W dolnym Egipcie zieleniejąca płaszczyzna, poprzecinana kanałami, rozciąga się jak daleko wzrokiem sięgnąć można. Z jednéj strony wzrok ginie w morzu Śródziemném, z drugiéj w oceanie pustyni. W średnim zaś Egipcie powolném tempem biegnąca rzeka, ujęta jakby w ramę, dwoma, o jednéj prawie wysokości, łańcuchami płaskowzgórza. Szczególniéj kształt łańcucha arabskiego pod Keneh przypomina mocno kształt ściętéj piramidy, albo kształt ogólny i charakterystyczny budowli egipskich.

Kształt gór, jak wiadomo, będąc rezultatem zrównoważenia się sił z wnętrza skorupy ziemskiéj działających, jest plastycznym wyrazem r ó w n o w a g i dla danéj okolicy. Powstaje więc stąd pytanie, czy obok wpływu estetycznego otaczającego krajobrazu na fantazyą architektów egipskich, przyczyny czysto utylitarne nie skłoniły ich również do nadania budowlom piramidalnego kształtu, jako skutecznego przeciwdziałania trzęsieniom ziemi często się tam powtarzającym. Dowodem, że hypoteza ta nie jest bez podstawy, są t. zw. odwrotne sklepienia, znane i zastosowywane przez Egipcyan już w głębokiéj starożytności. Sklepienie takie, zwrócone wierzchem ku dołowi i umieszczone w fundamentach, ma własność skutecznego przeciwdziałania trzęsieniom ziemi. A więc z jednéj strony zapobiegano powtarzającym się trzęsieniom ziemi t. zw. odwrotnemi arkami, z drugiéj zaś piramidalnym kształtem budowli, do których widok łańcuchów gór pierwotnie wzoru dostarczył.

W każdym jednak razie wpływ krajobrazu na ukształtowanie się budowli egipskich, bynajmniéj nie przeczy drugiéj przyczynie, natury utylitarnéj. Albowiem w szkole przyrody człowiek przechodzi od postrzeżeń, od empiryzmu do ogólnych wniosków; od bezwiednego naśladownictwa tego, co pod zmysły jego podpada, do rozumowanéj działalności. Prawo to ogólne, zarówno stosuje się do historyi rozwoju wiedzy, jak do rozwoju sztuki, a szczególniéj do

jéj architektonicznéj gałęzi. Najprzód więc naśladowano rzeczy widziane, potém przekonano się, że prawo ich powstania odpowiada nie tylko potrzebie fantazyi ale zarazem jest prawem bytu tych rzeczy.

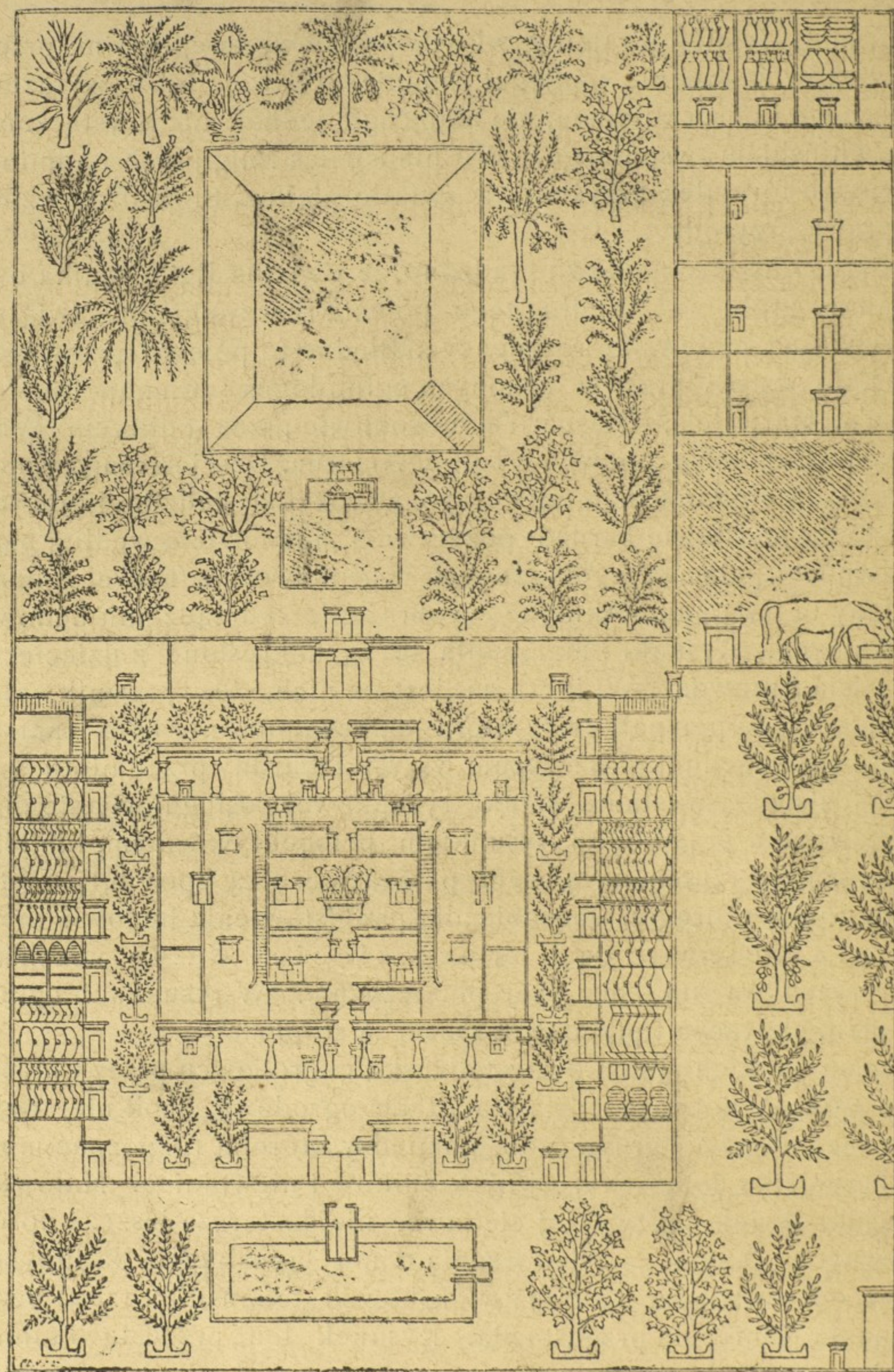
Kształt ściętéj piramidy, właściwy budowlom egipskim, przez ciąg wieków żadnéj nie podlegał zmianie, jest więc także wyrazem społecznego konserwatyzmu, nie mającego jednak nic z wstecznictwem chińskiém wspólnego. W Chinach las religijnych i administracyjnych formułek przyćmiewa światło piękna, tu rządzą niezłomne prawa przyrody.

Bardzo jeszcze niedawno sądzono, że siedziba Egipcyanina była ponura i grobowa. Według tego pojęcia rzeczy, ciemne świątynie służyły na królewskie rezydencye. Błędne to pojęcie sprostowane zostało dzięki pracom uczonych egiptologów: Champollion'a, Priesse'a, Mariette'a, i Maspero'a, a osobliwie przez odkrycia Wilkinson'a w ruinach grobowców Tell-el-Amarna. Dziś jesteśmy w możności z całą dokładnością odtworzyć starożytną siedzibę Egipcyanina i to na podstawie bardzo pozytywnéj, mianowicie według planów domów i pałaców wyobrażonych w grobowcach Tell-el-Amarna. Plany te dają nam dokładne wyobrażenie o urządzeniu budowl mieszkalnych. Rysunki i malowidła te są nakreślone z dziecięcą naiwnością i prawdą. Widoczném jest w nich, że rysownik, nie uciekając się do perspektywy, która egipcyanom nie była znana, przedstawia na jednéj płaszczyznie wszystkie strony przedmiotu.

W dzisiejszym stanie sztuki rysunkowéj posługujemy się dla przedstawienia przedmiotu rysunkiem perspektywicznym, lub téż gemetrycznym rzutem. Na czém polega pierwszy sposób, wszystkim wiadomo; w drugim sposobie dla przedstawienia budowli kreślimy p l a n, e l e w a c y ą i jéj p r z e c i ę c i e. Każdy wszakże z tych rysunków na oddzielnéj płaszczyznie. W rysunkach egipskich plan, elewacya i przecięcie razem są stopione.

Jeden z takich rysunków, w tebańskiém grobowcu przez Champollion'a odnaleziony, przedstawia altanę ogrodową, obok niéj dwa wyrastające drzewa i grupę osób, pomiędzy którémi rozpoznać można właścicielkę domostwa, jéj niewolników i niewolnice. Malowidło to, jakkolwiek nadzwyczaj ciekawe, nie dostarcza jeszcze dość pozytywnych danych do odtworzenia domu egipskiego. Na innym rysunku, odtworzonym również w grobowcu tebańskim, rzecz bez porównania jaśniéj się przedstawia. Rysunek ten przedstawia domy, sady, szeregi drzew, wszystko to jakby uraganem przewrócone. Jestto sposób znany dziś w geometrycznym rysunku, który k ł a d e m nazywamy. Najdokładniejsze jednak wyobrażenie o budo-

wie siedziby, o której mowa, daje nam rysunek nakreślony na ścianach grobowca Tell-el-Amarna (patrz rys. 2).



Rys. 2.

Na pierwszém miejscu widzimy plan budowli, która, według wszelkiego prawdopodobieństwa, służyć musiała za odwach garnizonowi, strzegącemu wejścia do rezydencyi.

Za tą budowlą znajduje się brama wjazdowa, złożona z dwóch pilonów. Brama ta wiedzie do dziedzińca otoczonego z czterech stron podłużnemi budowlami, mieszczącemi w sobie szereg komnat. W tym dziedzińcu mieści się inny, mniejszy, w którym znajduje się wielka sala przyjęć pod odkrytém niebem. Jestto główna część domu, jak o tém najlepiéj przekonywa ołtarz domowego ogniska w środku ustawiony. Po dwóch bokach téj sali schody, wyobrażone w postaci drabinki, każą się domyślać, że cała ta część po nad poziom była wzniesiona. Po za głównym korpusem znajdują się budynki przeznaczone dla rodziny właściciela pałacu: jest to budowla odpowiadająca haremowi w dzisiejszych rezydencyach władców wschodnich. Wprost z haremu, brama prowadzi do ogrodu, w którym łatwo rozpoznać choćby w naiwnie nakreślonym rysunku, palmy, papyrus, lotos i inne rośliny podzwrotnikowe. Środek sadu zajmuje kwadratowa sadzawka. Po obu stronach głównego korpusu szereg drzwi, rzędami ustawiane naczynia, domyślać się każą, że rysownik chciał przedstawić spiżarnię i t. p. gospodarskie zabudowania.

Ten sam układ widzimy w rezydencyach władców wschodnich i w pałacach cesarzów chińskich. W tych ostatnich liczba dziedzińców, przez które w swych opisach prowadzi nas ksiądz du Halte, misyonarz żyjący w przeszłym wieku, najcierpliwszego turystę do rozpaczy doprowadzić może.

Zbytek właściwy wschodnim rezydencyom roztaczał się w pałacach egipskich. Takie napisy jak np.: „spędzić dzień szczęścia“ (1), które nieraz w egipskich rękopisach powtarzają się, odpowiadają rozkosznym rezydencyom królów egipskich.

Wszędzie portyki rzucają cień, tak pożądany w klimacie podzwrotnikowym (porówn. rys. 2). Odpowiednio do klimatu, otwory świetlne tj. drzwi i okna, zwrócone ku wnętrzu budowli tj. ku dziedzińcowi. Płaskie pokrycia budowli służą za tarasy, na których wśród gwiaździstéj nocy, pod rozpostartą werandą, pan domu snuje złotą nić marzeń.

Jak dziś na wschodzie, tak samo w starożytnym Egipcie, liczba osób, składająca dwór i rodzinę króla, dochodziła do bajecznéj cyfry. Ona już sama daje nam wyobrażenie, jak obszernych budowli trzeba było na pomieszczenie rodziny Ramzesa II, który miał 160 dzieci, pomiędzy któremi 59 synów!

Dziś tylko sułtan albo padyszach bywa obdarzony podobnie liczną rodziną, na obsłużenie któréj potrzeba całéj armii służby.

---

(1) Perret. Hist. de l'art.

Wszystko to wpływa na niezmierną obszerność sułtańskich konaków.

Pałac egipski, podobnie jak wszystkie tego rodzaju budowle na wschodzie, wznoszono bez planu z góry powziętego. Rozszerza się on w miarę wzrostu rodziny i dochodzi do rozmiarów miasta, w którego murach mieści się wszystko co tylko potrzeba do rozkosznego życia, od komnat przyjęć ceremonialnych, haremów, skończywszy na ogrodach, które służyć mają nietylko do pieszéj, lecz do konnéj i powozowéj przejażdżki, bo despota niezawsze chętnie tłumowi swe oblicze ukazuje. Pałac egipski jest stałym, kamiennym karawanserajem.

Szczególniéj w dekoracyi egipskiego pałacu przejawia się charakter estetyczny właściwy ludom wschodnim.

W dziecięcém stadyum cywilizacyi, zmysł kolorytu bierze przewagę nad poczuciem formy. Dekoracya budowli egipskich, to świetna tkanina, która zasłania całą powierzchnię i wnętrze budowli, pozostawiając obnażonemi jéj ramy, jakby z wiązki żerdzi złożone, sznurami i rzemieniami okręcane.

Zamiłowanie w jaskrawości kolorytu budowli egipskich, chaldejskich i greckich, wogóle architektury krajów południowych, naukowo może być wytłumaczone. Im blask słoneczny silniejszy, tém oko silniéj pożąda jaskrawości i rozmaitości barw. Fizyologiczna optyka tę właściwość oka w zupełności stwierdza. Od dawna już zauważano, że w miarę oddalania się od biegunów a zbliżania się do równika, zamiłowanie człowieka do barw jaskrawych wzrasta. Jaskrawość barw siedziby ludzkiéj, sprzętów domowych i stroju rośnie w miarę zbliżania się do równika. Głowa nawet i paznogcie mumii Ka-em nas, syna Ramzesa II, odnalezionéj przez Marietta, były złocone. Wszystko to łatwo wytłómaczyć tém, że delikatne odcienie barw, świateł i cieniów znikają dla oka przyzwyczajonego do jaskrawości blasku słonecznego. Oko olśnione odróżnia tylko tony gwałtowne, ostre i śmiałe, półtony nie istnieją dla południowca. Skąpane w blaskach południowego słońca, przedmioty w tonie neutralnym, wydają się płaskiemi, zaledwie oddzielają się od tła lazurowego, na którém widnieją. Karol Blanc, zauważył podczas swéj podróży do Górnego Egiptu, że jednobarwne cylindryczne kształty minaretów, a nawet kopuł, wydają się płaskiemi, a to wskutek gwałtownych refleksów. Barwy więc jaskrawe, łagodząc te refleksy, przywracają przedmiotom wypukłość, zatartą gwałtownością blasków słonecznych.

Malowidła tak wewnętrzne, jak też i zewnętrzne przedstawiają epizody, odgrywające się w następstwie faktów, sceny z mitologii

i historyi dynastów. Postać człowieka gra wszędzie w tych malowidłach pierwszorzędną rolę. Na sufitach o lazurowéj barwie, rozpostarte są symboliczne sępy. Jedna część tego pokrycia umotywowana i zabarwiona na wzór różnobarwnéj tkaniny (1). Jest to więc znów potwierdzenie genezy pierwotnéj budowli, jest to reminiscencya pierwotnéj z łyka i sitowia sporządzonéj zagrody. Rysunek z grobowca Ti, wiernie odtwarza koszykarską technikę. Czarna, biała, czerwona, żółta, zielona i niebieska barwa, mieszają się w téj rzekoméj tkaninie.

Zwykły dom mieszkalny miał wszystkie właściwości pałacu, na mniejszą zredukowanego skalę. Otoczony murem, zaopatrzonym w zaokrąglone blanki, do jego wnętrza wiedzie brama pilonowa tj. złożona z dwóch ściętych piramid, pomiędzy któremi przejście pozostawiano. Szpalery drzew palmowych, sztuczne sadzawki, lekkiéj budowy kioski, wypełniają powierzchnię dziedzińca, w głębi którego wznosi się budowla z cegły i drzewa. Pokryta dachem, a raczéj tarasem, na którym słupki umieszczone służą do rozpostarcia różnobarwnego namiotu, chroniącego od palących promieni słońca.

Zachowane w grobowcach egipskich malowidła, ruiny miasta przez Wilkinson'a w Tell-el-Amarna odgrzebanego, modele domów i modele mebli w kształcie domów, które można w muzeum Luwru widzieć, dają dokładne pojęcie o urządzeniu i fizyonomii starożytnéj siedziby egipskiéj.

* * *

Szlak narodów prowadzi do kraju, po nad którym rozciąga się szafirowa, niczém niezamąconéj czystości, płachta niebieskiego przestworza. Jakkolwiek deszcze nie często tu padają, jednak burze zrywają się z niezmierną gwałtownością, ale na krótką tylko chwilę.

Eufrat i Tygrys, podobnie jak Nil, peryodycznie wylewając, użyźniają łany Mezopotamii, chwila jednak wylewu nie da się oznaczyć z taką, jak w Egipcie dokładnością. Dolina Eufratu nie jest ujęta w tak jasno i regularnie nakreśloną ramę dwóch łańcuchów górskich, jak dolina Nilu. Skutkiem położenia topograficznego prawy brzeg Eufratu, rozlewając się w bagna, wytwarza nieokreśloną linię nadbrzeżną. Ta nieokreśloność, kontrast ten z geometrycznym, że tak powiem, charakterem nadnilskiego krajobrazu, w Mezopotamii jest jeszcze spotęgowany widokiem niezmierzonéj płaszczyzny, która zdaje się nie miéć początku ni koń-

(1) Np. w grobowcu Fta-Hotep.

ca. Zieleniejące, to roślinne morze wylania z siebie niezmierne bogactwo żywych ornamentów w postaci różnobarwnych kwiatów. „Kwiaty wszystkich odcieni — mówi Layard — przystrajające łąki, nie są jak w naszych północnych krajach, rozsiane tu i owdzie wśród trawy, ale tworzą bukiety, tak ściśle związane i tak gęste, że cała płaszczyzna podobna do różnobarwnego kobierca“. Nad brzegami rzeki wyrastają smagłe tamaryszki, w stojących wodach nenufary, trzcina, sitowie i cyprys wzajemnie splecione. Ten cudowny, po obu brzegach rzeki ciągnący się, kobierzec widnieje na tle dalszych widnokręgów kraju, jak pustynia smutnego.

Tak przedstawia się w ogólnych zarysach szkoła estetyczna, w której ludność chaldeo-asyryjska kształciła poczucie piękna. Podobieństwo i różnice, jakie istnieją w klimacie, produkcyach gruntu i estetycznéj naturze otaczającego krajobrazu, wyjaśnią nam istotę stylu architektury chaldeo-asyryjskiéj. Przedewszystkiém zauważmy, że lubo deszcze nie często padają w Mezapotamii, burze jednak i deszcze zrywają się z nadzwyczajną gwałtownością, gdy tymczasem w Egipcie są one niezwykłemi zjawiskami. Egipt obfitował w najtrwalszy z materyałów budowlanych — granit. Architekci chaldeo-asyryjscy mogli tylko rozporządzać gliną, zdatną na wyrób cegły.

Z tych dwóch przez samę przyrodę wytworzonych warunków: klimatu i rodzaju materyału, wypływa już sposób konstrukcyi, a zatém ogólny kształt budowli. Przy użyciu cegły do budowy, jeżeli materyał ten ma oprzéć się niszczącym wpływom wód deszczowych, piramidalna, o pochyłych zatém ścianach budowla byłaby nieodpowiednią. Woda bowiem łatwiéj zatrzymuje się na pochyłych, niż na pionowych ścianach, ściany więc pionowe budowli, jedynie mogą racyonalnie w klimacie Mezopotamii być zastosowane.

Równoległościan prostokątny jest też pierwiastkiem składowym kształtów świątyń, pałaców i domów chaldeo-asyryjskich a odpowiednio kombinowany, daje najrozmaitsze waryanty budowli, piramid stopniowanych, których zawsze składowym elementem jest bryła geometryczna powyżéj wymieniona.

Grunt Mezopotamii ubogi w kamień budowlany, dawał, jak już wiemy, w dostatecznéj ilości glinę zdatną do wyrobu cegły, która jednak użyta w wilgotnym klimacie, musiała być zabezpieczona szklaną powłoką. Przez domieszkę zaś do téj polewy części metalicznych z konieczności otrzymano różnobarwną emalię. To jest przyczyna techniczna, czysto utylitarna, która wywołała polichromię budowli chaldeo-asyryjskich. Obok tego jednak, zmysł kolorystyczny, kształcony wśród pól i łanów żywo zabarwionych,

musiał odpowiednie w dziedzinie malarstwa pozostawić piętno. Taż sama świetność kolorytu zachowaną została do dziś w kobiercach wyrabianych w Azyi Mniejszéj, Kurdystanie i Persyi. Osobliwie świetności barwy zielonéj i czerwonéj nie mogą naśladować europejscy fabrykanci. W analizowanych chemicznie cegłach asyryjskich przeważa barwa błękitna i żółta. Pierwszą, według Layarda, daje połączenie szkliwa z tlenkiem miedzi i domieszką ołowiu, mającego własność zwiększania topliwości szkliwa. Żółte zaś szkliwo otrzymuje się z antymonianu ołowiu z domieszką cyny.

Widok niezmierzonéj płaszczyzny mezopotamskiéj pozostawił ślad w reprodukcyjnéj wyobraźni architekta. Pałace władców tego kraju rozciągają się wszersz i wzdłuż, na wzór, jakiego dostarczał krajobraz. Rozwijają się one w kierunku dwóch osi poziomych, kosztem trzeciego wymiaru: wysokości. Pałac asyryjski to szereg dziedzińców otoczonych nizkiemi względnie do ich rozciągłości budowlami i murami, uwieńczonemi blankami i flankowanemi czworobocznemi basztami. Wprawdzie wznoszą się wśród tych dziedzińców stopniowane piramidy, jako jednak zadość czyniące wymaganiom kultu i służące do astrologicznych obserwacyi, nie przeczą ogólnéj teoryi wpływu krajobrazu na twórczość artysty.

Typem siedziby władcy, jest pałac Sargona w Korsabadzie, odgrzebany przez architekta Bottę. Charakterystyczną cechą, wspólną wszystkim tego rodzaju budowlom na wschodzie, jest olbrzymia powierzchnia, na jakiéj pałac Sargona wzniesiono, zajmująca 10 hektarów (60916 metr. □). Na wyniesienie murów tego pałacu trzeba było zużyć 1350524 metr. kub. gliny (1). Podział, urządzenie i przeznaczenie komnat i gmachów téj olbrzymiéj budowli, nawet w najdrobniejszych szczegółach przypomina rezydencye władców Turcyi i Persyi. Szerokiemi na dwie strony rozgałęzionemi schodami, wchodzimy na platformę z okrągło sklepioną bramą, flankowaną dwiema kwadratowemi basztami, unoszonemi jakby, każda, przez dwie pary rzeźbionych olbrzymich byków skrzydlatych o ludzkich brodatych głowach. Brama ta prowadzi do dziedzińca, który w dni świąteczne wyścielany wzorzystemi kobiercami, przemieniał się na wspaniałą pod odkrytém niebem salę przyjęć. Około tego dziedzińca, czy téż sali, grupuje się 10 mniejszych dziedzińczyków, otoczonych budowlami. Daléj, wznosi się grupa budowli zewsząd otoczonych grubemi niedostępnemi murami, a pomimo olbrzymiego rozmiaru jaki ta część pałacu zajmuje (8839 metr. □), wiedzie doń w odpowiedniéj kombinacyi korytarzów ukryta furta.

---

(1) Perrot. Histoire.

Następne drzwi nie są w prostéj linii z poprzedniemi, przez co nawet przy otwartych ścieżach, zamiast szeregu komnat, ślepą ścianę spostrzegamy. Wszystko tu urządzone, aby mieszkańców téj siedziby szczelnie izolować. Łatwo domyśléć się, że to złota klatka, w któréj uwięzione rajskie ptaszki władcy; jest pałacowy harem.

Dziedziniec tego przybytku rozkoszy zdobi wspaniała dekoracya malarska, na powierzchni różnobarwnych glazurowanych cegieł roztoczona. Po bokach drzwi wchodowych stoją posągi i wysokie maszty, pokryte metalem, na szczycie których unoszą się wachlarze z daktylowych liści, ze złoconego bronzu wyrobione. W kierunku przekątni tego kwadratowego dziedzińca, ułożone kamienne chodniki, wiodą do trzech maleńkich komnat. Sargona uszczęśliwiały aż trzy królewskie małżonki.

Drzwi, w środkowéj ścianie dziedzińca umieszczone, wiodą do komnaty a raczéj alkowy długiéj na 2,70 m., szerokiéj na 1 m.; tyle co potrzeba ma umieszczenie łoża. Inne znów drzwi prowadzą do apartamentów, pokrytych glazurowém, posianém złocistemi gwiazdami sklepieniem, pod którém na estradach wysłanych miękiemi wezgłowiami, małżonki królewskie, wsłuchane w czarującą muzykę i wpatrzone w pląsy tancerek, toną w rozkoszach kiefu, strzeżone przez eunuchów.

Urządzenie téj części budowli, jak i wszystkich innych rezydencyi korsabadzkiéj, przypominają dzisiejsze pałace władców wschodu. Są tu więc oprócz sal do przyjęć ceremonialnych, harem, lokale dla służby czyli *han* i t. d. W stajniach nawet tego pałacu odnaleziono w dolnéj części muru metalowe obrączki. Według bowiem zwyczaju do dziś na wschodzie przyjętego, konie za nogi nie zaś za głowę powinny być na uwięzi trzymane.

(*D. n.*) *Kazimierz Kleczkowski.*





POGLĄD NA WIELKORUSKĄ GMINĘ WIEJSKĄ.

II. Skąd i jak powstała gmina wielkorosyjska.

W gminie wogóle upatrują pierwotną formę organizacyi agrarnéj; opinia ta ustaliła się do pewnego stopnia w nauce powagą Laveleye'a (1) i Maurera (2), który początek gminy widział w kolektywném wzięciu w posiadanie pewnéj przestrzeni ziemi przez ród. Do powag powyższych uczonych uciekano się zbyt może często w celu wyjaśnienia początków powstania gminy wielkorosyjskiéj, dostrzegając w niéj prastarą formę władania ziemią, niegdyś jakoby istniejącą w całéj Europie, obecnie zatraconą niemal zupełnie wszędzie prawie z wyjątkiem Rosyi.

Istotnie w Rosyi istnieje, jak widzieliśmy, gmina, posiadająca swoje wybitne cechy i charakter, które staraliśmy się naszkicować poprzednio, istnieje bardzo szeroko rozgałęziona. Już sam fakt istnienia dowodzi racyi bytu z téj lub innéj przyczyny; lecz jaki jest początek téj gminy? Pytanie to nie ma żadnego praktycznego znaczenia, ale niepozbawione interesu historycznego, naukowego. Dotychczasowi uczeni rosyjscy, śladem których poszedł Laveleye zapatrywali się na gminę bardzo jednostronnie. Przyjmując za punkt wyjścia poglądy zachodnio-europejskich badaczy (przeważnie Haxthausena) o początku gminy, wysnuwali z tego całe teorye, nie zawsze dość ściśle sformułowane, poparte o tyle badaniami naukowemi, o ile one nadawały się do usprawiedliwienia lub uzasadnienia naprzód sformułowanych zapatrywań na gminę, w któréj wszelkiemi sposobami szukano najdoskonalszéj formy władania ziemią, mającéj posłużyć w przyszłości do reformy agrarnéj. Dopiero

---

(1) De la proprieté et ses formes primitives. Korzystam z polskiego przekładu z 4-o wydania. — (2) Geschichte der Dorfgemeinde.

ściślejsze badania źródeł dziejowych i polemika naukowa wyjaśniły kwestyą do pewnego stopnia, a materyały zebrane, dotyczące ekonomicznéj organizacyi gminy, pozwoliły wyrobić na nią poglądy bardziéj jasne, a nawet pozbawione zupełnie mgły idealnéj, jako otoczyli ją Sokołowskij, Postnikow i wielu innych.

Z tego względu dzieło Gołowina ma niezaprzeczoną wartość naukową, bo chociaż jak każda praca ludzka, nie jest wolne od usterek, wprowadza kwestyą na nowe tory badań. Istniejącą gminę przedstawia on bez fantastycznych obsłonek, a początku jéj szuka w dokumentach i źródłach historycznych nie zaś w problematycznych wnioskach, opartych na nie zawsze uzasadnioném rozumowaniu.

W źródłach historycznych rosyjskich, dotyczących władania ziemią i agrarnych stosunków, spotykamy ciągle wyrazy *sieło*, *dierewnia*, *wołost'* itp., dziś mające zupełnie inne znaczenie niż miały ongi. Pomimo to zdarza się aż nazbyt często, że badacze nowożytni nadają im znaczenie d z i s i e j s z e, wskutek czego powstaje nieraz chaos pojęć nie do rozplątania. Z jednego wyrazu, z jednéj nazwy pewnéj instytucyi starano się odszukać istnienia faktu lub instytucyi w pojęciu dzisiejszém; stąd téż pewna epoka czy chwila przeszłości oświetla się zupełnie dowolnie, przybiera zupełnie odrębne rysy charakterystyczne, różne od rzeczywiście istniejących w owe czasy. Przejdźmy do szczegółów.

Weźmy wyraz w i e ś (*dierewnia*). Dziś jest to pewna liczba domów, przeważnie włościańskich, zbudowanych na pewnéj przestrzeni; jedném słowem wyobraża ona pewną jednostkę administracyjną. W XII do XVI w. pod tą nazwą rozumiano przysiołek (*posiołok*), składający się z kilku domów, do których okoliczne ziemie przylegały. Właścicielem osady mógł być człowiek do każdéj pozycyi społecznéj należący,—a więc *bojaryn*, swobodny rolnik lub nawet mały właściciel, siedzący na własnéj ziemi (*czernososznyj krest'janin*) (1).

Kilka takich przysiołków zgruppowanych koło cerkwi otrzymywało nazwę s i e d l i s k a (*sieło*) a niekiedy w ł o ś c i (*wołosti*). Tak się działo na północy przynajmniéj, w ogóle w wielkim księstwie Moskiewskiém. Przez „*wołost'*“ rozumiano pewną jednostkę terytoryalną różną od „*pogostu*“ (parafii), reprezentującą większe lub mniejsze centrum administracyjne, w którém skupiały się różne sprawy i interesy. W rozmaitych epokach i okolicach *wołost'* mie-

(1) Pod wyrazem *czernososznyj* Gołowin rozumie rolników, osiadłych na własnéj ziemi, którzy późniéj weszli do kategoryi włościan państwowych (str. 85).

wała nieco odmienne znaczenie. Na północy, śród bardzo nielicznéj ludności, przeważnie włościańskiéj, do któréj należała naturalnie ziemia, *wołostią* nazywano grupę osad, przysiołków (*derewień*) w sąsiedztwie leżących. W południowych powiatach (*piatiny*) krainy Nowogrodzkiéj przez *wołosť* rozumiano zarówno włościańskie jak i bojarskie siedliska. Wielkość, obszar zajęty przez *wołosť* zależał od gęstości zaludnienia: im ludność była liczniejsza tém przestrzeń zajmowana przez *wołost* bywała mniejszą. Bliżéj ku Moskwie *wołost* była większą, a niekiedy, jak świadczą księgi popisowe, obejmowała 700—800 przysiołków.

W XIV i XV wieku *wołosti* w. k. Moskiewskiego nie posiadały jeszcze charakteru mniéj więcéj autonomicznych jednostek włościańskich; w skład ich terytoryalny wchodziły ziemie bojarskie, klasztorne i włościańskie, a rządzili niemi nie urzędnicy wybieralni, lecz mianowani z ramienia wielkiego księcia, bojarów lub klasztorów, stosownie do tego, czy *wołosť* należała do księcia, bojara lub monasteru. W *Sudiebniku* (1) Iwana III rządca wołosti (*wołostieľ*) i namiestnik uważani są jednakowo. Obaj oni byli urzędnikami, a tém się tylko różnili od siebie, że pierwszy zarządzał gminą wiejską (*wołosť*) a drugi gminą miejską (*gorosdkaja ili posadskaja obszczina*). Włościański charakter *wołosť* przybrała dopiero od czasów Iwana Groźnego, kiedy poraz pierwszy włościanie pańszczyzniani i wolni, którzy późniéj należeli wyłącznie do kategoryi włościan państwowych, osiedliwszy się na ziemiach bojarskich, książęcych lub monasterskich, utworzyli odrębną warstwę społeczną, posiadającą swój samorząd i sąd.

Do Iwana IV nazwisko *wołosti* nadawaném było nie tylko pewnéj zorganizowanéj grupie włościan, ale każdemu zaludnionemu okręgowi terytoryalnemu. Innéj organizacyi, w któréj-by się skupiało owczesne życie włościan nie było wcale. Mówiąc inaczéj, dawna *wołosť* odpowiadała zupełnie prawie temu pojęciu, które za naszych czasów przystosowano do gminy. W gramotach wielkich książąt Moskiewskich, w umowach, wreszcie w ustawach (*Sudiebnik*) zawsze ile razy jest mowa o wspólnym interesie włościan, zasiedlających pewien okręg, jest mowa jednocześnie o *wołosti*, jako punkcieześrodkowującym te interesy. W najstarożytniejszym jednak pomniku prawodawstwa, *Ruskiéj Prawdzie*, o wołosti nie ma wcale wzmianki, jako też o gminie; natomiast używa się wyraz „*wierw'*" (w dosłowném teraźniejszém znaczeniu p o w r ó z = *wierowka*).

---

(1) Kodeks prawny.

Wprawdzie Czyczerin (1) utrzymywał, że przed przyjściem Warego-Russów miała istnieć w Rossyi gmina patryarchalna, rodowa, a dopiero po dokonaniu zdobyczy Rusi przez Ruryka i Olega i rozdaniu ziemi „drużynie“ znikła i odrodziła się nanowo za czasów Piotra Wielkiego. Jest to hypoteza, niezbyt nawet prawdopodobna, przedewszystkiém z tego względu, że w najbliższych pomnikach historycznych tego czasu nie znajdujemy nawet wyrazu „*obszczina*“. Nie zapisał go ani Nestor, który nie tylko znał swoje stosunki znakomicie, ale opowiadania niektóre zapisywał wprost z ust żywych, niepodobna więc prawie, ażeby nie wspomniał o tém tak ważnem zdarzeniu jak usiłowanie zastąpienia jednéj formy władania przez drugą. Lud wiejski, przywiązany do pewnych form własności, nie pozbywa się ich ani łatwo ani prędko, a często upornie walczy o nie. Niszczenie więc patryarchalnéj gminy i rozdawanie jéj ziemi drużynie nie mogłoby przejść w dziejach spokojnie. Nie wspomina o „obszczinie“ ani słówna *Russka prawda*, zajmująca się bardzo szczegółowo stosunkami agrarnemi Rusi. Przedstawia się mi następujący dyllemat do rozwiązania: albo gmina, w znaczeniu teraźniejszém, w dawnéj Rusi nie istniała wcale, albo istniała na północy pod formą identycznéj z nią *wołosti* lub téż żadnego gwałtu ze strony Warego-Rusów nie było. Gminę—jeżeli istniała — pozostawiono w spokoju, a „drużynie“ rozdawano ziemie puste, jak to się działo w Polsce już za naszych historycznych czasów. W takim razie milczenie *Ruskiéj prawdy* i *Nestora* da się usprawiedliwić: ponieważ w ustroju gminy—mniejsza oto jak ją nazwiemy—nie zaszło żadnéj zmiany, między rządem gminy a rządem wielkich książąt nie było żadnych nieporozumień, kronikarze nie mieli powodu pisania o niéj.

O tém, jakie formy władania istniały na Rusi przed przyjściem Waregów, nic prawie nie wiadomo. Nestor zapisał wprawdzie: „żyli każdy ze swoim rodem i na swoich miejscach, władając każdy rodem swoim“—a na podstawie téj krótkiéj wzmianki osnuto całą teoryą o istnieniu na Rusi formy rodowego władania; jest to teorya prawdopodobna, nie więcéj. Teoryi téj hołdują także dwaj badacze staro-rosyjskiéj gminy, Czyczerin i Bielajew, z tą tylko różnicą, że pierwszy utrzymuje jakoby najście Waregów zniszczyło resztki rodowego bytu, a drugi, że gmina rodowa przekształciła się z czasem w teraźniejszą gminę wiejską. Trzeci badacz gminy—Sokołowskij (2), szukający jéj bądź co bądź na północy, utrzymuje, że władanie ziemią w Nowogrodzkim kraju rozpoczęło się od kollektywnego,

(1) Oczerki iz istorii russkawo prawa.

(2) Oczerk istorii sielskoj obszcziny na Siewierie Rossii.

gdzie posiadaczką ziemi zjawia się rodzina. Istnienia powyższéj formy dowodzi jednak nie faktami i dokumentami, bo takowe jeżeli są, to nieopracowane krytycznie, ale, jak się zbyt często zdarza, powagą innych autorów; otóż i Sokołowskij zasłania się płaszczem Laveleye'a, Maurera i in.

Domysły powyższe, nie oparte dość mocno, skierowane są do tego, ażeby w początkach historycznego życia Rusi znaleść wspólne władanie ziemią w jakiejbądź formie—rodzinnéj lub rodowéj. Cały wywód, niby historyczny, autora opiera się na wyrazie ród, użytym przez latopisca, a więc na znaczeniu wyrazu bardzo chwiejném, bo ród może tak dobrze oznaczać rodzinę, związaną pewną wspólnością krwi i interesów, która dziś jeszcze do pewnego stopnia włada całością gospodarstwa, jak ród starogermański, instytucyą napół wojskową, w któréj patryarchalny naczelnik bierze władzę prawem spadku i sprawuje ją nad całym rodem. O istnieniu na Rusi, a późniéj w Rosyi takich rodów i naczelników ani w podaniach ani w dokumentach historycznych śladu nie pozostało. Przynajmniéj w XI w. t. j. jak daleko sięga najstarożytniejszy pomnik jurydyczny, *Russka prawda*, rodowéj organizacyi już nie było, a ród oznaczał rodzinę. Widać to z pierwszego artykułu kodeksu, w którym są wyliczeni krewni, mający prawa do krwawéj zemsty za śmierć zabitego członka rodziny: prawo to na braciach się kończy. Synowie Jarosława i tę formę krwawéj rodowéj zemsty zamienili na zapłatę główszczyzny (*wira*), którą miała płacić *wierw* pod wspólną odpowiedzialnością. Czém była owa *wierw*'—obaczymy niżéj.

Szukanie początku gminy w rodowéj organizacyi—jest echem teoryi Maurera i Laveley'a twierdzących, że aż do wieków średnich wszystkie narody szczepu germańskiego trzymały się formy wspólnego władania ziemią. Laveleye utrzymuje, że tam gdzie ziemi jest podostatkiem, a więc nie ma ona żadnéj wartości, rolnicy chętnie uprawną rolę mieniają na nowinę. Jest to teorya rolniczo-ekonomiczna zastosowana bardzo śmiało ale nieprawdziwie, bo rola od dotknięcia się do niéj pierwszego narzędzia powiększa wartość i ten, co w nią pracę włożył, już ją uważa za swą własność. Laweleye w tym wypadku widocznie identyfikuje władanie pospólne z gospodarstwem odłogowem lub wypalającém, w których porzucanie wyczerpanéj lub zużytkowanéj roli dla nowin miało rzeczywiście miejsce, i stosuje się jeszcze obecnie w pewnych mniéj lub więcéj określonych odstępach czasu. Gdzie zaś ceną ziemi jest praca w nią włożona, tam, nawet przy obfitości ornego gruntu, nie może być wspólnego władania.

Własność wspólna nie mogla więc powstać kiedy ziemi było za-wiele, lecz odwrotnie—kiedy ilość jéj poczęła się już zmniejszać, a ludność powiększać. Wtedy ziemia, nienależąca dawniéj do nikogo—*res nullius*—jak pastwiska, łąki, lasy, stykać się poczyna granicami z sąsiedniemi siedzibami ludzkiemi i zjawia się potrzeba rozgraniczenia się. Wtenczas ziemia wolna, niczyja, staje się wspólną tj. sfera używalności gminy określa się ściśle. Tak według przyrodzonych praw ekonomicznych mogła powstać pod formą gminy-zjednoczenia się osiadłéj ludności—pierwotna zawięź państwowa w krajach, gdzie pasterstwo przeszlo w rolnictwo. Z łączeniem się gmin w ogniska administracyjne powstają wspólne potrzeby państwowe—stąd podatki i wzajemna poręka w regularném składaniu ich, właściwe nie tylko gminie wielkorosyjskiéj, ale każdemu organicznemu zaczątkowi państwa. Następstwa wspólnéj odpowiedzialności wszędzie były jednakowe: pociągały za sobą pewną wspólność majątkową. Gdzie prawa jednostki i jéj pracę indywidualną poczęto wcześniéj szanować, gdzie sprężystość administracyjna lub lepsze warunki wcześniéj zatarły wspólną odpowiedzialność, tam przejście do zupełnéj własności indywidualnéj odbyło się prędzéj, jak np. w Niemczech; w Rossyi działo się odwrotnie, tu, jak obaczymy, tworzono sztuczną gminę w celach czysto fiskalnych i taka gmina przetrwała do dziś z temi samemi cechami.

Ruskim publicystom i historykom dawna Ruś przedstawia się jako ekonomiczny raj z nieco chaotyczną i nie dość ściśle określoną gminą-wspólnotą; jako *tabula rasa*, po któréj ludzie, spacerując, jak mrówki, wybierają ulubione miejsce i zakładają wspólnotę taką, jaka zrodziła się w pojęciu księcia Wasilczikowa lub Sokołowskiego, nie troszcząc się wcale oto, że ich idealna gmina jest całością ekonomiczną na zasadach fiskalnych opartą, zamkniętą w sobie, o pewnych stałych formach; jednostki zaś ekonomiczne nie kształtują się od razu, lecz powoli przystosowując się do warunków orograficznych, geograficznych, ekonomicznych, administracyjnych i t. p.

Nie ulega wątpliwości, że oprócz gmin na wspólności opartych, powstałych na zasadzie ekonomicznéj ewolucyi, naszkicowanéj nieco wyżéj, już ku końcowi X w. na Rusi Nowogrodzkiéj istniała własność indywidualna i klasy społeczne. Nestor mówi, że daninę pobierano „*ot dyma i rała*“ tj. od osady i od sochy. Charakter tego podatku zachował się w Polsce aż do ostatnich prawie czasów jako „podymne i poradlne“. Ten sam latopisiec, mówiąc o poselstwie Drewlan do Olgi pisze: „i posłasza Drewlanie *luszczii muži*, iże *deržachu Derewskuju ziemlu*“. Można się w tém dopatrzeć śladów

władania indywidualnego, ale za to niepodobna doszukać się władania wspólnego.

Russka prawda zajmuje się regulowaniem spadków na korzyść rozmaitych klas owoczesnego społeczeństwa. Gdyby gmina wspólna istniała, *Russka prawda* nie miałaby potrzeby mówić o spadkach, gdyż w takim razie regulowałyby się one sądem gminnym. Natomiast, i latopisiec i *R. pr.* używa ciągle wyrazu *dwor* (sadyba), z czego możemy wnioskować o istnieniu własności indywidualnéj (*podwornoje władienije*) mniéj lub więcéj zupełnéj. Większość ziemi należała już wtedy do bojarów i kniazia, jedném słowém, istniała pewna forma, dziś nie dająca się ściśle określić, nawet własności wielkiéj; pozwala nam wnioskować o tém z istnienia urzędu *tiuna* (starosty, sędziego) nie tylko wiejskiego (*sielskij*) ale kniażego, bojarskiego a nawet ogniszczańskiego i ratajnego, a więc czegoś podobnego do odrębnego sądu dla każdéj warstwy posiadaczy ziemi. Może nawet *Russka prawda* stopniowała je według pojęć owoczesnych, bo za zabójstwo tiuna kniażego i ogniszczańskiego opłacano główszczyzny 80 grzywien, a sielskiego i ratajnego tylko 12 grzywien.

Zresztą, najlepszym może dowodem, że na Rusi przeważała forma indywidualnego władania, świadczą ustępy *Russkiej prawdy*, według których płacono grzywny za rozoranie miedzy, za niszczenie znaków rozgraniczających (np. na dębach), wogóle za usuwanie miedz bartnych, polowych (*rolejnych*) i sadybnych (*dwornych*). Istnienia własności indywidualnéj, jako powszechnéj formy władania, możnaby jeszcze dowieść krytyczném rozpatrzeniem rozmaitych klass i warstw społecznych, gdyby to nie powiększało nadmiernie naszego referatu.

Mówiąc o gminie, na wspólności opartéj, mamy ciągle na uwadze Ruś północną, tj. taką, która do połowy XII w. skupiała się koło Nowogrodu, a potém W. Księstwa Moskiewskiego; południową Ruś wykluczamy zupełnie z rozprawy, gdyż ustalenie się tam własności indywidualnéj nie podlega żadnéj wątpliwości.

Do rozjaśnienia kwestyi powstania gminy wielkorosyjskiéj w takiéj formie, jaką dzisiaj widzimy i jaką staraliśmy się w poprzednim artykule scharakteryzować, przyczynia się wielce bardzo ciekawe studyum pani Jefimienko (1), charakteryzującéj formę władania ziemią włościan Obonieżskiéj piatyny (gub. Archangielska i Ołoneckа). Jest to studyum tém ciekawsze, że przedstawia kraj położony nad Dźwiną północną tj. właśnie tę część państwa, w któréj

(1) Izsliedowanija narodnoj żizni; artykuł: Krestjanskoje ziemlewładienije na krajniem siewierie.

według ks. Wasilczykowa i Sokołowskiego, miała się wrzekomo swobodnie rozwijać gmina wiejska, około Moskwy tamowana jakoby w rozwoju przez władzę książęcą i wielką własność (*pomieszcziki*).

Dokumenty, znalezione przez panią Jefimienko u włościan powiatów Chołmogorskiego i Archangelskiego, jako też w archiwach miejscowych klasztorów, cerkwi i urzędów, pozwoliły jéj określić formę i charakter władania ziemią na północy, już począwszy od XV w.. Kraj nad Dźwiną zasiedlił się wychodźcami z Nowogrodu, którzy zakolonizowali wyłącznie prawie brzegi morza i brzegi wielkich rzek, pierwsze—dla rybołowstwa, drugie dla rolnictwa. Wązkie nadbrzeżne pasy ziemi, przydatne do kultury rolnéj przeszkadzały rozwojowi rolnictwa, gdyż rolnik z wielkim wysiłkiem zdołał karczować lasy i zdobyć trochę ziemi. Las jak był, tak i pozostał n i c z y i m; zajęcie w posiadanie kawałka lasu i wykarczowanie służyło za dowód własności, a dokumenty urzędowe dotyczyły tylko ziemi ornéj i łąk. Od najdawniejszych czasów widać tu dwa typy władania ziemią: ludność osiadłą stale na roli i trudniącą się gospodarstwém zbożowem i ludność przemysłową, osiadłą w lasach dla polowania i z konieczności zajętą zdobywaniem ornego pola. Jednocześnie z własnością włościańską występuje większa, bojarska,—bojarowie kolonizują brzegi morskie dla rybołówstwa i rolnictwa i gospodarują bądź sami, bądź prawa i ziemie wydzierżawiają. Tak samo postępuje własność monasterska.

Osadnicy zasiedlają kraj regularnie. Już w XIV w. znajdujemy tam typ osady i gospodarstwa podobny do południowo-słowiańskiéj *zadrugi*: jest to wielka rodzina, osiadła zupełnie samodzielnie od innych, zamieszkująca jeden lub kilka *dworów* i władająca pewnym kawałem ziemi. Owo wspólno-rodzinne władanie nosiło nazwę o g n i s k a (*pieczyszcze*, *ogniszcze*). Taką była forma władania ziemią na Północy i taka pozostała: włościanie Archangielskiéj gub. mieszkają osadami, z kilku dworów składającemi się, oddalonemi o wiorstę lub więcéj od siebie i tworzą obecnie gminę (*obszczestwo*) jak niegdyś tworzyli *wolost'*. Z czasem owa gmino-rodzina rozrastając się, drobiła ziemię (pieczyszcze, ogniszcze), dzieląc ją między członków stosownie do stopnia pokrewieństwa. Że działo się tak w rzeczywistości, świadczą najlepiéj księgi wiejskie, w których zapisywano uposażenia. Prawo do tych cząstek, uposażeń, było można powiedzieć nominalném, określało pewną ilość przypadającéj ziemi, faktycznie zaś ognisko zostawało niepodzielném, posiadacz zaś otrzymywał w każdéj ręce odpowiedni pas. Czynność nazywano wydzielaniem uposażenia (*wierwlenije*), księgi zaś nosiły nazwę ksiąg uposażeń (*wieriownyja knigi*).

W takiéj więc osadzie tkwiło jądro późniejszéj gminy, chociaż posiadała ona cechy, wyróżniające ją od gminy: 1-o mieszkańcy jéj złączeni byli jednością krwi, 2-o składały się z kilku domów, gospodarstw (*dwor*) i wreszcie 3-o każdy posiadacz miał prawo swoję nominalną cząstkę zastawić lub nawet sprzedać.

Prawo sprzedaży pociągnęło za sobą wciskanie się do gminy północnéj obcych przybyszów, co z czasem wywołało rozczłonkowanie gmino-rodziny, wytwarzarzanie się własności indywidualnéj pod formą osad i tworzenie się wybitnych nierówności ekonomicznych, tj. własności większéj, mniejszej i nareszcie wyzucie się z ziemi.

Taki jest wykład faktyczny pani Jefimienko. Mimo woli wypada zapytać: skądże znowu z formy władania indywidualnego, stwierdzonego dokumentami, powstała forma nowa, oraz odmienna — dzisiejszéj gminy? Żadne ekonomicznego, a tembardziéj społecznego charakteru przyczyny nie działały tu wcale — jedynie tylko przyczyny fiskalne. Rząd Wielkiego Księstwa Moskiewskiego, pragnąc ułatwić sobie pobór podatków i wedle możności zrównoważyć je, a napotkawszy trudność w nadmiernéj rozciągłości krajów podbitych (okręg Dźwiny należał niegdyś do rzeczypospolitéj Nowogrodzkiéj), przy małém ich zaludnieniu, ściągał podatek nie z każdéj osady (*dierewnia*) osobno, ale z okręgu pewnego (*wołosti*) i w ten sposób *wołosť*, stawszy się centrem fiskalnym i administracyjnym, będąc niejako odpowiedzialną wobec rządu, już przez to samo jednała sobie wpływ na włościan, z czasem poczęła się organizować tak, aby łatwiéj obowiązkom swoim względem państwa podołać mogła. W ten sposób miała niejako prawo wtrącać się coraz bardziéj w sprawy włościan, dotyczące władania ziemią, biorąc sobie za punkt wychodni podatek i regularną jego opłatę.

Cios indywidualnéj własności w okręgu Dźwiny Północnéj, zadany został dopiéro w połowie XVIII w. przez tak zwane instrukcye graniczne (*mieżywyje instrukcii*) z lat 1754 i 1761. Po zdobyciu Nowogrodu, wszystkie ziemie okręgu Dźwiny, z wyjątkiem należących do klasztorów, uznane zostały za rządowe. W ten sposób osady włościańskie, będące we władaniu indywidualném, przestały należéć do dawnych właścicieli, a stały się własnością państwa. Takie upaństwowienie ziemi dopiéro uregulowało się ostatecznie w r. 1830, kiedy wzbroniono włościanom sprzedawać ziemię i nakazano uskutecznić działy według ilości „dusz“. Pomimo oporu, porządek ten wprowadzono i forma wspólnego władania, istniejąca w dzisiejszéj gminie, ustaliła się powoli. Więc gminę stworzył sam rząd za pośrednictwem swego ustawodawstwa.

Teraz należałoby rozwiązać pytanie, o ile streszczone tu fakty, dotyczące kształtowania się własności ziemskiéj na północy, dadzą się rozszerzyć na inne części państwa rosyjskiego? Jedni (jak Bielajew) okręg Dźwiny północnéj uważali za kraj, w którym władanie ziemią nosiło charakter wyjątkowości, drudzy, a między niemi książę Wasilczyków dostrzegł tam zupełny rozwój samorodnéj gminy. Było to dowodem, że pierwszy z nich znał gruntownie źródła dziejowe, drugi— bardzo powierzchownie. Wogóle zaś posiadając tyle materyału co do krainy naddźwińskiéj, można utrzymywać, iż forma władania ziemią na północy, może być uważana, jak zobaczymy, za typową dla reszty Rosyi, z wyjątkiem naturalnie tych jéj części, gdzie istniała już dawniéj forma władania indywidualna.

Wobec tego upadają wszelkie domysły o istnieniu na północy gminy rodowéj, gdzie była raczéj, jak widzieliśmy, gmino-rodzina, i nie ma żadnego znaczenia twierdzenie p. Sokołowskiego, jakoby ludność rolnicza na północy tworzyła rodzaj wspólnoty, stowarzyszenia, kolonizowała się wsiami — nie w znaczeniu osady (*dierewnia*), którą staraliśmy się wyjaśnić, — ale w znaczeniu nowoczesném. Miało to dowodzić skłonności kolonistów rosyjskich do życia wspólnego (*obszczinnoj żizni*). Autor ten jednak jest w sprzeczności sam z sobą, bo przytacza źródło historyczne, świadczące o rozkolonizowaniu się „dworami“ (*podwornoje sielenije*), a nawet utrzymuje, że jednostką w owe czasy nie było „ciągło“ lub „dusza“ ale „dwór“. Jakże to pogodzić z istnieniem gminy o wspólném władaniu ziemią? Oczywiście, taka idealna gmina nie istniała. Wprawdzie w wieku XVI obok kilkodworowych osad były i wsie ludne, liczące 20—40—60 i więcéj chat, ale takich wsi według świadectwa ksiąg ziemskich (*piscewyje knigi*) było niewiele, a powtóre, istnienie ich nie dowodziło jeszcze wcale istnienia gmin i spólnego władania. Przeciwnie — Czyczerin (1) szeregiem dokumentów dowiódł, że wsie owoczesne przechodziły darowizną do monasterów, zmieniały właściciela drogą sprzedaży, wydzierżawiały się włościanom, od włościan przechodziły do innych właścicieli, bojarów lub monasterów. Wsie należały nietylko do księcia, bojarów, monastyrów, ale i do włościan. Tak samo jak całość przechodziły do innych właścicieli i części. Włościanie osiadali na nich bez żadnych przeszkód lub też odstępowali na pewien przeciąg czasu innym włościanom. Taka cząstka ziemi nazywała się losem (*żerebjem*), pasem (*połosa*) lub niekiedy wielkość jéj ograniczała się nazwą: ćwierć pługa lub socha, *obża*, pół obży i t. d. (2)

---

(1) Opyty po istorii ruskawo prawa. — (2) *Obża* — jeżeli jeden jednym koniem orze, jeżeli jeden trzema końmi—nazywało się to *socha*.

Było to więc prawie takie samo ognisko (*pieczyszcze*), z jakiém zapoznaliśmy się na północy. Trudno wspólne władanie upatrywać tam, gdzie większość osad składa się z jednéj, dwóch lub kilku chat, a takiemi właśnie była większość wsi Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. Źródła, przytoczone przez Czyczeryna, nie pozwalają wątpić, że do połowy prawie XVII w. w W. Ks. Moskiewskiém forma władania ziemią była indywidualną, a nie widać z nich wcale, ażeby ilość posiadanéj ziemi zależna była od ilości „dusz“, jak dziś; przeciwnie, widzimy podział włościan na zupełnych i niezupełnych gospodarzy (ciągłych i półciągłych), podział, jaki istniał w całych Niemczech średniowiecznych i przechował się dotychczas w południowo-zachodnich prowincyach Cesarstwa pod nazwą „konnych i pieszych dworów“.

Wprawdzie formy władania u włościan zależą także od tego, czém się włada. Podworne władanie ziemią orną i łąkami godzi się w zupełności ze wspólném władaniem wygonów, lasów i pustek; dowody na to nietylko znajdujemy wszędzie u nas, ale nawet na zachodzie Europy. Wspólném zaś władanie tylko wtedy być może, jeżeli do gminy, do gromady, należą ziemie orne i łąki, a oprócz tego podlegają nowym działom w pewnych odstępach czasu. Kilka zaś wsi mogło wspólnie władać lasem, stepem lub pustkami, dzielić się sianem lub chrustem, a mimo to łąkami i ziemią orną władać na prawie własności indywidualnéj.

Bieg wypadków, kształtujących pewne formy władania, a w danym razie gminę, skupiał się w ekonomicznych przyczynach, w interesie poprostu, najprzód państwa, a potém jego członków, lecz nie kierował się żadnemi idealnemi celami społecznemi, i myli się p. Sokołowskij, przypuszczając, że wrzekome ideały ocalały, niby jaka świętość i niepokalane materyalizmem naszego wieku, przechowały się także, jako rozsadnik na przyszłość, u k o z a k ó w u r a l s k i c h pod formą gminy kolektywnéj. Już nie mówię o fałszywym punkcie wyjścia autora, lecz widocznie miesza on dwa pojęcia jurydyczne: gminę wiejską, tj. władanie pospólne, z władaniem wojskowém kozaków. Państwo odstąpiło ziemię kozakom uralskim, z warunkiem, ażeby oprócz ich potomków nikt inny tą ziemią nie władał. Kolektywne władanie na podobnéj podstawie nie usuwa wcale prawa władania dożywotniego. Coś podobnego działo się nietylko przy kolonizowaniu przy-uralskiego kraju, ale Noworosyi (gub. Chersońska) i Charkowskiéj gub. (*Słobocka Ukraina*). Władanie więc pospólne — temat, na który fantazyuje Sokołowskij — jest, obok innych przyczyn, następstwem także obfitości ziemi.

Według mniemania Sokołowskiego, gmina (*wołosť*), poczęła się rozkładać pod wpływem państwowego ustroju księstwa Moskiewskiego w XV w., jakotéż rozdawania ziemi klasztorom i prywatnym osobom, w prastaréj zaś formie przechowała się na północy i wschodzie, dokąd jakoby nie sięgała władza państwowa. Już z tego, cośmy dotychczas powiedzieli, można łatwo wnosić, że działo się prawie odwrotnie: pochód odbywał się od indywidualnéj własności do pospólnego władania. Co się działo przed przyjściem Waregów, o tém nie wiemy, ale wkrótce po przyjściu, widzimy już istnienie własności indywidualnéj. Przynajmniéj *Russka prawda* nic o gminie nie mówi, a wszystko świadczy na korzyść własności indywidualnéj. Wprawdzie możnaby wyraz *wierw* utożsamić z gminą (*wołosť*), témbardziéj, że w obrębie prastaréj *wierwi* istniała wspólna odpowiedzialność, a etymologiczne znaczenie wyrazu i czynność stąd pochodząca (*wierwlenije*), oznaczająca pomiar gruntów, była podobna do późniejszych działów, zaś w ogóle *wierw* identyfikowała się z gminą. Tekst jednak *Russkiéj prawdy* przeczy temu. *Wira*, czyli główszczyzna, naznaczała się za śmierć jednego z członków gminy, prawdopodobnie dotykać tylko musiała rodzinę zabójcy. Wniosek taki ztąd da się wyprowadzić, że główszczyzna ustanowiona została przez synów Jarosława, po skasowaniu krwawéj zemsty, a ponieważ prawo do zemsty posiadali najbliżsi krewni, nie byłoby więc powodu do rozciągania tego prawa na całą gminę. Możnaby więc przypuścić, że *wierw* była związkiem rodzinnym.

Tak sądzi Gołowin. Wbrew atoli domysłom jego, przypuścić jednak można, że główszczyzna dotykała całą gminę, mniejsza o jéj formę, gdyż w ten sposób rząd pragnął niejako zabezpieczyć się od ukrywania przez gminę zabójcy lub utrudnić je przynajmniéj. Był to środek administracyjny, policyjny — nic więcéj, i z władaniem ziemi żadnéj wspólności nie miał.

Tak czy inaczéj, *wierw* byłaby nie czém inném jeno gminą, taką samą, jaką widzieliśmy na północy, podobną do owego ogniska (*pieczyszcze*), które członkom swoim wydzielało ziemię do władania (*dolewoje władienije*), a stąd zachodziła potrzeba pomiaru. Tak więc pewne formy władania ziemią, kształtujące się lub ukształtowane na północy, można do pewnego stopnia przyznać za typowe dla całego W. K. Moskiewskiego XV do XVI w.; różnica tkwiła w większém lub mniejszém zaludnieniu gmin. Jeżeli więc nigdzie nie znajdujemy śladów gminy, na wspólności opartéj, na całéj przestrzeni średniowiekowéj Rosyi, gminy w takiéj formie, w jakiéj dziś istnieje — skąd więc i jakim sposobem zrodziła się? Jaką drogą dokonała się ta wybitna rewolucya ekonomiczna? Ta-

kie pytanie postawił sobie do rozwiązania i książę Wasilczyków. Lecz wydaje mu się nieprawdopodobną możebność istnienia przed gminą innego ekonomicznego ładu, na téj podstawie, że nigdzie, jakoby nie pozostało śladu rozpierzchłych osad, władających ziemią indywidualnie. Jest to dowód słaby — śladów takich nikt nie szukał systematycznie, lecz one istnieją i każdy je napotykał. Nieraz pośród ziem ornych, a nawet lasów spotkać można niewielkie podwyższenia, ślady rozwalonych dawnych budowań, kawałki cegły, resztki pieców. Pośród ludu przechowało się także, mnóstwo nazwisk, dotyczących pewnych uroczysk, pewnych kawałków pól, nazwisk, pochodzących nieraz od imion własnych, od rozmaitych gospodarskich narzędzi i sprzętów. Otóż uroczyska te niczém innném nie są— według Gołowina—jak resztkami wspomnień o istniejących niegdyś przysiołkach, osadach, wsiach, które zniszczone zostały lub utworzyły wieś w znaczeniu nowoczesném, wieś uorganizowaną w gminę. Jest to jednak teza, którą łatwiéj postawić, niż dowieść.

Przejdźmy teraz do drugiego pytania: kiedy i jaką drogą ustawodawczą zadany został cios indywidualnemu władaniu włościan? Czyczeryn początek zmiany zaszłéj we władaniu ziemią, odnosi do reformy podatkowéj tj. łączy ją ścisle z pierwszym popisem prawidłowym (*rewizyą*). Zdaje się jednak, że jedna przyczyna nie mogła pociągnąć za sobą tak doniosłego przewrotu ekonomicznego i że rozkładowe siły poczęły działać znacznie wcześniéj. Przedewszystkiém zwrócić uwagę wypada na to, że żaden z badaczy historycznych rosyjskich nie zanotował związku istniejącego między upoddannieniem włościan a utrwaleniem się gminy. Z początku włościanom przysługiwało prawo wolnego sadowienia się na ziemi i wolnego opuszczania dotychczasowych osad, późniéj ograniczono swobodę przejścia do jesieni (*Jurjew dień*), a następnie ukazem 1590—1592 nastąpiło przymusowe osiedlenie na tych gruntach, na których ukaz włościan zastał. Ukaz objął wszystkich posiadaczy. Celem ukazu nie było wcale wzmocnienia innéj klasy posiadaczy (*pomieszczików*), jak sądzą zwykle, ale zaprowadzenie ładu w stosunkach agrarnych—cel więc był bezwarunkowo fiskalny tylko. Prawo poddaństwa wytworzyło się już jako następstwo ukazu. Łatwo wyobrazić sobie jakie były następstwa ukazu i jaką to zmianę wywołało we wzajemnych stosunkach. Dawniéj posiadacz ziemi mógł sobie wybrać inny grunt, a zajmowany porzucić lub ustąpić innemu,—ukaz przywiązał go do gleby. W ten sposób włościanin nie mógł już być z gleby ruszanym, lecz nie mógł również zmieniać siedziby, gdyż wzbraniało mu prawo. Ponieważ powinności i dawniéj leżały

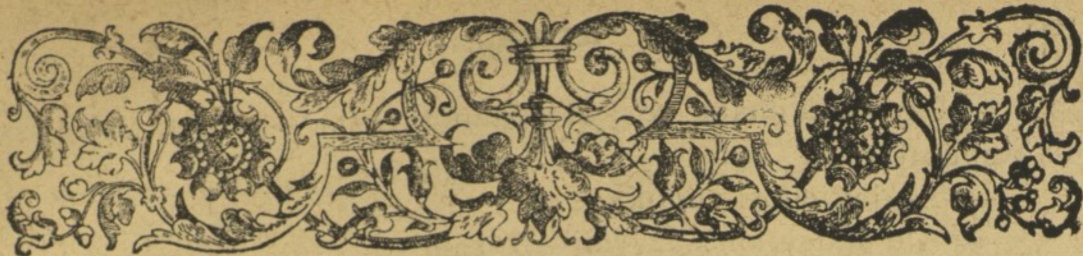
na całéj gromadzie, nic dziwnego, że z chwilą unieruchomienia niejako chłopa, przybicia go do gleby, wpływ gromady na jednostkę zwiększyć się musiał. Tymczasem ludność wzrastała, ilość ziemi zdatnéj do uprawy pozostawała wprawdzie ściśle oznaczoną, ale w téj saméj wsi nawet nie była jednakowego gatunku; wszyscy płacili podatek, ale nieproporcyonalnie korzystali z ziemi—stąd zaszła potrzeba zamiany działów i przemiarów. Nie stało się to jednak odrazu, w jednéj chwili dziejowéj. Ukaz Fiodora Iwanowicza objął tylko posiadaczy dworów, reszta pozostała wolna, a do włościan państwowych (*czernososznych*) ukaz zastosowany został dopiero w r. 1649.

Wprowadzenie spisów ludności (*rewizyi*) przez Piotra Wielkiego przyniosło nowy cios władaniu indywidualnemu. Popis (*podusznyj okład*) zamknął włościan we wsi, gdzie z narastaniem młodego pokolenia coraz było ciaśniéj—i wytworzyły się nareszcie wszystkie owe cechy, charakteryzujące władanie gminne: działy familijne, prawa do ziemi zajętéj i dzielenie ziemi stosownie do potrzeb i ilości płaconego podatku. Instrukcye graniczne Katarzyny II zrobiły resztę, polecając w zasadzie proporcyonalny podział (*rawnienije ziemli*) już wytworzony skutkiem wspólnéj odpowiedzialności gromady. Instrukcye owe były tylko nowością dla północy; w innych częściach państwa nadały piętno prawomocne stosunkom już przedtém istniejącym, dla tego też więcéj pozostało śladów istnienia własności indywidualnéj np. w okręgu Dźwiny północnéj niż w centrum w. ks. Moskiewskiego.

Pomimo, że wywodom Gołowina w wielu razach brakuje ścisłości, a polemiczny ton wykładu zaciemnia do pewnego stopnia rozumowania, nie ulega jednak wątpliwości, że gmina wielkorosyjska da się ściągnąć łatwo z téj wysokości, na któréj ją starali się postawić niektórzy—bardziéj może poeci niż badacze—jako wzór do przyszłego rozwiązania agrarnych stosunków wogóle. Nie da się ściśle udowodnić, że gmina jest najstarożytniejszą formą władania—przynajmniéj według istniejących dokumentów, fikcyą jest jakoby w gminie na pewnéj wspólności opartéj, można znaleźć przyszły ekonomiczno-rolny ideał, szczególnie przy istniejącym jéj ustroju, témbardziéj w takiéj formie nie może ona być zbawieniem współczesnego społeczeństwa zachodnio-europejskiego—jak utrzymuje Laveleye.

Fr. Gawroński.





DZIWAK.

OBRAZEK.

W wędrówkach moich po kraju zatrzymałem się raz w jednéj ze wsi niedaleko Chęcin.

Wieczor zapadał, nogi słuchać nie chciały, musiałem przyjąć gościnność małżonków Stępczaków, którzy mnie na nocleg zaprosili, i roztasowałem się w ich chacie.

Natura ciągnie jednak wilka do lasu, włóczęgę w pole. Zaledwie odpocząłem nieco przy misie zsiadłego mléka z kartoflami, a już lézę na gościniec, rozglądać się po siole i mieszkańcach jego.

Z ludźmi nie wielka na razie była uciecha, gdyż po całodziennéj pracy wszyscy przed domami lub w izbach wieczerzali; wieś zaś jak inne w okolicy na ogólny rzut oka się przedstawiła ani bogatsza, ani lepiéj zabudowana. Chaty przysiadłe, słomą kryte; ogródki przy nich małe, zarosłe chwastem, z drzewiną taką jeno, jak Pan Bóg posadził. Po polach, widzę, złoci się zboże na dojrzeniu, a gdzie niegdzie wśród łanu grusza dzika się czerni kopiato, jakby stérta suchéj koniczyny; w oddali na zębatych wzgórzach las błękitnym pasem zamyka widnokrąg—to i wszystko.

Między wsią a lasem dostrzegłem jeszcze grupę drzew, jakoby koło ludzkiéj siedziby; tam więc podążyłem drożyną, jakoż w kwadrans stanąłem w saméj rzeczy przed chatą, od innych różną otoczeniem ze świérków i równym dokoła płotem.

Podchodzę bliżéj, widzę dach w części gontem, w części słomą kryty; dzikie wino na frontowéj ścianie koło okna, przy drugiém od tyłu ciężka okiennica starannie zawarta; przy drzwiach samotny kamień zamiast ławy, a na dole tuż przy progu jakiś otwór czworokątny, z domorosłą maszyneryą i drewnianą klapą, niewytłómaczonego dla mnie użytku. W ogródku zaś buraki, kukurydza, marchew i kartofle; ale ani człowieka, ani stworzenia żywego wewnątrz ni zewnątrz, nawet ani śladu ogniska i ruchu.

— Czyjaż ta chata ze świérkami za wsią?—pytam, wróciwszy do Stępczaków.

— At, jakiegosi cudoka.

— Ale jak się on nazywa?—co robi?

— Jak? pan Jędrzej, wypychocz, bo se ptaki strzela i wypycha.

— Wybornie!—pomyślałem, mając słabość do cudaków dwu i czworonożnych;—będzie o co się zamówić i wkręcić do tego.

I nie tracąc czasu daléjże wypytywać gospodarzy o pana Jędrzeja. Pokazało się jednak, że tak Stępczakowie jak i inni mieszkańcy miejscowi, własnemi sprawami zajęci, a do cudaka przyzwyczajeni jak do staréj żerdki w płocie, mało o nim wiedzieli i tylko tyle powiedziéć mogli: że mieszka sam, głuchy jest jak pień; że raz gada wiele, drugi raz jak słup milczy; że wstęp do niego nietrudny, ale zastać go w domu ciężko, bo i dniem i nocą chodzi na polowanie i nikt nie wié i przewidziéć nie zdoła, w jakiéj porze jadła i spoczynku zażywa.

— Mniejsza z tém—pomyślałem—kto nie probuje, nie zdobywa—i nazajutrz po wschodzie wprost do chaty samotnika zdążam.

Zdala widzę, że okno w dniu poprzednim zakryte, szybami świeci; podchodzę tedy śmiało, pewien obecności właściciela i stukam.

Wewnątrz w jednéj chwili posłyszałem ruch i szczekanie psa; poczém przez ów otwór na dole przy progu wysunął się wyżeł barwy brunatnéj, który sprytnie mi się przyjrzał i zaszczeknąwszy raz jeszcze przyjacielsko, napowrót w tajemném okienku zniknął, i coraz głośniéj psim językiem przemawiał.

— A! jest to system anonsowania gości na tym dworze,—pomyślałem, i daléj stukam z coraz większą odwagą i siłą, a w szczekaniu psa niezgorszą też zyskuję pomoc.

W końcu przecież harmider, jaki czyniliśmy we dwu, odniósł pożądany skutek. Zawiasy wewnątrz skrzypnęły, drewniana zasuwa tuż przedemną stuknęła, drzwi się uchyliły i wyjrzał z poza nich człowiek niski, szczupły, w ruchach lękliwy, z twarzą rysów szlachetnych, kiedyś pewnie piękną, obecnie gęsto pomarszczoną i zczerniałą, w ubraniu nędzném i zbrukaném.

Oko lewe przymrużył, badawczo popatrzył i drzwi szeroko otworzył, równocześnie w garść ściągając surducinę pod szyją, co mi brak koszuli na ciele wskazało.

— Przepraszam, przepraszam—mówi—i puszczając mnie do sionki, sam niknie za drzwiami sąsiedniéj izby, skąd po chwili powraca końce wełnianego szalika zatykając za kamizelkę.

Raz jeszcze przeprasza,—za co, nie wiem—i pyta, czy wolę do izby wejść, czy spocząć przed domem, przyczém miejsce na kamieniu mi wskazuje.

— Pan podobno ma wypchane ptastwo—krzyczę mu do ucha. Chciałbym zobaczyć.

— Hm, hm, ptastwo? To proszę tam, proszę... Pan ma zbiory?

— Nie wielkie; ale jestem przyrodnikiem, nowości lubię, a słyszałem o czarnym bocianie, który się podobno w tych stronach pojawił. Masz go pan? A sokoła, lub orła?

— Sokoła? Nie, ale proszę daléj. I wprowadził mnie do izby dość obszernéj a ciemno orzechowéj z kurzu i dymu od pułapu do podłogi; tak przytém zawalonéj różnorodném rupieciem, że ledwo łokci kilka wolnéj przestrzeni zostawało.

— Niech pan siada,—zaprasza, krzywą ławę wyciągając z pod stołu, na którym leżał bochen razowego chleba, kozik, nadłamana kukurydza, obok dłutek, iglic, noża, garści kłaków, tygla z arszenikiem urobionym z mydłem i wapnem jak klajster, kłębków bawełny i kilku skórek do wypchania.

Siadam i zamiast mówić, tylko patrzę.

Ściany jak łuszcząca się brzoza nastroszone poodklejanemi i ponaddzieranemi rycinami, które niegdyś zdobiły pisma i kalendarze, a z kolei rzeczy tu się dostały též dla przystroju czy rozweselenia, i wraz ze wszystkiém przybrały kolor bronzowy. Z lewéj strony w najciemniejszym kącie izby tapczan, słomą świecący z pod dziurawéj derki. Nad nim na ścianie fuzya, dubeltówka i sztucer; obok w charakterze półek przybite wielkie grzyby, pasorzyty drzewne i grube kawałki kory, a na tém porzucane flaseczki, pudełka, szyszki i inne owoce leśne. Z prawéj strony koło komina warsztat stolarski i szewcki, na nich kopyta, zżynki skóry, grube szczecinowe szczotki, stare buty, garnki, papiery i wióry, jedném słowem wszystko, co nagromadzić się mogło w gospodarstwie, które snadź rządziło się zasadą niewyrzucania niczego na świecie. Wypchane ptastwo znajdowało się na staréj fajczarni i jak skombinowałem, zamieszkiwało szafę, raczéj do chłopskiéj wielkiéj skrzyni podobną, która nie opodal drzwi stała.

Gdym objął to wszystko wzrokiem, spojrzałem znów na właściciela, w jego twarzy i osobie szukając odpowiedzi na pytania cisnące się na usta. Lecz mina jego niby uprzejma a przezorna, oko lewe wciąż zmrużone dla większéj bystrości prawego były dla mnie wskazówką, że lepiéj zwolna postępować niż obcesowo.

— No, i cóż ten czarny bocian?—zapytałem, ograniczając się do stanowiska przyrodnika, którym wcale nie byłem.

— Bocian? Nie mam go, sprzedałem; w zeszłym tygodniu sprzedałem.

— A! to szkoda!

— Szkoda! Piękna była sztuka. Brzuch biały do połowy; głowa, grzbiet, skrzydła czarne, lśniące jak dyamenty—szkoda?

— Ale może pan masz kulczyka?—zagadnąłem, przypomniawszy sobie wyjątkowo pochwyconą wiadomość o téj ptaszynie, tylko w stronach Ojcowa i Kielc żyjącéj.

— Kulczyka?—podjął p. Jędrzej, z głuchoty mając przyzwyczajenie powtarzania.—To pan wié o kulczyku?

— A wiem, choć jestem botanikiem,—dorzuciłem obawiając się zbyt zaawanturować w przybranéj roli.

— Nie, i kulczyka nie mam. To to nie śpiewa pięknie, po co ma miejsce milszym zajmować; tego u nas mało.

— Cóż mi więc pan pokażesz ciekawego?

— Ciekawego? hm, hm? Ciekawe jest wszystko w naturze i z natury wzięte, jeno człowiek się na tém nie zawsze rozumié. Koło człowieka miliardy, biliony stworzeń jest, żyje i umiera, a człowiek nawet nie wié o tém i nic nie ma na uwadze tylko siebie i to, z czego zyski ciągnie.

— Moje szczęście,—pomyślałem—pan Jędrzej będzie w usposobieniu gadatliwém. Korzystajmy słuchając cierpliwie.

— Pan myślisz, że całe stworzenie nie wié dokąd dąży, po co żyje, co ma w przeznaczeniu,—zaczął stary siadając na stołku. Sześć razy wracałem raz z drogi liszkę, która po drzewie lazła, i sześć razy różną stroną wracała na miejsce. Ażem się zawstydził mego sprzeciwiania. Czyżby ona wracała bez celu?

— Zapewne, zapewne!—odparłem, potakując głową.

— Tylko widzisz pan, wszelkie stworzenie ma jeno świadomość swego zadania, swéj pracy w przyrodzie, ślepą i nic więcéj. A człowiekowi nieraz i tego brak, a w dodatku znajduje w sobie jakieś zachcianki, majaczenia — i błądzi, błądzi, goni sam nie wié co, rozbija się i brak mu wytrwałości liszki, aby wracać mimo przeszkód.

Uśmiechnął się, krzywiąc twarz przykrym wyrazem

— Co ciekawego? hm, hm, — zaczął po chwili, przypomniawszy sobie moje żądanie.—Ciekawego nigdy nie przegadać, nie przejrzéć. Między zwierzętami i ptastwem znajdzie różne charaktery jak wśród ludzi: i drapieżne i podstępne, wiarołomne i milutkie, demokraty i arystokraty. Nie uwierzyłbyś pan może, iż ja wpadłem na trop osobnego gniazda samca sikorki—remizy! O kilkadziesiąt kroków od gniazda, w którém siedziała samiczka z pisklętami, zna-

lazłem gniazdko też u gałązki białodrzewu zawieszone, ale malutkie, z dwoma otworkami na pojedynczą sztukę ledwo. Tam siadywał na noc jeden ptaszek, samiec; snadź hrabia nie lubił pisku dzieci i osobny zbudował gabinet.

— No proszę — rzekłem, uśmiechając się z tego porównania.

— A czasem znowu znajdzie się takie cudactwo — ciągnął p. Jędrzéj w ferworze opowiadania — że własnego gniazda nie ściele, po cudzém szuka przytułku, jak naprzykład kulik, samotnikiem zwany. To to w wiewiórczém albo sowiém się lęże: a skoro małe z jaj wylezą, bierze je matka na błonia, na trawy, tam karmi i hoduje. Taki dobrowolny tułacz ten kulik, jakby wiedział, że oczywiście lepiéj czasem nie miéć swego gniazda i za chatę, ojcowiznę, całe błonia, świat cały uważać równo... A to u ptastwa taka fantazya nieczęsta. Natura tak już urządziła, że wszystkie co rok budują siedzibę, choćby dawną znalazły nietkniętą. I bocian stare gniazdo poprawia, narzuca, lepi; ta robota widać im potrzebna dla przyjemności, czy rozrywki w czasie zalotów; dla nich to zastępuje bale, tańce, majówki, wśród których szepcą, mizdrzą się wzajemnie, porozumiéwają.

Po twarzy przemknął mu się uśmiéch wcale niewesoły.

— Zaraz, zaraz pokażę panu moje ptaszki, tylko kluczyk od szafy znajdę—dodał; podszedł do warsztatu, wziął stare, tekturowe pudełko, pełne nasion, guzików, bursztynów od fajek, kamyków i muszli, i w nim grzebać zaczął.

— Wielkich sztuk nie mam; brak miejsca, sprzedaję.

— Kiedyż pan chodzisz na polowanie? — krzyknąłem mu do ucha, jakkolwiek poznałem, że z ruchu ust łatwo wyrazy odgaduje.

— Kiedy? I do dnia i w nocy i rankiem, na to jednéj reguły nie ma. Głuszca naprzykład złapie jeno przed wschodem. O zachodzie leci on na spanie, leci i bęc na sosnę spada, aż stuknie, mówią, i śpi. Skoro świt, budzi się i na samicę woła głosem, jakby kosę ostrzył; i wnet harce koło niéj zaczyna i tak w umizgach zgłupieje i zgubi się, jak ten człowiek otumaniony — rzekł ze sposępniałą twarzą.

Lecz wnet ruszył ręką, jak gdyby odganiając muchę, którą była tym razem myśl natrętna i poszedł do fajczarni, wziął z niéj małego niebieskiego ptaszka z żółtą piersią, dużą głową i długim dziobem.

— Albo i zimorodek—zaczął— to także samotnik i prawdziwszy niż kulik. Sam lata, sam na noc w gnieździe siedzi, nigdy w parze, jak jaskółki i inne. Sam kopie norę na mieszkanie; on sprawiedliwie ziemiorodkiem zwać się winien, bo w podrywach

przy brzegu rzeki albo stawu, grzebie jamę nieraz i na półtora łokcia głęboką i wyściéła ją, wiész pan jakim puchem?

— Tak, wiem, wiem — odparłem niepewny — ale pan mów!

— Puszkiem z rybich ości! hi, hi! miękko!... Wyrzuca z siebie resztki szkieletów, których strawić nie zdoła i takie cierniste robi sobie uścielisko; na tych poduszkach lęże się, zuch, co nieprawdaż? Jak te chłopcy, żołnierskie syny, co w obozie czasu wojny się rodziły i na tarczy kołysały przy brzęku szabel i ostróg!... Tak, panie! Gdybyś, jak ja, lata całe przepędził z naturą, poznałbyś, jakie w niéj różnorodne obrazy.

— Pan mógłbyś księgi zapisać tém, co wiész — zauważyłem.

— Księgi? Hm! hm!... Niech piszą inni; ja ich nie czytam, nie spiszę.

— Pan całe życie tu przepędziłeś?

— Pół życia, pół! — odparł, czoło ściągając w sieć zmarszczek, i prędko zawrócił ku szafie, do któréj klucz już dawno trzymał w ręku.

Śledziłem go z coraz większą ciekawością. Ruchy bowiem jego, rysy, mowa, zdradzały pochodzenie lepsze, niż stan obecny. Ubiór zaś i sposób zaspakajania potrzeb, wskazywał ubóstwo i krańcową obojętność na wiele kwestyi; twarz nosiła przytém głębokie ślady przebytych cierpień. Jakaż więc była jawna przyczyna, czy tajemnica, która wytrąciła go z właściwéj sfery i kolei?

Ja rozmyślałem, a pan Jędrzéj robił swoje. Kłódkę otworzył, skobel żelazny spuścił i rozwarł nareszcie zaczarowaną szafę.

— Pokażę ja panu bataliony — rzekł, wskazując na ustawione rzędem ptaki, nie mające na wzrost stopy, smukłe, w piersi wąskie, z ogromnemi wszakże kryzami w górę stojącemi, które na wysokość je podnosiły.

— O!... cały regiment wojaków bohaterów! — zawołałem.

— Wojaków? bohaterów?!... A gdzież oni teraz? Armaty, dynamity, a najmniejsze ruszenie pod rozkazem, nie ma wolności, rycerstwa nie ma! Z ludzi porobili jeno kółka wielkich machin. Chcesz, czy nie: stój! choć aż drżysz, aby łeb sprzątnąć najpierw temu, co cię trzyma. Chcesz, czy nie: idź! chociabyś wolał w ziemię zapaść, niż broń podnieść, gdzie ci każą. Wojsko dziś, to te wielkie trzody, które dawniéj za wojskiem na rznięcie prowadzono. A te moje batalionki, to zwyrodniale obecne męskie plemię!... hi! hi!— ustami chlipnął zamiast śmiechu.—Patrz pan! co za wymizdrzone strojnisie! Dwu jednakich nie znajdziesz, tak się w szatach przesadzają!

— Prawda! Każdy inny! — potwierdziłem, z zajęciem przypatrując się owym wizerunkom mego skarlałego rodu.

— To ich właściwość, powiadam, istne Hiszpany i Szwedy! Ten nosi kołnierz pstry, tamten brunatny, popielaty z białym, z czarnym, żółty z orzechowym. A w dodatku wiédz pan, że to są nicponie, obłudniki! Stroją się tylko na wesele, w zaloty, jąk ostatnie kokietki; potém rozbiérają się i z samiczkami załatwiwszy, zostawiają im trud chowania małych, a same czmych, z powrotem do Afryki, skąd przylatują w kwietniu nędznie odziane, bez kokard i fioków, które późniéj przybiérają, podpasłszy się na naszym gruncie, podobnie do wszelakich cudzoziemców, co się u nas obławiają, i nietylko suknie własne z sobą biorą!

— A dla czegoż się one batalionami zowią? — zapytałem, nie umiejąc sobie tego wytłómaczyć.

— Bo się biją! Zawzięcie się między sobą biją! Czasem siedzę na skraju lasu i łąki, w łęszczynie albo olchach skryty, patrzę: batalion jeden na błonia się spuszcza i dalejże uwijania zaczyna, tany, harce, łbem wykręca, kołnierzem trzęsie; wtém leci drugi i paf! na tamtego spada i wnet bójka. Potém trzeci, czwarty, piąty, aż dwudziestu nieraz się zbierze lub więcéj i dziobią się, szarpią, jak koguty, po trawie jak psy tarzają. „Tyś nie z naszéj partyi, i ty nie z naszéj!“ gadają sobie wzajemnie, i tłuką się, tarmoszą okrutnie. Wszyscy przeciw sobie, bo dwu nawet jednakich za sobą nie stanie! Tak to widać już saméj naturze to mieszanie różnorodne przeciwne; przy czém nie może być zgody, bo zawsze jakoweś powstają zawiści, dojadania, ot wzajemna chęć zdziobania się i koniec!

Uśmiechnąłem się, potakując, uszczęśliwiony zaiste poznaniem tego filozofa samotnika.

— Pokaż-że mi pan bataliona bez kryzy, jeśli masz — powiedziałem. — Chcę widziéć, jak ten zawadyaka i Don-Żuan w zwykłym kostiumie wygląda.

— Jak? skromnie i potulnie jak poczciwiec, jak pokutnik. Masz go pan! czy podobny do tamtego? — rzekł, podając mi szarego ptaka z długim dziobem, całkiem istotnie niepozornego. — Co? nieprawdaż? Mina świętoszka, cnotnisi! łotrowstwa ani śladu! I tu natura zgodna z prawdą życia, obrazami ludzi?

— A czemuż to pan tak źle cnotę sądzisz?

Spojrzał na mnie bystro, lewe oko jak przedtém mrużąc.

— Gdzie pan żyjesz? gdzie mieszkasz? Nie wśród ludzi? — zapytał.

— Przeciwnie; i wśród wielu: w Warszawie.

— I pan się o cnotę pytasz i jéj wybiegom dziwujesz? A! toś pan widać na prawdę więcéj kwiatami, niż ludźmi zajęty. Ja, panie, miałem i cnoty i dobra i złego dotąd, dotąd!— rzekł, palcem od ucha do ucha przewodząc. Poszedł do szafy i machinalnie przestawiać zaczął ptaki z miejsca na miejsce, wzburzony.

— Cnota! — mruknął po chwili, zachłystnąwszy się owém naśladowaniem śmiechu. — To medal, który ma więcéj niż dwie strony. I to jakowaś kamfora, co nie wiedziéć gdzie jest, gdzie pachnie.

— Pan znasz kukawkę—zapytał po pewnéj przerwie, zwracając się do mnie.—Niewielkie to i brudno-pstre; ani złotem ani turkusem nie błyszczy, jak wilga, albo kraska, a ladacznica!... Kukawka, panie, to podrzutek! Nie zna ani ojca ani matki; zawsze w cudzém gnieździe się hoduje, jak sierota. A jaka to bestya przebiegła i sprytna, to człowiek by jéj nie dorównał! Jajko najpierw na trawę puszcza i ogląda, ogląda, potém bierze w dziób, który już umyślnie ma szeroki i miękki, aby kruchéj łupiny nie zgnieść—i daléj w podróż na rekonesans. Dotąd szuka po gniazdach słowików, skowronków, podkląszczy i różnych tam pokrzywek, dopókąd nie znajdzie téj barwy jajek, jak jéj własne. Bo widzisz pan, kukawki różnych kolorów jaja znoszą. Gdy więc upatrzy gniazdo, z którém najłatwiéj uda się jéj podstęp, rzuca swój płód i ucieka. A mała gdy się wylęgnie, to taka od razu chytra, że się rozsiada w przybranem gnieździe, jak sultanka, i miejscowe pisklęta gniecie i wyrzuca. Paskudnica, od samego początku do końca! Tfuj! — splunął z oburzeniem.

— Ależ panie! kukułka stworzenie bez rozumu; co czyni, nie wié.

— Nie broń jéj pan! Ma ona rozum swój, skoro go liszka ma. Zresztą jeśli głupia, to i inne ptaki głupie, a piskląt nie opuszczają, a ochraniają je od złego, jak nawet te stare drzewa, co bez duszy, bez instynktu, a osłaniają młode od burzy i spiekoty. Kukawka, to jak raz zwyrodniała matka, co dziecko ciska, a w świat leci. Tylko przyroda ma mędrsze urządzenia, niż społeczeństwo ludzkie; kłamstwa nie zna i obłudy. Nie chce kukawka spełniać obowiązków i znosić trudów, to wprost zrzuca je na innych, dług spłaciwszy naturze; nie przyrzeka, nie oszukuje, nie zawodzi. Nie stwarza gniazda, rodziny, nie zostawia opuszczonych.

I postrzegłem, że głos jego przy ostatnich słowach drżał. Byłem więc na tropie odkrycia tajemnicy; ale sondy zapuścić nie mogłem, bo czémprędzéj odsunął się i na psa gwizdnął.

— Marget! gdzieś ty piesku?— zawołał z dziecięcą niemal tkliwością.

Pies w jednéj chwili w sieni się poruszył, pyskiem i łapą drzwi odchylił i do nóg pana łasić się przyszedł.

Pan Jędrzéj pochylił się, klepał go po grzbiecie, po głowie głaskał, uśmiechając się krzywieniem ust i mrużeniem oczu, które mniemałem, że raczéj zapłaczą.

— No leż, psie! spokojnie! Precz! precz! — zawołał potém, głos ostry przybiérając, czém według mnie nie wyżła, lecz siebie chciał poskromić w rozrzewnieniu. I znów do szafy się zbliżył.

— A widziałeś pan nura? — zapytał, z mniejszym wszakże ferworem. — Piękna sztuka, pierś jak złoto, większy i wspanialszy od miejscowych; musiał przypadkiem tu się zabłąkać, na swą zgubę. Gdyby jeszcze gdzie do zbiorów się dostał, dobrze! Ale zamówiony pewnie na przystrój ladacznicy! To też go nie dam, nie dam— rzekł ze złośliwą przekorą starych i skórę wyprawioną a nie wypchaną, wrzucił do szafy.

— Gdybym mógł nie dać! — szepnął po chwili do samego siebie, zapominając, że ja słyszę.—Nie dałbym, a muszę! Surdut zdzieram ostatni, szczotek nie kupują, butów nie biorą; szewc jakiś szelma osiadł we wsi; muszę!

Zaczął coś niewyraźnie mruczéć pod nosem i liczyć na palcach, kombinując snadź dochody i wydatki; o mnie zapomniał.

— Panie Jędrzeju! — zmiarkowawszy to, krzyknąłem mu do ucha i dla lepszego rezultatu pociągnąłem za rękaw.

— Co!... co?...— zapytał z przestrachem, nagle myślom wyrwany.—Przepraszam, przepraszam...

— Gdzieś pan ubił tego nura? — zagadnąłem, chcąc go napowrót do rozmowy pobudzić.

— Gdzie? Tam na wiklach, na tatarach, za lasem. Skoro świt, idę przed kilkoma tygodniami na łąki; Marget za mną, wierna psina. Słońce wstaje, świat jak złotem oblał; mgła jeno wije się przed światłem; wikle jak raj zielenieją, tatar i wierzbina się kołysze, a ptastwo drobne raz wraz chmarą podlatuje — opowiadał, odzyskując ożywienie. — Wtém Marget przy nodze mi staje, uszami strzyże, pyskiem rusza. „Coś zwęszył“, myślę. Patrzę w prawo w lewo, a tu nur wśród zarośli się buja jako żagiel statku. Sunę naprzód, przyczajam się, naciągam cyngiel — paf! nur w górę się podrywa i z przestrzeloném skrzydłem wnet opada. Ja naprzód, łamię tatar i wiklinę; jużem dwa łokcie od celu, widzę jak ptak głowę nurza, skrzydłem trzepie; już tylko rękę wyciągnąć, by go dostać, myślę — wtém wpadam sam w jeziorko ukryte w zaroślach; gruntu pod nogami nie czuję, grzęznę po pas, po ramię; chcę się wygramolić, muł nogi trzyma; łapię wierzbinę, gałąź się łamie; śmierć mnie chwyta! Tak, to śmierć była, panie, co mi wtedy ciało obsiadła. Piersi miałem jak w deskę wszyte; już mnie dusiła

za gardło; lecz światło przytomności jakoś przez głowę błysnęło: rzuciłem się w tył całą mocą i wyciągnąłem rękę ku starej wierzbie nad wodą schylonéj, ha!—schwytałem przecie gałąź grubszą i zawisłem. Byłem ocalony! O nurze zapomniałem. Suszę odzież na sobie, oddycham; w tém patrzę, a Marget za łapę ptaka trzyma i przynosi delikatnie, ostrożniutko, że piórka nie wyrwał!

— To zmyślny pies, widać mu z oczu, — rzekłem. — Musi być przytém przywiązany.

— O! gdybyś pan wiedział, jak on mnie rozumié, jak zgaduje! Człowieka złego i dobrego przeczuje od razu. Wie, żem głuchy, przed niebezpieczeństwem mnie ostrzega. Biorę fuzyą, on pierwszy przed dom wychodzi i czeka, do lasu zmierza. Gdy nam dobrze polowanie pójdzie, staje przedemną, ogonem macha, i uśmiecha się; naprawdę pyszczkiem tak porusza, jak dziecko, gdy przez sen się uśmiecha. Dwa razy życie mi ocalił! Poszedłem zeszłéj zimy na kuropatwy, szukam śladu, śnieg duży, mróz ścina; błądzę po zagajnikach, na trop wpaść nie mogę, a po długiéj wędrówce głód mnie ściska. Sięgam do torby: pusta! zapomniałem jadła. „To spocznę przynajmniéj na moment“—pomyślałem. Siadam pod sosną na brzegu lasu, plecami o pień, kolana stawiam, fuzyę między niemi lufą w górę. Marget naprzeciw mnie kucnął. „Pilnuj psie!“—mówię, przyrzekając wszakże nie zasnąć. Lecz po chwili gałęzie plączą mi się przed oczyma, wydłużają; pnie tańczą, śnieg rośnie—górę czuję na piersiach. „Wstanę!“—wołam jeszcze; a tu już powieki zwisły, ciemność w oczach, w członkach ołów—i zasypiam... Byłbym zmarzł; nogi już miałem skostniałe; gdy w tém ciepło czuję na twarzy i szarpnięcie za rękę. Oprzytomniałem, otwieram oczy: pies na mnie, i liże mi ręce i policzki, by obudzić!

To panie rzecz nie mała! Nie każdemu człowiekowi dano życie drugiemu uratować.

— Pan kochasz tego psa? — rzekłem, odczuwając przejęcie, z jakiem opowiadał.

— Czy kocham? Bo ja wiem? bo ja wiem?—powtarzał stary, z tym uśmiechem, który twarz gniótł mu w poprzeczne zmarszczki. Ja tego zapomniałem!

— A! zapomniał kóchać! Aluzya do samotnego życia,—zauważyłem w duchu.

— Dawno go pan masz?—zapytałem głośno.

— Będzie sześć zim, sześć wiosen. Poprzednio miałem angielskiego wyżła, dzieci go otruły: nie dawał łamać kukurydzy, wyrywać marchwi! Oj! te dzieci, panie, te dzieci! przez nie musiałem zrobić to okienko przy progu, aby pies miał się gdzie schronić, gdy go prześladują, aby i kobiéta mogła wstawić mléko zrana. Dawniéj,

gdy pod dachem chowała, wypijali. Pies uczciwszy; garnek ma pod nosem na podłodze, nie ruszy; jeszcze okaleczy, gdy złodziéj rękę wsadzić probuje. Raz tak było: rozdarł chłopcu palec. Oj! jak się te dzieci mściły! Upatrzyli drzwi otwarte, wpadli gromadą z psami, rzucili się do szafy—wówczas nie zamykałem jéj na kłódkę—wywlekli ptastwo, a miałem piękne okazy: trzy nury, kraski, dudki, remizy z gniazdami, cyranki, puchacze, orzeł stał na wierzchu; wszystko cisnęli psom na pastwę; dzicz poszarpała moje ptaszki, potargała, rozjadła, rozwścieczona. Pierze latało po izbie jak śnieg w zamiéć. Poduszczynę ostatnią z pod głowy rozpruli kozikiem. Goniłem łotrów, biłem, nic mogłem dać rady. Było ich kilku, ciągnęli za ręce, podstawiali nogi. Żal mnie ścisnął, płakałem. Nury rozpłatane tarzały się w piasku. Straciłem zarobek miesięcy kilku; przez całą zimę butów kupić nie mogłem; zabrałem się tedy sam do szewstwa, do szczotkarstwa, byle coś zarobić. Dzieci, panie, to bardzo swywolne stworzenia. Jest w nich cała złość ludzka, złość starszych, przebiegła, chytra, zajadła, jeno weselsza z młodości, na pozór pusta, lecz na dnie bardzo dukuczliwa i bolesna.

— Ależ na Boga! panie, takiéj psoty nie należało puścić płazem! Czemuś pan przed rodzicami nie skarżył rozbójników?

Twarz starca przybrała wyraz dobrotliwéj pogardy.

— Sprawiedliwość ludzka!—rzekł, ramionami ruszając. Chodziłem, skarżyłem—zwymyślali, zelżyli—siedm lat nie zaglądam do wsi.

— Jakto? żyjesz pan zupełnie bez ludzi, bez towarzystwa?

— Nie szkoda, nie szkoda! Ludzie ludziom największe zadają rany. Przyroda nieszczęśliwym pociechą. Człowiek pójdzie w las, na pola—patrzy w świat—zapomina o sobie.

— Ale pan masz w bliskości miasteczko, kościół?—umyślnie rzuciłem na próbę.

— Kościół?—oburknął gniewnie. A mnie co do tego? Po co mnie świecić w kościele i Panu Bogu się naprzykrzać. Dość takich na świecie, którzy nie rozumieją Stwórcy i nie chwalą w naturze; niech oni zawalają kościoły.

— Niezawodnie ta rzekoma bezbożność największém cudactwem w oczach miejscowych—pomyślałem.

— Dawno pan tu mieszkasz?—zagadnąłem, raz drugi dotykając téj kwestyi.

— O, niejeden za mnie urodził się i umarł.

— Lat dziesięć najmniéj, piętnaście?

— Ile? Trzydzieści, panie, trzydzieści!

— Czy być może? Toś pan w zupełnéj młodości tu osiadł?

— Młodość? hm...—podjął z politowaniem.

— Jest czasem młody w latach siedmdziesięciu, zgrzybiały w trzydziestu. Ja byłem, panie, stary, głuchy—już przed trzydziestu laty byłem stary i siwy, choć mam dzisiaj ledwo rok sześćdziesiąty czwarty.

— Co pan mówisz, na Boga! Cóż pana tu wygnało?

— Co? Wstręt do ludzi i świata. Mus śmierci, a wstręt i do samobójstwa,—odparł cicho.

Odwrócił się, wziął ze stołu kukurydzę i drżącą ręką jął oskubywać ziarnka.

— Miałeś pan żonę, rodzinę?—zahazardowałem.

— Kukułczą!...

— Marget? hi, hi, hi!.. Moja żona była Margeta! hi, hi!—wołał rzuciwszy się nerwowo na ławę; i śmiał się jak skrzypiący but, gryzł ziarnka, pluł i psu zbierać kazał.

— Czemuś ty mnie, psie, w mróz rozbudził? pomoc ludzką zwołał, gdy śmierć chorobą gnębiła? Na co mnie żyć?—myślał głośno; głowę spuścił i ręce na kolanach oparł.—Marget, psie! czyś ty miał dzieci? hi, hi—dzieci! Marget... dzieci!—powtarzał.

A pies ocierał boki o kolana jego, wspinał się, lizał mu ręce, ramiona, szyję, jakby dla ukojenia; wreszcie na ziemi się położył, lizał nogi i w końcu łeb między nie wsadził i tak został.

— Głupstwo!.. Ludzie mówią: wszystko głupstwo, — gadał znów pan Jędrzej do siebie, nie podnosząc oczu. Życie głupstwo, uczciwość głupstwo, serce, praca głupstwo,—jédz, pij, hulaj i śpij nie pytaj, byle ci dobrze było; a źle? to w łeb kulą—i basta!—A tu nie prawda! Człowiek zrzuca skórę, ucieka, sam się depce, krzyczy: głupstwo!..—i sam się znów ściga, przed sobą dawny, staje i odpowiada: nieprawda. I zgnieść myśli, piersi zdrętwić nie może—i w udręczeniu żyje, choć nie chce. O!... śmierć na zawołanie nie przychodzi! nie przychodzi!—dodał ciszéj i zamilkł, tworząc z psem jakby martwą całość.

Minuty upływały, nie poruszali się, snadź przyzwyczajeni do pozy, w jakiéj zostawali.

Teraz na seryo mniemałem, że mnie obaj zapomnieli; nie chciałem wszakże odchodzić, spodziewając się, że przecie rozwiąże się przedemną dramat, którego wątek już posiadłem.

Jakoż cierpliwość moja została nagrodzona.

Może w kwadrans pan Jędrzej głowę z rąk wychylił i podniósł; popatrzył na mnie wzrokiem człowieka, budzącego się z długiego snu i szepnął do siebie, jak poprzednio:

— Jest za młody, nie może pamiętać—przyczém machnął ręką.

Pies na nogi skoczył i uszy postawił, czekając rozkazu.

— Idź do sieni, Marget, nie słuchaj!—rzekł starzec łagodnie.

Pies się wyniósł, łeb naprzód wyciągając.

— Czy pan wiesz, co to hańba dla człowieka, który nie miał skazy na imieniu?—zapytał nagle zwracając się do mnie.

W odpowiedzi skinąłem głową i bliżéj przysunąłem stołek.

— Nie znosiłem plamki, udźwignąłem hańbę!.. i mówić tu, że człowiek istota słaba! Znosiłem, miesiąc, dwa, trzy—rok—choć wiedziałem, że złe powiększam cierpliwością i zaparciem. Ale nie przez tchórzostwo byłem taki głupi; nie przez obawę utraty życia w obronie téj, co mnie zniesławia,—tego pan nie myśl; nawet nie przez pogardę świata, którego nicość znałem na dwie strony; ale przez najwyższe głupstwo, które mimo to rządziło nawet Salomonem: przez miłość, tę nędzę i bogactwo człowieka!... Wściekałem się z bólu. Gdy mnie szał porywał, wypalałem ciało pogrzebaczem na ramieniu, na piersi, a milczałem, bom chciał przed światem ukryć mój wstyd, mój ból; nie chciałem aby ludzie poniewierali imieniem kobiéty, którą, ja za godną miłości uznałem!.. I cóż? Pan wiesz, co się stało? Prawda! nie możesz wiedzieć; byłeś dzieckiem, albo zgoła na świecie jeszcze nie byłeś. Zdradziła! Uciekła z tamtym mimo mego pobłażania. Rzuciła mnie, dziecko, skandalem zdarła zasłonę z naszego pożycia... Świat na języki chwycił jéj występek, mój ból, a głupotę—i trząsł niemi jak błazeńską czapką; no, pan wiesz, byle módz czémś dzwonić; to tak miło i zabawnie—hi! hi!.. hi, hi... Wyśmiewano przedewszystkiem osła z rogami.. Pan znasz pociski szyderstwa?—zapytał, podnosząc na mnie wzrok zagasły.—Myślę, że woleliby torturowe kleszcze ci, co je cierpią...

Zapadłem w tyfus, ogłuchłem, osiwiałem. Rzuciłem rodzinne strony, umarłem dla świata... dziecko mi umarło... mienie oddałem szpitalom; niech ratują ludzi, którym życie miłe—mnie nic nie potrzeba, ja nie żyję—dodał do siebie.

— Trzydzieści lat nie byłem za temi górkami; nie wiem co się w świecie dzieje. Co zima tylko znaczę karb, tam na oknie. Trzydzieści razy przysypywał mnie śnieg, a ziemia jakoś przysypać się nie śpieszy. Oj, nie śpieszy!.. — powtórzył z żalem i zmęczeniem starca, któryby rad po trudach spocząć.

Głowę na rękę spuścił—i w chwili téj wydał mi się istotnie zgrzybiały znękaniem.

— Powiédz mi pan, czy się nic na świecie nie zmieniło?—zagadnął po długiéj przerwie. Czy i dziś... i dziś są tacy, jak ja?—I dziś dzieje się tak samo?..

Wzruszyłem jeno ramionami, bom oczywiście sam znał kukułki nietylko w lesie między ptactwem. *St. Ariel.*



WRAŻENIA LITERACKIE.

= **W walce** z **losem**, *powieść w trzech tomach przez Jerzego Myriela.* (Warsz. 1889, str. 208, 230, 183). Powieść ta jest utworem autora, który przed kilku laty napisał „Syna przemytnika“, rozbieranego dość szczegółowo w „Ateneum“. Różnica jéj od poprzedniéj jest znaczna i nie z nadzwyczajnemi, lecz z dość pospolitemi na świecie stosunkami mamy tu do czynienia; ton ogólny jest bardzo powszedni, niby realistycznie odtwarzający zdarzenia i rozmowy życia codziennego, a nieraz tak banalny, jak bywa towarzystwo ludzkie, rozpatrywane oczyma płytkiego spostrzegacza. Wspólne znamię pozostało jednak w „Walce z losem“ takiém, jak je widzieliśmy w „Synu przemytnika“: autor nie dba o głębię i o konsekwencyą psychologiczną, uganiając się tylko za tém, aby zajął przeciętną publiczność czytelniczą, chociaż rzadko kiedy cel ten osiąga. Przedstawić zamierzył dzieje czworga dzieci pozostałych po sławnym lekarzu Gerlichu, o którym miano wyobrażenie jako o bardzo bogatym człowieku, a który, nagle zmarłszy, prócz biblioteki, narzędzi chirurgicznych, mebli i nader szczupłéj kwoty w gotówce żadnego im innego skarbu nie zostawił, a nawet nie przygotował ich do walki z losem. Troje z rodzeństwa już było w wieku dojrzałym, jedna dziewczynka jeszcze chodziła na pensyą. Oczywiście owi dorośli robią z początku najmocniejsze postanowienie pracowania, byle módz się utrzymać i zapewnić ukształcenie Ewuni. Ale okazuje się, że to postanowienie musiało pozostać w sferze oderwanéj bez możności urzeczywistnienia. Żadne z nich nie posiadało właściwie umiejętności i zdolności pracowania samodzielnego; przyzwyczajeni do wygód za życia ojca i do bezczynności nie mogli i nie umieli znaleść zajęcia chlebodajnego. Najstarszy wiekiem, ale najlichszy charakterem Józio, który jeszcze za życia ojca grubo się zgrywał w „klubie“, co jakoś aż zanadto pobłażliwie przyjmował rozumny i powszechnie szanowany lekarz, teraz po jego śmierci, zrobiwszy kilka niepomyślnych prób o dostanie dochodnego miejsca, niebawem wciągnięty w życie próżniacze człowieka, wyzyskującego ludzi i los gry kartowéj, staczał się coraz niżéj po pochyłości moralnéj, chociaż przez czas dość długi umie się utrzymać na powierzchni

stosunków towarzyskich i wśród grona młodzieży złotéj i pozłacanéj ma wziętość. Jest to szubrawiec, który odrzuciwszy całkowicie myśl nawet pracy, gotów jest każdéj chwili do podłości, jak tego dowiódł, opuszczając ciężko chorą siostrę, zabrawszy jéj pugilares z pieniędzmi. Autor zresztą nie zajmuje się nim bardzo, wprowadza go tylko od czasu do czasu, zawsze z szablonowym uśmiechem, dowcipem cynicznym i lekkomyślnością. Siostra jego Malwina miała być zapewne wzorem kobiety zrezygnowanéj, cierpiącéj w milczeniu, surowéj zarówno dla siebie jak dla innych niewiast na punkcie moralności. W gruncie rzeczy jest to dość zwykły okaz bierności duchowéj, nie tylko nie sympatyczny, ale niektóremi stronami charakteru nawet wstrętny. Po śmierci ojca, będąc cichą, gospodarną, zostaje wybrana na żonę przez długoletniego znajomego i najserdeczniejszego przyjaciela“ (I, 18) doktora, radcę Wincentego, i po namyśle przyjmuje ona tę propozycyę dla zapewnienia opieki siostrom, a oczywiście i sobie. Pan radca zrazu obiecywał wszystko, ale potém coraz mu cięższemi wydawały się obowiązki, których się podjął, a które w gruncie rzeczy zredukowały się do utrzymywania żony, nie mającéj najmniejszych wymagań i jej najmłodszéj siostry Ewuni. Radca ten, inny na początku powieści, inny w środku, inny przy końcu jest właściwie gutaperkową figurką, wywracaną przez autora na wszystkie strony dla rozśmieszenia czytelników, którzy zamiast tego nieraz porządnie się nudzą. Malwina jest dobrą i wierną żoną, znosi cierpliwie wszystkie zrzędzenia coraz bardziéj starzejącego się radcy, spełnia jego wolę we wszystkich szczegółach, stosuje się do wszelkich kaprysów. Nigdzie w towarzystwie nie bywają razem i u nich odbywa się tylko raz na tydzień wińcik, na którym prócz partnerów i gospodyni nikogo więcéj nie bywa. Jedynymi ich znajomymi (rzecz dziwna, bo zarówno radca przed ożenieniem się jak i Malwina za życia ojca mieli bardzo rozgałęzione stosunki) są tetryk kontroler i wesoły a poczciwy kupiec Beczkowski. Autor atoli i tych znajomości nie wprowadza w organiczny związek z charakterystyką radcy i Malwiny, tak iż choć Beczkowskiego widujemy dość często, poznajemy tylko dobre jego serce i zwietrzałe koncepty, ale głębi duszy wcale, podobnie zresztą jak i innych osób, a co więcéj przekonywamy się, że jego wpływ na radcę, raz zaakcentowany bardzo, późniéj, dla wątku powieściowego, schodzi do zera.—Druga z kolei siostra Iza, temperament gwałtowny, egzaltowany, jest nie nowym wprawdzie, ale najlepiéj w całéj powieści przedstawionym charakterem. Pokochała całém gorącém swego entuzyastycznego serca egoistę szczwanego, który chciał ją jedynie wyzyskać i porzucić, skompromitowana przezeń opuszcza zajęcie guwernantki, dostaje się do teatru prowincyo-

nalnego, przechodzi błota życia koczowniczego, zyskuje przyjaźń, szacunek i miłość bogatego opiekuna, który ją obwozi po Europie dla wykształcenia w sztuce dramatycznéj, zjeżdża do Warszawy, podbija grą swoją całą publiczność teatralną, lecz doznaje goryczy strasznéj, gdy się przekonywa, że brat jéj jest podłym, a siostra surową purytanką, nie chcącą mieć z nią stosunków, tak dalece, że podczas pierwszéj niebezpiecznéj choroby ani razu jéj nie odwiedziła, chociaż gorączkowo śledziła przebieg jéj słabości. Dopiero w ostatnich tygodniach życia Izy, złamanéj moralnie raczéj, niż fizycznie, cnota Malwiny złagodniała, gdy jéj Iza oświadczyła, że ów jéj serdeczny opiekun Skalski ożenić się z nią postanowił. W obrazie tryumfów teatralnych Izy jest dużo reminiscencyj ze scen głównych w Warszawie, ale jakby dla zatarcia istotnéj prawdy, podniesionych do przesady. W obrazie cierpień z powodu stosunków rodzinnych, zanadto uwydatniony został w Izie pierwiastek sentymentalny, który nie obcy jest wprawdzie usposobieniom egzaltowanym, ale przejawia się trochę inaczéj, niż w książce Myriela.—Trzecia wreszcie siostra Ewunia, otoczona miłością obu, a opieką starszéj, to typ dobrze znany naiwnego podlotka, w paru scenach rozmowy ze studentem, późniejszym mężem, szczęśliwie scharakteryzowana, ale poza temi scenami zupełnie nic nie znacząca. — W kompozycyi ogólnéj uderza brak planu dobrze obmyślanego, zapominanie o podanéj już charakterystyce, lub szczególe, jednem słowem pisanie urywkami wśród nader różnych usposobień. Pierwszy tom grzeszy nadzwyczajną rozwlekłością, gdyż opowiada zbyt szczegółowo rzeczy wcale nie zajmujące; w każdym jednak razie jest w nim pewna spójność części, jest naturalny rozwój wypadków; ale od końca tego tomu tj. od ucieczki Izy tajemnéj, niczém nie umotywowanéj, tylko dla teatralnego efektu na końcu tomu położonéj, rozpoczynają się sceny luźne, słabo wiążące się w artystyczną całość. Stosunkowo najlepszym tu ustępem (w tomie II) jest obraz pobytu Izy jako guwernantki w domu obywatelskim zamożnym, mającym pretensye do pańskości i wytwornego gustu; zapewne wiele tu szczegółów z natury pochwyconych. Druga część tomu, gdzie mowa o zrzędzeniach, podejrzeniach, kłótniach i godzeniach się radcy Wincentego należy do nader nudnych. W trzecim tomie główną; a nawet wyłączną uwagę zwraca na siebie Iza, a że ten charakter należy u autora do najudatniejszych, więc też i scenowanie wiele ma życia i budzi niemałe zajęcie. W stylu znać raczéj rutynowanego dziennikarza, czasem komedyopisarza, znającego światek swój teatralny, leez nigdzie nie ma polotu, ani piękna prawdziwego. Tak opowiadanie i rozmowa ma charakter francuski i to tak nawet, że autor liczy w tygodniu dni osiem, chociaż myśmy do innéj rachuby

przyzwykli. Zwrotów niepoprawnych niewiele; wolelibyśmy jednak, ażeby zamiast obcego wyrażenia: *przyjmować* udział, Myriel zechciał używać polskiego *brać* udział.

= *Sewer*. **Świat ludowy**, *nowelle* (Warsz. Teodor Paprocki, 1889, str. 303). Niejednokrotnie już drukowało „Ateneum" obrazki autora z życia ludu; czytelnicy więc nasi mieli sposobność zapoznać się sami z właściwościami powieściopisarza, zarówno pod względem pomysłów, sposobu przedstawiania uczuć, jako też i stylu. Dobra, bo dokładna i na długotrwałéj obserwacyi oparta znajomość pewnéj części ludu w Galicyi, głębsze wniknięcie w jego psychologią, niemałe poczucie miary artystycznéj, umiejętność malowania przyrody w krótkich, ale dobitnych i znamiennych rysach styl żywy i obrazowy — oto główniejsze zalety nowel i szkiców, jakie Sewer w ciągu ostatnich lat dziewięciu nakreślił. Jest on realistą i bohaterów swych ludowych bynajmniéj nie idealizuje, jak wogóle nie myśli o tendencyjném wykrzywianiu prawdy, gwoli dowiedzenia jakiejś z góry powziętéj myśli; przedstawia dobre i złe strony życia chłopskiego, jednakowo charakterystycznie; nie popada w krańcowości, nie zaczernia swych obrazów pesymistycznie, nie zaróżowia optymizmem. Jeżeli ma jaką słabostkę, godną zresztą najserdeczniejszego uznania, to w malowaniu cierpień i nieszczęść, jakie spotykają maluczkich, w rozrzewnianiu czytelnika nagromadzeniem tkliwych i bolesnych rysów z życia sierot wiejskich. Pod tym ostatnim względem ma on podobieństwo do Daudet'a, lub do Sienkiewicza z doby Janka muzykanta. W zbiorku, o którym teraz mówimy, jest jedna taka, pełna łagodnie odmalowanego smutku nowela p. n. „Dola". Czternastoletnia dziewczynka sierota, mająca serce skłonne do wzruszeń sympatycznych, poniewierana przez stryjnę, lękając się kary za cielę zabłąkane, ucieka, próbuje się utopić, potém kładzie się na szynach, ale uratowana, wspomożona datkiem pieniężnym przez podróżnych, dostaje się pod opiekę człowieka brzydkiego, również jak ona osieroconego, równie jak ona niedoznającego miłości ludzi z powodu swéj brzydoty. Dziewczynka choruje. Marcin otacza ją najtroskliwszą opieką, marzy wraz z nią o przyszłości, o pobraniu się i kochaniu; ale smutna dola rwie tę tkankę rojeń; siérota umiéra, szczęśliwa, że choć raz w krótkiém swém życiu zaznała, co to życzliwość serdeczna, co to delikatna tkliwość. Pierwsza część tego obrazka, gdy Marcysia krowy pasie, gdy zbiéra kwiatki, by ukradkiem dostawszy się na procesyą Bożego Ciała, wysypać je przed obrazem N. Panny, jest bliższa podobno rzeczywistości, aniżeli część druga, malująca przygody Marcysi, a zwłaszcza owę smętną sielankę w lesie. Dwie inne nowele w zbiorku pod ogólnym napisem: „Dla świętéj ziemi",

są w odrębnym opowiedziane tonie. Autor pochwycił bardzo dobrze jeden z najznamienniejszych rysów charakteru chłopskiego: żądzę posiadania ziemi, będącą zresztą tylko specyalnym przejawem powszechnéj żądzy mienia u wszystkich warstw społecznych, i dzieje téj namiętności w kolizyi z uczuciami miłosnemi dobrze przedstawił. W „Kasi“ doskonale skreślony został obrazek wypuszczenia żołnierza ze służby, wrażenia jednego z wypuszczonych, powracającego do wioski rodzinnéj, gniew i straszny żal utraconego gruntu, który matka sprzedać musiała dla pokrycia długu bankowego, zaloty Józka do bogatéj wdowy, a odwrócenie się od energicznéj, poświęcającéj się dla niego siéroty Kasi, którą przecież lubił namiętnie, myśli i postępowanie téjże Kasi, opuszczającéj wprawdzie chatę Józka, gdy się o wdowę oświadczył, ale wracającéj potém na wezwanie serdeczne jego matki. Mniéj są rozwinięte kolizye, wynikłe z naprężonych stosunków pomiędzy Józkiem, jego żoną i Kasią, i dla tego zakończenia niepodobna zadawalniającém nazwać. „Hanka“ doskonała jest, jako obraz bohaterki tytułowéj. Dziewczyna biédna, siérota, ale piękna, energiczna i rezolutna, umie sobie dać rady z chłopcami i starszymi. Pragnęłaby wydać się za mąż bogato, ale gdy upatrzony przez nią syn wójtowy nie miał dość siły, by się oprzéć woli ojca, ciągnącego go do dziewczyny bogatéj, patrzącéj „świdrami“, wychodzi za równie ubogiego jak sama, postanawia wraz z mężem dorobić się i dochodzi swego, tak, że wójtowie zaczynają żałować, iż nią dla syna wzgardzili. Miło jest patrzéć na te objawy żywotności, siły i zręczności w tych dwojgu wieśniakach, którzy nie skarżą się, lecz pracują wytrwale. Natomiast poboczne figury, jak wójtowie, ich syn, Guliczka, jéj córka, lubo wszyscy mają cechy znamienne, wybornie pochwycone, nie są przecież należycie rozwinięte.

= **Nowelle** *Włodzimierza Zagórskiego* (*Chochlika*). Warsz. Nakład G. Centnerszwera, 1889, str. 224. O talencie powieściopisarskim p. Zagórskiego, „Ateneum“ pisało już lat temu kilka; właściwości jego są urobione i ustalone, tak, że zmian w nim spodziéwać się już niepodobna. Taż sama łatwość pisarska, taż sama zamaszystość i posługiwanie się rysami grubo ale śmiało i pewną ręką nakreślonemi, taż sama werwa satyryczna i dowcip niemały, któremi się cechowały dawniejsze utwory powieściopisarza, odnajdują się i w tych trzech szkicach, czy obrazkach, które w obecnym zbiorku odczytujemy. Pod względem sfery, wziętéj do odtworzenia, oraz tonu, wyróżnić w nim potrzeba „Iwasia“ od dwu innych zarysów. „Iwaś“ drukowany był najprzód w „Ateneum“ (r. 1885); stali czytelnicy tego pisma znają go i pamiętają zapewne. Jest to rzecz realna i poetyczna zarazem; przeciwieństwo dwu różnego rodzaju

temperamentów w zakresie stosunków wiejskich. wybornie zostało w niéj pochwycone i odtworzone. Kowal Matwij i siérota Iwaś, przyjęty przezeń do kuźni i kształcony na rzemieślnika, to dwa odbicia jednego temperamentu: spokojnego, lubiącego pracę, porządek, uczciwość; a córka Matwija Zośka i przybłęda Ignac, to znów dwa odbicia drugiego: burzliwego, namiętnego, lubiącego zabawę, rozkosz, skłonnego do wszelkich burd i występków. Jak bywa zazwyczaj, tak i tutaj się stało; nie dobroć, szlachetność, statek i rozum, ale błyskotliwa czupurność, pozorne, ale wymowne uczucie są górą, dopóki nie zaplączą się we własne sieci i nie zginą, pociągając za sobą upadek i dobrych, a zacnych. Bardzo trafnie w Zośce odmalował autor kolejne wahanie się temperamentu, odziedziczonego po matce-awanturnicy, lecz modyfikowane wpływem rozumnego ojca i towarzysza lat dziecinnych, Iwasia. Gdyby nie powtórne pojawienie się Ignaca, byłaby może wyszła za Iwasia i przez czas jakiś gospodarowała porządnie i dobrze. Związanie swego losu z losem kontrabańdzisty, pociągnęło ją w przepaść. Niepotrzebném i trochę melodramatyczném jest przypuszczenie autora, iż kula, co przeszyła jéj serce, wypadła ze strzelby Ignaca; nic niemożliwego, w tém nie ma wprawdzie, lecz trąci to nieco zdawkową moralnością powieściopisarską. Zresztą prostota, prawda i szczerość uczucia, są zaletami téj pięknéj nowelki. Zupełnie w innym tonie opowiedziane jest udramatyzowane wspomnienie „Ze studenckich czasów“. Jest to anegdota żywo, barwnie, zręcznie i dowcipnie przedstawiająca kłopoty 14-letniego ucznia, jadącego na wakacye; najprzód chcąc szparko powozić, wywrócił i popsuł bryczkę, a powtóre widząc piękną żydówkę, która nie chciała wyjść za kaprawego żydka, tylko pragnęła się ochrzcić, bo się kochała w przystojnym leśniczym, chrześcijaninie, ryzykownie wdał się w tę sprawę. Kłopoty kończą się szczęśliwie i wesoło. „Zero“ wreszcie to także anegdota tylko, lubo zawierająca w sobie materyał do poważniejszéj powieści. Dwudziestokilkoletni hrabicz, setny próżniak, rozbawiony na targowicy próżności, ale mający lepsze popędy, jedzie sam nie wié dlaczego do Wenecyi, poznaje tam piękną, powabną, rozmowną i ukształconą Amerykankę, kocha się, zdobywa jéj serce; ojciec panny (widocznie z wielkiego tylko przywiązania do córki) ofiaruje mu jéj rękę, ale hrabicz odrzuca ją, uznając się za niegodnego, bo jest niczem, bo pracy nie rozumie i lęka się śmieszności... Świadomość swéj nicości społecznéj hrabia Zdzisław posiada, lecz już w 20 którymś roku utracił wszelką energię, już zrozpaczył o możności przemiany sposobu przepędzania czasu. Zręcznie zaznaczony jest przez autora moment decydujący, gdy hrabicza propozycye Amerykanina o zakupie wołów, baranów i świń, obléwają „lodową kąpielą„.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Lekkomyślność narodowa.—Niezmienione drogi Opatrzności. — Gęsi, prasa i p. Lysen.— Chytrość Belgów.—Zuchwałość i awanturniczość tego narodu. — Nasze cnoty. — Opozycya i atak na synekury. — Co mają robić zdolni biedacy, gdy już synekury ostatecznie wyklęte zostaną.—Wina kapitału, wina literatów.—Czem można zastąpić posadę na kolei.

Jak wiadomo lekkomyślność i brak przenikliwości jest tém w naturze naszéj, czém twardość w żelazie, lub tłuszcz w maśle — ani czas, ani ludzkie usiłowania usunąć ich nie zdołają..... Bylibyśmy padli ofiarą chciwości belgijskiéj, gdyby nie... prasa. Stąd się okazuje, że Opatrzność przez dwadzieścia kilka wieków, pomimo zaprowadzenia nowéj ery, niezmieniła dróg swoich i zawsze czuwa nad nieopatrznymi; czasami tylko do wykonania wyroków swoich używa innych narzędzi. Ongi w Rzymie, gdy sen głęboki zmorzył ludzi, gęsi ratowały Kapitol. Historycy i poeci uwiecznili za to ich pamięć:

Gęsi, że Rzym uwolniły,
Wielbione były!

śpiewa nasz wieszcz. A sława, jak wiadomo, bohaterów swoich upaja, a w świadkach najodleglejszych nawet budzi zazdrość i pożądanie. Dzisiaj „król stworzenia“ nie dopuści już nigdy istot pośledniejszych do odegrania tak zaszczytnéj roli i gdy sposobność znajdzie, sam robi alarm. Z dumą przyznać to sobie możemy, że gęsi kapitolińskie ani w setnéj, co mówię, ani w milionowéj części nie umiały tak dobrze spełnić zadania, jak prasa. Pamiętając nawet o przestworach dwudziestu kilku wieków, przyznać trzeba, że postęp ogromny. Bo cóż zrobiły niegdyś gęsi? Wydawały dźwięki nieharmonijne, nieobmyślane, nieartykułowane nawet! Czyż je porównać nawet można do tych słów silnych samym swym brzmieniem, do tych potężnie wykutych frazesów. Pan Lysen został pobity i cofnął się, sromotniéj może, niż Gallowie z pod murów Rzymu. Ale na tém nie koniec. Straty jego nieograniczają się na

klęsce materyalnéj, ani na zawodzie jego mocodawców, „awanturnik“ ten zgubiony został moralnie w oczach całéj Europy. I z pewnością, gdyby jaki prokurator, lub sąd oskarżeniom dzienników nadawał połowę chociaż téj wagi, jaką w jego oczach posiada zeznanie świadka nawet niezaprzysiężonego, to p. Lysen, a może i poważna mniejszość narodu belgijskiego na długi czas pozbawiona byłaby możności włóczenia się po świecie i zajmowania sprawami jakichkolwiek kolei.

Na osłabienie zbyt surowego wyroku o naszéj lekkomyślności da się jednak przytoczyć kilka łagodzących okoliczności. Naprzód z Belgami po wsze czasy stosunki nasze były prawie żadne. Nie przychodzili do nas z orężem w ręku, jak Szwedzi i Turcy, nie przywozili porcelany, jak Sasi, płótna, jak Holendrzy, włoszczyzny, jak Włosi; nie mieli też tak dobrego wina, jak Węgrzy, abyśmy sami do nich jeździli. Skądże znać ich można było.

Daléj, jestto naród, który chytrze poczynać sobie umie. Oddawna widocznie zagięli parol na bogactwa nasze; ale jak gracz podstępny, co z początku ofierze swojéj wygrać nieco pozwoli, aby ją póżniéj do ostatniéj doprowadzić zguby, tak też i oni: nabyli naprzód kopalnie i tak się sprawowali, że w czujnéj prasie nie ukazała się nigdy, ani jedna skarga; potém tramwaje wybudowali, znowu grzechem byłoby utrzymywać, że funkcyonują one gorzéj od innych instytucyi; chcieli jeszcze Warszawę uwolnić od zarazy powiśla, i obdarzyć miejscem przechadzki po nadrzecznych bulwarach, ale to już im się nie udało. Na dobitkę potrafili obałamucić opinią i w całym świecie uchodzą wciąż za porządnych. Nikt np. nie słyszał, aby przemysłowcy i kapitaliści belgijscy przez wyrabianie tandety zrazili po kolei dla wszystkich swoich produktów rynki wschodnie, lub zachodnie. Pomimo tylu dzieł o rolnictwie, nigdzie wzmianki wyczytać nie można, aby dewastacya była w Belgii dostrzeżoną w wielkich, średnich, lub małych gospodarstwach. Każdyby przysiągł, że nie umieją rabować swéj własności, że porządna eksploatacya z oglądaniem się na jutro i pojutrze, weszła w ich krew i w nałogi. Skądże więc mogliśmy się domyślać, że przyjechali zrujnować koléj wiedeńską, że gotowali nam klęskę olbrzymich, ogólno-społecznych rozmiarów? I dotąd nicbyśmy się nie domyślali, gdyby nie prasa, która musiała odebrać przestrogę wprost od... Jowisza.

Teraz, po przeczytaniu artykułów wstępnych i sprawozdań, to już łatwiéj przeniknąć nieprawości belgijskie. Zuchwali są i awanturnicy. Nic a nic nie robią sobie z widoków i niechęci naszych. Ktoś tam zarzucił wprawdzie, żeśmy się własnowolnie wy-

zbyli akcyi kolejowych, ale czy z tego koniecznie wynika, żeby jacyś cudzoziemcy, co te akcye nabyli, mieli już tém samem prawo do wtrącania się w nasze gospodarstwo społeczne? Mogli kupić akcye, skoro mieli pieniądze, skoro im się tak podobało, ale powinni byli, zgodnie z najwyższym miejscowym zwyczajem, poprzestać na spokojném pobieraniu dywidendy, którą im corocznie wypłacano. U nas papiery procentowe są na to, aby człowiek siedział za piecem, kładł pasyans i kupony odcinał. Nasz kapitalista jeżeli jedzie do Belgii, to po to, aby w Ostendzie kilka chwil miłych przepędzić, a nikomu drogiego spokoju nie mąci. Tymczasem taki p. Lysen awanturuje się o sto mil, aby się wtrącić do spraw instytucyi, na któréj zarządzie się nie zna. Czyż podobne postępowanie mogło nie oburzyć do głębi duszy, czy mogło nie wywołać tego naprzód deszczu, a potém jak z rynny potoku wymysłów, w używaniu których prasa ćwiczyła się przez wiele tygodni.

Zuchwalcy i awanturnicy są ci Belgowie—my ich nigdy naśladować nie będziemy!

Pod jednym tylko względem głos gęsi rzymskich miał wyższość nad alarmem prasy: nie pozwalał na opozycyą, wszelkie gęganie powiększało krzyk. Tymczasem u nas była opozycya. Kiedy większość biadała nad straszną powodzią klęsk, kiedy wedle jéj zdania groziło zburzenie dotychczasowego składu administracyi, podwyższenie taryf i t. d., opozycyjna mniejszość cieszyła się, że zniesione zostaną... synekury dla literatów. Ponieważ dotąd nikt nie badał i nie wykazał, czy koléj Warszawsko-Wiedeńska istotnie rozdaje literatom synekury, i jeżeli rozdaje, to jaką cząstkę, 8-mio czy 9-cio milionowego dochodu one stanowią, więc trudno mi jest ocenić, o ile zarzuty opozycyi były słuszne. Dręczy mnie jednak obawa, czy czasem pomawianie o te synekury nie jest poprostu wprowadzeniem wewnętrznych niesnasek dziennikarskich do dyskusyi w sprawie poważnéj. Nie byłby to zresztą piérwszy wypadek tego rodzaju.

Kwestya postawiona była tak: każda synekura jest zjawiskiem ujemném, każda posada zajmowana na kolei przez publicystę, jest synekurą.

Naturalnie postawienie takich aksyomatów na czele nadzwyczaj ułatwiło zadanie. Można było odrazu przejść do katonowskiéj potęgi słowa, nabrzmiałego wyrzutém i groźbą. A podobny ton i taka metoda są najwdzięczniejsze, bo nie wymagają zachodu, ani wysiłku myśli, w doskonałém świetle, jak gdyby na ołtarzu wśród świec palących, stawiają własną prawość, a nareszcie brzmią *unisono* z panującemi przekonaniami, więc znajdują też pewny po-

klask. Nie można także uważać za nic przyjemności uszczypnięcia kolegi, którego się nie lubi, albo, co ważniejsza, któremu się zazdrości.

Słowo „synekura“ tyle razy użyte było w znaczeniu ujemnym że czytelnikowi przeciętnemu wcale dziwić się nie należy, jeżeli rzecz i pojęcie odpowiednie z góry, bez badania, uważa za szkodliwe i godne potępienia. Tymczasem tak zwana synekura jest koniecznością życia społecznego i w bardzo wielu wypadkach uważać ją należy za zjawisko nawet pożądane.

Synekurą jeśli się nie mylę, nazywamy stanowisko płatne, zapewniające byt materyalny, a nie wymagające wcale, lub bardzo mało pracy.

Istnieją pewne zajęcia nietylko pożyteczne, ale wprost niezbędne, które przez znawców szacowane są wysoko, które przynoszą częstokroć wiele zaszczytu, ale prawie nic dochodu. Do takich zajęć należą wszędzie niemal i zawsze prace naukowe teoretyczne, a nieraz także—literackie i artystyczne. Natura zaś tych zajęć w większości wypadków pochłania człowieka całego, nie pozwala mu czasu ani życia swego dzielić na pogoń za kawałkiem chleba i urywkowe tylko oddawanie się nauce, lub sztuce. Ponieważ zaś daléj z losem i przeznaczeniem niepodobna zawrzeć kontraktu, aby kojarzył bogactwo umysłowe z fortuną materyalną, a dla wszystkich talentów przyszykował wujaszków w Ameryce, lub wielkie wygrane na loteryi, więc zjawia się zadanie czysto społecznéj natury, w jaki sposób ludziom biednym, a zdolnym dać możność pracowania bez narażenia się na nędzę, jeśli nie na śmierć głodową? Jak dotychczas innego sposobu rozstrzygnięcia zadania, jak przy pomocy tak zwanéj synekury, nie ma. Synekury też we wszystkich cywilizowanych krajach pod rozmaitemi formami i nazwami istnieją, a nieraz bardzo sławni ludzie, zasłużeni i posiadający cześć powszechną w swoim czasie, z nich korzystali. Synekurą są wszelkie stypendya, oraz większość bezprocentowych i bezterminowych zapomóg od towarzystw i instytucyj naukowych. Synekurą jest znaczna część posad przy bibliotekach, muzeach itd. Synekurą są katedry dożywotnie, na których można pokazywać się parę razy na rok i niemieć wcale słuchaczów i td. i td. We wszystkich tych formach synekura zyskała prawo obywatelstwa i bynajmniéj zgorszenia, ani protestów nie wywołuje. Jeden z naszych poetów dostał wprost dobra ziemskie od kraju całego. Dla czegoż by więc koléj przynosząca na czysto 1 $^1/_2$ miliona rocznie nie mogła udzielić kilku, lub kilkunastu synekur? Co w tém anormalnego, że ciężar podejmuje ten, kto ma odpowiednie potemu siły? Utyskiwania na synekury ukazały się w pismach, które ze swoich demokra-

tycznych przekonań są bardziéj dumne, niż znaczna większość szlachty z antenatów i herbów. Przecież synekury są dla ludzi biednych; podatek od kapitałów jest zawsze jednym z zasadniczych żądań demokracyi, a ofiarność na rzecz ogółu także z ust nie schodzi.

Nie chcę bynajmniéj twierdzić, a tembardziéj spierać się, że synekury drogi Warszawsko-Wiedeńskiej, jeżeli takowe istnieją, dostawały się ludziom na nie zasługującym. A niechcę tego tembardziéj, że człowiek może nietylko się mylić, nietylko kierować się niewłaściwymi względami, ale jeszcze mieć odmienny pogląd na zasługi. W téj chwili chodzi mi o zasadę, chodzi o to, aby sam wyraz „synekura“ nie był przytaczany jako argument wystarczający, jako synonim faktu, hańbiącego i tego, co daje, i tego, co przyjął. To niemal nie do uwierzenia, a tymczasém literalnie tak było, że dotychczasowemu zarządowi kolei Warszawsko-Wiedeńskiéj zarzucano jako grzech główny, jako powód do uciechy z upadku, że jakąś cząstkę dochodu obracał na synekury dla literatów. Podobne traktowanie rzeczy wprowadza zamęt do pojęć i wytwarza szkodliwe opinije, wymaga więc protestu.

Pierwszy więc aksyonat jest oczywiście fałszywy i opierał się jedynie na chwyceniu pozoru, zamiast jądra rzeczy.

Przejdźmy do drugiego. Nikt nigdy nie badał faktycznie i szczegółowo, czy literaci, zajmujący posady na kolei téj lub owéj, rzeczywiście nic nie robią. Twierdzenie moje o synekurach nie jest wnioskiem, opartym na istotnym stanie rzeczy, nie było stosowane do pewnych osobistości, lecz wygłoszone zostało zupełnie ogólnikowo: dziennikarz i zajmuje posadę—więc synekurzysta. I znowu wszelki dowód zastępowało zestawienie tych dwu faktów, dla ludzi, którzy nawet w gmachu biura kolei nigdy nie byli.

Mniejsza w tym razie o osoby, ale wytwarza się takie położenie. Zajęcia literackie nie są posadą, zależą od wielu warunków i nigdy pewnym być niepodobna, czy zarobki z nich wyczerpane dojdą do wysokości niezbędnéj. Wobec tego publicyści, szczególniéj obarczeni rodziną, starają się (a nie zawsze to się da zrobić) mieć coś pewniejszego, co by nie oddawało ich na łup nędzy, zabezpieczało od wyrzucenia na bruk i niepozbawiało chleba, w razie choroby naprzykład. Jest-to potrzeba tak konieczna i ogólna, że podlegają jéj nietylko drugorzędni pracownicy pióra. Gdy kilka lat temu jeden z najwybitniejszych literatów obejmował redakcyą dziennika, pisma doniosły, że musiał opuścić posadę w jednéj z instytucyi rządowych. Nawet więc taki potentat pomagać sobie musiał, cóż więc mówić o zastępach miernot. Czyż więc jest pożąda-

ném, aby bez dostatecznych racyi wytwarzała się opinia, że każdy literat, mający miejsce stałe, korzysta z synekury, która jest hańbą! Bo co wtedy robić? Ocalić swój honor, czy ubezpieczyć byt rodziny? Pisma humorystyczne wciąż powtarzają anegdotki i koncepty o długach literatów, których ci ani mogą, ani chcą oddawać. Ale i dochód z puszczania w obrót podobnych konceptów jest też chyba synekurą i to wcale nie zaszczytniejszą, aniżeli posada na kolei Warszawsko-Wiedeńskiéj.

Miasto i wieś podzieliły—jak wiadomo—między siebie pory roku. W téj chwili, kiedy—używając dobrze znanego wyrażenia, niwy złocą się dojrzałym kłosem, a dziewczęta w chałupach ostrzą sierpy i marzą o przodowaniu na zagonie, co jest tu równym zaszczytem, jak wygrana na wyścigach konnych,—miast nawet jarmark wełniany nie zdoła ożywić, po omdlałym ruchu znać, że to chwila odpoczynku. Żniwa miejskie zaczną się za kilka miesięcy dopiero, kiedy wioski drzemać poczną, zasypane śniegiem.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że mieszczuchy tracą czas bezczynnie. Wcale nie. Część ich bada stosunki europejskie w Maryenbadzie, w Trouville, na wystawie powszechnéj, no—i w Monaco. Część zaś poznaje kraj własny, udając się na letnie mieszkania. Studenci urządzają wycieczki piesze. Wszystko to są zjawiska nie małéj wagi społecznéj. Ta część Warszawy, która nie może wyjeżdżać daléj, a kontentuje się Otwockiem, Rembertowem, Grodziskiem i Wołominem, w długie zimowe wieczory debatuje nad dobrém kraju. Z natury rzeczy wynika, że sprawa ludu, jego oświata, jego usposobienie dla panów, inteligencyi, a co najważniejsza jego aspiracye zajmują poważną część wieczoru. Wtedy najwyraźniéj się pokazuje, że utyskiwania na brak znajomości kraju są wierutnym wymysłem. Chociaż każdy z obecnych utrzymuje co innego, jednak na poparcie swego zdania umie zawsze zacytować przykład i wszyscy pokolei powtarzają z głębokim przekonaniem:

— Ja chłopów znam doskonale.

Gdyby rozpytywanie o źródła téj znajomości nie było niedyskrecyą towarzyską, to okazało by się, jaką poważną rolę odgrywają wycieczki piesze i mieszkania letnie. Z nich to płynie ta wiedza etnograficzna i polityczna oraz gruntowna znajomość duszy chłopskiéj. Młody wędrowiec co najmniéj przez kwadrans zarzuca każdego napotkanego chłopa pytaniami o uczucia jego, o pojęcia naukowe, towarzyskie i religijne, oraz o zamiary socyalne. Ludzie dorośli, jako mniéj skłonni do sielanek, badają mniéj, ale za to spotykają się z właścicielem zajmowanego domu na gruncie interesów życiowych i targują się o poziomki i masło, kłócą o kurczaka, por-

wanego przez psa szkodnego i wogóle załatwiają wiele stosunków sąsiedzkich. Cóż dziwnego, że chociaż szpalty „Wisły“ nie zyskują nic na tych badaniach ludu na gruncie, to jednak ogół inteligentnéj Warszawy nabiera prawa do stanowczych sądów o chłopie.

Zapomniałem zrobić wzmianki o pannach. Emancypowane panny w téj sprawie najwięcéj mówić potrafią.

O ile pobyt na letniem mieszkaniu sprzyja gruntowności sądu, o tyle poszukiwania rozszerzają horyzont. Widzi się kilka powiatów, jeździ się kilkoma kolejami, wysiada się na kilkunastu nieraz stacyach, a czasem i tydzień zejdzie, zanim się coś odpowiedniego wynajdzie.

Piszący te słowa znalazł się tym sposobem w Żyrardowie. Ponieważ i nie każdy może z czytelników „Ateneum“ posiada w bibliotece „Słownik Gieograficzny“, więc udzielę niejakich szczegółów o téj osobliwéj miejscowości. Leży ona pod „Rudą Guzowską“, która jest stacyą kolei Wiedeńskiéj, osoby gdzieindziéj urodzone nie mogą zwykle znaleść granicy pomiędzy Rudą i Żyrardowem i skłonne są wszystko uważać za jedno miasteczko; jestto błąd, ale nie ma co bardzo się nim martwić, gdyż żadnych złych skutków za sobą on nie pociąga. Odległość od Warszawy wynosi wszystkiego 41,7 wiorst, co na gieograficzną miarę równa się prawie 6-ciu milom. Komunikacya zaś jest łatwiejsza niż z innymi obcymi krajami, gdyż „kuryer“ potrzebuje tylko 55 minut czasu.

Na pierwszy rzut oka Żyrardów nie budzi żadnych podejrzeń; od strony stacyi brudny jest jak Pyzdry; albo Koziegłowy, a żydzi w sklepikach zupełnie podobni do warszawskich kupców, daléj jednak okazuje się zupełnie co innego. Stoją domy murowane na kilka piętér, rynsztoki, mostki brukowane, a latarnie gazowe na żelaznych słupach, nie przypominają wcale tych kijów malowanych na zielono, na których w Łomży, lub w Radomiu osadzone są lampki naftowe. Następuje więc zdziwienie pierwsze. Im daléj, tem gmachy są ładniejsze, ozdobniejsze, a zawsze z niepokrytéj wapnem cegły, co prócz czarnéj od węgla ziemi stanowi charakterystykę miejscowości fabrycznych. Trafiwszy na szczęśliwą chwilę, można usłyszéć porządną, wyćwiczoną orkiestrę, można oglądać manewry straży ogniowéj itd. Zdziwienie wzrasta, gdy się znający kraj warszawiak dowie, że Żyrardów, chociaż liczy p o d o b n o do 20000 mieszkańców, nie jest ani powiatowém, ani nawet zwykłém miasteczkiem, tj. nie posiada w swych murach p. burmistrza; co więcéj nie ma także proboszcza, ani innego żadnego kapłana, a wierni na mszę chodzić muszą o kilka wiorst do Wiskitek.

Nadzwyczajna powierzchowność nie mniéj ciekawe niespodzianki kryje w swym wnętrzu. Pytamy o restauracyą, powiadają, że się mieści w Resursie. Tam także przytułek znalazł widocznie teatr, bo afisze, przyklejone na drzwiach, zapowiadają widowisko trupy pod dyrekcyą p. Trapszy. Restauracya wspaniała, duża, porządna, pod względem szyku mogłaby niemal współzawodniczyć z pierwszorzędnymi zakładami warszawskimi. Późniéj przekonaliśmy się, że dają jeść dobrze i tanio, a piwo wyborne. Właściciel, czy jego zastępca, mówi tak dobrze po polsku, że bez najmniejszéj wątpliwości musi być rodakiem. Zaczynamy gawędzić. Dowiadujemy się, że wśród urzędników fabryki połowa jest niemców, połowa krajowców.

— A gazety pan ma tutaj?

— Nie, chyba niemieckie.

Przynoszą pięć rozmaitych gazet niemieckich, są i dzienniki, jest ilustracya, jest i humorystyczny świstek. Prawdopodobnie zresztą jest ich więcéj jeszcze, tylko wszystkich nam niepodano.

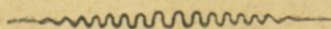
Nie pytałem gospodarza o przyczynę ostracyzmu druków polskich, tylko pomyślałem:

— A cóż, szelmy niemcy, nic nie robią, po knajpach się włóczą, to im gazety potrzebne. Rodak pędzi przykładne życie w rodzinie, a jak wpadnie nawet tu na przekąskę, to się śpieszy do pracy, lub do domu, nie chce trwonić czasu nad urywkowym czytaniem plotek miejskich i politycznych.

Wstępujemy do apteki. W lesie komary, bąble swędzą, mówią, że dobrze amoniakiem natrzéć. Znowu język polski panuje w rozmowie wyłącznie. Akcentu cudzoziemskiego nie znać. Panom prowizorom nie obca jest nawet literatura, jeden drugiego pyta o „Wielki świat Capowic“ Lama. Na ulicy rozwijam papier i na etykietce czytam: „*Fabrikapotheke in Zyrardow. Ammonia Salmiakgeist*“.

Czyżby wzorowość nasza sięgała tak daleko, że i apteka niemcom tylko wyłącznie potrzebna? To już nie wesołe. Ale kto tu winien. Pewnie ten Lysen, tj. niemcy, którzy nie dopominają się o polskie pisma, ani o polskie napisy. Co to za niegodziwy naród, o sobie tylko myślą.

Niechaj który czytelnik nie wpadnie na domysł, że w saméj fabryce żywioł miejscowy ucisku doznaje i wskutek tego na zewnątrz jest nieśmiały. Tak nie jest wcale.



NEKROLOGIJA

† **Piotr Jaksa Bykowski**—urodził się 31 stycznia 1823 r. we wsi Jakuszyńcach, niedaleko Winnicy na Podolu, gdzie też uczęszczał do gimnazyum. Uniwersytet na wydziale prawnym kończył w Kijowie i otrzymał stopień kandydata praw 1843 r. Zajął się następnie gospodarstwem, potém zawiłym procesem o spuściznę ojcowską, którą utracił; obok tego wybrany był przez współziemian na kuratora magazynów zbożowych w swoim powiecie. Prowadził życie wesołe, a nawet hulaszcze. Osiadłszy w Kamieńcu, gdy poważniejszy nastrój zaczął panować na Podolu, został kuratorem tamtejszego teatru około r. 1858 i z zamiłowaniem oddał się swym obowiązkom. Wtedy też zaczął pisywać dla teatru, zwykle farsy i wodewile, oraz dramat p. n. „Urodzenie“ drukowany 1860 w Poznaniu. Do „Gazety Polskiéj“ nadsyłał artykuły pod pseudonimem Jaszczura. W r. 1866 opuścił Kamieniec i osiadł w Warszawie; wówczas dopiero działalność jego literacka szersze przybrała rozmiary. W r. 1872 wychodzą jego 4 tomowe „Pamiętniki włóczęgi“ w Warszawie, a równocześnie w Odesie powieść: „Nomina sunt odiosa“. Poczém nastąpiły w nieprzerwanym szeregu opowiadania i gawędy już to z przeszłości niedalekiéj, już to z chwili bieżącéj: „Skarby prababki“, „Syn znajdy“, „Ostatni sejmikowicze“, „Jełowiczowie-Bukojemscy“, „Faktor hetmański“, „Córka hetmańska“, „Święcone w Łabuniu“ „Sądy podkomorskie“, „Mulik, nie historyczny hetman Ukrainy“, „Słoboda“, „Memoryalik palestranta trybunalskiego“, „Ostatni sejmik w województwie bracławskiém“, „Ostatni czumak“, „Konkurenci kasztelanki“, „Glinkowie“, „Szlachetczyzna“, „Chorągwie kmitów“, „Lepsze dobre imię, niźli maście drogie“, „Pojedynek“, „Justka“, „Czeczotka“, 2 serya „Pamiętników włóczęgi“, „Mirza-Tadż-ul-Fechr“, „Beniowski“, „Dwór królewski w Grodnie“, „Jaśni“ (1889). Oprócz tych opowiadań, niecelujących się artyzmem, ale zazwyczaj, zwłaszcza co do bliższych autorowi czasów, odznaczających się prawdą, brał ś. p. Bykowski udział w dziennikarstwie i w odczytach publicznych. Wesołém, jowialném usposobiem i serdecznością umiał sobie pozyskać sympatyą w szerokich kołach literatów i obywateli. Zmarł nagle w Warszawie 3 czerwca r. b.

Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**



SŁUŻBA I PAŃSTWO.

Bodaj-to te dawne czasy! Wszystko było lepsze i służba lepsza, niż dzisiejsza. Gdzie dziś spotkacie służącego, lub służącą, którzyby w jednym domu, u tych samych państwa, w téj saméj rodzinie przesłużyli pół, lub przynajmniéj ćwierć wieku? Jeżeli się przypadkiem tacy służący znajdą, otrzymują publiczne nagrody z zapisu dobroczyńców, bo cnota stała się tak rzadką, iż ją trzeba nagradzać publicznie. Czém się to stało, że służba teraźniejsza jest tak zła, taka ladaco? Skargi na nią są tak powszechne, zwłaszcza po większych miastach jak np. Warszawa, że niemasz chyba nikogo, któryby ich, chcąc czy nie chcąc, nie słyszał. Tylko ci, którzy sami sobie usługują, nie skarżą się na siebie. Jest ich wprawdzie bardzo dużo, ale i tych, co innym służą, jest także nie mało. Przypuszczam bez żadnych danych urzędowych, że w kraju naszym służących wszelkiéj nazwy jest z półtorasta tysięcy, jeżeli się mylę, to wina statystyki, która ich nie obliczyła choćby w przybliżeniu. Bądź-co-bądź, służących jest u nas mnóstwo, jako zabytek po lepszych czasach próżniactwa i pańszczyzny. Dla rozerwania tedy czytelnika w letnie upały, kiedy snucie politycznych kombinacyi jest dla głowy mozolne, a wełna i pszenica już sprzedane, pomówmy o téj ladaco służbie.

Zaczniemy tę lukubracyą od ogólnego zdania, że prawie wszyscy ludzie nawzajem sobie służą, a to tak dalece, że całe życie społeczne polega na wymianie usług. Urzędnik potrzebuje krawca, szewca, zduna, stolarza itp. a znów oni potrzebują urzędnika, nauczyciela, lekarza itp. Gdyby jednakże ktoś nazwał dyrektora banku służącym, zapewneby go obraził i przez słuchaczów nie byłby rozumiany. I tak jest rzeczywiście; bo chociaż prawie wszyscy sobie służymy, jednak zwyczaj odróżnił służących komuś bezpośrednio

od tych, którzy pośrednio oddają sobie usługi w znaczeniu ekonomicznem. Tak więc jedynie o tych bezpośrednio komuś służących mamy mówić i zaraz na początku odpowiedzieć na pytanie, skąd oni się wzięli?

Hrabicz Artur i baronówna Idalia utrzymują, że kucharze, lokaje, garderobiane, stróże, pomywaczki a nawet guwernerowie i guwernantki powstali równocześnie ze stworzeniem świata, wtenczas kiedy się porodzili hrabiowie i baronowie. Tego samego zdania są córki i synowie zamożniejszych piekarzy, szynkarzy, kamieniczników, oraz szlachciców pieczętujących się kozią głową. Już państwu Adamostwu w raju posługiwały chamskie dzieci i do końca świata będą służyły ich potomki Adamowiczom, potomkom Adamowstwa.

Taka jest socyologia inteligentnych panów, pań, paniczów i panienek. Dziwić im się trudno, skoro taki uczony Greczyn jak Arystoteles uważał niewolnictwo za stan przyrodzony człowieka niewolnego. Panowie zaś, panie i paniątka, jakkolwiek inteligentni, mniéj się zajmują służbą, niż ów Grek niewolnikami. Możemy ich zatém upewnić, że panowie i służba nie istnieli od początku świata, a czy do jego końca istniéć będą, o tém nie mamy żadnego proroctwa.

Więc to nie od stworzenia świata datuje się służba? Na pewno można twierdzić, że nie. Stan służebny, jak każdy inny, ma swój historyczny rozwój. Rekrutował on się najprzód z niewolników, potém z ludności pańszczyźnianéj, do ziemi przykutéj, aż nareszcie gdy pańszczyznę zniesiono, stał się wolnym i teoretycznie równym innym stanom. Dzisiejszy służący jest człowiekiem wolnym, może się zobowiązać do pracy takiéj, lub owakiéj, na czas jaki zechce, a gdy ten upłynie, szukać pracy u innych państwa. Stosunek zatém teraźniejszy między państwem, a służbą zmienił się radykalnie w porównaniu z dawniejszym, gdy służący był niewolnikiem bez prawa, niemal rzeczą, gdy należał do familii wraz z bydłem i innemi rzeczami. Dzisiaj służący jest najmitą wolnym; może się nająć do roboty, a jeżeli zechce może umierać z głodu. Tak on sam siebie uważa, tak go i państwo traktują; dawna zależność jego od państwa i dawna samowola państwa względem niego ustały. O téj kardynalnéj zmianie stosunków służebnych dzisiejsi państwo, jakby nie wiedzieli i nie chcieli jéj rozumiéć. Ztąd narzekania i roskoszne wspomnienia tych dobrych czasów, gdy na skargę paniątka lub pani radczyni nie umiejącéj radzić, pan radca policzkował i poszyjkował harde Małgorzaty. Dziś zaraz ciągną do sądu, trzeba się tłómaczyć, wysłuchać nauki moralnéj o trzymaniu rąk przy sobie, za-

płacić często nawiązkę i wrócić do domu z konfuzyą. Wtedy pani radczyni nie ma dość mocnych wyrażeń swojskich i cudzoziemskich, ażeby pomstować na bezecną służbę. Wtórują temu wylewowi oburzenia wszyscy domownicy, czekający na obiad, który przecież sam się ugotować nie chce, a pani radczyni ugotować go nie umié. Krupi się to ostatecznie na panu radcy, który pierwszy raz usłyszał, że przecież wziął sobie żonę, nie zaś kucharkę. Źle się dzieje, panie dobrodzieju, o bardzo źle! chyba koniec świata.

Jeżeli stosunek między służbą a państwem tak się skrzywił — czemu bynajmniéj nie przeczymy— pytanie, kto temu winien? Sąż tylko służący winni, czy może i panowie? Od kogo powinna wyjść inicyatywa polepszenia i sprostowania tego, co się skrzywiło i jest tak dokuczliwe? Nad tém się nieco zastanówmy; rzecz warta uwagi, bo przecież wszyscy sami sobie nie będą usługiwali, a przynajmniéj jeszcze to nie prędko nastąpi; przecież obiad smaczny to grunt życia.

Zaznaczmy najprzód, że w porównaniu z narodami zachodniemi, mamy zawiele służby. Takie jest powszechne zdanie tych, którzy wiele podróżują i pozbyli się pańsko-próżniackich narowów. U nas do dziśdnia zamożność, dobry ton, pozycya społeczna, mierzą się, między innemi, ilością służby. Trąci to jeszcze Azyą, ale jest dobrym tonem. Więc dwa draby zwane lokajami—jeżeli z pańska, a przynajmniéj jeden — jeżeli z szlachecka; potém klucznica, inaczéj gospodyni, daléj kucharz i kuchcik, jeszcze daléj garderobiana i pokojówka, a nareszcie kozaczek w szerokich, żółtych okolicznościach. Co za roskosz dla pańskiego serca taki kozaczek! Niestety, roskosze mijają, i teraz już nie można trzymać kozaczków. *O tempora!* Wszystko to minęło, ażeby już tylko żyć w poezyi, lub gawędzie. Nie minęła przecież próżność, bo potrzeby nie ma — do otaczania się mnóstwem darmozjadów, niby służących, o ile i póki reszta topniejącéj fortuny dozwala.

Nie inaczéj się dzieje w domach urzędników, kupców, przemysłowców, możniejszych rzemieślników, nauczycieli i t. d. I tu spotyka się w większéj części wypadków nadmiar służby, albowiem spanoszone mieszczaństwo zupełnie naśladuje fantazye i głupstwa dawnéj arystokracyi rodowéj. Z jednéj strony próżność, z drugiéj wstyd pracy ręcznéj, jako niewolniczéj, sprawiają, że każdy, chcący uchodzić za pana, musi hodować, koło siebie i swoich, czeredę próżniaków.

Jaka, albo raczéj jakie tego przyczyny? może wielość i rozmaitość prac domowych, wymagających mnóstwo służby? Nie; a co do przyczyn, te zdają się być następujące. Oprócz wzmiankowanéj

próżności, trzeba najprzód wymienić lenistwo. Tak jest, bezwstydne lenistwo. Pani, dajmy na to, urzędniczka, co to kupuje „za dwa drzewa, za grosz świéczkę“, sama się nie zajmie ani porządkiem w domu, ani koło dzieci; panienka, nie umié się ubrać, ani posprzątać swoich gałganków; panicz, nie oczyści sobie obuwia i ubrania: wszystko to muszą zrobić cudze ręce. Żadne z tych państwa nie wstanie i nie pójdzie o kilka kroków, żeby się wody napić. Czytelnik, któryby tych obyczajów nie spostrzegł, niech raczy pamiętać, że nie mówimy o wyjątkach. W klasie nazywanéj zbiorowym wyrazem inteligencya, tak się dzieje pospolicie.

Powtóre, przyczyną jest wstręt do pracy ręcznéj dla tego, że ciężka, i że ci, co pracują fizycznie, panami być nie mogą. Tak jest, wstręt do pracy fizycznéj, chociaż i do umysłowéj nie masz wielkiéj ochoty. Panie, panny i panicze, wtydzą się szczotki, ściérki, igły. A broń Boże, nużby kto zobaczył, że panienka ściéra kurz ze sprzętów, chodzi ze służącą na rynek po wiktuały, słowem, że coś robi. I któżby się z nią ożenił, pyta truchlejąca mama; przecież ona nie żadna córka stróża, lub szewca. Bywa i papa tak dobroduszny, że nie pozwala się pospolitować aniołkom i wziąwszy torbę pod pachę, idzie do miasta po przysmaki dla nerwowéj mamy i córki. Już to nerwy, którym brutale mężowie i ojcowie nie chcą wierzyć, to istna plaga naszego wieku. Nie chcą wierzyć, bo ich w szkołach o nerwach nic nie uczono i nawet nie wiedzą, gdzieby ich szukać. Mówią tedy po prostu: nie nerwy tu winny, lecz najobrzydliwsze lenistwo. Potém następują spazmy i domowa kapela; nareszcie przeprosiny i spokój do jutra.

Wstręt do pracy fizycznéj nietylko pociąga za sobą potrzebę licznéj służby i nieproporcyonalne do przychodu wydatki, lecz prócz tego zwyrodnienie całego organizmu pod względem fizycznym i umysłowym, wygórowanie czuciowości, znudzenie, *spleen* i cały orszak psychopatycznych objawów.

Ale jak tu się wziąć do roboty fizycznéj z mandaryńskiemi paznogciami? połamią się. A co się stanie z koafiurą i tiurniurą? Przecież kowal ma na to cęgi, żeby sobie palców nie parzył, a państwo trzymają służbę na to, żeby sami nic nie robili. Organa zaś nic nie robiące zanikają, trzeba je sztucznie lekarstwem podtrzymywać, do „badów“ jeździć, długi zaciągać, wyrzekać, kwaśniéć i gorzkniéć, a wszystkiemu winna ta ladaco służba, która zuchwalstwem swojém rozdraźniła nerwy paniom i panienkom.

Nareszcie, niejedna z tych nerwowych pań, gdy zacznie rozumu nabiérać, lub gdy biéda do domu zajrzy, możeby się i wzięła do roboty, ale cóż kiedy nic nie umié, na niczém się nie zna i na-

prawdę sił jéj brakuje. Skończyła pensyą; uczyli ją ekonomiki, higieny, anatomii, fizyologii, stu i oka nauk; a tu trzebaby dziecku i sobie koszulę uszyć, obiad tak za dwa złote ugotować i obok tego jeszcze trochę porządku w mieszkaniu zrobić. Poszłaby na lekcyą, żeby mężowi dopomódz, ale cóż, kiedy o lekcye tak trudno, bo coraz więcéj tych istot wykolejonych modą, szukających zarobku w pedagogii. Nie masz lekcyi; trzeba w palce chuchać i rozumu po niewczasie nabywać. To jedna strona kwestyi; druga zaś jest taka.

Najczęściéj skłopotany ojciec, czy mąż słyszą w podobnych razach wyrzut: nie na toś mnie wziął, ażebym była szwaczką, praczką i kucharką. Zgoda, mówi skonfundowany mąż: nie potrzebuję tego, mam z łaski Boga czém zapłacić szwaczce, praczce i kucharce, tylko trzeba dojrzéć robotnic, wskazać, poprawić, nauczyć. Pięknie; ale jak tu doglądać, poprawiać i uczyć, gdy się nic nie umié, na niczém nie zna, gdy się jest lalą do buduaru, nie gospodynią? Jak tu przerwać w najciekawszym ustępie romans Zoli, lub nieśmiertelny „Potop“? Już zaś służba, chociaż to prostactwo, wnet miarkuje, że pani na niczém się nie zna, i żeby uchodzić za znawczynią, zawsze gdéra, czy źle czy dobrze zrobiono. Tylne schody do kuchni musiała chyba kucharka jaka wymyśléć, żeby jéj nie powściągały oczy pani, które i tak ani umieją, ani chcą patrzéć na te nizkości ziemskie. A więc próżność, wstręt do pracy, szczególniéj fizycznéj, lenistwo i nieuctwo, są przyczynami prowadzącemi za sobą mnóstwo i nic wartéj służby.

Kto temu winien? Częścią rzeczona zmiana stosunków ekonomicznych i wyzwolenie wszelkiéj pracy, a częścią sami państwo.

— Tak? państwo? tj. panowie i panie, panicze i panienki?

Najniezawodniéj: zaraz postaramy się dowieść tego paradoksu.

— Ależ to destrukcyjne teorye, to „warszawska negacya“; stało się modą téj prasy składanie winy za wszelkie biédy, na inteligencyą, na umitrzonych.

Nie mając nominacyi na prokuratora, tylko roztrząsamy, nie oskarżamy. Rozważmy zatém wspólnie *affirmative* i *negative*, po krakowsku i po warszawsku, czém się stało, że dzisiejsza służba nic nie warta.

Powieściarze nasi opowiadają, że dawniéj było lepiéj pod względem stosunku służby do państwa, czyli, że dawni słudzy byli pracowitsi, wierniejsi, posłuszniejsi, przywiązańsi, słowem lepsi od teraźniejszych. Jeżeli to prawda, trzeba koniecznie przypuścić jako pewnik drugą połowę wniosku, że i państwo ówcześni musieli być lepsi od teraźniejszych. Tak też mówią. Jeszcze na początku

bieżącego wieku, panie były gospodyniami, nie wstydziły się ani kuchni, ani obory, ani kurnika, które przecież milflerem nie pachną; znały się na krosnach i kądzieli, na bieliźnie i praniu, na ogrodzie i miodzie, umiały i lubiły doglądać, uczyć i kierować, tak, że bez akademii kucharskiéj, nie brakło jednak służących zdatnych do pomocy w gospodarstwie.

Pod okiem matek-gospodyń zaprawiały się córki do zarządu domem, jako główném zadaniem przyszłych żon i gospodyń. Czasu miały aż nadto, nie trapiono ich bowiem długoletnią, a powierzchowną edukacyą, wiedząc, że malowaną pieczenią najeść się, ani rysowaną koszulą odziać się niepodobna. Było tedy państwo, panie i panienki, bardziéj, niż dzisiejsze przygotowane do prowadzenia domu i kierowania służbą. Tak sobie objaśniamy twierdzenie powieściopisarzy o idealnych sługach dawnego autoramentu. Były lepsze, bo państwo byli lepsi.

Czyżby ta jedna okoliczność wystarczała do objaśnienia faktu? Czy przypadkiem i sama służba nie była lepsza bez względu na charakter i wartość panów? A zatém najprzód zkąd, z jakiéj sfery ludności pochodziła dawna, a z jakiéj teraźniejsza służba? Prawie z téj saméj warstwy. Dawna służba po większych miastach i dworach szlacheckich rekrutowała się z miejskich biedaków i włościan bezrolnych, poddanych. Podobał się panu dziedzicowi gracki chłopak wiejski; brał go do koni i kreował na forysia, lub stangreta, innego na ogrodniczka, lub lokaja. Podobała się pani dziedziczce wiejska dziewucha, brała ją do dworu na piastunkę, pokojówkę i t. d. Panicze także wybierali sobie podług gustu. Dzisiaj o tyle się rzeczy zmieniły, że nie można włościanom konfiskować dzieci, ale dzisiejsza służba dworska z téj saméj klasy włościańskiéj pochodzi.

Po miastach dostarcza jéj żywioł ubogi, miejscowy a także w znacznéj mierze i włościański. Córki stróżów, woźnych, ubogich rzemieślników idą pospolicie gdy brzydsze do służby, gdy gładsze do baletu. Ze wsi napływa téż niemało służących obojga płci do miasta, bo w mieście, zwłaszcza dużém, o szczęście łatwiéj (o nieszczęściu nie myślą) i przyjemności więcéj. Zdaje nam się zatém, że warstwa, z któréj pochodzi teraźniejsza służba, jest ta sama co i w przeszłym, lub na początku bieżącego wieku: ani lepsza, ani gorsza, jednako ciemna, leniwa, łakoma. Byłoby to więc bujaniem po utopii, gdybyśmy w imie jakiejś fałszywéj demokracyi chcieli sobie idealizować dzisiejszą klasę służebną. Jest ona taką, jaką być musi w tych warunkach i okolicznościach, w jakich się znajdują społeczeństwa europejskie. Że jest złą po większéj części, nietylko

u nas, lecz i gdzieindziéj, tego chyba nikt nie zaprzeczy; jeżeli u nas jest stosunkowo gorszą, niż w społeczeństwach zachodniéj Europy, to możnaby przypisać samym państwu, wedle staréj i dobréj maksymy: jaki pan, taki sługa.

Wszakże to jeszcze nie wszystko; zwalić winę na jednego łatwo; ale ten jeden, pan, zły czy dobry, nie stanowi całéj przyczyny złego. Oto, co na jego obronę można przytoczyć. Dzisiejsza służba tak wiejska, jak i miejska, dzięki wyzwoleniu, zbliżyła się bardzo do zwyczajnych najmitów we wszelkich gałęziach pracy, powiększyła szeregi proletaryuszów. Służący, lub służąca poszukują służby. Co umiész? pytają państwo. Wszystko: gotować: szyć, prać, prasować. To jest egzemplarz do wszystkiego. Pokaż książeczkę służbową. Na jednéj stronie pani Kirszbaumowa zaznaczyła krótko: „dobra, ale buła piskata"; na drugiéj, hrabina Odrzywolska: „*mauvais sujet*". Nieszczególne masz świadectwa; zresztą, zobaczymy, przyjdź na próbę: po miesiącu może zostaniesz na dłużéj.

Człowiek, który na własność ma tylko ręce do najcięższéj i najwstrętniéjszéj roboty; którego po miesiącu, a może prędzéj oddalą i za stłuczone talerze z mozolnie zapracowanego zarobku do połowy obedrą; człowiek, który sypia w norze, zwanéj kuchnią, i ciągle słyszy zrzędzącą panią z panienkami; człowiek, który jada resztki z talerzów, pija słomianą herbatę, przegryza kromką chleba posrebrzonego, a częściéj pozłoconego masłem, kromką tak delikatną, żebyś ztąd Kraków przez nie zobaczył—pytam się, czy człowiek taki, nawet gdyby był aniołem, nie zacznie zgrzytać, k o s z y k o w a ć i cynicznie drwić z „ciarachów", mieniących się panami? Po miesiącu: nie masz służby, zabiéraj manatki i wynoś się. Dlaczego? dlatego, że Jagusia poszła raz na Saską kępę i tak się zatańcowała, iż wróciła o północy, a tu państwo bez herbaty i nastawić samowara nie umieli; dlatego, że mruczała, gdy spracowana legła i nie zaraz otworzyła drzwi, jak pani z panienkami wróciła z teatru o północy, a pan z paniczami z lamparteryi o 2 w nocy. Jagusia próżniak, ladaco, włóczęga. Moralności ich, panie dobrodzieju trzeba uczyć, moralności; ksiądz proboszcz miałby cudowny temat do kazania. Ale gdzie tam, prawią im androny, a w cyrkule humanitaryzm pokasował miotełki. Źle się dzieje.

I tak służąca zabrawszy chudobę poszła z nauką moralną w drogę na poszukiwanie miesięcznéj służby, ażeby po miesiącu znów innéj szukać. Nareszcie, stérana pracą i wiekiem, wzięła koszyk z s i ó d e m k ą i poszła szukać pereł w śmiecisku; że jednak nie miała wykupionego patentu gildyjnego i ta nadzieja ją zawiodła. Co się z nią stało? Któż-to wié? Alboż się o śmieci troszczymy? Wymiata się je i kwita.

Możeż, w teraźniejszych warunkach pracy służebnéj powstać trwały stosunek między państwem a służbą? Dawniéj, służący należeli niemal do rodziny, zżywali się z jéj dolą i niedolą, spotykali w chlebodawcach swoich opiekunów, życzliwych nauczycieli, pamiętających o ich starości. Tak mówią i w znacznéj mierze wierzymy temu. Dzisiaj, państwo i służba są dla siebie najzupełniéj obcy, a często wrodzy; wzajemny stosunek zmienia się ciągle jak w kalejdoskopie. „Nie będziesz ty, będzie druga". „O la Boga, to i ja sobie inne państwo znajdę". Tém się kończy pożegnanie stron obu niegdy mocno związanych uczciwą opieką z jednéj, a przychylnością z drugiéj strony. Rzeczy bardzo się zmieniły i nie na lepsze; zwiększył się proletaryat i wyrosły skargi. Czyżby w tych nowych stosunkach nie można probować zmniejszenia złego zamiast powtarzać stereotypowo, że służba ladaco? Najłatwiéj byłoby ułożyć projekt, zawiązać stowarzyszenie do poprawy złych służących, byłyby prezesowe, sekretarki i woźnowe, posunęłoby się obu płci równouprawnienie.

Inicyatywa do poprawy złych sług powinnaby wyjść od dobrych państwa, a to w rozmaitych kierunkach. Najprzód potrzeba, ażeby panowie i panie sami znali się na tém, czego od służby wymagają. A zatém powinniby się zajmować więcéj domem, niż sportem końskim, teatrem, koncertami i protegowaniem artystów i artystek. Pod okiem czujném świadomych rzeczy państwa sługa się wyrobi i w swojém rzemiośle i w obyczaju; przestanie koszykować i okłamywać, bo jéj na to nie pozwolą. Oko pańskie konia tuczy. Kradzież i okłamywanie zdarzają się nietylko pośród służących. Morał na temat uczciwości nie poskutkuje, gdy szwindel stanowi atmosferę domu.

Przeciążanie pracą, gdzie służby mało, a próżniactwo tam gdzie jéj dużo, stanowią ujemną stronę stosunku służby do państwa. Wałęsającym się z kąta w kąt i ziewającym paniom zdaje się to fraszką, nie robotą, gdy jedna służąca musi być cały dzień na nogach, gotować, prać, prasować, sprzątać i biegać od szwaczki do modniarki, z rynku do apteki po lekarstwo dla Milusia, potém znów po temat ćwiczenia dla Niuni do koleżanki, bo Niunia leniła się sama go zanotować. Potém, gdy się panie radczynie, lub naczelnikowe spotkają na herbatce opowiadają sobie bez końca o próżniactwie służących. „Bo i co one robią? Nawet kurz z fortepianu muszę sama ścierać. Okropność!"

Daléj, niedbalstwo państwa o los służących nietylko wtenczas, póki są zdrowi, lecz głównie, gdy są chorzy i starzy. Mówią w takim razie, że weźmie ich szpital albo dobroczynność. Jakoż, biorą

ich póki mogą. Ale, czyliż nie byłoby sprawiedliwszém, a więc i uczciwszém, ażeby ci, u których zużyli zdrowie i siły pamiętali o nich, zamiast zwalać ten ciężar na fundusz gminny wsi, lub miasta? Dobroczynność i szpitale stękają pod naciskiem ubóstwa, a ci, którzy ze służby wyssali młodość, zdrowie i siły, wzruszają ramionami i pytają na co idą olbrzymie (a zawsze olbrzymie) sumy z balów, koncertów i loteryi fantowych. Zła służba, a czy jesteśmy dla niéj dobrzy?

Nareszcie, nic może nie budzi tyle niechęci służby do państwa, co grube, brutalne traktowanie. Ubogi ma poczucie godności własnéj, chociaż nie nazywa tego honorem. Tymczasem, począwszy od panicza, który jeszcze gila nie umié złapać, aż do papy i mamy, wszyscy go tykają. Cokolwiek zginie w domu, zaraz słychać: Katarzyna ukradła; trzęsą jéj kuferek, wzywają pomocy władzy sądowéj. Nic się nie znalazło. I to nie skutkuje; ona ukradła. Słyszy to panicz, który podebrał mamę i papę, ale nic nie mówi, bo cóż tam honor służącéj! Jego honor to klejnot czystéj wody.

Nie jest to może takim paradoksem jakby się zdawało, że służba jest taka, jak i państwo. Chcąc ją miéć lepszą, trzebaby zacząć poprawę od siebie. Służący nie kończą gimnazyów, ani uniwersytetów; rzadko czytać i pisać umieją. Rosło to jak dziczki w ogrodzie; nikt się o nich nie troszczył, a teraz narzekamy, że są źli. Skąd się mogli dobrego nauczyć w dzieciństwie? Jeżeli zaś i późniéj, gdy jako najmici pracują, nie znajdą u chlebodawców nauki, życzliwości, opieki, a szczególniéj dobrego przykładu, muszą pozostać dzikimi. Będziemy narzekali w nieskończoność; a w stosunku służby do państwa nic się nie zmieni, jeżeli początkowanie do zmiany nie wyjdzie od tych, którzy mogą i powinni przyłożyć rękę.

Powinni? Ściśle biorąc dzisiaj państwo nie mogą być prawem zmuszeni do życzliwości, wyrozumiałości i dobrego przykładu względem tych, którzy za nich odrabiają najcięższe i najwstrętniejsze roboty. Tam jednak, gdzie się prawo kończy, zaczyna się obyczaj, przykazania etyczne. Otóż, nie kodeksowa, lecz etyczna sprawiedliwość i w znacznéj mierze własny interes wymagają, żeby panowie, panicze, panie i panienki zamiast pomstować na służbę, pamiętali, że i służący są ludźmi, odczuwającymi i wzgardę i krzywdę, i głód i poniewierkę; że takie traktowanie służby, jakie się na szeroką skalę praktykuje, musi pociągać z jéj strony złośliwość, nienawiść, niedbalstwo; nareszcie, że to najzupełniejszy przypadek zrządził, iż Salka usługuje Zenobii, a Maciek Alfredowi. Ten sam przypadek może zmienić stosunki i zmieniał je nieraz tak, że Alfred został kelnerem, a Zenobia śmieciarką. *K.*



NAD HORYNIEM,

POWIEŚĆ.

Pogawędźmy sobie, czytelniku; ja będę pisać, ty czytać, i tak myśli nasze spotkają się z sobą. Historya którą, ci opowiem, nie jest ani „na tle prawdziwego zdarzenia osnuta“, ani „ze znalezionego rękopisu przedrukowana“, może jednak uznasz ją za prawdziwą. Będzie w niéj trochę z tego, co się śniło, i z tego, co się widziało lub słyszało, i z tego co się przeżyło, odczuło, przecierpiało; ponieważ zaś ty i ja żyjemy na téj saméj planecie, więc i sny nasze są jednéj rzeczywistości odbiciem, i o wzrok a słuch nasz obijają się podobne rzeczy, i to wszystko, cośmy oboje przeżyli, przecierpieli, ma z sobą wiele wspólnego. Jeśli więc spotkasz się w mojéj opowieści z jaką myślą jakby z twojéj głowy wyjętą, jeśli poznasz jakie drgnienie serca, które twoją piersią poruszało, jeśli zobaczysz wydobyte na jaw, to co się gdzieś—kiedyś—w głębi twojéj istoty miotało, powiész wtedy, że moja historya jest prawdziwą, i będziesz miał słuszność, bo nie wątek rzeczywistego zdarzenia stanowi prawdziwość opowieści, lecz oddanie tych drgań wewnętrznych, które wstrząsają moją, twoją i wielu innych duszą.

Ślicznaś ty, jak marzenie, moja ziemio ukochana! Oto zamykam oczy i patrzę na ciebie zdaleka, z za siedmiu gór, z za rzek siedmiu, a widzę cię tak blisko—bo w sercu...

Pod jasném niebem, na rozległéj przestrzeni, rysują się śmiałe i szerokie linie krajobrazu, którego główną cechę stanowi rozmaitość. Wziął on coś ze stepu i coś z górskiéj okolicy, nie mając nużącéj jednostajności pierwszego, ani rozkiełznanéj fantazyi drugiéj. Te błonia rozległe jak step, wznoszą się i opadają jak góry,

płynąc falą spokojną, bardziéj szeroką, niż wzniesioną, tak daleko w przestrzeń, że ostatnie linie toną w opalowéj mgle i nie dojrzéć w niéj krańca, którym ziemia styka się z niebem. Wsi rozrzuconych po téj przestrzeni nie zliczyć na palcach, choć jedna od drugiéj daleko. Ta przytuliła się między dwoma wzgórkami i okryła bujną zielenią sadów, tamta wyszła na górkę i błyska z niéj złotemi kopułami cerkiewki, inna, rzucona na pochyłości, czépia się urwistych załomów, niknie w jarze, wybiega z wąwozu i staje nad stawem, co mruga w słońcu oczkiem błękitném jak niezabudka. Z za pagórka wysuwa się ciemna smuga lasu, i urywa nagle, zakończona kurhanem, drzémiącym pod dębowemi gałęźmi, a daléj, na wysokim obrywie, wśród wałów i okopów sterczą rozwaliny zamczyska; w gruzach zostało jeszcze parę okien, te patrzą, jak jamy oczne ze spróchniałéj czaszki. Z pod stóp zamczyska wyrywa się rzeka; wązka, głęboka, bystra, srebrnym wężem wciska się między załomy wzgórzy, wije się, skręca zuchwałemi zwrotami, za górką zniknie, z za drugiéj błyśnie, na łące rozleje się w spokojne jeziorko, okryte szerokiemi liśćmi grzybienia, i gwałtownym pędem leci daléj, krusząc skały i żłobiąc parowy. To Horyń.

A nietylko piękna jest ta ziemia wołyńska, lecz żyzna i bogata. „Wszystko jéj dałeś co dać mogłeś, Panie“. Powietrze tam zdrowe i czyste, właściwe miejscowościom wyniosłym, wolne od trujących miazmatów, unoszących się nad bagnami nizkich okolic, woda tryska z pod skał zimna jak lód i płynie czysta jak łza, bo przy bystrym prądzie, zielone pleśnie nie mają czasu zamącić jéj kryształu, bujna trawa soczysta, zarasta ługi nadrzeczne, wypasając rosłe bydło, złota pszenica i płowe żyto, jak okiem zajrzéć, falują pełnemi kłoskami. A wśród tego przepychu piękna i bogactwa rośnie lud krzepki i dorodny, natury zdrowe, mające w piersi dużo świeżych sił, w krwi kozaczéj dużo ognia, w prostym umyśle dużo poezyi; materyał surowy, ale wart dłuta mistrza. Czar piękna, rozlany dokoła· przenika swemi promieniami te ciemne umysły, budzi w nich bezwiedne pragnienia i marzenia, wciela się w tęskną dumkę, ujawnia w czarodziejskiéj baśni, wyobraźnię zaludnia ideałami, które nie mogąc jeszcze przybrać wyższéj formy, objawiają się żywą wiarą w rzeczy nadprzyrodzone, nazywaną przez trzeźwe umysły przesądem, a przez marzycieli potrzebą ducha, nieświadomém poczuciem istnienia jakichściś mocy nadprzyrodzonych. Więc w bujnych kłosach pszenicy chowa się rusałka z rozplecioną złotą kosą, w wieńcu z bławatków i maku, z głębiny rzecznéj topielec patrzy szklanemi oczyma, wilkołak nocą wybiega z gąszczy leśnéj, złe wabi na moczary, a upiory pławią się w blasku księżyca. Więc

znachor rzuca i odczynia uroki, zawiązuje i rozwiązuje zakrętki w zbożu na dolę lub niedolę, wiedźma zna ziele na rozkochanie i zapomnienie, zadaje danie, od którego człowiek schnie ciałem a tęskni duszą, czarownica póki młoda chłopców durzy, na starość nieczystą siłą ludziom i bydłu szkodzi. Więc wszystkie niezwykłe fenomeny natury, wszystkie zdarzenia, wynikające z niedocieczonéj przyczyny, wszystkie psychologiczne zagadki serca ludzkiego, wyjaśniają się jednym, tłómaczącym niewytłómaczone wyrazem — czary. Śmieszny wyraz, niegodzien nawet logicznéj krytyki, wszak prawda? Czy przecież lepiéj tłómaczy i więcéj wyjaśnia nieznany absolut albo bezwiedna wola? Lud ma swoję filozofię, jedną w treści, choć różną co do formy z bardzo wielu systematami; bo poznawszy doświadczeniem, że są rzeczy na niebie i na ziemi, których nikt nie wyjaśni, przypuszcza istnienie czegoś nieokreślonego, niepojętego i nieujętego, co zaplątuje i rozplątuje wiele rzeczy na świecie. Śmieszném się wydaje, jeśli to coś nazwą czarami, mądrém—jeśli nieświadomą wolą, a przecież jak pierwsze tak drugie, objawia tkwiące w umyśle różnych ludzi różne pojęcia o jednem, o konieczności istnienia niewidzialnych przyczyn, spowodowujących widzialne skutki. Główna różnica tych dwu odrębnych pojęć leży tylko w tém, że prostak usiłuje rozciąć węzeł tajemnicy przeczuciem wyobraźni, a mędrzec naukowém badaniem. Obaj domyślają się, że „coś w tém być musi", tylko jeden szuka tego czegoś sercem, drugi rozumem, i obaj błądzą — bo poszukiwanie prawdy potrzebuje wytężenia nie jednéj lecz wszystkich zdolności człowieka, zarówno instynktów uczucia, jak władz umysłu.

Jednym z warunków wpływających potężnie na rozkołysanie wyobraźni mieszkańców téj krainy czarów, są hojnie wszędzie rozsypane pamiątki przeszłości, których nie zdążyła jeszcze zatrzéć praktyczna ręka cywilizacyi, niwelująca wszystko do poziomu czasu teraźniejszego. Rolnik krając w skiby ziemię, wyoruje z niéj tatarską strzałę, zardzewiałą we krwi nieznanego bohatera, i opowiada wyrostkowi co sam kiedyś od starszych słyszał, o strasznych czasach, „kiedy orda chodziła". Ślepy dziad grając na lirze, jak Homer przed wiekami, śpiewa rapsody z kozackich wojen, a jego narodowéj epopei nie brak i tego co stanowi główną piękność Iliady: wspaniałéj grozy w hajdamackich postaciach, prostoty i dosadności, jakie daje prawda, uroku pociągającego słuchacza tém, że śpiewak kochał i wielbił to, o czém pieśni składał. Kurhany sterczące na każdéj obszerniejszéj równinie, która była pobojowiskiem, opowiadają wymownem milczeniem przebrzmiałą dawno sławę, a horodyszcza i zamczyska, każde z przyrosłém do siebie podaniem,

przywodzą na pamięć stare dzieje, bo na ich widok kojarzenie się wyobrażeń wciąż maluje w myśli żywe obrazy minionych wypadków. I dziwnie na téj ziemi złączyły się z sobą wspomnienia i nadzieje: młoda, dziewicza, nie wyzyskana jeszcze ręką ludzką, ma ona przed sobą przyszłość może wielką, bo zasobna jest we wszystko z czego wielkie rzeczy urosnąć mogą; a przecież pomimo swéj młodości przeżyła już tyle, że od Buga do Bohu duch przeszłości osnuł ją całą pamiątkami.

Wśród typowego wołyńskiego krajobrazu, któremu nie brak rozległych błoni, wysokich wzgórzy, i jarów i kurhanów i ruin zamczyska, leżą Horyńce, duża wieś, rozrzucona na kilku falowatych wyniosłościach, z których największą przypierającą do Horynia, wieńczy biała fasada pańskiéj rezydencyi, otoczonéj ciemną zielenią parku.

W pogodny dzień letni przed zachodem słońca, z bramy dworskiego dziedzińca wytoczył się lekki faetonik jednokonny i spuszczał wolno z góry, drogą wiodącą od pałacu ku wsi.

W jednokonce siedziały dwie ładne, eleganckie kobiety, z których starsza wyglądała na mężatkę, młodsza na pannę, nietyle dla różnicy wieku, nie zdającéj się znaczną, jak dla jednéj z tych cech kobiecości niedającéj się wyraźnie określić, która sprawia, że na pierwszy rzut oka wzrok—męski zwłaszcza — odgadnie czy nieznajoma kobiéta jest panną czy mężatką, i prawie nigdy nie pomyli się.

Jechały więc te panie od pałacu ku wsi. Starsza zasłaniała się parasolką od ukośnych promieni słońca, zazierających niedyskretnie pod szerokie skrzydła jéj kapelusza; młodsza powoziła, a kary koń, wygiąwszy piękną szyję, biegł szybkim, równym kłusem, jak chodzą bystre konie, gdy czują kierującą niemi śmiałą i wprawną rękę. Droga od bramy schodząca w dół na mostek, za mostkiem wspięła się pod górę i weszła między pierwsze chaty. Tutaj cugle ściągnęły się, a kary poszedł stępa; bo było trochę błota, jak zawsze prawie we wsi wołyńskiéj, któréj trzeba dłuższéj suszy, aby słońce zdołało wypić wszystką wilgoć, ściekającą zewsząd na nieokopaną ulicę i wsiąkającą głęboko w lepką, tłustą ziemię.

We wsi było cicho i pusto. Co żyło i pracować mogło, poszło w pole z sierpami, zostały tylko małe dzieci i zgrzybiali starcy, niby pod wzajemnym swoim dozorem, a właściwie jedne i drudzy na bożéj opiece.

Główna ulica wiejska nie szła prosto przed siebie, szeroka i monotonna, jak w krajach płaszczyzn i porządku, lecz zakręcała się fantastycznie na prawo i na lewo, niby jaka leśna drożyna, wbie-

gała w doły, wybiegała na wzgórki, a miejscami ginęła pod kałużą zzieleniałéj wody. Chaty, po obu stronach drogi rozłożone, były nizkie, koślawe, poszyte zczerniałą i omszoną słomą, ale każda czysto wybielona, przybrana w czerwone pęki kaliny zatknięte nad małem okienkiem, miała przy sobie z jednéj strony długie grzędy warzywne, z drugiéj wiśniowy sadek i stała opodal od sąsiedniéj, na osobnym, sporym kawale ziemi, jakby pysznïąc się własnością i swobodą. W każdym sadku był cień głęboki i bujna trawa, pod każdą ścianą od ulicy przyzba szarą gliną czysto wylepiona. a przy niéj ogródek, pstrzący się żółtemi nogietkami, czerwoną piwonią i rozłożystym barwinkiem; najuboższa chałupa musiała być przyozdobiona, czémśkolwiek, zapożyczoném od żywéj natury: drzewkiem, kwiatkiem, choćby snopkiem jarzębiny albo liśćmi tataraku, bo ten lud wykołysany na łonie młodéj, pięknéj matki, czuje nieświadomą potrzebę przyozdobienia swojéj ubogiéj siedziby czémś, coby jéj powierzchowność robiło milszą dla oka. Ten mieszkaniec nędznéj chaty instyktowie niecierpi brzydoty; ona myśli zachmurza i zasępia serce. Kiedy ciekawy podróżny wda się w gawędę z jaką babą przędącą na przyzbie, baba, nawijając szarą nitkę na wrzeciono, popatrzy z dumą na zielone sady, na chaty bielejące w ich cieniu, na daleką perspektywę wzgórzy roztopionych w sinym tumanie i powié niezawodnie: „a co, panie, prawda jak tu u nas wesoło?“ Wesoło, znaczy u niéj pięknie, bo piękno rozpogadza jéj duszę i cieszy serce.

Za czwartą górką, po trzecim zakręcie, ulica wyrównała się, wyprostowała i pobiegła w pole po lekkiéj pochyłości, wśród rzednących chat i ogrodów. Na końcu wsi stał gromadzki magazynik zbożowy, z dębowych krąglaków zbity, a przed nim, na paru porzuconych kłodach drzewa, z pod których wyrastały wysokie pokrzywy, siedziało kilku kwaterujących we wsi żołnierzy. Pykali dymem bakunu z krótkich fajeczek, spluwając głośno, dla nadania sobie pewnego marsowego szyku, a gromadka dzieci przysiadłszy nieopodal na trawie, przypatrywała im się z trwożliwą ciekawością błękitnemi oczkami, błyskającemi z pod przystrzyżonych nad brwiami płowych włosów.

Naprzeciw magazynu, o kilkanaście kroków od drogi, z równego gruntu wystrzelał w górę garb ziemi, widocznie ręką ludzką kiedyś usypany, a na nim cerkiewka czerwono i żółto malowana, ze świecącemi kopułkami, w zielonych ramach kilku starych lip wyglądała jak jaskrawy obrazek bizantyjski. Przed cerkwią ziemia darnią porosła, zapadała się w podłużne zagłębienia, ślady dawnych mogiłek, wśród których tkwiło jeszcze kilka nizkich ośmiokątnych

krzyżów, grubo wyciosanych z szarego piaskowca, porosłych popielatemi mchami zgrzybiałéj starości. Za cerkwią chował się domek popa, czysto wybielony, świéżo słomą poszyty, z gankiem na słupach, o dwóch ławeczkach i czterech schodkach, a na ganku wyciągnął się jak długi kundys biały w czarne łaty, z pewnością Rabczyk, jak każdy pies téj maści na całéj Rusi. Posłyszawszy zdaleka turkot, Rabczyk zerwał się w pół ziewnięcia i położywszy głowę na przednich łapach, nastroszył uszy, czając się jak do skoku.

Jednokonka dojeżdżała do cerkwi. Starsza z pań, która dotąd bawiła się parasolką, wodząc dokoła roztargnionym wzrokiem, teraz widząc przed sobą równą i prostą drogę, wzięła cugle z rąk młodszéj i trąciła niemi konia. Koń wnet poczuł niepewną rękę, więc zamiast ze stępa przejść w kłusa, zaczął podskakiwać jakimś nierównym chodem własnego pomysłu, co bardzo bawiło powożącą. Powozik równał się z cerkwią, gdy w tém Rabczyk, który miał skryty i złośliwy temperament, milczkiem, a szybko jak kula stoczywszy się z pagórka, wpadł nagle pod nogi koniowi. Kary chrapnął, w bok skoczył i ruszył z kopyta, a powożąca upuściła cugle, i krzycząc, zakryła sobie oczy rękami. Wtedy młodsza jéj towarzyszka chwyciła zsuwające się lejce, stanęła wyprostowana, w tył trochę przegięta i silnie ściągając konia, wołała nań spokojnym, podniesionym głosem. Ale kary nie czuł i nie słyszał; chrapiąc i wierzgając, pędził prosto przed siebie, stuliwszy uszy, a rozczochrana grzywa miotała się gwałtownie. Na szczęście droga była równa, szeroka, i prosto jak strzała szła między dwoma łanami zboża, ku domkowi gajowego, bielejącemu w dali, ale za nim ginęła w gąszczy drzew, tam więc dopiéro zaczynało się prawdziwe niebezpieczeństwo, na zakrętach leśnéj drożyny, wśród pni i korzeni.

Straszny jest widok człowieka, króla stworzenia, wydanego na łaskę i niełaskę brutalnéj siły zwierzęcia, z całą potęgą ludzkiego rozumu, unicestwioną przez siłę jednego konia. Straszną jest kruchość téj glinianéj lampki, w któréj gore płomień życia ludzkiego, świat olbrzymi uczuć i myśli, chwiejący się za lada podmuchem, gasnący, gdy lada błahy wypadek glinianą lampkę stłucze...

Ale na przyźbie przed domkiem gajowego siedział młody wojskowy z papierosem w zębach i książką na kolanach. Zobaczywszy zdaleka rozbieganego konia, zgasił papierosa, zamknął książkę i wyszedł spokojnie na sam środek drogi. Zadudniło, wzbił się kłąb kurzawy— koń nadbiegł szalonym pędem, lecz człowiek szybko i śmiało pochwycił zwierza cugle tuż przy wędzidle, a koń zaskoczony niespodzianie wspiął się, przysiadł na tylnych nogach, i stanął jak wryty, dysząc tylko ciężko i drżąc całém ciałem.

W chacie gajowego gwar zrobił się wielki; gajowa wybiegła łamiąc ręce, i lamentowała głośno:

— Hospody Boże! pani grafinia! panna Maryjka!

Panna Maryjka rzuciła cugle, wyskoczyła z powoziku podbiegła do młodego człowieka, i z serdeczną wdzięcznością ścisnęła jego dłoń obiema rękami, zarumieniwszy się przytém od szyi po włosy. Skinęła potém na gajową i z jéj pomocą wyniosłszy na ręku wpółomdlałą towarzyszkę, usadowiła ją na przyźbie i poiła wodą z blaszanéj kwarty.

— Możeby grafinia napili się lepiéj gorącego mleka doradzała gajowa.

Hrabina widać już przyszła do siebie, bo uśmiechnęła się na tę naiwną propozycyą, i zaraz potém z szybką zmianą usposobienia właściwą wrażliwym temperamentom, wstała poprawiła rozrzucone włosy i zwróciła się do młodego wojskowego, który oddawszy konia żołnierzowi, stał teraz trochę na boku, w tém niepewném zakłopotaniu, któremu podlega choćby najśmielszy wobec rozhukanego konia mężczyzna na widok roznerwowanéj i płaczącéj kobiéty, nie wiedząc, co robić z nią i ze swoją osobą w podobnym wypadku.

— Doprawdy,—zaczęła, pan znalazł się tak bohatersko, że.....

— Niech mię pani nie upokarza przesadzoną pochwałą, przerwał; każdy mężczyzna na mojém miejscu zrobiłby to samo. Proszę nie domyślać się we mnie bohatera, bo stoi przed paniami najzwyczajniejszy śmiertelnik, Adam Skrzyński, podchorąży 4-go pułku dragonów.

Ukłonił się—obie panie podały mu rękę—on mówił daléj.

— Koń jest jeszcze tak rozdraźniony, że ani myśléć o tém, aby panie wracały nim do domu. Jeśli wolno—mój służący odjedzie powozikiem do dworu, a ja przeprowadzę panie pieszo.

— O, dobrze! zawołała hrabina. Już nigdy w życiu nie pojadę tym koniem. Przejdziemy się chętnie, jeśli pan zechce wziąć nas pod swoją rycerską opiekę. Ale we wsi jest trochę błota... Spojrzała na swoje wycięte pantofelki.

— Można obejść wieś łąkami; odezwała się Maryjka. Ja będę przewodnikiem.

Zbiegła z drogi w dół na ścieżkę, która pod ścianą zboża wiodła ku ługom nadrzecznym. Oficer szedł za nią, podając rękę hrabinie. Rozmowa wiązała się dość ciężko, jak zwykle między nieznajomymi, niewiedzącymi jeszcze o czém i w jaki sposób mówić z sobą mogą. Przedmiotem jéj był naturalnie świeży wypadek, ale rozbierając wszystkie jego szczegóły, nikt nie wspomniał o tém, co każdy miał w myśli,—że wybryk znarowionego konia zbliżył nagle

do siebie osoby, które mieszkając w bliskiém sąsiedztwie choćby przez czas dłuższy, nie byłyby przecież nigdy nawet kilku słów z sobą zamieniły. Ścieżka, doprowadziwszy do końca łanu, zagięła się na lewo, ku rzece. Idąca dotąd naprzód Maryjka przystanęła, i zrównawszy się z sobą weszli razem w bujną trawę zlekka przygiętą niewyraźnym śladem rzadko deptanéj ścieżki.

Ług zielony roztoczył się daleko i szeroko, jak spokojne jezioro falując drżącemi kitami bylicy, różowemi pączkami smółki i lśniącemi główkami złocienia. Wyraźny choć słaby szmer kołyszących się roślin uwydatniał głębokość zalegającéj te przestrzenie ciszy. Słońce spuszczało się powoli za dalekie, sine wzgórza, a blaski, wonie i cisza choć tak różnorodne co do swojéj natury, zlewały się przecież z sobą w jedną cudną harmonią piękna i spokoju.

Hrabina opowiadała cały przebieg minionéj katastrofy z tą pewnością i łatwością wysłowienia, jaką mają osoby przywykłe być z uwagą słuchanemi. Adam słuchał uważnie ale jednocześnie spoglądał z ciekawością na obie panie, rozbierając badawczo wszystkie szczegóły ich powierzchowności.

Hrabina należała do tego kobiecego typu, który oczów nie ściąga, ale je zatrzymuje. Średniego wzrostu, szczupła, miała w ruchach i ułożeniu to umiejętne połączenie prostoty z odrębnością, skromności z pewnością siebie, stanowiące główne cechy tak zwanéj dystynkcyi. Wytwornie udrapowana suknia z fijołkowego fularu uwydatniała wszystkie zalety jéj postaci a każdy szczegół ubrania był harmonijną cząstką obmyślanéj całości, która tchnęła elegancyą, to jest zręcznem skojarzeniem wymagań mody z estetycznie wykształconym smakiem. Z pod dużego kapelusza spuszczał się węzeł włosów jasnych, popielatego odcienia, właściwego blondynkom stref północnych, twarz blada nie miała młodzieńczéj świeżości, ale w konturach drobnych rysów było coś niemal dziecinnego, tak że z połączenia tych dwóch sprzeczności można było równie dobrze domyślać się lat mniéj niż dwudziestu, jak więcéj niż trzydziestu. Główny wdzięk téj twarzy stanowiły kąciki ust, wyginające się coraz to innym wyrazem i spojrzenie ciemnych oczów, dużych, lecz głęboko pod ciemnemi brwiami osadzonych. Te oczy, przysłonięte zmrużoną trochę powieką i długiemi rzęsami, były jednemi z takich, co to pociągają tajemniczym urokiem przepaści, kryjącéj na dnie niby jakieś rozkoszne obietnice i bolesne zagadki, jakieś nieokreślone tęsknoty i nieświadome pragnienia, jakieś pełne znaczenia lecz nigdy niedomówione wyrazy, które każdy domówić sobie probuje i nie potrafi. Takie spojrzenie miewają albo wyrafinowane kokietki, albo nierozumiane marzycielki, albo wątłe

kobiety u których rozstrojony system nerwowy wytwarza chorobliwą wrażliwość. Hrabina musiała łączyć w sobie po części te wszystkie trzy cechy, bo oczy jéj miały ów charakter podniesiony do trzeciéj potęgi.

Adam znużywszy się badaniem tego sfinksowego spojrzenia, z przyjemnością przeniósł wzrok na towarzyszkę pięknéj pani.

Na zieloném tle łąki Maryjka wyglądała jak kwiat świeżo rozwinięty na wysokiéj mocnéj łodydze. Była słuszna i silna lecz zręczna, miała rysy wydatne, cerę nie bardzo delikatną lecz zdrową i rumianą, włosy ciemno-żółte, koloru dojrzałéj pszenicy, spuszczały się grubym warkoczem poniżéj safianowego paska obciskającego niebieską bluzkę, ruchy gibkie i elastyczne nie miały już nieśmiałéj sztywności dziewczęcéj, i nie miały jeszcze miękkości dojrzalszego wieku; oczy jasne i spokojne pogodnie rozjaśniały twarz całą, patrzą na świat i ludzi razem z prostotą dziecka i powagą myślącego człowieka, a choć także głębokie, nie kryły w sobie żadnych ciemnych zagadek bezdennéj przepaści, lecz były szczere jak niezmącone jezioro, pod którego falą przezroczystą widać dno doskonale, a na dnie piasek złoty. Téj wiek dawał się na pewno określić odrazu: musiała mieć lat dwadzieścia—najpiękniejszy czas dla kobiety, w którym przeżyła już dosyć aby poznać życie, a za mało jeszcze aby zniechęcić się do niego. Świeżość, zdrowie i krzepkość młodzieńcza jak woń od kwiatu biły od téj dziewczyny z postawą lilii a twarzą polnéj róży, i Adam patrzył na nią z rozkoszą botanika odkrywającego gdzieś na łące czy w lesie wspaniały okaz ojczystéj flory. Ona także dosyć ciekawie patrzyła na towarzysza, ale tylko wtedy gdy zwracał się do niéj w rozmowie; hrabina zaś obserwowała go ciągle, lecz tak żeby tego nie spostrzegł. Kobiety umieją patrzéć prosto przed siebie, a widzieć z boku. Zauważyła więc w ten sposób, że młody człowiek posiada dosyć przyzwoitą, niczém zresztą nie uderzającą powierzchowność, że nie można go nazwać ani *joli garçon*, ani *bel homme* a przecież jest w nim *un je ne sais quoi*... co niby znaczy w naszym poczciwym języku, który szczerze każdą rzecz po imieniu nazywa, że może się podobać nie wiedzieć dla czego. Maryjka pomyślała także, że taki mężczyzna podobać się może, ale odrazu wiedziała dlaczego. Oto dlatego, że miał silną postać, śmiałe ruchy, energiczy profil, linią rysów pewną i stanowczą; męzkość zaś charakteru, ujawniająca się w twarzy i postawie jest właśnie tém *je ne sais quoi*, które najbardziéj pociąga kobiety.

Hrabina zbadawszy powierzchowność, zapragnęła sięgnąć głębiéj, to jest zbadać rodzaj inteligencyi młodego człowieka, aby

ocenić jaką sumę przyjemności można wydobyć z jego rozmowy. Mężczyzni należący do jéj sfery towarzyskiéj mieli zwykle spory zasób dobrze wyuczonych, mniéj więcéj zręcznych formułek, i nabytą umiejętność stosowania ich mniéj więcéj właściwie; co sprawiało, że rozmowa z każdym z nich przedstawiała dla niéj zawsze pewną sumę mniejszéj lub większéj przyjemności, będąc jeśli nie wymianą zdań i pojęć, to przynajmniéj wykwintném dowcipkowaniem. Ale człowiek z innéj sfery musiał wyżéj stać umysłem od przeciętnego dobrze wychowanego młodzieńca, aby rozmowa jego, nie świecąc powierzchownym blaskiem, mogła samą swoją treścią obudzić zajęcie i dostarczyć chwilowéj rozrywki.

Skończywszy więc opowiadanie o świeżym wypadku, prowadzone właściwym sobie lekkim i żartobliwym sposobem, przeszła nagle w ton cokolwiek poważniejszy, i rzekła:

— Widocznie przez intuicyą nadałam właściwe imię sprawcy dzisiejszéj katastrofy; mój kary nazywa się Kaprys, i bardzo stosownie, kiedy tak rozgrymasił się jak nerwowy pieszczoszek. Czy pan przypuszczasz większą nerwową wrażliwość u koni wyższéj rasy? Adamowi wydało się, że wzmianka o wyższości rasy zamyka w sobie cokolwiek złośliwéj intencyi; miał swoje demokratyczne uprzedzenia, nie zawsze słuszne, choć na pewnych podstawach oparte, i często nie będąc rzeczywiście zaczepianym stawał w obronnéj pozycyi, jak zwykle ludzie różnych warstw społecznych, wiecznie jedni względem drugich podejrzliwi, i wskutek tego nigdy porozumiéć się nie mogący. Teraz więc zmarszczył brwi i odpowiedział trochę ostro:

— Z koniem dzieje się to samo co z człowiekiem: koń tabuński i prosty człowiek, mają silne nerwy i dzielny temperament; lecz jeśli postawią konia w anormalnych warunkach bytu, wtedy powoli po szeregu pokoleń chowanych w sposób przeciwny naturze, osłabiający siły i każący temperament, staje się on rasowym, to jest wydelikaconym, nerwowym, zepsutym przez różne nabytki tak dziedziczne jak osobiste, przydatnym do bezużytecznéj zabawy jedynie,—i jest tyle podobnym do tęgiego tabuńczyka, ile buduarowa kapryśnica do dzielnéj wieśniaczki.

Hrabina uśmiechnęła się trochę ironicznie.

— Pan jest zwolennikiem polnych kwiatów—rzekła; a ja znajduję, że cieplarniana hodowla wytwarza żywsze barwy, wykwintniejsze kształty i zapach subtelniejszy.

— Cieplarniana hodowla psuje roślinę, bo zwraca jéj siły żywotne na fałszywą drogę. Pełne kwiaty nie wydają nasienia; przeznaczone na to soki przechodzą w barwne płatki dla zabawki oka.

I takie wykolejone twory nie mają żadnéj energii życiowéj; ta oto anemiczna róża wpięta we włosy pani zapewne przed godziną, już uwiędła, kiedy tymczasem to—zerwał różową smółkę, i włożył ją sobie w dziurkę od guzika—ma taki zasób sił, że nawet po zerwaniu przetrwa świeżo aż do wieczora.

Hrabina zamyśliła się.

— Biedna róża...—westchnęła po chwili; cóż ona winna, że ją w cieplarni wypielęgnowano?

— Ja téż jéj nie obwiniam—odparł; tylko zamiast roztkliwiać się nad niemocą istot nieprawidłowo rozwiniętych, wolę zwrócić całą moję sympatyą ku naturom normalnym i krzepkim.

— Mówmy bez przenośni: krzepkie natury u ludzi są grube i tępe, niezdolne nawet zrozumiéć wszystkich subtelnych uczuć i pojęć takiego człowieka, któremu wychowanie rozpieściło wprawdzie nerwy, ale może właśnie wskutek tego wyrobiło giętszy umysł i większą wrażliwość uczucia.

— Nie nazywam krzepką naturą człowieka grubych uczuć i ciężkiéj myśli, lecz tego który w zdrowém ciele ma trzeźwy umysł i proste serce; który nie mąci sobie pojęć zbytniém ich rafinowaniem, subtylizowaniem uczuć nie wypacza nerwów sobie, nie rozdraźnia gorączką pożądań i zwątpień, który nie marzy—ale myśli, nie pragnie—ale działa. Taki ma naturę krzepką, to jest siłę w charakterze, a trzeźwość w sądzie o rzeczach.

— Taki więc jest istotą myślącą; a czyliż myśląca istota potrafi zatrzymać się nad brzegiem otchłani własnego ducha, na któréj dnie leży tyle ciemnych tajemnic, palących pytań, draźniących zagadek, których roztrząsać nie podobna bez subtylizowania, bez walk, burz i zwątpień?

— Podług mnie, człowiek nie po to ma byt, żeby tonął w czczych abstrakcyach, szukając czego nikt przed nim nie znalazł przez długie lat tysiące, nie po to żeby ślęczał próżno nad zagadkami bytu, unicestwiając się w gnuśném budyjskiém marzycielstwie,—lecz po to żeby przyjąwszy byt po prostu i w dobréj wierze, żył rzeczywistością i zużytkował całą energią myśli i dzielność czynu na wyciśnięcie ze swego istnienia wszelkich możliwych korzyści dla siebie i społeczeństwa. Praca nad własnym i drugich pożytkiem—to prawdziwy cel życia i rozwiązanie zagadki bytu;—a człowieka zajętego pożyteczną pracą nie zdołają pociągnąć bezcelowe mrzonki w ową otchłań filozoficzną, w któréj nic nie znajdzie, a wszystko może stracić.

— Więc pan nie przyznaje filozofii racyi bytu?

— Jest-to konsekwencyą wypowiedzianych przezemnie przekonań. Ani jeden system filozoficzny nie może drogą doświadczalną przejść z hypotezy w pewnik, więc ani jeden nie ma racyi bytu.

Hrabina uczuła że jéj się grunt z pod nóg usuwa. Inteligentna i oczytana, lubiła czasem zabawić się w poważniejszą dyskusyą, lecz nie sięgając głęboko i nie wyczerpując kwestyi, bo chwiejna zawsze i we wszystkiém, nie miała zdań wyrobionych i stałych przekonań, nie mogła więc przeargumentować silnego przeciwnika. A że lubiła miéć ostatnie słowo w dyspucie, więc zwykle nie doprowadzała jéj do końca, aby nie zostać pobitą. Teraz więc przerwała rozmowę, zwracając się do towarzyszki:

— Cóżeś taka dziś milcząca, Maryjko? jesteś o sto mil od naszéj dyskusyi.

— Przeciwnie, jestem od niéj o dwa kroki, bo słucham uważnie.

— Więc nam powiédz, kto z nas ma podług ciebie słuszność?

— Założyłbym się,—wtrącił Adam z uśmiechem, że pani powié, iż oboje mamy słuszność po części; panie zwykle w polubowny sposób załatwiają sprawy tego rodzaju.

— Przegrałbyś pan zakład—rzekła hrabina. Maryjka albo milczy, albo mówi co myśli; ona nie posiada wcale tego kobiecego talentu, co to umié i nie skłamać i prawdy nie powiedziéć.

— Więc w obecnym wypadku panna Marya zachowa milczenie, czy téż wypowié nam szczerze myśl swoję?

— Powiem szczerze, że oba zdania wydają mi się zbyt krańcowemi, myślę właśnie, że równie zgubném może stać się zatonięcie w idealnych abstrakcyach, jak uwzględnianie tylko potrzeb jak najmniéj wkraczających w sferę duchową. Zbyt subtelna analiza prowadzi do smutnego sceptycyzmu, zbyt pozytywna trzeźwość— do grubego zmateryalizowania; więc zdaje mi się, że chyba najlepiéj byłoby stanąć na równéj odległości między obiema temi ostatecznościami.

— W jaki sposób?

— Łącząc ideał z czynem; obierając sobie jakiś punkt środkowy, do którego schodziłyby się wszystkie myśli, lecz z którego także rozchodziłyby się pobudki wszystkich czynów.

— A tym punktem środkowym?...

— Jakaś szlachetna idea—gwiazda przewodnia, wskazująca drogę myślom, a pole działalności czynom. Może nią być dla jednych ludzkość, dla drugich ojczyzna, dla innych nauka albo wiara.....

Zamyśliła się i umilkła.

— A dla pani?—zapytał Adam.

Wyszli właśnie z łąki na drogę, wiodącą od rzeki ku dworowi. Przy drodze stał stary krzyż drewniany, Maryjka przystanęła, zrywając rosnący u stóp jego nieśmiertelnik.

— Dla pani?—powtórzył Adam.

— Dla mnie, to... — odrzekła, dotykając nieśmiertelnikiem krzyża, a z tego wszystko co jest powinnością człowieka.

Zamilkli wszyscy na chwilę. Po zamknięciu ożywionéj rozmowy, następuje zwykle reakcya milczenia, w czasie którego jedni lubują się rozpamiętywaniem tego, co się im dobrze powiedziéć udało, drudzy układają czego nie dopowiedzieli, żałując że im tak zręczne zwroty po czasie dopiero na myśl przychodzą, mała zaś liczba zastanawia się nie nad swoim tylko udziałem w rozmowie, lecz nad jéj treścią ogólną.

Hrabina pierwsza przerwała milczenie.

— Od jak dawna—zapytała, odbywa pan rekolekcye w dworku gajowego?

— Zdaje mi się, że od przedhistorycznych czasów,—rozśmiał się Adam.

— Tak się panu czas dłuży, w pięknéj okolicy i w piękną porę?

— Nie jestem zwolennikiem cichéj kontemplacyi. Lubiłbym naturę, gdybym miał z nią do czynienia; ale ponieważ nie sieję, nie orzę i nie zbieram do gumien, a nawet nie buduję mostu, albo nasypu pod koléj, więc moje paromiesięczne przymusowe bezrobocie obrzydziło mi już dostatecznie i te nieruchome góry i ten śpiący las i te milczące pola.

— Mnie te milczące pola mnóstwo ciekawych rzeczy opowiadają.

— Gdybym był na pani miejscu, słyszałbym także od nich mnóstwo ciekawych rzeczy; opowiadały by mi one wiele kóp pszenicy wyprodukować mogą.

— Ja nie samym chlebem żyję.

— Bardzo wierzę; pani musi żyć cukierkami i wodą sodową.

— A pan zapewne żywi się wyłącznie surowym rozbefem, dla zadość uczynienia duchowi czasu, nakazującemu człowiekowi asymilować sobie tylko pierwiastki jak najmniéj zmienionéj zwierzęcéj natury.

Adam uśmiechnął się tylko na to. Złośliwość ładnéj kobiety nie obraża mężczyzny, bo ją bierze za chęć zwrócenia na siebie jego uwagi, za jednę więcéj strzałę w kolczanie zalotności. Dopiero kiedy postarzeje, ta o któréj mówiono, że ma miły pieprzyk w rozmowie, zaczyna się nazywać nieznośną złośnicą.

— Pan zapewne mieszkał dotąd w mieście?—mówiła daléj hrabina, chcąc się czego dowiedzieć o przeszłości młodego człowieka, z którego rozmowy już wywnioskowała, że w jego towarzystwie znajdzie przyjemną rozrywkę, przerywającą jednostajność spędzanych na wsi letnich miesięcy.

— Tak, pani—odpowiedział. Wyjeżdżałem na wieś tylko w czasie wakacyi.

— Więc pan niedawno ukończył studya?

— W tym roku dopiero. Trochę to zapóźno względnie do mego wieku, ale przebywałem nauki z całorocznemi czasem przerwami, aby mieć o czém uczyć się przez rok następny. Rodzice moi byli niezamożni, pomarli zresztą nim szkoły skończyłem, więc wyższy zakład przebywałem o własnéj sile, i w znaczeniu intelektualném jestem sobie swoim własnym synem.

— Można panu powinszować takiego syna—odezwała się Maryjka,—który własnéj tylko pracy i energii zawdzięcza wszystko czém jest.

— Nie jest jeszcze niczém, proszę pani — ale będzie. Dziś jest tylko wykwalifikowanym technikiem, odbywającym powinność wojskową,—a to bardzo mało w stosunku do tego, na co go myślę pokierować.

— Piękna to rzecz—rzekła hrabina, wiara w przyszłość i we własne siły; ale życie prędko ze złotych marzeń budzi...

— Mnie nie zbudzi, bo nie śnię, tylko obliczam. Nie jestem marzycielem, rojącym o jakiémś nadzwyczajném szczęściu, które mu kiedyś samo spadnie z księżyca w otwarte w bezczynnéj zadumie usta; jestem człowiekiem obrachowującym rozważnie wszystkie szanse życia, i wiem że każdemu przechodzi nieraz drogę taka okoliczność, którą w porę i śmiało chwyciwszy za włosy, można nagiąć do swoich celów. To, co nazywają brakiem szansy, jest tylko nieumiejętnością wypatrzenia w życiu pomyślnych warunków, lub nieudolnością zwrócenia téj wody na swoje koło.

— A gdy ta woda, już przypłynie—ciekawam, jak ją pan zużytkuje.

— Usypię na niéj groblę, zwalczywszy przeciwne prądy, pobuduję młyn w pocie czoła, i będę mléć mąkę na obwarzanki dla siebie i dla dobrych ludzi.

— Czy i ja dostanę obwarzanek?

— Niezawodnie—jeśli go pani będzie potrzebować. Praca dla ludzkości, to podanie obwarzanka pierwszemu głodnemu, który go nie ma; naturalnie nietylko w znaczeniu zaspokajania najprostszych potrzeb.

— Więc ostatecznie, pański trzeźwy umysł roi ideały tak szczytne, jak poświęcanie się dla ludzkości?

— Ja się wcale poświęcać nie myślę; myślę tylko mieniać się z ludźmi wzajemném wypełnianiem społecznych obowiązków, i być użyteczną cząstką ogółu, przez dobre zrozumienie własnego interesu. Może mi pani powiedzieć, że pole mojéj działalności jest nazbyt ograniczoném, abym mógł na niém z korzyścią pracować dla siebie i ogółu; ale dlatego właśnie potrzebuję najpierwéj zdobyć taki motor, którego siła wyzyskiwana przez moje zdolności, będzie mogła wiele zdziałać.

— Cóż będzie tym motorem?

— To czém dziś najwięcéj zrobić można—pieniądz—rzecz tyle przez idealistów obmawiana, a rzeczywiście piękna i szlachetna, jeśli się téj potężnéj dźwigni używa rozumnie i uczciwie.

— Ale pozwoli pan sobie powiedzieć, że zawsze, a przy teraźniejszych ekonomicznych warunkach więcéj niż kiedykolwiek, zebranie majątku własną pracą z niczego, jest rzeczą bardzo trudną i rzadko widzianą.

— Ja też nie zamierzam składać grosz do grosza, aby miéć chléb gdy zębów nie stanie; tylko, jak już mówiłem—postaram się o wynalezienie takiéj okoliczności, która da sposobność zrobienia majątku w krótkim przeciągu czasu.

— Jak też pan uważa taką naprzykład szansę, jak wygranie na loteryi, lub ożenienie się bogato?

— Wszelki godziwy sposób nabycia majątku, wydaje mi się pożądanym. Ale wielki los w loteryi, jest rzeczą ślepego trafu, na który rozsądnie liczyć nie można; gdy tymczasem w tym drugim wypadku, decyduje nie traf, lecz własna umiejętność wyzyskania sytuacyi.

— A gdyby sposobność wyzyskania takiéj sytuacyi—stanęła przed panem w chwili, w któréj serce modliłoby się do jakiego obrazka bez złotych ramek?

— Proszę pani, zachcianki serca, to pański zbytek; kto nie ma na zbytki, nie powinien roić o szybkach z okna i gwiazdkach z nieba.

— Nie powinien!—wielkie słowo! a gdy gwiazdka mrugnie, już po niém.

— Nie powinien—to religia i kodeks uczciwego człowieka.

— Uczciwy człowiek powinien kochać, aby nie stać się zimnym samolubem. Serce potrzebuje przejść przez ogień uczucia, aby się w nim w drogi klejnot skrysztalić. Kto w swém sercu za młodu przytłumi jego najpierwsze naturalne porywy, ciągnące je do ja-

kiejś gwiazdki z nieba, ten w niém powoli zamorzy zdolność kochania kogokolwiek lub czegokolwiekbądź późniéj.

— Nie, pani; serce gimnastyki nie potrzebuje; bez wprawy i wyrobienia kochać potrafi, co mu się kochać każe. Zresztą, wyznaję, że w istnienie téj miłości o jakiéj pani mówi, najzupełniéj nie wierzę—a przynajmniéj nie wierzę w taką, jak ją pani zapewne pojmuje.

— W taką, która ma moc złamać życie, albo dać najwyższe możliwe szczęście na ziemi?

— Właśnie.

— Czémże jest, podług pana sympatya dwóch serc?

— Jest instynktem natury; ale ten nie może aż złamać życia, bo jeden przedmiot wyboru daje się łatwo drugim zastąpić.

— Więc wierność, stałość, to czcze słowa?

— Wierność w wielu wypadkach jest obowiązkiem społecznym, ze względu na związki rodzinne; stałość zaś—to tylko mrzonka rozbujałéj fantazyi poetów.

— Przeczy pan rzeczywistym faktom! wszak uczucie silniejsze nad wolę bywa nieraz przyczyną szaleństwa, lub nawet śmierci! to przecież dowód niezbity, że istnieje prawdziwa stałość w prawdziwéj miłości.

— Nie, pani. Owa miłość, silna jak śmierć, jest tylko tym samym fenomenem patologicznym, który miał miejsce w słabych nerwach i rozegzaltowanéj wyobraźni tego kogoś, co to wmówiwszy w siebie, że jest szklanym i że stłuc się może, potknął się, upadł, i umarł naprawdę. Silne charaktery i zdrowe umysły rzadko podlegają podobnym zboczeniom; są one najczęściéj chorobą ludzi rozpieszczonych i rozpróżnowanych, u których wyobraźnia i nerwy grają we wszystkiém pierwszą rolę, a którzy—przez bezwiedną aspiracyę bezczynnych do czynu, zwracają ku próżnym mrzonkom swoje siły, za słabe na działalność w zakresie rzeczywistości.

Hrabina zmarszczyła brwi.

— Pan bluźnisz!—zawołała żywo; bluźnisz przeciw potędze, która na fibrach serca wygrywa najpiękniejszą z symfonii życia, która—wbrew słowom zimnych sceptyków—istniała i istnieć będzie, póki tylko duch ludzki rwie się w sferę ideału, póki tęskni za czémś wyższém nad materyalne korzyści i grube przyjemności, póki pragnie uniesień, jakich nic innego dać mu nie jest w stanie!...

Oczy jéj zaiskrzyły się, bladą twarz okrył rumieniec, w roztargnieniu zeszła z drogi w trawę i brodziła w pachnących ziołach po kolana, nie zważając na perlącą się już na nich rosę.

Adam spojrzał na nią badawczo.

— Zakochana—pomyślał—i naturalnie nie w mężu; małżeński afekt nie miéwa tylu stopni gorączki...

Po twarzy Maryjki przemknął jakby cień jakiś. Weszła także w trawę, objęła w pół towarzyskę i wyprowadziła ją na drogę.

— Rosa pada — rzekła — pani zamoczy nogi.

— Ta praktyczna uwaga — rozśmiał się Adam — pada także, jak zimna rosa na gorące słowa hrabiny. A pani — dodał—jak też sądzi o miłości?

— Ja? — odrzekła spokojnie — nie wiem jeszcze; zobaczę...

Drożyna, którą szli, wpadła z boku, jak strumień w rzekę, w szeroką lipową ulicę, wiodącą ku dworowi. Lipy kwitły, wieczorny powiew, nasycony subtelną wonią miodową, płynął pod ciemném sklepieniem splecionych gałęzi, zmrok zapadał powoli, osnuwając przedmioty jakby pajęczyną, od strony wsi dochodziły dalekie głosy wracających z pola żniwiarzy, a piosenka małoruska, rzewna, śpiéwna, przeciągła, płynęła po rzece na ługi, i rozlewała się nad niemi razem z siwym tumanem, występującym zwolna po nad bujne trawy.

Hrabina zasłuchała się w tę prostą melodyą, którą czyjeś biedne serce skarżyło się wieczornéj ciszy, i słyszała jéj echo dźwięczące na jakiejś strunie własnego serca. Serce to czegoś drżało, gdzieś się rwało, za czémś tęskniło, a wszystkie te jego nieokreślone pragnienia ujmowały się w jedno ostateczne słowo: kochać—ach! kochać... wołały wszystkie nerwy wrażliwéj istoty, upojonéj wszystkiemi czarami letniego wieczoru.

I myśl jéj nieświadomie przeszła od tego pragnienia do prowadzonéj przed chwilą rozmowy. Mężczyzna ośmielił się powiedzićć jéj, kobiecie, która dotąd od każdego słyszała tylko, że jéj oczy nawet z głazu iskry-by wykrzesały — ośmielił się powiedzićć jéj, że w miłość nie wierzy, czyli, że nie dałby sobie głowy zawrócić, nawet gdyby ona tego chciała. Była to rękawiczka rzucona w taki sposób, że nie podjąć jéj nie mogła. Tak, ona powinna przykładnie ukarać zuchwalca za wypowiedziane bluźnierstwo; powinna przyciągnąć go do stóp swoich i dopiéro wtedy, przypomniawszy mu dziś wyrzeczone słowa, odwrócić się z pogardliwym uśmiechem. Przyszło jéj wprawdzie na myśl, że ten przestępca, którego przykładnie ukarać zamierza, był przecież jéj wybawcą, że mu winna wdzięczność za ocalenie życia; ale chwiejne umysły celują zwykle w przeprowadzaniu kompromisów między jakąś zachcianką a skrupułem sumienia. Łatwo więc rozplątała wikłający się motek, tłómacząc sobie w duchu: cóż mu się zresztą złego stanie? Zbudzą się w nim wprawdzie pragnienia, których nie zaspokoi, ale cierpiąc

przez uczucie, uwierzy w jego potęgę, a to mu wyidealizuje przekonania, uszlachetni poglądy i zostawi na całe życie miłe wspomnienie, choć jednéj poetycznéj karty w rachunkowéj księdze jego prozaicznéj młodości. Rozstrzygnąwszy kwestyą w ten sposób, zaczęła sobie szkicować plan przyszłego postępowania, czyli — mówiąc dobitniéj — bałamucenia Adama, i kreśliła jego kontury z zamiłowaniem wrodzonego talentu a łatwością nabytéj wprawy, lubując się szczegółami tego obrazka tak, jak przed chwilą wonią kwitnących lip i echem smutnéj piosenki.

Adam, idący obok zamyślonéj pani, myślał także o niéj, i był także podrażniony. Z uniesienia, z jakiém mówiła o miłości, wywnioskował, że ideał jéj marzeń jest obecnie wcielony w jakąś rzeczywistą postać, a przypuszczenie to psuło mu humor. W podobnym wypadku każdy prawie mężczyzna, tak wierzący w anielskość niewieścią marzyciel, jak zimno rozbierający *das ewig weibliche* krytyk, jest podobnym, przepraszam panów za trywialne porównanie, do owego pudla z bajki, co leżąc na sianie warczy na krowę, chociaż sam siana nie jada. Niech nawet obojętna komu kobiéta pokocha nie jego, lecz przyjaciela, pierwsze wrażenie, jakie dozna dowiadując się o tém, nie będzie przyjemném. Podobne podłostki psychologiczne odczuwa k a ż d e l u d z k i e serce; tylko szlachetniejsze wnet je precz wyrzuca, a mniéj szlachetne dłużéj zatrzymuje.

Adam nie miał wcale zamiaru ani chęci stać się bohaterem jakiego serdecznego kaprysiku pięknéj pani; ale teraz chęć ta przemknęła mu nagle przez głowę, wskutek przypuszczenia, że taki bohater istnieje.. A ponieważ chęci rodzą zamiary, więc i on także zaczął snuć swój planik. Hrabina nie była zdobyczą łatwą; utrudniała sprawę różnica położenia towarzyskiego i przypuszczalny współzawodnik. Ale to właśnie dodawało bodźca energicznéj naturze Adama. Doświadczenie swojéj zręczności i wypróbowanie sił, stanowiło praktyczną stronę eksperymentu, jako ćwiczenia, które się późniéj w jakiém pozytywniejszém zastosowaniu przydać mogło, a przyjemna rozrywka na czas przymusowéj bezczynności była téż rzeczą pożądaną, nie groziła zaś żadném niebezpieczeństwem człowiekowi, który miłości nie brał na seryo. Rozważywszy to wszystko, Adam oddał się kombinowaniu środków, mających zamiar w czyn przeprowadzić.

A Maryjka, o czém myślała? Ta nic nie kombinowała, nie układała żadnych planów, tylko słuchała szmerów i dźwięków, wdychała świeżość i wonie, patrzyła w mrok przejrzysty, lubując się spokojną pięknością usypiającéj natury i miała w sercu głęboką

ciszę, bo zapomniawszy o własném istnieniu, zupełnie zjednoczyła się z przyrodą, rozpłynęła się w jéj wielkości jak kropelka w potoku. Takie czyste rozkosze, całkowicie od swego ja oderwane, pojące jakiémś pięknem zewnętrzném, odrębném, nie zostawiającém w duszy człowieka ani jednéj myśli o sobie samym, są źródłem natchnienia, zapału i poświęcenia. I dlatego to kult piękna jest drugą religią każdéj podniosłéj duszy, a rozbudzenie go w każdéj mniéj podniosłéj, oczyszcza ją i uszlachetnia. O, tak! przypatrujmy się cudom natury i arcydziełom sztuki, wracajmy często do barwnego kwiatka, do wdzięcznego obrazka, na którym z przyjemnością spoczęło nasze oko, ścigajmy myślą myśl wieszcza i artysty, bo lubowanie się wszelkiém pięknem przytłumia subiektywizm, wyprowadza nas po za samolubną sferę osobistych interesów, marnych pragnień i nędznych próżności, odrywa myśl naszę od nas samych, od nieustającego nabożeństwa przy ołtarzu własnéj adoracyi.

Długa lipowa ulica doprowadziła do bramy, splecionéj misternie z żelaznych prętów, zakończonych błyszczącemi ostrzami. Za bramą rozpościérał się obszerny dziedziniec, a właściwiéj trawnik, z klombami krzewów i bukietami kwiatów, porozrzucanemi z umyślném pominięciem wszelkiéj symetryi, co mu nadawało cechę niedbałego wdzięku, umiejętnie naśladującego niewymuszoną prostotę natury. Wysypana zwirem droga, zataczała się wielkim półkręgiem przed pałacyk, bielejący wesoło wśród ciemnéj zieleni drzew. Lekki i zręczny, nie miał on żadnego architektonicznego stylu, a przecież mile wpadał w oko, tak jak te kobiece twarzyczki o nieregularnych rysach, lecz pełne świeżości i wdzięku. Fronton ozdobiony tarczą herbową, opiérał się na sześciu wysmukłych kolumnach, a boczne balkony ginęły w festonach powoi.

Maryjka weszła jednym z tych balkonów do siebie, hrabina poprowadziła Adama schodami głównego wejścia. Wysoki przedsionek o długich oknach z kolorowemi szybami był już oświecony matowym globem lampy, unoszonéj wysoko rękami śpiżowego bożka, białe światło odbijało się od marmurowych płyt posadzki i migotało na stali starych rycerskich rynsztunków, rozwieszonych na ścianach na przemiany z myśliwskiemi trofeami. Salon tonął jeszcze w wieczornym półmroku. Długi, wysoki, miał obicie bronzowe w deseń z ciemnego złota, meble tak samo pokryte i takież draperye, spadające ciężkiemi zwojami grubego adamaszku u drzwi i weneckich okien, a żyrandol, kinkiety, ramy zwierciadeł i wszystkie ozdoby ze starego bronzu, nie przyczyniały się do rozjaśnienia tego przybytku, który robił wrażenie chłodnéj powagi, nakazującéj chodzić na palcach i mówić pocichu. Ale za portyerą drzwi w głę-

bi salonu, odkrywał się czarodziejski światek, nie mający ani cienia feodalnéj wspaniałości. Byłto niewielki salonik, błękitno obity i umeblowany, z błękitną lampą, zawieszoną u stropu na srebrnych łańcuchach. Jedna jego ściana cała oszklona, ukazywała zwrotnikowy przepych cieplarni, w któréj wysmukłe palmy tryskały kaskadami długich liści po nad gąszcz rzadkich roślin, na przeciwległéj zaś ścianie ogromne zwierciadło w kunsztownie rzeźbionych ramach srebrnych, dwoiło w oczach ten śliczny gaik podzwrotnikowy. Wytworny smak widniał w doborze artystycznych pieścideł, których tu było pełno. Wdzięczne obrazki rodzajowe uśmiechały się z oprawy srebrnych liści; na kominku, który sam był starożytném arcydziełem, stały przepyszne bronzy i porcelany, a konsole i gierydony unosiły skamieniałe ideały mistrzów dłuta. W jednym rogu salonika klomb ciemnozielonych liści rozlewał przejmujący zapach; były to same kwitnące cytryny, po nad których gałęzie osypane białym kwiatem, ulatywała alabastrowa bogini, przechylająca lekką postać ruchem wdzięcznéj greckiéj prostoty, a pod nią, wsuwała się w gąszcz wonną fantazyjnie wygięta błękitna kanapka, nizka, miękka i przytulna. Przed kanapką na mozajkowym stoliku leżał przywiędły bukiet polnych kwiatów na otwartéj książce i maleńki naparstek, który potoczył się ku rzeźbionéj krawędzi, a rozpoczęty haft jakiś zsunął się ze stolika na wzorzysty perski kobierzec.

Wchodząc w to błękitne gniazdko, owiane jakby lekką chmurką półmrokiem szaréj godziny, hrabina odwróciła się do postępującego za nią Adama.

— To mój kawałeczek nieba na ziemi—rzekła—a oto—wskazała klomb i kanapkę—mój kraj, gdzie kwitną cytryny.

— Ach tam! o, tam! byłoby błogo... — powiedział Adam, i nie dopowiedział końca. Hrabina spojrzała na niego, zsuwając trochę brwi, ale jednocześnie uśmiech przeleciał po jéj ustach.

— Ten marsik — pomyślał Adam — ostrzega mię, że co nagle to po dyable; lecz uśmieszek dodaje, że śmiałym szczęście sprzyja.

— Kończę wiersz naturalnie tylko w myśli—rzekł głośno.

— Naturalnie—potwierdziła — gorące słowa poety nie powinny wymawiać się zimnemi ustami.

Przeszła wzdłuż saloniku i uniosła portyerę, obwieszającą fałdami błękitnych jedwabi otwarte drzwi szklane, przez które wionął świeży prąd wieczornego powietrza. Adam stanął za nią we drzwiach.

Długa werenda przykryta markizą z szarego płótna, biegła wąskim pasem od jednéj kraty oplecionéj dzikiem winem, do dru-

giéj takiéj saméj na przeciwnym końcu. Trzy szerokie stopnie spuszczały się ku tarasowi o lekkiéj pochyłości, po którym kręte uliczki rozbiegały się w głębie klombów, alei i gaików cienistego ogrodu. Tajemnicza gęstwina starych drzew, podesłanych szeroko rozpostartemi krzewami, zamykała widok z prawéj strony, z lewéj zaś kasztany i akacye rozstępowały się, usuwały na boki, zostawiając miejsce tylko obrzuconemu kępami kwiatów trawnikowi, po nad którym wzrok leciał w dal bez końca, na srebrny Horyń, na czarne ruiny sterczące u szczytu skały i na siniejące za niemi w odległéj perspektywie wzgórza.

Dokoła stołu ustawionego wzdłuż werendy krzątała się—zajęta przygotowywaniem herbaty—jedna z tych zasuszonych, obszytych w futerał wąskiéj sukienki istot, co to są do wszystkiego razem i do niczego specyalnie, które zawiadują całą ekonomią domową, nie mając praw władzy ani własności, które słuchają zwierzeń, posiadają tajemnicę, trzymają nieraz w ręku ukryte sprężyny życia swoich chlebodawców, nie mogąc pomimo to wejść z nimi w stosunek poufałéj przyjaźni, które połączone wszystkiemi węzłami swego istnienia ze światem, nie mającym z niemi nic wspólnego, należą doń jako maszyna, nie należą jako człowiek. Takie maszynki do pracowania za próżniaków i słuchania ich zwierzeń, nie robiąc im swoich, bywają zwykle złośliwemi intrygantkami, mszczącemi się skrycie za jawne upokorzenia, a czasem bohaterkami cichego poświęcenia, płacącemi poczciwą psią wiernością za każde łaskawsze obejście i uprzejmiejsze słowo.

Wyfrakowany kamerdyner wszedł bocznemi drzwiami z dżentlmeńsko-automatyczną sztywnością sługi pańskich domów i przesunąwszy się cicho jak cień, postawił lampę na stole. Blask popłynął wzdłuż werendy, i jasno oświecił ugrupowane na jéj końcu trzy ludzkie postaci. Młoda brunetka w ciemnéj sukni, siedziała na nizkiéj ogrodowéj ławeczce pod splotami dzikiego wina, obok niéj stał delikatny szatynek, śliczny jak obrazek, elegancki i wytworny, a trochę daléj rozpiérał się niedbale w bambusowym fotelu mężczyzna w średnim wieku, z twarzą jednostajnéj barwy, o szaro-bladéj cerze i szaro-blond faworytach, z przymglonemi oczami, i pięknem, wysokiém czołem. Małe towarzystwo rozmawiało z sobą, ale się widać nie bardzo bawiło, bo brunetka była roztargniona, szatynek melancholiczny, a blondyn znudzony.

Hrabina tedy weszła na werendę, Adam przystanął we drzwiach. Brunetka zerwała się żywo.

— Co się stało?—zawołała, podbiegając ku wchodzącéj. — Konia odprowadził żołnierz, mówiąc, że panie idziecie pieszo, ale nie umiał wskazać, w którą stronę posłać po was.

— To cała historya — rzekła hrabina do wszystkich razem. — Kaprys dostał nerwowego ataku, ja także, Maryjka tylko utrzymała się przy zdrowym rozsądku, który jednak niewiele nam pomógł w tym razie, i niezawodnie byłybyśmy się stłukły jak porcelanowe figurki, gdyby nie nagłe zjawienie się *d'un paladin sans peur et sans reproche*, wskutek czego nastąpiło osadzenie na miejscu rozszalałego rumaka, uspokojenie wylękłych dam, przeprowadzenie ich przez bezdroża pod rycerską opieką; cała bohaterska epopeja. Pan Adam Skrzyński —dodała — mój wybawca, opiekun, a obecnie miły gość. Mój mąż — wskazała na blondyna, który podał Adamowi rękę.— Moja kuzynka—brunetka skinęła głową.— Nasz sąsiad, pan Henryk Zarzecki—szatynek ukłonił się.

— Bardzo panu jestem obowiązany — rzekł hrabia z chłodną uprzejmością do Adama. — Moja żona nie omieszka skorzystać z uratowanego życia, aby najdaléj jutro znów je narazić w jakiéj romantycznéj przygodzie.

— Pani Nina—objaśniła brunetka — lubi swawolne konie, głęboką kąpiel, przeciągi w ruinach i wszystko co wychodzi po nad niwelacyą powszedniości.

— A kosztując niepowszednich wrażeń, pani Nina lubi także karmić niemi życzliwych sobie, wystawiając ich na niepokój.

— Dodajcie państwo jeszcze— rozśmiała się hrabina, — że Janusz, Helenka i pan Henryk lubią rozmaitemi sposobami rozbudzać ducha sprzeczności pani Niny, wywołując przez to właśnie niebezpieczne zachcianki. Ale pani Nina w obecnéj chwili lubi tylko gorącą herbatę ze świéżą bułeczką, i myśli, że te rzeczy podchodzą o tyle pod niwelacyą powszedniości, aby najtrzeźwiejsze umysły nie raczyły niemi pogardzić.

Usiedli przy stole, Maryjka nadeszła także, samowar zaszumiał, aromatyczna para chińskiego ziela zakłębiła się nad saskiemi filiżaneczkami, a rozmowa popłynęła swobodna i ożywiona. Nic tak nie sprzyja wesołéj gawędce, jak te warunki rozmaite, które łączą się z sobą przy wieczornéj herbacie. Jest to pora dnia, w któréj umysł ludzki stoi na kulminacyjnym punkcie swego podniecenia, bo wszystkie drobne wypadki i wrażenia całodzienne naprężyły elastyczność funkcyi mózgowych i przyśpieszyły pulsacyą tętna; więc myśli żywiéj się snują, a słowa łatwiéj płyną, zanim z późniejszym wieczorem nadejdzie ociężałość, którą natura dopomina się odpoczynku. Przytém wesoła reakcya światła po smutnéj szaréj godzinie, ściślejsze skupienie się przy niém osób, które o dziennym blasku nie potrzebują szukać wspólnego jaśniejszego kącika, materyał do rozmowy w zakończonéj już kronice drobnych dzien-

nych wydarzeń, a nawet sama herbata, nie będąca sprawą odżywiania się na seryo jak obiad, lecz raczéj zabawką dla podniebienia, to wszystko razem wzięte usposabia bardziéj towarzysko, daje weselszy humor i chęć a łatwość dzielenia się myślami. A jeśli jeszcze takie kółko siedzące przy herbacie składają ludzie rozumiejący się i sprzyjający sobie, jeśli im nie brak chleba i książki, środków do życia i świeżych pism, téj sieci telegraficznéj, łączącéj cichy kącik z szerokim światem i społecznością ludzką, jeśli dzień im zszedł pożytecznie i nie przyniósł ciężkiego nad powszednie troski zmartwienia, wtedy taka godzinka, spędzona razem na wieczornéj pogadance, jest jedyną prawdziwą rozkoszą życia, rozkoszą zdrową, spokojną, uczciwą, która nasyca serce, nie wstrząsając nerwów, orzeźwia umysł, nie rozgorączkowując wyobraźni.

I mógłby używać tych rozkoszy, dostępnych dla bardzo wielu, każdy rozsądny człowiek, co nie żąda szybki z okna lub krokodyla z Nilu; a jednak... We dworze zazdroszczą świeżości uczuć i serdecznego ciepła dworku, w dworku mówią z westchnieniem o dostatku we dworze, i każdy widzi gdzieś szczęście, w jakiejś innéj sferze, pod czyimś tam dachem, tylko nigdy u siebie... Więc gdzież ono naprawdę mieszka? czy go ludzie zbudować sobie nie umieją, czy nie mają z czego. Podobno najczęściéj pierwsze, często drugie, a podobno zdarza się także, że ten niebieski ptaszek zlatuje na ziemię, ale go ludzie nie dostrzegą, bo nie chwaląc się sobą, siedzi cichutko w jakiémś sercu, które wiele przecierpiało i dla tego małém się zadawalnia.

Zdaje się, że niewiele znalazłoby się szczęśliwych w gronie osób pijących herbatę na werendzie.

Pani Nina była nerwowa i wrażliwa. Każdy z tych warunków pojedyńczo wzięty już może zatruć życie, a kiedy złączą się z sobą, co zwykle bywa, bo jeden z nich wytwarza drugi, wtedy istota, stanowiąca fizyczny punkt ich połączenia, nabiéra zdolności doznawania błogich uniesień, które szybko przychodzą i szybciéj jeszcze odlatują, a traci równowagę wewnętrzną i spokój ducha, bez których nie może być długotrwałego zadowolenia. Nina miewała chwile gorączkowych upojeń, ale bardzo krótkie, a przez resztę czasu trapiło ją rozczarowanie, zniechęcenie i męczący niepokój serca.

Hrabia Janusz prawdopodobnie już nie mógł doznawać gorączki żadnych wrażeń. Matowe jego oczy wyrażały przesyt, nudę i doskonałą na wszystko obojętność, która nie była przecież wynikiem apatycznego temperamentu, lecz późniejszym nabytkiem, bo czoło jego nosiło ślady minionych burz. Na twarzy téj wypisane było czytelnym charakterem: już mi się żyć nie chce.

Młoda brunetka, panna Helena, miała usta zagięte ku dołowi sarkastycznym uśmiechem. Taki uśmiech może przywrzéć do ust tylko wskutek długiego ciągu doznawanych goryczy, szarpiących ukrytemi burzami duszę, w któréj nie ma pobłażania ani cierpliwości. Ironia jest zewnętrznym wyrazem ciągłego wewnętrznego buntu przeciw ludziom, światu i warunkom życia; ona tłumi wybuchy kipiącego w sercu gniewu, aby go powoli przesączać w pogardliwe szyderstwo. Pogodzeni z losem, stoicy i prawdziwi chrześcianie, nie miewają nigdy sarkastycznego uśmiechu.

Pan Henryk wyglądał jak flakon musującego wina. Widocznie zakochany w Ninie, starannie to ukrywał i tém właśnie zwracał uwagę, że zanadto usiłował ją odwrócić. Ciągły niepokój wewnętrzny wstrząsał mu nerwy, malując delikatną twarzyczkę to na biało, to na różowo, i nadawał ślicznym oczom niebieskim wyraz cierpienia; widać uczucie, którego doświadczał, nie uszczęśliwiało go wcale.

Niech sobie co chcą mówią zwolennicy wolnéj miłości, a przecież prawdą jest, doświadczeniem wielu stwierdzoną, że miłość tylko wtedy prawdziwie uszczęśliwić może, kiedy nie jest wolną, kiedy ją uszlachetnią społeczne i religijne prawa, zmieniając namiętność w obowiązek, to jest modyfikując gwałtowność wzruszeń spokojem serca i sumienia. W przeciwnym razie, uczciwe instynkty, tkwiące w każdéj jeszcze na wskroś nie zepsutéj duszy, budzą się w niéj co chwila, aby sączyć niesmak w czarę upojenia. A ten niesmak sumienia towarzyszy nietylko czynom, lecz nawet chęciom występnym; bo chęć, jako stanowiąca moralną istotę czynu, jest z nim identyczną, a bezwiedna logika sumienia traktuje wolę złego tak samo, jak zło spełnione; dla tego więc serce opanowane występnemi pragnieniami nie ma spokoju, a więc i szczęścia zaznać nie może.

Twarz Adama była wyrazista, lecz troski życia, snać znoszone z hardą obojętnością, nie wypisały na niéj żadnych śladów cierpienia. Bystre siwe oczy patrzyły badawczo lecz spokojnie, była w nich myśl inteligentna, lecz ciepła uczucia nie było; żadne wrażenie nie zabarwiało żywszém krwi tętnem śniadéj cery i szerokiego czoła, ocienionego spadającemi na nie niedbale czarnemi włosami.

Maryjka miała także spokojny wyraz twarzy, lecz nie był to chłodny spokój obojętności; przeciwnie, ciepło serdeczne promieniało z tych błękitnych oczów, pogodnych jak niezabudki nad zdrojem, co radują się słońcem i rosą, nie pragnąc nic więcéj, ciesz-

cych się życiem jak wielkiem dobrém, którego może używać w pokoju każde serce czyste.

Rozmowa toczyła się tak swobodnie i wesoło w tém kółku złożoném przeważnie z malkontentów losu, jakby nikomu z nich nic nie dolegało nigdy. Wielkiém jest dobrodziejstwem wymaganie téj formy towarzyskiéj, która każe ukrywać przed obcymi zły humor, znudzenie, smutek i wogóle wydatniejsze uczucia. Cóżby to było, gdyby każdy odkrył przed drugimi swoję ranę, i jęczał na to, co go boli? Ulgi niktby w tém nie znalazł, bo jéj nie daje wywnętrzanie się przed obojętnymi, a tylko skwasił by sobie i drugim nawet te krótkie chwile, w których uciekając od samego siebie, człowiek szuka zapomnienia trosk swoich w towarzystwie innych ludzi, i bardzo często rzeczywiście zapomnienie znajduje. Bo serce potrzebuje samotności i ciszy, aby poić się żółcią; wielkie tylko boleści niczém przytłumić się nie dają,—lecz te powszednie smutki i zgryzoty dźwięczące fałszywą struną w każdym akordzie życia, tak cichną przy zewnętrznym gwarze, jak płaczące dziecko zabawione grzechotką.

Rozmowa na werendzie ożywiała całe towarzystwo, bo pani Nina posiadała dar uogólniania jéj, właściwy kobiétom światowym, chociaż i między niemi już coraz rzadszy. Przelatywano z przedmiotu na przedmiot, dotykając lekko kwestyi głębszych, podnosząc dowcipem płytsze, unikając znudzenia takiém urozmaiceniem tematów, że chociaż każda myśl wychodziła z poprzedniéj jak kółko w łańcuchu, lecz miała swoję odrębność, i do jeszcze odrębniejszéj prowadziła. W taki więc sposób mawiano o wypadkach dnia i nowościach literackich, o miejscowych ploteczkach i europejskiéj polityce, o modach i muzyce, o sztukach i gospodarstwie; rzucano przytém psychologiczne spostrzeżenia, przekonania moralne, osobiste poglądy i naukowe zdania; ale to wszystko było starannie poobwijane w różnokolorowe papierki dowcipu, aby utrzymać się na równéj odległości między pedanteryą a nieuctwem. Żart i dowcipkowanie odejmowało zbytnią powagę ważniejszym kwestyom,—wykształcenie zaprawiało atycką solą lekkie żarty i dowcipy.

Taka zabawka w rozumowanie, muskające z uśmiechem najgłębsze zadania, na które George Sand wymyśliła trafny określnik „*philosophailler*",—spotyka się dziś prawie zawsze w każdéj inteligentnéj sferze. Rzadko usłyszéć można dysputę na seryo; miejsce jéj zajęła lekka dyskusya, która robi *bons mots* z filzooficznych zagadnień, a eleganckie frazesy z naukowych teoryi, jakby wykrawując modną tualetę z klasycznéj tuniki. Nie myślcie przecież, moi państwo (do czytelników), że ja się oburzam na podobny sposób

prowadzenia rozmowy, że go potępiam bezwarunkowo. Broń Boże! Niech myśliciel i uczony przemawia z kapłańskiém namaszczeniem; a my, pospolici śmiertelnicy, gwiżdżmy sobie zlekka arye wielkich oper, jeśli ich zaśpiewać dobrą metodą nie potrafimy,—gawędźmy wesoło choćby o rzeczach poważnych, gwoli wypoczynkowi serca i umysłu,—tylko żartujmy ostrożnie, bo są tematy, na których tle nie godzi się dowcipkować, a my się dziś wszystkiém bawimy.

Po herbacie, Nina zeszła na stopnie werendy.

— Co za noc!—rzekła, oddychając mocno. Prawie żyć miło...

— Prawie?...—zapytał przeciągle Henryk.

Nie odpowiadając mu, zwróciła się do całego towarzystwa:

— Stwierdzamy na sobie w téj chwili—rzekła, przypowieść o perłach rozrzucanych przed kury, które wolą jęczmień: tam księżyc tak pięknie świeci, a my tu siedzimy przy mdłéj lampie. Myślę że wspólna przechadzka po parku nie będzie chyba żadną awanturniczą wyprawą? *Qui m'aime—me suive*!

Zbiegła ze schodów na taras, a za nią reszta towarzystwa. Szli najpierw razem, szeroką aleją ogrodu, ale daléj, na wązkich dróżkach parku, musieli rozdzielić się na pary. Henryk podał rękę hrabinie, hrabia Janusz Maryjce, Adamowi dostała się panna Helena. Wskutek tego rozmowa musiała z ogólnéj rozbić się na trzy części, prowadzone każda przez dwie osoby. Pierwsza para rozstrząsała jakiś epizod ze snu nocy letniéj, druga mówiła o zmianach mających się zaprowadzić w parku, trzecia o kierunku nauk w zakładzie, który Adam ukończył.

A drzewa gawędziły z sobą także, cichym, drzémiącym szeptem, a promienie księżyca kłóciły się z chwiejnemi cieniami drzew, a powiew od morza przynosił plusk fali, odrywającéj kamyk po kamyku ze skały co się wparła w jakiś zakręt rzeki. Natura w objęciach mgły i cienia rozmarzona, rozespana, szeptała przez sen jakieś tajemnicze słowa, które tylko rozkochane serce rozumiało, z pomiędzy kołyszących się lekko gałęzi zalotne mruganie gwiazd kapało srebrnym deszczem,—głęboki spokój owiał wszystko dokoła rozkosznén omdleniem letniéj nocy. Na kawałku nieba między dębem i brzozą przesunęła się spadająca gwiazda.

Henryk rzekł do swojéj towarzyszki.

— Nasz lud wierzy w spełnienie się życzenia zrobionego w chwili przelatywania meteoru. Włożyłbym chętnie sukmanę, gdybym wiedział, że mi z nią przyjdzie ta wiara...

— Cóżby pan zyskał na wierze—odrzekła, jeśliby nie sprawiła cudu?

— Nie wymagałbym wcale cudu. Moje życzenie żądałoby tylko konsekwentnego wyniku stanu rzeczy.

Zamilkł—i ona milczała; więc po chwili dodał:

— Pani mię nie zapyta, czegobym życzył?

— Nie koniecznie trzeba pytać, żeby wiedziéć,—odpowiedziała z uśmiechem.

— Pani to wié przez domyślność tylko, czy téż przez odczuwanie?

— Jak pan rozumié to ostatnie?

— Tak jak oddźwięk jednéj nuty na drugiéj strunie.

— Niech pan nie przeciąga struny, bo pęknie....

— Zawsze to samo!—zawołał żywo. Niech już raz pęka, to wolę... Dlaczego pani pozwala iść w pewnym kierunku, żeby przy samém wejściu zamykać furtkę?

— Bo za furtką urwisko...

— Więc jeśli kto niéma dosyć odwagi, aby skoczyć ze skały, dlaczego staje na pochyłości, i iść tam za sobą pozwala?

— Dlatego, żeby spojrzéć choć przez okno w zaczarowany pałac, do którego wejść nie wolno.

— Nie wolno? Dlaczego niewolno? Wszak tu wola pani wszystko stanowi?

— Moja wola kontentuje się dotąd patrzeniem przez okno.

— Dotąd... a późniéj?

— Późniéj...—któż odgadnie zagadkę przyszłości?...

— Pani odgadnie, i mnie powié.

— Może powiem, a może nie powiem. To zależy.

— Ale moje życie od tego zależy!

— Przypomina mi pan tę rozmowę między francuzem i anglikiem: „nie mogę żyć bez twojéj córki, milordzie!“ „to nie żyj pan“.

— Czy to ostateczne i stanowcze słowo?

— Niech panu na to własna intuicya odpowié. Mówił mi pan tyle razy, że mam za mało stanowczości, że dziś mówię tak, a jutro nie; może to prawda...

— Pani się mną bawi, jak dziecko wróblem na nitce!

— I ja jestem wróblem na nitce... nieraz chciałabym urwać się, i uleciéć w błękity szczęścia, do téj ojczyzny serca, za którą ono tak tęskni na wygnaniu; ale mam na to za mało stanowczości...

— Znowu mówi pani tak wiele i tak mało, jak zawsze. Tyle żeby pozwolić się czegoś domyśléć, lecz w taki sposób żeby domysłu nie upoważnić. A ja nie mogę już dłużéj skakać jak piłka od nadziei do zawodu, i naodwrót. Niech co chce będzie—musi mię pani wysłuchać i raz przecie kategorycznie odpowiedziéć.

— Więc słucham.

— Pani jesteś zachwycającą—któżby temu śmiał przeczyć? ale dlatego nie byłbym stracił głowy, gdyby mi jéj rozmyślnie nie zawracano. Pani mię wołała—więc przyszedłem,—i mam prawo zapytać po co mię wołano,—mam prawo wymagać, żebyś się pani przyznała do okrutnéj zabawki w kokieteryą na zimno, albo odpłaciła mi tą samą monetą jaką mi wzięłaś. Za serce—żądam serca, i mam słuszność za sobą, bo kto pożyczył, powinien oddać, albo wyznać bankructwo—brak serca.

— Pan był szczerym—teraz na mnie kolej. Nie jestem zimną kokietką, bo mam na to zawiele ciepła w sercu. Nie gram komedyi uczuć, bo ich rzeczywiście doznaję. Jeśli wołam, to wtedy kiedy sama chciałabym wybiedz na przeciw; a jeśli zrobiwszy parę kroków naprzód, znów się cofam, to może dla tego, że mam za mało odwagi, a może... może za wiele moralnego instynktu... Zresztą—nie myśl pan, że ja sama siebie rozumiem... pan mnie nazywasz Sfinksem, lecz ja nim jestem bardziéj jeszcze dla siebie niż dla kogo... Serce jak morze... fala pędzi śpieniona do brzegu, rozbija się, i wraca skąd przyszła, a zwierciadło wody leży znów ciche i nieruchome, dopóki go druga fala nie rozkołysze... Tak i w moich piersiach wzbiera fala uczuć, przypływa nie wiem skąd, odpływa nie wiem dlaczego, a ja daję się jednéj unosić na pełne morze, lecz z drugą wracam do brzegu. Niechże mi kto wytłómaczy, gdzie przyczyna porywów i uniesień, albo niechęci i zobojętnienia, którym poddając się z kolei ściągam na siebie zarzut komedyi uczuć, kiedy ja tylko właśnie szczerze okazuję te, które w danéj chwili odczuwam. Że z jakimś prądem wewnętrznym płynę na głębie, lub osiadam na mieliźnie,—czy moja w tém wina?

— Wina jest w tém, że sama płynąc z prądem, pani drugich ciągnie za sobą.

— Niech nie płyną.

— Ależ ja chcę płynąć, chcę utonąć z panią, tylko nie chcę już osiadać na mieliźnie! Niech już raz wiem na pewno—czy kochasz mię pani?

— Nie zrozumiemy się nigdy... przecież wyraźnie mówię, że jeszcze nie wiem tego sama, że jedna chwila przynosi mi tęskonoty, pragnienia, marzenia—a druga to wszystko ściera, zostawiając pustą białą kartę...

— Więc ja chcę wiedziéć, co w obecnéj chwili na téj karcie napisane!—zawołał żywo, prawie gwałtownie. Ona rozśmiała się.

— Ja chcę?—co za ton dyktatorski! a ja właśnie nie chcę, i nie powiem nic, lub chyba to tylko, że może właśnie w téj chwili ktoś starł na téj karcie napisane własne imię... Jestem *mimosa sensitiva*—zamykam się przed szorstkiém dotknięciem.

— Więc fala odpłynęła, i jesteśmy na mieliźnie?—rzekł ironicznie.

— Wróciliśmy do punktu wyjścia, okrążywszy zaczarowane kółko,—odparła śmiejąc się. Patrz pan, jak księżyc płynie po rzece „nabijaną światłem drogą"—dodała, stając na wzgórzu nad wodą; i zaczęła rozmawiać z resztą towarzystwa, które nadszedłszy, zatrzymało się także.

Wypowiedziano kilkanaście frazesów o piękności miejsca i grze światłocienia, poczém nastąpił odwrót w poprzednim porządku. Nina trzymała teraz rozmowę ze swoim towarzyszem w ścisłym zakresie przedmiotów obojętnych, zostawiając mu w niéj miejsce ledwie na monosylaby, żeby nie mógł wrócić do poprzedniego tematu. Raz tylko, kiedy podniosłszy głos, zwróciła się z zalotną uprzejmością do Adama, mówiąc, że zrobi dla niego specyalnie nową wycieczkę do parku, aby w dzień pokazać mu lepiéj wszystkie piękności tego labiryntu, w którym będzie jego Ariadną, Henryk rzekł ironicznie:

— Czy Ariadna doprowadzi go także tylko do furtki labiryntu?

— Więc pan przypuszczasz—odparła, że taka Ariadna mogłaby zajść daléj z takim Tezeuszem?

— Nie robię przypuszczeń; tylko, jeśli mam wierzyć wszystkiemu, co pani przed chwilą mówiła, wnioskować muszę, że i obecna kokieterya nie jest zabawką, lecz porywem uczucia.

— Porywem uczucia! *où le sentiment irait-il se nicher*!

— Dylemat bez wyjścia: ani fałsz — ani prawda; więc cóż to jest?

— Może sprawiedliwa Nemezys, mszcząca się za cały ród niewieści. *Imaginez*—że tém młodzieniec śmié w miłość nie wierzyć!

— A! więc pani podjęła wzniosłe zadanie nawrócenia go na tę wiarę?

— Nie podjęłam jeszcze; ale gdyby tak było, pan znówby mię nie zrozumiał, biorąc apostolstwo za kokieteryą.

— Co za szczytne poświęcenie się dla idei!

— Co za dziwaczne branie farsy *au tragique*! Zastanów że się pan raz rozsądnie: jabym na tém nic nie straciła, a on wieleby zyskał—co najmniéj ogładziłby się—*le pauvre garçon est si gauche!*

I mówiła daléj o tym biédnym chłopcu z takiém lekceważeniem i umyślną przesadą w żartowaniu z jego mniemanych śmieszności, że Henryk zupełnie odzyskał dobry humor i zapomniawszy o podnoszonym przed chwilą buncie przeciw tyranii czarodziejki, powrócił znowu do stanowiska wróbla uwiązanego na jéj włosku.

Kiedy hrabina podniosła głos, zwracając się do Adama, hrabia usłyszał jéj słowa i rzekł do idącéj z nim Maryjki:

— Zdaje się, że Nina ma dosyć ananasów i chce orzeźwić sobie podniebienie leśném jabłkiem.

Maryjka oburzyła się.

— Zawsze pan patrzy przez okopcone szkiełko i widzi wszystko czarniejszém niż jest!

— Widzę tylko, że Nina jest lekkomyślną kokietką; w tém chyba nie ma mego uprzedzenia, bo wszyscy to samo znajdują.

— Wszyscy! któż to wszyscy? tłum obojętnych, dalekich, często nieżyczliwych, którzy sądzą z pozorów, bo nie mają dosyć bystrości, a choćby sposobności, aby wejść w głąb duszy ludzkiéj.

— Ależ ja znam Ninę przecie.

— Znać, to nie znaczy przeżyć z kim czas jakiś; znać to rozumiéć.

— Jakże ty ją rozumiész?

— Rozumiem ją, jako istotę o wydelikaconéj do zbytku subtelności uczucia. Podległa ciągłym porywom serca, nie ma dość mocy ducha, aby je przytłumić w sobie, lub skierować gdzie potrzeba, więc wymarza ideały, szuka bratnich dusz, zawodzi się na nich i przechodzi do innych, aby zawieść się znowu. A ludzie ten szereg smutnych omyłek, biorą za zimną i wyrachowaną kokieteryą!

— To, co mówisz, nie zgadza się z twojemi zasadami. Wszak podług ciebie, żona powinna być wierną, niezależnie od tego czy kocha męża i czy jest kochaną?

— Hrabina nie złamała wiary; jestem pewną, że nikt nigdy nie zbliżył ust do jéj twarzy.

— Więc flirtowanie nie sprzeciwia się obowiązkom żony?

— Podług mnie, sprzeciwia się im bardzo; lecz nie każda ma to przekonanie, a sędzia sprawiedliwy nie na czyn patrzy, lecz na pojęcie o nim. Hrabina nie ma za występek tego, co nazywa związkiem dusz i sympatyą serc, więc nie jest winną nawet wobec najskrupulatniéjszéj ze wszystkich religii, która mówi, że nieświadomość grzechu nie czyni. Doszliśmy już przecie do tego, że w procesach kryminalnych wyprowadzamy okoliczności łagodzące z psychologicznych danych oskarżonego; bądźmyż konsekwentni, zastosowując do wszystkich te same uwzględnienia.

— Więc pewnie znajdujesz Ninę godną nietylko pobłażania, ale nawet litości?

— Naturalnie: żal mi niespokojnego ducha, który miotając się w klatce, sam wyrywa sobie własne piórka.

— Pociesz się tém, że lekkomyślne istoty cierpiéć nie mogą; cierpienie potrzebuje poważnego skupienia ducha, a Nina jest przecież prawie zawsze wesołą.

— *Souvent on se hâte de rire, pour ne pas se mettre à pleurer.* Skoro umysł rozgorączkowany, rozdrażnione czémś nerwy potrzebują wybuchnąć, wybuchają śmiechem, gdy łzami nie wypada; można przez całą noc bezsenną skupiać myśl wkoło jakiegoś bolesnego punktu, a przez cały dzień odurzać ją drobnemi przyjemnościami. Jak nędzarz rozpija się, aby zalać robaka, tak ludzie innéj sfery często rozbawiają się w tym samym celu. To tylko kwestya wrażliwości temperamentu i słabości charakteru. Niech mi pan wierzy, że hrabina dla tego za wiele się bawi, bo ma smutne serce.

— Przez imaginacyą.

— To nie zmienia rzeczy; czy przyczyna cierpienia jest wymarzona, czy rzeczywista, cierpienie jednakowo boli. A przytém, nie zawsze jest mrzonką, co się nam być nią wydaje. Prostaczek doświadczający realnych przykrości, śmiałby się z filozoficznych cierpień myśliciela, co nie dowodzi przecież, żeby były fikcyjnemi. Tak samo analizie myśliciela wymykają się niektóre drgnienia kobiecego serca, dlatego, że ich przyczyna nie wydaje mu się logiczną.

— Jeśli tak usprawiedliwiasz innych, powiédz mi, czy w położeniu Niny postępowałabyś tak samo?

— O, nie, nigdy! nigdy! Dla mnie nie byłoby okoliczności łagodzących winę, bo mam mocne nerwy, silną wolę i zdrowy chłopski rozsądek. Moje pojęcia są nakreślone liniami prostemi, nie gnącemi się w arabeski sofizmatów, więc po nich prosto chodzić muszę. Dla mnie mały grzeszek hrabiny byłby wielkim występkiem, wychodząc zawsze z téj zasady, że wielkość winy jest proporcyonalną do sposobu widzenia i zasobu energii winowajcy. To też mam nadzieję, że ze mnie świat i życie nie zrobią tego, czém być nie chcę, gdy tymczasem z niéj każdy mógł co chciał zrobić. O! jaka szkoda, że ten miękki materyał nie dostał się w ręce takiego mistrza, który zadałby sobie pracę zrobienia z niego arcydzieła!

— Widzę z tych słów, że całą odpowiedzialność za postępowanie Niny składasz na moje barki. Myślisz, choć przez delikatność nie domawiasz tego, że do mnie należało utrzymać porywy jéj serca przy domowém ognisku, i nie dać mu zapragnąć innego szczęścia, uszczęśliwiając swojém przywiązaniem. W teoryi masz słuszność; w praktyce—różnie bywa... Posłuchajże jak było, i osądź: Pobraliśmy się z przywiązania; małżeństwo nasze było pod każdym

względem dobrane, i zgadzaliśmy się we wszystkiém, prócz w jednèm tylko — w sposobie pojmowania uczucia. Ona kochała wyobraźnią i nerwami, ja sercem i rozumem, głęboko, ale bez zapału świeżych uczuć, których nikt z nas już dziś, żeniąc się, do małżeńskiéj spółki nie przynosi. Po bardzo niedługim czasie, mnie znużyły jéj kapryśne i fantastyczne uniesienia, ją zanudził mój umiarkowany spokój. Chcąc zbudzić w mężu tragicznego kochanka, zaczęła drażnić moję zazdrość, i dokazała tego, ale tylko w połowie, bo doznając zazdrości, tłumiłem ją w sobie, aby jéj nie zrazić brakiem szacunku i zaufania. No, i nie zrozumieliśmy się... Ona, biorąc ufność za obojętność, wynagradzała to sobie rozbudzaniem miłości gdzie się dało, ja zrażałem się tém coraz bardziéj i doszedłem powoli do tego, że już mi dziś wszystko jedno. Niech się bawi, jak chce; wiem, że zachowa formy przyzwoitości, bo ją do tego wychowaniem wdrożono, więc cześć moja wyjdzie cało przed światem, o resztę mi nie idzie, *et tout est perdu, sauf l'honneur...*

— Czemuż nie było pomówić z nią otwarcie, porozumiéć się jakoś?

— Próbowałem, ale widać za późno, bo mi powiedziała, że już mnie nie kocha, i że zgasłéj iskry nie rozdmucha, choćby chciała. Mówiła, że w jéj sercu fala uczuć przypływa i odpływa niezależnie od jéj woli, więc ona temu nie winna, i nic na to poradzić nie może.

— Musiała przecież bardzo cierpiéć, nim ta fala odpłynęła.

— A ja?... Może myślisz, słysząc jak spokojnie i obojętnie o przeszłości mówię, że zawsze wszystko spływało po mnie, jak woda po kamieniu? Dziś już spływa, ale kamień nim zastygł, był lawą... I ja wiem co to walki i burze wewnętrzne, niepokój ducha, zawody i złudzenia... Znałem już je nawet dosyć, kiedym się żenił z Niną. Już wtedy byłem trochę rozczarowany przez życie, trochę przesycony światem, zniechęcony do ludzi, a wskutek rozmaitych wpływów nastrojony o tyle sceptycznie, że zacząłem już wszystkiemu niedowierzać, jak dziś każdy, co żył, czuł, myślał i czytał. W jedno jeszcze wierzyłem bez krytyki, w serce kobiéty i jego wpływ zbawienny na męskiego ducha. Gdybym był znalazł takie, któreby chciało i umiało stać się wzmacniającém lekarstwem na tę anemię moralną, którą we mnie, jak w tylu innych, rozwinęły obecne prądy myśli i warunki bytu, życie poszłoby inną koleją... byłbym sobie teraz zdrowym, rozsądnym szlachcicem, który szczerze się śmieje i pożytecznie pracuje, zamiast jak dziś, roznerwowanym i zgorz-

kniałym próżniakiem, co zbiéra numizmaty i studyuje Schopenhauera dla zabicia resztek świadomości...

— Mnieby się zdawało, że bolesne zawody życia nie powinny poważniéj myślącego człowieka pogrążać w obojętną apatyą, lecz przeciwnie, zwrócić umysł jego do szukania pociechy w czynie, w pracy, w oddaniu się jakiemuś pożytecznemu celowi.

— Zapewne; ale nie bierzesz tego w rachunek, że jedna przyczyna w różnych naturach różne wywołuje skutki. Cierpienie silniejszych hartuje, słabszych łamie. Wszak Ninę usprawiedliwiasz, choć także miała zamało mocy ducha, aby pocieszać się nie zabawą lecz pracą: a przecież i ja byłem w podobném z nią położeniu. I mnie wychowano powierzchownie, nerwy rozpieszczono, przekazano dziedzicznie delikatny organizm i słabą wolę. W takich warunkach niezadowolenie z życia prowadzi zwykle kobiétę do odurzania się czém można i nie można, mężczyznę zaś do bezczynnego rozmyślania nad ujemnemi stronami bytu. Rozmyślałem téż, rozgoryczałem się coraz bardziéj własnemi myślami, czytałem przytém dużo, a że najłatwiéj trafia do przekonania co się najbardziéj zgadza z usposobieniem chwili, więc filozofia rozpaczy padła w moim umyśle na dobrą rolę; rozpiłem się pesymizmem, i dziś już choćbym chciał, nie oderwę ust od tego kieliszka, bo mi się zdaje, że może w nim jednym prawda na dnie... Tak, nie ma chyba prawdziwszéj prawdy nad tę, co się eksperymentalnie sprawdza co chwila, że wszystko jest niczém, że żyć nie warto, że jedynym rozsądnym celem bytu, dążenie do niebytu, że jedyném dobrem — nirwana.....

— O, niech pan tak nie mówi! niech pan tak nie myśli! Czemuż ja nie mogę dać panu choć trochę téj mojéj prostéj wiary, która nie potrzebuje rozumować, bo czuje, nie wątpi, bo kocha, nie dopuszcza do rozpaczy, bo jęk jéj tłumi głosem obowiązku!... Czemuż ja nie byłam wtedy na jéj miejscu!...

Janusz pochylił się ku niéj i spojrzał w oczy w których łzy błyszczały. Ona spostrzegła, że ją współczucie za daleko uniosło, że w dziewiczéj niewinności swojéj, powiedziała za wiele, i szybko odwróciła głowę. Ale on wziął ją za rękę i rzekł wzruszonym głosem:

— Maryjko, posłuchaj mnie jeszcze: głęboki sceptycyzm ma to w sobie, że wątpi nawet w pewność zwątpienia; ja w téj chwili nie dowierzam zupełności mojéj niewiary, bo wierzę w ciebie, i może uwierzyłbym jeszcze na nowo w życie, w szczęście w przyszłość, gdybyś tylko ty tego chciała... Czy mnie rozumiész?...

— Nie, nie rozumiem — rzekła żywo, wysuwając rękę z pod jego ramienia. — Rozumiem tylko, że pesymizm nie przeszkadza pozostać uczciwym człowiekiem...

On powiódł ręką po czole, i zamilkł. Po chwili rzekł spokojnym, chłodnym, jak zwykle tonem:

— Dziękuje ci, moje dziecko, żeś mnie nie chciała zrozumiéć. Niech gaśnie ostatnia iskra w popiele, skoro znajdujesz, że tak być powinno... Ja cofam moje słowa, a ty wróć mi swój szacunek.

Podał jéj znów ramię, które ona przyjęła, ale już żadne z nich nie powiedziało więcéj ani słowa.

(*D. c. n.*) *Julia Terpiłowska.*





NOWSZE POGLĄDY

NA DZIEDZICZNOŚĆ I ZMIENNOŚĆ ISTOT OŻYWIONYCH.

Przed dwoma laty, w tomie 3-im niniejszego pisma z r. 1887 (str. 387—413), zamieściłem dosyć szczegółowe sprawozdanie z poglądów niektórych badaczy na źródło dziedziczności i zmienności u istot ożywionych.

Treść tych poglądów jest następująca:

Według Karola Darwina i Brooksa, dziedziczność ma polegać na têm, że produkty płciowe samcze i samicze (nitki nasienne, pyłek kwiatowy, jajka) są wyciągiem całego organizmu rodziców, oraz jeżeli nie wszystkich, to przynajmniéj bardzo wielu dawniejszych przodków, gdyż każda cząstka wszelkiéj istoty żyjącéj, wydziela ziarnka czyli zalążki, gromadzące się w pierwiastkach płciowych, a następnie wytwarzające nowego osobnika. U tego ostatniego, każda, choćby najdrobniejsza cząstka ciała, powstaje z zalążków wydzielonych przez taką samą część ciała dalszych lub bliższych przodków. Jest to zasada teoryi p a n g e n e z y, która upadła już z powodu oczywistéj niemożliwości gromadzenia się niesłychanie licznych zalążków w tak drobnych utworach, jak pierwiastki płciowe, a właściwie tak drobnych, jak ich jądra.

Nägeli, w ciele roślin i zwierząt, jako też w ich pierwiastkach płciowych, rozróżnił dwie składowe substancye czyli plasmy: plasmę o d ż y w c z ą czyli s o m a t y c z n ą, służącą do podtrzymywania życia danego osobnika i i d i o p l a s m ę, tj. plasmę rozrodczą, w któréj są nagromadzone wszystkie właściwości i znamiona gatunku; jest to więc materyalna podstawa dziedziczności.

Podczas rozwoju osobnika, idioplasma nagromadzona w jajku rośnie, aż do chwili wydania płodu, poczém rośnie daléj w młodym osobniku, rozpościéra się po jego ciele i przybiéra charakter plasmy somatycznéj, a następnie po zupełnêm ukończeniu rozwoju

osobnikowego, ta ostatnia plasma znowu zamienia się na idioplasmę, zawiérającą wszystkie właściwości i zdolności gatunku. Tak więc, według Nägelego, odbywa się obieg plasmy, gdyż idioplasma zamienia się na plasmę somatyczną, a ta znowu na idioplasmę. Ponieważ ze spostrzeżeń E. van Benedena i E. Strasburgera, okazuje się, że w zapłodnieniu biorą udział same tylko jądra, które tém samém są jedyném siedliskiem dziedziczności, przeto są one téż jedyném siedliskiem idioplasmy.

August Weismann wystąpił przeciwko obiegowi plasmy tj. przeciwko przechodzeniu idioplasmy z plasmę somatyczną i na odwrót, a natomiast rozwinął własną teoryą j e d n o c i ą g ł o ś c i p l a s m y r o z r o d c z é j. Mianowicie zaś, według niego, podczas rozwoju każdego osobnika pewna, maleńka część plasmy rozrodczéj bez zmiany przechodzi na potomka i głównie gromadzi się w jego pierwiastkach płciowych, lecz może być domieszana i do innych komórek ciała. Pozostała część plasmy rozrodczéj zamienia się podczas rozwoju osobnikowego na plasmę somatyczną, która już nie może zmienić swego charakteru i w żadnym razie nie może przeobrażać się na rozrodczą.

Wymienieni badacze rozmaicie się téż zapatrują na przyczyny zmienności.

Karol Darwin i Brooks przyjmują dziedziczność zmian, nabytych przez rodziców podczas ich życia osobniczego, czy to skutkiem wpływu zewnętrznych warunków bytu, czyli téż wzmożonéj wprawy lub bezczynności pewnego organizmu.

Nägeli, ze względu na rośliny, lekceważy bezpośredni wpływ warunków bytu (pomiędzy innemi pokarmu i klimatu), lecz co do istot niższych, ciągle według niego powstających drogą samorództwa, oraz co do zwierząt ssących uznaje potęgę tego wpływu, twierdząc np. że zimno, będące wynikiem klimatu, jest bezpośrednim powodem rozwijania się obfitego futra; jest więc w sprzeczności z samym sobą.

Główne źródło zmienności upatruje on w zmianach z p r z y c z y n w e w n ę t r z n y c h, tj. wynikających z własności idioplasmy, a prowadzących do coraz wyższéj organizacyi. Jest to broniona przez niego mistyczna z a s a d a w y d o s k o n a l e n i a. Nadto dużą rolę w zmienności przypisuje on pośrednim wpływom zewnętrznym, czyli b o d ź c o m, tj. wpływom wywołującym oddziaływanie dotkniętego niemi organizmu. Tu należy rozwój kłów i rogów u zwierząt, skutkiem podrażnienia pewnych okolic ciała podczas walki; heliotropizm, geotropizm, hydrotropizm roślin, powstawanie wijących się łodyg i t. d.

Według niego, wybór naturalny jest hypotezą niepotrzebną, ale sam przyjmuje walkę o byt, którą nazywa konkurencyą, oraz zgadza się na istnienie wyboru naturalnego, nie przyznaje mu jednak zdolności wyrabiania i doskonalenia znamion, lecz uważa go za siłę usuwającą jedynie pewne formy, przez co powstają przerwy pomiędzy grupami organizmów.

Weismann, opierając się na wielkiéj stałości znamion, powstaje przeciwko dziedziczeniu własności nabytych podczas życia osobnikowego rodziców i wogóle przodków, wyjąwszy tylko długoletni wpływ ciągle działających zewnętrznych warunków bytu. Według niego, źródłem zmienności jest to, że pierwotne, jednokomórkowe organizmy, rozmnażające się drogą podziału, przekazują potomstwu wszelkie zmiany jakie w nich zachodzą skutkiem działania wpływów zewnętrznych. Tym sposobem powstają osobniki jednokomórkowe rozmaitéj budowy, a gdy w ich potomstwie rozwinie się rozmnażanie płciowe, wówczas niejednakowe osobniki łącząc się z sobą wydają coraz bardziéj różnorodne potomstwo, którego drobne, indywidualne różnice dostarczają wyborowi naturalnemu coraz nowego materyału do dalszego rozwijania i potęgowania odmienności form.

* * *

Streszczone teorye, głównie teorye zmienności, zwróciły na siebie uwagę wielu badaczy, głównie Teodora Eimera profesora w Tybindze, który poglądy swoje szczegółowo rozwinął w obszernéem dziele: *Die Entstehung der Arten auf Grund von Vererben erworbener Eigenschaften nach den Gesetzen organischen Wachsens. Ein Beitrag zur einheitlichen Auffassung der Lebewelt.* (Jena, 1888. 8^{0}. Str. XII, 461). Streszczenie tego zajmującego, chociaż w ciężką formę ujętego dzieła, stanowi przedmiot niniejszego sprawozdania.

Teorye dziedziczności mniéj zwróciły na siebie uwagę uczonego profesora. Wykazuje on brak podstawy w teoryach Nägelego, sprowadzających się do tajemniczéj siły żywotnéj, która właściwie niczego nie tłómaczy i niczego nie uczy. Teoryą Weismanna jednociągłości plasmy rozrodczéj stara się osłabić uwagą, że plasma rozrodcza nie może być bardzo odmienna od somatycznéj, skoro u różnych istot każdy kawałek ciała może odtworzyć całość organizmu. Jestto szczególniéj widoczne u wielu roślin, lecz zdarza się także u niższych zwierząt. Te fakta mają prowadzić do wniosku, że siedliskiem dziedziczności oprócz plasmy rozrodczéj jest także plasma somatyczna. Wniosek ten upada wobec oświadczenia Weismanna, że plasma rozrodcza może być domieszana do komórek nie bę-

dących w ścisłém znaczeniu rozrodczemi, co tłómaczy nam zdolności rozwojowe różnych części ciała, nawet pojedyńczych komórek somatycznych. Zatém zarzut Eimera w niczém nie osłabia teoryi jednociągłości plasmy rozrodczéj i jéj zasadniczéj różnicy od plasmy somatycznéj.

Rozbiór przypuszczalnych przyczyn zmienności stanowi główną treść w mowie będącego dzieła, temu więc przedmiotowi musimy poświęcić szczególną uwagę, tém bardziéj, że poglądy Eimera odznaczają się wielką oryginalnością i często stoją w sprzeczności ze znanemi poglądami Weismanna.

Zasadą teoryi Eimera jest dziedziczność zmian nabytych przez organizm rodzicielski, skutkiem czego wszelkie tego rodzaju nabytki utrwalają się i prowadzą do powstawania nowych form. Podobnie jak w teoryi Weismanna, głównym dowodem na korzyść teoryi jest jéj zgodność z rozmaitemi i licznemi grupami faktów, które powinna bez naciągania tłómaczyć.

Eimer w następujący sposób rozwija swoje poglądy.

Fizyczne i chemiczne zmiany, na jakie organizm jest wystawiony podczas swego życia osobnikowego skutkiem wpływu otoczenia: światła i ciemności, powietrza, ciepła, wody, wilgoci, powietrza, pokarmu itd., jako też własności samego organizmu, są źródłem rozmaitych przeobrażeń w jego ciele. Jako wzrost osobnikowy autor uważa wszelkie tego rodzaju przeobrażenia dotyczące prawidłowéj, fizyologicznéj, nie zaś chorobliwéj lub przypadkowéj zmiany składu ciała; zmiana jest trwała, albo w ten sposób przejściowa, że przygotowuje dalsze stopnie rozwojowe.

Wzrost może tedy nie pociągać za sobą widocznych zmian, gdyż polega także na zmianach przygotowujących powiększenie objętości ciała, albo nawet polega na samém tylko przestawieniu cząstek, nie prowadzącém do rozrastania się organizmu. Przestawienie składowych cząstek może wywoływać tylko zmianę kształu, nawet zmniejszenie objętości ciała. Ponieważ wszelki bodziec może powodować zmianę w ułożeniu cząstek ciała, zatém może być przyczyną wzrostu, przeto ten ostatni nie zawsze bywa wynikiem pobierania pokarmów.

Do urzeczywistnienia wzrostu potrzeba dwóch warunków: danego składu istoty żyjącéj (warunków konstytucyonalnych), oraz wpływu zewnętrznych warunków bytu (bodźców), do których pomiędzy innemi należy pokarm.

Ponieważ istoty żyjące rozmaitego są składu, przeto bodźce rozmaicie na nie działają, a tém samém istoty rozmaicie rosną.

Ten swoisty skład ciała, nadzwyczaj ważny dla sposobu wzrostu, jest rzeczą odziedziczoną po przodkach, oraz w małéj części nabytą przez daną istotę podczas jéj życia osobnikowego, albo téż jest skutkiem pomieszania płciowego (krzyżowania). Ta mała cząstka wyłączności, wynikająca z tych dwóch ostatnich przyczyn, wytwarza indywidualną zmienność, nadzwyczaj ważną jako główne źródło ciągłego przeobrażania się istot żyjących.

Jeżeli wzrost osobnikowy w znacznéj przynajmniéj części wynika z działania bodźców na plasmę, tedy biorąc pod rozwagę organizm pierwotny, z którego powstały wszystkie późniejsze istoty ożywione, musimy przyznać, że ten wzrost w pierwszéj zaraz chwili musiał się odmiennie ukształtować skutkiem działania bodźców w rozmaitych, odmiennych warunkach. Każdy taki nabytek został odziedziczony, a wybór naturalny spotęgował go. Tak więc wzrost osobnikowy każdego zwierzęcia i rośliny jest krótkiem, raptowném powtórzeniem wszystkich wpływów wywartych przez bodźce zewnętrzne na plasmę przodków danego osobnika (p r a w o b i o g e n e t y c z n e). Pojedyncze szeregi przodków tém krócéj i niedokładniéj powtarzają się w rozwoju osobnikowym, im są dawniejsze, im mniéj były ważne lub krócéj trwały. Wreszcie, pojedyncze ogniwa mogą zupełnie znikać w ciągu rozwoju, a starsze skracają się na korzyść młodszych. I obecnie najwyższe nawet istoty rozwijają się z komórki, można więc wnioskować, że cały świat organizmów rozwinął się, czyli wyrósł, z pojedynczéj komórki.

Przyczyny wewnętrzne, tj. swoisty skład istot żyjących, mogą wytworzyć takie same własności organizacyi, jak walka o byt. Własności powstałe z przyczyn wewnętrznych nigdy nie mogą być stanowczo przeciwne darwinistycznéj zasadzie użyteczności, ale zresztą mogą być obojętne, nawet szkodliwe, ale tylko w takim razie, jeżeli istnieją obok własności pożytecznych daleko większego znaczenia.

Bądź-co-bądź, pierwszym powodem wytwarzania rozmaitości form świata organicznego są bodźce zewnętrzne, czyli warunki bytu, rozmaite w różnych czasach i miejscach, skutkiem czego ten sam gatunek bywa wystawiony na odmienne wpływy. Ztąd powstaje niejednostajność przeobrażeń fizyczno-chemicznych, a tém samém wyrabiają się nowe formy życia.

Gdy nowe właściwości, dające się sprowadzić do skutków zmienionego wzrostu, utrwalają się skutkiem ciągłego ich dziedziczenia, a odpowiednia grupa organizmów traci łączność z pozostałemi istotami pokrewnemi skutkiem wyginienia form pośrednich, wówczas mówimy o odrębnych gatunkach. Zatém nowe postaci organiczne,

tj. odmiany i gatunki, są wyrażeniem zmienionego wzrostu. Innemi słowy, powstawanie gatunków podlega tym samym prawom co prosty wzrost; jest ono wynikiem nieskończonego, niejednakowego wzrostu istot żyjących, odbywającego się w zmienionych warunkach, jeżeli tylko następuje trwałe rozdzielenie niejednakowych ogniw świata tych istot.

Rozmaite grupy form świata organicznego są poprostu zbiorami osobników, stojących na rozmaitych szczeblach rozwoju, czy to skutkiem tego, że pewne istoty szybko się rozwijając, wyprzedziły swych towarzyszy, czyli też że ci ostatni pozostali z tyłu po za innemi. Ostatni ten sposób powstawania gatunków, polegający na zatrzymywania się pewnéj liczby osobników na niższym stopniu rozwoju, gdy tymczasem inne pokrewne istoty daléj się posuwają, nadzwyczaj jest ważny w rozdzielaniu gatunków i otrzymał nazwę *genepistazy*. Odpowiednich przykładów dostarczają niektóre zwierzęta Ameryki północnéj, pod wieloma względami stojące niżéj od pokrewnych, zastępczych zwierząt Europy, jako to renifer starego i nowego lądu (*Rangifer tarandus* i *R. caribou*); niedźwiedź brunatny i niedźwiedzie Ameryki północnéj i środkowéj (*Ursus arctos* i *U. americanus*, oraz *U. ferox*); jeleń właściwy i kanadyjski (*Cervus elaphus* i *C. canadensis*); żubr europejski i bizon, czyli żubr amekański (*Bison europaeus* i *B. americanus*).

Wzrost, tj. rozwój rozmaitych skupień, czyli wzrost rodowodowy (*filetyczny*), jest sumą zmian urzeczywistnionych przez wzrost osobników pewnego szeregu. Te zmiany przedstawiają się jako twory, które skutkiem oddzielenia od form pokrewnych występują jako nowe skupienia układnicze.

Odmienność warunków zewnętrznych, tj. bodźców, i konstytucya swoista osobników, w połączeniu z krzyżowaniem (pomieszaniem płciowém) musiała doprowadzić do rozmaitości wzrostu, a tém samém do rozmaitości form, a w razie rozdzielenia jednociągłego łańcucha form organicznych na poszczególne ogniwa, musiała doprowadzić do powstawania rozmaitych gatunków. Tym sposobem można mówić o wzroście gatunków czyli wzroście filetycznym (rodowodowym).

Wzrost osobnikowy każdéj istoty jest więc pewnym stopniem rozwoju filetycznego; oba te wzrosty są właściwie tém samém zjawiskiem i w istocie swojéj rozdzielić się nie dają.

W objawach zmienności daje się spostrzegać pewna prawidłowość.

Rozwój własności, postępujących w danym kierunku okazuje pewne, określone, prawidłowe stopniowanie. Np. rysunek na po-

wierzchni ciała zwierząt często występuje pierwotnie jako pręgi podłużne, potém jako czarna plamistość, następnie jako upstrzenie czarnemi kółkami, w których ostatecznie powstaje czarny środek.

Nowe własności zawsze pojawiają się w pewném miejscu ciała, zwłaszcza z tyłu, i podczas rozwoju osobnika (lub gatunku), posuwają się z wiekiem ku przodowi, gdy tymczasem z tyłu nowe pojawiają się własności; starsze własności mogą z czasem znikać na przedniéj części ciała. (Rozwój falowaty; prawo falowatości. *Gesetz der Wellenförmigen Entwicklung*; *Undulationsgesetz*). Za przykład może służyć wzorzystość skóry jaszczurek, u których z wiekiem rysunki jeden za drugim przesuwają się od tyłu ku przodowi, jak gdyby następujące po sobie fale.

Przedstawiwszy ogólny zarys teoryi, pozostaje mi jeszcze rozpatrzyć wywody autora co do poszczególnych przyczyn zmienności, przyczém zmuszony będę powoływać się na liczne fakta tak dla bliższego wyjaśnienia rozbieranych poglądów, jako téż dla ich uzasadnienia.

B e z p o ś r e d n i e w p ł y w y z e w n ę t r z n e. Jak już nadmieniłem, Eimer uważa wpływy zewnętrzne, czyli bodźce, za najpierwszą przyczynę zmienności, tj. wytwarzania rozmaitych form organicznych, ale koniecznym warunkiem trwałości jest nadzwyczaj długi przeciąg czasu, jak się to okazuje z niesłychanie uporczywego dziedziczenia znamion, chociażby już zupełnie bezużytecznych, czasami nawet do pewnego stopnia szkodliwych.

Doświadczenia Nägelego z roślinami alpejskiemi, które po przeniesiu do tłustego gruntu w ogrodzie botanicznym, monachijskim, uległy zmianie, lecz wysiane na ubogiéj, krzemienistéj glebie powróciły do dawnego stanu,—niczego nie dowodzą, jako prowadzone zbyt krótko i jednostronnie, oraz sprzeciwiające się naturalnemu rozwojowi roślin. Skutkiem nadzwyczaj długiego trwania pewne określone kierunki rozwojowe utrwalają się i dany organizm staje się niejako przygotowanym do zmian w pewnym kierunku. Sztuczna hodowla może dopomagać temu kierunkowi rozwojowemu, a wówczas wywołuje stałe zmiany, które się utrzymują pomimo ustania sztucznego wpływu. Z drugiéj strony, hodowla przeciwna naturze istoty żyjącéj niczego nie może dokazać i po ustaniu sztucznie wytworzonych warunków bytu albo sama hodowana istota, albo jéj potomstwo powraca do pierwotnego stanu. Doświadczenia Nägelego zdają się należéć do téj ostatniéj kategoryi i tém mniejsze mają znaczenie.

Wątpliwości Weismanna co do wpływu zewnętrznych warunków bytu, gdyż plasma rozrodcza jest do tego stopnia wytrzymałą, że nasiona przechowane obok mumii egipskich wydały takie same zboża jak dzisiejsze, a mumifikowane zwierzęta Egiptu nie różnią się od dzisiejszych, nie dostarczają stanowczego dowodu, bo przeciąg czasu mógł tu być niedostateczny do wytworzenia widocznych różnic. Nadto tenże uczony twierdzi, że od owéj epoki dziejów egipskich do dnia dzisiejszego plasma rozrodcza we wszystkich potomkach ówczesnych roślin i zwierząt rozrosła się do nieskończoności nie ulegając zmianom. Otóż trudno pojąć jakim sposobem ta plasma mogła się tak dalece rozróść nie doznawszy wpływu ze strony odżywiania całego zresztą ciała.

Własności nabyte wskutek bezpośrednich wpływów zewnętrznych bardzo są, według zajmującego nas dzieła, liczne.

Powstawanie barwnika zależy od światła i ciepła. W Afryce w miarę zbliżania się do zwrotników ludzie są coraz ciemniejsi, a niedaleko równika mieszkają koczujący Biszari hebanowo-czarnego koloru, których twarz, czaszka i cała budowa ciała jest stanowczo typu kaukaskiego. Dzieci murzynek posiadają jasną skórę, skąd można wnioskować, że przodkowie murzynów jasną mieli skórę, która pod wpływem klimatu ściemniała. Eimer osobiście śledził stopniowe ciemnienie ludzi téj saméj rasy w dolinie Nilu aż do Dongoli, podobnie jak to można uczynić w Europie postępując od Niemiec do Kalabryi.

Powstawanie ciemnéj barwy skóry można wytłómaczyć w ten sposób, że pod wpływem ciepła i światła barwniki osadzają się w skórze skutkiem większego przypływu krwi. Obfitość krwi w pewnéj okolicy skóry może wywołać osiadanie w niéj barwnika bez współudziału światła, np. w brodawkach sutkowych, pod pachami itd.

U gadów z powodu spotęgowania obiegu krwi pod wpływem ciepłych promieni słońca powstają silne barwy, znikające w zimnie, które wybór naturalny utrwalił w skórze południowych gatunków jako stały, jaskrawy koloryt skóry.

Podrożec (*Arion empiricorum*) jest w wilgotném powietrzu, bardziéj czarny, jako to podczas wilgotnéj pory roku i w wilgotnych miejscowościach. Koło Hamburga także jest ciemny, co należy przypisać wilgotnemu klimatowi morskiemu. Prawdopodobnie dla tego samego powodu koło Bonn i niżéj wzdłuż Renu występuje ciemna, kakaowa odmiana *Helix nemoralis*. Dla téj saméj przyczyny na drobnych wyspach morza Śródziemnego żyje czarna

odmiana jaszczurki *Lacerta muralis*, a motyle są na małych wyspach oceanu Indyjskiego ciemniejsze od form pokrewnych, mieszkających na lądzie. Wzniesienie nad poziom morza także wpływa na ciemniejsze zabarwienie podrożca. Nawet żmija gór, jest ciemniejsza (*Pelias prester*), co się i w Tatrach powtarza, bo na ośm żmij, jakie miałem w ręku, tylko jedna była jasnego, stalowego koloru (*Pelias berus*). Zresztą, jak się zdaje, suchość powietrza może zrównoważyć wpływ wyniesienia nad poziom morza.

Zwierzęta, mieszkające w ciemnościach, bardzo często są bezbarwne, co nie może wynikać z panmiksyi, bo w takim razie powinnyby posiadać rozmaite kolory: zielony, żółty, niebieski lub czerwony. Że mamy tutaj do czynienia z wpływem ciemności, dowodzi zachowanie się proteusza, który jest bezbarwny, jako mieszkaniec ciemnych jaskiń, ale będąc hodowany w świetle, staje się ciemniejszym. Utratę barwnika w ciemnych jaskiniach i wogóle podziemiach ułatwia ta okoliczność, że za młodu wiele zwierząt jest bezbarwnych, np. kiełże (*Gammaridae*), i dopiéro późniéj powstają w nich barwniki; zatém zwierzę będzie bez koloru, gdy te ostatnie rozwinąć się nie mogą. Właściwie w podobnych razach chodzi nie o zanik, lecz o niemożność wytworzenia go.

Wpływ ciepła na rośliny, okazuje się z odmiennego ich ukształtowania w rozmaitych pasach klimatycznych ziemi, a wpływ światła uwydatnia się w kierunku rozrostu łodygi i korzenia (heliotropizm). Niektóre rośliny zwrotnikowe np. *Bougainvilleae* Ameryki południowéj, dla braku światła nie mogą kwitnąć w cieplarniach europejskich.

Zmieniający wpływ klimatu objawia się także w odmienném zachowaniu osobników tego samego gatunku, stosownie do miejscowości, w któréj je wychowano. Tak mianowicie rośliny wyhodowane w zimniejszym klimacie są wytrzymalsze na zimno i wiosenną porą wcześniéj się rozwijają, aniżeli pochodzące z cieplejszych miejscowości.

W miarę posuwania się ku północy i w górę nad poziom morza, spotykamy kwiaty, liście i nasiona coraz ciemniéj zabarwione. wprawdzie barwność kwiatów podlega wyborowi naturalnemu, gdyż podczas krótkiego lata najbardziéj jaskrawe z pomiędzy nich są największą przynętą dla owadów, które przenoszą ich pyłek i zapewniają krzyżowanie osobników, ale większą barwność kwiatów spostrzegamy w górach, także na roślinach, które będąc hodowane po ogrodach i w oknach domów, nie podlegają wyborowi naturalnemu. Zatém większa barwność kwiatów na północy i w górach wynika z silnego oświetlenia podczas dłuższych, pogodnych dni, i tylko téj okoliczności można przypisać silniejszy koloryt liści.

Rośliny aromatyczne silniéj pachną na północy i w górach, aniżeli na południu i w dolinach. Tak pomiędzy innemi poziomki, wiśnie i jabłka są bez smaku w południowych Włoszech, co może być jedynie skutkiem wpływów klimatu i gruntu.

Klimat zwrotnikowy, niekiedy w bardzo krótkim czasie wywiéra wpływ na rozmaite zwierzęta, zwłaszcza na ich futro, które staje się daleko uboższém. W Indyach wschodnich, nasze psy już w drugiém pokoleniu tracą swoje charakterystyczne znamiona: np. u wyżłów nożdrza ściągają się, a nos zaostrza się, wzrost zwierzęcia maleje, nogi nabiérają wysmukłości. Na wybrzeżach Gwinei, uszy psów stają się wielkie, sterczące, futro nabiéra koloru lisiego a po trzech lub czterech pokoleniach szczekanie zamienia się na wycie.

W Paraguayu, kot zmalał, stał się wysmuklejszy, a jego krótki, ściśle przylegający włos jest krótki i cienki. Nie łączy się on z kotami swojskiemi świéżo z Europy przywiezionemi, a zatém pod tym względem w obec swego europejskiego szczepu, zachowuje się jak odrębny gatunek.

Niektóre zwierzęta, jak skorpiony, wije (*Myriapoda*), owady, gady, są znacznie większe w okolicach południowych aniżeli w umiarkowanych i północnych, co prawdopodobnie zależy od łatwości znajdowania pokarmu. Prawidło nie jest jednak ogólne, pewne bowiem zwierzęta, np. wilki, lisy, zające, są naodwrót w krajach cieplejszych znacznie nawet mniejsze.

Drobny skorupiak *Arthemia salina*, mieszkający w słonych jeziorach, w razie zmniejszenia się stosunkowéj ilości soli przybiéra znamiona słodkowodnego *Branchipus spinosus*, a gdy woda jest w sól bogatsza, stopniowo zmienia się na *Arthemia Milhauseni*, co może się dokonywać w ciągu trzech lat.

W p ł y w p o k a r m u bardzo jest widoczny u niektórych motyli, gdyż odpowiednio do pokarmu dawanego gąsienicy, można wyhodować rozmaicie zabarwione odmiany tego samego gatunku, jak to sprawdzono u *Euprepia caja*, *Eupr. plantaginis*, *Gastropacha pini*, *Melithaea* i *Argynnis*.

Bardzo bliskie gatunki motyli prawdopodobnie tym sposobem powstały, że kiedyś ich gąsienice musiały się przyzwyczaić do odmiennego pokarmu. W rzeczy saméj, gąsienice t. zw. fuksów (*Vanessa polychloros*, *V. xantomelas*, *V. l. album*, *V. urticae*), żyją na rozmaitych roślinach.

W p ł y w t e m p e r a t u r y n a m o t y l e. Motyle tego samego gatunku występują niekiedy w dwóch odmianach, stosownie do warunków rozwijania się poczwarki: jedna odmiana wychodzi z poczwarki, utworzonéj w jesieni i zimującéj (forma zimowa), druga powstaje w poczwarce, którą zasklepia się letnią porą i wydaje

motyla w jesieni (forma letnia). Dwa następujące przykłady, wybrane z pomiędzy wielu, rzecz tę wyjaśnią.

Rusałka *Vanessa levana*, mieszkająca i u nas, występuje w dwóch formach: formie typowéj, brunatno-żółtéj i formie czarnéj; tę ostatnią odróżniają jako *Vanessa prorsa*. Pierwsza powstaje z poczwarek, które zimowały, druga z poczwarek rozwijających się w ciągu lata. Na wiosnę pojawia się typowa *V. levana* i wkrótce się rozmnaża, a poczwarki tego nowego pokolenia rozwijają się w ciągu lata i wydają czarną odmianę *V. prorsa*. Zatém ciepło letniéj pory roku wpływa na powstawanie i osadzanie się ciemnego barwnika. Sztuczna hodowla przypuszczenie to potwierdziła. Zimowe poczwarki, hodowane w odpowiedniém cieple, wydawały letnią formę (*Vanessa prorsa*), a letnie, trzymane w zimnie, wydawały formę zimową (*V. levana* typowa). Niedosyć na tém, Dorfmeister, stosując rozmaite stopnie ciepła, otrzymał nietylko te dwie krańcowe odmiany, ale nadto rozmaite przejściowe pomiędzy niemi postacie. Uczyniono więc zadosyć największym wymaganiom, jakie można stawiać doświadczeniom, zmierzającym do wykazania wpływu zewnętrznych warunków bytu na wytwarzanie nowych form, bez współudziału wyboru naturalnego.

Bytomkowiec (*Pieris napi*), bardzo podobny do kapustnika (*Pieris brassicae*), także posiada formę letnią i zimową; ta ostatnia odznacza się silném, czarném poprószeniem nasady skrzydeł. Z potomstwa formy zimowéj udało się otrzymać formę także zimową, zamiast letniéj, trzymając poczwarki w lodowni, a następnte wylęgając je w cieplarni. W górach istnieje odmiana znacznie ciemniejsza od zimowéj, zwana *Pieris bryoniae*, która w niższych okolicach występuje obok formy typowéj, lecz na północy istnieje sama jedna.

U motyli dziennych jedyném zabarwieniem ochronném, jest kolor dolnéj powierzchni skrzydeł, odpwiadającéj barwności otoczenia, wśród którego motyl zwykł spoczywać ze złożonemi skrzydłami. Zabarwienie górnéj powierzchni skrzydeł, ukrytéj podczas spoczynku, w żadnym razie nie jest tu ani ochronne, ani przystosowawcze, a tém samém nie mogło powstać pod wpływem wyboru naturalnego. Należy je tedy przypisać działaniu zewnętrznych warunków bytu, jak światło, ciepło i pokarm.

Z a b a r w i e n i e s y m p a t y c z n e. Niektóre zwierzęta, jak rzekotka (*Hyla arborea*), kameleon, głowonogi, mogą zmieniać barwę odpowiednio do koloru otoczenia. Inne stale przybiérają koloryt swego otoczenia, jak niektóre koniki polne (*Oedipoda*), ropuchy i żaby, a mianowicie: w lasach iglastych Eimer spotykał ropuchy

czerwonawo-żółte, koloru ziemi pokrytéj suchemi, opadłemi igłami drzew.

Żaby lądowe (*Rana temporaria*), umieszczono w trzech słojach szklanych ustawionych na patarafkach, każda innego koloru: białego, zielonego i czarnego, a nadto każdy słój zasłonięto u dołu papierem odpowiedniego koloru. Po upływie $1\frac{1}{2}$ godziny, żaby zmieniły kolor ciała odpowiednio do otoczenia: na czarnéj patarafce żaba była najciemniejsza, na białéj najbardziéj jasna, a na zielonéj pośredniego odcienia. Następnie żaby przenoszono z jednego słoja do drugiego a ich barwa zmieniała się odpowiednio do koloru patarafki i dolnéj części słoja.

Żaba i ropucha (*Bufo vulgaris*), pozostawione przez noc do następnego ranka w zamkniętém, ciemném naczyniu, były na drugi dzień czarno-brunatne, lecz pod wpływem światła po pewnym czasie nabrały jaśniejszéj barwy.

Te zmiany barw, niewątpliwie odbywające się drogą odruchu, pod wpływem wrażeń wzrokowych, w wielu razach musiały być powodem powstawania trwałych i dziedzicznych barw przystosowawczych czyli ochronnych. Gdy bowiem pewien gatunek lub odmiana przez bardzo długi czas zamieszkiwał miejscowość niezmiennie zabarwioną, wówczas jéj koloryt, który skutkiem pobudzenia nerwowego, udzielił się zwierzętom, powoli utrwalił się w nich i stał się dziedzicznym. Temu przystosowaniu, wybór naturalny z konieczności dzielnie dopomagał, przyśpieszając go i nadając mu charakter w wysokim stopniu ochronny.

Takim to sposobem zabarwienie sympatyczne zamienić się mogło na stałe, ochronne.

D z i e d z i c z e n i e o k a l e c z e ń i c h o r ó b. Liczne fakta przekonywają, że wogóle okaleczenia nie przechodzą na potomstwo, że nie są dziedziczne, pomimo nawet ciągłego powtarzania się w ciągu bardzo długiego czasu. Pospolicie jako przykład przytaczają tu obrzezanie u żydów, powtarzające się od wielu tysięcy lat i pomimo to zawsze w równym stopniu potrzebne. Możnaby się powołać na okaleczenie, powtarzające się u ludzi, ale na ten raz u kobiét, od czasów bez porównania dawniejszych, bo od czasu pojawienia się na ziemi człowieka, a pomimo to w niczém nie wpływające na zanik usuwanéj w każdem pokoleniu części ciała.

Opiérając się na tych danych, wielu badaczy uważa dziedziczenie okaleczeń za rzecz wprost niemożliwą i ze zbytnią stanowczością i niewiarą ocenia dowody strony przeciwnéj. Właściwie sprawa dziedziczności okaleczeń przedstawia się w ten sposób, że w większości znanych razów wcale ona nie istnieje, ale zachodzi

pytanie, czy nie zdarzają się wypadki przeciwne. Gdyby tak było, uznając zagadkowość podobnych przykładów, musielibyśmy jednak przyznać możność dziedziczenia okaleczeń, pozostawiając późniejszym badaniom wyjaśnienie powodów podobnéj sprzeczności. W każdym razie, nie można odmówić słuszności uwadze prof. Rosenthala, który mniema, że dziedziczność okaleczeń wtedy dopiéro nabrałaby prawdziwego znaczenia, gdyby brak operowanéj części ciała, wielokrotnie powtarzał się w ciągu następujących po sobie pokoleń, i coraz liczniej występował pomiędzy potomkami, a nawet stawał się prawidłem.

Najlepszym przykładem dziedziczności okaleczenia, jest niewątpliwie następujący. Demler, dyrektor fabryki w Tremleys, niedaleko New-Jersey w Stanach Zjednoczonych, posiadał kotkę, która w walce z drapieżném zwierzęciem, straciła ogon i po tym wypadku rodziła potomstwo z ogonem $1^1/_2$ cala długim. Demler, chcąc się przekonać o dziedziczności tego okaleczenia, niszczył w każdym pomiocie kociaki ogoniaste i do rozmnażania się dopuszczał tylko bezogonowe. Doświadczenie doprowadził on do czwartego pokolenia. Liczba potomków opatrzonych ogonem zmniejszyła się znacznie, gdyż w drugiém pokoleniu bezogonowych kotów była prawie połowa, a ostatecznie na 7 kociaków tylko jeden był z ogonem (Porównaj: *Biologisches Centralblatt*. VIII, 237).

Schiller Tietz podaje, że w całéj okolicy Hoch-Acht, w Eifel, panuje zwyczaj przycinania młodym kotom ogona, aby lepiéj myszy łapały, i w téj okolicy wszystkie koty mają ogon widocznie krótszy niż zwykle (Tamże. Str. 155—156).

Eimer, przytacza, że u jego znajomego parze wyżłów posiadających zbyt długie ogony, która już raz wydała takie same potomstwo, nieco ogony przycięto i od tego czasu jéj potomstwo stale odznaczało się krótszemi ogonami.

Tenże profesor opisuje, że matka jego asystenta, Vosselera, w 18 roku życia, zgniotła sobie we drzwiach palec obrączkowy lewéj ręki pomiędzy 2-gim i 3-im członkiem, skutkiem czego palec skrzywił się ku prawéj stronie i zesztywniał. We dwa lata potém urodził się opowiadający to zdarzenie asystent, który posiada takie same skrzywienie tego samego palca, podobnie jak jeden z jego braci.

A. De Candolle podaje, że pewna 21-letnia dziewczyna wypadła z powozu 1797 r., po czém nad uchem i lewą skronią pozostała jéj blizna bez włosów. We dwa lata późniéj wyszła za mąż i 1800 r. urodziła syna, który w tém samém miejscu nie miał włosów. Syn tego ostatniego, urodzony 1836 r. nie miał blizny, która znowu wystąpiła u wnuka urodzonego 1866 r. ale tutaj powoli zanika.

Dr. Meissen opowiada, że jako dziecko, chorując na wietrzną ospę, zdrapał krostę na prawém skroniu, po czém pozostała mu biała blizna i z taką samą blizną, w tém samém miejscu urodził się jego syn.

Zdaje się, że na mocy tych faktów należy przyznać możność dziedziczenia okaleczeń, chociaż w większości znanych wypadków dzieje się wprost przeciwnie.

Eimer szczegółowo udowadnia, że choroby umysłowe, nabyte wskutek stosunku ze światem zewnętrznym, są w wysokim stopniu dziedziczne, oraz, że potomstwo nałogowych pijaków wymiéra. Tak pomiędzy innemi przytacza on przykład pewnego pijaka, który pozostawił 16 dzieci; z tych 15 wcześnie wymarło, a pozostałe szesnaste cierpiało na wielką chorobę. Nawet dzieci trzeźwych rodziców, poczęte w chwili odurzenia trunkiem, są w wysokim stopniu skłonne do zaburzeń umysłowych i do chorób nerwowych.

H. Schiess, profesor w Bazylei, przytacza, że na 300 wypadków krótkowzroczności, jakie obserwował, 56% było dziedzicznych, tj. takich, w których tém samém kalectwem byli także dotknięci rodzice, dziadkowie, wujowie, ciotki lub rodzeństwo pacyenta. Krótkowzroczność łatwo się nabywa skutkiem zajęcia pracą, wymagającą bliskiego wpatrywania się, jak tego dowodzą synowie rolników i ogrodników winnic, przybywający po naukę do Bazylei, gdzie w krótkim czasie muszą dużo nauki nabywać i w znacznéj części stają się krótkowzrocznemi (Porównaj *Biologisches Centralblatt.* VIII, 26—28).

W p r a w a i b e z c z y n n o ś ć, nawet nie popiérane wyborem naturalnym, mogą doprowadzić do wytworzenia nowych, trwałych własności przystosowanych do ich przeznaczenia, co nawet według rozbieranéj teoryi ma być fizyologiczną koniecznością.

Pierwszą przyczyną, początkiem organizacyi jest, według Eimera, używanie, czyli wprawa pewnych części ciała pod wpływem odpowiednich bodźców, a to w sposób następujący.

Porównywając wysoką organizacyą wymoczków z innemi jednokomórkowemi istotami, przychodzimy do wniosku, że jedynie może być ona nabyta przez użycie, oraz skutkiem dziedziczenia tego nabytku.

Powstawanie pod powierzchnią ciała wymoczków wykształconéj substancyi kurczliwéj, oraz obecność w szypułce niektórych z pomiędzy nich (*Vorticellinów*) istoty zupełnie podobnéj do substancyi mięsnéj wyższych zwierząt, najlepszym jest dowodem, że dopiéro czynność czyli funkcya daje początek wykształceniu fizyologicznemu i morfologicznemu. Mięśnie wymoczków i zwierząt

wielokomórkowych nie mogą być porównywane z sobą pod względem morfologicznym, ale ich znaczenie fizyologiczne jest takie same. W obu tych razach z odmiennego materyału powstały przyrządy jednako działające wobec świata zewnętrznego, co pozwala wyprowadzać wniosek, że właśnie stosunki ze światem zewnętrznym w obu razach przekształciło plasmę w ten sam sposób; że chodzi tu o dziedziczenie własności nabytych. Jest to z a s a d n i c z e p r a w o b i o l o g i c z n e, które można wyrazić w następujący sposób: plasma posiada własność tak fizyologicznego, jako też morfologicznego zmieniania się i przeobrażania pod wpływem bodźców zewnętrznych. Jako bodźce należy tu pojmować tak wpływy zewnętrzne, bezpośrednio działające, jako też wpływy ciągle działające przez samodzielną wprawę saméj istoty.

Na dowód powołanego prawa biologicznego, można powołać następujące fakta:

1-o Liczne zwierzęta, nie posiadające odpowiednich organów ciała, wykonywają odnośne czynności, co każe wnioskować o istnieniu w plasmie potrzebnych zdolności, a nawet o zawiązku specyalnych przyrządów. Np. wymoczki nie mają dającego się wykazać układu nerwowego, pomimo to wobec świata zewnętrznego zachowują się tak, że trzeba przypisać im wolę. To samo należy powiedziéć o wielu zwierzętach wielokomórkowych, u których przewodnictwo pobudzeń nerwowych istnieje bez prawdziwych nerwów.

2-o Rozmaite przyrządy ciała mają pierwotnie liczne zadania, a podział pracy, tj. powiększenie liczby przyrządów i specyalne ich wydoskonalenie dopiéro stopniowo występuje w szeregu coraz wyższych form.

3-o Larwy zwierząt wysokiéj organizacyi posiadają wyłącznie przyrządy wspomniane pod 1 i 2.

Wielokomórkowe istoty mogły pierwotnie przedstawiać kulkę złożoną z jednakowych osobników (*morula*), lecz najodpowiedniejsza była dla nich forma pęcherza ograniczonego ścianą, złożoną z pojedyńczéj warstwy komórek (*blastula*), jak to widzimy u toczka *Volvox*. Wszystkie komórki kolonii były pierwotnie jednakowe i zwracały swe rzęsy na zewnątrz. Późniéj niektóre silniejsze, osiągnęły przewagę nad innemi i ruch odbywał się tylko w pewnym określonym kierunku. Komorki znajdujące się na biegunie zwróconym podczas ruchu ku przodowi, będąc częściéj w zetknięciu z pokarmem, musiały szczególniéj rozwinąć zdolność pobierania go. Tym sposobem powstał pierwszy zawiązek listka zarodkowego wewnętrznego (*entoblast*), a po jego wpukleniu wewnątrz

pozostałéj części pęcherza powstała *gastrula* i uwydatniła się różnica pomiędzy listkiem zewnętrznym i wewnętrznym (*ekto* i *entoblast*). Komórki pierwszego z nich, jak to widzimy u stułbi (*Hydra*), rozdzieliły się na część zewnętrzną, odbierającą wrażenia, i wewnętrzną kurczliwą, mięśniową (komórki nerwo-mięśniowe).

Mięśnie powstały z komórek tkanki łącznéj tam, gdzie się odbywały częstsze skurczenia, będące zasadniczą własnością plasmy. Mięśnie prążkowane rozwinęły się skutkiem ich własnéj czynności, gdyż spotykamy je tylko tam, gdzie się często powtarzają energiczne i raptowne skurczenia. Pomiędzy małżami istnieją one tylko u tych gatunków, które pływają raptownie zamykając połówki skorupy (przegrzebek *Pecten*). U muchy, która świeżo opuściła poczwarkę i jeszcze nie fruwała, mięśnie piersiowe nie posiadają prążkowania; jeżeli jednak niepokojeniem zmusimy owad do użycia skrzydeł, prążki w części powstają, a w lecie znajdują się na wszystkich włóknach rzeczonych mięśni.

Przyrządy zmysłów powstają z listka zewnętrznego (ektoplasmy), jak to według teoryi powinno mieć miejsce, bo ten właśnie listek najbardziéj jest wystawiony na stosunki ze światem zewnętznym.

Śluzowce (*Myxomycetes*) i nitki nasienne roślin dowodzą, że plasma jest wogóle czuła na bodźce mechaniczne i chemiczne. Plasmodium śluzowców dąży za młodu ku wilgoci i powoli z suchych części podścieliska wędruje do wilgotnych. Gdy nadchodzi czas wydawania owoców dąży ono w kierunku przeciwnym, opuszcza wilgotne podścieliska i pełza na powierzchnię suchych przedmiotów. Unikając zbyt oziębionych części otoczenia posuwa się ono ku cieplejszym; ztąd jesienią uchodzi ono w głąb podścieliska, niekiedy bardzo głęboko, a po ogrzaniu się powietrza znowu wędruje ku powierzchni.

Rozmaite związki chemiczne, jak roztwór soli kuchennéj, saletry, węglanu potasu, zmuszają plasmodium do cofania się, gdy tymczasem nalewka kory garbarskiéj lub rozcieńczony roztwór cukru przyciągają je ku sobie. Wreszcie uchodzi ono przed światłem. Skutkiem tego oddziaływania na wpływy zewnętrzne plasmodium w ciągłym jest ruchu wewnątrz podścieliska, unikając niebezpieczeństw i dążąc do sprzyjających mu warunków bytu.

Nitki nasienne roślin, grzybki rozszczepkowe i zarodniki niższych roślin także są czułe na rozmaite wpływy chemiczne. Pierwsze dążą do kwasu jabłkowego, drugie rozróżniają obfitość pokarmu w wodzie i dążą do miejsc lepiéj zaopatrzonych, a trzecie np. należące do *Saprolegnii*, dają się mięsem przywabiać.

Komórki powstające z listka zewnętrznego muszą być pierwotnie uzdolnione do przyjmowania rozmaitych wrażeń, przynajmniéj bezokie larwy owadów, bezokie skorupiaki dżdżowniki, są czułe na światło, które zdaje się działać na nie jako bolesne podrażnienie.

Wszystkie bodźce nerwowe prawdopodobnie działają pierwotnie na plasmę jako bodźce dotykowe; ztąd wszystkie komórki zmysłowe niewątpliwie występują najprzód jako komórki dotykowe, a czułość na bodźce rozmaitéj jakości musiała się późniéj wyrobić przez wprawę. Innemi słowy, bodźce zmysłowe dały ostateczny powód do powstawania rozmaitych specyalnych przyrządów czucia.

Ani pomieszanie płciowe, ani wybór naturalny nie mogły wywołać przekształcenia komórek zmysłowych, chociaż obadwa te wpływy brały ważny udział w dokończeniu tego dzieła.

Dowodu, jakiego znaczenia jest tutaj wprawa, dostarcza okoliczność, że wszystkie organy zmysłów mieszczą się na tém miejscu ciała, które jest najodpowiedniejsze do przyjmowania bodźca.

Taki sposób pojmowania organizacyi najlepszym jest dowodem wysokiego znaczenia, jakie teorya przypisuje wprawie i dziedziczeniu nabytych własności ze względu na przekształcenie przyrządów ciała.

Każda istota właściwe sobie ukształtowanie zawdzięcza używaniu swych organów, a nawet samo istnienie zawdzięcza temu użyciu czyli wprawie, oraz bezustannemu działaniu bodźców zewnętrznych. Przyrządy naszego ciała bez wprawy wszystkieby zmarniały; gdyby bodźce choć przez chwilę przestały na nas działać, zniszczelibyśmy tak samo, jak gdybyśmy umarli. Życie jest tylko wyrażeniem wzajemnego oddziaływania pomiędzy organizmem i bodźcami świata zewnętrznego, a śmierć na tém polega, że organizm staje się niezdolnym do przyjmowania wrażeń.

Do rzędu odziedziczanych własności nabytych drogą wprawy autor pomiędzy innemi zalicza następujące.

Ludzie mało pobierający pokarmu mają kiszki stosunkowo krótsze (np. ludzie umysłowo pracujący). Zwierzęta roślinożerne odznaczają się przewodem pokarmowym dłuższym niż u mięsożernych, a u zwierząt domowych tenże przewód jest dłuższy aniżeli u ich dzikich szczepów. Trudno powątpiewać, że wydłużenie przewodu nastąpiło skutkiem przyzwyczajenia do pobierania obfitszego pokarmu i nowy ten nabytek został odziedziczony.

Odziedziczanie przez synów charakteru pisma ojcowskiego dostarcza dobrego przykładu dziedziczenia własności nabytych drogą wprawy i przyzwyczajenia.

Układanie do pola wyżłów, które powtarzało się przez wiele pokoleń, skutkiem dziedziczenia własności nabytych, uczyniło młode wyżły dobréj rasy zdolnemi do polowania bez wszelkiego poprzedniego nauczania, do tego stopnia, że nie mając żadnego wyobrażenia o zwierzynie, za pierwszém spotkaniem doskonale ją wystawiają. Jestto fakt powszechnie znany myśliwym, mającym do czynienia z psami rasowemi.

I n s t y n k t należy zaliczyć do właściwości nabytych drogą wprawy i odziedziczonych, a mianowicie instynkt można zrozumiéć jedynie jako odziedziczone doświadczenie, jako czynności rozsądne i rozumne, które stały się automatycznemi, nieświadomie wykonywanemi i drogą dziedzictwa przeszły na potomstwo.

Przykłady rozsądku i rozumu zwierząt bardzo są liczne. Poprzestanę na kilku, dając pierwszeństwo własnym spostrzeżeniom.

Zwierzęta bardzo pospolicie posiadają zdolność należytego sądu o swym stosunku do otoczenia i bardzo dobrze oceniają grożące im niebezpieczeństwa, których starają się uniknąć. Ztąd bojaźliwość bardzo w świecie zwierzęcym rozpowszechniona, jeżeli wszakże w daném położeniu zwierzę nie jest od nieprzyjaciół zagrożone, ocenia ono swe bezpieczeństwo, i nawet najbojaźliwsze staje się zupełnie dowierzającém. Bardzo dobrego przykładu dostarczają ptaki nadzwyczaj bojaźliwe, jak kuropatwa, które znalazłszy przytułek wśród miast, gdzie strzelanie jest zabronione, niczém nie dają się spłoszyć. Tak przed wieloma laty stado kuropatw przybywało na nocleg do klombów na dziedzińcu uniwersytetu warszawskiego i niczém nie można było zmusić ptaków do lotu.

Jestto również dowodem wielkiéj rozwagi w ocenianiu swego położenia, że bocian, we wsi tak przyjacielski dla człowieka i nie okazujący wobec niego żadnéj obawy, w polu nadzwyczaj jest ostrożny i bardzo trudno daje się podejść. Wrony i inne pokrewne ptaki są w miastach i w pobliżu mieszkań mało płochliwe, gdy tymczasem w polu i w lesie należą do najostrożniejszych.

Wróbel zwyczajny, jak wiadomo, należy do bardzo przebiegłych ptaków i prawie niepodobna złapać starego ptaka czy to na sidła, czyli téż w zatrzask. Ostrożność doprowadza on do tego stopnia, że nie bierze ziarnka że skrzyneczki lub pudełka, obawiając się jakiéj zdrady, ktoby pragnął zapoznać się bliżéj z objawami rozumu ptaków, znajdzie odpowiednie spostrzeżenia zebrane w zajmujących szkicach hr. Kazimierza Wodzickiego, ogłoszonych pod tyt. Z a p i s k i o r n i t o l o g i c z n e (bocian, jaskółka, jastrząb, kuropatwa, wróbel, kukułka, skowronek). Dla nas wystarczą powyżéj przytoczone.

Pomiędzy psami spotykamy dużo objawów rozumu, niewątpliwie znanych każdemu, kto je chował i pilnie im się przyglądał. Wyżły należą do najrozumniejszych psów, na co z pewnością zgodzi się każdy myśliwy. Wyżeł bardzo dużo uczy się własném doświadczeniem i nabiera rozmaitych sposobów postępowania, któremi skutecznie pokonywa przebiegi zwierzyny. Pudel także jest rozumny, ale buldogi mają sławę psów ograniczonych. Pomimo to jeden z nich, należący do mego nieżyjącego obecnie znajomego, postąpił w następujący, prawdziwie zadziwiający sposób w ocenieniu praw własności swego pana. Właściciel buldoga miał w Warszawie kamienicę z ogrodem, w którym stawiano nowy dom. Do pełnomocnika tego pana przyszedł znajomy, bardzo mile widziany przez psa w mowie będącego, który się też odwiedzinami ucieszył i szczerze gościa witał. Pełnomocnik znajdował się przy nowo stawianym domu, trzeba więc było udać się do niego przez całą długość ogrodu. Gość poszedł we wskazanym kierunku, a buldog, który mu towarzyszył, ciągle dawał oznaki przywiązania, ale gdy przybyły zerwał gronko porzéczek, pies natychmiast pochwycił go za nogę i skaleczył. Oczywiście poczciwe psisko uważało, że na jego przyjaźni nietykalność własności pańskiéj cierpiéć nie może. Winienem dodać, że ten sam gość który tak stanowczo został ukarany za zerwanie gronka porzéczek, w obecności samego pana lub jego pełnomocnika bezkarnie zrywał owoce, a pies wcale mu nie przeszkadzał.

Owady, zwłaszcza błonkoskrzydłe, często postępują z prawdziwą rozwagą. Na tymczasem zwrócę uwagę na dwa spostrzeżenia dotyczące mrówek.

Wymienione owady właziły na drzewo, aby się dostać do mszyc. Prof. Leuckart w połowie wysokości pnia namalował dziegciem obrączkę, aby się przekonać jak sobie mrówki z tém poradzą. W pierwszéj chwili biegały one na wszystkie strony; w końcu znajdujące się poniżéj pierścienia zeszły na ziemię i w krótce powróciły niosąc każda pomiędzy żuwaczkami grudkę ziemi. Jedna po drugiéj przylepiały ziemię do dziegciu i powoli zbudowały most, po którym mogły swobodnie chodzić do góry i na dół.

Ksiądz Gredler z Bozen opowiada następujące zdarzenie zaszłe w jego klasztorze. Pewien mnich od wielu miesięcy kładł na gzymsie pożywienie dla kolumny mrówek (*Formica aliena*, Foerst), która regularnie przechodziła koło okna jego celi. Po pewnym czasie na poprzecznéj belce okna zawiesił on na nitce stary kałamarz, w którym umieścił potłuczony cukier dawany mrówkom jako pokarm, a dla zawiadomienia owadów o téj wiszącéj śpiżarni kilka

z pomiędzy nich umieścił w kałamarzu. Pracowite istoty obciążyły się okruszynami cukru i znalazłszy drogę po nitce przeszły na ramę okna, po któréj spuściły się na gzyms pomiędzy swoich towarzyszy, a następnie zwykłą drogą zeszły z wysokiego muru do kolonii znajdującéj się w ogrodzie. Wkrótce mrówki urządziły z gzymsu pochód do nowego składu cukru i w ten sposób bez zmiany kilka dni postępowały, lecz pewnego ranka kolumna zatrzymała się na gzymsie i żaden owad nie przebywał już drogi daléj do kałamarza. Okazało się, że z tuzin zuchów usilnie i niezmordowanie pracował w tém naczyniu wynosząc okruszyny na jego brzeg, zkąd następnie zrzucał je towarzyszom znajdującym się poniżéj.

Wielu czynności dokonywamy pierwotnie ze świadomością i dowolnie, lecz po pewnym czasie, skutkiem ciągłego ćwiczenia, tracimy o nich świadomość i załatwiamy je mechanicznie, poniewolnie. Wówczas stają się one automatycznemi czyli nałogowemi. Są one dla nas wielkiém ułatwieniem w życiu codziennném, jako oszczędzające czynności mózgowych.

Czynności nałogowe mogą być dziedziczone, a wówczas stają się instynktem. Instynkt jest mianowicie odziedziczoną zdolnością, a w szczególności odziedziczoną czynnością nałogową. Innemi słowy: instynkt jest zdolnością postępowania nałogowo, bez zastanawiania się, a pomimo to postępowania rozumnego, odpowiadającego celowi. To postępowanie może być wywoływane przez bodźce wewnętrzne lub zewnętrzne, albo téż odbywa się bez wpływu bodźców. Instynkt jest zupełny, jeżeli do wykonywania go nie potrzeba ani pobudzenia, ani wprawy, np. zbieranie miodu przez pszczoły, oprzędanie się gąsienic, wybieranie się na wodę piskląt ptaków wodnych. Instynkt niezupełny potrzebuje pobudzenia lub wprawy, np. budowanie gniazd przez ptaki, wystawianie zwierzyny przez wyżła.

Przykłady instynktu.

Kurczęta zabrane od kwoki zaraz po wykluciu się z jajka, będąc głodne, natychmiast zabierały się do dziobania prosa, a mając rozmaity pokarm czyniły pewien wybór; piły wodę, grzebały nogami, starały się chwytać przelatujące muchy. Douglas Spalding podaje, że kurczę wzięte od kwoki natychmiast po wylęgnięciu, nim mogło używać oczu, 12-go dnia po wykluciu się, na widok krążącego wysoko jastrzębia wydawało charakterystyczny głos przestrachu. Indyczę znowu, wzięte na wychowanie, gdy dopiero piszczało w jajku, przeraziło się głosem jastrzębia chowanego w klatce.

Nasza kukułka bardzo powoli się niesie w odstępach 6—8 dni, czasami nieco prędzéj co 3 dni, i dla złożenia 20—24 jaj potrzebuje koło 2 miesięcy czasu. Przytém samica prowadzi tułacze życie. Z tych powodów przodkowie ptaka w skutek rozwagi poczęli znosić jajka do obcych gniazd, a z czasem ten zwyczaj stał się dziedzicznym, instynktownym. Obecnie młode kukułki znają tylko obce gniazda, nie umieją budować własnego i odpowiedniego instynktu nie dziedziczą.

Pszczoły, i wogóle owady błonkoskrzydłe, dostarczają bardzo ciekawych przykładów instynktu, nieraz bardzo zastanawiającego.

Pszczoły robocze posiadają niedokształcone części płciowe, a to z powodu złego żywienia ich w stanie czerwia. W ciągu pierwszych ośmiu dni życia czerwie pszczół roboczych mogą być wychowane na królowe skutkiem dostarczania im lepszego pokarmu. Ponieważ z tego samego czerwia można wychować albo robotnicę, albo królowę, należy więc przypuszczać, że drzémią w nim własności jednéj i drugiéj. Można to objaśnić w ten sposób, że pierwotnie u pszczoły istniały tylko osobniki, łączące w sobie własności samicy, tj. robotnicy i królowéj, oraz samca, czyli trutnia. Gdy po rozdzieleniu płci z jaj niezapłodnionych zaczęły powstawać trutnie, a z zapłodnionych samice, w jajkach i czerwiach tych ostatnich skupiły się wszelkie własności robotnicy i królowéj, a odpowiedni rozwój czerwia zawisł od odżywiania, które wpływa na rozwijanie się mózgu, od którego zależą wszystkie właściwości jednych i drugich. Pierwotnie rozdział trzech form mniéj był dokładny, lecz wydoskonalił się z biegiem czasu skutkiem wpływów zewnętrznych i skutkiem wyboru naturalnego,

Sposób powstania rozmaitych samic pszczolich wyjaśniają nam trzmiele i osy.

Gdy słońce wiosenną porą ogrzeje ziemię do pewnéj głębokości, wówczas matka trzmiela budzi się ze snu zimowego i wychodzi ze swego schronienia znajdującego się w dołku, który sama sobie wygrzebała, w spróchniałym pniu lub we mchu. Przedewszystkiém wysysa miód z kwiatów, a następnie szuka miejsca na gniazdo. Znalazłszy je, znosi miękki mech, trawę, liście, włosy zwierzęce: delikatne igły jodłowe lub sosnowe i buduje gniazdo ze wszystkich stron zasłonięte, z jedyném wejściem zwróconém na wschód i pospolicie ukrytém. Następnie zbiera miód i pyłek kwiatowy, buduje komórę z wosku, napełnia ją pyłkiem i miodem, oraz składa w niéj parę jajek, z których wkrótce wychodzą czerwie szybko rosnące, a tém samém zużywające dużo pokarmu. Teraz matka z wielkiem wysileniem dzień i noc pracuje dla dobra swoich dzieci; we dnie

zbiera pokarm i karmi potomstwo, a nocą rozgryza i porządkuje materyały budowlane gniazda, pokrywa je powłoką woskową, oraz dzieci ogrzewa. Odpoczywa bardzo mało, wyjąwszy tylko podczas niepogody. Nakoniec, w początkach maja, a u niektórych gatunków kilka tygodni późniéj, wychodzą pierwsze młode trzmiele. Są to robotnice daleko mniejsze od matki. Natychmiast wyfruwają z gniazda dla zbierania i znoszenia miodu oraz pyłku kwiatowego. Z początku, dopóki ich jest mało, matka jeszcze pilnie pracuje, lecz późniéj trudzi się daleko mniéj i dużo siedzi w gnieździe, gdzie znosi jajka i potomstwo pielęgnuje. W końcu wcale nie wyfruwa i pospolicie traci władzę w skrzydłach. Część robotnic opiekuje się młodszém rodzeństwem znajdującém się jeszcze w komórkach, karmi je, buduje gniazdo, utrzymuje w niém czystość, oraz liże i ogrzewa świéżo wyszłe z poczwarek trzmiele. Robotnice podnoszą silny brzęk przy jakiémbądź zaniepokojeniu gniazda i bronią je, kłójąc żądłami napastników. Z temi pomocnicami królowa żyje kilka tygodni, do trzech miesięcy, ciągle powiększając ich liczbę. Pospolicie koło lipca wylęgają się znacznie większe osobniki podobne do królowéj, zwane małemi samicami, lub dużemi robotnicami, tj. samice z częściami płciowemi wprawdzie rozwiniętemi, ale zdolne jedynie do wydawania jaj trutowych, tj. niezapłodnionych, lecz niekiedy znoszące także jajka zapłodnione na samice (królowe) i robotnice. Wszystkie te trojakie samice: duże i małe robotnice, oraz stara królowa, znoszą teraz jajka trutowe, z których wychodzą liczne samce. Dopiero ku końcowi lata matka znowu niesie jajka na królowe. Teraz w rodzinie znajdują się następujące osobniki: 1° stara, często niewładająca skrzydłami, bezwłosa królowa; 2° liczne młode królowe; 3° zwykłe, czyli małe robotnice; 4° duże robotnice, czyli małe samice; 5° trutnie, czyli samce. Wszystkie robotnice w ciągu lata wychodzą na zbieranie pokarmu; mniéj więcéj na ćwierć godziny przed wschodem słońca budzi je szczególne brzęczenie trzmiela trębacza. Samce także wychodzą po pokarm, ale tylko od 10 rano do 4 po południu, i tylko dla siebie. W gnieździe także nie pracują, chociaż niekiedy po zerwaniu dachu z gniazda biorą się do roboty. W czerwcu, lipcu, sierpniu i w pierwszéj połowie października, podczas pięknych, słonecznych dni, młode królowe wylatują z gniazda, siadają na pniach drzewnych, na szerokich liściach, na płotach i murach, gdzie trutnie przychodzą szukać je, a następnie w locie zapładniają. Gdy tym sposobem wszystkie młode królowe są uzdolnione do zakładania następnego roku nowych kolonii, cała ich rodzina powoli się rozprasza.

Porównywając rój trzmieli z pszczolim spostrzegamy, że królowa pierwszych nie jest tak wyłącznie rozpłodową matką jak królowa pszczół. Ta ostatnia jest wyłącznie osobnikiem matczynym czyli rozpłodowym społeczeństwa pszczolego; nic ona nie zbiera, nic nie buduje nawet sama nie pobiera pokarmów, ale każe się karmić robotnicom; królowa trzmieli z początku wszystkie te czynności sama wykonywa. To samo stosuje się do trutni; u trzmieli żywią się one samodzielnie, a gdy potrzeba, chociaż bardzo rzadko, biorą się do roboty; tymczasem trutnie pszczół wcale nie pracują i podobnie jak królowa otrzymują pokarm od robotnic. Trutnie trzmiele bliskie są postradania samodzielności pod względem wszystkich innych spraw, oprócz płodzenia, lecz jeszcze nie zaszły tak daleko jak trutnie pszczole. Taki sam stosunek zachodzi co do robotnic. U pszczół nie niosą one jaj, chociaż niekiedy bywają zapładniane przez samców, oraz czasami znoszą jaja niezapłodnione, z których powstają same trutnie (trutówki). To wyjątkowe zachowanie się robotnic pszczolich stanowi przejście do stosunków istniejących u trzmieli. Tutaj bowiem robotnice stale niosą jaja trutowe; pierwszy ląg robotnic innych jaj nie wydaje, lecz drugi ich ląg, tj. duże robotnice, czyli małe samice, niekiedy mają nieść także jajka samicze. Zatém u trzmieli robotnice nie są tak wyłącznemi robotnicami jak u pszczół. Wpływ pokarmu jest tu bardzo widoczny. Pierwsze pokolenie robotnic trzmielich, wyhodowane w czasie, kiedy matka sama jedna wszystkich prac dokonywa, albo też korzysta z pomocy niewielu trzmieli roboczych, nie może otrzymywać tak obfitego pokarmu, jak drugie pokolenie wyrastające pośród wielu robotnic matce pomagających. To lepiéj żywione pokolenie już ma rozwinięte przyrządy płciowe, a lepsze ich odżywienie widać także po większym wzroście. Niekiedy samice tego pokolenia niosą jajka, z których się rozwijają osobniki samicze zdolne do zapłodnienia. Nakoniec rozwijają się młode królowe, które otrzymują od robotnic najobfitszy pokarm.

Stosunki u pszczół niewątpliwie taki sam miały początek, ale tutaj nastąpił zupełny rozwój społeczeństwa, gdy tymczasem u trzmieli i os towarzyskich powstała tylko obszerna rodzina. Pszczoły dla dobra swego społeczeństwa z całą bezwzględnością poświęcają dobro pojedynczych członków, gdyż wybiją trutnie, które już stały się bezużytecznemi, gdy tymczasem u trzmieli giną one z nędzy. Królowa trzmiela zdycha w drugim roku; królowa pszczola w drugim roku, w razie znacznego powiększania się roju, dla dobra społeczeństwa opuszcza gniazdo i nowe państwo zakłada, ale tak ona jako też robotnice cieszą się za to dłuższém życiem, gdy tymczasem robotnice trzmieli giną w jesieni.

U os towarzyskich spotykamy stosunki podobne jak u trzmieli. Pierwsza przyczyna téj istotnéj różnicy pomiędzy gospodarką trzmieli lub os z jednéj strony, a pszczół z drugiéj, oczywiście polega na instynkcie rozumnym, tj. pamięci na przyszłość, co u pszczół jest bez porównania silniéj rozwinięte aniżeli u trzmieli i os, które nie zbierają zapasów pokarmu, a ich samice muszą zimować w ukryciu.

Do wytworzenia się społeczeństwa pszczolego takiego, jak je dziś widzimy, a przedewszystkiém do zbierania większych zapasów pokarmu, niewątpliwie przyczyniło się stopniowe przedłużenie pory roku niepomyślnéj do gromadzenia zapasów, ale rozwaga i przewidywanie pszczół były tu czynnemi i spotęgowały się skutkiem doświadczenia. Zresztą pszczoły i dzisiaj zbierają zapasy ze świadomością, że są dla nich niezbędne, gdyż z wielką zawziętością prześladują człowieka, który im miód zabiera.

Wytworzenie robotnic było dziełem zadziwiającéj rozwagi pojedynczych owadów na korzyść całego roju. Powstanie robotnic możemy bowiem tylko w ten sposób wytłómaczyć, że pierwotny trzmiel lub pierwotna pszczoła nie mogła należycie wykarmić wszystkich czerwi i z robotnic, które tym sposobem powstały, osiągnęła pewną korzyść w swém gospodarstwie domowém. Tę korzyść musiały zwierzęta o tyle ocenić, że późniéj umyślnie wychowywały pokolenia robotnic skutkiem złego żywienia czerwi.

Zadziwiająca rozwaga, z jaką postępują osy, zwane grzebaczami (*Sphegidae*), w dostarczaniu potomstwu potrzebnego pokarmu, zasługuje choć na krótką wzmiankę. Grzebacze zakładają gniazda w norach podziemnych, które same wykopują, i każde gniazdo zaopatrują odpowiednią ilością owadów, pająków, lub larw owadzich, którym odbierają możność poruszania się skutkiem zakłócia żądłem. Zaopatrzywszy należycie gniazdo, grzebacz składa w niém jajko, poczém wejście do nory zagrzebuje i czyni nie widoczném. W podobny sposób postępuje także *Odynerus parietum*, należący do os samotnych, który zakłada gniazdo w gliniastych ścianach lub urwiskach. Dla ubezwładnienia zdobyczy przeznaczonéj na pokarm dla potomstwa, wszystkie te osy rażą żądłem jeden ze zwojów ruchowych układu nerwowego ofiary, a pomimo że ta sama osa znosi zdobycz należącą do rozmaitych gatunków, z rozmaicie zbudowanym układem nerwowym, zawsze umie znaleść odpowiedni zwój nerwowy. Według autora, całe to postępowanie: zaopatrywanie gniazda ubezwładnionemi istotami i sposób ich ubezwładnienia, dowodzi całego szeregu rozumowań i wniosków ze strony os, które tylko drogą rozwagi nabytéj przez doświadczenie mogły nabrać tego zwyczaju.

B e z c z y n n o ś ć. Ciągła, prawidłowa i nieprzesadzona wprawa organu jest konieczna do podtrzymania jego istnienia, gdyż bodziec, któremu on służy, jest niewątpliwie pierwszą przyczyną, któréj zawdzięcza on swe powstanie i dalsze, stopniowe wydoskonalenie. Oko zwierząt jaskiniowych niewątpliwie w znakomitéj części zanika skutkiem ustania wyboru naturalnego (tj. skutkiem *panmixii*), ale niemniéj jest pewném, że ciągły brak bodźca świetlnego sam przez się nadwérężyłby i ostatecznie zniweczyłby zdolności oka, jako przyrządu wzrokowego.

Przyrządy ciała zanikają bardzo wolno, ale ich zdolność fizyologiczna bardzo prędko ginie, co stąd tylko może pochodzić, że zanik najistotniejszych części przyrządu szybko następuje. Mniéj ważna pozostałość organu długo się jeszcze utrzymuje, ale ostatecznie i ona znika.

Gdy pewien przyrząd utracił właściwą sobie czynność, nie może już być ożywiony, jeżeli więc znowu powstaje potrzeba téj saméj czynności, musi być zbudowany nowy przyrząd.

W a l k a o b y t i wybór naturalny nic nie mogą nowego wytworzyć. Do wzrostu świata organicznego przyczyniają się tylko o tyle, że wybiérają najodpowiedniejsze formy, oraz wzmagają i wydoskonalają pozostające znamiona. Ich działanie nadzwyczaj jest ważne.

Z m i a n y z a l e ż n e (k o r r e l a c y j n e). Z m i a n y k a l e j d o s k o p o w e. Rozmaite części, składające ciało istoty żyjącéj, wzajemnie od siebie zależą i zmiana w jednéj z nich wywołuje odpowiednie zmiany w pozostałych częściach ciała, podobnie jak w kalejdoskopie, spadnięcie jednego kawałka wywołuje ruch pomiędzy pozostałemi kawałkami, skutkiem czego nowy powstaje obraz. Ztąd zmiany tego rodzaju, polegające na wzajemnéj zależności składowych części ciała, otrzymały nazwę zmian k a l e j d o s k o p o w y c h.

Axolotl dobrego dostarcza tu przykładu. Pod wpływem zewnętrznych warunków bytu traci on skrzela, a natomiast otrzymuje płuca. Drogą zależności z tą zmianą łączą się inne: na skórze powstaje plamistość właściwa *Amblystomie*; skóra traci brodawkowatość i wygładza się; głowa staje się krótszą i szerszą; ogon zaokrągla się, a nogi potężnieją. Podobne różnice przedstawia kijanka i dorosłe zwierzę jaszczura (*Salamandra maculosa*).

Jest rzeczą możliwą, że gdy pewnéj własności towarzyszą różne zmiany zależne, wówczas raptownie powstaje nowa forma, która w razie odpowiednich przeobrażeń w produktach płciowych może stracić możność mieszania się z formą pierwotną i tym sposobem

tworzy nowy gatunek. To ostatnie przypuszczenie niemożności łączenia się z formą pierwotną, zasadza się na fakcie ścisłéj zależności części płciowych i całego zresztą ciała. Dojrzewanie części płciowych ma w szczególności ogromny wpływ zależny na cały organizm, który z dojściem do dojrzałości, zmienia się w różnych szczegółach, jak to u człowieka widzimy. Mając na uwadze ten ścisły związek, możemy przypuszczać, że w razie pewnych, raptownych zmian ciała, części płciowe drogą zależności mogą się do tego stopnia zmienić, że powstaje wspomniana powyżéj niemożność łączenia się z formą pierwotną. Byłoby to powstawanie gatunków bez udziału wyboru naturalnego.

Zachowawcze przystosowanie. Pewna właściwość organizmu tém bardziéj się utrwala, im dłużéj utrzymuje się skutkiem dziedziczności. Jeżeli pewna forma zatrzymuje się na niższym stopniu filetycznym, wówczas z powodów czysto konstytucyonalnych, wewnętrznych, tém bardziéj będzie odmienną, im dłużéj w miejscu stoi, gdyż właściwości tego stopnia rozwojowego coraz silniéj wyciskają się na jéj organizmie. Po pewnym czasie taka forma już nie będzie tém co dawniéj, gdy się od niéj oddzieliły formy pokrewne. Im dłużéj istnieje ona ze swemi właściwościami, tém bardziéj odmiennemi będą jéj zmiany zależne, tém bardziéj będzie ona uzdolniona do utrzymywania swych konserwatystowskich własności wobec popędu do przystosowania, który z większém powodzeniem będzie się zwracał do innych jéj własności. Zachowawcze przystosowanie jest ostatecznie wynikiem genepistazy, o któréj była już mowa (porównaj str. 241).

Pomieszanie płciowe (krzyżowanie osobników) może wytworzyć nowe formy bez współudziału wyboru naturalnego, wszakże nie dla tego, żeby skutkiem niego powstawała forma pośrednia, lecz z powodu, że bardzo często własności rodziców lub przodków, wzmagają się skutkiem krzyżowania, albo się téż wyrównywają, oraz powstają zupełnie nowe ich kombinacye. Znaczenie pomieszania płciowego do pewnego stopnia maleje z powodu, że potomstwo często jednostronnie dziedziczy własności jednego z rodziców. Przy rozmnażaniu płciowém powszechnie występuje przewaga samcza, która dowodzi, że bezwarunkowe pomieszanie znamion skutkiem połączenia płciowego jest rzeczą bardzo rzadką. Pomimo to wszystko, pomieszanie płciowe osobników, czyli ich krzyżowanie, bardzo ważnym jest czynnikiem w powstawaniu nowych form.

Przewaga samcza na tém polega, że nowo występującą własność gatunku najprzód zdobywają silne samce, gdy tymczasem sa-

mice stoją na niższym, bardziéj młodocianym stopniu rozwojowym. Przewagę samców w tym razie można wytłumaczyć większém wywarciem siły z ich strony, gdyż szczególne własności samcze najprzód występują podczas grzania się, tj. w chwili największego rozwoju ich sił. Następnie te własności przechodzą na samców wogóle, a w końcu stają się własnością całéj rasy. Do znamion samczych pomiędzy innemi należą: rogi jeleni, grzebień na ogonie trytonów, haczykowate zgięcie do góry żuchwy u łososii pstrągów.

Skutkiem płciowego rozmnażania, rozdzielenie gatunków mogłoby i tym sposobem nastąpić bez udziału wyboru naturalnego, gdyby pewna własność drogą zależności (korrelacyi) do tego stopnia zmieniła pierwiastki płciowe, że krzyżowanie nowéj formy z pierwotną staje się niemożliwém, o czém była mowa powyżéj.

Zapłodnienie polega na połączeniu się jądra nasiennego tj. jądra nitki nasiennéj, z jądrem jajowém. Oba jądra muszą sobie odpowiadać w sposób dokładnie określony, w przeciwnym zaś razie drobne zboczenia mogą być poważną przeszkodą do zapłodnienia.

Ze względu na powstawanie nowych gatunków wystarcza, gdy jajka i nasienie pewnéj grupy osobników, szczególnie sobie odpowiadają, a daleko gorzéj są przystosowane do jajek i nasienia innych osobników.

O d r o s t c z y l i r e g e n e r a c y a u t r a c o n y c h c z ę ś c i c i a ł a. Odrost może się odbywać pod wpływem bodźca, albo bez niego, wprost z przyczyn wewnętrznych.

Do odrostu pierwszego rodzaju należy zaliczyć wyrastanie sadzonek wetkniętych w ziemię; szczepienie w świecie roślinnym i zwierzęcym (w tym ostatnim razie i transplantacyą skóry); przyrastanie odciętych i natychmiast przyłożonych części ciała, nawet u istot najwyższéj organizacyi; wyrastanie korzeni na gałęzi wierzbowéj, opatrzonéj oczkami i poziomo zawieszonéj w komorze ciemnéj i wilgotnéj; wyrastanie korzeni na zacienionych miejscach łodygi kaktusa *Lepismium radicans*, itd.

Odrost z przyczyn wyłącznie wewnętrznych polega na odtwarzaniu utraconych części ciała, które w wielu przynajmniéj razach powstają tak samo jak podczas rozwoju osobnikowego (*ontogenii*). Tak np. z każdéj połówki rozciętego w poprzek robaka *Nais proboscidea*, odtwarza się całkowity osobnik, przyczém brakująca część ciała powstaje w ten sam sposób, jak podczas ontogenii. Odcięte nogi trytonów odrastają, rozwijając się tak samo, jak kijanek tych zwierząt.

Niekiedy odrostowi ulegają przyrządy wysokiéj nawet organizacyi, jako to: trytonom i bezogonowym ziemnowodnym odrasta

oko, jeżeli tylko po utraconym organie zachowały się resztki wszystkich jego tkanek. Kijankom żabim, trytonom, u *Pleurodetes Waltii*, odrasta rdzeń pacierzowy, który odrasta także jaszczurkom (gekonom), ale niezupełnie. Ślimakom lądowym odrasta głowa, jeżeli tylko podczas operacyi pozostawiono mózg. Powszechnie wiadomo, że jaszczurkom, jaszczurowi (*Salamandra*) i wężom odrasta ogon, a rakom nogi. W niektórych razach organizm może się odtwarzać z nadzwyczaj małych cząstek ciała, nawet z pojedyńczych komórek. Tak z najdrobniejszych kawałków gałązki wierzbowéj, może wyrastać nowy osobnik, byleby tylko zachowano choćby najmniejszą cząstkę miazgi (*cambium*). Stułbię (*Hydra*) możną pokrajać na drobne kawałki, a każdy z nich wyrasta na całkowitego polipa, jeżeli tylko zawiéra cząstki obu listków: wewnętrznego i zewnętrznego. Wreszcie wątrobowiec *Lunaria vulgaris* może być posiekany na papkę, a każda cząstka odtwarza całkowitą roślinę.

Odtwarzanie prrzyrządów, nawet bardzo wysokiéj budowy, może się zasadzać tylko na dziedziczności, a to tym sposobem, że jest ona mechaniczną przyczyną uzupełnienia okaleczałego organizmu, jako całości i w pierwotnéj jego formie.

Każda istota żyjąca skutkiem ciągle powtarzającego się dziedziczenia kierunków wzrostu, określających jéj postać, nietylko doszła do tego, że te kierunki powtarza podczas rozwoju osobnikowego (ontogenii), ale nadto doszła do tego, że kierunki jéj wzrostu działają nawet po dokonanym rozwoju i objawiają się w odtworzeniu utraconych części. Regeneracya bowiem nietylko polega na tych samych zasadach co ontogenia, ale nadto należy uważać ją za dalszy ciąg téj ostatniéj. Innemi słowy, każdy organizm skutkiem wielokrotnego odziedziczania swych własności, a tém samém i swéj budowy, doszedł do tego, że dziedziczność nietylko dąży do wytworzenia całości drogą rozwoju osobnikowego, ale nadto zmierza do uzupełnienia téj całości po okaleczeniu.

Należy przypuszczać, że wszystkie części składowe każdéj istoty żyjącéj, wszystkie komórki i atomy są w najściślejszym związku pomiędzy sobą, skutkiem czego na każdy atom oddziaływają losy innych atomów, oraz każda cząstka organizmu ma w sobie nieco kierunku wzrostu, dążącego do wytworzenia całości. Jest to wzajemna zależność, czyli korrelacya części składowych ciała.

Odtwarzanie całości organizmu z pojedyńczéj komórki można objaśnić tylko w ten sposób, że drogą dziedziczności na każdą komórkę ciała przelały się te własności danego organizmu, które zdobył on przez dziedziczenie własności i zmian całego szeregu

przodków. Zatém komórka zdolna do odtworzenia całości, podobnie jak komórka rozrodcza, odziedziczywszy kierunki wzrostu i wogóle zdolności plastyczne przodków, stała się zdolną do wydawania całego organizmu.

Im niżéj stoi organizm, tém jego komórki mniéj są wyróżnione. bardziéj jednorodne i niezależne, a tém samém u takiéj istoty odrost jest daleko łatwiejszy. Im bardziéj urzeczywistnił się podział pracy, tj. im bardziéj zdolność plastyczna jest w różnych kierunkach rozdzielona pomiędzy rozmaite komórki, tém bardziéj te ostatnie zależą jedna od drugiéj, jako też wzajemnie zależą od siebie pojedyńcze części ciała, ostatecznie zależą od ośrodków nerwowych, bez których nie mogą żyć, ani też odrastać. W podobnym razie zdolność do odrostu musi być mniejsza.

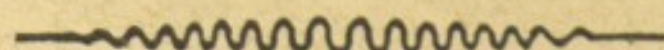
* * *

Z powyższego przedstawienia rzeczy widzimy, że Eimer stara się wykazać możność powstawania nowych form żyjących bez udziału wyboru naturalnego lub pomieszania płciowego, a to skutkiem zewnętrznych warunków bytu, wprawy i bezczynności, zależności czyli korelacyi i genepistazy. Zresztą nie dąży on bynajmniéj do obalenia darwinistycznéj teoryi wyboru naturalnego, ani do obalenia teoryi Weismanna o wpływie pomieszania płciowego; owszem, jednemu i drugiemu z tych czynników przyznaje ważną rolę w wytwarzaniu nowych gatunków, lecz stara się wykazać ich właściwe granice działania. Daléj dąży on do wykrycia pierwszéj przyczyny zmian, dostarczających materyału wyborowi naturalnemu, który sam przez się zmian wywoływać nie może, lecz jedynie rozwija i doskonali już z innych powodów poczynające się zboczenia.

Eimer stara się też dowieść, że przyrządy ciała, odpowiednio przystosowane, mogą powstawać jedynie skutkiem wprawy, bez wpływu wyboru naturalnego. Przyrządy bardzo podobne mogą powstawać u odmiennych zwierząt bez wszelkiego związku genealogicznego.

Teorye Eimera, odznaczające się wielką oryginalnością poglągów, są wogóle bardzo konsekwentnie przeprowadzone, lecz zdają się niekiedy grzeszyć zbytnią krańcowością.

August Wrześniowski.





SZLAKIEM NARODÓW.(1)

Charakterystycznem znamieniem domu mieszkalnego w starożytności, zarówno w Egipcie, Asyryi jak w świecie klasycznym, jest ścisłe zamknięcie, izolowanie od reszty świata. Nazewnątrz domostwo czy pałac otoczony ślepą ścianą, lub też budowlami, których drzwi i okna skierowane ku wewnątrz znajdującemu się dziedzińcowi, będącemu środkiem i naczelnem miejscem siedziby. Widzieliśmy to w pałacu egipskim: dziedzińce izolują się wzajemnie. Miejsce środkowe zajmuje ołtarz bóstwu domowemu poświęcony. Takiż układ widzieliśmy w pałacu Sargona, gdzie wewnątrz po za licznemi budowlami, murami i mniejszemi dziedzińczykami, znajduje się wielki dziedziniec: sala przyjęć pod odkrytem niebem. Układ taki tłómaczy się odosobnieniem władców i magnatów wschodnich, niechętnie ukazujących swe oblicze tłumowi, rozkoszujących się w ciszy słodyczami haremowego życia.

W świecie klasycznym, osobliwie w Helladzie, która również egipskim i azyatyckim wpływom podlegała, domowa siedziba ukształtowała się nie tyle ze względu na seperatyzm Hellenów ile z powodu wielce rozwiniętego życia publicznego. Hellen, rozmiłowany w zgromadzeniach publicznych, przepędza życie na agorze w trybunale, ma przytem możność pogawędzenia z towarzyszami w publicznych lokalach w t. zw. λέσχη (rodzaj naszych resurs), w własnym więc swym domu pragnie zupełnej swobody, zapomnienia o trudach życia publicznego. Dom też jego jest fortecą otoczoną ślepym murem, wiodą doń jedne nie wielkie drzwi wchodowe, pilnie przez niewolnika strzeżone. Z tego powodu zupełnie nie dbano o zewnętrzny wygląd budowli mieszkalnych. Pomysły więc artystów skierowały się ku przystrojeniu wnętrza. Jest to jaskrawy kontrast z naszemi czynszowemi domami. W starożytnym domu

(1) Ob. „Ateneum" zeszyt lipcowy r. b. str. 135—150.

ognisko w samym środku gorejąc, swym raźnym płomieniem przyciągając do wnętrza, zespalało rodzinę w ścisłe, nierozerwalne koło. Dziś ognisko domowe zbliżone ku ulicy miejskiéj, ulatniając się na zewnątrz, pozostawia na fasadzie domu osad w postaci podejrzanéj artystycznéj wartości gipsatur.

Zaznaczyliśmy już w ogólnych zarysach warunki ustroju społecznego, którego ognisko domowe z epoki klasycznéj jest wyrazem. Pozostaje więc wyświetlenie artystycznéj strony domu greko-rzymskiego, nie będziemy jednak tu wchodzić w szczegóły wewnętrznego urządzenia mieszkań helleńskich i rzymskich, których monografią w innéj podaliśmy pracy (1). Tu postawiliśmy sobie za zadanie wyświetlić szczególniéj wpływ przyrodzonych i społecznych czynników na ukształtowanie się ludzkiéj siedziby.

Widzieliśmy już, że obok warunków społecznych, wpływ otaczającego estetycznego środka na reprodukcyjną wyobraźnię człowieka zaprzeczyć się nie da. Olbrzymie rozmiary pałaców i świątyń starożytnego Egiptu, Asyryi, Chaldei są nietylko wyrazem wrodzonéj wschodnim narodom potrzeby przepychu, ale zarazem, te olbrzymie rozmiary są, choć dalekim, tém nie mniéj wyraźnym oddźwiękiem estetycznéj natury krajobrazu. Oko Egipcyanina i Asyryjczyka karmione wciąż nieskończenie daleko ciągnącym się krajobrazem, w olbrzymich rozmiarach widzi ideały sztuki architektonicznéj. Przytém matematycznie powtarzające się zjawisko, od którego byt ludności egipskiéj zależał, zjawisko to wytworzyło w téj ludności poczucie kształtów geometrycznych, ale nie pod względem ich artystycznéj, lecz czysto schematycznéj strony. W budowlach Egipcyanina przebija się instynkt samorodnego, przez przyrodę ukształconego geometry.

Bezmierna płaszczyzna Mezopotamii nie mogła dostarczyć wrażeń, które odpowiednio w fantazyi artysty idealizowane i kojarzone, mogły-by wydać wielką rozmaitość artystycznych kształtów. Oprócz bowiem warunków utylitarnych, wypływających z użycia cegły, jako materyału budowlanego, oprócz warunków klimatycznych kraju, w którym burze z ulewnemi deszczami zrywają się gwałtownie, pomimo tych wszystkich warunków, można przypuścić, że architektura chaldeo-asyryjska inną-by przybrała postać, gdyby nie jednostajność linii otaczającego krajobrazu. Wszędzie gdzie oko spocznie, tam wzrok w nieskończenie daleko ciągnącym się krajobrazie widzi jeno proste linie. Takie ubóstwo kształtów przyroda jakby wynagrodziła świetnością i rozmaitością kolorytu, odźwierciedlonego w dekoracyjnéj sztuce Asyryjczyków.

(1) Patrz „Piękno u domowego ogniska",

Epipcyanin zawdzięcza wszystko cudotwórczéj rzece. Zjawisko przyrody czyni z niego nietylko geometrę, ale nadto artystę, który wszystkie swe porywy do tego zjawiska ściąga. Kolumnę więc kształtuje na wzór papirusa, palmy lub lotosu, roślin, których pojawienie się na wiosnę, zwiastuje wylew rzeki, a z nim obfite zbiory i błogie dostatki.

We wpływach przyrodzonych, jakim podlega Egipcyanin i Chaldejczyk, widocznym jest brak estetycznéj miary. Wszędzie nadmierność, z jednéj strony olbrzymie nieproporcyonalne rozmiary krajobrazu, z drugiéj gwałtowne zjawiska przyrody, pod wpływem których człowiek tworzyć może dzieła olbrzymie, wzniosłe nawet, ale nie zawsze piękne. Krajobraz i zjawiska przyrody, powtarzające się w tym kraju, raczéj przygnębiają niż podnoszą umysł. Wytwarzają one niezwykłe o świecie i ideałach sztuki pojęcia.

Rzecz ma się wprost przeciwnie w Helladzie.

Każdy krajobraz ma pewien indywidualny profil, rytm kształtów, do których oko przyzwyczaja się jak ucho do dźwięków ojczystych od młodych lat słyszanych, któremi przejmując się bezwiednie, przyswajamy je sobie. Obrazy, które od chwil dziecięcych przed oczami naszemi przesuwają się, w krew nam przechodząc, stają się jaźni naszéj integralną cząstką. Przejmujemy się niemi i reprodukujemy je bezwiednie, choćby w zabawach, w tych pierwszych objawach naszych upodobań estetycznych. Jak w sferze twórczości muzycznéj, narodowe dźwięki przefiltrowane przez alembik fantazyi kompozytora, tak samo charakterystyczne linie i barwy krajobrazu pozostawiają ślady w kompozycyi architekta.

Krajobraz grecki uspakająco na nerw optyczny działając, tém samém umysł do złotéj równowagi doprowadza. Dwa jego główne znamiona charakterystyczne: u m i a r k o w a n e r o z m i a r y i r o z m a i t o ś ć k s z t a ł t ó w, jaskrawy stanowią kontrast z egipskim i mezopotamskim krajobrazem. W ojczyźnie Iktinosa i Fidiasza wszystko, przez samę matkę przyrodę, w złotéj utrzymane równowadze. Ani zbytnia susza, ani ulewne deszcze, ani gwałtownie zrywające się burze nie są tu znane. Drzewa w téj olimpijskiéj krainie są krzewami, rzeki od strumieni nie większe, sączą się umiarkowanym biegiem, morze jak jezioro w dniu pogodnym liże kamieniste brzegi. Wszędzie spokój, umiarkowanie.

Grecya jest krajem górzystym, a więc na rozmaitości widoków w niéj nie zbywa. Kraj ten to muzeum, to kalejdoskop wciąż zmieniających się widoków. Rozmaitość ta jednak, która częstokroć, szczególniéj w górskich okolicach, w chaos przechodzi, jak tego przykładem tatrzańskie i szwajcarskie krajobrazy,—w Grecyi każdy

przesuwający się przed oczyma widok, swą jasnością i wyrazistością jak lek czarodziejski uspakaja. Skała jest najbardziéj charakterystycznym i wszędzie dającym się widziéć motywem greckiego krajobrazu. Główną więc estetyczną cechą takiego krajobrazu są szerokie płaszczyzny, ostre kontury, na tle lazurowém rysując się, potęgują jasność i wyrazistość widoku.

Grecya jest niewielkim kraikiem, w którym jeszcze mniejsze przedstawiają się oku widnokręgi. Góry i morza rozdzielają kraj ten na oddzielne prowincye, które same dla siebie, otoczone naturalnym murem, stanowią oddzielne małe kraiki, po-za kresy których, oko wybiegnąć nie może.

Wszystko to skąpane w atmosferze czystéj jak nieważki eter. Niemasz tu, jak u nas na północy, horyzontu nieba kłębiącemi zasłanego obłokami. U zachodu horyzont pokrywa się przechodzącemi najrozmaitsze odcienie barw purpurowemi wstęgami. W północnych krajach kłębiące się pary wytwarzają zamglone widoki, majaczejące na dalekim planie krajobrazu lasy przedstawiają się nam nie jako zbiór drzew oddzielnych ale w postaci sinéj lub nawet czarnéj, poprzerywanéj tu i owdzie przedzierającemi się światełkami wstęgi. W Grecyi zarówno przedmioty na pierwszym, jak i na dalekim planie, z niezmierną jasnością przedstawiają się oku.

W takiém otoczeniu, w takiéj przez samę naturę stworzonéj szkole, do wyrazistości i czystości przyzwyczajone oko dostarcza umysłowi materyału na jasne, czyste i ściśle jak kryształ określone myśli. W takiém otoczeniu nie wytworzy się pojęcie piękna, ideałem którego bezgraniczna wielkość, mgłą nie z tego świata przyćmiony sztuczny symbol, jak tego przykładem architektura Indów i Egipcyan. Złota równowaga, umiarkowanie, jasność i ścisła określność odbija się echem artystyczném w architektonicznéj twórczości Hellena. Łatwiéj téj prawdy dowieść na świątyniach niż na budowlach użytku publicznego, wszakże i w tych ostatnich prawda ta jest widoczna.

Widocznym jest także w ogólném rozplanowaniu helleńskiéj siedziby, charakter wspólny wszystkim tego rodzaju budowlom na wschodzie. Zamknięcie ściste od zewnątrz, skierowanie otworów świetlnych ku wnętrzu, oddzielenie części domu przeznaczonéj dla kobiét, (γυναικωνῖτις) od męzkiéj (ἀνδρωνῖτις) części, są to cechy właściwe budowlom mieszkalnym egipskim, asyryjskim, perskim i tureckim.

Atoli wszystkie te budowle przerażają olbrzymiemi rozmiarami. Dom Hellena był szczupły, bogaty tylko w dzieła pędzla i dłuta.

Na siedzibę Egipcyanina, Asyryjczyka składa się również twórczość malarza, rzeźbiarza i architekta, ale w chaosie pomieszana. W pałacach egipskich i asyryjskich malowidła, pomimo świetności ich kolorytu i poprawności rysunku, przestały być wzorem godnym naśladowania, helleńska architektura stała się kanonem artystycznéj twórczości.

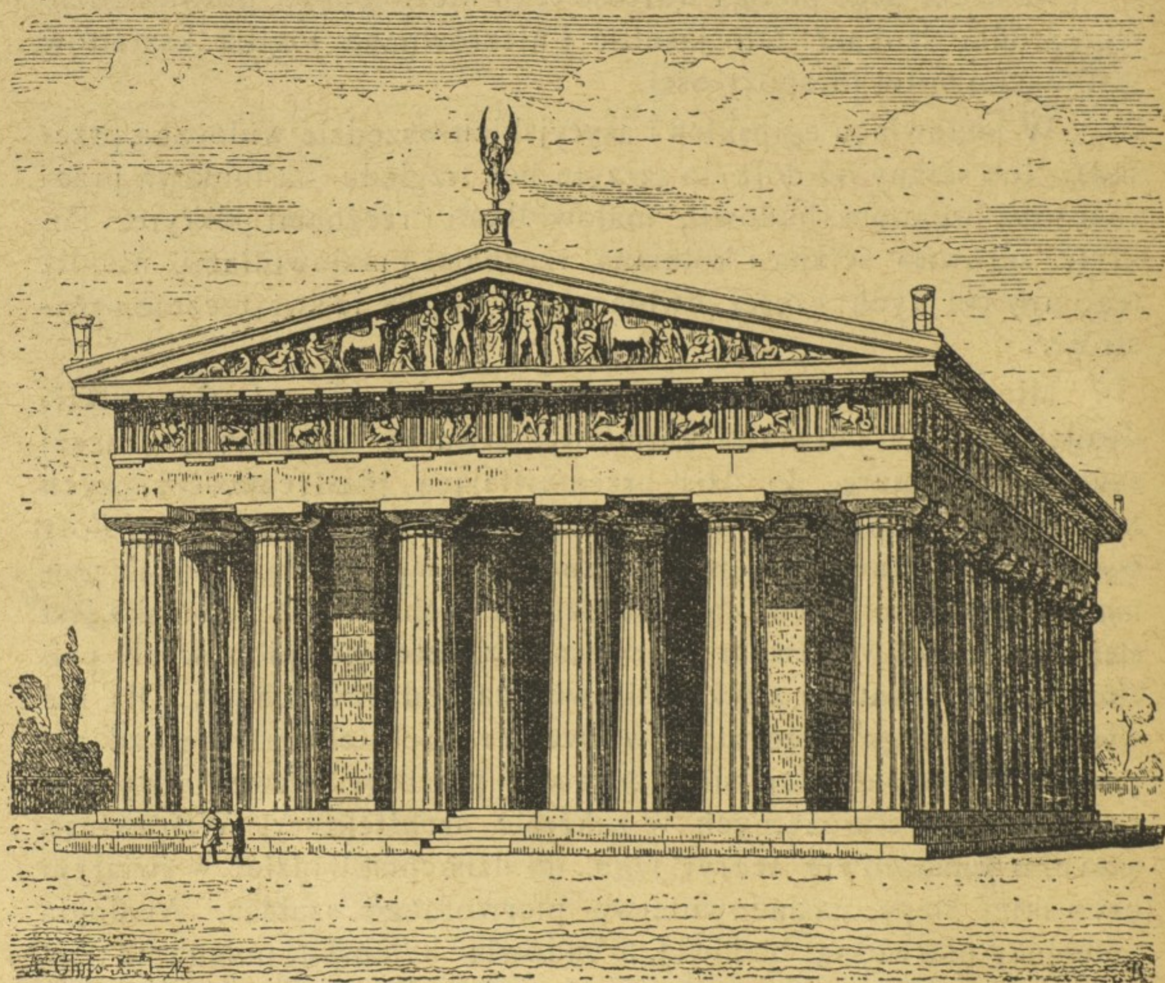
Na czém więc polega wartość tego niezłomnego prawa i gdzie jego źródła szukać? Oto jasność i niezrównana logika kształtów jest macierzą téj niespożytości.

W budowlach egipskich i asyryjskich wszędzie widoczna przesada. Ich ściany od dołu do szczytu bez względu na funkcyą przeznaczoną organom budowli, malowidłami i rzeźbami pokryte. Pokryte zarówno ściana i kolumna rzeźbami i malowidłami, nie dla tego aby cel tych części uwidocznić, ale aby je świątecznie przystroić.

Młodzieńczy geniusz helleński jasnemi, wolnemi od wszelkiéj dwójznaczności obrazami karmiony, stwarza dekoracyą, a raczéj samę architekturę, do dziś przemawiającą plastycznością swych kształtów. Architekton helleński redukuje swe dzieło do prostoty wyrazu pierwotnéj przedhistorycznéj budowy. Błędnie jednak pojmował-by to zdanie ten, kto-by sądził, że architektura helleńska jest ślepém naśladownictwem pierwotnéj z czterech pionowych pali zbudowanéj i matami z łyka i sitowia zagrodzonéj chaty. Dla nie wtajemniczonego specyalnie w kwestye architektoniczne, zdanie powyżéj wyrażone zdaje się same sobie przeczyć. Nawet jedyny pisarz z czasów starożytnych w zakresie architektury, Witruwiusz, a za nim apostołowie teoryi jego, do dziś chcą widziéć w świątyni heleńskiéj ślepe naśladownictwo pierwotnego szałasu. Analogia pomiędzy pierwotną budowlą, a budowlą heleńską, polega na tém, że podobnie jak w pierwszéj z konieczności konstrukcyi, tak w drugiéj ze względów estetycznych, architekt odróżnia i odpowiednio akcentuje i motywuje pierwotne każdéj budowli składowe części. Inaczéj więc akcentuje kolumny, belkowanie itp. to jest szkielet budowli, inaczéj znów tego szkieletu wypełnienie: ścianę. Egipcyanin, bez względu na różnicę funkcyi tych organów, pokrywa je jednakiemi, odtworzonemi na wzór miejscowéj fauny i flory motywami.

W helleńskiéj architekturze, obrazy malarskie czy téż płaskorzeźby, wypełniają tylko ściany budowli, inne zaś organy specyalnie za pomocą ściśle obmyślanych motywów odróżnione od ściany. Widzimy to najwyraźniéj w budowie świątyń, w których płasko-

rzeźby wypełniają tylko trójkątne pole frontowe i metop, (1) tj. pole kwadratów znajdujących się pod głównym gzymsem świątyni (porówn. rys. 3). Kolumna zaś i tryglif, jako organy wyrażające funkcye dźwigania, umotywowane pionowo ciągnącemi się brózdami, które plastycznie wyrażają przeciwdziałanie siłom na tryglif (2) i kolumnę działającym.



Rys. 3.

W ten sposób można-by racyonalnie wykazać, że najdrobniejszy szczegół helleńskiéj architektury z estetycznéj logiki wypływał. Ale nie oto chodzi nam teraz. Chcieliśmy przedewszyskiém wykazać, do jakiego stopnia jasne odróżnianie części składowych doprowadzone było w architekturze helleńskiéj. Daru tego tak ważne-

(1) Metopami nazywamy rząd kwadracików pod głównym gzymsem świątyni znajdujących się.

(2) Tryglifami nazywamy małe żłobione słupki, których cały rząd znajduje się pod głównym gzymsem świątyni.

go, téj podstawy i rdzennego pierwiastku plastycznego kształtowania, nabył Hellen wśród krajobrazu, niczem niezamąconéj czystości barw i konturów.

Toż samo poczucie jasności widzimy w helleńskiéj poezyi. Dość przebiedz jednę pieśń Homera, aby przekonać się z jaką wyrazistością, a nawet realizmem, Hellen wyrażał to, co czuł i widział. Środek koła, łódź, berło, opisane z dokładnością urzędowego spisu inwentarza, jednak bez pedanteryi właściwéj tego rodzaju aktom. Nie masz tu domyślników, wyrzutni i entymematów, syllogizm i miara wiersza, ściśle dająca się określić, widoczna wszędzie. Tak samo w architektonicznych kształtach. Wszystko co zawikłane, nie wyraźne, natłoczone, razi Hellena jak blask oślepiającego światła, z jego sztuki na wygnanie skazane. Śmiało nakreślone linije i płaszczyzny, złoty stosunek proporcyi, wolne jednak od wszelkiéj pedanteryi i matematycznego schematyzmu, są téj architektoniki znamionami.

W płaskorzeźbach wypełniających fronty świątyń, metopy, czy też zdobiących kwatery dekoracyi ścian domów mieszkalnych, powikłania, przecinających się linii nigdzie nie zauważymy. Nawet cienie, przez figurki płaskorzeźbę składające rzucone, nie pokrywają się wzajemnie, przez co obraz rzeźbiarski z nadzwyczajną jasnością przedstawia się oku. Nawet po uwolnieniu się od pierwotnéj archaicznéj naiwności, rzeźba helleńska zachowuje do tego stopnia sobie właściwą jasność, że efekty perspektywiczne nawet na teatralnych scenach, które są bez głębokości, miejsca nie mają.

Wpływ krajobrazu, zjawisk przyrody, bez zaprzeczenia działa na twórczość fantazyi naszéj. Prawdę tę badacze sztuki oddawna przeczuwali, ale zyskała ona dopiero naukową sankcyą, dzięki pozytywnemu kierunkowi estetyki na faktach historycznych i fizyologicznych opartéj. Pomimo postępu wiedzy, stopień i natura wpływu otaczającéj przyrody na twórczość architekta, a ztąd wypływające pokrewieństwo architektonicznych stylów z tworami przyrody mylnie jest pojmowana. Według tych mylnych pojęć architekt wprzód naśladuje to co się przed oczyma jego przesunęło. Tak np., kolumna helleńska ma być bezmyślném naśladownictwem pnia drzewnego, tryglify mają oznaczać końce belek drewnianych, któremi pierwotnie świątynię pokrywano. Takie naśladownictwo jest właściwością tylko tych stylów, które mają raczéj historyczną niż estetyczną wartość. Trudno było by zaprzeczyć, że kolumny egipskie są naśladownictwem roślin bulwowatych, że kapitel perski złożony z dwóch z sobą zrośniętych byków, które jakby uginają się pod ciężarem na ich grzbiecie umieszczonym, jest naśladownictwem

rzeczy widzianych. Fałszywą jest jednak teorya, według któréj helleńskie style i późniejszych epok temu samemu niewolniczemu naśladownictwu zawdzięczają swe pochodzenie.

Podobnie jak w przyrodoznawstwie o pochodzenie człowieka, tak samo w dziedzinie sztuki toczy się spór o genezę kształtów architektonicznych. Jedni w tych kształtach chcą widzieć bezmyślne naśladownictwo tworów przyrody, inni znów z nieokiełzanéj fantazyi wszystko wywodzą. Wpływu przyrody i przyczyn materyalnych architektonicznéj twórczości zaprzeczyć nie można, ale wpływ ten działa nie w takiém znaczeniu, w jakiém chce go widzieć gruba teorya materyalistyczna, apostołowie któréj bezwiednie odrzucają czynnik fantazyi twórczéj, zastępując go reprodukcyjną wyobraźnią.

Jakkolwiek postrzeżenia są materyałem twórczości naszéj, nie zastępują one jednak jeszcze twórczości. Wyobraźnia dopiéro przez tworzenie nowych układów z przyswojonych w umyśle postrzeżeń, płodzi ideały, cel artystycznéj działalności. Im wyobraźnia reprodukcyjna, bierna, stoi daléj od twórczości produkcyjnéj, czyli twórczéj, tém twór architektoniczny doskonalszy. Przewaga władzy reprodukcyjnéj nad produkcyjną widoczna jest w dziełach archaicznych, w których bierne naśladownictwo rzeczy widzianych jest istotą tworu. Przykładem kolumna lotosowa, kapitel w postaci dwóch byków, wklęsłe dachy chińskie i t. p.

W helleńskiéj architekturze nic podobnego zauważyć się nie da. Kształty jéj są produktem twórczéj fantazyi, nic nie mającéj wspólnego z otaczającemi człowieka zjawiskami przyrody. Otaczający krajobraz pozostawił tylko w umyśle helleńskiego architekta trzy sobie właściwe przymioty: poczucie wyrazistości, jasności szczegółów i umiarkowanie rozmiarów, złotą równowagę i proporcyą, które to przymioty skrystalizowane są tak w całokształcie, jak i w szczegółach helleńskiéj budowli.

Tak więc, wyobraźnia reprodukcyjna odgrywa ważną rolę w twórczości architekta, pozostawia w dziełach jego niezatarte ślady, ale ślady te u rozmaitych narodów objawiają się pod rozmaitemi postaciami. Stopień i rodzaj tych śladów zależy od ukształcenia zmysłów przez zewnętrzne wpływy.

Wiadomo, że zmysły podobnie jak ciało za pomocą sztucznych środków mogą być znieczulone lub też podniecone do stanu nerwowego rozdrażnienia. Każda téż rasa, każdy naród i epoka, odznacza się pewną indywidualną wrażliwością zmysłu wzroku. Dla oka Inda, wśród burzliwéj przyrody wychowanego, linie nigdy nie są dość zawikłane a kształty dość skomplikowane; Egipcyanin nie

zna miary w rozciągłości linii prostéj, to co Hellenowi wydałoby się monstrualnością, dlań jest złotą miarą. Hellen już na świat przychodzi z chroniczném cierpieniem, które dziś objawia się w nieco odmienny sposób, a nazywa się nerwowością. Wpada on w stan rozdrażnienia na widok najdelikatniejszego przekroczenia złotéj estetycznéj miary.

Rzecz jednak szczególna, obok takiego subtelnego poczucia formy, jaskrawość barw nie razi Hellena. Zestawienie obok siebie barwy purpurowéj, niebieskiéj, zielonéj i złocistéj, jak to udawadniają nam wywody Hittorfa, tyczące się polichromii helleńskiéj architektury, a ilustrowane rysunkiem Partenonu przez Garnier'a i Paccarda odtworzonym, nam wydają się zbyt jaskrawemi.

To jest jeszcze jednym więcéj dowodem, że nietylko utraciliśmy delikatność poczucia kształtów, ale jest to również dowodem, do jakiego stopnia wzmogło się osłabienie wzroku.

* * *

Wstępujemy na grunt zupełnie nowy, który nieokreślonym ciągnąc się szlakiem od Egiptu, Hiszpanii, aż do Indostanu, nie da ująć się w ściśle określone kontury, podobnie jak ideały plemienia, które pas ten ziemi mieczem islamu pokonały.

Obok wrodzonéj Arabom silnie rozwiniętéj wyobraźni, skłonności do monoteizmu i abstrakcyjnego myślenia, rozwijają oni nauki przyrodnicze, matematykę, poezyą i rolnictwo.

Arabowie, podobnie jak hordy germańskie w chwili ich napadu na państwo rzymskie, są dziećmi przyrody. W takim pierwotnym stanie rozwoju kultury społecznéj, najeźdźcy przyswajają sobie obyczaje, zdobycze naukowe i ideały artystyczne podbitego narodu, stojącego jednak na wyższym szczeblu cywilizacyi. To szczególniéj stosuje się do Arabów, jako plemienia nadzwyczaj wrażliwego, obcym wpływom podlegającego. Zauważmy przytém, że Arabowie, *par-excellence* abstrakcyjni myśliciele, twórcy nowego systematu rachowania, podobnie jak inne plemiona semickiéj rasy, Izraelici i Fenicyanie, pozbawieni byli daru plastycznego. Wrodzony charakter Arabów, pod wpływem al-koranu, który zabraniał przedstawiania Boga w konkretnéj formie, ich silnie rozwinięta wyobraźnia musiała sobie szukać ujścia inną drogą. Fantastyczność, gra linii i barw olśniewających, sztuka ornamentacyjna najbardziéj fantazyjna, jaką zna historya, zastąpiła piękno plastyczne. Arabeska jest wiernem źwierciadłem pojęć twórców tego rodzaju ornamentów.

W każdym stylu architektonicznym wpływają wzory miejscowéj fauny i flory na charakter ornamentacyi. W architekturze

egipskiéj widzieliśmy lotos i palmę, w helleńskich stylach akantus, w gotyku flora z pól rodzinnych zebrana, tu tylko nie ma ani jednego szczegółu, przypominającego w naturze istniejące wzory.

Ornamentacya arabska, jest najzupełniéj samodzielna i abstrakcyjna. Jako materyał do jéj utworzenia posłużyły kształty geometryczne odpowiednio kombinowane.

Arabski ornament jest najbardziéj urozmaiconą igraszką i kombinacyą linii, które gubią się w oczach, jakby wzajemnie od siebie uciekają, to znów zdają się wzajemnie szukać. Tworzą one wciąż nowe, nowe niezliczone kombinacye, których ani zrachować ani pochwycić nie można.

W tych ornamentacyach odbija się jak w czarodziejskiém zwierciadle duchowy nastrój, skłonność wyznawców wielkiego proroka do nieokreślonego marzycielstwa.

Obok ściśle dających się oznaczyć kształtów geometrycznych téj ornamentacyi, tryska z niéj gwałtownie pulsujące życie. Pomimo swéj natury geometrycznéj, są one grą barw i linii, którym zrównać mogą tylko obrazy kalejdoskopowe. Czasami gra ta dochodzi do tego stopnia delikatnych, nieokreślonych i zmiennych kombinacyi, że wydaje się ona marzeniem senném, cudowną na jawie wizyą.

Wśród przestrzeni w ten sposób przystrojonéj o rzeczywistości zapominając, myśl tonie w senném marzeniu.

Pałace maurytańskie są czarownemi, nic nie mającego wspólnego z rzeczywistym światem.

Na zewnątrz, podobnie jak w greko-rzymskim domu i w krajach gdzie człowiek zniewolony do ukrywania się przed nadmierném światłem słoneczném, siedziba maurytańska otoczona ślepym, bez architektonicznych motywów murem. Gdy jednak wejdziemy do wnętrza, olśniewa nas świetność barw i subtelność ukształtowania.

Budowle, składające maurytańską siedzibę, grupują się około krużgankami otoczonego dziedzińca, w środku którego znajduje się basen z tryskającą fontanną. Taki właśnie układ daje najbardziéj w tym rodzaju charakterystyczna budowla: Alhambra pod Grenadą.

Wszystko tchnie tu rozkoszą sennego, marzycielskiego, poetycznego bytu. Smagłe, filigranowe kolumny, w porównaniu z całością budowli, cienkie, jak pajęcza tkanina, zdają się nie módz służyć realnéj funkcyi utrzymania pokrycia, na ich wierzchołku spoczywającego. Przestrzeń całą pokrywa sklepienie nic nie mające wspólnego z zasadami konstrukcyi. Jest to naśladownictwo stalaktytów, w geometryczne ujętych kształty, przypominające ko-

mórki pszczelnego wosku. Na około przebiegają ornamenty, a raczéj napisy kufickiego alfabetu.

Urok tych przestrzeni spotęgowany zewsząd okazującemi się, najrozmaitszemi perspektywami, w ramy drzwi ujętemi.

W tém uroczém otoczeniu, jakby nie dla zwykłych śmiertelników, lecz dla mytycznych elfów stworzoném, wśród mieniących się barw i linii idealnéj ornamentacyi, wobec kontrastów łagodnych, głębokich cieniów, przy złotych przedzierających się promieniach słońca, zmysły karmione najbardziéj sprzecznemi, odurzającemi wrażeniami, w takiém otoczeniu Arab marzy o raju Mahometa.

Wnętrze to jest architektoniczném wcieleniem arabskich bajek: z tysiąca i jednéj nocy!

* * *

Ze wszystkich objawów piękna, architektura najmniéj podlega, przemijającym powierzchownym prądom. Prądom tym podlegać mogą inne objawy piękna, choćby tylko dla dogodzenia chwilowym społecznym porywom. Jeden nakaz administracyjny może zmienić odwieczny strój narodowy, ale despotyzm najeźdźcy zwyciężonym nie narzuci nowych obyczajów a zatém nowego typu siedziby, fizyonomia któréj zmienia się powolnym biegiem.

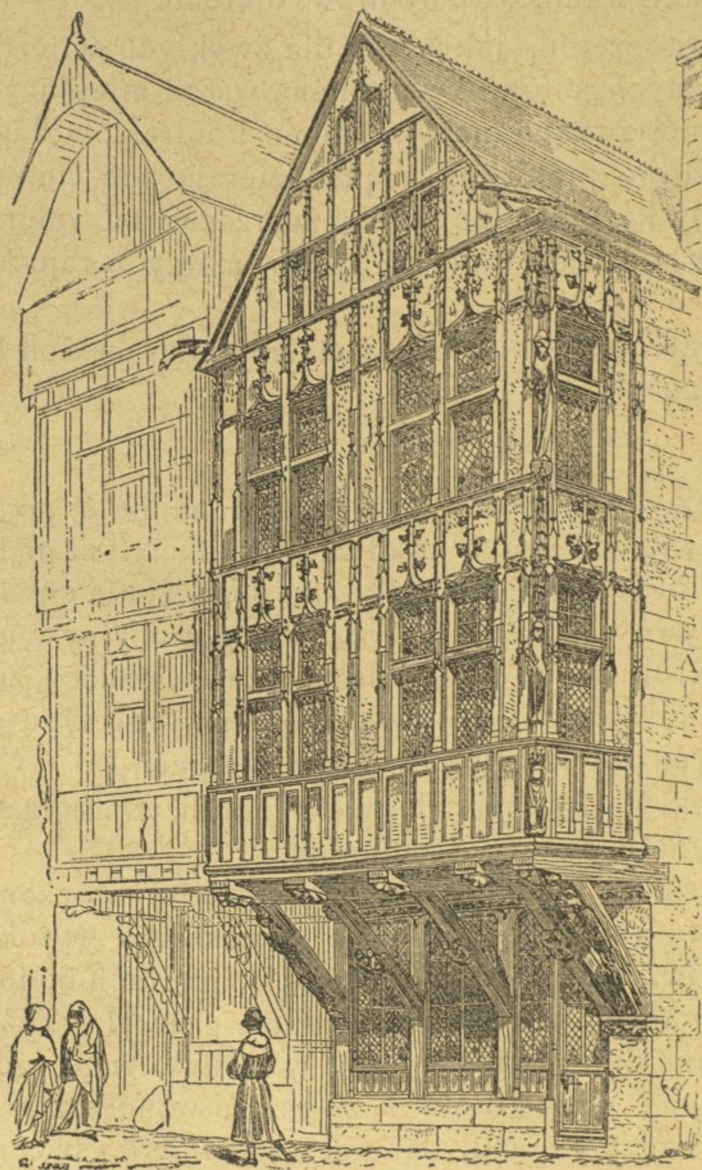
Mijają téż od epoki klasycznéj całe wieki nim fizyonomia siedziby człowieka kardynalnym uległa zmianom.

Szczupłość miejsca w średniowiecznym grodzie, otoczonym obronnemi murami i fosami, zniewoliła do wznoszenia wysokich kilkopiętrowych domów, a to w celu zyskania w piętrach budowli miejsca, którego zbywało na szczupłym gruncie posesyi. Téż same przyczyny i téż same skutki widzimy dziś w stolicy Angli, gdzie z powodu nadzwyczajnéj ceny gruntu i zwyczaju wznoszenia oddzielnego dla każdéj rodziny domu, są one względnie do swéj szerokości nadzwyczaj wysokie. Fasady tych domów mają po dwa a nawet po jedném oknie w każdém piętrze.

Przykładami takich budowli, w podobnych warunkach powstałych, są domy na Krakowskiém-Przedmieściu i na Starém-Mieście w Warszawie.

Elewacye budowli z rozmaitych wieków, dotykalnemi są śladami zmian politycznych średniowiecznego grodu, z których jak na dłoni przeszłość jego czytamy. Jeżeli dolna część domu z kamienia zbudowana, powstać musiała jeszcze za czasów gallo-rzymskich. Późniéj nad temi kamiennemi parterami, wznoszono drewniane piętra, które z powodu szczupłości ulic miejskich, wysuwano na-

przód, przez co górne piętra budowli wystają nad dolnemi, jakby zawieszone ganki (porówn. rys. 4).



Rys. 4.

Już w XI wieku dom mieszkalny traci cechy, greko-rzymskiéj siedzibie właściwe. Mur pełny pokrywa się licznemi drzwiowemi i okiennemi otworami, co było koniecznością przy szczupłym gruncie, na którym miejsca na dziedziniec zbywało, światło więc czerpano nie z wewnątrz domu znajdującego się dziedzińca, atrium, jak w domu greko-rzymskim, ale z miejskiéj ulicy.

Przez drzwi, wprost z ulicy wchodzimy do izby, głównéj komnaty, w któréj zestrzelało się życie rodzinne. Jeszcze w domach z epoki romańskiéj i z czasów Merowingów, widoczne są ślady starożytnéj tradycyi rzymskiéj. Grégoire de Tours (1) wspomina nawet o *gineceum*, oddzieloném od części domostwa przez mężczyzn zamieszkiwanéj, gdy tymczasem w XII wieku, cała rodzina w jednéj izbie się mieści. Na pierwszém piętrze znajduje się wspólna dla całéj rodziny sypialnia.

Indywidualizm, który przejawia się już w stroju średniowiecznego mieszczanina, tém dobitniéj odźwierciedla się na zewnątrz w kamiennéj architektonicznéj szacie. Nietylko bowiem każda

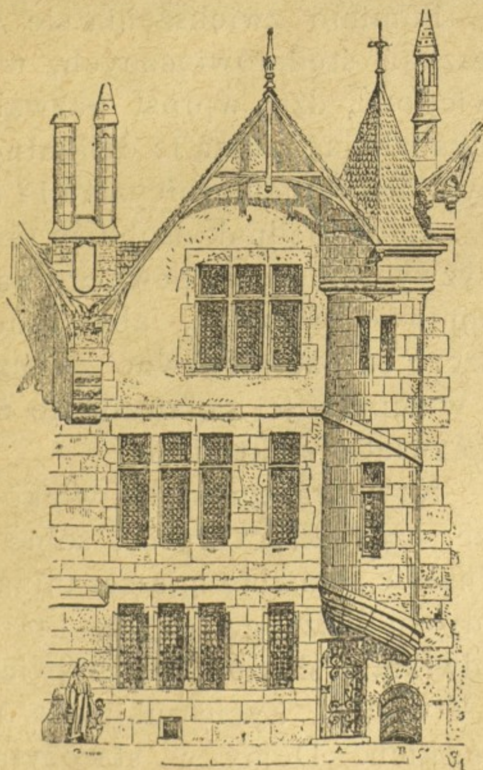
(1) Viollet-le-Duc. Dictionnaire.

prowincya, każdy gród miał właściwą sobie charakterystyczną fizyonomią w budowlach wyrażaną, ale co więcéj w jednym i tymże samym grodzie nie było dwóch podobnych do siebie domów mieszkalnych. Nasze nowożytne domy mieszkalne, wszystkie pod jeden podciągnięte strychulec. Na rzymskim renesansie wzorowane, elewacye domów naszych przedstawiają szereg w jednéj i téjże odległości powtórzonych okien, bez względu czy okno ma oświetlać mały pokoik, czy téż wielki salon. Domy średniowieczne dla jednéj rodziny przeznaczone, do jéj indywidualnych potrzeb zastosowane. Średniowieczny architekt, zerwawszy z dawnemi tradycyami, tworzy według własnéj logiki. Ztąd téż okna nazewnątrz nie w jednym rzędzie i ściśle w jednéj odległości uporządkowane, ale stosownie do wewnętrznego rozkładu pokojów. A więc wielkiéj komnacie odpowiada wielkie, małéj przestrzeni małe okno. Dla téjże saméj przyczyny i wzajemne odległości tych otworów na fasadzie domu musiały być rozmaite.

Szczupłość miejsca w średniowiecznym grodzie, o któréj już wspomnieliśmy, oprócz rozwoju domu na wysokość, wywołała jeszcze jeden, nadzwyczaj charakterystyczny rys elewacyi średniowiecznego domu. Klatka schodowa w kształcie baszty wystaje nazewnątrz domu, baszta ta, jak strażnica nad parterem zawieszona, co silnie potęguje indywidualność fizyonomii budowli (por. rys. 5).

Na widok tych budowli instynktowo indywidualność ich odgadujemy. Są to księgi kamienne, z których jednak treść wewnętrzną nie łatwo wyczytać.

Łatwo jednak w tych elewacyach odróżnić dwór pański, lub parweniusza, który wczoraj na wierzch wypłynął, od domostwa średniowziętego mieszczanina. Mieszczanin zwraca elewacyą domu ku ulicy miejskiéj, i ku niéj skierowywa otwory drzwi i okien. Karmazyn cofa w głąb korpus domu swego, a oddzielając go dziedzińcem od zgiełku miejskiego, wytwarza typową rezydencyą: *entre cour et jardin.*



Rys. 5.

Dom mieszczanina przezroczysty, do szklanéj latarni podobny; w magnackiéj rezydencyi otwory świetlne niewielkie i w małéj liczbie.

Nawet domy mieszczańskie przybierają rozmaite wyrazy fizyonomii, a to stosownie do rodzaju zajęcia ich mieszkańców. W miastach kupieckich domy na zewnątrz szeroko otwarte, tam zaś gdzie ludność rolnictwu poświęcona, siedziba ma wygląd forteczny.

Podobnie jak przyrodnik z jednéj kostki wnosi o warunkach w jakich rozwinęło się zwierzę, tak samo historyk architektury, z liczby i rozmiarów drzwi i okien średniowiecznego domu oznaczyć może czas powstania danéj budowli.

Ściany z epoki romańskiéj, przebite małą liczbą skąpo przepuszczających światło do wnętrza wąskich okienek. Człowiek w tym czasie w swéj siedzibie pożądał z taką chciwością półcieniów, z jaką my dziś światła pożądamy. Są to jeszcze resztki dawnych starożytnych obyczajów klasycznego świata, w którym człowiek pragnął jaknajwiększego w swym domu odosobnienia.

W XII wieku domy szeroko otwiérają się na zewnątrz. Przynajmniéj jedna dobrze oświetlona sala w domu mieszkalnym jest koniecznością. Konieczność ta wyrasta w miarę rozwoju czynnego życia, przemysłu i handlu.

Pomimo zwiększenia się rozmiarów i liczby okien, wnętrza mieszkań średniowiecznych, w porównaniu z naszemi, były źle oświetlone, dziś, wprost nazwalibyśmy je ciemnemi. Témbardziéj téż zadziwiać muszą te delikatne, pajęcze, filigranowe roboty, rękopisy z delikatnemi inicyałami i malowidłami, średniowieczu właściwe. Łatwo jednak osobliwy ten fakt wytłómaczyć tém, że gdy oko przyzwyczajone do pewnego natężenia światła, natężenie to musi stopniowo wzrastać, aby pobudzić znieczuloną siatkówkę oka. Jeszcze bardzo niedawno zwyczajna lampa naftowa i światło gazowe w zupełności zadawalniało nas, dziś już nie wystarcza oślepiające światło elektryczne.

Na charakterystykę wieków średnich składają się najrozmaitsze, częstokroć wprost sobie przeciwne czynniki. Szczególniéj jednak w siedzibie mieszczanina znajdujemy najbardziéj dotykalne ślady społecznego ruchu, który rozpoczął się za panowania św. Ludwika, a doszedł do największego we Francyi rozwoju w XIV i XV wieku. Życie publiczne rozwija się na zewnątrz w ulicach miejskich. Domy w starożytności oddzielone ślepemi murami, same dla siebie oddzielne całości stanowiły, małe zamknięte światy; w średniowiecznym grodzie w miarę wytwarzania się wzajemnéj pomiędzy ludnością łączności, domy zbliżają się ku sobie.

Dwie strony wązkiéj uliczki łączą się ze sobą, przez wystające ponad parterem piętra. Taka uliczka szeroka u dołu, wązka na poziomie piętr domów po jéj brzegach wyniesionych, jest pokryta wystającemi ponad parterem piętrami.

Ulice więc grodu z XIV w. zastępują *atrium* tj. dziedziniec starożytnego domu. Mieszczanie nie opuszczając swych domów mogą wzajemnie się widziéć i porozumiewać. Ulica staje się architektoniczną przestrzenią otoczoną dwoma szeregami domów. Ta miejska pod odkrytém niebem hala zastępôwała w wiekach średnich brak budowli użytku publicznego. Jedyną bowiem tego rodzaju budowlą była katedra, która zarazem służyła dla zebrań w religijnych jak w świeckich celach.

Widzimy więc tu rdzenne przekształcenie życia publicznego od podstaw do szczytu. Starożytni życie całe spędzali w miejscach publicznych; na agorze, w termach, amfiteatrach i cyrkach. Siedziba domowa gra więc u nich drugorzędną rolę. W wiekach średnich, dom rozwija się kosztem publicznych gmachów.

Charakterystycznym, choć na pozór drobnym szczegółem i znamieniem téj ku zewnątrz dążności jest umieszczanie kominka pomiędzy dwoma oknami, wskutek czego kominy znajdowały się nie wewnątrz budowli, ale na zewnętrznéj elewacyi. Stanowi to także kontrast z domem starożytnym, w którym ołtarz domowego ogniska w środku umieszczony, izolowany licznemi zagrodami i budowlami (np. w Egipcie i Helladzie).

Siedziby osób zamożnych lub magnackich rodzin znów inny typ przedstawiają. Oddzielone od ulicy budowlami, dziedzińcami i murami. Najpiękniejszym i najbardziéj charakterystycznym typem tego rodzaju siedzib jest dwór Jakuba Coeur w Bourges z XV wieku, i *Hôtel Cluny* w Paryżu, dziś jedno z najcenniejszych muzeów sztuki średniowiecznéj.

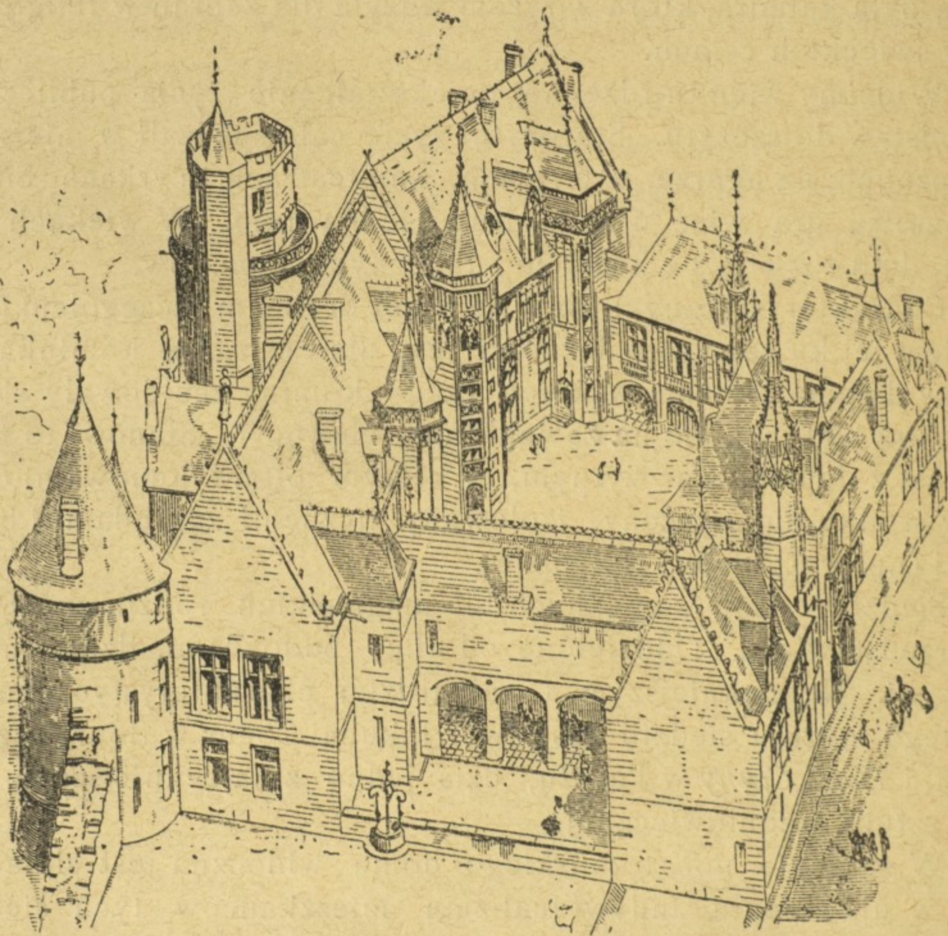
W zasadzie mieszczańskiego domu widoczna jest silna dążność w ujawnieniu indywidualizmu mieszkańców tych siedzib. Tém bardziéj więc w siedzibach ludzi zamożnych, gdzie materyalne przeszkody nie stawiały zapory swobodnemu rozwinięciu się kształtów, kształty te są wiernem odbiciem estetycznych ideałów społeczeństwa średniowiecznego. Ideałem społeczeństwa tego jest spiritualizm, uduchownienie, celowość, na wzór przyrody utworzona a skrystalizowana w średniowiecznéj architekturze.

Główną zasadą téj architektury ujawnienie oku wszystkich, choćby najdrobniejszych części budowy. Jeżeli uosobieniem klasycznéj architektury atleta o doskonale wyrobionych muszkułach pokrywających ukryty szkielet, szkielet ten jest w średniowiecznéj

architekturze widoczny, jest jéj najszczytniejszym celem. Jest-to szkielet, którego logika budowy częstokroć do parodoksu dochodzi.

Zgodnie z ogólnym prądem wieku, hasłem którego racyonalizm, celowość, nietylko oddzielne części konstrukcyi i łuki odporne, pinakle, żebra sklepień itp. obnażone dla oka, ale również wewnętrzne przeznaczenie każdéj oddzielnéj części budowli, powinno być jasno na zewnątrz ujawnione.

A więc przedewszystkiém każda oddzielna przestrzeń pokryta oddzielnym dachem i stosownie do powierzchni, którą zajmuje, otrzymuje odpowiednią wysokość (porówn. rys. 6). Ztąd wytwarza



Rys. 6.

się niezmierna rozmaitość kształtów. Schody w spółczesnych nam budowlach wewnątrz ukryte, w średniowiecznym domu w postaci wież i wieżyczek na zewnątrz ujawnione. W tych wieżach a raczéj klatkach schodowych okna znajdują się na rozmaitych poziomach, a to stosownie do wznoszenia się stopni schodów. Jeżeli schody tworzą grajcarkowatą linię spiralną (1), to linia ta na zewnętrznéj sronie ściany klatki schodowéj reprodukowana (porówn. rys. 5).

(1) T. zw. schody kręcone.

Za pomocą mnóstwa tym podobnych szczegółów, których bliższe wyjaśnienie wchodzi już w zakres specyalnego traktatu, architekt ujawnia na zewnątrz, wewnętrzne przeznaczenie mas składających całość budowli.

To wszystko jednak nie zadowalnia jeszcze średniowiecznego architekta, zaopatruje więc swe dzieło rzeźbioną winietą. Tak np. w dworze Jakuba Coeur, nad trzema oknami oświetlającemi kaplicę, znajduje się płaskorzeźba przedstawiająca: kapłana ubranego w albę, w chwili kiedy święci wodę, za nim młody kleryk na mszę dzwoni, daléj zbliża się żebrak na szczudłach wsparty, co jest zapewne znakiem, że miejsce święte dla wszystkich otworem.

Nad drzwiami jednéj z zewnętrznych klatek schodowych płaskorzeźba przedstawia komin przed którym wisi ptak, dziecko obraca rożen, kobieta zmywa półmiski a kucharz tłucze korzenie w moździerzu. Łatwo domyśléć się, że drzwi taką zaopatrzone dewizą do kuchni prowadzą.

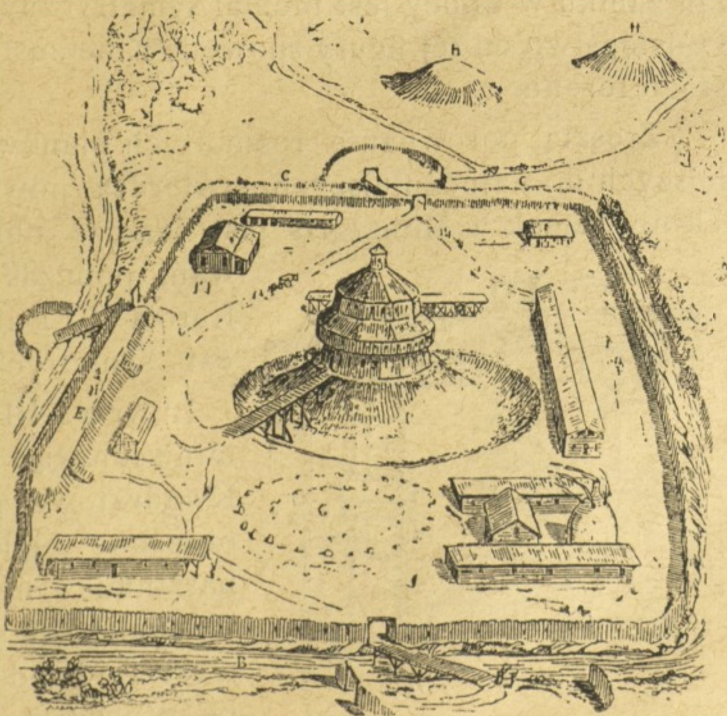
Wszystkich więc środków: układu mas, konstrukcyi, rzeźby użył architekt, aby ujawnić na zewnątrz wewnętrzne przeznaczenie budowli i jéj składowych części.

W starożytności jeden mur pełny maskował wewnętrzny układ domu.

Widomym znakiem skoncentrowania władzy w ręku jednostki jest wysoka budowla przerastająca inne ją otaczające. Budowla taka, z czasem przybierając kształt baszty staje się rdzeniem, z którego rozwinął się udzielny zamek.

Około baszty, która ze względów strategicznych, według ogólnych zasad fortyfikacyi, musi być ze wszystkich stron równomiernie zamkniętą, okrągłą, cylindryczną bryłą, inne budowle grupując się, wytwarzają późniéj całość obronnego zamku.

Do dziś istnieją we Francyi ślady powstania zamku feodalnego.



Rys. 7.

W departamencie Żyrondy (Gironde) w miejscowości *Sainte-Eulalie d'Ambares*, zachowanym został ślad starego zamku Franków t. zw. *la Tusque*, którego Viollet-le-Duc podaje dokładny opis i rysunkową restauracyą, tego nader ciekawego i pouczającego zabytku (porówn. rys. 7).

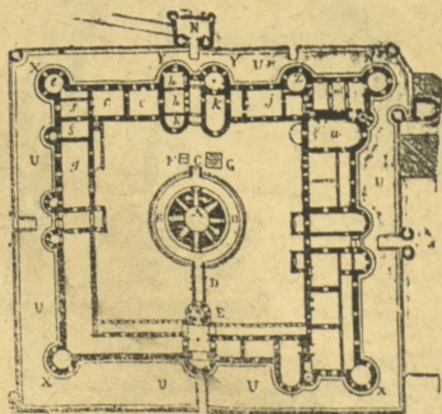
W środku prostokątnéj długiéj na 150, szerokiéj na 110 metrów przestrzeni, otoczonéj rowem i palisadą, wznosi się również rowem i palisadą otoczony kopiec, który służy drewnianéj baszcie za podstawę. Około téj baszty w obrębie kwadratowego pola, grupują się tu i owdzie najrozmaitsze budowle.

Tak przedstawia się pierwotny zamek średniowieczny, gniazdo romantycznych legend.

Absolutnie błędném jest powszechnie powtarzane zdanie, według którego niesymetryczność, malowniczość średniowiecznych zamków umyślnie była wywołana. Owszem, budowniczowie w układzie tego rodzaju budowli starali się o jak największą symetryą, co jest koniecznością ze strategicznych względów.

Jest-to regułą uznaną i stwierdzoną, że zamki na płaszczyznie wzniesione, w swym układzie są symetryczne. Nieregularność układu, malowniczość, która tyle amatorskich komentarzy wywołała, zawsze spowodowana nieregularnością terenu, na którym zamek wzniesiony. Nawet w zamkach na skałach wzniesionych, na terenie nadzwyczaj nieregularnym, widocznén jest usiłowanie nadania obronnemu zamkowi, jak najbardziéj symetrycznego układu. Plan zamku w Coucy jest niemal symetrycznym pięciokątem, a małe odstępstwo od téj figury spowodowane zostało przeszkodami skalistego terenu.

Zresztą, porównanie rozmaitych planów zamków, od najdawniejszych do najpóźniejszych, stwierdza powyżéj wyrażone zdanie. Tak np. zamek w Montagris jest jeszcze obrazem prób i poszukiwań, podczas gdy Luwr z czasów Karola V i Filipa Augusta zupełnie est symetryczny (porówn. rys. 8).


Rys. 8.

Luwr z XIII wieku jest żywą reminiscencyą pierwotnego zamku. Kwadratowe pole z czterech stron otoczone budowlami flankowanemi basztami i uwieńczone fortecznemi blankami. W środku tego kwadratu, a raczéj dziedzińca, wznosi się baszta otoczona rowem. Jest-to więc

pierwotny zamek *„la Tusque“* zamiast z drzewa, z kamienia zbudowany (porówn. rys. 8 z rys. 7).

Malowniczość więc średniowiecznego zamku jest przypadkową, albo raczéj bardzo naturalną jako produkt naturalnego układu gruntu, z którego wyrósł zamek, jak roślina na właściwéj sobie glebie.

Bertold Schwartz, któremu powszechnie udoskonalenie prochu strzelniczego jest przypisywane, położył kamień węgielny nowego architektonicznego stylu!

Proch strzelniczy, który wszedł w użycie w początkach XIV wieku, wywołał w wieku XV-ym udoskonalenie artyleryi, a z nią kardynalną reformę magnackiéj rezydencyi.

Udzielni władcy, nie dość możni by współzawodniczyć z nową sztuką oblężniczą, poddają się z konieczności nowemu porządkowi rzeczy. Jest-to chwila upadku feodalizmu. Zamki obronne otwierają się nazewnątrz. Blanki forteczne ustępują renesansowym gzymsom. Małe, właściwe zamkniętym obronnym zamkom, okienka rozszerzają się. Tylko baszta środkowa pozostaje; symbol dawniejszéj władzy.

Kortyny (ściany) okalające zamek zmieniają się w otwarte galerye i krużganki, na ścianach zawieszono otwarte loże, zbytkownie udekorowane. Wnętrze dziedzińców, na których dawniéj szykowali się do boju rycerze, zasłane różnobarwnym kwiecistym kobiercem. Źródła, które dawniéj służyły do zaopatrywania w wodę fortecznych rowów, dziś są źródłem sztucznych kaskad i fontan.

Ogólne ukształtowanie rezydencyi magnackich pozostało niezmienném, tylko szczegóły podległy przemianom, co jest przyczyną częstokroć dziwnego, niedającego się ściśle określić wrażenia, jakiego doznajemy na widok rezydencyi XV wieku.

Zamek z tych czasów czyni wrażenie olbrzymiego cacka. Jest-to budowla obronna do obrony niezdatna. Widoczną w niéj jest kolizya dwóch prądów, kolizya dwóch pierwiastków kształtowania: forteczne zamknięcie i szerokie w znacznéj liczbie pałacowe okna, bogactwo motywów architektonicznych, z wojenną grozą nic nie mających wspólnego.

Takie rezydencye, jak Chantilly i Chambord we Francyi, nie wiadomo jak nazwać: zamkiem czy pałacem. W Chambord baszta środkowa, otoczona kwadratem budowl, flankowanych bastyonami i wieńczonych blankami, jest cechą obronnemu zamkowi właściwą. Obok tego szerokie i liczne otwory świetlne, kolumny, pilastry, gzymsy bogato ornamentowane, nad dachem wijące się lekkie, misternie zaprojektowane schody, kontrast stanowiąc z środkową basz-

tą dają plastyczny obraz architektonicznego pomnika wystawionego jakby na granicy dwóch światów udzielnych: wieków średnich i nowych czasów.

* * *

Po burzy przez wynalazek Schwartza wywołanéj, znów jasna nad światem zapanowała pogoda. Grzmot udoskonalonych dział oblężniczych oczyszcza świat z feodalnych prądów. Ucywilizowany człowiek po ujarzmieniu przyrody i ziemskiéj tyranii, ulega tylko potędze wielkich odkryć i postępu wiedzy.

Takiéj téż doniosłości zdarzenia, jak odkrycie Ameryki i przylądka Dobréj-Nadziei, odkrycia zabytków sztuki klasycznéj i zaszczepienie jéj na grunt Italii przez greckich wychodźców z Konstantynopola, wywołać musiały stanowczą reakcyą w społeczném życiu, a z niém i w ukształtowaniu ludzkiéj siedziby.

Realizm i plastyczność nowowskrzeszonéj sztuki helleńskiéj, głównego przedmiotu badań XV w., rozwiewa idealistyczny kierunek i spiritualizm średniowiecznéj architektoniki.

Dwa prądy zespalają się w układzie domu z epoki odrodzenia: starożytnego pogaństwa do gruntu Italii przyrosłego i nowego społecznego ustroju.

Naczelne i środkowe miejsce renesansowego pałacu, podobnie jak w starożytnym domu, zajmuje krużgankami otoczony dziedziniec.

Pomiędzy średniowieczną i renesansową architekturą istnieje zupełnie taka sama różnica, jak pomiędzy rzeźbiarskiemi utworami tych dwóch epok. W pierwszéj przeważa spiritualizm, celowość na zewnątrz ujawniająca wewnętrzną częstokroć niepochwytną ideę, drugiéj zaś właściwością doskonale, proporcyonalnie uformowane ciało.

Pomijając już analizę budowy średniowiecznych katedr, w któréj najdokładniéj wykazać można dążność architektów do ujawnienia w architektonicznych organach, wewnątrz nich sił działających, już budowa domów mieszkalnych, jakeśmy to widzieli, celowość tę nazewnątrz ujawnia. Każda oddzielna część tych budowli średniowiecznych wewnętrzne swe przeznaczenie na zewnątrz ujawnia, bez względu czy taka rozmaitość kształtów dogadza zmysłowemu poznaniu.

Że racyonalizm, celowość, w materyalném tych pojęć znaczeniu, są estetycznemi paradoksami, da się najlepiéj na racyonalnéj, ale nie zawsze pięknéj, średniowiecznéj architekturze udowodnić. Jakkolwiek bowiem nieregularność układu, fantazyjność mas i niesymetryczne rozmieszczenia otworów świetlnych w średniowiecz-

néj architekturze z racyonalnéj wypływa zasady, budowle te czynią na średnio wziętym, poczuciem piękna obdarzonym widzu, wrażenie utworów z samowoli powstałych. Na zrozumienie bowiem tego rodzaju kształtów składają się, jakeśmy to w ogólnych widzieli zarysach, obok wiadomości technicznych, przeniknięcie najrozmaitszych czynników, z których składa się średniowieczna kultura. Atoli, zmysł wzroku, to źródło naszych estetycznych upodobań, przyjmuje zewnętrzne wrażenia bez umysłowéj krytyki, według praw czysto optycznéj natury. Im więc zjawisko bardziéj prostego układu, tém łatwiéj do zmysłu wzroku przemawia, tém pewniejsze estetyczne zadowolenie.

Oko średniowiecznego człowieka, że tak rzec można, jest sofistą, lubuje się w rozwiązywaniu trudnych, skomplikowanych, często przekraczających naturalną granicę postrzeżeń wzrokowych.

Człowiek zaś epoki renesansu, pogodném, młodzieńczem, odrodzoném okiem na świat patrząc, chce wprost, bez trudu korzystać z estetycznych rozkoszy, jakich porządek, symetrya i proporcya jest źródłem. Kształtuje więc on budowle na wzór doskonale fizycznie rozwiniętego człowieka, albo, co na jedno wychodzi, na wzór starożytnéj architektury klasycznéj.

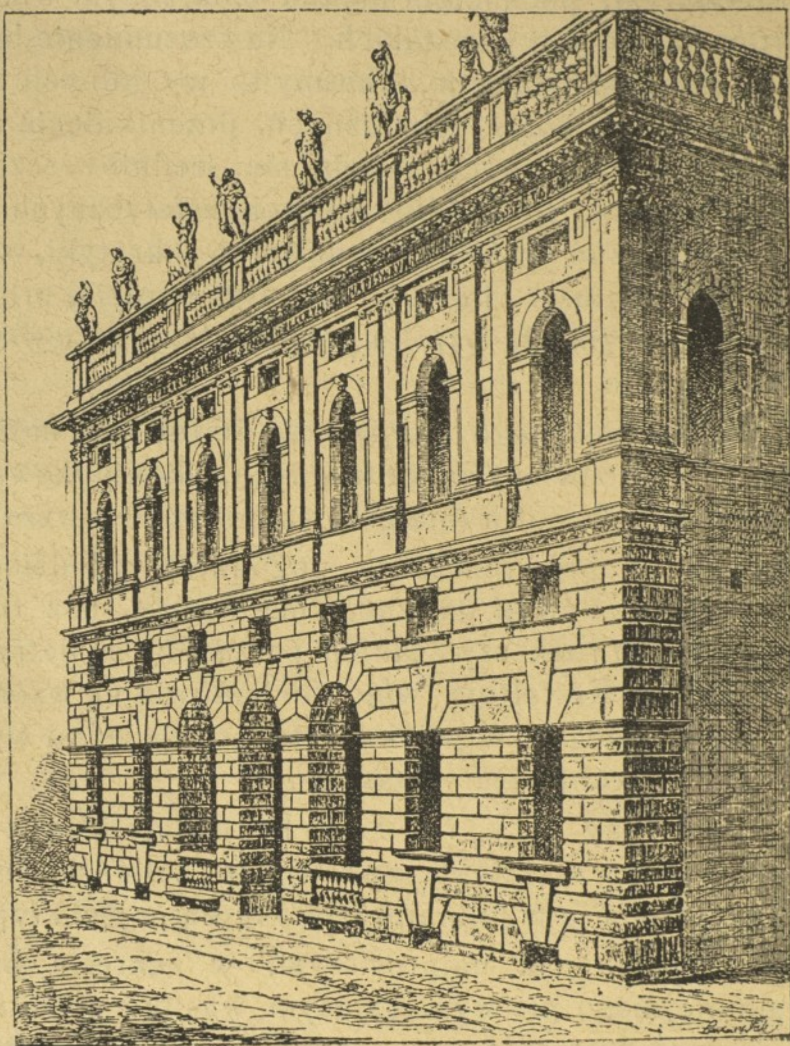
Średniowieczny m i s t r z d z i e ł a usiłuje ideę z r e a l i z o w a ć; renenansowy architekt, jak rzeźbiarz helleński, kształty idealizuje, przedstawia je w jaknajprostszym dla pojęcia typie.

Takim dla pojęcia najprostszym, w zakresie budowniczéj sztuki, najmniejszego nie wymagającym wysiłku myśli typem, jest schemat, jakiego dostarcza nam pierwotna chata przedhistoryczna.

Według jéj wzoru, zapewne bezwiednie, ukształtowana była klasyczna świątynia. Składa się ona, jak jéj przedhistoryczny protoplasta: z podstawy, rzędu słupów, na których pokrycie budowli spoczywa i zagrody. Z biegiem czasu, kiedy budownicze rzemiosło sztuką architektoniczną się stało, podstawa z gliny zlepiona, postać trzech nad sobą piętrzących się gradusów przybiéra; to styllobat świątyni. Pierwotne drewniane słupy przeobrażają się w żłobkowane kolumny, zaopatrzone u góry w elastycznych liniach kapitele. Przez takie umotywowanie, kolumny pełnią nietylko mechaniczną funkcyą dźwigania pokrycia budowli, ale zarazem funkcyą tę plastycznie wyrażają. Nareszcie pokrycie budowli przybiéra postać trójkątnego frontonu płaskorzeźbą wypełnianego (porówn. także rys. 1 z 3).

Widzimy więc tu schemat pierwotnego szałasu, odnajdujemy w nim trzy integralne elementy każdéj budowli. Nie większém

jest jednak to podobieństwo, jak pomiędzy człowiekiem a jego darwinowskim protoplastą.



Rys. 9.

Trzy składowe elementy budowli, w wiekach średnich zapomniane, przez renesansowych architektów wskrzeszone zostały. Na téj zasadzie parterowi budowli np. z trzech kondygnacyi złożonéj, nadajemy charakter podmurowania, olbrzymiego cokółu, a to przez zbudowanie téj dolnéj części, z wielkich wystających kamieni czyli tzw. b o n i ó w. Przez następne jedno lub dwa piętra, przeprowadzamy pilastry lub kolumny, wieńcząc je architektonicznén belkowaniem i gzymsem, na znak zakończenia budowli (porówn. rys. 9).

Istnieje jeszcze inny sposób kształtowania budowli, według klasycznego kanonu, sposób ten pozornie różny od pierwszego, polegający jednak na téjże saméj zasadzie. Mianowicie każdemu oddzielnemu oknu nadajemy charakter dla siebie całość stanowią-

céj budowli, a to przez otoczenie takiego świetlnego otworu dwiema kolumienkami na cokóle, wysokości okiennego parapetu ustawionemi, a unoszącemi trójkątny, frontonowy daszek.

W ten sposób architektonicznie przystrojone okno, każde stanowi dla siebie całość, jakby mały, na wzór klasycznéj świątyni zbudowany domek (1).

Porównanie fizyonomii domów mieszkalnych średniowiecznych z renesansowemi wykazuje, że celem twórców tych ostatnich zadowolenie zmysłowego poczucia przez naturalny symbolizm kształtów, nie dający dla fantazyi uciążliwych w rozwiązaniu enigmów. Jest to zatém zmysłowe a więc czysto estetycznéj natury zadowolenie. W odgadnięciu zaś znaczenia wyrazu średniowiecznéj budowli, zmysłom umysł w pomoc przyjść musi. Główny zatém warunek piękna, zmysłowość, na plan drugi usunięta. Dla tego też widok średniowiecznych budowli wprowadza nas w stan duchowéj, nieokreślonéj ekstazy, podczas gdy renesansowe dzieła uspokajają, jak pogodne oblicze olimpijskiego bóstwa.

Wraz z uporządkowaniem i podciągnięciem pod jednę linią okien, które na ścianach średniowiecznego domu, jakby przypadkiem były rozrzucone, uproszczonym zostaje kształt ogólny renesansowych pałaców. Strzelające w górę wieżyczki, poprzyczepiane do ścian, jakby ptasie gniazda, strażnice, piętrzące się po nad sobą, jakby wyniosłości górskie dachy, ujawniane na zewnątrz schody spiralne, wszystkie te szczegóły domu, czy też zamku średniowiecznego znikają z budowli, która w swym ogólnym kształcie, staje się regularnym równoległościanem. Jeden z najpiękniejszych renesansowych zabytków pałac Farnese w Rzymie, przez miejscową ludność *il dade farnese* nazwany, co znaczy: farnezyjska kostka.

Widzimy tu znowu łączność z helleńską architekturą. Świątynia starożytna w swym ogólnym kształcie, to kryształ najprostszéj formacyi: równoległościan prostokątny z trójkątnym na nim umieszczonym pryzmatem.

Atoli, badając głębiéj ducha epoki odrodzenia, przychodzimy do wniosku, że ta łączność ze światem starożytnym jest czysto estetycznéj natury. Albowiem starożytna architektura zarazem czyni zadość konstrukcyjnéj logice i logice estetycznéj. Każda składowa część budowli pełni zarazem właściwą sobie mechaniczną jak i estetyczną funkcyą. Kolumna np. istotnie służy do

(1) Domy w Warszawie na wzór renesansowy wznoszone, służyć mogą za ilustracyą téj zasady.

podparcia wzniesienia ponad poziom pokrycia budowli i plastycznie przeznaczenie to wyraża. Tak samo każdy inny organ budowli. Kolumna renenansowa najczęściéj wyraża mechaniczną funkcyą, któréj bynajmniéj nie spełnia. Z renesansowéj elewacyi można wszystkie kolumny i pilastry usunąć, nie osłabiając przez to mocy budowli, podczas gdy odjęcie kolumn ze starożytnéj świątyni ruinę jéj sprowadzi.

Renesansowa architektura jest dekoracyjna, ale dekoracya ta utworzona według zasad konstrukcyi, w artystyczne przybrana kształty. Wszystko obrachowane tu dla zadowolenia zmysłów, dodajmy jednak, że zadowolenie to polega na prawach logiki estetycznéj. Kontrast pomiędzy renesansową a średniowieczną architektórą jest widoczny, w pierwszéj wszystko dla zmysłów, w drugiéj dla umysłu.

Wskrzeszony świat pogański, prądem nowych czasów oczyszczony, rozkosze zmysłowe z umysłowemi porywami skojarzone, materyalizm z idealizmem pogodzony, swe wcielenie znajduje w dynastyi Medyceuszów, bankierów, którzy ze swego zawodu osiągnięte zyski dla dobra publicznego poświęcają.

Bankierzy Medyceusze nic jednak z nowożytną filisteryą nie mają wspólnego. Nie złoty cielec, ale starożytny posąg, dzieła helleńskiéj kultury stają się ideałem ich życia. Koźma Medyceusz, zakłada akademie filozofii, Wawrzyniec jest istnym ateńczykiem, drugim Peryklesem.

Na pokojach téj artystycznéj dynastyi, rozmowa podniesiona na wysoką, subtelną nutę, treścią jéj filozofia, poetyka i sztuki rysunkowe. Świętem inteligencyi nazywa Taine te wytworne zebrania.

Dla takich téż olimpijskich uroczystości potrzeba było odpowiedniego olimpijskiego przybytku.

Przybytek ten, na wzór świątyni helleńskiéj, pokryty plafonem złożonym z rzędu pod kątem prostym przecinających się belek, tworzy szereg kwater przepysznie rzeźbionych, złotem i żywemi barwy jaśniejących. Ściany zasłane arcydziełami sztuki malarskiéj, złocistą skórą, jedwabnemi tkaninami, aksamitem wzorzyście złotem i srebrem tkanym. Przestrzeń wypełniają sprzęty, każdy ręką mistrza zdziałany. W téj bowiem epoce nie ma rzemieślników. Artyści rzeźbiarze, złotnicy, malarze i architekci, oddają się z równym zapałem kompozycyi w ich specyalnym zakresie, jak w stosowaniu swéj sztuki do przemysłu. Machina, która dziś odbija z pod jednego stempla rzeźby, do ozdoby naszych domowych sprzętów służące, nie była znana w epoce renesansu.

Na półkach naczynia kryształowe z Murano, różnobarwne majoliki, na kominku figurki dłuta Benvenuta, na konsolach sprzęciki ze słoniowéj kości, srebra, z metalu odbijane.

Taką to atmosferą oddychali przyjaciele Rafaela i Tycyana, bankierzy, których handlowe tranzakcye na celu miały zgromadzenie z całego świata, tego co jest najwznioślejszym ducha ludzkiego objawem. W całém téż olimpijskiém tém otoczeniu przebija rozmiłowanie piękna dla piękna, nie zaś nadęta żądza olśnienia klienta czy też uboższego gościa.

Bankierzy Medyceusze gromadzą nieocenione skarby artyzmu, otaczają się uczonymi, poetami i artystami, nie po to jednak aby stugębna fama mecenasostwo ich głosiła, ale dla tego, że duchowa uczta jest ich jaźni potrzebą.

Bankierzy Medyceusze polotem ducha wznoszą się z nizin plebejuszowskiego swego zatrudnienia na wyżyny patrycyuszostwa.

Deszcz złoty, kiedy padnie na społeczną glebę, odpowiednią do jéj natury, wydaje artystyczną roślinę. Że rozwój przemysłu i handlu, nagromadzenie bogactw wpływa ostatecznie na rozwój w społecznym gruncie tkwiącego artystycznego ziarna, stwierdzają dwie bardzo od siebie oddalone epoki: wiek Peryklesa i wiek Medyceuszów. Dochody Aten za Peryklesa dochodzą do 600 talentów rocznie (około 90,000,000 zł. polsk.). Oszczędności zaś tego miasta wynoszą 9700 talentów. Medyceusze we Florencyi, podobnie jak Perykles w Atenach, niezmierne bogactwa gromadząc, na cele artystyczne swe skarby poświęcają.

Wpływ dobrobytu na rozwój pięknéj strony życia łatwo wytłómaczyć. Człowiek nad fizyczną pracą zgięty, wzrokiem do ziemi przykuty, nie po to wzrok od ziemi odrywa, aby pięknemi rozkoszować się widokami, ale by odetchnąwszy swobodniéj, nabrać sił nowych do dalszéj pracy.

* * *

Z końcem XVI wieku, wytworne, pełne artystycznéj wartości rozrywki i uroczystości z epoki złotéj odrodzenia wiedzy i sztuki, przybiérają charakter zapustnego szału.

Posąg starożytny ustępuje miejsca garbatemu arlekinowi, a przezroczysty eter klasyczny, dusznéj i sztucznéj salonowéj atmosferze. Celem życia zamożnych warstw społecznych—nieustająca karnawałowa zabawa. Potrzeba więc do niéj odpowiedniéj dekoracyi. Zewnętrzna więc jak i wewnętrzna strona ludzkiéj siedziby do nowych potrzeb społecznych przystosowaną zostaje. Wszystko więc, coby rozbawionéj rzeszy nagą rzeczywistość, życie codzienne

przypomniéćby mogło, zostaje usunięte. Logika więc przedewszystkiém na wygnanie skazana.

Najprzód tedy, zewnętrzna strona siedziby nowatorskiemu ulega duchowi. Równoległościenny kształt renesansowéj budowli wykrzywiony. Prostolinijne gzymsy w krzywych liniach nakreślone, kolumny wykrzywione jak spiralnie wijące się grajcarki, pień ich poprzecinany, nad niemi spoczywające kapitele na wzór wazonów z których liście i kwiaty zwieszają się; w takiéj postaci kolumny nie są już organami, które realne przeznaczenie mają, ale cackami, przedmiotami igraszki.

Ponieważ logika chce, aby architektoniczne belkowanie było w prostych liniach ukształtowane, a więc téj logice na przekór, fryzy, gzymsy i architrawy są powykrzywiane, co tylko nieokiełzana usprawiedliwić może fantazya. Nareszcie ściana staje się wypukłą!

Całość w ten sposób ukształtowanéj budowli czyni wrażenie, z ogni sztucznych powstałego fantazyjnego zamku.

Szczyt budowli zakończony złocistéj lub błękitnéj barwy kulą, wzniesioną na barkach atlanta. Z po za niéj strzelają złociste promienie, pod nią, różnobarwne obłoki.

Wszystkie linie budowli zdają się wyprawiać taneczne skoki, ani oko ani myśli nie dadzą się osiedziéć. Skupienie duchowe, wypoczynek, myśl poważna, wygnana, na wygnanie estetyczną logikę skazuje.

Elegancya, wdzięk, gładkość i cudowność jest ideałem ówczesnego życia. Artyści wszytkich gałęzi sztuki nastrajają się do tego towarzyskiego kanonu. Prawda w twórczości dramatycznéj konwencyonalizmowi ustępuje, bohaterowie na scenie, pamiętając zawsze, że się w wytworném towarzystwie znajdują, ze słodkim na ustach umierają uśmiechem, delikatne bowiem nerwy widzów nie znoszą gwałtownych widowisk. Olimpijscy bogowie, ulubiony ówczesnych malarzów temat, jakby na zapustną zabawę poprzystrajani.

Na wszyskich więc punktach walka wydana logice, własność mającéj trzeźwić rozmarzone umysły.

Z wewnętrznego urządzenia i dekoracyi tych przestrzeni, badacz architektury, bez zagłębiania się w ideały i prądy społeczne, opierając się jedynie na zasadach psychologicznéj estetyki, *à priori* odgadnie ducha społeczeństwa, które w tych murach wzrosło i żyło. Z ekscentryczności barokowych kształtów przeświéca próżnia duchowa, szukających wciąż nazewnątrz nowych wrażeń, mieszkańców tych siedzib.

Ściany nawet na przeszkodzie stają fantazyi wśród karnawałowych zabaw bujającéj. Miejsce ściany zajmuje łudząca ręką malarza wywołana perspektywa, lub też nieskończona liczba żywych obrazów odbijających się wzajemnie w lustrzanych szybach, wszystkie ściany komnaty pokrywających. Takie wnętrze, jest istnym olbrzymim kalejdoskopem, w którym rolę różnobarwnych szkiełek, postacie ludzkie w błyszczących strojach odgrywają. Żywe te szkiełka poruszają się w takt dźwięków menueta. Pokrycie sali, jéj plafon, jest jakby przezroczystą szklaną szybą, przez którą jakby z za rzędu kulis teatralnych, przegląda na dalekim planie, z czarodziejskiego melodramatu dekoracya.

Widzieliśmy, jak otoczenie wpływając na reprodukcyjną fantazyą, odpowiednie wydaje ideały, drogą więc odwrotną, *à priori*, z przystrojenia siedziby ludzkiéj, wnioskować możemy o duchowym jéj mieszkańców nastroju.

Na wyobraźnię ludów, w młodzieńczém stadyum rozwoju będących, wpływa przedewszystkiém otaczający krajobraz i zjawiska przyrody. Późniéj, kiedy człowiek wyzwoli się z pod wpływów przyrody, stan kultury i ustrój polityczny jest materyałem dla reprodukcyjnéj fantazyi. Jeżeli zaś byt polityczny w ręku jednostki skoncentrowany, jednostka ta daje impuls nowym artystycznym prądom.

Rok 1789 na wygnanie skazuje z dekoracyi komnat, zakochanych bogów i boginki, całujących się kochanków, rozmarzonych pasterzy i gruchające pary gołąbków, zastępując wszystkie te symbole salonowéj idylli, karykaturami politycznéj treści, portretami *sans-culot'ów* i republikańskich bohaterów w strojach *incroyable'ów*.

Posąg słodko marzącéj Ledy, idzie precz, miejsce jéj zajmuje model o groźnéj fizyonomii zburzonéj Bastylii.

Napoleon, uwieńczywszy głowę dyademem rzymskich cezarów i purpurową togę ich przywdziawszy, na wygnanie skazuje style za dynastyi przed nim panujących powstałe.

Sztywny ceremoniał pierwszego cesarstwa, ujmującego wszystko w żelazne kleszcze cezaryzmu, gwałtem wciska społeczeństwa w rzymską estetyczną formę. Ściany więc pokrywają się barwą pompejańską i pompejańskiemi malowidłami, wyobrażającemi kamee z klasycznemi profilami. Piec także poddać się musi woli nowożytnego cezara. Łóżko choć nie wygodne przypomina jednak greckie czy też rzymskie *kline*, przyozdobione wiązką strzał i lanc, na których frygijska czapka zawieszona. Stolik, to trójnóg, albo starożytny ołtarz, wszystko tu pozuje na Rzym czy też Grecyę—jest klasycyzmu karykaturą.

Napoleon jest francuskim Tszin-Tszi-Huan-Ti, który w połowie trzeciego wieku przed naszą erą, pokonawszy swych przeciwników i zawładnąwszy rządami niebieskiego państwa, swych poprzedników wszystkie ślady zaciera.

Napoleon, genialny wódz i prawodawca, jest w dziedzinie piękna parweniuszem, jak o tém przekonywa, zresztą, niepospolity portret piórem Taine'a nakreślony (1).

* * *

Postęp cywilizacyi, niwelując różnicę stanów i narodowości, samę przyrodę ujarzmiając, ściera indywidualne piętno z architektonicznych stylów. Etnograficzne granice celnemi komorami zastąpione; kosmopolityzm świata odźwierciedla się w siedzibie człowieka, na jeden szablon skrojonéj.

Indywidualność bowiem architektonicznego stylu wprost z separatyzmu społecznego wypływa. Dowodem tego Chiny, Egipt, Hellada i Szwajcarya. Odgraniczenie morzami i pustyniami mieszkańców nadnilskiéj doliny jest przyczyną zakonserwowania się egipskiego stylu. W Chinach rządowe ustawy zastępują brak naturalnych granic.

Najbardziéj jednak silnym dowodem powyżéj wyrażonego twierdzenia jest topograficzny układ Grecyi. Jedném z najbardziéj charakterystycznych znamion topografii tego kraju, są na każdym kroku naturalne zapory. Zamknięcie to do tego stopnia jest szczelne, że nawet rzeki nie znajdując ujścia, wyżłabiają sobie podziemne odpływy. Oddzielne prowincye Hellady żyły początkowo w najzupełniejszém odosobnieniu, rozwijając się więc indywidualnie, wytworzyły typy budowli właściwe narodowemu geniuszowi.

Podobne przyczyny wytworzyły najbardziéj charakterystyczną architekturę, podziw europejskich turystów: szwajcarskie szalety, indywidualność których dochodzi do tego stopnia oryginalności, że każdy oddzielny kanton wytworzył właściwy typ tych budowli.

Chińczycy, Egipcyanie, Hellenowie i Szwajcarowie wytworzyli odrębne style architektoniczne. Dla czegóż więc wieczne miasto, Rzym, który nad światem panował nic w tym kierunku oryginalnego nie stworzył? Inaczéj téż być nie mogło. Wieczne miasto, stolica świata, na którą świat cały się składał, musiało być tego amalgamatu odźwierciedleniem.

Pierwszym więc i głównym warunkiem stylowéj oryginalności, odrębność klimatycznych i społecznych warunków, szczelne od sąsiadów izolowanie. Dziś cywilizacya do wspólnego mianownika te

---

(1) Porówn. Taine. Napoleon Bonaparte.

czynniki sprowadza. Góry tunelami przebite znikają, odległości kolejami połączone istnieć przestając, wzajemną fuzyą społeczną wywołują.

Postęp cywilizacyi różnicę stanów i narodowości niwelując, przy tych dobroczynnych wpływach, tłumi w społeczeństwie iskrę młodzieńczości. Gorące porywy, rozmiłowanie w sztuce dla sztuki, staje się niezwykłém zjawiskiem. Nauka rozwija umysł kosztem zmysłów, patrzymy na świat umysłowém okiem...

Utylitaryzm stał się naszego wieku hasłem, ludzkość więc znów powraca do punktu z którego wyszła. Ostatni wyraz prądów współczesnéj architektury, podobnie jak przedhistoryczna chata jest dziełem wysoce rozwiniętéj inżynierskiéj techniki jednak artystyczne *horrendum*. Mam tu na myśli przed tygodniem skończoną budowę—wieży Eiffla.

Do takich przychodzimy wniosków, w myśli podążając szlakiem narodów.

Kazimierz Kleczkowski.





Z GALICYI.

Dnia 8 lipca 1889 r.

Zniesienie prawa propinacyi.—Wybory do Sejmu.— Broszura St. hr. Tarnowskiego p. t. „Próby rozstroju“ i porażka stańczyków w ich własném gnieździe. — Nowy namiestnik i jego sposób postepowania.—Sprawa ks. prałata Stojałowskiego i nasze sądownictwo.— Potrzeba towarzystwa parcelacyjnego.

I.

Sejm poprzedni, który dobiegłszy szczęśliwie okresu sześcioletniego, został niedawno rozwiązany, już za to samo zasługuje na uznanie, że raz na zawsze usunął z widowni życia społecznego w Galicyi nieszczęsną propinacyą, ten ostatni zabytek czasów pańszczyźnianych. Ważna ta sprawa wracała po dwakroć do Izby, w końcu jednak doczekała się stanowczego załatwienia. Jeśli się zważy, że większość sejmu składała się z właścicieli dóbr (na 150 posłów, było ich 80), i że ci, jak to poniżéj wykażę, przez zniesienie propinacyi po większéj części stratę ponieśli, to zaiste każdy radykał musi im teraz przyklasnąć, gdyż bądź-co-bądź w tym wypadku zdobyli się oni prawie na heroizm.

Lat temu 14, sejm galicyjski zajął się dobrowolnie sprawą wykupna propinacyi, i wydał wtedy ustawę, zmierzającą do celu. Nosi ona datę 30 grudnia r. 1875. Według niéj, propinacya, po stosownem wynagrodzeniu jéj teraźniejszych właścicieli, miała przejść na kraj dopiéro za lat 26. Lecz i po upływie tego okresu, każdy posiadacz prawa propinacyi, m i a ł j e s z c z e p r a w o d o j e d n e g o s z y n k u. Wykupno było tedy niezupełne. Złośliwi utrzymywali, że na mocy téj ustawy, szlachta miała mieć prawo propinacyi na wieki zabezpieczone. Ustawa nowa, uchwalona 26 stycznia, r. b., znosi ów szynk raz na zawsze, gdyż jéj § 1 stanowczo orzeka: „Prawo wyszynku i sprzedaży napojów propinacyjnych pozostaje w całéj swéj wyłączności i rozciągłości w posiadaniu uprawnionych jeszcze do końca r. 1889. Po upływie tego terminu, przechodzi to

prawo na kraj, względnie na krajowy fundusz propinacyjny. Po upływie r. 1910 prawo to ustaje zupełnie i raz na zawsze".

Po uchwaleniu ustawy z r. 1875, namiestnictwo dochodziło, jaki czysty dochód mógł mieć z propinacyi każdy właściciel tego prawa. Niedługo téż potém wręczyło każdemu z nich „orzeczenie", ustanawiające ów dochód, który w nowéj ustawie służy za podstawę do wynagrodzenia. Wysokość wynagrodzenia ustanawia § 6 temi słowy: „Wszyscy właściciele prawa propinacyi otrzymują siedmnasto i pół (17½) krotny czysty dochód podług orzeczeń, wydanych w myśl ustawy z d. 30 grudnia r. 1875".

Jeżeli w ciągu lat 1885, 1886 i 1887, które u nas dla prowincyi uznano za wielce krytyczne, miał kto przynajmniéj o 10% więcéj dochodu, niż przed laty 10, gdy orzeczenia były wydawane, natenczas służy mu prawo wniesienia reklamacyi, a gdy dyrekcya propinacyjna, po zbadaniu rzeczy na miejscu, utwierdzi się w przekonaniu, iż reklamacya była uzasadniona, da mu wyższe wynagrodzenie.

Ktokolwiek spojrzy na cyfry wyżéj przytoczone, musi przyznać, że indemnizacya będzie wcale przyzwoita. Wziąć od razu blisko 18 razy tyle, ile się miało rocznie, to wcale niezły interes, szczególnie dla ludzi, potrzebujących dla uregulowania gospodarstwa, od razu większego kapitału. I w rzeczy saméj byłby to interes doskonały, gdyby nie dwa „ale". Pierwsze z nich polega na tém, że ponieważ indemnizacya ma być wypłacona czteroprocentowemi obligacyami, przeto, aby zapobiedz nadzwyczajnéj zniżce kursu, co niewątpliwieby nastąpiło, gdyby odrazu znalazło się dużo tych papierów na giełdzie, musiano je odstąpić Länderbankowi po kursie 88, skutkiem czego biorący gotówkę, na każdéj setce straci 12 guldenów. Drugie „ale" jest bez porównania ważniejsze.

Rząd szukając prawdziwego dochodu, wziął za podstawę fasye propinacyjne i według nich dochód obliczał. Ale te fasye były prawie wszędzie fałszywe. Pochodziło to ztąd, że ponieważ w Austryi wszystkie podatki są niezmiernie wygórowane, przeto każdy i jak może, swój dochód ukrywa. Kto więc miał z propinacyi np. 1000 guldenów rocznie, ten fasyonował najwyżéj 500 gld. Weźmy teraz tę kwotę i zapytajmy, jak rząd postępował, szukając czystego dochodu. Najpierw, tytułem podatku dochodowego odtrącił 18%, co wyniosło 90 guldenów, następnie na każdym półtysiącu przynajmniéj 40 guldenów odcinał za to, że propinatorowie płacili nietylko za prawo wyszynku, lecz także za używanie budynków do dworu należących, za ogrody i inne drobiazgi zwykle z karczmą złączone. W ten sposób odpadło całe 130 gld. Z 500 gld. czysty dochód wy-

dobyto najwyżéj w kwocie 370 gld. Za to wypłacą papierami 6475 guld., które zmienione na gotówkę, dadzą ledwie 5698 guldenów. Zapytuję teraz, czy kwota powyższa jest sprawiedliwém wynagrodzeniem za prawo, które rocznie przynosiło 1000 guldenów? Lecz może kto powie, że właściciele propinacyi spotkała sprawiedliwa kara, ponieważ władze podatkowe w błąd wprowadzali. Czy jednak oni temu są winni, że gdy kraj cały upada pod uciskiem fiskalizmu, każdy ratuje się jak może? Błądzili, prawda, lecz nie z rozkoszy, tylko z biédy. Wszak tonący chwyta się nawet brzytwy. Jeżeli się zważy, że z wyjątkiem wielkich majątków, tudzież dóbr rządowych i funduszowych, wszyscy inni zatajali prawie połowę istotnego dochodu z propinacyi, przeto nie odbiegnę daleko od prawdy, gdy powiem, że indemnizacya rzeczywista powinnaby teraz wynosić nie 62,200,000 guldenów, jak to ustawa orzeka, ale najmniéj 90 milionów. Tak więc około 30 milionów tracą właściciele dóbr, a tracą je dobrowolnie, oni to bowiem sami, czyniąc zadość opinii publicznéj, która ze względów etycznych domagała się zniesienia propinacyi, większością swoich głosów w sejmie uchwalili nową ustawę.

Nie będę przytaczał całéj ustawy, gdyż dla szerszego koła czytelników, suche paragrafy nie są lekturą interesującą; sądzę téż, że czytelnik woli się teraz dowiedziéć, jaką doniosłość tak moralną jak ekonomiczną, będzie miało dla Galicyi zniesienie propinacyi. Co do moralnego, mam nadzieję, że będzie ona wielka. Ostatni zabytek średniowieczczyzny upadł; ścisły związek między karczmą a dworem ustanie; żyd-arendarz nie będzie więcéj faktorem i przyjacielem dziedzica; bankrutujący szlachcic nie będzie odtąd sarkał na księdza, gdy ten zacznie krzewić wstrzemięźliwość; powoli zginie niechęć chaty do dworu i chłop w dawnym panu będzie widział tylko bogatszego sąsiada, z którym wespół zasiądzie w radzie gminnéj. Nierównie mniejsza doniosłość będzie ekonomiczna. Gdyby Galicya rozwijała się pod względem materyalnym prawidłowo, gdyby jéj wydatki równoważyły się z dochodami, natenczas równoczesny przypływ 62 milionów dałby się dobrze uczuć i po niejakim czasie ogólny dobrobyt musiałby się podnieść. Ale my, niestety, nie żyjemy prawidłowo. Wydatki Galicyi wciąż są wyższe od przychodu, a że nie mamy leżących kapitałów, przeto nadwyżkę wydatków, pokrywamy jedynym majątkiem, jaki jest w naszych rękach, tj. ziemią. Ztąd pochodzi, że majątki są u nas niezmiernie obdłużone, a wieś, mająca czystą hypotekę, należy do wyjątków. Ponieważ prawo propinacyi stanowiło dotąd z ziemią całość nierozdzielną, tak dalece, że nawet banki, przy udzielaniu pożyczek brały ją w rachubę, przeto nowa ustawa orzeka, że do rąk właściciela indemni-

zacya dopiéro wtedy będzie wypłacona, jeśli tenże przedłoży wpierw oświadczenie wierzycieli, że się temu nie sprzeciwiają. Że zaś rzadko który obywatel będzie mógł coś podobnego uzyskać, zatém wynagrodzenie pójdzie: 1) na spłatę zaległych podatków i innych należytości skarbowych; 2) na spłatę zaległych rat bankowych, a gdzie niegdzie także na częściową spłatę kapitału bankowego; 3) na spłatę hipotekowanych długów osób prywatnych. Już na te trzy pozycye, które tak się ukryją, że ich ludzkie oko nie dojrzy, pójdzie najmniéj 20 milionów. Drugie tyle, może i więcéj, wpłynie do kieszeni magnatów, duchowieństwa, rządu, rozmaitych zakładów, posiadających dobra ziemskie, nakoniec do kas obywateli-żydów. I te kapitały będą dla kraju stracone, zamiast bowiem jako krew ożywcza wrócić w arterye naszego społeczeństwa, ukryją się po rozmaitych bankach, powędrują do Wiednia na giełdę, część uśnie w kasach oszczędności, a niemało wyemigruje także za granicę do angielskich i francuskich zakładów finansowych. Szczęśliwie jeszcze będzie, jeśli 10 lub 15 milionów krążyć będzie jakiś czas po kraju. Ale i te osiągną wkrótce najwyższy szczebel doskonałości—nirwanę...

Z propinacyą traci drobne obywatelstwo galicyjskie ostatnią rzecz, którą miało jeszcze na sprzedaż. Teraz pozostanie mu już tylko sama ziemia i do tego wysoko obdłużona. Lecz ta wkrótce z pod nóg mu się wysunie, jeżeli inaczéj żyć nie zacznie.

Dochodzą nas słuchy, że za indemnizacyą, którą rząd otrzyma za swoje dobra, tudzież za majątki funduszu religijnego, a wyniesie ona około 4 milionów, zamierza on kupować dobra w Galicyi. Ci, co mają majątki na sprzedaż, bardzo się tém cieszą, gdyż dzięki temu, cena ziemi może się podnieść, że zaś nie będziemy tu mieli do czynienia z drugą komisyą kolonizacyjną: przeto nikt potrzebny nię będzie się wstydził kołatać do rządu, żeby jego zagon kupił.

Czy wypłata indemnizacyi za propinacyą, co na nowy rok nastąpi, wpłynie na cenę ziemi? O ile mnie się zdaje, tylko w pierwszych dwóch lub trzech latach cena trochę spadnie, ale i to nieznacznie. Po upływie tego czasu, ludzie zapomną o propinacyi, jak zapomnieli o pańszczyźnie i wartość ziemi, miasto spadać, będzie się raczéj podnosiła.

II.

Oddawna nie pamiętamy w Galicyi agitacyi wyborczéj tak namiętnéj, nawet gwałtownéj, jak w roku bieżącym. Ledwie dawny sejm został rozwiązany i rozpisano nowe wybory, kraj zaczął się ożywiać, ponieważ stronnictwo postępowe tym razem sobie po-

wiedziało, że wóz spraw krajowych nie powinien toczyć się nadal koleją dotychczasową. Dotąd było w zwyczaju, że sejm ustępujący wybiérał dwa komitety centralne, jeden dla Galicyi wschodniéj, drugi dla zachodniéj a te nowemi wyborami kierowały. Przeciw nim przez długie lata nikt się nie buntował i głos ich był zawsze decydującym. Teraz jednak postępowcy tak powiedzieli: „Dla czego mamy ślepo ulegać komitetom, wybranym przez konserwatywną większość sejmową, skoro z góry wiemy, że one prawie wszędzie będą przeciwne naszym kandydatom? Pomyślmy raczéj sami o sobie". Bezpośredniém następstwem tego postanowienia, był wiec przedstawicieli miast i miasteczek, zwołany do Lwowa, gdzie dla przyszłych kandydatów miejskich uchwalono program postępowy. Zdawałoby się, że takie działanie nietylko nie jest zdrożne, lecz owszem, że zasługuje na wszelką pochwałę, bo przecie w każdym zdrowym organizmie, czy to jednostki, czy téż społeczeństwa, wszystkie jego członki prawidłowo poruszać się powinny. Innego atoli zdania byli ci, którzy dotąd dzierżą ster rządu w naszym kraju, a że hr. Stanisław Tarnowski, profesor uniwersytetu Jagielońskiego, jest ich najzdolniejszm publicystą, przeto kazali mu wystąpić w szranki i z budzącym się postępem bój stoczyć. Szermierz stańczyków, acz dawno werwa już go opuściła, usłuchał wezwania i niebawem pojawiła się jego broszura polityczna, p. t. „Próby rozstroju", w któréj, jak ojciec zbolały na widok syna ginącego, rozdziéra on szaty na widok tego, co się dziś u nas dzieje. Galicya była dotąd taka spokojna, taka zadowolona! Panowie krakowscy rządzili a wszyscy im się kłaniali. Oni zdobywali najpierwsze stanowiska, drobna zaś służba zbierała resztki potraw, padające z pańskiego stołu i tém się tuczyła. Nagle, gdy się ludzie porządni najmniéj spodziéwali, zaczynają ruszać się jakieś tam miasta, których w Polsce nikt nigdy nie uznawał, i pod dowództwem „generałów przeczenia" stawiają własnych kandydatów. Ależ to rozstrój, anarchia, bunt!— woła szanowny profesor, tracąc z wielkiéj irytacyi świadomość tego, co w życiu polityczném jest słuszne, a co zdrożne. Gdyby nazwisko hr. Tarnowskiego nie znajdowało się na końcu broszury, nigdybym nie przypuścił, że jest ona utworem jego pióra. Chociaż ten pisarz nie stworzył dotąd dzieła pomnikowego, mimo to głos jego robił zawsze pewne wrażenie, gdyż w dawniejszych jego pracach publicystycznych była przynajmniéj retoryka, która masom, szukającym nie tyle treści, co kolorytu, zawsze więcéj się podoba niż najtrafniejsze argumenty. Ale w „Próbach rozstroju" nie ma nawet retoryki. Jest tam tylko wodniste narzekanie na szerzącą się bezwyznaniowość; skargi na księży, że mimo zakazu biskupów (!) czy-

tają dzienniki postępowe; operetkowe pioruny, wymierzone przeciw ludziom, niechcącym szlachcie, a właściwie oligarchom ulegać; są nareszcie umizgi do środka sejmowego, do tak zwanych ateńczyków, by ci utworzyli z nimi, ze stańczykami, jedną falangę, ponieważ nadchodzi chwila, w której wszyscy konserwatyści będą musieli zamknąć się w okopach Św. Trójcy, i bronić się przeciw nowemu Pankracemu, którym jest redaktor „Reformy“, p. Tadeusz Romanowicz! Cała broszura jest napisana tak słabo, tyle w niéj naciąganych argumentów i tyle nielogiczności, że na obszerny rozbiór wcale nie zasługuje; jeśli zaś o niéj na tém miejscu wspominam, czynię to li dla tego, że jest ona wyrazem opinii panującéj w obozie stańczyków; a zresztą chciałem także zaznaczyć rażący niedostatek sił publicystycznych u tych panów, skoro w chwili tak dla siebie ważnéj, nie mogli zdobyć się na pracę bardziéj krwistą i lepszą. Nie dziw téż, że przebrzmiała ona, nie wywoławszy żadnego wrażenia, i że zamiast odwrócić, raczéj przyśpieszyła katastrofę, która stańczyków spotkała w ich własném gnieździe.

Postępowcy byli zdania, że gdy posiadacze większéj własności ziemskiéj, mają w sejmie, na 150 posłów, aż 80 własnych przedstawicieli, więc żadną miarą nie mogą oni sprawami krajowemi rządzić bezstronnie, albowiem swój własny interes muszą zawsze stawiać wyżéj niż interes włościan i mieszczaństwa. Według nich, należy tedy w miastach wybrać samych demokratów, a zaś po wsiach lepiéj w ostateczności agitować za rozumnymi chłopami, niż za wstecznikami, gdyż włościanie będą się trzymali prędzéj opozycyi, niż „panów“. Prócz tego oświadczyli oni na zgromadzeniach przedwyborczych przez usta swoich wybitniejszych reprezentantów, tak we Lwowie, jak w Krakowie, że ponieważ Rusini są demokratycznie usposobieni, przeto nie należy przeciw nim nigdzie agitować, bo im więcéj do sejmu wejdzie Rusinów, tém większą korzyść odniesie z tego polska demokracya. Adam Asnyk przemówił w téj materyi temi słowy: „Jedném z najważniejszych zadań polskiéj demokracyi, jéj pojednanie się z braćmi Rusinami. To zadanie tylko jedna demokracya skutecznie rozwiązać może. Zatargi bowiem, które istnieją, wykiełkowały pierwotnie na gruncie społecznym, z antagonizmu demokratycznéj Rusi do arystokratycznéj Polski. Do Polski demokratycznéj Rusini zasadniczéj nie mogą żywić nienawiści i mogą z nią spokojnie omawiać warunki pojednania“. Dzięki téj nowéj taktyce przyjętéj w tym roku przez galicyjskich demokratów, włościan, których w sejmie poprzednim wcale nie było, wybrano teraz sześciu, prócz tego zastęp Rusinów powiększył się o czterech posłów, lecz są-

mych nieprzejednanych. Kto teraz zaręczy, że włościanie, z natury arcykonserwatywni, pójdą ręka w rękę z p. Romanowiczem, i że ci z Rusinów, o których wiem, że są nieprzejednani, zechcą układać się z demokratami polskimi? Na to ważne pytanie, otrzymamy atoli odpowiedź, dopiero po zebraniu się sejmu.

Powszechnie wiadomo, że od śmierci Agenora hr. Gołuchowskiego, stańczycy, związawszy się w koteryą dobrze zorganizowaną, możną w środki materyalne, rozum i znaczenie, opanowali w Galicyi najwybitniejsze stanowiska i stali się formalnym rządem. Lubo masy przeciw nim sarkały, do walki otwartéj nigdzie dotąd nie przychodziło, bo jedni się ich bali, drudzy ustępowali im dla miłego spokoju. Dopiero w tym roku miało być inaczéj. Wojna oddawna przygotowana, nagle wybuchła. I uderzono na stańczyków nie gdzieś na kresach, nie w Wiedniu, lub we Lwowie, lecz w ich własném gnieździe, w którém im było tak ciepło i wygodnie, w Krakowie. Tym zaś, który im wymierzył strzałę w samo serce, był pierwszy dziś poeta polski, dr. Adam Asnyk. Wezwany przez stronnictwo demokratyczne, do ubiegania się o mandat poselski z grodu podwawelskiego, wystąpił on na zgromadzeniu przedwyborczém z mową kandydacką, mającą charakter przeważnie polemiczny, i w niéj nie obwijając prawdy w bawełnę takiemi słowy charakteryzował stańczyków:

„Nie możemy uznawać bezwzględnéj supremacyi koteryi, złożonéj z najróżnorodniejszych żywiołów, ze wszystkich sfer towarzyskich, która bez moralnych podstaw, chce uzurpować sobie stanowisko moralnego rządu w narodzie i żąda od wszystkich ślepego poddania się jéj władzy i jéj interesom. Pretensya taka byłaby nieuzasadniona nawet wówczas, gdyby za nią stał cały szereg czynów dodatnich, rozumnych, szlachetnych, bo żadne stronnictwo, mające swój odrębny ideał polityczny, nie może zrzec się prawa do samodzielnego istnienia i dobrowolnie iść pod chorągwie swoich przeciwników. Ale cóż mówić wtedy, gdy jéj działalność należy uważać za ujemną i szkodliwą. Ujemna jéj działalność nie wypływa tyle z zasad, na jakich się opiera, ile ze środków, których używa do dopięcia celu, według znanego aksyomatu: cel uświęca środki! nie wspólność bowiem zasad jest tu wspólnym łącznikiem tego różnorodnego zastępu, składającego się z pierwiastków oligarchicznych, konserwatywnych, demokratycznych i radykalnych, ale przedewszystkiém wspólność interesów. W imię téj wspólności, schodzą się tu i godzą najsprzeczniejsze doktryny. W imię tych interesów koterya ta werbuje coraz świeższych ochotników ze wszystkich sfer społeczeństwa, ochotników, którzy widzą, że w jéj ręku spo-

czywa rozdawnictwo posad, stypendyów i innych beneficyów i że ona jedynie zamyka lub otwiera drogi do karyery w każdym zawodzie. Do dopięcia swoich celów, posiada ona różne środki i sposoby. Olśniewa dostojeństwami, majątkiem, wpływami; otwiera dla swych prozelitów salony i robi z nich od razu ludzi dobrego tonu, należących do śmietanki towarzystwa, wydaje dyplomy na mądrość, geniusz, cnotę. Wszystko, co należy do jéj zaczarowanego koła, jest wielkiém, wzniosłém i świętém; wszystko, co po za jéj obrębem, jest miernością, rozstrojem, negacyą! Że podobna propaganda prowadzi w dalszych następstwach do demoralizacyi społecznéj, do upadku charakterów, do chęci gonienia za łatwą karyerą, nie na mocy osobistéj pracy i zasług, lecz przez schlebianie wpływowym osobistościom, przez protekcyą i nepotyzm; że w dalszym ciągu wyradza serwilizm i hypokryzyą, tego dowodzić nie potrzeba... Czémże są więc oni, że śmią żądać bezwarunkowego poddania się pod swe rozkazy? Czy są rządem, władzą, czy reprezentacyą narodową? Nie! Oni są cichą spółką komandytową, prowadzącą interesa polityczne na własny rachunek i na własną rękę!"

Łatwo się domyśléć, jak straszliwy gniéw zapanował w szeregach stańczyków, po gorącéj mowie Asnyka, któréj liczne tłumy uważnie słuchały, bijąc miejscami grzmiące oklaski. Skoro pierwszy poeta polski ośmielił się rzucić im w twarz rękawicę, przeto radzi nieradzi musieli ją podjąć. Odtąd téż nie sam tylko honor lecz również zagrożony ich interes, nakazywał im wystąpić stanowczo przeciw jego kandydaturze. Uczynili to natychmiast i przeciw zuchwałemu poecie postawili uczonego dra Majera, sędziwego prezesa Akademii umiejętności, który przez lat 22 bez przerwy w sejmie zasiadał. Wierzyli oni głęboko, że przed tą świętością, potulny ludek podwawelski kornie czoła uchyli. Lecz im większa była wiara, tém boleśniejsze musiało być ich rozczarowanie. Mimo niezmiernego wysiłku wszystkich konserwatystów i poparcia rządu samego Majer upadł, Asnyk zaś został posłem wybrany. Był to hejnał radości dla demokratów, a żałobne *requiem* dla stańczyków. To téż pierwsi urządzili owacyą swemu posłowi—drudzy zamilkli z przerażenia.

Na razie nie można nawet przewidziéć, jakie będą następstwa tego faktu. Nie ulega atoli wątpliwości, że wybór Asnyka, lubo dotąd jest tylko policzkiem wymierzonym w twarz oligarchii, w dalszych konsekwencyach okaże się także wielce szkodliwym dla jéj planów, interesów i znaczenia. Społeczeństwo krakowskie, teroryzowane przez koteryą, którą dotąd poczytywało za niezwyciężoną,

otrząśnie się choć w części z więzów gwałtem mu narzuconych; znaczny zastęp uciekinierów z pod sztandaru postępowego, wróci do dawnego obozu, kraj zaś cały, widząc wyłom w twierdzy, która dotąd uchodziła za niezdobytą, powie: „Skoro początek został szczęśliwie zrobiony, przeto dalsza walka musi rozstrzygnąć o losach téj partyi". To samo, zdaniem mojém, powtórzy się w sejmie. Stańczycy, jak każda koterya, nie stoją zasadami, lecz ludźmi. Licznych jéj członków trzymał, nakształt kitu, interes materyalny, łączący ludzi lepiéj, niż cokolwiek innego, a podniesiony obłudnie do znaczenia zasady. Wypowiedziałem to zdanie lat temu 12 w „Chorobach Galicyi" i dziś je z zadowoleniem powtarzam. Tam, gdzie nie ma zasad, które tylko same jedne są w stanie massy entuzyazmować, tam osobistości są wszystkiém. One trzymają koteryą, użyczając jéj blasku i siły. Gdy tych ludzi raz braknie, koterya zaczyna się chwiać; potém często gęsto rozpada się na atomy. Czują to już dziś stańczycy, i hr. Tarnowski wié, czemu w ostatniéj swojéj broszurze leje gorzkie łzy nad mogiłą ś. p. Szujskiego, Bauma, Paszkowskiego, Henryka hr. Wodzickiego, Alfreda hr. Potockiego, Grocholskiego i O. Kalinki, z których czteréj pierwsi byli zagorzałymi stańczykami, trzéj ostatni ich gorącymi przyjaciołmi. Gdy tych brakło, koterya znalazła się w położeniu nader przykrém, nie ma już bowiem ani jednéj takiéj osobistości w swoim obozie, któraby mogła wysunąć na czoło całéj prawicy. I dla tego to hr. Tarnowski umizga się do dawnego środka sejmowego, do ateńczyków. Zdaje się, że nawet przyjdzie do zlania się obudwu odłamów stronnictwa konserwatywnego, wobec lewicy bowiem, która będzie imponowała nietyle mnogością, co jakością swoich członków, skupienie się rozmaitych odcieni obozu zachowawczego stanie się rzeczą konieczną, w każdym atoli razie nastąpi to dopiero wtedy, gdy stańczycy poczynią ateńczykom znaczne ustępstwa i wyrzekną się dla nich dotychczasowéj swojéj hegemonii. Jeźliby ateńczycy na nich tego nie wymogli, popełniliby wielki błąd polityczny, co w przyszłości musiałoby się zemścić na nich samych.

Zwykłe to ludzkich rzeczy koleje! Co u szczytu staje, to powoli zaczyna się w dół staczać. Stańczycy osiągnęli już wszystko, co osiągnąć mogli, a teraz nastąpi może powolne, za to tém pewniejsze cofanie się wstecz... W każdym razie wybory tegoroczne wykazały ich słabość, i rząd będzie to musiał wziąć w rachubę... Władza naczelna inaczéj patrzy na stronnictwo, naginające zawsze po swéj myśli opinię publiczną, a inaczéj na takie, które traci grunt pod nogami... Wobec tego nowy namiestnik, hr. Badeni, także się zastanowi, ażali warto iść ręka w rękę z partyą, któréj panowanie może już nie długie...

Podczas gdy w Krakowie doznała porażki oligarchia, podszywająca się obłudnie pod sztandar czystego konserwatyzmu, równocześnie we Lwowie wystąpiono do walki ze skrajnym radykalizmem, reprezentowanym przez Henryka Rewakowicza, redaktora „Kuryera Lwowskiego“. Na czterech posłów, których Lwów wybiera, trzech wyszło dawniejszych, mianowicie: Smolka, Romanowicz i Goldman, w miejsce zaś Euzebiusza Czerkawskiego, który dla wieku sędziwego i prawie zupełnéj utraty wzroku, nie może téj godności daléj piastować, postanowiono wybrać człowieka o zasadach także demokratycznych. Jako kandydaci wystąpili: Rewakowicz i rękodzielnik Michalski. Wielu przypuszczało, że Rewakowicz niewątpliwie będzie wybrany; przy pierwszém głosowaniu otrzymał on nawet więcéj głosów niż jego współzawodnik, ale mimo to bezwzględnéj większości nie uzyskał. W kilka dni miał nastąpić wybór ponowny. Teraz okazało się, że z całéj prasy galicyjskiéj, krom „Kuryera“ żaden więcéj dziennik nie stanął po stronie Rewakowicza, ba! sam nawet „Dziennik Polski“, który dawniéj szedł z nim ręka w rękę, jawnie go opuścił. Więcéj atoli niż wszyscy inni, zaszkodził Rewakowiczowi długoletni jego towarzysz redakcyjny, p. Teofil Merunowicz, poseł okręgu lwowskiego na sejm krajowy, ten bowiem ogłosił w pismach list otwarty, w którym znajduje się ustęp następujący: „Mimo że sam jestem demokratą i postępowcem, gdy chodzi o wybór posła, biorę Rewakowicza nie takim, jakim on jest w życiu potoczném, lecz za miarę przyjmuję kierunek redagowanego przezeń dziennika. A czémże jest „Kuryer Lwowski“ w obecnéj dobie? Oto jedyném polityczném pismem polskiém, w którego redakcyi podali sobie ręce polscy socyaliści, z ajentami „*d'Alliance israélite universelle*“. Za liberalizm i demokracyą z taką przyprawą ślicznie dziękuję, więc też nie mogę głosować za człowiekiem, który podobnemu organowi nadaje firmę“. Zarzut ten, niestety całkiem słuszny, musiał jego kandydaturze zadać cios śmiertelny. Przy ponownem głosowaniu, rękodzielnik Michalski otrzymał od niego o kilkaset głosów więcéj. Mówiono, że namiestnik, acz z początku był obydwom równo przeciwny, widząc iż szanse między nimi się ważą, przechylił się ostatecznie na stronę Michalskiego i tém zadecydował jego zwycięstwo, gdyż we Lwowie samych urzędników, uprawnionych do głosowania, jest blisko 1200.

Jutro, tj. 9 lipca, kurya ostatnia, własności większéj, nazywana powszechnie szlachecką, wybiera własnych posłów. Że odda swoje głosy przeważnie na kandydatów konserwatywnych, to rzecz łatwa do przewidzenia. Nie czekam więc na wynik tych wyborów,

lecz wysyłam list niniejszy, gdyż ogólny obrachunek jest już możliwy.

W sejmie, który prawdopodobnie zbierze się w jesieni, na 150 wszystkich posłów, mniéj więcéj trzecia część będzie nowych. Lewica nie będzie liczebnie silniejsza, niż była dawniéj, za to pozyskała ona kilku posłów wybitnych, a prawdziwie niezawisłych, do których zaliczam w pierwszym rzędzie sympatycznego autora „Nędzy w Galicyi w cyfrach“ p. Stanisława Szczepanowskiego. Ktokolwiek jest bliżéj obeznany z życiem parlamentarném, wié, że w ciałach ustawodawczych jakość posłów znaczy bez porównania więcéj, niż ich liczba. Jeżeli lewica potrafi teraz zawrzéć pakt z Rusinami i zjedna sobie zaufanie posłów włościańskich, to w takim razie utworzy nawet liczebnie bardzo silną falangę, liczącą najmniéj 50 głosów. Z taką siłą sama prawica będzie się musiała liczyć, są bowiem ustawy, które sejm dopiero wtedy może uchwalać, gdy się za niemi oświadczają dwie trzecie wszystkich posłów. Wobec przyrostu sił lewicy, reorganizacya prawicy jest rzeczą nieuniknioną. Pochłonie téż ona na kształt kartagińskiego Molocha dawnych ateńczyków, których część, z grupką dowodzoną przez ks. Adama Sapiehę, prawdopodobnie utworzy środek sejmowy, aby z jednéj strony mitygować gorące głowy opozycyjne, a z drugiéj zaś hamować zbyt wsteczne zachcianki konserwatystów. Kto stanie na czele prawicy? Zdaje mi się, że ona sama jeszcze tego nie wié. Wybór głowy będzie zależał od układów i kompromisów między jéj różnemi odcieniami. Rusinami, zdaje się, będzie daléj dowodził profesor Romańczuk, którego ponownie wybrał powiat kałuski, chociaż bardzo być może, że i w ich łonie przyjdzie zaraz na wstępie do silnego starcia, ponieważ między nieprzejednanymi, którzy w tym roku znów wyszli z urny wyborczéj, znajduje się urzędnik fiskusa, p. Kułaczkowski, dawny „borytel“, który o przewództwo będzie się pewnie także kusił.

A opozycya, kogo obierze swoim jenerałem? Dawniéj stał na jéj czele Euzebiusz Czerkawski, lecz ten nie został we Lwowie ponownie wybrany. Ale choćby go nawet obdarzyła mandatem kurya większéj własności—bardzo jeszcze wątpię, by człowiekowi tak schorowanemu i sędziwemu, stronnictwo złożone przeważnie z ludzi młodych i gorących, mogło nad sobą kierownictwo powierzyć. Nierównie prędzéj stanie ono pod dowództwem Ottona Hausnera, lecz być może, że i kto inny, o kim w téj chwili jeszcze nikt nie myśli, zechce pokusić się o panowanie nad opozycyą... Dla czego właściwie były minister dr. Floryan Ziemiałkowski, starał się usilnie o mandat i dał się wybrać w Kołomyi? Czyż by to czynił li dla

dogodzenia swojéj próżności? Bardzo wątpię... Wié on aż nadto dobrze, że karyery żadnéj już nie zrobi, ale ponieważ czuje się na siłach, więc chce jeszcze służyć krajowi. W łonie prawicy nie dla niego miejsce,—tam by go się bali, zresztą ze stańczykami, którzy go z ministerstwa wysadzili, ma on obrachunek; w centrum stracił by swoję indywidualność; gdyby był „dzikim", nie wywierałby żadnego wpływu;—jedyne jego stanowisko na czele opozycyi, z którą łączy go wspólność przekonań demokratycznych, których nawet jako minister nigdy się nie wypierał. Pod takim wodzem lewica mogłaby wiele zdziałać... Zachodzi tylko obawa, czy nie raziłyby jéj zanadto dwa tytuły, które Ziemiałkowski zdobył we Wiedniu: baronostwo i ekscelencya!... Lecz jakby to ciekawie wyglądało, gdyby Ekscellencya kierowała opozycyą.

III.

Nominacya hr. Kazimierza Badeniego namiestnikiem Galicyi, która pod koniec roku ubiegłego nastąpiła, w chwili, gdy się jéj nikt nie spodziewał, była z początku rozmaicie tłómaczona i nie przez wszystkich została z równym zapałem przyjęta. Stronnictwo stańczyków, mające swoję siedzibę w Krakowie, gdzie hr. Badeni był dłuższy czas delegatem namiestnictwa, i gdzie licznych a możnych przyjaciół zostawił, na wieść o powołaniu go przez cesarza na pierwsze w kraju stanowisko, podniosło jeden okrzyk radości, tém większy, że o tę nominacyę, samo oddawna w Wiedniu kołatało. Mniéj był zachwycony drugi odłam stronnictwa konserwatywnego, tak zwana partya podolska, która dopiero w ostatniém sześcioleciu ze stańczykami jeden obóz utworzyła. Jéj niechęć atoli była natury więcéj osobistéj, niż zasadniczéj. Hrabi Kazimierzowi nie zarzucali podolacy, ani braku, zdolności ani energii, ani pracowitości, tylko mieli pewne uprzedzenie do Badenich wogóle, których głowa, hr. Władysław, mimo wielkich zasług, jakie położył na stanowisku członka wydziału krajowego, dla charakteru autokratycznego nie był osobistością popularną, i dla tego do końca życia, acz miał potemu kwalifikacye, nie został sam ani marszałkiem krajowym, ani namiestnikiem. Podolacy tedy bali się, żeby syn nie chciał być całkiem do ojca podobnym. Co do stronnictwa postępowego, to z zasady patrzy koso na wszelką władzę, wyszłą nie z jego łona, więc i hr. Badeniego przyjęło ono z niedowierzaniem. Niedługo jednak trwało a głosy niechętne ucichły, i skończyło się na tém, że ci, którzy nowemu namiestnikowi chcieli trudności stwarzać, przeszli gremialnie na jego stronę. Nastąpiło to wtedy, gdy hr. Badeni sejmowi

się przedstawiając, wygłosił mowę programową. Zapowiedział on w niéj sprężystą administracyę i przyrzekł dbać o dobro kraju. Chociaż jego wystąpienie było niezmiernie dyktatorskie, niedwuznacznie bowiem dał do zrozumienia, że jego wola będzie we wszystkiém rozstrzygająca, tak dalece, że nawet sejm będzie mógł tylko to uchwalać, co on, namiestnik, uzna za pożyteczne, gdyż ustaw innych, cesarz by nie sankcyonował, mimo to wszystkie stronnictwa jednomyślnie mu przyklasnęły. Tym razem zgoda między niemi była tak wielka, że sam nawet „Kuryer lwowski“ znany ze swego radykalizmu, nie wahał się nowego namiestnika nazwać polskim Bismarckiem. Ciekawe to porównanie było, sądzę, jedynie tém wywołane, że kraj, od warstw najwyższych do najniższych, zapragnął nareszcie u steru rządu ręki żelaznéj, któraby, będąc świadoma swoich celów, zaprowadziła administracyą sprężystą, i położyła kres wielorakim niewłaściwościom, które zbyt często, ku powszechnemu niezadowoleniu, powtarzały się za rządów dwóch poprzednich namiestników. Że tak się działo, nie oni temu byli winni. Ktokolwiek zna nasze stosunki wié, że tak ś. p. Alfred hr. Potocki jak i p. Filip Zaleski, działali zawsze w najlepszéj wierze i robili wszystko, co było w ich mocy. Jeźli więc stało się czasem co złego, należy to przypisać nie im, lecz raczéj wpływom postronnym, stosunkom i osobom, słowem przeróżnym okolicznościom, które nad nimi panowały. Ani jeden, ani drugi nie był odlany ze spiżu; dziwić się téż nie można, że gdy z nich który spotkał na drodze siłę inną, a większą od własnéj, miasto z nią walczyć, dla miłego spokoju sam się jéj poddawał... Byli to ludzie zacni, honorowi ale na stanowisku tak wybitném i samodzielném nie całkiem odpowiedni. Fakt, który teraz opowiem, prawdziwy od początku do końca, najlepiéj objaśni, jakich to namiestników miała niedawno Galicya. Gdy po śmierci hr. Ag. Gołuchowskiego zaczęto szukać męża, któryby po zmarłym mógł objąć wielką a nie mniéj ciężką spuściznę, wzrok sfer decydujących padł na hr. Alfreda Potockiego, ten bowiem łatwiéj, niż każdy inny, mógł w kraju zadowolić rozmaite stronnictwa; prócz tego miał on już za sobą karyerę dyplomatyczną, nawet dłuższy czas był ministrem w Wiedniu i na tém stanowisku złożył dowody wielkiéj pojednawczości. Po zamianowaniu go już namiestnikiem przez cesarza, w pałacu pod „kawką“ która chyba dla tego znajduje się w herbie naszéj prowincyi, że, niestety, mamy aż nadto kawek i gawronów, odbywało się przyjęcie wszystkich władz cywilnych. Między innymi przedstawiał się prezydent prokuratoryi skarbowéj ze swymi urzędnikami. Tuż za nim wszedł prezydent dyrekcyi skarbowéj ze swymi podwładnymi. Między nimi znajdo-

wał się pewien młody hrabia. Namiestnik przyjął ich łaskawie, a gdy wychodzili, zatrzymał owego hrabiego i cicho go zapytał: „Czy ci, którzy tu przedtém byli, nie należą z wami do jednego departamentu?“ „Nie, ekscelencyo! Tamci są z prokuratoryi skarbowéj, która broni interesów rządu, my zaś stanowimy dyrekcyą skarbową, która zajmuje się wymierzaniem podatków i wszelkich należytości państwowych“. „Więc to nie wszystko jedno?“ — namiestnik znów zapytał. „Nie, ekscelencyo! Prokuratorya skarbowa to fiskus!“ „Aha! fiskus!“. Hrabia kilkakrotnie powtórzył i zrobił minę, jakby nareszcie zrozumiał różnicę między temi dwiema władzami.

Namiestnik nie umiejący odróżnić poszczególnych gałęzi téj administracyi, którą jego pieczy poruczono, mimo największego wysiłku nie mógł podołać wielkiemu zadaniu, więc choć był honorowy, sumienny, nawet pilny, nie był w stanie kraju zadowolić. Administracya rozprzęgała się coraz bardziéj, a protekcya zaczęła święcić swoje tryumfy, gdyż znaleźli się ludzie, którzy po za plecyma naczelnika kraju wszystkiém rządzili. Gdy nareszcie hr. Potocki ustąpił swego miejsca p. Filipowi Zaleskiemu, złe dawniejsze, miasto ustać, bardziéj się wzmogło, i przyszło do tego, że młodzieńcy, którzy ledwie szkoły pokończyli, zostawali starostami w powiatach liczących po sto tysięcy mieszkańców. Niezadowolenie w kraju szybko się wzmagało, wszystkie warstwy obejmując; w końcu przyszło do tego, że nietylko osoby stojące po za biurokracyą, ale sami nawet urzędnicy zaczęli coraz głośniéj sarkać na rządy równie słabe, jak niesprawiedliwe. W chwili gdy rozgoryczenie osiągnęło szczyt najwyższy, dr. Ziemiałkowski ustąpił ze stanowiska ministra dla Galicyi, na jego miejsce powołano p. Zaleskiego, a zaś posadę namiestnika powierzono hr. Badeniemu, który od najwcześniejszéj młodości był urzędnikiem państwowym, a więc z administracyą miał czas i sposobność wszechstronnie się zapoznać. Teraz łatwo zrozumiéć, czemu jego energiczne, prawie dyktatorskie wystąpienie w sejmie, zostało tak przychylnie przez cały kraj przyjęte.

Czas jakiś jeszcze się lękano, ażali nowy namiestnik nie zechce być zbyt gorliwym orędownikiem, może nawet szermierzem, stronnictwa krakowskiego. Obawy były tém bardziéj uzasadnione, ile, że młody dygnitarz właśnie temu stronnictwu zawdzięczał swoje wywyższenie. Wkrótce atoli przekonano się, że hr. Badeni potrafi być samodzielnym. Gdy posada delegata namiestnictwa została w Krakowie opróżniona, nie powierzył on jéj żadnemu paniczowi o nazwisku historycznem a wielkiéj fortunie, czego tamtej-

sza arystokracya gorąco pragnęła, lecz dał ją najzdolniejszemu staroście, jakiego miał w Galicyi, mianowicie p. Kuczkowskiemu z Kołomyi. Napsuło to pod Wawelem niemało krwi, tak dalece, że nawet sam „Czas“, mimo wrodzonéj powagi i z długoletniego doświadczenia wypływającéj ostrożności, nie umiał ukryć tym razem swego niezadowolenia. Mimo to namiestnik nie uląkł się swoich protektorów i p. K. jest do dziś delegatem w Krakowie. Że hr. Badeni radby powoli wywalczyć sobie takie samo stanowisko niezależne, jakie ongi zajmował tak dobrze w Galicyi, jak i w monarchii hr. Gołuchowski, to się okazało lepiéj niż kiedykolwiek, podczas tegorocznych wyborów do sejmu. W ubiegłém sześcioleciu mieliśmy między posłami aż 6-ciu starostów, którzy głosowali zawsze za stańczykami, względnie z prawicą. Teraźniejszy namiestnik z góry zapowiedział, że sobie tego wcale nie życzy, by starostowie, miasto pilnować swoich obowiązków, bawili się w politykę. Prócz tego nie poszedł on w ślady obu swoich poprzedników, i władzom powiatowym nie kazał agitować za kandydatami miłymi panom krakowskim. Wprawdzie każdy starosta otrzymał z namiestnictwa poufną wskazówkę, ażali osoba, ubiegająca się w jego powiecie o mandat poselski, będzie przez rząd mile widziana, wszelako żadnemu z nich nie kazano występować do walki zaciętéj z ludźmi popieranymi przez opozycyą, jak to się niegdyś działo. Wszak nikt z nas nie zapomniał, że przed trzema laty, ten sam hr. Badeni, jako delegat namiestnictwa w Krakowie, poruszał tamże niebo i ziemię, ażeby przeszkodzić wyborowi T. Romanowicza do rady państwa, i to mu się udało. Obecnie zrobił się jednak więcéj wyrozumiałym dla stronnictwa postępowego, za co każdy człowiek rozsądny musi go pochwalić, prawdziwy bowiem naczelnik kraju, powinien wobec stronnictw autonomicznych zachowywać stanowisko pojednawcze. Jeśli gdzie, to tu, da się zastosować zasada hr. Taaffego, iż rząd powinien stać ponad stronnictwami.

Ale nietylko jako mąż polityczny jest nowy namiestnik zjawiskiem pożądaném. Jako naczelnik administracyi krajowéj zasługuje on także na najwyższe pochwały. Za jego poprzedników, w namiestnictwie lwowskiém panowały zabawne stosunki. Panowie radcy przychodzili do swoich biur na godzinę, najwięcéj na dwie, a i ten czas, miasto na pracę, obracali na czytanie gazet i przyjemną rozmowę ze swymi kolegami. Skutkiem téj opieszałości, sprawy najpilniejsze czekały na załatwienie nieraz całe lata. Nowy namiestnik, przyjmując podwładnych sobie urzędników, stanowczo im zapowiedział, iż pracować muszą, gdyż próżniactwa nie ścierpi, wydał instrukcyą o których godzinach mają przychodzić

a o których wychodzić; odwiedził kolejno wszystkie departamenty, a jeśli którego urzędnika nie zastał, zostawiał mu uprzejmie na biurku swój bilet wizytowy. Skutek był też natychmiastowy. Jakkolwiek sędziwi radcy wielce się tém irytowali, że człowiek mający lat 45, traktuje ich jak studentów, od których żąda się pilności i posłuszeństwa, mimo to zastosowali się do woli swego naczelnika, gdyż pod jego ręką żelazną musi się wszystko ugiąć. Dziś w namiestnictwie lwowskiém zupełnie inaczéj wygląda. Za przykładem głowy, która od rana z natężeniem pracuje, wszystkie członki ogromnego korpusu znajdują się przy swoich stolikach, pióra skrzypią, robota szybko postępuje i sprawy, które dawniéj lata leżały, są dziś załatwiane w ciągu tygodnia, czasem jeszcze prędzéj.

Po zaprowadzeniu porządku w namiestnictwie samém, hr. Badeni zaczął zwiédzać zakłady naukowe, więzienia, rozmaite instytucye, pragnie bowiem jak najprędzéj ze wszystkiém się zapoznać. O ile z dotychczasowéj jego działalności można wnioskować, z wielką gorliwością postanowił on się zająć poprawą stosunków w naszych szkołach średnich, co oddawna jest sprawą piekącą, a w czém będzie mu wielce pomocnym jego brat rodzony, hr. Stanisław, nie mniéj odeń zdolny, a ze sprawami szkolnemi dobrze obeznany.

Chociaż nowemu namiestnikowi w liście niniejszym sporo miejsca poświęciłem, mniemam jednak, że nikt mi tego nie weźmie za złe, zwłaszcza jeśli zechce zważyć, że prowincya, jak nasza, zaniedbana i biédna, dopiéro wtedy zacznie dźwigać się z upadku, gdy na czele wszystkich naszych władz staną nietylko ludzie zdolni, energiczni i pracowici, ale także i tacy, którzy prawdziwie obywatelskim duchem ożywieni, pracę i staranie około dobra powszechnego będą poczytywali za najpierwszy i najświętszy swój obowiązek.

IV.

W namiestnictwie galicyjskiém wieją już inne wiatry, ale tego samego, niestety, nie możemy powiedziéć o naszém sądownictwie. I muszą się w niém dziać rzeczy nie bardzo piękne, nie bardzo moralne, skoro H. Rewakowicz, radykalny redaktor „Kuryera Lwowskiego", w mowie kandydackiéj, wygłoszonéj we Lwowie na zgromadzeniu przedwyborczém, nie wahał się naszemu sądownictwu zarzucić korupcyi. Czy słowa jego będą miały jaki skutek, przewidziéć trudno; jeśli zaś chwilowo przebrzmią bez odgłosu, stanie się to dla dwóch przyczyn. Najpierw biurokracya jest w całéj Austryi zbyt silna, by na jeden odłam, którym do dziś dnia nie przestało

być sądownictwo galicyjskie, można się rzucić z całą bezwzględnością; powtóre radykalizm Rewakowicza jest zbyt jaskrawy, zbyt gwałtowny, by mógł trafić do przekonania tych, od których sprawa stosunków publicznych zależy. Gdyby np. we francuskiéj izbie deputowanych, stanął dziś drugi Danton i zawołał: „Między nami znajduje się dwudziestu nikczemników, którzy przeciw ojczyźnie wciąż konspirują. Dopóki im głów nie poucinamy, republika się nie ustali!“—bardzo wątpię, czy nawet skrajna lewica słuszność by mu przyznała. Bezwzględny radykalizm popłaca tylko w czasach rewolucyjnych. Przeciwnie, w epoce spokojnéj, jest on zawsze upiorem, który ludzi straszy, i dla tego choćby nawet to, co głosi, było prawdą, nikt mu nie chce przyznać słuszności i każdy radby go zażegnać. Jeśli więc namiętne wystąpienie redaktora „Kuryera“, nie będzie miało następstw bezpośrednich, należy to przypisać nie tyle złéj woli jednostek, co wogóle naturze ludzkiéj, która jedynie wtedy chwyta się środków radykalnych, gdy jest rozgorączkowana, lub boi się zginąć. Wszak terroryzm wielkiéj rewolucyi nastąpił dopiéro wtedy, gdy dla Francyi został on jedynym ratunkiem. W czasach normalnych i w chorobach zwykłych, które jeszcze śmiercią nie grożą, chory woli gojący plaster lekarza, od amputacyjnego noża chirurga. Ale chociaż p. Rewakowicz nie oczyści już teraz naszego sądownictwa, głos jego w następstwach zrobi swoje, ci bowiem, do których się zwrócił, będą musieli poddać krytyce jego wystąpienie. Proces adwokata Jackowskiego, którego zasądzono nie na podstawie prawa, lecz s a m o w o l n i e, o czém, na tém miejscu, rok temu obszerniéj pisałem; nieszczęsna sprawa kukizowska, o któréj, przed pół rokiem, mówiono nietylko w Galicyi, lecz także daleko po za jéj granicami; nakoniec świeżo ukończony proces ks. prałata Stojałowskiego, redaktora pisemek ludowych „Wieniec“ i „Pszczółka“, składają, niestety, aż nadto smutne świadectwo o sumienności naszego sądownictwa. Ktokolwiek głębiéj w rzecz wgląda, widzi, że protekcya, piękne ukłony, niechęć partyjna, związki z osobami wpływowemi, często także proste przekupstwo, zwłaszcza w sądach pierwszéj instancyi, nieraz większą rolę u nas odgrywają, niż przedmiotowa sprawiedliwość. Postępowanie adeptów naszéj Temidy nie musi być chyba nienaganne, skoro nawet koło polskie w Wiedniu przez usta swego konserwatywnego członka, dra Michała Bobrzyńskiego, oświadczyło niedawno na publicznem posiedzeniu parlamentu, że w Galicyi, ze wszystkich gałęzi administracyi państwowéj, najwięcéj skarg uzasadnionych pada na sądownictwo. Mówca prawicy, nie mającéj nic wspólnego z radykalizmem p. Rewakowicza, nie domagał się noża ampu-

tacyjnego; prosił on tylko o pomnożenie sił sędziowskich, które u nas są w rzeczy saméj niedostateczne. Minister sprawiedliwości przyrzekł téż jego życzeniu zadość uczynić, i sądy galicyjskie, w ciągu najbliższego trzechlecia zostaną pomnożone o 190 członków. Lecz czy to już wszystko, czego w téj ważnéj sprawie od rządu mamy się prawo domagać? Chyba nie... Pomnożenie personelu sędziowskiego, wpłynie bezprzecznie na przyśpieszenie toku spraw, wszelako nie zmieni ducha, tkwiącego w organizmie naszego sądownictwa, a o toby się głównie starać należało. To zaś nastąpi dopiéro wtedy, gdy u steru staną ludzie równie rozsądni jak energiczni, równie sprawiedliwi jak niezawiśli. Dopóki jednak sąd nie przestanie być wykonawcą woli prokuratora w sprawach karnych, który znów jest ślepém narzędziem w rękach pewnéj koteryi, dzierżącéj chwilowo władzę; dopóki kodeksy nie ulegną reformie, a zaś w sprawach cywilnych dopóki postępowanie pisemne nie zostanie na ustne przeistoczone, dopóty zmiany w naszém sądownictwie należéć będą do pragnień równie pięknych, jak trudnych do urzeczywistnienia. Lubo nie jestem zwolennikiem Prus i ich cywilizacyi brutalnéj, przecie mam szacunek dla ich sądownictwa, a gdy pomyślę, ile to już razy trybunały tamtejsze sprzeciwiły się woli samego Bismarcka, choć mąż ten jest półbogiem narodu niemieckiego pytam się w duchu, ażali sądy nasze zdobyłyby się kiedy na podobną samodzielność, i zawsze, niestety, jestem zmuszony sobie odpowiedziéć, że tak odważnym nie okazałby się żaden trybunał austryacki. U nas nietylko drugi Bismarck, lecz każdy minister sprawiedliwości, ba! nawet pierwszy lepszy magnat, ociérający się o ministrów, więcéj w sądownictwie dokaże, niż kodeks ze wszystkiemi paragrafami. Gdy rok temu poseł niemiecki, Pernerstorfer, wystąpił w radzie państwa z całym szeregiem ciężkich zarzutów przeciw naszemu sądownictwu, cesarz nakazał co do nich surowe dochodzenie. Sprawa przyszła do Lwowa i... utonęła. P. Rewakowicz zaatakował teraz w swoim organie kilku adwokatów lwowskich, zarzucając im publicznie takie drobnostki jak: krzywoprzysięstwo, oszustwo, nadużycie władzy urzędowéj, a chociaż od dwóch miesięcy prawie codzień im powtarza, że jest gotów udowodnić im te ciężkie zarzuty przed sądem, adwokaci milczą i o obrazę swojéj czci dotąd go nie pozwali, prokurator także milczy, gdyż on z urzędu nic o tém nie wié, a sąd przysłuchuje się téj walce obojętnie, bo gdzie nie ma skargi formalnéj, tam nie ma i sędziego. Czy jednak gdzie indziéj nie kazanoby dochodzić prawdziwości publicznie podniesionego oskarżenia? Proces ks. prałata Stojałowskiego, o którym słów kilka chcę teraz powiedziéć, świadczy także o tém wymownie, że coś się popsuło w maszyneryi państwa duńskiego...

Ks. Stojałowski, eksjezuita, dziś prałat papieski i proboszcz kulikowski, człowiek lat czterdziestu kilku, jest znany z talentów, energii i gorączkowéj działalności na polu oświaty ludowéj. Dla gwałtownego temperamentu, naraził on sobie jednak bardzo wielu ludzi wpływowych, a w pierwszym rzędzie poróżnił się ze swoim własnym konsystorzem, któremu nie chciał we wszystkiém ulegać. Od lat blisko 15-tu redaguje on pisma ludowe „Wieniec“ i „Pszczółkę“. W Galicyi zachodniéj trudno znaleźć taką wioskę, któraby nie abonowała choć jednego egzemplarza jego pisemek. Lud czyta je bardzo chętnie, uważając ich redaktora za zjawisko nadzwyczajne, ks. St. bowiem przemawia do chłopa jego własnym językiem i „panów“ przed nim bynajmniéj nie szczędzi. Nie trudno się domyśléć, że szlachta odpłacając radykalnemu redaktorowi piękném za nadobne, przedstawia go za to w wyższych sferach w świetle jak najgorszém. Konsystorz, wszakże nie miał z początku nic przeciw tak pojmowanéj oświacie ludowéj; dopiéro gdy ks. St. raz i drugi z nim samym zadarł, wyparł się opornego klechy i odtąd stara się zrobić go nieszkodliwym. Powiadają, że w konsystorzu, gdzie stronnictwo dawne, krajowe, ustępuje coraz bardziéj przed wpływami partyi ultramontańskiéj, ks. St. ma pierwsze po swéj stronie, za to owi kosmopolici, o których śmiało można powiedziéć, iż są bardziéj katolickimi niż sam papież, należą do jego bezwzględnych przeciwników. Przedewszystkiém nie mogą mu oni przebaczyć stanowiska niezawisłego, które zdobył własną pracą; powoływania się ciągłego na Rzym, gdzie ma osobistych przyjaciół; nakoniec rozmaitych pielgrzymek, które na własną rękę z włościanami urządzał. Nie małą rolę odgrywa tu także prosta zazdrość, nie da się bowiem zaprzeczyć, że ks. St. jest zdolnym, jak rzadko który z naszych duchownych. Czy jednak dobrze ten człowiek robi, że miasto, jako kapłan, działać uspokajająco, drażni stany i jątrzy rany społeczne, tego nie będę bliżéj roztrząsał, zwłaszcza że w téj sprawie, z bardzo małemi wyjątkami, wszyscy są mu przeciwni; lecz gdybym go nawet nie mógł za to pochwalić, to jeszcze nie odważyłbym się nazwać go wyrzutkiem społeczeństwa już dla tego samego, że jego zasady nie godzą się z mojemi. Inni atoli nie wahali się rzucić nań kamieniem, a między tymi, jak to rozprawa sądowa wykazała, był niestety sam konsystorz. Nie było też ani takiego przewinienia, ani nawet takiéj zbrodni, któréj by nie zarzucano proboszczowi z Kulikowa. Ludzie w intrygi nie wtajemniczeni, słysząc co o księdzu mówią, potrząsali głowami, a z ust do ust biegło: „Coś tam w tém musi być!“ I prędzéj, niżeśmy się spodziewali, świat się przekonał, jakiéj natury były owe zbrodnie, których ks. St. miał się

wrzekomo dopuścić. Mimo pięknych dochodów był on zawsze bez pieniędzy; ze swymi dzierżawcami w Kulikowie wciąż kłócił się i procesował; miał kilka skarg o obrazę czci i został raz nawet za to zasadzony na areszt czternastodniowy; z Rusinami darł wciąż koty, nakoniec wierzyciele, przez kogoś widocznie do tego namówieni, ogłosili mu „krydę“. Po takim wypadku następuje zawsze dochodzenie karne, często bowiem zdarza się, że bankrut rozmyślnie ukrywa majątek, by zeń późniéj bezkarnie korzystać. Sąd nie był jeszcze rozpoczął dochodzenia, gdy konsystorz uznał za stosowne, ks. St. jako bankruta, zasuspendować w obowiązkach kapłańskich, późniéj zaś nie uczynił nic, aby go ratować, przeciwnie nawet się o to starał, by jego moralny portret wyszedł ze śledztwa w oświetleniu jak najciemniejszém. Ks. Stojałowski zapowiadał lat temu kilka pielgrzymkę do ziemi św. i zachęcał włościan, by się na nią zapisywali. Gdy arcybiskup lwowski odmówił pielgrzymce swego błogosławieństwa, nie przyszła ona do skutku. Z tém wszystkiém została ona tylko odroczoną, ale nie zaniechaną. Ksiądz źle źrobił, że pieniędzy na ten cel od chłopów otrzymanych zaraz nie zwrócił; nie uczynił tego atoli przez lekkomyślność, gdyż nie da się zataić, że z pieniędzmi postępował on zawsze bardzo lekkomyślnie. Mimo to za te pieniądze nikt go nie skarżył. Uczynił to dopiero sam prokurator, po ogłoszeniu niewypłacalności księdza; późniéj zaś pod pozorem, że ksiądz chce uciec, ponieważ właśnie w owym czasie znajdował się przypadkiem w Wiedniu, kazał go tamże uwięzić i jak prostego zbrodniarza do Lwowa przystawić. Nieprzyjaciele redaktora byli pewni, że gdy prokurator wespół z sądem zacznie go „żyłować“, niewątpliwie tyle na niego znajdzie, że się oskarżony w święconéj wodzie nie obmyje. Zdaje się, że i konsystorz był takiego zdania, więc i proces teraźniejszy poczytywał on za grób publicznéj działalności ks. Stojałowskiego. Chociaż ustawa wyraźnie orzeka, że więzienie śledcze może trwać najdłużéj 3 miesiące, poczém oskarżony powinien być wezwany przed trybunał, mimo to ks. St. trzymano w śledzwie przeszło pół roku, i przez ten czas szukano pilnie tych wszystkich zbrodni, których wrzekomo miał się był dopuścić. Nakoniec zjawił się akt oskarżenia, a w nim zarzuty: sprzeniewierzenia, oszustwa, ba! nawet krzywoprzysięstwa. Ksiądz stanął przed sędziami sam, adwokata bowiem nie chciał, i jasno udowodnił, że prokurator, jakkolwiek przez konsystorz inspirowany, całkiem się omylił. Trybunał zwykły, a więc twardszy od ławy przysięgłych, uznał go też niewinnym zarzuconych mu zbrodni, a zasądził go tylko na zwykły areszt za „krydę“ lekkomyślną, któréj dopuszcza się u nas każdy

nie mogący udowodnić, iż majątek stracił li wskutek nieszczęść nieprzewidzialnych. Prokurator, niezadowolony z takiego rzeczy obrotu, wniósł apelacyą. Uczynił to samo i ks. St. Zdawało by się jednak, że po tym wyroku, obżałowany powinien by być na wolność puszczony. Tymczasem nie nastąpiło to do chwili, gdy to piszę, gdyż potężnym nieprzyjaciołom ks. Stojałowskiego wiele na tém zależy, żeby wśród tego procesu był on na wieki pogrzebiony.

Nie jestem politycznym zwolennikiem redaktora „Wieńca“ i „Pszczółki“—nie hołduję również wyznawanéj przezeń zasadzie, iż każdy człowiek, byle zdolny a energiczny, może już dla tego samego być namiętnym warchołem, nie uznającym nad sobą żadnéj władzy; równocześnie atoli i tych nie pochwalam, którzy chcąc zgubić klechę opornego, nie cofnęli się przed żadnemi środkami—a że w tym wypadku sądownictwo także im dopomogło, więc gorąco pragniemy, żeby podobne rzeczy więcéj się nie powtarzały, ponieważ społeczeństwo gotowe w końcu stracić wszelką wiarę w sprawiedliwość.

V.

Wspomniałem wyżéj o broszurze hr. St. Tarnowskiego. Mówi on w niéj między innemi o potrzebie założenia w Galicyi takiego towarzystwa parcelacyjnego, któreby rozporządzając środkami odpowiedniemi, mogło cały kraj ogarnąć. Jeźli mnie pamięć nie zawodzi, pisałem już o tym samym przedmiocie tu, na tém miejscu, w petersburskim zaś „Kraju“ niejednokrotnie przed laty sześciu poświęcałem mu obszerniejsze uwagi. Jak dla Galicyi, jest to w rzeczy saméj sprawa niezmiernie piekąca, i zaiste! nie można się dość nadziwić, czemu koła najobszerniejsze nie zajęły się nią dotąd należycie. Szlachta jednowioskowa ginie u nas pod ciężarem długów, a że kupujących majątki mamy stosunkowo mało, więc ziemia, zwłaszcza w Galicyi wschodniéj, nie ma ceny odpowiedniéj, i często gęsto majątek przedstawiający realną wartość 100 tysięcy, bywa sprzedawany z wolnéj ręki za 80, a na subhaście za 60 tysięcy. I mniéj by jeszcze bolało, gdyby nowymi nabywcami byli ludzie miejscowi, poczuwający się do równych obowiązków z innymi obywatelami kraju, umiejący ziemię kochać i na niéj uczciwie pracować. W Galicyi jednak dzieje się inaczéj, gdziekolwiek autochton z ojczystego zagona ustępuje, zjawia się prawie zawsze żyd, i to nie ów cywilizowany, garnący się do naszéj narodowości, ale żyd prosty, pejsaty, brudny i nieuczciwy, który robotnika wyzyskuje, chłopa we wsi rozpaja, a ziemię za tanie pieniądze nabytą tak długo

wysysa, póki mu całkiem rodzić nie przestanie. Tacy nowi dziedzice, a mamy ich już niestety w Galicyi blisko pół tysiąca, to prawdziwa klęska dla kraju. Jest tedy obowiązkiem sumienia narodowego starać się o to usilnie, by ci ludzie nie objadali Galicyi na kształt żarłocznéj szarańczy, która po sobie z najpiękniejszych roślin tylko łodygi zostawia.

O ile jest wątpliwą pomoc banku parcelacyjnego w W. Ks. Poznańskiem, tam bowiem pożyteczna ta instytucya przyszła za późno; prócz tego ma ona do walczenia w Wielkopolsce z potężną w środki materyalne komisyą kolonizacyjną,—o tyle pewną byłaby działalność takiego zakładu w Galicyi, gdzie nawet rząd gorliwie by go popierał. To, by szlachta wioskowa, mająca te same potrzeby co ludzie bogaci, lecz pozbawiona ich dochodów, mogła się jeszcze długo przy ziemi utrzymać, jest, według mojego przekonania, pytaniem na jéj niekorzyść dawno rozstrzygniętém. Jedne włości wykupują magnaci i wielcy kapitaliści, drugie rozdrobnia się tak samo, jak to się już stało na zachodzie. Jest to proces naturalny, którego nikt nie odwróci. Z wiosek potworzą się fermy, których właściciele i dzierżawcy będą stali nie o wiele niżéj od dzisiejszego szlachcica; za to ich pozycya będzie trwalsza, gdyż ci będą już umieli pracować i oszczędzać. Fermy takie mamy już na Mazurach. Teraz kolej na Ruś. Bank parcelacyjny przyczyniłby się w wysokim stopniu do przygotowania tej przemiany. Gdzie właściciela, przynajmniéj, do pewnego czasu, mogłaby jeszcze ocalić częściowa sprzedaż ziemi, tam rozsprzedałby kilkadziesiąt, czasem nawet kilkaset morgów między chłopów miejscowych (w każdej wsi znajdują się wieśniacy zamożniejsi, którzy pragną swoją własność powiększyć), gdzie by zaś tego rodzaju amputacya była niemożliwa, tam bank potworzyłby fermy, a te bez porównania łatwiéj by można sprzedawać niż duże majątki. Iluż to mamy zasobniejszych dzierżawców, emerytów z niewielkiemi kapitałami, wreszcie kupców wzdychających na starość do wiejskiego zacisza! To nabywcy przyszłych ferm.

Z ważną tą rzeczą łączy się druga, mająca donosłość równie wielką. Jest nią sprawa emigracyi naszego ludu mazurskiego. Dotąd przesiedlał on się do Ameryki, gdyż kraj ojczysty nie mógł go wyżywić. Odkąd jednak zwrócono jego uwagę na żyzne okolice Galicyi wschodniéj, gdzie stosunkowo ziemi jest więcéj niż rąk potrzebnych do jéj uprawy, od tego czasu zaczął on coraz częściéj zaglądać na równiny naddniestrzańskie. Z początku wychodztwo w te strony odbywało się nieśmiało, lecz gdy rząd wyłapał w Oświęcimiu ajentów emigracyjnych, których proces za kilka dni się rozpocznie,

mazury zaczęli ciągnąć na Ruś całemi taborami. W ciągu ostatnich 10-ciu miesięcy, przez jedno tylko miasto Stryj, dążąc w okolice Żurawna, przejechało 300 z górą rodzin mazurskich, a w samém Nowém Siole, w którém mieszkam, osiedliło się ich w tym czasie przeszło 100 głów. Wszyscy ci ludzie nie są pozbawieni środków materyalnych. Każda rodzina ma kapitalik, niektóre wiozą z sobą nawet po kilka tysięcy guldenów, ale mimo to rzadko zdobywają one pewną egzystencyą. Biedni ci ludzie popadają bardzo często w ręce niesumiennych wyzyskiwaczów, którzy ich gubią. Prócz tego rzadko gdzie osiedlają się oni gromadnie. Najczęściéj rozsypują się po wsiach i w nich toną. Byłoby wszakże całkiem inaczéj, gdyby towarzystwo parcelacyjne kierowało ich wędrówką i ułatwiało im nabywanie ziemi. Wtedy strat nie ponosiliby żadnych, a złączeni w gromady, zdobywali rychło dobrobyt. I korzyść dla kraju płynęłaby jeszcze ztąd, że ludność ruska, z natury apatyczna i leniwa, patrząc na pracowitość chłopa mazurskiego, wstępowałaby mimowoli w jego ślady...

Cieszy nas to bardzo, że sprawę omawianą od lat dziesięciu przez pisarzów stronnictwa postępowego hr. St. Tarnowski uznał nareszcie za ważną, bo jeśli kto, to on może łatwo to urzeczywistnić, co dla biédnych postępowców było tylko marzeniem. Nie żądamy, żeby hr. Tarnowski sam na ten cel dawał krocie, gdyż nie wątpimy, że jeśli tylko szczerze zaapeluje do swoich przyjaciół politycznych, ci przez sejm, w którym mają większość znakomitą, rzecz tę w czyn wprowadzą. Mylném jest mniemanie, utrzymujące się od niejakiego czasu nawet za granicami Galicyi, jakoby u nas siłą zbiorową, nie można nic przeprowadzić. Dwa przykłady, które teraz przytoczę, wykażą, że w Galicyi nawet jednostki, gdy się energicznie do czego wezmą, osiągają cel zamierzony. Gdy lat temu piętnaście rzuciliśmy w dziennikach myśl, nabycia przez kraj jednego z najlepszych obrazów Jana Matejki, Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych, długo się wtedy nad tym projektem zastanawiało, w końcu jednak porzuciło go, jako niemożliwy do wykonania. Znalazł się wszakże pewien człowiek, który go podjął na własną rękę i po kilku leciech do skutku doprowadził. Był to jeden z niższych urzędników pocztowych, osobistość bez znaczenia. Ten tak długo chodził, pukał, agitował, rozpisywał listy, zbiérał składki, apelował do ludzi bogatych, urządzał koncerty i festyny, póki nie zebrał 40,000 guldenów, za które kraj nabył od mistrza krakowskiego jego „Zygmunta Augusta w Lublinie". Wspaniały ten obraz, jest dziś największą ozdobą gmachu sejmowego we Lwowie. To przykład jeden. Teraz drugi świeższéj daty. Gdy kilka miesięcy temu

gruchnęła wieść po kraju, że Zakopane, to urocze zacisze tatrzańskie, idzie na subhastę, wnet znalazło się kilku ludzi dobréj woli, którzy postanowili wytężyć wszystkie siły, by tę miejscowość dla nas zatrzymać. I oto w czasie stosunkowo dość krótkim, zebrali oni kilkadziesiąt tysięcy, z któremi stanęli do licytacyi, a chociaż Zakopanego nie kupili, bo je nabył hr. Zamojski, mimo to cel przez nich zamierzony został w zupełności osiągnięty, gdyż piękna ta miejscowość nie przeszła na własność wyzyskiwaczów. Czy wobec tych dwóch faktów, nie z palca wyssanych, lecz całkiem prawdziwych, ośmieli się jeszcze kto utrzymywać, że towarzystwo parcelacyjne należy w Galicyi do tych rzeczy, których żadną miarą nie można przeprowadzić? Ależ sam Bank krajowy i byle sejm mu to polecił, może i powinien tę instytucyę w życie wprowadzić.

Gdyby hr. Stanisław Tarnowski, zajmujący tak piękne stanowisko społeczne, i mający niemały wpływ w swojém stronnictwie wszechpotężném, chciał się podjąć tego zadania, zaiste położyłby tém stokroć większe zasługi około dobra powszechnego, niż gdyby ogłosił jeszcze tysiąc równie słabych i bezkrwistych broszur, jak jego ostatnia p. t. „Próby rozstroju“.

Józef Rogosz.





KWESTYA MIESZKAŃ W WARSZAWIE

V. Co zrobiono dla poprawy u nas i co zrobić należy?

Rozporządzenia administracyjne.—Postanowienia księcia Namiestnika z lat 1816, 1817 i 1818 r.—przepisy z r. 1820—reskrypt z r. 1826—postanowienie Rady administracyjnéj z r. 1858—komitet do planu regulacyjnego Warszawy z r. 1856, skutki jego działalności—podkomitet obywatelski z r. 1879—kanalizacya.—Działalność społeczeństwa: spółka budowy domów dla rzemieślników i robotników z r. 1862 i jéj wady—projekt towarzystwa budowlanego warszawskiego z r. 1873.—Ślady w literaturze.—Oczywiste zaniedbanie sprawy. Środki zaradcze: potrzeba rewizyi przepisów policyi budowniczéj—potrzeba oddzielnych organów do kontroli mieszkań—projekt dwóch towarzystw: jednego dla budowy, drugiego dla polepszenia złych mieszkań—potrzeba spółek i przedsiębierstw prywatnych. Dwa najbliższe środki: ankieta stanu mieszkań jako dalszy ciąg czynności spisu jednodniowego z r. 1882—i rubryka specyalna w prasie.

Z poprzedniego przedstawienia okazuje się, że sprawa mieszkań dla klas biédniejszych ogarnęła cały zachód, że tam powszechnie nad nią się zastanawiają i pożyteczne myśli w czyn wprowadzają. A my? co zrobiliśmy na tém polu?

Zbyt pocieszającéj na to pytanie odpowiedzi nikt się zapewne nie będzie spodziewał. Ani w dziedzinie ustawodawczéj, ani w sferze samoistnéj działalności społecznéj o sprawie téj nie słychać, a panująca cisza nie licuje z potrzebą chwili i niebezpieczeństwem grożącego zła. Jakkolwiek bądź jest, z naturalnego obowiązku rachowania się ściśle z tém, co własnych spraw dotyczy, niech mi wolno będzie zaznaczyć wszelkie objawy, chociażby najmniéj wydatne, byle cokolwiek związane z kwestyą, o któréj mowa. Zacznijmy od rozporządzeń natury administracyjnéj. Wertując przepisy budownicze, od czasu powstania królestwa kongresowego, nie znajdujemy żadnego postanowienia odnoszącego się wprost do mieszkań i kwestyę tę wyjaśniającego. Nie brak przecież przepisów dotyczących warunków zamieszkania w miastach wogóle, a w Warszawie w szczególności, to jest takich przepisów, które pośrednio

ze sprawą łączyć się mogą. Działalność w téj mierze rozpoczęto zaraz po ustaleniu się stosunków w kraju, jak tego dowodem postanowienia księcia Namiestnika z lat 1816 i 1817. Dla uporządkowania i podniesienia Warszawy jako téż przedmieścia Pragi, postanowieniem z d. 3 lutego 1816 r. (1), zakazano całkiem wznoszenia w obrębie miasta nowych domów drewnianych, a nawet reparowania dawniejszych, aby tym sposobem dojść prędzéj do bezpieczniejszych i trwalszych budowli murowanych. Zwrócono téż uwagę na opuszczone domy murowane, które szpeciły ulice i stawały się schronieniem dla włóczęgów. W celu zapobieżenia podobnym nieprzyzwoitościom, jak się wyraża tekst odnośnego przepisu, postanowienie z d. 16 kwietnia 1816 r. (2) zaleciło zobowiązać właścicieli, aby takie domy należycie wyreparowali i mieszkalnemi uczynili, pod rygorem sprzedaży domów przez licytacyą w wypadku niewykonania rozkazu w ciągu lat trzech od daty wydania tego prawa. Przepis rzeczony odnosił się do wszelkich opuszczonych nieruchomości, chociażby właściciele ich pozostawali pod kuratelą, lub zgoła byli nieobecni i niewiadomi z pobytu, co w owym czasie dosyć często się zdarzało. Tęż samę zasadę rozciągnięto postanowieniem z d. 27 maja 1817 r. (3) do domów, grożących zawaleniem. W myśl tego prawa po stwierdzeniu przez stosowny protokół władzy administracyjnéj grożącego niebezpieczeństwa, wzywano właścicieli nieruchomości do niezwłocznego naprawiania, jeżeli to było jeszcze możliwe, a częściéj do niezwłocznego rozebrania budynku z terminem niedłuższym nad jeden tydzień dla obecnych, a dwa tygodnie dla nieobecnych posiadaczy. W razie niezastosowania się do rozporządzenia władzy, po upływie powyższego terminu, władza z urzędu rozporządzić mogła rozebranie i sprzedaż materyałów przez licytacyę, strącając sobie nadto z osiągniętéj ceny koszta dokonanéj rozbiórki.

Postanowienie to odnosiło się do wszystkich miast w kraju. Jeszcze ostrzejszy charakter nosiło inne postanowienie, wydane w rok późniéj, mianowicie d. 19 czerwca 1818 r., a dotyczące placów pustych (4) po miastach. Na zasadzie tego postanowienia zobowiązywano właścicieli do wystawiania na tych placach domów, z terminem lat trzech dla miast wojewódzkich i obwodowych, a lat

---

(1) Zbiór postanowień administracyjnych. Wydział spraw wewnętrznych. Część IV, tom 2 str. 9.

(2) Zbiór tychże przepisów cz. V. Zarząd gospodarczy m. Warszawy. Tom 2 str. 257.

(3) Tamże część I. Gospodarstwo miejskie. Tom 2 str. 329.

(4) Tamże część I. Tom 2 str. 335.

czterech dla wszystkich innych. Sankcyą tego prawa była również przymusowa sprzedaż przez licytacyą pustego placu po upływie wskazanego powyżéj terminu, przyczém każdy przystępujący do nabycia musiał składać deklaracyą, że plac zabuduje, inaczéj do licytacyi przypuszczony być nie mógł. Tak w tym jak i w poprzednich wypadkach szacunek osiągnięty ze sprzedaży oddawano właścicielowi, lub składano do depozytu sądowego, jeżeli zachodziły jakiekolwiek kwestye.

Dodać trzeba, że zatwierdzone w d. 30 września 1820 r. przez księcia Namiestnika Zajączka ogólne przepisy policyi budowniczéj dla miast (1) ograniczają znacznie wznoszenie domów drewnianych, zastrzegają wznoszenie na rynkach miast większych domów przynajmniéj jednopiętrowych itp.

Wracając do gospodarstwa saméj Warszawy, wspomniéć jeszcze należy o reskrypcie komisyi spraw wewnętrznych i policyi z d. 16 września 1826 r. (2), obejmującym zakaz wznoszenia w stolicy domów parterowych, z zastrzeżeniem, że jedynie w ulicach drugorzędnych powstawać mogą budowle parterowe murowane, byle mury i fundamenta pozwalały na dobudowanie w przyszłości przynajmniéj jednego piętra.

Jeżeli te rozporządzenia wydawano z wyłączną myślą uporządkowania miast, a przedewszystkiém Warszawy, to w późniejszym czasie w uzupełnieniu takowych przyszły inne, które poniekąd potrącały o kwestyą mieszkań.

Z tego rodzaju postanowień zaznaczyć można wydane z Najwyższego upoważnienia postanowienie Rady Administracyjnéj z d. 8 stycznia 1858 r. (3) w przedmiocie dozwolenia budowy domów drewnianych w okolicy podokopowéj Warszawy, oraz przygotowaną w tym duchu instrukcyą z d. 28 kwietnia 1858 r. (4).

---

(1) Tamże część I. Tom 2, str, 339.

(2) Tamże część V. Tom 2, str. 261.

(3) Tamże część V. Tom 2, str. 281.

(4) Tamże str. 291. Wszystkie przytoczone przepisy obowiązują u nas do obecnéj pory, lecz od czasu nowego urządzenia zarządu gospodarczego m. Warszawy z r. 1870 w miejsce powyższych przepisów, zaczęto stosować odnośne przepisy ustawy budowniczéj dla Cesarstwa, które wcale do kraju wprowadzone nie zostały. Dopiéro Senat postanowieniem Ogólnego Zebrania departamentów pierwszego i kasacyjnych z r. 1884 kwestyę tę rozwiązał, wyjaśniając, że poddanie wydziałów służby budowniczéj pod zwierzchnictwo ministeryum spraw wewnętrznych w Petersburgu, nie zniosło wcale przepisów policyi budowniczéj Królestwa Polskiego. (Zbiór wyroków ogólnego zebrania z r. 1884 Nr. 10). Pomyłka powstała skutkiem niejasnéj redakcyi jednego z artykułów urządzenia gospodarczego m. Warszawy (art. II, ustęp 2. Dziennik Praw. Tom 70, str. 263) i w następstwie tej pomyłki przez lat 14 nie stosowano istniejących praw. Na

Przywiedzione postanowienie stanowi odstępstwo od dawniéj wydanego prawa z r. 1816, a w motywach przytoczono, że ma ono na celu zwiększenie liczby dogodnych i tańszych pomieszkań dla mniéj zamożnéj ludności (1). We wspomnianéj instrukcyi określono warunki i zasady budowy, przyczém zakazano stanowczo w domach drewnianych mieszkań poddasznych.

To ostatnie zastrzeżenie, chociaż w życiu zbyt często obchodzone, zasługiwało na uznanie. Natomiast trudno uważać za postęp zmianę zakazu budowania w Warszawie domów drewnianych, zwłaszcza w lat 40 przeszło po wydaniu takiego rozporządzenia. Nie zwrócono uwagi, że rozwiązanie kwestyi tanich mieszkań zależy od całkiem innych okoliczności, i że najmniéj znaczną w téj mierze rolę gra okoliczność, czy domy w pewnéj stronie miasta z cegły czy z drzewa będą pobudowane. Donioślejszego znaczenia dla poprawy zewnętrznych warunków mieszkaniowych w Warszawie, było utworzenie pod przewodnictwem prezydenta miasta komitetu do sporządzenia planu regulacyjnego miasta Warszawy i przedmieścia Pragi, co nastąpiło w myśl decyzyi Namiestnika z d. 16 (28) grudnia 1853, na zasadzie reskryptu Komisyi Spraw Wewnętrznych i Duchownych z d. 16 (28) czerwca 1856 r. (2). Do uczestnictwa w komitecie w myśl decyzyi Namiestnika z d. 11 (23) czerwca 1859 r. (3) powołano także trzech obywateli miasta. Za wpływem i przy udziale komitetu sporządzono plany sytuacyjne Warszawy i Pragi, zaprojektowano założenie parku aleksandrowskiego na Pradze, zniesienie kilkunastu domów i założenie skweru na Krakowskiém Przedmieściu, otworzenie Placu Zielonego ze skwerem, skwery na Placu Ewangelickim i przed szpitalem ewangelickim, dwa place targowe w pobliżu okopów, obwałowanie Pragi od Wisły i bulwark drewniany wzdłuż Wisły od Solca, nareszcie nowe ulice jak Erywańską, Maryańską, hr. Berga i Włodzimierską. Przy otwieraniu tych ulic nieopatrznie wprawdzie znoszono wolne w mieście przestrzenie, jak to już na początku téj pracy zaznaczaliśmy, zawsze jednak w ogólnym bilansie działalność komitetu nie pozostała bez pożytku dla miasta.

---

właśem dodaję, że przepisy ustawy budowniczéj rosyjskiéj żadnych rozporządzeń, odnoszących się wprost do mieszkań, również nie zawierają.

(1) Dla Pragi zrobiono wyjątek wcześniéj jeszcze, bo przez postanowienie Rady Administracyjnéj z d. 29 Czerwca 1832 r. Tamże str. 267. Na niektórych odległych ulicach Warszawy z mocy postanowienia tejże Rady z d. 18 (30) Czerwca 1847 r. także mogły być wznoszone domy drewniane. Tamże str. 269.

(2) Tamże str. 231 i 233.

(3) Tamże str. 241.

Po zaprowadzeniu tych porządków nastąpiła kilkunastoletnia pauza, podczas której rozpoczął się gwałtowny wzrost ludności miasta, rodząc nowe potrzeby i prowadząc za sobą widmo groźnéj kwestyi mieszkań w całéj pełni.

Z późniejszych faktów wspomniéć należy o wchodzącéj pomału w życie kanalizacyi, jako objawie niepomiernéj dla miasta wagi (1). Reasumując wszystko, wypływa, że rozporządzenia administracyjne kwestyi mieszkań u nas nie rozwiązały, a nawet prawie, że jéj nie dotykały.

Nie posiadamy téż żadnych organów ani do badania stanu mieszkań, ani do rozstrzygania powstających wątpliwości, ani do jakiejkolwiek w kierunku złych mieszkań kontroli (2). Zwróćmy się teraz do działalności społecznéj, stanowiącéj najpotężniejszą dźwignię w kwestyi mieszkań, jak to już w poprzednim rozdziale zaznaczyłem. Rozglądając się naokoło siebie i sięgając nieco w przeszłość, nie spostrzegamy w naszém życiu żadnych towarzystw budowlanych, żadnych stowarzyszeń robotniczych, które gdzieindziéj tak wiele się przyczyniają do praktycznego rozwiązania sprawy. Na szarém tle téj bezczynności widnieje jeden dodatni fakt, mianowicie spółka budowy domów dla rzemieśników i robotników.

Kółko ludzi dobréj woli, za kontraktem z d. 7 lutego 1862 roku przed pisarzem aktowym Bryndzą, zawiązało rzeczoną spółkę, w ce-

---

(1) Już po wydrukowaniu piérwszéj części téj pracy wyszła broszura p. Blocha p. t. Głos w kwestyi kanalizacyi m. Warszawy. Autor, stanąwszy na gruncie interesu materyalnego właścicieli domów, przemawia za ograniczeniem kanalizacyi do przyjmowania ścieków, bez obowiązkowego spławiania ekskrementów. W wywodach swoich autor zachodzi tak daleko, że stawia znak zapytania nad szkodliwością parowania nieczystości, przywodząc różnorodne opinie piérwszorzędnych badaczy, zarówno jak i zwyczajnych profanów, naprzykład niemających chyba pretensyi do naukowych studyów obywateli miasta Warszawy. Czy końcowy wywód autora jest słuszny, nie chcę przesądzać, ale wątpię, czy taką drogą dowodzenia autor mógł wielu ludzi przekonać. Obok tych śmiałych wycieczek w tajniki nauki, razi w książce zupełny brak wyjaśnień ekonomicznéj natury. Autor twierdzi, że właściciele domów, w razie przyjęcia zasady przymusowego kanalizowania fekalii, zostaną zrujnowani, ale na poparcie tego nie przytacza żadnych szczegółowych danych, ani co do wartości nieruchomości, ani co do pobieranych dochodów, ani wreszcie co do leżących na nieruchomościach ciężarów. Daléj, autor unika rozbioru środków, przy pomocy których możnaby ułatwić obywatelom wszechstronną kanalizacyę, zapewniając ulgi a choćby i zwolnienia w drodze wyjątkowéj. Nakoniec, autor pomija zupełném milczeniem prawo ekonomiczne, wedle którego koszta produkcyi ostatecznie spadają na konsumenta. I w téj sprawie bez udziału lokatorów rzecz nie przejdzie, a kwestya nakładów w rezultacie zredukować się może do kwestyi awansów na kanalizacyę.

(2) W ostatnich latach funkcyonują w Warszawie komisye sanitarne, przy udziale lekarzy, komisye te przecież zajmują się sprawdzaniem ogólnego stanu sanitarnego nieruchomości, ale nie wkraczają w zakres mieszkań.

lu udogodnienia i uczynienia tańszemi mieszkań dla biedniejszéj klasy w Warszawie, przy zapewnieniu spólnikom umiarkowanego procentu. Każdy ze spólników wniósł udział w kwocie rs. 3000, poczém dodatkowo w r. 1864 spólnicy dołożyli po rs. 450, co podniosło cyfrę udziału do rs. 3450. Że zaś spólników jest 27, zebrano zatém kapitał rs. 93150.

Według osnowy kontraktu zamierzono złożyć rs. 90000, a powiększywszy ten kapitał drogą pożyczkl do rs. 150000, z tą ostatnią cyfrą rozwijać działalność w kierunku przez kontrakt spółkowy wskazanym.

Wkrótce po zawiązaniu spółka nabyła za niską stosunkowo cenę rs. 7,500 przy zbiegu ulic Czerniakowskiéj i Szaréj obszerny plac około 42000 łok. kwadr., który na siedm części został podzielony. Jednę z tych części w dwóch kawałkach spółka odprzedała w r. 1883 za cenę rs. 12000, pozostawiając przy sobie resztę. Na dwóch wybudowano dwa duże domy, jeden w r. 1864, drugi w r. 1880, cztery inne place nie zostały dotąd zabudowane i świecą ciągle pustkami. Niezależnie od tego spółka w r. 1862 nabyła jeszcze inny plac przy ulicy Pańskiéj, a wybudowawszy na nim dom, sprzedała go w r. 1878 z zarobkiem rs. 10.321 kop. 22¼, o czém protokół spółki z r. 1879 przekonywa.

Wreszcie w tymże 1879 r. spółka nabyła jeszcze plac przy ulicy Siennéj, na którym również dom został wybudowany, i w posiadaniu spółki pozostaje.

Tym sposobem spółka posiada obecnie trzy domy i cztery place, a przestrzeń gruntu tak pod domami jak i pod placami, do spółki należącego, wynosi blisko 43.500 łok kw. Na posiadane trzy domy spólnicy zaciągali pożyczki w Towarzystwie kredytowem m. Warszawy w ogólnéj kwocie rs. 44.500, któréj jednak nie użyli na rozszerzenie działalności spółkowéj, jakby to z litery kontraktu należało, lecz przeciwnie fundusze z pożyczek dzielili pomiędzy sobą podnosili, i tym sposobem udziały swoje w znacznéj części wycofali. Dodajmy, że spółka daje co rok mniéj więcéj rs. 100 dochodu na udział, a jakkolwiek były lata bez żadnéj dywidendy, to znowu kiedy indziéj cyfra zysku rocznego znakomicie przewyższała kwotę rs. 100.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę te zyski i stan majątku spółkowego, którego wartość, choćby przez wzrost cen na place i domy, znakomicie się podniosła, to rzuca się w oczy odrazu, że strona ekonomiczna interesu spółkowego rozwinęła się pomyślnie, a nawet bardzo pomyślnie. Pomimo to, już w dorocznéj uchwale z r. 1879 spotykamy postanowienie zbycia głównego domu przy zbiegu ulicy

Szaréj i Czerniakowskiéj, daléj w r. 1884 spólnicy zdecydowali sprzedaż wszystkich nieruchomości, a świéżo na posiedzeniu z d. 1 marca 1889 r. postanowienie to powtórzyli. Ludzie, należący do spółki, znani są z najlepszych tendencyi, i o obojętność dla spraw ogólnych posądzać ich nie można, a przecież widocznie zniechęcili się. Zkąd pochodzi podobne zniechęcenie? Ażeby zrozumiéć to, należy wniknąć nieco głębiéj w samę sprawę i jéj stan rzeczywisty. Jakoż nie trudno będzie wykazać, że już przy zawiązaniu przedsięwzięcia, nie obeszło się bez błędów, wykonanie zaś nie było w zgodzie ani z pierwotną myślą założycieli, ani z istotnemi zadaniami spółki.

Znaleźli się uczciwi ludzie, co dali chętnie fundusze, ale zabrakło umiejętnych rąk do energicznego i wytrwałego prowadzenia rzeczy, która uległa do pewnego stopnia spaczeniu.

Pierwszym błędem było zamknięcie działalności spółki, z góry, przez kontrakt, w sferze 150,000 rs., licząc w to i pożyczki z zewnątrz. Jakkolwiek z natury rzeczy kontrakt musiał wskazywać, kto i ile do spółki wnosi, to przecież szranki mogły pozostać otwarte dla nowych spólników i nowych kapitałów, o ileby powodzenie do rozszerzenia obrotów zachęcać mogło. Zamknięta w zaczarowaném kole ludzi i środków, tych ostatnich stosunkowo zbyt małych, spółka skazaną była, że tak powiem, od chwili swego założenia na żywot liliputa, który w swym wzroście podnieść się wyżéj nie może. Stała się téż rzecz dziwna, a przecież naturalna, że pomimo oczywistego powodzenia, spółka nawet skromnie zakreślonych granic nie wyczerpała, a zmniejszając fundusze zamiast je powiększać, możliwego rozwoju dobrowolnie się zrzekła. Drugim i ważniejszym daleko błędem był brak odpowiedniéj administracyi. Ani w kontrakcie, ani późniéj przez cały ciąg dwudziestosiedmioletniego istnienia nie pomyślano o tém, że przedsięwzięcie tego rodzaju wymaga specyalnéj obsługi, połączonéj z jakąś moralną opieką nad biednemi lokatorami i wymagającéj zastosowania odpowiednich sił i osób. Jeżeli pod jakim względem, to właśnie pod tym i jedynie pod tym, sprawa ta nie może się obejść bez dobroczynnéj ręki w kierunku nagięcia się do istotnych potrzeb ludzi niezamożnych, tak co do sposobu płacenia komornego, jak i co do utrzymania mieszkań w odpowiednim stanie.

Zwyczajna gospodarka przez rządcę téj dokładności nie zapewni i zapewnić nie może, a za najlepszy tego dowód niechaj posłuży właśnie spółka, o któréj mowa.

I cóż tam widzimy? Te same brudy, a przynajmniéj nie wiele mniejsze, niż u pierwszego lepszego prywatnego właściciela, ża-

dnych udogodnień, odświeżenia czy odmalowania izby lokator doprosić się nie może. System umów o komorne, jak wszędzie, oparty na rachunku miesięcznym, chociaż jeżeli gdzie, to w tego rodzaju przedsiębiorstwie należało zastosować terminy tygodniowe, zgodnie ze sposobem pobierania zarobków. Na placu należącym do spółki, tuż obok dwóch kamienic, na rogu Czerniakowskiéj i Szaréj znajduje się cuchnąca sadzawka, zatruwająca do koła powietrze. Jeszcze na posiedzeniu spólników z r. 1878 była mowa o zasypaniu tego rozsadnika miazmatów, a jednak do téj pory sadzawka spokojnie istnieje i szkody dla zdrowia przynosić nie przestaje. Wprost placów spółki, z drugiéj strony ulicy Szaréj leżą place innego właściciela nieoparkanione, wstrętne zbiorowiska błota i śmieci; place te należą do osób rodziny arystokratycznéj, które o stanie rzeczy zapewne wcale nie wiedzą. Przypuścić można, że przy odpowiedniém porozumieniu się z właścicielami tych placów możnaby położyć tamę złemu i zaprowadzić jakiś porządek. Gdy tymczasem obecne warunki nadają całéj okolicy, pomimo bezpośredniego sąsiedztwa z tyłami pięknego parku Frascati, bardzo przykry widok. Jeden tylko prawdziwie pożyteczny krok administracyi spółkowéj zaznaczyć należy, a mianowicie wyjednanie u magistratu wybrukowania ulicy Szaréj w r. 1878, na co spółka udzieliła nawet miastu chwilową zaliczkę. Na ogół jednak biorąc, administracya spółki nie umiała postawić przedsiębiorstwa na właściwéj stopie. I nic dziwnego, że taki stan rzeczy zniechęca ożywionych inną myślą założycieli. Przedsiębiorstwo to, jako zbyt drobne pod względem pieniężnym, dla ludzi zamożnych stanowi poprostu kulę u nogi. Gdyby ono jednak uległo większemu rozwinięciu, przypuścić można, że budziłoby więcéj zajęcia wśród samych założycieli, którym zapewne nie zyski, lecz pożytek ogólny leżał w téj sprawie na sercu. Z drugiéj strony jednak spółka ta zasługuje na podznaczenie nietylko jako objaw uczciwych usiłowań, ale eksperyment ekonomiczny na gruncie własnym dokonany. Bądź co bądź działalność spółki stwierdziła tę prawdę, zdobytą już w drodze doświadczenia w innych krajach, że budowa domów dla biedniejszych warstw może się opłacić i przedstawia ze stanowiska finansowego dobry interes. Błędy w szczegółach są zawsze do sprostowania, wykazanie zaś, że przedsiębiorstwa tego rodzaju mają u nas prawo bytu pod względem pieniężnym, posiada niepomierną dla przyszłości wartość. Uzbrojone takiém doświadczeniem społeczeństwo chętniéj i łatwiéj może puścić się na drogę nowych eksperymentów, bez obaw, jakie towarzyszą rzeczom nieznanym i niezbadanym.

Z kolei wspomnieć tu muszę jeszcze o projekcie towarzystwa budowlanego warszawskiego z r. 1873.

Za inicyatywą dwóch budowniczych powstała myśl założenia towarzystwa dla wykonywania rozmaitego rodzaju robót budowlanych w Warszawie i gubernii Warszawskiéj. Przygotowano stosowną ustawę, która pozyskała zatwierdzenie rządu 30 marca 1873 r. Ustawę tę znaleźć można wydrukowaną w całéj rozciągłości w „Ekonomiście“ z r. 1873 (zesz. VI za m. czerwiec). Wedle paragrafu drugiego ustawy, działalność towarzystwa miała obejmować najróżnorodniejsze czynności, jako to: 1) nabywanie placów i domów; 2) budowanie na własny rachunek lub na zlecenie; 3) rozbiórkę starych domów; 4) urządzanie targów, bazarów, ogrodów, parków, kanałów i wodociągów; 5) sprzedaż nieruchomości, zamianę, wydzierżawianie całych posesyi i wynajmowanie pojedyńczych lokali; 6) nabywanie, dzierżawę i urządzanie zakładów, dostarczających materyałów budowlanych; 7) zarządzanie domami ze zlecenia; 8) pośrednictwo przy kupnie i sprzedaży nieruchomości miejskich. Jak widać z powyższego wyszczególnienia założyciele pragnęli rozwinąć jakąś szeroką działalność spekulacyjną, nie wyłączając także i wynajmu lokali. Jednakże kwestyi mieszkań dla niezamożnych ustawa bezpośrednio wcale nie poruszała. Towarzystwo do skutku nie doszło. Ustawa wymagała zapisu wysokiéj ilości akcyi w ciągu sześciu miesięcy, pod rygorem rozwiązania, gdy więc zapisy nie dosięgły wskazanéj cyfry w powyższym terminie, rzecz cała upadła, a późniéj w innéj drodze podnoszona wcale nie była.

Oto wszystko, co możemy o działalności naszéj na polu kwestyi mieszkań powiedziéć (1), gdy zaś rzecz cała redukuje się do jednego słabego w wykonaniu objawu, rola sprawozdawcy staje się doprawdy przykrą.

W literaturze sprawa nie przedstawia się lepiéj.

Pierwszy początek dała „Biblioteka Warszawska“, drukując w r. 1849, rozprawkę tłómaczoną z francuskiego o mieszkaniach dla klasy robotniczéj. Czy i o ile prasa peryodyczna podnosiła tę kwestyę, trudno powiedzieć, o ile pamiętam; kiedyś „Przegląd Tygodniowy“ coś w tym przedmiocie drukował, to pewna przecież, że luźne artykuły, jeżeli były, nie pozostawiły żadnego po sobie śladu. Po przejrzeniu zaś bibliografii znalazłem zaledwie dwie broszury, a pierwszą stanowi odczyt dra Lettego traktujący o mieszka-

(1) Pochlebniéj mogłaby wyglądać wzmianka o urządzeniu wzorowych mieszkań przez niektórych przemysłowców dla swoich robotników. Że wspomnę pp. Hordliczków, pp. Temlera i Szwedego i innych. Tego rodzaju pomoc w kierunku mieszkań nosi specyficzny charakter, i nie wchodziła w zakres obecnéj pracy. Zamilczałem téż o niéj, mówiąc o stosunkach za granicą, gdzie w tym kierunku dosyć dużo, zwłaszcza we Francyi, zrobiono.

niach dla robotników, pod tytułem: Kwestya mieszkań, wydany w tłómaczeniu polskiém przez redakcyą „Przeglądu Tygodniowego“ w zbiorze Wiedzy w r. 1868, drugą zaś książeczka oryginalna, wydana we Lwowie w r. 1888 z okazyi zjazdu techników p. t. Wady i ulepszenia naszych pomieszkań. Praca ta rozpatruje kwestyą mieszkań poważnie, ale głównie ze stanowiska technicznego.

Ubóstwo to jest niewymownym dowodem naszéj apatyi. Że nic nie robimy, to już mniejsza, ale że zgoła nad kwestyą nie zastanawiamy się, a co zatém idzie, wcale kwestyi nie rozumiemy, tego niczém usprawiedliwić nie można.

Biéda się rozpanosza, tysiące ludzi umiéra przedwczesną śmiercią, choroby się gnieżdżą, niebezpieczeństwa moralne rosną, fakty codzienne na każdym kroku o tém przekonywają, a my przechodzimy nad zjawiskami do porządku dziennego. Dowodów zupełnego zapoznania sprawy nie potrzebowałbym szukać daleko. Dość przytoczyć, że tak ciekawa epoka, jak ta, która miała miejsce pomiędzy 1870 a 1880 rokiem, epoka niesłychanego wstrząśnienia cen na mieszkania, nie wywołała ani w literaturze, ani w życiu dyskusyi i ruchu, pozostawiając nas daléj w błogiém uśpieniu. Szerokie rozprawy w literaturach innych narodów również nie znalazły u nas odgłosu, odbiły się od nas, jakby bez echa. I czémże my się zajmujemy, jeżeli tego rodzaju kwestye pozostają w zupełnéj poniewierce? Pochłaniamy sprawozdania o wielkiéj polityce, gonimy za wielkiemi problematami wieku, karmią nas tysiącznemi rzeczami, które niczego nie uczą, a zapominamy o sprawach najbliższych. Przypomina to astronomów zapatrzonych w niebo, którzy nie wiedzą o tém, że koszula im się podarła.

W istocie, znamy taktykę Salisbury'ego lub Floquet'a, wiemy co robi awanturnik Boulanger, na jakim koniu córka jego jedzie do ślubu, badamy na wylot miłostki arcyksięcia Rudolfa, za mało jednak okazujemy ochoty do poznania siebie samych, swoich braków i ułomności, swoich potrzeb i niedostatków.

Jeżeli już nareszcie zejdziemy na tor miejscowy, to zawsze i jedynie zwracamy się ku wielkim rzeczom i wielkim ludziom. Spadły ceny cukru, bogaci akcyonaryusze stracili wysokie dywidenty, ha! wielki wypadek! zaczynamy wiele pisać i mówić, rozprawiamy w jaki sposób dojść do powiększenia ceny tego produktu. Że zaś biedniejsza ludność dostaje cukier taniéj, tego się w rachunek nie bierze. Municypalność żąda od właścicieli domów kanalizowania nieruchomości, parę tysięcy właścicieli obawia się znacznego wydatku, znowu wielki wypadek! znowu rozprawy, ba-

dania pseudo-naukowe, byle uwolnić się od ciężaru. Że zaś przed kilku laty ceny mieszkań zgnębiły byt trzystu tysięcy biedniejszych mieszkańców, o tém milczy się najzupełniéj!

Ale wróćmy do przedmiotu. Brak mieszkań i drogość ze wszelkiemi złemi skutkami ma miejsce, ludność uboższa czuje to, ugina się pod ciężarem upośledzenia; co więc robić?

I tutaj wracamy do postawionego poprzednio pytania. Środki mogą być rozmaite, chociaż nie wszystkie są dla nas dostępne.

Przedewszystkiém mógłbym zwrócić uwagę na potrzebę rewizyi przepisów policyi budowniczéj i stosowne uzupełnienie w kierunku mieszkań i ich zdrowotności, jak również na potrzebę organów dla rozwinięcia czujności i kontroli nad mieszkaniami, z odpowiedniemi atrybucyami i przy udziale odpowiednich sił obywatelskich, na wzór stosunków, gdzieindziéj ustalonych.

Nie sięgając przecież zbyt daleko i pomnąc, że najskuteczniejszą ulgę, po nad prawa i przepisy, przynosi wewnętrzna społeczna pomoc, skierowana ku dobru uboższych, powinniśmy najprzód w tym kierunku szukać sposobów wyjścia, nie spuszczając z oka téj zasadniczéj prawdy, że poprawa nie może nastąpić bez powiększenia ilości mieszkań, to jest bez podniesienia zaofiarowania odnośnie do zapotrzebowania.

Musimy tu zrobić już z góry jeszcze jedno zastrzeżenie.

Używając wyrazu pomoc, nie mamy na myśli żadnéj dobroczynności w ścisłém znaczeniu tego wyrazu, żadnych darowizn i ofiar w kierunku wyrzucenia czegoś bezpowrotnie na rzecz innych. Rozumié się samo przez się, że o ile społeczność na drodze indywidualnych lub zbiorowych usiłowań przysporzy i polepszy w mieście mieszkania dla biedniejszych, o ile przez to wpłynie na poprawę ich bytu, działalność taka będzie błogą w skutkach, dobroczynną, jeżeli chcemy tak powiedziéć, ale nie idzie zatém, aby robić to darmo, aby dostarczać mieszkania bez zapłaty za nie.

W tym ostatnim sensie zrozumiana pomoc, w większości wypadków, nie byłaby pożądaną, mogłaby nawet być szkodliwą. Ludzie powinni sami myśléć o swych potrzebach i na potrzeby zarabiać. Darmocha znosi zapał do pracy i energię, zmniejsza ducha przedsiębiorczości, wyradza apatyą i fałszywe pretensye. Nie o takiéj pomocy więc możemy mówić, tylko o skierowaniu środków materyalnych na budowę domów dla niezamożnych i na ulepszenie ich mieszkań, za stosowném za to wynagrodzeniem.

Pierwszą w tym kierunku drogą jest założenie dwóch towarzystw budowlanych: jednego poświęconego wyszukiwaniu odpowiednich placów i budowaniu domów, drugiego dla zakupywania

domów w złym stanie, poprawiania ich i ulepszania znajdujących się w nich mieszkań. Ewentualnie, mogłoby jedno towarzystwo połączyć w sobie obadwa zadania. Potrzeba i pożyteczność podobnych instytucyi wobec tego, co się powyżéj powiedziało, nie wymaga dalszego usprawiedliwienia. Pole do działania znalazłoby się bardzo obszerne. Istnieją jeszcze znaczne przestrzenie na krańcach ulic, istnieją liczne place na Pradze, które dałyby się korzystnie zużytkować, a przy rozwinięciu i zapewnieniu uboższym łatwiejszéj komunikacyi tramwajowéj do punktów pracy i do środka miasta (1), wpłynęłoby się na rozrost miasta wszerz i wzdłuż i na rozlanie zaludnienia po większéj przestrzeni. Administracya domów z drobnemi lokalami łączy się z większemi kłopotami; aby koszta administracyi nie obciążały budżetu i nie wymagały podwyższenia stopy komornego, do udziału w téj pracy trzeba zaprosić szersze koła, a zwłaszcza swobodniejsze od pracy siły kobiece z warstw zamożniejszych.

Towarzystwa, przy względzie na upowszechnioną u nas wyższą stopę procentową, mogłyby regulować rachunki podług 6-cio procentowéj dywidendy, i przy dobréj administracyi dostarczyłyby jeszcze mieszkań stosunkowo bardzo tanich. Nie trzeba zapominać, że właściciele drobnych domków wyciągają ze swych biédnych lokatorów zyski większe, aniżeli ktokolwiek, i że oni to stanowią klasę wyzyskiwaczy, zarabiających po 10% i 15% od ceny swych realności. Jeżeli towarzystwa odrzucą na bok taki wyzysk, poprzestając na skromnym zarobku, będą w stanie ustanawiać tańsze komorne, które ze swéj strony, przyciągać zacznie lokatorów. Na lokatorach w tych warunkach nie zbraknie, zwłaszcza, gdy mieszkania choć cokolwiek wyróżnią się po nad panujące dzisiaj zaniedbanie. Ale może mi powiedzą, że przybytek mieszkań sprowadzi za sobą ich nadmiar, skutkiem którego liczne mieszkania pozostaną nie zajęte. Otóż tak być nie może.

Większa taniość pozwoli ludności biédniejszéj lepiéj się lokować, ta ludność zacznie zajmować więcéj przestrzeni, więcéj izb licząc na ogół, a przy zwiększoném zapotrzebowaniu pochłonięte zostanie łatwo większe zaofiarowanie. Nie dość na tém, z poprawą warunków zamieszkania łączy się podniesienie pracy i produkcyi, któréj rezultatem znowu jest poprawa bytu, lepsze życie i szersza konsumcya. Że zaś warstwy biédniejsze stanowią liczną masę,

---

(1) Zbyteczną rzeczą byłoby dowodzić, jak dalece istnieje potrzeba linii tramwajowych do okolic zamieszkałych przez ludzi niezamożnych. Tymczasem w Warszawie linię przez Dobrę, Solec, Czerniakowską dotąd wcale nie zostały zaprowadzone.

wszelka więc wśród nich zmiana w kierunku zwiększonéj konsumcyi, rodzi skutki zbyt znaczne, aby się nie miały odbić wyraźnie na większém zażądaniu wszelkich przedmiotów a więc i mieszkań (1).

Tu przewiduję nowy zarzut: skąd wziąć kapitały? Zarzut byłby niebezpieczny, gdyby chodziło na razie o wielkie miliony, bo skądże ich wziąć? Ale tego rodzaju przedsięwzięcia rozwijają się stopniowo. Można zacząć na razie z mniejszym kapitałem, można pozyskać pożyczkę od towarzystwa kredytowego, rozszerzając działalność stopniowo w miarę powodzenia. Gdy rzecz wejdzie w życie, własnym pędem przyciągać będzie nowe siły i środki pieniężne. Nie należy też spuszczać z uwagi pożytecznego ruchu, jakiby powstał, skutkiem zwiększonéj działalności budowlanéj. W konsekwencyi i ten ruch przyczyniłby się do ogólnego ożywienia, nie bez pewnego chociaż pośredniego ale pożytecznego skutku dla samych instytucyi (2). Współrzędnie powinna rozwinąć się działalność indywidualna i usiłowania jednostek. Świecące z daleka dobre przykłady, szlachetne czyny Miss Octavii Hill i jéj naśladowców, prawdopodobnie znajdą oddźwięk w społeczności, gdy tę kwestyą pozna i zacznie o niéj myśléć. Można więc robić sobie nadzieję, że powstaną prywatne spółki i przedsiębiorstwa i rozpoczną pożyteczną pod tym względem pracę. Na pierwszém zaś miejscu spodziewać się należy reformy istniejącéj spółki z r. 1862, o jakiéj była mowa, w kierunku większéj sprężystości i energii działania.

Zanim jednak cokolwiek na tych drogach się objawi, zwrócić należy uwagę na dwa inne najbliższe środki, które przedewszystkiém użyte być winny.

Pierwszym z nich jest przeprowadzenie szczegółowego badania stanu mieszkań biédniejszych. Badanie takie do pewnego stopnia stanowić może dalszy ciąg czynności przedsiębranéj w r. 1882, mianowicie spisu jednodniowego. Objęto już w pewne ramy cyfrowe ogólny stan mieszkań, potrzeba pójść daléj, aby wykryć dane szcze-

---

(1) Wiemy z początkowych rozdziałów téj pracy, że upośledzona w bycie mieszkaniowym ludność Warszawy zajmuje 73000 izb, otóż pytanie, co by było, gdyby ludność ta z jakichkolwiek powodów poprawiła swój byt i w następstwie zajęła mieszkania o 50% większe, dobierając na swe potrzeby jeszcze 36.500 izb? Stałby się naprawdę wielki wypadek! Zapotrzebowanie takiéj dodatkowéj ilości pokoi, wymagałoby powiększenia budowli mieszkalnych a więc i miasta o $1/6$ część, bo Warszawa cała posiada tylko 207.120 izb. A ile by w razie takiego wzrostu przybyło roboty dla mularzy, malarzy, stolarzy, wszelkiego rodzaju robotników i przedsiębiorców!

(2) Obawy co do funduszów powtarzają się prawie zawsze przy otwieraniu każdéj nowéj instytucyi. Z jaką to trwogą rodziły się nasze towarzystwa kredytowe, zwłaszcza prowincyonalne, a przecież na listy ich nie zabrakło nabywców!

gółowe co do przestrzeni i wewnętrznego urządzenia, oraz aby powiązać takowe ze statystyką chorób i śmiertelności, jak również ze statystyką moralności.

Tą samą drogą, na jakiéj dokonano spisu jednodniowego, należy zająć się i tą nową czynnością, zapraszając do jéj wykonania co najmniéj równie liczne siły, jak to miało miejsce w r. 1882, bo podobna praca tylko przy licznym udziale i pomocy ludzi dobréj woli może być przeprowadzona.

Drugim środkiem jest wprowadzenie w czasopismach stałéj rubryki, dla rozbiorów i dociekań w kwestyi mieszkań, a zarazem dla zbierania faktów życia codziennego z téj dziedziny.

Prasa zaspała sprawę—niech więc jéj choć późno przyzna należne miejsce i otworzy dyskusyą. Sądzę, że więcéj pożytku przyniesie, taka rubryka i praca nad nią, aniżeli konkursy na felietony i nowele, któremi społeczeństwo zostało już przeładowane.

Za ważnością sprawy przemawia wszystko i zarówno wzory zagraniczne, jak i obserwacya w łonie własnego społeczeństwa, zarówno poglądy uczonych jak i względy na własną przyszłość. Czas wielki zająć się kwestyą, któréj rozwiązanie stanowi warunek pożytecznego rozwoju i postępu.

Adolf Suligowski.





ABISYNIA

I JÉJ MIESZKAŃCY (*).

Gdy żeglarz, płynący po falach morza Czerwonego w bliskości wybrzeża palącéj Samhary, skieruje wzrok ku zachodniéj stronie horyzontu, oczom jego przedstawi się olbrzymia ściana skalista, która niby *fata morgana*, zdaje się wyrastać z równiny nadbrzeżnéj, owiana lekką zasłoną błękitnéj dali i nęci znużonego i spragnionego podróżnika obietnicą ożywczego chłodu, orzeźwiającéj zieleni i szumu kryształowych potoków. Jest to stroma, uwieńczona licznemi szczytami, wschodnia krawędź Abisynii, która tworzy niby olbrzymi bastyon wschodnio-afrykańskiéj wyżyny.

Kraina ta w obszerniejszém znaczeniu ciągnie się 5⁰ do 15⁰ szer. płn. wrzynając się ostrzem prostokątnego trójkąta między wybrzeże morza Czerwonego i dorzecze Nilu (do którego przeważnie należy). W ściślejszém jednak znaczeniu Abisynią nazywa się zwykle tylko północna część tego obszaru (krainy: Tigre na północy, Amhara we środku i Szoa na południu) do wąskiego działu wodnego między systematem Nilu (Abai) i oceanu Indyjskiego. Część ciągnąca się na południe od tego działu (krainy Kaffa i Enarea) stanowi już przejście do wyżyny wschodnio-równikowéj, od któréj

---

(*) Abisynia, kraina zawsze bardzo ciekawa dla geografa, zwróciła na siebie w ostatnich czasach ogólną uwagę kolonizacyjnemi zapędami Włochów, którzy zajęli port Massaua, awanturniczą wyprawę kozaka Aszynowa, nakoniec śmiercią króla abisyńskiego Jana, jaką poniósł w walkach z mahometanami Sudanu.

Podstawę do niniejszego szkicu geograficznego Abisynii dały nam następujące dzieła: R. Hartmann: Abyssynien und die übrigen Gebiete der Ostküste Afrikas, 1883. Petermann's Mitteilungen 1869: Die geographischen Ergebnisse der englischen Feldzuges in Abessinien. Revue des deux Mondes 1884: L'Abyssinie et son négus. E. Reclus Geographie Universelle t. X. J. Chavanne: Afrika im Lichte unserer Tage, 1881 i t. d.

dolina rzeki Juba, płynącéj do oceanu Indyjskiego, stanowi niezbyt wybitną granicę.

Abisynia jest wyżyną, któréj najwyższe szczyty (Ras Daszan, Abba Jared) sięgają prawie wysokości Mont Blancu, a któréj środkowe zagłębienie zajmuje jezioro Tsana (2000 m.). Wyżyna ta spada na wschód znaną już nam stromą, na 3000 m. wysoką ścianą ku zbudowanemu przez korale, niskiemu, pustynnemu wybrzeżu Samhary, w któréj piaskach giną spływające z wyżyny potoki; wybrzeże to ku południowi coraz bardziéj się rozszerza, w miarę jak krawędź wyżyny, biegnąca w kierunku południkowym, oddala się od ukośnie biegnącego wybrzeża morza. Na zachód wyżyna pochyla się zwolna za rzekami systematu Nilu (Abai z jeziorem Tsana, Takassie) ku stepowym równinom Sennaaru. Płynące wody pokrajały tę wyżynę, tę naturalną skalistą fortecę, głębokiemi dolinami, których materyał uniosły dla zbudowania żyznego Egiptu. Wskutek tego jednolita wyżyna zmieniła się na labirynt skał, forteca rozpadła się na oddzielne forty, piętrzące się tarasowato jeden nad drugim, w dzikim bezładzie, „niby rozburzone prace przedwiekowych Tytanów“. Abisyńczycy powiadają, że „Bóg, wyprowadzając ziemię z chaosu, zapomniał o Abisynii“. Skały te, kształtu piramid, graniastosłupów, walców, stożków, wyglądają to jak wieże kościołów, to jak piszczałki organów, to jak olbrzymie katedry gotyckie. Na płaskich zwykle szczytach tych skał, zwanych amba, wznoszą się często osady, klasztory i warownie (Debra Tabor, Magdala i t. d), do których dostać się można nieraz tylko przy pomocy sznura, drabiny lub wyrąbanych schodów skalistych. Wogóle Abisynia jest jedną z najniedostępniejszych krain na ziemi; niedziw téż, że pozostała ona niepodległą, mimo zdobywczych zapędów Egiptu od Faraonów do Kedywów; że pozostała, podobnie jak Czarnogóra, chrześciańską wyspą śród mahometańskiego morza, którego fale roztrącały się daremnie o jéj strome skaliste wybrzeża.

Dziko malownicza górska przyroda Abisynii zjednała jéj miano „afrykańskiéj Szwajcaryi“, jakkolwiek szczyty jéj podczas lata nie błyszczą w promieniach słońca srebrną oponą wiecznych śniegów, a do ich stóp niespływają „błękitną piersią“ lodowce-„delfiny“. Abisynia posiada jednak malownicze górskie jeziora, zapewne wypełnione wodą kratery wygasłych wulkanów.

Fundament wyżyny tworzą granity, gnejsy i łupki krystaliczne; na nim spoczywa żelazisty piaskowiec, przez który przebiły się w wielu miejscach skały wybuchowe (źródła gorące), szczególniéj bazalt, tworzący podobnie jak w Dekanie, rozległe pokrywy i dzielący się na prawidłowe słupy. W związku z wulkanizmem, miano-

wicie ze źródłami gorącemi, są, jak się zdaje, często w Abisynii napotykane drzewa skamieniałe: prawdopodobnie pod działaniem gorącéj wody drzewa te obumarły, a następnie, roztworzony w wodzie kwas krzemowy, przeniknął na podstawie włoskowatości przez włókna drzewne aż do wierzchołków.

Abisynia nie jest zupełnie pozbawiona skarbów mineralnych, szczególniéj obficie znajduje się żelazo, służące do wyrobu broni, oraz siarka (w kraterach wulkanu), któréj używają do wyrobu prochu. Samhara obfituje w sól, szczególniéj obficie osadza się ona w jeziorze Assal, leżącém wpobliżu zatoki Tedżura poniżéj poziomu morza: wskutek silnego parowania na powierzchni tego jeziora tworzy się skorupa solna na dwa cale gruba. Na wyżynie znajduje się sól kamienna.

Klimat Abisynii, jako krainy bardzo urozmaiconéj pod względem plastyki terenu, jest téż bardzo urozmaicony. Na niskiém wybrzeżu Samhary jest gorący, zapewne najgorętszy na ziemi: do portu Massaua możnaby z całą słusznością zastosować formę wyrażenia, używaną w różnych krajach Wschodu: „Allahu, mając Massauę, po co stwarzałeś piekło?“: średnia temperatura roku sięga tam $+ 35^{0}$ C. (u nas tylko $7^{1}/_{2}{}^{0}$ C.), niedziw téż, że nawet dość wytrwali na gorąco Włosi z utęschnieniem spoglądają z Massauy na chłodniejsze wyżyny Abisynii.

W samych górach, stosownie do różnych kondygnacyi kraju, spotykamy różny klimat i związane z nim życie roślinne i zwierzęce: po nad gorącą, lesistą krainą bawełny (a zarazem febry), rozesłaną u stóp wyżyny i w głębokich dolinach (Kuolla), wznoszą się piętrami krainy umiarkowane (woino dega), gdzie na niższych piętrach rozsiadły się najczęściéj rolnicze osady ludzkie, tonące w zieleni ogrodów; gdzie rosną olbrzymie sykomory, banany, drzewa cytrynowe, oliwne i t. d.; na wyższych piętrach rozścielają się zielone kobierce łąk alpejskich, tchnące wonią róż i jaśminów; jest to kraina pasterzy odzianych w skóry zwierząt, abisyńska Arkadya. Wyżéj wznosi się dzika kraina alpejskich szczytów (dega), gdzie w zimie panują już mrozy. Na góry Abisynii wkraczaja z równin okolicznych wielkie gróboskórne oraz lew, który w chłodniejszych okolicach porasta bujnym włosem; zwierzęta te nie przechodzą jednak zwykle po nad Kuolla i niższe piętro woino dega. Wyżéj bujają antylopy skalne i liczne ptaki drapieżne, które tutaj, jak wogóle na wschodzie, spełniają rolę policyi sanitarnéj, usuwając padlinę. Gwarne uczty tych ptaków dowodzą nam w sposób naoczny, że najwyższém prawém przyrody jest siła: zasiadają one zawsze we wzorowym porządku wedle wielkości i siły, niby wytworni goście przy etykietalnym stole magnata.

Abisynia leży w pasie deszczów letnich zenitalnych. Na dega a czasem i na woino dega pada grad i śnieg; na szczycie Ras Daszan ma on się podobno utrzymywać przez cały rok. Deszcze, jak wogóle w krajach gorących, są gwałtowne; wezbrane od nich górskie potoki zrządzają straszliwe spustoszenia: podmywają skały, spłókują ziemię rodzajną, unoszą lasy. Wszystko stacza się w szumiącą, spienioną otchłań wód, biada zwierzętom i ludziom zaskoczonym przez rozszalały żywioł. Masy mułu i rumowiska, osadzone przez takie dzikie potoki, zmieniają żyzne niwy i bujne pastwiska w pustynie. Wylewy obejmują nieraz wielkie obszary i przerywają komunikacye na tygodnie, a nawet miesiące. Całe obozy, rozłożone w suchych łożyskach rzek, giną nieraz zaskoczone przez wezbrany potok. Wiadomo, że już na równinach Sennaaru, nagle wezbrane w porze deszczów, potoki zrządzają straszne zniszczenia, o ileż straszniejsze być one muszą w krainie alpejskiéj, jak Abisynia.

Nie należy jednak zapominać, że to zniszczenie w jednėm miejscu jest zarodem życia dla drugiego: ze skał Abisynii rozkruszonych i uniesionych przez potoki został zbudowany Egipt, który już Herodot nazwał „darem rzeki".

W czasie suchéj pory roku mniejsze rzeki zupełnie wysychają; nawet dopływ Nilu, Takanie nie dosięga wtedy rzeki głównéj i rozpada się na łańcuch kałuż, w których niezbyt wygodnie ściśnięte, roją się zwierzęta wodne: ryby, żółwie, krokodyle i hipopotamy.

* * *

Pewniejsze historyczne wieści o Abisynii datują się dopiero od czasu Ptolemeusza III Euergetesa (247—222): wtedy na wybrzeżu Abisynii, na zachód dzisiejszéj zatoki Annesley leżało miasto portowe Adulis, które zakwitło handlem dzięki kolonistom greckim. Stąd galery handlowe przywoziły kość słoniową, rogi nosorożców, baty ze skóry hipopotamów itd. Wówczas w Abisynii nie tylko polowano na słonie, ale chwytano je żywe i tresowano do wojny; wówczas w północnéj części tego kraju, w dzisiejszéj krainie Tigre, powstało kwitnące państwo Axum, do którego przemknęła grecka kultura i które zawiązało ścisłe stosunki z południowo-zachodnią Arabią i rozprzestrzeniło tam swą władzę; wówczas ludność arabska zaczęła się dobrowolnie lub z musu przesiedlać do Abisynii. W pobliżu dzisiejszego miasta Axum napotykają się liczne pomniki, świadczące o dawnéj kulturze. Axum uległo zniszczeniu wskutek wojen, a może i trzęsienia ziemi.

W państwie tém rozpowszechniła się religia chrześciańska zaprowadzona około połowy czwartego wieku, przez dwóch rozbitków Frumencyusza i Aedizyusza; pierwszy z nich został mianowany przez patryarchę aleksandryjskiego arcybiskupem (abuna) Abisynii. Następnie Abisyńczycy przedsiębrali wyprawy do Arabii, o czém się przekonywamy z wyżéj wspomnianych pomników koło Axumu i z ksiąg historycznych; wyprawy te nie natrafiały na przeszkody wobec wązkości morza Czerwonego, szczególniéj w pobliżu cieśniny Bab el Mandeb i wobec wielkich zdolności żeglarskich, jakie dziś jeszcze spotykamy u rybackiéj ludności osiadłéj na wybrzeżu Abisynii. Wyprawy te sprowadziły za sobą pomieszanie się dwóch etnicznych elementów, murzyńskiego i semickiego w pobliżu cieśniny Bab el Mandeb; z Arabii przeszła téż do Abisynii religia żydowska, któréj abisyńscy wyznawcy, zwani Falasza, wzrosłszy w siłę, zapanowali na czas jakiś nad Abisynią; ale następnie chrześcianie znów odzyskali swe polityczne znaczenie.

W Szoa panuje do dziśdnia dynastya Salomona, reprezentowana przez inteligentnego króla Menileka; historya téj dynastyi jest nawpół mityczną: w Biblii czytamy, jak wiadomo, o pewnéj królowéj Saba, która odwiedziła Salomona; owocem ich miłości był Menilek. Hartmann sądzi, iż owa „królowa“ była to jakaś księżna abisyńska lub meroityjska. Menilek założył w Abisynii kolonią żydowską i dynastyę Salomona z tytułem królewskim (*negus*).

Ile historycznéj prawdy mieści się w tém całém podaniu, trudno rozstrzygnąć, to jednak pewna, że już w odległéj starożytności przeniknął do Abisynii judaizm. Musiało się to stać za panowania téj staréj dynastyi, która wyprowadza swój początek od Salomona. Władcy Szoy, używający tytułu królewskiego, wyprowadzają właśnie, jak już wspomnieliśmy, swój ród od Salomona i noszą często imię Menilek.

Około roku 1530 dom Salomona siedział téż w Gondar (Amhara) na tronie cesarskim czyli króla królów (*negus negesti*). W owym czasie pewien fanatyk mahometański, Mohammed Guranje zgromadził mahometańskie ludy i poprowadził je na chrześciańskie państwo Abisynii. Abisyńczycy zwrócili się o pomoc do kolonizujących wybrzeża Afryki Portugalczyków. Dzielny zastęp luzytański, w rodzaju towarzyszy Korteza lub Pizarra, zjawił się w Abisynii pod wodzą Doma Christovao da Gamy, zwyciężył tłumy mahometańskie i wypędził je z Abisynii. Tron Salomona został uratowany i Galaudies (Klaudyusz) zyskał godność *negusa negesti*. Jako nagrody żądali Portugalczycy ziemi oraz uznanie papieża za głowę kościoła abisyńskiego. Ale Galaudies odrzucił to żądanie i wygnał przyby-

łych jezuitów. Późniéj udało się jednak jezuitom zapuścić w Abisynii silne korzenie, rozpoczęły się prześladowania i walki religijne, ale w końcu (rok 1632) zostali oni po raz drugi wygnani.

Późniéj władza cesarza upadła. Namiestnicy w Szoa, Amhara i Tigre stali się niezależnymi władcami. Około roku 1760 Mikael, ras (tj. władca) Tigre, zamordował cesarza Joasa i osadzał kolejno jego krewnych na tronie w Gondar. Taka zabawka w manekinów z towarzyszeniem zdrad i rozlewu krwi ciągnęła się do najnowszych czasów. Ras Mikael w 1771 roku został zwyciężony przez jednego z gubernatorów (dedjas), Wend Bowesana; drugi gubernator, Kefla Yasus chciał się połączyć z pierwszym dla zamordowania Mikaela, nie znalazł jednak poparcia: Bowesan wypuścił Mikaela, który pobił Yasusa, wziął go do niewoli i kazał stracić. Następnie syn Mikaela, Wolda Selasie został rasem w Tigre. Po jego śmierci (1816) wielu pretendentów walczyło o tę godność, nakoniec posiadł ją ras Ubie, władca surowy, ale roztropny.

W Amharze od 1833 roku władał mężny intrygant ras Ali, który przez pewien czas trzymał cesarza Sagalu Dengela jakby w niewoli; nakoniec w porozumieniu z duchowieństwem zupełnie złożył go z tronu (1833 r.). Tron cesarski w Gondar pozostał pustym.

Namiestnicy Szoy, jak już wiadomo, wyemancypowali się od władzy centralnéj i utworzyli oddzielny tron. W roku 1811 na tron ten wstąpił mądry władca Sahela Selasie. Synowie tego króla, ras Ali i ras Ubie władali około 1855 roku Abisynią, gdy w tém pojawiła się tu nowa gwiazda w osobie Kasy, gubernatora Kuary. Kasa był dzieckiem ludzi ubogich, którzy jednak szczycili się pochodzeniem z krwi Salomona; po śmierci ojca, matka Kasy prowadziła handel znanym środkiem leczniczym kuso. Młody Kasa zaś wychowywał się w klasztorze, gdzie przykładał się z zapałem do nauki, ale gdy klasztor w zamieszkach wojny domowéj został zburzony, Kasa uszedł w góry, zebrał koło siebie gromadę śmiałków i rozpoczął wojnę domową, aby urzeczywistnić swój ambitny plan stania się panem Abisynii; plan ten podzielała i podsycała jego roztropna i energiczna żona, imieniem Tanawicz („ona jest piękna“), do któréj Kasa był tak przywiązany, że jeszcze w kilkanaście lat po jéj śmierci wylewał łzy na jéj wspomnienie. Stawszy się panem jednéj prowincyi, Kasa zaczął przedsiębrać śmiałe wyprawy w sąsiednie kraje mahometańskie, skąd uprowadzał bydło i niewolników. Wyprawy te przyniosły mu środki materyalne, a jego szalona odwaga zjednała mu mnóstwo zwolenników i pozwoliła urzeczywistnić am-

bitne plany. W zwycięskich bitwach pokonał on jednego po drugim władców oddzielnych krain Abisynii i rozkazał się koronować jako cesarz, *negus negesti*, pod imieniem Teodorosa II.

Wśród Abisyńczyków oddawna utrzymywało się podanie, że w tym rozdartym trapionym przez wojny wewnętrzne, kraju zjawi się jakiś niby mesyasz, który przywróci tronowi cesarskiemu dawny jego blask i zdobędzie na muzułmanach święte miasta Arabii. Teodoros umiał to podanie wyzyskać na swoję stronę; po koronacyi pociągnął przeciwko Szoy, któréj król Hailu Mulakut, najstarszy syn Sahela Selasiego, przegrał bitwę i utracił tron.

Teodoros stał się teraz jedynym władcą Abisynii. Roztropny, mężny, szalenie ambitny, surowy, ale sprawiedliwy, stał on się bożyszczem swego narodu; niestety jednak z czasem dał się unieść szałowi cezarów, stał się bezmyślnie okrutnym, wywołał reakcyą. Ta jego zmiana była w związku z jego życiem domowém. Za życia pierwszéj żony i pewien czas po jéj śmierci Teodoros prowadził życie bardzo surowe, nawet swym urzędnikom wzbraniał konkubinatu. W roku 1860 spotkał on pewnego dnia w kościele dziewczynę modlącą się gorąco do Matki Boskiéj; uderzony jéj pięknością i skromnością, zasięgnął o niéj wiadomości i dowiedział się, iż jest jedyną córką byłego władcy na Tigre, jego dawnego współzawodnika, którego pokonał i wtrącił do więzienia. Teodoros zażądał jéj ręki, ale został grzecznie odtrącony; nie należał on jednak do ludzi, którzy łatwo odstępują swych pragnień: położył za warunek uwolnienie ojca z więzienia; wówczas Waisero Terunisz („ty jesteś czysta") poświęciła się dla ojca i oddała rękę Teodorosowi bez miłości. Małżeństwo to nie było szczęśliwe; Waisero była dumna, patrzyła na swego męża z góry, jako na przywłaszczyciela, parweniusza, nie ukrywała braku miłości i szacunku. Gwałtowny Teodoros oddalił ją od siebie i wziął konkubiny; następnie oddał się pijaństwu, stał się okrutnym tyranem, mordercą. Dla utrzymania w posłuszeństwie niezadowolonych wassalów Teodoros powołał pod broń czwartą część mieszkańców swego państwa, na którą pozostałe trzy czwarte musiały pracować (i to z wyłączeniem bardzo licznego duchowieństwa). Uciskana ludność rolnicza zaczęła się burzyć, Teodoros dla wyżywienia swego wojska musiał przedsiębrać łupieskie wyprawy we własnym kraju. Rolnicy skryli się na niedostępne amby, cesarz zastawał wszędzie pustynie; środków żywności brakowało, głód, choroby i dezercya osłabiły i uszczupliły jego niezwyciężoną armią. Z resztkami jéj wykonał Teodoros niesłychanie utrudzający marsz po górach i schronił się przed swymi wassalami na niedostępną ambę Magdala.

Tymczasem wystąpił przeciw Teodorosowi, nowy, potężny wróg—Anglia. Teodoros oddawna z właściwym mu uporem układał plan politycznego i handlowego sojuszu z Anglią w celu zawojowania Egiptu i napisał w tym przedmiocie list do królowéj angielskiéj; rząd angielski jednak nie miał naówczas żadnego interesu występować wrogo przeciw Egiptowi; Teodoros więc długo czekał na odpowiedź, w końcu Anglicy odmówili współudziału. Dumny i rozdrażniony Teodoros rozkazał uwięzić konsula angielskiego, a nawet i nadzwyczajnego posła, wówczas Anglicy wypowiedzieli Teodorosowi wojnę i generał Napier, wylądowawszy z armią w zatoce Annesley, wkroczył do Abisynii i pociągnął ku Magdali. Gdy Anglicy stanęli u stóp téj amby, armia Teodorosa była już zupełnie zdezorganizowana. „Tam w górze na ciemnéj skale bazaltowéj, mówi Markham, znajdował się król tylko z 3000 zbrojnych w karabiny skałkowe i lontowe, gromadą zbrojną w dzidy i z kilku armatami stworzonemi przez jego potężną wolę, któremi jednak nikt nie umiał kierować; przybył on tu na krótko przed Anglikami po niewysłowionych trudach marszu, aby tu umrzéć. Gdy już najdzielniejsza część jego wojska była wybita przewagą broni, Teodoros podczas układów, napisał do wodza angielskiego te dumne słowa: „wojownik, co najsilniejszych mężów kołysał na ręku jak dzieci, nie zniesie nigdy, ażeby był kołysany przez innych“. Teodoros, mówi daléj Markham, „był za dumny, aby jak Abd el Kader lub Szamil przyjąć łaskę zwycięzcy i swe barbarzyńskie, ale bohaterskie życie zakończyć w złoconém więzieniu, jako interesujące trofeum schlebiać narodowéj dumie Anglików; gdy więc już wszyscy jego towarzysze opuścili go, lub zginęli, odebrał sobie życie wystrzałem z pistoletu. Wołał sobie zadać śmierć, niż żyć w poniżeniu i pogardzie. Zginął jak bohater“.

Tak skończył człowiek, który był jedném z najważniejszych zjawisk w nowéj historyi Afryki. „Przez swe własne zdolności, mówi Markham, bez pomocy z zewnątrz doszedł on do władzy swą szaloną odwagą i militarnym talentem, ścieląc wszystko przed sobą. W początkach swego panowania kierowany był wzniosłym i szlachetnym celem (zgnieceniem mahometanizmu), lecz nieumiejętność rządzenia i szalona duma doprowadziły go do zguby. Duma ta rosła w miarę jak napotykała opór, aż na koniec doszła prawie do szaleństwa, które się wyraziło w bezmyślnych okrucieństwach i mordach. Ale nawet pośród tych wstrętnych czynów miał Teodoros przebłyski szlachetności: nie znał co to bojaźń ludzi: jego najniebezpieczniejsi wrogowie, gdy wpadli mu w ręce, najczęściéj nie ponosili śmierci, lecz byli ułaskawieni“. „Porywany wrażeniem chwili, mówi pewien europejczyk, który służył na dworze Teodoro-

sa, z temperamentem namiętnym, przechodził on zarówno w gniewie jak i dobroci wszelkie granice praw boskich i ludzkich. Jego niepohamowana ambicya i duma nie pozwalała mu przyznać się do winy, upokorzyć się, lub posłuchać czyjéjś rady. Czy karał czy nagradzał, czynił to bez wszelkiéj miary. Miał on wielką pamięć, umysł żywy, sąd trafny i szybki. Dwie siły: zła i dobra, walczyły w jego duszy i w miarę jak zwyciężała jedna, lub druga, stawał on się bohaterem, lub dzikiém zwierzęciem".

Teodoros więc był mieszaniną złych i dobrych popędów, mających potęgę namiętności; był typem swego narodu. Dla tego dłużéj zatrzymaliśmy się nad jego charakterystyką.

Anglicy nie dali się omamić tylko przypadkowo łatwém zwycięstwem; wiedzieli, jak trudne jest utrzymanie tego górzystego kraju i jego wojowniczych mieszkańców, opuścili więc Abisynią. Syn pewnego abisyńskiego gubernatora, który poczęści wskutek sprytu, po części wskutek osobistéj niechęci do Teodorosa, trzymał stronę Anglików, imieniem Kasai, opanował tron negusa i zaczął panować pod imieniem Jana (Johanes). Potrafił on pozyskać sobie powszechne uznanie, nawet dumny Menilek z Szoy poddał się jego władzy. Krainy Enarea i Kaffa, też przyłączyły się do Abisynii. Johanes rezydował zwykle w Samara na wyżynie Debra Tabor, ku wschodowi od jeziora Tsana; był to władca utalentowany i wojownik mężny: zniszczył on trzy armie egipskie, wysłane na zawojowanie Abisynii, w czém naturalnie wielką pomocą była górzysta, niedostępna przyroda kraju. W ostatnich czasach Johanes, jak wiadomo, zginął w walce z mahometanami Sudanu.

* * *

Mieszkańcy Abisynii są mieszaniną ludności napływowéj, która tu przyszła z południowo zachodniéj Arabii i z okolicznych równin, oraz ludności pierwotnéj, która dotąd stanowi główny pień etniczny Abisynii i jest rasą przejściową między pierwotnymi Egipcyanami a murzynami. Ci pierwotni mieszkańcy noszą imiona Agau, co znaczy „wolni", i zamieszkują dotąd niezmieszani okolice nad górną Takasssie i na zachód jeziora Tsana. Według niektórych egiptologów, Agau są potomkami nubijskiego ludu Uaua, o którym wspominają starożytne pomniki egipskie i który stopniowo został wyparty ku górnemu Nilowi. Różne obrzędy u Agau przypominają starożytną religią Egipcyan: u źródeł Nilu niebieskiego i u źródeł Takassie Agau obchodzą święto na cześć boskiéj rzeki. Czczą oni téż węże, które grają tak ważną rolę w pierwotnéj mitologii egipskiéj i które są dotąd czczone przez wiele narodów. Mówią osobnym dyalektem hamatenga lub hamoa, który zresztą jest pokrewny językowi amharinia, powszechnie używanemu w Abisynii.

Do Agau należy też zaliczyć bardzo rozsiany po Abisynii lud Falasza czyli tak zwanych „żydów abisyńskich". Ludzie ci zajmują się przemysłem, szczególniéj żelaznym i dla tego, jak to zwykle bywa w Afryce, uważani są za czarodziejów. Według samych Falaszów, mają oni pochodzić z Jerozolimy, są bardzo religijni, obserwują szabas w sobotę, zaprzeczają boskiego pochodzenia Chrystusowi, uważają położnice za nieczyste, w dzień wielkiéjnocy zabijają baranka na ofiarę, zanurzają dzieci przy chrzcie, pięcioksiąg Mojżesza mają w wysokiéj czci i t. d. Według Heuglina, Falasza zewnętrznie nie różnią się od reszty Abisyńczyków. O języku hebrajskim nic nie wiedzą. Żyją podobnie jak mahometanie, odosobnieni w oddzielnych wsiach i kwartałach miejskich, posiadają ziemię i prócz przemysłu zajmują się rolnictwem. Pracowitością i sprytem przewyższają, podobnie jak mahometanie, abisyńskich chrześcian.

Nabożeństwo Falaszów jest mieszaniną starych obrzędów chrześciańskich z żydowskiemi. Ostatnie pochodzą z owych czasów, gdy przeniesiony przez jemeńskich Arabów do Abisynii zepsuty judaizm stał się tu religią państwową. W owe czasy Falaszowie mieli wielką władzę w Abisynii i posiadali własnych królów, następnie utracili tę władzę i ulegli prześladowaniom religijnym ze strony władców chrześciańskich.

Falaszowie bywają uważani przez niektórych badaczy za prawdziwych żydów, Hartmann jednak stanowczo temu zaprzecza; według niego, są oni, podobnie jak czarni żydzi Indostanu i wybrzeża Loango, jak żydzi Madagaskaru i Karaici krymscy, tylko pseudożydami, to jest ludami, które przyjęły tylko zwyczaje żydów, ale zresztą nic z nimi wspólnego nie mają. Prócz Falaszów żyje w Abisynii jeszcze wiele ludów blisko pokrewnych ludowi Agau, wyznających różne religie, będące mieszaniną judaizmu, chrześcianizmu i poganizmu.

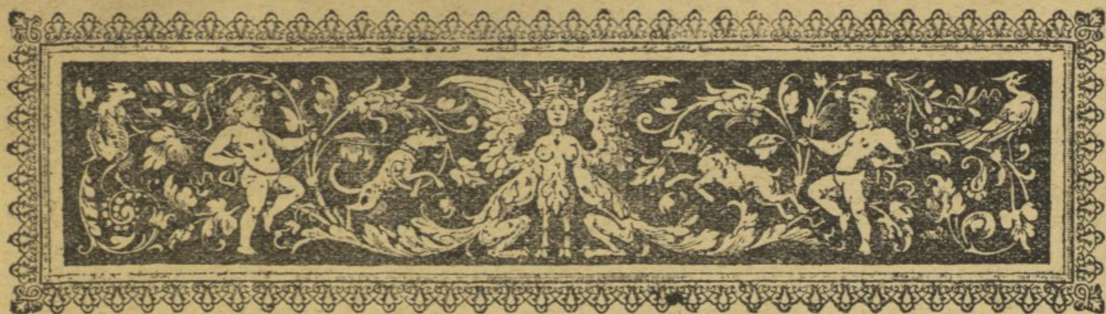
Prócz plemion pokrewnych Agau, żyją też w Abisynii plemiona od nich różne, przeważne liczbą i polityczném znaczeniem, mówiące językiem geer, należącym do grupy języków semickich; do plemion tych należą Amharowie, zamieszkujący krainę tegoż nazwiska, oraz krainę Szoa; daléj mieszkańcy krainy Tigre i t. d. są to mieszaniny Agau z innemi narodami, mianowicie z Galami, ludem murzyńskim, zamieszkującym po części Abisynią po części krainy na południe od niéj leżące, oraz z Arabami, którzy tu przywędrowali przez morze Czerwone. Mimo tych prowincyonalnych różnic, lud abisyński jest dość jednolity: głównym przecie jest tu wyżéj wspomniony lud Agau pokrewny Nubijczykom, którzy znów stanowią ogniwo łączne między Agau i Egipcyanami. Tych ostatnich, lud Retu starożytnych pomników, uważa Hartmann za potomków

Nubijczyków (Barabra), którzy ulegli zmieszaniu z Berberami, murzynami Sudanu i Semitami (Arabami). Dalsze pomieszanie się Egipcyan w czasie wojen z Persami, Grekami i mahometanami wytworzyło dzisiejszych Fellachów. Wobec pokrewieństwa Egipcyan z ludem Barabra, a daléj z Agau, nie należy się dziwić, gdy na wyżynie Abisynii spotkamy indywidua, których rysy twarzy przypominają typy ludu faraonów, napotykane na starożytnych pomnikach.

Z drugiéj strony ciż sami Agau są przez wielu słusznie uważani za pokrewnych ludowi Gala, których nie można znów oddzielić od murzynów. Cały szereg przekonywających dowodów prowadzi nas wogóle do uważania centralno i wschodnio-afrykańskich ludów za nierozerwany łańcuch grup etnicznych. Dowodzą nam tego zarówno liczne wspólne cechy fizyczne, cielesne, jako też wspólne urządzenia państwowe i domowe, podobne prawidła moralne i obrzędowe, podobne zasady językowe. Jeżeli mianowicie przejdziemy kolejno wszystkie narzecza tych plemion, to znajdziemy w nich wiele wyrazów wspólnych, co do których przypuszczenie zapożyczenia jest wykluczone tak, iż wspólność ta musi polegać na wewnętrznem pokrewieństwie języków. Naturalnie, że chcąc w tym kierunku porównywać z sobą różne te plemiona, trzeba naprzód wziąć pod uwagę stykające się z sobą, sąsiednie ogniwa, a nie przeciwstawiać odrazu ogniw ostatecznych. Jeżeli ktoś zechce wziąć do porównania człowieka wyższego stanu z narodu Agau i murzyna Hausa lub Njam-Njam, ten znajdzie między tymi ludźmi tak wielkie różnice cielesne, że wszelka myśl o pokrewieństwie wyda mu się niemożliwą; jeżeli jednak porównywać będziemy kolejno każdy naród z sąsiednim, to znajdziemy dostateczną ilość analogii.

Plemiona Amhara i Tigre, a szczególniéj to ostatnie, są zmieszane z elementem semickim (syro-arabskim); jednakże zmieszanie nie było na tyle intensywne, aby mogło wpłynąć znacznie na zmianę typu fizycznego. Wobec wąskości morza Czerwonego, nie ulega kwestyi, że już w odległéj starożytności handlowe ludy wybrzeża arabskiego musiały odwiédzać wybrzeże Abisynii i osiedlać się na niém; ruch ten trwa do chwili obecnéj. Arabowie osiedlający się w Abisynii, wstępują chętnie w związki małżeńskie z kobietami abisyńskiemi, co nie pozostaje bez śladów na fizycznym typie ludności Abisynii, nie w tym jednak stopniu, jak sądzi Hartmann, aby ludność tę można było zaliczyć do Semitów.

(*D. n.*) *Wacław Nałkowski*



Z OBCEGO ZAGONA.

Historya i historycy. *L'histoire et les Historiens* par Louis Bourdeau. Paris, 1888. str. 472 in 8⁰.

W dalszym ciągu tytułu czytamy, że jest to studyum krytyczne o historyi uważanéj jako umiejętność pozytywna. Ducha książki zapowiada króciutki wstęp charakteryzujący pogląd autora na historyografią. Historyą, powiada, należy całkowicie przerobić, albo raczéj historyi dotychczas nie mamy. Nawet fundamenta trzeba dopiero zakładać. Budowa czeka na architekta. Zaledwie można powiedziéć, iż przeszłość przekazała nam materyały. Ażeby się jakaś umiejętność mogła ukonstytuować, wielu warunków potrzeba. Najprzód potrzeba jasno określić jéj przedmiot; następnie problemata mające się rozwiązywać należy rozłożyć w porządku rosnącéj ich zależności tak, by stanowiły program racyonalny; daléj, potrzeba metody stosownéj, mogącéj uwydatnić poszukiwane prawdy; nareszcie, zdobyte wiadomości powinny być sformułowane w prawa. Otóż, dotychczasowa historya żadnemu z tych wymagań nie czyni zadość. Przedmiot jéj chwiejny, źle określony, bez stałych granic; program pełen chaotyczności; metoda bezsilna do stwierdzenia niezawodności faktów, niezdolna wcale do wykazania praw. Zamierzamy złożyć na to dowody i wskazać jakby powinny być badane rzeczy ludzkie, ażeby mogły zająć miejsce w szeregu umiejętności.

Coby na taki zuchwały zamiar powiedziały setki, a może tysiące zmarłych i żyjących historyków? Nie jest-że to bluźnierstwem twierdzić, że historyi dotychczas jako umiejętności nie mamy, że zaledwie zgromadzono materyały do jéj zbudowania? Wczytawszy się w książkę, przestajemy podejrzewać autora o zarozumiałość, lub lekceważenie dotychczasowych historyków. Na twierdzenie autora, że dotychczasowa historya nie jest umiejętnością pozytywną, ta-

ką jak np. matematyka, astronomia lub mechanika, zgadzamy się całkowicie, z czego nie wynika ażeby historya taka, jaką jest obecnie, żadnéj naukowéj nie miała wartości. Czy kiedyś zyska tę ścisłość, jaką podziwiamy w umiejętnościach pozytywnych, można poniekąd wątpić, ale usiłowaniom dążącym do podniesienia jéj na stopień pozytywności, chociażby niewieńczonym zupełném powodzeniem, przyklasnąć należy.

Mamy do czynienia z dziełem nawskróś krytyczném, a ztąd już sama definicya historyi, którą na czele podają historycy, ulega krytyce. Zamiast dotychczasowych, znanych i mniéj więcéj jednako brzmiących definicyi autor podaje taką: „Historya jest umiejętnością rozwoju rozumu". Rozwój zaś rozumu przejawiał się stopniowo w miarę rozwijania się potrzeb człowieka. Najpierwszą jego potrzebą było zaspokojenie głodu a na wynajdywaniu sposobów tego zaspakajania ćwiczył się jego rozum. Potém dopiero mogły się zjawić inne wyższe potrzeby; a zatém historya powinna obejmować ogół faktów, któremi rozum kieruje, lub od których zależy. Wszędzie, gdzie ludzie żyją, gdzie się ich rozum kształci i gdzie się dokonywają zmiany za pomocą pracy w gatunku ludzkim, wszędzie tam przygotowywa się materyał historyczny. Byłoby to ideałem, gdybyśmy zdołali ogarnąć, poznać wszystkich ludzi i wszystkie rzeczy. Umiejętność zatém winna poznać ich jak najwięcéj, gdyż o tyle będzie mniéj zupełną, o ile poszukiwania swoje ograniczy do mniejszéj liczby ludzi i rzeczy. Tymczasem historycy zaniedbywali téj powinności i zamiast obserwować ogół ludzi, ograniczali swoje badania do pewnych osób; zamiast przyglądać się funkcyom rozumu, opowiadali zdarzenia. Takie traktowanie rzeczy nie odpowiada wcale wymaganiom umiejętności. Trzeba poznanie rodu ludzkiego oprzéć na szerszéj podstawie.

Zarzut ten, zbyt stanowczo wyrażony, nie jest zupełnie sprawiedliwy. Gdyby autor powiedział, że historycy p r z e w a ż n i e zajmowali się tylko wielkiemi sprawami i wielkimi ludźmi, twierdzenie jego byłoby bliższe prawdy; wiadomo bowiem, że historycy, osobliwie nowsi, wciągają do swoich obrazów wszelkie objawy życia zbiorowego, a więc i literaturę, i umiejętność, i sztukę, życie ekonomiczne, obyczajowe, religijne, prawda, że pokrótce, ale gdyby chcieli traktować je wyczerpująco historya urosłaby do niewymiernych granic. Dla tego téż wprowadzono tu podział pracy na oddzielne gałęzi badań.

Z kolei autor przystępuje do udowodnienia zarzutu w rozdziale traktującym o „czynnikach historyi." Do takich czynników historycy zaliczają najprzód sławnych ludzi. Otóż, jest to niesłuszne,

albowiem historyk nie ma prawa pomijać najskromniejszego pracownika tak samo, jak matematyk nie może opuścić najmniejszéj ilości między spółczynnikami pewnéj liczby, a chemik atomu w analizie pewnéj subtancyi. Na półtora miliarda ludzi zamieszkujących kulę ziemską cóż znaczy parę setek ludzi sławnych? Jestże to umiejętność, taka znajomość rodu ludzkiego? Cóżby powiedziano o geografie, któryby zamiast opisu ziemi poprzestał na wzmiance o najwyższych jéj szczytach? A tymczasem historycy, począwszy od starożytnych a skończywszy na Carlyle'u, bohaterów głównie mają na widoku. Otóż historya umiejętna powinnaby rozpocząć swoje dzieło od wyrzucenia z panteonu mnóstwa miernot, które się stały sławnemi dzięki talentowi historyka, lub kaprysowi losu. Historya więcéj liczy Messalin, niż Lukrecyi, więcéj Neronów niż Marków Aureliuszów, a lud przyzwyczaja się do czci dla tych, którzy go zjadają. Wszyscy znają Herostrata, a mało kto budowniczych, którzy wystawili świątynię efeską. Tymczasem ród ludzki nie składa się z pigmejczyków i olbrzymów, lecz z ludzi średniego wzrostu, z bardzo małemi wyjątkami; dopiero imaginacya bajarzy zwanych historykami wydyma ich do niebywałych rozmiarów, a łatwowierność ludzka przyjmuje to za prawdę. Wielkość przypisywana bohaterom jest wynikiem wzrastającéj idealizacyi; chwała ma sobie właściwą perspektywę, tworzącą się wbrew prawom optyki: im jest oddaleńsza, tém rzeczy wydają się większe. Sławni nie zyskują na widzeniu ich zbliska; im się ich lepiéj zna, tém się mniéj podziwia, i dlatego ludzi idealnych, skończonych, znajdujemy tylko w odległéj przeszłości. Każdy wiek skarży się na posuchę wielkich ludzi i narzeka, że wzrost ich ciągle maleje. A zatém, gdyby przyszło definiować wielkich ludzi, trzebaby powiedziéć, że są to tacy, którzy nam się z d a j ą być wielkimi. Dokonane przez nich dzieła są wielkiemi dlatego, że wszyscy, wielka nieznana masa, pomagali im w robocie. Starożytny Herkules był istotą zbiorową: imaginacya skupiła czyny wielu i dodała do nich jego własne. W gruncie, powiada Goethe, wszyscy jesteśmy takiemi istotami zbiorowemi, a to, coby można mianować naszą własnością, jakiż-to drobiazg! Tak więc robotnikiem historyi i czynnikiem cywilizacyi najważniejszym, bohaterem najsławniejszym jest m n ó s t w o nieznane, *la foule des inconnus*. Chociaż ich wartość indywidualna jest drobna, ale dodawana do siebie ciągle, zwiększa się według progresyi nieskończonéj i staje się wielkością niewymierną. Są to jak gdyby drobne oszczędności wytwarzające olbrzymie kapitały, z któremi porównane skarby wielkich bogaczów stanowią marną drobnostkę. Tak samo w historyi; niewidzialna praca mas góruje nad przewagą

bohaterów. Ogół ludzki ma więcéj dowcipu od Woltera, więcéj nauki od Arystotelesa, więcéj świętości od pojedyńczych świętych, więcéj potęgi od wszystkich potentatów, a żaden geniusz nie dorównywa geniuszowi ludzkości. Ażeby jednakże to deprecyonowanie wielkich ludzi, albo lepiéj mówiąc, to ich postawienie na właściwém miejscu w historyi, nie zdawało się kaprysem zrzędzącego krytyka, autor przebiega i ocenia rozmaite rodzaje sławy i sławnych ludzi. Najprzód tedy sławni w zakresie sztuk użytecznych, ci, o których Byron powiada, że „ulżyli trud nasz doczesny". Słusznie należy im się i sława i wdzięczność nasza, ale tylko w pewnéj cząstce; żeby jednakże twierdzić, że oni sami więcéj uczynili, niż mnóstwo ich poprzedników i spółpracowników, że to oni, na własną rękę byli wynalazcami sztuk, rzemiosł, machin itp., żeby to twierdzić, nie trzebaby znać historyi tych wynalazków. Ściśle mówiąc wynalazków doraźnych, wyskakujących z głowy geniuszów nie ma; są tylko stopniowe ulepszania, udoskonalania, dokonywane przez setki głów i rąk, poczém nagle niewprawnemu oku zdaje się, jakoby patrzyło na istne stworzenie *ex nihilo*. Kto zliczy lub wskaże tych, co się przyłożyli do wytworzenia wielkich gałęzi pracy dającéj byt milionom, np. przyswojenie zwierząt, polowanie, rybołówstwo, rolnictwo, przygotowywanie pokarmów, tkactwo, budownictwo. Komu to wszystko przypisać? gdzie są ci sławni? Albo weźmy nowsze wynalazki. Czyż Gutenberg sam tylko zasługuje na chwałę za wynalazek druku? Dziś wiadomo, że wiele usiłowań poprzedziło jego rezultat, polegający na małém ulepszeniu tj. na odlewaniu czcionek z metalu, zamiast wycinania na drzewie. Wszakże te czcionki z ołowiu były zamiękkie; Schoeffer zaczął je lać z miedzi, a znów potém jakiś nieznany poprawiacz użył mieszaniny złożonéj z ołowiu i antymonu. Nie mniéj drukarstwo XV w. jeszcze było w kolebce, jak o tém świadczy nazwa pierwszych druków inkunabułów, *incunabula*. Od tego, do dzisiejszéj stereotypii, ileż potrzeba było jeszcze prób i ulepszeń! Toż, co się tyczy np. zegaru i pojedynczych jego części? Kto je wynalazł a potém złożył w całość? Ilu miał poprzedników i spółpracowników Watt, nim doszedł do machiny parowéj? Thurston, pisząc w dwóch tomach jéj historyą, kończy temi słowy: Wielkie wynalazki nie są nigdy dziełem jednego człowieka; wielki wynalazek jest wypadkową (*la résultante*) usiłowań podejmowanych przez mnóstwo pracowników. Oto mały dowód tego twierdzenia. W r. 1864 oświetlenie gazem liczyło zaledwie pół wieku istnienia, a już w tym czasie wydano 4000 patentów na dokonane w szczegółach ulepszenia. Jaka cząstka w tym ruchu przypadła na Lebona i Murdoch'a? Pewnie taka, jak na dziecko, które zakopie żołądź

w ziemi. Dzięki drzémiącéj w nasieniu sile ewolucyjnéj, wyrośnie z małego ziarna dąb olbrzymi. Wynalazcy tedy są niezliczeni, a tymczasem chwała zaledwie niektórych spotyka; do historyi zaś umiejętnéj potrzebaby szczegółów nietyle z życia kilku uprzywilejowanych wynalazców, ile raczéj wykazania rozwoju samego wynalazku, ażeby poznać, jak umysł ludzki, zawsze w zapasach z oporną naturą rzeczy, w końcu odnosi nad przeszkodami zwycięstwo.

Jak z wynalazcami tak i z pracownikami na innych polach dotychczasowa historya postępuje na wspak. Bo oto jéj sławni artyści tworzą arcydzieła i sami są wielkimi; tymczasem zdaniem autora, sprawcą arcydzieła jest zbiorowy ogół (*tout le monde*), chociaż bowiem autor jest bezpośrednio twórcą arcydzieła, jednak osobistość jego nie wystarcza do zrozumienia téj produkcyi piękna; rodziców i dalszych jéj przodków trzeba szukać w tradycyi i otoczeniu społeczném. Okazałoby się wówczas, że cząstka na jego udział przypadająca jest bardzo niewielka. Najdowodniéj można to sprawdzić na literaturze, chociaż nie wszyscy się do pożyczek przyznają. Eschyles nie tail, że wiele czerpał z Homera, Goethe zaś pisał: „Gdybym mógł wyliczyć wszystkie długi, którem zaciągnął u wielkich moich poprzedników i spółczesnych, drobna zaledwie reszta byłaby moją własnością“. Szekspir, uważany za najbardziéj twórczego z poetów, mało naprawdę stworzył. Największy jego wielbiciel, Malone, obliczył, że na 6,043 wierszy składających trylogię „Henryk VI", 1771 wierszy wziął wprost z poprzednio istniejącego utworu, a 2373 mniéj więcéj zmodyfikował. Anglicy nazywają go *myriad minded*, otóż te niezliczone dusze mówiące przez niego, należą w znacznéj części do poprzedników, z których brał pochop lub natchnienie do swoich dramatów. Molière powtarza za Terencyuszem, że brał, gdzie co dobrego znalazł, a znajdował i u starożytnych, i u bajarzy średniowiecznych i u Hiszpanów i u Włochów. Z 240 bajek Lafontaine'a, podobno 15 czy też 16 są jego roboty. Panuje tedy w świecie literackim straszny komunizm. Hasłem na tém polu zdaje się być maksyma: naśladuj tak, by cię nie zdołano naśladować; nazywa się to oryginalnością. Tymczasem najwyższą poezyą jest taka, która wyraża uczucia ogólne, a ta jest dziełem do gruntu zbiorowém, nieosobistém, póki jeszcze nie istnieje pismo, póki nie ma kogo i czego naśladować.

Nie inaczéj się dzieje w umiejętnościach: i tu odkrycia, wynalazki są rezultatem długiego szeregu poszukiwań, badań, nagromadzeniem drobnych wygranych i malutkich zysków. Pracownicy umiejętności są niezliczeni, tymczasem historya wspomina tylko o najsławniejszych i przez to popełnia wielką niesprawiedliwość,

albowiem chwała kilku okupiona jest ofiarą wielu zapomnianych. Katalog memoryałów naukowych, prowadzony przez londyńskie Towarzystwo królewskie, wylicza w peryodzie 1800—1863 r. więcéj niż 200 tysięcy memoryałów zawierających oryginalne badania naukowe. Gdyby zaś można wyliczyć wszystkie zdobycze umiejętne od początku nauk, przekonanoby się, iż największy geniusz nie zrównoważyłby tych mrówczych prac niewidzialnego geniusza ludzkości. Tych, których nazywamy wielkimi w nauce, należałoby mianować heroldami, nie zaś odkrywcami prawd, albowiem najczęściéj zasługa ich polega na uporządkowaniu wiadomości nagromadzonych wiekami.

Następnie autor rozważa sławnych ludzi w zakresie moralności, polityki, religii i do tych samych dochodzi wniosków, mianowicie, że twórcami historyi nie są wielcy ludzie, jak dotychczas wielu mniema, lecz ten bezimienny geniusz rodu ludzkiego, który koleją czasu doprowadza rzeczy do dojrzałości, a wtedy zjawi się nie Piotr to Paweł i spadły owoc podejmie, bo jak Szekspir trafnie powiedział: *ripeness is all.* Leibnitz i Newton, każdy na swoję rękę znajduje rachunek nieskończony; Sheele i Priestley izolują równocześnie tlen; Le Verrier i Adam, nie wiedząc o sobie, obrachowują elementa planety Neptuna; Wallace i Darwin równocześnie wpadają na teoryą doboru naturalnego; w tym samym roku (1837) wydano 4 patenta na wynalazek telegrafu elektrycznego; Graham Bell i Elizeusz Gray, żądali w tym samym dniu (14 lutego 1876) patentu na wynalazek telefonu, a Edison tuż za nimi podążał. Otóż, w historyografii trzebaby dokonać zmian takich jak w porządku politycznym: świetne arystokracye chwały podciągnąć pod prawo pospolite, ażeby zbladły wobec rosnącego znaczenia mas. Historya odtąd powinna się stać nieosobistą i powszechną.

Jeżeli zatém głównemi czynnikami historyi są nie ludzie wielcy, lecz fakta, historycy więc powinni dążyć do jak najkompletniejszego poznania faktów, nie jak dotychczas tylko głośnych, lecz wszystkich. Fakta głośne uderzają wyobraźnią, stąd zamiłowanie do nich; ale też są one przypadkowe i przechodnie; przeciwnie, fakta zwyczajne, pospolite, odbywają się prawidłowo, nie budzą ciekawości i stąd są lekceważone. Dwie te grupy faktów autor nazywa zdarzeniami i funkcyami. Zdarzenia, to np. w świecie fizycznym: zaćmienia słońca, ukazywanie się komet, zimy ostre lub łagodne, posuchy, głody, mory i t. p.; a w świecie politycznym: zmiana rządu, wojny, traktaty, zdobycze terytoryalne, rewolucye, i t. p. Funkcye, to fakta zwyczajne odbywające się regularnie, od których zależy byt ludzi wszędzie i zawsze. Historya tedy wów-

czas zasłuży na nazwę umiejętnéj, gdy potrafi obu grupom faktów słuszną wyznaczyć wagę. Nie wielu na tém zależy, co było przyczyną wygnania Owidyusza, ale wszystkich interesuje historya pokarmów, odzieży, mieszkania, sztuk; mniejszą liczbę, ale zawsze wielu, obchodzi historya idei, dzieje moralności; przez te fakta przejawia się rozum a historya powinna być obrazem rozwoju rozumu. Historycy uwodzą się rozgłosem, detalicznie opisują wojny, wyliczają tysiące poległych, cieszą się zdobytemi prowincyami, a czyż nie więcéj warte zdobycze medycyny lub hygieny, takie np. szczepienie ospy, oszczędzające życie tysiącom? A ile mu miejsca poświęca historya? Zastosowanie pary będzie więcéj obchodziło potomność, niż wszystkie bitwy Napoleona. Wynalezienie zapałek, których produkcya obecnie w Europie ceni się na 300 milionów franków, zasługuje na szersze opracowanie, niż wojny Rzymian prowadzone z Mitrydatem. Zaproponujcie któremu ze sławnych historyków napisanie historyi XIX wiekn; wnet zadmie w trąbę epiczną i zacznie nam wyliczać wszystkie zmiany panujących, upadek gabinetów, wojny i rewolucye. Czyliż potomność nie wolałaby poznać zastosowania nowych motorów, rozwoju przemysłu i handlu, dróg żelaznych, wielkiego postępu umiejętności? Wszystko to stanowić będzie trwałą przyczynę modyfikującą wygląd świata, powodującą dalsze zmiany, a tymczasem owe drobiazgi utoną w niepamięci.

Ażeby dojść do takiéj historyografii, jakiéj sobie autor życzy, potrzeba zmienić metodę samych badań historycznych. Dotychczasowa metoda była opowiadającą; historya opowiadała i opowiada mnóstwo faktów, co do których pewności można podnosić na każdym niemal kroku wątpliwość. Metoda zatém, mniéj podległa zarzutom, może być statystyczną: musi ona sprawdzać fakta i podawać je ściśle. Księga poświęcona metodzie zawiéra krytykę metody narracyjnéj, polegającéj na świadectwach przeszłości, a świadectwa te są niezmiernie podejrzane. Nagromadzono tu mnóstwo przykładów, nieraz bardzo ciekawych i komicznych, jak to najpoważniejsi historycy brali tytuł króla za jego nazwisko, jak np. fabrykowano sprawozdanie o bitwie pod Solferino, które następnie posłużyło za źródło urzędowe do historycznéj narracyi. Komuż wreszcie nie wiadomo, jak zdarzenie pewne, widziane przez rozmaitych świadków, rozmaicie i niezgodnie bywa opowiadane, a cóż dopiéro gdy opowiadania takie przejdą przez ust tysiące! Pewności tedy i ścisłości w historyi prawie być nie może, póki ją traktują metodą narracyjną. Do błędów ułomnéj informacyi przybywają błędy wynikające z gustu estetycznego; historyk musi p i ę-

knie opowiadać, stąd historya dotychczasowa raczéj do sztuki, niż do umiejętności winna być zaliczana. Umiejętności chodzi o prawdę, historyi o piękno; drogi ich inne i cele inne; gwoli piękna, historyk dobiéra przedmiotów odpowiednich, grupuje one, wysuwa naprzód te, które mu się wydają wzniosłe, uderzające, ażeby utworzyć dzieło piękne. Otóż, te względy estetyczne fałszują rzeczywistość. Historycy dogadzają gustowi czytelnika, którego bardziéj pociągają zdarzenia tragiczne, niż pospolite, dla tego historye ich więcéj się zajmują epokami burzliwemi, niż spokojnemi, i jak romanse, tracą interes, jak tylko życie płynie spokojnie i prawidłowo. Nawet z romansów potomność może więcéj dowie się o naszych czasach, niż z całéj wielkiéj kolekcyi historyków.

Daléj, na historyków działają interes i namiętności; schlebiają oni ludziom i narodom. Quintus Vitelliusz, dziad cesarza tegoż imienia, był synem łatacza i piekarzówny. Gdy został kwestorem za Augusta, jakiś protoplasta Niesieckiego, nazwiskiem Eulogiusz sfabrykował mu genealogią, w któréj między wstępnymi pomieścił króla Fauna, dawniejszego jeszcze od Romulusa. Retorowie greccy, poszukując chleba w Rzymie, fabrykowali historye rzymskie, sprzedając je więcéj dającemu zwycięzcy. Czasami znów wdzięczność kieruje piórem historyka, jak np. gdy Wellejusz Paterculus chwalił Tyberiusza i Sejana za doznane łaski. Za naszych czasów gdy ten i ów okadzał Napoleona III, Wiktor Hugo pełen nienawiści, wydał swój paszkwil *Napoleon le Petit*. Wolter zapewniał, że gdyby miał jakie obowiązki względem dyabła, chwaliłby jego rogi. Strach przed panem i chlebodawcą jest, u historyków zwłaszcza, początkiem mądrości. „Bardzo miłuję prawdę — pisał Wolter o sobie—ale mam wstręt do męczeństwa“. Historya całkiem bezstronna nie podobałaby się nikomu, zadrasnęłaby wszystkie namiętności, nie pochlebiwszy żadnéj.

Do tego wszystkiego dodajmy przesądy opinii politycznych, patryotycznych, religijnych, moralnych, a przekonamy się, że pewność, niezawodność, stanowiące wieczny postulat umiejętności, nigdy nie będą udziałem historyi narracyjnéj. Zmuszona poprzestawać na cieniu prawdy, historya leży o całą przepaść od umiejętności, która dąży do ujęcia zupełnéj prawdy i pewności. Po téj krytyce metody historycznéj i saméj historyi autor konkluduje: Cóż tedy wiemy ostatecznie z historyi? Bardzo mało, prawie nic. Oprócz niewielu wypadków zgodnie podawanych, które bez wielkiego ryzyka można przyjąć za pewne, reszta jest niepewna. W historyi, tak jak w filozofii, wątpienie jest początkiem mądrości.

Co na to poradzić? Jużeśmy wspominali, że autor widzi radę w statystyce. Bardzo pięknie. Ale zkąd wziąć dane statystyczne do całéj historyi, zwłaszcza, że statystyka właściwie dopiero w naszym wieku i to zaledwie w niektórych krajach stała się przedmiotem teoretycznych rozmyślań i opieki rządów? Niewątpliwie, tą metodą możnaby zyskać prawdę, gdyby samo narzędzie, tj. statystyka, było mniéj zawodne. Kto porównywał tablice statystyczne, wié, do jak odmiennych rezultatów i wniosków prowadzą one rachmistrzów. Zawodność metody statystycznéj wszakże tkwi nie w niéj saméj, bo gdzie matematykę do badań można zastosować, rezultaty są ścisłe—lecz w samych rachmistrzach i w naturze człowieka wogóle. Przypuśćmy na chwilę, że cała kula ziemska pokryta jest biurami statystycznémi, że rachunek odbywa się według jednakowych zasad wszędzie, że liczby dotyczące wszelkich objawów życia są ścisłe—pytanie, czy w ocenieniu wyrażonych przez nie faktów i zjawisk będzie można osiągnąć taką zgodność, do jakiéj dochodzą matematycy operujący oderwanemi wielkościami? Nie zdaje się. W ludziach żywych grają tak liczne pobudki, na ich czyny składają się tak różnorodne motywy, że ocena cyfr i wyciągnięte z nich wnioski muszą być zabarwione subiektywnym poglądem rachmistrza. Chodzi, dajmy na to, o ocenienie rewolucyi francuskiéj z końca zeszłego wieku. Mamy cyfry jak najpewniejsze zabitych i ranionych, cyfry dotyczące wydatków na uzbrojenie i wyżywienie, strat poniesionych przez rolnictwo, handel i przemysł, nareszcie, co już jest niemożliwe, wyrażone w cyfrach boleści i cierpienia moralne milionów nie walczących ale zainteresowanych; a z drugiéj strony wszystkie zdobycze natury umysłowéj i moralnéj, osiągnione przez to wielkie wstrząśnienie w zakresie prawa, obyczaju, politycznych urządzeń, itp. Pytanie, czy historycy-statystycy zgodzą się na jeden wniosek w ocenieniu tak doniosłego zdarzenia? Nie sądzimy. Dla miłośników wojny, jako metody hartowania charakterów, wojna zawsze będzie szkołą Opatrzności; dla miłośników pokoju klęski wojny nigdy nie zrównoważą wątpliwych stron jéj dodatnich. I tak samo w tysiącu innych wypadków. O historyi zupełnie obiektywnéj, prawie myśléć niepodobna: ludzie zawsze będą patrzyli na innych ludzi i na ich czyny przez różowe lub okopcone okulary swoich uczuć, interesów, namiętności i głupoty. Swoją drogą przyznajemy, że statystyka zastosowana do historyi odjęłaby jéj wprawdzie urok romansu, ale zbliżyłaby ją do umiejętności: więc też bardzo rozumnie napisaną krytykę historyografii możnaby zalecić do odczytania wszystkim, a głównie historykom.

Sygma.



OSTATNIE CHWILE DYABŁA STADNICKIEGO.

Powieść historyczna p. Adama Krechowieckiego p. t. „Starosta zygwulski“, stała się niedawno powodem polemiki, przeprowadzonéj w łamach „Biblioteki warszawskiéj“ (1887 t. III, 284 i IV 147) między powieściopisarzem a jego krytykiem p. Wł. K. Zielińskim na temat historycznéj postaci Stadnickiego. W polemice téj krytyk, opierający swą erudycyą na Święckim i Niesieckim, ponieść musiał oczywiście porażkę, skoro przeciwnikowi jego znane były dwie najlepsze stosunkowo prace w tym przedmiocie tj. krytycznie, choć stronniczo, napisany ustęp Kazim. hr. Stadnickiego w „Rodowodach Stadnickich“ (ob. tekst do tab. 3 pod K) i na rękopiśmiennych materyałach oparta, rozprawa p. Aug. Sokołowskiego („Ateneum“, 1883, IV, 74—103). Z tém wszystkiém, przeczytawszy powyżéj wymienioną polemikę, przychodzi się do przekonania, że kwestya śmierci Stadnickiego z powodu stanu źródeł pozostaje i nadal w zawieszeniu. Nietylko sposób i okoliczności towarzyszące śmierci, ale nawet data i miejsce otoczone są mgłą niepewności. Jedni od strzały, drudzy od kuli, inni wreszcie od szabli ginąć mu każą; ci Tarnawkę czy Tarnawę jakąś—bo wielka jest w Galicyi, na domiar zamieszania, liczba wsi téj nazwy — owi nieistniejący jakiś Tarnawiec albo odległy Tarnów, jako miejsce śmierci wymieniają; datę zaś, z wyjątkiem Siarczyńskiego (Obraz wieku Zygmunta III. Lwów 1828, II, 272), który bez przytoczenia źródła, 14 sierpnia 1610 podaje, wszyscy zresztą inni zupełném pokrywają milczeniem.

W takim stanie rzeczy, pożądane będzie może wybrnąć raz z téj gmatwaniny, poradziwszy się akt grodów przemyskiego i sanockiego, na których terytoryum dramat się odegrał. W istocie księgi *„relationum castrensium“* przemyskie i sanockie z lat 1610—1611 zawiérają wyjaśnienie zagadki w kilku aktach, z których naj-

ważniejsze poniżéj w całości umieszczamy (1). Według tych aktów rzecz miała się jak następuje:

Wojsko skonfederowanéj przeciw Stadnickiemu szlachty przemyskiéj, w liczbie 1300 ludzi, pod wodzą Łukasza Opalińskiego, koło Jarosławia w obwarowanym obozie stojące, dowiedziawszy się od szpiegów, iż „dyabeł" łańcucki w Wojutyczach, niedaleko Sambora, przebywa, postanowiło wykonać zajazd. Zbliżywszy się tedy manowcami i cichaczem pod wieś, uderzono na nią niespodziewanie dnia 15 lipca 1610 r. Sam Stadnicki tylko dla tego uniknął śmierci, że przypadkowo był nieobecny, ale żona jego Anna z Ziemączyc wraz z najmłodszą córeczką Felicyaną i „licznym dobranych dziewic fraucymerem" dostała się do niewoli. Wszystko, co tylko miało jaką wartość w pieniądzach, kosztownościach i sukniach, zrabowano, dwór i budynki gospodarskie puszczono z dymem, „wielu ze służby na kształt wieprzów zarznięto", tak że „krew ludzka dwór i wieś całą zbroczyła". Po spustoszeniu Wojutycz Opalińscy wrócili do swego dworu, a Stadnicki gdzieś się przyczaił. Przez 3 tygodnie był spokój, potém „dyabeł" znowu na wiérzch wypłynął. Dnia 6 sierpnia wyruszył pod noc na czele 100 ludzi—Węgrów, Wołochów i innéj zbieraniny—z zamku brata swego Marcina Stadnickiego w Rybotyczach i udał się w kierunku miasteczka Kańczugi. Następnego dnia przebywał oddział w lasach koło Iskania nad Sanem, a w niedzielę, 8 tegoż miesiąca, otrzymał prowiant w Hadlach, majętności pana Marcina. Tuż obok leżała Tarnawka, wioska księżny Anny z Kostków Sztemberków Ostrogskiéj, wdowy po wojewodzie wołyńskim Aleksandrze Ostrogskim, najważniejszéj aliantki Opalińskiego. W nocy więc urządzono wyprawę na tę wieś, w któréj młynarz tamtejszy z synem i dwaj chłopi z pobliskiego Huszowa, dali szyję pod miecz za to tylko, że byli poddanymi Ostrogskiéj. Potém wrócono do Hadel... (2)

W tém miejscu przerywa się znowu opowiadanie, bo żaden akt nie wyświeca nam wypadków następujących dni kilkunastu. Tyle tylko wiemy, że Stadnicki „ludzi skupiał i ich oczekiwał", ukrywając się tymczasem po dobrach swojéj, licznie w przemyskiém i sanockiém rozrodzonéj, familii. Oczekiwał szczególnie

---

(1) Możność wyjaśnienia téj sprawy zawdzięczam J. M. prof. drowi Liskemu, który mi z bogatych skarbów archiwum „bernardyńskiego" korzystać łaskawie zezwolił. Uważam sobie tedy za miły obowiązek złożyć mu za to na tém miejscu najserdeczniejsze podziękowanie.

(2) *Castr. Praem.* t. 326, p. 1266. Tę samę Tarnawkę zniszczyła późniéj (20/XI) pani Stadnicka na czele 300 ludzi, w przechodzie z Hadel do Łańcuta. *Ibid. p.* 1756.

posiłków z Węgier, od Gabryela Batorego. Rzeczywiście, oddział węgierski, w liczbie 9 chorągwi jazdy i trochę piechoty, przeszedł 26 sierpnia Beskid koło Turki, ale spustoszywszy tylko wsi kilka koło Sambora i Drohobyczy, tudzież Skolszczyznę, majętność ks. Janusza Ostrogskiego, brata Aleksandra, już 2 września wrócił napowrót do Węgier (1). Było już bowiem po wszystkiém. I Opaliński nie próżnował w połowie sierpnia, ale przeniósłszy swój obóz do Starego-Miasta, usilne czynił zabiegi celem wyśledzenia miejsca w którém się jego przeciwnik ukrywa. Dnia 20 sierpnia „w piątek przed św. Bartłomiejem“, dali nareszcie szpiegowie znać, iż znaleźli pana łańcuckiego na dworze jego krewniaka Krzysztofa Stadnickiego w Tarnawie, między Dobromilem a Chyrowem. Natychmiast wysłano tam 100 ludzi lekkiéj jazdy, zapewne kozaków, a ci zaszedłszy niespodziewanie, ze wszech stron otoczyli Stadnickiego. W tém położeniu bez wyjścia padł starosta zygwulski, kulą z muszkietu raniony poniżéj ramienia a powyżéj piersi z lewéj strony. Przybiegli nieprzyjaciele i „już słabnącemu więcéj niż dziesięcioma uderzeniami w kark rohatyną, głowę odcięli“, aby ją na znak zwycięstwa złożyć u stóp Opalińskiego. W dwa dni po wypadku (22/VIII) był woźny sanocki wraz z dwoma szlachcicami świadkiem, jak ciało Stadnickiego w Samborze, dokąd się już główna kwatera Opalińskiego była posunęła, celem dalszego transportu wkładano do beczki, przyczém wszyscy trzéj Sanoczanie te same rany zauważyli, jakie powyższy opis podaje. A gdy po 8 tygodniach zabierano się wreszcie do pogrzebu, wtedy miał sąd sanocki sposobność sprawdzić te rany w swym własnym grodzie, gdzie mu 21 października ciało przedstawiono, celem odbycia obrzędu zwanego „*capitis proclamatio*“, tj. urzędowego obwołania zabójców (2).

Tak przedstawiają sprawę akta grodu sanockiego. Ale ma tu i gród przemyski coś do powiedzenia, bo do Przemyśla zawieziono ciało wprost z Sambora i złożono je w zwykłéj Stadnickiego gospodzie, aby dać rodzinie możność zajęcia się pogrzebem. Otóż 26 sierpnia zjawia się w grodzie przemyskim sam Łukasz Opaliński i oświadcza w „recognicyi“ swojéj, że całą odpowiedzialność za

(1) W rękopisie biblioteki Jagielońskiéj 3729. II. 11. znajdują się 2 listy oryg. ówczesnego rezydenta skolskiego Jakubowskiego, opisujące z wielkiém ożywieniem ten wypadek.

(2) Dwa dni przedtém (19/X) odbyła się „*capitis proclamatio*“ w Przemyślu, bezpośrednio przed wywiezieniem ciała z tego miasta (*Castr. Praem.* t. 326 p. 1451). Jeżeli potém znowu wrócono z Sanoka do Przemyśla, jakby to wypadało z dawniejszych biografów Stadnickiego, którzy mu w Przemyślu miejsce wiecznego spoczynku naznaczają, to doprawdy, że starosta zygwulski i po śmierci nie rychło doczekał się spokoju.

zabicie starosty zygwulskiego na siebie wyłącznie przyjmuje. Nic w tém dziwnego: chciał oszczędzić kobiecie, aliantce swojéj, kłopotów sądowych, tylko to zastanawia, że jako miejsce, gdzie przeciwnika „zdrowie Pan Bóg w ręce mu dał", przytacza nie Tarnawę ale Tarnawkę, czyli z ruska *Ternawkę*. Więcej jeszcze; woźny sądowy przemyski, który na tym samym dniu dokonał wizyi trupa Stadnickiego, podaje wprawdzie jako miejsce wypadku także Tarnawę („*Ternawa*"), ale jako datę nie piątek po św. Bartłomieju (20/VIII), ale piątek po św. Wawrzyńcu (13/VIII) wymienia, a ranę tylko jednę od kuli w szyi spostrzega.

Na podstawie więc samych tylko aktów przemyskich możnaby we wszystkich trzech zasadniczych punktach do całkiem odmiennych dojść wyników. Jak tu pogodzić te sprzeczności—mając zwłaszcza na uwadze, że oba grody przedstawiają dwa przeciwne sobie obozy, bo w Sanoku był kasztelanem Marcin Stadnicki, brat i towarzysz Stanisława, a w Przemyślu rezydował, jako starosta, sprzymierzeniec Opalińskiego Adam Stadnicki? Najłatwiéj dochodzi się z miejscem do ładu. Nie ma najmniejszego powodu przypuszczać, że Stadnicki zginął 20-go, albo choćby tylko 13-go sierpnia w téj saméj Tarnawce, w któréj 8-go dokazywał. Innych Tarnawek jest kilka, ale jedna na milę tylko odległości od owéj Tarnawy pod Chyrowem. W téj zatém okolicy i w tym wypadku Tarnawa i Tarnawka na jedno prawie wychodzą, tém bardziéj, że Stadnicki nie zginął na miejscu, w którém go wyśledzono, ale miał jeszcze czas kawał drogi uciekać. Widać to z „rekognicyi" Opalińskiego, i widać jeszcze lepiéj ze współczesnego (z 25/IX 1610) listu Cieleckiego do Rudnickiego, biskupa warmińskiego (Niesiecki, VIII, 480), który także i z tego względu akta sanockie doskonale popiera, że Stadnickiemu w ostatnich chwilach życia u b r a t a s t r y j e c z n e g o przebywać każe. Daty obie jeden mają, ale bardzo ważny naówczas szczegół wspólny, tj. dzień tygodniowy: piątek. Albo więc jedna strona albo druga w bliższém oznaczeniu tego piątku się pomyliła. W sanockich aktach data, raz jest w protestacyi Stadnickich wprost wyrażona, a powtóre pośrednio poparta przez zeznanie woźnego, który trupa w Samborze 22 sierpnia „*in recenti*" oglądał. Sama wreszcie data czynności sądowych przemyskich: 26 sierpnia, dalszym jest za piątkiem po św. Bartłomieju argumentem, bo dobrze się łączy z 20 i 22, ale zbyt jest oddalona od 13 sierpnia. Przecież Opaliński nie mógł przez całe 2 tygodni z ciałem wozić się po kraju. Wszystko to prowadzi do wniosku, który już sam przez się bardziéj jest prawdopodobny: że się raczéj woźny przemyski w gospodzie źle

poinformował, niżeli brat nieboszczyka, albo bliższy wypadku sługa sądowy sanocki. A jeśli się tak rzeczy mają, że sanockie daty dzienne są prawdziwe, to nowém to jest zarazem stwierdzeniem wskazanego przez nas powyżéj miejsca śmierci, bo z Tarnawy pod Chyrowem jedzie się do Przemyśla n a S a m b o r, ale nie z Tarnawki pod Kończugą ani téż z jakiéjkolwiek innéj. Najtrudniéj roztrzygnąć kwestyą ran Stadnickiego, choć i tutaj panuje co do głównéj, w przybliżeniu, zgoda. Zresztą, ponieważ rana między szyją a piersią nie jest o d r a z u śmiertelną, przeto przypuścić należy, że żołnierze Opalińskiego nie dali umrzéć Stadnickiemu w spokoju, ale mu razów dla przyśpieszenia zgonu nie oszczędzili. Dlatego we wszystkich trzech szczegółach przyznaliśmy sanockim aktom pierwszeństwo, na nich opierając treść naszego opowiadania.

Niezgodność aktów w sprawie śmierci Stadnickiego, jakkolwiek wiele trudności przysparza, ma jednak także i swoję dobrą stronę. Oto wyjaśnia nam dotychczasową niezgodność wiadomości. Cóż dziwnego, że sprawa dzisiaj była niejasna, skoro ją już w kilka tygodni po wypadku zagmatwano? A tak gdy jedni z téj tylko, drudzy z tamtéj tylko strony pośrednio czy bezpośrednio wiadomości swe czerpali, prawda, jak się to zwykle dzieje, dała się wyśledzić dopiero po wysłuchaniu stron obu.

1.

Proclamatio capitis olim generosi Stanislai Stadniczki capitanei ziguultensis.

Actum f. 5 post fc. Sti. Lucae Ev. prox. (21/X) a. d. 1610.

Coram generoso Sigismundo Chamiecz vicecapitaneo sanocensi. Ad officium et acta praesentia castrensia capitanealia sanocensia veniens personaliter magnificus Martinus Stadniczki a Żmigrod in Rymanow, castellanus sanocensis, tutor legitimus filiorum et successorum legitimorum olim generosi Stanislai Stadniczki, capitanei ziguultensis, habens penes se generosum Wladislaum Stadniczki filium praefati capitanei zigwultensis natu maiorem aetatem iam ultra annos quatuordecem agentem, petiit et requisivit ab officio praesenti, quatenus officium cadaver exaugue ab infrascriptis homicidis interemptum, tunnae iam ab aliquot hebdomadis impositum et iam obvolutum, circumspiceret et vulnera lethalia sibi illata, ex quibus interiit, videret. Quod officium ad ipsius requisitionem tunna apertta et obuolutionibus circumdepositis vidit: inprimis amputatum caput a cadavere separatum, tum et vulnus ex pixide inferius brachium sinistrum in pectus traiectum prope mamillam sinistram; quae vulnera etiam ministerialis Regni generalis providus Jacobus Turtiga de Dylągowa et nobiles Melchior Kiczyński et Nicolaus Kurowski in recenti, dum et quando in tunnam ex instantia et administratione generosi Lucae Opaleński per eius famulas et substitutos in civitate Nowy Sambor, ubi protunc idem generosus Lucas Opaleński cum copiis suis stativam agebat, imponeretur, die dominico ante festum St. Bartholomei Apostoli proxime praeterritum (22/VIII), vidit quod et ab eodem officio examinatus personaliter retulit. Circa quam rellationem suam, hoc idem corpus esse per illustrem et magnificam Annam a Stemberk, olim illustris

et magnifici Alexandri ducis in Ostrog pallatini Wolchiniae consortem relictam viduam, principalem, et eius complices: magnificum Adamum Stadniczki a Zmigrod castellanum calisiensem, pramisliensem capitaneum, Joannem Swientosławski, refferendarium Regni, Joannem Grabiński et Lucam Opaleński, capitaneum leżaiscensem occisum, ter et ultra iuris formam quater publice in foro civitatis Sanok et in castro sanocensi publicavit et proclamavit.

Castr. Sanoc. t. 142. p. 1736—7.

2.

Stadniczy protestantur contra pallatinam Wolchiniae et alios complices.

Actum f. 6 in vigilia fe. Circumcisionis Chri. (31/XII) a. 1610.

Ad officium actaque praesentia castrensia capitanealia sanocensia personaliter veniens nobilis Petrus Gonkowski, magnifici Martini Stadniczki castellani sanocensis patrui et tutoris naturalis liberorum olim generosi Stanislai Stadniczki a Żmigrod et in Lanczuth heredis, capitanei zigwultensis, mandatarius superplendo priorem protestationem per eundem castellanum sanocensem ad acta praesentia in vigilia festi proxime praeterriti Sti. Thomae apostoli (20/XII) personaliter factam (1) et eam in formam debitam redigendo, ex mandato eiusdem castellani sanocensis iterum talem in copia protestationem porrexit et nomine praefati mandantis sui protestatus est in et contra magnificam Annam de Stemberk, olim illustris ac magnifici Alexandri Ducis in Osztrog pallatini Wolchiniae consortem relictam viduam, uti principalem, et generosos Joannem Swientoszlawski, refferendarium Regni, Joannem Grabinszki, Lucam Opalenszki, capitaneum leżaiscensem et Annam de Pilcza Opalenszka, consortem ipsius, tanquam complices et facinorum infrascriptorum cooperatores, facta de eo prius sufficienti inquisitione, pro eo, quia illi habita inter se prius mutua conspiratione machinationeque et foederibus eo nomine pactis, secumque contra fas et leges Regni priuatim et clanculum ad interrimendum et de hac vita tollendum generosum olim Stanislaum Stadniczki capitaneum zigwultensem initis, tali modo et ratione in ea intentione et conspiratione sua processerunt et praefatam confederationem, coniurationemque suam in vitam eius mutuo factam prosequuti sunt. In primis posteaquam de eius e Lublino (ubi prosequendarum iure iniuriarum suarum causa, non paruo temporis spatio sub iudiciis Tribunalis Regni commoratus erat) reditu, resciuissent atque rure suo, Woytycze dicto, cum uxore, liberis ac tota familia, ubi tunc pacificus et ab hostibus suis, qui ei insidiabantur, remotior degebat, eum manere ab exploratoribus, quos frequentes idem tidem eo mittere solebant, intelexissent, facta e Jaroslauia, ubi tum ad eam rem collectus erat frequens exercitus, expeditione, ac prout in pactis conuenerat exercitui (qui mille trecentos equites, peditesque referebat numerum) generoso Luca Opalenszki capitaneo leżaiscensi praefecto et campiductoris munus gerente, nocte intempesta et locis inviis cellanti aduentus sui causa, itum est: et villam Woyticze usque, turmis in parem ordinem actis, sub claua et signis bellicis progressum, ibique nihil crudelissimum quodque non tentatum. Ipse quidem olim Stadnicius forte fortuna absens tum fuit, sed uxor, liberi, familia per insperatum aduentum et cruentam inuasionem oppressi, multi ex familia instar porconem mactati, trucidatique et cruor humanus per totam curiam, villamque perfusus, uxor generosa Anna de Ziemaczyce Stadniczka, cum tenerima filiola Faeliciana Stadniczka ac frequenti lectissimarum virginum gyneceo in captiuitatem abductae, res multae preciosae (pecuniae scilicet plusquam viginti millia aureorum, gemmae preciosae, Margarethae,

---

(1) Piérwszéj téj protestacyi nie drukujemy, ponieważ tylko w ogólnych obraca się wyrazach i niczego ciekawego nie zawiera.

vestes, vestimenta, ornatus omnis muliebris aeque ac virilis) per praefatos hostes acceptae, curia denique vastissima et splendore aedificiorum satis superque conspicua igne fabricato et opera data superposito absumpta et in cineres versa, caeteraque omnia solo aequata sunt. Haec dum ita peracta essent, hostis iterum parta praeda et tot facinoribus inauditis auctus ad castra, quae in campo trans civitatem Leżaiszk prope fluvium San metatus erat et vallo fossaque intercluserat, cum praefatis captiuis generosa scilicet Anna a Ziemaczycze Stadniczka et filiola eius Faeliciana caeterisque pedisequis rediit, easque ibidem sub arctissima custodia in captivitate et servitute summa detinuit. Nec mora: hostis iis quae in Woyticze perpetraverat non contentus, ad foedera et pacta seu coniurationem de tollendo e vivis olim praefato Stadnicio secum initis animum convertit, expeditionem denuo parat; coniunctisque copiis et unitis, tam praefata principalis, quam et complices memorati, viribus, eodem ipso Luca Opalenszki (quo commodius bellum pactis institutum illis quas cum Stadnicio habebat apertis inimititiis praetexissent) exercitui praefecto, eundem olim praefatum Stanislaum Stadniczki, prioribus bellis et hostium invasionibus iam satis afflictum et locis ignotis inviisque efugiendae hostium violentiae causa latitantem, non denunciata sibi hostilitate nullamque ob causam prosequuntur, exploratores varios arte calidissima instructos et varia specie dolisque fascinatos praemittunt, exercitum longe priori numero superiorem et magis armis instructum sub oppido Stary Sambor locant castraque ibidem metantur, eumque ubi ab exploratoribus certo loco latitare intelligunt, centum leuioris armaturae milites armatos tum e castris expediunt, qui dum ex improuiso insperateque eum adorti sunt, ita circumegerunt, ut ne fuga quidem eilabi et vitae suae prospicere posset, circumactumque crudeliter interremerunt, ictu pixidis pectore tenus letaliter vulnerauerunt, vulneratumque et iam languentem ictibus plusquam decem frameae in ceruicem datis caput ipsius amputanerunt, vestibus vestimentisque, pecunia, annulis, quos circa se habebat spoliauerunt et cadaver sic interremptum una cum capite abscisso, victoriam gestientes, praefato Opalenscio, protunc nomine principalis et complicum exercitus praefecto, tradiderunt, atque hisce factis crimina inuasionis, incendii, coniurationis, spolii et praedae ad extremumque necis comiserunt. In quorum omnium verificationem idem protestans nomine praefati mandantis sui statuit ministerialem Regni generalem nobilem Bartolomeum Laszkowszki cum nobilibus Joanne Szebienszki et altero Joanne Szebienszki, qui praemissis: nempe combustioni curiae Woyticze et interremptioni olim generosi Stanislai Stadniczki atque captiuationi generosae Annae Stadniczka cum filiola ipsius caeterisque pedisequis se interfuisse eaque sibi prolata esse officio praesenti retulerunt, offerendo eundem principalem suum et quibus idem competierit easdem iniurias omnes et crimina se iure prosequi velle.

Castr. Sanoc. t. 142. p. 1829—32.

3.

Castellanus sanocensis meliorat protestationem.

Actum f. 2 post fe. Visitationis B. V. Mariae prox. (4/VII) a. d. 1611.

Ad officium et acta praesentia castrensia capitanealia sanocensia personaliter veniens magnificus Martinus Stadniczky de Zmigrod castellanus sanocensis, considerato eo, quod in terminata prottestationis coram officio praesenti castrensi capitaneatus Sanocensis feria secunda in vigilia festi Sti. Thomae apostoli (20/XII) anno proxime praeterrito per se ipsum recognita, ac deinceps in capitali protestatione in ampliori forma per nobilem Petrum Gonkowski famulum suum feria sexta in vigilia festi Circumcisionis Christi (31/XII) anno eodem porrecta, temporis diei et loci in quo aliquid facinorum in protestatione specificatorum commissum est, nulla mentio facta est, ideo eosdem defectus protestationis supplendo proclamationemque capitis generosi olim Stanislai Stadniczky capitanei Ży-

guultensis fratris sui germani coram eodem officio feria quinta post festum Sti. Lucae Evangelistae proxima (21/X) anno supradicto per se personaliter factam, quam deinceps in formam redditam per praedictum famulum suum porrectam (1), meliorando, ratione contentorum protestationis (quam hic pro expressis habeie vult) nempe domus generosorum Wladislai, Sigismundi et Stanislai Stadniczkych, olim generosi Stanislai Stadniczky capitanei Zyguultensis successorum, hereditariae villae Woitycze feria quinta ipso die Divisionis Apostolorum (15/VII) anni proxime praeteriti sub tempus cellebrationis iuditiorum Tribunalis, a quibus reddierat, invasionis, obsanguinolationis, depraedationis, incendii, villae depopulationis, tum praedicti generosi Stanislai Stadniczky fratris protestantis, parentis vero pupillorum per exploratores investigationis, persequtionis, eiusdemque immani et crudeli morte nullam ob causam et non denunciata hostilitate feria sexta ante festum Sti. Bartholomei (20/VIII) anno proxime praeterrito sub idem tempus iuditiorum Tribunalitiorum in villa Tarnawa generosi Christophori Stadniczkij hereditaria in terra sanocensi sita, sublatione et interemptione, denique ratione mutuae cum principalibus et complicibus aliisque personis tumultuariae in vitam praedicti olim Stadniczky coniurationis, conscriptionis et contra iura publica confederationis, sollenniter protestatus est offerendo se pro tam atrocibus iniuriis cum iisdem principali et complicibus, qui sunt inculpati et io protestationibus suprascriptis nominati, iure acturum.

Castr. Sanoc. t. 143. p. 193—4.

4.

Recognitio Opaliński.

Actum f. 5 post fe. Sti. Bartholomei ap. prox. (26/VIII) a. 1610.

Łukasz Opaliński ze Bnina starosta leżejski przyszedszy do urzędu niniejszego i do act grodzkich przemyskich dobrowolne zeznanie i manifestatią publiczną z strony zabicia nieboszczika Stanisława Stadniczkiego z Łańczuta za excessy wielkie i nieposłuszeństwo jego wieczną banicią w sądzie trybunalskiem banniowanego uczyniel i zeznał taką, iż on pogardziwszy prawo pospolite i zwierzchność JKrMci odpowiedź temu to manifestującemu dał, majętność mu wszystkę spustoszeł, popaleł, kościoły desertował wiele ludzi dziwnem tyraństwem pobieł i niedawnego czasu trybunał znieważeł i z ludźmi cudzoziemskiemi zgwałcieł a nakoniecz temi czasy nietelko na tego to starostę i majętność jego i na dzierzawę starostwa jego uczyniwszy zmowę z cudzoziemcy, ale na wiele ludzi i na zgubę ojczyzny nastąpić umyśleł, co się czasu swego pokaże, czego ścierpieć nie mogąc a chcąc jego złe przedsięwzięcie praecipere i uprzedzidź, aby nie telko zdrowia swego, na które się beł nieprzyjaciel zasadzieł za odpowiedzią, ale i zguby ojczyzny ochronił, nastąpić mu nań przyszło i tam we wsi pewnéj Ternawce kiedy on ludzi skupiał i ich oczekiwał bitwę z niem zwiodszy zdrowie jego P. Bóg w ręce mu dał i w ucieczce zabit jest. Którego ciało jako banita i nieprzyjaciela ojczyzny i jemu odpowiedzianego tu w Przemyślu do gospody jego zwykły złożone i oddane jest. A przytem aby komu inszemu niewinnemu żadnéj trudności o to nie zadawano do tego się zna i na każdem placu znać będzie, że go on, tuendo et defendendo vitam suam et salutem Reipublicae, jako głównego nieprzyjaciela o zdrowie jego stojącego et varias insidias et conatus in vitam eius czyniącego, propriis viribus et auxiliis zniósł i skończył.

Castr. Praemisl. t. 326. p. 1242.

(1) Ma być zapewne: porrexit.

5.

Visio cadaveris Stadnicki.

Actum ut supra. (26/VIII 1610).

Ad officium et acta praesentia castrensia capitanealia Praemisliensia personaliter veniens ministerialis regni generalis providus Jaczko Bardiowsky de Rakowa officio praesenti notus cum nobilibus Petro Jakubowsky et Alexandro Makowsky sibi in maius testimonium adiunctis, publice ultroque recognovit, quia die hodierna in domo famati Stanislai Zgrzebny civis Praemisliensis, hic Praemisliae in circulo sita, corpus olim generosi Stanislai Stadniczki de Łanczuth, capitanei Ziguultensis, in villa Ternawa feria sexta post festum sancti Laurentii martyris proxime praeterita (13/VIII) interemptum et hic Praemisliam in praefatam domum Zgrzebnego advectum et depositum, tum etiam vulnus ex pixide globo per collum eiusdem olim capitanei Ziguultensis traiectum in recenti viderunt et debite conspexerunt, de quo hanc relacionem coram officio praesenti fecerunt.

Castr. Praem. ut supra.

Dr. Fryderyk Papée.





RENY.

OBRAZEK Z PÓŁNOCY.

Znając reny tylko z opisów i rysunków, rad byłem poznać te zwierzęta bliżéj. Czekałem z niecierpliwością chwili, kiedy koczownicy Samojedzi zbliżą się ze swemi czumami do miasta. Wreszcie owa chwila nastała. Zasłyszawszy o pojawieniu się renów, pośpieszyłem je obejrzéć.

Najprzód uderzyło mię w oczy to, że rysunki widziane przezemnie nie były podobne do renów żywych. Naprzykład niezgrabne zwierzę w dziele Brehma „Życie zwierząt“ wcale nie daje pojęcia o zręcznem, niezmiernie miłém stworzeniu.

Reny ujrzałem raz piérwszy zaprzężone w sanie, po trzy do każdych sań. Sanie niezmiernie lekkie, na wysokich „kopyłach“, stosunkowo długie, zastosowane do jazdy po głębokim śniegu; za siedzenie służy niewielka deska prawie czworokątna, pokryta skórą rena. Na desce siąść może jeden lub dwu ludzi, z trudnością trzech. Nogi wiszą po bokach sań.

Takie urządzenie sań zadziwi być może tych, co wiedzą, że na północy mrozy dochodzą 40° i wyżéj. My przywykliśmy nogi chować w sanie, okrywać je futrem, Samojed zwiesza je spokojnie z boku. Wié on doskonale, że dzięki swéj odzieży może urągać najcięższym mrozom i wiatrom.

Odziéwa się Samojed w skóry rena. Futro to tak ciepłe i zarazem lekkie, że pod tym względem żadne inne mu nie wyrówna. Natura zabezpieczyła rena od zimna wybornie, może on w swém futrze o niezmiernie gęstéj sierści, wytrzymać najcięższe mrozy, mieszkać w miejscach posuniętych daleko na północ, dając możność istnienia człowiekowi. Samojed bez rena nie mógłby być mieszkańcem tundry.

Ren Samojeda żywi, odziéwa, wozi, daje materyał do budowy czum. Za to wszystko nie potrzebuje od Samojeda nic. Konia trzeba żywić owsem i sianem, ren żywi się sam latem i zimą, przeważnie mchem, wygrzebując go z pod głębokiego śniegu.

— Na rena pracować nie trzeba — mówi Samojed. Rzeczywiście nie trzeba. Ren sam dba o siebie, Samojed eksploatuje tylko jego siły, skóry i w końcu mięso. Mięso stawiamy z umysłu na końcu: dla mięsa Samojed rena nie zabije. Będzie on żywić się byle jak i byle czém, a rena zabije chyba wówczas, gdy ostateczny głód go zmusi. Potrzeba skór częściéj zmusza Samojeda do wydania wyroku śmierci na drogie dla niego zwierzę.

Skóry umieją wyprawiać Samojedzi sami. Trudnią się tém kobiety. One téż bardzo zręcznie szyją odzież ze skóry, do czego używają nici, robionych z żył renów.

Koszul Samojedzi nie znają. Na gołe ciało wdziéwa się „malica“, rodzaj szerokiéj i długiéj koszuli, zrobionéj z futra rena, włosem do środka. Malica nie rozcięta na piersi. Głowa wsuwa się w otwór zrobiony na szyję, przyczém elastyczne futro rozciąga się i po przejściu głowy przez otwór, kurczy się znowu, tak, że futrzany kołnierz szczelnie przystaje do szyi. Malica jest lekka i niezmiernie ciepła, żadne nasze futro nie grzeje tak, jak ona. Nie rozcięta z przodu, nie dopuszcza ona wiatru do nóg i ciała, wada na którą cierpią nasze futra z rozchodzącemi się połami.

Lecz malica — to tylko połowa ubrania Samojeda. Na malicę wdziéwa się „sowik“, także koszula, nie rozcięta z przodu, również z futra rena, tylko sierścią na wierzch. Rękawy sowika lub malicy kończą się rękawicami, w które sypią drobno strugane próchno brzozowe, grające u samojedów rolę pudru; próchno wciąga w siebie pot, przez co rękawice nie wilgotnieją i ręce nie marzną.

Nogi okrywa Samojedowi również ren. Futro z nóg rena używa się jako materyał na rodzaj kamaszy t. zw. „pimy“. Sposób ochrony nóg takiż jak i reszty ciała: jedne kamasze sierścią na wiérzch, drugie sierścią do ciała. Pimy zachodzą daleko za kolana. Na silnych mrozach nie przemakają one, u nas byłyby całkiem niepraktyczne. Malica i sowik również mają dla nas złe strony, pomimo, że są cieplejsze i lżejsze od naszych futer: mianowicie brak wentylacyi. Bywają chwile, kiedy w malicy tak gorąco, że doznaje się uczucia duszności, strasznie bolesnego i męczącego, a na piersiach w celu wentylacyi roztworzyć malicy nie można. Malica i sowik są tanie, około 20 rs. każda, lecz do podróży wygodniejsza choć droższa „dacha“, szerokie i długie futro z kołnierzem, z rozchodzącemi się połami, kryte z wierzchu skórkami młodych renów,

sierścią na wierzch, podbite jakim bądź innėm futrem lub temiż renami. Skóry renów są u nas nieznane. Myślę, że mogłyby skutecznie konkurować z baranami, są one cieplejsze, lżejsze; nie droższe od baranów — nie śmierdzą. Co się tyczy trwałości, to Samojedom malica i sowik noszone bez przerwy służą na dwa lata. Noszone po naszemu starczyłyby tak długo, jak baranki, przewyższając je ciepłem i lekkością. Sierść z nich wyłazi łatwiéj, niż z innych futer, lecz nie tak znowu obficie, aby to stanowiło wadę, dla któréj nie możnaby futer renów używać. Na tanie futra, kurtki do gospodarstwa i polowania, na futerka dla dzieci, są one bardzo stosowne.

Odziany w malicę, sowik, pimy, czapkę z uszami z futra młodego rena, Samojed nie boi się żadnych mrozów. Siedzi spokojnie na deszczułce swoich sanek, nocuje w chłodnym czumie na śniegu, to jest prawie tak, jak pod gołem niebem. Ciepło mu w skórach renów i wygodnie, bo lekka odzież ruchów nie krępuje.

Kobiety noszą malice naszywane kolorowemi kawałkami sukna, z rozchodzącemi się połami. Sowik i pimy, jak u mężczyzn.

Lecz wróćmy do renów.

Reny, jak mówiłem, ujrzałem raz pierwszy zaprzężone w sanie. Sań było 5, po trzy reny u każdych. Każda trójka była dobrana wzrostem i maścią. Reny były białe i siwo-kasztanowate, prawie wszystkie bez rogów, dwa czy trzy tylko miały po jednym rogu.

Większość ich leżała na śniegu. Dla nich to wyborne posłanie.

Zapytałem Samojedów, gdzie podziały się rogi renów.

— Odpiłowaliśmy je (było to w końcu stycznia). Około Zwiastowania nowe wyrosną. Na wiosnę odpiłować nie można, bo krew cieknie wówczas i ren zginąć może, teraz to można.

Rogi mają zarówno samcy, jak i samice. Zrzucają je corok. Na lato wyrastają nowe. Z początku są one pokryte sierścią, późniéj skórka z sierścią odpada, róg staje się martwym i może być odpiłowany.

— Czy można po rogach poznać wiek?

— Nie!

— Po czémże poznajecie? może po zębach?

— Nie, tak wiemy, ile któremu lat.

— Czém je żywicie? Siano, lub chléb jeść będą?

— Niektóre jedzą chléb, a siana nie dajemy. Reny lubią biały mech i tylko nim żyją.

Siadłem na sanki. Samojed zagadał do trójki leżącéj na śniegu, reny wstały i przygotowały się do jazdy. Obok mnie usiadł

Samojed z długą żerdzią sosnową w ręku, służącą do kierowania renów, i puściliśmy się w drogę,—od miasta do czumu Samojedów.

Drogę zrobili Samojedzi lasem, wybierając miejsca nie uczęszczane,—reny boją się koni,—konie renów,—wskutek czego dla spacerów lepsza droga ustronna.

Jechaliśmy szybko. Reny biegły wyciągniętym kłusem,—jeden galopem. Kłus renów jest tak szybki,—jak konia, pomimo że ren znacznie mniejszy.

Przypatrzyłem się swemu woźnicy. Włosy miał ciemno-kasztanowate i słaby rudy zarost na twarzy. Samojedzi, są wogóle bruneci, bez zarostu. Widoczna więc była domieszka innéj krwi.

— Ty Samojed?—zapytałem.

— Samojeda,—piszę się Samojeda,—odpowiedział. My Samojedy, naród—ot także Cygani... Tu urwał.

Dla czego Samojedowi przyszli na myśl Cygani? Porównał on własne nędzne włóczęgowskie życie z cygańskiém i znalazł podobieństwo. I tu i tam nędza, biéda, niewygody. Zdziwi się może nie jeden z czytelników, skąd Samojed zna Cyganów. Odpowiedź łatwa—są oni i na północy. Handlują końmi, wróżą, żebrzą, prowadzą zupełnie taki sam rodzaj życia, jak u nas. Latem w szatrach płóciennych,—zimą tulą się u włościan. Cygan mniéj jest wytrwały na mróz od Samojeda.

Reny przeniosły nas szybko do czumu. Powitała nas na wstępie para psów. Oba nie wielkiego wzrostu, o długiéj, nie kędzierzawéj sierści. Jeden biały z czarnemi łatkami,—drugi jasno-żółty. Psy niezmiernie łagodne,—żaden nie zaszczekał, żaden nie rzucił się na obcego.

Wszedłem do czumu. Czum jest to namiot stożkowaty utworzony z żerdzi, pokrytych skórami renów. U wierzchu,—otwór na dym. Wejście zasłonięte skórą rena. W środku czumu blacha na której rozkłada się ognisko. Pod blachą jama wykopana w śniegu—blacha opiera się na dwóch równoległych żerdziach. Nad ogniem dwa kociołki: w jednym gotuje się jedzenie,—w drugim topi się śniég na wodę. Po obu stronach ogniska, na śniegu rozciągnięte skóry. To posłanie dla dwu rodzin samojedzkich.

Poszukałem wskazówek, czém żywią się Samojedzi. W kociołku były resztki stokfisza.

— Stokfiszem żyjecie?

— Stokfiszem,—flakami.

— A mięso renów jécie?

— Rzadko. Dla skór chyba zabijamy.

Wyszliśmy z czumu. Z lasu zbliżał się do nas ren. Podszedł i zaczął chciwie jeść śniég w miejscu, gdzie można było podejrzé-

wać nieco soli. Reny sól niezmiernie lubią, choć tego przysmaku nigdy nie dostają. Samojed nie może robić zbytecznych wydatków. „Nie nasze kapitały“, mówi on.

Z powrotem, do miasta reny biegły nie tak ochoczo jak do czumu. Ciągle starały się one zawrócić napowrót, wskutek czego Samojed kilka razy musiał złazić z sani i reny na właściwą drogę naprowadzać.

Poznałem reny,—lecz wiele stron ciekawych zostało dla mnie nieznanych. Nie widziałem renów w stadzie; nie widziałem jak dostają mech z pod śniegu, nie widziałem jak zbierają je Samojedzi przy pomocy psów, jak łapią. Postanowiłem z tém wszystkiém bliżéj się zapoznać.

Umyśliłem pojechać do czumu raz drugi. Idąc zabrałem z sobą chléb dobrze osolony i siano. Chléb reny jadły bardzo chętnie,— siano z mniejszym apetytem. Jadąc do czumu powiedziałem, że chciałbym widzieć, jak reny się łapią.

— Możemy pokazać, jeśli stado blizko.

Stado zastaliśmy blizko czumu,—o parę set kroków. Widać było reny pomiędzy drzewami. Biały śnieg, zielone młode sosny, reny między niemi,—był to śliczny obrazek, pożałowałem, że nie jestem malarzem.

Samojed zlazł z sań i poszedł w kierunku stada; wołając na psy: lo! lo! Psy ochoczo skoczyły na to znane wezwanie. Raby pies jako starszy zachowywał się poważniéj, lecz żółty, młody, rwał się naprzód. Widocznie spędzanie renów do czumu było dla niego ogromną uciechą. Gdy Samojed krzyknął na młodego zapaleńca, i ten spokojnie zaczął iść obok starego psa. Psy były wybornie tresowane.

Poszedłem z Samojedem. Zbliżywszy się do stada na sto kroków, Samojed puścił psy.

— Ho, ho! hej, hej!—zachęcał on i bez tego ochocze pieski. Psy puściły się szybko ku renom, szczekając ciągle, jak gończe, gdy zwierza gonią. Na głos psów stado porwało się i rozdzieliło na dwie części: jedna poszła na prawo,—druga na lewo.

Psy zaczęły „okładać“ tę część stada, która poszła na prawo. Zwróciły one reny w stronę czumu i przypędziły prawie tuż do nas. Wreszcie, widząc, że reny idą prosto do czumu, porzuciły je i wróciły do miejsca, skąd reny zostały ruszone: tam została druga połowa stada,—należało i tę przypędzić.

Po chwili usłyszeliśmy szczekanie. To psy „okładały“ drugą połowę stada. Wreszcie z pomiędzy drzew pokazała się reszta renów. Całe stado było przed czumem.

Samojedzi wzięli arkany do ręki. Reny, widząc na co się zanosi, zwróciły się napowrót do lasu, lecz psy, szczekając zawzięcie, odcięły im drogę. Chcąc niechąc, reny zwróciły się napowrót do czumu. Arkan świsnął w powietrzu i jeden z renów został złapany za szyję. Inny Samojed również zręcznie złapał drugiego rena. Wprawa w rzucaniu arkanu—wyborna.

Psy stały na straży stada i każdego okazującego chęć do ucieczki rena zwracały napowrót. Wreszcie Samojedzi odwołali psy ku wielkiemu niezadowoleniu młodego, który okazywał chęć upędzania się daléj. Reny znikły między drzewami.

Wróciliśmy do domu, lecz dla mnie tego było mało. Na drugi dzień namówiłem kolegów pójść do lasu rano, by zobaczyć reny na pastwisku. Idąc, nie zapomniałem zabrać z sobą chleba z solą.

Przyszliśmy do czumu, gdy Samojedzi jeszcze spali. Przed czumem zastaliśmy około dziesiątka renów,—reszta stada, składającego się z głów 40, była w lesie. Dostałem z kieszeni kawałek chleba i pokazałem renom. Jeden podbiegł do mnie natychmiast,—za nim reszta—zostaliśmy okrążeni przez miłe stworzenia. Reny zwietrzyły chleb w kieszeni i przypuściły do niéj atak. Dzieliłem stadko chlebem,—w końcu i chleba nie stało. Ale reny nie porzucały nas, i ciągle szukały chleba w kieszeniach, choć te były dawno puste. Żałowałem, że nie było chleba więcéj.

Nakarmiwszy reny chlebem, chciałem poszukać reszty pasącéj się w lesie. Samojedzi wstali i wyszli na nasze spotkanie. Na pytanie, gdzie reszta renów, odpowiedzieli:

— Idźcie za temi,—one was doprowadzą do stada.

— Kiedy te same za nami stadem chodzą i opuszczać nas nie myślą.

Samojedzi zwrócili się w stronę, gdzie leżały arkany. Arkany świsnęły w powietrzu,—i w obu razach pudło—reny nie zostały złapane. Lecz tak być powinno. Samojedzi nie łapali renów, lecz chcieli je odpędzić. Psy chciały obłożyć stado, lecz Samojedzi zmusili je do odwrotu. Reny znikają między drzewami.

Koledzy nie chcą iść za renami po głębokim śniegu. Puszczam się w drogę sam; Samojed chce iść razem zemną: tylko zjé obiad.

Wchodzimy do czumu, gdzie zastajemy obie rodziny Samojedów. Nad rozłożoném ogniskiem wisi kocioł. Jedna z kobiet jeszcze śpi. Gospodarz naiwnie objaśnia przyczynę, dla któréj żona jego towarzysza nie wywczasowała się. Gołe trzyletnie dziecko stoi wśród czumu i przypatruje się nam uważnie. Matka krzyczy na dziewczynkę, aby się ubrała,—ta narzuca na siebie swą malicę.

W kotle kipi jakaś brudna polėwka. Samojedka dosypuje do kotła garść mąki i miesza drewnianą łyżką. Psy patrzą bacznie na kocioł i na kawałki chleba rozłożone na blasze, służącéj za podstawę dla ogniska. Są to kawałki chleba, zebrane żebraniną w mieście.

Nędza!

Obiad jeszcze nie gotów. Gospodarz zabawia nas rozmową.

— Czemu nie jécie mięsa renów? pyta mój kolega.

— Nie dla nas,—nie nasze kapitały; flaki tańsze.

— A mięso surowe jécie?

— Jemy i surowe i krew ciepłą pijemy.

— Reny doicie?

— Nie.

— Ile płaci się za rena?—zapytałem.

— Około 10 rs.

— Jak myślicie, mogłyby reny żyć bez mchu,—trawą i sianem?

— Kto je wié... latem trawę jedzą.

— A w cieplejszym kraju mogłyby żyć?

— A Ryga od was daleko?—zapytał Samojed.

— Nie bardzo.

Tam byli nasi. Lato całe byli. Reny nic,—żyły, zarobili pieniędzy. Przez wodę przeprawiali się na renach,—wszyscy schodzili się patrzyć.

— W jakiż sposób odbywa się przeprawa?

— Reny płyną. Sanie płyną za niemi, a my trzymamy się za sanie.

— A psy wasze żyłyby u nas?

— To napewno.

— Czém je karmicie?

— Co zostanie od obiadu,—to ich.

— Czy wszystkie psy takie łagodne, jak te?

— Nie,—w tundrze są złe,—te co nie bywały na Rusi i ludzi nie znają,—te kąsają.

— Czy wszystkie takie małe jak wasze?

— Prawie wszystkie. Są większe, lecz nie o wiele.

— A do polowania zdadzą się wasze psy?

— Chodzą, nawet za kaczkami i gęśmi.

— Węch dobry mają?

— Dobry. Latem reny idą daleko od czumu,—5 wiorst i więcéj,—psy zawsze znajdą—„na nos biorą“.

Wszystkie psy na północy,—i kudłate Samojedów i z krótszą sierścią (lecz większego wzrostu) w miejscowościach posuniętych bardziéj na południe, mają doskonały węch i dają się układać do po-

lowania na ptastwo, mianowicie na cietrzewie, głuszce i kaczki. Psy te z kształtu mordy i stojących uszu podobne są do lisa.

Kiedy tak bawiliśmy się rozmową, flaki w kociołku ugotowały się i Samojedzi zabrali się do jedzenia. Flaki zostały wyciągnięte z kociołka i Samojedzi zaczęli krająć je na mniejsze kawałki w poszczerbionych miskach, poczém posolili i zabrali się do jedzenia.

Psy łakomie patrzyły na nędzną strawę, oczekując kolei, lecz same nie ruszały nawet tych kawałków chleba, co leżały przed niemi na blasze.

— Bez nas —mówi Samojed —możeby i zjadły chleb, przy nas nie ruszą.

Wreszcie obiad się skończył. Samojedka zaczęła zbiérać przesuszone kawałki chleba. Jeden wpadł w jamę wykopaną pod blachą. Pies rzucił się i zabrał kawałek jak swoję własność. Niedojedzone resztki zostały wylane w korytko drewniane, psy podjadły, poczém wyszliśmy z Samojedem z czumu. Rad byłem, że dostaliśmy się na świeże powietrze z dziury, w któréj dym oczy wygryzał.

— Dla czego nie budujecie domów — spytałem — czyż w domach nie lepiéj?

— W domach lepiéj, lecz z renami źle. Ren szuka paszy, dla rena trzeba koczować. Domu nie przeniesiesz, jak czum, gdy pasza w jedném miejscu zostanie zjedzona.

Idziemy długo świeżemi śladami renów. Po drodze spotykamy obszerne place z rozgrzebanym śniegiem. Tu reny szukały sobie paszy. Z pod śniegu widać zielony mech i krzaczki jagód-borówek. Lecz śladu jeszcze nie widać.

Idziemy daléj, brnąc w niezmiernie głębokim śniegu. Wreszcie las rzednie, kończy się, ustępując miejsca torfowisku, porosłemu karłowatą jedliną. Na skraisku lasu widać stado renów. Rozdzieliły się one i pojedynczo szukają żywności, dostając ją z pod głębokiego śniegu. Obrazek prześliczny.

Na widok takiego stada renów, choćby swojskich, u każdego myśliwego krew zaczyna żywiéj krążyć; dziki ren jest zupełnie podobny do domowego.

Przypatrujemy się stadku. Psy niecierpliwią się, rade one rozpocząć polowanie. Wreszcie Samojed daje pozwolenie. Psy rzucają się naprzód, szczekając, okładają stada i pędzą je prosto na nas.

— Licz, ile sztuk—mówi mi Samojed.

Liczę, trzydzieści. Dziesięć poszło w stronę. Tu Samojed zaczyna przypatrywać się śladom.

— Są wszystkie reny, na które dziś koléj do zaprzęgu. Reszty możemy nie szukać.

Psy pędzą stado na ścieżkę udeptaną przez reny do czumu. Reny zaczynają iść jeden za drugim—gęsiego. Psy widząc reny na dobréj drodze, przestają szczekać i idą spokojnie za ostatnim renem.

Stado podchodzi do czumu. Tu psy mają robotę, reny trzeba zapędzić do zagrody.

Zagroda utworzona z kilku zestawionych sani i arkanów, trzymanych przez Samojedów za jeden koniec, gdy drugi zarzucony na sanie.

Reny nie mają chęci wejść do zagrody i rozbiegają się w różne strony, lecz psy nie próżnują. Okładają one stado i zawracają do czumu, kierując je ku zagrodzie. Młody, żółty pies niezmiernie zadowolniony, że może upędzać się za renami, i gdy te w końcu wbiegły do zagrody, to biédna psina smutnie opuściła ogon; radaby ona jeszcze pogonić, lecz na teraz—skończone.

Stado stanęło w ciasnéj zagrodzie, smutnie oczekując niepożądanego zaprzęgania. Samojedzi łapali reny, dobiérając trójki według wzrostu i maści, białe z białemi, ciemne z ciemnemi. Pięć trójek złapano, reszta została wypuszczona z zagrody.

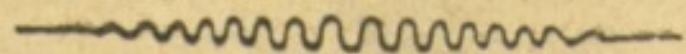
Młody znowu pies okazał chęć zawrócenia stada, lecz okrzyk Samojeda powstrzymał te zapędy. Reny znikły w lesie. Połapane trójki poprowadzono do sań i rozpoczęło się zaprzęganie. Uprząż Samojedów bardzo prosta. Na głowę rena nakłada się uździenica, zrobiona ze skóry i kości, zawiązywana za rogami. Powód uździenicy przywiązany do szerokiego popręgu skórzanego drugiego rena, aby reny w biegu nie rozchodziły się. Naszelnik nałożony na kark zastępuje chomąto. Przywiązany do naszelnika rzemień ze skóry morsa spełnia rolę postronków.

Rzemień ów idzie do sań między przedniemi i tylnemi nogami rena, jeśli ten jest środkowy, gdy zaś zaprzężony z boku (w trójce), to rzemień przechodzi tylko między przedniemi nogami, z boku tylnych. Ren więc ciągnie karkiem, uprząż wogóle niewygodna, choć bardzo lekka.

Sanie są w użyciu latem i zimą, co Samojedzi objaśniają tém, że na tundrze wiele jest kępin, a więc użycie kół niemożebne. Tylko, latem Samojedzi zaprzęgają nie trzy reny, lecz sześć lub pięć, jeżdżą zaś również szybko. Dziennie reny bez popasu robią 100 wiorst. Należy tylko co 10 wiorst dać im trochę wypocząć. Biegną reny z szeroko otworzoną paszczą, co im ułatwia oddychanie.

— Przez to one nigdy nie potnieją—utrzymuje Samojed.

I—licz.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Głód po przednówku. — Ulga w ratach Towarzystwa Kredytowego. — Chłopi i wyrobnicy wobec klęski głodowéj.—Sen Faraona w naszych stosunkach.—Odpowiedź na pytanie: co będzie? — Prawo Malthusa na gruncie naszym.—Klęska rolna we Francyi.—U nas inaczéj.—Lichwa potrzebą społeczną.—Letnie mieszkania pod Warszawą.—Rażący przykład gospodarki niedołęstwa.—Nawet kolej Wiedeńska. — Wychowanie jako źródło piérwsze naprawy. — Bankierzy i przemysłowcy drugą siłą ratunkową. — Budżet ekonomiczny sąsiadów.—Wybory i tryumfy wyborcze.—Tajemnica zwycięztw stronniczych.—Nudny sejm i ciekawe przygotowania.—Ujejski poprzednikiem Asnyka.

. . . .

U nas drobne kapitały nie znają co to ryzyko, istnieją tradycyjne dróżki, po których kredyt krąży uporczywie: hypoteka, weksel z pewném poręczeniem na wysoki procent. Nie praca, nie spryt dają podstawę do marzeń o zarobku, ale lichwa, która się téż stała potrzebą nieodzowną naszych stosunków i nawyknień. Urzędnik, którego życie, napięte wyżéj niż pozwala stan jego, spycha w deficyt kilkadziesięciu lub kilkuset rubli rocznie, nie pojmuje, nie zna innego ratunku, jak pożyczki na 24%, 48% i t. d., nie licząc opłat za prolongatę. Popytajcie w biurach urzędników, rejestrujących areszty, kładzione przez wierzycieli na pensyach, a obaczycie straszną ranę, jaka bodaj czy gdziekolwiek w roztropniejszych społeczeństwach istnieje. Drugi urzędnik zaoszczędził nieco grosza, ten znowu nie pojmuje i nie wyobraża sobie, aby je mógł inaczéj ulokować, jak kupując premiówkę, albo pożyczając koledze na 12%. To nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe.

Gazety trąbiły, że akcye kolei Wiedeńskiéj są złotym interesem—czy je u nas kupowano? Nie, to już zbyt wielkie ryzyko a za mały zysk. Świéżo znowu zjawiły się w dziennikach skargi, że nawet banki chętniéj zdyskontują wątpliwe weksle lichwiarskie, niż

udzielą pomocy wybijającemu się przemysłowcowi. Jakże tu przy tych warunkach wzrastać może bogactwo proporcyonalnie do wzrostu ludności?

Nieustannie mam przed oczyma krzyczący przykład naszéj niezaradności. Warszawa, zostawszy dużém miastem, potrzebuje letnich mieszkań. Jestto potrzeba stała, która nie zniknie jak moda, nie zniknie jak sztucznie wytworzony popyt, nadaje się słowem do przedsiębiorstwa. Wszędzie na świecie to istnieje, w okolicach wszystkich miast są wille, letnie domki i t. d. Tymczasem kapitał nie wyzyskał wcale tego otwierającego się pola, bardzo jak dotąd zyskownego. „Letniacy" mieszkają w chałupach dawniéj istniejących, albo w barakach, świeżo wystawionych, w ścianach ze szparami, pod dachem, nie chroniącym od deszczu; bez żadnych wygód, bez piwnicy, bez kuchni jakiéj takiéj, z sypiącą się z pułapu glinką, nieraz z gnojowiskiem pode drzwiami. I za to się płaci 50 do 100 rs. za dwa pokoiki. Nigdzie tylu niewygód nie spotyka się z tak wygórowaną ceną! Gdzieindziéj cywilizowany człowiek nie chciałby mieszkać w norach podobnych, trzeba naszego niedołęstwa i poprzestawania na tém co jest, aby dać się obdziérać i nic za to nie wymagać. Kapitał 1000 rs., włożony w to przedsiębiorstwo, przyniósłby z pewnością 200 rs. czyli 20% pewnego, stałego zysku, a ludności Warszawy oddałby wielką przysługę.

Chłopi, odnajmujący letnie mieszkania, nie pojmują zupełnie swego interesu. Ciągną zyski po lichwiarsku, rabunkowo. Nie rozumieją, że niesłychanie drogie w ich stosunkach komorne jest dla nich dobrodziejstwem, które szanować powinni. Oszukują na czém tylko mogą, nie oszczędzają ani jednéj przykrości, jak gdyby, biorąc wygórowaną cenę, łaskę jeszcze robili; nareszcie nieraz kradną. Słowem kompletny obraz zwykłéj u nas gospodarki.

Domki letnie tworzą kolonie po 10, 20, 30 sztuk koło stacyi kolei żelaznéj, czyli mieszczą po 20, 40, 60 rodzin, potrzebujących codzień pieczywa, mięsa i t. d. Gdzieindziéj zakładają się zaraz sklepiki letnie, przekupnie roznoszą towary po domach; tutaj jeżeli nawet coś podobnego istnieje, to w tak nieudolnéj formie, bez organizacyi, bez oparcia stosunków na wzajemném zaufaniu, że świeże powietrze okupywać potrzeba brakiem porządnego pożywienia i innych rzeczy niezbędnych, a nieraz po najzwyklejsze przedmioty koniecznie wypada czynić kosztowne wycieczki do Warszawy. Jednocześnie w lesie wśród dzieci i kobiét spotkać można barczystych mężczyzn, widocznie silnych jak atleci, którzyby bez wysiłku dźwigać mogli tłómoki z towarami, dążących z dzbanusz-

kiem po tradycyjne jagody. Jęczą późniéj, błagają o litość, klnąc się, że to owoc ich całodziennéj pracy, byle tylko zamiast złotówki czterdziestkę wyłudzić. Nawet koléj Wiedeńska i Bydgoska, którym najłatwiéj byłoby się dowiedziéć, jakie są gdzieindziéj porządki, tak mało dba o wygodę publiczności i o zysk własny, że pomimo dwu torów nie powiększa wcale na lato ilości pociągów. Tylko w święta i w niedzielę dodany został j e d e n pociąg spacerowy i takowarowany różnemi utrudnieniami, że biedny warszawiak, spragniony pól i lasów, więcéj ma przykrości niż oszczędza pieniędzy.

Jednèm słowem, wszędzie, gdzie się obrócić, widzimy nie zdobywanie coraz lepszych warunków wstępnym bojem pomysłowości, energii, pracy, ale tylko spychanie życia z dnia na dzień. Wobec tego ratunek od klęsk żywiołowych bardzo trudny. Posiadamy prawdopodobnie tyle kapitałów i kapitalików, że gdyby te wypełzały ze swych kryjówek, to dałoby się zatrudnić ludzi, nie mających co jeść z powodu nieurodzaju. Sprowadzamy tyle jeszcze różnych przedmiotów z zagranicy, że z wielką łatwością można byłoby znacznie powiększyć wytwórczość miejscową i pokryć niedobór otrzymamy z ziemi. Ale do tego potrzeba przedsiębiorczości, energii, odwagi.....

Naturalnie, nic na świecie nie istnieje bez przyczyn i nasze niedołęstwo znajdzie w przeszłości wystarczającą przyczyn liczbę. Ta bogata Francya do swéj dzisiejszéj zamożności przyszła przemysłem ludzkim, krwawą pracą wielu pokoleń. Tam widzimy nieprzerwany prawie szereg wielkich mężów, wysilających swój geniusz i potęgę dla stworzenia materyalnéj podstawy bytu i dobrobytu: Colbert, Turgot, Quesnay, Mirabeau, Necker i t. d. i t. d. Ludność miała przyczyny, czas i pole do rozwinięcia ducha przedsiębiorczości. U nas bywały tylko krótkie chwile zajęcia się rozwojem ekonomicznym. Tém większe zadanie ciąży na teraźniejszości.

Co roku na tém miejscu zwracamy uwagę rodziców na kierunek wychowania ich dzieci. Te ścieżki, po których oni sami kroczyli, oddawna już porosły chwastem, nikt się już przez nie przedrzéć nie zdoła. Dziś tylko maleńka cząstka gnuśniéć może na posadach, reszta walczyć o byt potrzebuje. Do téj walki dzieci nasze przygotowywać potrzeba. Miesiąc temu otrzymane w uniwersytetach patenty, postawiły przed kilkoma setkami młodzieży trudne pytanie: co z tym pergaminem robić, gdyż przestał on już być laseczką czarnoksięską, która sezamy biur otwiéra. Za półtora miesiąca znowu setki niemal młodzieży znajdzie się na bruku petersburskim, nie wiedząc co począć nietylko z jutrem, ale z życiem całém, do instytutów rzadki szczęśliwiec się dostanie, a do niczego

innego nie są przygotowani. Pracę trzeba umiéć upatrzyć, wyszukać, rozpocząć od pierwszego szczebla, a oni ręce, myśl i wiedzę mają przypasowaną do stworzonych przez innych stanowisk dyrektorskich.

Prócz zmienionego wychowania do zdobycia umiejętności życia potrzeba zachęty. O Colbert'ów i Turgot'ów trudno, ale mamy potężnych bankierów, przemysłowców, w których mocy wiele spoczywa. Ambicya ich sięga nieraz po laur zasługi obywatelskiéj, nigdzie zaś wdzięczniejszego pola znaleść nie zdołają, jak krzewiąc wśród społeczeństwa przymioty niezbędne do rozwoju. Można, lub przynajmniéj można próbować szersze koła wciągać do udziału w życiu ekonomicznéin. Należy dać zachętę i opiekę przejawiającéj się przedsiębiorczości. Talenty nieraz wyszukiwać trzeba i wyprowadzać na szersze pole. W wielu jeszcze instytucyach naszych patent ma pierwszeństwo przed zdolnością i umiejętnością. Poczynający pracę nie ma częstokroć dostatecznéj zachęty i wié, że buława marszałkowska leży w sferach dlań niedostępnych. We Francyi lub w Niemczech, jakiś nawet robotnik kolejowy ma przed sobą nadzieję objęcia stanowiska zwrotniczego, nadkonduktora, naczelnika stacyi, to zwykłe szczeble drabiny, dojdzie do posady, na któréj już będzie miał sposobność wykazać gorliwość, przytomność umysłu, zdolności. U nas żaden poczynający swój zawód młodzieniec, podobnie śmiałych nadziei żywić nie może, gdyż zanim nadejdzie czas wakansu, tylu już obywateli zbankrutuje, że wszystkie posady będą szczelnie obsadzone.

Trudność lub łatwość przebycia kryzysu głodowego zależéć będzie w znacznym stopniu od wypadku budżetu ekonomicznego sąsiednich krajów. W téj chwili jednak człowiek, nie szperający w organach specyalnych, nic o tém wiedziéć nie może, wszystko utonęło w nieustannie burzonych falach polityki. Mniejsza nawet o oczekiwanie wojny: znaczna część publiczności poradziła sobie jak gnuśniejsza połowa dziewic biblijnych, którym to zabrakło oliwy do lamp i ochoty do nieustannego czuwania. Ale w tym roku uwagę publiczną zajmowały, więcéj, pochłaniały wybory. Najprzód wybór liberała brukselskiego nabawił niemałego kłopotu konserwatywne ministeryum, spodziewano się awantur. Potém niewinne wybory do rad jeneralnych we Francyi, nabrały znaczenia europejskiego, bo wynikło pytanie, czy „sprawiedliwość ludu nieomylnego“ stoi po stronie Boulangera, czy téż przeciwko niemu. Zwłaszcza że wybory powszechne do izby za pasem, ważyć się będzie los republiki, więc naturalnie już dziś każdy krok mężów politycznych przedewszystkiém ma na widoku tę ważną chwilę. Na

dobitkę, wielką niespodziankę, a więc i wrażenie, przyniosły wybory do sejmów austryackich. Najprzód młodoczechy zadali nadspodziewanie dotkliwą klęskę staroczechom; a następnie w Galicyi Rusini uzyskali krzesła nowe, a chłopi, których w przeszłéj kadencyi nie było zupełnie, weszli do sejmu w liczbie sześciu. I jeszcze nie koniec niespodziankom; w Krakowie, siedlisku stańczyków, demokrata Asnyk pobił konserwatystę Mayera.

Tyle faktów musiało być dostatecznie przeżutych i przetrawionych przez pisma. Głębokie maksymy i aforyzmy, wnioski i przepowiednie zapychały szpalty dzienników. Okazało się więc, że młodoczesi i demokraci galicyjscy uważają rezultat wyborów za doniosłe znamię chwili, za fakty świadczące, iż kraj przejrzał, a opinia wchodzi na drogę właściwą. Staroczesi zaś i stańczycy widzą, iż ludność obałamucona wchodzi na bezdroża, a ich klęska piętno hańby rzuca na wsie i miasta.

Dla człowieka, którego te sprawy żywo obchodzą, który je obserwuje wedle możności szczegółowo, ale który stoi zdala, po za sferą odurzenia namiętnościami walki; dla człowieka takiego cały rwetes przedwyborczy i późniejsze kręcenie i kiwanie głowami wydawać się musi nieco kłamstwem konwencyonalném i udaną powagą augurów, starających się nawet siebie przekonać, że po za dymem kadzideł kryje się tajemnica nieśmiertelnéj potęgi, łaski i sprawiedliwości.

Niepodobna przecie przypuścić, aby polityczni ludzie w Pradze lub we Lwowie, a témbardziéj w Londynie i Paryżu nie rozumieli, że wynik zwyczajnych wyborów bynajmniéj nie świadczy o usposobieniu umysłów, o początku jakichś zmian doniosłych itd. Francya jest w kilka miesięcy inną, republikanizm jéj nieustannie to wzrasta, to maleje, jutro większość może być monarchiczną, pojutrze socyalistyczną i znowu wrócić do monarchii; a pomimo to polityczni augurowie nie przestaną w każdym wyniku upatrywać wymiaru sprawiedliwości wszechwładcy-ludu. Toż samo w Anglii i w Belgii, gdzie raz zwyciężają konserwatyści i znowu po pewnym czasie do władzy wracają liberali i tak w kółko, a zawsze prasa wita wschodzące słońce Ormuzda, które nie zagaśnie już nigdy. Czyżby w tych najbardziéj wyrobionych politycznie krajach ludzie zmieniali co lat kilka przekonania? Bardzo to wątpliwe, a zresztą równie podatnéj na wszelkie powiewy fali nie godzi się może nazywać przekonianiami: nie tworzy ona siły społecznéj, na któréj dałoby się oprzéć jakąkolwiek trwałą rachubę.

Wobec tego ogłaszanie tryumfów młodoczechów i demokracyi dla kogoś stojącego po za tamtejszemi stronnictwami w żaden sposób wydawać się nie może wielce znamiennym faktem.

Tajemnicę wyborów dosyć jaskrawo oświetlają cyfry, podane przez jednego z dziennikarskich bojowników naszéj demokracyi, p. E. Przewóskiego w „Przeglądzie Literackim“ „Kraju“:

„Przy opracowaniu nowego projektu reformy wyborczéj ułożono tam prymitywny bardzo kwestyonaryusz dla przekonania się o stopniu wykształcenia szerszych mas ludności. Wzięto tedy na egzamin żołnierzy, którzy przeszli obowiązkowych sześć lat szkół początkowych i oto jaki otrzymano rezultat. Pytano się np. jakie są cztery główne miasta w kraju i nad jakiemi wodami leżą? Na pytanie to 35 na 100 nie dało żadnéj odpowiedzi, 44 tylko cząstkową, 21 zaś jedynie dało odpowiedź zadawalniającą. Na pytanie: kto stanowi prawa? 50 na 100 nie mogło dać żadnéj odpowiedzi, 28 odpowiedziało, że prawa stanowi sam król lub razem z królową (w konstytucyjnéj Belgii); inni jeszcze zgadywali, że przez ministrów, senat itd.; tylko 15 dało w tym względzie odpowiedź rzetelną. Gdy pytano się o sławnych Belgów—67 na 100 zacytowało głośnych cudzoziemców najrozmaitszego rodzaju, pobranych z różnych krajów, 20 na 100 umiało zacytować tylko króla Leopolda I, lub Leopolda II (króla panującego obecnie).“

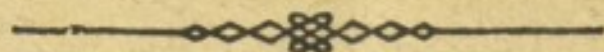
Tak rzeczy stoją w wysoko cywilizowanéj i wykształconéj Belgii. Opowiadano mi, iż niedaleko Paryża istnieje wioska Trou, któréj mieszkańcy przyjmując udział w wyborach i głosując na republikanów, stale odprawiają modły zbiorowe za króla panującego (po cesarstwie). Cóż wobec tego dziać się musi w ciemnéj Galicyi lub w nieco bardziéj ucywilizowanych lecz niewyrównywających Belgii Czechach? Są rzeczywiście szczególne przykłady naiwności wyborczéj. W Łańcucie głosowano do sejmu lwowskiego na... cesarza Franciszka-Józefa (szczęście jeszcze, że nie ś. p. Rudolfa). Nie podobna przypuszczać, ażeby chłop lub mieszczanin krakowski czy lwowski wiedział dokładnie co sejm oznacza, jakie ma zadania, jakie doń wejść powinny żywioły, a już całkowicie pojąć nie jest w stanie, jakiego rodzaju przepaści dzielą szanownego Prezesa akademii od również szanownego poety Asnyka. O jednego pracach nic nie słyszał, drugiego poezyi nie czytał. Poprostu, odrzuciwszy mistyczny język stronnictw, rezultat zależy od agitacyi. Masa ludności mów wyborczych nie rozumié, właściwymi kierownikami wyborów, „nauczycielami politycznymi ludu“ są nie ci panowie we frakach, którzy górnie deklamują z mównic, ale pokątni faktorowie, nie zawsze nieprzebierający w środkach, aby dla swego kundmana jak najwięcéj głosów zwerbować.

Sejmy i wybory nasuwają z konieczności jeszcze jednę uwagę. Wiadomo powszechnie, że ostatnie posiedzenia sejmu lwowskiego

były dość nudne, wcale nie zajmowały publiczności, o drzémkę przyprawiając posłów, którzy téż w nieznacznéj liczbie przychodzili na posiedzenia. Marszałek, aby uniknąć skandalu, zmuszony bywał czasami otwierać obrady przy liczbie mniejszéj niż regulamin pozwalał. Kiedy przeciwnie, walka wyborcza jest gorącą, głośną, zajmującą. Na sejmie mówi się o drogach, na wyborach o demokracyi i arystokracyi. Do sejmu należą szpitale, na wyborach zaś chodzi o to, czy górę weźmie pan A. czy B. Zadania sejmu przeważnie nie są charakteru politycznego, a kwalifikacye na posłów podają się wyłącznie polityczne. Krzesło jest jedynie zaszczytem. Gdy całe zadanie kończy się na wyborach, na posiedzenie nie ma już istotnie po co chodzić. Posłowie w znacznéj części ani się znają ani interesują szpitalami, szkołami, skądże obrady mogą być pouczające lub zajmujące. Bodaj czy nie ważniejszym faktem niż wybór sześciu chłopów, jest upadek dwu techników, których w następującéj sesyi nie będzie wcale, i prof. Małeckiego, który był znawcą spraw szkolnych.

Gdyby przytém godność poselska traktowana była jako ciężki obowiązek, mniejby wir polityczny pochłaniał ludzi potrzebnych na innych polach. Poświęcenie się wyłączne sprawom politycznym wszystkich pierwszych głów kraju bynajmniéj pomyślnie na rozwój jego nie wpływa. Dodajmy, że nieraz zamiast pracowników i znawców rzeczy wybierani bywają wyobraziciele uniesień chwilowych i przemijających. Ileż się to rozległo okrzyków tryumfalnych po tryumfach wyborczych Ujejskiego i Artura Gołuchowskiego, a jaki stąd wyniknął pożytek? Żaden.

Lus.



Bank włościański.—Instrukcya zastosowana do naszych stosunków prawnych. — Wpływ ekonomiczno-społeczny tego banku. — Towarzystwo łowieckie. —Zbyteczność przy niém nowego klubu. —Nadprodukcya prawników. — Brak ludzi wykształconych w innych zawodach. — Konieczność zmiany kierunków wykształcenia fachowego.

Gazety przynoszą nam wieść urzędową, że czynności przygotowawcze w tutejszych filiach, czyli t. zw. oddziałach banku włościańskiego, już się rozpoczynają. Mianowicie od chwili ogłoszenia odnośnego rozkazu ministeryalnego, prezesi oddziałów przyjmują deklaracye osób, życzących sobie sprzedać lub nabyć parcele majątków przy udziale banku, oraz zarządzają skompletowanie potrzebnych do wykonania tranzakcyi dokumentów. Dalsze czynności nie mogą być przedsiębrane aż do chwili wypracowania i ostatecznego zatwierdzenia instrukcyi, wyjaśniającéj: w jaki sposób ma być stosowana ustawa banku włościańskiego w naszym kraju.

Historya ułożenia instrukcyi daje rękojmię dokładnego i odpowiedniego naszym przepisom hypotecznym opracowania. Władze banku włościańskiego, nie poprzestając na siłach własnych, wezwały do współpracownictwa całe grono osób z magistratury sądowéj, notaryatu i adwokatury, tak, że instrukcya dla banku włościańskiego, w tych kwestyach, które znajomości obowiązującego u nas prawodawstwa cywilnego i praktyki hypotecznéj dotyczą, była rozstrząsana i opracowywana na całym szeregu zebrań prawniczych, odbytych najprzód przy wydziałach hypotecznych sądu okręgowego, a potém przy jednym z departamentów cywilnych, izby sądowéj. Ustawa banku włościańskiego, uwzględniająca w swym tekście przeważnie przepisy i zwyczaje prawne Cesarstwa, musiała z natury stosunków naszych wymagać pewnych zmian i uzupełnień w zastosowaniu do kraju tutejszego. Sposobem przykładu wskażemy na rozwinięty w Cesarstwie, zwłaszcza w guberniach wielkoruskich popęd ludu do łączenia się w gromady, stowarzyszenia w przemyśle i handlu. Tak zwane artele—objaw to samorodny ruski, nieznany u nas i wogóle nieznany na zachodzie Europy, jak nieznaną jest w naszym kraju forma wielkoruska własności ziemi wspólnéj dla całéj gminy. To téż gdy nabywający drogą parcelacyi majątki ziemskie włościanie w guberniach wielkoruskich pozostają chętnie w stałym stosunku własności wspólnéj, przeciwnie nasz chłopek dąży do odseparowania się i do własności indywidualnéj. Ztąd i solidarna odpowiedzialność nabywców-włościan wobec obywatela sprzedawcy za nabyte parcele uważaną jest przez naszych włościan za stosunek uciążliwy i niepożądany, a w najgorszym razie możliwy do przyjęcia na czas tylko. Tymczasem ustawa banku włościańskiego ma na widoku przeważnie nabywanie gruntów przez stowarzyszenia włościan, na wspólną własność dokonywane. Jeżeli przypomnimy sobie przepisy naszego prawa cywilnego, np. przepis wymagający, by mężatka nie inaczéj jak w asystencyi męża czynności prawnych dokonywała, wówczas gdy w Cesarstwie kobiéta zamężna ma prawo samodzielnie swym majątkiem rozrządzać; gdy uprzytomnimy zwłaszcza w pamięci istnienie u nas — nieznanych w Cesarstwie — urządzeń hypotecznych, wówczas zrozumimy łatwo jak poważném zadaniem było opracowanie instrukcyi, przystosowującéj ogólne przepisy o banku włościańskim do kraju naszego. Projekt takiéj instrukcyi, jak wspomnieliśmy, już jest opracowany i czeka przejrzenia i zatwierdzenia w Petersburgu.

Zastanówmy się na chwilę nad możliwym wpływem banku włościańskiego na nasze stosunki agrarne. Bank włościański, jak

to widzimy z jego ustawy, ma mieć w kraju naszym zadanie ekonomiczno-społeczne.

Zadaniem banku włościańskiego jest powiększenie w naszym kraju ilości posiadaczy ziemi z pomiędzy włościan bezrolnych, choćby Polaków, lub Litwinów (za wyłączeniem pewnych powiatów we wzmiankowanych trzech guberniach, w których bank włościanom Polakom, lub Litwinom do nabywania ziemi dopomagać nie będzie), byle tutejszych poddanych, oraz powiększenie ilości ziemi w rękach włościan rolników, którzy już pewną przestrzeń gruntu posiadają.

Tym sposobem z dzisiejszych zagrodników i komorników, utworzyliby się włościanie rolni, drobne przeważnie parcele ziemi posiadający, z dzisiejszych zaś włościan rolnych mogliby się wytworzyć właściciele folwarków nieco większych—włókowych, a może i kilkowłókowych.

W pismach naszych niejedokrotnie rozbrzmiewały echa dysput: jaka forma własności ziemskiéj, tj. czy przewaga własności wielkiéj czy małéj jest dla kraju pod względem ekonomicznym i społecznym korzystniejsza. Powtarzanie téj dyskusyi przechodzi znacznie po za ramy kroniki. Zaznaczymy więc tylko, że nasze pismo wypowiadało zawsze potrzebę wytworzenia własności ziemskiéj średniéj (którą u nas mylnie małą nazywają), wytworzenia stanu podobnego pod względem zamożności i obyczajów do fermerów angielskich, szwajcarskich, czeskich, a szczególniéj naszych „gburów“ w Prusach królewskich. Tacy właściciele dwu lub trzy włókowych folwarczków mogą być dość oświeceni i zamożni, a jednak sami około roli pracować muszą—nie zagrożeni ciągłą obawą głodu—tacy średni właściciele nie opuszczą kraju ani z nędzy na emigracyą, ani ze zbytku „do Monaco“. Jednóm słowem średni właściciele ziemscy to element staléj do roli przywiązany, niż dawni *glebae adscripti*; staléj, bo z interesu i z dobréj woli nie zaś z musu; element hartowny, twardy, oporny, pracowity, element w którym rozwija się należycie, zrozumienie, a trwa bardzo silnie poczucie czém jest. Dzięki temu elementowi Czechy są silniejsze od nas. My tego elementu dotąd mamy zbyt mało.

Czy bank włościański przyczyni się do wytworzenia takiego stanu średniego po wsiach naszych? Zobaczymy. W każdym razie nie możemy pokładać przesadnych nadziei co do skutków działalności banku na stosunki naszego rolnictwa. Niezależnie od bardzo skomplikowanych formalności, któremi ustawa otoczyła czynności banku, nie należy zapominać, że kapitał banku jest stosun-

kowo nieznaczny i że w kraju naszym, podług przybliżonych obliczeń, dziesięć razy więcéj ziemi jest do zaofiarowania gotowéj, niżby jéj bank włościański w najlepszym razie mógł zakupić.

* * *

Utworzyło się w Warszawie towarzystwo łowieckie, mające podług ustawy za cel przedewszystkiém ochronę zwierzyny. Cel bardzo pożyteczny, ani słowa. Dotyczas jednak bardzo mało słyszymy o środkach ku ochronie zwierzyny przedsięwziętych, a natomiast mamy pełno wiadomości o konkursach strzelniczych, o strzelaniu do gołębi i o nowym jeszcze klubie dla panów myśliwych.

Niechby jeszcze to strzelanie. Zabawka to wprawdzie, ale zabawka leżąca w charakterze, że tak powiem, łowców. Przytém strzelanie do celu i do gołębi kształci w celności, a to dla myśliwych, którzy na to chronią zwierzynę żeby mieć następnie co zabijać, jest koniecznéin. Nareszcie sport strzelecki jest jednéin z ćwiczeń dla rozwoju fizycznego użytecznych. Ale po co ten nowy klub i co w nim będą robić panowie myśliwi? Wszak mamy klubów podostatkiem, a nawet już istnieje jeden klub myśliwski. I we wszystkich tych klubach i resursach, bez względu na ich nazwę, jeden i ten sam rodzaj rozrywki panuje. Karty, karty i jeszcze raz karty. Dotąd towarzystwo wioślarskie jeszcze się jakoś bez kart trzyma, ale i tam nawet, ze względu na potrzebę powiększenia dochodu, na utrzymanie lokalu, nieraz już wnoszono projekt wprowadzenia gry karcianéj. Może jednak towarzystwo wioślarskie, dzięki liczbie, a skromności wymagań swych członków, jakoś od zarazy karcianéj ocaleje. Zresztą co do klubu sport wioślarski z natury rzeczy w letniéj tylko porze roku może być uprawiany, chodzi więc o to, żeby było jakieś miejsce, jakiś lokal, w którym by się członkowie towarzystwa w zimie spotykać mogli i jakąś łączność między sobą utrzymywali. Ale sport myśliwski, rozwija się przeważnie zimą,—krótkie zaś przerwy letnie zapełnia rozrywkami pomocniczemi w rodzaju konkursów strzelniczych, *tir aux pigeons* itp. Daléj, towarzystwo wioślarskie liczy wśród swych członków prawie wyłącznie „dzieci Warszawy“, towarzystwo zaś łowieckie ma w swém gronie wielu członków innych—z prowincyi, z okolic bardzo od Warszawy odległych. Po cóż tych zmuszać do ponoszenia ciężaru na klub, z którego korzystać nie mogą. Nakoniec pauza w polowaniach, które już dostatecznie członków towarzystwa łowieckiego zbliżają i łączą, przypada na porę letnią, gdy przeważna ilość członków warszawskich wyjeżdża z miasta; kiedy więc, dla kogo i w jakim celu ten nowy

klub myśliwski ma być potrzebny? Doprawdy, jest on raczéj szkodliwym dla towarzystwa łowieckiego ciężarem i chyba nie będę fałszywym prorokiem, twierdząc, że jeżeli się klub ten utrzyma, to najpożyteczniejsi i najpożądańsi członkowie, ci którzy tylko racyonalne polowanie i ochronę zwierzyny mają na celu, opuszczą towarzystwo łowieckie.

* * *

Stu nowych prawników przybyło nam tego roku z jednego uniwersytetu Warszawskiego. Jeżeli dodamy do téj cyfry pewną ilość młodych prawników którzy ukończyli uniwersytety w Cesarstwie i zagranicą, podziw i obawa zdjąć nas musi. Gdybyśmy byli społeczeństwem bogatém, które może pozwalać sobie na takie zbytki jak wykształcenie dla wykształcenia, to hyperprodukcya pewnych uzdolnień fachowych nie byłaby zbyt w praktyce szkodliwą. Aleśmy biedacy, więc musimy zdobywać takie wykształcenie, któreby stanowiło narzędzie zarobku. Czy zaś wykształcenie prawne w naszych dzisiejszych stosunkach może dać zarobek dla téj corocznie opuszczającéj choćby jeden tylko tutejszy uniwersytet młodzieży?....

Tymczasem cała masa zajęć stoi otworem i przedstawia mnóstwo stanowisk niezajętych. Wyliczać wszystkich—niepodobna. To też w formie przykładu zatrzymam się na ogrodownictwie.

Mówimy tu oczywiście o ogrodnictwie racyonalném, na podstawach nauki i umiejętnéj praktyki opartém. Ludzi w tym fachu wykształconych jest tak mało, że z pomiędzy dwóch największych w Warszawie zakładów ogrodniczo-handlowych w jednym właściciel musi być swoim własnym *contre-maitre'm*, a w drugim własnym korespondentem. Na złe im to w części wychodzi, bo odbiera czas potrzebny na dozór ogólny interesu; ale cóż kiedy nie ma ludzi odpowiednio przygotowanych, więc muszą być swoimi oficyalistami. Nie takie jednak zależne stanowisko powinno być celem dążenia, wykształconego ogrodnika. Śmiało powiedziéć można, że w kraju naszym może miéć bardzo piękne utrzymanie przy niewielkim kapitaliku z pięćdziesięciu wykształconych i pracujących we własnych zakładach ogrodników.

Niedawno np. dowiedziałem się z pewnego źródła, że jeden z ogrodników (cudzoziemiec), utrzymujący szparagarnię w Skierniewicach, za same szparagi, w ciągu jednego sezonu do Warszawy dostarczone, miał sześć tysięcy rubli *netto*. To chyba wcale ładne utrzymanie, jakiego być może ani jeden ze stu tegorocznych prawników, a z pewnością $^9/_{10}$ z pomiędzy nich nigdy ze swego fachu

mieć nie będzie. Wracając do owego ogrodnika skierniewickiego, zdawało się mało wtajemniczonym, że nie potrafi on wytrzymać konkurencyi z ogrodnikami, mającymi ogrody tuż pod Warszawą, a to z powodu trudności dostania nawozu i wysokich kosztów jego transportu. Ponieważ to jednak nie był nasz pan brat niedołęga, ale Niemiec, a wiadomo, że Niemiec na wszystko jest przemyślny, skoro—jak mówią na Rusi — nawet małpę wymyślił, przeto i tu dał sobie radę. Wszedł w stosunek z kilkoma drobnemi fabryczkami wyrobów rogowych i nabywa od nich wyborny, w azot bogaty, a tani i do przewożenia łatwy materyał nawozowy, opiłki rogowe. No i zgarnia za same szparagi sześć tysięcy rubelków rocznie.

Nietylko jednak Niemcy żyją u nas z ogrodnictwa. Włościanie wielkoruscy produkują tu u nas, na dzierżawionych drogo pod Warszawą gruntach ogórki i inną ogrodowiznę, a po opłaceniu kosztów dzierżawy i podróży, wracają z zyskami do domu. Słyszeliśmy, że p. Jankowski, któremu owoce w tym roku nie obrodziły, miał za same wiśnie ze swego ogrodu 1800 rubli (daj mu Boże jeszcze więcéj, skoro umiejętnie pracuje); a p. Kurtz z Otwocka, sprzedający owoce nie wprost lecz przez pośrednictwo Tow. ogrodniczego, podobno ma w zły rok parę tysięcy rubli ze swego ogrodu. To są przykłady pojedyncze. Liczba ich wzrasta, dotąd jednak dalecy jesteśmy od produkowania dostatecznéj ilości na potrzeby kraju, a bodajby nawet jednego miasta Warszawy. A nietylko na swój własny użytek, lecz i na eksport moglibyśmy produkować. Owoce jak wiśnie, czereśnie, renklody i t. p., już i dziś zaczynają iść od nas do Petersburga. Niektóre gatunki kwiatów, jak np. konwalie, idą od nas na wschód i na zachód Europy, w ostatnich zaś czasach żądane są nawet do Ameryki.

Tylko, żeby w ogrodnictwie dojść do odpowiednich rezultatów, potrzeba się uczyć i pracować niemało, może nawet więcéj niż dla skończenia wydziału prawnego. Oto np. jaki program nauk nakreśliło kółko specyalistów kilku młodym ludziom, którzy po ukończeniu 6 klas gimnazyum realnego, zapragnęli wykształcić się na uczonych ogrodników. Dwa lata praktyki u jednego z ogrodników warszawskich, prowadzących swój zakład w sposób handlowy, i podczas tych dwóch lat lekcye botaniki i łaciny. Następnie 2 lata w akademii pomologicznéj w Prószkowie (założonéj na miejscu dawniejszéj akademii rolniczéj). W końcu 2 lata praktyki w zakładach ogrodniczych Niemiec, Austryi, Francyi, Holandyi i Anglii. Razem lat 6 wykształcenia i praktyki specyalnéj.

Ale się to ukształcenie i ta praktyka opłaci w naszym kraju dla kilkudziesięciu jeszcze ludzi w fachu ogrodniczym. Również

mamy jeszcze miejsce dla odpowiedniéj, a może znaczniejszéj liczby specyalistów tkaczy, farbiarzy, chmielarzy, zdunów, fabrykantów kafli i t. d. Ale medyków, inżynierów, a zwłaszcza prawników, mamy w nadmiarze. A już najwięcéj mamy kandydatów do urzędów państwowych i prywatnych, ludzi uzdolnionych niby do wszystkiego, właściwie zaś do niczego, ludzi bez inicyatywy, pionków oczekujących manny niebieskiéj lub pieczonych gołąbków, biorących się do pracy chyba pod wpływem głodu i nędzy, podobnie jak niewolnik, który pracuje tylko pod grozą bata plantatora, i podobnie też jak niewolnik pracujących zawsze automatycznie i bezmyślnie.....

(— X —)

NEKROLOGIA

† **Maurycy Fierich**, urodził się 12 maja 1855 r. w Krakowie, gdzie też ukończył nauki gimnazyalne i uniwersyteckie, a w r. 1879 uzyskał stopień doktora prawa. Otrzymawszy stypendyum na studya zagraniczne, uzupełnił swe wykształcenie w uniwersytecie Lipskim. W roku 1881 stanął na katedrze w szkole jagiellońskiéj jako docent, a od roku 1886 jako profesor nadzwyczajny wykładał tam procedurę sądową austryacką i rzymską, oraz prawo hypoteczne. Zdolny i pracowity, zjednał sobie miłość i poważanie powszechne. Zmarł w kwiecie życia, nagle, tknięty paraliżem serca, 20 czerwca r. b. w Krakowie. Licznych pism jego wymieniać tu w zupełności niepodobna, przytoczymy więc tylko trzy prace: „O prawie hypotecznéni", „O urządzeniach hypotecznych miasta Krakowa", wreszcie „O przysiędze".

† **Stanisław Zarański**, autor „Zarysu dziejów powszechnych" i innych dzieł popularno-naukowych z zakresu historyi powszechnéj i polskiéj, zmarł w Krakowie 10 lipca r. b. w wieku podeszłym, liczył bowiem lat 72.

† **Witalis Wilczkowski**, urodzony w r. 1829 w Warszawie, po ukończeniu nauk w ówczesném gimnazyum gubernialném, kształcił się na lekarza w akademii medycznéj w Petersburgu, a otrzymawszy dyplom, odbył podróż naokoło świata na wyprawie admirała Putiatyna, w czasie któréj zebrał obszerne notaty, uzupełniając rękopis własnoręcznemi rysunkami. Następnie był ordynatorem w szpitalu Ś. Ducha i profesorem szkoły felczerów cywilnych. Z dzieł jego wymienimy: „*De morbo marino*" (1852), „Chirur-

gia niższa dla uzytku felczerów“, „Nauka o nawiązkach“, „Krótki rys anatomii opisowéj“ (1862), „Przewodnik dla pielęgnowania chorych“ (1863). Pochowany został na cmentarzu Powązkowskim 14 lipca r. b.

† **Lubin Eliasiewicz**, ur. 1824 pod Buczaczem, współpracownik najprzód „Gazety narodowéj“, „Kraju“ wydawanego w Krakowie, a następnie przez lat kilkanaście „Dziennika polskiego“ we Lwowie, zmarł w témże mieście w miesiącu lipcu r. b., mając lat 47. Przed rokiem wydał zbiór swych poezyj pod napisem „Z nurtów życia“.

Wydawca **W. Spasowicz**. — Redaktor **Piotr Chmielowski**.

OGŁOSZENIA.

= **Komitet Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem** uprasza pp. artystów, aby dzieła swoje, wycofane z wystawy towarzystwa i nieobciążone pożyczkami, raczyli odebrać z lokalu Towarzystwa lub wskazać, komu mają być odesłane, gdyż Towarzystwo nie może przyjmować odpowiedzialności za całość dzieł takich, dla braku odpowiedniego pomieszczenia.

= **Komitet Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiem** przypomina pp. artystom rzeźbiarzom, iż w styczniu 1890 roku przypada termin wystawy konkursowéj działu rzeźby, na którą przyjmowane będą wszelkiego rodzaju dzieła rzeźby, snycerstwa i medalierstwa, wykonane w ciągu lat trzech ostatnich, i które poprzednio nie znajdowały się czy na wystawie Towarzystwa, czy na innéj wystawie w Warszawie. Nie kwalifikują się wszelkie kopie i dzieła artystów zmarłych na trzy lata przed otwarciem wystawy. Deklaracye komitet przyjmować będzie do dnia 15 grudnia r. b. Dzieła nadesłane być winny do lokalu Towarzystwa najpóźniéj 31 grudnia r. b. do godz. 6-éj wieczorem. Trzy nagrody pieniężne: po rs. 600, 300 i 200, oprócz listów pochwalnych, czyli odznaczeń, za dzieła mające istotną wartość artystyczną. Koszty transportu dzieł przysłanych (*par petite vitesse*) z opłatą cła od przysłanych z zagranicy, o ile dzieła te przyjęte będą przez Towarzystwo i cenzurę rządową, ponosi Towarzystwo. Regulamin szczegółowy wystawy wydaje, na żądanie, kancelarya Towarzystwa.

= **Komitet Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskiém** zawiadamia, iż w kancelaryi Towarzystwa nabyć można:

1-o dzieło profesora Jana Rottera z Krakowa „Podręcznik perspektywy malarskiéj“ po rs. 6 za egzemplarz.

2-o dzieło p. Antoniego Narkiewicza-Jodko, z Wolicy: „Zarys dziejów malarstwa“, po rs. 18 za egzemplarz (w trzech tomach) oprawny. Połowę dochodu ze sprzedaży powyższego dzieła, autor przeznaczył na budowę domu dla Towarzystwa.

3-o reprodukcye Towarzystwa z lat dawniejszych po rubli dwa i po rublu za egzemplarz. Szczegółowy wykaz pomienionych reprodukcyj przejrzéć można u kustosza wystawy Towarzystwa.



LETNICY.

Kogo spotkasz w m. lipcu, na ulicach Warszawy, pyta zdumiony: więc na bruku, nie na trawie? Ależ trzeba koniecznie wyjechać, ażeby odpocząć, odetchnąć świeżém powietrzem, pogadać z naturą zamiast z kamieniami. Miasto opustoszało, Warszawa się wyludniła, niéma z kim pomówić, kogo odwiedzić, czas nieznośny, śmiertelne nudy. Więc się Warszawa wyludniła? Tak mówią. Ależ Warszawa liczy coś tam z górą czterysta tysięcy mieszkańców, a z téj liczby wyjechało za granicę na kuracyą lub wystawę paryzką i na letnie mieszkania może z 15 tysięcy; więc na takie duże miasto procent kuracyuszów i letników nie tak znaczny, ażeby brak ich w ciągu miesiąca lub dwóch miał stanowić o wyludnieniu. Tak jednakże zdaje się tym, dla których ludność stanowią ich krewni lub znajomi. Prawda, że po ulicach mniéj się snuje próżniaków płci obojéj, nie wiedzących co z sobą robić, ale ubytek ten widoczny zaledwie na główniejszych ulicach; reszta, tj. przynajmniéj 95 setnych tak samo latem jak zimą krząta się, zabiega, pracuje po warsztatach i fabrykach, nareszcie próżnuje. Z miasta ucieka ten, kto może, a najwięcéj takich, na których inni pracują; ponieważ takich wszędzie jest niewielu, zatém i z Warszawy tylko mała cząstka kosztuje świeżego powietrza, kwaśnego mléka z kartoflami, przeklina komary i muchy, złorzeczy twardym kotletom i zarzeka się, że już na drugi rok nie popełni takiego głupstwa, żeby wygodne mieszkanie i soczysty *roastbeef* zamieniać na szopkę zwaną willą i zsiadłe mléko zwane lodami. Swoją drogą na przyszły rok zrobią to samo, głównie dla dzieci i matek, a potroszę i dla siebie. Nic w tém dziwnego. Wrażenia się zacierają i bąble po komarach nie trwają wiecznie. Do uzupełnienia obrazu i zrównoważenia ubytków wypadałoby tylko, ażeby mieszkańcy wiejscy emigrowali na lato do Warszawy.

Jakoż, zrobiliby to, zwłaszcza więksi dziedzice i dziedziczki, gdyby Towarzystwo Kredytowe chciało raty za nich zapłacić lub przynajmniéj kredytować je w nieskończoność. Bo to, proszę pana, bez kredytu każdy człowiek, a szczególniéj rolnik, kompletnie głupiuteńki. Oj ten kredyt, ten kredyt! Życie wyrobnika i życie teraźniejszych państw, wszystko to odbywa się na kredyt.

Po téj głębokiéj sentencyi ekonomicznéj i stwierdzeniu, że nie cała Warszawa ulotniła się na letnie mieszkania, zauważmy daléj, iż ta emigracya na wieś od niedawna się datuje. Kto pamięta czasy z przed lat trzydziestu, ten sobie przypomni, że wtedy nie było jeszcze zwyczaju opuszczania miasta podczas letnich miesięcy i osiedlania się na wsi; kogo stać było lub kto musiał z powodu choroby, wyjeżdżał za granicę; reszta, z bardzo małym wyjątkiem, siedziała w mieście. Dopiero pobudowane cztery nowe drogi żelazne ułatwiły komunikacyą Warszawy z dalszemi częściami kraju i pozwoliły na te tłumne wycieczki, na czas dłuższy lub krótszy, jakich teraz jesteśmy świadkami. Czy moda życia wpłynęła na rozwinięcie tego gustu i u nas, nie wiemy, ale i bez tego wpływu samo zbliżenie odleglejszych punktów kraju dzięki komunikacyi łatwiejszéj i tańszéj, wystarczyłoby do wytworzenia zwyczaju, czy téż mody.

Co ludzi, osobliwie miejskich i to głównie wielkomiejskich popycha do osiedlania się na wsi w czasie letnich miesięcy? Potrzeba odpoczynku i usunięcia się od gwaru miejskiego, potrzeba świeżego powietrza, nudy i znużenie jednostajną pracą, a wreszcie moda. Wielkie miasta w naszych czasach dochodzą, jak np. Londyn, potwornych rozmiarów; skupiły one i zogniskowały w sobie wszelki żywszy ruch umysłowy i przemysłowy kosztem prowincyi, stały się gniazdami wielkiego zbytku i większéj jeszcze nędzy, wysokich cnót i niskich występków, słowem wessały w siebie życie narodów. Dlatego téż reformatorowie dzisiejsi pragnęliby, między innemi ulepszeniami, zmienić ten stosunek wielkich miast do prowincyi przez odprowadzenie trochy krwi i ruchu od serca do kończyn dotkniętych atrofią.

Życie w tych mrowiskach ludzkich ma wszakże wiele stron dodatnich, większe wygody materyalne i rozkosze towarzyskie, żywszy puls umysłowy, większe środki ukształcenia, wyższe zarobki: nic téż dziwnego, że się do nich ściąga ludność wszelkiego stanu. Rosną one szybko nietyle naturalnym rozwojem swojéj ludności, co napływem żywiołów prowincyonalnych, rosną nietyle wszerz co na wysokość i dochodzą takiéj gęstości zaludnienia, iż wszelkie środki sanitarne nie wiele pomagają do zmniejszenia śmiertelności.

Nie dziwimy się zatém, że mieszkańcy wielkich miast o ile mogą, uciekają latem na wieś, ażeby uniknąć zgiełku, turkotu, kurzu i zabójczych wyziewów, podnoszących się ze starych i nowych kanałów, z gnijących odpadków organicznych. Gdyby więc ten nowy jeszcze zwyczaj emigrowania na wieś przyczynił się do podniesienia zdrowotności téj szczupłéj garstki mieszkańców, którzy sobie mogą na ten zbytek pozwolić; gdyby zmniejszył liczbę pielgrzymujących za granicę i sporą sumę marnowanych pieniędzy zostawił w kraju, między ludnością wiejską: byłby godzien uznania i propagowania. Jakoż, wierzymy, iż przynajmniéj cząstka tych przypuszczalnych rezultatów spływa na samych letnich emigrantów i na ludność miejscową.

Dokąd się letnicy udają dla zażycia wczasu? Na wieś. Ściślej jednak mówiąc, nie na wieś, bo na wsiach mniéj ich zamieszkuje, lecz do tak zwanych willi. Nim się tym willom przyjrzymy, zauważmy, iż dwa są rodzaje miejsc, do których mieszkańcy większych miast latem uciekają: miejsca lecznicze, gdzie chorzy przebywają, i stacye klimatyczne lub wprost osady, gdzie zdrowi szukają wypoczynku. Pierwsze, jak Ciechocinek, Busk, Nowe-Miasto, a w części Nałęczów, wzorują się, o ile stać je, na podobnych zakładach cudzoziemskich; drugie, których coraz więcéj przybywa ciągną się po większéj części wzdłuż dróg żelaznych i bardziéj po swojsku wyglądają. Miejsca lecznicze pomijamy w téj chwili; rozwój ich zależy od wartości leczniczéj źródeł lub kąpieli. Korespondencye z tych miejsc do pism warszawskich skarżą się na wiele braków i niedogodności, szczególniéj na drożyznę. Korespondentom przychodzą zaraz na myśl zakłady zagraniczne, gdzie jeżeli nie taniéj, to wygodniéj żyć i leczyć się można. Porównywanie swojskich zakładów z cudzoziemskiemi i narzekania na krajowe, o tyle chybiają, że zagraniczne istnieją setki lat, mają źródła leczebne wypróbowane, gromadzą przybyszów z całego świata, leżą w okolicach z natury uprzywilejowanych, mogły się więc urządzić wygodnie a nawet wspaniale. Nasze miejsca lecznicze mają zaledwie po jakieś pół wieku a nawet mniéj istnienia, pozbawione są głośnych leczebnych wód (z wyjątkiem może Ciechocinka i Buska), leżą w okolicach niebardzo oko nęcących, gromadzą ludność uboższą, a tém samém mogą dużo pozostawiać do życzenia. Niemniéj jednak, kogo natura choroby nie zmusza do szukania jakichś specyalnych zakładów leczniczych obcych, powinienby zamiast narzekania, raczéj korzystać ze swojskich, ażeby się przyczynić do ich podniesienia. Uważamy to za drobny ale obywatelski obowiązek. Chociażby w domu było jeszcze mniéj komfortu, godziłoby się spół.

działać w jego osiągnięciu; za sto lub dwieście lat mogłoby wszystko inaczéj wyglądać, może nie tak, jak w Karlsbadzie, Marienbadzie lub Akwisgranie, ale zawsze wygodniéj, niż dzisiaj. Albo my tam tego doczekamy, a co nas to obchodzi jak tam za sto lat będą wyglądały Ciechocinek lub Nowe-Miasto? Jest to nasza śpiéwka we wszystkich sprawach. Jeżeli owocu sam jeść nie będę, sadu nie założę.

O miejscach leczniczych więcéj nie piszemy, bo to sfera lekarzy i oni powinni pracować nad wybijaniem z głowy pacyentom tego powszechnego uprzedzenia, iż tylko to, co zagraniczne, warte jest zalecania.

Miejsca klimatyczne, lub wprost osady letnie ciągną się głównie wzdłuż linii dróg żelaznych. Wyglądają one rozmaicie, stosownie do gustu i zamożności letników. Niektórzy z nich zakupują po mordze lub więcéj ziemi, budują domki zwane pompatycznie willami, jedni dla własnéj przyjemności, inni na spekulacyą. Ubożsi znów, nie mogąc ani willi budować, ani w willi z powodu słonego komornego mieszkać, wynajmują u włościan niskie, ciasne, brudne chaty i mieszczą się jak mogą. W tych ostatnich niby-willach przechodzi się istne tortury, a wszystko to gwoli świeżemu powietrzu. Jakoż, tuż pod oknami masz dół, w którym się wyrabia nawóz, przez ścianę chléwek, gdzie prosięta, kury, gęsi, kaczki pieszczą koncertami uszy mieszczuchów, a tam nieco daléj bagno, gdzie żaby zawodzą melancholijne swoje nukanie. Urocza sielanka. Ależ powietrze, powietrze, panie dobrodzieju, dopiéroż-to się pełną piersią oddycha. Zaprawdę, jest to powietrze, co się inaczéj morem nazywa. Cóż jednak począć, ubogiemu wszędzie i zawsze wiatr w oczy.

Dobra wola, nadzieja poprawy zdrowia rodziców i dzieci, a nadewszystko szczupłe środki materyalne każą ludziom zapominać o tych niewygodach; zresztą nie wszędzie są one tak rażące, ani atmosfera nie wszędzie jest zapowietrzoną, nie wszędzie cielęta sąsiadują z letnikami. Są przecież inne braki oprócz wymienionych, które trudniéj pokonać przy naszém niedołęstwie i ubóstwie. Mamy na myśli drogi lub raczéj dojazdy do tych rajskich, letnich przybytków. Drogi nasze już w dawnych wiekach były głośne w Europie; można się o tém doczytać w opisach podróżników cudzoziemskich. Dzisiaj podróżując kolejami żelaznemi, i my sami i cudzoziemcy, zatraciliśmy wyobrażenie tych dróg i mostów sławetnych. Ale jak tylko opuścisz wagon kolejowy i wsiądziesz na wehikuł przedpotopowéj konstrukcyi (a wsiadać trzeba po drabinie), przekonasz się, ile nam brak do cywilizowanego życia. Część sie-

dzib letnich stoi tuż przy drogach żelaznych i do tych oczywiście łatwo się dostać; inne o dwie, trzy wiorsty, a wówczas już bez dorożkarza obejść się trudno. Okoliczni włościanie i Żydkowie czekają na każdy pociąg kolejowy i ochotnie zabierają podróżnych. Dopieroż zaczyna się jazda po korzeniach drzew, wybojach, błotach i piaskach, że aż boki trzeszczą. Improwizowany dorożkarz śmieje się złośliwie, że te „warsiawiaki“ lud taki niemocny i kaducznie kruchy. On, jego ojciec, dziad i pradziad jeździli na takich samych wozach i temi samemi drożynami, a nikomu się nie śniło narzekać na nie. Otóż, jego syn, wnuk i prawnuk będą znowu tak samo jeździli, aż nareszcie słońce się wytli, ziemia ostygnie i jazda ustanie. Czyżby tych dróg nie można poprawić? Na to odpowiadają, potrzeba milionów lub przynajmniéj kroci. Zkąd ich wziąć? włościanin ubogi i niedbały, letnicy przybywają na parę miesięcy, i także nie są bogaci. Gwarno tu i rojno przez kilka tygodni, a potém nastanie cisza długa, monotonna aż do przyszłego lata. Nikt nie ma interesu budować dróg bitych dla przelotnych gości, więc niech zostaną jak były te karkołomne ścieżyny. Jest-to i romantyczniéj i na chorobę pomoże, bo albo ją, albo duszę z człowieka wytrzęsie. Wreszcie warszawskie bruki nie wiele są lepsze od tych wiejskich gościńców, a mimo to ludziom dobrze i jeżdżą jak szaleni.

Zobaczmy teraz, jak się letnicy wiktują? Sprawa to wielce żyżowotna, owszem najżywotniejsza ze wszystkich, bo gdy żywot nienaprawiony, do żadnéj nie ma ochoty, człek jest markotny i nawet ptasie melodye go nie bawią. Znając tę nizką naturę człowieka, letnicy płci obojéj a zwłaszcza gospodynie zabierają z sobą sprzęty i naczynia kuchenne, pakują w skrzynie i ładownemi wozami ciągną do ziemi nieobiecanéj, lecz za to wydzierżawionéj lub kupionéj. Ale w rondlach i garnkach trzebaż coś gotować, bo szyszkami sosnowemi, lubo pachną, żołądka nie oszukasz i gotować ich nie warto. Tu dopiéro rzecz nabiéra tragicznego wyglądu.

Jakoż, byłaby, jeżeli nie czysta tragedya, to tragi-komedya, gdyby nie było Żydów. Opatrznościowy ten naród jest wszędzie i rośnie tam gdzieś go nie posiał. On to letników, w moc swoich wyzwolicielskich przeznaczeń, wyzwala od głodnéj śmierci, dostarczając im mięsa z krajowych opasów, które na uwiąd starczy świat ten pożegnały, on sprowadza albo raczéj znosi kwaśne bułki, najświeższe masło, piskorze i płotki, ogórki i przedczasem otrząśnięte owoce, on pieniądze zmienia, pocztę obsługuje, on u nas w mieście i na wsi jest prawie jedynym czynnikiem, który się rusza. Przetoż, gdy on szabasuje, życie jakby zamarło i letnicy nie mają czego do garnka włożyć. Wprawdzie, jest jeszcze włościanin,

ale ten dostarcza zaledwie kartofli, kwaśnego mleka, grzybów i jagód, co jak wiadomo, bardzo lichy stanowi pokarm. Gdy zaś oba te źródła zawiodą, pozostaje rekurs do Warszawy.

Jest to wielce budujące zjawisko, jakie się widzi, jadąc latem którąkolwiek z dróg żelaznych skupiających się w Warszawie. W każdym niemal pociągu, szczególniéj téż w wigilią świąt i soboty ku wieczorowi, jadą mężowie obładowani węzełkami, tobołkami, koszykami z wszelkiego rodzaju produktem, począwszy od mięsa a skończywszy na cébuli. Napracowawszy się przez cały tydzień po biurach, sklepach, kantorach, mają jeszcze dość siły, ażeby od głodnéj śmierci ocalić swoich pieszczochów. I wtenczas łatwo się przekonać jaką prawdę wyrzekł mędrzec biblijny, że mocna jest jako śmierć, miłość. Oprócz wielu stron komicznych ma to niezaprzeczenie swój urok sielankowy, podnioślejszy od widoku gry w Monte-Carlo.

Co téż letnicy porabiają w swoich willach? Jak-to, co porabiają? Alboż na to wynieśli się z miasta, uciekli od stolików i zza kantorów, ażeby jeszcze co robić? Więc jedzą kilka razy dziennie i śpią tyleż razy, a potém się nudzą, wzdychając do miasta. Tak czynią panowie; panie smażą konfitury, gotują na zimę soki, zbierają grzyby, suszą je i w wianki związują. Znajdzie się téż godzina do czytania, na wycieczki, gdy okolica piękniejsza, na teatr improwizowany, słowem czas jakoś schodzi niepostrzeżenie, z wyjątkiem pory dżdżystéj, kiedy z muchami w ciasnych izbach trzeba pokutować. Ale i to idzie letnikom na duszny pożytek, przypomina im bowiem, że na tym świecie niemasz róży bez kolców. Tak upływa parę miesięcy na rajskiéj sielance, którą czasami tylko zakłócają ploteczki lub karteczki, bo bez nich u nas mężczyzni nigdzie obejść się nie mogą,

Przychodziło nam nieraz na myśl, że te letnie wakacye oprócz nasycania świeżém powietrzem płuc mieszczańskich mogłyby być połączone z pewną umysłową indywidualną i ogólną korzyścią. Oto narzekamy, iż nasza znajomość kraju jest nadzwyczaj ułomkowa; gdyby nie te letnie wycieczki, niejeden, osobliwie z wielkomiejskich obywateli, nie widziałby na oczy jak wyglądają pola, zboża, łąki, lasy, zbiór zboża, uprawa roli, jak wygląda lud przy pracy, zabawie, weselu, pogrzebie. Bliższe, przelotne chociażby zetknięcie z tą szarą masą sprostowałoby w tak zwanych inteligentnych głowach wiele niedorzecznych wyobrażeń, jak np. o krzepkości i długowieczności naszych włościan, o ich religii i filozofii, o ich zwyczajach i obyczajach. Badania etnograficzne i archeologiczne, przyglądanie się ludowi wiejskiemu i obserwacya czaszek, wzrostu, za

barwienia skóry w rozmaitych okolicach kraju, gdzie się letnicy znajdują, dostarczyłyby warszawskiéj „Wiśle“ materyału do studyów bardziéj specyalnych, uczyłyby samych obserwatorów na żyjących egzemplarzach tych faz rozwoju, jakie wszędzie przechodzą język, wiara, obyczaje. Do tego trzebaby oczywiście i zamiłowania w swojskich rzeczach i pewnego przygotowania, ażeby umiéć obserwować i wiedziéć, co w mnóstwie szczegółów godniejsze jest zanotowania. Mogłoby się z tém połączyć poznanie fauny danéj okolicy nietylko z pieczonych kurcząt, a flory z pietruszki; słowem, letnie wakacye dałyby się połączyć z pewną i bardzo wdzięczną umysłową pracą, przyczyniłoby się do zamiłowania natury i ludu.

— A niechże mnie Bóg broni, żebym sobie miał głowę trudzić takiemi głupstwami: siadajmy do winta.

K.





ŚMIERĆ I POGRZEB U SERBÓW

I ODNOSZĄCE SIĘ DO NICH

WIERZENIA, ZWYCZAJE I OBRZĘDY LUDOWE.

Vuk S. Karadžić. Kovčežić za istoriju, jezik i običaje Srba sva tri Zakona. u Beču 1852.—Tenże. Srpski Rječnik. u Beču 1852, -- Vuk Vrčević. Niz Srbskih Pripovjedaka. Pančevo 1881. — V. M. Medaković. Život i običaji Crnogoraca. u Novom Sadu 1860. — M. G. Milićević „Život Srba Seljaka" (Glasnik Srpskog učenog Društva. Knjiga V. Beograd 1867. — Bogoljub Petranović „Običzaji Srpskog naroda u Bosni" (Glasnik Srp. uč. društwa. Knj. XI, XII i XXX. Beograd 1870—1871).—Stevo Trifković „Gatanja Srpskog naroda oko Sarajeva" (Bosanska Vila. god. I. Sarajevo 1886),

Pod wpływem potężnym chrześciaństwa, jego nauki i praktyk religijnych dawne wierzenia, obyczaje i obrzędy ludowe wszędzie zniknąć musiały wraz z kultem pogańskim i jego uroczystościami dorocznemi, które się zamieniły w święta kościelne. Lecz nie dość tego: tam nawet, gdzie wpływ ten był tylko pośrednim, tj. w tradycyjnych zwyczajach i obchodach domowych, np. przy narodzinach, weselach, pogrzebach itp. właściwa im obrzędowość pierwotna albo znikła zupełnie, albo w większym lub mniejszym stopniu otrzymała cechę chrześciańską.

Dla etnologii przeto jest to zadaniem wielce zajmującém i wdzięcznėm zarazem, przez badania porównawcze rzeczonych obrzędów domowych, istniejących obecnie u pewnego ludu, dochodzić, jak wiele i co mianowicie w nich pozostało z dawniejszych, przedchrześciańskich wyobrażeń, wierzeń i praktyk i jak dalece charakter pierwotny tych obrzędów zmienił się pod wpływem chrześciaństwa?

Pomijając na teraz ludy zachodnie, u naszego ludu polskiego i ruskiego, jedne tylko obrzędy weselne i Godne święta, tak zwane podobno od czasów pogańskich, zachowały jeszcze poniekąd dość znaczną część starodawnych tradycyjnych zwyczajów, praktyk i wróżb wszelkiego rodzaju, obok obrządków właściwie

religijnych, chrześciańskich. We wszelkich zaś innych, tak świętach dorocznych, jak i obrzędach domowych, jak to: przy chrzcinach, pogrzebach, zakładzinach domu, poświęceniu nowego mieszkania, płodów itp. szczegóły tradycyjno obrzędowe i zwyczajowe stały się tylko dodatkami do akcyi głównéj, kościelnéj, tj. do modlitw, błogosławieństwa i czynności sakramentalnéj.

Całkiem inaczéj jest znowu u Serbów. U nich wesela, pogrzeby, t. zw. „*Krsno ime*" (tj. święto patrona rodu), „*Božić*" (wigilia Bożego Narodzenia) itp. mają wyraźnie charakter tradycyjnych uroczystości domowych, w których kościół uczestniczy tylko jako świadek poniekąd, uświęcając je swoją powagą i błogosławieństwem. Główny zaś urząd obrzędowy spełnia w nich głowa domu (domaćin), domownicy i odpowiednie osoby z pomiędzy gości.

Różnica istniejąca pod tym względem okazuje się nam najwidoczniéj przy porównaniu obrzędów pogrzebowych ludu naszego i serbskich.

Ażeby ułatwić to porównanie naszym etnologom, zamierzam przedstawić tutaj według najpoważniejszych źródeł, podanych na wstępie, opis dokładny i możliwie wyczerpujący obrzędów pogrzebowych u ludu serbskiego wraz ze wszelkiemi odnoszącemi się do nich wierzeniami, praktykami i zwyczajami.

Podług wierzeń ludowych serbskich, są w życiu powszedniém pewne czynności, najniewinniejsze na pozór, które jednakże jakimś tajemniczym sposobem bywają w następstwach swoich zabójczemi dla życia ludzkiego. I tak np. w okolicach Sarajewa wystrzega się każdy iść tyłem naprzód, bo od tego matka może mu umrzéć. Tamże wystrzegają się trzymania w domu koguta, mającego wklęsłość na grzebieniu; ba gdyby ten z kroplą deszczą zatrzymaną w grzebieniu obszedł dom trzy razy wokoło, toby w nim wszyscy domownicy wymarli (1). Podobnaż śmierć grozi całemu domowi, w którymby zabito chowającego się w nim węża.

Jak wszędzie, tak i u Serbów znane są pewne poznaki, zapowiadające śmierć czyjąś. W Bośni wierzą, że kto ujrzy zająca pomykającego od jego domu, ten do roku umrze. Jeżeli w domu jakim pęknie nagle obraz świętego, to ktoś z domowników w nim umrze.

W Serbii każdy człowiek poważny, czując się bliskim śmierci, zwykł czynić testament, spisywany najczęściéj przez spowiednika

(1) St. Trifković, l. c. str. 269. N. 175

wobec świadków; a w nim oprócz ostatniéj woli umierającego, wyraża się zwykle i jego przebaczenie chrześciańskie nietylko ludziom wszystkim, lecz i „każdemu zwierzęciu w lesie, wszelkiemu ptakowi w powietrzu i rybie w wodzie i żmii pod kamieniem“.

W braku osoby piśmiennéj, jak to bywa u Czarnogórców, umierający oświadcza ustnie swoję wolę ostatnią dwóm świadkom, a ci obowiązani są święcie pamiętać każdy jéj szczegół. Poszanowanie zaś woli i pamięci zmarłego jest u Serbów tak głębokie, że np. w Bośni żadna córka, czy to zamężna, czy nie wydana, nie odważy się upominać sama o swój spadek po zmarłym ojcu; gdyż przez takie wystąpienie zhańbiłaby siebie tak, iż nie znalazłaby miejsca wśród uczciwych ludzi (2).

Spełniwszy ostatnie swe rozporządzenie, człowiek umierający żegna się z rodziną i błogosławi dzieci, tak np. „bądź oczyszczon z grzechu i błogosławiony, mój synu, na tym i na tamtym świecie, i każda słomka na domu twoim“. Potém opatrzony św. Sakramentami oczekuje zgonu, a przy skonaniu trzymają mu nad głową zapaloną świécę woskową, gdy już sam jéj utrzymać nie zdoła.

Gdy umrze kto, to nie ma zwyczaju ogłaszania śmierci jego dzwonami cerkiewnemi, tam nawet, gdzie one istnieją; lecz dowiadują się o tém bliżsi sąsiedzi, słysząc lament w domu zmarłego, a od nich wieść rozchodzi się po całém siole.

Na tę wieść śpieszą krewni i przyjaciele odwiédzić i pocieszać zasmuconą rodzinę, któréj żal po zmarłym wyraża się zwykle niepohamowanym jak najgłośniejszym płaczem i jękami; a niekiedy, jak np. u Czarnogórców, niezmiernie gwałtownemi oznakami rozpaczy: rwaniem włosów, tłuczeniem się pięściami w głowę i rozdrapywaniem twarzy aż do krwi.

Odwiedzający pozdrawia domowników słowami: „Boże dopomóż! bodajście zdrowi zostali!“ i usiadłszy, wynurza żal swój po zmarłym; poczém domownicy częstują go gorzałką i kawą.

Ciało zmarłego nim jeszcze stężeje, obmywszy starannie wodą i mydłem, ubierają według miejscowego zwyczaju. W Czarnogórzu np. na mężczyznę wkładają tylko czystą bieliznę, czapkę na głowę i pończochy kobiece na nogi, które związują do kupy białą tasiemką. Przytém wszędzie podwiązują umarłego chustką po pod brodę i zamykają mu jak najszczelniéj oczy, aby półotwartemi nie upatrzył kogoś z żyjących i nie pociągnął za sobą.

---

(1) Bogol. Petranović. „Glasnik“ XXX. str. 353.

Obmywanie zwłok odbywa się zwykle nie w izbie lecz przed domem, gdzie nad ogniskiem, umyślnie rozłożoném, grzeją na to wodę w osobnym kotle. Wszystkie zaś naczynia, które służyły do tego obmywania nie wnoszą się zaraz do izby, lecz przewrócone dnem do góry pozostawiają się przez noc całą na dworze.

Nie godzi się także czesać tym grzebieniem, ani mydła tego używać, które służyły przy oporządzaniu zmarłego. Ubierając zaś nieboszczyka, nie zawiązują na nim żadnego ze zwykłych węzłów w jego odzieży, a tę bieliznę i odzież, w któréj on umarł, wynoszą za wieś i rzucają na krzaku cierniowym, aby tam zniszczały.

W Bośni na umarłém dziecku malutkiém nie wolno jest nic zgoła przewinąć, ani zdjętéj z niego rzeczy żadnéj przechowywać, bo matka jego stałaby się niepłodną.

W Krainie serbskiéj, tj. w okręgu Negotyńskim, na pograniczu z Bułgaryą i Rumunią, między Dunajem i Timokiem, jest zwyczaj, przeważnie u Wołochów tamtejszych, lecz przejęty po części przez Serbów, że chorego będącego już bliskim śmierci umywają przed samym zgonem i ubierają w najpiękniejsze odzienie. Jeżeli zaś śmierć zaskoczy go przedtém, to ani go myją, ani przeodziewają, lecz chowają w tém, w czém skonał (1).

W niektórych okolicach, wprzód nim obmyją i ubiorą dorosłego nieboszczyka, palą mu na ciele włosy porosłe bujniéj niż zwykle. W tym celu kładą na te miejsca kłaków potrosze i zapalają je tą gromnicą, którą zmarły trzymał przy skonaniu.

Tym zaś, o których wiadomo, że byli za życia zabójcami, krzywoprzysiężcami lub dopuszczali się innych zbrodni, ściągających na duszę potępienie wieczne, nacinają skórę na podeszwach lub innéem miejscu, albo ucinają im palec u nogi, albo wbijają gruby gwóźdź w potylicę. Czynią to dla tego, ażeby dyabłom nie udało się uczynić z niego upiora, gdy będą one w tym celu nadymały na nim skórę po dokonanym pogrzebie (2).

Odziane zwłoki nieboszczyka wnoszą do izby, składają na środku tejże, na tym samym materacu, na którym skonał i przykrywają całunem z białego płótna. Przytém, rzecz to niezmiernie godna uwagi, płótna tego nie rozcinają nożem, ani nożycami, boby się stępiły na zawsze („*ostalo bi mrtvorezno*“), lecz krają je ostrym krzemieniem! (3).

W Czarnogórzu, gdzie umarłych grzebią bez trumien, ciało nieboszczyka składają na cerkiewny „*odar*“ (łoże), tj. na mary, czyli nosze wzięte z cerkwi i na nich téż potém niosą ciało do grobu.

---

(1) M. Milićević l. c. str. 200—201.—(2) Tamże str. 201.—(3) Tamże str. 198.

Tym lub innym sposobem złożone w izbie zwłoki osób młodych, tj. chłopców, dziewcząt lub młodych mężatek, otaczają wszelakiem kwieciem i wonnemi ziołami. Starszym zaś i żonatym tego nie robią, ani też małym dzieciom; tym ostatnim dla tego, aby „cmentarze nie zakwitły“, tj. aby więcéj dzieci nie umiérało.

W miarę znaczenia jakie nieboszczyk miał w rodzinie, siole lub okolicy, jest on na swéj śmiertelnéj pościeli przedmiotem zwykłego, lub też nadzwyczajnego i powszechnego żalu i czci, nietylko ze strony domowników i najbliższych krewnych, lecz i od dalszych, a nawet nieznanych sobie przyjaciół i wielbicieli, zwołanych wieścią o jego zgonie.

W tym ostatnim przypadku, jeżeli zmarły jest głową rodziny lub jéj członkiem kochanym i poważanym powszechnie, to opłakują go przedewszystkiém niewiasty z własnéj rodziny, tj. żona, siostra, synowa lub córka, które od czasu do czasu zawodzą nad nim tak zwane „*naricanja*“, tj. półśpiewy rzewne, z miłością i żalem głębokim zwrócone ku zmarłéj osobie. Treny te, których parę podam na końcu, po największéj części improwizowane, bywają przy całéj swéj prostocie tak wysoce poetyczne, że po znanych powszechnie pieśniach junackich, należą niewątpliwie do najpiękniejszych utworów ludowéj poezyi Serbów.

Obok tych „*pokajnic*“ (płaczek) domowych, przychodzą jedni po drugich „*na pokajanje*“, tj. aby odwiédzić i opłakiwać zmarłego, krewni, przyjaciele i znajomi jego z bliska i z daleka.

W Czarnogórze i w Boce Kotarskiéj jest zwyczaj, że gdy zdaleka przybywa razem zebranych mężczyzn kilku, to zbliżając się już ku domowi zmarłego, idą oni uszykowani jeden za drugim, ze strzelbami przewróconemi „na opak“ w znak żałoby, a jeden z nich wybrany zawodzi na głos z daleka i opłakuje nieboszczyka. Przed samym zaś domem mieszają oni szyk i śpieszą bez ładu jeden przed drugim, jęcząc chórem, ile głosu starczy każdemu. Gdy zaś przybędą już po pogrzebie, to domownicy wynoszą im z domu i pokazują im odzież i zbroję nieboszczyka, a oni opłakawszy je, udają się w szyku na grób jego i tam powtarza się taż sama scena, co przed domem (1).

Niektórzy, nie umiejąc sami opłakać godnie zmarłéj osoby, przed lub po odwiédzeniu osobistém jéj ciała, posyłają na swe miejsce uproszoną płaczkę, zwaną „*narikača*“, tj. kobietę słynącą w okolicy z pięknego i wymownego opłakiwania umarłych. Ta przybywszy do domu zmarłego, na początku swego trenu oznajmia

(1) V. Karadžić. Srpski Rječnik, wyraz *pokajnice*.

w czyjém imieniu przybyła; a wysławiwszy i opłakawszy zmarłego, kończy swe „*naricanje*“ pozdrowieniem wszystkich zmarłych jego rodu i domu od téj osoby, która ją przysłała (1).

U Czarnogórców musi to być nawet obowiązującym niejako zwyczajem, ażeby kobiety udawały się jako pokajnice opłakiwać każdego niemal zmarłego; albowiem Medakowicz podaje, iż przy niektórych nieboszczykach naliczono po 200—400 takich pokajnic. Między niemi wszakże dziewcząt nie bywa wcale; te albowiem zwykły opłakiwać zmarłych tylko we własnym domu i z własnéj rodziny.

Dopóki nieboszczyk jest w domu, nie wolno jest izby zamiatać, ani gotować w niéj, ani trzymać czegokolwiek kwaśnego, nawet ciasta lub chleba. Przez cały ten czas domownicy czuwają nad nim bez ustanku, we dnie i w nocy, nie opuszczając go ani na chwilę. Strzegą przytém jak najpilniéj, ażeby nic żyjącego, np. kurczę, pies albo kot, nie przeszły po nieboszczyku; gdyż skutkiem tego on by się w upiora zamienił.

Bośniacy z téjże obawy nie wpuszczają wcale kota do téj izby, gdzie leży umarły. W ich wyobrażeniu albowiem kot jest jakąś istotą demoniczną tak dalece, że nawet przeszedłszy przez przędzę nasnutą do tkania, sprawia to, iż człowiek, który nosi koszulę z téj przędzy, staje się upiorem („*vampiri se*“) po śmierci.

Wiara w upiory, czyli wilkołaki i ich szkodliwość jest mocno rozpowszechniona u Serbów. Mają też oni mnóstwo sposobów rozpoznawania grobu upiora, uczynienia go nieszkodliwym i zapobiegających przeupiorzaniu się zmarłych. W Krainie np. w tym celu wtykają umarłemu do pępka igłę, lub jeszcze skuteczniéj cierń z czarnego głogu, posiadającego największą moc na upiory.

W sam dzień pogrzebu zrana, uproszeni przyjaciele udają się na cmentarz i wykopują grób. Nie czynią tego w przeddzień pogrzebu, bo gdyby przygotowany grób pozostał próżnym przez noc, to oprócz nieboszczyka pójdzie do grobu jeszcze ktoś z żyjących.

Przed samym pogrzebem, wprzód nim zwłoki zostaną włożone do trumny, odbywa się oczyszczenie téjże przez dwie stare babki, a to w następujący sposób: na dnie trumny układają one krzyż z pakuł, które zapalają gromnicą, trzymaną przez nieboszczyka w chwili zgonu, i przewracają patykami, dopóki się całkowicie nie spalą.

---

(1) V. Karadžić. Srpski Rječnik, wyraz *narikača*.

Gdy nieboszczyk był dwa razy żonatym, to wkładają mu do trumny zarzniętą kurę czarną, ażeby po śmierci zapomniał o drugiéj swéj żonie, a połączył się z pierwszą w niebie. Toż samo robią i kobiecie zmarłéj po powtórném małżeństwie.

W Krainie serbskiéj istnieje wierzenie, że jeśli w którym domu umrze dwie osoby wkrótce jedna po drugiéj, to za niemi nie odzownie pójdzie do grobu ktoś trzeci, przez nie zwabiony. Zapobiegając więc temu, do trumny ostatniego zmarłego wkładają, lub osobno z nim do grobu zakopują żywe kurczę, albo kurę. Tamże, w Krainie, tudzież w innych okolicach Serbii wierzą powszechnie, że dwaj rówieśnicy, urodzeni w tym samym miesiącu, powinni też i umierać jeden wkrótce po drugim. Rówieśnik jeszcze żyjący ratuje się od tego losu *pobratymstwem*, zawartém z umarłym w sposób następujący: Przystępuje on do złożonego w trumnie rowieśnika i jakakolwiek baba nakłada połowę pęta końskiego na nogę jemu, a drugą połowę na nogę nieboszczyka i zamyka je. Wówczas do stojącego obok towarzysza odzywa się on pytając: „czy podejmujesz się ty dla Boga i św. Jowana, wydobyć mnie niewolnika z grobu?“ Na odpowiedź daną przez tego, że się podejmuje, baba otwiera pęto na chwilę i na nowo zamyka. To się powtarza trzykrotnie, poczém pęto się zdejmuje i obaj rowieśnicy zostają sobie *pobratymami*, t. j. zbratanymi jak gdyby za życia bracia rodzeni. Gdyby to się stać nie mogło przy zwłokach nieboszczyka w trumnie, to tenże sam obrzęd może się odbyć na jego grobie, przyczém pęto nakłada się na krzyż utkwiony nad nim (1).

Obrzęd pogrzebowy rozpoczyna się odprawieniem przez popa zwykłych przepisanych modłów kościelnych nad zwłokami nieboszczyka za jego duszę.

Po odśpiewaniu tych modłów wynoszą nieboszczyka przed dom i składają trumnę na przygotowanych marach, które czteréj ludzie biorą na barki i z całym orszakiem pogrzebowym wyruszają na cmentarz.

Na samym przodzie orszaku ktoś niesie krzyż; za krzyżem postępuje gromada ludzi przybyłych na pogrzeb; za nimi kapłan tuż przed ciałem nieboszczyka, a za tym na końcu kobiety z jego rodziny i inne „pokajnice“, które przez całą drogę głośno opłakują zmarłego.

Pośród tych płaczek, lub też za niemi idą dwie niewiasty, niosące w naczyniach szklanych, lub w małych garnuszeczkach zupeł-

(1) M. Milićević l. c. str. 197.

nie nowych, jedna wodę a druga wino zmieszane z oliwą. Do tego zaś ostatniego uwiązują na czerwonéj nici lub tasiemce małą kukiełkę pszennego chléba kwaśnego. W drodze do cmentarza orszak pogrzebowy zatrzymuje się trzykrotnie na chwilkę, ażeby trącić o kamień napotkany w tém miejscu. Czarnogórcy zaś przeciwnie, wystrzegają się trącenia trumną nawet o próg domu lub cerkwi, do któréj niosą nieboszczyka i przy któréj znajduje się cmentarz.

Przybywszy na cmentarz, trumnę niosą na samym przodzie i okoliwszy z nią cały cmentarz w kierunku słońca, ustawiają ją po prawéj stronie przygowanego grobu.

Gdy kapłan odśpiewa ostatnie modlitwy nad zmarłym, spuszczają trumnę do grobu najbliższi krewni, z wyjątkiem tych, którzy się jeszcze spodziewają miéć dzieci; ci albowiem w ostatniéj posłudze zmarłemu mogą tylko nieść jego trumnę.

W Krainie serbskiéj podczas śpiewania owych ostatnich modłów nad grobem, wspomnione naczynia z wodą i z winem zmieszanem z oliwą stoją u głowy nieboszczyka; po skończeniu zaś tych modłów wstawiają się do trumny nieboszczyka i w niéj zamknięte spuszczają do grobu.

W okolicach Szabca w Serbii wino i oliwę wylewają na nieboszczyka przed samém spuszczeniem go do grobu, a naczynia szklane po nich tuż rozbijają o trumnę. W Bośni zaś, po spuszczeniu trumny do grobu, pop wylewa na nią wino z oliwą i posypuje ziemią, a za nim każdy z obecnych rzuca po garści, mówiąc: „wieczna ci pamięć, wieczna ci radość“. W Serbii, oddając tymże sposobem ostatnie pożegnanie zmarłemu, polecają mu zarazem pozdrowić na tamtym świecie swych zmarłych rodziców, rodzeństwo i krewnych.

Na ostatek nad zasypanym grobem osadzają na mogiłce krzyż drewniany lub kamienny nad głową. Potém zaś jeszcze u Bośniaków skrawują od rękojeści każdéj motyki, którą grób kopano, po kilka trzaseczek drzewa i grób niemi posypują.

U Czarnogórców pogrzeb odbywa się prościéj, lecz żal po nieboszczyku wyraża się na nim daleko gwałtowniéj. Złożonego już na marach biorą na barki czteréj ludzie i przy rozdzierającym płaczu i krzyku wszystkich obecnych niosą do cerkwi.

Tam, całując zmarłego wszyscy po kolei, żegnają się z nim, a potém odnoszą go do grobu. Nad grobem, zdjąwszy zwłoki z *odra* dwoje ludzi spuszcza je do grobu; tam zaś rozwiązują na zmarłym węzły u bielizny, przykrywają go całunem i grób zasypują. Tu dopiero powstają płacze i jęki rozpaczliwe wszystkich i to na cały głos, że rzekłbyś świat się kończy. Na grób zaledwie zasypany padają na twarz wszyscy krewni, pięściami tłuką się po głowie i twarz

sobie rozdrapują do krwi. Najbliżsi z rodzeństwa obrywają włosy na sobie, mężczyzni z czubów, a kobiéty z warkoczów i rzucają je na grób. Niektórzy włosy te wcisnąwszy w rozszczepione laski, zatykają na grobie; inni rzucają jabłka na znak miłości itp. Potém powracają wszyscy do cerkwi, gdzie wysłuchawszy nabożeństwa żałobnego, umywają się i całują krzyż po kolei. Naostatek, wyszedłszy z cerkwi, częstują się gorzałką i powracają do domu.

W Krainie serbskiéj, u Wołochów przeważnie, a niekiedy téż i u Serbów praktykują się następujące dwa osobliwsze zwyczaje pogrzebowe. Po śmierci młodzieńca lub dziewczyny wykopują młodą gruszę, jabłoń lub morelę, mające wydać pierwszy owoc i zawiesiwszy na każdéj gałęzi potasiemce, skrawku sukna lub nici czerwonych, niosą to drzewko przed umarłym i zakopują mu nad głową na jego grobie. Na pogrzebie chłopca jedna z dziewcząt, ustrojona jak do ślubu i w asystencyi dwóch *„dziewierzy“* (drużbów), postępuje za owém drzewkiem, niosąc na tacy dwa wieńce i dwa pierścienie. Jeden z tych wieńców i pierścieni składają zmarłemu na trumnie spuszczonéj do grobu, a drugi oddają tejże dziewczynie; ta zaś nosi je na sobie przez czas niejaki, chociażby narzeczoną zmarłego nie była.

Po skończonym pogrzebie mężczyzni udają się do domu nieboszczyka na stypę, na którą sprasza ich nie kto inny tylko ten, kto zapraszał przyjaciół do wykopania grobu.

Na tę stypę zabija się tak zwane „bydle zaduszne“ (*dušni brav*), tj. barana, lub owcę, jeżeli nieboszczyk umarł w dzień wolny od postu. Gdy zaś umarł on w dniu postnym, to ów *„dušni brav“* odkłada się do wielkiéj stypy w dniu 40-ym po śmierci; pogrzebowa zaś stypa w takim razie odbywa się skromniéj.

Wracających z pogrzebu uczęstników spotykają przed progiem domu dwie domownice, jedna z dzbanem wody i miednicą dla umycia rąk, a druga z żarownicą pełną węgli żarzących się. Każdy z przybywających po kolei umywa sobie ręce, potém chwyta z żarownicy węgiel rozżarzony i przerzuciwszy go parę razy z ręki do ręki, odrzuca po za siebie, mówiąc: „jak zagaśnie ten węgiel, tak niech ugaśnie żałość rodziny po zmarłym“.

W okolicy Sarajewa, oprócz wody i żarownicy, spotykają gości pogrzebowych z kadzielnicą. Każdy z nich najpierw się okadza, potém węgiel rzuca po za siebie, a na ostatku umywa ręce i nie obtarłszy ich wchodzi dopiero do izby.

Wszedłszy do izby, zasiadają wszyscy do stołu już zastawionego, przy którym posługują domownicy z obnażonemi głowami, częstując gości gorzałką i winem.

Uczta odbywa się w milczeniu prawie, lub przy rozmowie prowadzonéj półgłosem i to wyłącznie o życiu zmarłego, o jego przymiotach i ostatniéj chorobie. Ciszę tę przerywają od czasu do czasu uroczystym głosem wnoszone *„zdrawice“*, brzmiące tak np.

„U stołu żałobnego zdrowi mi bądźcie, wy bracia kraśna, na prawo i lewo! Oby nam wszystko pięknie i szczęśliwie się działo, daj Boże! Pierwsze i pomyślne zdrowie niech nam będzie na szczęście wielkie, daj to Boże! Dałby to Bóg i łaska Boża i Piotr święty, aby to zgromadzenie nasze było szczęśliwe, daj Boże!

Zdrowi bądźcie bracia! na radość duszom zmarłych, które już odeszły z tego rodu i z tego domu; wieczna im pamięć i odpoczynek błogi; dusze ich niech będą oczyszczone, a ziemia dla nich lekką; niechaj ich ciała spoczywają, a dusze królują w królestwie niebieskiém przed tronem bożym wraz z duszami świętych i sprawiedliwych Izaaka, Abrahama i błogosławionego cara Łazara w królestwie niebieskiem!

Bóg niech miłościw będzie naszemu bratu N. N. (lub siostrze N. N.); wieczna mu pamięć i odpoczywanie błogie; ciało jego niech odpoczywa, a dusza jego niech króluje! Daj Boże duszy tego zmarłego raj biały, pobyt uroczy i spokój w przedwieczném królestwie niebieskiém pośród dusz świętych i sprawiedliwych! Amen!“

Na to obecni odpowiadają z za stołu:

„Wieczna im pamięć! Bóg niechaj duszyczkom ich odpuści i będzie miłościw!“

Po kilku przemowach podobnych spełniwszy ucztę, również cicho i poważnie rozchodzą się wszyscy do domów, żegnając osieroconą rodzinę i pocieszając ją słowem życzliwém.

U Czarnogórców stypa pogrzebowa, zwana stołem żałobnym (*„trpeza od koritadi“*) (1), odbywa się zupełnie inaczéj. Po przybyciu popa, który poświęca wodę w domu żałoby, zasiadają wszyscy do stołu, lecz pożywają w milczeniu, bez żadnych zdrawic. Natomiast nastrój żałobny wzmaga się do najwyższego stopnia przez dwie kobiéty najbliższe z rodzeństwa, które pośród stypy występują z ostrzyżonemi i obnażonemi głowami na znak żałoby najgłębszéj i chodząc po izbie, głośno opłakują zmarłego w trenach wspomnionych wyżéj.

Toż samo powtarza się u nich przez 10 dni następnych, tylko już nie w izbie, lecz przed domem na dworze, przy osobnym stole,

(1) *Koritadj* = *korota* żaloba; *korotati* opłakiwać, żałować zmarłego.

urządzonym na pamiątkę zmarłego, a który zowie się też **stołem zmarłego** („*mrtvačka trpeza*„). Na tym stole znajduje się tylko sama odzież i cała zbroja nieboszczyka, ułożone tak, jak on na sobie je nosił; a nawet do czapki nieboszczyka przyszywają jego własny czub (*perčin*), ucięty mu po śmierci; przez co naśladują poniekąd postać zmarłego, niby leżącą na stole w całém swém ubraniu i uzbrojeniu.

Stół ten stoi przed domem przez cały czas tych dni dziesięciu, a do izby wnoszą go na noc tylko. Drugi zaś stół, przeznaczony dla stypy, zastawiają codziennie dla pokajnic, przybywających z bliska i z daleka dla opłakiwania zmarłego na jego grobie.

W Krainie, po skończonéj stypie lub nawet wcześniéj, tegoż dnia przed wieczorem, te same kobiety, które zrana rozporządzały się przed pogrzebem, udają się na cmentarz dla spełnienia ważnéj tajemniczéj czynności. Z pękiem pakuł, napuszczonych prochem i siarką i przyniosłszy z sobą 5 nożów starych, lub jeden nóż i 4 duże kolce cierniowe, przychodzą one do grobu nieboszczyka, okładają go w około owemi pakułami i zapalają je ze czterech stron na krzyż. Gdy się te spalą do szczętu, wbijają w nasyp grobowy nóż jeden nad piersiami nieboszczyka, a 4 kolce cierniowe lub pozostałe 4 noże wtykają po jednym nad każdą ręką i nogą; a to w tym celu, ażeby zmarły natknął się na te ostrza i nie mógł powstać z grobu, w razie, gdyby po śmierci stał się upiorem (1).

Z wiary powszechnéj, że dusza zmarłego w pierwszą noc po pogrzebie wraca do swego domu, powstał powszechny też zwyczaj u Serbów, ustawiania na tę noc przyjęcia dla nieboszczyka na tém samém miejscu, gdzie skonał. Najpospoliciéj stawia się sól w solniczce, kawał chleba lub kołacza i kubek wina. W okolicach Szabca dodają jeszcze zapaloną świecę woskową i kadzielnicę. W Krainie zaś, najskromniéj, poprzestają na winie i wodzie w kubkach.

Nie tylko Serbowie, lecz podobno i inni chrześcianie wschodniego kościoła, jeśli nie wszyscy, to przynajmniéj nad Dunajem, wierzą, że dusza zmarłego w pierwszych dniach 40 po zgonie przebywa okres wstępny swojego żywota zagrobowego, nie mając stałego miejsca. Serbowie mniemają, że w tym czasie dusza zmarłego odwiédza wszystkie te miejsca, w których człowiek bywał za życia; a oprócz tego, ażeby się dostać do nieba, musi ona być pierwéj na Św. górze Athos i na grobie Pańskim w Jeruzalem.

---

(1) M. Milićević l. c. str. 201—202.

Ów okres 40 dniowy jest też w zwyczajach serbskich dalszym niejako ciągiem obrzędów i praktyk żałobnych, poświęconych uczczeniu pamięci zmarłego.

Najpowszechniejsza z tych praktyk jest Ż a ł o b a, obowiązująca dzieci po rodzicach, małżonków po sobie nawzajem i siostry po braciach rodzonych. Czas trwania żałoby, od 7 do 40 dni, bywa różny, według miejscowych zwyczajów każdéj okolicy i stosownie do osoby zmarłego.

Na znak żałoby, u Serbów mężczyzni chodzą z gołą głową aż do końca pogrzebu, a niekiedy przez tydzień cały po odbytym pogrzebie. Kobiéty zaś przez całe dni 40 nie splatają włosów w warkocze; a potém aż do końca roku na znak żałoby układają warkocze inaczéj, niż zwykle i ubierają się inaczéj: kobiety zamężne w niektórych okolicach zawiązują sobie głowy czarnym zawojem, dziewczęta nie noszą żadnych kwiatów ani ozdób, a jedne i drugie wdziewają żupaniki zwierzchnie na wywrót. Przytém młodzieży w żałobie nie wolno jest przez cały rok tańczyć, ani śpiewać lub grać. A w pierwszych dniach 40-tu żałoby kobiety i dziewczęta idąc w pole, zamiast pieśni zwykłych nucą sobie n a r z e k a n i a za swoim zmarłym.

Czarnogórcy na znak żałoby nie golą sobie brody, ani podgalają głowy przez 6 tygodni; a przez rok cały noszą czarném obszyte czapki, pasy i szamerowania na kurcie, a kobiety biorą czarne chustki i zawoje.

W téj żałobie po zmarłym bierze nieraz udział cała wieś, na cały rok przerywając wszelkie zabawy i śpiewy, a przekleństwem karcąc każdego, ktoby tę żałobę naruszył.

W Bośni, po śmierci głowy rodziny, córki jego i synowe chodzą przez trzy dni, lub przez tydzień cały, każdego rana na grób jego, gdzie jedna z nich głośno go opłakuje, np. w te słowa:

„Na dzień dobry, ojcze ukochany,
Otom przyszła, kukułeczka siwa,
Spojrzéć tutaj na twój domek wieczny,
Gdzie masz mieszkać sobie na wiek wieków.
Jak ci się w nim nockę nocowało?
Czy dość miękko ci w ziemnicy czarnéj?
Czy ci ciepło pod zieloną trawką?
Czy potrafisz oswoić się, biedny,
Z twoim dworem tym, na wieki ciemnym,
Bez słoneczka i serduszka swego,
I bez synów swych, sokołów siwych
I bez córki, jedynaczki swojéj,
Dziś, mój ojcze, kukułeczki biednéj?
Z Bogiem dworze wieczny ojca mego,

Jutro znowu powrócę tu do cię,
bym odeszła, jak i dziś żałośna!“ (1)

W Serbii i Bokce opłakiwanie grobu odbywa się tylko na trzeci dzień po pogrzebie przy liczniejszém zgromadzeniu krewnych i przyjaciół i przy skromnéj stypie, nad grobem wyprawionéj.

W Krainie jest zwyczaj, Wołoski właściwie, że nazajutrz po pogrzebie młoda dziewczyna z rodziny zmarłego, lub w braku téj inna przez rodzinę jego najęta, roznosi wodę świeżą po domach krewnych i przyjaciół; a powtarza się to codziennie przez dni 40, jako ofiara dla pamięci zmarłego, zwana „*pomana*“. Tamże w 40-tym dniu po zgonie zmarłego odbywa się na jego cześć obchód następujący.

Kobiety kierujące tym obrzędem sporządzają chorągiewkę trójkolorową, umocowaną do laski; osobno zaś przygotowują tykwę, którą wypróżniają po ucięciu szyjki, a włożywszy do niéj kołaczyk pszenny zamiast proskurki i nieco kwiatów i owoców, osadzają w niéj trzy zapalone świeczki woskowe. Chorągiewkę tę przodem niesie chłopczyk jaki, a za nim ta sama dziewczyna, która wodę codziennie roznosiła, postępuje z ową tykwą w ręku. Za niemi zaś idą dwie kobiety: jedna niesie garnuszek z winem i oliwą, a druga kadzielnicę z żarem i próżny garnuszek nowiutki. Cała ta malutka procesya udaje się ku jakiejbądź płynącéj wodzie. Stanąwszy nad jéj brzegiem, dziewczyna 40 razy, raz po raz, zaczerpuje wody nowym garnuszkiem i wylewa na powrót do rzeczki, którą za każdym razem uprasza, aby zaniosła dar jéj zmarłemu niedawno ojcu, bratu i t. p. i pozdrowiwszy go w imieniu żyjących, prosiła o modlitwy za nimi. Gdy dziewczyna skończy to czerpanie i wylewanie, natenczas do tykwy wstawiają oba przyniesione garnuszki, z których jeden napełniają wodą, a okadziwszy tykwę naładowaną darami, puszczają na wodę (2).

Oprócz tych osobliwszych obrzędów, właściwych rzeczonéj okolicy jednéj, daleko większe mają znaczenie i po wszystkich krajach serbskich są rozpowszechnione uczty spominkowe po zmarłych, t. j. stypy wyprawiane przez rodzinę.

Istnieją one wszędzie, z wyjątkiem, podobno, ubogiéj Czarnogóry, gdzie się one zastępują w piérwszych dniach dziesięciu przez opisane wyżéj stypy u nieboszczykowego stołu, a następnie przez całoroczną żałobę. Po serbsku uczty te zowią się „*daća*“ czyli

(1) B. Petranović. „Glasnik“. XXX. str. 352.
(2) M. Miletić. l. c. str. 202.

„podušije“ i wyprawiają się stale 4 razy w ciągu piérwszego roku po śmierci zmarłego, a mianowicie: piérwsza w tydzień po pogrzebie, druga 40-go dnia po śmierci, trzecia w pół-rocznicę, a ostatnia w rocznicę zgonu. Dniem tygodnia, poświęconym temu obchodowi jest zawsze Sobota a niekiedy Niedziela. Soboty trzymają się oni szczególnie dla drugiéj stypy, jako ze wszystkich najważniejszéj. Przyczém zwykli zawsze wybierać Sobotę poprzedzającą, ów dzień 40-ty, jeżeliby nie przypadała na ten sam dzień; nigdy zaś Sobotę następującą po nim, bo to byłoby grzechem, albowiem uczta ta, wyprawiana tutaj na cześć zmarłego, na tamtym świecie chybiłaby celu, przybywając za późno i pozostawszy „za plecami nieboszczyka.“

Pierwsza stypa, w tydzień po pogrzebie, odbywa się bardzo skromnie. W Krainie serbskiéj np. poprzestają na 40—50 kołaczach z kwaśnego ciasta pszennego, z których każdy przysypują z wierzchu kupką obwarzanéj pszenicy, zwanéj *„koljivo“* lub *„panahija“*, a w środek téj kupki wtykają świéczkę woskową. Po przybyciu popa i odprawieniu przez tegoż modłów przepisanych za duszę zmarłego, zasiadają wszyscy do stołu i pożywają owe kołacze z *koljiewem*, przygotowane dla każdego. Stoły te zastawiają zwykle nie w domu, lecz przy drodze przed domem, a zchodzi się na te uczty najwięcéj dzieci.

Najuroczystszą i najhojniejszą jest stypa, wyprawiana w 40-m dniu, a po niéj obie następne. Nie wszędzie odprawiają się one jednako, lecz wszędzie koniecznie występuje na nich wspomniane wyżéj *bydle zaduszne* i *koljivo*, nie obchodzi się téż nigdy bez wina i *zdrawic*.

Na zaduszne bydle nie zabijają nigdy kozy lub kozła, lecz tylko barana lub owcę i to nigdy czarnych, lecz tylko białe; przytém barana podają na stypę po zmarłym mężczyźnie, a owcę po zmarłéj kobiécie. Na większą ucztę pada niekiedy ofiarą jałoszka lub byczek, a jak najrzadziéj nierogacizna i to tylko z konieczności, gdy innego mięsiwa dostarczyć nie podobna. Na stypy po drobnych dziatkach, około 6-tygodniowych, w niektórych okolicach, np. w Walijewskiém, za bydlę zaduszne wystarcza gołąb pieczony; w innych zaś, np. w Aleksinackim okręgu, nie dają w takich razach żadnego *„brava“*, tylko ryż gotowany.

Koljivo, dla każdéj stypy przygotowywane i ułożone na osobnéj misie wraz z proskurką oraz z wetkniętym w nie krzyżykiem i świéczką woskową, jeden z domowników niesie z rana do popa, aby je poświecił przy modlitwach za duszę zmarłego. Odprawiw-

szy te modły, pop oblewa winem przyniesione *koljiwo* i oddaje posłańcowi, a krzyżyk woskowy i świéczkę zatrzymuje dla siebie (1).

Następnie tenże sam, lub jednocześnie ktoś inny z domowników obchodzi wszystkie domy krewnych, przyjaciół i znajomych i zaprasza na stypę, mówiąc: „przyjdźcie wieczorem wspominać zmarłych.“

Stół dla stypy zastawia się przed domem na dworze. Zaproszeni schodzą się zewsząd, nawet po kilka osób z jednego domu, podczas gdy na inne uczty, np. na „*krsno ime*“, może przyjść tylko jeden z zaproszonéj rodziny. Każdego z przybywających, szczególnie krewnych i osobistych przyjaciół zmarłego spotykają zdaleka kobiety w żałobie i z rozpuszczonemi włosami, a lamentując i zawodząc rzewne *naricanja*, wprowadzają gościa do domu.

Gdy się wszyscy zgomadzą i wokoło stołu zasiędą, to przed rozpoczęciem jedzenia powstają wszyscy i głowy odkrywszy, modlą się przez chwilę, stojąc w milczeniu. Potém każdy po kolei, okadziwszy się podaną sobie kadzielnicą, bierze kilka ziarn koljiwa i pożywa je, mówiąc: „duszy zmarłego niech Bóg odpuści, a żyjącym daje żywot i zdrowie“.

Wówczas dopiero siadają wszyscy i uczta rozpoczyna się na dobre, przy któréj domownicy z odkrytemi głowami stojąc za gośćmi, posługują im i częstują najpierw gorzałką, a potém winem. Gość przyjmując nalany kubek, każdy raz powiada: „za czyją duszę mam pić, niech jéj Bóg odpuści, a żyjącym da żywot i zdrowie“.

Jeden z poważniejszych gości, a przedewszystkiém najwymowniejszy z nich, uproszony na „*dolibaszę*“ tj. na mówcę, wygłasza od czasu do czasu, przy podanym sobie puharze wina, dłuższe „*zdrawice*“ tj. przemowy na cześć zmarłego, podobne do przytoczonéj już wyżéj (str. 401), na które obecni odpowiadają chórem: „wieczna mu pamięć!“ itd. Wymową tego rodzaju, tak na stypach jak i przy innych uroczystych obchodach domowych, odznaczają się szczególnie Bośniacy i Hercegowińcy, prawdopodobnie dla tego, że do niedawna jeszcze usunięci zupełnie od obcych wpływów cywilizacyjnych, zdołali oni ustrzedz i lepiéj zachować całą uroczystość i obrzędowość pierwotną swych narodowych obchodów domowych, niż ich współrodacy Dalmaccy, Chorwaccy i Srjemscy, a nawet w wolnéj Serbii.

W wielu okolicach jest zwyczaj, że każdy z zaproszonych na stypę przynosi w worku flaszę drewnianą wina lub gorzałki, bułkę

---

(1) Według V. Karadżića, pop zaproszony na stypę, przed rozpoczęciem tejże poświęca koljiwo w domu rodziny zmarłego.

pszenną i pieczoną kurę w dniu mięsnym, w dniu postnym zaś séra w miseczce.

Gdzie ten zwyczaj istnieje, tam w drugiéj połowie uczty występuje jeden z sąsiadów przybyłych na ucztę i stanąwszy przy końcu stołu, w te słowa wygłasza dary przez każdego z gości przyniesione, które mu w owych workach po kolei podaje służba domowa: „Sąsiad nasz i przyjaciel Miłoj, przyszedłszy uspokoić duszę zmarłego brata naszego Marka, przyniósł z żałością ową bułkę i flaszę wina, które Bóg niechaj mu zwróci w radości.“

Wszyscy odpowiadają z cicha: „daj Boże!“ poczém wygłaszacz („*prikazivač*“) składa dar ten na stole, a biesiadnicy raczą się nim jeden po drugim.

Jeszcze się to składanie darów żałobnych nie ukończyło, aż tu rozpoczyna się nowa scena obrzędowa, wielce ciekawa i dramatyczna: naraz wychodzi z domu i staje przy tymże końcu stołu, gdzie się wygłaszają dary, najbliższa krewna zmarłego, tj. siostra lub matka, z rozpuszczonemi włosami, z wyrazem rozpaczliwéj boleści na twarzy i oburącz za pas się ująwszy, a głowę przechyliwszy ku jednemu ramieniu, czeka w milczeniu. Tuż za nią wszystkie inne niewiasty téjże rodziny, tj. synowe, córki i siostry ustawiają się i czekają w milczeniu i smutku.

Skoro wygłaszacz ukończył swoje, natenczas stojąca na przodzie owa *pokajnica* wraz ze swym orszakiem niewieścim puszcza się krokiem bardzo powolnym na około stołu i na cały głos żałośnie wyśpiewując, jak może najwymowniéj opłakuje zmarłego w jednym z tych rzewnych i prostych, lecz wysoce poetycznych *naricanij*, o których mówiliśmy wyżéj (str. 396).

Wszyscy z głębokim smutkiem, a wielu do łez wzruszeni, słuchają tych trenów. Aż gdy *pokajnice* parę już razy obejdą wkoło stołu téj uczty żałobnéj, jeden z poważniejszych gości, lub która kobiéta starsza kładzie koniec tym żalom, powiadając: „dość już Maryjo, dość już siostro dla Boga! Boża to wola! wszystkich nas ten koniec czeka! nie gniewajcie Boga! tym co zostali daj Bóg życie i zdrowie!“

Gdy opłakiwanie się skończy i kobiety owe odejdą, to i goście, pogwarzywszy przez czas jakiś u stołu, powstają także i rozchodzą się do domów.

Owe *naricanja*, stanowiące u Serbów jeden z głównych i najwydatniejszych aktów obrzędu pogrzebowego, wyrażają się we właściwéj, powszechnie ustalonéj formie.

Są to półśpiewy nie rymowane. Rym albowiem jest u Serbów tylko ozdobą krasomówczą, używaną jedynie w przemowach

(„*zdrawicach*“) weselnych i świątecznych; wszelkie zaś utwory poetyckie, tj. pieśni, do których i owe naricanija należą, są ściśle rytmiczne. Rytm w pieśniach serbskich jest ich szatą ulubioną i jedyną, zastępującą nietylko rym, lecz i właściwe im ubóstwo i monotonią melodyi.

W trenach pośmiertnych serbskich rytm bywa dwojaki: albo taki jak w podaném wyżej (str. 403) naricaniju bośniackiém nad grobem, tj. 10-zgłoskowy z cezurą po 4-éj zgłosce (2+2 || 2+2+2), albo 8 zgłoskowy (2+2+2+2).

Pierwszy, właściwy, jak wiadomo, pieśniom epicznym, używa się rzadziéj w trenach i to przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, daje się słyszéć tylko u Bośniaków. Jeden i drugi przytém przybiéra w tych pieśniach pośmiertnych wyraz całkiem odmienny od zwykłych pieśni i jakiś niepospolicie bolesny przez to, że po każdym wierszu; zawierającym zwykle coraz to nową myśl osobną i skończoną, wplatają się do pieśni krótkie wykrzykniki 4 zgłoskowe, złożone z jednego lub co najwięcéj z trzech krótkich wyrazów. Wykrzykniki te wyglądają prawdziwie jak gdyby westchnienia i jęki, z bólu wielkiego przerywające tok saméj pieśni żałobnéj. Porównanie to może opiéra się zresztą na faktyczném istnieniu pieśni przerywanych jękiem, jak np. następujące z okolic Risna (Rizano), podane przez Wuka Karadzića, które w przekładzie przytaczam:

1. *Matka nad synem.*

Biédnaż matka, czego ja dożyłam,
ąch, ach ach!
bym własnego syna w grób składała.
ach, ach, ach!
O tém biédna nie myślałam matka,
ach, ach, ach!
że się tego ja doczekam kiedyś,
ach, ach, ach!

Bądź pochwalon wszakże, Boże miły!
ach, ach, ach!
choć dotknąłeś mnie tym ciosem biédną,
ach, ach, ach!
Choć utratę szczęścia opłakuję
ach, ach, ach!
méj przyszłości i mojego serca!
ach, ach, ach!

2. *Siostra pocieszając matkę.*

Potrudziłam się do ciebie
siostro biédna!
boś mię srodze rozraniła
swą boleścią,
gdyś się tego doczekała
biédna bardzo!
że dziś szczęście opłakujesz
swéj przyszłości,

serdecznego serca twego,
nieszczęśliwa!
Czyż jest rana gdzie bez leku?
bolu srogi!
Każdéj ranie lek się znajdzie,
siostro biédna!
Lecz serdeczna leku nie ma,
srogi bólu!

W piérwszym z tych trenów wiersze 10-zgłoskowe przerywają się tylko jękiem samym, zastępującym niejako wyrazy, na któ-

re zdobyć się trudno osieroconéj matce; w drugim zaś 8-zgłoskowe wiersze przeplatają się wykrzyknikami, jak gdyby w połowie urwanemi.

W takiéj to formie ujęta, treść owych żalów, lubo zawsze żałobna i rzewna, różni się wszakże bądź głębokością i potęgą uczucia, które się z nich odzywa, bądź sposobem wyrażenia tych uczuć; a to zależnie od osoby zmarłego, równie jak i od daru poetyckiego téj, która ją opłakuje.

Rzadko bardzo zawierają one w epicznych wierszach 10-zgłoskowych obrazowe lub przenośne opowiadanie o zmarłym, np.

„Rozsuły się perły po kamieniach;
i rzuciła się Jokicy matka,
biédna matka wraz z żałośną lubą (1)
zbierać perły rozsute wśród głazów.
Żmija na nie wypadła z pod głazu
i wyżarła oczy im obojgu,
a Jokicę ugryzła śmiertelnie". i t. d.

albo:

„W wiecu radzą panowie banowie
po nad brzegiem głębokiego morza:
„„Komuż mamy zdać dziś banowanie?""
Stary Joka (2) dostał laskę srebrną,
Rista żupan otrzymał zielony,
Jowie dano blachy na ramiona,
a Łukecie pozłocistą szablę,
Mit'i (3) kołpak piękny darowali,
a Jokicy czarny bajrak (4) dali,
by nim matka biédna powiewała,
biédna matka jego wraz z lubeczką (5)"
[i t. d.

Zwykle jednak w tych pieśniach żałobnych żale są zwrócone wprost do zmarłéj osoby, a wypowiedziane tak rzewnie i poetycznie, że z kilkudziesięciu pieśni, jedna od drugiéj piękniejszych, z trudnością nam przyszło wybrać na wzór parę następujących.

W Pasztrowickiéj okolicy pod Czarnogórą, nad morzem między Budwą i Burem, za czasów Wuka Karadżića śpiéwano najpiękniejsze pieśni tego rodzaju. Oto jedna z nich, śpiéwana nad świéżym grobem męża, gdy wdowie jego zawijano głowę czarną chustką (6).

Czemu ciężki ból zadałeś
młodéj swojéj kukułeczce,
któréj wiernie przysięgałeś,
że jéj nigdy nie opuścisz?
Otoś wiarę dziś jéj złamał;
oblekłeś ją dzisiaj czarno,
imie srogie jéj nadano,
srogie imie twéj wdowicy.
Gdzie usiędzie, — nie usiedzi,
gdziebądź pójdzie,—jakby nie szła,
co chce wyrzec,—mowy nie ma.—
Lecz cię błaga kukułeczka:
ach! nie rzucaj ty jéj biédnéj,
dla miłości coście mieli
i dla dziatek twych nie mądrych,
co ojczulkiem ciebie zwały.
Ale ona ma nadzieję,
w tobie i twéj głowie mądréj,

---

(1) Żona zmarłego. — (2) Ojciec zmarłego Jokicy. — (3) Dymitrowi.— (4) Chorągiew.—(5) Z żoną. — (6) Wuka Karadżića: „Srpske narodne Pjesme", T, I. u Beču 1841, Str. 94. N. 154.

że jéj samej nie opuścisz,
ni poczciwéj pracy twojéj,
którąś znoił się za życia
od dziecięcia malutkiego;
ani dziatek swych sierotek
bez porady i nauki,
bez całunków i uścisków
i bez wszego dobra twego".—

Zowice za snachą (1).

(bośniacka)

„Biadaż nam, och! snaszko ukochana!
biadaż nam, och! nasz kwiateczku strojny!
Wczoraj jeszcze kwitłaś nam w ogrodzie,
do wiązanki brałyśmy cię rade.
i twe liczko nam się rumieniło,
a dziś oto pociemniało strasznie!
Och jak ciężko młodéj ci w ciemności
młodość swoję unosić pod ziemię,
by ci liczko pod ziemicą zwiędło,
jak kwiat róży opadły na ziemię!
Nam, och, ciężko płakać tu po tobie.
a drogiemu twemu żalów słuchać!
Gdy się dowié twoja matka miła.
kędyż k'tobie przyjść ma w odwiedziny
i żałobne podarunki przynieść?
Snacho nasza, kwiecie ty nasz złoty!
Czyż ci nie żal rzucać tu co drogie
i najmilsze jest ci na tym świecie?
Czyż ci nie żal?—Biédnaż matka twoja!"

Córki za matką.

(bośniacka)

Biadaż matko! biada nam kukułko!
biada ptaszko, nasza ty jaskółko.
Czemuż gniazda swego odleciałaś,
opuściwszy swe pisklęta drobne?
Z kim ptaszęta twe dziś latać będą,
przy kim dziatki twoje pozostaną?
któż dzieciątka twoje wabić będzie,
któż je teraz popieści, matulu?
Och biada nam matko, jaskółeczko,
och biada nam kukułeczko siwa!
Dokądkolwiek odchodziłaś matko,
zawsześ wcześnie wracała do dzieci
i z radością je przywoływałaś
i na łonie przytuliła białém.
A dziś nie ma komu iść przywołać,
bo ci usta zaniemiały matko!
Biada matko, kukułeczko siwa!
Tyś odeszła i nas opuściłaś
i już nigdy do nas nie powrócisz,
upominki niosąc i pieszczoty.
Biadaż matko, żalu nasz niezmierny!
Biada twoim synkom nieżonatym
i twym młodym córkom niewydanym.
Któż wyprawne stroje im posprawia,
któż je, matko, za mąż powydaje,
i kto do nich w odwiedziny pójdzie?
Gdym się zakląć miała, to na matkę:
by tak żyła mi i mnie wołała,
by tak strzegła i rozkazywała.
A dziś nie ma komu spojrzéć na mnie,
ni zawołać, ani mi rozkazać!
Świeciło mi słonko, a dziś zgasło,
matkę miałam, lecz mi dziś odeszła.
Biadaż matko, kukułeczko siwa!
Za co żeś się zagniewała na nas,
że nas biédne porzuciłaś same?
Czy powrócisz ty matulu do nas,
czy téż nas na wieki opuściłaś?
Czyż ci nie żal nas, sierotek biednych,
co dziś płaczem i łzy wylewamy?
Pomne na cię córki twe wydane
przyjdą tutaj rozweselać ciebie,
lecz już w domu cię nie znajdą, matko!
Któż bez ciebie córki twe powita,
Kto tu gwarzyć z niemi będzie, matko?
Przyjdą one opłakiwać ciebie.

---

(1) Siostry mężowskie za bratową.

i twój wieczny żywot tam, matulu,
i sieroctwo nasze tu po tobie.

Któż tu do nas odezwie się, matko
zamiast ciebie i z miłością twoją?

Na zakończenie, oto jeszcze jedno *naricanije*, najpiękniejsze ze wszystkich mi znanych, a którém synowa opłakiwała świekra swego, bogatego 80-letniego kmiecia z Banjany, w dawnéj Hercogowinie, a dziś w Czarnogórze. Podał je Wuk Wérczewić, jako pochodzące z roku około 1814, a słyszane przez niegoż za młodu w Risnie.

„W jakąż drogę to odszedłeś,
świekrze banie?
taki krzepki i wspaniały,
biednaż snacho!
taki strojny i orężny,
rozpacz moja!
jako orzeł na swych skrzydłach
orle ojcze!
Czy do cerkwi między braci,
braci chlubo!
czy do wiecu między kmiecie,
wodzu kmiecy!
gdzie śmiertelne krzywdy sądzą,
domu głowo!
między rody skrwawionemi?
mój junacze!
Czy do baszy na układy?
chwało braci!
czy pod namiot do wezyra
głowo mądra!
czy na senat do Cetynji
rado moja?
Czy do swatów za starszyznę?
swatów chlubo.
Czemuś zamilkł, nie przemówisz?
świekrze bracie!
Na co ręce skrzyżowałeś
mój mołojcze!
Czemuś czarne oczy zamknął,
oczu światło!
wąsy ciemne na dół zwiesił,
ludzka chlubo!
i miodowe usta zawarł?
głowo mądra!
Czyś się na mnie tak zagniewał?
biadaż moja!

Ni mnie karcisz, ni miłujesz?
za co świekrze!
Strach mnie srogi zdjął o ciebie,
dniu mój smutny!
byś ty od nas nie odeszedł
gdzieś daleko!
w drogę ciężką bez powrotu,
biednyż dom twój!
kędy szczęście większe znajdziesz,
dobry ojcze!
braci sławnych i rodaków,
a nam pusto!
wojewodów i serdarów,
szczęście dla nich!
Będą witać cię i ściskać,
ojcze drogi!
o nas żywych rozpytywać,
ludzi biédnych!
jak żyjemy tu z Turkami?
ze wrogami?
Ja cię tylko błagam ojcze,
nieszczęśliwa!
nie zabawiaj się tam długo,
orle świekrze!
Uderz w skrzydła, trząśnij siłą,
domie silny!
Otrząśnij się z prochu ziemi,
prędzéj świekrze!
jako sokół z rannéj rosy,
mój sokole!
powróć do nas i rozraduj,
gdzieś mi zniknął?
i pokochaj nas lub pokarć
mój witeziu!
i obejmij nas i popieść!
ukochany!

---

(1) V. Vrčević. l. c. str. 272—73.

Jak to tobie już zwyczajne,
och, my biedni!
będzie komu cię powitać,
będzie ojcze!
i o zdrowie cię rozpytać—
nam sierotom!
Któż twym domem rządzić będzie?
mój ty panie!
kto krainie przewodniczyć?
braciom skrzydło!
kto nam młodzież w bój powiedzie?
mój junaku!
kto od Turka nas obroni,
raję biedną!
z ostrą szablą w mężnéj dłoni.
mieczu ostry!
i zagrzewać młodych będzie?
orle ojcze!
. . . .
. . . .





NAD HORYNIEM,

POWIEŚĆ. (*)

Adam i panna Helena prowadzili dość ożywioną rozmowę, w której ona wygłaszała tak śmiałe przekonania, że on był zdziwiony, słysząc je z ust kobiéty téj sfery. Rozpytywała się téż z takiém zajęciem o sposób wykładania nauk w instytucie ukończonym przez Adama, o poglądy i nastrój ducha studentów, że Adam zauważył z uśmiechem:

— Przypuszczam, że nie wiedząc o tém, miałem wśród kolegów kogoś, kim się pani mocno interesuje?

— Wiecznie to samo!—zawołała żywo.—Nigdyż nie będziecie nas panowie uważać za ludzi, tylko zawsze za kobiéty, w średniowieczném znaczeniu tego słowa? Więc książka naprzykład, o tyle tylko może zwrócić moję uwagę, o ile ładny chłopiec przewraca jéj kartki? Więc mogę, nawet podług pana, zainteresować się zakładem naukowym, pojęciami i celami młodzieży, tylko jako rozgruchana synogarlica, widząca w którym z pionierów przyszłości jedynie ładny wąsik i czułe oczy?

— Daruje mi pani, żem mówił do niéj jak do każdéj innéj, nie wiedząc o tém, że należy pani do wyjątków. Nie dostrzegłem żadnéj powierzchownéj wskazówki, którąby mi pozwoliła domyślać się tego.

— Ach! zapewne nazywasz pan powierzchownemi wskazówkami objawianie pretensyi do męzkości umysłu przez noszenie okularów, palenie cygar, lub strzyżenie włosów? Są to już dzisiaj wskazówki tylko nieuzasadnionych pretensyi w tym względzie. Kobiéta zrozumiała już przecie, że nie cechy zewnętrzne zrównają ją z mężczyzną, że równouprawnienie leży nie w ubraniu lecz w myśli i w czynach. Ja ubieram się, jak pan widzisz, ciemno i skromnie,

(1) Ob. „Ateneum“, zeszyt sierpniowy, str. 202—235.

bo gardzę próżnością i kokieteryą, ale nie widzę potrzeby psucia sobie płuc dymem, wzroku szkłami, i obcinania warkocza, który mi nie zawadza.

Mówiąc to, wstrząsnęła głową, a gruby splot czarnych włosów, niedbale spięty dużą srebrną strzałą, osunął się na ramiona, do pasa.

Adam uśmiechnął się na tę zalotność w czynie, idącą bezpośrednio po potępieniu jéj słowami, lecz rzekł grzecznie.

— Rzeczywiście, że obcięcie takiego warkocza byłoby czarną niewdzięcznością względem hojności natury. Więc pani należy do kobiét dążących do równouprawnienia, bez wyrzeczenia się kobiecości?

— Owszem; wyrzekam się kobiécości takiéj, jak ją dotąd pojmowano. Miękkość uczuć, subtelność wysłowienia, przyozdabianie postaci, i wszystko, co się składa na tak zwany wdzięk niewieści,—to drobnostki niegodne zajmować poważniejszego umysłu, którego celem—nie pociąganie głupców komedyą jakiejś anielskości, lecz wywalczenie sobie niezależności, stanowiska i praw człowieka.

Adam spojrzał na uwieszoną u jego ramienia małą osóbkę, ciskającą wielkie frazesy, i przyszło mu na myśl, że to, co ona nazywa pogardliwie komedyą anielskości, jest przecież milszém dla oka najpozytywniejszego nawet mężczyzny, niż popisywanie się traktowaniem z wysoka tych słabości, stanowiących siłę kobiéty. Twarz panny Heleny była doskonałą ilustracyą jéj słów: ciemna cera, ostry nos, wązkie usta szerokie brwi czarne, złączone nad byśtremi siwemi oczyma, składały się na całość nawet wcale nie brzydką, lecz zupełnie pozbawioną miękkości, słodyczy i wdzięku. Zrobiwszy tę uwagę, Adam był w kłopocie jak daléj prowadzić rozpoczętą rozmowę. Przeczyć nie mógł z zasady, potwierdzać jakoś nie miał ochoty. Rzekł więc wymijająco:

— Żałuję, że za mało jestem z panią znajomy, abym mógł bez niedyskrecyi zapytać, jakie to stanowisko i w jaki mianowicie sposób pani zamierza sobie wywalczyć?

— Do czego te czcze formułki o niedyskrecyi?—odpowiedziała. Jesteśmy już dobrymi znajomymi, bo nas łączy wspólność przekonań; możemy więc zwierzać się sobie jak koledzy.

— Jeśli tak, to i owszem; a więc bez formułek, ponieważ jestem do tego upoważniony, zapytuję koleżkę o jego zamiary i cele?

— Nim opowiem panu moje na przyszłość zamiary muszę pierwéj przeszłość opowiedzieć otwarcie. Ludzie nazywają mię skrytą, a nie wiedzą, że dlatego tylko nie wywnętrzam się przed nimi, że

mię nie zrozumieją. Z panem będę szczerą, bo lubię podzielić się myślą z kimś, co jéj sobie fałszywie nie wytłómaczy.

— Dziękuję za zaufanie i słucham pilnie.

— Moja przeszłość była niewesoła wcale. Ojciec mój stracił powiększony swoją pracą majątek żony, która wychodząc za niego, zrobiła to, co jéj krewni ze zgrozą nazywali mezaliansem. Owdowiawszy, moja matka traciła resztki dawnéj zamożności na moje wychowanie, pojmowane na swój sposób. Poséłała mnie na francuską pensyę, stroiła i psuła, zamiast nauczyć jakiéj specyalności, któraby mi mogła przyszły byt zapewnić. To też po jéj śmierci zostałam z niczém i do niczego, i musiałam przyjąć opiekę jéj krewnych, którzy przez dumę nie pozwolili kuzynce swojéj szukać przytułku u obcych; lecz i ja miałam swoją dumę, więc nie chciałam jeść ich chleba darmo, tylko umówiłam się jako panna do towarzystwa ciotki. Gorzki to przecież chléb, taka synekura pracy, bez jasno określonych obowiązków i zajęć. Sprzedawszy myśl, czas i humor na czyjąś rozrywkę, bawić nudnych i znudzonych, śmiać się gdy ciężko na sercu, rozmawiać z musu, nie miéć nigdy siebie dla siebie, lecz zawsze dla kogoś, znosić z uśmiechem chłodną grzeczność i uprzejme lekceważenie, być zerem które miejsce zajmuje ale nic nie znaczy, i w takich warunkach zachowywać zawsze wesołe usposobienie, bo przecież za to płacą—to los panny do towarzystwa. Buntowałam się też wewnątrz przeciw takiemu losowi, trułam się żółcią, obmyślałam środki wyjścia z nieznośnego położenia, i nic praktycznego wymyśléć nie mogłam. Aż znalazła się ludzka istota, która mię odgadła, zrozumiała, i wskazała drogę do wyjścia. Był to korepetytor moich kuzynków, student uniwersytetu. Od niego dowiedziałam się, że jestem człowiekiem, że mogę miéć byt niezależny i męzkie stanowisko w społeczeństwie, że do jakich zechcę rezultatów dojdę własną tylko wolą, za pomocą wytrwałéj pracy i poważnéj nauki. Przynosił mi książki, które pochłaniałam nocami, tłómaczył je doskonale, odbierał mi jedne po drugich przesądy, mrzonki, złudzenia, aż przejrzałam i stanęłam do walki o byt z materyą i siłą. Wtedy-to postanowiłam silnie zbierać choćby przez całe lata zasoby, tak intelektualne jak materyalne, aby módz wyjechać na kursa zagranicę, a ukończywszy je, miéć chléb, dach własny i stanowisko w społeczeństwie.

— I zrobiwszy to postanowienie, przyjechała pani do Horyniec?

— Jedno drugiemu nie przeszkadza,—przeciwnie; w Horyńcach mam wszelkie ułatwienia do odpowiedniego przygotowywania się.

— Jakże przyszło do tego, że pani zmieniła miejsce pobytu?

— W przeszłym roku odwiedziła moich krewnych nasza wspólna kuzynka Nina. Ja wtedy byłam w najsmutniejszém może stadyum mego nie wesołego życia; zawiodłam się na jedyném sercu ludzkiém, które mi prawdziwą życzliwość okazywało, studya moje stały się trudniejszemi odkąd musiałam je prowadzić bez przewodnika, a ciotka okazywała mi coraz większe niezadowolenie z moich, jak mówiła, niemożliwych pojęć i zuchwałych zdań. Nina jest romantyczna i ciekawa; zajmuje ją żywo wszystko, co nowe i niezwyczajne. Przylgnęła więc do mnie i starała się pozyskać moje zaufanie, poczém zapaliła się do moich planów i ofiarowała mi swą pomoc do ich wykonania. Ponieważ nie chciałam przyjąć nic darmo, zaproponowała mi u siebie miejsce sekretarza i lektorki, z oznaczeniem godzin zajęcia, tak abym bez skrupułu mogła wolny czas poświęcać studyom, w czém biblioteka hrabiego i światłe jego rady miały mi być pomocą. I tak już rok mija, jak tu jestem, a zapas tak wiadomości jak finansów moich niedługo będzie już dostatecznym dla spełnienia moich zamiarów, jeśli im co nadzwyczajnego nie przeszkodzi.

— Zbywasz pani ogólnikowo swój pobyt tutaj. Czy dawne przykrości w stosunkach towarzyskich tu już się nie powtórzyły?

— Ponieważ ludzie tu, jak wszędzie, są w znacznéj większości źli i głupi, więc spotkałam się jeszcze nieraz z pychą i lekceważeniem; ale przynajmniéj nie potrzebowałam znosić tego od domowych.

— Pozwól mi pani być szczerym.

— Zdaje się, że dostatecznie wyzywam pana na to przykładem.

— Pani postępowe dążności nie przeniknęły jeszcze téj sfery towarzyskiéj, która z dumy, z zasady i z lenistwa jest ultrazachowawczą; czy wygłaszanie przekonań, fanatycznie przez nich potępianych, nie stawia pani w kolizyi właśnie z osobami, z któremi pani ciągle przebywa?

— Te należą do nielicznych wyjątków. Hrabia Janusz, to umysł wyższy, człowiek z inteligencyą i wykształceniem, dyletant-myśliciel i amator-literat. Przez nałóg wychowaniem nabyty, trzyma się on niby jeszcze niektórych form przestarzałych, lecz to tylko powierzchownie, w gruncie zaś sympatzuje z wielu nowemi ideami, dla wszystkich zaś ma nieograniczoną tolerancyą.

— A pani Nina?

— Och! Nina to ciekawska, która kosztuje łakomie każdéj nowości, jak dzieciak skradzionych matce konfitur, i tém większy

ma apetyt na zakazane owoce, im surowiéj się jéj zakazanemi być zdają. Dla niéj wszystko niczém, byle się chwilkę czémś nowém zabawić. Nieraz w poważném gronie zacofańców wyprowadza mię sama na dysputy z nimi, aby się uśmiać ze zgrozy dewotek i oburzenia księdza kanonika; przed którym potém bije się w piersi w konfesyonale. Jak u jéj męża głębokość myśli, tak u niéj właśnie lekkomyślność jest źródłem tolerancyi.

— Zostaje jeszcze panna Marya.

— Maryjka patrzy na wszystko, co się sprzeciwia wyznawanym przez nią zasadom, z pewną dumną i pogardliwą litością, którą nazywa chrześciańskiém pobłażaniem. To harda i uparta dziewczyna.

— Powiédz mi pani, jakie właściwie stanowisko zajmuje tutaj ta panna Maryjka? Nie znając dotąd tych pań, nie miałem ciekawości wypytywać się o nie, i wiem tylko od mojéj gospodyni, że „grafinia“ ma przy sobie młodą wychowankę, którą bardzo kocha. Ta opieka hrabiny musi miéć swoję historyę, którą radbym teraz wiedziéć.

— Mogę panu opowiedziéć co o tém słyszałam nietylko od postronnych, ale nawet od saméj Maryjki, która mówi o swojém pochodzeniu z pewnym naciskiem, dla pokazania, że się go nie wstydzi. Ojciec Niny, sprzedając jakieś ukraińskie dobra, wyekscypował sobie kilka ulubionych koni, i ulubionego kozaka, którego specyalnością było ujeżdżanie dzikich tabuńczyków z pańskiego stada. Kozak, przesiedlony z żoną tutaj, do Horyniec, nie miał zajęcia, bo stada nie było, więc pan zrobił z niego inny użytek i mianował go dworskim kowalem. Chłop nie miał pojęcia o rzemiośle, ale był silny i zręczny, a pańska wola wiele może, więc wyuczył się czego trzeba, i kuł żelazo dla dworu do uwolnienia włościan, a po uwolnieniu na własny zarobek, nie myśląc już o powrocie w rodzinne stepy, bo zżył się z nowém zajęciem, nową stroną, i odtęsknił od Ukrainy, skupiając całe swoje serce kozacze w kołysce Maryjki. Ale nim ta rok skończyła, przyszła jakaś epidemia i zabrała kozaka i jego żonę. Dziedziczka, która z małą Niną mieszkała, owdowiawszy, zagranicą, była właśnie tego lata u siebie, w Horyńcach, i zaopiekowała się sierotką; oddała ją na wykarmienie wiejskiéj kobiécie mającéj dziecko w tym samym wieku, z zamiarem wzięcia małéj, gdy podrośnie do garderoby. Kiedy Nina wyszła za mąż, matka, oddając jéj Horyńce, przypomniała sobie zobowiązanie zaciągnięte względem sieroty, i poleciła ją opiece córki. Nina kazała sobie przyprowadzić dziewczynkę, już wtedy prawie dziesięcioletnią, podobno niebrzydką i roztropną, i swoim zwyczajem, zachwy-

ciła się nią, rozentuzyazmowała i postanowiła ten dyament oszlifować salonową edukacyą. Po paru latach umarła maleńka córeczka Niny, po któréj rozpaczała z całą właściwą sobie egzaltacyą, i całą tę egzaltacyę w kierunku uczuć macierzyńskich zwróciła do Maryjki, dając jéj najświetniejsze jakie być mogło wychowanie, któróm zainteresował się także hrabia Janusz, w skutek czego przybrało poważny kierunek. Pod tym wpływem Maryjka rzeczywiście wiele skorzystała intelektualnie, a pomimo pieszczot i zbytku wyrosła na energiczną kozaczą naturę, i z czasem tak zawojowała Ninę, jak to najczęściéj bywa w stosunku silnych charakterów ze słabemi. Zdaje się, że dziś Nina oddałaby za nią nietylko swój błękitny buduarek, ale nawet swego eleganckiego Henryczka.

— Henryczka? jakto?

— Jakżeś pan niedomyślny!

— Czémże jest pan Henryk dla pani Niny?

— Czém? przecież to widoczne... Ale to prawda, że mężczyzni częściéj patrzą a nie widzą, niż kobiéty słyszą a nie rozumieją.

— I to stosunek ścisły?

— O ile, nie wiem... wieczna obłuda konwenansu nie daje zbadać rzeczy dokładnie. Zresztą, nie pierwsza to i nie ostatnia fantazya kokietki. Nina jest kapryśném dzieckiem, które coraz nowego pajaca do zabawy potrzebuje.

Panna Helena, mówiąc o sobie i o Ninie, zręcznie wykazywała różnicę dwóch typów kobiécych, uwydatniając niby nieumyślnie wyższość kobiéty-człowieka, nad kobiétą-dzieckiem, i nie wątpiąc, że pozytywny i postępowy mężczyzna uczci w niéj poważnego członka społeczeństwa a pogardzi tamtą bezużyteczną zabawką. I loicznie takby być powinno, bo Adam podzielał zupełnie przekonania panny Heleny w teoryi. Ale w praktyce... W praktyce odwrócił właśnie głowę od dzielnéj pionierki postępu, wspartéj na jego ramieniu, aby ścigać oczami wiotką postać jasną, która tam przed nim na zakręcie ulicy wynurzyła się z klombu drzew jakby urocze nocne widziadło... Adam mówił sobie w duchu, patrząc na nią, że ta wietrzna istota jest bardziéj puchem łabędzim, skrzydełkiem motylém, egzotycznym kwiatkiem lub barwnym kolibrem niż człowiekiem, i mówił to sobie zupełnie szczerze; a jednak... jednak śledził wzrokiem biały szal Niny z tak żywém zajęciem i upodobaniem, że zapomniał zupełnie o idącéj przy nim Helenie, która przecież o tyle lepiéj wyobrażała uznawany przez niego typ kobiéty przyszłości.

Tacyście wy zawsze, moi panowie! nam tylko niekonsekwencyę zarzucacie a sami... Wśród milczenia, które zapanowało pomię-

dzy tą parą, do uszu panny Heleny doleciało kilka wyrazów z rozmowy, którą prowadziła druga para idąca o kilkanaście kroków naprzód. Janusz opowiadał właśnie Maryjce swoję przeszłość, a Helena łowiła pilnie ostrym swym słuchem oderwane frazesy ich rozmowy, ale jednocześnie chciała od niéj odwrócić uwagę swego towarzysza. Zadała mu więc jakieś pytanie, wymagające dłuższéj odpowiedzi, potém drugie i trzecie, i udawała, że go pilnie słucha, rzeczywiście zwracając całą swą uwagę na inny przedmiot. Gdy idący naprzód umilkli, ona także przestała rzucać pytania, Adam nie podtrzymywał téż rozmowy, i tak wszystkie trzy pary milczały zamyślone, zszedłszy się na tarasie przed werendą. Wtedy dopiéro dźwięczny głosik Niny przerwał ogólną ciszę, oznajmiając, że łaskawa kasztelanka najmiłościwiéj dozwalać raczy, aby wszyscy, widocznie już znużeni, udali się po poniesionych trudach na zasłużony wypoczynek. Zamieniono życzenia dobréj nocy; hrabia podając rękę Adamowi, obiecał mu na jutro swoje odwiedziny, a hrabina dodała uprzejmą prośbę, aby jako młodszy nie liczył się na wizyty z jéj mężem, i chciał pamiętać, że zawsze będzie u nich miłym gościem. Poczém panie oddaliły się każda do swoich apartamentów, a goście każdy w swoję drogę.

Henryk, rozparty na poduszkach szykownego powoziku, unoszonego szybko przez dwa rasowe szpaki, ogryzał z nerwowém rozdrażnieniem cygaro hawańskie, gonił roztargnionym wzrokiem ulatujące chmurki błękitnawego dymu... i myślał o Ninie.

Adam szedł szybkim równym krokiem po ścieżce wijącéj się łąkami, patrzył uważnie przed siebie, aby nie zbłądzić na tych przestrzeniach, z których nocne opary i światło księżyca zrobiły jednostajne jezioro srebrzystego tumanu, prętem wyłamanym w parku strącał kryształowe paciorki z pochylonych główek śpiącego złocienia... i myślał o Ninie.

Hrabia Janusz został jeszcze na werendzie, aby wypalić papieros na świeżém powietrzu. Ten nie myślał o Ninie—była już dość dawno jego żoną, aby miał czas wszystko przemyśléć o niéj. Ale myśli jego nie były miłe, bo chodził czas jakiś niezwykłym u niego przyśpieszonym krokiem, a potém rzuciwszy się na kanapkę pod dzikiem winem, potarł czoło niecierpliwie i mruknął do siebie:

— Znalazłem się głupio, a może... może nikczemnie... Uczciwość—niby rzecz względna—*et pourtant*...

Zsunął brwi i zamilkł. Wzdłuż werendy szła prosto ku niemu cichym, elastycznym krokiem kotki panna Helena. Owinięta w biały podwłośnik, z odpiętym warkoczem, który jak czarny wąż prze-

wijał się jéj przez ramię, stanęła przed nim i rzekła przyciszonym lecz dobitnym głosem:

— Wiész, że z tobą trzymam się zawsze systemu otwartości; przyszłam więc powiedziéć ci bez ogródek, że postępujesz jak człowiek bez sumienia.

Janusz zaśmiał się ironicznym swoim śmiechem.

— Cóż to nowego?—zapytał;—zkąd raptem w dykcyonarzu twoim wyraz sumienie? Wierzysz w przyrodzone popędy i determinizm, a przychodzisz z jakiémś kazaniem o sumieniu..... kobiéca loika!

— Łapiesz za słowo, więc je zmieniam: zamiast bez sumienia powiédzmy: bez honoru.

— Druga, równie ścisła konsekwencya... Cóż to honor? jeden ze zwietrzałych feudalnych przesądów, który nie znajduje swojéj racyi bytu w żadném z praw natury!

— Bawisz się w obracanie przeciw mnie zdań moich, kiedy ja chcę poważnie rozmówić się z tobą. Dawno już szukam sposobności po temu.

— Uważałem to, i właśnie unikałem téj rozmowy, spodziewając się, że będziesz domyślną i oszczędzisz mnie i sobie niepotrzebnego poruszania draźliwéj kwestyi.

— Nie byłam domyślną... długo kładłam twoje zobojętnienie na karb jakiegoś ataku splinu czy złego humoru tylko; ale dziś wiem już czego się trzymać, bo słyszałam w parku twoję rozmowę z Maryjką.

Janusz wyprostował się nagle.

— Moję rozmowę z Maryjką?...

— Słyszałam coś jéj mówił, kiedy odpowiedziała, że cię nie rozumié. O! ja zrozumiałam...

Janusz z żywém niezadowoleniem cisnął daleko niedopalony papieros, i milczał, namyślając się co powiedziéć.

— Zaprzeczyć nie możesz,—ciągnęła daléj Helena, bo toby się na nic nie zdało, ponieważ słyszałam wszystko sama. Więc proszę cię, bądź szczerym i powiédz, z którą z nas dwóch grasz komedyę?

— Chyba nie gram z tobą komedyi miłości, kiedy przed chwilą zarzucałaś mi zobojętnienie.

— Więc powiédz otwarcie, że już mię nie kochasz!

— Będę otwartym, ale ty bądź rozsądną, i skończmy z sobą *à l'amiable*, jak dwoje rozumnych ludzi, a nie para gruchających turkawek.

Wziął ją za rękę i posadził obok siebie.

— Zanalizujmy nasz stosunek poważnie głową nie sercem, jak na nas oboje przystało. Wiész dobrze, że nie myślałem nigdy bawić się z tobą w Don-Juana. Czytywałem z tobą, rozmawiałem chętnie, bo mię zainteresowała twoja oryginalna inteligencya; ale musisz przyznać, że w rozmowach z tobą nigdy pierwszy nie wyszedłem po za sferę kwestyi czysto naukowych, że w inną sferę wprowadziłaś mię sama. Chcesz otwartości, więc wybacz co powiem: z twojém uczuciem narzuciłaś mi się sama. Pamiętasz zapewne, jak z początku stanąłem nawet względem ciebie w roli niewinnego Józefa, i jak mi wtedy dowodziłaś, że to z mojéj strony śmieszne i przesadzone pojęcie honoru, że ty nie jesteś naiwną gąską, a ja wyzyskującym jéj niewiadomość uwodzicielem, że uznając siłę wrodzonych skłonności a potępiając przesądy, byłoby grubą niekonsekwencyą poświęcać pierwsze dla drugich. Twoje materyalistyczne poglądy nie byłyby mię może przekonały, ponieważ na każdy system patrzę ze sceptyczną niepewnością, gdyby nie to, że jednocześnie z rozumowaniem, działałaś wrażeniami, elektryzując wytrwale i systematycznie moje zobojętniałe nerwy—tak też w końcu rozbudziłaś we mnie cośkolwiek z dawnego temperamentu, i—pocałowałem cię po raz pierwszy. Nie wiem, czym dobrze czy źle postąpił, ulegając pokusie. Zapewne dobrze, jeśli życie jest głupią farsą, z któréj nic lepszego nad krótką chwilę przyjemności wycisnąć się nie da; może zaś źle, *jeżeli*... ale to *jeżeli* zawiodłoby nas za daleko od rozbieranéj tezy; więc przypomnę ci jeszcze, żem nie udawał przed tobą Donkiszota z Lamanszy; bez żadnych romantycznych komedyi wyznałem ci, że nie czuję dla ciebie nic silniejszego nad pociąg chwilowy, a gdyś mi odpowiedziała, że ci to wystarcza na początek, nie obiecywałem nawet innego końca.

— Milczeniem upoważniłeś właśnie nadzieję.

— Nadzieję czego? Nie chodziło ci o rozbudzenie we mnie z czasem głębszego uczucia tylko dla zadowolenia swego serca, bo—ja znam kobiéty—nie czułaś i ty dla mnie nic silniejszego nad przelotną skłonność; więc chyba chciałaś doprowadzić do rozwodu i małżeństwa? Wolę nie posądzać twego trzeźwego umysłu o taką próżną mrzonkę... Cóżbym zyskał na zamianie?

Blada twarz Heleny oblała się ciemną purpurą. Nie była to natura tak delikatna, żeby nawet niesłuszne posądzenie biło jéj krwią do głowy; musiał więc trafić na prawdę. Naturalnie przecież zaprotestowała żywo:

— Co za niegodne przypuszczenie!

— Dlaczego?—odparł. Walka o byt—*ôte-toi*, *que je m'y mette*... byłby to czyn konsekwentnie wychodzący z zasad.

— Więc ostatecznie wynika—rzekła, odwracając rozmowę od draźliwego tematu,—że w całéj téj historyi zachowałeś się bardzo delikatnie i honorowo?

— W każdym razie, bardziéj niż przyznajesz, bo prawie każdy mężczyzna na mojém miejscu wyzyskałby sytuacyę w zupełności i zaprowadził cię daleko daléj niż ja...

Helena zaczerwieniła się znowu rozgniewana i zerwała się, chcąc odejść; lecz on zmusił ją, aby usiadła, i rzekł, dotknąwszy ustami jéj ręki:

— *Pardon*, *ma chère*; wierz mi, żem nie chciał obrazić cię. Proszę cię, nie unoś się, i pozwól sobie wytłómaczyć, że w moich słowach nie było złośliwéj intencyi. Nie wyraziłbym się w ten sposób do żadnéj przeciętnéj panienki, ponieważ ubliża się kobiecie, posądzając ją o możność odstąpienia od zasad, które uznaje; do ciebie zaś mówię inaczéj, bo twój kodeks moralności jest przecież odrębny. Jeżeli przypuszczam, że moja, nie twoja, wola zatrzymała cię na pochyłości, to dlatego, że nie wiem w imię czego miałabyś się krępować; chyba nie w imię praw przyrodzonych i nieograniczonéj wolności osobistéj? Nie gniewaj się więc na mnie, i skończmy z sobą zgodnie.

— Uważasz zatém za wysoką wspaniałomyślność wyrządzić komu pół krzywdy, zamiast całéj krzywdy?—odparła. Cobyś jednak powiedział, gdyby kto pochwalił się przed tobą, że zabawił się tylko darciem pasów ze swojéj ofiary, wtedy gdy mógłby był nawet ściąć jéj głowę?

— Porównanie byłoby trafném, gdyby darcie pasów miało miejsce, to jest, gdybym rozkochał biedną dziewczynę, pobawił się i porzucił, a potém chwalił się swoją szlachetnością, że jéj tylko szczęście zabrałem, gdy mogłoby być gorzéj. Wiész jednak dobrze, że między nami nie tak się rzeczy miały. Nie starałem się wcale o pozyskanie twego serca, nie bałamuciłem cię, lecz tyś mię bałamuciła, a to zupełnie zmienia kwestyę.

— Dajmy na to, że mnie nie potrzebowałeś bałamucić; ale mię nie przekonasz, żebyś był do tego nie zdolny, ponieważ wiem, co mówiłeś dziś Maryjce. Chyba powiész, że i ona pociąga cię wbrew twéj woli?

Janusz poruszył się niecierpliwie.

— Proszę cię,—rzekł żywo, daj pokój Maryjce; chyba ty nawet nie możesz zarzucić jéj kokieteryi; jeśli ją pokochałem, nie jéj w tém wina, lecz twoja.

— Moja? to przynajmniéj pomysł oryginalny!

— Wiele rzeczy dziwacznie się wydaje, jeśli sądzimy z pozoru; lecz sięgnąwszy głębiéj, trzeba przyznać nieraz, że w gruncie jest loicznem to, co się powierzchownie inaczéj wydaje. Maryjkę lubiłem zawsze, jak ją wszyscy lubią, ale nie miałem dla niéj żywszego uczucia nad zwyczajną sympatyę, bo gdy dorosła, byłem już na wszystko zobojętniały, a przytém miałem jeszcze niektóre, jak je nazywasz, przesądy moralne. Dopiero ty rozbudziłaś we mnie resztki zastygłych namiętności i zachwiałaś ostatki moralnego instynktu, działając na mnie jednocześnie wrażeniami i rozumowaniem. Pojęcia etyczne i znieczulone nerwy były tamą, odgradzającą moje serce od jedynéj znanéj mi kobiéty, która jest godną miłości; gdy na tamę uderzył prąd przeciwny,—upadła, i pokochałem... Tak,— dodał po chwili, patrząc na nią z wyrzutem;—jest w tém część twojéj winy, że dziś wieczorem, wziąwszy objaw jéj współczucia za żywsze uczucie, straciłem panowanie nad sobą pod wrażeniem chwili i przemówiłem do niéj tak, jak nie mówi do uczciwéj kobiéty człowiek uczciwy!...

— Biédna, słaba istota!—rzekła z ironią.

— Tak,—mówił jakby sam do siebie, cisnąc skronie splecionemi rękami.—Biedna, słaba, nędzna istota!... istota, która nie wzięła ze krwi energii męzkiéj, z wychowania hartu ducha, którą życie osłabiło, zdenerwowało, wypaczyło do reszty i została trzcina słaniająca się za lada podmuchem po błocie—z tą różnicą, że głupia roślina nic nie rozumié, a mądry człowiek sam na sobie robi wiwisekcyę, aby odkryć raka we wnętrznościach, i nie módz go wyciąć... Masz słuszność!—dodał, podnosząc głowę; jestem człowiekiem bez honoru i sumienia...

Jeśli on nie miał męzkiego hartu, ona nie miała kobiécego serca; nie wzruszyła ją najstraszniejsza z rozpaczy—rozpacz człowieka bezsilnego przeciw samemu sobie, i rzekła oschle:

— Tém lepiéj dla ciebie tym razem; będziesz mógł zejść z nią po owéj pochyłości, na któréj mnie miał niby twój honor zatrzymać.

Janusz zerwał się z miejsca.

— Nie mów o tém, czego nie rozumiész!—zawołał gwałtownie. Nie masz prawa sądzić jéj po sobie ani równać mego uczucia dla niéj z pociągiem, jaki miałem dla ciebie! Ty jesteś biegłym fizyologiem, ale psychologia przechodzi twoję kompetencyę: tyś nie zdolna pojąć miłości nie ze krwi, ale z ducha... a ja ci powiadam, że jeśli taką jak ona kobiétę pokocha nawet zepsuty do szpiku kości mężczyzna, to miłość jego jest czystą jak łza pokutnika!

— Więc czegoż ty chcesz od niéj?—zapytała patrząc z zadziwieniem na niezwykłe u niego uniesienie.

Janusz ochłonął i odrzekł powoli, jakby wahając się.

— Czego ja chcę od niéj?... doprawdy, sam nie wiem... ja już nietylko chcićć nie umiem, ale nie umiem nawet wiedzićć czego chcę... może chcę, żeby była moją Beatryczą... Ale ty tego nie rozumiész...

Helena wstała i skrzywiła usta sarkastycznym uśmiechem.

— Rzeczywiście—rzekła—twoje słowa za mądre są dla mego ciasnego umysłu; więc nie masz potrzeby mówić ze mną dłużéj... Dobranoc panu!

Ukłoniła mu się ceremonialnie, lecz on ją przytrzymał za ręce.

— Zaczekaj chwilę... o! proszę cię — mówił błagalnie i smutno—nie rozstawajmy się jak wrogi... przebacz mi, Helusiu, jeśli ci krzywdę wyrządziłem...

Głos mu drżał ze wzruszenia, bo ta słaba trzcina miała przecież serce. Ale ona roześmiała się na to.

— Tradycya przez ciebie przemawia — syknęła drwiąco—właśnie te same słowa raczył niegdyś wyrzec potężny kanclerz do niewinnie skazanego: „Przebacz mi, Zborosiu, że cię każę tracić"...

On puścił nagle jéj ręce. Szyderstwem bluznęła na pamięć człowieka, którego szlachetnéj krwi kropla i jemu się przez którąś z prababek dostała.

— Jeżeliś tak niewinna, jak był tamten, to nie mam sobie nic do wyrzucenia—rzekł dumnie.—Bądźże mi wrogiem, nie dbam o to!

I rozeszli się, każde w swoję stronę.

Nazajutrz mieszkańcy horynieckiego pałacu, zebrawszy się jak codzień, w jadalni przy drugiem śniadaniu, rozmawiali z sobą ze zwykłą uprzejmością i swobodą, a niewtajemniczony nie odgadłby, że zaszła jaka zmiana w czyimkolwiek stosunku, bo żadna powierzchowna oznaka nie mogła wzbudzić najmniejszego podejrzenia.

Wszechwładny konwenans ujmuje ściśle w swoję gładką foremkę wszystko, co się podnosi po nad strychulec zwyczajów przyjętych w dobrém towarzystwie. Łzy rzewne, głośny śmiéch, uniesienia gniewu, miłości, rozpaczy, wszelkie żywsze uczucie, każdy gwałtowniejszy poryw, czeka cierpliwie w ciasném zamknięciu ludzkiéj piersi na stosowny czas i odpowiednie miejsce, aby wyjść na wierzch z serca; w towarzystwie nie ujawnia się nigdy, bo to „*mauvais genre*". Lecz ta niewola konwenansu nie jest maską obłudy, bo nie chytrość ją wymyśliła, tylko dumna godność, która swoje osobiste uczucia chroni przed cudzą ciekawością, tak jak dawne niewiasty zakrywały twarz przed obcymi, jak perły chowa się w skarbcu a śmiecie w dole. A nawet w stosownym czasie i miej-

scu, nawet wobec osób wtajemniczonych lub współdziałających, objawy uczuć ludzi dobrze wychowanych, zachowują pewną umiarkowaną powściągliwość, którą uprzedzeni nazywają fałszem, gdy ona jest tylko panowaniem nad sobą, odróżniającém cywilizowanego człowieka od dzikich ludzi. Dziki objawia swój żal nieludzkiém wyciem, lub tarza się w prochu jak ranione zwierzę, w gniewie ryczy i pianę z ust toczy, z radości wykrzywia się dziwacznie, pląsa i skacze jak szalony. Podobne, choć już nieco zmodyfikowane objawy uczuć widzimy i tam, gdzie jeszcze nie zanikła zupełnie szorstka kora przyrodzonéj prostoty, to jest w popędach dziecka i zwyczajach prostego ludu; lecz nie widzimy już ich wcale, gdzie cywilizacya uszlachetniła nawet powierzchowność człowieka, usuwając z niéj wszystko, coby mogło urazić zmysł estetyczny lub moralny. Dobrze wychowany człowiek z żalu nie krzyczy, z obrzydzenia nie pluje, w gniewie nie zgrzyta zębami, nie pocałuje przy świadkach ukochanéj, niewierną czasem zabije, lecz nie wybije nigdy.

Rozebrawszy ściśle każdą prawie z tak zwanych form przyzwoitości, słusznie dawniéj obyczajnością mianowanych, można w niéj zawsze odnaléść pierwiastek jakiegoś pojęcia piękna lub dobra. Uznanie potrzeby walki z namiętnościami, zwyciężania grubych popędów, ukrywania, przynajmniéj, rzeczy złych i brzydkich przez szacunek dla uczciwości publicznéj, zastosowane do obejścia i sposobu bycia, przetworzyło powoli grubiańską prostotę dzikiego, w miłą układność cywilizowanego człowieka.

Jeśli wrogowie spotkawszy się w towarzystwie, z pozorną życzliwością podadzą sobie ręce, a kochankowie z pozorną obojętnością zamienią lekki uścisk dłoni, nie jestto fałsz ani komedya, lecz ujęte w pewne formy poczucie godności osobistéj, które pięknych uczuć nie wystawia na profanacyę ciekawości ludzkiéj, brzydkiemi gorszyć nie chce lub się ich wstydzi, bezwzględną własność człowieka, wzruszenia jego duszy, każe mu miéć dla siebie tylko, lub dla małéj liczby wybranych, nie otwierając na widowisko dla wszystkich przybytku swojego serca. Starożytni zakrywali jeszcze togą bolesny skurcz oblicza; my już togi nie potrzebujemy, bośmy doszli do takiego panowania nad naszą fizyczną naturą, o ile ona jest tłómaczém psychicznych wzruszeń, że nasze wrażenia albo zupełnie zamykamy w sobie, albo przedstawiamy je oku widza tylko w najestetyczniejszych ich objawach, tylko w wyrazie oczu, grze fizyonomii, rumieńcu lub bladości twarzy.

Co zaś było najtrudniejszém do wykorzenienia, co należało do przyrodzonych właściwości wspólnych człowiekowi i zwierzęciu,

to zostało przynajmniéj zmodyfikowaném, ujętém w karby pewnego ładu i harmonii, przybraném w szaty artyzmu, odróżniające dobitnie objawy inteligentne od instynktowych tylko. Takiemi stały się z czasem krzyki rozpaczy i skoki radości, przetworzone w żałobne śpiewy i godowe tany. Dziki wyje boleśnie po swoim zmarłym, cywilizowany śpiéwa hymny pogrzebowe; dziki szalenie wyskakuje objawiając swoje zadowolenie, cywilizowany obchodzi miłą dla siebie uroczystość tańcami.

Tak więc hrabia Janusz i panna Helena zachowali z sobą pozornie dawniejszy stosunek, który był dość poufały z powodu powinowactwa, i jak pierwéj nikt nie mógł dostrzedz, że ich coś łączy, tak teraz nie było przyczyny domyślać się, że ich coś rozdziela. Maryjka także nie zmieniła swego sposobu bycia względem hrabiego, i dawny stosunek przyjaznéj zażyłości utrzymywała z tak naturalną prostotą, że Janusz mógłby to wziąć za rzeczywiste zapomnienie jego słów niebacznych, gdyby nie jéj staranne choć nieznaczne unikanie każdego z nim sam-na-sam.

W humorze wszakże Janusza zaszła pewna zmiana. Jego chłodna apatya zdawała się wzrastać, przerywały ją tylko czasem tłumione wybuchy rozdrażnienia, które jednak nie ujawniały się energiczniéj jak niecierpliwym jakim ruchem lub słowem, a domowy lekarz konstatował coraz większy rozstrój nerwowy.

Panna Helena poiła się octem i żółcią swoich myśli. Studya, ciągle z równą wytrwałością prowadzone, nie dawały jéj tego moralnego ukojenia, jakiém wielkość nauki zaciéra wszystkie drobne względnie do niéj cierpienia pojedyńczéj istoty. Dla niéj nauka była środkiem, nie celem; nie lubowała się nią duchowo, tylko wyzyskiwała praktycznie. Jedyném jéj pragnieniem było wyniesienie się na wyższe stanowisko; za środek dojścia do celu używała wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek szansę osiągnięcia go. Wśród swoich zabiegów opanowania Janusza, aby zająć miejsce Niny, nie zaniedbywała przecież i studyów, uważając za rzecz rozsądną mieć naukę w zapasie, na wypadek niepowodzenia na innéj drodze. Rozwianie się tych planów nie zakrwawiło jéj serca, bo serce grało w nich podrzędną rolę; zawód był jednak ciężkim, i bolało ją bardzo gorzkie upokorzenie, otrzymane zamiast spodziewanego tryumfu. Najdotkliwszym zaś, bo bijącym w jéj miłość własną ciosem, było przeniesienie nad nią takiéj Maryjki, która, w jéj pojęciu, całą swoją osobą nie przeważała jednego grana materyi mózgowéj przyszłéj studentki. Gniéw, który w charakterach prawdziwie dumnych przechodzi w obojętną pogardę, w pysznych i zarozumiałych wytwarza nienawiść i żądzę zemsty. Helena, wychodząc z zasady, że

życie jest tylko na to, aby zeń wycisnąć możliwie największą dozę osobistego zadowolenia, zapragnęła namiętnie zemsty, jako obecnie największéj dla siebie rozkoszy; ale nie chcąc narażać na szwank swojéj karyery jakimś wybuchem nie w porę, trzymała namiętność na wodzy rozsądku i czekała na sposobność zadowolenia jéj w stosownym czasie, z doskonałym spokojem siedzącego z wędką rybaka, z prawdziwą cierpliwością kota, który jest zdolny, czatując na myszy, godziny całe leżéć nieruchomo, zdradzając wewnętrzną burzę tylko błyskami oczu i drganiem ogona.

Nina bawiła się jak zawsze, tylko zabawkę zmieniła. Biédny Henryczek nie słyszał już dwuznacznych frazesów, nie dostawał spojrzeń, domawiających czego nie skończyły usta, bo wszystko to szło teraz na benefis Adama. Zrozpaczony chłopak poszedł po rozum do głowy i wymyślił rzecz nie nową, lecz tém podług niego skuteczniejszą, że wypróbowaną. Postanowił rozbudzić miłość zazdrością. Środek okazałby się może skutecznym, gdyby nie to, że jego działanie neutralizowało ciągłe antydotum: nowa zabawka tak zajmowała Ninę, że utrata dawnéj stała się dla niéj rzeczą obojętną. Dowodziło to żywszego niż zazwyczaj zainteresowania się przedmiotem teraźniejszego kaprysu, bo dawniéj umiała nieraz więcéj niż dwóch jednocześnie przyciągać i odpychać po kolei.

Pan Henryk obrał za pierwszy swój punkt strategiczny Maryjkę. Przyjeżdżał, jak zwykle, co parę dni do Horyniec, z któremi przez rzekę sąsiadował, ale Ninie okazywał tylko zwykłą uprzejmość należną gospodyni domu, niezwykłą zaś grzecznością otaczał widocznie i niemal natrętnie Maryjkę.

Dziewczyna patrzyła na to z początku wielkiemi oczyma zdziwienia, późniéj z tym przykrym niesmakiem, jaki u małéj liczby kobiet wywołuje przymilanie się obojętnych im mężczyzn, nakoniec zauważyła, że Henryk uwydatnia swoje postępowanie względem niéj z widoczną ostentacyą, nieznacznie przytém obserwując Ninę. Zmiarkowała więc co się święci, a oburzona rolą narzuconą sobie w téj komedyi, postanowiła rozwiązać ją inaczéj niż być miało podług planu autora.

Pierwszego dnia, Henryk przywiózł dla pań trzy pyszne róże ze swojéj oranżeryi; różową ofiarował Ninie, żółtą Helenie, z purpurową zbliżył się do Maryjki.

— Ta róża— rzekł, podając jéj kwiat — pani odemnie należy; purpura jest godłem królewskiéj władzy.

— Nie mam — odpowiedziała — ani dziedzicznych ani osobistych praw monarchicznych.

— Ma pani przecież najwierniejszego poddanego—rzekł, składając jéj głęboki ukłon.

— Jestem republikanką — odparła — więc przeciwną poddaństwu.

— Kiedy tak, możemy znaleźć coś jeszcze w symbolice barw: dykcyonarz kwiatów każe czerwonéj róży wyrażać gorące uczucia, w tém więc znaczeniu ofiaruję ją pani.

— Zadaleko posuwa pan żarty — rzekła poważnie.

— Nie żartuję wcale, mówię z rozmysłem i na seryo — odparł równie poważnie, rzucając ukośne spojrzenie ku kanapce, na któréj siedziała Nina, rozmawiając z Adamem.

Maryjka wstała i odsuwając podawaną sobie różę, powiedziała z chłodnym spokojem:

— W takim razie bardzo mi przykro, że muszę być otwartą w niemiły dla pana sposób, ale nie mogę przyjąć téj róży, właśnie ze względu na znaczenie, jakie pan do niéj przywiązuje.

Pan Henryk zmieszał się mocno. Dostać odkosza, nie myśląc się żenić, to fatalna pozycya dla salonowego bałamuta. Odzyskał jednak po chwili pewność siebie, aby dowcipkowaniem ratować się z fałszywego położenia, a Maryjka pomogła mu litościwie obrócić w żart całe przejście, bo była teraz pewną, że po takiém zapuszczeniu kurtyny, komedya już daléj iść nie może.

Nina słyszała całą tę rozmowę, udając dyskretnie, że nie zwraca na nią uwagi i ubawiła się nią doskonale, żałując w duchu, że nie może pośmiać się z Maryjką ze zburzenia strategicznych planów Henryka; bo nigdy nie mówiła z nią wyraźnie o niczém, coby dotyczyło bezpośrednio jéj stosunków z wielbicielami. Pomimo swojéj lekkomyślności, bezwiednie prawie szanowała skromność téj „cnoty bez ustępstw", jak żartem nazywała Maryjkę, a chociaż nieraz w poufnych z nią rozmowach potrącała o kwestyę uczuć, robiła to przecież tylko ogólnikowo, nie mówiąc wyraźnie o sobie. Maryjka też z właściwym sobie taktem, umiała zawsze utrzymać ją na granicy tych połowicznych zwierzeń, które byłyby jéj tém przykrzejszemi, że pomimo wad Niny, kochała w niéj i szanowała swoją dobrodziejkę.

Pan Henryk przez kilka dni po niemiłém dla siebie przejściu, okazywał wszystkim trzem paniom jednakową obojętną uprzejmość, aż któregoś wieczora, podawszy na przechadzce ramie Helenie, poprowadził z nią dłuższą rozmowę, a potém zakomunikował Ninie, że zrobił miłe odkrycie.

— Panna Helena — mówił— wiele zyskuje na bliższém poznaniu. Nie jest ona ani zalotną ani skromnisią, ale ma pewien po-

wab świéży a ostry, jakby kwaskowatéj jeżyny, i przedstawia oryginalny okaz niewieści, zachęcający do robienia nad nim studyów.

Przygotowawszy grunt w taki sposób, rozpoczął owe studya, z początku ostrożnie, bojąc się powtórzenia przejścia z Maryjką, potém coraz śmieléj, zobaczywszy, że z tą łatwiéj mu idzie. Helena, nie w ciemię bita, domyśliła się odrazu, że na nią teraz koléj iść na haczyk dla złowienia grubszéj ryby, ale widząc, że udane uczucie przechodzi czasem w prawdziwe, postanowiła sprobować szczęścia. Uda się czy nie uda, a przynajmniéj nie będzie sobie miała do wyrzucenia, że zaniedbała wyzyskania sposobności, przedstawiającéj pewną szansę. Zabrała się więc gorliwie do pracy. Kokietowała Henryka we właściwy sobie sposób, wymykający się zupełnie obserwacyi osób trzecich a jednocześnie, także w sposób sobie właściwy, wychwalała przed nim Ninę, tak żeby każda pochwała była szklanką zimnéj wody, wylaną na jego uczucia dla pięknéj pani.

Robota postępowała szybko. Wkrótce Henryk zaczął znajdować pewną przyjemność w graniu swojéj roli i przejmował się nią tak żywo, że już na Ninę zwracał uwagę tylko o tyle, ile znajdował sposobność zrobienia jéj jakiéj złośliwéj przymówki co do Adama. Ninę to nakoniec rozdrażniło. Nie bawił już jéj jako ukryty wielbiciel, a przeszkadzał jako obserwator i krytyk; postanowiła więc pozbyć się go na dobre. Pozór do tego wynalazła sobie w obowiązku sumienia, które przecież nakazywało jéj opiekę nad młodszą kuzynką. Henryk się z nią nie ożeni, więc pocóż ma biedną dziewczynę bałamucić? mówiła sobie w duchu, wierząc nawet przez pół w bezinteresowność swojéj o Helenę troskliwości.

— Panie Henryku, mam z panem do pomówienia — rzekła raz do niego w ogrodzie, gdy układając bukiet z Heleną, zatrzymywał co chwila jéj ręce w swoich.

— Jestem na rozkazy — odrzekł, idąc na nią w boczną aleję z uczuciem tłumionego zadowolenia, bo myślał, że nadeszła dla niego nakoniec chwila tryumfu. Spodziéwał się ostrych przymówek do niestałości męskiéj, a może nawet wybuchu zazdrości, którym się zdradzi uczucie, rozbudzone nareszcie jego genialną dyplomacyą. I rozważał sobie w duchu jak ma się zachować w tym wypadku? przycisnąć skruszoną do serca, czy rozśmiać się szyderczo? Słaba już iskierka tak niedawno gorącéj miłości, ważyła się w nim z chęcią pomszczenia doznawanych upokorzeń, rozbudzoną zręcznemi insynuacyami panny Heleny i sam nie wiedział jeszcze na co się ostatecznie zdecyduje.

Pani Nina zerwała gałązkę akacyi i oskubując po kwiatku kwiatek, mówiła półgłosem, z figlarnym uśmiechem:

— Kocha, nie kocha, kocha, nie kocha, ach, kocha!... byłam tego pewną!...

— Nie kocha!—odrzekł z przyciskiem—kwiaty kłamią jak kobiety...

Spojrzał na nią, gotując się pogardliwym spokojem odeprzéć piorunujące spojrzenie.

Ale jéj oczy zmrużyły się tylko filuternie.

— Nie kocha? — zapytała — więc pocóż udawał?

— Dla zabicia czasu — odparł z ironią. — Na wsi tak nudno! nie ma cyrku ani baletu...

Czekał na pewny tym razem wybuch i zawiódł się znowu; usta Niny zadrgały tylko wstrzymywanym uśmiechem.

— Biedne serce kobiece! — westchnęła sentymentalnie— czyż domyślało się, że jego bicie zastępuje tylko skoki konia lub baleryny...

— Powinno było domyśléć się, że przeciągnięta struna pęka, jak to pani kiedyś bardzo słusznie zauważyła.

— Och! wtedy mówiłam o mojém sercu, które przecież nie biło na seryo; teraz zaś chodzi o biedne serduszko dziewicze, mogące wziąć na seryo nawet pana.

Henryk zatrzymał się nagle.

— O kim mówimy?

Zrobiła naiwną minkę.

— Ależ o panu i o Helence... Mówimy, zdaje się, jasno i rozumiemy się doskonale!

Rozśmiała się teraz serdecznie, jak rozbawione dziecko. Henryk miał ochotę zgrzytnąć zębami, ale nie wypadało.

— Czekam — rzekł — aż przejdzie ten atak śmiechu, którego przyczyny nie rozumiem i pani raczy powiedziéć mi poważnie, o co tu właściwie idzie?

Przestała się śmiać i przybierając komiczną powagę rzekła.

— Idzie o to, że będę mocno zadowoloną, jeśli pan jest tak szczerze zajęty Helenką, jak się wydaje, i wezmę na siebie skojarzenie małżeństwa. Jeśli zaś to tylko przelotna skłonność z pana strony, w takim razie nie pozwolę dłużéj bawić się spokojem, a może i opinią młodéj osoby, zostającéj pod moją opieką. Dla tego daję panu tylko dzisiejszą noc do namysłu, a jutro zechce pan zakomunikować mi ostateczną swoję decyzyę, po któréj moja kuzynka będzie pana widywać jako narzeczonego, albo przestanie go widywać zupełnie.

— Więc pani mi drzwi pokazuje?

— Cóż znowu! odwołuję się tylko do pańskiego honoru i serca. Powinien pan przecież miéć wzgląd na biédną dziewczynę i nie zawracać jéj głowy, nie mając zamiarów na seryo. Gdyby więc ostatecznie nie zdecydował się pan na kobierzec i stułę, nie ma na to innego środka jak zniknąć zupełnie z jéj oczu, aby mogła uspokoić się po doznanym zawodzie i zapomniéć. Zdaje mi się zresztą, że z pana strony nie byłoby wcale wielką ofiarą wyjechać naprzykład na czas jakiś zagranicę i oddać się tym przyjemnościom cyrku i baletu, bez których tak nudno w naszém wiejskiém towarzystwie.

Henryk chciał coś odpowiedziéć, ale nie dopuściła do tego.

— Czekają na nas z herbatą—rzekła.— Śpieszmy się, bo przeciągnie.

I poszła szybkim krokiem w kierunku werendy, nucąc jakąś barkarolę.

Przez kilka dni nie widziano w Horyńcach Henryka, aż wreszcie wpadł na godzinkę, śpiesząc się bardzo, ponieważ był zajęty przygotowaniami do podróży. Jego doktor, używany dla silnéj newralgii, orzekł, że cały organizm pacyenta potrzebuje natychmiastowego wzmocnienia i nieledwie pod karą śmierci zaordynował Ostendę.

Pani Nina przyjęła tę wiadomość z ubolewaniem nad stratą tak miłego sąsiada, panna Helena nie powiedziała ani słowa, tylko mocniéj zacisnęła wązkie usteczka. Henryk wyobraził sobie, że milczy, bo ją w gardle ścisnęło, i boi się, aby przemówiwszy nie módz powstrzymać łkania. Uczuł też wspaniałomyślną litość nad mniemaném cierpieniem i zapragnął złagodzić je trochę, a przytém może wyzyskać jeszcze cośkolwiek na rachunek własnéj przyjemności. Upatrzywszy więc chwilę, kiedy przechodziła przez cieplarnię do ogrodu, wszedł tam za nią pod pozorem obejrzenia jakiéjś rośliny i między palmą a agawą ujął jéj rękę w obie dłonie.

— Daj mi pani — rzekł z cicha i tkliwie — choć kwiatek na pamiątkę najpiękniejszego snu mojego życia... O! gdyby nie to fatum, które nas rozdziela...

Objął ją wpół, chcąc przyciągnąć do siebie, ale dziewczyna błysnęła oczyma jak rozdrażniona tygrysica, szarpnęła się gwałtownie i rękawiczką, którą trzymała w ręku uderzyła go po twarzy.

Zdobywca serc osłupiał, ona rozśmiała się głośnym, niemiłym śmiechem i szybko wybiegła z cieplarni do ogrodu.

Pozbywszy się niewygodnego obserwatora, Nina oddała się już bez przeszkody zadaniu rozkochania Adama. Miała teraz wszelką łatwość po temu, bo prawie codzień po parę godzin spędzała z nim sam na sam. Tryb życia w domu urządzony był na sposób angielski;

każdy miał nieograniczoną swobodę bawienia się lub nudzenia, jak mu się podobało; więc schodzono się tylko do stołu i wieczory spędzano razem; przez resztę zaś dnia, kto chciał, siedział we wspólnych apartamentach, kto nie chciał, zostawał u siebie, i to ostatnie zwykle miało miejsce. Gości najczęściéj aż do wieczornéj herbaty bawiła tylko sama pani; tak bywało z Henrykiem, a teraz z Adamem; odwiedziny zaś innych sąsiadów, zdarzały się dość rzadko, bo hrabia nie lubił towarzystwa wogóle, hrabina zaś była w jego wyborze wybredną.

Janusz większą część dnia spędzał u siebie, na górze. Układał swoje kolekcye numizmatów, wiele czytywał, przeglądał nawet sprawozdania gospodarskie, ale nie często, bo miał zagranicznego agronoma, na którego spuszczał się z całém zaufaniem nieprzezwyciężonego lenistwa. Nie pochodziło to z nieznajomości rzeczy, bo pojmował dobrze obowiązki obywatelskie i potrzebę zajęcia się sprawami majątkowemi, a nawet w swoim czasie pisywał artykuły społeczne i ekonomiczne, które znajdowały ogólne uznanie. Ale od kiedy powiedział sobie, że mu się nic nie chce, i że niczego chcieć nie warto, coraz mu było ciężéj wydobyć z siebie choć odrobinę czynnéj energii, i ostatecznie najwięcéj już czasu przepędzał w fotelu u okna, z cygarem w ustach i rozpaczliwém znudzeniem na twarzy.

Panna Helena dnie spędzała w bibliotece, otoczona książkami, wypisami i notatami, a wypoczywała po umysłowéj pracy, chodząc samotnie po parku. Jéj zajęcia lektorki i sekretarza były prawie żadne, bo Nina pisywała zwykle listy sama, a czytywała teraz najczęściéj z Adamem. Przychodzącą do jéj gabinetu co rana Helenę odprawiała jakiém uprzejmém słówkiem, pogawędziwszy z nią chwilę, a potém spacerowała po ogrodzie i dziedzińcu, czasem bukiet ułożyła, trochę grała, trochę śpiéwała lub rysowała, wreszcie ubierała się, i tak czas jéj schodził do obiadu, po którym z robótką lub książką w ręku oczekiwała przybycia codziennego gościa.

Gospodarstwo domowe, cała ta działalność kobieca, na pozór drobnostkowa i małoważna, lecz rzeczywiście układająca z małych kamyczków ładu i porządku podstawę zamożności rodziny, a przez nią dobrobytu społecznego, cała owa sfera kłopotów śpiżarnianych, warzywnych, drobiowych i tym podobnych, wzbudzała obrzydzenie w wykwintnéj królowéj horynieckiego salonu i przeszła powoli w energiczne ręce Maryjki, która rozciągnęła ścisły dozór nad wyzyskującemi niepraktyczność hrabiny szafarkami. Razem z krótką sukienką zrzuciła ona z siebie zaraz jarzmo pracowitego próżniactwa eleganckich panien, które zajmują się zwykle wyłącznie tylko

uprawianiem literatury i sztuk pięknych, bez względu na to, czy mają lub nie w tych kierunkach zdolności warte wyrobienia. Maryjka nie zaniedbywała wcale strony intelektualnéj i artystycznéj, ale poświęcała jéj tylko czas wolny od praktycznych zajęć, na rozrywkę i wypoczynek przeznaczony, a miała go bardzo dosyć, jak każda kobiéta, umiejąca porządnie ułożyć i skupić swoje domowe prace. Wstawała wcześnie, wszędzie zajrzała, wszystkiego dopatrzyła, wszystkiém na cały dzień zarządziła, a rozporządzenia jéj były ściśle spełniane, bo wydawała je z tą łagodną i poważną stanowczością, która nie drażni, nie upokarza podwładnych, lecz imponując im, nie dopuszcza nawet myśli o możliwości nieposłuszeństwa. A jak nie zaniedbywała umysłu dla gospodarstwa, tak téż nie poświęcała mu swojéj powierzchowności i wychodząc z obory lub śpiżarni, była równie starannie ubrana jak wchodząc do salonu; bo praca tylko w warunkach ciężkiego ubóstwa nie da się pogodzić z wymaganiami porządku i okrzętności, w warunkach zaś średniéj choćby zamożności, nie potrzebuje wykluczać nawet miłéj estetycznemu zmysłowi kobiety elegancyi, która dobrze świadczy o jéj poczuciu piękna i wyrobieniu dobrego smaku.

Rozszerzając powoli zakres właściwéj kobiecie działalności, Maryjka rozciągnęła z czasem troskliwą opiekę nad całą wsią, któréj mieszkańców znała po imieniu i nazwisku, pamiętała ich stosunki rodzinne i sprawy sąsiedzkie, co bardzo ujmuje chłopa, którego zwykle za każdém przyjściem do dworu nie poznają i za dziesiątym razem jak za pierwszym pytają, jak się zowie. Obeznana z interesami i wszelkiego rodzaju potrzebami włościan, pomagała im ile mogła dobrą radą, wpływem moralnym, pośrednictwem u dworu, specyalną opieką otaczając dzieci i nędzarzy. Apteczkę domową miała pod swojém zawiadywaniem bezpośredniém i leczyła skutecznie rumiankiem lub kamforą, w ważniejszych wypadkach, uciekając się do wezykatoryi lub baniek, a proste organizmy pacyentów, do lekarstw nie nawykłe, wracały do równowagi za pomocą środków dla nas już nie skutecznych. Słynęła téż we wsi jako wielka znachorka i serdeczna opiekunka, a ludzie obojętni dla swojéj dziedziczki, którą z daleka tylko widywali, Maryjkę kochali i szanowali wszyscy bez wyjątku.

Nie łatwo jednak przyszło jéj pozyskanie miłości tego nieufnego ludu. Chłop małoruski patrzy na dwór z zastarzałą, nałogową niechęcią, posądza go z wieczną podejrzliwością o ciągłe intrygi, mające na celu przywrócenie dawnego porządku rzeczy, poddaństwa i pańszczyzny. Tradycye staréj niedoli wrosły w szpik jego kości, a zapominając, że już nieraz oddał za nią z lichwą,

wspomina pańską tyranię,—nie pomni kozaczéj zemsty. W jego pieśni, baśni, przysłowiach, żyją obrazy lackiéj przemocy, lecz krwawy odwet kozackich wojen i niejeden późniejszy zatarł się w pamięci—zwyczajnie po ludzku; człowiek zwykle złe, które cierpiał, długo pamięta, a które sam wyrządził—zapomina. Szlachcic tak samo, zamiast powiedziéć sobie, że już się skwitowano wzajemnie, żywi o chłopie swoje gorzkie wspomnienia, tém żywsze, że jeszcze na kartach historyi nie zastygłe,—świeże, więc nie beznamiętne. I tak stoi tam z sobą dwór i chata w stosunku wzajemnéj niechęci, przez rozmaite okoliczności obustronnie podsycanéj i ciągle jedni nie chcą, drudzy nie umieją zrozumiéć wspólnego interesu.

Maryjce tém trudniéj było zjednać sobie lud wiejski, że sama wyszła z ludu; długo więc patrzono na nią podejrzliwie jak na odstępcę, opierając nieufność na zasadzie przysłowia „nie daj Boże z chama pana". Pamiętano, że chłop spanoszony zwykle bywał dla chłopów najgorszym; bo gdy prawdziwy pan z panów z obojętną wspaniałością lwa względem myszy nie raczył sam znęcać się nad nimi, panek tém bywał okrutniejszym z im bardziéj niskiego stanu wyniósł grube popędy i przyzwyczajenia. To uprzedzenie, wielu faktami rzeczywiście uzasadnione, przetrwało poddaństwo, i w obecnym wypadku zwróciło się ku Maryjce; ale jéj niewyczerpana dobroć i wytrwała cierpliwość zdołała z czasem wykorzenić je do gruntu. Wiele jéj w tém pomogła stara Kułyna, u któréj chowała się do lat dziesięciu, a późniéj odwiédzała co święta i niedzielę, stale utrzymując serdeczny stosunek. Baba wynosiła pod niebiosa swoję pannuńcię przed wszystkiemi kumami i swachami, że zaś wpływ kobiécy bywa potężną sprężyną nietylko w stronnictwach politycznych, lecz i w opiniach głuchego zakątka,—więc żony zrobiły powoli ze wszystkich mężów gorliwych zwolenników pannuńci.

Ta wyjątkowa istota, która umiała sobie wytworzyć najważniejsze warunki szczęścia,—miłość ludzką, spokój ducha i pożyteczną pracę, nie była przecież doskonale szczęśliwą. Źródło jéj zmartwień stanowiła Nina, nad któréj lekkomyślném postępowaniem bolała całą siłą swego dla niéj przywiązania, bo choć usprawiedliwiała ją przed drugimi, przed sobą jednak nie zawsze mogła tego dokazać.

Smutnym jest widok fizycznych ułomności drogiéj istoty; ale duszę szlachetną bardziéj jeszcze smucą jéj moralne niedostatki, które tém lepiéj widzi im mocniéj kocha. Przekonanie, że miłość zaślepia, tak utarte, że już nikt go nie poddaje krytyce, jest przecież w bardzo wielu razach fałszywém. Zaślepia tylko najniższą z odmian miłości, namiętność, ponieważ na zewnętrzne jedynie zalety

zwracając uwagę, wad zewnętrznych nie dostrzega. Ale każde przywiązanie podnioślejszéj natury rządzi się tą bezwiedną loiką serca, które dla ukochanéj istoty pragnie moralnéj doskonałości, aby miéć za co kochać,—posiada więc zdolność rozróżniania w niéj dobrego i złego, i tém lepiéj złe widzi, im bardziéj samo dobre widziéćby pragnęło. Takie przywiązanie, straciwszy szacunek, traci racyę bytu, lub jeżeli z obowiązku musi trwać pomimo wszystkiego, wtedy zamiast być szczęściem, staje się cierpieniem, bo najwyższą rozkoszą miłości jest możność szanowania drogiéj osoby, a najcięższą boleścią—utrata wiary w jéj moralną wartość.

Maryjka po odjeździe Henryka odetchnęła swobodnie, bo pozbyła się z nim ciągłéj trwogi o spokój serca a nawet dobrą sławę hrabiny, o któréj stosunku z sąsiadem z za rzeki już ludzie ze złośliwą przesadą mówić zaczynali. Postępowanie zaś jéj z Adamem brała tylko za chęć podrażnienia Henryka, myśląc, że oboje chcą w sobie wzajemnie zazdrość rozbudzić i robią sobie na złość, jak często zakochani. Gdy po wyjeździe sąsiada z okolicy, Nina nie zmieniła obejścia z Adamem, Maryjka miała to za zwykłą, nałogową już u niéj zalotność, nie posądzając jéj wcale o żywszą sympatyę dla człowieka innéj sfery, i takiego zresztą, który podawał się za niedostępnego uczuciom serdecznym,—jak to pamiętała z jego pierwszéj rozmowy; a czyż dumna bogini mogłaby pokochać—niekochana? Nie wiedziała niedoświadczona dziewczyna, że właśnie najdumniejsze boginie gardzą nieraz hołdami, któremi są przesycone, a zwracają się sercem lub wyobraźnią tam, gdzie je obojętność drażni. Tak było teraz z Niną. Adam z początku zajął się nią trochę; ona wtedy swoim zwyczajem zaczęła się nim bawić w kotka i myszkę, przyciągając i odpychając po kolei. Lecz ten prostak nie znał się na salonowych igraszkach, a ta mu się specyalnie nie podobała, więc po paru próbach tego rodzaju towarzystwo jéj straciło dla niego znaczną część swego uroku, i znajdował więcéj przyjemności w dysputach z hrabią albo rozmowie z pannami, głównie z Maryjką, bo Helena nie była mu sympatyczną. Nina przecież nie dawała za wygranę; raz postanowiwszy rozkochać go w sobie, używała w tym celu wszystkich wyprobowanych już nieraz środków z niezwykłą u niéj wytrwałością. Adam zaś nie mógł bez wyraźnéj niegrzeczności unikać jéj towarzystwa. Więc rozstrząsali z sobą rozmaite kwestye z psychologii uczucia, stanowiące niewyczerpany repertuar rozmów pięknéj pani z mężczyznami, czytywali razem czułe poezye i płomienne romanse, spacerowali pod kwitnącemi akacyami, słuchając śpiewu słowika, tak iż pod temi wszystkiemi wpływami młody pozytywista miękł coraz bardziéj, i nareszcie zakochał się po uszy..... w Maryjce.

Było to rzeczą naturalną. Nie wierzył w miłość, bo jéj na sobie nie doświadczył, a nie doświadczył główniedla tego, że nie spotkał dotąd odpowiedniego przedmiotu. Ze sfery, do któréj urodzeniem należał, znał tylko kilka naiwnych panienek o czerwonych łapkach i niezgrabnych ruchach; w domach, do których na korepetycye wyjeżdżał, widywał dumne piękności, ograniczające całą z nim znajomość na zamienieniu czasem paru banalnych frazesów, wiejących olimpijskim chłodem, a podczas studyów akademickich miewał efemeryczne stosunki z kobiétami, nie mogącemi wzniecić głębszéj sympatyi w mężczyznie poważnego umysłu a chłodnego usposobienia.

Teraz zaś, kiedy okoliczności zbliżyły go do trzech kobiét, z których każda mogła obudzić żywe zajęcie, serce jego musiało pójść wbrew niedoświadczonéj teoryi, i zabić młodzieńczém tętnem. Nie wybrało przecież Niny, bo narzucała się sama, a natury energiczne nie czują pociągu do łatwych zdobyczy. Nie wybrało też Heleny, bo pozując na mężczyznę, pozbywała się téj kobiécéj słabości, która ujarzmia mezką siłę. Maryjka, łącząca w sobie wyższą inteligencyę z niewieścim wdziękiem, powabna bez zalotności, stanowcza z łagodnością, łatwa w obejściu i pełna prostoty, a przytém obdarzona wyrazistém spojrzeniem i ujmującym uśmiechem, była właśnie takim typem kobiécym, który musi pociągnąć człowieka w rodzaju Adama, to jest mającego prawdziwie mezki umysł i charakter.

Miłość bywa czasem jak złodziéj: zakrada się do serca pocichutku, a serce, mądre po szkodzie, odkrywa ją dopiero, kiedy już się stało. Adam rozmawiał z Maryjką chętnie, patrzył na nią z przyjemnością, nie wiedząc co to znaczy. Aż zrobił sam w sobie wielkie odkrycie, podczas jednéj rozmowy z Niną. Raz o szaréj godzinie siedzieli we dwoje na kanapce pod cytrynami, Maryjka zaś na prożbę hrabiny śpiéwała w przyległym salonie. Miała piękny głos kontraltowy, a śpiewnik jéj składały przeważnie dumki małoruskie, które oddawała ze zrozumieniem i odczuciem ukrainki czystéj krwi. Śpiéwała właśnie „Powij witre w Ukrainu"; tony pełne, giętkie, miękkie jak aksamit, płynęły w mrok wieczorny jak czajka kozacza w dal dnieprową, a Nina przestała śmiać się i szczebiotać, i zasłuchała się, rozmarzona.

— Prawdziwa chłopka,—rzekł Adam.

Nina oburzyła się.

— Co też pan mówisz! Maryjka jest wychowaną jak arcyksiężniczka!

— Nie zrozumieliśmy się—odrzekł z uśmiechem. U mnie nazwanie chłopką salonowéj damy jest taką pochwałą, jak gdyby pani

nazwała wieśniaczkę księżniczką; moje wyrażenie prawdziwa chłopka oznacza kobiétę, która żywo czuje i nic nie udaje. Panna Marya jest dyamentem, który po oszlifowaniu nie stracił ani jednego karatu.

— Tylko nie stracił? *Vous êtes bien bon!* zyskał przecież blask i wodę, które oszlifowany brylant stawiają wyżéj nad rodzimy dyament.

— Zapewne...... tylko że sztuka odbiera często naturze jéj wdzięczną prostotę... Ale co pani zamierza w przyszłości zrobić z tym swoim klejnotem?

— *C'est justment mon grand souci...* Nie jestem egoistką, więc będę musiała oddać go komu, bez względu na własną stratę; ale to rzecz dosyć trudna, z powodu anormalnego położenia Maryjki. Pojmuje pan, że pomimo wszystkich jéj zalet, nie ożeni się z nią taki naprzykład pan Henryk, ani nikt z towarzystwa, do którego wychowanie ją tylko wciela. Królewicza więc z bajki napróżnobym dla niéj wyglądała, a nie chciałabym też oddać ją Bóg wié komu. Miała już wprawdzie parę mniéj więcéj stosownych partyi — doktora i dzierżawcę,—ale powiedziedziała obu ze swoją szczerością *d'enfant terrible*, żeby nie tracili próżno czasu na konkury, bo nie wyjdzie nigdy za mąż bez miłości, a téj dla żadnego z nich nie doznaje. Teraz przecież ułożyłam dla niéj jeden planik, który może mi się uda: Janusz ma adwokata do swoich majątkowych interesów, który w jesieni przyjedzie tu załatwiać jakąś sprawę. Podobno jest-to młody człowiek bardzo inteligentny, przystojny, a nawet wcale dobrze wychowany; postaram się więc zbliżyć ich z sobą, a jeśli się pokochają, pomogę im pobrać się, i uszczęśliwię dwie istoty... To tak miło dać komu szczęście...

Rzuciła powłóczyste spojrzenie, ale wymowa jéj oczu została straconą; Adam myślał nie o niéj. Na wzmiankę o młodym adwokacie krew zawrzała mu w żyłach, poczuł do niego gwałtowną nienawiść, i właśnie to nagłe wzruszenie objawiło mu jego miłość dla Maryjki. I w jednéj chwili uwierzył w uczucie, którego istnieniu dotąd przeczył, w miłość szlachetną i podniosłą jak kobiéta co ją wzbudziła, a ta wiara napełniła pierś jego nigdy jeszcze nie zaznaną błogością, któréj nie daje żaden z tych pociągów jakich chwilowo dla innych kobiét doświadczał.

Pierwsze wyznanie miłości przed samym sobą nie budzi jeszcze tych wszystkich burz namiętnych, jakie dalszy jéj rozwój przyprowadza z sobą. Ta chwila objawienia ma jakiś spokój uroczysty, którego ciszą rozkoszną ukołysane serce, nie drży jeszcze nadzieją ani zwątpieniem, nie pyta przyszłości jaki będzie koniec, lecz tera-

źniejszością syte, lubuje się upojeniem obecnéj chwili, a sama tylko świadomość istniejącego w niém uczucia wystarcza mu jeszcze do zupełnego zadowolenia.

Adam przechylił głowę na rękę, zasłuchał się w głos ukochany, zapatrzył w wieczorną pomrokę, i powtarzał wciąż w myśli kocham—kocham—kocham;—a serce mu biło—biło—biło—jakby nie był nigdy trzeźwym pozytywistą, patrzącym z realnego punktu na wszystkie poetyczne mrzonki.

Nina spostrzegła to rozmarzenie Adama, policzyła je naturalnie na swój rachunek,—i jéj także serce zabiło. I ona nie pytała dotąd przyszłości jaki będzie koniec. Zaczęła, jak zwykle igrać tylko z miłością dla zajęcia swego wrażliwego usposobienia, dla zabawienia się w zmuszenie obojętnego do poddania się jéj urokowi; lecz opór, silniejszy niż się go spotkać spodziewała, pobudzał ją do ciągłego wytężania umysłu nad sposobami mogącemi zwyciężyć buntownika, aż myśl wyłącznie ku jednemu przedmiotowi zwrócona opanowała wyobraźnię zupełnie, i nakoniec piękna pani może po raz dwódziesty w życiu powiedziała sobie, że jeszcze nigdy nikogo tak mocno nie kochała. Jak zawsze płynęła z falą, nie patrząc gdzie ją unosi.

(*D. c. n.*) *Julia Terpiłowska.*





IDEAŁY DEMOKRATYCZNE

W OŚWIETLENIU HISTORYCZNEM.

Upływa właśnie stulecie od czasu, kiedy rozpoczęło się wszechstronne przeobrażenie układu wewnętrznego państw europejskich. Odtąd liczne wstrząśnienia następowały po sobie, poruszając coraz głębsze pokłady starodawnéj budowy i sięgając swym wpływem do społeczeństw, trzymających się zupełnie na uboczu. W samym środku rosnącego ciągle prądu, mianowicie około połowy bieżącego stulecia (1848 r.), uwydatnia się wyraźna zmiana kierunku. Kwestye „polityczne", w klasyczném znaczeniu tego słowa, ustępują na drugi plan; w pierwszym rzędzie stają sprawy ekonomiczne i międzynarodowe. Te ostatnie zresztą coraz bardziéj podlegają panującéj tendencyi i dziś całkiem już zatraca się w nich element „polityczny"

Pokrewieństwo duchowe Francyi i Włoch ustępuje przed walką handlową; Irlandya widzi się opuszczoną, nawet mąż stanu, który jéj broni ze stanowiska ekonomicznego, tam gdzie nędzy materyalnéj dostrzedz nie może, nie upatruje powodu do utyskiwań. Wszelako dążenia „polityczne", które dawniéj same sobie były celem, nie zamarły bynajmniéj, zmieniły tylko charakter. Jeśli uciszyły się spory o równy udział we władzy zwierzchniéj, jako o prawo naturalne swobodnéj istoty rozumnéj, podniosły się natomiast nierównie bardziéj zażartsze o zdobycie téj władzy, jako najpotężniejszego narzędzia dla dokonania przewrotów ekonomicznych i walki z zagranicą. Tą więc drogą pośrednią, w dwóch przodujących krajach Europy, a zarazem tych właśnie, gdzie kierunki społeczne mają możność swobodnego uzewnętrznienia się,

wystąpiło natężenie prądu politycznego, wciąż i szybko rozrastające. W Anglii ostatnio wielkie reformy wyborcze 1884 i 1885 r. i towarzysząca im agitacya wykazały potęgę żywiołów radykalnych, dążących do zburzenia gmachu konstytucyjnego, wzniesionego w ciągu długich wieków, a dziś zachwianego w swych posadach. We Francyi radykalizm, będący u steru, ciemne knowania plebiscytowe, nurtująca warstwy robotnicze propaganda anarchiczna, tak samo zapowiadają burzliwą przyszłość i budzą usprawiedliwione obawy.

Groźne te a pierwszorzędnéj wagi dla całéj ucywilizowanéj ludzkości zjawiska z natury rzeczy nie mogą dziś podlegać spokojnemu, bezstronnemu uogólnieniu. Wyróżniają się wszakże z rozgwaru krzyżujących się zdań pochlebnych lub zjadliwych poważne głosy dwu najdostojniejszych obecnie przedstawicieli obu narodów w dziedzinie nauk historyczno-społecznych. Hipolit Taine w pomnikowéj pracy historycznéj, sir Henryk Maine w szeregu świetnych studyów, stanowiących niejako zamknięcie uczonych jego dociekań, równocześnie prawie wystąpili z krytyką ideałów politycznych obecnéj doby. Zbliżeni do siebie wiekiem, z całą wrażliwością młodzieńczą odczuli niegdyś rozczarowanie, pozostałe po roku 48 i odtąd naocznie obserwowali przesunięcie się ideałów społecznych w Europie zachodniéj. Obadwaj, historycy z powołania, już mają nakazaną sobie bezstronność, obadwaj przez życie całe trzymali się zdala od walki stronnictw, zatopieni w swych studyach naukowych, obadwaj wystąpili z wyznaniem wiary politycznéj w dojrzałym wieku, z bogatym zasobem doświadczenia i obserwacyi. Pragnąc zapoznać czytelnika ze spostrzeżeniami dwu tak świetnych umysłów, chciałbym położyć nacisk na szczególną doniosłość podjętego przez nich zadania. Ograniczają się oni do analizy panujących doktryn p o l i t y c z n y c h, w których domyślają się przedniéj straży zamysłów daléj sięgających. Nie znają wszakże pobłażania, jakie zwykło się okazywać dla owych doktryn, dyskontując niejako z góry ukazywane przez nie w dalekiéj perspektywie dobrodziejstwa socyalne; rozpatrują ideały demokratyczne, jako wyraz teoryi czysto politycznéj i przedstawiają je nam w nowém a jaskrawém oświetleniu historyczném.

I.

Rzadko chyba poważne dzieło naukowe wywarło na publiczność dzisiejszą, nawykłą do lekkiéj strawy dziennikarskiéj, wrażenie tak doniosłe, jak „Początki Francyi spółczesnéj". Według

kompetentnego, a mało skłonnego do uniesień krytyka (1) „pojawienie się téj książki oznacza nową erę w życiu duchowém Francyi, dla któréj stanowić będzie jeden z najskuteczniejszych czynników odrodzenia politycznego i społecznego, jeśli tylko nie jest już na to zapóźno". Istotnie, przyczyna poczytności i wpływu wielkiéj „ankiety" Taine'a leży nietyle w znakomitéj jéj wartości historycznéj, ile w konkluzyach politycznych. Sam Taine we wstępie do swego dzieła wyraźnie zastrzega, że pragnie się zająć wyłącznie „historyą władz państwowych". „Inni napiszą historyą dyplomacyi, wojny, finansów, kościoła, moje zadanie było ograniczone". Możnaby zarzucić, że wobec podobnego oświadczenia tytuł dzieła jest nieodpowiedni. Możnaby wyrazić wątpliwość, czy osobne traktowanie tak ściśle powiązanych dziedzin życia państwowego nie odbije się ujemnie na rezultatach badania historycznego, a nawet upatrywać w zastrzeżeniu powyższém świadomy wyraz niedość wszechstronnych studyów. Lecz pamiętać należy, że Taine nie jest chłodnym tylko historykiem-naturalistą, badającym „przeobrażenie się owadu", lub „anatomizującym krokodyle", jak sam o sobie powiada; jest przedewszystkiem patryotą, a dzieło jego pięknym czynem obywatelskim. „W r. 1849, ukończywszy rok dwudziesty pierwszy, zostałem wyborcą i znalazłem się w wielkim kłopocie. Proponowano mi, abym został rojalistą lub republikaninem, demokratą lub zachowawcą, bonapartystą lub socyalistą; ja zaś w rzeczy samiéj nie byłem niczém i zazdrościłem niekiedy tylu szczęśliwcom, którzy mieli przekonania i byli czémś. Postanowiłem sobie zarazem, że jeżeli kiedykolwiek wypadnie mi szukać przekonań politycznych, nie uczynię tego wcześniéj, zanim naukowo nie zgłębię Francyi" (2). Długo obywał się Taine bez przekonań politycznych, aż wreszcie kwietyzm estetyka i filozofa przerwany został przez wielką katastrofę narodową. Jeśli wierzyć Wiktorowi Duruy, powziął Taine pomysł do swego dzieła podczas komuny paryskiéj. Istotnie przebywał naówczas w zbuntowanéj stolicy i wnosząc choćby tylko ze wzmianki anegdotycznéj, jaką znajdujemy zabłąkaną pośród wykładu wypadków zeszłowiecznych (3), głęboko wryło mu się w pamięć nie jedno bolesne wspomnienie z téj ciężkiéj chwili. Zrozumiał wówczas, że posiadać przekonania polityczne, jest obowiązkiem nieodpartym każdego obywatela; z tą myślą a wierny swéj metodzie naukowéj, podjął się mozolnéj pracy, która niewąt-

---

(1) H. Mazel. *Le procès de la révol. franç.* (w *Revue des quest. histor.* 1886. T. XL. 109).—(2) *L'anc. rég.* Por. *La conqu. jacob.* Préface: „je n'avais pas des principes politiques, et même si j'ai entrepris mon livre, c'est pour en chercher".—(3) *La conquête jacob.* 265 note.

pliwie pochłonie pozostałą część jego życia. Tę mianowicie stronę wspaniałego dzieła Taine'a mamy tu na widoku. Pomijając jego przesłanki historyczne, wyciągniemy z nich ekstrakt polityczny ogólniejszego znaczenia. Rozrzucone w różnych miejscach, przygodne napozór a nader zastanawiające konkluzye przedstawimy uszeregowane w porządku logicznym, od którego zbyt często odstępuje popędliwy autor, ulegając grozie opisywanych wypadków. W ten sposób otrzymamy pewien całokształt wiary politycznéj jednego z najsamodzielniejszych umysłów spółczesnych.

W rozwoju historycznym ustrojów państwowych rozróżnia Taine dwa typy zasadnicze. W typie pierwotnym przeważają dwa żywioły psychiczne, wiara religijna i duch wojowniczy, obadwa skierowane, ku wzmożeniu nieograniczonemu władzy państwowéj. Pokora względem bogów, jako ojców i groźnych opiekunów narodu, posłuszeństwo dla wodza, który odpiéra nieprzyjaciół i rozdziela zdobycz, cechują społeczeństwo starożytne i wywołały w niém pochłonięcie przez państwo energii i praw jednostek. Jestto zresztą przejaw wyższego prawa przyrodzonego: „w Grecyi, Rzymie, Egipcie, Chinach, Persyi, Indyach, Judei, Meksyku, Peruwii, we wszystkich cywilizacyach pierwotnych społeczeństwa ludzkie opiérają się jeszcze na téj saméj, co zwierzęce, zasadzie: jednostka należy do swéj społeczności, jak pszczoła do ula, mrówka do mrowiska.

Inaczéj w państwie nowożytném. Przedewszystkiém chrześciaństwo uczyniło w dawnych pojęciach wyłom stanowczy. W imię zasady „co jest cesarskiego, cesarzowi, co jest Bożego, Bogu", została społeczność świecka oddzielona od religijnéj, kulty narodowe ustąpiły miejsca uniwersalnemu. W następstwie protestantyzm i filozofia osłabiły moc doktryny chrześciańskiéj; dziś „tyle jest wierzeń, ile umysłów myślących", pozostaje zatém państwu jedynie neutralne względem nich stanowisko. Równocześnie wojna przestała być głównem źródłem dochodów dla państwa i obywateli; wzmożenie produkcyi, łatwość wymiany, obok prawidłowego systematu podatkowego, stanowią bezporównania dogodniejsze środki zaspokojenia potrzeb ekonomibznych i finansowych, niż wyprawy zbrojne, zawsze ryzykowne, a coraz kosztowniejsze w miarę udoskonalania techniki wojennéj. Natomiast obok uschniętych dawnych, wyrosły potężne nowe „dwa konary cywilizacyi europejskiéj", dwa nowe czynniki psychiczne, nieznane światu starożytnemu nawet z imienia. Chrześciaństwo wnosi pojęcie życia zagrobowego w nieskończonéj rozkoszy lub cierpieniu, jako nieuniknionego dopełnienia znikoméj ziemskiéj wędrówki. Świadomość stra-

szliwéj odpowiedzialności osobistéj przed wszechwiedzącym sędzią, nie zbiorowéj, jak u starożytnych, gdzie za winę jednostki odpowiadał lud cały, wyradza świadomość obowiązków, z których nikt nas zwolnić nie jest w stanie. Z drugiéj strony, z upadkiem państwa rzymskiego, zaginęło pojęcie o władzy publicznéj, dotkliwie ciążącéj choć opiekuńczéj, a natomiast zbudziło się i zahartowało w burzliwym okresie feudalnym uczucie samodzielności osobistéj. Gdy w chaosie samowoli średniowiecznéj każdy polegać musiał na sobie, gdy bezpieczeństwo i mienie własnéj pięści i przemyślności był winien, rozumiał oczywiście, że prawa tak drogo i niezależnie nabyte, tak ciężko obronną ręką podtrzymywane, święte są i nietykalne. Tak więc „przez ośmnaście wieków chrześcianina z Bogiem, udoskonaliło się s u m i e n i e, tak „w ciągu dziewięciu stuleci z monologu samotnego w swym zamku barona zrodził się h o n o r. Są to zjawiska nawskroś indywidualistyczne: do „świątyni sumienia“, ani do „fortecy honoru“ nikt nie ma dostępu, choćby w imię interesu publicznego. Władza państwowa napotkała dwie nieprzebyte zapory, odtąd jéj granice raz na zawsze zostały zakreślone (1).

Parę uwag w tém miejscu z powodu powyższéj klasyfikacyi „psychologicznéj“ państw. Jest ona zarazem historyczną i opiéra się na uogólnieniach zbyt rozległych, aby mogła być ścisłą; prowadzi też do takich dziwolągów, jak zestawienie w jednym rzędzie Chin i Grecyi. Dowolna klasyfikacya staje się przyczyną traktowania z niechęcią i lekceważeniem pierwiastków cywilizacyjnych świata klasycznego. Z wieloma pisarzami dzieli Taine jednostronny pogląd na Rzym starożytny, jako usposobienie bezwzględnego tryumfu idei państwowéj nad indywidualistyczną. U świetnego (choć może również nazbyt pochopnego do uogólnień) spółczesnego historyka prawa rzymskiego znajdujemy, jeśli nie prawdziwsze, to pewnie gruntowniejsze zdanie, że treść istotną ducha rzymskiego stanowiła „wola subiektywna“, „dzielność indywidualna“, w przeciwstawieniu do ducha nowożytnego, który „przywykł kłaść wszystko w ręce państwa, określa prawo, jako wolę państwa, wykonanie prawa pozostawia państwu“ (2). Naodwrót, wysławiane przez Taine'a pojęcie „honoru średniowieczne, szczepione przez drapieżnych „baronów“, przeistoczonych następnie w układnych dworaków królewskich, wydaje się nazbyt problematycznóm, aby je podnieść do godności czynnika reformy prawno-społecznéj. Témbardziéj, że zupełnie pozostaje niewyjaśnione, jaką drogą mogło ono przeni-

(1) *Le gouvern. révol.* liv. II Ch. II.—(2) Ihering. *Geist d. röm. Rechts* I § 10 i nast.

kać do mieszczucha i chłopa, trzymanych w ucisku i pogardzie. Nietykalność praw osobistych, świętość domowego ogniska, równość przed prawem, źródło tych warunków elementarnych, tyle przez Taine'a pożądanego, „rozwoju indywidualistycznego“ wolimy upatrywać raczéj w rzymskiém prawie cywilném. Kunsztowna antyteza świata starożytnego i nowożytnego, pozbawiona zasady naukowéj, przestaje być argumentem politycznym, jakim ją chciał miéć Taine. Nie tyle jaskrawa, a głębiéj przeprowadzona antyteza, uwzględniająca komplikacyą i ogrom społeczności nowożytnéj, uzasadniłaby raczéj potrzebę spotęgowanéj działalności państwowéj. Oczywiście chodziło Taine'owi o rezultat wprost przeciwny.

Wspomnieliśmy wyżéj o wzmożeniu się radykalizmu politycznego w czasach najnowszych, zaznaczając pochodny, praktyczny charakter tego zjawiska. Wykończenie teoretyczne radykalizm ów zyskał jeszcze pod piórem pisarzów francuskich wieku zeszłego; nie wiele odtąd dodano nowego do ich wywodów, ujętych w szatę namiętnéj i przekonywającéj logiki, poczęto je tylko w odmiennych widokach stosować. Z pisarzami tymi wypadło się zetknąć Taine'owi na samym początku jego pracy, u nich też odnajduje i zwalcza hasła przewodnie demokracyi dzisiejszéj. Społeczeństwo, a témbardziéj państwo, pojmowali oni jako instytucyę dowolnie i świadomie ustanowioną; wychodząc z zasady równego uczestnictwa stowarzyszonych téj szczególnéj spółki udziałowéj, a posługując się sylogizmami czerpanemi bodaj jeszcze u Platona, wyprowadzali dla onéj spółki ustawę. Z całego usposobienia duchowego i kierunku swych studyów musiał Taine stanąć w zupełnéj sprzeczności z taką metodą traktowania zjawisk socyologicznych. Widzieliśmy przed chwilą, jak brzydząc się pseudoklasycyzmem politycznym wieku oświecenia, popadł w drugą romantyczną krańcowość. Podobnież, choć z większą słusznością, definicyi demokratycznéj państwa, jako wyniku „umowy społecznéj“, przeciwstawia inną, otrzymaną ze stanowiska rozwoju historycznego. Określa państwo jako „fundacyę wieczystą“ (*fundation à perpetuité*), względem któréj każde żyjące pokolenie jest użytkownikiem kolejnym, nie właścicielem. „Fundacya“ ta, stworzona przez założycieli pierwotnych w téj jedynie intencyi, aby pozostała nienaruszoną, nie wymaga dopiéro sankcyi umownéj obywateli. Jeśli może być mowa o „ugodzie“ jakiéjkolwiek w téj mierze, to pierwszy onéj artykuł głosi: „potrzeba, aby państwo się nie rozprzęgło“. Nikt nie jest mocen artykułu tego znieść lub choćby zawiesić czasowo; nie zdolną jest do tego nawet wola jednogłośna narodu. Żadne względy doktrynerskie, choćby najbardziéj napozór rozumne i szlache-

tne, nie mogą przeważyć kardynalnego obowiązku państwa, jakim jest zachowanie własnego bytu. Wolno pojedyńczemu osobnikowi w chwili cierpienia ratować się samobójstwem, wolno stawiać życie na kartę w przedsięwzięciach awanturniczych, lub oddać je za mrzonkę—będzie to brakiem wytrzymałości, lekkomyślnością, poświęceniem nawet; dla ciała państwowego zawsze będzie zbrodnią „Rzecz publiczna nie należy do narodu, lecz do społeczności przeszłéj, teraźniejszéj i przyszłéj", razem wziętych. Pokolenie każde odrębne jest jedynie zawiadowcą (*gérant*) czasowym, odpowiedzialnym za cenną spuściznę, jaką przekazało mu pokolenie poprzedzające pod tym jedynie warunkiem, że odda ją nienaruszoną w ręce pokolenia następnego (1).

Już z saméj definicyi powyższéj wypada, że państwo, zjawisko dawne i ciągłe, nie może być rozpatrywane ze stanowiska oderwanego. Inne tu jeszcze myśli nastręczają się autorowi traktatu „O inteligencyi". „Liczba komórek mózgowych człowieka—odzywa się nagle, zapominając o charakterze swym dziejopisarza—„dochodzi 1200 milionów, zaś łączących je włókien—4 miliardów". Wobec niepojętéj komplikacyi funkcyi życiowych każdy człowiek „właściwie mówiąc jest szaleńcem", zdrowie „często się przytrafiającym i pięknym wypadkiem", normalny rozwój osobnika „cudownym zbiegiem okoliczności". Cóż dopiero powiedziéć o ogromnym organizmie społecznym i państwowym! Tak więc z różnorodnych przesłanek wyłania się wielka i płodna zasada „tak prosta, że się wyda dziecinną i ledwie ośmielam się ją wygłosić, jakkolwiek wszystkie me sądy poprzednie w niéj biorą początek". A mianowicie, „społeczeństwo ludzkie, zwłaszcza zaś nowożytne, jest rzeczą obszerną i złożoną. Stąd to trudno ją rozumiéć. Trudną nią dobrze kierować. Zatém umysł ukształcony sposobniejszy jest do kierownictwa, niż nieukształcony, człowiek specyalnie przygotowany sposobniejszy od nieukształconego. Z dwu prawd ostatnich wynikają nowe ważne następstwa". Dalsze owe wyniki znajdują wyjaśnienie w dziejach powstania klas uprzywilejowanych. „W Europie, od Rosyi do Portugalii, od Norwegii do Obojéj Sycylii, państwo, ze względu na swój początek i charakter, jest instytucyą militarną"; przez ten fakt historyczny uwarunkowane zostało z góry stanowisko króla i szlachty w państwach europejskich. Obadwa te stany wysunęły się na czoło społeczeństwa, dzięki specyalnym pewnym przymiotom, z mocy politycznego doboru naturalnego. Zdobywcy i organizatorowie kraju, odznaczali się siłą fizyczną, hartem woli, praktycz-

(1) *L'anarchie*. liv. II. Ch II. 183 i nast.

nym acż nie przebierającym w środkach umysłem. Nie najpotężniejszy,—najzdolniejszy z nich obejmuje stanowisko przednie i najcięższe: zabiegliwi potomkowie Hugona Kapeta i Henryka IV dokonywają przemiany ostatecznéj „małéj ojczyzny feudalnéj na wielką narodową", którą czynią państwem spójném i samodzielném. Podobnież duchowieństwo wywalczyło sobie przywileje dzięki niepospolitym przymiotom umysłowym i moralnym. Pośród barbarzyńców średniowiecznych był pasterz duchowny przedstawicielem wiedzy, wzorem nowych cnót ewangelicznych; kościół był azylem, klasztor akademią. Z biegiem czasu zmieniły się potrzeby, lub zostały zaspokojone—czyż wraz z niemi mają zniknąć odpowiadające im narządy? Bynajmniéj, albowiem „lepiéj jest w sprawach dziejowych prowadzić rzecz daléj, aniżeli rozpoczynać na nowo" i „wielki to zysk dla narodu, jeśli zachowując dotychczasowych dowódców, wolny jest od operacyi niepewnéj i strasznéj, polegającéj na stwarzaniu sobie nowych". Wartość społeczna stanów uprzywilejowanych wzrasta nawet z biegiem czasu: zachowane dziedzicznie cenne cechy praojców udoskonalają się w kierunku użyteczności publicznéj przez specyalizacyę w pełnionéj przez wieki służbie na rzecz ogółu. W końcu wieku zeszłego w przedstawicielach klas uprzywilejowanych uosabiała się „cała niemal zdolność, wiedza i rozum polityczny Francyi", „po za ich głowami w reszcie 26 milionów mózgów francuskich nic zgoła się nie znachodzi oprócz formułek niebezpiecznych a pustych" (1). „Kiedy ocenia się las, osobno się rachuje starodrzew, dęby, buki, osinę, osobno gąszcze i zarośla..; kilka tysięcy pięknych sztuk drzewa, trzy lub cztery kroćstotysięcy pni zdatnych na wyrąb więcéj zawierają użytecznego materyału, niż 20—30 milionów drobnéj drzewiny i krzaków". Jedyną rzecz, jakiéj potrzeba było Francyi w wieku XVIII, jakiéj dziś jeszcze potrzeba Europie, to racyonalna „odnowa rządu feudalnego", „zamiana kadrów wojskowych na cywilne". Zaspokojenie zmodyfikowanych, lecz licznych jeszcze a drażliwych potrzeb religijnych oraz służba dobroczynności publicznéj winna była postać i nadal wyłącznym obowiązkiem duchowieństwa; służba administracyjna i sądowa, reprezentacya interesów lokalnych wobec centru rządzącego należała się z prawa stanowi rycerskiemu; król, mniéj mając kłopotu z pilnowaniem bezpieczeństwa na zewnątrz, doskonałym byłby regulatorem zawiłego wewnętrznego mechanizmu państwa. Przez systematyczne ignorowanie tych prawd, wynikających z natury i dziejowego rozwoju organizmu społecznego, teorya demo-

(1) *Le gouv. révol.* liv. II. Ch. I. 403.

kratyczna podkopała zdrowe fundamenty życia państwowego, prowadząc w nieuniknionéj konsekwencyi do anarchii lub

Wyłuszczona apologia klas uprzywilejowanych zapewne może się przyłożyć do złagodzenia przeciwnych poglądów radykalnych, zbyt często dziś do uprzykrzenia powtarzanych. Wszakże w formie absolutnéj, w jakiéj wygłasza ją Taine, nasuwa ona liczne wątpliwości, do których po części dostarcza materyału własne jego dzieło. Opisując „*l'ancien régime*“, sam wykazał wymownie, że w wieku XVIII, na skutek nieprzepartego procesu dziejowego, poziom duchowy stanów uprzywilejowanych opadł poniżéj wznoszącego się równocześnie poziomu innych liczniejszych warstw społecznych. Odmalował duchowieństwo zdemoralizowane, chciwe, egoistyczne, szlachtę rozbawioną, surową dla ludu, dla króla lokajską, wreszcie ognisko rządu, króla, despotycznego i słabego zarazem, „wrzód publiczny“, „ranę nabrzękłą i bolesną“, skąd „wylewają się wszystkie niesprawiedliwości i nieszczęścia“. Zaś po trzech latach czytamy naraz o „znakomitém uzdolnieniu polityczném arystokracyi“ francuskiéj, a nawet zapewnia nas Taine, że w r. 1789, materyały do dobréj izby wyższéj zupełnie były gotowe, należało je tylko zgromadzić“ (1). Poprzednio z niezwykłą siłą przedstawił był Taine potworne położenie ludu i uwydatnił konieczność gruntownego przewrotu. Tutaj okazuje się, że można było zaradzić złemu o wiele tańszym kosztem; potrzebne były „dwie tylko reformy, proponowane przez króla i uprzywilejowanych“: budżet przez stany generalne sprawdzany, nowe podatki i długi państwowe przez nie zatwierdzane i obieralne zgromadzenia prowincyonalne—prosta „odnowa rządów feudalnych“ (2). Co gorsza, porwany żywością własnego wykładu i pod wpływem spółczucia dla zwyciężonych, urabia sobie Taine całkiem subiektywne i dowolne kryteryum polityczne. Słusznie można mu odpowiedziéć, zwracając przeciw niemu własne jego porównanie, że na „las“ inaczéj patrzy drwal i kupiec, inaczéj botanik. Las nie na to rośnie, aby szedł na opał, czy budulec; rośnie, aby rość, aby żyć, a nędzny krzak równe ma prawo do życia, jak dąb, lub sosna, milion krzaków stokroć więcéj praw niż nieliczne dęby. Tembardziéj, że jak sam Taine gdzieindziéj przyznał, w „borze“ francuskim znajdowało się pośród zachwalanego „starodrzewu“ wiele „drzew zbytkownych, słabowitych, o nikłym rdzeniu, a nader kosztownych“. Aby zaś dać pokój porównaniom, zaznaczmy, że Taine również bez powodzenia usiłuje rozciągnąć swą argumentacyę do innych państw europejskich. Arysto-

(1) *L'anarchie*. 193.—(2) „C'était assez“ powtarza Taine dwukrotnie. Ib. 181. 182.

kracyi francuskiéj stawia za wzór szlachtę angielską i niemiecką w XVIII stuleciu i powołuje się na Prusy, gdzie rubaszni junkrowie „dzięki tym samym (co posiadane przez szlachtę francuską) tradycyom i przesądom, zwyczajom i właściwościom stworzyli armią pruską, zorganizowali niemiecką i uczynili z Niemiec pierwsze w Europie mocarstwo“ (1). Przykłady te szwankują pod względem historycznym i politycznym zarówno. Opłakany stan wewnętrzny Anglii za panowania trzech Jerzych, rządy, które pozbawiły kraj najbogatszych kolonii i nieomal przyprawiły o zgubę, w żaden sposób nie mogą stanowić zachęcającego wzoru. Podobnież rzecz się ma z osławioną gospodarką w świętém państwie rzymskiém, w drugiéj zwłaszcza połowie z. w., tragikomiczną imitacyą gospodarki wersalskiéj (2). Zważmy też, że „notable“ francuscy mieli swój Rosbach, junkrowie pruscy Jenę. Zważmy, że apoteozowani przez Taine'a „notable“ w nieszczególném przedstawiają się świetle jako natrętni emigranci, godzący wespół z łaskawymi sprzymierzeńcami na kraj ojczysty; że wreszcie ciż sami panowie, „gotowy materyał na izbę wyższą“, tak kruchym okazali się „materyałem“ prawodawczym za restauracyi. Dodajmy, że oceniając równocześnie działalność Konstytuanty, Zgromadzenia Prawodawczego i Konwentu, nie znajduje Taine dosyć ostrych słów potępienia dla całéj téj olbrzymiéj pracy prawodawczéj, w tak krótkim czasie dokonanéj.

Po wyjaśnieniu w rysach ogólnych zajętego przez siebie stanowiska, zwraca się dopiero Taine do części negatywnéj swego zadania. W państwie demokratyczném, po zdarciu wszelkich obsłonek doktrynerskich, uznaje jako jedyną zasadę prawa publicznego przewagę liczebną większości, a co zatém idzie, rezygnacyę dobrowolną lub wymuszoną mniejszości. Pomijając utopistów krańcowych, pragnących stosowania téj zasady w formie ciągłéj, przez masy wykonywanéj czynności prawodawczéj, wypada rozpatrzyć się w umiarkowanym już praktycznie w wielkich rozmiarach stosowanym systemacie demokracyi reprezentacyjnéj. Władzę najwyższą powierza tu brany zosobna wyborca kilkuset posłom, z których jednego tylko wybiera i to pospołu z tysiącami innych wyborców. Tego zaś jedynego „mojego“ posła, na którego wybór w tysiącznym ułamku wpływam, za pośrednictwem którego mam narzucić „moję“ wolę kilkuset jego towarzyszom, w jakiż sposób szukam i znajduję,

---

(1) *Gouv. rév.* 409. *L'anc. rég.* liv. I. Ch. III. — (2) Oglądaliśmy ją zbliska za Sasów. Taine zdaje się, nie zna języka niemieckiego, stąd nie mógł uwzględnić obszernéj literatury o historyi wewnętrznéj Niemiec w XVIII w. Trudniéj już zrozumiéć naciąganie stosunków angielskich, tak doskonale mu znanych.

na czém opieram to zaufanie bez granic, z jakiém w jego ręce oddaję los własny i kraju? Pomińmy znowuż wszelkie machinacye stronnicze, towarzyszące zazwyczaj wyborom w formie przekupstwa lub nacisku, i przypuśćmy zupełnie prawidłową czynność wyborczą. Staje tedy przeciętny wyborca w obliczu mnogości kandydatów, których zna bardzo powierzchownie z przemówień okolicznościowych lub artykułów gazeciarskich, defilują przed nim ludzie zręczni, wielomówni, najczęściéj „politycy zawodowi". Nic nie poręcza ich uczciwości ani wiedzy; nie posiadają dyplomu wymaganego od nauczyciela, nie przedstawiają gwarancyi, jaką daje korporacya lekarzowi lub duchownemu; „na zasadzie legitymacyi tak błahych wahanoby się przyjąć lokaja" (1). Po za tém wszystkiém strapionemu wyborcy pozostaje jeszcze perspektywa, że kandydat jego pozostanie w mniejszości, a z nim razem przepadnie cały obiecany udział w rządzeniu. Z drugiéj strony „owe kilka milionów wyborców są to ci właśnie ludzie, którzy najmniéj mają czasu do stracenia", a wybory czasu zabierają sporo, zwłaszcza, że według zasad demokratycznych wymaganém jest częste odnawianie reprezentacyi narodowéj. Zresztą obok tych wyborów głównych odbywają się najróżnorodniejsze lokalne, dla obsadzenia przez głosowanie urzędów administracyjnych a nawet sądowych—konsekwentny wynik doktryny demokratycznéj. Obarczona w ten sposób ludność usuwa się od uciążliwéj a wątpliwego pożytku funkcyi; głosuje nieliczna garstka fanatyków i nicponiów, do których wraz z urną wyborczą przechodzi wszechwładztwo (2).

Przenieśmy się nareszcie do ukonstytuowanego już ciała prawodawczego. Zgodnie z formułką demokratyczną, składa się ono z jednego niepodzielnego zgromadzenia; gdy więc żadnego postronnego nie posiada regulatora, winno z podwójną oględnością radzić i decydować. Cóż, kiedy z saméj swéj istoty nie jest do tego uzdolnione. W trzech wielkich zgromadzeniach repezentacyjnych francuskich z wieku zeszłego dostrzegać się daje ciągłe obniżanie się poziomu intelektualnego i moralnego (3); większą część tych zgromadzeń stanowią adwokaci, z zawodu już ludzie chwiejnych zasad i wątpliwéj wiedzy. Nie wielu rozsądniejszych skupia się na prawicy, lecz broniąc urządzeń istniejących, aż nadto znanych, względem których zmuszeni się widzą liczne czynić zastrzeżenia, nie znajdują

(1) *Gouv. révol.* 131. — (2) Wielokrotnie powraca do tego Taine. *L'anarchie*, 269 i nnst. *La conqu. jacob.* 42. 43. *Gouv. révol.* 560.

(3) *L'anarchie* liv. II. Ch. I. *La conqu jac.* Ch. IV „baissement du niveau politique" 94. *Gouv. révol.* liv. III. Ch. II znów „abaissement des âmes" 226.

oni w sobie téj rzutności i ognia, elektryzującego tłumy, jaki posiadają w wysokim stopniu fanatyczni ich przeciwnicy. Pośrodku zbita masa umysłów umiarkowanych i uczciwych tworzy centrum. które decydująco może zaważyć na szali, zaś sympatyami swemi skłania się ku spokojnym zachowawcom. Niestety cechą dominującą tego stronnictwa jest bezwładność zupełna; ustępuje ono ślepo energicznemu prądowi, idącemu od lewicy. Rezultat taki potęguje inna jeszcze okoliczność, również pozostająca w związku z doktryną: jawność głosowania. W Zgromadzeniu Prawodawczém 92 r., prezydujący, wybierani przez tajne głosowanie, należą zazwyczaj do umiarkowanych, kiedy równocześnie najbardziéj dla tych ostatnich nieprzychylne zapadają dekreta (1). Ta uwaga Taine'a nie jest pozbawiona głębszéj doniosłości. Pewien wpływ ujemny jawnego głosowania odnosi się do zgromadzeń, obradujących w ogólności, gdyż wynika z téj ogólnéj prawdy psychologicznéj, że śród ludzi bez charakteru więcéj jest uczciwych, niż nieuczciwych. Podobnież posiada znaczenie ogólniejsze to, co mówi Taine o usposobieniu typowém stronnictw parlamentarnych. Powielekroć akcentuje on smutne następstwa niezdecydowanéj polityki umiarkowanych, która dziś jak przed stu laty tyle jest dla Francyi szkodliwa (2). Wydaje się niestety jakby pewną koniecznością psychologiczną, że kierunek umiarkowany, a więc zazwyczaj najzdrowszy, rzadko idzie w parze z energiczną i czynną wiarą.

Przy takich warunkach, z natury rzeczy rządom demokratycznym towarzyszących, potrzebna jest szczególna przezorność przy zakreślaniu granic kompetencyi prawodawczéj. „Jeśli w każdéj konstytucyi nowożytnéj, działalność państwa winna być ograniczoną, najbardziéj należy ją ścieśnić w demokracyi nowożytnéj.“ Powraca tą drogą Taine — i z bardziéj już realnego stanowiska—do dotkniętéj poprzednio kwestyi o „granicach władzy państwa“. Pierwszy obowiązek państwa — zachowania własnego bytu, — polegający na ciągłem działaniu na pożytek społeczności rządzonéj, powoduje różnorodne potrzeby publiczne, które obywatele ze swéj strony zaspokoić są obowiązani. Dla obrony społeczeństwa od złoczyńców w stosunkach cywilnych, od napaści sąsiadów—w międzynarodowych, okazuje się niewystarczającą inicyatywa prywatna. Konieczna jest siła zbrojna, ciało dyplomatyczne, policya, instytucye sądowe, słusznie więc państwo kierować będzie obroną, słusznie

(1) *La conqu. jacob.* 115. — (2) Dla niektórych odłamów dzisiejszej Izby, a zwłaszcza senatu francuskiego, w dziele Taine'a zawierają się ważne napomnienia i przestrogi. Ob. Ib. ch. IV i VII.

wszystkie jéj koszta ciążyć będą na obywatelach. Wolno nadto państwu w interesie pożytku publicznego przedsiębrać niektóre czynności, wykraczające poza granice ścisłéj „obrony": „bić monetę, ustalać miary i wagi, zarządzać kwaratanny, budować przystanie, tamy, kanały, drogi publiczne, wywłaszczać w tych wypadkach osoby prywatne za stosownem wynagrodzeniem, zakładać biblioteki i muzea, niekiedy nawet utrzymywać szkoły, kościoły, teatry" (1). Do pewnéj atoli znowu granicy, wskazanéj również przez wzgląd na dobro publiczne, acz z innéj już strony uważane. Przedewszystkiém „interes bezpośredni" jednostki wymaga wolności jaknajszerszéj; zarówno ze względu na charakter naturalny człowieka, jako odrębnego, zamkniętego w sobie ustroju, jakotéż z uwagi na skomplikowany jego rozwój historyczny po przez „trzy lub cztery religie, pięć do sześciu cywilizacyj, trzydzieści wieków kultury natężonéj", należy jak najmniéj krępować swobodę ruchów „téj najbardziéj oryginalnéj i wrażliwéj z istot żywych". Z drugiéj strony „interes pośredni" społeczeństwa, polegający na udoskonaleniu i obfitości produkcyi (materyalnéj i duchowéj), wymaga koniecznie wielkiéj wolności osobistéj. Praca indywidualna produkcyjniejszą jest od wykonywanéj z urzędu i tak się ma do téj ostatniéj, jak „źródło żywe, bijące, do sztucznie odżywianéj cysterny". „Nawet dla kraju uczciwego, jak Francya, obliczono, że przedsięwzięcie podjęte przez państwo kosztuje o $1/4$ więcéj i o $1/4$ mniéj jest zyskowne, niż podjęte przez osobę prywatną". Prawo to rozciąga się na wszystkie niemal dziedziny działalności człowieka. Bezustannie i z natężeniem wszystkich sił duszy „myśli matka o swém dziecku, artysta o sztuce, Faraday o elektryczności, siostra miłosierdzia o biednych"—państwo przy całéj potędze swych środków nigdy nie potrafi zastąpić téj żywéj potęgi inicyatywy samoistnéj. Tylko przy takiém biernem z zasady, a uprzedzającém względem przedsiębierczości prywatnéj zachowaniu się państwa, zostanie urzeczywistnione „nowe w historyi hasło"—zdolność społeczeństwa do rozwoju nieskończonego.

Na tém zamykamy szereg świetnych, lecz nazbyt pobieżnych uwag politycznych Taine'a. Łacno dostrzeże w nich czytelnik jednostronność, a niekiedy i rażące sprzeczności. „Najpierwszym obowiązkiem rządu, zarówno jak żandarmeryi, jest utrzymanie porządku siłą (*par la force*); zaś żandarm nie jest filantropem, napadnięty winien czynić użytek ze swéj szabli" (2).

---

(1) *Gouv. révol.* 138. 145.
(2) *La conqu. jacob.* Ch. VIII. 241.—*Le gouv. révol* 176.

Trudno pogodzić takie aforyzmy z pojęciem o biernéj roli władzy państwowéj, choćby przyjąć w rachubę wszystkie wyszczególnione przez Taine'a wypadki, w jakich dopuszcza inicyatywę rządu. Wyszczególnienie to, jak zresztą być musiało, również okazuje się niewystarczającém. Pominął w niém naprzykłd koleje żelazne, idąc za zdaniem przyjaciela swego Say'a, zdaniem niewątpliwie błędném, a podziś dzień panującém we Francyi z pożytkiem sfer finansowych, a szkodą dla kraju. Nie myślimy tu wszakże wdawać się w ocenę poglądów politycznych Taine'a, głównie chodziło nam o samo ich przedstawienie. W ogólności więc tylko ostrzegamy przed upodobaniem przesadném Taine'a do formułek symetrycznych i antytezy, w którém wyraził się wpływ metody heglowskiéj na jego wykształcenie filozoficzne. Żałować wypada, że nie przejął się tutaj raczej spokojnym sposobem wykładu znakomitego myśliciela angielskiego, którego tak świetnym okazał się niegdy interpretatorem. Obrona idei indywidualistycznéj przeciw spółczesnym zachciankom niwelacyjnym, prowadzona z większém umiarkowaniem i uwzględnieniem kwestyj ekonomicznych,— jak to czynił J. S. Mill,—niewątpliwie bardziéj jeszcze okazałaby się skuteczną. W każdym razie odtąd w pierwszym rzędzie obrońców wielkiéj téj a opuszczonéj dziś idei postawić należy wymownego i surowego historyka „Francyi spółczesnéj".

II.

W kwietniu 1885 r. londyńska „*Quarterly Review*" rozpoczęła druk artykułów politycznych, które od pierwszej chwili zwróciły na siebie uwagę szerszego ogółu, wywołując mnóstwo odpowiedzi i krytyk. Ukrywający się autor w formie niezmiernie żywéj i popularnéj wypowiadał szereg myśli nader oryginalnych, wykazując przy całéj wytworności wykładu wielkie panowanie nad traktowanemi materyami prawa publicznego. Niebawem dowiedziano się, że autorem rozgłośnych „studyów" był nikt inny, jak znakomity autor „Prawa starożytnego", sir Henryk Maine.

Henry-James Sumner Maine urodził się r. 1822, z rodziny pochodzenia szkockiego. Ukończywszy studya prawne w Cambridge, obok których z upodobaniem oddawał się zajęciom nad matematyką czystą, wkrótce został profesorem prawa rzymskiego w kolegium Trinity Hall. Przez wydanie w roku 1861 „Prawa starożytnego w związku z historyą pierwotną społeczeństwa i ideami nowożytnemi" odrazu zdobył rozgłos europejski. Głęboka, choć dyskret-

nie wykazywana erudycya, śmiałość, a zarazem trzeźwość nie wdającéj się w formalistykę a zawsze na gruncie żywych zjawisk pozostającéj analizy, dziwna sprężystość umysłu, który przez zestawienie zjawisk odległych z nowożytnemi umié osiągać pouczające analogie i nieoczekiwane uogólnienia — oto niektóre cechy wybitne tego pisarza, pięknie uwydatnione już w najpierwszém jego dziele (1). W następnym roku mianowany doradcą prawnym przy rządzie Indyj angielskich, obok téj funkcyi, wymagającéj wiele pracy i taktu (2), potrafił pełnić urząd czynnego wice-kanclerza uniwersytetu w Kalkucie. W r. 1869, po powrocie do Anglii, obejmuje katedrę prawa porównawczego w Oksfordzie; 1871 r. zostaje członkiem Rady Indyjskiéj, zasiadającej w Londynie, i tegoż roku ogłasza drukiem sześć swych wstępnych lekcyj w Oksfordzie pt. „Village-Communities in the East and West". Rozwija tu i głębiéj uzasadnia przez zużytkowanie bogatego zasobu wiadomości, jakie wyniósł z Indyj, pomysły historyczne, zarysowane w poprzedniém dziele. W dalszym ciągu pojawiły się w 1874 r. „Lectures on the early history of institutions", również w Oksfordzie wygłoszone, z uwzględnieniem szczególném ignorowanego w Anglii prawa starożytnego irlandzkiego.—1883 r. ukazał się p. t. „Dissertations on early law and customs" zbiór rozpraw, bądź to wyjętych z wykładu uniwersyteckiego, bądź rozproszonych po czasopismach. Wreszcie 1885 r. zebrane zostały zajmujące nas obecnie artykuły polityczne w liczbie czterech p. t. „Popular government". Ku końcowi 1887 r. został Maine powołany na katedrę prawa międzynarodowego w Cambridge; dla wypoczynku przed rozpoczęciem wykładu miał zamiar odwiedzić Włochy, po drodze, w Cannes, śmierć zaskoczyła go po krótkiéj chorobie 3 lutego 1888 r. (3).

W „Prawie starożytném" miał Maine na oku głównie powstanie instytucyj prawa cywilnego; w następnych pismach, coraz bar-

---

(1) Właściwie najpierwszém pismem Maine'a było niewielkie studyum „*Roman law and legal education*", drukowane w „Cambridge Essays" za r. 1856, — (umieszczone w IV wydaniu *Village Communities* 1881 r., 330 — 387).

(2) „To make a watch keep true time in two longitudes at once", jak sam dowcipnie się wyraził. *The Effects of India* 1875 p. 37.—Sir A. C. Lyall, po śmierci Maine'a podniósł myśl ogłoszenia drukiem cennych jego przemówień i wniosków, jako czynnego współpracownika 209 bilów Indyj dotyczących. — *The Law, Quarterly Review*, April 1888, p. 135.

(3) Zpowodu jubileuszu królowéj ogłosił Maine w 1887 r., rzecz o rządzie indyjskim; z pisma tego wszakże nie byłem w stanie skorzystać. — Dla niniejszéj dysgresyi biograficznéj niechaj służy za uniewinnienie, że w czasopiśmiennictwie naszem, po zgonie znakomitego uczonego, nigdzie nie napotkaliśmy dokładniejszéj o nim wzmianki. Po bliższe szczegóły życiorysu odsyłamy do *Revue histor.* 1888. T. XXXVII. 153 — 160.

dziéj pogłębiając swe dociekania socyologiczno-prawne, podciąga pod nie niektóre zasadnicze kwestye prawa publicznego. „Zdawna żywiłem pragnienie i nadzieję, powiada w przedmowie do ostatniego swego dzieła, że potrafię zastosować metodę historyczną do urządzeń politycznych człowieka. Wszelako badanie historyczne tych urządzeń, które pozwoliłoby ocenić istotną ich wartość, napotyka poważną przeszkodę w postaci mnóstwa obficie dziś rozkrzewionych idei i wierzeń, odnoszących się do pewnéj szczególnéj formy rządu, a mianowicie formy krańcowéj rządu ludowego, zwanej demokracyą". Ku końcowi w. XIX znalazła się Europa zachodnia pod panowaniem urządzeń, którym wszyscy, za wyjątkiem nielicznej garstki, przypisujemy charakter wielkiéj trwałości. Dziewięć dziesiątych ludzi, jedni z nadzieją, inni z obawą, zapatrują się na rząd ludowy, coraz szerzej rozpościerający swą władzę, jako na instytucyę, która ma zapewnione wieczne istnienie i podlegać może modyfikacyom w jednym tylko postępowym kierunku. Prąd demokratyczny bez trudu pokonywa niedołężny opór, jaki stawiają mu „wyjątkowe umysły katolickie, w których dyplomacya Leona XIII nie zdołała zatrzéć pamięci o syllabusie Piusa IX, przerzedzone szeregi legitymistów francuskich i hiszpańskich, topniejąca garść wiernych dworaków wygnanych książąt niemieckich i włoskich". Wogóle śród państw europejskich jedynie tylko Rosya i Turcya odrzucają bezwarunkowo teoryę, że władza rządu powstaje przez delegacyę takowéj przez lud osobom rządzącym; zresztą zaś została ta teorya w zupełności przyjętą we Francyi, Włoszech, Hiszpanii, Portugalii, Holandyi, Belgii, Grecyi i państwach skandynawskich,— w Niemczech, mimo oporu cesarza i jego wszechwładnego ministra, w wielu wypadkach bywa stosowaną, w Anglii, przy zachowaniu skrupulatném sprzecznych z nią form starodawnych, stała się faktycznie regułą kierującą życia politycznego. Ślepa wiara w tryumf nieunikniony zasad demokratycznych, któréj rozpowszechnienie stanowi najdzielniéjszy środek dla przyśpieszenia ich zwycięstwa, jest pochodzenia francuskiego i powstała bardzo niedawno. Pierwsze jéj ślady napotykamy po wypadkach 1830 r., kiedy przejawia się dobitnie w dziele wielkiego wpływu francuskiego arystokraty i legitymisty (1); w czasach poprzedzających bezpośrednio rok 1848 wiara ta znalazła już wielu fanatycznych apostołów. Mniejsza jeszcze, że Blanc lub Lamartine wielkim głosem przepowiadają coraz nowe przewroty społeczne i apoteozują najbardziéj osławionych mężów i czyny rewolucyjne; bardziéj jest zastanawia-

---

(1) Pierwsza część „Democratie en Amérique" ukazała się 1835 r. druga 1839 r.

jące, gdy poważny Tocqueville, pod wrażeniem amerykańskiego życia publicznego, z niepokojem i nieufnością, lecz niemniéj z poddaniem się fatalistyczném oczekuje nadejścia ery demokratycznéj w Europie. Kiedy tym sposobem nawet przeciwnicy dogmatu demokratycznego ustępują pola bez walki, jakby przed niezwyciężoną potęgą elementarną, należy zdać sobie sprawę dokładnie, o ile fatalizm taki znajduje uzasadnienie w biegu istotnym dziejów.

„Przed dwustu laty zaledwie postawiono teoryę nowożytnego rządu ludowego, od stulecia niespełna datuje się praktyczne jéj zastosowanie po za obrębem Anglii. Ubogi materyał doświadczalny rządów demokratycznych, gdyby nawet wykazywał same pomyślne rezultaty, nie wystarczałby jeszcze dla uzasadnienia nadziei optymistycznych; cóż dopiéro, kiedy cały ten materyał zgodnie świadczy o „niezmiernéj wątłości rządów ludowych". W istocie, we Francyi „od zaprowadzenia wolności politycznéj" rząd ustanowiony „z woli ludu", trzykrotnie był obalony przez motłoch paryski: 1792, 1830 i 1848 r.; trzykrotnie przez armią: 1797 r. (18 Fructidora'a), 1799 r. (18 Brumaire'a) i 1851 r. (2 grudnia), trzykrotnie upadł na skutek inwazyi nieprzyjacielskiéj, w 1814, 1815 i 1870 r. „Wogóle, jeśli opuścić anormalny okres od r. 1870 — 1885, miała Francya od początku politycznych swych eksperymentów 44 lata wolności i 37 ciężkiéj dyktatury". W Hiszpanii, nurtowanéj bez przerwy przez żywioły demokratyczne od czasów „konstytucyi" kadykskiéj, można naliczyć, w krótkim okresie od 1812 r., 40 rokoszów wojskowych poważniejszéj natury, ze współudziałem ludu, przyczém w dziewięciu wypadkach (włączając już *pronunciamento*, dzięki któremu Alfons XII dostąpił tronu) istniejącą konstytucyę doszczętnie zniesiono. W Niemczech i Austryi, gdzie ruch demokratyczny przejawił się czynnie dopiéro od r. 1848, „zgromadzenia narodowe" berlińskie, wiedeńskie i frankfurckie po kilkomiesięczném istnieniu rozpędzone zostały na cztery wiatry przez siłę zbrojną. Piękny rozwój historyczny Stanów Zjednoczonych przerwany został pośrodku przez pasmo walk bratobójczych 1861—1865 r. Wreszcie liczny szereg państw republikańskich pochodzenia hiszpańskiego, ciągnących się od granicy Meksyku do cieśniny Magellańskiéj, przechodzi bezustannie najgwałtowniejsze burze polityczne, przedstawiając kolejno obraz anarchii zupełnéj lub tyranii przypominającéj cezarów rzymskich: z liczby 14 prezydentów rzeczypospolitéj boliwijskiéj, trzynastu skończyło z ręki mordercy lub na wygnaniu (1). Obok tych faktów niewątpliwych a wymownych postawmy dla kontrastu przy-

---

(1) *Popular government*, Ess. I. 14 i nas.

kłady długowieczności cesarstwa rzymskiego i byzantyjskiego, monarchii francuskiéj i oligarchii weneckiéj, a porównanie wypadnie dla „rządów ludowych“ nader nieprzychylne. Zarazem wielka pewność siebie zwolenników tych rządów i apatya ich przeciwników okazuje się pozbawioną zasady naukowéj.

Nietrwałość urządzeń demokratycznych uwarunkowaną jest przez nieodłączne od nich, a nawet bezpośrednio z nich wynikające czynniki rozkładowe. Jednym z takich czynników, na który nie zwrócono dotychczas należytéj uwagi, jest duch stronnictwa (*party*). Posiada on wiele podobieństwa do żywiołu religijnego: „dewoci partyjni, podobnież jak religijni, chętnie wmawiają sobie, że przyjęli swe przekonania po dojrzałym namyśle, kiedy w istocie urodzili się ze swą wiarą, lub przypadkowo się z nią zetknęli“. Większe jeszcze podobieństwo zachodzi pomiędzy dyscypliną partyjną a wojskową; „ze stanowiska historycznego duch stronnictwa nie jest zapewne niczém innném, jak pozostałością i wytworem pierwotnego usposobienia wojowniczego (*combativeness*) ludzkości“ (1). Trzymane na wodzy przez rząd monarchiczny, otrzymują żywioły fakcyjne przy demokratycznéj formie rządu zupełną swobodę działania, gdyż tutaj z mocy samego prawa peryodycznie ściérać się muszą stronnictwa. Niemniéj zgubny jest inny czynnik, wprost już zależny od natury demokracyi. Według definicyi Hobbes'a „wolność jest to władza polityczna, pocięta na drobne kawałki“; nigdzie zaś nie są one mniejsze, niż w państwie demokratyczném, gdzie po zerwaniu węzłów stanowych i korporacyjnych, bierze bezpośredni udział w rządzeniu każdy z osobna wyborca. Krańcowa teorya demokratyczna w polityce odpowiada krańcowéj komunistycznéj w sprawach ekonomicznych; w obudwu wypadkach na dobijającą się władzy i dobrobytu jednostkę przypada skrawek mikroskopijny. Niedługo, a wyborca, przeświadczony o małéj wartości posiadanego udziału we władzy, albo faktycznie się go zrzeka albo rozgląda się za kupcem, któryby zechciał odeń nabyć bezużyteczne a wymagające zachodu prawo. Pojawia się więc z jednéj strony t. zw. „*wire-puller*“, demagog-reżyser, wprawną ręką kierujący ruchami maryonetek politycznych, rozdmuchuje nienawiści, podnieca zapał stronników, „czyni im odwrót trudnym i nieprzyjemnym“. Obok niego znów staje i działa ręka w rękę „gałganiarz polityczny“, który zbiéra porzucone przez właścicieli „strzępy“ lub w razie potrzeby płaci za nie dobre pieniądze. Od téj chwili walka stronnictw, zatruta przez korupcyę, staje się walką osobników najburzliwszych, lekce-

(1) Ib. Ess. II. 101. Por. Ess. I. 31 i nast.

ważących sobie dobro publiczne a zaprzątniętych całkowicie troską o własną kieszeń i stanowisko, w najlepszym razie o tryumf abstrakcyjnéj mrzonki; społeczeństwo podlega coraz częstszym i głębszym wstrząśnieniom. Niebezpieczeństwo potęguje inna jeszcze okoliczność. W stuleciu bieżącém zrodziła się idea nieznana światu starożytnemu, za wyjątkiem może Rzymu, idea „imperyalizmu“, inaczéj dążność patryotyczna ku wywyższeniu międzynarodowemu. Tendencya ta, która stworzyła dzisiejsze Niemcy i Włochy, wywołuje potrzebę wielkiéj potęgi militarnéj; obecnie cała prawie ludność męska znajduje się w kwiecie wieku pod bronią. Tutaj „*wirepuller*“ w postaci oficera z nierównie większą łatwością nieskończenie potężniejsze i powolniejsze zyskuje narzędzie polityczne. Wpływ armii na los państw demokratycznych wzmaga się z dniem każdym i dziś już „za wyjątkiem Stanów Zjednoczonych nie ma kraju, gdzie armia, działając jednomyślnie i zachowując swe uzbrojenie, nie byłaby w stanie zagarnąć władzy zwierzchniéj“.

Tym sposobem „to, co nazywamy wolą narodu, jest w rzeczy saméj dziełem jednéj lub kilku jednostek“. Nie może być zresztą inaczéj z ogólnego względu psychologicznego. W istocie, w jaki sposób „demos“, ogromne ciało zbiorowe, może wykonywać akt woli? Utarło się mniemanie, że czyni to podobnież jak zwyczajna jednostka; mówi się ciągle o „woli powszechnéj“, o „opinii publicznéj“, o „*vox populi*“. Wyrażenia te mają oznaczać, że wielka ilość ludzi może w wielkiéj ilości kwestyi dojść do identycznych wniosków i postanowień. Lecz oczywiście przypuszczenie takie daje się stosować jedynie względem kwestyi najprostszych a w miarę większéj ich komplikacyi szybko traci na prawdopodobieństwie. Jasno ilustruje tę prawdę historya sądownictwa ludowego. Pierwotnie, zarówno w sferze cywilnéj i karnéj, władza sądowa należała do ludu i sądy odprawiano na zwyczajnych zgromadzeniach powszechnych. Gdy stosunki społeczne stały się bardziéj złożone a równocześnie wzrosła rozmaitość sporów cywilnych, gdy z drugiéj strony do pojęcia o przestępstwie wpłynął nowy pierwiastek prawa publicznego, przechodzi z natury rzeczy juryzdykcya od zgromadzeń do monarchy, a następnie z jego ramienia pełniona jest przez sędziów specyalistów. Pozostałość juryzdykcyi ludowéj w postaci sądu przysięgłych przybiéra formę ściśle określoną; dwunastu przysięgłych decyduje jedynie w kwestyi czynu, mając sobie przedłożone wygotowane już pytania, pod kierunkiem specyalisty, sędziego koronnego. Jeśli tutaj musiano przedsięwziąć tyle środków ostrożności, to zupełnie już chimeryczną staje się myśl o jakiéjkolwiek „woli zbiorowéj“ w zastosowaniu do niesłychanie skomplikowanych

kwestyi politycznych, które dla umysłów najbardziéj doświadczonych przedstawiają częstokroć trudności niezwyciężone. Próbowano w czasach najnowszych ominąć ten kamień obrazy teoryi demokratycznéj za pomocą metody plebiscytu, według któréj głosujący, na podobieństwo przysięgłych, dają odpowiedzi uproszczone, „tak“ lub „nie“, na pytania, wygotowane przez zgromadzenia reprezentacyjne. Doświadczenie wielokrotne wykazało, że od formy postawienia pytania w zupełności zależy odpowiedź i we wszystkich wypadkach plebiscytu we Francyi otrzymywano odpowiedź twierdzącą olbrzymiéj większości, bez względu na to, czy szło o ustanowienie cezaryzmu, czy rzeczypospolitéj. Właściwie nawet ten „główny i nieunikniony szkopuł rządu ludowego“ oddawna już został milcząco uznany przez powszechne przyjęcie systematu reprezentacyjnego, w którym konsekwentni fanatycy radykalizmu słusznie upatrują odszczepieństwo od wymagań bezwzględnych swéj teoryi. Jestto wszakże jedynie paliatyw, z wielu względów zupełnie nie skuteczny. Niezdolność licznych zgromadzeń do „zbiorowego przejawu woli“ wypływa na wierzch w łonie samego ciała prawodawczego. T. zw. obstrukcyonizm parlamentarny jest tylko inną nazwą téj saméj choroby, i jeśli Bentham uskarżał się niegdyś na niewielką liczbę członków parlamentu, regularnie uczęszczających na posiedzenia, to dziś „staje się widocznem, że mała ilość obecnych członków i mniejszy jeszcze udział, jaki większość ich przyjmuje w rozprawach, stanowi warunek konieczny dla należytego biegu zajęć w izbie niższéj“. Wogóle, zarówno w Anglii jak i na kontynencie Europy, a do pewnego stopnia nawet w Stanach Zjed., debaty parlamentarne stają się coraz bardziéj czcze i powierzchowne, a zarazem punkt ciężkości polityczny przenosi się do klubów i stowarzyszeń demagogicznych. Wyrazem charakterystycznym tego kierunku jest teorya nowożytna mandatu, która z wielką energią wystąpiła w Anglii podczas agitacyi 1884 r.. grożąc upadkiem zupełnym instytucyi przedstawicielstwa narodowego (1).

Przekonywamy się tym sposobem, że „rząd ludowy“ jest instytucyą nietrwałą i niebezpieczną. Jednak roztropniejsi nawet zwolennicy systematu demokratycznego, zdający sobie sprawę z tych jego stron ujemnych, myślą sowicie je wynagrodzić przez inne dobroczynne skutki „*periculosae libertatis*“. Spodziewają się mianowicie, jak to na początku wzmiankowaliśmy, za pomocą instytucyi demokratycznych urzeczywistnić wszystkie swe ideały spo-

---

(1) Ib. Ess. I. 38. 35. Ess. II. 89. 94. 126.

łeczne, mając możność z zupełną swobodą przeprowadzić energiczne i konsekwentne reformy. Gorączka reformatorska jest jednym z najświeższych wytworów naszego wieku; przed stu laty we Francyi, przed pięćdziesięciu w Anglii i na reszcie kontynentu mało co o niéj słyszano. Naukowe uzasadnienie otrzymał ten kierunek dopiéro przez „odkrycie“ Benthama, że celem prawodawstwa jest największa szczęśliwość największéj ilości ludzi. Wnioskował on stąd, zwłaszcza od czasu bitwy pod Waterloo (1), że po oddaniu władzy prawodawczéj w ręce ludu, będzie ona naturalnym biegiem rzeczy miała na widoku dobro większości a nie jednostek lub korporacyi. Widzieliśmy już, jak mylne w zasadzie jest to mniemanie. Lecz wzmagając się z dnia na dzień, tendencye reformatorsko-demokratyczne rosną do rozmiarów, jakich nie przewidział Bentham; wstępujemy w epokę „ustawicznéj czynności prawodawczéj“. Polityczna żarliwość reformatorska wieku XIX staje się podobną do religijnej reformacyjnéj XVI. Dziś jak i wówczas „po za garstką zelotów, pragnących zwycięstwa mniemanéj prawdy, ukazuje się tłum ogromny, który znalazł upodobanie w zmianach dla zmiany saméj, który chciałby zreformować prawo wyborcze lub izbę wyższą z tych samych ściśle pobudek, z jakich niegdyś kaleczył posągi świętych i palił ku swéj uciesze komże i ornaty“. Chorobliwa chciwość wrażeń zaostrza się coraz bardziéj w zdenerwowanym świecie europejskim, nigdzie zaś nie znajduje więcéj drażniącéj strawy, niż w życiu publiczném państwa demokratycznego. Nawał programatów politycznych — istna licytacya *in plus* ustępstw dla wyborców, zajadłe walki stronnictw, a zwłaszcza ich przywódców, występy znakomitych mówców, cięta polemika w dziennikach, wszystko to razem stanowi widowisko wciąż nowe, a nad wyraz podniecające. Niebywała chwiejność życia publicznego, która codzień bardziéj doniosłe gotuje niespodzianki, we Francyi od lat kilku doszła do szczytu, wyraźnie już odczuwa się w Anglii, siłą tylko i nie zawsze skutecznie powstrzymywaną jest w Niemczech. Wobec stanu tyle niepokojącego niepodobna nawet utworzyć otwartéj i energicznéj opozycyi, ludzie najlepszéj myśli, świadomi całéj grozy położenia uważają za swą powinność nie powstrzymywać przyrodzonéj ewolucyi społecznéj. Ustaliła się wiara, że żyjemy w „wieku postępu“, że porządek naturalny i obo-

(1) Zdaniem Maine'a Bentham „w pierwszéj połowie życia nie był reformatorem konstytucyi, lecz praw..., radykalistą stał się z czystéj rozpaczy“. Ess. III. 163. Nie możemy zgodzić się z takim poglądem; idee polityczne Benthama wiążą się jeszcze z literaturą francuską w. XVIII i teoryami Smith'a.

wiązek obywatelski w równéj mierze nakazują iść drogą „reform“, wymaganych przez „ducha czasu“. Mamy tu znowu do czynienia z szeregiem ogólników, które właściwie są tylko spopularyzowanemi hypotezami, nowożytnéj fabrykacyi i wątpliwéj wartości naukowéj, a jednak paraliżują wszelki opór przeciw powodzi mrzonek radykalnych, jakie w nich biorą początek. Znowu więc nasuwa się potrzeba sprawdzenia, o ile owe, przyjmowane na wiarę, pojęcia „postępu“ i „reformy“ mają za sobą świadectwo faktów dziejowych, o ile są istotnym wyrazem „przyrodzonych praw socyologicznych“.

Doniosłe to pytanie nastręczyło się Maine'owi jeszcze w pierwszém jego dziele, z powodu całkiem innych kwestyj prawa cywilnego. „Wbrew oczywistości, pisał był wówczas, dla mieszkańca Europy zachodniéj jest niemal niepodobieństwem oswoić się z tym pewnikiem, że otaczająca nas cywilizacya stanowi rzadki wyjątek w historyi świata. Cały nasz sposób myślenia, wszystkie nadzieje, obawy i spekulacye uległy by zmianom zasadniczym, gdybyśmy potrafili uprzytomnić sobie stosunek ras postępowych do ogółu ludzkości. Niepodobna wątpić, że ogromna część rodu ludzkiego nie wyraziła nigdy ani śladu pragnienia jakiejkolwiek naprawy swych instytucyj cywilnych,... że za wyjątkiem drobnéj cząstki świata, nigdzie nie odbywało się nic podobnego do stopniowego ulepszania systematu praw“. W ogólności można powiedzieć, że „stan nieruchomy rasy ludzkiéj jest regułą, stan postępu—wyjątkiem“ (1). Dziesięć lat późniéj, kiedy, zniecierpliwiony zbytnią „ruchliwością“ swych spółziomków, bezpośrednio zetknął się z „nieruchomemi“ masami indyjskiemi i teoretyczne poglądy wzmocnił przez sympatye osobiste, powraca Maine do téj saméj myśli, stosując ją już do zachodnio - europejskiego „wyjątku“. Wyraża więc powątpiewanie „ażali nowe pojęcia nawet na Zachodzie wyrastają w istocie tak szybko, jak wmawia nam niekiedy literatura nowożytna“, i sądzi raczéj, że tutaj, zarówno jak na Wschodzie, działa prawo inercyi duchowéj człowieka i „wszelkie, choćby świadome wysiłki skierowane ku zwiększeniu ilości pojęć mają nader ciasno zakreślone granice“. Tak, dla przykładu, w dziedzinie udoskonalonéj poezyi europejskiéj pojawia się nagle od czasu do czasu duch szczęśliwie uposażony, który znacznie powiększa „ilość kombinacyj myśli i słów“, stanowiącą dobytek poetycki narodu, lecz „również nagle, po jednym lub niewielu takich wysiłkach, czynność twórcza zamiera i zastąpioną zostaje, niekiedy na całe stulecie, przez pospolite

(1) *Ancient law*, Ch. II. 22 — 24.—Ob. Ch. V. 116.

naśladownictwo" (1). Wszystkie te luźne uwagi zbyt ściśle były powiązane z całym kierunkiem studyów Maine'a, aby nie miały znaleść oddźwięku w jego konsyderacyach politycznych. To też z największym naciskiem powtarza tutaj, że „liczne i potężne narody, o wysoko rozwiniętéj kulturze, żywią odrazę do tego, co na Zachodzie nazywamy reformą"; brzydzi się nią cały świat muzułmański, czarne plemiona rozległych przestrzeni afrykańskich, starożytne ludy półwyspu indostańskiego; „miliony, zaludniające państwo chińskie, nienawidzą jéj i—co bardziéj jeszcze pouczające i godne uwagi—gardzą nią". W saméj zresztą Europie dążność reformatorska datuje się od wczoraj a przytém przejawia się wyłącznie prawie w dziedzinie politycznéj, dostępnéj dla wpływów demokratycznych; do głębszych posad życia społecznego prądy nowatorskie przeniknąć nie zdołały. Widzimy to w zwyczajach i obyczajach, w których, jak wykazały nowsze poszukiwania, z dziwną, acz nieświadomą wytrwałością przechowujemy formy, sięgające epok przedhistorycznych. Najdobitniejszego wszakże pod tym względem świadectwa dostarcza połowa ludności, na Zachodzie Europy, połowa liczebnie przeważająca, trzymana dotychczas zdala od burzliwéj sfery interesów politycznych, a więc niezarażona jeszcze manią nowatorską, właściwą téj sferze — mianowicie kobiéty. Nader rozpowszechnione jest zdanie o zmienności natury niewieściéj i często za Franciszkiem I powtarzana bywa maksyma „*souvent femme varie*". Nic wszakże błędniejszego, jeśli tylko pominąć niektóre nieliczne warstwy i pewne powierzchowne zjawiska psychiczne. Kobiéty stanowią najtrwalszy element zachowawczy społeczeństwa, najściśléj przestrzegają ustalonych zasad moralnych i obyczajowych, najsurowiéj karcą wszelkie odszczepieństwo czy to od religii czy od mody. Co do mody saméj, któréj zmienność mniemana stała się przysłowiową, okazuje się przy badaniu historycznéem jéj wybryków, że porusza się ona w nader ciasném kółku. Kobiéta grecka, jak oglądamy ją na zachowanych figurach tanagryjskich, rażąco podobna jest w stroju do damy dzisiejszéj doby, „z tą tylko różnicą, że nie nosi gorsetu, a natomiast niekiedy ma parasolkę przymocowaną do kapelusza" (2).

Różnemi drogami przywiedzeni zostajemy do wniosku, że stan naturalny człowieka nie jest stanem postępu, ani wogóle ruchu, lecz stanem niezmienialności (*unchangeableness*). „Natura ludzka

---

(1) *Early hist. of instit.* Lect. VIII. 227.
(2) *Pop. gov.* Ess. III. 130. 142. 170—175.

posiada zawsze nader słabe upodobanie i nader mało zdatności ku przystosowaniu się do nowych warunków życiowych". Stąd staje się zrozumiałém niepowodzenie 350 konstytucyi, jakie, podług obliczenia Liebera, sfabrykowano od początku bieżącego stulecia. Stąd oraz skazówka, jak należy cenić wysoko dawniejsze długowieczne urządzenia polityczne, poddawane dziś tak pochopnie pogardliwéj krytyce. Nie znaczy to bynajmniéj, aby w poszczególnych sprawach społecznych spokojnie i umiejętnie dokonywane reformy nie miały być pożądane. Anglia i ludzkość wiele ma do zawdzięczenia, zwłaszcza w dziedzinie procedury sądowéj, oświaty i dobroczynności publicznéj, dzielnéj inicyatywie Bentham'a i jego uczniów. Wszakże złudzeniem byłoby szukać pomocy u tłumów w sprawach prawdziwéj, naukowéj reformy. „Jedném z najdziwaczniejszych wierzeń naszéj doby jest mniemanie, że rozległe prawo wyborcze przyśpieszy postęp, przyłoży się do wytworzenia nowych pojęć, odkryć i wynalazków..., kiedy w istocie wywoła raczéj nader szkodliwy konserwatyzm, mocniéj trujący od najsilniejszego narkotyku". Przesądy tłumów, czy to oparte na wierze, czy na interesie materyalnym, bardziéj są niezachwiane, niż jakiekolwiek stanowe. Przez głosowanie powszechne nigdyby nie przeszedł ani nowy kalendarz gregoryański, ani obowiązkowe szczepienie ospy, ani zaprowadzenie mechanicznego warsztatu tkackiego lub młockarni, może nawet maszyny parowéj. Teorya ludności Malthusa, jedyny rozumny punkt wyjścia ekonomii politycznéj, uogólniona przez Darwina i stanowiąca w odmiennéj postaci podstawę biologii nowoczesnéj, nienawistna „Demosowi" i usłużnym jego poplecznikom, powstrzymaną zostaje w dalszém naukowém rozwinięciu i nie otrzymuje należytego w praktyce zastosowania. W Anglii projekty kolonizacyjne, oparte na téj teoryi, okazują się bezsilne wobec ustalonego przekonania, że dana powierzchnia musi wyżywić mieszczącą się na niéj ludność, bez względu na wzrost takowéj; natomiast uciążliwe prawa o ubogich przybierają zatrważające rozmiary. „Niepłodność prawodawcza" demokracyi ujawniła się jaskrawo w Związku Szwajcarskim, gdzie od czasu zaprowadzenia „*referendum*", szczególnéj formy plebiscytu, a dziś ideału politycznego krańcowych demokratów wszystkich krajów, został odrzucony przez lud długi szereg pożytecznych praw, przyjętych przez legislaturę federacyjną, a dotyczących sądownictwa, administracyi, spraw polityki zewnętrznéj. „Można powiedzieć wogólności, że nadchodzące panowanie tłumu stanowi złowieszczą wróżbę dla wszelkiego prawodawstwa, opartego na gruncie naukowym, a więc wymagającego natężenia umysłu, by je zrozumiéć, i zaparcia się, by mu się pod-

dać" (1). Największe reformy prawodawcze, jakie zna historya, uskutecznione zostały przez potężne jednostki autokratyczne: taką dla świata starożytnego była działalność cesarzów rzymskich (Justyniana), dla epoki średniowiecznéj—Karola W., dla nowożytnéj—Napoleona. Próżne są rozprawy optymistów o idealnéj arystokracyi duchowéj, którą jakoby ma zrodzić system demokratyczny i która ma stanowić łącznik między nim a wymaganiami postępowemi. Żywi taką wiarę Renan, sympatyczną i zrozumiałą u syna bretońskiego chłopa, lecz niemniéj z gruntu mylną. Demokracya nowoczesna, z największą łatwością wyradzając się w despotyzm, okazuje się zarazem zupełnie niezdolną do wytworzenia z siebie arystokracyi, we właściwém znaczeniu tego słowa (2).

Pozostawiam czytelnikowi rozpatrzenie się w tak różnorodnéj treści rzuconych przez Maine'a myśli, sam pozwolę sobie dołączyć niektóre tylko uwagi. To, co powiada Maine o kruchości urządzeń demokratycznych, zawiéra w sobie wiele prawdy, jakkolwiek tak ważna kwestya wymagałaby staranniejszego opracowania. Przykłady egzotyczne republik amerykańskich mało budzą zaufania; dokładny obrachunek lat swobody we Francyi wydaje się mocno problematycznym i historyk specyalista, jak Taine, zapewne nie bez uśmiechu czytać będzie o odkryciu fatalistycznéj liczby powracających trzykrotnie przewrotów politycznych. Ze wszech miar oryginalnym jest sposób, w jaki, pomijając konsekwentnie Spencera i jego szkołę, przeczy Maine teoryi rozwoju społecznego; niepodobna jednak wejść tu w rozbiór téj interesującéj kwestyi (3). Co się tyczy dyagnozy „gorączki reformatorskiéj", jaką daje Maine, jest ona zapewne pod wieloma względami trafna i zgodna z licznemi objawami chorobliwemi spółczesnego życia publicznego we Francyi i Anglii, nie jest jednak bynajmniéj wyczerpująca. Motłoch rzymski oprócz igrzysk domagał się jeszcze chleba; chłopi zbuntowani wieku XVI, aby aż tak daleko sięgnąć z Main'em po porównanie, również przedewszystkiém dopominali się o ten ostatni specyfik; niepodobna zaś chyba przeoczyć roli pierwszorzędnéj

(1) Ess, II. 98. „All, that has made England famous and wealthy, has been the work of minorities, sometimes very small ones. It seems to me quite certain, that, if for four centurcis there had been a very widely extended franchise and a very large electoral body in this country, there would have been no reformation of religion, no change of dynasty, no toleration of Dissent". Możnaby w dziejach naszych znaleść negatywne potwierdzenie tego zdania. — (2) Ess. II. 65. 66. Ess. III. 180—190. Renan *Dial. philos.* III.

(3) Sam jednak, polemizując z Benthem'em i Austin'em, ostrzega przed „the danger of overestimating the stability of legal conceptions", gdyż „even jurisprudence itself cannot escape from the great law of Evolution". *Early law and custom*, Ch. X. 360. 361.—

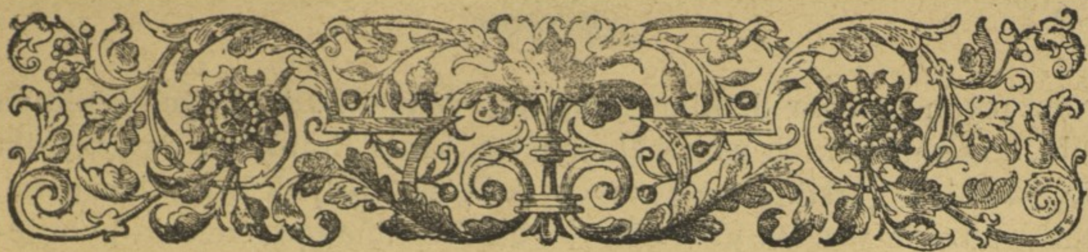
pobudek ekonomicznych w walkach politycznych chwili bieżącéj. Przemilczanie o hasłach najbardziéj dziś popularnych, zrozumiałe jeszcze u Taine'a indywidualisty, podwójnie dziwi u historyka i obrońcy pierwotnéj własności wspólnéj, w którego dziełach pisarze o kierunku socyalistycznym wiele mogliby zaczerpnąć na swą korzyść argumentów (1).

---

(1) V. Cherbuliez (Valbert), w bardziéj dowcipnéj niż słusznéj ocenie dzieła Maine'a, zarzuca mu, że „il a oublié de conclure“ (*Rev. d. d. mondes* 1886. T. LXXV. 193). Konkluzyę stanowi właściwie rozdział ostatni „Konstytucya St. Zjed“., opuszczony przez nas, bo pozbawiony znaczenia ogólniejszego. Zarówno Taine, gdy Francyi stawia na wzór Niemcy, jak i Maine, wychwalając konstytucyę amerykańską, popełniają błąd, jakiego dopuścił się przed nimi stary Tacyt, również dziejopisarz-polityk.

S. Askenazy.





Z PRZESZŁOŚCI I TERAŹNIEJSZOŚCI ŁUŻYC.

Mało który z ludów słowiańskich, posiada w swéj przeszłości tyle tragicznych, krwią oblanych wspomnień, co niewielki, opasany dokoła siecią germanizacyi, naród łużycki. Wyjątkowa, bezprzykładna nieomal wytrwałość jednostek trzyma ster drobnéj, maleńkiéj łodzi, którą od wieków, w tę lub owę stronę, rzucały nieprzyjazne fale. Zatapiano ją, podkopywano torpedami gwałtu i bezprawia, wyższe jednak po nad to, przywiązanie do mowy i ziemi rodzinnéj przetrwało burze stuleci. Jest coś zadziwiającego i pouczającego zarazem w zapasach, jakie toczy z wrogim sobie żywiołem garstka ludu, ów odłamek połabskiéj Słowiańszczyzny. Systematyczne, *mit Gründlichkeit und Pünktlichkeit* dokonywane, wynaradawianie znajduje opór w sumiennéj i wytrwałéj pracy ogółu. Inteligencya nie rozdrabnia się, nie rozprasza na czcze i próżne frazesa, w zwartym szeregu dążą wszyscy do jednego i upragnionego celu. Wobec wspólnéj idei, zacierają się różnice zdań i poglądów, słabną prywatne interesa. Podniesienie moralne i umysłowe ludu, zrównanie go pod względem cywilizacyjnym z innymi, jest głównéni zadaniem przodowników narodowego i intelektualnego ruchu na Łużycach.

Dzięki tym stosunkom, Serbołużyczanie, jeszcze przed kilkudziesięciu laty uważani za *curiosum* etnograficzne, dziś posiadają stosunkowo dość cenną i bogatą literaturę. Z jaką tytaniczną pracą i poświęceniem składano cegiełkę po cegiełce do budowy gmachu odrodzenia, wskaże nam najlepiéj przeszłość dziejowa i literacka Łużyc.

Już w 627 r., za rządów władcy Samona, który pod swoje panowanie połączył całą Słowiańszczyznę, widzimy Serbów łużyckich,

walczących przeciw dzikim Awarom. W 630 r., do zwycięźenia na polach Domażlickich wojsk Dagoberta, króla Franków, przyczyniła się również garstka walecznych Serbów. Gdyby myśl łączności, wprowadzona w czyn przez dzielnego Samona, przetrwała była jego panowanie, dzieje połabskiéj Słowiańszczyzny w innéni by dzisiaj jaśniały świetle. Lecz brak zmysłu politycznego zgubił już ówczesnych Słowian. Liczne, znane w historyi pod ogólném mianem Serbów, ludy, przez zamiłowanie niezależności i waśnie wzajemne, dzieląc się na drobne plemiona, ulegały przemocy silniejszego wroga. Hufce Karola W. plondrując po nad Łabą, tysiące ludu mordowały, lub uprowadzały w niewolę. W walce z synem jego, ginie (806) waleczny wódz Serbów Miliduch. Na ruinach spalonego przez Franków Żidowa (1), nowe wyrasta pokolenie. Zwycięstwa Mojmira i Świętopełka, królów Wielkiéj Morawy, inną znów zwiastują jutrzenkę: połączona pod ich panowanie Słowiańszczyzna swobodniéj oddycha. Z upadkiem (907) wszakże państwa Morawskiego, losy Połabian w żałobne stroją się szaty. Na widownię dziejów występuje cesarz Henryk Ptasznik. Najdoskonalszy typ germanizatora, straszną rozpoczyna walkę. Od chwili wstąpienia na tron, żyje tylko myślą zgnębienia wstrętnéj, nienawistnéj sobie ludności. Założone przez niego marchie, jak północna, (r. 927) a w kilka lat późniéj Myszońska, to strażnice, wsłuchane w żywsze uderzenia serc ludów słowiańskich. Rządy Ptasznika przyśpieszają zgon Słowian lewego brzegu Łaby. Syn jego Otton, zwany Wielkim, wstępuje w ślady ojca. Rozpoczyna się dla Łużyc epoka pełna smutku i grozy. Chrystyanizm, szerzony przy szczęku oręża, nie osładza strasznéj niedoli. Łużycanie, uciekają od księży i biskupów niemieckich. Wyzuci z własnych ziem, doprowadzeni do rozpaczy, zrywają krępujące ich pęta. Walka wszystkich przeciw wszystkim, zawrzała na całéj przestrzeni. Serbowie porwali za oręż, burząc w swéj obronie kościoły i zamki. W końcu, po latach bezprzykładnych wysiłków, ulegli (990) przeważającéj sile Ekkarda, margrafa Myszny. Placówka niemiecka posuwa się naprzód, w stronę Polski wyciąga ramiona.

Wówczas, występuje do walki Bolesław Chrobry. Z umiejętnością strategika, prowadzone boje, przecinając Niemcom drogę ku wschodowi, oddają Łużyce Polsce. Wspólność plemienna złączyła oba ludy, Serb łużycki nie uciekał już na widok nawracających go księży. Prawa, nadane przez Bolesława, pozwalały na rozwój mo-

(1) Dziś przedmieście Budyszyna.

ralny i materyalny ludu (1). Złota epoka w dziejach Łużyc skończyła się śmiercią genialnego króla; umarł on, zostawiwszy rządy synowi, którego niepomyślne panowanie oddało znów Łużyce Niemcom. Z chwilą tą (r. 1032) poczyna się groźny dla przyszłości całéj krainy podział. Jedna część Łużyc, a mianowicie Górne, to jest ziemia Milczan, otrzymała zwierzchnictwo margrafów myszońskich, właściwe zaś Łużyce, Dolnemi zwane, przeszły pod opiekę margrafów Wschodnich.

Cesarze, oddawszy Łużyce w lenność, nie troszczyli się o losy podbitéj krainy. Kto chciał i jak chciał, rządził po swojemu. Dzięki możnowładztwu, margrabiowie na swoję rękę rozpoczynają gospodarstwo. Nieszczęśliwe Łużyce, rzucone na ich pastwę, przerzucane z rąk do rąk, stają się celem rozlicznych zatargów i pragnień. Polacy, dawne, utracone odgrzebują prawa, Czesi i książęta szląscy również występują z pretensyami. Górne, chwilowo z pod opieki margrafów przeszły na rzecz Wratysława II, czeskiego, gdy tymczasem, do Dolnych, na skutek umowy z Wratysławem, Bolesław Śmiały rościł sobie prawo. Za Sobiesława, Górne, przyłączono znów do korony czeskiéj, Dolne zaś, zajął Konrad z Wettinu, margrabia myszoński, założyciel panującéj dziś rodziny saskiéj. Upadek Słowian hawolskich pogorsza jeszcze położenie Łużyc. Na ruinach Branibora wzniesiony Brandeburg (1157) wytworzył ognisko nowych gwałtów i bezprawi. Fatalność dziejowa zaciężyła nad biedną krainą, spychając ją, z jednéj otchłani w drugą.

Rzecz jasna, iż ciągła zmiana rządów szkodliwie oddziaływała na wewnętrzne stosunki Łużyc. Bywały chwile, w których nieszczęśliwa kraina, szarpana na wszystkie strony, sprzedawana nawet za długi (2), trzem naraz służyła bogom.

W r. 1319, część Górnych hołdowała koronie czeskiéj, druga, Henrykowi księciu na Jaworze, Dolne zaś, margrabiom brandeburskim. Ostatecznie, po krwawych zapasach margrabiów z przedstawicielami korony ś-go Wacława w Czechach, Górne Łużyce, 1346 roku, za króla Jana, Dolne zaś za syna jego, Karola IV, (r. 1348), przeszły pod panowanie czeskie.

Trzysta dwadzieścia sześć lat rządów czeskich na Górnych, a dwieście pięćdziesiąt dwa, na Dolnych, nie mogło jednak ocalić

---

(1) Łączność historyczna z czasów Bolesława do dziś jeszcze, wspominaną jest na Łużycach; Boguslawski oraz ks. Hornik utrzymują, iż pieśń „Serbów dobyce", pomieszczona w zbiorze pieśni Smolera, opisuje bohaterskiego rządy Bolesława na Łużycach i odniesione nad niemcami zwycięstwo.

(2) W r. 1301, margr. myszoński Dyzman, zadłużywszy się, sprzedał Dolne Łużyce arcybiskupowi magdeburskiemu Burchardowi, za sześć tysięcy grzywien srebra.

Łużyc od zalewu germanizacyi. Podstawy, założone ręką Ptasznika, przecięły wszystkie arterye i sprężyny ducha. Następcy jego tą samą kroczyli drogą. Kolonizacya, pożerając miejscowe siły, zmuszała nieszczęsną ludność do opuszczania własnych siedzib. Już za Karola W. dziesięć tysięcy Słowian uprowadzono w głąb Niemiec. Za margrabiów Gerona i Albrechta Niedźwiedzia, sprzedawano na targach niewolników słowiańskich. Serbowie łużyccy, traktowani przez Niemców narówni z domowemi zwierzętami, w osłupieniu przyjmowali szerzący się terroryzm. Jak wszędzie, tak i nad brzegami Szprewii, zamożniejsza ludność wynarodowiła się szybko, dla przywilejów poświęciła zwyczaje i ojców mowę, słowiańskim pozostał tylko lud wiejski i ubodzy mieszkańcy przedmieść. Ci, pozbawieni wszelkich praw, obciążani podatkami, w nędzy pędzili życie. Dość było jednego słowa, aby bez sądu, na rozkaz margrabiego, wyrzucano Łużycan z ich siedzib, a mienie, zabierano im zupełnie. Rozporządzenia Albrechta Niedźwiedzia, odmawiały Serbom wymiaru sprawiedliwości. Księża kazali tylko po niemiecku, szkół serbskich nie było wcale, jedyna, założona przez biskupa Brunona, upadła wraz ze śmiercią szlachetnego protektora. Serbowie dzieci swoich nie mogli posyłać do szkół, ani uczyć ich rzemiosł, nawet ubierać się i włosy czesać musieli wedle z góry przepisanego sposobu. Małżeństwa mieszane nie dawały żadnych praw ani przywilejów. Serb, urodzony z niemki, również był parią społeczeństwa. Cesarze, margrabiowie, księża występujący w obronie wrogiego podówczas dla Słowian chrześciaństwa, całe legiony kolonistów, wreszcie każdy na swój sposób znęcał się nad serbołużycką ludnością (1). Epoka czeska także nie o wiele jaśniejsze od niemieckiéj zostawiła po sobie wspomnienie. Łużyce, należąc do korony czeskiéj prawem lenném, rządzone były przez wrogich, obcych urzędników. Chciwość niemiecka zapuszczała wszędzie swoje szpony. Margrabiowie, przyjmując urzędy wójtów, dopuszczali się wszelkiego rodzaju niesprawiedliwości. Z czasem, i wewnętrzne stosunki Czech, zagrożonych wzrastającą przewagą żywiołu niemieckiego, niekorzystnie oddziaływały, na ujarzmioną krainę. Husytyzm, jakkolwiek nie znalazł gruntu w ojczyznie Miliducha, ciężkie jednak po sobie zostawił ślady. Niemcy na Łużycach, gradem kamieni witali nadciągające hufce Prokopa, uboga słowiańska ludność, zdziesiątkowana głodem, zniszczona przechodami wojsk, łatwiejszéj ulegała germanizacyi. Podobnie

(1) Mimo wytężenia wszelkich środków ucisku, w r. 1427 w sądzie w Myszny używano jeszcze języka serbskiego.

gnębiła Serbów i powodzią nieszczęść zalewała straszna, wstrząsająca podstawami, burza wojny trzydziestoletniéj. Za jéj dni, sześćdziesiąt protestanckich na Łużycach zniemczono parafii.

Przegrana pod Białą Górą ostateczny cios sprowadziła na Łużyce, oddając je na zawsze Niemcom. Elektor saski, Jan Jerzy I, potomek margrabiów Myszny, za pomoc udzieloną cesarzowi podczas wojny trzydziestoletniéj, zabrał Łużyce w zastaw. Fakt ten dał powód do nowych zatargów i waśni. Skłóceni o skrawek słowiańskiéj ziemi, panowie niemieccy, w r. 1635, zawarli w Pradze pokój, mocą którego Górne Łużyce przyznano elektorowi saskiemu, Dolne zaś, margrabiom brandeburskim. Następne lata prawie już żadnych zmian politycznych nie zapisały na kartach przeszłości Łużyc. Panujące dziś na obu dynastye, to potomkowie dawnych, dobrze z a s ł u ż o n y c h w historyi łużyckiéj margrabiów.

W takich mniéj więcéj zarysach przedstawia się przeszłość polityczna Łużyc, literacka zaś jest łańcuchem najszlachetniejszych wysiłków i dążeń. Zasady Ptasznika, wszczepione w krew jego następców, przeżyły wieki. Wygłaszane na mogiłach, oblanych łzami stuleci, odbijały się pustém echem o skamieniałą od bólu pierś uciśnionych. Morze krwi, wylanéj w obronie praw, nie mogło zalać tlejącéj w głębinach iskry, rozpaliła ona pochodnię światła, dziś przyświecającą odrodzonéj narodowości. W czasach, gdy inne ludy witają złotą epokę literatury, na Łużycach martwota ducha i myśli. Za margrabiów, mowa ojczysta kryje się wśród pól i lasów. Po gajach i odwiecznych, owianych wspomnieniami Krescenciuszów grodziszczach, odmawiają Łużycanie pacierz. Pozbawieni serbskich kaznodziei, sprowadzają sobie włóczęgów, nieuków, którzy na improwizowanych kazalnicach głoszą im w ojczystym języku, słowo boże. Demoralizacya ludu nie przeraża duchownych. Z małym bardzo wyjątkiem, biskupi niemieccy idą ręka w rękę z rządem. Przez nienawiść do Słowian, zapominają o obowiązkach kapłańskich. Książka dla Serba zbyteczna, nawet cichy szept modlitwy tłumi gwara brutalnych Niemców. W epoce czeskiéj, jeśli Serb umiał czytać, korzystał z czeskich książek i modlitewników. Wewnętrzne stosunki Czech pochłaniają ogół, reprezentanci korony S-go Wacława, także germanizatorowie w swoim rodzaju, pobłażliwém okiem spoglądają na tyranią niemieckich urzędników. Któż więc wobec podobnych stosunków miał pomyśléć o napisaniu lub wydaniu łużyckiéj książki? Wrogi Niemiec, zajęty własną dolą Czech, czy téż obumierający pod wpływem doznanych ciosów Łużycanin?

Dopiero protestantyzm, szerzony z całą skwapliwością na Łużycach, wręcz przeciwne od założenia wydał owoce. Nauka Lutra szerokiém korytem rozlała się na Łużycach. W początkach wprowadzenia nowéj nauki, Serbowie, z natury konserwatywni, uciekali od nowych proroków. Chcąc zjednać sobie ludność łużycką, kaznodzieje protestanccy uczyli się po serbsku. Ten rodzaj polityki ujął nieszczęśliwych, dźwięki ojczystéj mowy przemówiły do serc i przekonań Serbów. Sądzili, iż z nową wiarą, jaśniejsza dla nich zabłysnęła dola. Złudzenie trwało krótko. Nauka Lutra, głoszona przez pierwszych wyznawców w języku serbskim, w następnych latach zmieniła się w religią państwową, mającą na celu dalsze wynaradawianie i gnębienie Słowian. Podsuwane przez niemieckich pastorów, niemieckie książki, jak stofuntowe ciężary, wypuszczali z dłoni, powracając do czeskich książek i modlitewników. Widok ten przerażał protestanckich księży, zmuszeni koniecznością pomyśleli o wytworzeniu religijnego dla Serbów łużyckich piśmiennictwa. W gronie adeptów nowego wyznania znaleźli się i ludzie, wybiegający po nad miarę z góry przepisanych formułek, dla których cel, z jakim rozszerzano protestantyzm, okazał się wstrętnym. Opiekując się dolą powierzonych parafii, położyli zarazem węgielny kamień dla dzisiejszéj literatury łużyckiéj.

Jakkolwiek historya wspomina o zaginionym, a wydanym poprzednio za biskupa Jana IV, katechizmie katolickim, najdawniejszym jednak znanym pomnikiem jest rękopis Mikołaja Jakóbicy, z r. 1548. Czy autor był Górno, czy Dolnołużycanin, dotąd niewiadomo. Fakt tylko, iż ruch, wywołany przez protestantyzm, zachęcił go do pracy, gdyż przekład jest według tekstu Lutra dokonany. Po raz pierwszy, jeden ustęp z rękopisu, znajdującego się w bibliotece berlińskiéj, wydrukował Jencz w C. M. za r. 1862, następnie Lotze oraz Leskien w *Archiv. für Slav. Phil.* (1876). Jencz, podobnie jak i wszyscy pisarze łużyccy, uważał język przekładu za narzecze mużakowskie; dopiero Leskien stanowczo rostrzygnął niepewność, twierdząc, iż rękopis jest dolnołużycki.

Pierwszą zaś łużycką książką drukowaną, jaka ujrzała światło dzienne, były śpiewy religijne dla protestantów, napisane przez księdza Albina Mollera z Trzubca, pod Lubniowem, a wydane r. 1574 w Budyszynie, w drukarni Michała Wolraba. Do książki téj, Szymon Gast, pierwszy pastor w Lubniowie, dodał jeszcze dwie modlitwy. Zważywszy, iż piszący pierwszą łużycką książkę, podobnie jak i Jakóbica, użył języka dolnołużyckiego, przychodzimy do wniosku, iż obok religijnych i narodowe kierować nim musiały uczucia. Pisząc bowiem w języku dolnołużyckim, miał na wzglę-

dzie Dolnołożycan, mniéj ulegających wpływom czeszczyzny, która bądź co bądź, chroniła Serbów od bezwzględnéj germanizacyi. W górno łużyckim języku, dopiero w kilkanaście lat późniéj, to jest w roku 1597, ukazał się katechizm Lutra, tłómaczony przez Wacława Worjecha z Hodzija.

Dwie te książki, to jedyna spuścizna szesnastego wieku, następny nowe imiona zapisał na swoich kartach. W r. 1610, Andrzéj Tharaeus proboszcz protestancki z Bjedrychoc wydał w Frankfurcie nad Odrą, serbski katechizm, *Enchiridion Vandalicum*, napisany w storkowskiém, dziś całkiem już wygasłém narzeczu (1). W kilkanaście lat późniéj, bo już w 1627, Grzegórz Marcin z Porszic wydrukował w Budyszynie siedem psalmów pokutnych, w górnołużyckim i niemieckim języku. Moller, Tharaeus i Worjech, byli to ludzie zacni i uczeni, lecz prace ich, w danéj chwili, żadnego wpływu nie wywarły na zniemczoną i opuszczoną ludność, Germanizacya coraz szersze przybierała rozmiary. Zapobiedz jéj mogły tylko serdeczne, z miłością przez kaznodziei wygłaszane słowa. Człowiekiem, który pierwszy zrozumiał położenie ziomków, i pierwszy wtajemniczył się w potrzeby wzgardzonéj od wieków ludności, był Michał Brancel (Frencel) pastor z Budestic, urodzony 1628 roku. Pierwszy kaznodzieja i pierwszy patryota, jakiego wydała nieszczęśliwa kraina. Moralna opieka, jaką roztoczył nad ludem wiejskim, podobnie jak i prace autorskie, zjednały Branclowi niechęć władzy świeckiéj i duchownéj. Niezrażony przeciwnościami, pragnął wytworzyć ojczyste, wolne od niemieckich naleciałości piśmiennictwo. Zadanie nie było łatwe, polegało na zreformowaniu wadliwéj, skażonéj w najgorszym stopniu pisowni. Brancel wykształcony na wzorach polskiéj, bogatéj już podówczas literatury, pierwszy przyjął do łużyckiéj pisowni czeskie i polskie zwroty, i takim poprawnym już językiem, r. 1670 napisał pierwszy elementarz łużycki, oraz tłómaczył niektóre ustępy starego i nowego testamentu. Wymowny, pełen szlachetnych uczuć i poglądów jako kaznodzieja, przykładem swoim zmuszał duchowieństwo do naśladownictwa i pracy.

Jednoczesnie z Branclem, Jakób Tycin z Kulowa, jezuita, rozpoczyna dla współwyznawców pracę. Myśl udoskonalenia pisowni stała się celem jego dążeń. Wychowany w Pradze, znając dokładniéj od Brancla, język czeski, łatwiéj potrafił wtajemniczyć się w właściwości słowiańskiéj mowy, a chociaż w niektórych poglądach różnił się z Branclem, pracując wspólnie nad ulepszeniem

(1) W północnéj stronie Dolnych Łużyc, między Chociebużem a Berlinem.

pisowni, dużo dobrego uczynić mogli; lecz fatalizm nasunął pastora Bierlinga, którego rozprawa *Didascalia seu ortographia*, fałszywie traktowana, pociągnęła za sobą Brancla. Odtąd, datuje się nieszczęśliwy, wywołany wyznaniem, rozbrat górnołużyckiéj pisowni. Protestanccy pisarze poszli śladem Brancla, katolickiego zaś wyznania autorom za wzór służyła ortografia wprowadzona przez Tycina. Postępek Brancla, smutny w swoich następstwach, nie może jednak ściągać potępienia na pamięć szlachetnego Serba, działał bowiem w dobréj wierze; na krótko jeszcze przed śmiercią (1706), wykończył przekład Nowego Testamentu. Syn jego Abraham, pastor w Wielkim Sunowie, początkowo poświęcał się językom wschodnim, lecz idąc za radą ojca, przerzucił się na inne pole Dzieło jego *De originibus linguae Sorabicae* zjednało mu swego czasu znaczny rozgłos; inne, jak opis bóstw słowiańskich, spis imion własnych, wsi i miast serbskich, wyszły częściowo (1719) w zbiorze Hofmana „*Scriptores rerum Lusaticarum*". Wywody jego lingwistyczne dziś dla nauki nie mają żadnego znaczenia, w rękopismach pozostawił łacińsko - serbski i dolnołużycki słownik, oraz historyą kościoła na Górnych Łużycach (1). Gdy tak na Górnych, idea narodowości zbudziła się w sercach szlachetnych jednostek, na Dolnych, pastorowie Niemcy z konieczności uczą się po serbsku. Dla ułatwienia im nauki, pastor z Lubnjowa, Jan Chojnan, pisze po łacinie gramatykę chociebuskiego podrzecza, a w kilkanaście lat późniéj, 1680 r., Lampach, dolnołużycką, dotąd jeszcze w rękopiśmie przechowaną. Obie te prace mają wartość pamiątek, na rozwój uczuć narodowych żadnego wpływu nie miały. Pierwsze więc dowody serdecznéj, ojcowskiéj opieki otrzymują Dolnołużycanie z rąk Niemca Bogumiła Fabryciusza, pastora z Pjenia (2). Obcy krwią, przywiązany jednak do ludu, któremu przewodniczył, zabolał nad jego tragiczną dolą. Kiedy przy wydawnictwie dolnołużyckiego katechizmu Lutra spotykały go niemałe trudności, własnym kosztem założył w Korjeniu drukarnię i tu, łamiąc wszystkie szkopuły, po raz pierwszy w języku dolnołużyckim, drukował przekład Nowego Testamentu. Dla biednéj, opuszczonéj ludności był to

(1) Obszerne studyum o Branclach drukował Ernest Muka, w C. M. za 1880—1882. Z téjże saméj rodziny Branclów, zasługuje na wspomnienie pastor Michał Brancel, zmarły 1752 i syn jego, Salomon Boguchwał.

(2) Długi czas utrzymywano, iż Fabryciusz był polakiem, Parczewski w artykule Přinoški k serbskej bibliografii, patrz C. M. za rok 1882, przytaczając przedmowę Fabryciusza do katechizmu, stanowczo niepewność tę rozstrzyga, wykazując niemieckie pochodzenie Fabryciusza.

skarb odnaleziony,—biblia, codzienna literatura rodzin protestanckich, spoczęła w ręku łużyckich Serbów.

Ruch, wywołany w kole protestanckich księży, zachęcił do działania i katolickie duchowieństwo. Podobnie jak w pierwszych wiekach niewoli, najcięższe razy, padały z rąk duchownych, tak samo znów, pierwsze objawy braterstwa i współczucia obudziły się w piersiach księży obu wyznań. Tylko, że młodzież protestancka w lepszych od katolickiéj zostawała warunkach. Władza nie przypuszczając nawet, iż młody teolog, zapatrzony w nędzę i poniżenie rodaków, w wirze miejskim, przechowa miłość rodzinnéj ziemi, pozwalała protestantom uczęszczać na uniwersytet w Lipsku i Wittenberdze. Katolicy pozbawieni byli téj sposobności. W całéj bowiem Saksonii nie było wykładów teologii katolickiéj, a uboga młodzież, przeważnie synowie wieśniaków, po za granice kraju wyjeżdżać nie mogła. Od czasu do czasu, zamożniejszy Łużycanin kształcił się w Pradze, lecz były to nieliczne wyjątki; większość, mimo najlepszych chęci ofiarowania swoich usług ojczyźnie, wyczekiwała jaśniéjszych dni przyszłości. Wówczas to właśnie, dwaj bracia z Ciemierzyc (1) Marcin, karmelita w Pradze i Jerzy, senior kapituły budyszyńskiéj, powzięli zamiar założenia serbskiego na Łużycach seminaryum. Gdy jednak władza sprzeciwiła się otwarciu, zacni kapłani założyli je w Pradze r. 1704, Ubogi domek, na Małéj Stronie, przy kamiennym moście stojący, w którym pierwsze po serbsku głoszono wykłady, dzięki wytrwałości i pracy, zamienił się z czasem w piękny, okazały budynek. Cała inteligencya łużycka wyznania katolickiego odbierała i odbiera w Pradze wyższe ukształcenie naukowe. Nad Wełtawą kształcił się czcigodny nestor pisarzów łużyckich, ksiądz Michał Hornik, i tutaj téż, wpatrzony w mury siostrzanéj *Prahy*, czerpał natchnienie do swych sonetów i pieśni, młody, pełen talentu poeta, Jakób Bart (Ciszyński). Młodzież protestancka pozazdrościła swoim braciom możności kształcenia się w ojczystym języku. Stęsknieni za nim, studyujący teologię w Lipsku Serbowie rzucili projekt zawiązania stowarzyszenia, któreby dało sposobność do wspólnych narad i zgromadzeń. Sześciu studentów, a mianowicie Ast, Szirach, Mossig, Behr, Kneźka i Bulicjusz, otrzymawszy pozwolenie od dziekana fakultetu teologicznego, zawiązali 1716 r., ak zwane T o w a r z y s t w o k a z n o d z i e j s k i e s e r b s k i e. Zadaniem jego było doskonalenie się w serbskim języku. Dla młodzieży oddalonéj od domu, lata całe spędzającéj w otoczeniu nie-

(1) Wieś pod Budyszynem.

mieckiém, była to jedyna sposobność rozwijania w sobie uczuć narodowych. Władza uniwersytecka popierała dążenia słuchaczów lipskich, sądziła bowiem, iż młodzież, wyuczywszy się dobrze po serbsku, za powrotem do kraju korzystniéj będzie oddziaływać na germanizowanie parafian. Tymczasem stowarzyszenie lipskie, podobnie jak seminaryum pragskie, zostało ogniskiem najszlachetniejszych czynów i myśli.

W ogóle, wiek osiemnasty jaśniéjszą dla Górnych Łużyc zwiastował przyszłość. Duchowieństwo obu wyznań gorliwą dla ludu podjęło pracę. Podniesiony moralnie, otoczony opieką księży i pastorów, wzrastał w dobrobyt. Chaty wieśniaków przestały być uosobieniem nędzy moralnéj i materyalnéj. Uniwersytety Lipska i Wittenbergi zapełniały się żądną nauki młodzieżą. Utrzymywała ona stosunki piśmienne z kształcącymi się w Pradze kolegami. Praca i jedna myśl łączyła wszystkich. Dzięki jéj, młodziutkie piśmiennictwo coraz liczniejszych zjednywało przedstawicieli. Ksiądz Jerzy Świetlik (Śwotlik), zmarły r. 1729, wydaje śpiewy religijne oraz tłómaczy wyjątki z listów apostolskich i ewangelii. Pracuje nad ulepszeniem pisowni łużyckiéj, niektóre nawet broszurki dla ludu pisze w narzeczu, jakiém mówiono w okolicach Kulowa, ponieważ takowe za najlepsze uważał; najcenniejszą jego pracą jest poprawny bardzo przekład Pisma S-go, dotąd jednak w rękopiśmie będący. Wspólnie z Schmutzem, układa słownik górnołużycki, tenże znów Schmutz z Mattejem, górnołużycką gramatykę (1721). Szczególniéj téż książki religijnéj treści, jak śpiewniki i kancyonały, tak zwane „khěrlušé", coraz częściéj ukazywały się w druku. Wydane przez Asta, Pretoriusza, Wawra i Matteja, chętnie przez ogół czytywane były. Pierwszy zbiór ukazał się r. 1710, obejmował 202 pieśni; przy drugiém wydaniu Wawer dodał 32, a w 1732 Boemar wydrukował już 322 pieśni. Liczba ich wzrastała z każdém wydawnictwem, najdonioślejsze jednak znaczenie z prac religijnych, téj epoki, posiada właśnie przekład Starego Testamentu (1), dokonany w górnołużyckim języku, staraniem pastorów Langa, Jakusza, Jana Boemara i Wawra.

Duchowieństwo katolickie również dokładało gorących starań, aby odpowiedniemi książkami wpływać na podniesienie ludu.

Księża Kiljan i Goljan żywą w tym kierunku rozwinęli działalność. Dzięki duchowieństwu obu wyznań, piśmiennictwo łużyckie, liczące do r. 1700 dwadzieścia zaledwie tomów, w XVIII wieku 200 prac naliczyć mogło. Dużo z nich jednak pozostało

(1) Od tego czasu wyszło już osiem nakładów Biblii.

w rękopismach. Kazania serbskie, dotąd rzadkość na kazalnicach, coraz częściéj słyszéć się dawały w słowiańskiéj, pogardzonéj mowie. Wogóle, łagodne rządy Augusta III saskiego korzystnie oddziaływały na rozwój ludności. Za przykładem dworu, właściciele większych posiadłości na Łużycach zmienili dotychczasowe swoje poglądy. Strwożeni demoralizacyą ludności, pozbawionéj serbskich na parafiach księży, sami starali się o posiadanie serbskich, lub przynajmniéj dobrze mówiących po serbsku, duchownych. Hrabia Gersdorf w Klukszu założył w 1740 r., rodzaj małego seminaryum, oraz szkołę w Cichońcach, pod Budyszynem. Drugim takim mecenasem był August Adolf von Bülow, założyciel szkoły (1752) w Wielkim Wjelkowie. Wprawdzie, szkoły te upadały wraz ze śmiercią założycieli, w każdym jednak razie nie pozostały bez wpływu na rozwój języka. Młodzi kandydaci teologii, wróciwszy z uniwersytetu, od wykładów w tychże szkołach mowy rodzinnéj rozpoczynali swoję działalność. Za przykładem Lipska, w r. 1749 młodzież serbska w Wittenberdze założyła stowarzyszenie kaznodziejskie. Jakkolwiek ówczesne prądy filozoficzne pociągnęły za sobą Łużycan, tak, że zapomniawszy o głównym celu stowarzyszeń, ogólnemi więcéj zajmowali się na zebraniach kwestyami, bez wpływu jednak nie zostały one na przyszłość. Zadzierzgnięty wśród młodzieży węzeł przeszedł na następne pokolenia, a nadto wytworzył, rzec można, świeckie górno-łużyckie piśmiennictwo.

Dotąd, znaną nam jest tylko literatura kościelna i kilka gramatyk i słowników, wydanych bez ścisłości i odpowiednich podstaw naukowych (1).

Młodzież, połączona wspólnością dążeń, pisała okolicznościowe wiersze i moralne dla ludu opowiadania. Wiele z nich pozostało w tekach autorów, lud, dla którego były pisane, nie widział ich nawet, lecz myśl, raz rozbudzona przez gorętszych patryotów, nie zmarniała. Zdawało się, iż ciężką, ołowianą atmosferę stopiły uczucia zacnych, dobrze myślących Serbów. Tymczasem nowa wichura, w postaci wojny siedmioletniéj, rozwiała i zniszczyła wszystkie dotychczasowe usiłowania. Bombardujące Wittenbergę wojsko rozprasza stowarzyszenie kaznodziejskie, młodzież łużycka powraca do ubogich, zrujnowanych ognisk. Popalone wsi i sioła, przejmują trwogą kryjącą się po polach i lasach ludność. Groza

(1) Za pierwsze pomniki świeckiego piśmiennictwa dolnołużyckiego, uważać można podany i odnaleziony przez Parczewskiego w wrocławskiéj bibliotece wiersz (patrz C. M. za r. 1882, oraz odnalezione w téjże bibliotece przez dra Erzepki kilka wierszy (Obacz „Ateneum“ rok 1888, lipiec, str. 152).

nieszczęść odbija się i w piśmiennictwie łużyckiém, reakcya zastój wprowadza wszędzie. Chwilami, z po za ruin, jak meteor, błyska promień życia i jak meteor gaśnie w oczach, olśnionéj zjawiskiem ludności. Langa, dyakon w Nieswacidle, korzystając z pięcioletniéj rocznicy założenia towarzystwa kaznodziejskiego w Lipsku, przypomina się braciom wydawnictwem historyi kościoła na Łużycach. Körner, pastor w Bokawie, pisze krytyczną rozprawę o języku serbskim i jego pożytku; daléj, Karol Boguchwał Anton, Niemiec, zwraca uwagę na pieśni ludu, zbiéra je i wydaje, Knaut historyę kościoła, Horczański, nauczyciel gimnazyum zgorzelickiego pilny badacz przeszłości ludu, kréśli rzecz o jego zwyczajach. Lecz wszystkie te prace, pisane po niemiecku lub po łacinie, na sprawę odrodzenia, należycie wpływać nie mogły. Znacznie większe pod tym względem położył zasługi pastor Samuel Ponich, piszący złym, łamanym, ale zawsze ojczystym językiem, religijne dla ludu opowiadania i książeczki.

Wogólnym zastoju, jaki opanował nawet gorętsze umysły i serca, cysters z Mariny Gwiezdy, ksiądz Hanczka, pracuje nad zlaniem tak niefortunnie, niegdyś rozdzielonéj przez Bierlinga pisowni. Kanonik budyszyński, ksiądz Wałda, układa i wydaje pierwszą książkę do nabożeństwa, oraz zbiór pieśni kościelnych (r. 1768) „Spěwawa, Jezusowa Winnica". W tymże samym czasie, Jerzy Mjen, pastor z Nieswacidła, zachęcając młodsze pokolenie duchownych do pracy nad językiem ojczystym, rzuca się na pole poezyi, przemawiającéj łatwiéj do młodych serc i umysłów. Tłomaczy Messyadę Klopstocka, pisze oryginalne wiersze, lecz przykład jego, nie znajduje naśladowców. Jedynie tylko książki religijne znajdują wydawców i czytelników. Garstka pracujących pastorów zasklepia się w obrębie parafialnych zajęć; ludowi biblie wystarczały w zupełności, zanadto był zgnębiony, aby po nad cichą modlitwę, innéj potrzebował pociechy lub rozrywki. Władza w niczém nie przychodziła z pomocą, przeciwnie, paraliżowała wszełkie w tym kierunku działania księży. Począwszy od wojny siedmioletniéj, każdy dzień dla Łużyc nowe i coraz cięższe gotował straty. Duchowieństwo, oddane dobréj sprawie, w pomyślność prac swoich i trudów wierzyć już zaprzestało. Z końcem XVIII wieku, nawet śpiewniki i modlitewniki przestały ukazywać się z druku. Pastorowie Niemcy, drukarze, reprezentanci wyższych władz, słowem całe otoczenie, było tendencyjném, dążącém do stłumienia żywiołu słowiańskiego.

Przeciwności mają to jednak do siebie, że rozbudzają najśmielsze zamiary i pragnienia. W r. 1790, to jest w chwili, gdy najmniéj

oczekiwano przejawów narodowęgo życia; dwaj teologowie protestanccy, Szirach z Budyszyna i Janko z Bukiec, założyli pierwsze czasopismo łużyckie p. t. *Měsacne pismo k rozwučenju a w okrěwjenju*. Dość bogaty program w podziw wprowadził ogół, zainteresowanie wzrastało, lecz na nieszczęście, po ukazaniu się pierwszego numeru, władza wstrzymała dalsze wydawnictwo. Dla jakich przyczyn, niewiadomo, dość, że na jedynym, przechowywanym w bibliotece budyszyńskiéj egzemplarzu, ktoś ze współczesnych napisał: „iż rząd zabronił wydawnictwa, w obawie rozpowszechnienia filozoficznych, nadciągających z Francyi poglągów?“

Na Dolnych Łużycach położenie było jeszcze rozpaczliwsze. Nienawiść króla Fryderyka Wilhelma I do tego wszystkiego, co słowiańskie, wypędziła język serbski ze szkół i kościoła. Brak stowarzyszeń kaznodziejskich, istniejących na Górnych Łużycach, utrudniał dobre chęci niektórych jednostek, pastorowie Niemcy, karyerowicze, obojętni dla sprawy łużyckiéj, całe wsi germanizują z kolei. Już w XVIII wieku, w okolicach Storkowa i Bjeskowa, żywiołu sersbiego nie było ani śladu. Prace, rozpoczęte przez Fabryciusza, kilku zaledwie znajdują naśladowców. Abraham Kněžka, dyakon w Staréj Darbnie, z nieśmiałością wypuszcza w świat kazania i książeczki religijne, Lehman r. 1739, mały katechizm Lutra. Położenie ludu było tak okropne, iż obudzało nawet współczucie u zacniejszych patryotów niemieckich. Tak pastor z Briazyna, Wille, Niemiec, dotknięty losem parafian, wyuczył się po łużycku tak dokładnie, iż jak rodowitym władał językiem. W r. 1746, wydał po łużycku katechizm Lutra, a w kilku lat późniéj psalmy Dawida, księgi Jezusa i małą dla księży Agendę. Za jego przykładem, inny Niemiec, rodem z Wittenbergi, Hauptmann, pastor w Lubnjowie, badał naukowo język łużycki, w przedmowie zaś do swéj gramatyki, ubolewał nad pokrzywdzoną przez niemieckich pastorów ludnością. W 1769 r. wydał zbiór pieśni kościelnych p. t. „Lubnowski Sarski Sambuch“. Pomnikową zaś pracą, w dziale dolnołużyckiego piśmiennictwa téj epoki, jest wykończenie rozpoczętego przez Fabryciusza przekładu Starego Testamentu, dokonane r. 1797 przez Jana Fryderyka Fričo, pastora z Gołkojc. Brat Jana, Krystalub, znany serbski kaznodzieja w Chociebużu, obok kilku książek religijnéj treści, napisał jeszcze katechizm, długie lata w szkołach używany, a którego ostatnie wydanie, ukazało się r. 1854. Do tego szczupłego kółeczka dolno-łużyckich pisarzów XVIII wieku należy jeszcze pastor Lademan, autor książki do nabożeństwa, oraz historyi kościoła w państwie chociebuskiém.

Nowy wiek nowe dla obojga Łużyc zwiastował klęski. Wojny Napoleona huraganem powiały nad Górnych Łużyc krainą.

Zubożałe materyalnie, o duchowém odrodzeniu ani myśléć były w stanie. Młodzież przestała uczęszczać na uniwersytety, z braku członków, upadły stowarzyszenia kaznodziejskie, z których jedno, a mianowicie w Wittemberdze, już późniéj nie powstało. Nawet gorącym patryotom opadały dłonie, schylali czoło przed wzmagającą się germanizacyą. Wprawdzie, seminaryum praskie wykształciło od czasu do czasu w swoich murach dobrego Serba, lecz ten katolickiéj niósł pomoc ludności, protestancka większość słyszała wciąż powtarzane smutnéj przepowiedni słowa. Pastorowie i księża, kazali tylko po niemiecku, kolatorowie znów ze swéj strony, zabraniali duchownym pochodzenia serbskiego osiedlać się na parafiach.

Czarne godziny życia, rozjaśnia jedynie obywatelska działalność Jana Dejki, stolarza z Budyszyna, któremu skrzyp pił i hebli nie przeszkadza wypowiadać piórem, zacnych i szlachetnych myśli. Założone przez niego pismo „*Serbski powědar a kurjer*“ w prostych, nie uczonych słowach, wyrzucało ziomkom zaniedbanie mowy ojczystéj. Pisemko, dla sprawy narodowéj, wiele zdziałać mogło, lecz zwyczajną rzeczą, jak każdy objaw życia, przerażało władzę i z jéj téż rozkazu w r. 1842 przestało wychodzić. Niedolę Górnych Łużyc powiększył jeszcze kongres wiedeński, oddając większą ich część, z miastem Kulowem, Worjecami i Mużakowem, pod władzę pruskiego rządu.

Cały kraj nową pokrył się żałobą. Śmierć ostatniego serbskiego kaznodziei w Derbnie (1814) wstrząsa studyujących teologów w Lipsku. Z rozpaczą w duszy, Andrzéj Lubjeński, wspólnie z kolegą Adolfem Klinem, podnosi uśpione stowarzyszenie kaznodziejskie. Zostawszy pastorem w Budyszynie, z całym zapałem, oddaje się pracy. Pisze powieści, opowiadania i poezye, wprawdzie, pod względem literackim, niewielkiéj wartości, lecz jako zawiązki beletrystyki mające już pewne znaczenie. Pracuje nad etnografią i historyą Łużyc, sam jeden, rzec można, reprezentuje ówczesne piśmiennictwo protestanckie, podobnie, jak i zasłużony zakonnik z Mariny Gwiezdy, Tecelin Mět (1759 † 1835 r.), należący jeszcze do pisarzów ubiegłego wieku, podejmuje pracę dla swoich współwyznawców. Lubjeński, wierny zasadom, stracił jednak nadzieję odrodzenia Łużyc. Nic dziwnego. Była to epoka, w któréj wstydzono się mówić po łużycku, a odzywających się w ojczystym języku, witano złośliwym uśmiechem i palcami wytykano na ulicach Budyszyna. Adolf Klin, dobry bardzo patryota, pisał jednak po niemiecku, i on, podobnie jak i Lubjeński (1), czarną

(1) Zmarł 1840 r.

przewidywał przyszłość. Bezgraniczny smutek ogarnął garstkę kochających ziemię ojczystą Serbów. Koniec zdawał się bliskim.

Tymczasem jakby przez ironią Niemcom, tym którzy każdéj godziny oczekiwali śmierci ostatniego Serba, w epoce gdy nad Niemnem wielki wieszcz zrywał z formami klasycyzmu, pod nad Szprewją urodzony poeta, Andrzéj Seiler, zdumiewa uniwersyteckich kolegów pieśniami, wskazując im w przyszłości wyższe, niż zdobycie bogatéj parafii cele. Ożywiony szlachetną ideą, wspólnie z kolegą Kriegarem, rozpoczyna wydawnictwo rękopiśmiennéj gazety serbskiéj. Skromne fundusze kształcącéj się w Lipsku młodzieży nie wystarczały na farbę drukarską, lecz dobra wola i miłość ziemi ojców nie pyta się o czcionki. Tysiączne egzemplarze przepisują nocami i rozsyłają do oddalonych wiosek łużyckich. Zaznajomiwszy się z Kucharskim, Milutynowiczem i Palackim, marzy o braterstwie i wzajemności słowiańskiéj. Wczytany w czeską i polską literaturę, pozazdrościł pobratymcom wyrobionéj pisowni i stylu. Przygotowuje słownik łużycki a w 1830 wydaje w Budyszynie gramatykę górnołużycką. Lecz nietylko suche formy gramatyczne stanowią cel jego pracy, z pieśnią na ustach, zbiéra materyały. Poezye Seilera elektryzują kolegów, lecz powtarzane przez nich, słaby oddźwięk znajdują w duszy, mieszkających w Budyszynie Serbów. Myśl odrodzenia Łużyc zgasła, zamarła na wieki. Wykreśleni z listy żyjących, Serbowie schylają czoło przed smutną koniecznością. Do walki z potęgą germanizacyi występuje dziecko, urodzony w 1816 r. na pruskich Łużycach Jan Ernest Smoler. Czternastoletni uczeń gimnazyum nie lęka się opozycyi i szyderstwa otaczających. Gromadzi wokoło siebie kolegów, odsłania przed ich oczyma nowe, nieznane dotąd światy i na Biblii uczy ich czytać po łużycku. Te pierwsze zgromadzenia studentów, z młodzieńczą wiarą gwarzących o wielkich planach przyszłości, nasunęły Smolerowi myśl zawiązania w gronie swém stowarzyszenia. W tym celu zapukał do władz wyższych o pozwolenie. Rektor, na widok dziecka, które z rozrzewnieniem gorąco przemawiało za sprawą wielkiéj doniosłości, przychylną dał odpowiedź. Skorzystał z niéj Smoler, uorganizowawszy zaraz stowarzyszenie serbskich studentów gimnazyalnych, przewodniczącym jego był do r. 1836 r., to jest do chwili ukończenia gimnazyum. Rzucona iskra rozetliła ogień pod popiołami.

W tymże samym bowiem czasie, dr. Adolf Klin, ówczesny poseł na sejm drezdeński, nie waha się zdumionym Niemcom wygłaszać potrzebę wprowadzenia do szkół elementarnych nauki serbskiego języka. Po wielu zatargach z opozycyą, przeprowadza nako-

niec 1834 r., myśl swoję, dzięki któréj mowa łużycka zawitała znów do szkół ludowych i kościoła. Fakt ten nową otuchą natchnął Smolera, z większym zapałem oddaje się pracy. Ukończywszy gimnazyum budyszyńskie, zwyczajem ewangielików, miał zamiar w Lipsku studyować teologią. Lecz ponieważ rząd pruski zabronił swoim poddanym, z powodu opinii rewolucyonistów, jaką posiadali studenci w Lipsku, uczęszczać tamże na uniwersytet, Smoler, zmuszony okolicznościami, zamieszkał w Wrocławiu. Bawiący wówczas w piastowskim niegdyś grodzie, Purkynie, ściągał młodzież słowiańską; Czelakowski, Cybulski, Palacki i Srezniewski zostają serdecznymi przyjaciołmi Smolera. Zwróciwszy uwagę młodzieży, na przeszłość i dzieje Łużyc, rzuca projekt założenia stowarzyszenia, wciąga w swoje koło nawet i Niemców, i wspólnie z jednym z nich, Röslerem z Łużyc, opracowywa statuta przyszłéj korporacyi zatwierdzonéj przez senat uniwersytecki r. 1838. Zgromadzenia, mające na celu, w pierwszych chwilach, tylko etnograficzne badania, ruchliwością swoją budzą powszechną uwagę; Smoler na pierwszém zaraz posiedzeniu odczytuje rozprawę o pieśniach górnołużyckich, których zebraniem zajmował się jeszcze za gimnazyalnych czasów, Purkynie popiera stowarzyszenie, a Smoler, opowieściami o doli i przeszłości swéj ojczyzny, entuzyazmuje młodzież. Jednocześnie nie zapomina o kolegach w Budyszynie, pisuje do nich listy i zachęca do dalszéj, rozpoczętéj przez siebie pracy. Idąc téż za jego radą, dwaj studenci gimnazyalni, Karol August Mosak Kłosopolski, (późniejszy tłómacz na niemiecki język, starożytności słowiańskich Szafarzyka) i Fryderyk Imisz (dzisiejszy pastor w Göda), założone przez Smolera dorywcze stowarzyszenie utrwalają, chrzcąc go nazwą, *Societas slavica Budysinensis* (1839). Gdy myśl, rzucona przez Smolera, znalazła urzeczywistnienie, to jest, gdy młodzież zbudziła się do życia, w innym on teraz kierunku zwrócił swoję działalność. Przygnieciony odwieczną niedolą lud wiejski, postanowił wyrwać z odmętu zapomnienia. Poezya ludowa, w któréj słowach i melodyach, kryły się bóle, nadzieje i marzenia stuleci, była pieszczoném dziecięciem starań Smolera. Uczniem będąc, biegał od wsi do wsi i zapisywał pieśni, nucone przez ciche, zapracowane wieśniaczki. Posiadając bogaty zbiór w r. 1842, wydał je drukiem. Jest-to jedna, z najpiękniejszych w tym rodzaju publikacyi. Na tytule (*Pjesnički Hornych a Delnich Łužiskich Serbów*), figuruje obok Smolera nazwisko Haupta, sekretarza towarzystwa naukowego w Zgorzelcu. Haupt napisał tylko przedmowę niemiecką, ani słowa bowiem nie rozumiał po serbsku, a pieśni, tłómaczone na język niemiecki przez Smolera, ujął w formę poezyi. Cała zasługa należy się

Smolerowi. Przed nim, jak wiemy, pracowano usilnie nad oczyszczeniem pisowni łużyckiéj z naleciałości niemieckich, lecz zabiegi gorących patryotów nie dały odpowiednich rezultatów.

Dopiero Smoler, energiczny i stanowczy we wszystkich swoich przedsięwzięciach, wziąwszy się do pracy, przyjął alfabet łaciński i znakami diaktrycznemi, podobnie jak w pisowni czeskiéj, zastąpił dawniéj używane dwie litery na określenie jednego dźwięku. Smoler reformy wprowadzał zwolna, pisownię jego przyjęła najprzód młodzież uniwersytecka w swoich referatach i sprawozdaniach. Taką już poprawną pisownią wydał właśnie pieśni ludowe. Pojawienie się zbioru zwróciło powszechną uwagę. Tom pierwszy obejmuje 331 górno, drugi—200 dolnołużyckich. Do wielu z nich dodał jeszcze muzykę, oraz wskazał miejscowość, w któréj daną posłyszał piosenkę. W pierwszym tomie pomieścił przytém opisy zwyczajów, podań, przesądów, mitologią, charakterystykę podrzeczy oraz opis geograficzno-statystyczny, w drugim, etnograficzną kartę Łużyc.

Smoler porzuciwszy, z powodu choroby piersiowéj, poprzednie zamiary zostania pastorem, po odbytéj wspólnie z Czelakowskim do Czech i Pragi podróży, powrócił na stałe do Budyszyna.

Odtąd datuje się cały łańcuch prac i ofiarności wielkiego patryoty, twórcy odrodzenia Łużyc. Z chwilą przyjazdu Smolera do Budyszyna, dr. Jan-Piotr Jordan (ur. 1818), wychowaniec serbskiego seminaryum w Pradze, założył 1842 roku pismo „Jutrzenkę" Jordan zacny i gorących przekonań człowiek, zdolności redaktorskich nie miał żadnych. Wprowadziwszy do „Jutrzenki" zreformowaną przez siebie pisownię, coś pośredniego między czeską a staroserbską, taką, jaką przyjął w wydanéj przez siebie w Pradze (r. 1841) gramatyce, zniechęcił nieobznajmionych z nowością Łużyczan. Na gruzach gazety, Seiler, podówczas pastor w Łazu, obejmuje redakcyę nowopowstałych „Tygodniowych Nowin". Nauczony smutném doświadczeniem Jordana, zamiast alfabetu łacińskiego, przyjął dobrze znaną ludowi szwabachę. Seiler poezye, Kulman satyry, Pjenek ludowe opowieści, ojciec Smolera rolnicze, wreszcie młody Jan Ernest różnéj treści zamieszczają artykuły. „Nowiny", pozbawione politycznéj części, chciwie jednak przez ogół były czytane, a Smoler z radością spoglądał na ten objaw myśli i życia. Duszę jego, przepełniały znów nowe uczucia i zamiary. Jeszcze za pobytu w Wrocławiu, Macierz czeska przywodziła mu na myśl własny kraj i jego potrzeby. Garstkę inteligencyi i lud, (r. 1834) połączyć chciał nicią wspólnych dążeń i poglądów. Osiedliwszy się w Budyszynie,

postanowił zamiar swój doprowadzić do skutku. Grunt znalazł już przygotowany, wykarczował go własną pracą i zabiegami.

Nieszczęśliwe, zapomniane dotąd Łużyce, dzięki ruchliwości Smolera i wydanym przez niego pieśniom ludu, przypominają się słowiańskim braciom. Smoler, korzystając z chwili, gdy w powietrzu drżały jeszcze melodye piosenki serbskiéj, przedstawił na zgromadzeniu młodzieży (1845) przygotowany przez siebie, projekt założenia stowarzyszenia serbskiéj Macierzy. Wobec braku funduszów, myśl ta była zuchwalstwem. Młodzież niezamożna i lud zaledwie zbudzony z wiekowéj zadumy, odpowiednich kapitałów składać nie mogli. Na pomoc pobratymców także nie liczono, okrzykami radości przyjęto jednak projekt Smolera. Studenci Cyż, Pful, Mosak Kłosopolski, poeta Seiler, nauczyciel elementarny Kocor, Imisz, Wanak, wreście Smoler, utworzyli tymczasową komisyę, któréj zadaniem było spisanie ustaw i pozyskanie od rządu pozwolenia. To ostatnie nie było tak łatwém. Smoler porusza wszystkie sprężyny, w końcu, po usilnych staraniach, za wstawiennictwem Adolfa Klina, członka rady miejskiéj w Budyszynie, r. 1847, w środę po Wielkiéj Nocy, wezwani przez „Tygodniowe Nowiny“, Serbowie stawili się na uroczysty, pamiętny w dziejach Łużyc, dzień założenia towarzystwa Macierzy (1). Zapał ogarnął wszystkich: do stowarzyszenia przystępowali duchowni obu wyznań, nauczyciele elementarni, młodzież gimnazyalna i lud wiejski. Umiejętność, z jaką Smoler wziął się do przeprowadzenia najgorętszych pragnień, zainteresowała ogół. Posiedzenia Macierzy, wybory członków i zarządu, zachęcały do uczestnictwa nie tylko inteligencyę, lecz i lud jednocześnie, do którego Smoler pisał oddzielne zaproszenia i odezwy, wskazując drogę wspólnéj dla narodu pracy. Już w r. 1848 ukazał się pod redakcyją Smolera pierwszy, tak serdecznie witany przez Serbów, zeszyt czasopisma, opatrzony gorącą przedmową Adolfa Klina.

Tak więc, dzięki Smolerowi, powołane zostało do życia wydawnictwo, będące punktem ciężkości dla całych Łużyc. Instytucya, któréj członkowie płacili skromne, ciężko zapracowane grosze, zaraz w pierwszych latach istnienia podjęła się wydawnictwa dzieł pożytecznych, treści popularnéj i naukowéj. Ukazują się drukiém, kazania Lubjeńskiego, daléj, towarzysz i kolega zacnego pastora, Ernest Bohuwier Jakób, również gorący patryota i autor wielu prac religijnych, napisał „Serbskie górne Łużyce“, źródła dla

(1) Na pamiątkę założenia, corocznie w środę Wielkiéj Nocy, odbywają się posiedzenia Tow. Macierzy.

badaczów przeszłości łużyckiéj; bibljografia, literatura i statystyka doprowadzone w nich do r. 1848. Rok rocznie, nowe dzieła wzbogacają literaturę łużycką. W ślad za źródłami Jakóba, wychodzą nakładem Macierzy: „Wojny Napoleona“ Pohończa, „powieści dla ludu“ Muczinka, „Ogrodownictwo“ Kralla, „pieśni narodowe“ Kocora, „śpiewnik“ Fiedlera i wiele innych, a przedewszystkiem, najceńniejsza praca, wydana 1866 r., a mianowicie, „słownik łużycko-niemiecki“, opracowany staraniem D-ra Pfula, Seilera i księdza Hornika (1). Popularnéj treści książki, wypuszczane w świat za bezcen, przedarły się nawet do najmniéj zamożnych mieszkań.

(1) Do współpracownictwa należał także Kućauk.

(*D. n.*) *Melania Parczewska.*





ABISYNIA

I JÉJ MIESZKAŃCY (*).

Abisyńczycy wogóle są średniego wzrostu (1600 mm.), ale pojedyńcze indywidua dosięgają 1730 mm. Dobrą budowę napotyka się szczególniéj u górali, podczas gdy mieszkańcy Samhary i Kuolli są chudzi. Kształt czaszek jest najczęściéj długogłowy (*dolichocephal*), nos prosty lub zgarbiony, czasem nawet silnie, wąski, lecz z rozszerzonemi nozdrzami i końcem częściéj tępym, niż ostrym, usta nieco wystające, mięsiste, nawet wydęte, podbródek nieco ostry, czasem zaś zaokrąglony i w tył odchylony. Spłaszczone i szerokie nosy, właściwe Murzynom środkowéj i zachodniéj Afryki, napotykają się i w Abisynii, lecz rzadziéj. Oczy są wielkie o wyrazie żywym i inteligentnym. Abisyńczycy, jak wszyscy Afrykanie, mają zwyczaj zmrużania oczu dla ochrony od słonecznego blasku, co nadaje twarzy wyraz podejrzany, nawet zdradziecki. Wskutek ciągłego mrugania; skóra przy kątach ocznych pokrywa się licznemi, drobnemi zmarszczkami. Włosy czarne, kędzierzawe, czasem wełniste jak u Murzynów, bywają splatane w liczne drobne warkocze. Zarost na brodzie słaby. Ręce i nogi są dość duże, te ostatnie wskutek chodzenia boso po górach są na podeszwach pokryte rogowo twardą skórą.

Kobiéty abisyńskie są niskie (1450—1480 mm.), w młodości odznaczają się niemałym wdziękiem. Piękna twarz o oczach rozumnych, zaokrąglone ramiona, odstające półkuliste piersi, cienka kibić, harmonia w całéj budowie są to, mówi Hartmann, zalety, których antropolog nie potrzebuje długo szukać u córek Habeszu. Zresztą, jak wogóle na południu, tak i w Abisynii wdzięki te więdną szybko; widziałem, mówi ten uczony, w Chartumie i innych

(*) Ob. zeszyt sierpniowy „Ateneum“, str. 332—342.

miejscach Abisynki, żony Europejczyków, ale ani w rysach, ani w wyrazie ich twarzy nie można było poznać ich „przeszłości".

Barwa skóry Abisyńczyków jest żółtawo-brunatna to ciemniejsza, to jaśniejsza, często wpadająca w czerwonawą. Zdarzają się téż odcienie ciemniejsze: czarno-brunatny i zielonawo-brunatny. Na jaśniejszych wogóle twarzach kobiét można wyraźnie rozeznać zarumienienie. Usta są ciemniejsze niż u nas, brunatno-czerwone, często wpadają w fioletowe, rzadko w wiśniowe.

Włosy, obficie smarowane masłem, bywają splatane różnemi sposobami w warkocze, mieszkańcy krainy Szoa wkładają w włosy drewniane patyki, aby się niemi w razie potrzeby podrapać, często téż owijają głowę kawałkiem czerwonéj materyi, lub skóry.

Abisyńczycy noszą spodnie, sięgające zwykle tylko do kolan, ciało obwijają fałdzisto-czerwoną lub białą materyą, przyczém górną część ciała pozostawiają odkrytą lub téż nadziewają bawełnianą koszulę z szerokiemi lecz krótkiemi rękawami. Nieodzowną część składową męskiego ubrania stanowi szama, to jest biała bawełniana toga, oblamowana czerwono lub niebiesko; tą togą umieją się oni obwijać na różne sposoby bardzo malowniczo.

Wojownicy używają prócz tego na ubranie skór rozmaitych zwierząt, szczególniéj futrzanych kołnierzy zdobnych srebrnemi blaszkami. Wodzowie przystrajają się jeszcze w srebrne obręcze na ramionach i głowie, w które zatykają powiewające pióra strusie.

Duchowni golą głowę zupełnie i obwijają w biały, czerwony lub żółty turban, na szyi noszą rożaniec, w ręku wachlarz na muchy z ogona końskiego, żyrafy, lub antylopy.

Parasole od słońca są w powszechném użyciu; gdy władca jedzie na koniu, lub mule, wówczas noszą nad nim z wielką pompą olbrzymi parasol.

Kobiéty noszą różne ozdoby, jak obręcze metalowe na rękach i nogach, srebrne łańcuszki i szklane perły na szyi, wielkie kolczyki i t. d. Brwi, skąpe z natury, bywają wyrywane i malowane na niebiesko. Brzegi powiek bywają malowane na czarno, policzki na czerwono; ręce i nogi również. Szoanki prócz tego napychają sobie do nosa skórki cytrynowe lub wonne zioła, które zwisają aż do ust.

Abisyńczycy należą bezwątpienia do najbrudniejszych ludzi na ziemi; brud uważają oni za cnotę mile widzianą przez Boga: według ich mniemania nie ma bardziéj budującego widoku nad pustelnika, który dwadzieścia lat przeżył, nie myjąc się wcale. Masło, którém Abisyńczycy smarują włosy i ciało, napawa zwolna wszystkie używane przez nich rzeczy i wydaje woń nie do zniesienia.

Broń Abisyńczyków nie jest zbyt urozmaicona; pistolety używane bywają rzadko, są to zwykle długooprawne, arabskie. Strzelby są lontowe; tylko gwardya królewska ma karabiny Remingtona. Za kulę służą kawałki żelaza. W powszechném użyciu są lance z krótkiemi lub długiemi drzewcami, szable zgięte sierpowato lub nawet pod kątem rozwartym, które wraz z długim krzywym nożem zawieszone są u prawego boku. Tarcza, zawsze okrągła, jest zrobiona ze skóry słonia lub bawołu.

Domy Abisyńczyków są zbudowane bądź z kamieni, bądź z gliny i trawy. Za cement do kamieni używają gliny, błota, wapna lub nawozu krowiego. Domy pierwszego gatunku mają kształt kostkowy, drugiego—są okrągłe ze stożkowym dachem. Te ostatnie zdarzają się nietylko po wsiach ale i po miastach; nawet stolica Szoy, Ankober, składa się z takich domów; okna są tu wprost tylko przedziurawieniami w ścianach i bywają zasłaniane deskami; jeżeli z powodu niepogody i drzwi zostaną zamknięte, to wszelki dostęp światła do wnętrza zostaje przerwany. Ponieważ termometr rzadko wznosi się tutaj po nad 20° C., więc nieraz zachodzi potrzeba opalania, ale dla dymu nie ma innego wyjścia, jak otwór w dachu lub szpary popękanych ścian; dym ten czerni ściany i pułap, napełnia izby i wywołuje częste zapalenie oczów.

Głównéni pożywieniem Abisyńczyków jest surowe mięso, szczególniéj wołowe. Abisyńczycy lubią spożywać je zaraz po zabiciu bydlęcia, krwawe, prawie jeszcze drgające. Zdarza się nawet, że wycinają mięso żywemu bydlęciu i pożerają natychmiast całemi funtami. Drastyczne wyrażenie pewnego podróżnika, że Abisyńczycy jedzą jak wilki i mlaszczą przytém jak świnie, znajduje zupełne potwierdzenie; niemlaskanie podczas jedzenia uważane jest w Abisynii za znak złego wychowania! Abisyńczycy przygotowują też różne odurzające napoje, szczególniéj piwo z sorgum, zwane merisi? Hartmann powiada, że uraczeni tym napojem Abisyńczycy z radości pieją jak koguty i kwiczą jak prosięta.

Z powodu spożywania mięsa na surowo Abisyńczycy cierpią często na solitera; szczęściem jednak kraj posiada wiele roślin, służących za lekarstwo; szczególniéj skuteczne jest kusso, kwiat pięknego drzewa, o liściu pierzastym, z rodziny różowatych. Podróżnicy opowiadają anegdotę, iż gdy Abisyńczyk chce się uwolnić od niemiłych gości, każe mówić służącemu: „getana (to znaczy: nasz pan) przyjął kusso“.

Głównéni zajęciem Abisyńczyków jest rolnictwo. Hildebrand powiada o Samharze, iż gdy w lecie powietrze, silnie rozgrzane nad piaskami i obszarami czarnéj trachitowéj lawy, wznosi się drżąc

w górę, wówczas pochłania ono wszelką wilgoć przynoszoną przez wiatry od morza wiejące, które dopiéro wznosząc się na góry, sprowadzają tam opad. Inaczéj rzecz się ma w zimie, gdy napełnione parą zimne powietrze z gór Abisynii spada na wybrzeże i użycza mu deszczów (1). Wówczas budzi się tu nagle życie, z ciernistych krzaków wyrastają liście i kwiaty, ziemia pokrywa się zielonym kobiercem traw, a wyschłe dawniéj łożyska rzek napełniają się szumiącemi wodami, zmierzającemi do morza. Wówczas pasterz opuszcza swą letnią górską siedzibę i rozbija swe namioty w téj krainie nadbrzeżnéj. Rolnik chwyta za pług i tutaj, gdzie przed niewielu tygodniami palący wicher unosił resztę zeschłych liści nad nagą równiną, pasą się teraz wesoło stada i falują bujne niwy. Zresztą nie każdego roku zdążą one dojrzéć, gdyż deszcze są tu bardzo niestałe.

Wschodnia Kuolla jest lepiéj uposażona dla rolnictwa, ale z powodu rzadkiego zaludnienia téż tylko miejscami bywa uprawiana; udają się tu liczne gatunki sorgum, kukurydza, tytoń, pieprz czerwony i cébula.

Woino dega jest główną krainą rolnictwa, które ku dega znów coraz bardziéj ubywa. Pola i mieszkania dla ochrony od zwierząt otoczone są ciernistém ogrodzeniem, często wyrównane tarasowato i skrapiane sztucznie przez zatamowanie potoków i system kanałów.

Pasterstwo, jak u wielu afrykańskich ludów, stanowi tu ulubione zajęcie: dojeniem krów podobnie jak u Kafrów zajmują się mężczyźni; masło wyrabia się w skórzanych worach przez wstrząsanie.

W życiu domowém, społecznėm i politycznėm, Abisyńczycy przedstawiają naród nawpółbarbarzyński, szarpany przez niesnaski wewnętrzne, naród z rozkiełznanemi namiętnościami, prowadzącemi do czynów gwałtownych, zarówno bohaterskich jak i zbrodniczych. Podróżnik Munzinger był gorącym rzecznikiem Abisyńczyków: „Abisyńczyk, powiada on, myśli, marzy, kocha i nienawidzi; czuje on, jak i my, tylko surowiéj, często naturalniéj i swobodniéj, szczerzéj. Czyż czarne oblicze ma zawsze czarne pokrywać serce?

(1) Hildebrand myli się w objaśnieniu tego zjawiska: zimne powietrze, spadające z gór, nie może zjawiać się na ciepłéj nizinie, jako wilgotne, gdyż spadając osusza się, podobnie jak szwajcarski Föhn. Sądzimy więc, że ten dziwny napozór fakt, iż wiatry te mimo to sprowadzają deszcze w gorącéj Samharze, tłómaczy się nie własnością powietrza Samhary: powietrze to dzięki bliskiemu morzu i dzięki wysokiéj temperaturze posiada bardzo wielką ilość pary wodnéj a bardzo małą wilgotność. Wiatr zimny spadający z gór, jest sam przez się suchy, ale oziębiając powietrze obfite w parę wywołuje skroplenie.

I tam znajdziesz serca współczujące! Gdy ostry wiatr wieczorny napędzi na wyżynę gęste mgły, wtedy podróżny może śmiało zapukać i nawet natrętnego żebraka spotka przyjazne powitanie, wesoło trzaskający ogień i ciepła strawa. I tam są rycerze, obrońcy kobiét i słabych. Możesz tam również pozyskać przyjaciela, choć nie zaraz, który cię ochroni w dzień niebezpieczeństwa. Wierna miłość, szczęśliwe małżeństwa nie są tam rzadkością, a jakże często żona, opłakująca męża, idzie za nim dobrowolnie na śmierć przedwczesną! Zobaczysz w latach głodu, matki wychudłe, a dzieci wesołe i rzeźkie. Żona jest niezmordowaną w pielęgnowaniu chorego męża. Dzielni synowie poświęcają się przez całe lata pracy, by swemu staremu ojcu zapewnić życie bez troski. Nie brakuje uczuć, ani werwy i humoru; śpiewają oni i tańczą podczas gwiaździstych nocy; pieśni opiewają bohaterów, zwycięzców ludzi i lwów. Pieśnią wyraża Abisyńczyk radość i smutek lub skargę, pieśń towarzyszy pracy i weselu".

Chłodniejszy Hartmann robi na to uwagę, iż podobnych ludzi znajdujemy wogóle od bieguna północnego ku południowemu i od krańców zachodu do wschodu. Nie zgadza się jednak na to, aby Abisyńczyk czuł zupełnie tak jak my: żyje on, myśli, czuje i kocha wprawdzie jak człowiek, ale zawsze jak człowiek swéj afrykańskiéj ojczyzny. Ze ściśle badawczego stanowiska należy rozważać każde plemię w jego miejscowém otoczeniu, we właściwéj mu sferze narodowéj działalności. Jeżeli z tego stanowiska uważać będziemy Abisyńczyka, to przyjdzie nam się dziwić, że mogło się w nim jeszcze rozwinąć tyle pierwiastku etycznego. Łączy on bowiem dobre i złe właściwości Afrykanina i Azyaty, chrześcianina i mahometanina, a nawet poganina. Źle pojęta kultura, ciągłe niepokoje polityczne, wywołane rozdrobnieniem kraju przez przyrodę i sąsiedztwem ludów mahometańskich, spory religijne, gwałtowne czyny władców, wszystko to pozostawiło w tym narodzie swe niekorzystne ślady. Przejdźmy jednak do szczegółów.

Pośród uboższych Abisyńczyków panuje monogamia; gdy kawaler, mający zamiar się żenić, jest w posiadaniu pewnéj ilości talarów, wówczas wysyła swaty, przyczém rodzice dziewczyny często targują się o cenę. Po skończeniu umowy, małżeństwo bywa zawierane zwykle bez ceremonii ślubnych. Gdy para jest bogata, naówczas urządzane bywają uczty jedna za drugą, przyczém narzeczony ze swemi przyjaciołmi wykonywa pozorne porwanie narzeczonéj. Małżeństwo rozwodzi się łatwo, dzieci idą za matką, ale ojciec musi do ósmego roku pamiętać o ich utrzymaniu. Wierność małżeńska jest tu równie rzadka jak w Sudanie, wielożeństwo

bywa cierpiane, lecz praktykuje się głównie tylko u bogatych. W tym razie każda kobiéta ma oddzielne domostwo, co przypomina zwyczaje Kafrów. Abisyńczycy, którzy jako kupcy wiele podróżują, mają w różnych miejscowościach po jednéj żonie i odwiédzają je przy sposobności. Dziewczyny dziesięcioletnie a nawet młodsze bywają pojmowane w małżeństwo; zdarza się, iż siedemdziesięcioletni starzec bierze za żonę dziesięcioletnie dziecko! Dzieci obojga płci bywają obrzezane, zwyczaj właściwy wszystkim Afrykanom aż do Kafrów. Małe chłopcy pilnują bydła, zbiérają drzewo i piorą odzienie. Kobiéty noszą wodę, mielą mąkę, gotują, tkają i plotą. Abisyńczyk traci wiele czasu na uporządkowanie swéj fryzury, na wizyty i gawędy. Przy ucztach bywa nieraz gorąco: kije a nawet noże bywają w robocie.

Abisyńczyk, uposażony od natury, posiada wiele technicznych zdolności, jest dobrym rzemieślnikiem. Rzemieślnicy, mający do czynienia z żelazem, są tu, podobnie jak w sąsiednich krajach Afryki, otoczeni jakimś nimbem, uważani za czarowników, którzy nocną porą zmieniają się w hyeny i dopuszczają różnych złych czynów.

Ulubioném zajęciem Abisyńczyków jest wojna, albowiem wówczas zdarza się gratka do rabunku, ucztowania, picia i włóczenia się. Gdy tylko jakiś ambitny i awanturniczy wódz zabiéra się do roboty, zaraz gromadzi się koło niego kupa zbrojnych nicponiów, między którymi w znacznéj liczbie znachodzą się stare wygi, obznajmieni z wszelkiemi krajowemi zwyczajami i szykanami sztuki wojennéj. Żołd tylko wyjątkowo bywa płacony: tak np. w Szoa tylko strzelcy królewscy pobierają żołd, mianowicie po ośm kawałków soli rocznie, wartości około 1½ marki każdy.

Armia abisyńska, za którą ciągną kobiéty, dzieci i niezliczone bagaże, pstrocizną swą zdaje się cofać nas w czasy wielkiéj wędrówki ludów. Heuglin maluje nam żywemi barwami widok armii Teodorosa II, który wyprawiał się przeciwko Galom. Wczesnym rankiem zdjęto obóz, żołnierze zapalili swe naprędce sklecone chaty. Dokoła walały się liczne trupy koni, mułów, osłów i bydła w różnym stopniu rozkładu, a między niemi leżały też pojedyńcze trupy mężczyzn i kobiét, zmarłych z zimna, głodu lub ran. Po małych dzieciach bądź zmarłych, bądź porzuconych z biédy przez matki, stąpali bez litości ludzie i konie. Stada ptaków drapieżnych i nawpół zdziczałych psów ciągnęły za armią, znajdując obfitą strawę w trupach, których pogrzebem nikt się nie zatroszczył. Czerwony namiot króla tworzył zawsze środek, w miejscu o ile możności wzniesioném; drzwi tego namiotu zwrócone były zawsze w tę stronę, gdzie nazajutrz miano maszerować. Przed namiotem króla

stał namiot kościelny, a po bokach namioty dwóch królowych; nieco daléj namiot głowy kościoła czyli abuny i namiot komendanta obozu. W marszu król jechał jak zwykle na czele wojska, którego masa zajmowała milę szerokości a 2—3 długości. Widać tu było oficerów na mułach w otoczeniu licznéj służby, brudnych księży, żołnierzy, tragarzy, osły, konie juczne, kucharki z atrybutem swego kunsztu—długiemi łyżkami w ręku lub u boku, niby z szablami. Na pięknym mule z dzwonkami jechał abuna w czarnym turbanie, niebieskiém ubraniu i czerwono wyszywanym burnusie.

Jeden oddział złożony z eunuchów i żołnierzy szedł śpiesznym krokiem, rozpychając ludzi; w jego środku jechała jedna z królowych ubrana w niebieski aksamitny płaszcz wyszywany bogato srebrem oraz utkany drobnemi złotemi i srebrnemi dzwoneczkami, z twarzą zawoalowaną na sposób czerkieski. Daléj następował oddział mułów, uginających się pod ciężarem worów skórzanych z mąką i zbożem; za niemi jechał szanowny eczege, głowa kongregacyi zakonnych w białym ubraniu i turbanie, za olbrzymim indyjskim parasolem; daléj bracia klasztorni, z których każdy trzymał oganiaczkę od much z włosienia końskiego lub krowi ogon.

Za eczege i jego pobożną świtą szedł w trop mnich, dzwoniąc w dzwonek, a za nim niesiono na krzesłach szereg drewnianych tablic Mojżesza, owiniętych w czerwoną materyę. Najciekawszą jednak rzeczą w tym duchownym pochodzie był niezmiernie tłusty kogut, tuczony i skazany na celibat, ażeby możliwie najpóźniéj rozpoczynał poranek i nie budził zbyt wcześnie do modlitwy tych pobożnych mężów, którzy nie pozbyli się jeszcze błogich wspomnień wieczornéj libacyi.

Chorych i rannych, zawiniętych w długie szama, niesiono na lekkich noszach, daléj szli jeńcy w kajdanach, matki z dziećmi w koszykach, polityczni przestępcy często bez rąk lub nóg itd.

Za stajnią negusa szły cztery ułaskawione lwy, zupełnie wolno puszczone i dobrze karmione; chłodne górskie powietrze i dżdżysty dzień wprawiały je w stan ponury i gniewliwy.

W podobny sposób musiał niegdyś występować na wojnę Ramzes lub Nebukadnecar. Teodoros, który lubował się w dzikich komedyach, miał zwyczaj udzielać audyencyi w towarzystwie swych lwów; tak odtworzył uzurpatora podróżnik Lejean. Podobnież faraonowie i władcy asyryjscy bywają na dawnych pomnikach przedstawiani w towarzystwie tych zwierząt.

Abisyńczycy odznaczają się męstwem w boju, dowiedli tego w niezliczonych wojnach; z pogardą śmierci rzucają się oni na wielekroć liczniejszego wroga. Walczą bezładnemi masami, ich sztuka

wojowania sięga wielu stuleci w tył. Gdy w r. 1868 wojska Teodorosa rzuciły się ze szczytu Magdali na armię angielską pod Arogi, w szeregach ich nie było nawet tyle porządku, ile go wedle tradycyi przedstawiał kwiat rycerstwa francuskiego w pamiętnym krwawym dniu pod Azincourt. Po nieprzespanéj nocy rycerze francuscy rzucili się w niezwartych szeregach przez rozmiękczone deszczem pola na zastępy Henryka V, aby znaleść swą zgubę. Dzień Azincourtu przypadł jednak na r. 1415; dzień pod Arogi zdarzył się w przeszło cztery stulecia późniéj! w Afryce rozwój wolniéj się odbywa niż u nas.

Abisyńczyk, jako zwycięzca, odznacza się okrucieństwem: kaleczy trupów i rannych w sposób straszliwy; obcina im częsci płciowe! Z temi wstrętnemi trofeami urządza sobie obrzydłe zabawki, jest on w tym względzie naśladowcą owego faraona, przed tronem którego usypywano całe góry tych trofeów (obrazy ścienne w Medinet Abu i Tebach).

Lud abisyński posiada skłonności handlowe; wobec mało rozwiniętego przemysłu, wywóz ogranicza się głównie do przedmiotów surowych (wosk, kość słoniowa, pieprz czerwony, sól, kawa, skóry itd.); głównym produktem wywozowym byli, a po części są i dotąd niewolnicy, mimo wszelkich środków, jakie przeciw temu przedsiębiorą narody cywilizowane. Jedni z tych nieszczęśliwych bywają prowadzeni do Sennaaru, inni przez morze Czerwone lub na północ. Na pograniczne prowincye Abisynii napadają mahometanie i uprowadzają chrześcian w niewolę. Zwycięstwa Teodorosa i Jana ukróciły wprawdzie te napady ale nie na długo (Jan zginął, jak wiadomo, obecnie w walce z mahometanami). Abisyńczycy odpłacają się mahometanom pięknem za nadobne; szczególniéj mieszkający na północ i zachód Abisynii lud Szangala stanowi ulubioną zdobycz grasujących oddziałów abisyńskiéj kawaleryi, podobnie rzecz się ma z mieszkającymi od południa Galami. Tylko febryczny klimat Kuolli wstrzymuje czasem górali od tych wypraw na niziny.

Na zachodnich granicach Abisynii ukrył się pewien zbieg egipski, który popierany i zaopatrzony w broń przez abisyńskiego gubernatora, długo plądrował sąsiednie prowincye Egiptu, uprowadzał ludzi i sprzedawał Abisyńczykom. Porty: Massaua, Berbera, Zeila i Tedżura były głównemi rynkami niewolników. Według Rueppela obrót niewolnikami w Massaua wynosił dawniéj 120000 talarów Maryi Teresy. W Chartumie jeszcze w roku 1860 piękne dziewczyny abisyńskie i Gala stanowiły ulubiony artykuł handlu dla muzułmanów i europejczyków. Wielu z tych ostatnich wstępowało nawet w związki małżeńskie ze swemi niewolnicami, które wkrót-

ce uczyły się panować w domu i brały swych dawnych panów pod pantofel.

Jako moneta służy w Abisynii materya bawełniana, mateb, sól i talary Maryi Teresy. Mateb jest to jedwabny niebieski sznur, noszony przez chrześcian, jako oznaka ich wiary. Sól wydobywana na wschodzie Abisynii rośnie w cenie ku zachodowi i używana jest jako drobna moneta: kilkadziesiąt kawałków idzie na talar. Do przewożenia takiéj monety używane są muły, „chodzące portmonetki", ale najsilniejszy muł uniesie jéj zaledwie za trzy talary. Talary Maryi Teresy były bite umyślnie dla Abisynii w Wenecyi, obecnie zaś w Austryi; każda taka moneta musi nosić wyraźny obraz cesarzowéj i datę 1780.

Abisyńczycy są niezmiernie chciwi. Strabon powiada, że za jego czasów Etyopowie mieli dwóch bogów: jednego nieśmiertelnego, któremu przypisywali powstanie świata; drugiego, śmiertelnego, którego nie znali bliżéj. Dzisiejsi Etyopowie znają się doskonale na tym drugim bogu, śmiertelnym; jest-to właśnie talar Maryi Teresy. Dźwięk tych talarów ma wpływ magiczny, usuwa wszelkie skrupuły, otwiera drzwi, serca, wszystko. W Abisynii żebractwo jest bardzo rozpowszechnione, podniesione do godności sztuki, prowadzone metodycznie z wielką umiejętnością; są tu nawet konni żebracy.

Podział hierarchii urzędniczéj w Abisynii jest bardzo ściśle i konsekwentnie przeprowadzony. Cesarz lub król otoczony jest nimbem majestatu, co jednak złych poddanych nie wstrzymuje od tego, aby w razie sposobności przygotować „miłosiernéj łasce świętéj trójcy" gwałtowny koniec. Wogóle jednak, jak Abisyńczykom tak i władcom nie zbywa na pewnym zmyśle sprawiedliwości. Teodoros w początkach swego panowania był prawie ubóstwiany właśnie dla tego głównie, że starał się, aby wszystkim udzielana była sprawiedliwość. Heuglin i inni podróżnicy opowiadają jak Teodoros na wszystkich swych wyprawach wojennych zajęty był od rana do nocy sprawowaniem sądów. Na długo przed wschodem słońca zgromadzali się suplikanci przed namiotem króla, wołając „*abiet, abiet*" (panie, panie!). Negus wstawał, sądził, udzielał łask i podarków. Następnie przychodziły raporty, patrole przyprowadzały złoczyńców lub szpiegów; sprawy i egzekucye szły szybko, bez tracenia czasu na frazesy. Teodoros był wtedy uważany za sprawiedliwego, wspaniałego i hojnego, ale zarazem za nieubłaganie surowego; późniéj jednak surowość ta przerodziła się, jak wiadomo, w zwierzęce okrucieństwo. Zresztą okrucieństwo jest rzeczą zwykłą w tym kraju ciągłych wojen domowych, rabunków i vendetty: za powstanie przeciw rządowi, za obrazę domu panującego, za rabunek, na-

pad naznaczone są surowe kary: jak powieszenie, zaćwiczenie na śmierć, ukamienowanie, obcięcie rąk i nóg itd. Obcięte członki bywają w oczach delikwenta pieczone a następnie zanurzone w masło i oddawane właścicielowi; dzieje się to dla zadośćuczynienia względom religijnym: chodzi o to, aby członki te mogły być po śmierci właściciela pochowane z resztą ciała tak, aby mógł on tym sposobem zjawić się w całéj osobie na sąd ostateczny! Gdy królowi Janowi wpadł w rękę jego współzawodnik, zwyczaj krajowy upoważniał do napełnienia mu uszów prochem i wysadzenia czaszki jak minę. Jan kontentował się jednak skromném wydłubaniem oczu za pomocą rozpalonego żelaza. „Łagodność“ ta wprawiła naród w prawdziwy zachwyt! Wobec tego rodzaju „łagodności“ więzień w Abisynii nie ma zbyt wiele; z więzień tych przytém łatwo byłoby uciec, więc zwykle więźnia w ten sposób krępują, że nie może ani myśléć o ucieczce.

Religią Abisyńczyków jest chrystyanizm; są oni, podobnie jak egipscy Koptowie, monofizytami z domieszkami judaizmu, mahometanizmu, a nawet poganizmu. Abisyńczycy są szczególniejszymi czcicielami Maryi, są, jak się ktoś wyraził, „maryolatrami“. Na czele duchowieństwa stoi abuna (nasz ojciec), biskup, który jest naznaczany przez patryarchę Koptyckiego w Aleksandryi. Tylko abuna może pomazać na króla i wraz z wyższém duchowieństwem musi praktykować celibat. Każdy nowy abuna kosztuje Abisynią wiele pieniędzy, które trzeba składać Egiptowi. Władza abuny jest znaczna, ale czasami energiczni królowie nie wiele sobie z niéj robią. Tak Teodoros zamknął intrygującego abunę do więzienia, a gdy ten groził klątwą, Teodoros kazał go umieścić w umyślnie zbudowanym domu z suchych gałęzi i zapalić. Naturalnie, że wobec tak przekonywającego dowodu niewinności Teodorosa, abuna cofnął klątwę jak najskwapliwiéj. Nie lepiéj udało się samemu patryarsze aleksandryjskiemu, który zwiedzał Abisynią w celach politycznych i występował z wielką pychą. Objawił on Teodorosowi, że negus powinien być poddany księciu kościoła, a gdy Teodoros odpowiedział drwiąco, patryarcha rzucił nań klątwę. Teodoros jednak nie dał się upokorzyć: wyjąwszy z za pasa pistolet, zmierzył do patryarchy i rzekł z uszanowaniem: „wasze błogosławieństwo ojcze święty“—naturalnie, że i na ten raz nie potrzebował długo nań czekać.

Liczba niższego duchowieństwa jest tu bardzo znaczna; mnichów i mniszek też nie brak. Wyrażenie Harrisa, że w Abisynii dwanaście tysięcy duchownych trutniów żyje w bezczynności, karmiąc się potem klas pracujących, charakteryzuje doskonale stan rzeczy. Mnisi rekrutują się nietylko z ludu, ale i z wyższych klas:

jest to ucieczka wszelkiego rodzaju bankrutów życiowych. Mniszki też rekrutują się w znacznéj części z „podstarzałych kobiet wyższego stanu, przesyconych już rozkoszami życia“.

Z praktykami religijnemi abisyńscy duchowni nie robią sobie wiele kłopotu. W ciągu dwudziestu czterech godzin odprawia się 3—4 razy nabożeństwo; przy mszy używają kwaśnego chleba i wina importowanego, a w jego braku—odwaru z rodzenków; gdzie są winogrona (które wskutek choroby winorośli obecnie zdarzają się tam rzadko), tam wyciskają jagody w wodzie i używają zamiast wina. Śpiewy kościelne odbywają się przez nos. Czytanie długiéj liturgii odbywa się w niezrozumiałym dla ludu języku (geez), w ten pośpieszny bezduszny sposób, w jaki dzieci mahometańskie recytują swe zadania szkolne. Duchowni chrzczą, dają śluby, odprawiają msze, spowiadają. Te praktyki religijne są tu bardzo kosztowne: za odpuszczenie grzechów np. trzeba dobrze płacić, za to jednak są udogodnienia: kto chce popełnić grabież, może się z tego zawczasu wyspowiadać i za odpowiednią zapłatą otrzymać rozgrzeszenie (być może, iż w tym kierunku bywa nawet udzielany kredyt, zwłaszcza gdy penitent budzi zaufanie). Szczególniéj drogo kosztuje pogrzeb: biédni ludzie muszą ciułać przez całe życie, aby zebrać sumę na przyzwoity pogrzeb. Dla uchronienia duszy od mąk piekielnych kapłani polecają krewnym urządzanie uczt, na których grają oni naturalnie główną rolę i na koszt ubogich nieraz ludzi oddają się hulance. „Po takich libacyach słudzy kościoła wracają do domu ledwie trzymając się na nogach“.

Niżsi duchowni mogą się żenić, ale tylko raz w życiu; nie wystarcza im to widać, bo podróżnicy zarzucają tamtejszym duchownym grube ekscesy w kulcie Wenery. Przy tych aferach duchowni abisyńscy znajdują wielką pomoc w szanownem stanowisku, jakie zajmują wobec ludzi świeckich: panuje mianowicie w Abisynii przekonanie, że pocałowanie ręki spotkanego księdza działa oczyszczająco; to też nie skąpią w Abisynii duchownym tych oznak czci, w czém naturalnie kobiety okazują najbardziéj przykładną żarliwość. Podobnież święte chuchnięcie abuny ma wywierać olbrzymie działanie, a nie jest zbyt drogie: można je kupić za kilka kawałków soli; są też pewne ułatwienia: kto nie może udać się po to do Gondaru, ten sprowadza sobie pudełko, które „ojciec“ napełnił swém świętém tchnieniem.

Abisyńczy są zapaleni do subtelnych dysput teologicznych, stąd umieją oni wynajdywać różne kruczki; krętactwo i łgarstwo jest wśród nich bardzo rozpowszechnione: pewien władca abisyński, gdy przyrzekł jakąś rzecz, któréj nie chciał dotrzymać, spluwał

następnie dokoła siebie, aby okazać nadwornym, że wymył sobie usta; tym sposobem uwalniał się od przyrzeczenia. W związku z tą cechą Abisyńczyków jest ich wielka gadatliwość: Rohefs twierdzi, że gdyby narody oceniać z ilości słów, jaką są wstanie wypowiedzieć od wschodu do zachodu słońca, to Abisyńczycy dostaliby spewnością palmę pierwszeństwa „nawet przed Francuzami“.

Harris twierdzi, że w Abisynii zapewne więcéj jest kościołów, niż w jakiejkolwiek innéj chrześciańskiéj krainie. Kto tutaj zbuduje kościół, sądzi, że już zupełnie zrzucił z siebie wszelkie grzechy ziemskie; niektóre kościoły są wykute w skałach. Z powodu wyżéj wspomnianéj „maryolatryi“ misyonarze katoliccy więcéj znajdują w Abisynii posłuchu niż protestanccy. Nawet w 16 i 17 stuleciu jeżuici probowali całą Abisynią nawrócić na katolicyzm; pozyskali negusa, zaczęli więc prześladować lud, wprowadzili inkwizycyą. Ale po strasznych rozlewach krwi negus znużył się okrucieństwami, ogłosił tolerancyę i jezuici zostali wygnani. Późniejsze usiłowanie misyonarzy nie odniosły wielkich skutków: bystry Teodoros mawiał: „najprzód misyonarz, późniéj konsul, wreszcie armia“. Jednakże i tak niemiecki podróżnik Rohlfs, „zbierający we wszystkich krajach przezeń zwiedzanych kamyki dla rzucenia ich na Francuzów“, ma za złe wpływ misyonarzy francuskich w Abisynii; zarzuca z tego powodu Francuzom, że „protegują zdaleka tych jezuitów, których wyganiają z Paryża. Pod tym względem wszystko jedno kto we Francyi panuje: król arcykatolicki, cesarz, czy prezydent, komunard. W kwestyi polityki zagranicznéj ten ostatni stanie się wkrótce komunardem arcykatolickim, aby tylko nie skompromitować powagi swego kraju na wybrzeżach morza Czerwonego“. Na to odpowiada pisarz francuski (Valbert w *Revue des deux Mondes*): „Oby Rohlfs mógł jak najdłużéj zarzucać nam tę szczęśliwą niekonsekwencyę! Czémże byłby rząd wielkiego narodu, gdyby poświęcał swe interesy fanatyzmowi logiki?“ (!). Otwarte to zdanie w piśmie poważném i wpływowém świadczy, jak dalece szowinizm zaślepia dziś już nie etykę, ale najprostszą logikę. Naturalnie, że i sam Rohlfs nie byłby konsekwentniejszy, oceniając z jednéj strony położenie Niemców w guberniach nadbaltyckich, z drugiéj—Polaków w Poznańskiém. Francuski pisarz jest jednak klasyczny swą naiwną, jeśli nie cyniczną otwartością.

Prócz właściwych Abisyńczyków mieszka w téj krainie, głównie w południowéj części, murzyński lud Gala (lub Galla), którego siedziby rozciągają się prócz tego daleko po za granice Abisynii: na wschód w krainę Somal, na południe w okolice jeziora Ukerewe. Gala znaczy „szukać ojczyzny“, a więc Galowie są to „przybysze“. Sami Galowie zowią się Ilm Orma, co znaczy „mężni ludzie“.

Cechami fizycznemi Galowie zbliżają się raczéj do Abisyńczyków niż do typu murzyńskiéj brzydoty; szczególniéj kobiéty ich odznaczają się pięknością i stanowią przedmiot bardzo poszukiwany do haremów. Dumna postawa Galów, ich pewne siebie zachowanie, swobodne ruchy, ogniste oczy itd. nadają im coś imponującego. Galowie ubierają się w szama, którą umieją malowniczo drapować, we włosy zatykają strusie pióra, co jest oznaką pokonania wroga. Żywią się mlekiem, mięsem, masłem i chlebem, na północy piją miód, na południu wolą krew świeżo utoczoną z bydlęcia; przypomina to podobny zwyczaj u plemion nad Nilem Białym, które nie tylko piją świeżą krew, ale prowadzą nią handel.

Galowie są nadzwyczaj dumni i w boju dzielni, ale nadzwyczaj okrutni. Nienawidzą i ścigają wroga z dziką energią. Padłym w boju lub rannym obcinają krzywemi nożami części ciała, zdzierają skórę, posiekane kawałki depczą nogami, złorzecząc wrogowi. Niezwykłe zamiłowanie wolności jest górującą cechą charakteru tego narodu: Gala nie zna co to służba u obcych, tém mniéj, co niewola. Wskutek niepokonanego oporu, jaki oddawna okazywali schwytani do niewoli Galowie, Arabowie przestali zupełnie przedsiębrać na nich wyprawy. Opowiadają, że zmuszany do niewoli Gala pozwolił sobie raczéj obie ręce odrąbać, a nie ugiął dumnego karku do jarzma; inni oddawali się sami śmierci głodowéj z niewzruszonym stoicyzmem. Wzięte do niewoli dziewczęta szybko opanowują swych panów i nadają ton całemu domowi. W ostatnich czasach południowi Galowie utracili wiele ze swéj energii wskutek nieszczęśliwych walk z Somalami.

* * *

Centralną k r a i n ą Abisynii, która była też w różnych epokach siedzibą cesarstwa, jest żyzna kotlina Amhary, któréj środkowe zagłębienie zajmuje jezioro Tsana (Tana). Średnia wysokość téj krainy uprzywilejowanéj nie wiele przenosi 2000 m., jest to pas woina dega, odpowiadający umiarkowanemu klimatowi Europy, lecz z temperaturą jednostajniejszą i roślinnością bujniejszą; tutaj powstały najludniejsze miasta. Jedném z nich jest Gondar, który uważany bywa często za stolicę Abisynii, właściwie jednak jest to tylko stolica religijna. Gondar nie jest miastem zbyt dawném, pochodzi ono dopiero z wieku siedemnastego, jednakże ma więcéj ruin, niż domów mieszkalnych. Większa część kościołów została zburzona przez Teodorosa w napadzie złości. Na zaokrągloném wzgórzu, które panuje nad miastem od północy, widać zwaliska warownego zamku, który mimo swego złego stanu należy do najwspanialszych budowli w Abisynii. Jego mury z różowego piaskowca

z bazaltowemi ozdobami, jego okrągłe baszty i t. d. nadają mu widok wspaniały. Ale drzewa i krzaki biorą go coraz bardziéj w posiadanie, a nawet ludzie niszczą go systematycznie: „ponieważ my nie budujemy pomników, powiedziała pewna królowa w połowie bieżącego wieku, więc dla czegoż mielibyśmy zachowywać cudze?“ Widziany zdaleka u stóp tych malowniczych ruin, pośród kościołów i drzew, Gondar ma pozór miasta europejskiego i to bardzo pięknie położonego dzięki amfitryalnie otaczającym go wzgórzom, dzięki strumieniom, które wiją się wężykowato po łąkowéj równinie Dembea, dzięki modremu zwierciadłu jeziora, które błyszczy z daleka.

Położony na wysokości około 2000 m. Gondar zajmuje południowy i zachodni stok łagodnego wzgórza. Domy jego nie są tak ugrupowane jak w naszych miastach: składa on się z oddzielnych kwartałów porozdzielanych placami pustemi lub z kupami śmiecia, śród których lamparty i hyeny odbywają swe nocne harce. Podróżnik Rüppel miał do walczenia z trzema lampartami, które wdarły się do kurnika w jego domu. Kilkotysięczna ludność Gondaru składa się z chrześcian i żydów, mieszkających w oddzielnych kwartałach. Gondar byłby przez pięć miesięcy w roku zupełnie pozbawiony komunikacyi z prowincyami południowemi, gdyby Portugalczycy nie byli zbudowali mostu na rzece Magecz przepływającéj równinę Dembea; most ten oparł się wszystkim wylewom, przetrwał aż do naszych czasów i stanowi osobliwość architektoniczną Abisynii.

Równina Dembea, rozciągająca się na północ jeziora Tsana, łączy się z pasem nadbrzeżnym po wschodniéj stronie jeziora tylko za pomocą wąskiego przesmyku, gdzie wznosi się osada celna używająca smutnéj sławy u podróżników. Na południe od téj miejscowości osady oddalają się od brzegów jeziora i leżą na znacznéj wysokości po nad powierzchnią wód jeziornych.

Na wschód jeziora Tsana wznosi się żyzna wyżyna Debra Tabor, która od czasu Teodorosa stała się miejscem pobytu cesarzów. Położenie téj wyżyny jest ważne pod względem strategicznym dla kraju będącego w chronicznym stanie wojennym: ku zachodowi rozciąga się żyzna nadbrzeżna kraina jeziora Tsana; z wyżyny téj, na 2600 m. wysokiéj, władca Abisynii obejmuje więc wzrokiem pola dostarczające pożywienia dla armii; może on łatwo wyruszyć stąd bądź na wschód ku dolinie Takassie i wyżynie Tigre, bądź na południe do doliny Abai i daléj do Szoy. Miejsce obozu królewskiego na téj wyżynie często się zmieniało; wieś, gdzie „król królów“ najczęściéj rezyduje podczas pory deszczów, zowie się Samara.

Na południo-wschód Debra Taboru wznosi się słynna amba Magdala na 2760 m. wysoka, gdzie Teodoros poniósł śmierć bohaterską; bazaltowe jéj zbocza spadają ku zachodowi prawie pionową ścianą; część téj wyżyny, na któréj wznoszą się fortyfikacye, łączy się z resztą tylko za pomocą wąskiego grzbietu. Fortyfikacye, zburzone przez Anglików, zostały odbudowane z powodu ważności Magdali, jako niedostępnéj miejscowości najbardziéj wysuniętéj ku krainie Galów na drodze do Szoy.

W północnéj części Abisynii, w krainie Tigre głównem miastem jest Adua w dorzeczu Takassie na wysokości 2000 m. W pobliżu tego miasta widać zwaliska klasztoru jezuitów wygnanych z Abisynii w XVII stuleciu; ludność okoliczna unika tych ruin, uważając je za siedlisko złych duchów. Daléj ku zachodowi leży Aksum, niegdyś stolica wielkiego państwa etyopskiego, które się rozciągało od Nilu do przylądka Guardafui; obecnie Aksum znajduje się w upadku, utrzymał tylko znaczenie jako miasto święte, składające się przeważnie z klasztorów, gdzie mieszka mnóstwo mnichów i dzieci wychowywanych na mnichów. Aksum obfituje w pomniki, których napisy świadczą o dawnych stosunkach Abisynii z Arabią i Grecyą. Na południo-wschód od Aduy w pobliżu wschodniéj krawędzi Abisynii leży Antalo, opuszczone prawie dawne miasto główne krainy Tigre, na ambie wysokiéj na 2400 m., otoczonéj głębokiemi przepaściami, w których płyną dopływy Takassie. Antalo leży przeważnie w ruinach, mieszkańcy przenieśli się do pobliskiego miasta Czalikut; jest to jedno z najbardziéj malowniczych miast Abisynii, tonące w zieleni ogrodów. Czalikut i Antalo, jako leżące w pobliżu wschodniéj krawędzi Abisynii mają znaczenie dla handlu solą, która idzie z Samhary do Abisynii i rośnie w cenie ku zachodowi. Na północowschód od Aduy na ambie, któréj najwyższy szczyt jest dostępny tylko za pomocą lin, wznosi się klasztor Debra Damo, jeden z najsłynniejszych w Abisynii: za najmniejszą oznaką grożącéj wojny okoliczni mieszkańcy ukrywają tu swe mienie; żyzna ziemia téj wyżyny dostarcza pożywienia a sto kilkadziesiąt cystern—napoju. Na północ od Aduy na drodze prowadzącéj do portu Massaua leży w upadku będące miasto Debaroa, w którém rezydował niegdyś Bahr Nagach tj. „król morza“; taki tytuł nosił niegdyś gubernator prowincyi nadbrzeżnych. Domy w tém mieście nie są, jak w środkowéj Abisynii, z kamieni i ze słomianemi dachami; są to mieszkania podziemne, jakie napotykają się na Kaukazie i w Kurdystanie: stok góry bywa skopany schodowato, otrzymane tym sposobem prostokątne zagłębienie pokrywa się dachem, który wtyle opiéra się na ścianie a zprzodu spoczywa

na palach. Patrząc z góry nie widzi się zupełnie miasta, lecz tylko tarasy trawiaste. Jest to zwykła budowa wsi w tych okolicach. Dym wychodzi przez otwór zrobiony w dachu, gdy pada deszcz, otwór się zatyka i wtedy mieszkanie zamienia się w jaskinię pozbawioną światła i powietrza. Obecną rezydencyą „króla morza“, który teraz nosi ten szumny tytuł jak *lucus a non lucendo*, jest Asmara, leżąca na północowschód stąd, na saméj krawędzi Abisynii, spadającéj stromo ku równinie Massauy. Wiadomo, że w ostatnich czasach Włosi, którzy opanowali Massauę, mieli ochotę posunąć się do Asmary dla opanowania drogi prowadzącéj tędy do Abisynii i dla zyskania chłodniejszego, zdrowszego pomieszczenia dla swego wojska, które w niezmiernie gorącéj Massauy jest trapione chorobami.

Na południe Amhary rozciąga się kraina Szoa, gdzie najbardziéj typowo występuje właściwe Abisynii pokrajanie wyżyny płynącemi wodami na oddzielne pryzmatyczne kawałki. Zdala wyżyna wydaje się jakby rozległa jednolita równina, śród któréj doliny tylko czasami manifestują się jako przerwy zielonego kobierca; lecz podróżując po niéj, natrafimy na roztwierające się niespodzianie u naszych stóp przepaści, (jedna przy szerokości 600—700 m. na 1250 m. głębokości), w które rzeki rzucają się wspaniałemi wodospadami. Drugą osobliwością téj krainy są liczne wulkany po części zupełnie wygasłe, poczęści wydzielające gazy i osadzające w kraterach siarkę. Niektóre kratery stały się jeziorami; nad jednóm z tych wulkanicznych jezior wznosi się klasztor zbudowany przez „poskramiacza demonów“. Pośród tych wulkanów biją gorące źródła a nawet gejzery. Zapewne działaniu tych wód gorących mineralnych przypisać należy petryfikacyę drzew skamieniałych, jakie często dają się tam napotykać. Jak wogóle w Abisynii tak i tutaj miejsce stolicy ulega częstym zmianom w miarę potrzeb strategicznych lub kaprysu władców.

Z tych licznych miejscowości najbardziéj historyczną jest Ankober na wschodniéj krawędzi wyżyny, na drodze do zatoki Tedżura, w malowniczéj wulkanicznéj okolicy. Na północ stąd wznoszą się dwie niedostępne amby: Ememret i Fekere Gemb, połączone z resztą wyżyny tylko wąskiemi grzbietami ścieśnionemi przez przepaście. Amby te dźwigają fortyfikacye uważane w Abisynii za niezdobyte; w ostatniéj ukryte są skarby królewskie i zapasy dla armii.

Na południe Szoy rozciągają się mało znane krainy Enarea i Kaffa, obfitujące w kawę; pierwsza jest zamieszkana przez mahometan Galów, druga przez tak zwanych „chrześcian“; wskutek dłu-

giego odosobnienia pośród mahometan „chrześcianie“ ci niewiele wiedzą o Chrystusie, czczą głównie trzech świętych: Jerzego, Michała i Gabriela, obserwują ściśle pewne ograniczenia w potrawach: nie używają na pokarm żadnych zbóż i nazwa „ziarnożerca“ jest u nich obelżywą; ziarno służy tu tylko dla bydła i do wyrobu piwa.

Pas wybrzeża, dzielący Abisynią od morza Czerwonego i zatoki Aden, leżący w pobliżu ważnego pod względem handlowym i strategicznym punktu — cieśniny Bab el Mandeb, został obsadzony przez potęgi europejskie: Anglię, Francyę i Włochy; leżą tu z północy na południe następujące porty: Massaua, Zulah, Assab, Obok i t. d.

Massaua należy do najgorętszych punktów na ziemi; panują tu tak straszliwe upały, jakie chyba po raz drugi zdarzają się tylko na osławioném wybrzeżu zatoki Perskiéj (Germsir) i na daléj ciągnącém się wybrzeżu Beludżystanu. Ulatnianie z gorącéj powierzchni morza Czerwonego odbywa się silniéj, niż z jakiegokolwiek innego morza, a że powietrze jest bardzo spokojne i gorące, więc robi wrażenie łaźni. Miejscowości, leżące daléj na południe, choć téż piekielnie gorące, ustępują jednak Massauy. Tutaj temperatura w dzień wznosi się do 40° C. w nocy zaś rzadko spada poniżéj 35°. Podróżnik Józef Menges opowiada, że wpływ tego obfitego w parę i w sól powietrza ujawnia się szczególniéj na przedmiotach żelaznych: karabiny nabite, nie posmarowane tłuszczem, po kilku dniach pokrywają się rdzą i nie dają wystrzału; stal polerowana nabiéra barwy czerwonéj, a przepocone ubranie schnie bardzo wolno, pomimo wielkiego upału. Wskutek takich stosunków klimatycznych Massaua przez większą część roku jest prawdziwém piekłem, gdzie choroby, właściwe krainom międzyzwrotnikowym, występują z niezwykłą siłą. Udar słoneczny nie oszczędza nawet krajowców, dysenterya i febra zagarniają liczne ofiary. Do tego dodać należy niezliczone masy robactwa, a także jadowitych węży i skorpionów.

To odstraszające miasto leży na nadbrzeżnéj wysepce koralowéj, która za pomocą grobli na 900 kroków długiéj łączy się z drugą wyspą, połączoną za pomocą grobli na 1500 kroków długiéj z lądem Afryki. Dla oka Massaua, jak wogóle miasta na wschodzie, przedstawia widok powabny, nawet imponujący: białe błyszczące domy Massauy z koralowego wapienia zdają się jakby wyrastać z morza i odbijają się efektownie od lśniącéj powierzchni wody i od górzystego tła Abisynii.

Po Chartumie Massaua ma najbardziéj pomieszaną i najmniéj budzącą zaufania ludność na całém południu rozciągającego się

dawniéj aż dotąd egipskiego państwa. Samuel Baker powiedział, że Massaua jest miejscem „gdzie cywilizowana Europa i barbarzyńska Azya mieniają swe występki — piekłem dla ludzi uczciwych, rajem dla łotrów". Handel Massauy spoczywa głównie w rękach Greków słynnych z szachrajstwa i yemeńskich Arabów, których nikczemność idzie w zawody z bigoteryą i fanatyzmem. Massaua przed kilku laty została zajęta przez Włochów, którzy stąd pragnęli rozszerzyć swą władzę lub przynajmniéj wpływ na wyżynę Abisynii; dotąd jednak męstwo Abisyńczyków i niedostępna górska przyroda Abisynii nie dozwoliły Włochom urzeczywistnić tych zamiarów.

Na południe od Massauy wybrzeże morza wdziéra się w ląd głęboko zatoką Annesley, inaczéj zwaną Adulis od starożytnéj kolonii greckiéj, któréj dziś zaledwie ślady pozostały. Nazwa Adulis utrzymała się w dzisiejszéj nazwie miejscowości Zula; port ten należy do Francuzów, którzy dawniéj zupełnie o nim zapomnieli tak, iż Anglicy, z powodu wielkiego zbliżenia tutaj morza do Abisynii, obrali go w 1867 roku za punkt wyjścia swéj wyprawy. W tym celu dla ułatwienia wylądowania zbudowali tamę, biegnącą od brzegu w morze więcéj niż na kilometr; dla ułatwienia zaś drogi przez suchą i gorącą Samharę, zbudowali konną koléj żelazną.

Daléj na południe, już tylko w odległości 60 kilometrów od cieśniny Bab el Mandeb, nad zatoką usianą wysepkami leży włoska kolonia Assab z wygodnym portem, ale bez wygodnéj komunikacyi z Abisynią; albowiem okolica jest prawie zupełnie pozbawiona roślinności i wody (wodę do picia otrzymuje się przez dystylacyę z wody morskiéj), przedstawia tylko nagie skały i ruchome diuny.

Minąwszy cieśninę Bab el Mandeb, do któréj wejścia broni ufortyfikowana angielska wysepka Perim, Gibraltar morza Czerwonego, spotykamy głęboko wdzierającą się w ląd zatokę Tedżura, któréj okolica posiada wygasłe wulkany. Potok zastygłéj lawy oddzielił część téj zatoki i utworzył jezioro Assal, którego poziom obniżył się wskutek parowania i które stało się magazynem solnym Abisynii; w pobliżu wybrzeży jego tworzy się tak twarda skorupa solna, że obładowane wielbłądy mogą po niéj przechodzić na odległość kilometra od brzegu. Z miejscowości leżących nad zatoką Tedżura i należących do Francuzów szczególniéj zasługuje na uwagę Obok, leżący przy wejściu do zatoki, bliżéj cieśniny Bab el Mandeb, niż przeciwległy angielski Aden; okręty mogą tu zaopatrzyć się w węgiel, nie zbaczając z drogi, wodę do picia téż można znaleść w niewielkiéj głębokości. Daléj ku końcowi zatoki Tedżura leży znane z awantury Aszynowa Sagalo.

Wszystkie powyższe porty abisyńskiego wybrzeża, jak również daléj na południe leżące a zajęte przez Anglików, Zeila i Berbera nie mają tego handlowego znaczenia, jakiego się po nich europejczycy spodziewali. Karawany abisyńskie przywożą tu wprawdzie kość słoniową i kawę, ale wobec ciągłych niepokojów i uciążliwych dróg karawany te przychodzą bardzo nieregularnie. Z czasem jednak postać rzeczy zmieni się bezwątpienia: szyny kolei żelaznych przetną pustynny przesmyk Samhary, Abisynia zostanie niby przesunięta ku morzu. Utraci ona wprawdzie urok swéj pierwotności, swéj dzikiéj niezawisłości, ale przestanie być odosobnioną i bierną, stanie się czynném, produkcyjném ogniwem w łańcuchu międzynarodowych stosunków.

Wacław Nałkowski





ŻYCIE W GŁĘBIACH OCEANÓW

W ŚWIETLE NAJNOWSZYCH BADAŃ (1)

Po wsze czasy i pośród wszystkich ludów morze uważane było za coś nieskończonego, tajemniczego. Pochodzi to ztąd, że żaden przedmiot w naturze nie wywiera tak silnego wrażenia na duszę ludzką, jak ocean. Ani widok rozległego stepu, ani monotonnéj i dzikiéj pustyni, ani nawet—niebotycznych gór i urwisk nie sprawia tak potężnego na nas wrażenia, jak morze. Ocean to olbrzymi organizm, nigdy nie spoczywający: jak krew w ustroju zwierzęcym, tak prądy oceanu wiecznie tętnią i drgają życiem, fale jego oddychają, a wspaniałe zjawisko przypływu i odpływu przypomina peryodycznie powracające: czuwanie i sen istot żyjących. Jego mowa to głuchy łoskot bałwanów i dziki szelest fal, co chwila wpadających na brzegi i z zaciekłością po nich się pieniących. Jego spoczynek—to monotonne, lecz nigdy nie ustające kołysanie się powierzchni, z lekka muskanéj wiatrem, a gniew jego—to rozszalałe, piętrzące się masy wody i straszne jęki, wydobywające się z jego otchłani. To bezustanne życie morza, ciągła przemiana jego powierzchni, coraz to inna barwa wody za dnia, wspaniała fosforescencya w nocy, bezdenne głębie i niepojęte bogactwo istot organicznych, znajdujących w niém schronienie—wszystko to razem wzięte budzi w duszy ludzkiéj niezwykły dla morza interes. Pomimo to jednak bliższe, naukowe badanie otchłani morskich rozpoczęte zostało dopiero w ostatnich kilku dziesiątkach lat, a pobud-

(1) William Marshall, Die Tiefsee und ihr Leben, 1888. Chun C., Die Pelagische Tierwelt in grossen Meerstiefen, Bibl. Zool. 1888. Filhol H., La vie au fond des mers, Paris 1885.

ką do badań tych stały się, jak to często miewa miejsce, praktyczne potrzeby. Chęć przeprowadzenia podmorskich lin telegraficznych wywołała konieczność badania dna morskiego, a to znów poprowadziło daléj do prac teoretycznych nad fauną i florą głębin morskich. Wiadomo, iż w telegrafach podmorskich linę z drutów opuszcza się na dno; dla tego téż potrzeba przedewszystkiém poznać dobrze konfiguracyą tego ostatniego, oznaczyć dokładnie głębokość morza w wielu punktach i naturę gruntu.

Jeszcze w roku 1845 Anglicy i Amerykanie przedsięwzięli szereg pomiarów głębokości za pomocą ołowianki w północnéj części oceanu Atlantyckiego. Badania te zostały po pewnym czasie uwieńczone pomyślnym skutkiem, a w r. 1853, dzięki im zdołano przeprowadzić linę telegraficzną podmorską pomiędzy Irlandyą i Nową Fundlandyą. Lecz nie długo ona funkcyonowała; utraciwszy po kilku latach przewodnictwo. Dopiero w r. 1865 słynny olbrzymi okręt angielski „Great-Eastern“ rozpoczął na nowo pracę i po kilku próbach przeprowadził w r. 1866 linę podmorską pomiędzy Europą i Ameryką. Połączenie to istnieje do dziś dnia.

W r. 1868 dwaj znakomici badacze angielscy B. Carpenter, wice prezydent *Royal Society*, oraz Wyville Thomson odbyli na pancerniku „Lightning“ podróż naukową po oceanie Atlantyckim, a kilka razy udało im się zapuścić na otwartém morzu sieć do głębokości 500 sążni i nawet więcéj. Po raz pierwszy udało im się stwierdzić, że w tak wielkich głębiach wre w całéj pełni życie organiczne i że w każdéj głębokości żyją nie tylko wogóle nowe i dotąd nauce nieznane formy, lecz i takie, które uważano za wygasłe od czasu epoki trzeciorzędowéj. Zachęceni temi ważnemi odkryciami, uczeni powyżsi wystarali się u admiralicyi o okręt „Porcupine“ (Jeżozwierz), który lepiéj się nadawał do podróży naukowéj i posiadał doskonałą załogę, pod przewodnictwem kapitana Calvera. W r. 1869 „Porcupine“ odbywa trzy podróże. Pierwsza skierowana była ku zachodnim brzegom Anglii, pod dowództwem konchyliologa Gwyna Jeffreys, druga—do południowéj części zatoki biskajskiéj, pod dowództwem Carpentera, trzecia zaś— w okolice pomiędzy Hebrydy, Faröer i wyspy Szetlandzkie, pod wodzą Wyville Thomsona. Największa głębokość, do jakiéj udało się zapuścić dragę podczas tych podróży wynosiła aż 2,435 sążni.

W następnym roku (1870) okręt „Porcupine“ odbywa znów większą ekspedycyą, w poprzek przez zatokę Biskajską, wzdłuż zachodniego brzegu Hiszpanii, a następnie przez Gibraltar po morzu Śródziemnem. Naukowe kierownictwo téj wyprawy objęli Gwyn Jeffreys, Carpenter i Wyville Thomson, z których ostatni z powodu choroby

nie mógł się z przyjętego na siebie obowiązku wywiązać. W ciągu téj krótkotrwałéj, bo tylko trzymiesięcznéj podróży, zdołano tak wiele znaleść nowego, że podziwiać należy energią i dzielność naturalistów angielskich. Dzięki téj wyprawie zmieniły się w nauce zapatrywania co do rozmieszczenia temperatury w morzu, co do natury gruntu na dnie morskiém i świata zwierzęcego, zamieszkującego głębie morza. Rezultaty téj podróży żywo zainteresowały nie tylko uczonych, ale i cały inteligenty ogół w Anglii. To też z łatwością przyszło Carpenterowi przekonać ówczesnego lorda admiralicyi oraz ministra finansów o nadzwyczajnéj wadze naukowéj podobnych ekspedycyi, a *Royal Society*—o konieczności przedsięwzięcia nowéj wyprawy na jeszcze większą skalę, niż dotychczasowe. Wkrótce też rząd angielski ofiarował znaczną sumę na nową ekspedycyą naukową. Ofiarowano wielki parowiec z floty jej królewskiéj mości, nazwany „Challenger“, obejmujący 2306 tonn i posiadający siłę 1234 koni. Na kapitana okrętu wyznaczono dzielnego marynarza George'a S. Naresa, a sztab naukowy utworzyli: prof. Wyville Thomson—jako dyrektor, J. Y. Buchanan—jako fizyko-chemik, H. N. Moseley oraz dr. Willemoes-Suhm, jako zoologowie, J. Murray—jako geolog, oraz J. J. Wild—jako rysownik i sekretarz dyrektora. „Challenger“, były okręt wojenny, zatknął sztandar pokoju i humanizmu, zbrojne jego kajuty przeobraziły się w laboratorya naukowe, a miejsce dział armatnich na pokładzię zajęły lokomobile do zapuszczania i wyciągania sieci lub ołowianek z głębi morskich. „Challenger“ stał się rajem dla biologa! Wspaniałe laboratoryum zoologiczno-botaniczne, zajmujące salon 20 stóp długi i 12 szeroki, uposażone w mikroskopy, odczynniki i wszelkie w ogóle narzędzia do badań i do konserwowania zwierząt, pomocnicza pracownia fizyczno-chemiczna, bogata podręczna biblioteka, akwaryum, do przechowywania w żywym stanie schwytanych zwierząt—wszystko to razem wzięte czyniło „Challenger“ wymarzoném miejscem dla badacza, kochającego przyrodę i pragnącego zgłębiać tajniki życia otchłani morskich. W listopadzie 1872 r. „Challenger“ opuścił Portsmouth i wypłynął na otwarte morze. Podróż składała się z 4-ch części. Pierwsza z nich objęła następujące punkta: z Portsmouth do zachodnich brzegów Hiszpanii, ztąd do Madeiry oraz wysp Kanaryjskich, daléj w poprzek przez ocean Atlantycki do Antyllów, na północ do Bermudów, wysp Azorskich napowrót do Madeiry, wysp Kanaryjskich, wzdłuż zachodnich brzegów Afryki, późniéj znów w poprzek przez Atlantyk, aż do wschodniego brzegu Ameryki Południowéj; wzdłuż niego do Bahii, następnie po raz trzeci w poprzek przez Atlantyk do Tristan d'Acunha i aż do Kapstadtu. Druga

część podróży objęła następujące punkty: z Kapstadtu przez Kerguelenland do wód podbiegunowych, ztąd na północo-wschód do Australii, do portu Melbourne, ztąd do Nowéj Zelandyi, Nowéj Gwinei, wysp Filipińskich i Hongkong. Trzecia część ekspedycyi objęła: znów Nową Gwineę, wyspy Admiralicyi, Sandwich, Tahiti, Juan Fernandez, aż do cieśniny Magellana. Wreszcie czwarta część podróży objęła: cieśninę Magellana, wyspy Wniebowstąpienia, Zielonego Przylądka, zachodni brzeg Hiszpanii aż do Sherness, dokąd „Challenger" przybył w maju 1876 roku. W podróży téj okręt angielski przeciął, jak widzimy, kilkakrotnie w różnych kierunkach największe oceany, zabawił 719 dni na otwartém morzu, przepłynął 68890 mil geograficznych, spalił 96567 cetnarów węgla kamiennego, zrobił 370 pomiarów głębokości za pomocą ołowianki i 240 razy zapuszczał dragi i sieci w otchłanie morskie! Materyał naukowy, zdobyty w téj podróży, był tak olbrzymi, że z wyprawą „Challengera" rozpoczęła się nowa era w dziejach zoologii opisowéj. W opracowaniu tego materyału wzięli udział najwybitniejsi uczeni. Dotąd ogłoszono już dwadzieścia wielkich dzieł in 4° z wielu setkami kosztownych kolorowanych tablic rysunków, a dzieła te nie wyczerpały jeszcze bynajmniéj całego ogromu materyału faktycznego, który obecnie jeszcze przez różnych specyalistów jest opracowywany. Ekspedycya „Challengera" zrobiła tak wiele dla poznania życia w głębiach oceanu, że wszystkie późniejsze wyprawy już tylko dopełniały jéj zdobycze naukowe.

Z późniejszych bardziéj lokalnych wypraw zasługują na uwagę: amerykańska w latach 1877—1880 pod przewodnictwem Aleksandra Agassisa, syna Ludwika, norweska w r. 1876 pod przewodnictwem H. Mohna, włoska w r. 1881 pod kierunkiem Giglioli'ego. Wreszcie w najnowszych czasach dla poznania fauny głębin morskich uczyniły bardzo wiele ekspedycye naukowe francuskie na okrętach „Travailleur" i „Talisman". W r. 1880 okręt „Travailleur" wyruszył w podróż naukową pod wodzą młodego Milne Edwards'a, dzielnego zoologa francuskiego. Poszukiwania robiono wzdłuż północnego brzegu Hiszpanii; w rok późniéj tenże okręt okrążył Hiszpanią, a w następnym znów roku popłynął do wysp Kanaryjskich. „Talisman" w r. 1883 odbył podróż pod tém samém dowództwem naukowém wzdłuż brzegów zachodnich Hiszpanii, Afryki, a następnie zwiedził t. z. morze sargassowe na środku Atlantyku, powróciwszy około wysp Azorskich do Francyi. Największą zasługą ekspedycyi „Talismana" było powtórne znalezienie wielu zwierząt, odkrytych już podczas wyprawy „Challengera", a co ważniejsza—bardzo wielu zupełnie nowych zwierząt, zwłaszcza zamieszkujących gęste zarośla morza sargassowego.

Zanim przystąpimy do rozpatrzenia fauny głębin morskich, musimy się jeszcze nieco zatrzymać nad kwestyą głębokości morza, zbadanéj dosyć dokładnie w ostatnich czasach, dzięki wyżéj wymienionym ekspedycyom naukowym. Mierzenie głębokości morza odbywa się za pomocą tak zwanéj ołowianki. Najpierwotniejsze urządzenie tego przyrządu polega na tém, że do długiéj liny przywiązuje się ciężar, np. kulę ołowianą, i linę tę spuszcza się z okrętu w kierunku pionowym w dół do dna morskiego. Takie pierwotne urządzenie nie wystarcza jednak bynajmniéj, gdy chodzi o pomiary znacznych głębokości. W tym celu potrzeba miéć jaki oczywisty dowód, iż ołowianka zetknęła się z gruntem i prócz tego nadzwyczajnie jest ważne otrzymanie próbki gruntu. Dlatego téż ołowianki, używane przez naturalistów nowszych czasów, są tak urządzone, iż wskutek samego uderzenia ołowianki o grunt, i podrzucenia jéj do góry odczepiają się pewne dodatkowe części. Gdy więc ołowiankę wyciągamy na powierzchnie morza i widzimy, że części te są odczepione, mamy dowód, że nastąpiło zetknięcie z gruntem. Oprócz tego w związku z ołowianką znajdują się szczególne skrzynki z jednego końca otwarte; gdy ołowianka styka się z gruntem, skrzynki te przybierają takie położenie, iż nachodzi w nie muł i piasek, a gdy następnie ołowianka zostaje ku górze pociągnięta, specyalna klapka zamyka otwór skrzynki, przez co zaczerpnięty muł nie może być przez wodę wypłukany. W taki sposób dzięki ołowiance nie tylko daje się określić głębokość morza w daném miejscu, ale otrzymuje się także próbkę gruntu z dna morskiego. Modyfikacye ołowianek są bardzo rozmaite i liczne; podczas każdéj z wyżéj wymienionych wypraw morskich używano ołowianki odmiennéj konstrukcyi. Największą doskonałość osiągnięto pod tym względem na „Talizmanie“, gdzie udało się zbudować przyrząd, dzięki któremu na ołowiankę, spuszczającą się w głąb’, nie okazywało najmniejszego wpływu kołysanie się okrętu. Badania za pomocą ołowianki wykazały, że przeciętna głębokość mórz wynosi 3440 metrów; największa znana głębokość oceanu Atlantyckiego—7086 m. (3875 sążni), Spokojnego zaś 8513 m. (4655 sążni).

Łowienie zwierząt, zamieszkujących głębie morskie, uskutecznia się za pomocą t. z. drag. Są to wielkie sieci, wprawione w żelazne ramy różnéj konstrukcyi. Ramy te przymocowane są do silnych lin, za pomocą których dragę spuszcza się na dno morskie. W miarę jak siéć wlecze się po dnie, wpadają do niéj liczne rośliny i zwierzęta, które w ten sposób wydobywa się na powierzchnię. Ulepszone sieci tak są zbudowane, że z chwilą gdy zaczyna się je wyciągać do góry, otwór w oprawie żelaznéj, wiodący do wnętrza

sieci, zamyka się i zaciska tak, iż zdobycz nie może z niéj uchodzić. Niekiedy znów draga tak jest urządzona, że na żelaznych łańcuchach zawiesza się gęste chwasty z włókien konopnych, ze szczątków lin i sznurów. W chwasty te plątają się liczne zwierzęta, a zwłaszcza szkarłupnie, jak gwiazdy, lilie i jeże morskie, których kolce, pokrywające ciało oraz długie promienie tak silnie wikłają się we włókna, że zwierzęta nie mogą się z nich wydostać i zostają w ten sposób schwytane. Kierowanie dragą przedstawia znaczne trudności. Jeśli uwzględnimy, jak wielki jest ciężar liny, opuszczonéj na kilka tysięcy metrów wgłąb', jak znaczny jest ciężar saméj dragi, a zwłaszcza wielkiéj jéj oprawy metalowéj, i wreszcie ile waży zaczerpnięty dragą muł, piasek, kamienie, rośliny i zwierzęta, to zrozumiemy, ile potrzeba zużyć siły, aby takie olbrzymie masy w wodzie poruszać. Dlatego téż podczas większych wypraw używano do spuszczania i wyciągania drag silnych maszyn parowych. Według obliczeń Wyville Thomsona ciężar większéj dragi wraz z liną i zaczerpniętemi przez nią przedmiotami wynosi blizko 2o5o pudów!

Gdy spuszczona do wody draga dosięgła gruntu (o czém można się przekonać wymierzywszy uprzednio za pomocą ołowianki głębokość morza w danëm miejscu), okręt zaczyna się z wolna poruszać, a draga wlecze się po dnie morskiém. Przy głębokościach, wynoszących 4o do 2oo sążni, pozostawia się na dnie dragę w ciągu dobrego kwadransa, poczém wyciąga się ją napełnioną na powierzchnię. Przy mniejszych głębokościach draga pracuje kilka minut. Lecz przy bardzo wielkich głębiach dragowanie nastręcza bezporównania więcéj trudności. Nawet przy najlepiéj urządzonéj dradze i przy najlepszym parowcu łowienie zwierząt na głębokości około 3ooo sążni jest nadzwyczajnie uciążliwe i zmudne.

Z rannym brzaskiém rozpoczyna się już wtedy na okręcie pracę olbrzymią, sieć zapuszcza się na ciężkich sznurach w otchłaniach morza; dopiero po trzech godzinach draga dosięga dna morskiego. Przez cały ten czas okręt musi pozostawać możliwie w jednëm miejscu, w przeciwnym bowiem razie sieć nie może się należycie ułożyć i cały połów będzie daremny. Gdy draga spoczęła na dnie, okręt przez kilka godzin posuwa się w pewnym kierunku, ciągnąc za sobą sieć. Wreszcie rozpoczyna się wyciąganie olbrzymiego ciężaru, koła lokomobili pracują bez wytchnienia, a mijają całe godziny, zanim się dragę z głębin na powierzchnię wody wyciągnie; zwykle już zmrok zapada, kiedy się z wody wyłania potężna sieć, obarczona zdobyczą. Możesz sobie wyobrazić czytelniku, jak silnie bije serce naturalisty, spoglądającego na dragę, przyno-

szącą mu nieznane skarby z tajemniczego świata bezdennych otchłani morskich. Nie zapomnę nigdy silnych wrażeń, jakich doznawałem na widok dragi, obarczonéj bogatym łupem. Wprawdzie nie brałem udziału w większych wyprawach naukowych, ale wprost w ekskursyach (1) na otwartém morzu, mających na celu zbieranie materyału do pracowni. Dragi nasze nie były tak wielkie, głębokość do jakich zapuszczano je, nie przewyższała kilkuset metrów, fauna okoliczna była dosyć dobrze znana i trudno się było spodziéwać znalezienia nowych jakich, nieznanych dotąd form. Pomimo to jednak trzeba osobiście tego doświadczyć, aby ocenić, z jaką gorączkową niecierpliwością i wtedy nawet oczekuje naturalista wydobycia dragi na pokład okrętu. O ileż ta gorączka jest większa, o ile niepokój silniejszy, gdy biolog przystępuje do rozpatrzenia zawartości dragi, powracającéj z owych niezmiernych głębi, do których po raz pierwszy geniusz ludzki próbuje dotrzéć. Z każdém zaczerpnięciem sieci spodziéwa się on znaléźć wtedy formy nowe, niezwykłéj budowy i niezwykłéj postaci, formy łączące sobą różne odległe grupy zwierząt i pozwalające głębiéj pojąć ogólną genezę istot żyjących.

Zwierzęta, zamieszkujące znaczne głębokości morskie, są w całéj swéj organizacyi przystosowane do swego środowiska. Przedewszystkiém zasługuje na uwagę przystosowanie ze względu na ciśnienie wody. Trudno sobie wyobrazić, jak wielkie jest ciśnienie olbrzymiego słupa wody w znacznych głębiach. Człowiek— powiada Wywille Thomson —znajdujący się w głębokości 2000 sążni, podlegałby takiemu ciśnieniu, jak gdyby ciążyło na nim dwadzieścia długich towarowych pociągów kolei żelaznéj, naładowanych żelaznemi szynami; innemi słowy, gdyby człowiek uległ nagle ale tylko w jednym kierunku podobnemu ciśnieniu, zostałby zgnieciony i spłaszczony, jak listek cienkiego papieru. Według obliczeń Perrier'a, na każde tysiąc metrów głębokości, ciśnienie wywierane na decymetr wzrasta o 1085o kilogramów. Dla tego też przedmioty drewniane lub korkowe, zostają pod wpływem tego ciśnienia zmniejszone aż do połowy swéj dawnéj objętości. Wobec tego faktu łatwo zrozumiéć, dla czego wszystkie prawie zwierzęta, wyciągane nagle ze znacznych głębokości na powierzchnią morza, zostają mniéj lub więcéj uszkodzone i rozerwane. Rozmaite gazy i płyny w ciele zwierząt wywiérają ciśnienie, które równoważą się ciśnieniem otaczającego środka: czy to wody, czy powietrza. Skoro

---

(1) Wycieczki takie odbywałem kilkakrotnie w r. 1886, podczas pobytu mego w Roscoff, stacyi zoologicznéj nad brzegiem oceanu Atlantyckiego (w Bretanii).

więc zwierzę, mające organizacyą, przystosowaną do wielkich ciśnień, dostaje się nagle w środowisko, w którém ciśnienie zewnętrzne jest mniejsze, rozprężające się gazy i płyny mogą spowodować pęknięcie i rozerwanie różnych organów. Ryby, jako posiadające pęcherz pławny; wypełniony gazami, daleko łatwiéj niż inne zwierzęta podlegają zabójczemu wpływowi zmniejszającego się ciśnienia zewnętrznego. Wiadomo, że ryby, zamieszkujące bardzo głębokie jeziora szwajcarskie, ulegają częstokroć śmierci w chwili wydobywania ich na powierzchnię, wskutek tego właśnie, iż pęka im pęcherz pławny pod wpływem wewnętrznego parcia. Oto, co mówi v. Siebold o alpejskiéj kilce (*Coregonus hiemalis*), zamieszkującéj jeziora Szwajcaryi: W głębokości 40 sążni pęcherz pławny téj ryby wytrzymuje ciśnienie około 7½ atmosfer. Gdy ryby zostają przeniesione z naturalnego miejsca przebywania na powierzchnię wody, gdzie działa na nie ciśnienie jednéj tylko atmosfery, w takim razie powietrze zawarte w pęcherzu, a podlegające dotąd ciśnieniu 7½ atmosfer, pozbywa się ciśnienia 6½ atmosfer i w tymże stosunku się rozpręży, co znów spowoduje rozerwanie się nietylko ścianek samego pęcherza, ale i brzusznych. To samo ma miejsce z rybami morskiemi, które przebywając przedtém w ogromnych głębiach i znosząc olbrzymie ciśnienie, wydostają się na powierzchnię wody. U wielu ryb przełyk zostaje wtedy wyparty z pyska, oczy pęcznieją i wyskakują z oczodołów, pletwy rozluźniają się i częściowo wypadają z ciała.

Ponieważ w wielkich głębokościach nie ma ani prądów, ani też działania fal, woda pozostaje tam w nadzwyczajnym spokoju, co znów okazuje wpływ na ogólne kształty ciała niektórych zwierząt, oraz na narządy ruchu. Tak np. wiadomo, że gąbki bardzo łatwo zmieniają postać swą, w zależności od środowiska, w jakiém przebywają; w miejscach, gdzie panują silne prądy, gąbki otrzymują formy wydłużone w kierunku działania tych prądów; przeciwnie zaś, gatunki tych rodzajów, które przebywają w miejscach spokojnych, mają kształty kuliste i uderzająco prawidłowe. Te ostatnie właściwości znajdujemy u gąbek, zamieszkujących znaczne głębokości morskie. Nadzwyczajnie długie i wiotkie kończyny wielu skorupiaków tychże okolic pozostają również w związku ze spokojem wody.

Rozpatrzmy teraz pytanie, jak są przystosowane zwierzęta głębin morskich do warunków światła. Czy na dnie morskiém, w głębokości kilku tysięcy metrów panuje wogóle jakiebądź światło, jest to dotąd kwestya w nauce nie rozstrzygnięta. Niektórzy badacze twierdzili, że promienie słońca zostają zupełnie pochło-

nięte przez tak grubą warstwę wody i że na dnie morskiém panuje w tych strasznych otchłaniach zupełna ciemność. Inni, a zwłaszcza Verril, starali się dowieść, że ogromna massa wody pochłania tylko promienie pomarańczowe i czerwone, przepuszcza zaś zielone, wskutek czego na dnie morskiém panuje zielonawe światło. Zwierzęta, zamieszkujące znaczne głębie, są najczęściéj barwy pomarańczowéj do purpurowo-czerwonéj lub brunatno-czerwonéj, nigdy zaś prawie nie posiadają barwy jasno-żółtéj, zielonéj i zielono-niebieskiéj. Fakt ten przemawia za przypuszczeniem Verrila. Gdyby bowiem rzeczywiście do głębin morskich nie przenikały wcale promienie czerwone i purpurowe, zwierzęta, ubarwione w taki sposób, nie odbijałyby tam żadnych promieni i wydawałyby się zupełnie prawie czarnemi, przez co mogłyby łatwo uniknąć wzroku nieprzyjaciół. Istnieją jednak pewne fakta, które dowodzą, że i zielone promienie są w znacznéj mierze pochłaniane przez bardzo grubą warstwę wody. William Marshall sądzi, że przenikają one co najwyżéj na głębokość 500 sążni, lecz że w jeszcze większych głębiach panuje już ciemność, o ile częściowo nie rozprasza jéj blask fosforyczny zwierząt samoświecących. Braku światła słonecznego w znacznych głębokościach morskich dowodzi fakt, iż niektóre gatunki zwierząt np. kraby z gatunku *Ethusa granulata* posiadają w płytkiéj wodzie dobrze rozwinięte oczy, egzemplarze zaś z głębokości 110 do 370 sążni mają jeszcze wprawdzie słupki oczne, lecz zamiast oczów posiadają już tylko wapienne obrzmienia, a wreszcie osobniki z głębokości 500 do 700 sążni straciły już nawet w znacznym stopniu i same słupki oczne. Wszelako nie zawsze miéwa to miejsce. Obok bowiem zwierząt całkiem ślepych lub źle widzących znajdujemy i takie, u których oczy dosięgają bardzo znacznéj stosunkowo wielkości. Objaśnić to sobie można przez tę okoliczność, że fauna głębinowa według wszelkiego prawdopodobieństwa rekrutuje się z gatunków, przebywających bliżéj powierzchni i że tylko stopniowo i powoli przystosowywała się do nowego swego środowiska. Otóż zanim te zwierzęta dosięgły najciemniejszych i najgłębszych okolic, musiały one w ciągu wielu nieraz pokoleń przebywać w miejscowościach, w których panuje zmierzch; im zaś były uboższe w światło zamieszkiwane przez nie okolice, tém silniéj rozwijały się ich narządy wzrokowe, podobnie jak to ma miejsce u lądowych zwierząt zmierzchnych, które posiadają tém większe oczy, im bardziéj przystosowane są do zmierzchu. Za przykład służyć tu mogą nietoperze, latające późnym wieczorem, sowy, żerujące w nocy, oraz liczne gatunki lemurów (np. lori, maki i t. p.). Otóż przypuścić można, że i w morzu, w okolicach,

w których panuje zmierzch, oczy nadmiernie się rozwijają. Jeśli więc przyjmiemy, że takie wielkookie zwierzęta przybywają do największych głębin, gdzie panuje już zupełna prawie ciemność, łatwo sobie wyobrazić, że przez pewien czas zanim się dostatecznie do nowego środowiska przystosują, będą jeszcze posiadały skłonność do nadmiernego rozwoju oczu, a dopiéro późniéj organy wzrokowe zaczną się u nich coraz słabiéj w ciągu pokoleń rozwijać. Dla tego też porównywając z sobą różne pokrewne zwierzęta, właściwe wielkim głębiom, możemy powiedziéć, że formy z bardzo wielkiémi oczyma są dawne, formy z mniejszemi nieco, jeszcze dawniejsze, a z zanikłemi oczyma — najdawniejsze.

Bardzo liczni mieszkańcy głębin morskich odznaczają się zdolnością świecenia fosforycznego. Znaczenie tego zjawiska może być bardzo rozmaite. Przedewszystkiém służyć ono może zwierzętom za środek szukania sobie drogi w ciemności; światło to bywa bowiem u niektórych zwierząt tak silne, że na dosyć znacznym stosunkowo promieniu rozprasza częściowo ciemności panujące w otchłaniach morskich. Powtóre światło to służyć może jako środek zwabiający zdobycz, lub też działa być może odstraszająco, na mających złe zamiary nieprzyjaciół, jakby przemawiając do nich: „*Noli me tangere*“.

Bardzo ważną i interesującą jest kwestya, tycząca się odżywiania fauny głębinowéj. Wiadomo, że niezbędnym pośrednikiem w odżywianiu się zwierząt jest świat roślinny. Roślina pobiéra z ziemi i powietrza wodę, amoniak i kwas węglowy, rozkłada je i następnie wytwarza z nich drogą syntezy różne złożone ciała organiczne: węglo-wodany, tłuszcze, białka i t. d. Zwierzę żywi się gotowemi substancyami organicznemi bądź roślinnemi (istoty roślinożerne), bądź też zwierzęcemi (istoty mięsożerne), ostatecznie więc zawdzięcza roślinom byt swój. Ale oto w wielkich głębiach morskich znajduje się tak nadzwyczajnie mało żywych roślin, że udział ich w odżywianiu zwierząt jest równy prawie zeru. Jakież więc jest pierwsze źródło, z którego świat zwierzęcy czerpie tutaj pożywienie? Niektórzy przyrodnicy, jak Wallich, wypowiedzieli przypuszczenie, iż pewne formy zwierzęce są w stanie rozkładać wodę, bezwodnik kwasu węglanego i amoniak, a pierwiastki ich, bez współudziału światła przeprowadzać w związki organiczne. Wallich przypuszcza więc możliwość wytwarzania połączeń organicznych z materyi nieorganicznych bez pośrednictwa roślin i światła słonecznego i sądzi, że pomiędzy fauną głębinową muszą się właśnie znajdować zwierzęta, obdarzone taką zdolnością. Przypuszczenie to jest bardzo śmiałe, nieprawdopodobne i na żadnych prawie faktach nie oparte.

Z daleko większą pewnością możemy przypuścić, że substancye organiczne zostają sprowadzane na dno morskie w postaci martwéj t. j., jako szczątki ciał roślinnych i zwierzęcych flory i fauny pelagicznéj, oraz lądowéj. Zważmy tylko, jak wiele substancyi organicznych doprowadzają do mórz większe rzeki. Tamiza wlewa codziennie do morza 5,443,200 metrów sześciennych wody, w któréj (pod Londynem) na każde 10,000 części wypada 370 części substancyi organicznych. Gdybyśmy przypuścili, że taki sam stosunek zachowuje się aż do ujścia rzeki, w takim razie Tamiza powinnaby wlewać codziennie w morze przeszło 200 metrów sześciennych substancyi organicznéj. Amazonka wprowadza codziennie przecięciowo 1,111 razy większą ilość wody do oceanu Atlantyckiego, aniżeli Tamiza. Jeśli więc przypuścimy, że ilość substancyj organicznych nie jest w niéj większa, niż w rzece Angielskiéj,— jakkolwiek Amazonka przepływa przez dziewicze lasy, tryskające życiem organicznêm i prócz tego sama odznacza się najbogatszą niemal w świecie fauną i florą słodko-wodną — w takim razie codziennie powinnaby ona doprowadzać do morza 222,200 metrów sześciennych substancyj organicznych. Zważywszy tedy, jak wiele rzek wpada do mórz i jak olbrzymie masy części organicznych znoszą one i gromadzą na dnie morskiém, łatwo ocenić, iż roślinność oraz fauna lądowa dostarczyć może ogromnych ilości pożywienia zwierzętom głębinowym. Oprócz tego roślinność, pokrywająca płytsze miejsca w morzu, stanowi także znakomite źródło pokarmu dla istot, zamieszkujących głębie. Wiadomo, jak gęstym lasem wodorostów pokryte jest niegłębokie stosunkowo dno tak zwanego morza sargassowego w ocenie Atlantyckim, które przedstawia przestrzeń, zajmującą cztery miliony kilometrów kwadratowych, a pokrytą tak gęstemi zaroślami, że w wielu miejscach statek parowy nie może się przez nie przedrzéć. Otóż obumarłe i gnijące części tych roślin, podobnie jak muł, sprowadzany przez rzeki, oraz martwe ciała zwierząt, począwszy od pierwotniaków, a kończąc na kręgowcach, porywane i roznoszone prądami we wszelkie okolice oceanów, opadają powoli na dno nietylko płytszych miejscowości, ale i największych głębin morskich, wytwarzając tu znaczne pokłady substancyj organicznych, które służą za pożywienie dla fauny głębinowéj.

Po tém krótkiém przedstawieniu ogólnych stosunków biologicznych fauny głębin morskich, rozpatrzmy bliżéj ważniejsze grupy zwierzęce, faunę tę składające.

Cały świat zwierzęcy rozpada się na dwie wielkie grupy, na pierwotniaki — *Protozoa*, oraz wielokomórkowce — *Metazoa*. Do

pierwotniaków zaliczamy istoty po większéj części mikroskopowych wymiarów, składające się z jednéj tylko komórki, albo téż z kilku, kilkunastu lub kilkuset komórek, połączonych z sobą luźno, łatwo się więc oddzielających wzajemnie i nie tworzących jeszcze żadnych tkanek określonych. U wielokomórkowców (*Metazoa*) ciało złożone jest z tysięcy i milionów komórek, ściśle z sobą połączonych i wytwarzających całe systematy najróżnorodniejszych kompleksów komórkowych czyli tkanek. Z gromad, należących do pierwotniaków, głębie morskie zamieszkuje tylko jedna, a mianowicie gromada korzenionogów (*Rhizopoda*). Te ostatnie są to istoty jednokomórkowe, złożone z bezkształtnych najczęściéj kłaczków białkowatéj substancyi, zwanéj plazmą lub zarodzią, i zawierają pośrodku jedno lub wiele gęstszych, mniej lub więcéj kulistych jąder. Plazma wydłuża się na obwodzie w tępe i grube, lub téż w cienkie, nitkowate wyrostki. Wyrostki te, zwane niby - nóżkami (*pseudopodia*), mogą się wciągać czyli kurczyć, lub téż wyciągać i wydłużać; wyrostki te rozgałęziają się częstokroć na podobieństwo włóknistych korzonków roślinnych, ztąd więc nazwa korzenionóżki (*Rhizopoda*). Wyrostki plazmatyczne służą do ruchu oraz do pochłaniania cząstek pokarmowych. Ernest Haeckel opisał korzenionogi, które są tak prostéj organizacyi, że nawet jądra są pozbawione, a składają się tylko z bezkształtnego kłaczka jednorodnéj plazmy. Ustroje te nazwał Haeckel m o n e r a m i. Nowsze atoli badania coraz bardziéj przemawiają za tém, że ustroje te nie są bezjądrowe, a jądra ich dają się w wielu wypadkach zauważyć przy użyciu pewnych barwników. Otóż do takich bezjądrowych moner zaliczono także w swoim czasie słynny w dziejach nauki organizm— *Bathybius Haeckelii*, o którym kilka słów powiemy. W roku 1868 znakomity zoolog angielski, Henryk Tomasz Huxley, badając próbki mułu z dna oceanu Atlantyckiego (wydobyte za pomocą ołowianki w czasie przeprowadzenia liny telegraficznéj transatlantyckiéj), znalazł bezkształtne mniejsze lub większe kłaczki śluzowatéj massy, którą uznał za plazmę i oznaczył jako jeden z najniższych organizmów mianem *Bathybius Haeckelii*. Zoologowie ekspedycyi na „Porcupine“, Wyville Thomson oraz Carpenter znaleźli również Bathybiusa i sądzili, że dają się w nim nawet dostrzedz zjawiska ruchu. Przypuszczano, że śluz ten pokrywa wszędzie dna wielkich głębi morskich, poczytywano go za pierwotny śluz żyjący, za pierwotnego jakby przodka całego świata organicznego. Wyville Thomson opisuje ten pierwośluz, jako sieć białkowatéj substancyi, powoli zmieniającą swe kształty. Odkrycie Bathybiusa uważane było powszechnie za wielką zdobycz naukową. To téż nie dziw,

że zoologowie ekspedycyi „Challengera“ zadali sobie bardzo wiele pracy w celu odszukania owego osławionego żyjącego śluzu głębin morskich. Pomimo najskrupulatniejszych badań nie odnaleziono go, ale zauważono, że jeśli nieco mułu głębinowego umieścić w spirytusie to pojawiają się w nim kłaczkowate, śluzowate massy. Buchanan wykazał, że to nie jest żaden śluz organiczny, lecz tylko osady siarczanu wapna czyli gipsu, w skutek działania alkoholu na wodę morską. Przypuszczano więc, że i sam Bathybius jest niczém inném, jak tylko osadem gipsu, sztucznie wytworzonym. Niektórzy przyrodnicy stanęli w obronie Bathybiusa, ale gdy w r. 1876, zoolog niemiecki Möbius na zjeździe przyrodników w Hamburgu, wytworzył raz jeszcze sztucznie, *coram publico*, Bathybiusa i wykazał, że tak się on barwi, jak to podawali zoologowie, którzy uważali twór ten za żywą istotę — wiara w żyjący pierwośluz upadła, a nazwisko Bathybiusa wciągnięte zostało ku wielkiemu niezadowolnieniu jego zwolenników nie do katalogu nowych gatunków, lecz tylko do archiwów nauki, stanowiąc bądź co bądź interesującą zawsze kartkę w dziejach biologii.

Głębie morza zamieszkane są przez przedstawicieli korzenionogów, należących do dwóch rzędów: otwornic (*Foraminifera*) i kraśników (*Radiolaria*). Otwornice posiadają plazmatyczne ciało, zawierające zwykle kilka jąder i pokryte z zewnątrz wapienną, rogową, a niekiedy krzemionkową skorupą. W téj ostatniéj znajduje się jeden większy lub téż bardzo wiele drobnych otworków, przez które wychodzą na zewnątrz nitkowate plazmatyczne niby-nóżki, tworzące delikatne siateczki. Skorupki otwornic przedstawiają albo jeden tylko oddział, czyli jednę komórkę, albo też szereg komór, oddzielonych od siebie przegródkami i leżących w jednéj płaszczyźnie i w jednym kierunku, lub też skręcone kolisto albo spiralnie. Dzięki wyprawie „Challengera,“ liczba znanych dotąd gatunków otwornic wzrosła o kilkaset. Dziewięćdziesiąt osiem do dziewięćdziesięciu dziewięciu odsetek ogólnej liczby gatunków zamieszkuje dno morskie w różnych głębokościach, a tylko około dwudziestu gatunków żyje na i przy powierzchni morza, czyli należy do t. z. fauny pelagicznéj. Te gatunki pelagiczne są niezwykle bogate w osobniki, a martwe ich skorupki, opadając na dno morza, tworzą tam grubą warstwę mułu (zwłaszcza gatunki rodzaju *Globigerina*). W wielkich głębiach panują formy z jednym tylko otworkiem w skorupce, która utworzona jest najczęściéj z różnych obcych ciał, jako to: ziarnek piasku, gliny i t. p. Najpospolitszemi mieszkańcami największych głębin morskich są rodzaje: *Astrorhiza, Pilulina* i t. d.

Kracinniki czyli radiolarye należą również do bardzo pospolitych mieszkańców morza. Są one, jak i otwornice, istotami jednokomórkowemi, a tylko niektóre ich formy są kolonialne. Organizacya ich jest wyższa, niż u otwornic, albowiem ciało ich składa się z dwóch części: wewnętrznéj i zewnętrznéj, oddzielonych od siebie delikatną błonką, przebitą otworkami. Na wewnątrz téj błoneczki znajduje się znacznéj wielkości jądro, zajmujące sam środek ciała. Zewnętrzna warstwa plazmy składa się z kilku znów drugorzędnych warstewek (trzech) koncentrycznie ułożonych i daje delikatne nitkowate niby-nóżki. Prócz tego w owéj zewnętrznéj części plazmy rozwija się szkielecik, najczęściéj krzemionkowy, niekiedy zaś utworzony z substancyi organicznéj. Kształty szkielecika radiolaryi bywają jaknajróżnorodniejsze i najfantastyczniejsze, szkielet ten składa się z igiełek albo luźno ułożonych w kierunku stycznych, lub też tworzy kule o ściankach siateczkowatych i kratkowanych; w kierunku promieni ułożone są większe pręciki i igiełki, częstokroć łączące się z sobą w samym środku kulistego ciała. W innych razach szkieleciki przedstawiają postaci hełmów, koszyczków, latarni, kielichów, kwiatów, dzwonków, stożków, czerpaczków, krzyżyków i t. d., słowem fantazya natury nie ma tu hamulca. Trzeba przyjrzéć się wspaniałym i kosztownym rysunkom w dziełach Haeckla, traktujących o radiolaryach, które zostały znalezione podczas ekspedycyi na „Challengerze“ i innych, ażeby ocenić całe bogactwo i piękno form tych mikroskopowych organizmów. Znaczna większość radiolaryj przebywa na i przy powierzchni morza, w wielkiéj odległości od brzegów, ale i w głębiach oceanów żyje niemała ich ilość. Opadające na dno martwe skorupki kracinników przyczyniają się do wytworzenia znacznych pokładów mułu, podobnie jak skorupki otwornic.

Tak więc z pierwotniaków, czyli najniższych organizmów zwierzęcych, liczni przedstawiciele dwóch grup: otwornic i radiolaryj należą do fauny głębinowéj i przyjmują nie mały udział w formowaniu pokładów dna morskiego. Z pozostałych typów zwierzęcych, faunę głębinową stanowią liczne gatunki: jamochłonnych, szkarłupni, robaków, mięczaków, stawonogów (a mianowicie skorupiaków) oraz kręgowców (ryb).

Jamochłonne (*Coelenterata*) są to ustroje, mające ciało miękkie, galaretowate. Charakterystyczną ich właściwość stanowi t. z. układ żołądkowo naczyniowy czyli gastrowaskularny. Ten ostatni polega na tém, iż z jamy żołądkowéj, w któréj odbywa się trawienie pokarmów, rozchodzą się bezpośrednio kanały, po których krążą soki odżywcze; tu więc organy trawienia i krążenia są połączo-

ne w jeden układ, gdy tymczasem u wszystkich innych zwierząt (wyjąwszy niższe robaki) organy trawienia są zupełnie oddzielone od układu krążenia czyli organów krwionośnych. Oprócz tego charakterystyczną cechę jamochłonnych stanowi to, iż ich jama pokarmowa posiada tylko jeden otwór, wiodący na zewnątrz i odgrywający rolę i gęby i odbytu. Najniższą grupę jamochłonnych stanowią gąbki (*Spongiae*). Te ostatnie posiadają wewnątrz miąższu swego ciała szkielet wapienny, krzemionkowy, włóknisty lub rogowy, szkielet ten, zazwyczaj delikatny, utworzony jest albo z różnokształtnych igieł, rozmaicie z sobą połączonych lub też z włókien, w najróżnorodniejszy sposób z sobą poplątanych. Gąbki wapienne zamieszkują płytkie wody, rogowe są również prawie wyłącznie mieszkańcami płytkich miejscowości. Z włóknistych znajdujemy już przedstawicieli w faunie głębinowéj, a pomiędzy niemi pewne formy odznaczają się szczególną pięknością. Tak np. *Radiella Sarsii* jest to niewielka gąbka głębinowa, w postaci płasko-wypłukłego krążka, którego brzeg pokryty jest pierścieniem migawkowych włosków i uzbrojonych igiełkami krzemionkowemi; *Esperiopsis Challengeri*—gąbeczka z głębokości 800 sążni, przedstawia się w postaci długiéj osi, pokrytéj liściowatemi wklęsło - wypukłemi tworami. Najwspanialsze gąbki fauny głębinowéj należą do grupy *Hexactinellidae*, których krzemionkowy, niezmiernie delikatny i misternie utkany szkielecik złożony jest z igieł, jak szkło przezroczystych. Gąbki te zamieszkują ogromne głębie, np. rodzaj *Hyalonema* znaleziony został na głębokości 1312 sążni; rodzaj *Pheronema* na głębokości 1500 sążni itd. Na dnie tych wielkich otchłani gąbki te tworzą miejscami całe gęstwiny, w wielkiéj rosnąc ilości oraz ściśle obok siebie. Jedne z nich mają postać koszyków, rogów obfitości, inne—podpartych klinów lub kielichów, jeszcze inne wyglądają zupełnie jak gniazda ptasie, grzyby kapeluszowe, wielokrotnie poplątane z sobą rurki itd., rzadziéj mają one postaci masywne, lub rozgałęzione. Gęste klomby tych różnokształtnych gąbek, ścielące się na dnie morskiém, przedstawiają niezmiernie swoisty i interesujący wygląd, a pomiędzy temi gęstwinami tysiące różnych innych zwierząt, zwłaszcza skorupiaki, znajdują bezpieczne ukrycie.

(*D. n.*) *Dr. Józef Nusbaum.*





MAREK CIUPAŁA.

I.

Otrząsło się słonko z mgły porannéj, senne przetarło powieki i jasném, złotém okiem spojrzało na świat boży, na lasy zielone i pola chwiejące się złotą pszenicą i żytem srebrném. Jak dobry, gospodarz, zajrzało w kąt każdy; przez wąskie okienko wbiegło do środka młyna, który stał na końcu wioski; do każdéj chaty wsunęło się przez szczelinę jakąś, a widząc, że młyn nie próżnował, lecz białą pianą pryskał i tyrkotał już na dobre, że ludzie z sierpami na pole, z kosami na łąki poszli — podniosło się wyżéj i duże, złote po jasnym sunęło błękicie. Na polach był ruch wielki, ludzi jak mrowia—dzwoniły kosy, zgrzytały sierpy i co chwila kładły się na ziemię, to duże snopy pszeniczne, to pachnące trawy pokosy. Urodzaj był wielki, więc się cieszyli ludziska i pracowali zawzięcie. Jeden tylko a spory pas pola nie otrzymał widać błogosławieństwa szczęśliwego roku. Mizerne kłoski żyta plątały się z pachnącym rumiankiem, pszenica nie lepsza, a ziemia pod nią była zaklepana i żółtym piaskiem świéciła. I na innych polach piasek był, a zakrywało go jednak gęste ściernisko — tutaj źdźbło liche, że pożal się Boże! Od świtu już uwijali się z sierpami ludzie, a na pólku oném żywéj nie było duszy.

Szeroką drogą wioski, krokiem leniwym i ociężałym szedł Marek Ciupała. Kosę na plecach niósł i dzbanek z wodą u pasa. A rosły i dorodny chłop był z Marka: kark jak u dworskiego byka, piersi jak wrota, prowadzące do gumna księdza Macieja i siłę niedźwiedzią miał. Szedł pomału jakby się czegoś ociągał, czasami spluwał na bok i coś mruczał niezrozumiale.

— Marku?—zawołał nagle głos jakiś przeciągle.

Chłop stanął i spojrzał zaspanemi oczyma przed siebie.

Na progu karczmy stał „pan arendarz“, kiwał rudą brodą i dwa duże palce założywszy w kieszenie rozpiętéj zupełnie kamizelki, mówił do Marka drwiącym głosem.

— A dokąd to tak rano?

— Na pole.

— Na poole? a jest tam co zbiérać?

Marek machnął ręką.

— A no, jak zawsze, więcéj rumianku niż zboża.

— To po co iść! lepiéj niech Marek do mnie zajdzie. Ja wczora przywiozłem z Wieniawy taki miód, że i dziedzic lepszego nie ma, a *fajne* miód!

Cmoknął ustami i rudą brodę pogładził.

— Ano, nie zawadzi spróbować kapkę—rzekł Marek.

— Na co kapkee? — ciągnął daléj gościnny gospodarz karczmy — taki miód u mnie kwartą i proboszcz pić będzie.

Marek się nie wahał, zdjął kosę z ramienia i już krok jeden postąpił do stojącego w drzwiach Chaima, gdy nagle ktoś go za rękę uchwycił i jakiś głos przestraszony a dźwięczny i błagalny zawołał za nim.

— Marku!... ja ciebie nie puszczę!...

Chłop się obejrzał i gniewnie brwi ściągnął, chciał już wybuchnąć, ale się jakoś pomiarkował.

— I czego ty odemnie chcesz, Kachna?—zapytał ponuro.

Kaśka patrzyła w twarz Marka, z dłoni swojéj rąk jego nie puszczając, w błękitnych oczach kręciły się dwie łzy i usta drżały.

— Miałeś ze mną na pole iść — szepnęła.

— To i co? — zapytał ostro.

— Nikt ci nie pomoże zebrać, jeżeli nie ja, ludzie już wszyscy powychodzili, słonko wysoko... a ty?...

Marek się zawahał, ale na progu karczmy stał Chaim i śmiał się czegoś, aż brzuch mu się trząsł. Widać śmiał się z Marka, że dał się dziewczynie zatrzymać.

— Kachno, puść!... — zawołał niedobrym głosem.

Ale Kaśka uczepiła się ramion i w przeciwną ciągnęło go stronę, ku polom.

— A ruszysz ty precz, zatracona! — huknął Marek i jednym ruchem ręki odtrąciwszy dziewczynę, za tryumfującym Chaimem do karczmy wszedł.

Dziewczyna stała chwilę przerażona i blada jak chusta. Płakać zrazu nie mogła, bo wielki ból serce jéj ścisnął. Późniéj jednak ciche łzy zaczęły po jagodach płynąć, zatrzymała się u płotu, o pień topoli się oparła, która szumiała zielonemi liśćmi, z wietrzykiem

porannym bawiąc się — i płakała. Ale wszystkiemu jest koniec. Ciepłe powietrze łzy wysuszyło, wilgotne jeszcze powieki otarła białym fartuchem i tylko smutna bardzo, wziąwszy sierp zostawiony na progu chaty, w pole poszła. Wyszedłszy za wrota wioski, parę razy obejrzała się za siebie, jakby chciała dojrzéć kogoś, ale na drodze szerokiéj nikogo nie było.

— Głupia ty, Kachno, głupia! —szepnęła cicho— i po co przepadasz tak za nim?!...

Marek tymczasem pił miód słodki, zaprawiony wódką i korzeniami; policzki miał zaczerwienione i jakieś gorąco w żołądku czuł, którego nie mógł przytłumić, podawanym przez gościnnego Chaima napojem.

— A jak wam, Marku, smakuje? — pytał Chaim.

— Sam do gęby lézie— odpowiedział Ciupała, bełkocąc, i blaszanką w stół palnął.

— Daj jeszcze, żydzie!

Obudził się koło południa, spojrzał na słońce i zębami zazgrzytał. Nie iść mu już na pole, bo by się ludziom naraził na śmiéch, i nie wracać do domu, bo stary ojciec, co ledwo nogami włóczy, sierdziłby się za dzień zmarnowany i grosz przepity. Dopiéro, gdy ludzie z pola poprzychodzą, pójdzie na zagon swój, by snopów kilka użąć, i tego będzie dosyć!

Wyszedł z karczmy, zaszył się w żydowskie konopie i daléj spał.

Nie staje słonko, żeby poczekać na tych, co z pracą lub dobrą myślą spóźnili się; nie powraca dzień przespany albo zmarnowany na złém.

Marek obudził się wieczorem. Porządny kawał konopi wytłukł żydowi ale na to nie zważał, podniósł się, przyklęknął i nasłuchiwać zaczął. Ze wszech stron dolatywały do niego głosy różne: ryk krów i owiec bekanie, szczekanie psów, radosne rżenie koni, nawoływanie parobków i śpiéwy dziewcząt wracających z pola, a całéj téj muzyce wioski przewodził dzwonek kościelny, którego dźwięk płynął górą nad lasy i pola i hen — precz! w dalekiéj dzwonił jeszcze dąbrowie. Marek się podniósł, pochylił w pół pasa i rozgarniając ostrożnie twarde łodygi konopi, iść zaczął. Dopadł do wierzchowiny stawu, prześliznął się przez oczeret, chlupiąc trochę po błocku i dopiéro gdy na przeciwnym brzegu stanął, wyprostował się i miedzą zieloną ku swojemu polu pośpieszał.

Wieczór był cichy, ciepły; słonko ostatnie rzuciło promienie i całowało dużém ziarnem pszenicznėm napełnione kłosy, które kołysały się lekko, szumiąc niby fale wielkiego jeziora. Tu zagon Stacha, tam Piotra łan duży, a tu Bartłomieja żyto bez mała Mar

kowego wzrostu, a na lewo i prawo równym szeregiem już kopy stały, ściernisko było gęste, że wążby się nie prześliznął. Jakiś gniéw opanował duszę Marka i zazdrość nie ludzka. Pełną dłonią chwytał kłosy pszeniczne, zrywał i rzucał pod nogi, klnąc siebie i dolę swoję. Tam, za żytem Bartka, jego rozciągało się pole i kawał łąki z jeziorkiem błotnistém i gruszą, Janowa zwaną, przy któréj ocembrowana stała krynica. Wróciłby, ale mu pić się zachciało... Przyśpieszył więc kroku i szedł daléj! Łan żyta się skończył, Marek wszedł na swój zagon i wstrzymał się nagle. Oczy otworzył szeroko i patrzał przed siebie zdziwiony bardzo.

Dwie kopy pszenicy użętéj stało na jego polu.

Obejrzał się: dokoła było pusto, z bliskiéj łąki tylko chłód wiał, bo słońce już się zatoczyło w cichą głąb nieba i cień różowy, jak to po zachodzie bywa, rzuciło na ziemię. Marek się poruszył, ale zaledwie kroków parę postawił, gdy do jego ucha doleciał szmer żętego zboża; wyciągnął szyję i dojrzał z daleka jakąś postać białą, która się to schylała, to podnosiła, kładąc mizerne snopki na ziemię.

Marek poczerwieniał i bliżéj postąpił.

— Kachno! to ty? — wyszeptał.

Żniwiarka odwróciła się, założyła sierp na ramię i głosem spokojnym odrzekła:

— Ja, abo co?

Pot kroplisty spływał jéj z czoła, ręce miała poczernione i w kilku miejscach zranione palce.

— Chodź, Kachno! — rzekł przycichłym głosem — koło krynicy siądziemy i pogadamy.

Kaśka opuściła podniesioną do kolan spódnicę, fartuchem pot na twarzy otarła i milcząc szła koło Marka.

Weszli na łąkę i do krynicy się zbliżyli. Marek bańkę przywiązaną do sznurka zapuścił w głąb, woda bełkocąc napełniła naczynie, które on z chciwością do ust swych przytknął i pił zapamiętale.

— A ty chcesz? — zapytał dziewczyny, podając jéj bańkę.

— Daj!...—wyszeptała Kaśka — nie piłam cały dzień, żeby tobie te duże kopki postawić a ludzie się z ciebie nie śmieli. Zaczęłam od brzegu, by tu mnie nikt zobaczyć nie mógł za wysokiém żytem Bartkowém.

Marek patrzał ponuro w ziemię i dychał ciężko.

— A na waszém polu... kto? — zapytał po chwili.

— Brat — odpowiedziała dziewczyna, odejmując gliniane naczynie od ust spalonych.

Marek poruszył się niecierpliwie.

— Będzie łajał ciebie, żeś z nim na zagon ojcowy nie poszła.

— To i co? pogniéwa się i przegniéwa, ale nikomu nie powié, że twoje żęłam zboże, nie powié, jeżeli poproszę o to.

— Dobra ty Kachno, ja to wiem! ale wolałabyś żąć gęstą pszenicę, gdzie snopy same na sierp się kładą, niż łapać kłosek za kłoskiem... w tém śmieciu.

Rzucił głową, wskazując na łan swój.

— Marku, nie mów tak! nie byłoby tego śmiecia, gdybyś ty uczciwiéj swój zagon uprawiał.

— Et! piachy, trudu nie warte!

Machnął niechętnie ręką.

— Nie, nie, ty Marku źle mówisz, i Bartkowe pole nie lepsze, a patrz ino, pszenica jak las. I na twojém było inaczéj nim choroba nogi staremu odjęła a matuś zmarła. Ale ja sama pamiętam jak ziemi swojéj i nawozu nie pożałował i zorał drobniutko. Srebrzyła się żytém i pszenicą złociła, i składał się grosz do grosza na dzień czarny... Ale ty Marku dobytek ojcowski marnujesz, z niedobrymi przystajesz ludźmi, ot co!

Złe ognie zabłysły w oczach Ciupały, sumiastemi ruszył wąsami i poczerwieniał, jakby mu kto do twarzy gorącéj nalał krwi.

— I ty jeszcze... wiedźmowa córko, w oczy mi ćwikać będziesz próżniactwem? Nie dosyć, że ojciec gdérze od ranka do nocy aż mi w uszach szerszeniem dzwoni; że ludzie trącają się łokciami, gdy spóźnię się na pole z robotą a dowcipkują parobki i dziéwki, po zachodzie słońca dzień dobry mi mówiąc? jeszcze i ty?... Czekać ino, jak psy własne ujadać za mną zaczną i łydy kąsać!...

Chciał mówić daléj, ale mu tchu zabrakło, porwał naczynie z wodą i łapczywie pić zaczął. Kaśka stała przed nim jedną ręką oparta o cembrzynę i przez łzy w twarz mu patrzyła. Czerwono jeszcze było na ziemi, choć słonka nie było, więc łatwo Marek dostrzegł w błękitnych oczach łzy, które świéciły jak na bławatkach rosa wieczorna. Zmiarkował się trochę i cichszym głosem się ozwał.

— Pójdę ja w świat daleki, niech tylko ojczysko zemrze — pójdę!

Dreszcz strachu przeleciał po Kaśce, obiema rękami pochwyciła dłoń miłego i w silnym zatrzymała uścisku.

— Marku! — jęknęła.

— Co? — spytał krótko, z pode łba patrząc.

Dziewczyna nie mogła powiedziéć nic, usiadła na brzegu krynicy ale z dłoni nie wypuściła ręki Markowéj.

— Jak tylko ojczysko zemrze — ciągnął Marek — nie porać mi się z piachami temi, sprzedam ojcowiznę Niemcowi i pójdę w świat.

— Nie godzi się ziemi rodzonéj zaprzedawać — szepnęła dziewczyna...

— Pójdę, i koniec! — rzekł z mocą.

Kaśka siedząc na brzegu krynicy nie odpowiadała nic, oczy w dół opuściła, ale widać było, że jakąś myśl miala, z któréj się szczerze wyspowiadać nie mogła. Gniotła tylko fartuch biały niecierpliwemi palcami, od czasu do czasu marszczyło się jéj czoło a serce biło. Siedzieli tak oboje na brzegu cembrzyny i milczeli. Marek kopał nogą ziemię, ukradkiem rzucając wzrok na zakochaną, która była bardzo smutna.

Zmierzch zapadł, zeszedł księżyc czerwony, wieczorna rozpoczęła się muzyka. Zabrzęczały komary nad wodą, niepewnym głosem w zbożu odezwały się przepiórki, zahuczał bąk w trzcinach, a z błotnistego jeziorka odezwały się żaby: kum-kum...

Marek wstał i rzekł raz drugi.

— Pójdę i koniec!

Twarz Kaśki pobladła.

— Gdybyś miał Bartka pszenicę a żyto Maćka, to zostałbyś? — spytała.

— A no... może..

Dziewczyna podniosła głowę, dużemi oczyma wpatrzyła się w pochmurną twarz Marka i głosem drżącym szepnęła.

— Gdybyś ty, Marku, pokochał mnie i wziął za swoję... możeby i było tak!

Marek pokręcił głową.

— Kawałek pola mam... twojego blisko, miedza z miedzą się łączy—ty wiész! Razem—to kawał spory a czworo rąk nie dwoje. Każem ziemi rodzić kłosy duże i ziemia nas posłucha. Trud jeden na ramion dwoje to ciężar nie wielki—a lepsza własna chata niż cudzy dwór, smaczniejszy chléb z własnego zboża niż darowane kasztany. Nie sprzedawaj ty ojcowizny a mnie sobie weź.

Zasromanemi oczyma patrzyła w twarz miłego i odpowiedzi czekała. Bladła to czerwieniała a serce jéj biło gwałtownie, jak dzwonek kościelny, kiedy uderza na pożar.

Marek milczał, lewą ręką tylko drapał się w głowę i coś mruczał.

— A brat by ciebie mnie dał?—zapytał nagle.

Kaśka odetchnęła głęboko, jakby zrzuciła kamień z piersi, co ją gniótł nielitościwie.

— Nie twoja to już rzecz, szepnęła—Szymon zrobi wszystko, co zechcę, bo kocha mnie bardzo.

— A ty mnie miłujesz na śmierć?—zapytał jeszcze Marek.

— Na śmierć!—odpowiedziała.

Głos jéj w cichém zadzwonił powietrzu jakąś uroczystą przysięgą, że aż Markowi zimno przeszło po ciele i serce się zatrzęsło. Obejrzał się, nie wiedząc sam czego—i jakiś strach go ogarnął. Czuł, że ta dziewczyna stojąca przed nim, od téj chwili, czy zechce on czy nie zechce, panować nad nim będzie. Ujął ją za rękę i pociągnął za sobą. Zbliżyli się do tych dwóch kóp mizernego zboża użętych ręką Kaśki. Marek wziął snop jeden do ręki, przypatrzył się, pracowicie wybranym z zielska źdźbłom pszenicznym i ściskając dłoń ładnéj dziewczyny.

— A może by to i dobrze było, Kachno!—wyszeptał.

Nie przygarnął jéj jednak do serca, ale Kaśka nie zważała na to; przytuliła się, szczęśliwa, do jego ramienia i tak oparta szła z nim razem do Szymonowéj zagrody.

II.

Niecierpliwił się Szymon, że tak długo nie było Kachny. Stara baba, którą z miłosierdzia do chaty swojéj przyjął i ciepły kąt dał, ugotowała już dawno wieczerzę, ale on bez siostry nigdy ławy nie zasiadał, i choć głodny był jak wilk, czekał na nią. Wiedział, że Kachna na Markowém żęła polu, wiedział, że przepadała za niegodziwym człowiekiem, który pracować nie lubił, marnował przez ojca zostawiony mu dobytek, ziemię zapuścił, że tylko chwasty a dziki rumianek rodziła: ale, że chłop był jak malowidło, garnęły się dziewki do niego, lecz widząc, że Marek o żadnéj nie myśli, dały pokój zalotom—jedna Kachna tylko z sercem swojém poradzić nie umiała, i, gdy się odwracali od niego ludzie—ona się doń więcéj garnęła, im więcéj napadali—ona go broniła goręcéj i sercem lgnęła. I roiło się w głowie dziewczynie, że gdy ją Marek pokocha, zmienić się musi. Szymon to widział a o kochaniu jéj z jej własnych słów się dowiedział, bo między rodzeństwem, co po bożemu żyło, nie było żadnych tajemnic. Ale Szymon żałował Kachny i zmarnowanego kochania; tłómaczył, połajał raz nawet, lecz zobaczywszy łzy i to łzy smutne jakieś w błękitnych oczach Kaśki—za połajankę przeprosił i tylko cierpiał z nią razem. Rodziców już nie mieli, Szymon jako starszy opiekował się siostrą i gospodarzył na wspólnym ziemi kawałku.

Dzisiaj nie tajném mu było, że Kaśka, chcąc miłego przed drwinami ludzkiemi zasłonić, poszła na jego zagon i zasłoniona Bartkowém żytem a wydmą górzystą, na jego polu żęła; kazał babie drew więcéj podrzucić, żeby nie ostygła wieczerza, zapalił łojówkę i siadłszy przy stole na ławie, oparł głowę o dłoń spracowaną, na siostrę czekając.

Nie długo czekał—zaklekotał drewniany kołek, cicho otworzyły się drzwi i weszła Kaśka.

Ze zdziwieniem spojrzał Szymon w twarz siostry. Niebywałe rumieńce krwią żywą biły na jéj licach, oczy błyszczały jak na pogodném niebie gwiazdy jasne. Pocałowała brata w rękę i usiadła naprzeciw.

— A co tam, siostruniu?—zapytał brat,—wiele postawiłaś kopek na polu Markowém?

— Dwie i snopów kilka.

— Oho! zaśmiał się Szymon—to cały już mu łan zżąć musiałaś?

Kaśka srebrnym odpowiedziała śmiechém.

— A Marek prędko po tobie przyszedł? ciągnął brat daléj.

Zaczerwieniła się dziewczyna, ale kłamać nie umiała.

— Wieczorem—szepnęła cicho.

— A nicpoń! a hultaj...

— Braciszku! głosem błagalnym—odezwała się Kaśka.

Szymon urwał w pół słowa, pokręcił tylko głową i kazał babie wieczerzę dawać.

— Żal mi ciebie, Kachno!—rzekł łagodnie—uśmiechnął się i pocałował siostrę. Czy wiész co? zapytał po chwili—dziś, kiedym na polu żął, podszedł do mnie Bartek i o ciebie prosił.

— Nie, nie, nie,—odpowiedziała, trzęsąc głową.

— Gospodarz znaczny, człek złoty a miłuje ciebie jak wróbel drzewko wiśniowe.

— Nic z tego, nic z tego—powtarzała wciąż Kaśka.

Szymon się zaczął sierdzić.

— Czy chcesz do śmierci dziéwką pozostać? Bartka takiego i pisarzowa by wzięła i dworska panna nie powstydziłaby się za niego za mąż wyjść. Ej! Kachno—nie marnuj młodych latek, bo te jak woda przepłyną, nie wrócą jak woda.

— Marek mnie weźmie — głosem spokojnym odpowiedziała dziewczyna.

— Marek?... i kiedy ty siebie oszukiwać przestaniesz?

— Szymku! on o tém mówił mi, gdyśmy razem do domu wracali. Nie sprzeciwiaj się ty nam—on ze mną będzie inny i ojcowizny nie straci, bo ja nie pozwolę.

Gdy Kachna mówiła, Szymon usta i oczy szeroko otworzył, tak mu dziwną wydawała się ta mowa. Marek by się przemienił dla dziéwki jednéj? dla liczka gładkiego próżniactwo by porzucił? a skąd tak nagle kochanie w serce mu powiało? nie—temu wierzyć nie mógł!

— Szymku! co ty na to? zapytaniem skończyła Kaśka.

— Ja—ja,—zająkał.

Kołowrotem latały mu myśli po głowie, że mówić nie mógł? Może Marek i wziąłby dziewczynę ale nie dla tego, że rozkazało mu tak serce, wziąłby dla grosza, który ojciec i on siostrze na wiano zachował; dla kilku morgów pola, co do niéj należało, by wszystko to puścić na marne a ją późniéj ni to panną, ni wdową zostawić. Kochał siostrę, zarąbać by się dał dla niéj, ale na to nie pozwoli.

— Szymku! co ty na to?—zapytała znów siostra.

— A no! zobaczymy; nie śpiesz się ino... niech pracować zacznie—zobaczymy!

Kaśka skoczyłą, ucałowała dłoń brata, który ją serdecznie do piersi przytulił.

— Idź, Kaśko—pomódl się do Najświętszéj panienki, by tak było, jak ty chcesz i jak ja pragnę...

Wstał z ławy, otarł usta rękawem, bo wieczerza była skończona, i wyszedł na podwórko.

Kachna długo usnąć nie mogła. Marzył się jéj Marek uginający się pod ciężkiemi snopami pszenicy, stawały kopy na polu jak chaty duże... późniéj ksiądz, ślub.

Usnęła.

Przez małe okienko wbiegł srebrny promyk księżyca do izby cichéj i patrzał w przymrużone powieki śpiącéj dziewczyny.

Na przeciw Szymonowéj zagrody stała karczemka, gdzie Chaim gospodarzył. W sześcioszybowych oknach było jasno a gwar bił z wnętrza i do uszu stojącego na podwórku Szymona dolatał. A no, i on nie gardził kwartą miodu lub sporym kielichem mocnéj gorzałki, ale upijać się nie lubił, bo to uczciwego człowieka w nierogate stworzenie przemienia. Ale zajść, pogwarzyć z sąsiadami o rzeczach przeróżnych, dowiedzieć się o tém i owém, coś nowego od przyjezdnych ludzi zasłyszéć—to zawsze się człeku przyda i rozumienie jego o świecie rozszerza. Zatkał więc kołkiem drzwi chaty i do karczmy podybał.

W obszernéj izbie zebrało się dużo ludu. Starzy rozprawiali o rozpoczętém żniwie, parobcy umizgali się do dziéwek a baby wszystkie naraz mówiły, chcąc jedna drugą przegadać. Gdy Szymon przestąpił próg, wstał od stołu parobczak młody, wysmukły jak naszych lasów sosenka, i szybko podszedł ku niemu.

— A mówiliście z Kachną, Szymonie?—zapytał cicho.

Szymon zwrócił się do ławy, stojącéj w samym rogu izby, i rzekł.

— Siadaj—gadać będziemy.

Usiedli naprzeciw i podparli się o stół łokciami. Bartek badawczo patrzał w twarz Szymona i czekał.

— Marek o Kachnę prosił—odezwał się ten ostatni.

Bartek poruszył się gwałtownie, aż ława zatrzeszczała.

— I ty mu ją dasz?—zapytał.

— Dam—odpowiedział Szymon—dam, bo Kachna go kocha. Ale dam wtedy dopiero jeżeli uczciwą pracą na tę złotą zasłuży dziewczynę.

Bartek spochmurniał jak noc.

— Dolo moja—szepnął cicho—dla czego ty mnie skrzywdziłaś tak srodze?!..

— Skrzywdziła i nie skrzywdziła—kto to wie?—rzekł Szymon.

— A jeżeli się istotnie Marek poprawi, to co?—pytał znów Bartek.

— Kachna dostanie szczęście, a wieś nasza człowieka dobrego. Czy źle?

Bartek nie znalazł odpowiedzi.

— Kumie!—rzekł po chwili—ty językiem tak rżniesz jak nasz Bartłomiéj kosą... Chciał jeszcze coś mówić, ale drzwi się otwarły i wszedł Marek.

Cichy szept popłynął dokoła, jak to bywa na stawie, gdy wiatr przybłęda oczeretem potrąci i zaszumi. Trącili się łokciami i gwar ustał na chwilę.

— Marek!

— Nie widziałem go dzisiaj z sierpem na polu.

— Pić przyszedł!—szepnął Szymon przez zęby.

Ciupała wszystkich wzrostem przenosił, a że siłę miał niepomierną i gwałtownikiem był, nie każdy lubił leźć mu w oczy. Serca u swoich nie znalazł, bo nie zasłużył się niczém gromadzie, a jakkolwiek nic złego drugim nie zrobił, rozpustował, rozum swój nad innych wysadzał a często pijany walał się w żydowskiéj karczmie pod stołem. Że był dorodny jak mało, kochały się w nim zrazu dziewczęta, ale prędko odskoczyły niby owieczki od wilka, co Marka taką napełniło złością, że pluł na świat cały a siebie przeklinał. Winni tu trochę i Marka rodzice byli, bo rozpieszczali jedynaka, a że stary miał grosza nie mało i ziemia, koło któréj pracował, rodziła dobrze, dawali synowi wielką swobodę. Gdy matka zmarła a staremu ojcu choroba odjęła nogi, Marek prędko gotowiznę z rąk puścił a zaniedbana ziemia rodzić przestała. Wkradła się bieda—

podsunął się Chaim. „Pożyczę“—mówił. „Dawaj!“ Brał Marek grosz lekki—pił i lazł w błoto. Mówiono też i o jakimś Dyzmie, z którym się był roku zeszłego na jarmarku zapoznał i ten do reszty głowę mu przewrócił opowieściami o swobodném na wielkim świecie życiu. Od téj chwili opuścił się więcéj, myśląc ciągle o Dyzmie i mieście murowaném.

Przestąpiwszy próg karczmy, kiwnął od niechcenia głową gospodarzom i usiadł na ławie, obadwa łokcie na stół rozkładając. Był bardzo zamyślony i ponury. Szymona nie widział, bo Bartek sobą go zasłaniał a teraz sam siadłszy na drugim końcu izby, plecyma się do niego obrócił.

Przerwana na chwilę rozmowa wybuchnęła znów z całą gwałtownością; milczeli tylko Bartek i Szymon, który z podełba patrzył na ukochanego Kaśki.

Chaim zobaczył Ciupałę, podbiegł szybko, klapiąc pantoflami i dużą kwartę miodu przed nim postawił.

— Nie chcę!—rzekł Marek krótko, odsuwając podany napój.

Żyd z wielkiego zdziwienia brwi podniósł, gębę wykrzywił i dziwnie szyję wykręcił.

— To miód, co ja umyślnie dla „pana Marka“ z Wieniawy sprowadził—fajne miód!... i podsunął kwaterkę.

— Nie piję!—syknął Marek przez zęby.

Żyd zgłupiał.

— *Wuse dues*? czy to ziemia ma stanąć do nogi górami? zapiszczał, przekręcając wyrazy ze wzrastającém coraz bardziéj zdziwieniem. To miód? krzyknął w samo ucho Marka, podnosząc mu do ust kwaterkę.

Nagle stół, na którym spoczęła wściekła pięść Marka, z trzaskiem poleciał na ziemię, szyby zadzwoniły gwałtownie, starzy zerwali się z ław, baby wrzasnęły a jedna z nich potoczyła się z ławy na środek izby, krzycząc jakimś kocim głosem, co wywołało śmiéch ogólny... w ślad rozpaczliwy krzyk Chaima: „aj waj!“ zabrzmiał w powietrzu. Zrobił się tumult — śmiéch gwałtowniejszy wstrząsnął ścianami karczmy: Marek przerażonego żyda chwycił za kołnierz chałata i rękę wyciągnąwszy, trzymał go tak w powietrzu. Chaim machał rękami jak wiatrak, rozmaite figury kréślił nogami, chcąc ziemi dostać... wił się i krzywił, jakby ostatnia przyszła na niego godzina. Marek raz jeszcze wstrząsnął nim, by gruszą, i rzucił w kąt. W tém Szymon przystąpił do Ciupały.

— Marku!—rzekł—czy widziałeś, że ja tu jestem?

— Nie—ale teraz widzę i pytam: czy dasz mi Kachnę za żonę?

— Dam!—odpowiedział Szymon, jeżeli tak jak Chaimem, cepem będziesz machał.

Arendarz głowę z kąta wysunął i rudą brodą pokręcił.

— Cepem niechaj macha—odezwał się—ale Chaimem na co?

Śmiéch znowu buchnął; Szymon z Markiem opuścili karczmę.

Marek, nie mówiąc słowa, odprowadził Szymona przez drogę do chaty, a sam do swojéj zagrody się udał.

Szedł jak senny, myśląc o Kaśce; dał jéj słowo, nie wiedząc sam, jak do niego przyszło. Czy miłował on ją?—sam nie wiedział. Ładną była—no! ładną bardzo—to nic! ale dobrą jak matka rodzona. Nie śmiała się z niego nigdy; broniła go, gdy ludzie się śmieli; ukradkiem użęła mu dwie kopy pszenicy, niby to on. A co więcéj, parobek niejeden w piekielny by żar za nią skoczył, bogaty Bartek nawet, którego i dziedzic szanuje i organista; ona—jego przeniosła. Czy miłował ją?—zagadka! ale nie mógł jéj z przed siebie usunąć. Zamykał oczy—wsuwała się mu pod powieki; zatulał uszy—słyszał jéj głos uroczysty, gdy mówiła: na śmierć!.. I zimno mu się robiło, taką siłę miała w sobie ta przysięga.

Chwiał się, szedł jak senny i nie wiedział, jak i kiedy doszedł do chaty ojcowéj i próg świetlicy przestąpił.

Stary Jur leżał na słomie, ale nie spał—czekał na syna. Głowę miał zupełnie łysą, oczy zapadłe, brodę białą jak mleko. Łagodny blask księżyca przez małe okienko na twarz mu padał i stary bawił się z tém światłem cichem, wyciągał ręce i gładził powietrze srebrzyste...

Marek otworzył drzwi.

— To ty, synku?—odezwał się ojciec.

— Ja—szepnął Marek—nie śpicie jeszcze tatulu?

Stary poruszył głową.

— Nie chcę—nie chcę... napatrzyć się trzeba na świat boży—sen mnie nie minie, Marku,—długi... długi... długi...

Marek się pochylił, wziął ojca za rękę i szepnął:

— Nie gadajcie tak, tatuś—bez was mi będzie źle!

Stary wypatrzył się na syna—nigdy Marek tak miękkim nie mówił głosem.

— A co ja tobie?—rzekł. Czy w polu pomagam—dopatrzę chudobę—dla koni owsa omłócę?.. Ja tobie na nic!

Marek poruszył głową.

— Ej ojciec, ojciec...—odszepnął—kto wié czy nie wy tylko w téj chacie mnie trzymacie. Nie umierajcie, póki ja...

Zatrzymał się.

— Co Marku?—zapytał stary.

— Póki ja uczciwszym się nie stanę — dokończył szeptem prawie.

Stary nie dosłyszał słów ostatnich, bo trochę głuchy był; obrócił twarz na światło księżyca i znowu ze srebrnym bawił się blaskiem.

— Marku!—odezwał się po chwili—byłeś na polu?

— Byłem—odpowiedział syn posępnie.

— Jak tam muszą trawy pachnąć a grać komary! Toż to już piąte lato, jak ja ziemi swojéj nie widział... jak kłosów pszenicznych nie gładził, nie pił wody z krynicy téj, którą sam wykopałem na łące i dębowe cembrzyny dałem! Czy jest tam jeszcze moja krynica na łące?

— Jest, ojcze—odpowiedział Marek.

— Jaka tam woda zdrowa!... Gdybyś mi kiedy, Marku, wody z téj krynicy przyniósł?... a pszenica na Borsuczym Wygonie—musi być bujna?

— Jak las, ojcze!..—rzekł Marek ciszéj.

— Jak las!.. a ja zobaczyć nie mogę!.. Jak ona zawsze szumiała ładnie a do kolan mi się kładła, kiedym, w dobry czas, z sierpem do niéj przychodził.

Zamyślił się chwilę i znów pytał:

— Marku! a grusza Janowa stoi na zielonéj miedzy.

— Stoi, ojcze—tylko piorun, co dwie niedziele temu uderzył, brzydko korę jéj rozpruł.

Stary posmutniał.

— Sadził ją Jan, mój ojciec, który po dziadach na téj ziemi siedział i potem swoim a krwią polewał. Polewał i ja—na ciebie kolej teraz, Marku!..

Musnął powietrze srebrne, wspomniał raz jeszcze o krynicy na łące, o gruszy Janowéj... i zasnął.

Marek siedział na ławie i patrzył w oświetloną przez księżyc twarz ojca, który oddychał równo.

III.

Zaledwie niebo pobielało na wschodzie, gdy trzykrotne stuknięcie w małą szybkę okienka zbudziło Kaśkę ze snów przyjemnych. Zerwała się na równe nogi i nie budząc chrapiącego na całą izbę Szymona, wybiegła za próg. Przed chatą stał Marek: ostra kosa świeciła mu na ramieniu a sierp za pasem. Kaśka dużemi oczyma spojrzała na niespodziewanego a tak jéj miłego gościa.

— Kachno! chodź ze mną na pole!—jakimś dobrym odezwał się głosem.

Dziewczyna w dłoń klasnęła; Marek z uśmiechem mówił daléj.

— Ino się na mnie nie gniewaj, żem ciebie tak raniutko obudził i gnam do pracy.

— Nie praca to dla mnie lecz odpoczynek, niedzielny dzień, Marku! święto prawdziwe! Dobra dola się dla mnie zaczęła z wieczorem wczorajszym—ty o tém wiesz! Nie gniewaj się teraz ty na mnie, gdy się zapytam: kto ciebie zbudził tak rano?

— Ty, Kachno!—odpowiedział Marek.

— Ja?..

— Tak... ty!—powtórzył z mocą.—Przez nockę całą stałaś mi w oczach a rano obudziłaś; jakim sposobem, ja nie wiem, ale obudziłaś. No—chodźmy!

Kaśka poskoczyła do krynicy, umyła twarz i ręce zimną wodą, i założywszy sierp na ramię, szczęśliwa, jaką nigdy jeszcze nie była, wyszła z Markiem na ulicę.

Powoli budziła się wieś: tu i tam zaskrzypiały wrota, koguty piały na gwałt, w strzechach chat poruszyły się wróble i świérgocząc, zlatywały gromadnie na ziemię, trzepocąc skrzydłami i kąpiąc się w kurzu; bociany klekotały, gotując się do wypraw zbójeckich na mokre łąki, a z kościelnéj wieżyczki dzwonek uderzył żelaznėm sercem i bił ludziom na dzień dobry. Wschód się różowił, złocił—na trawach bujna rosa świeciła blaskami drogich kamieni.

Marek i Kaśka szli szybko przez wieś a tak byli zajęci sobą, że nie widzieli, co się w koło nich działo—a nie jedna gęba ze zdziwienia się otwarła, widząc Ciupałę, idącego tak rano na pole. Nasamprzód dostrzegł go organista. Kasper Kokociński, który wyszedł na próg swojego domu, w długim surducie, w butach za kolana, przypatrzyć się a u r z e, jak to lubił mówić, i być już co do pogody przez dzień cały spokojnym, spojrzał i oczom swoim nie chciał wierzyć. Zatrzymał się, dobył okulary o dużych szkłach i założywszy je na koniec ogromnego nosa, przypatrywał się bacznie idącemu z Kachną Markowi.

— Ciupała czy nie Ciupała?—pytał sam siebie ochrypłym głosem. On—na Częstochowską tabakę—on! Teraz już żaden filozof nie zgadnie, jaka dzisiaj pogoda będzie.

Wielkim palcem prawéj ręki wepchnął do nosa sporą dozę ulubionego proszku, i kichnął okrutnie.

— Katar!—rzekł zdziwiony.

Pan Kokociński od tabaki nie kichał nigdy.

Na progu karczmy Chaim aż cmoknął ze zdziwienia, widząc niezwykłe zjawisko; baby przechylały się przez płot i głowami krę-

ciły, trącały się dziewczęta łokciami i szeptać zaczęły, że Kaśka ziele jakieś dać musiała Markowi, a parobcy ruszali ramionami i śmieli się głośno, lecz mieli złość i żal na sercu. Najwięcéj jednak pomarkotniał Bartek, bo najszczerzéj Kaśkę miłował. Oparty ręką o wiadro drewniane, stojące na cembrzynie krynicy, bo właśnie koniom wodę do koryta nalewał—patrzał długo za nimi przygnębiony i smutny. Gdy znikli mu z oczu, zapuścił w głąb' krynicy wiaderko i szepnął wzdychając:

— A no—byleby ona z nim szczęście miała!

Wylał wodę do koryta.

— Pijcie koniki, pijcie... i w pole!

Weszło słońce wysoko—na polach zadzwoniły sierpy i kosy. Szymon zazierał często na łan Markowy i widział, jak Ciupała pracował, zginał się, żął to kosił, jak gdzie wypadło. Koszulę miał mokrą, jakby tylko co wyszedł z kąpieli, pot kroplisty spływał mu z czoła, sapał jak miech, lecz nie ustawał w pracy. Zdawało się, że mu jeszcze więcéj przybyło sił, kładł snop za snopem i ledwie słońce naznaczyło południe, dwie duże kopy z lichéj pszenicy naskubał i postawił. Im zboże bujniejsze tém sporzéj idzie praca, ale gdzie źdźbło marne, tam trud nie mały: wiedzą o tém gospodarze i dziwowali się bardzo Markowi. Daremnie Kaśka w zawody z nim iść chciała, ni sił ni nóg jéj nie starczyło; snopów kilkanaście do kopy brakowało jéj jeszcze, gdy Marek rzucił sierp o ziemię i zawołał, by z nim razem śniadanie spożyła. Usiedli na łączce koło krynicy i zaczęli się częstować.

Dzień był bardzo gorący, rozpalonego powietrza najmniejszy wietrzyk nie ochładzał. Cicho było na łączce, tylko koniki polne skakały i świerszcze zgrzytały cienko w trawach. Do odpoczywających przyszedł Szymon i stanął przed nimi.

— A jak tam, Marku, praca idzie?—zapytał.

— A no — widzisz! — odpowiedział zapytany, ruchem głowy wskazując użęte kopy.

Szymon uśmiechnął się i rzekł.

— Jabym tego i na swojéj nie dokazał pszenicy. Ha, Marku! chciéj tylko a długi żydowskie pospłacasz i staniesz się gospodarzem Bartkowi równym.

— Nie prędko to może być a może nigdy—szepnął Marek ponuro.—Pole Bartkowe to nie moje, z piasków nie urodzi się złoto.

— A ja wiem,—rzekł Szymon,—że ludzie w piaskach właśnie złoto znajdują.

— Jéno nie u nas—odpowiedział Marek.

— Znajdziesz i na swojém polu, jeżeli tak jak dziś popracujesz lat z pięć.

— Lat z pięć—mruknął Marek.

— A tak—Marku, wtrąciła Kaśka—pracować będziemy razem.

— Z tobą—to może! no—do roboty! bo jakiś pies mię pędzi.

— Nie ja?—zawołała Kaśka, patrząc na miłego błękitnemi oczyma.

— Tfu!—głupstwo mi się wyrwało—krzyknął Marek. Ty—ty, Kachno, jak król jaki panując nademną.

Chwycił ją wpół i do serca przycisnął.

Zadzwoniły sierpy, zaczęli znowu pracę ciężką koło lichego zboża; przeplatanego ostem i zielskiem różném. Szymon na swoje wrócił pole.

Na polu Bartkowém, które rozłożyło się w środku wieśniaczych łanów, z przyległych pól zebrali się pracownicy, i żeby weselej im czas przeszedł, śniadali razem. Zobaczywszy Szymona, zaczęli wołać na niego, by podszedł.

— A zbliż się tutaj—wołali jedni.

— Mów, jéno prawdę,—krzyczeli inni.

— Co chcecie?—pytał Szymon, podchodząc do gromady.

— Czy Kaśka warzyła ziele jakie w piątek? czy może kamieniem dziewannę przygniotła i póty jéj nie uwolniła, póki ta nie spełniła jéj życzeń?

— Co? dla czego?—pytał Szymon z uśmiechem, jakby nie wiedział o co rzecz idzie.

— Urok rzuciła na Marka!

— Czar-ziele mu dała—wołano.

— A niech, jak chce, będzie—rzekł Szymon,—byle się chłop przemienił!

— Czy wiész, co powiedział nasz Kokociński, zobaczywszy dzisiaj Marka idącego przed świtem na pole?—odezwał się ktoś z tłumu.

— A no—co?—zapytał Szymon.

— Iż prędzéj spodziewał się, że jego żonka gadać przestanie.

— Za wiele chciał!—ktoś huknął. To jedno, co byś kazał piorunowi, by nie trzaskał, gdy burza się sierdzi. Prosisz go: zmilknij! a on—rym!..

Śmiéch buchnął i posypały się żarty.

Nieśmiał się tylko Bartek, który, markotny bardzo, stał na uboczu przy kopie, skubiąc bezmyślnie snopki pszeniczne. Szymon podszedł do przyjaciela i dłoń mu położył na ramieniu.

— Skrzywdziliście mnie, Szymonie—odezwał się Bartek.

A Szymon na to:

— Żeby Kaśka ciebie przeniosła nad Marka, dał bym sobie prawicę uciąć. Ale się stało inaczéj!.. Com rzekł, tom rzekł. Ty Bartku rozum miéj a rad bądź, że zacny człek nam przybywa. Nie tylko siebie kochać potrzeba, czasem i własny łeb się daje dla szczęścia czyjegoś...

Poszedł na pólko swoje i żąć zaczął.

We wsi zaś, skoro tylko organista żonie powiedział, czego dzisiaj rano był świadkiem, pani Kokocińska, uprzedzając męża, poleciała z niezwykłą wieścią do księdza proboszcza, który ruszył głową i wielkiemi palcami młynkując.—

— Chwała Bogu! chwała Bogu!—powtarzał.

Załatwiwszy się z księdzem, pani organiścina kopnęła się do Chaimowéj, rozgniewanéj bardzo na Marka za despekt, jaki jéj mężowi wczora wyrządził. Opowiedziała wszystko z naddatkami własnego wynalazku.

— Samam widziała, jak Kaśkę wziął na barana i w pole zaniósł...

Chaimowa ze swéj strony chciała jéj opowiedziéć, o wczorajszym strachu swego małżonka, ale Kokocińska, która lubiła gadać nie słuchać, rzekłszy dwa razy: niémam czasu—niémam czasu! do dworu ruszyła. We dworze miała znajomości z klucznicą i panną służącą, z ekonomową ba! i z guwernantką nawet. Dwóch godzin nie upłynęło a wiedzieli wszyscy o Marka poprawie, o Kaśce i szczególniéj jéj jeździe na Marku, do czego przybyły i inne, niezwykłe wiadomości pani organiścinéj.

Późnym wieczorem, Marek z Kachną wrócili z pola. Radośną twarzą patrzyła dziewczyna na zabiegające jéj drogę przyjaciółki a i Marek z fantazyą na tył głowy nasunął kapelusz, ubrany kilku kłoskami pszenicy; jedną połę granatowéj sukmany za pas włożył i trzymając się pod boki, szedł raźno, wąs kręcąc i białe zęby w uśmiechu „paskudnym dziéwkom“, jak je nazywał, pokazując.

Tak upłynęło tygodni parę. Od świtu do nocy Marek jak wół pracował, do karczmy nie zachodził, zdawało się, że się zupełnie przemienił, tylko, jak zawsze, był małomówny i często w zadumę zapadał. Szymon myślał o siostry weselu, którą chciał uczciwie wyposażyć, bo kochał ją jak oko w głowie i więcéj może. Niech no się tylko żniwa a wozowica skończą, zagrają skrzypki weselne; byleby stary Jur dożył téj chwili i pobłogosławił syna. A staremu z dniem każdym było gorzéj: nie stękał, nie narzekał, ale jak lampa przygasał. Kaśka pomagała Markowi pielęgnować starego ojca; zamiotła dawno nieporządkowaną chatę Ciupały, kupiła kur kilka i posadziła na jajach, parę świnek zarochało w chléwku a i krówka,

kupiona jéj przez Szymona, znalazła się w oborze, żeby stary Jur miał mléko świéże a Marek widział jak to wygląda ładnie chata schludna, podwórko zamiecione porządnie i obórka nie pusta. Kaśka na dobre rozgospodarowała się w Markowéj zagrodzie. Obieliła chatę, kazała Markowi na nowo pokryć dach słomą, któréj dostarczył Szymon, wyrównać kołki w upadającym płocie i wrota zrobić, których już dawno nie było, a kupy śmieci i gnoju na pole wywieść. Milcząc Marek robił wszystko, choć czasami po karku się drapał. Odzwyczaił się hultaj dawno od pracy, teraz od świtu do nocy musiał harować. Czasami, gdy Kaśki nie było a stary Jur spał, patrzał na odnowioną sadybę i dziwował się bardzo, że tak dobrze wyglądała, ale czasami zmęczony mruczał pod nosem.

— Pracuj i pracuj, aż kości bolą, a inni ludzie balują po miastach, jak Dyzma mi powiadał, i niby panowie żyją. Ta Kaśka choroby mię nabawi, już i teraz siły ni krzty!

I mrucząc tak, przewracał, by słomę, ciężkie słupy dębowe, brał siekierę i łupał jednym zamachem, to ciosał kołki do płotu albo nową cembrzynę układał.

Kaśka była szczęśliwa, skakała jak wróbel koło Marka, że nieraz i jemu zaśmiać się przyszło. A dni mijały szybko, słonko coraz częściéj za chmury się chowało i patrzało jesienią. Pożółkły listki na drzewach, skończyły się w polu roboty, lada dzień a weselne skrzypki zagrają. O téj szczęśliwéj chwili myślała Kaśka i drżała z radości, przytulając dłonią serce rozskakane. Chata Markowa i całe obejście porządkiem świéciło, gotowe już było wszystko do przyjęcia gosposi młodéj, stary Jur nawet więcéj sił nabrał i wsparty na syna ramieniu, korzystając z ostatnich, ciepłych dni jesieni, wychodził przed chatę, siadał na przyźbie, grzejąc się w ciepłych promieniach słońca. Kaśka ślubną wyprawę kończyła, poduszki i pierzyna już były gotowe, jeszcze krótki tydzień poczekać, wyjdzie zapowiedź trzecia i... ślub!

Głębokie westchnienie poruszało pierś dziewczęcą na myśl o upragnionym tym dniu; rumieniły się jagody, źrenice jak dwie gwiazdy błyszczały zapalone wśród jasnych błękitów. Ze drżeniem serca, z radością i niepokojem przyszłéj oczekiwała niedzieli.

Marek jednak czuł strach jakiś w sercu na myśl zbliżającego się ślubu. Czuł, że Kaśka nie pozwoli mu chwili jednéj spróżnować, że w napędzaniu go do roboty pomagać jéj będzie Jur stary, wiedział, że należéć nietylko do siebie będzie: gospodarka, dom, żona a późniéj... no, późniéj dzieciątko być musi koniecznie. Myśl więc o spódnicy dla żony, o pieluszkach dla dziecka... ej źle! Gdyby to jeszcze pole jego, jak Bartkowe rodziło, nie markociłby

się tak, bo o jutro byłby spokojny, ale on musi ciężko pracować, a czy się to na co przyda? Nie! na piachach jego lepsza już nie urodzi pszenica, kiedy żyto z ziemi wyłazić nie chce.

Tak myślał i smucił się bardzo.

Była to przedostatnia niedziela przed ślubem. Dzień ciepły, jasny. Marek wyprowadził z chaty starego ojca i usiadł z nim na przyźbie. Jur czuł się dnia tego zdrowszym niż kiedykolwiek, otwartemi szeroko oczyma patrzył na słońce, które ku zachodowi śpiesząc, ukośne rzuciło promienie na blaszany dach kościelnéj wieżyczki i złotym blaskiem ramiona krzyża na domku Pańskim oblało. W powietrzu było cicho, dzwonek tylko śpiżowém bił sercem, na nieszpory ludzi wołając. Stary Jur przeżegnał się i zaczął odmawiać pacierze. Marek pochmurném okiem patrzał przed siebie. Nagle posłyszał jakieś klaśnięcie i dłoń czyjąś na swoich ramionach uczuł.

Spojrzał i uśmiéchnął się lekko.

Przed nim stała Kaśka, zarumieniona, śmiejąca się; pochyliła nieco głowę i jasnemi oczyma w twarz mu patrzyła.

— Pójdziesz ty na nieszpory, Marku? — spytała.

— Z tobą to pójdę — odpowiedział i zwrócił się do ojca.

— Zaprowadzę was tatuś do izby, wstawajcie!

Stary ruchem głowy znać dał, że nie chce.

— Idźcie się położyć — odezwała się Kaśka — nim wrócim wieczór będzie, a wam nie dobrze siedziéć na chłodzie.

— Nie, nie, mnie tu dobrze i ciepło—odezwał się Jur.— Niech się słońcem nacieszę a powietrzem pobawię, bo mi nie długo już tego.

Nic nie pomogły nalegania, stary się uparł i został; Marek wziąwszy Kaśkę za ręce, wyszedł na ulicę, kierując się ku kościołowi.

Śpieszył ludek gromadnie do domu bożego, zdaleka już słychać było organy i nosowy śpiéw Kokocińskiego. Narzeczeni wmieszali się do tłumu i szli razem.

Nagle za nimi dał się słyszéć kilkakrotny trzask z bicza i okrzyk:

— Z drogi!

Gromadka się rozstąpiła, ciekawe oczy zwracając w stronę, skąd okrzyk pochodził.

Środkiem ulicy toczyła się czterokonna kareta; to do dziedzica jechał graf Dulski z Gajowiec z wizytą. Kare konie w lejc zaprzężone szły rączo, woźnica rżnął z bata a przy nim na koźle siedział lokaj hrabiego w kapeluszu wysokim, w długim, czekoladowego koloru, surducie o błyszczących niby złoto guzikach. Trzy-

mał się pod boki a z taką miną patrzał na idących, jakby to on siedział w karecie a pan hrabia na koźle.

— Dyzma! — krzyknął nagle Marek.

Lokaj kiwnął od niechcenia głową, niby król jaki, woźnica palnął raz jeszcze z bata i powóz się potoczył szeroką, lipową aleją do dworu prowadzącą; duże kłęby pyłu w ślady za nim pobiegły.

— Bodaj cię jasne pioruny!... — odezwał się ktoś z tłumu — całkiem oczy zasypał.

— Pfu!—splunął inny i kaszlnął—jakbym obiadu dziś nie jadł, garniec piachu w gębę mi wpakował...

Śmiéch zabrzmiał, posypały się dowcipy i drwinki, i daléj szli ku kościołowi, zkąd coraz głośniéj słychać było śpiéw Kokocińskiego i muzykę organów. Marek tylko z miejsca się nie ruszył, oczy i gębę otworzył, patrząc za znikającą karetą.

— Marku! — odezwała się Kaśka — co ci?

— Czy i ciebie tak prochem zasypało, jak mnie? — rzucił ktoś z boku.

— Nie wytrzészczałby tak oczu — odrzekł głos drugi.

— Marku! — ozwała sie znów Kaśka, trącając go w ramię.

Ale Marek nie ruszył się; stał, jakby go kto w ziemię zarył. Po kilkakrotném dopiéro wołaniu Kaśki, wstrząsł się i coś mruknął pod nosem.

— Co tobie? — pytała dziewczyna.

— A no, nic — odrzekł — ot tak, nic!...

Jakiś parobek w nos mu się zaśmiał.

— Milcz jucho! — wrzasnął Marek, pięść podnosząc, i gdyby nie Kaśka, która sobą zasłoniła niefortunnego żartownisia, porządnąby dostał pamiątkę.

Po skończoném nabożeństwie, Marek szybko wyszedł z kościoła i pobiegł do dworu.

Ściemniało już na dobre, gwiazda jedna po drugiéj zapalała się na niebie, powietrze chłodne było, jakby zima zdaleka posyłała swój pocałunek ziemi. Marek wszedł na dworski dziedziniec, widząc światło w oknach czeladniéj izby w oficynie, przysunął się do ścian i okiem ciekawém wewnątrz spojrzał. Cała służba dworska była zebrana i siedziała na ławach, po środku zaś stał lokaj pana hrabiego, świecił guzikami długiego surduta i głośno coś mówił, gładząc raz wraz niewielkie bokobrody, ostrzyżone krótko, przysaméj niemal skórze. Marek Dyzmę dawniéj na jarmarku poznał i zaprzyjaźnił się, ale wtedy był posługaczem, teraz, jak widać, kamerdynerem pańskim. Chciał się z nim zobaczyć, bo go bardzo dla jego gadania polubił; ale teraz odstraszały go błyszczące guziki, że na

myśl podania mu ręki mdło się koło serca robiło. Przezwyciężył strach jednak, otworzył drzwi czeladnéj i wszedł do środka. Dyzma nie widział go, bo stał do drzwi obrócony plecyma, Marek więc skłonił się milcząco obecnym i usiadł na brzęgu ławy, słuchając rozgadanego przyjaciela.

— U nas, w Warszawie tak—kończył Dyzma. — Zrana wizyty, po obiedzie wizyty a wieczorem do teatru na komedye. Co ja się tam nasłucham i napatrzę! a zawsze siedzę wysoko nad wszystkimi i klaszczę w łapy, kiedy mi się podoba. U nas, w Warszawie tak!...

Palnął pięścią o stół i obejrzał się, chcąc wiedzieć jakie wrażenie na słuchaczach wywarł. Wzrok jego padł na Marka, który szybko powstał, zbliżył się do znajomego i rękę wyciągnął. Dyzma wydął policzki, uśmiéchnął się jednak i dość uprzejmie głową kiwnął, podając dłoń Markowi.

— A... a... Marek!... kopa lat, kopa lat! — zawołał. — Nie raz chciałem się z tobą zobaczyć, ale to nam, z Warszawy, ciężko się wybrać.

Uderzył go po ramieniu.

— No, co? jak? — dodał.

Marek z zachwytem patrzał w twarz przyjaciela, który stał przed nim w surducie długim i złoconemi guzikami świécił mu w oczy.

— A no, różnie bywa — odpowiedział.

— Tęskniłeś za mną? — pytał znów Dyzma.

— Myślało się tam o was nie raz i chciało się zobaczyć a pogadać o rzeczach różnych.

— Mamy czasu dość teraz. Mój graf spać się położył, bo podróż go zmęczyła, a mnie się spać odechciało, kiedym ciebie zobaczył. Wyjdziem na podwórko i gadać będziemy.

Nałożył kapelusz z gwiaździstą kokardą z boku, i pożegnawszy bardzo misternym ukłonem czeladź dworską, wyszedł z Markiem.

— Dokąd pójdziemy? — zapytał, przestępując próg.

— Jeżeli łaska a wola, to do mnie. Mój stary w niczém nam nie przeszkodzi.

Wyszli za bramę, kierując się ku chacie Markowéj.

— Jakże tam tobie tu? — odezwał się Dyzma.

— A no, jak zwyczajnie na wsi! haruj i haruj dzień cały przy robocie, orz piachy a biéda na kurzu siedzi.

Westchnął.

— Nie to, co u was — dodał — w Warszawie!

Dyzma pogładził się po twarzy i rzekł:

— Ho-ho! jużci, że nie to. U nas w Warszawie tak: gdzie spojrzysz to komedye, gdzie obrócisz się to muzyka. Na ulicach korbami kręcą a grają! człek się cywilizuje i świata używa; nie paskudzi się z gnojem i piachami jak wy! co? nie prawda?

Marek westchnął i potwierdził.

— Ale, a! — zawołał Dyzma — kiedym tu przyjechał, pytałem zaraz o ciebie i ludzie mi powiedzieli, że się żenisz.

— A no, tak! — mruknął Marek.

Dyzma śmiać się zaczął.

— Oj wieśniaki, wieśniaki! aby się z was który paciérza nauczył, do żony bierze się zaraz. Oj, wieśniaki!

— A u was w Warszawie nie żenią się? — zapytał Marek.

— U nas w Warszawie tak: człek o ożenku ani pomyśli. U nas inne maniery i zwyczaje. Tam panny na nas, nie my na nie mrugamy. U nas w Warszawie tak!

I rozpowiadał daléj lokaj pana hrabiego o cudach i życiu wielkiego miasta, drwiąc z wieśniaków, którzy grzebią się w piaskach, pracują dużo a mało mają. Słowa Dyzmy dziwnie się obijały o duszę Marka, paliły ogniem, czuł, że mu źle się robi, ale nie przerywał, zaparł dech w piersi i słuchał.

Tak idąc, zbliżyli się do chaty Marka.

Niebo było pogodne, księżyc podniósł się wysoko i srebrnym blaskiem drzémiącą oblał wioskę. Oświécił chatę Markową i jakąś postać siedzącą na przyzbie.

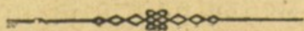
— A to co? mój tatuś jeszcze nie śpi?—zawołał Ciupała i wprowadzając gościa za wrota, zbliżył się do siedzącego i patrzącego w księżyc Jura.

— Tatulo, zmarzniecie, noc zimna. Co wam się stało, że dotąd do chatyście nie poszli? Czy Kachna nie zachodziła do was?... A no, to ja powinienem o was pamiętać, wybaczcie! Pora wam spać.

Jur nic nie odpowiedział, patrzył tylko w księżyc na pół przymglonemi oczyma.

Marek ujął go pod ramię, ale stary dziwnie ociężał, sprobował go podnieść, lecz siwa głowa ojca pochyliła się i bezwładnie na pierś opadła. Marek krzyknął i trząść się zaczął... stary Jur nie żył.

(*D. n.*) *Kazimierz Gliński.*





Z PSYCHOLOGII MUZYKI.

Czytaliśmy niedawno w czasopiśmie „*Revue philosophique*“ zajmujący artykuł Karola Levêque p. t. „*Psychologie du Quatuor*“. Autor przyznaje muzyce dwojaki wpływ: działa ona na zmysł muzyczny t. j. zmysł słuchowy czyli ucho, które pieści, draźni, lub bawi niezależnie zupełnie od znaczenia utworu; działa na uczucie muzyczne, t. j. pobudza wrażliwość naszéj istoty moralnéj, wzbudza w nas smutek, radość, przez swój element psychologiczny, przez stan duszy, jaki tony wyrażają. Otóż autor pragnie koniecznie dowieść, że wskazówki słowne, tytuł dobrze dobrany, nazwy określające tendencye pojedyńczych części utworu muzycznego, objaśniają charakter jego i znaczenie i w pomoc przychodzą wyobraźni, która łatwiéj i trafniéj interpretuje utwór; te lekkie wskazówki, przewodnicząc wrażeniom słuchacza, nadając pewną określoność uczuciom jego, podnoszą wielce urok i interes danéj kompozycyi.

W szeregu artykułów pod ogólnem mianem „*l'Estétique musicale en France*“ rozbierał autor znaczenie tekstu słownego dla muzyki instrumentalnéj, dla symfonii; przedmiotem artykułu, który nas tu zajmie, jest muzyka pokojowa, za któréj formę najgłówniejszą uważa Levêque kwartet; trio, kwintet, sekstet, koncert, sonata, to tylko formy pochodne, rozszerzone lub ściągnięte.

Kwartet uważany jest za najczyściejszą formę muzyki. Nie towarzyszy mu program, któryby słowami objaśniał jego znaczenie; nie ma żadnego spisu rzeczy, rzadko kiedy posiada nazwę, tytuł, oznacza go się zwykle tonem, w którym jest pisany, lub zwyczajnym numerem kolejnym. Ten zupełny brak objaśnień przy utworach kwartetowych nasuwa mniemanie, że teoretycy, krytycy i słuchacze nic w nich innego nie widzą nad miłą uchu kombinacyą tonów.

Byłby to więc jedynie szereg form dźwięcznych i rytmicznych, zgoła nic nie wyrażających, pozbawionych znaczenia psychologicznego, nie pobudzających wyobraźni i uczucia. Jednakże tak nie jest.

Kwartet jest mową tonów, wyrażającą rozmaite stany duszy. Co nam jednakże pomaga w interpretowaniu tego utworu? Posłuchajmy, mówi p. Levêque, jak Eugeniusz Sanzay (1) komentuje te utwory, pozbawione tytułu i słów objaśniających. Oto jak objaśnia *andante* jednego z trzech kwartetów Beethovena, poświęconych hrabiemu Razumowskiemu, nazwane *andante quasi allegreto*: „Następuje jako *andante* temat słodki i smutny jak pieśni ludów północnych, z pośród pieśni tych zdają się naraz wybuchać wszystkie bóle artysty.“ Ten krótki komentarz składa się z dwóch części. Pierwsza zaznacza tylko to, co muzyka sama przez się zdolna jest wyrazić: słodycz i smutek niejasny, nieokreślony. Druga obejmuje rys charakterystyczny, określenie ściślejsze, wyraz co najmniéj prawdopodobny wszystkich bólów Beethovena. Zkąd pochodzi ta siła wyrażenia. Bez wątpienia z wyobraźni interpretacyjnéj muzyka-psychologa. Ale ta wyobraźnia czerpała dane téj interpretacyi we wspomnieniach życiorysu Beethovena, wspomnieniu, które zastępuje komentarz słowny, objaśnienie, program. Levêque przytaczając głębokie sądy Sanzay'a, Berlioza (2) i innych o niektórych utworach muzyki kameralnéj, przypisuje właściwe pojmowanie rzeczy, odczuwanie zawartych w nich piękności, znajomości życia, sposobu myślenia i stanu duszy mistrza. Ta znajomość jest im przewodnikiem w należytéj interpretacyi utworu.

Zresztą artysta prawdziwy, muzyk estetycznie wykształcony, człowiek wrażliwy na piękno w sztuce, dopatrzy się nici przewodniéj w kwartecie wtedy nawet, gdy ten pozbawiony jest wszelkiéj wskazówki słownéj, wszelkiego programu. Na dowód, jak indywidualną i dowolną bywa w takich razach twórczość wyobraźni, przytacza p. Levêque następujący ustęp z dzieła Sanzay'a: „Książe Golicyn, na którego żądanie Beethoven napisał te kwartety, posłał je Baillotowi z prośbą, aby mu dał swoje zdanie o tych kompozycyach mistrza. Oto jak Baillot je zdefiniował. „Beethoven cię wprowadza w świat nowy; przebywasz okolice dzikie, chodzisz po brzegach przepaści; noc cię otacza; budzisz się i jesteś przeniesiony w cudny krajobraz, raj ziemski się otwiera, blask słońca wesoło ci przyświeca, byś lepiéj przypatrywać się mógł wspaniałościom natury.“ Takie objaśnienie powstało w wyobraźni wielkiego mistrza, pobudzonéj

(1) Sanzay: *Haydn, Mozart, Beethoven, étude sur le quatuor.*
(2) Berlioz: *A travers chants.*

powyższemi kwartetami. Ale inni inaczéj je objaśniali. „Dla jednych te ostatnie dzieła są nieuzupełnionym rezultatem bolesnego życia autora; inni przeciwnie, widzą tu ideał urzeczywistniony, punkt doskonałości mistrza.“ Tak więc audytoryum wykształcone i przygotowane tłómaczyło sobie te dzieła dowolnie i rozmaicie; jednakże oceniło i odczuło piękności utworu, chociaż każdy je na swój sposób pojmował. Ale co się dziać będzie ze słuchaczem nieprzygotowanym artystycznie, pyta Levêque. Otóż z pierwszego razu nic a nic nie rozumié, pozostanie zupełnie obojętny a może i znudzony; po wielokrotném wszakże wsłuchaniu się w te formy, przemówią one wreszcie do niego. *Adagio*, które jest niczém, gdy go się nie rozumié, przez wsłuchanie się w nie staje się głosem znajomym, zrozumiałym, który płacze i żali się, jest niby głosem istoty żywéj, która zaczyna budzić zajęcie nasze, staje się duchem, którego pojmować zaczynamy. Taki jest owoc mozolny wielokrotnego wsłuchania się audytoryum w utwór muzyczny. Ale owoc ten daleko szybciéj dojrzéć może. Proste dodanie tytułu ułatwi nam zrozumienie tendencyi kompozytora, skieruje na pewne określone tory myśl i uczucie słuchacza, dany utwór nie będzie dlań zrazu oderwaną tylko kombinacyą dźwięków miłych, nie będzie dlań znakiem zapytania, na który po kilkakrotném dopiero wsłuchaniu się odpowiedź znajdzie.

Być zrozumianym i odczutym przez słuchacza, jest pragnieniem mistrzów i dla tego ci, wiedzeni niekiedy instynktem artystycznym, dodają wbrew prawidłom przyjętym objaśnienia słowne, niby drogowskazy po szerokiéj dziedzinie wrażeń muzyki. Ostatni kwartet Haydna złożony tylko z pierwszego kawałka i z menuetu, w zbiorze Imbault'a noszący nazwę: Canon Haydna, tę właśnie posiada osobliwość, iż nosi frazes wokalny, którego słowa tak brzmią: „*Hin ist alle meine Kraft, alt und schwach bin ich.*“ Jakkolwiek Carpani, historyk i przyjaciel Haydna, twierdzi, iż frazes ten nie ma na celu wskazówki naukowéj, a jest wprost tylko tkliwém przypomnieniem się osłabionego starca przyjaciołom, to jednakże słowa te, dodane do kwartetu, widocznie miały na celu ściśléj określić tkliwość jego. Autor wiele jeszcze podobnych przytacza przykładów, dowodzących, że komentarze do muzyki, czerpane bądź to ze znajomości szczegółów życia mistrzów, bądź z objaśnień słownych, dodanych przez kompozytora, rzucają światło na charakter utworu i zrozumienie jego ułatwiają.

„Przypuszczam, mówi Levêque, że siedzę w otwartém oknie drugiego piętra w Paryżu, i że z dołu dochodzi mnie świeży, piękny głos sąsiadki, śpiewającéj poprawnie śliczną melodyą romansu, któ-

rego słów dosłyszéć nie mogę. Rozkoszuję się dźwiękami, melodyą i wykonaniem; gdy w tém wchodzi przyjaciel mój i powiada mi: wiész, co twoja sąsiadka śpiewa, „Poranek majowy“ Melchiora (1). Jakkolwiek i teraz słów pieśni nie słyszę, to jednakże te dwa słowa: „Poranek majowy“ roztoczyły przed okiem mojéj wyobraźni barwy tęczowe ślicznego poemaciku, i teraz w pełni doznaję czworakich wrażeń każdéj doskonałéj muzyki instrumentalnéj i kameralnéj, wrażeń dźwięku, melodyi, wykonania i treści.“

„Co (kończy Levéque) powiada każdy instrument, co sobie instrumenty między sobą mówią, co one do nas przemawiają, tego pragnie dowiedziéć się umysł słuchacza. Jeżeli nic w pomoc nie przychodzi jego wyobraźni muzykalnéj, szuka ona rozwiązania długo i mozolnie a odnajduje je niekiedy późno, skąpo i źle, co psuje uciechę estetyczną. Kilka słów kompozytora to klucz, który drogę otwiera wyobraźni. Jedno słowo nieraz starczy. Czemuż je pomijać, czemu go odmawiać? Czyż nie dzięki temu słowu, obok udziału zmysłu muzycznego tj. władzy pojmowania tonów muzycznych, powstanie także udział uczucia muzycznego, tj. władzy rozkoszowania się dźwiękami jako wyrazem duszy ludzkiéj.“

Jakkolwiek bez zaprzeczenia dużo jest prawdy w tém, co twierdzi Levêque, na sąd jego wszakże bezwzględnie zgodzić się nie można. Dla słuchacza pozbawionego wykształcenia estetycznego, poetycznego polotu, a przedewszystkiém zdolności zrozumienia melodyjnéj kombinacyi tonów, cały nawet poemat słowny podłożony pod muzykę duszy jego na wrażenia jéj nie otworzy. Kto zaś wrażliwy jest na harmonią dźwięków i osłuchany z dobrą muzyką, czyj smak wykształcony jest na wielkich mistrzach, dla tego słyszéć to znaczy czuć i rozumiéć. Słowo i pieśń, dwie potęgi razem złączone, zdwajają bez wątpienia siłę wrażeń estetycznych i psychologicznych. Zapewne, że podkład słów Ujejskiego podnosi skalę wrażeń, jakie dać mogą utwory Szopena, ale czyż i bez słów „Dzwonów“ M a r s z ż a ł o b n y nie wstrząsa duszą słuchacza wybuchami szalonéj rozpaczy i nie wzrusza do głębi cichą skargą łagodnego smutku. Znam ludzi bardzo wykształconych, wrażliwych na potęgę słowa, których poruszy elegia Ujejskiego, a dla których potężne akordy „Marsza“ Szopenowskiego, są tylko chaotycznėm brzmieniem; ci z uczuciem deklamować będą słowa poety, napisane do mazurków Szopena, a w tych ostatnich odczują może rytmiczność popularnéj i swojskiéj nuty, ale przebrzmią dla nich niepostrzeżenie subtelności piękna i głębie uczucia smętnego w utworach tych roz-

(1) Nazwa fikcyjna, zmyślona przez autora.

lane. Znałam raz natomiast prostego żydka, który przychodząc do ojca mego za interesami, na dolatujący go z salonu odgłos nokturnu Szopena, stawał w przedpokoju zasłuchany w niemém zachwycie i łzę ocierał z oka.

Zdaje mi się, że Levêque z nieco mylnego wychodzi stanowiska. Nie przez pobudzanie wyobraźni dojść możemy do zrozumienia dźwięków, ale wprost przeciwnie zrozumiane dźwięki wyobraźnię naszą pobudzają. Albowiem przez wrażenia zmysłowe, do wrażeń dochodzimy psychicznych i estetycznych.

Weźmy np. Preludyum Szopena Op. 28 N. 3; pogrąża ono nas w miłe upojenie marzycielskie; tu bowiem pełna prostoty kombinacya tonów, wciąż powtarzająca się w akompaniamencie perlistym lewéj ręki, przypomina jakiś ruch jednostajny niby goniących się fal wodnych; pobudzona tém wrażeniem zmysłowém wyobraźnia z łatwością odtwarza piękny krajobraz leśny, w którym wesoły potok górski stacza się lekko, żywo i cicho po pochyłości i z łoskotem ginie śród gąszczu bujnéj roślinności leśnego parowu.

Trudno nie przyznać, że nokturn Szopena, tak zwany szwajcarski (Opus 15 N. 2), zyskuje na przejrzystości poetyckiéj dla słuchacza uprzytomniającego sobie wspaniały poemat Słowackiego, który mistrza natchnął. Ale czyż dla prawdziwego muzyka nokturn ten sam przez się nie brzmi echami górskiemi Alp i świeżą kaskadą tonów. Levêque, przytaczając ustęp z pamiętników Beethovena z téj epoki życia, w któréj miotały mistrzem bóle i cierpienia moralne, utrzymuje, że ten tylko, kto zna wyrażoną tam skargę, zrozumie *Adagio* w 106-éj Sonacie. Otóż wydaje mi się, że zrozumie je przedewszystkiém ten, czyj zmysł słuchowy przyjąć jest wstanie wrażenie téj nader skomplikowanéj kombinacyi tonów. Ale temu tylko wpiją się one w samą głąb' duszy, kto sam cierpiał i w tych jękach cichych, nieprzebranym tchnących smutkiem, odnajduje bóle serca własnego. Któż nie zachwyca się pięknością krajobrazów żywéj natury. Działają one wprost na zmysły nasze: okiem ogarniamy malownicze grupy gór, skał i lasów, gonimy wzrokiem po dalekim widnokręgu fantastyczne kształty obłoków, śledzimy orła po przestworzu szybującego, przed nami ścielą się kwieciste błonia doliny, ucho nasze pieści tysiące odgłosów natury, upajamy się wonią świeżéj i barwnéj roślinności. Wyobraźnia nasza, tém pięknem natury rozkołysana, odrywa się od tych konkretnych przedmiotów działających na zmysły i snuje obrazy jakieś oderwane, swoiste; ogarnia nas wtedy spokojne, smętne uczucie dalekich wspomnień, lub błogie uczucie szczęśliwości, lub wreszcie wiary i nadziei uczucie w cichym zachwycie ku Bogu nas unosi. Z grupy ludzi wrażliwych na wspania-

łości natury i zachwycających się pięknem danego widoku, każdy stosownie do stanu duszy swéj i osobistéj podatności do uniesień, marzeń i wspomnień, pogrąży się w sobie i inaczéj czuć i marzyć będzie, chociaż każdemu przyświéca ten sam blask słoneczny, te same wonie niosą pola i łąki, ten sam śpiéw zawodzi ptastwo leśne. I w tém właśnie nieokreśloném uniesieniu leży tajemnica bezmiernego uroku natury, pociągającego dusze poetyczne i estetycznie wykształcone.

Podobne wrażenia daje nam muzyka.

Słyszymy sonatę Beethovena, słyszymy harmonią tonów, słyszymy kombinacyą dźwięków to słodkich i głębokich, to burzliwych, dzikich i szalonych; naprzemian jęk, płacz i skargę, wesele i radość, swary i łagodne tony zgody i miłości. Myśl, rozbujana temi falami pieśni, snuje przędzę swoistą na tle konkretnych wrażeń zasłyszanych dźwięków a w piersi słuchacza budzą się jakieś nieokreślone marzenia, jakieś obrazy urocze, jakieś dźwięki przeżytych łez i bólów, lub przeczucia spodziewanych radości. Coś w nas płacze i skarży się lub téż radością rozpiera pierś naszą, a to coś tak nieujętne, tak senne, marzycielskie i rozkoszne lub duszą naszą wstrząsające, stanowi potęgę muzyki i węzeł łączący kompozytora, wykonawcę i słuchacza.

Bronisława Lande Grynfeldowa.





PRZYCZYNEK DO BIOGRAFII ANDRZEJA MORSZTYNA.

Przeglądając Ostrowskiego „Swadę polską i łacińską (Lublin, 1745) znalazłem między mowami weselnemi (str. 3—6) mowę (Bogusława) Leszczyńskiego z następującym napisem: Dziękowanie za I. P. Gordonównę od IM. Pana Morsztyna Referendarza koronnego przez I. W. IMci P. Leszczyńskiego podkanclerzego koronnego w Warszawie podczas Sejmu, Anno 1659. Jakkolwiek w napisie przy nazwisku pana młodego nie ma wyrażonego jego imienia, to jednak z nazwiska panny Gordon, z daty ślubu 1659 i z godności Morsztyna, referendarza koronnego, na pewno wnosić można, że nie był to nikt inny, jak Andrzej Morsztyn, znany poeta w. XVII, który jak wiemy, ożenił się w r. 1659 z panną Katarzyną de Gordon, margrabianką de Huntiley, i był referendarzem koronnym (1). Z treści mowy, która zawiera kilka nieznanych szczegółów z życia naszego poety i z której dlatego kilka odnośnych ustępów poniżej przytoczę, wynika, że wygłosił ją Leszczyński albo przed ślubem, albo po ślubie młodéj pary, słowa zaś napisu „w Warszawie podczas sejmu anno 1659" pozwalają nam bliżéj oznaczyć czas, kiedy Morsztyn wszedł w związek małżeński. Sejm sześcioniedzielny 1659 r. rozpoczął swoje czynności 17 marca (*vol. legum* IV, 272), wielkanoc tego roku przypadała na 13 kwietnia, z tego łatwo wyciągnąć wniosek, że ślub odbył się między 13 a 27 dniem kwietnia, w którym to dniu sejm zakończył swoje obrady. Akt dziękowania za I. P. Gordonównę odbywał się w obecności króla Jana Kazimierza i królowéj

(1) Świderski: Andrzej Morsztyn; Przewodnik naukowy i liter. 1878, str. 812.

Maryi Ludwiki których potęge i szczodrobliwość wychwala mówca na samym początku.

„Trudno nie przyznać tak oczewistéj prawdy codziennymi utwierdzonéj dowodami, żeć przecie niebieską władacie władzą na ziemi, Wy Najjaśniejsi ziemscy Bogowie Państwo nasze miłościwe... Wy jesteście, Wy sami *arbitri* obojéj fortuny, szczęścia i nieszczęścia powierzonych sobie poddanych; Wy *dispensatores favorum* i dysgracyi w przypadających sukcessach spraw ludzkich, z Ręki waszéj pioruny ogniste przenikają strwożone serca, z Ręki waszéj odżywiają się głodne potrzeby hojną szczodrobliwością“ itd. Następnie, zwracając uwagę na młodą parę, mówił: „Żywy przykład Bóstwa tego dajecie dnia dzisiejszego, Najjaśniejsze miłościwe Państwo nasze, na widok Światu Polskiemu w osobach téj zacnéj pary łaską i dobrodziejstwem w. K. M. dnia dzisiejszego spojonéj. Wydawa się w oczach naszych dosyć łaski i faworu Pańskiego, kiedyś tego kawalera w młodym wieku jego przybrał do pokoju swego Pańskiego, aby w Pałacu Pańskim polerował młodość swoję i sposobił ją do dalszych usług Pańskich. Aliści nie tu stanęła dobroczynność W. K. M., prędko z pokoju przeniosła go do gabinetu swego Pańskiego, powierzyła mu sygnetu swego królewskiego, konkredowała mu tajemnych rad *et intimos accessus*, przypuściła do sekretnych listów, uczyniła *interpretem* i tłómaczem woli swojéj Pańskiéj intymowanéj przez najskrytsze cedułу. Aleć ledwo co i tam miejsca zagrzał, kiedy W. K. M., czynisz go do różnych Panów chrześciańskich *ministrum* wielkie domu swego i Rzeczypospolitéj powierzając mu interesa, które pod różnym niebem u różnych Panów i Monarchów piastując *pari* zawsze *dexteritate et felicitate*, gdzie był *concursus* zawsze *fortunae et prudentiae*, *raro in ministris exemplo* stawił się. Jeszcze się nie otrząsnął z podrożnego prochu, kiedyś go W. K. M. P. M. na tak wysoki powołał urząd, którym teraz między rowneml swemi *eminet* kiedyś mu powierzył *ius et iustitiam* u Bóstwa swego *super orphanos et pupillos*, boś mu powierzył W. K. M. sobie *specialiter dicatam curam* ubogich nędzarzów. A czegożby nie dostawało do doskonałéj szczęśliwości IMci Panu Referendarzowi koronnemu tak wypielęgnowanemu dobroczynnością W. K. Mci? przyznam, że wszystko było *bonum*, ale jeszcze nie *valde*. Ta dopiero *coronis coronat opus* łaski W. K. Mci, którę kładziesz na jego głowę. Dnia dzisiejszego *uxor bona corona capitis eius*: to jest *complementum* wszystkich łask i dobrodziejstw, to *monumentum*, które przydane na szalę szczęścia jego wszystkie insze przeważa szczęśliwości. O królowéj zaś Jéj mości P. N. M. co mam powiedzićć? a zaż nie temi stopniami w formowaniu swojéj

postępowała kreatury w osobie téj zacnéj Damy IMci Panny Margrabianki. Co jest za *virus* rozgniewanéj fortuny, jest wielkim dokumentem ta wielkich królów szkockich *propago* ta zacna Dama, którą wyrzuciła *ex Patriis sedibus*, nie dała się dymu napatrzeć ojczystego, zazdrościła i kolebki macierzyńskiéj" itd. do końca.

Przytoczone ustępy mowy Leszczyńskiego, napisanéj stylem właściwym XVII wiekowi, nie wiele wprawdzie dorzucają nowych szczegółów do życiorysu Andrzeja Morsztyna (że poeta był dworzaninem królewskim, że posłował do różnych dworów zagranicznych, że piastował urząd referendarza koronnego, wiedzieliśmy już z jego życiorysów napisanych przez dr. Małeckiego, Mecherzyńskiego i Świderskiego; z mowy dowiadujemy się po raz pierwszy, że Morsztyn był sekretarzem Jana Kazimierza, że godność referendarza koronnego otrzymał przed r. 1659, ponieważ jednak mowa ta nie była znaną biografom poety a zasługuje na uwagę jako wiarogodne współczesne źródło do biografii Morsztyna, jakkolwiek znacznie późniéj bo w r. 1745 ogłoszona drukiem, sądziłem, że nie będzie rzeczą zbyteczną podać z niéj odnośne wyjątki dla wiadomości przyszłych biografów.

A. Sienicki.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Dr. Leonard Piętak: „Prawo spadkowe rzymskie". Lwów. Tom I. 1882. Tom II Część I. 1888.

Nie może podlegać wątpliwości, iż dopóki trwać będzie dzisiejszy ustrój społeczeństw europejskich, dopóki nauce prawa rzymskiego przyjdzie się przyznać poważne miejsce w rzędzie nauk społecznych, a to dla téj przyczyny, że przynajmniéj znaczna część obowiązujących dzisiaj w Europie instytutów prawa cywilnego, wysnuta została i dotąd wyczerpuje się z form wyrobionych przez prawo rzymskie.

O ile pogląd ten na praktyczne znaczenie nauki prawa rzymskiego jest uzasadniony, świetnie dowodzi, ta okoliczność, że i w krajach, w których dotąd w rozwoju ich prawodawczym, wyłączano posiłkowanie się prawem rzymskiém, zaczynają się spostrzegać, że bez pomocy jego nauki nie będzie można dojść do bardziéj racyonalnego i zgodnego z wyższemi pojęciami uporządkowania i udoskonalenia swojskiego prawa cywilnego i jego praktyki. Zwracamy tu mianowicie uwagę na Anglią. Choć i w Anglii, w pierwszych czasach ustalenia władztwa normandzkiego, popłacały jeszcze przez czas niejaki, w nauce i praktyce, zapatrywania wyrobione pod wpływem pojęć rzymskich, wszakże z postępem czasu, takowe ulotniły się, a w części nawet pamięć się ich zatarła. Dzisiaj jurysprudencya angielska, ma wprawdzie przed sobą setki woluminów pojedyńczych statutów i większą jeszcze liczbę na nich opartych zbiorów wyrzeczeń sądowych, przedstawiających niezaprzeczenie nieoceniony skarb życiowego, praktycznie użytecznego materyału, ale zbywa jéj na podstawnych zasadach, regulujących braki i wątpliwe często zastosowanie prawa.

Idąc w tym kierunku kiełkujących przeświadczeń, nie małą oddał przysługę krajowi swemu, niestety zawcześnie zmarły Sum-

mer Maine, jeden z najznakomitszych współczesnych badaczy rozwoju społeczeństw ludzkich, przez ogłoszenie specyalnéj, gruntownie obmyślanéj pracy, w któréj zastanawiając się nad omawianą od dawna kwestyą, potrzeby skodyfikowania prawa cywilnego angielskiego, dowodzi, że bez gruntownego zapoznania się z prawem rzymskiém i bez upowszechnienia zasadniczych jego pojęć w społeczeństwie, kwestya ta nie da się skutecznie rozwiązać (1). Poważny głos Maina znajduje téż już co raz większe uznanie. Dosyć wskazać tu na pełną zdrowych poglądów historyą prawa rzymskiego, którą obdarzył literaturę prawną angielską profesor uniwersytetu edynburskiego Miurhaed (2).

Ztąd jednakże nie wypływa, że nauka prawa rzymskiego, we wszystkich krajach powinna oblec się w tę samę formę i przyjąć te same rozmiary. Wychodząc ze stanowiska praktycznego, i jedno i drugie zawisłém jest od historycznego znaczenia, jakie sobie wyrobiło prawo rzymskie w różnych społeczeństwach. Inaczéj rzecz się przedstawia w krajach, w których w razie niedostatku miejscowych, swojskich zachowań, uważa się prawo rzymskie dotąd za prawo pomocnicze; inaczéj tam gdzie istnieją już pełne lub częściowe kodyfikacye prawa cywilnego, wypracowane wprawdzie za pomocą niego, lecz wyłączające dalsze jego znaczenie prawnicze; inaczéj wreszcie tam, gdzie miejscowe prawo dotąd nie zetknęło się wprost z prawem rzymskiém.

W Niemczech, gdzie prawo rzymskie, od czasu jego recepcyi, uważano nietylko za prawo pomocnicze, ale za powszechnie obowiązujące, nauka jego nawet w tych stronach, w których następnie skodyfikowane zostało prawo cywilne, przybrała i dotąd, zwyczajem dawnym, przybiéra nader obszerne rozmiary i pewien właściwy sobie kierunek. Dzisiaj powszechnie rozdziela się na trzy części. Jedną stanowi historya prawa rzymskiego, drugą tak zwane instytucye, trzecią tak zwane pandekta.

Pod nazwiskiem historyi prawa zwyczajnie rozumié się tylko historya ustroju i rozwoju państwa rzymskiego. W nowszéj literaturze prawnéj niemieckiéj właściwie jeden tylko Esmarch pod nazwiskiem historyi prawa rzymskiego objął i zarys historyi prawa cywilnego aż do Justyniana. Ogłoszony pierwszy tom obszernéj pracy profesora heidelberskiego Karlowa, wyłącznie jest

(1) Pracę Maine w tłómaczeniu francuskiém pod tytułem: *Le droit romain et l'instruction juridique*, ogłosił w Paryżu księgarz Thorin w r. 1888 w zbiorze: *Etudes sur l'histoire du droit* tegoż samego autora.

(2) Tłómaczenie włoskie Miurhaeda, wydane w r. 1888 w Medyolanie, nosi tytuł: *Soria del diritto romano tradotta del Dott.* Luigi Gaddi.

poświęcony historyi prawa publicznego (1). Zapowiedziany zaś drugi tom ma dopiéro przedstawić historyą prawa prywatnego, procesu i prawa karnego, które to przedmioty zwyczajnie dotąd obrabiają się albo w pojedyńczych monografiach albo przy okazyi wykładów dogmatycznych i egzegetycznych instytutów specyalnych. Liczba tych prac tak wielka i tak nie jednostajnéj wartości, że rzeczywiście dziwić się nie należy, czemu Niemcy rezultatów tych badań nie usiłowali jeszcze zlać w jednę pełną, harmonijną całość; stoi niewątpliwie temu na zawadzie i ta okoliczność, że pomimo obfitości dotyczących wywodów historycznych, dostrzega się w nich wielkie luki, które nie tak łatwo dają się wypełnić (2), a drobiazgowych badaczy odstraszają od przedsięwzięcia czegoś wyższego.

Instytucyom w nauce niemieckiéj naznaczona bardzo skromna rola: mają one w sobie obejmować nie więcéj, jak krótkie, systematyczne streszczenie głównych zasad prawa justyniańskiego, aby posłużyć za wstęp i przygotowanie do obszernego wykładu pandektów. Właściwie więc, zgodnie z przeznaczeniem swojém, winnyby z nich być wyłączone wszelkie wywody historyczne i rozbiory szczegółowe pojedyńczych wątpliwych kwestyi, gdyż pierwsze wchodzą w zakres historyi, a drugie w zakres pandektów. Tak jednak zwyczajnie nie dzieje się, i instytucye napełniają się historyą i licznemi rozbiorami dogmatycznemi, co może być usprawiedliwione tylko tém, że zbywa jeszcze literaturze prawnéj niemieckiéj na pełnéj historyi prawa prywatnego, przynajmniéj takiéj, na jaką możnaby się już zdobyć, i że wykłady pandektów, jak to zaraz zobaczymy, zwykle odbiegają od właściwego swego przeznaczenia.

Zadaniem pandektów ma być pełny, ile być może szczegółowy, wykład dogmatyczny prawa justyniańskiego. Tak przynajmniéj zadanie to pojmowali dawniejsi pisarze. Dzisiaj przeważa w Niemczech inny sposób zapatrywania się na pandekta. Mają one wprawdzie i teraz zastąpić wykłady dogmatyczne prawa justyniańskiego ale nie wyłącznie tego, które wyszło z rąk Justyniana, lecz takiego jakiém się stało po recepcyi swéj, przez spojenie się i zlanie z prawem kanoniczném, karném i prawami miejscowemi, i jak się wykształciła praktyka sądowa i ciągle rozwijająca się nauka. Prawo takie nazwano: P r a w e m d z i s i e j s z é m r z y m s k i é m. Kto-

(1) *Römische Rechtsgeschichte. I Band. Staatsrecht und Rechtsquellen.* Leipzig, 1885.

(2) Mimochodem wspominamy tu, że nie obrobiony dotąd jakby należało rozwój dzieł Juriskonsultów, owych tak wysoko cenionych twórców jurysprudencyi klasycznéj, a tém mniéj jeszcze oceniona ich wartość i stosunek jednych do drugich.

by pragnął dokładniéj zanajomić się z rzeczywistą wartością podobnego rodząju prac i znaleść trafne ich ocenienie, tego odsyłamy do nader ciekawéj i gruntownéj recenzyi dwóch nowszych dzieł, opracowanych w tym kierunku, a ogłoszonéj przed kilku laty przez profesora uniwersytetu krakowskiego dr. Zolla (1).

We Francyi i we Włoszech, gdzie dawne prawa zastąpione zostały przez pełne kodeksa cywilne, choć w znacznéj części oparte na prawie rzymskiém, nauka jego przybrała nierównie skromniejsze rozmiary, nie przeto jednak w zarysach swoich mniéj gruntowna, a w każdym razie więcéj racyonalna i krytyczna. We Francyi albo ograniczają się na obszernym wykładzie instytucyi, z którym łączą historyą, albo oddzielają historyą i wykład szczegółowy prawa justyniańskiego, albo też prócz historyi i instytucyi zajmują się jeszcze wykładami egzegetycznemi ważniejszych tekstów *Corpus juris*. Następnie dopiéro przy wykładach kodeksu cywilnego we właściwych materyach, wyjaśnia się stosunek, jaki zachodzi między kodeksem a prawem rzymskiém i o ile prawo dzisiejsze z niego korzystało, a nawet jeszcze korzystać może, co doprowadza do krytycznego ocenienia prawa rzymskiego ze stanowiska naszéj wiedzy i nowszego rozwoju stosunków społecznych. Rozkład ten nauki uważamy za zupełnie racyonalny, dostrzegamy tylko, że zbywa mu wogóle na dokładniejszych wywodach historycznych, a niekiedy na głębiéj sięgającém opracowaniu krytyczném. Niedostatki te zdaje się być powołaną wypełnić dzisiejsza nauka włoska. W rzędzie prac włoskich nad prawem rzymskiém szczególniéj zaczynają na siebie zwracać uwagę badania historyczne. Mamy już w literaturze prawnéj włoskiéj zwięźle, wybornie opracowaną historyą prawa prywatnego, pełną wyższych nowych poglądów zawcześnie zmarłego profesora uniwersytetu rzymskiego Padaletti (2), następnie specyalną historyą prawa za czasów rzeczypospolitéj, dzieło profesora w Modenie Cogliolo (3) i zapowiedzianą a w połowie już wykończoną szczegółową historyą prawa rzymskiego publicznego i prywatnego przez Lando Landucci, profesora w Padui (4). Jedne i drugie dopełnia genialne studyum profesora Carla w Tury-

(1) Recencya ta zamieszczona jest w *Zeitschrift für das privat und öffentliche Recht der Gegenwart*. XV. 1887. W obronie tego samego poglądu występuje także prof. Zrzódłowski w piśmie *Codificationsfrägen*. Prag. 1888.

(2) *Storia del diritto romano*. Firenze 1878. Poleca się mianowicie drugie wydanie, opatrzone licznemi dopiskami przez prof. Cogliolo.

(3) *Storia del diritto privato romano*. I. II. Firenze. 1889.

(4) *Storia del diritto romano dalle origini fino a Justiniano*. Padova Dotąd jedenaście poszytów, str. 708.

nie pod tytułem: Początki prawa rzymskiego, w którém autor sięgając pierwszych zawiązków społeczeństwa rzymskiego, szczegółowo wyjaśnia historyą prawa aż do XII Tablic (1). Prócz tego Włosi od niejakiego czasu zaczynają się skrzętnie zajmować badaniami porównawczemi starego prawa rzymskiego ze staremi prawami narodów aryjskich. Dość tu powołać piękną pracę profesora w Katanii Zocco-Rosa (2).

O stanie nauki prawa rzymskiego w innych krajach nie rozwodzimy się, gdyżby to nas za daleko od celu obecnego przeglądu odwiodło i dla tego, że wszędzie, gdzie nauka ta jest uprawiana, przybiéra ona kształty mniéj więcéj podobne do wyżéj nacechowanych (3).

W tém położeniu nauki, nader ciekawą jest rzeczą przyjrzéć się dokładniéj, jaką poszedł drogą autor pracy na czele niniejszego przeglądu wskazanéj i jakie zajął w niéj stanowisko.

Przedmiotém pracy jest, nie cały obszar prawa prywatnego rzymskiego, lecz tylko jednéj ważnéj jego części, a mianowicie szczegółowy wykład prawa spadkowego. Mamy dotąd przed sobą pracy téj cały tom pierwszy i pierwszą połowę tomu drugiego.

Autor, jako profesor w kraju, w którym oddawna obowiązuje pełne skodyfikowane prawo cywilne, oparte w znacznéj części na staréj nauce prawnéj niemieckiéj, nie wziął jednak sobie za wzór wykładu swego tak zwanego prawa dzisiejszego rzymskiego, ale bardzo trafnie obdarza nas pracą, mającą jedynie na celu przedstawienie i objaśnienie samego czystego prawa rzymskiego.

Całość przedstawia autor w ten sposób, że poczyna od wykładu głównych zasad prawa spadkowego testamentowego, następnie zaś przechodzi do wyczerpującego skreślenia prawa spadkowego beztestamentowego, aż do chwili wydanéj przez Justyniana pamiętnéj Nowelli 118, reformującéj całe prawo spadkowe. Za tém pójdzie dopiéro szczegółowe opracowanie prawa całego spadkowego justyniańskiego wedle zasad téj Nowelli, która jak wiadomo w historyi prawodawstw tém odznacza się, że przygotowała główne podstawy, na których wszystkie niemal nowsze prawa spadkowe oparły się. Wykład ten stanowić będzie ostatni oddział całéj pracy, na który z prawdziwą niecierpliwością oczekujemy.

Całe opracowanie zasad zawarte jest bardzo właściwie w tekście dzieła, a kwestye pojedyńcze, wątpliwe i sporne, zamieszczono

---

(1) *Le origini del diritto romano.* Torino. 1889. Obejmuje str. 693.

(2) *La palingenesi della procedura civile di Roma.* Roma. 1887.

(3) Nie możemy jednak w tém miejscu pominąć, i to z wielką pochwałą, obszernego wykładu historyi prawa prywatnego rzymskiego, aż do czasów Justyniana, wydanéj w Moskwie w r. 1883 przez byłego profesora Sergiusza Muromcewa (stronic 697).

w przypiskach, przytém cytowane wszędzie odpowiednie prace naukowe, mianowicie mające niejaką powagę w literaturze niemieckiéj a ściągające się do obrabianego przedmiotu.

Wydana część dzieła odznacza się jasnością i skrupulatną chęcią wyczerpania każdego przedmiotu, tak, że pod tym względem nie ustępuje w niczém podobnym traktatom niemieckim, mogąc takowe w zupełności zastąpić, i to tém więcéj, że bardzo często w ocenieniu licznych spornych kwestyi przyznać wypada naszemu autorowi pierwszeństwo.

Jeżeli nasz autor, czego się spodziéwać należy po zamiłowaniu, z jakiém się poświęca swéj nauce, zechce z czasem przystąpić do wydania drugiéj edycyi swego użytecznego dzieła, natenczas życzyćby sobie można, aby ustępy jego, poświęcone wywodom historycznym, zlał w jedną całość i oddzielił je całkowicie od części szczegółowego, dogmatycznego wykładu prawa justyniańskiego i aby im nadał bardziéj szerokie rozwinięcie, więcéj zbliżone do dzisiejszego stanu badań historycznych. Już dzisiaj przy rozważaniu historyi, a mianowicie zawiązków prawa spadkowego rzymskiego, nie można się obejść bez wskazania ścisłego jego związku z prawami Grecyi, a co więcéj przy objaśnieniu obowiązku dziedziców do pełnienia po spadkodawcy pewnych ofiar i obrzędów religijnych, nie można nie sięgnąć aż Indyi, i to tém bezpieczniéj, że ma się tu do czynienia, nie z prostemi hipotezami, ale z niewątpliwemi pewnikami. Dość powołać w tym względzie na gruntowne prace Leista (1). Zresztą nie potrzeba powtarzać, że podobnego rodzaju wywody nadzwyczajnie podnoszą urok, często bardzo suchéj nauki i otwiérają oczy na rozwój stopniowy społeczeństw ludzkich, bez zrozumienia którego wiele w nauce naszéj pozostanie ciemném i niezrozumiałem. *R.*

= *Stanisław hr. Rzewuski.* **Młoda Francya,** studya literackie (Kraków, 1888, str. 391). Książka, tak bezwzględnie, tak entuzyastycznie wysławiająca autorów cudzoziemskich społecznych, jak studya p. Rzewuskiego, jest u nas bardzo rzadkiém, a może nawet jedynėm zjawiskiem literackiém. O ile przypomnieć sobie można, nigdy nawet najwięksi gieniusze poezyi nie wywoływali u nas roz-

---

(1) Dziełami temi są: *Graecoitalische Rechtsgeschichte.* Jena. 1884, i nowe, wielce interesujące dzieło: *Alt-Arisches Jus gentium*, Jena, 1889. Z pierwszego korzystał już Sohm w dwóch *Institutionen des römischen Rechts.* 2 Aufl. Leipzig. 1887. Ciekawe także co o owych *sacra* Rzymian przytacza Rönnberg: *Das Erbrecht von Gortyna.* Berlin, 1889, str. 39—41.

praw i studyów, w którychby słowa uznania, czci i miłości lały się tak nieprzerwanym strumieniem, jak obecnie u autora „Młodéj Francyi“, mówiącego o czterech pisarzach francuskich młodszego pokolenia: Guy de Maupassant, Paweł Bourget, Gabryel de Séailles i Henryk Becque. Nie uważam ja bynajmniéj zapału za rzecz złą i szkodliwą w pracach krytycznych; chciałem tylko naprzód zaznaczyć sam fakt a powtóre zauważyć, że autor chcący osiągnąć zamierzony przez się rezultat zapalenia miłością i uwielbieniem dla pisarzów, których przedstawia, musi połączyć z zapałem dokładną znajomość nietylko tych pisarzów, lecz także wybitniejszych przedstawicieli i kierunków literatury powszechnéj, oraz dobrze wyrobiony sąd krytyczny, ażeby módz wykazać istotne zasługi swoich ulubieńców i określić rzeczywiste ich znaczenie w rozwoju piśmiennictwa. P. Rzewuski niejednokrotnie w swéj pracy powołuje się na wielkie imiona poetów i krytyków, przytacza sceny lub zdania, dowodzące, że imiona te są mu znane z czytania ich dzieł lub przynajmniéj z dobrych monografii o nich; ale niezawsze okazuje, iżby sobie jasno zdawał sprawę z zagadnień, które porusza, iżby w danéj chwili uprzytomniał sobie ogół kwestyi w odniesieniu do jakiegoś szczegółowego jéj punktu. Autor pociągnięty myślami pisarza, przedstawionego przez się, w pewnym oznaczonym kierunku, idzie za nim niemal na oślep, nie troszcząc się o to, czy w inném miejscu, z powodu innego pisarza, nie wypadnie mu znacznie odmienić swe poglądy. Wezmę za przykład pytanie, dotyczące tendencyi utworów artystycznych, gdyż wraca ona we wszystkich czterech studyach p. Rzewuskiego. Rozbiérając dzieło Gabryela Séailles p. n. „*Essai sur le génie dans l'art*“, dochodzi wraz z nim do tego przekonania, które uważa za nowe, chociaż jest stare i trochę jednostronne, że ostateczną siłą, skupiającą wszystkie żywioły pomysłu artystycznego w jednę całość, jest „siła natchnienia, emocya rządząca umysłem artysty w chwili twórczości“ nie zaś „refleksya, rozumowanie, pewna moralna dążność“. I to przekonanie prowadzi go do gwałtownéj wycieczki przeciwko estetykom i krytykom, poszukującym tendencyi w dziełach piękna. Wynik badań p. Séailles obala, zdaniem jego, całkowicie, bezmyślną metodę do dziś dnia kwitnącéj, szczególniéj w naszéj i ruskiéj literaturze, pseudo-estetycznéj krytyki, przedewszystkiém szukającéj, ganiącéj lub chwalącéj zamiary, intencye, tendencye autora i t e m u (!) podobne brednie“ (str. 234). Gdyby p. Rzewuski pamiętał pisząc o Séailles to, co poprzednio wygłosił, idąc za Bourgetem, byłby nie nazwał bredniami tego, co zarówno uprawnione z utworami „natchnienia“ artystycznego poczytywał. Tam, w artykule o Bourge-

cie, słusznie zaznaczył, że istnieją „dwie wielkie i kardynalnie przeciwne grupy umysłów: rozumujących indukcyjnie i wszystko analizujących dedukcyjnie, że „artysta może należéć do téj lub owéj kategoryi psychicznéj i być wielkim artystą“, że „chciéć zamknąć wszystkie indywidualności literackie w sferze realistycznéj obserwacyi jest nonsensem“, że obraz twórczy może być realnym, wyraźnym i świetnie zbudowanym nawet u pisarza, który widzi w nim tylko uosobienie pewnéj *a priori*, abstrakcyjnie osnutéj tezy“ (str. 182, 183). Na podstawie tych i tym podobnych twierdzeń i wywodów, idąc za Bourgetem, trafnie zauważył, że nie ma „absolutnéj estetyki i doskonałéj szkoły, a t e n d e n c y j n o ś ć tak samo jak s z t u k a d l a s z t u k i, te dwa staroświeckie terminy, mają swoję racyę bytu w ogólnych prawach rozwoju ludzkości i ewolucyi pojęć literackich“. Szczególniéj dobrze byłoby, gdyby p. Rzewuski pamiętał był, chcąc mówić o „bredniach“ tendencyjnych, swe własne słowa ze str. 187: „Nie uznawanie legalności istnienia tych dwóch, wzajemnie uzupełniających się obozów jest poprostu nieporozumieniem, wynikającém z braku ścisłéj metody krytycznéj i naukowego poglągu na dziejowy pragmatyzm artyzmu“. Obok tego zapominania o wyrzeczonych przez się opiniach, drugą wadą p. Rzewuskiego jest, iż częstokroć nie umié uzasadnić swego uwielbienia odpowiedniemi dowodami. Nieraz się zdarza w jego książce, że nasłuchawszy się o gienialności, wzniosłości, pomysłowości itd. pewnego autora, czytelnik napróżno w przytoczonych przez krytyka-entuzyastę zdaniach lub scenach doszukuje się śladów owéj epokowéj doniosłości, o któréj go zapewniono, i odkłada książkę wcale nieprzekonany. Widać to zwłaszcza wyraźnie w dwu studyach o Gabryelu Séailles i Henryku Becque; ani głębokości pierwszego ani nadzwyczajnéj pomysłowości dramaturgicznéj drugiego czytelnik zgoła nie widzi przed sobą: owszem dowodów pospolitości zdań i pomysłów u obu można tu znaleść, wbrew dążności krytyka, podostatkiem. Daleko lepsze pod tym względem są rozbiory utworów Maupassant'a i Bourget'a. Język p. Rzewuskiego jest niepoprawny, pełen wyrazów i zwrotów cudzoziemskich, a styl całkiem na sposób francuski urobiony, przyczém doznaje się wrażenia, że autor z trudnością tłómaczy frazesy pomyślane po francusku.

= **Zygzaki**. *Szkice Józefa Waśniewskiego* (Warszawa, 1889, str. 200). Ponure, smutne, bolesne, przygnębiające wrażenie wywiéra większość drobnych utworów, zawartych w tym tomiku, którym nowy autor przedstawił się czytelnikom. O ludziach zwłaszcza bogatych ma on wogóle złe wyobrażenie: są to samoluby dbające

tylko o własną wygodę, zabawę, korzyść i wyzyskują wszystko i wszystkich, dopóki mogą; nawet cierpienia i nędza są dla nich dziedziną, w któréj szukają zaspokojenia swoich chuci (jeden epizod w szkicu „Miłosierdzie"): bezmyślność, zepsucie, nikczemność, są powszechnemi cechami zarówno starych, jak młodych (jasnowłosa siostrzenica w opowiadaniu „Mój waryat"); sumienie budzi się w nich rzadko i bodaj tylko na chwilę („W półświetle"). Wśród takiego otoczenia jednostki biédne, szlachetne, uczciwe prowadzą życie ciężkie, pełne przejść strasznych, tragicznych. Biédny kataryniarz (niewątpliwie osobistość wyjątkowa), mający delikatne poczucie piękna i miękkie serce, zapracowuje się od rana do nocy, od ust sobie odejmuje, byle mógł uzbiérać sumkę na wykupienie słowika, osadzonego w klatce i puszczenie go na wolność, a gdy już miał gotówkę, dowiaduje się, że słowik został zabity; właściciel jego Niemiec, chciał pokosztować wątroby śpiéwaka z sardelowym sósem... („De gustibus..."). Dziewczynka dwunastoletnia, dla ulżenia matce w szpitalu i sprawienia sobie sukienki... do pierwszéj komunii, roznosi kwiaty i chodzi do panów... starych rozpustników, którzy smak znajdują w niedojrzałych wdziękach („Wpół świetle"). Stary woźny na kolei, myśląc o choréj śmiertelnie córce, zapomina odnieść listu naczelnika do panny Fifiny, i skazany zostaje na zapłacenie rubla kary za opuszczenie się w służbie („Nie bez przyczyny"). Chora wyrobnica z kilkorgiem dzieci musi patrzéć na zaprawianie się najstarszego synka do kradzieży, gdyż tym tylko sposobem otrzymuje jéj rodzina trochę pokarmu, musi patrzéć na śmierć najmłodszego, nie mającego co wyssać z wyschłéj piersi, próbuje się topić, lecz miłosierni ją ratują, ażeby daléj w nędzy i utrapieniu żyła, póki się nie powiesi, chcąc zapewnić siérotom opiekę miłosierdzia („Miłosierdzie"). Takie i tym podobne obrazy przesuwa przed oczyma naszemi autor, nigdzie nie wpadając w deklamacye, nigdzie własnych nie wypowiadając sądów i uczuć, lecz starając się tylko wiernie odtworzyć prawdę i zaprawić ją to satyrą („Pod schodami"), to humorem, to ironią. Czy wszędzie bierze materyał z obserwacyi własnéj, trudno odpowiedziéć twierdząco, ale, że wszędzie głęboko odczuwa autor co pisze, to pewna. Wiele scen z życia warszawskiego ma cechy istotnie obserwowanych rzeczy, ale niektóre pomysły (sukienka do pierwszéj komunii, waryat, który z kupczyka i lektora wyrabia się na filozofa) zdają się być płodem fantazyi, pobudzonéj lekturą francuskich impresyonistów. Do téjże kategoryi odniósłbym nowelkę „Dysonanse" i obrazek „Będzie". W „Dysonansach" opowiada p. W. historyę zakładu, zrobionego przez artystę-malarza z kolegami, iż zbałamuci ucz-

ciwą pannę, sierotę, grającą wieczorami w restauracyi. Zaznajomienie się z nią, rozkochanie i zakochanie się w niéj następuje łatwo i ostatecznie powątpiewania w czytelniku nie budzi. Ale ostatnia scena, kiedy zdecydowawszy się zaślubić pannę i oświadczywszy jéj to, pierwszy raz wchodzi do jéj mieszkania i proponuje, żeby dla wygrania zakładu został u niéj przez noc, jest już w wysokim stopniu naciągniętą, bo zgodniejszą z charakterem nikczemnika niż człowieka uczciwego, za jakiego chce autor podać swego malarza. Środek zaś, którego się chwyta panna, nic nie mówiąc ukochanemu, to jest zaczadzenie, jest wprost pomysłem melodramatycznym, czysto efekciarskim, bez prawdy psychologicznéj i w charakterze panny Wandy i w sytuacyi. W obrazku „Będzie“ odmalowany został stary wojak, obecnie roznosiciel Kurjera, wspominający ciągle dawne czasy, mający wielką cześć dla drukowanego słowa, myślący o tém, żeby uczucia lepsze i chęci gorętsze nie zamierały. Raz opowiedział sekretarzowi redakcyi wiadomość o ukazaniu się słupów ognistych, którą tenże dla zapełnienia miejsca, nie sprawdziwszy, pomieścił. Zmartwiło to strasznie starego roznosiciela, gdy się przekonał, że wydrukowano bajkę; chcąc zatrzéć to wrażenie, spisał swoje wspomnienie z lat dawnych, gdzie także była mowa o słupach ognistych, i oddał to pisanie sekretarzowi. Gorączkowo oczekiwał spełnienia obietnicy, że to jego pisanie zostanie wydrukowane i z tą nadzieją umarł. Zdaje mi się, że idealizacya za daleko tu posunięta została. Język p. Waśniewskiego jest czysty; czasami tylko zdarzą się takie niepolskie wyrażenia jak: odnosił się do lokatorów apatycznie, zwątpić *w* co.

= **Wlazł na gruszkę**. *Satyra biograficzna Sęka. Nakładem przyjaciół na korzyść ociemniałego autora* (Warszawa, 1889, str. 20). Jestto jedna z najdawniejszych, bo przed 20 zgórą laty napisana praca poetycka Teodora Sęczkowskiego, który w sile wieku dotknięty został tak strasznėm kalectwem. Jakby przeczuwając swą przyszłość w satyrze swojéj autor opowiedział dzieje człowieka, któremu od kolébki już się nie szczęściło. Opowiedział to lekkim tonem, ale przebijają się w nim nieraz łzy tłumione i obrazy straszne, odganiane siłą woli. Gdy obecnie satyra ta szła do druku, Sęk ją trochę przerobił i dopełnił, wpadając w jedném miejscu w rytm Baki. Rozkupienie téj książeczki, która nikogo chyba znudzić nie może, powinnoby nastąpić rychło i przynieść autorowi pomoc materyalną; bo Sęk ani poezyami swemi ani guwernerką nie mógł zebrać żadnych zasobów na ciężkie lata, w których mu praca jest tak utrudniona.

= **Zbiór rot przysiąg sądowych** poznańskich, kościańskich, kaliskich, sieradzkich, piotrkowskich i dobrzyszyckich z końca wieku XIV i piérwszych lat wieku XV wydał *Romuald Hube.* (Warszawa, 1888, 8-o, str. VIII i 161). Starodawnych pomników języka naszego nie mamy wydanych zbyt wiele; dla tego każdy nowy przybytek wielce jest pożądany, choćby to były krótkie roty przysięgi, w aktach sądowych, grodzkich, czy ziemskich, zapisane. Zabytki tego rodzaju ważne są mianowicie z tego względu, że zawiérają teksty nie tłómaczone z obcych języków, lecz polskie oryginalne; że mają ściśle oznaczoną datę i że zawsze znana jest miejscowość, w któréj tekst został spisany, co dla dyalektologii polskiéj może nieraz pożądanych dostarczyć wskazówek. Dla historyi prawa roty przysiąg również nie mogą być obojętne. Wdzięczność się przeto należy senatorowi Hubemu, który przed trzynastu laty wydał już zbiorek 73 rot krakowskich, że ponownie zwrócił uwagę na ten naukowy materyał i obdarzył nas w zeszłym roku zbiorem bezporównania bogatszym, bo 1140 rot obejmującym, a zaczerpniętym z różnych ksiąg sądowych, nie każdemu badaczowi dostępnych. Zasługa wydawcy jest tém większa, że ogłaszając swój zbiór, postarał się o wzbogacenie go objaśnieniami, które na jego prośbę wygotował znany lingwista, dr. A. Brueckner. W ułożonym przez niego słowniku wyrazów i spisie nazw osobowych, znajdujemy i trafne zestawienia porównawcze i sprostowania błędów, które pisarze sądowi obficie płodzili, i uwagi etymologiczne i poprawne lekcye, i wytłómaczenie tekstów niejasno napisanych, jak np. zapiski Poznańskiéj 309, pod wyrazem „zapowiedź". Nie siląc się na dłuższe pochwały dla téj wybornéj pracy berlińskiego profesora, wolimy tu przytoczyć uwagi, któreśmy sobie przy jéj odczytywaniu zanotowali. W rocie Kościańskiéj 44 napisano: „ane zwanl Broguvszy", co w słowniku objaśniono: a nie wziął brogu *w wsi* (str. 127); sądzę, że trzeba czytać: brogu rży, tj. żyta. Zamiast wyrazu „klothka" wolałbym postawić: półkłodek od wyrazu kłoda, jak mamy od kwarty półkwartek, od beczki półbeczek, od grosza półgroszek. Pod wyrazem „obręczyć" mieści dr. Brueckner z roty Dobryszyckiéj 32 wyrażenie: „ymal *obranicz...* dotalicium"; należało tu czytać: *obrauicz*, tj. oprawić, bo chodzi o wiano. Zamiast: odganić dziewstwa, trzeba było czytać: odjąć dziewstwo (w rocie: „odganil"=odganl= odjął). Wyrażenie: Więcław się pokłonił—nie znaczy: poddał się, lecz: prosił; pokłon — dziś, to podarek wieśniaka przychodzącego z jakąś prośbą. W rocie Poznańskiéj 69: „ten lud poueszil", znaczy może: powięził. W rocie Dobrysz. 80: „bega szarana y vynami", możnaby czytać: biega za raną i winami, to jest: biega po

sądach za nawiązką. W rocie Sier. grodz. 67 stoi: „yze sze ten kon voczil na dworze vbartholomeie y giescze yego macze yma", co dr. Brueckner czyta: i jeszcze jego Maciéj ma; ponieważ sprawa toczy się między Bartłomiejem a Dobiesławem, więc o żadnym Macieju nie może tu być mowy, wolę przeto czytać: iże sie ten koń rodził (lub wodził) na dworze u Bartłomieja i jeszcze jego macię (t. j. matkę tego konia) ima (rozumie się: Bartłomiéj). „Sep" wolałbym objaśnić: danina w ziarnie, aniżeli opłata. „Strawa" może nie znaczy *expensa*, lecz żywność, karm. Wątpliwém mi się wydaje, czy niezrozumiałe wyrażenie: „v steley a vstel nacz sme", słusznie pomieszczono pod wyr. „sto". Ujazdy (*v.* uwrocia), ściśle biorąc, nie znaczą granic, lecz miejsca, gdzie podczas orki zawraca się woły z pługiem nazad; oczywiście, przy granicy zawsze trzeba było zawrócić, ale zawracano i na krańcu pola, lubo nie na granicy leżącego. Słowo „wadzić" objaśniono prze *nocere*; właściwszém jednak, jak sądzę, jest: przeszkadzać, a w rocie Pozn. 262 znaczy kłócić. Słowo „wręczyć" znaczy w rotach nie to, co dzisiejsze wręczyć, lecz tyle co poręczyć, zaręczyć; dla tego w rocie Pozn. 263 słowo „wroczala" nie znaczy: wręczyła, ale raczéj: zwróciła, zwracała. Przy słowie „wściągnąć" znajdujemy objaśnienie *arrestare*; słuszniejszém jednak wydaje się znaczenie: pociągnąć do sądu, pozwać. Słowo „wybić" dobrze przetłómaczono w rotach Pozn. 408 i Sier. grod. 46 przez *expellere*; czasem jednak znaczy ono toż samo, co słowo „odbić" (użyte w Pozn. 58), to jest odebrać siłą, jak to widzimy w wyrażeniu „odbić jęcca", przy którém cytatę uzupełnić należy tak: Sier. ziems. 58. Słowo „wywieść się" w Kość. 37 nie koniecznie użyte jest w znaczeniu *expurgare se*. Obok formy „urządzić" istniała téż forma „rządzać"=umawiać się: „yakom randzal" (Piotrk. gr. 46). Imie żeńskie Baldama zbliża dr. Brueckner z imionami Baldemia i Baldoina; wspomniéć tu można, że wcześniéj spotyka się to imię w dyplomatach (ob. Kok. dypl. Wielkop.). Imię Teodor, w postaci Czader lub Cedro, także w dyplomatach się natrafia. Obok formy Dolebor możnaby postawić prawidłową Dalebor. Imię „Chebda" wywiedziono od „chebd" *sambucus*; dodam, że dziś u Wołyniaków, pod Starym Konstantynowem, „chept" znaczy chwast. Jaksę właściwiéj było pomieścić pod Jakóbem, Jakuszem, aniżeli pod Janem. Jarant=Arent, Arnold. Jaracz nie pochodzi od Jarosława, lecz jest spolszczeniem Horacego (cf. Stenzel, Urk. zur Gesch. d. Bisth. Bresl. str. 38—40). Kozanka i Cosczanka — to dwie różne nazwy: jest wieś Kościanki w Kaliskiém, pod m. Stawem, wieś zaś Kozańki między Uniejowem a Dąbiem. Olszam, jako imię osobowe, nie ulega żadnéj wątpliwości, spoty-

kamy je bowiem często w księgach sądowych XV wieku; pamiątką po niém jest dotąd wieś Olszamowo w Płockiém, pod Bodzanowem. Stwierdzając teoryę p. J. Karłowicza o skracaniu imion, dr. Brueckner utrzymuje, że imię Grzymek jest skróconém z Pielgrzymek; w rotach jednak nie znajdujemy na to dowodu. Mniemamy téż, że imię Pielgrzym, z łacińskiego *Peregrinus* jest wcale różném imieniem aniżeli Grzymek, zdrobniałe od Grzymisława; że zaś to ostatnie jest samoistném imieniem słowiańskiém, o tém wnioskujemy z téj okoliczności, iż w XII wieku znajdujemy księcia tego imienia na Pomorzu gdańskiém, gdzie książęta imiona wyłącznie słowiańskie nosili; co ważniejsza, żona Leszka Białego, księżniczka ruska, zwała się Grzymisławą, a na Rusi przecież łacińskie imię *Peregrina* nie mogło być używane. Z wyrażenia roty: „Stasconis sczirczconis“ wyprowadza Dr. Brueckner wątpliwy *nominativus* „Scirzek“; sądzimy, że brzmiało to: Szczérczek, czego śladem jest nazwa miasteczka Szczérców. Imię Świędzeń jest niewątpliwe, jak wskazuje dawna nazwa wsi Swiędzieniewice. Wata lub Watta, to znany przydomek wielkopolskiéj rodziny z Nądna. Imiona Waniek, Wańkowa, nie mają nic wspólnego z Więcławem, lecz pochodzą od imienia Iwan, używanego niegdyś u nas w téj formie, z któréj powstały nazwy miejscowe Iwanowice, Iwaniska. Wacław, a raczéj Więcław, książe mazowiecki nie był nazywany Wańkiem, lecz Wanckiem, Więckiem.—Podajemy wreszcie kilka sprostowań omyłek drukarskich. Przy wyrazach: „drzwi“ i „na dzale“ (str. 129) wykreślić znaki zapytania; pod wyrazem „jeśm“ cytatę S. 128 poprawić na: S. 28; przy wyr. „kowanie“ zamiast S. 174 ma być S. 173 pod słowem „postać“ brak przy pierwszym przykładzie cytaty: Pozn. 92; pod wyrazami „sien“ i „siepać“ odsyłacze są błędne; pod wyr. „winne“ zamiast P. 62, ma być P. 65.—Na zakończenie, godzi się wspomniéć, że lubo drukarnie warszawskie nie odznaczają się wogóle wykwintnością swoich produkcyi, i wśród nich nie łatwo spotkać się z czcionkami tak zniszczonemi, jak w książce niniejszéj, co tém więcéj zadziwia, że „zakłady S. Orgelbranda Synów“, w których ją tłoczono, posiadają własną gisernię i na brak dobrych czcionek cierpiéć by nie powinny.

= **Podręcznik metryki łacińskiéj i greckiéj** *ułożył Marcin Sas*. Kraków 1889. Str. 40. Dziedzina filologii klasycznéj od pewnego czasu coraz więcéj leży u nas odłogiem, dlatego téż z uznaniem powitać należy każdą nowozaciężną siłę, poświęcającą się umiejętnym na tém polu badaniom. Jeden z nielicznego grona tutejszych jéj adeptów p. Marcin Sas, znany już z kilku rozpraw drukowanych

w „Muzeum“, ogłosił świeżo cytowany wyżéj podręcznik metryki łacińskiéj i greckiéj. Jesto druga dopiero z rzędu z tego zakresu praca, jaką posiada nasza literatura. Jest ona pod pewnym względem uzupełnieniem ogłoszonéj w r. 1869 pracy prof. Brandowskiego „Wykład budowy wierszów Owidego, Wergilego i Horacego“. Wobec tego, że gramatyki używane w gimnazyach galicyjskich, bardzo pobieżnie przedmiot ten traktują, praca p. Sasa okazuje się ze wszech miar pożądaną. Poucza ona o miarach i budowie wiersza wszystkich w gimnazyach czytywanych poetów klasycznych łacińskich i greckich, a pod względem ścisłości oraz jasności i przystępności wykładu czyni zadość wszelkim wymaganiom.







KRONIKA MIESIĘCZNA.

Klasa ludności znana z ideału, a nieznana z nazwiska. — Rzemieślnicy nasi i postęp rękodzieł.— Sprowadzanie wyrobów zagranicznych. — Współzawodnictwo wytwórczości obcéj.—Podoficerowie przemysłu. — Szkoły fachowe. — Nauka i praktyka. — Głos pracodawcy i wyrobnika. — Czy brak nam pracy czy ludzi? — Uprzywilejowanie cudzoziemców.—Na czém polega wartość majstra —Niemcy u p. Gostyńskiego. — Co robią małoletni usunięci z fabryk. — Łobuzerka czy praca nad siły? — Nowe kasy oszczędności. — Brak wprawy.—Przyjemny wyjątek.—Osobliwość przyszłéj wysstawy.—Dwie nowe metody. — „Najnowsza i najpraktyczniejsza“ tandeta. — P. S. Eugieniusz Dziewuiski.

„Kuryer codzienny“ — sądzisz może czytelniku, że rozpocznę opowiadanie o sięgających dna reformach, które mają niebawem z postaci i z ducha odmienić dziennik, noszący to miano, a których świat dziennikarski oczekuje z głośną lub ukrytą niecierpliwością— otóż nie; mówię zupełnie o czém inném, mianowicie o podniesionéj przez „Kuryer“ kwestyi „szkół specyalnych i praktyki“. Biorąc rzecz ściśle, chodzi o jeden ze środków rozwinięcia, podniesienia, a może nawet wprost wytworzenia klasy, potrzebnéj nam jeszcze za czasów Kazimierza, syna Łokietkowego, a dotychczas znanéj głównie pod postacią ideału lub okazów zagranicznych. Jestem w kłopocie, jak klasę tę ochrzcić jednym przymiotnikiem, najwłaściwiéj byłoby może powiedziéć rzemieślnicza, ale zaraz przyjdzie na myśl typ, znany doskonale z teatru i powieści, z rysunków Kostrzewskiego, a nieco i z życia, posiadający postać beczki, czerwony, rozrosły nos, świętujący w poniedziałki i niedościgniety pod względem punktualności w niedotrzymywaniu przyrzeczeń. Tymczasem chodzi o klasę pod wieloma względami, nietylko odmienną, lecz nawet biegunowo przeciwną.

Pomijając zaszczytne, bardzo nawet zaszczytne wyjątki, majstrowie nasi i czeladź rzadko wychylają się po za mrok wykształcenia elementarnego, zarówno fachowego jak i ogólnego. W wyszukiwanie i wyliczanie przyczyn zjawiska nie ma się co wdawać, wszyscy przytoczyć jesteśmy w stanie racye historyczne, potrafimy wymienić przesądy współczesne, umiemy także prawie wszyscy

te ostatnie hodować wytrwale. Udział nasz w postępie rzemiosł, już nie twórczy, lecz naśladowczy tylko, jest prawie żaden. O tém, co wytwarza pracująca nieustannie myśl i praktyka ludzka, rzemieślnik prowincyonalny nie wié wcale, a warszawski słyszy lub widzi czasami niedokładnie, niesystematycznie. Pism cudzoziemskich rękodzielnik nasz nie czyta i w większości wypadków czytać nie może. Organów zaś miejscowych nie ma i próby stworzenia takowych nigdy wielkiego powodzenia nie spotkały, co dowodzi najlepiéj, że majstrowie nasi dosyć obojętnie traktują swą sztukę i doskonałość. U krawców tylko, modniarek i najbardziéj postępowych fryzyerów znaléść można wycinki z „żurnalu“ i malowanki, reprezentujące mody paryskie. Kilku majstrów, którzy wyjechali na wystawę, aby się czegoś nauczyć, oznajmiło o tém narodowi przez ogłoszenia w kuryerach. Niejednokrotnie pisma nasze piętnowały ludzi, sprowadzających sobie ubranie, meble i t. p. rzeczy z zagranicy, rzeczywiście jednak nikt nie zastanowił się nad tém, czy postępowanie podobne nie ma na swe usprawiedliwienie poważnych przyczyn i czy przez to ci potępieni nie oszczędzili sobie wielu przykrości, zawodów, a nawet może pieniędzy.

Nie mieliśmy takich dzielnych rękodzielników, artystów w zawodzie swoim, jak tkacze holenderscy lub złotnicy weneccy, słyną co prawda do dziś klingi augustówek i złotolite pasy słuckie, ale po za tém na coś więcéj powołać się trudno. Niegdyś przytém łatwiéj dało się wytłómaczyć nasze w tym względzie zaniedbanie. Szlachcic żył sobie gdzieś na Polesiu, za piaskami i lasami, kupił to, co mu kramarz miejscowy przyniósł do domu lub pokazał na jarmarku; słusznie czy nie słusznie rękodzieła uważane były za pośledniejsze i mniéj do życia potrzebne dodatki, od tego na świecie byli Niemcy, Włosi i Angielczykowie. Dzisiaj zarobkowanie warsztatowe staje się, a z czasem stanie się jeszcze bardziéj, jedyną ucieczką i główném źródłem zaspakajania potrzeb materyalnych ogółu; z chęcią lub z boleścią będziemy musieli synów naszych oddawać do warsztatu. Z drugiéj strony, szczęśliwe zapiecki, zakątki i zagrody poznikały, koleje żelazne dochodzą wszędzie. Kto się opuści, zginie, bo go ze wszech stron zaleje i nie oszczędzi konkurencya. Kilka miesięcy temu, w dwu miastach szewcy nasi w niebogłosy krzyczeli, wszystkich potęg ziemskich wzywali na ratunek, gdy im niemiec pogroził ulepszonym sposobem szycia butów.

Kwestya więc rozwinięcia i utrwalenia bytu rękodzielnictwa swojskiego, oraz wyhodowania odpowiedniéj klasy ludności jest potrzebą pierwszorzędnéj wagi.

Nietylko warsztat rękodzielniczy, ale przemysł większy potrzebuje majstrów różnych rodzai (werkmajstry, werkfirerzy, monte-

rzy, sztygarze i t. d.) i tych także nie posiadamy. Wyrobić majstrów trudniéj niż posiąść inżynierów, najlepszy dowód tego mamy na sobie. A tymczasem majster w fabryce jest tém, czém podoficer w wojsku, od niego wprost zależy wartość szeregowca, umiejętność wykonywania rozkazów, duch armii. Bez majstrów krajowców przemysł nie przestanie być, pomimo licznych dyplomów z Instytutu Technologicznego z Zurychu, Wiednia i t. d., w znacznéj części niemieckim. Tak daléj trwać nie powinno.

Za przyczynę dotychczasowego smutnego stanu p. S. K., publicysta z „Kuryera Codziennego“, uważa wadliwe wychowanie domowe i szkolne, przeciążające młodzież nawałem niepotrzebnych wiadomości, nie wdrażające powoli do cięźkiéj pracy fizycznéj, a czego najbliższym skutkiem jest nieznajomość roboty.

Łatwo temu da wiarę każdy, kto, nie znając nawet urządzeń szkół średnich specyalnych, zastanawiał się nad programami szkół wogóle. Autorowie ich widocznie hołdują zasadzie: sztuka dla sztuki, stąd utwory ich, może idealne, piękne, żadnemu realnemu celowi nie odpowiadają.

Kurs teoretyczny w szkole specyalnéj trwa 3 lub 4 lata, wykład nauk jest obszerny, ucznia przytłacza chaos i nie pozwala mu zrobić rozsądnego wyboru, témbardziéj, że nie ma pojęcia o tém, co mu się w przyszłości przyda. Wychowańcy szkół takich są to mniéj więcéj młodzieńcy dwudziestoletni; w wieku, w którym się człowiek łatwo nagina i urabia, przyzwyczajono ich do stolika, książki, pióra i ołówka. Nagle, bez żadnego stopniowania przerzuceni oni zostają do warsztatu, fabryki lub kopalni. Takie przejście nie może nie zniechęcać. Zamiast o godz. 8-éj, praca rozpoczyna się o 6-éj, zamiast czystéj sali szkolnéj, trzeba przepędzać dni w dusznėm, brudném zabudowaniu fabryczném. Wszystkie zmysły cierpią, praca wyczerpuje, przechodzi siły nie wyrobione w swoim czasie; na samym progu zawodu, paraliż rozczarowania ścina zapał młodzieńczy. Dla zaradzenia złemu autor proponuje wprowadzenie systematu zagranicznego. Chłopiec 14 lub 15-o letni powinien iść wprost do warsztatu i dopiéro w 18 lub 20 roku wstąpić na rok do szkoły.

Ponieważ kwestyi bliżéj nie znam, nie mogę więc wdawać się w roztrząsanie słuszności projektu powyższego, ograniczam się tedy na podaniu czytelnikom zdania cudzego, pozwalając sobie na postawienie jednego tylko pytania: Czy chłopiec, przez lat kilka pracy fizycznéj odzwyczaiwszy się od książki i od zajęć umysłowych, będzie zdolny powrócić do nich późniéj? Sądząc na podstawie własnych, nie licznych coprawda obserwacyj, skłonny byłbym przypuszczać, że raczéj nie.

Artykuł p. S. K. nie przeszedł bez wrażenia, redakcya „Kuryera“ otrzymała wiele listów, z których dwa podaje w streszczeniu: jeden pochodzi od majstra-robotnika, drugi od przemysłowca-pracodawcy, p. Bernarda Hantkego.

P. Hantke przedewszystkiém zaprzecza twierdzeniu jako by u nas brakowało pracy; wedle jego zdania, jestto fałsz wierutny. Pracy, zajęcia i chleba jest aż zanadto, tylko pracowników sumiennych brak na każdém polu. Dobry pracownik nie szuka u nas zajęcia— jego poszukują. Fakt, że nieustannie istnieją masy włóczęgów bez roboty, p. H. przypisuje trzem przyczynom: 1) słabéj moralności ludzi, wiecznie bez chleba będących, 2) brakowi zamiłowania do pracy i fałszywym a zgubnym ambicyom, słabo wykształconych osobników, 3) zupełnie nieudolnemu przygotowaniu fachowemu. „Jak uczeń—dowodzi p. H., tym razem z zupełną słusznością,—który pragnie się czegoś nauczyć, oprócz programu szkolnego sam po za szkołą pracuje nad sobą, tak téż i w wieku starszym każdy może i powinien, idąc za przykładem ościennych narodów, kształcić się w obranym zawodzie, śledząc ciągle za postępem“. Ostatecznie p. H. radzi nie tyle myśléć o reformie szkół, co od nas nie zależy, ile dbać o udoskonalenie wychowania w domu i o gruntowną reformę własnéj natury.

Majster-robotnik téż powiada, że takie lub inne urządzenie szkół wielkiéj zmiany nie przyniesie, wobec istniejących stosunków, a mianowicie wobec upośledzenia majstrów krajowców na rzecz cudzoziemców, głównie zaś, naturalnie, Niemców. Żadne przygotowanie, żadna biegłość fachowa, żadna cnota na nic się nie przyda— w walce konkurencyjnéj Niemiec zwycięży, dla tego tylko, że Niemiec. „Jestem—opowiada o sobie autor listu—wychowańcem jednéj ze szkół fachowych, przez dwa lata pracowałem w mym zawodzie jako robotnik, dalsze dwa lata praktykowałem za granicą w celu wydoskonalenia się w obranym przezemnie fachu i obecnie, jeszcze po kilku latach pracy, doszedłem do stanowiska majstra, który musi robotą zarządzać, przeprowadzić ją, wszelkie maszynerye utrzymać w porządku, a w razie potrzeby urządzić coś nowego. Jako rzecz mniejszéj wagi nadmieniam, że zawsze byłem i jestem zajęty najmniéj 12 godzin na dobę, a mimo to zawsze zarabiam nie więcéj jak średni urzędnik w Warszawie. Tymczasem inni kolédzy moi po fachu, ale cudzoziemcy, mają pensyą odemnie 3 lub 4 razy większą... We wszystkich prawie fabrykach Polakowi mniéj płacą niż Niemcowi, chociaż jednakowe mają zajęcie i z jednakowym skutkiem rzecz swoją spełniają. Oh nie, zaiste, ironią jest chyba narzekanie właścicieli fabryk na brak uzdolnionych krajowców, pod-

czas gdy ci, nie znajdując kawałka chleba u siebie, daleko od swoich kątów szukać go muszą".

Z tych dwu tak sprzecznych z sobą zdań, więcéj słuszności zdaje się zawierać głos przemysłowca, gdyby nie był wypowiedziany tak bezwzględnie, gdyby nie zwalał wszystkiego na jedną przyczynę, gdzie ich niewątpliwie istnieje wiele i to różnorodnych. Skargi na zabijającą konkurencyę cudzoziemców, na dawanie pierszeństwa Niemcom jedynie dla ich narodowości, rozbrzmiewają u nas oddawna, i naturalnie trafiają wprost do serca, znajdują łatwo wiarę i oddźwięk, drażnią nabrzmiałą niechęć, przejmują zgrozą i oburzeniem. Jeżeli jednak gorycz sercową zechcemy spokojnie zanalizować beznamiętnym rozsądkiem, to rzecz straci wiele na prawdopodobieństwie.

Łatwo jest zrozumiéć i uwierzyć, że jakiś panicz, któremu w czubku świta, otacza się cudzoziemcami dla szyku i blagi, niemieckiego pastucha robi lokajem, a lokaja angielskiego bierze na rządcę. Jest jednak zupełnie pewném, że przemysłowcom nie chodzi o podobne względy w ponurych wnętrzach ich fabryk. Tego im nikt zaprzeczyć chyba nie zechce, że materyalny interes swój rozumieją i na blichtr cudzoziemskiego szwargotu wziąć się nie dadzą. Gdzie rządzi prawo podaży i popytu, tam ani względy, ani uczucia narodowe doniosłéj roli grać nie mogą, a przecie u nas wielu jest właścicieli krajowców i przeciwko tym głównie ostrze skargi bywa skierowane. Jest téż zupełnie niezrozumiałém, dlaczego by jakiś fabrykant, a szczególniéj Polak, płacił chętniéj drożéj Niemcowi niż równie dobremu majstrowi krajowcowi, kiedy ten ostatni ma stanowczą przewagę, potrafi dokładniéj porozumiéć się z robotnikami i z publicznością, zna miejscowe warunki i potrzeby, wié gdzie czego szukać, gdzie i jak z kim gadać.

Z drugiéj strony istnieją poważne przyczyny, dla których w tym razie bezwzględnie, bez poważnych dowodów polegać nie można na skargach robotników. Nikt z nas spewnością nie spotkał ani krawca, ani szewca, chociażby partacza z Ryczywołu, który by nie uważał, że on potrafi równie poprawnie uszyć tużurek lub skroić buty, jak najlepszy majster warszawski lub paryski. Jestto złudzenie bardzo naturalne i właściwe przyrodzie ludzkiéj, ambicya jak mgła mroczy umysł i nie pozwala na sąd słuszny. Dla tego, gdy jakiś majster ogłasza się za równie biegłego jak jego kolega, bardziéj przez przemysłowca ceniony, to właściwie nie mamy jeszcze żadnego dowodu dla decydowania w téj sprawie. Nie zapominajmy także, iż biegłość fachowa stanowi połowę zaledwie wartości majstra, druga połowa zależy od jego przymiotów moralnych i sumienności, aku-

ratności itd. Nie możemy zaś przypuszczać, aby ogół majstrów Polaków dorównywał pod tym względem ogółowi majstrów Niemców, jeszcze bardziéj Francuzów, a szczególniéj Anglików, kiedy, wogóle biorąc, stoimy niżéj. Kto z nas zresztą nie nawyrzekał się, ile razy zdarzyło mu się miéć do czynienia z majstrem naszym. Nie jest przecie nikomu tajném, że w przemyśle naszym jest więcéj daleko „fuszerki" niż na Zachodzie, wszak dzięki téj fuszerce, a więc niesumienności, wiele wyrobów warszawskich utraciło wziętość na rynkach wschodnich.

To też skargi na rozmyślne a niepojęte upośledzanie krajowców w przemyśle, o ile zanoszone bywają z wskazaniem na wypadek szczegółowy i spowodują wyjaśnienie, okazują się zwykle niedokładnemi. Świeżo postawiono zarzut znanéj i szanownéj fabryce wyrobów metalowych p. Gostyńskiego, że usunęła dwu Polaków, pracujących przy ambonie do kościoła Wszystkich Świętych, za to, iż żądali podwyższenia swego skromnego wynagrodzenia, a jednocześnie przyjęła dwu Niemców, którym płaci znacznie więcéj. P. Gostyński, powołując się na fakty, dowodzi w liście do redakcyi „Głosu", że o dobro robotników miejscowych dbał zawsze. Ozdobne ślusarstwo, a w szczególności sztuka trajbowania do ostatnich czasów nie miały przedstawicieli wśród robotników krajowych. Niemców uniknąć niepodobna było, ale od nich uczyli się Polacy i z biegiem czasu zastępowali ich miejsca. W ten sposób umiejętność trajbowania posiadł w wysokim stopniu p. Małecki i w niższym p. Burba. Tymi téż dwoma trajberami rozporządzała fabryka w chwili obejmowania robót kościelnych. Po roku, gdy już ambona była na ukończeniu, p. Małecki usunął się wcale nie z powodu nieporozumień o płacę, ale że dostał miejsce majstra w innéj fabryce. P. Burba rzeczywiście wyszedł z fabryki z powodu wyższych żądań, ale w żadnym razie roboty koło ambony nie byłby wstanie wykończyć, to téż zajęty był jedynie innemi mniejszemi robotami. Fabryka została bez trajbera, pomieszczono trzykrotne ogłoszenia w trzech najpopularniejszych pismach codziennych, ale nikt się nie zgłosił. Nie było rady, musiano uciec się do Niemca, któremu za warunek położono, aby pracując, uczył tutejszych robotników, dodano mu téż zaraz do pomocy zdolniejszych uczniów Polaków.

Wypadek ten świadczy dobitnie, w jak trudnych warunkach znajduje się przemysł nasz z powodu braku sił. Wciąż trapi nas sprzeczność dwustronnie fatalna: ludzie mrą z głodu, poszukując pracy, a jednocześnie nie ma kto pracować. Młodzież zamiast zapełniać stojące otworem pola pracy, wyciera przedpokoje protektorów, marząc o posadach. Jest prawie pewném, że wszyscy lub przynajmniéj wię-

kszość ślusarzów w fabryce p. Gostyńskiego uważa się za pokrzywdzonych, będąc przekonana, iż wcale bez nauki trajbowania, potrafiłaby zrobić tak samo jak ów drogopłatny Niemiec. My zawsze uważamy się za zdolnych od urodzenia do wszystkiego.

Ponieważ mowa o szkołach i o fabrykach, więc potrącę tu o jednę jeszcze kwestyą, która nie jest związana z żadnym miesiącem, ani nawet z żadną porą roku, która nie jest przypadkiem lecz trwa nieustannie. Od lat kilku obowiązują u nas i surowo podobno bywają przestrzegane przepisy, wzbraniające zatrudniania dzieci w fabrykach. Przepisy takie na zachodzie znane są oddawna i wydały rezultaty pożądane. Nad szkodą, jaką ponosi młody organizm wskutek nadmiernéj pracy, rozwodzić się nie warto, wszyscy o niéj dobrze wiedzą. To téż przepisy fabryczne powitane były z gorącą radością, co stanowi bardzo pomyślny objaw uczuć humanitarnych i popędów szlachetnych. Ile razy jednak idę po ulicach Warszawy, zawsze napada mnie wątpliwość, czy rzeczywiście zakazy co do pracy małoletnich dadzą u nas te same rezultaty, co gdzieindziéj i jakich spodziewali się prawodawcy. Gdzieindziéj inne są warunki, usuniętych z fabryki malców przygarnia szkoła. Nie trzeba chodzić nad Wisłę, gdzie jest matecznik zepsucia, zkąd zaraza w postaci skończonych zbrodniarzy rozpełza się po całém mieście, a może i po całym kraju—na każdéj ulicy w Warszawie, o każdéj godzinie widzi się dziesiątki niedorostków i wyrostków, zajętych psiemi figlami i uczących się wszelkiego szelmostwa. A dzieje się to nietylko na zaułkach. Po Saskim Placu nawet włóczą się oberwańcy, najwyraźniéj czyhający na portmonetki i chustki przechodniów, szykanujący ich w razie niepowodzenia, a skracający sobie czas bójkami. Wyjeżdżam na pierwszą lepszą stacyę i opada mnie zgraja chłopaków od 10—15 lat, żebrzących o otrzymanie tłomoczka do zaniesienia. Pod wsiami i miasteczkami łobuzy ćwiczą się w zasmolone i nieznanego dziś typu karty, tak samo jak pod szychtami w Warszawie. Mimowoli nasuwa się wtedy pytanie: czy, wybierając z dwojga złego, nie lepiéj byłoby trzymać małoletnich w fabrykach, niż pozwolać na wolności bez żadnéj kontroli i opieki rozrastać się fatalnemu chwastowi zwyrodnienia obyczajowego? Tu grozi kalectwo moralne, tam fizyczne, ale jednocześnie z tém ostatniém ma miejsce wdrażanie się do pracy, ładu i porządku.

Dziwna rzecz, społeczeństwo, społeczeństwa wogóle okazują zwykle większą pieczołowitość dla odpadków, dla minusów, niż dla tych części młodego pokolenia, które zdrowemi sokami zasilić winny przyszłość. Większa czujność przewidywania oszczędziłaby może mozołów niewdzięcznych przy tępieniu skutków złego, gdzie

osiągnięcie celu jest więcéj niż wątpliwe. Mamy przytułki dla przestępców, schronienia dla prostytutek, dla kalek, opiekę nad zwierzętami, dbamy, aby pensyonarze dobroczynności publicznéj nie doznawali braku żadnego, jakby to były perły szacowne; a jednocześnie na oczach naszych marnieją się, psują i gniją dziesiątki natur zdrowych, wśród których kryje się zarodek na niejednego może dzielnego obywatela. Postępowanie takie odpowiada zupełnie przypowieści biblijnéj, która każe dla jednéj zbłąkanéj owieczki opuszczać stado całe; jest ono może sympatyczne i pocieszające z wielu względów moralnych, ale praktyczne rezultaty daje niewątpliwie ujemne. Gruszkę w ogrodzie hodujemy, aby nie zdziczała, a naturę ludzką, podatną na wszelkie wpływy, pozostawiamy na igraszkę losów.

Odmienne rezultaty pożądanych instytucyj w różnych krajach trują mi nieco radość z powodu nowo ustanowionych kas oszczędności przy biurach pocztowych i telegraficznych. Tu przynajmniéj jest ten szczęśliwy wypadek, że kasy takie złych skutków pociągać nie mogą. Nie będziemy tu powtarzać ustawy—mieli ją czytelnicy w pismach codziennych; nie będziemy również wyszukiwać, ani powtarzać uwag krytycznych, o każdéj rzeczy mogą być zdania różne, żadna od wad wolną nie jest, natura każdéj pozwala na reformy, rozwój i doskonalenie się. Najważniejszém zagadnieniem jest, czy ludność korzystać z nich zechce w należytym stopniu? I pod tym względem niepodobna niestety oddawać się zbyt różowym marzeniom. Umiejętność oszczędzania wymaga przyzwyczajenia i wprawy. We Francyi, gdzie dziś oszczędność najbardziéj może jest rozwiniętą, długo i mozolnie wpychano ogół na ścieżkę, prowadzącą do kasy. Z masą prawie zawsze naśladować trzeba legendę o kartoflach, to jest zwabiać ją jakąś sztuczką.

Ponieważ ustawa nowa pozwala zakładać kasy oszczędności przy fabrykach, a na ludność robotniczą łatwiéj jest wywiérać wpływ, skłaniać a nawet zmuszać do pewnych pożytecznych zwyczajów, więc przedsiębiorcy powinni wziąć sprawę do serca i nie odkładać jéj na lepsze czasy. Gdy dobre skutki występować poczną, zmysł oszczędności sam przez się rozwijać się będzie. Dotąd niestety o kasach bardzo nie pamiętamy. Przedsionki ich nie roją się tłumami, a przedstawicieli pewnych klas niezamożnych przydybać tam wcale niepodobna. Jestem przekonany, że wielu ludzi wstydziłoby się spotkać ze znajomymi przy kasie oszczędności.

* * *

Mam czytelnikom do zakomunikowania bardzo — wedle mego zdania—pomyślną wiadomość literacką. Dziennikarze nasi, szczególniéj młodzi i mający pretensye do naukowego przodowania narodowi, a za nimi wydawcy trapieni są słabością czy manią, którą nazwałbym, niekoniecznie zresztą gramatycznie, „najnowsze wyniki wiedzy". Kto nigdy nad tém nie zastanawiał się i nie bolał, ten nie może od razu domyślić się o ile mania powyższa jest szkodliwa. Porównać ją można do pogoni galanternika za coraz to nowymi figlami w budowie portmonetek i ramek do fotografii, do usiłowań dandysa posiadania wciąż nowego kroju i nowéj barwy na inekspryinablach. Tylko, gdy chodzi o wiedzę, skutki są inne. Zdobycze myśli idą niezmiernie wolnym krokiem, szczęśliwie, jeśli lata i dziesiątki lat poszukiwań mozolnych są w stanie jedną kroplę wsączyć do skarbnicy. Dzieła prawdziwie wielkie, reformujące pojęcia, zjawiają się bardzo, bardzo rzadko. W roku 1883 słyszałem z katedry uniwersyteckiéj z ust Karola Vogta, że biologia od czasu Darwina stoi wciąż w miejscu, nie dodano istotnego nic, a próby rozwijania jéj były przeważnie błędnemi zboczeniami. Przypuszczam, że Vogt powtórzyłby dziś zdanie swoje z równym naciskiem; prawdopodobnie wiele lat jeszcze biologia czekać będzie, aż zjawi się nowy gieniusz, który stopić potrafi w organiczną całość olbrzymi materyał, nagromadzony przez mrówczą pracę pokoleń. Ale koło mrowiska nauki kręci się zawsze wiele koników polnych, wesołych braci literatów, którym koncept jeden wystarcza do stworzenia naukowéj teoryi, których działa opiérają się raczéj na twórczéj fantazyi niż na danych nauki. Najbardziéj może klasycznym typem takiego konika polnego jest Kamil Flammarion, bardzo i w naszym kraju popularny. Niektóre dzieła jego mają całkowicie i pozory i reputacyą naukowości, a tymczasem są to poprostu pomysły literackie, w pewnéj części wprost szkodliwe, gdyż fałszują naukę. Oczywiście, wytwory konceptu, wobec poważnéj pracy umiejętności, wyglądają jak złocone łupiny przy szarém ziarnie orzecha, wabią niedoświadczonych i bałamucą. Dzięki téj manii „najnowsze wyniki wiedzy", myśl czytelników naszych skacze po różnych oryginalnych dziwactwach, a z prawdziwą pracą nauki spotyka się rzadko zaledwie. Niejako zatraca się pojęcie samo, co jest dowodzenie poważne, co metoda ścisła. Umysły czytelników obcują przeważnie z dowcipnymi koncepcistami, zamiast przestawać z wielkimi myślicielami, jedynymi prawowitymi mistrzami. Ile razy „Kasa Mianowskiego" wyda dzieło, którego wartość zwycięsko przeszła przez próbę czasu, powstają krzyki, mające za jedyną podstawę argument: to takie stare, tyle jest „najnowszych wyników

wiedzy", bezwzlędu na to, czy na umysły nasze nie wpłynie dobroczynnie przepędzenie kilku godzin z Platonem, Descartesem lub Hypokratesem. Mania, o któréj mowa, jest powszechna, szerzy się ona między poważnymi Anglikami i flegmatycznymi Niemcami, to téż wśród obu tych narodów powstają projekty ułożenia i polecenia publiczności stałéj biblioteki, złożonéj ze 100 dzieł, czytanie których chroniłoby od stykania się z tandetą.

Wskutek takiego widzenia rzeczy ucieszyłem się bardzo, przeczytawszy, że „Prawda" jako dodatek kwartalny wydaje „Historyę Rewolucyi" Mignet'a. Ze względu na wielką ilość autorów bardzo silnie dotkniętych manią „najnowszych wyników" i lubujących się w zadziwianiu publiczności konceptami lekkozbrojnych historyków, socyologów i. t. d., bardzo szczęśliwy to objaw, że redakcya, wybierając dzieło do przetłómaczenia, nie szukała go wśród utworów, wyszłych wczoraj z pod prasy. Nie wiem dokładnie, kiedy Mignet dzieło swoje napisał, zawsze jednak liczy ono już zapewne pół wieku, a może i więcéj, jest zaś rzeczywiście znakomite, zarówno pod względem treści, jak i formy. Lepszego wyboru zrobić nie podobna było. Dziwić się tylko należy, iż tak długo na przekład téj niepospolitéj książki musieliśmy czekać.

W ostatnich tygodniach piśmiennictwo nasze zbogaciło się dwoma nowemi metodami: „Łatwą metodą gruntownego nauczenia się w krótkim czasie języka angielskiego", oraz „Nąjnowszą i najpraktyczniejszą metodą języka niemieckiego".

Ponieważ na przyszłéj wystawie paryskiéj umysł ludzki będzie musiał bardzo pracować, aby coś nowego wyszukać, mam więc nadzieję, że zostaną tam okazani światu ludzie, którzy się nauczyli jakiegoś języka z metody. Najprzód zajmie to niewiele miejsca, bo wątpię, aby liczba tych szczęśliwców na obu półkulach ziemi przeszła liczbę dziesięciu, a powtóre będą to okazy ze wszech miar godne widzenia; będzie im można polecić przebiéranie maku palcami, lub wykonanie innéj jakiéj roboty, wymagającéj bezmiaru cierpliwości. A jednak liczba metod mnoży się przedziwnie, niektóre staną może do konkurencyi z liczbą wydań dzieł p. Ćwierczakiewiczowéj, a są tak dobrym interesem wydawniczym, że je ojciec dzieciom zostawia, jako obfite źródło dochodów. Przyczyna tego widoczna: każdego człowieka nauka języka męczy, probuje więc wszelkich środków, kupuje jednę metodę i drugą, aby się w końcu nauczyć cudzoziemszczyzny zupełnie innym sposobem. Co do mnie, znałem jednego tylko wybrańca, co miał siły przejść całego Ollendorfa. Naturalnie wszystkie metody są albo najlepsze, albo najnowsze, albo najpraktyczniejsze.

O metodzie pierwszéj (p. Bergera) nic powiedziéć nie mogę, pozory ma całkiem przyzwoite, czy zaś jest ł a t w ą i daje g r u n t o w n ą w i e d z ę przekonać się nie mogłem, gdyż na przejście jéj brakowało mi nietylko cierpliwości, ale i czasu.

Natomiast nie potrzeba zbytniego zgłębienia, aby dojrzéć, że metoda niemiecka jest bardzo wesołym i ciekawym okazem blagi i reklamy autorskiéj i wydawniczéj. Rozpoczyna się od przedmowy, napisanéj bardzo koślawo i niegramatycznie, gdzie autor we wstępie urąga poprzednikom, oznajmia, że przed nim nie było u nas nic, a na końcu wykazuje, jak wielkie są zasługi wydawców i jego, że dla dobra społecznego podjęli się tak trudnéj i niewdzięcznéj a doniosłéj pracy, jak wydanie najnowszéj i najpraktyczniéjszéj metody. Od lat już kilku za przykładem Sienkiewicza szydzenie w rozmowie potocznéj i w druku z niedorzecznych zdań metod stało się najpopularniejszym konceptem. Niepodobna, żeby ktoś tego nie słyszał, niepodobna, żeby nie uznał słuszności powszechnego śmiéchu; można więc było przypuszczać, że konie sąsiadów, pożerające guziki i materace przyjaciół, pozostaną już na zawsze wspomnieniem przeszłości. Gdzie tam; metoda, któréj autor i wydawca mają pretensyę do uznania ogółu, widocznie starają się pod tym względem naśladować Ollendorfa. Obok tego przykro razi nieznajomość języka polskiego (dzwoni się nie n a k o g o ś, lecz komuś. Lek. 21). Niedbalstwo gramatyczne wielkie, przymiotniki nie zgadzają się z rzeczownikami, podmiotowi w liczbie mnogiéj odpowiada orzeczenie w liczbie pojedyńczéj (np. str. 12) i t. d. i t. d.

Do najnowszéj i najpraktyczniejszéj metody dodany jest słownik niemiecko-polski, o którym wydawca powiada, że z pewnością zyska sobie uznanie ogółu. Tymczasem o metodzie i słowniku powiedziéć można, że wart Pac pałaca. Ułożony on jest, jak słówka w książkach szkolnych, każdemu słowu polskiemu odpowiada jedno lub dwa niemieckie, o przytoczeniu jakichś zdań, któreby wyjaśniły użycie wyrazów, mowy nie ma. Co więcéj znaléść tu można słowa wcale w języku naszym nie znane. Biorę piérwszą kartkę, na któréj znajdują się str. 1 i 16, i odrazu wpada mi w oczy: *Biegas*, *Biegasowy* (znaczy *zu Fuss*), *Biegę*, *Biegiwać* i t. d. Odwracam kartkę, tu znowu: *Bezuszczerbny*, *Bezwlenna* (znaczy *ohne Mahlschatz*), *Austernik* i t. d. i t. d.

Licha książka nie jest osobliwością, nie wartoby więc było zaprzątać niczyjéj uwagi „najlepszą metodą“, gdyby nie była ona skądinąd objawem ciekawym, niemal charakterystycznym. Metod jest dużo, wydania nie są wyczerpane. Zdawałoby się więc, że nowy konkurent powinien postarać się w swém dziele o jakieś

cenne, wyróżniające przymioty. Gdzie tam! daje tylko większą tandetę. Wyda się nie wiele, a zawsze za pomocą reklamy i natrętnego kolporterstwa, wciśnie się ludziom sporo egzemplarzy. To jest znamię wielu gałęzi naszego przemysłu. Pomimo kilku poważnych firm, księgarstwo nasze zawsze miało wielu tandeciarzy, a z biegiem czasu — i to jest najsmutniejsze—liczba ich nie maleje, lecz wzrasta. *Lus.*

P. S. Do skończonéj już kroniki musimy dorzucić jeszcze kilka słów żalu i boleści z powodu śmierci zasłużonego człowieka. W ostatnim dniu ubiegłego miesiąca zgasł Eugieniusz Dziewulski, w sile wieku, bo nie dobiegł lat pięćdziesięciu.

Pomiędzy wybranymi Dziewulski należał do najpierwszych. Krzątał się gorliwie, bo wiedział, że starczyć trzeba za wielu. Pozostały po nim prace naukowe, nie pierwszorzędnéj może doniosłości, ale świadczące o głębości umysłu, o poważném stosunku do wiedzy, o czujném obserwowaniu jéj postępów, o wytrwałości i sumienności. Szczególniéj zasługują na pamięć mozolne i prowadzone bardzo umiejętnie badania jezior tatrzańskich. Rezultaty téj pracy znaleść można w tomach „Pamiętnika Fizyograficznego". Spotkała go za to nagroda, jaka na jego ziemi rodzinnéj spotyka często cichych a rzetelnych pracowników, przekładających istotną korzyść, nad błyskotki taniéj popularności: ogół o prawach i zasługach jego nie wiedział nic, bo nie czytał, a krytyków urągających nie zabrakło. Urąganie, jak cierń ostry, utkwiło mu głęboko w sercu.

Przez lat 16 zajmował Dziewulski stanowisko asystenta i preparatora przy katedrze fizyki w Szkole Głównéj i w Uniwersytecie. Przez dwa lata także wykładał fizykę studentom medycyny. Wedle zdania znawców był on doskonałym eksperymentatorem, doświadczenia jego znacznie podnosiły wartość wykładów. Korzystał przytém z laboratoryum dla badań czysto naukowych z dziedziny elektryczności i optyki.

Ale działalność naukowa, chociażją za wzór pod wieloma względami postawić można, nie stanowi najważniejszéj karty zasług nieboszczyka. Przy prawym charakterze, wielkiém sercu i niepospolitym umyśle, cechowały go jako najwybitniejsze rysy natury: rzutność, energia, przedsiębierczość, wytrwałość. Nie tylko sam chciał i umiał pracować, ale do stworzonych przez siebie ognisk potrafił przyciągać innych, potrafił przekonywać i wlewać w serca zapał własny.

Koledzy i bliżsi współpracownicy Dziewulskiego dadzą nam niewątpliwie szczegółowy obraz jego wielostronnéj działalności. My ograniczyć się musimy na suchém wyliczeniu. Przedewszystkiém zasługą talentu organizacyjnego nieboszczyka jest powstanie

i żywot „Wszechświata“ i „Pamiętnika Fizyograficznego“. A było to niełatwe zadanie.

Rozprzedaż „Pamiętnika“ pokrywała cząstkę tylko niemałych wydatków, „Wszechświat“ przez czas długi się nie opłacał. Walczyć trzeba było z brakiem współpracownictwa, z brakiem pieniędzy, z obojętnością ogółu. Wydawnictwa te były—wedle wyrażenia redakcyi—delikatną latoroślą, którą wyhodować należało w lodowatéj atmosferze, ogrzewać ciepłem własnéj piersi, zapałem własnego uczucia. Dziewulski téż wkładał tam ciepło i energię wielu lat życia swego.

On organizował szeregi odczytów popularnych, związanych pokrewieństwem tematów (o żelazie, o elektryczności). Kto choćby tylko słyszał, ile odczyty takie mają do przełamania trudności materyalnych, technicznych, moralnych i innych, ten ocenić potrafi zasługę, szczere przejęcie się potrzebami ogółu i ofiarność.

On należał do twórców i do najczynniejszych członków „kasy Mianowskiego“. Jego inicyatywa i umiejętność wzięcia się do rzeczy niemało przyczyniła się do urządzenia stacyi meteorologicznych w Warszawie i na prowincyi. On nareszcie rozwinął pożyteczną działalność jako pierwszy inspektor oświetlenia naszego miasta.

Równie ważnym, a wiele jeszcze sympatyczniejszym tytułem do serdecznego wspomnienia i głębokiego żalu była gorliwość Dziewulskiego w niesieniu pomocy każdemu, o kim tylko zasłyszał, że pomocy potrzebuje, a może pożytecznie pracować dla ogółu. Przytoczę tu tylko wypadek ostatni. W tym roku ukończył wydział przyrodniczy tutejszego uniwersytetu p. Józef M. i otrzymał złoty medal za rozprawę. Rozprawę tę, poświęconą badaniom mikroskopowym skał, profesor przesłał d-rowi B., polecając autora. Dziewulski dowiedział się o tém i w téj chwili zajął się młodzieńcem. Rozprawę wziął do „Pamiętnika“, a dla autora wystarał się o zapomogę na wycieczkę naukową. Wreszcie zaprosił go do siebie do Zakopanego, aby i w ten jeszcze sposób umożliwić przedłużenie wycieczki, któréj część poświęconą być miała Tatrom.

Jakiém dobrodziejstwem dla młodzieńca wstępującego w odmęt życia jest ta ręka opieki i pomocy! Jak obowiązywać go będzie na całe życie i przypominać o obowiązkach ta bezinteresowna a serdeczna przychylność nieznajomego człowieka, ofiarowana w imię wspólnych a idealnych celów! Umysły młode pojone nieraz bywają niewiarą w ludzi, wprzód nim poznają, rzucają na społeczeństwo gromy potępienia za samolubstwo, spodziewają się spotkać samą tylko walkę i zawiść. Gdy, zamiast tego, otacza ich życzliwość serdeczna, przepada robota złych duchów. W ten sposób nawiązuje

się nić sympatyczna, która pracę pokoleń łączy w nierozerwalną całość.

Słyszałem powyższą opowieść z ust samego p. M. i widziałem rozrzewnienie młodego serca, wtedy cześć moja dla Dziewulskiego wzrosła jeszcze.

Niestety p. M. nie mógł już w Zakopanem korzystać z gościnności Dziewulskiego, gdyż zastał go na łożu boleści, skazanego na nieuchronną, a rychłą śmierć.

NEKROLOGJA.

---

† **Ignacy Zakrzewski,** poseł na sejm pruski, zakończył życie dnia 7 sierpnia r. b. w Kissingen. Zmarły przysłużył się nauce historyi przez wydanie czterotomowego „Kodeksu dyplomatycznego wielkopolskiego", który wyszedł z druku nakładem Biblioteki Kórnickiéj (1877—1881),—a w ostatnich czasach pracował nad wydaniem ważnego dla historyi zatargów Polski z Krzyżakami pomnika „*Lites ac res gestae inter Polonos ordinemque Cruciferorum*". Zakrzewski pisał téż rozprawy historyczne, dotyczące po większéj części dziejów Wielkopolski, które pomieszczał już to w Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk poznańskiego, już w „Zapiskach archeologicznych".

† **Jadwiga z Jaczewskich hr. Rzewuska,** ur. w r. 1843, zmarła w Wierzchowni, w pow. Skwirskim, 23 lipca r. b. Pod pseudonimem Piotra Leliwy wydała książkę treści genealogicznéj p. n. „Wielka rodzina w wielkim narodzie" (1879), a następnie „Krzyżem a mieczem" (1880), „Jan Sobieski i wiek jego" (1883), wreszcie „Credo" i „Myśli szlachcica polskiego".

SPROSTOWANIE.

Omyłki w zeszycie sierpniowym.

Str. 356 w.	6 z g.	*zamiast*	Kończugą	*czytaj:*	Kanczugę
„ „ „	5 z d.	„	famulas	„	famulos
„ 357 „	10 z d.	„	cellanti	„	cellandi
„ 358 „	21 z g.	„	eilabi	„	ellabi
„ 359 „	18 z g.	„	io	„	in

Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**